

BRYAN BURROUGH

WROGOWIE PUBLICZNI

OD AUTORA

Nigdy wcześniej zbieranie materiału i pisanie nie sprawiło mi tyle radości co w przypadku książki, którą trzymacie w rękach. Jeśli czytanie jej da wam choć połowę przyjemności, z jaką ją tworzyłem, będę zachwycony.

Zamiar napisania tej książki tkwił we mnie od zawsze. Po raz pierwszy zapragnąłem zostać pisarzem, słuchając opowieści dziadka o Bonnie i Clydzie. Jako młody funkcjonariusz z biura szeryfa w północno-zachodnim Arkansas John Vernon Burrough zarządzał blokadami dróg ustanowionymi w celu schwytania tej pary. W późniejszych latach był burmistrzem Almy w Arkansas, miasta, gdzie Clyde Barrow został oskarżony o zamordowanie jednego z jego poprzedników. Opowieści dziadka brzmiały jak historie z Dzikiego Zachodu; z trudem mieściło mi się w głowie, że to wszystko zdarzyło się zaledwie przed czterdziestu laty. Dorastałem w latach siedemdziesiątych i na kształtowanie poglądów mojego pokolenia największy wpływ miały wojna w Wietnamie, afera Watergate oraz dramat zakładników przetrzymywanych w Iranie. Nie mogłem uwierzyć, że Ameryka aż tak bardzo się zmieniła w ciągu jednego ludzkiego życia.

Później się dowiedziałem, że Clyde Barrow zamordował stryjecznego dziadka jednego z moich przyjaciół z Tempie w Teksasie, miasta, gdzie się wychowałem, co jeszcze wzmogło moje zainteresowanie tematem. Cierpiąc na bezsenność pewnej nocy w 1997 roku, przypadkiem trafiłem w telewizji kablowej na dokumentalny film o Ma Barker. Byłem ciekaw, czy gang Barkera działał przed czy po Bonnie i Clydzie. Wszedłem na górę do swojego gabinetu, zacząłem szperać w Internecie i ku swemu zdumieniu odkryłem, że oba gangi były na wolności w latach 1933 i 1934. Zaintrygowany sprawdziłem Johna Dillingera: 1933 i 1934. Potem Pretty Boy Floyda, Baby Face Nelsona i Machinę Gun Kelly'ego: wszyscy działali w 1933 lub 1934 roku. Tak wciągnęła mnie historia wojny z przestępczością.

Sięgnąłem po książkę Johna Tolanda *Dillinger Days*, wydaną w 1963 roku biografie, w której występują również inne postacie ze świata przestępczego działające w tym samym czasie co tytułowy bohater. Szukałem dokładniejszego opisu walki FBI z Dillingerem i gangsterami, ale ku swemu zaskoczeniu nie znalazłem. Wydano mnóstwo książek na temat poszczególnych bandytów, ale odniosłem wrażenie, że nikt nie próbował ogarnąć całego zagadnienia. Później się dowiedziałem, że akta FBI dotyczące wszystkich tych spraw ujawniono dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Wtedy postanowiłem napisać tę

książkę.

Jest to zatem pierwsza wyczerpująca opowieść o wojnie FBI z przestępczością, trwającej od 1933 do 1936 roku, o czasach powstania i upadku sześciu głównych gangów: Johna Dillingera, Baby Face Nelsona, Pretty Boy Floyda, Barkera i Karpisa, Machine Gun Kelly'ego oraz Bonnie i Clyde'a. To długa, wielowątkowa historia, pełna strzelaniny i dochodzeń prowadzonych w dziesiątkach amerykańskich miast, występują w niej dosłownie setki bardziej i mniej ważnych osób, między innymi cała armia agentów FBI, szeryfów i zwykłych policjantów. Na następnych stronach przedstawię główne postacie, by łatwiej je było zidentyfikować.

Złożoność problemu była jednym z powodów, dla których autorzy do tej pory woleli się skupiać na jednym wybranym wrogu publicznym. Jednakże te sześć wątków tworzy jedną historię, a czynnikiem spajającym je w całość jest udział FBI. Samo FBI przedstawiło ocenioną wersję wojny z przestępczością w kilku książkach, poczynając od sensacyjnych *Ten Thousand Public Enemies* z 1935 roku po *The FBI Story* Dona Whiteheada z 1956. Wszystkie te pozycje są, mówiąc delikatnie, niepełne, a mówiąc wprost - przekłamane. Opowiadają o tym, co J. Edgar Hoover chciał podać do wiadomości publicznej, a nie o tym, co naprawdę się działo.

Przez lata główną przeszkodę w opisanu prawdziwych wydarzeń stanowiła panująca w FBI tendencja do trzymania wszystkiego w tajemnicy; Hoover niechętnie dzielił się informacjami z osobami, które były zainteresowane przedstawieniem całej prawdy. To po części tłumaczy, dlaczego o bandytach, zajmujących znaczące, choć wielce niechlubne miejsce w amerykańskiej legendzie, powstało zaskakująco mało wiarygodnych książek. Przez dwadzieścia pięć lat o gangsterach z czasów Wielkiego Kryzysu pisali jedynie reporterzy gazet i autorzy czasopism detektywistycznych; wielu z nich poprzestawało na wymyślaniu dramatycznych scen i dialogów. Dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy w telewizji nadano cieszący się wielką popularnością serial *Nietykalni*, poważni autorzy zaczęli się interesować tematem wojny z przestępczością. Od tamtego czasu Dillinger i Floyd doczekali się wielu biografii. Bonnie i Clyde, rozślawieni filmem z 1967 roku, zostali bohaterami kilku książek. Natomiast pierwsze opracowanie poświęcone Machine Gun Kelly'emu ukazało się dopiero w 2003 roku.

Zdecydowanie najlepszą tych pozycji jest *Dillinger Days*. Ponieważ od opisywanych wydarzeń minęło trzydzieści lat, Toland mógł porozmawiać z wieloma ich uczestnikami, między innymi byłymi agentami FBI. Choć autor daje wiarę paru wątpliwym historiom podawanym przez Biuro - przede wszystkim mitowi o przestępczym geniuszu Ma Barker - to

jego książka wyznacza standard, według którego należy oceniać wszystkie pozostałe. Świeże spojrzenie na wojnę z przestępczością było możliwe dzięki ujawnieniu akt FBI. Pod naciskiem miejscowych historyków, takich jak Robert Unger z Kansas City i Paul Maccabee z St. Paul, Federalne Biuro Śledcze upubliczniło wszystkie swoje akta na temat Dillingera, Floyda, Nelsona, gangu Barkera, Kelly'ego oraz masakry w Kansas. Całość obejmuje prawie milion stron codziennych raportów, telegramów i korespondencji, a także setki zeznań świadków i uczestników, od siostry Dillingera po krawca Nelsona.

Co zrozumiałe, akta stanowią istną skarbnicę informacji. Zawierają dziesiątki nigdy wcześniej nieoglądanych zeznań bandytów i ich partnerek, niepublikowany esej autobiograficzny Kathryn Kelly, ujawnienie łapówek, dzięki którym Dock Barker wyszedł z więzienia, oraz potwierdzenie, że na dwa miesiące przed śmiercią Dillinger dopuścił się rabunku, który został „przeoczony”. Poza tym wszystkim akta rzucają jaskrawe światło na samo FBI. Stanowią żywą kronikę przemiany Biura z gromady amatorów, bez broni i doświadczenia w egzekwowaniu prawa, w drużynę profesjonalistów od zwalczania przestępczości. Hoover wcale nie miał ochoty ujawniać tej historii. W pierwszych miesiącach wojny z przestępczością widzimy, jak ludzie Hoovera nieudolnie prowadzą obserwacje, gubią podejrzanych, zapominają rozkazach i ciągle aresztują nie te osoby, co trzeba; ich pomyłki mogłyby się wydawać komiczne, gdyby nie cena płacona przez niewinnych ludzi. Jednakże w gęstwinie raportów i korespondencji, często ozdabianej cierpkimi uwagami samego Hoovera, można dostrzec dojrzewanie FBI.

Agenci uczą się, jak używać broni, stosować profesjonalne metody śledcze i zdobywać informacje. Przede wszystkim jest to historia tego, jak FBI stało się FBI.

Akta pozwoliły mi wypełnić jeden z moich głównych celów: złożyć hołd stróżom prawa, którzy toczyli wojnę z przestępczością. Ludzie tacy jak Charles Winstead i Clarence Hurt, dwaj agenci, którzy zabili Dillingera, długo pozostawali anonimowi, mimo iż kręcono filmy o mordercach, których ścigali. FBI wolało zachować taki stan rzeczy. Zdaniem krytyków dlatego, że Hoover pragnął wziąć na siebie całą chwałę, co może być prawdą. Jednakże zachowywanie w tajemnicy tożsamości agentów służyło również innym celom: sprzyjało pracy zespołowej i umożliwiało działanie w ukryciu. Po raz pierwszy akta FBI pozwalają zrozumieć, którzy agenci czego dokonali i kto kiedy zawiódł. Nie jest to zbyt piękna historia i trudno się dziwić, że Hoover chciał ją utrzymać w tajemnicy.

W ciągu czterech lat zbierania materiałów byłem w stanie rozszerzyć opowieści zaczerpnięte z akt FBI o wiele nowych informacji ujawnionych przez ostatnie czterdzieście lat. Rękopis odkryty w 1989 roku przez dwóch nieustraszonych znawców

historii Dillingera, Williama Helmera i Thomasa Smusyna, rzuca nowe światło na ostatnie tygodnie życia legendarnego bandyty. Innym cennym źródłem były dwa tysiące stron zapisu niepublikowanego wywiadu udzielonego przed śmiercią przez Alvina Karpisa z gangu Barkera. Miałem także możliwość zapoznania się z niepublikowanymi tekstami napisanymi przez kilku agentów FBI. Wszystkie źródła informacji wymieniłem w przypisach na końcu książki.

Proszę, byście czytając, pamiętali o jednym: ta książka nie została „wymyślona”, stanowi odtworzenie wydarzeń. Rozmowy i dialogi w tej książce wzięte są słowo w słowo z raportów FBI, z zapisków Karpisa, ówczesnych artykułów prasowych i wspomnień uczestników opisywanych wydarzeń. Jeśli zastanowi was, skąd coś wiem, sprawdźcie źródło w przypisach. Jeśli czegoś nie wiem, przyznaję się. Jeśli istnieje jakaś tajemnica, której nie potrafię wyjaśnić - a jest ich kilka-jasno stawiam sprawę. Ja i tylko ja ponoszę winę za ewentualne błędy. Przyjemnej lektury.

New Jersey, grudzień 2003 Bryan Burrough Summit

PROLOG

Torremolinos w Hiszpanii 26 sierpnia 1979

W jednym z turystycznych miast na rozpalonym słońcem hiszpańskim wybrzeżu spędzał swe ostatnie lata pewien stary człowiek, amerykański dziadzio z siwą, przyciętą po żołniersku czupryną i błyskiem w turkusowych oczach. Mimo siedemdziesiątki na karku wciąż był szczupły i żwawy, miał wydatne kości policzkowe, ostro zarysowany podbródek i okulary w przezroczystych oprawkach, nadające mu wygląd pracownika naukowego niższego szczebla. Większość czasu spędzał zaszyty w swoim zagraconym mieszkaniu przerobionym z garażu, oglądając BBC na migoczącym czarno-białym telewizorze, otoczony butelkami jacka danielsa, pigułkami i własnymi wspomnieniami. Spotkany na plaży wydałby się wam miłym pogodnym pocziwcem. Raczej na pewno był najmilszym mordercą, jakiego chcielibyście poznać.

To smutne, ale tylko trochę. Gdy przyjechał do Hiszpanii przed dziesięciu laty, umiał dobrze się bawić. Była tu stara niechlujna rozwódka z Chicago, z którą się dawniej spotykał. Jeździli po wybrzeżu jej sportowym autem, popijali pigułki tequilą i klócili się zażarcie.

Teraz już jej nie było. Podobnie jak pisarzy, dokumentalistów, tych wszystkich, co przyjeżdżali, żeby słuchać o dawnych czasach. Ci z Kanady byli najgorsi, ustawili go na tle kabrioletów i otoczyli aktorami w staromodnych kapeluszach, trzymającymi w rękach

imitacje pistoletów maszynowych. Zrobił to dla pieniędzy i dla zaspokojenia własnej próżności, której zawsze miał niemało. A teraz, cóż, teraz popijał. W barach, po kilku piwach, kiedy słońce zaczynało się chylić ku zachodowi, opowiadał różne historie. Rzucane przez niego nazwiska dla Hiszpanów znaczyły niewiele. Brytyjczycy i ten dziwny Amerykanin uważali, że jest stuknięty, ot, staruszek plotący po pijanemu.

Kiedy mówił, że był gangsterem, tylko się uśmiechali. „Jasne, dziadku”. Kiedy mówił, że był wrogiem publicznym numer jeden - zaraz po Johnie Dillingerze, Pretty Boy Floydzie i jego starym protegowanym Baby Face Nelsonie - ludzie się odwracali i wymieniali znaczące spojrzenia. Kiedy mówił, że on i jego kompani sami „stworzyli” J. Edgara Hoovera i nowoczesne FBI, cóż, wtedy przybierał zgorzkniały ton, a ludzie wstawali i przenosili się do innego stolika. Byli przekonani, że mają do czynienia z łgarzem. Bo też jak można było wierzyć komuś, kto twierdził, że jest jedyną osobą na świecie, która poznała Charlesa Mansona, Alę Capone oraz Bonnie i Clyde’a?

Niewielu w Torremolinos wiedziało, że to wszystko prawda. Podczas kilku ostatnich lat spędzonych na Terminal Island, w latach sześćdziesiątych, nauczył Mansona grać na gitarze stalowej. Wcześniej przesiedział dwadzieścia jeden wilgotnych zim w Alcatraz, przenosząc się do Leavenworth na kilka lat przed tym, jak w 1963 zamknęli to więzienie. W istocie był najdłużej przetrzymywanym więźniem w historii Skały. Znał Ptasznika i tego gadułę Machinę Gun Kelly’ego, widział, jak Al Capone powalony atakiem syfilisu miota się na podłodze stołówki niczym oprawiana ryba na kuchennej desce.

W swoim czasie był sławny. Nie to, że miał swoje piętnaście minut, ale był naprawdę sławny, występował na pierwszej stronie „New York Timesa” przed innymi sławami. Przed Neilem Armstrongiem, przed Beatlesami, przed American Bandstand; przed wojną, kiedy Hitler uchodził za niepokojącego wariata z paskudnym wąsem, a Franklin Delano Roosevelt dopiero uczył się trafiać do łazienki w Białym Domu, to on był najlepiej znanym w kraju kasiarzem. Ludzie dzisiaj nawet nie wiedzą, kto to jest kasiarz. Dillinger lubił o sobie mówić, że jest najlepszym kasiarzem. Pretty Boy Floyd był dobrym kasiarzem. Bonnie i Clyde chcieli być.

A dzisiaj? Dzisiaj on i wszyscy jemu podobni są postaciami z kreskówek, przedstawiani jak własne karykatury w kolejnych filmach gangsterskich. Można ich oglądać późno w nocy w najróżniejszych zmyślonych historiach - Warrena Beatty jako jękającego się utajonego homoseksualistę Clyde’a Barrowa, Faye Dunaway jako piękną Bonnie Parker (mocno przesadzili z tą urodą), Richarda Dreyfussa jako paplającego bezustannie dupka Baby Face Nelsona (to akurat im wyszło), Shelley Winters jako dzierżącą pistolet maszynowy Ma

Barker i młodego Roberta De Niro jako jednego z jej synów. Dla niego oni wszyscy byli śmiesznymi hollywoodzkimi fantazjami, nieprawdziwymi postaciami w sztucznym świecie.

W tym momencie stary człowiek z rezygnacją potrząsał głową. Wyciągnięty nocą na kanapie, popijając jacka danielsa i łykając pigułki, myślał z irytacją, że przecież to wszystko wydarzyło się naprawdę. Nie w jakimś urojonym świecie, nie w filmach, ale w środku Stanów Zjednoczonych - w Chicago, w St. Paul, w Dallas, w Cleveland. Prawda tamtych wydarzeń gdzieś uleciała, została zapomniana, tak jak on. Dillinger, Floyd, Nelson, Bonnie i Clyde, Ma Barker... Znał ich wszystkich. Był ostatnim, który pozostał przy życiu. Przeżył nawet samego Hoovera.

Hoovera.

Pieprzonego Hoovera.

Pochylił się, sięgając po buteleczkę z pigułkami.

1 PRELUDIUM DO WOJNY

Wiosna 1933

Waszyngton Dł. 4 marca 1933, sobota

Ranek był równie ponury jak sytuacja panująca w kraju od pewnego czasu. Szare chmury wisiały nisko nad miastem, szarpane północnym wiatrem i falami ulewy. Sto tysięcy ludzi stało przed Kapitołem i czekało. Wśród tłumu panowało przygnębienie i niepokój. Niektórzy wskazywali na szczyty dachów.

- Co to jest, to co wygląda jak małe klatki? - spytał ktoś.

- Karabiny maszynowe - odpowiedziała jakaś kobieta¹. Wrażenie kryzysu potęgował widok zdenerwowanych młodych żołnierzy, którzy stali na rogach ulic z bronią gotową do strzału. „Atmosfera była jak w stolicy udręczonej wojną”, pisał Arthur Krock w „New York Timesie”.

Trafne porównanie. Rzeczywiście można się było czuć jak podczas wojny. Ludzie byli wstrząśnięci do głębi. Kraj, który znali - syta i szczęśliwa Ameryka epoki jazzu, nielegalnych wyszynków, zabawy i mieszanych drinków - zniknął, zniszczony tak całkowicie, jakby go zmiotły z powierzchni ziemi bomby wroga. Kobiety, które dawniej całymi wieczorami tańczyły charlestona, teraz powłóczyły nogami w kolejkach za chlebem, brudne i pobawione nadziei. Ojcowie, którzy utopili oszczędności na giełdzie, teraz przesiadywali w rynsztokach, żebrząc o garść drobnych.

Rozległ się dźwięk trąbki. Wszystkie głowy się odwróciły. Prezydent elekt niepewnym krokiem wszedł na wyłożony bordowym dywanem podest. Przewodniczący Sądu Najwyższego Charles Evan Hughes odczytał treść przysięgi.

Kiedy skończył, Franklin Delano Roosevelt wszedł na mównicę i mocno się jej chwycił. Twarz miał posępną.

- Pozwólcie, że wyrażę swoje głębokie przekonanie, iż jedyną rzeczą, jakiej musimy się lękać, jest sam strach - zaczął. - Nienazwany, nieracjonalny, nieuzasadniony, paraliżujący wysiłki, niezbędne, by porażkę zmienić w postęp. - Rozejrzał się po tłumie. - Ten naród domaga się działania, i to działania natychmiastowego. Musimy działać jak dobrze wyszkolona i lojalna armia gotowa do poświęceń dla dobra powszechnej dyscypliny... Mam zamiar poprosić Kongres o ten jedyny instrument, jaki pozostał do walki z kryzysem: szeroką władzę wykonawczą, żeby wydać wojnę zagrożeniu, tak szeroką jak władza, jaką bym otrzymał, gdybyśmy zostali napadnięci przez wroga z zewnątrz.

Po zakończeniu przemowy, kiedy prezydent z powrotem zniknął w Kapitolu, mało kto czuł się podniesiony na duchu. Wielu przestraszyła wzmianka o wojnie. Rozmawiano o stanie wojennym, anarchii, dyktaturze. Niewielu rozumiało, jaki rodzaj wojny prezydent miał na myśli. Wszystko wydawało się możliwe.

Tamtego ranka nikt nie mógł wiedzieć, że wojna zapowiadana metaforycznie przez Roosevelta oznacza prawdziwą strzelaninę, krew i śmierć na amerykańskiej ziemi. Że będzie się toczyć na wielkim obszarze środkowej części kraju; zacznie się na stacji kolejowej w Kansas City, a potem obejmie ulice Chicago, otoczone sosnami domki w północnym Wisconsin, umęczone burzami piaskowymi farmy w Oklahomie oraz inne miejsca rozsiane od Atlantic City po Dallas i od St. Paul po Florydę. Będą w niej walczyć nie żołnierze, lecz inna armia rządu federalnego, mało znane ramię Departamentu Sprawiedliwości, kierowane przez równie mało znanego biurokratę Johna Edgara Hoovera. Człowiek ten w ciągu krótkich dwudziestu miesięcy, zaczynając praktycznie od niczego, wytropił i upolował całe zastępy bandytów, których wyczyny miały się stać narodową operą mydlaną, a potem legendą.

Kiedy patrzy się na wydarzenia sprzed siedemdziesięciu lat przez pryzmat brukowych powieści i nieudanych filmów gangsterskich, można je postrzegać jako swoisty folklor, nadawać im otoczkę mitu. Dla pokolenia Amerykanów wychowanych po drugiej wojnie światowej postaci kryminalistów, takich jak Charles Pretty Boy Floyd, Baby Face Nelson, Ma Barker, John Dillinger i Clyde Barrow, nie są ani trochę bardziej realne od Luke'a Skywalker'a czy Indiany Jonesa. Ich historie, przez dziesiątki lat mielone w trybach popkultury, zatraciły wszelki realizm do tego stopnia, że niewielu Amerykanów dzisiaj wie,

kim naprawdę byli ci ludzie, a jeszcze mniej jest takich, którzy wiedzą, że oni wszyscy zyskali swą mroczną sławę w tym samym czasie.

Istnieli naprawdę. Clyde Barrow, drobny złodziejasek z Dallas, który z czasem stał się wielokrotnym mordercą, urodził się w 1909, w tym samym roku co Barry Goldwater i Ethel Merman. Gdyby żył, miałby sześćdziesiąt pięć lat, kiedy Richard Nixon zrezygnował z prezydentury, i jako starzejący się rentier spędzałby wieczory w fotelu z podnóżkiem, śmiejąc się z Archiego Bunkera. Wdowa po Baby Face Nelsonie zmarła w 1987, po latach doglądania wnuków zapatrzonych na MTV. Wdowa po Machine Gun Kellym zmarła w Tulsie w 1985, przesiedziawszy wcześniej dwadzieścia pięć lat w więzieniu. Wciąż żyją ludzie, którzy chowali się pod ladą kasy, kiedy Dillinger rabował ich bank, którzy widzieli, jak Bonnie i Clyde strzelali do niewinnych szeryfów, czy rzucali piłkami baseballowymi z Baby Face Nelsonem. Kelly i Floyd spłodzili potomstwo, które nadal opowiada historię swoich rodziców.

Straszono nimi dzieci, które wyrosły na *Greatest Generation*. Wiosną 1933, kiedy ludzie tacy jak John Dillinger wkroczyli na narodową scenę, dwudziestodwuletni Ronald Reagan relacjonował międzyuczelniane rozgrywki baseballowe w radiu WHO w Des Moines, dwudziestoletni Richard Nixon grał w sztukach wystawianych przez Whittier College w południowej Kalifornii, a dwóch trzecioklasistów, James Earl Carter w Plains w Georgii i George Herbert Bush w Greenwich w Connecticut uczyli się tabliczki mnożenia. Na licealnych wieczorkach w Hoboken w stanie New Jersey dziewczęta tańczyły do melodii śpiewanych przez siedemnastoletniego Franka Sinatrę. A w domu przy Hudson Avenue w Evanston w Illinois wyjątkowo ruchliwy dziewięciolatek Marlon Brando uczył się boksować.

Jednak ponieważ ci i inni przedstawiciele tamtego pokolenia schodzą ze sceny, trudno sobie wyobrazić czasy, kiedy znani z nazwisk przestępcy trzymali w szachu XX-wieczną Amerykę. W świecie telefonów komórkowych, zakupów przez Internet oraz bomb sterowanych laserem gangsterzy rabujący banki i siejący grozę w całym kraju wydają się dziwni i nieprawdziwi, przypominają postacie z opowieści o Dzikim Zachodzie. Ale to się nie działo na Dzikim Zachodzie. To była

Ameryka roku 1933, osiem lat przed Pearl Harbor, dwanaście przed Hiroszimą, dwadzieścia trzy lata przed Elvisem, trzydzieści trzy przed Woodstock. Mimo wszystkich powierzchownych kontrastów - nie było Internetu, telewizji, kamer na podczerwień ani obrazu uzyskiwanego przez satelitę - Ameryka w 1933 roku nie różniła się aż tak bardzo od dzisiejszej. Rozmowy międzymiastowe nie stanowiły problemu. Istniały połączenia lotnicze; zarówno policjantom, jak i gangsterom zdarzało się latać do pracy. Najbardziej wpływowe

publikacje ukazywały się w dzienniku „New York Times” i tygodniku „Time”.

Mężczyźni i kobiety ubierali się mniej więcej tak jak obecnie; jedyną różnicę stanowiło upodobanie do kapeluszy - panowie nosili filcowe z rowkiem i wywijanym rondem lub zawsze modne panamy, damy paradowały w nakryciach głowy bogato zdobionych koronkami, natomiast zwykle dziewczyny naciągały nisko na czoło proste obcisłe kapelusiki. Główny nurt kultury wyznaczały filmy hollywoodzkie; tamtej wiosny popularnością cieszył się *Frankenstein* z Borisem Karloffem, pierwszy *Tarzan* z Johnnym Weismullerem oraz *Dr Jekyll i Mr Hyde*. Listę bestsellerowych książek otwierał *Bunt na Bounty*. Radio miało się całkiem dobrze, ale tylko w niespełna połowie domów w kraju znajdował się odbiornik.

Pierwsze miesiące 1933 roku były szczególne dlatego, że tak wielu Amerykanów z braku pieniędzy nie mogło korzystać z tych wszystkich atrakcji. Krach na giełdzie w 1929 doprowadził do zapaści ekonomicznej. Setki tysięcy ludzi straciło pracę. Z perspektywy czasu można stwierdzić, że tamtej wiosny recesja osiągnęła dno. Dzielnice slumsów ciągnęły się wzdłuż Potomaku, pod Riverside Drive w Nowym Jorku, a także w Chicago, Bostonie i San Francisco. Tysiące rodzin, w tym cały legion obdartych dzieci, prowadziło wędrowne życie w wagonach kolejowych przemierzających Środkowy Zachód, szukając w kolejnych miastach pomyślnego losu, którego jednak nie sposób było nigdzie znaleźć. W Waszyngtonie odbywały się manifestacje, czasami gwałtowne; zdarzało się, że używano czołgów i wojska do rozganiania mężczyzn rozpaczliwie domagających się pracy. Wzbierał gniew. Ludzie obwiniali rząd. Obwiniali banki.

Kiedy Roosevelt wygłaszał swoją mowę inauguracyjną tamtego wilgotnego ranka, grupa urzędników rządowych w ciemnych garniturach słuchała go skupiona wokół radia w biurze na trzecim piętrze na rogu Vermont i K Street w centrum Waszyngtonu. Mało kto poza najbliższymi rodzinami wiedział, czym się zajmują. Ich zwierzchnikiem był masywny trzydziestoosmioletni mężczyzna z oczami jak paciorki, spłaszczonym nosem i workami pod oczyma. Często porównywano go do buldoga. Tamtego ranka J. Edgar Hoover myślał głównie o tym, żeby utrzymać posadę.

Obecnie, poprawie czterdziestu latach od jego śmierci w 1972 roku, trudno pamiętać czasy, kiedy Hoover nie był jeszcze potężnym człowiekiem, którego tajnych akt obawiali się amerykańscy prezydenci, który wspierał komisję senatora Josepha McCarthy’ego, który rozpracowywał różne ważne postacie, od Martina Luthera Kinga przez Algera Hissa po Rosenbergów. Przez cztery dziesięciolecia Hoover był najważniejszą figurą w amerykańskich służbach egzekwujących przestrzeganie prawa; nikt mu nie dorównał, jako że sam stworzył pierwsze narodowe siły policyjne. Jego spuściznę ocenia się niejednoznacznie, jego samego

również. Przed Hooverem przestrzeganiem prawa w Ameryce zajmowała się armia lokalnych szeryfów na prowincji i wydziały policji w miastach, często skażone korupcją. Hoover wprowadził skuteczność, profesjonalizm i centralne zarządzanie, zasady, według których system działa do dzisiaj. Jednakże na jego niewątpliwe zasługi położyły się cieniem późniejsze nadużycia władzy - szeroko stosowana nielegalna inwigilacja, włamania i prześladowanie organizacji walczących o przestrzeganie praw obywatelskich.

Władza Hoovera nie narastała stopniowo. Wybuchła podczas wielkiej fali zbrodni w latach 1933-34. Wszedł w ten okres jako anonimowy funkcjonariusz szczebla federalnego, którego biuro próbowało się otrząsnąć z dawnych skandali. W ciągu dwudziestu miesięcy stał się bohaterem narodowym, jego nazwisko pojawiała się w filmach, książkach i komiksach. Obecne FBI powstało w sześćset dni. Ta książka jest o tym, jak to się stało.

Tamtego ranka Hoover był dyrektorem Biura Śledczego Departamentu Sprawiedliwości. Nie Federalnego Biura Śledczego; tę nazwę miało otrzymać dopiero dwa lata później*[* Dla ułatwienia w całej książce będzie określane jako FBI.]. Piastował swe stanowisko od dziewięciu lat, od 1924, ale miał wrogów, wielu wrogów, i ludzie Roosevelta dawali jasno do zrozumienia, że prawdopodobnie zastąpi go ktoś inny. Ostateczną decyzję miał podjąć nowy prokurator generalny, zdeklarowany przeciwnik Hoovera, Thomas Walsh. Tamtego czwartku, dwa dni przed wystąpieniem Roosevelta, Walsh, siedemdziesięciodwuletni senator z Montany, wsiadł do pociągu relacji Miami-Waszyngton ze swoją nowo poślubioną młodziutką małżonką. W piątek rano pani Walsh obudziła się w kolejowym przedziale i stwierdziła, że jej mąż nie żyje; w stolicy szeptano, że stary senator zszedł na skutek zbyt intensywnych wysiłków seksualnych.

Dla Hoovera oznaczało to ulgę, ale jedynie tymczasową. Po wszystkim, co osiągnął przez ostatnie dziewięć lat, wstrętą była mu myśl, że jego los zależy od zwykłych polityków. Gdyby nie on, Biuro Śledcze mogło zostać zlikwidowane kilka lat wcześniej. Była to niewielka instytucja, „biurokratyczny bękart” według określenia jednego z krytyków, odpowiedzialna za dochodzenia w różnorodnych przestępstwach federalnych, obejmujących między innymi działalność wywrotową, międzystanową kradzież samochodów, ucieczki z więzień oraz łamanie prawa w rezerwach Indian. Jeden z pisarzy nazwał ją „agencją detektywistyczną od dziwnych zadań, o rozmytych granicach władzy i odpowiedzialności”. Agenci Hoovera nie mieli uprawnień do dokonywania aresztowań; jeśli chcieli zrobić obławę, musieli brać ze sobą miejscowych policjantów. Nie nosili też broni - wynikało to nie z prawa, lecz z przyjętej zasady działania, jako że Hoover wzorował się na Scotland Yardzie. Jego ludzie byli śledczymi, nie policjantami. Jego doradcy używali określenia „poszukiwacze

faktów”.

Biuro miało paskudną przeszłość. Utworzone w 1908 roku w celu zbadania sprawy pogwałcenia ustawy antytrustowej, w ciągu następnych piętnastu lat stało się siedliskiem nepotyzmu i korupcji. We wczesnych latach dwudziestych jego agenci, rozsiani po pięćdziesięciu biurach krajowych, zatrudniani byli głównie na polecenie różnych polityków. Spośród pracujących tam ludzi największą niesławą okrył się niejaki Gaston Means, który szantażował kongresmanów, sprzedawał przemytnikom licencje na alkohol i handlował prezydenckimi ułaskawieniami. W następstwie dochodzenia przeprowadzonego przez Kongres w połowie lat dwudziestych Biuro otrzymało złośliwy przydomek „departamentu łatwych cnót”.

W dniu, kiedy powołano go w roku 1924 na stanowisko, żeby wprowadził porządek w Biurze, Hoover był spokojnym dwudziesto-dziewięcioletnim prawnikiem w służbie rządowej, nadal mieszkającym z kochającą matką w domu, w którym się wychował, piętrowym budynku z gzymsami przy Steward Square w sąsiedztwie Wzgórza Kapitołskiego w Waszyngtonie. Jako chłopiec jękał się, ale przewyciężył tę ułomność, ucząc się szybko mówić, tak szybko, że niejedna stenotypistka nie mogła za nim nadążyć. Schudny, uważny i zdyscyplinowany, dorastał w otoczeniu urzędników państwowych na łonie waszyngtońskiej biurokracji. Raczej nie było wątpliwości, że idąc śladem ojca, kreślarza w U.S. Coast and Geodetic Survey (instytucji przygotowującej mapy), zwiąże swą zawodową przyszłość z rządem. Studiował wieczorowo w Wyższej Szkole Prawa im. Jerzego Waszyngtona, gdzie należał do bractwa Kappa Alfa; w dzień pracował jako goniec w dziale zamówień Biblioteki Kongresu. W 1916 uzyskał tytuł bakałarza, a rok później magisterium z prawa i w tym samym roku został przyjęty do stowarzyszenia prawników Dystryktu Kolumbia.

W lipcu 1917 podjął pracę jako urzędnik w Departamencie Sprawiedliwości. Wielu z pracujących tam młodych obiecujących prawników odeszło, by wstąpić do wojska. Hoover, zawsze nienagannie ubrany i diabelnie pedantyczny, wyróżniał się i w ciągu pierwszych sześciu miesięcy dwukrotnie go awansowano. Zaczął pracować w wydziale do spraw rejestracji cudzoziemców i szybko piął się w górę; w 1919 roku, w wieku 24 lat, był już szefem nowo utworzonego General Intelligence Division, zajmującego się prześladowaniem radykałów związkowych, anarchistów i komunistów. Został wysoko oceniony (i poproszony o pierwszy wywiad dla „New York Timesa”) jako inicjator i organizator przeprowadzonych w styczniu 1920, jednocześnie w trzydziestu trzech miastach, ataków na komunistów, które doprowadziły do aresztowania ponad trzech tysięcy osób. W sierpniu 1921 otrzymał nowe stanowisko, o które usilnie zabiegał - zastępcy dyrektora Biura Śledczego.

Po zbadaniu przez Senat działalności Biura w 1924 jego szef złożył dymisję i został postawiony w stan oskarżenia, podobnie jak prokurator generalny. Nowy prokurator generalny, Harlan Fiske Stone, nie wiedział, co zrobić z Biurem. Sporządzał odręczne notatki na temat swojego problemu: „pełne ludzi o złych notowaniach... wielu skazanych za różne przestępstwa... ogólne bezprawie... agenci stosują brutalne praktyki i zachowują się jak tyrani”². Stone nie miał pojęcia, kto mógłby zreformować tego rodzaju instytucję. Jeden ze znajomych podsunął mu kandydaturę Hoovera. Hoover był młody, ale uczciwy i pracowity. Stone zasięgnął języka, spodobało mu się to, co usłyszał, i 10 maja 1924 roku wezwał Hoovera do siebie, żeby powierzyć mu tymczasowo kierowanie Biurem.

Pierwszym i najważniejszym celem, jaki wyznaczył sobie Hoover, było przekształcenie zespołu agentów terenowych (których w 1929 roku było 339). Miał jasną wizję: chciał zatrudniać młodych, energicznych białych mężczyzn pomiędzy dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, z wykształceniem prawniczym, schludnych, wygadanych, bystrych i pochodzących z porządnych rodzin, czyli takich jak on. I to mu się udało. Dosłownie w kilka tygodni pozbył się zbędnego balastu, skończył z protekcją i ustanowił merytokrację. Kandydatów oceniano pod kątem „ogólnej inteligencji”, „zachowania podczas rozmowy o pracę” oraz „prezencji osobistej”. Ta ostatnia mogła być: „schludna”, „krzykliwa”, „nędzna” lub „nieporządna”.

Hoover sprawował władzę absolutną. Podwładni się go bali. W placówkach terenowych pojawiały się bez uprzedzenia zespoły kontrolne, spisujące każdego, kto spóźnił się do pracy choćby minutę. Hoover nie tolerował lenistwa, niechlujstwa ani żadnych odstępstw od nowych zasad, które wprowadzano do każdego biura w terenie, dowodzonego przez szefa agentów specjalnych, SAC (w 1929 było ich dwudziestu pięciu). Najmniejsze naruszenie przepisów mogło skutkować utratą pracy; kiedy SAC z Denver zaproponował gościowi coś do picia, został wyrzucony.

- Chcę, żeby opinia publiczna postrzegала Biuro Śledcze i Departament Sprawiedliwości jako grupę dżentelmenów - oświadczył Hoover publicznie w 1929 roku. - A jeśli zatrudnieni tam ludzie nie będą potrafili temu sprostać, to ich pozwalam.

Ci, którzy sprostali i zostali zatrudnieni przez Hoovera, byli do siebie podobni. Wielu z nich pochodziło z Południa. Wielu ukończyło tę samą uczelnię co Hoover - Wyższą Szkołę Prawa im. Jerzego Waszyngtona - i należało do bractwa Kappa Alfa. Pomarszczony zastępca Hoovera, jego prawa ręka, Herold „Pop” Nathan, administrator Biura do 1917 roku, był członkiem Kappa Alfa; przez lata był też jedynym Żydem w Biurze. Przyjeżdżający do stolicy agenci czasami zatrzymywali się w budynku należącym do bractwa Kappa. Właśnie

tam został zatrudniony Hugh Clegg, układny młody prawnik z Missisipi, który miał w przyszłości zostać zastępcą dyrektora FBI. Jak wszyscy nowi, Clegg w ciągu pierwszych paru miesięcy przeszedł przez kilka placówek terenowych. Wielu świeżo zatrudnionych agentów po raz pierwszy w terenie spotkało się z wrogością policji, która postrzegała ludzi Hoovera jako nieuzbrojonych, nieudolnych dyletantów wdzierających się na jej terytorium. Policjanci nazywali ich pogardliwie „chłopcami z koledżów”.

Mieli swoje powody do niechęci. W nowym Biurze Hoovera prezencję, lojalność i ciężką pracę ceniono bardziej niż doświadczenie w służbie egzekwowania prawa. Hoover zdawał sobie sprawę, że niewielu z jego podwładnych w ogóle ma jakiegokolwiek doświadczenie w tej dziedzinie; w Biurze mówiło się, że oczekiwał od swoich ludzi „młodości i wdzięczności”. Mimo iż publicznie deklarował, że wszyscy jego agenci mają dyplomy prawnicze, po cichu zatrzymał też kilku ludzi bez takiego wykształcenia, głównie byłych stróżów prawa z Południowego Zachodu. Ci „kowboje” stanowili odrębny gatunek; żuli tytoń, pili i spluwali, co Hoover ignorował. Wiedzieli, jak prowadzić dochodzenie, i tym się głównie zajmowali. Wbrew rozporządzeniom panującym w Biurze kilku z nich nosiło broń: w Waszyngtonie John Keith miał dwa kolty kalibru.45, w Dallas Charles Winstead używał.357 magnum, a w Chicago należący wcześniej do Teras Rangers James C. „Doc” White nie rozstawał się z nożem ukrytym w cholewce buta i koltem z rękojeścią z kości słoniowej. W pierwszych latach kariery Hoovera agentami przydzielanymi do prowadzenia kluczowych spraw byli dwaj „kowboje”-weterani: Gus T. Jones, SAC z San Antonio, i starszy brat Doca White’a, Thomas White, dawny ranger, SAC z Oklahoma City.

Reorganizacja wprowadzona przez Hoovera całkowicie zmieniła oblicze Biura. Nieproduktywne placówki terenowe zostały zamknięte. Ograniczono biurokrację. Ustalono hierarchię dowodzenia. Uproszczono niezbędną pracę papierkową. Po pół roku Biuro było na najlepszej drodze, by stać się wzorem nowoczesnej i skutecznej w działaniu instytucji rządowej. Z tytułu Hoovera usunięto określenie „tymczasowy”. A kiedy Biuro zostało już na nowo zorganizowane, należało znaleźć jego agentom coś do roboty. Przez pierwsze sześć lat rządów Hoovera jego ludzie prowadzili śledztwo w sprawie korupcji w więzieniu federalnym w Atlancie oraz badali przypadki morderstw i kradzieży praw do wydobywania ropy naftowej na ziemiach Indian w Oklahomie. Sprawy te należały do mniej ważnych i wszystkimi kierowali „kowboje”. Tom White zajmował się dochodzeniami w Atlancie i Oklahomie. Kiedy White został naczelnikiem więzienia w Leavenworth w 1927, Hoover wezwał Gusa Jonesa, żeby nadzorował nieudaną próbę schwytania grupy groźnych uciekinierów.

We wszystkich tych sprawach ludzie Hoovera wykonywali całą robotę

dochodzeniową, ale odsuwali się na bok, kiedy przychodził czas na aresztowanie winnych, co czasami narażało ich na kpiny ze strony policji.

- Pamiętam, jak wzywałem policję, kiedy poszukiwany zbieg był w tym i tym miejscu - wspominał Hugh Clegg. - Policjant mówił do mnie: „Osłaniaj tyły, a ja wejdę od frontu. Ty nie masz broni, więc ja wejdę do środka”. Stałem przy tylnym wyjściu z domu, trzymając w ręce jedynie kawałek cegły, z nadzieją że zbieg nie wyjdzie akurat tędy... Gdyby wyszedł i strzelił, nie miałem jak się bronić, żadnej broni, żadnej skutecznej broni, byłem całkowicie zdany na jego łaskę³.

Hoover pełnił funkcję czysto administracyjną. Rzadko opuszczał Waszyngton, gdzie pracował w gabinecie umeblowanym cennymi chińskimi antykami. Wiosną 1933 roku, mimo iż uważał się za narodowego eksperta od egzekwowania prawa, osobiście nie dokonał żadnego aresztowania. Agenci prowadzili śledztwa, a Hoover zaglądał im przez ramię i czynił uwagi na temat wszystkiego, co mu się nie podobało. A zarówno on, jak i Pop Nathan potrafił być zabójczy w ocenach. Obaj wiedzieli, że mają niewielu kompetentnych ludzi. „Według mnie kłopoty z wieloma naszymi placówkami w terenie biorą się stąd, że tamtejsi szefowie agentów są trochę ociężały umysłowo - pisał Nathan w notatce służbowej do Hoovera w czerwcu 1932. - Wolno im idzie myślenie”⁴.

Jak każdy dobry urzędnik państwowy, Hoover dbał o to, by wszyscy wiedzieli, że świetnie sobie radzi. Wygłaszał mowy i od czasu do czasu udzielał wywiadów prasowych, kładąc nacisk na praworządność Biura i stosowane w nim „podejście naukowe”, czyli opieranie się w dochodzeniu na odciskach palców i analizie materiału dowodowego. Nie cała prasa słuchała go życzliwie. W 1933 roku w czasopiśmie „Collie” ukazał się artykuł opisujący Biuro jako „prywatną polityczną maszynę” Hoovera. „Hoover, bardziej nieprzystępny od samego prezydenta, utrzymuje swoich agentów w strachu, zwalniając ich i przenosząc według własnego widzimisię. W żadnej innej agencji rządowej nie zdarzała się dotąd taka rotacja personelu”. „Collie” pierwszy zwrócił uwagę na achillesową piętę Hoovera, czyli plotki na temat jego orientacji seksualnej. „Z wyglądu pan Hoover bynajmniej nie przypomina typowego książkowego detektywa - pisano. - Ubiera się z pieczołowitą starannością, dobierając do stalowoniebieskiego krawata chusteczkę i skarpetki w tym samym kolorze... Jest niski, tęgi, wygląda jak biznesmen i zabawnie drepcze”.

Po ośmiu latach zajmowania się drobnymi przestępstwami Hoover po raz pierwszy miał okazję wystąpić na narodowej scenie w czerwcu 1932 roku, wraz z wprowadzeniem prawa Lindbergha, trzy miesiące po porwaniu (i późniejszym zamordowaniu) małego synka Charlesa Lindbergha w Hopewell w stanie New Jersey. Zgodnie z nowym prawem porwanie

było przestępstwem federalnym, jednak tylko wówczas, gdy porywacz lub jego ofiara przekroczyli granice stanu. Sprawa Lindbergha dała początek całej serii podobnych przestępstw w 1932 roku, lecz ku rozczarowaniu Hoovera, żadne z dochodzeń nie przypadło jego ludziom.

Jednak kiedy w świecie przestępczym rozeszła się wieść o możliwości uzyskania ogromnego okupu, zaczęła się prawdziwa plaga porwań. Rok 1933 przyniósł dwadzieścia siedem poważnych przypadków - ponad dwa razy więcej, niż odnotowano któregokolwiek wcześniejszego roku. Było ich tyle, że „New York Times” zaczął o nich pisać w stałej kolumnie. Zaczynając od uprowadzenia milionera Charlesa Boetschera II z Denver w lutym, agenci FBI rzucili się do rozpracowywania przypadków porwań kilku równie ważnych osób, po raz pierwszy zajmując się sprawami, które interesowały opinię publiczną.

Kiedy wiosną tego samego roku Roosevelt obejmował urząd, w całym kraju pisano o porwaniach na pierwszych stronach gazet. Ponieważ wszyscy mieli żywo w pamięci falę przestępczości z lat dwudziestych, której symbolem był Al Capone, prasowe doniesienia o porwaniach podsyły debatę o konieczności utworzenia federalnych sił policyjnych. Po jednej stronie stali reformatorzy, uważający, że policja miejska, zbyt często skorumpowana i nieudolna, nie jest w stanie uporać się z coraz bardziej mobilnymi kryminalistami, którzy równie łatwo przekraczają granice stanów jak pęknięcie w chodniku, po drugiej - władze miast posiadające potężną władzę, zazdrosne o swój teren, popierane przez kongresmanów, którzy postrzegali utworzenie policji federalnej jako pierwszy krok do powstania amerykańskiego gestapo. Antyfederalizm nadal mocno się trzymał w Ameryce. W niektórych częściach kraju, zwłaszcza na Południu i Środkowym Zachodzie, istniała głęboka nieufność wobec Waszyngtonu, w dodatku narastająca, jako że obywatele zaczęli winić polityków za kryzys ekonomiczny. Debata jeszcze się ożywiła po wyborze Roosevelta na prezydenta. Jego doradcy domagali się silnej władzy centralnej, która mogłaby rozruszać gospodarkę, przejmując kontrolę nad wieloma dziedzinami zarządzanymi do tej pory przez władze stanowe i miejskie, między innymi nad systemem egzekwowania prawa.

W ciągu pierwszych stu dni prezydentury Roosevelta, słynnych z tego, że do Kongresu trafiło wówczas wiele ustaw związanych z wprowadzeniem polityki Nowego Ładu, najgłośniej domagał się utworzenia federalnych sił policyjnych doradca Roosevelta Louis Howe. Prokurator generalny wybrany na miejsce Thomasa Walsh, prawnik z Connecticut Homer S. Cummings, wyrażał podobne poglądy, co bynajmniej nie było zaskakujące. Tamtej wiosny Howe i Cummings zaczęli się wspólnie zastanawiać, jak najlepiej zreformować Departament Sprawiedliwości i jaką rolę miałby ewentualnie pełnić w federalnym systemie

policyjnym.

Dla Hoovera wybór Roosevelta oznaczał być albo nie być. Z kilku ekspertów, których to w ogóle obchodziło, większość uważała, że Hoover zostanie zwolniony. Gdyby żył senator Walsh, niemal na pewno tak by się stało. Hoover dostrzegał jednak dla siebie szansę, choć niewielką - gdyby mu się udało przekonać Biały Dom o tym, że jest cenny, jego małe biuro mogłoby się stać załącznikiem federalnych sił policyjnych. Kilku jego rządowych konkurentów miało podobny pomysł, zwłaszcza Elmer Irey, szef agresywnego działu śledczego skarbowki, który mógł się pochwalić doprowadzeniem do upadku Ala Capone w 1931 roku.

Tamtej wiosny Hoover przeprowadził energiczną kampanię lobbin-gową, żeby zachować posadę i zdobyć widoki na coś więcej. Szefom placówek terenowych nakazano uzyskać listy polecające od wpływowych polityków. Dawny przełożony Hoovera Harlan Fiske Stone, w tym czasie sędzia Sądu Najwyższego, poparł go w liście do sędziego Feliksa Frankfurtera, który kontaktował się z Rooseveltem. Niemniej jednak było też wielu zdecydowanie niechętnych Hooverowi. Jeden z doradców Roosevelta pisał później: „Różni politycy wywierali nacisk na Roosevelta, żeby zastąpił Hoovera tym czy tamtym szefem policji, podsuwając ludzi, których uważali za bardziej pobłażliwych w sprawie zatrudniania poleconych osób”⁵.

Przez całą wiosnę ważyła się przyszłość Hoovera. Tylko cynik wytykałby to, co oczywiste. Hoover potrzebował jakiegoś spektakularnego osiągnięcia, czegoś, co wyniesie go na czołówki gazet, sprawy, która zwróci uwagę opinii publicznej na niego i przekształcone przez niego Biuro. I wkrótce miał to dostać, tyle że od grupy przestępców, których działalność absolutnie nie podlegała ściganiu przez FBI: bandytów rabujących banki.

Pierwszy opisany napad na bank w USA - właściwie było to nocne włamanie - zdarzył się w 1831 roku, kiedy Edward Smith zakradł się do jednego z banków na Wall Street i wyniósł stamtąd 245 000 dolarów. Został złapany i wysłany na pięć lat do Sing Sing. Pomysłowość Smitha zaowocowała postępowaniem w zabezpieczeniu amerykańskich banków - wprowadzeniem sejfów w 1834. Do czasu wojny secesyjnej zbrojne napady na banki były prawie nieznanne. Podczas wojny konfederatom zdarzyło się obrabować kilka banków na Północy, ale pierwszy znany rabunek dokonany przez osobę cywilną nastąpił 15 grudnia 1863 roku; Edward Green, furiant, wtargnął do banku w Malden w stanie Massachusetts, strzelił bankierowi w głowę, po czym zgarnął 5000 dolarów. Za swoje miejsce w historii Green zapłacił drogo - w 1866 został powieszony.

Pierwszy zaplanowany napad na bank w czasie pokoju miał miejsce w roku 1866 w Liberty w stanie Missouri. Dokonała go banda obdar-tusów, bez zajęcia po kapitulacji armii

konfederatów, kierowana przez braci Franka i Jesse'ego Jamesów. Seria napadów w wykonaniu gangu Jamesów, która nastąpiła w ciągu następnych piętnastu lat, opisywana w tonie podziwu przez prasę, spowodowała pojawienie się na Zachodzie wielu naśladowców, między innymi braci Dalton, Billa Doolina oraz gangu Hole in the Wall Butcha Cassidy'ego i Sundance'a Kida. Gdy tron gangu Cassidy'ego przeniósł się w 1901 roku do Ameryki Południowej i skurczyła się zachodnia granica, napady na banki przestały budzić powszechne zainteresowanie. Nadal zdarzały się rabunki, ale żaden ze sprawców nie zyskał szerokiej popularności i choć nie można do końca wierzyć statystykom, liczba zbrojnych napadów prawdopodobnie spadła w latach przed pierwszą wojną światową.

Tuż po wojnie także nie było znaczącego wzrostu. Do połowy lat dwudziestych większość ambitnych złodziei wolała nocne włamania do banków. Przykładem może tu być gang Newtonów, czterech braci z Teksasu, którzy w latach 1919-24 obrabowali dziesiątki banków na Środkowym Zachodzie. Stosowali taką samą taktykę jak inni włamywacze w kraju: wdzierali się do banku nocą, przy użyciu nitrogliceryny wysadzali drzwi sejfów i na ogół znikali, zanim szeryf był w stanie uruchomić pościg. Ta strategia doskonale się sprawdzała do połowy lat dwudziestych, kiedy banki wprowadziły wzmocnione sejfy i alarmy. Wówczas Newtonowie i im podobni zmuszeni byli zacząć rabować w świetle dnia. Ich największe uderzenie, kradzież 2 milionów dolarów z pociągu pocztowego w Roundout w stanie Illinois, niedaleko Chicago, uznano za napad dziesięciolecia. *

Kiedy rząd federalny nagle znalazł się w stanie otwartej wojny z grupami ciężko uzbrojonych bandytów napadających na banki w 1934, wielu zadawało sobie pytanie dlaczego. Najczęściej jako powód wymieniano Wielki Kryzys. Do pewnego stopnia była to prawda: wielu z tych, co rabowali banki, było bezrobotnymi desperatami. Jednak obarczając kryzys winą za wielką falę przestępczości z lat 1933-34, pomija się fakt, że okres pomiędzy rokiem 1925 i 1932 stanowił złoty wiek dla amerykańskich złodziei bankowych, zwanych przez prasę kasiarzami. Liczba rabunków w tzw. korytarzu zbrodni, ciągnącym się od Teksasu do Minnesoty, rosła w zastraszającym tempie. Pomiędzy 1920 i 1929 towarzystwo ubezpieczeniowe Travelers Insurance Company donosiło, że liczba przestępstw przeciw mieniu - od napadów na banki po kradzieże w sklepach dokonywane z użyciem broni - podskoczyła z 17 do 965 rocznie w Dallas, z 30 do 300 w Gary w Indianie i z 9 do 836 w Saginaw w stanie Michigan⁶. Przemoc, za sprawą której ludzie tacy jak John Dillinger stali się sławni w 1934 roku, nie była początkiem fali przestępczości, była jej końcem.

Wzrost liczby napadów na banki był wynikiem faktu, że technika wyprzedziła system prawny. Szybsza, potężniejsza broń, zwłaszcza pistolet maszynowy Thompsona, wyrzucający

800 kul na minutę, wprowadzony po pierwszej wojnie światowej, dał bandytom przewagę nad większością policjantów. Najistotniejszą rolę odgrywały jednakże automobile, szczególnie zaś nowe modele z niezawodnymi ośmio-cylindrowymi silnikami. Nowoczesny rabuś mógł odjechać w siną dal, podczas gdy szeryf z prowincji odpalał ręcznie swojego starego forda Model A. Wprawdzie to Francuz jako pierwszy uciekł samochodem z obrabowanego banku w 1915, ale jednym z pierwszych, który tego próbował, był podstarzały kasiarz z Oklahomy, niejaki Henry Starr; poruszając się autem marki Nash, napadł na bank w Harrison w stanie Arkansas w roku 1921. Nic nie mogło zatrzymać postępu.

„Siedemdziesiąt pięć procent przestępstw jest obecnie popełnianych z pomocą automobilu - zauważał jeden z autorów rubryki kryminalnej w 1924 roku. Automobile i dobre drogi bardzo się przyczyniły do rozwoju pewnych rodzajów bandytyzmu. Mamy obecnie ściśle określony typ przestępcy, zwany bandytą automobilowym, który posługuje się pojazdem mechanicznym niezależnie od tego, czy napada na bank, rabuje przechodniów, czy ogołaca domy”⁷.

Stróże prawa byli bezsilni. Zmotoryzowani przestępcy swobodnie przekraczali stanowe granice, zwłaszcza w niesławnym regionie składającym się z trzech stanów: Missouri, Oklahomy i Kansas, przyciągającym bandytów niczym magnes. Rząd federalny stróżom prawa nie pomagał - rabowanie banków nie było jeszcze wówczas przestępstwem federalnym. Współpraca między poszczególnymi wydziałami policji należała do rzadkości; tylko kilka stanów wprowadziło system umożliwiający skoordynowane działania policyjne na terenie całego terytorium stanu, a te, które wprowadziły, rzadko dysponowały odpowiednimi środkami, żeby sobie radzić z poważnymi przypadkami. Na Środkowym Zachodzie powstawały oddziały straży obywatelskiej, nie miały jednak większego znaczenia. Jeśli kasiarzowi udało się obrabować bank i uciec, istniała mała szansa, by kiedykolwiek został schwytany.

Wszystko to sprawiało, że napady na banki stały się atrakcyjne dla mieszkańców Środkowego Zachodu, wystawionych na coraz więcej pokus. W latach dwudziestych masowo produkowane dobra, takie jak ubrania, pralki i radioodbiorniki, zaczęły być powszechnie dostępne. Jednak z powodu suszy i spowodowanego nią spadku dochodów z rolnictwa mniej obywateli mogło sobie na nie pozwolić. Jeden napad na bank mógł odmienić życie ubożego farmera. W czasach, gdy przeciętny roczny dochód gospodarstwa w Oklahomie czy Missouri wynosił niespełna 500 dolarów, bandyci okradający banki mogli zdobyć 10 000, poświęcając na to jeden poranek.

Bracia Newtonowie byli typowym przykładem popełniających błędy amatorów,

którzy zapoczątkowali epokę przestępczości zmotoryzowanej; zostali aresztowani po napadzie na pociąg w Roundout w Illinois. Wprowadzenie nowego poziomu profesjonalizmu do napadów na banki przypisuje się Hermanowi K. Lammowi, niemieckiemu emigrantowi znanemu jako „Baron”. Urodzony w 1880 Lamm jest postacią niemal mityczną; niektórzy uważają, że rozpoczął swą karierę jako członek gangu Butcha Cassidy’ego i Sundance’a Kida. Na pewno wiadomo tylko tyle, że około 1917 roku, siedząc w więzieniu w Utah, opracował drobiazgowy system rabowania banków. To on wprowadził „obczajanie” banków, obserwowanie strażników, alarmów i kasjerów; na bank używano określenia *jug*, a na eksperta od „obczajania” - *jug marker*. Każdy członek gangu Lammy odgrywał wcześniej ustaloną rolę w napadzie: stał na czatach, prowadził samochód podczas ucieczki, działał w głównej sali, w skarbcu.

Najważniejszą innowacją przypisywaną Lammowi jest jednak szczegółowy plan ucieczki. Wybrawszy bank, Lamm sporządzał mapę okolicznych bocznych ulic, nazywanych „kocimi drogami”, w obrębie piętnastu kilometrów, zaznaczając każdy charakterystyczny punkt i używając stopera do zmierzenia czasu potrzebnego, by pokonać określoną odległość. Obrabować bank mógł praktycznie każdy nastolatek z wiatrówką, prawdziwym wyzwaniem była ucieczka z miejsca przestępstwa. Dokładne mapy Lammy, przypięte do deski rozdzielczej samochodu, pozwalały sprawnie i bez kluczenia uciec. Jego gang dokonywał w latach dwudziestych dziesiątków napadów, aż do 1930, kiedy to Lamm został śmiertelnie postrzelony nieopodal Clinton w Indianie. Do tego czasu wynaleziony przez niego system znalazł wielu naśladowców; dwóch jego ludzi nauczyło tego sposobu działania pewnego więźnia z Indiany, Johna Dillingera.

Pośród kompanów Barona Lammy było trzech starszych mężczyzn, którzy mieli znaczący wpływ na wielu kasiarzy dobrze znanych w latach 1933-34. Jednym był Eddie Bentz, urodzony w Seattle, ale prowadzący koczowniczy tryb życia bandyta napadający na banki i jednocześnie wielbiciel książek; uważał się za intelektualistę. Bentz, mentor zarówno Machinę Gun Kelly’ego, jak i Baby Face Nelsona, podróżował ze skrzynią klasyki i czasami można było zobaczyć, jak w wolnych chwilach wertuje „Wędrowkę pielgrzyma”.

Innym godnym uwagi kasiarzem epoki jazzu był Harvey Bailey, dawny bootleger, tak szarmancki, że zakładniczki pakowane do samochodów, którymi uciekał, nazywał hostessami. Bailey był mózgiem najśłynniejszego napadu z lat dwudziestych - na obładowanych gotówką posłańców przed mennicą w Denver w 1922 roku. Tak się obłowił, że na pewien czas zaprzestał działalności przestępczej. Otworzył sieć stacji benzynowych i myjni samochodowych w południowej części Chicago, ale w 1929 stracił prawie wszystko na

skutek krachu na giełdzie. Podjąwszy na nowo kryminalną działalność z bazy w St. Paul, szkolił kilku młodych bandytów, którzy zbierali się w owianej złą sławą tawernie Zielona Latarnia, między innymi Machinę Gun Kelly'ego, Alvina Karpisa i braci Barkerów. Aresztowany na polu golfowym w Kansas City w 1932, 31 maja 1933 poprowadził wielką ucieczkę z więzienia i znów rabował banki.

Ostatnim z wielkich kasiarzy epoki jazzu był człowiek, którego przeszmygowana broń pozwoliła Baileyowi uciec z więzienia, jego przyjaciel Frank „Jelly” Nash. Nash, zażywny mężczyzna z komicznym tupecikiem, który zaczynał karierę, napadając konno na pociągi w rodzinnej Oklahomie, był uciekinierem z Leavenworth; on również działał w rejonie St. Paul, rabując banki wspólnie z Baileyem i gangiem Barkerów.

Wszyscy trzej - Eddie Bentz, Harvey Bailey i Frank Nash - odegrali znaczącą rolę w wielkiej fali przestępczości z lat 1933-34. To Nash przez przypadek wzniecił wojnę z FBI J. Edgara Hoovera. Bezpośrednim jej powodem nie był napad na bank ani porwanie ważnej osoby, lecz niewinne pragnienie spokojnych wakacji w Arkansas.

2

MASAKRADOKONANA PRZEZ NIEZNANYCH SPRAWCÓW

8-17 czerwca 1933

Z punktu widzenia dziennikarza czerwiec zaczął się spokojnie. W Waszyngtonie senatorowie debatowali nad projektem przygotowanej przez administrację Roosevelta ustawy, która miała uzdrowić gospodarkę kraju. Każdego ranka w gazetach ukazywały się niepokojące wieści o sytuacji w Niemczech: 6 czerwca na mocy przepisu o obywatelach nieryjskiego pochodzenia Żyd Otto Klemperer został pozbawiony funkcji dyrygenta Opery Berlińskiej. W Indiach Mahatma Gandhi głodował, żeby zaprotestować przeciwko złemu traktowaniu kasty nietykalnych. Przez cały tydzień czytelnicy „New York Timesa” śledzili codzienne doniesienia o próbie pobicia rekordu prędkości przez oblatującego kulę ziemską pilota z Teksasu Jamesa Matterna; tego dnia przelatywał nad Syberią. W Chicago wichur wymieszany z kurzem z równin łamał drzewa i niszczył linie elektryczne, zmuszając tysiące ludzi zebranych na nowo otwartej Wystawie Światowej do szukania schronienia.

Wieczorem w czwartek 8 czerwca 1933 nauczyciel z Oklahomy Joe Hudiberg skończył grać w pokera w kuchni swojego pomalowanego na biało domu na przedmieściach Cromwell. Wyszedł przed dom, przeciągnął się. Kiedy znajomi, z którymi grał, powiadali do swoich aut, wolno podszedł do garażu i zamknął drzwi na kłódkę.

W środku znajdował się cenny czarny pontiac Hudiberga oraz Pretty Boy Floyd, który przyszedł go ukraść. Floyd zaklął w ciemności. Od miesięcy prześladował go pech. Charley Floyd - gazety nazwały go Pretty Boy - miał tamtego letniego wieczoru 29 lat. Miał 177 cm wzrostu, potężne bary, nalaną, okrągłą twarz i szare oczy. Był podobny do młodego Babę Rutha, słynnego baseballisty. Włosy nosił zaczesane gładko do tyłu z przedziałką po lewej stronie, natarte brylantyną o zapachu bzu.

Spośród wszystkich przestępców, którzy stali się znani w latach 1933-34, jedynie Floyd był już sławny, przynajmniej w Oklahomie, gdzie uchodził za bohatera wśród legionów zawiedzionych życiem ofiar burz piaskowych. Wszyscy znali jego historię. Syn porządnych rodziców obijał się na farmie w rodzinnym Akins, zajmując się do żniw i od czasu do czasu kradnąc, dopóki nie obrabował sklepu Krogera w St. Louis w 1925, za co został wysłany z pięcioletnim wyrokiem do więzienia w Missouri. Zwolniony warunkowo w 1930, przeniósł się do Kansas City i próbował żyć uczciwie, ale był nieustannie nękanym przez policję, co obudziło w nim głębokie poczucie krzywdy. Dogadawszy się z kilkoma towarzyszami odsiadki, zmienił miejsce zamieszkania na Ohio, lecz został aresztowany po napadzie na bank. Wskoczył przez okno pociągu, kiedy go przewożono do więzienia, i uciekł do Oklahomy.

Jesienią 1931 zaczął rabować wiejskie banki, zyskując tym pierwsze wzmianki o sobie w miejscowych gazetach. Jednak na pierwsze strony wyniosło go przestępstwo, w którym nie brał udziału. 2 stycznia 1932 dwóch byłych skazanych zorganizowało zasadzkę i zabiło sześciu stróżów prawa w strzelaninie nieopodal Springfield w stanie Missouri; była to największa tego rodzaju masakra w historii Ameryki. W doniesieniach Associated Press znalazły się sugestie, że Floyd był zamieszany w tę sprawę, a gazety z Oklahomy skwapliwie je podchwyciły.

To była iskra, która rozpałała legendę Floyda. „Muskogee Daily Phoenix” pisał o nim, że „dołączył do grona »złych ludzi«, zabijając 11 osób, samych stróżów prawa. Wyczyny Billy’ego Kida błędą w porównaniu z zimnym, metodycznym zabijaniem w wykonaniu jasnowłosego Pretty Boy Floyda, który wprowadził pistolety maszynowe i kamizelki kuloodporne do wyposażenia bandytów z Oklahomy”. Ta unowocześniona wersja Billy’ego Kida była zbyt pociągająca dla prasy, żeby jej nie wykorzystać. W styczniu 1932 roku Floydowi przypisano obrabowanie banków w trzech różnych miastach, z czego prawdopodobnie tylko jeden napad rzeczywiście był dokonany przez niego. Nie miało to większego znaczenia. „Daily Oklahoma” nawoływał do zmobilizowania Gwardii Narodowej; 14 stycznia podwojono opłaty za ubezpieczenie wiejskich banków, za co obwiniano

bezpośrednio Floyda. Gubernator William „Alfalfa Bill” Murray ustanowił nagrodę w wysokości 1000 dolarów za jego schwytanie.

Był to klasyczny przypadek hysterii medialnej, szumu, który wpłynął na obraz rzeczywistości, co z kolei doprowadziło do powstania legendy. Każdy ranek tamtej zimy przynosił wiadomość o Floydzie - o obrabowanym banku lub o rzekomym pojawieniu się Floyda, lub spekulacje, gdzie może dokonać następnego napadu. Policja bezskutecznie przeczesywała wschodnią część Oklahomy. Floyd zdawał sobie sprawę z sytuacji i bezczelnie próbował zyskać publiczne poparcie. W liście do gubernatora domagał się zlikwidowania nagrody. „Nie okradałem nikogo poza bogaczami”, pisał, słusznie zakładając, że to wyznanie zaskarbi mu przychyłność wśród wiejskiej społeczności Oklahomy. Sprytnie ustawiał się w pozycji tego, który działa przeciwko interesom bogaczy, przedstawiając gubernatora jako ich obrońcę. W ten sposób wywoływał spór społeczno-ekonomiczny, który musiał wygrać.

Sława Floyda jeszcze wzrosła po tym, jak wyszedł cało z paru strzelanin z policją na ulicach Tulsy. Gubernator Murray powołał specjalnego śledczego Erva Kelleya, żeby go wytropił, a Floyd położył Kelleya trupem podczas nocnej wymiany ognia. Jednak pod koniec roku Floyd zaczęło męczyć ciągle uciekanie. Ukrył się u rodziny i próbował „wycofać się z interesu”, poprzestając na nadzorowaniu grupy bankowych rabusiów kierowanych przez niechlujnego alkoholika Adama Richettiego. Gang Richettiego kiepsko sobie radził i wiosną

1932 Floyd na dobre zrezygnował z rabowania banków, wybierając w zamian pieczenie ciast w kuchniach swoich kuzynów. Dopiero gdy kilku z jego krewnych zostało aresztowanych, zdecydował się opuścić Oklahomę na jakiś czas. Tamtego czwartkowego wieczoru przybył do gospodarstwa Joe Hudiberga, szukając samochodu.

Wracając do domu po zamknięciu kłódki, Hudiberg usłyszał za sobą jakiś hałas. Coś uderzało o drzwi garażu. Kiedy zawrócił, żeby sprawdzić, co się dzieje, czarny pontiac wystrzelił z garażu, rozwalając drewniane drzwi. Oniemiały właściciel patrzył, jak jego auto z rykiem silnika pokonuje podjazd i wjeżdża na drogę. Znajomi Hudiberga podjęli pościg, z góry skazany na niepowodzenie. Wyprzedzający ich znacznie Pretty Boy Floyd skręcił na północ w stronę Kansas City.

Dwa dni po tym, jak Floyd opuścił garaż nauczyciela z Oklahomy, Horace Grisso rankiem szedł ulicą New Carlisle w Ohio, na północ od Dayton. Grisso, księgowy w New Carlisle National Bank, zatrzymał się przed głównym wejściem do banku, wyjął klucz i przekręcił go w zamku. Stukając podszwami butów o marmurową posadzkę, przeszedł w stronę boksów kasowych. Ledwie stanął za kontuarem, wyrosło przed nim trzech ludzi w chusteczkach zakrywających twarze.

- Dobra, koleś, otwieraj sejf - rozkazał dwudziestodziewięcioletni przywódca trójki, który tego dnia rabował swój pierwszy bank.

Nazywał się John Dillinger i zaledwie trzy tygodnie wcześniej został wypuszczony z więzienia stanowego w Indianie. Podobnie jak Floyd, Dillinger był człowiekiem znikąd, jeszcze jednym byłym więźniem rzuconym na pastwę Wielkiego Kryzysu, próbującym jakoś związać koniec z końcem. Szczupły, wzrostu około 174 cm, z krótko obciętymi ciemnymi włosami, typ szeroko uśmiechniętego mędrka-gadudy, odsiedział dziewięć długich lat za napad po pijanemu na sklepikarza w rodzinnym mieście pod Indianapolis. Obiecał ojcu, prostodusznemu farmerowi, że się poprawi, ale tak naprawdę miał swój sekretny plan. Jedynymi jego przyjaciółmi byli ludzie, których poznał w więzieniu, i tego ranka próbował zdobyć odpowiednią ilość pieniędzy, żeby ich stamtąd wydostać.

Horace Grisso sięgnął do szuflady, gdzie znajdowała się bankowa książka szyfrów. Dillinger chwycił go za rękę, po czym pozwolił mu wolno odsunąć szufladę. Grisso podszedł do sejfu i niezdarnie próbował otworzyć zamek. Był zdenerwowany.

- Może sam to rozwalę - odezwał się kilkunastoletni wspólnik Dillingera, William Shaw. - On gra na zwłokę.

Dillinger podniósł rękę.

- Nie spiesz się - powiedział do Grissa.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Dillinger szybko podbiegł i zatrzymał wchodzącą urzędniczkę bankową.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy - powiedział, każąc jej się położyć na podłodze. Następnie chwycił leżący na krześle kitel, uprzejmie jej podścielił, po czym związał jej kablem ręce i stopy.

Tymczasem Grisso otworzył sejf i Shaw wraz z trzecim napastnikiem, nastolatkiem Paulem „Lefty” Parkerem, zaczęli wyciągać ze środka worki z gotówką. Dillinger pozostał przy drzwiach wejściowych, przechwytyjąc jeszcze dwóch przybyłych pracowników.

- Nie powinniście się zjawiać w banku tak wcześnie - napomniął ich z szerokim uśmiechem.

Kilka minut później wraz z dwoma towarzyszami pędził samochodem w stronę Indiany. Policzyli pieniądze; 10 600 dolarów stanowiło całkiem niezły łup. Dillinger nie był jednak zadowolony. Jeszcze tego samego wieczoru zatrzymali się przed drogerią w Indianapolis. Po wejściu do środka Shaw skierował się do kasy głównej, natomiast Dillinger do mniejszej, przy butli z wodą sodową. Wymierzył z pistoletu do trójki pracowników. Kiedy przestraszeni wbili wzrok w jego twarz, krzyknął:

- Patrzcie w inną stronę!

Pracownicy przenieśli spojrzenia na Shawa.

- Nie patrzcie na mnie! - zawołał Shaw, na co pracownicy znów popatrzyli na Dillingera.

- Mówiłem, żebyście nie patrzyli na mnie! - przypomniał im Dillinger.

Chwilę później obaj napastnicy, z gotówką z kasy w rękach, wycofali się i odkryli, że Lefty Parker zaparkował równolegle do krawężnika, wciskając się między dwa inne samochody. Parker musiał kilka razy uderzyć w ten z przodu i w ten z tyłu, zanim wreszcie udało mu się wyjechać. Dillinger, kipiąc złością, wyjaśnił młodemu Parkerowi, jak się parkuje auto służące do ucieczki z miejsca przestępstwa.

Noc jednak jeszcze się nie skończyła. Pół godziny później Dillinger wskazał Parkerowi, gdzie ma zaparkować przed supermarketem City Food. Ten rabunek był pomysłem Shawa. Shaw nie wspominał tylko Dillingerowi, że już kiedyś okradł ten sklep. Gdy we dwóch weszli do środka z wyciągniętą bronią, kierownik zwiesił głowę.

- Znów tu są - powiedział. Dillinger spojrzał pytająco na Shawa. - Przez was firma zaczęła odbierać gotówkę - wyjaśnił kierownik. - A ten, co zbiera, właśnie odjechał.

W kasie nie było pieniędzy. Dillinger sztywnym krokiem opuścił sklep. Shaw został chwilę dłużej, żeby zgarnąć kilka paczek papierosów. Kiedy Dillinger wśliznął się na tylne siedzenia samochodu, Parker wcisnął gaz, nie czekając na Shawa.

- Stój! Stój! - zawołał Dillinger do kierowcy.

Parker nadepnął na hamulec i zaczął cofać w stronę sklepu; Shaw nadbiegł zdyszany i wskoczył do auta. Parker tak się zdenerwował, że przejechał znak stopu.

- Jeśli nie jesteś w stanie prowadzić, to niech ten dzieciak przejmie kierownicę! - powiedział Dillinger. Odjechali w stronę gospodarstwa ojca Dillingera.

Tak zaczęła się kryminalna kariera człowieka, który miał w ciągu kilku następnych miesięcy zmienić FBI.

Okolice Wellington w Teksasie 10 czerwca, sobota

Tej samej sobotniej nocy, kiedy Dillinger wrócił na farmę ojca, Clyde Barrow i jego dziewczyna Bonnie Parker przemierzali najbardziej na północ wysuniętą część Teksasu, jadąc na spotkanie z bratem Clyde'a Buckiem, umówione na granicy z Oklahomą. Towarzyszył im chłopiec na posyłki Clyde'a, przyszczaty nastolatek z Dallas W.D. Jones. Na pierwszy rzut oka wszyscy troje wyglądali jak dzieci. Clyde miał 23 lata, 174 cm wzrostu i dziecięce rysy. Dwudziestojednoletnia Bonnie mierzyła ledwie półtora metra, ważyła może ze 45

kilogramów, miała blond włosy i niebieskie oczy.

Siedemdziesiąt lat po ich śmierci żaden z przestępców epoki Wielkiego Kryzysu nie tkwi w świadomości Ameryki mocniej niż Bonnie i Clyde - dzięki filmowi z 1967 roku, który przedstawiał Clyde'a jako seksualnie ambiwalentnego niedojrzałego mężczyznę, próbującego sobie poradzić z piękną, ognistą Bonnie. Choć zabawni, filmowi Bonnie i Clyde byli wymysłem scenarzysty, celuloidowym peanem sławiącym młodzieńczą rebelię i sprzeciw wobec władzy autorytarnej, wpisującym się w atmosferę lat sześćdziesiątych. Bohaterowie filmu mieli niewiele wspólnego ze swoimi rzeczywistymi odpowiednikami, leniwymi łazęgami, którzy zamordowali kilkanaście niewinnych osób podczas i pomiędzy napadami.

Prawdziwi Clyde Barrow i Bonnie Parker nie byli ani rebeliantami, ani filozofami. Próżny i niepewny siebie Clyde, złodziej z Dallas, lubił się mizdrzyć; jeden z jego znajomych twierdził, że Clyde był często gwałcony w więzieniu i zrobiłby wszystko, byle tam nie wracać. Bonnie, znudzona kelnerka ze skłonnością do egzaltacji, po nieudanym małżeństwie widziała w Clydzie bilet, który umożliwi jej ucieczkę od nudnego życia. Działalność przestępcza stanowiła dla nich rodzaj zabawy; widać to na zdjęciach, które robili sobie nawzajem, pozując z wielkimi pistoletami i grubymi cygarami. W swoich czasach byli traktowani z pogardą. Ktoś nazwał ich „parą złodziei samochodowych okradających podrzędne stacje benzynowe” i miał rację, ponieważ ówczesni kasiarze weterani zgarniali 50 000 z jednego napadu na bank, podczas gdy największy łup Bonnie i Clyde'a wynosił zaledwie 3800. Okradli znacznie więcej stacji benzynowych i sklepów niż banków.

Pochodzili z Dallas. Zarówno rodzina Barrowów, ledwie utrzymujących się przy życiu farmerów osiadłych na południe od miasta, jak i matka Bonnie, wdowa z zachodniego Teksasu, dołączyli do fali ludności wiejskiej przenoszącej się do miast na Południowym Zachodzie we wczesnych latach dwudziestych. Barrowowie byli tak biedni, że przez jakiś czas mieszkali pod wiaduktem. Później ojciec Clyde'a otworzył składnicę złomu i wybudował niewielki dom w nędznym, niewcielonym do miasta terenie zwanym Bagnem, oddzielonym od centrum rzeką Trinity. Często zalewany, pocięty torami kolejowymi, z powietrzem i wodą skażonymi przez cementownie i odlewnie obszar Bagna stanowił skupisko ubogich domków i szop, dróg bez chodników i zaśmieconych podwórek.

Porzuciwszy szkołę w wieku 16 lat, Clyde został młodocianym złodziejem; wraz ze starszym bratem Ivanem, znanym jako Buck, zakradał się nocą do sklepów. Chłopcy różnili się pod każdym względem. Buck był ospały, niewiele mówił, za to dużo pił, a hałaśliwy i bystry Clyde o rumianych policzkach gadał jak najęty, kochał broń, grał na gitarze i saksofonie. W późniejszych latach policjanci z Dallas przypominali sobie, że zdarzało im się

zatrzymać braci za kradzież złomu; bez wątpienia chłopcy chcieli ulżyć ojcu. Siostra Clyde'a Neli twierdziła, że pierwszy raz zostali aresztowani po tym, jak ukradli indyki z pewnej farmy we wschodniej części Teksasu; przyłapano ich w ciężarówce pełnej drobiu. Buck spędził kilka dni w więzieniu, Clyde'a wypuszczono.

Przez jakiś czas Clyde próbował się imać prostych, lecz uczciwych zajęć: był gońcem, bileterem w kinie, robotnikiem w fabryce luster. Na żadnej posadzie nie wytrzymał jednak długo. Już w wieku 18 lat zaczął dawać do zrozumienia, że należy mu się od życia coś lepszego niż wegetacja na Bagnie. Zmienił nawet swoje drugie imię z Chestnut na Champion, w nadziei że jako „Clyde Champion Barrow” łatwiej osiągnie status, na jaki we własnym przekonaniu zasługiwał. Nie pomogło, nadal był podrzędnym złodziejaszkiem. Lata 1928 i 1929 upłynęły mu na okradaniu wraz z bratem sklepów w północnym

Teksasie, dopóki Buck nie został schwytany w mieście Denton pewnej nocy w wyniku pieszego pościgu.

Clyde poznał Bonnie Parker któregoś styczniowego wieczoru w 1930, kiedy pojawił się w domu w zachodniej części Dallas, gdzie opiekowała się dzieckiem. Ta obdarzona temperamentem i skłonnością do melodramatycznych zachowań dziewczyna poślubiła nastoletniego nieponia, a po rozpadzie małżeństwa popadła w depresję. Była zagorzałą czytelniczką czasopism detektywistycznych oraz tabloidów opisujących życie gwiazd filmowych, a z zapisków w jej pamiętniku wyłania się obraz kobiety rozpaczliwie pragnącej się wyrwać z monotonii kelnerowania i zarobkowego niańczenia dzieci. Któregoś wieczoru w 1928 roku pisała: „Nudno jak zwykle. Nie ma co robić. Nic już nie wiem”. A dzień później: „Nigdzie nie byłam w tym tygodniu. Dlaczego nic się nie dzieje?”¹.

Bonnie i Clyde od razu przypadli sobie do gustu, ale romantyczne uniesienia nie trwały długo. Po kilku dniach policja z Dallas aresztowała Clyde'a za włamanie. Zarzuty upadły, lecz został przewieziony do Waco, gdzie postawiono mu następne. Bonnie, całkiem zblizowana na punkcie Clyde'a i jego przygód z prawem, przeprowadziła się do Waco i zamieszkała u kuzynki. Kiedy jeden z towarzyszy odsiadki powiedział Clyde'owi, że ma w domu pistolet, Clyde namówił Bonnie, żeby przeszmurowała broń do więzienia. Kilka dni później, wykorzystując ów pistolet, Clyde z dwoma innymi skazanymi uciekli. Ruszyli na północ, przez Oklahomę do Missouri, a potem do Indiany, kradnąc po drodze samochody i włamując się do sklepów. Policja wytropiła ich w końcu w Middleton w stanie Ohio i po samochodowym pościgu aresztowała Clyde'a. Odwieziono go z powrotem do Waco, gdzie został skazany na czternaście lat pobytu w więzieniu o zastrzonym rygorze w Huntsville.

Odsiedział zaledwie dwa lata. Bonnie przez kilka miesięcy zasypywała go łzawymi

listami, a potem zaczęła się umawiać z innym mężczyzną, ale kiedy w lutym 1932 Clyde'a wypuszczono, para natychmiast znów się zeszła. Clyde przez jakiś czas unikał konfliktów z prawem, podejmując w Massachusetts pracę w budownictwie, którą załatwiła mu siostra. Jednakże narzekając na samotność, wkrótce powrócił na Bagno i zaczął się kręcić przy warsztacie mechanicznym założonym przez ojca przy głównej drodze, Eagle Ford Road. Minęło zaledwie parę dni, nim policja z Fort Worth aresztowała go, a potem wypuściła. Wrócił do domu wściekły.

- Nigdy więcej nie będę pracował - oświadczył matce. -1 aresztować też się więcej nie dam. Nie mam zamiaru wrócić do tej cholерnej paki. Prędeż umrę. Przysięgam, będą musieli mnie zabić².

Aresztowanie najwidoczniej pogłębiło w Clydzie poczucie, że jest prześladowany. Doszedł do wniosku, że jedyną drogą otwartą dla niego jest przestępczość, policja nie dała mu wyboru. Z kilkoma kompanami znów zaczął się włamywać do sklepów. Podobnie jak przez całą karierę Clyde'a, Bonnie nie brała udziału w tych włamaniach, choć czasami siedziała w samochodzie, którym rabusie uciekali z miejsca przestępstwa. Podczas jednej z takich wypraw, w mieście Kaufman w Teksasie, Clyde'a zaskoczył nocny strażnik, zmuszając go do ucieczki. Kiedy ich auto utknęło na błotnistej drodze, Clyde razem z Bonnie ukradł muła i ruszyli na przełaj. Następnego ranka dogonił ich pościg, ale Clyde'owi udało się wymknąć. Bonnie spędziła w areszcie trzy miesiące, nim ją wypuszczono w lipcu 1932. Pod jej nieobecność przestępstwa popełniane przez Clyde'a stały się bardziej brutalne. Zamordował sklepikarza w Hillsboro w Teksasie, a po uwolnieniu Bonnie zabił szeryfa w Oklahomie.

Momentem, kiedy Bonnie na dobre dołączyła do Clyde'a, był sobotni wieczór 6 sierpnia 1932 roku, kiedy to wspólnik Clyde'a Raymond Hamilton wyprowadził Bonnie z domu jej matki do Clyde'a, przy którym pozostała do końca życia. Wówczas para wprowadziła rytuał, którego przestrzegała przez następne dwa lata: znikali na kilka tygodni, czasem miesięcy, a potem znięcka wracali do Dallas na potajemne spotkanie z rodziną. Te spotkania odbywały się na bocznych drogach w pobliżu Dallas i przebiegały zawsze tak samo. Clyde i Bonnie zawiadamiali o swym przyjeździe, wrzucając butelkę, czasem z wiadomością w środku, na ganek kogoś z krewnych. Ustalono specjalny szyfr; dla Barrowów wzmianka o gotowaniu czerwonej fasoli oznaczała, że spotkanie nastąpi niedługo. Rodziny zjeżdżały się na umówione miejsce o zmierzchu, rozkładano koce na trawie i wszyscy słuchali opowieści Bonnie i Clyde'a o ostatnich wyczynach.

Wędrówki dwojga złodziei nie miały celu ani planu. Clyde po prostu jeździł od stanu do stanu, rabując tu stację benzynową, tam sklep, a czasami nawet bank, kiedy dotkliwie

brakowało im gotówki. Opowieść o ich losach jest ciągiem oderwanych od siebie epizodów, bez żadnej linii przewodniej. Ale tak właśnie żyli, przemieszczając się po obszarze obejmującym Minnesotę, Missisipi, Kolorado i Nowy Meksyk, rzadko zostając dłużej w jednym miejscu. W przeciwieństwie do Dillingera i Pretty Boy Floyda, Bonnie i Clyde nie starali się zapewnić sobie stałej bazy aż do ostatnich tygodni życia. Przez całe miesiące jedynym miejscem stanowiącym namiastkę domu była opuszczona stodoła na przedmieściach Grand Prairie nieopodal Dallas. W miarę jak rosła ich zła sława, coraz częściej żyli w swoim samochodzie pełnym broni, tablic rejestracyjnych i opakowań po jedzeniu. Przestali się kąpać i w ogóle przestrzegać zasad higieny. Nosili brudne ubrania. Cuchnęli.

Clyde najwyraźniej miał aspiracje, by rabować banki, ale pierwsze próby przyniosły mu upokorzenie. 30 listopada 1932 roku razem ze współnikiem wtargnął do banku w Orinogo w Missouri, na północ od Joplin. Wywiązała się strzelanina, podczas której kompan Clyde'a zdołał zgarnąć trochę banknotów. Dobiegli do samochodu i odjechali, uciekając przed niezbyt gorliwym pościgiem. Łup wynosił około 80 dolarów** [Neli Barrow twierdziła, że Clyde próbował później obrabować w pojedynkę inny bank w Missouri, ale mu się nie udało. Bank był zamknięty przez wiele tygodni.]. Przez całą tamtą zimę Bonnie i Clyde nie zaprzestawali podróży. W Tempie w Teksasie zabili człowieka, który w Boże Narodzenie próbował bronić swego samochodu przed kradzieżą. W Dallas zamordowali detektywa, który zaskoczył Clyde'a pewnego wieczoru na Bagnie. W Springfield w Missouri wzięli jako zakładnika policjanta, który zatrzymał Clyde'a za przekroczenie dozwolonej prędkości. Ich zła sława w zasadzie obejmowała tylko Dallas, gdzie pojawiali się na pierwszych stronach gazet. Poza Teksasem byli praktycznie nieznani.

W marcu 1933 brat Clyde'a Buck został warunkowo zwolniony z więzienia; wraz z żoną Bucka Blanche bracia spotkali się w Joplin, gdzie wynajęli mieszkanie przerobione z garażu i zaczęli się włamywać do sklepów jubilerskich. 13 kwietnia zjawiała się u nich grupa stróżów prawa wezwana telefonem przez podejrzanego sąsiada. Clyde i Buck zabili dwóch funkcjonariuszy, a potem uciekli, nie doznawszy żadnego szwanku. Zabójstwa w Joplin wyniosły „gang Barrowa” na pierwsze strony gazet poza Teksasem. Odkrycie wierszy pisanych przez Bonnie i jej zdjęć z Clyde'em, na których pozowali z bronią i cygarami, zwróciło uwagę opinii publicznej na Bonnie, aczkolwiek prawdziwą sławę miała zyskać dopiero pośmiertnie.

Dwa tygodnie później obie pary oraz towarzyszący im nastolatek W.D. Jones przejeżdżali przez miasto Ruston w północnej Luizjanie, szukając banku do obrabowania. Kiedy W.D. ukradł samochód, jego właściciel, miejscowy przedsiębiorca pogrzebowy, wraz

ze swoją dziewczyną rzucili się w pościg. Clyde wziął ich jako zakładników. Po całodziennym jeździe (która później stanowiła pamiętną scenę w filmie z 1967 roku) puścił tę parę wolno. W powstałym zamieszaniu stęskniony za domem W.D. zniknął. Clyde i Bonnie znaleźli go w końcu na poboczu drogi prowadzącej do Dallas, w piątek 9 czerwca. Tamtej nocy wszyscy troje pojechali na spotkanie z Buckiem i Blanche.

Tamtej sobotniej nocy Clyde jechał na wschód gruntową drogą 203 w Teksasie. Dziesięć kilometrów na wschód od osady Quail most na Salt Fork Red River był zniszczony. W ciemności, pędząc z prędkością ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę, Clyde minął przewrócony znak ostrzegawczy. Zauważył przepaść, kiedy było już za późno. Wielki ford zniecka znalazł się w powietrzu, poszybował nad urwiskiem, dwukrotnie przekoziołkował i rozbił się na piaszczystym brzegu zwężonego koryta rzeki. Przez chwilę panowała zupełna cisza. Z rozbitego samochodu unosiła się smuga pary. Benzyna zaczęła wyciekać i wsiąkać w piasek. Clyde, który wypadł z wraku, ale nie odniósł żadnych obrażeń, ocknął się pierwszy. Podnosząc się z ziemi, wyczuł zapach benzyny. Uświadomił sobie, że samochód może eksplodować.

W tym samym momencie dwaj farmerzy, Steve Pritchard i Lonzo Cartwright, zbiegli po zboczu urwiska. Widzieli wypadek z ganku domu Pritcharda nad rzeką. Razem wyciągnęli W.D. z tylnego siedzenia; chłopiec był oszołomiony, ale cały. Pritchard dostrzegł broń i spojrzał na Cartwrighta, zastanawiając się, w co się wpakowali. Nieprzytomna Bonnie utknęła na przednim siedzeniu, z nogami unieruchomionymi przez zgniecione drzwi.

Nagle rozległ się syk i benzyna zaczęła się palić. Płomienie otoczyły całe auto, sięgając stóp Bonnie, która oprzytomniała i zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Clyde i farmerzy wspólnym wysiłkiem próbowali ją uwolnić, podczas gdy W.D. zbierał broń i rzucał garście piasku na ogień. Ogień stawał się coraz większy. Bonnie, której pończochy topiły się na nogach, przywierając do skóry, w panice krzyczała do Clyde'a, żeby ją zabił. Clyde jednak z pomocą farmerów w końcu zdołał ją wyciągnąć z wraku.

Miała poważnie poparzone nogi. Clyde wziął ją na ręce i zaniósł do domu Pritcharda, gdzie czekali rodzice gospodarza oraz żona Cartwrighta Gladys. Ułożył Bonnie na łóżku, a pani Pritchard zbadała oparzenia. Cała noga, od kostki do biodra, była czarna, w kilku miejscach widać było prześwitującą kość. Twarz i ramiona Bonnie pokrywały pęcherze.

- Trzeba wezwać lekarza - powiedziała pani Pritchard, szybko smarując rany maścią.
- Nie - odpowiedzieli jednocześnie Clyde i Bonnie.
- Nie możemy sobie na to pozwolić - dodał Clyde. - Niech pani zrobi, co może.

Wyszedł na ganek, żeby się naradzić z W.D., a następnie wrócił do samochodu po

broń. Pritchardowie kręcili się po domu nerwowo, nie wiedząc, co robić. Lonzo Cartwright nie znał ludzi, którym przyszli z pomocą, ale był pewien, że są na bakier z prawem. Kiedy W.D. nie patrzył, wymknął się tylnymi drzwiami i pobiegł przez pole do domu sąsiada z zamiarem wezwania policji.

- Dokąd poszedł ten drugi? - zainteresował się po chwili W.D.

- Nie wiem - odparł Pritchard. - Pewnie jest z tyłu za domem.

W tym momencie wrócił Clyde z płócienną torbą pełną broni. On także zauważył nieobecność Cartwrighta.

- Skopałbym ci tyłek za to, że pozwoliłeś mu wyjść - rzucił ze złością do W.D. - Miej tych ludzi na oku.

W.D. mierzył w Pritchardów z pistoletu, podczas gdy Clyde ukląkł przy Bonnie i gładził japo włosach.

- Skarbie, nie wiem, co zrobić, jak cię stąd zabrać.

- Mogę podróżować - odpowiedziała z trudem Bonnie. - Będzie bolało, na pewno. Ale nie możemy tu zostać.

Kilka minut później w lesie przed domem rozbłysły światła reflektorów.

- Wszyscy na podłogę! - rozkazał Clyde. On i W.D. wymknęli się na zewnątrz i zniknęli w krzakach.

Pod dom podjechał samochód. Wysiadł z niego szeryf powiatu Collingsworth, George Corry. Był z nim Tom Hardy, sędzia pokoju z Wellington. Lonzo Cartwright pojechał do więzienia i opowiedział im, co się stało. Przybyli na miejsce stróże prawa sądzili, że mają do czynienia z pijanymi nastolatkami.

Clyde wyszedł zza krzaka, mierząc w przybyszów z automatycznej strzelby Browning.

- Ręce do góry! - zawołał. Wraz z W.D. rozbroili obu mężczyzn i skuli ich razem, wykorzystując do tego odebrane im kajdanki. Kiedy to robili, W.D. zauważył ruch w domu. Zajrzawszy przez kuchenne okno, zobaczył, jak Gladys Cartwright z czteromiesięcznym synkiem na biodrze kieruje się do tylnych drzwi. Podejrzewając, że kobieta próbuje uciec, strzelił. Trafił ją w rękę.

Kiedy rodzina rzuciła się ku niej, żeby opatrzyć ranę - pani Cartwright później amputowano kciuk - W.D. podszedł do samochodu.

- Wynośmy się stąd - powiedział. Rzuciwszy okiem na stare auto stojące na podwórzu, po krótkim namyśle przestrzelił w nim wszystkie cztery opony. Clyde wszedł do domu i po chwili wrócił do wozu patrolowego z Bonnie na rękach. Ostrożnie ułożył ją tyłu. Z pomocą

W.D. wepchnął obu stróżów prawa na siedzenie obok niej i bez słowa opuścili farmę.

W milczeniu jechali przez pogrążony w mroku Teksas. Z tylnego siedzenia dobiegały pojękiwania Bonnie. Clyde spojrzął we wsteczne lusterko i ucieszył się, widząc, że sędzia Tom Hardy pocieszającym gestem gładzi ją po włosach. Po pewnym czasie Bonnie zaczęła sprawiać wrażenie spokojniejszej. Clyde odetchnął z ulgą i zaczął mówić.

- Słyszeliście kiedyś o braciach Barrow? - zapytał znienacka.

- Nie, chyba nie - odparł ostrożnie Hardy, starając się nie rozgniewać Clyde'a.

- Nie mamy ich w naszych kartotekach - dodał Corry.

- Czy wy, gliny, nigdy nie czytacie gazet? - wtrąciła się szeptem Bonnie.

Przy moście dziesięć kilometrów na zachód od miasta Sayre Clyde zatrzymał samochód i wcisnął klakson.

- Wszyscy wysiadać! - zarządził W.D.

Szeryf i sędzia stanęli przy barierce mostu; Clyde został, żeby ich pilnować, a W.D. przeszedł przez most i rozmawiał z kimś siedzącym w samochodzie zaparkowanym w cieniu. Po pewnym czasie wrócił w towarzystwie sennego Bucka Barrowa.

- Kiedy się stąd zbieramy? - spytał Buck.

- Co zrobimy z tymi dwoma? - spytał W.D. Clyde przez chwilę się zastanawiał.

- Odprowadźmy ich kawałek wzdłuż rzeki i zwiążmy.

Wraz z bratem poprowadził skutych razem stróżów prawa w dół ku rzece. Nad samą wodą kazał im stanąć.

- Co zrobicie, jak puścimy was wolno? - zapytał.

Hardy odpowiedział, że pójdą prosto do domu. Starał się zachować godność. Nie miał zamiaru błagać o życie.

- Taaa... jasne - mruknął Clyde zmęczonym głosem. - Pognacie do telefonu, aż się będzie za wami kurzyło.

- Co masz zamiar z nimi zrobić? - zwrócił się Buck do brata. - Chcesz, żebym się nimi zajął? - dodał, unosząc strzelbę.

Clyde się zawahał.

- Weź trochę drutu z tego płotu - powiedział, wskazując ogrodzenie z drutu kolczastego. - Zachowywali się całkiem przyzwoicie. Ale sam mówiłem, że nigdy nie zabiorę gliniarza na przejażdżkę i nie puszczę go potem, żeby śpiewał jak najęty.

Buck przyniósł drut i razem przywiązali szeryfa i sędziego do drzewa. Postali przed nimi z minutę, a potem ruszyli z powrotem na most. Buck nagle się zatrzymał i odwrócił ze strzelbą wycelowaną w Hardy'ego. Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Chodź - odezwał się w końcu Clyde. - Zbierajmy się stąd. Darowali im życie.

Swą nieuchwytność Clyde zawdzięczał bardziej umiejętności prowadzenia samochodu niż posługiwania się bronią; przejechanie półtora tysiąca kilometrów w jeden dzień nie stanowiło dla niego problemu, jeśli wymagała tego sytuacja. Tamtej nocy przejechał przez całą Oklahomę, o świcie był w Arkansas. Stan Bonnie się pogorszył, rzucała się i jęczała przez sen. Tuż po wschodzie słońca podjechali pod Twin Cities Tourist Camp w Fort Smith. Zaraz po tym, jak Blanche zameldowała się w recepcji, Clyde zaniósł Bonnie do łóżka. Majaczyła, wołała matkę. Clyde sam pojechał do miasta i znalazł lekarza, Waltera Eberle. Powiedział mu, że żona doznała obrażeń podczas wybuchu pieca olejowego, i lekarz zgodził się pojechać z nim do motelu.

- Takobietta potrzebuje hospitalizacji - stwierdził, opatrzywszy rany Bonnie.

Nie wiedząc, co robić, Clyde wrócił do Dallas po siostrę Bonnie, Billie. Dotarł do domu Parkerów wczesnym wieczorem. Zarówno pani Parker, jak i pani Barrow wyraziły gotowość pojechania do Fort Smith, ale Clyde zaczekał na Billie, która akurat była w kinie. Krążąc nerwowo po mieszkaniu Parkerów, w pewnym momencie wybuchnął płaczem. Nie spał od dwóch dni, więc dawało o sobie znać zmęczenie. W końcu Billie wróciła i spakowawszy kilka rzeczy, pojechała z Clyde'em.

Ted Hinton z biura szeryfa znał Clyde'a. Był na nocnym patrolu, kiedy zauważył go w samochodzie zmierzającym na wschód. Zawahał się, ponieważ nie rozpoznał Billie. Nim zdecydował się jednak zawrócić i ruszyć w pościg, po tamtym samochodzie nie było śladu. Clyde z Billie pędzili w ciemnościach przez Teksas. Dotarli do Fort Smith o świcie. Bonnie była umierająca.

Minneapolis w Minnesocie

15 czerwca, czwartek godz. 12.45

Pięć dni później Clyde wciąż czuwał przy łóżku, na którym umierała Bonnie. Znajomy zapach świeżego chmielu i jęczmienia unosił się wokół browaru Hamma, wyrastającego spośród ulic Minneapolis niczym średniowieczny europejski zamek. Przybrana chorągiewkami siedmiopiętro-wa ceglana fasada została wzniesiona w latach czterdziestych XIX wieku przez Theodora Hamma, imigranta z Niemiec. Jego rodzinna posiadłość w stylu Tudorów zajmowała szczyt stromego wzgórza nieopodal.

Na ulicy przed browarem w czarnym fordzie sedanie siedział dwudziestoczteroletni mężczyzna w szoferskiej czapce. Rozglądał się obojętnie. Nazywał się Alvin Karpis, ale

wszyscy używali jego przydomku „Ray”. Zimny, wyniosły, uderzająco podobny do Borisa Karloffa, miał mrozący sposób bycia, co zyskało mu przezwisko „Old Creepy” (budzący grozę). Był mózgiem gangu złożonego z czarnych bohaterów epoki Wielkiego Kryzysu: gangu Barkera, czy - jak lubił go nazywać Karpis - gangu Barkera i Karpisa. Jego współnicy, bracia Fred i Artur „Dock” Barker, pochodzili z Tulsy. Fred miał 29 lat, 165 cm wzrostu, był chudy, brutalny i groźny, miał trzy złote zęby i tłuste czarne włosy wycięte wysoko nad uszami. Jego ociężały umysłowo starszy brat Dock, wypuszczony pół roku wcześniej z więzienia stanowego w Oklahomie, miał trzy brodawki na twarzy i był pijakiem.

Już po wszystkim J. Edgar Hoover określał Barkerów mianem „najbystrzejszych i najbardziej niebezpiecznych gangsterów, z jakimi miał do czynienia podczas wojny z przestępczością”. Jednak za życia zyskali ledwie ułamek popularności, jaką cieszyli się John Dillinger i jemu podobni. Nie zmienia to faktu, że rozmachem i aspiracjami gang Barkera i Karpisa przewyższał inne grupy przestępcze, a zdolności do wchodzenia w alianse z syndykatami zbrodni z Północy - osiągnięcie niemałe, jeśli się zważy, że zaczęli jako banda prostaków bez skrupułów - uczynili z nich najtrudniejszych wrogów publicznych, jakich FBI musiało pokonać.

Po siedemdziesięciu latach, jakie minęły od czasów rozkwitu ich kariery, pozostał po nich jedynie stworzony przez FBI mit o Kate „Ma” Barker, sześćdziesięciokilkuletniej matce Freda i Docka, którą w przeblysku pośmiertnej sławy przedstawiano jako „mózg” gangu, morderczynię nierozstającą się z pistoletem maszynowym. W 1938 roku Hoover pisał: „Najbardziej bezwzględny, niebezpieczny i przebiegły zbrodniczy umysł, jaki na przestrzeni wielu lat objawił się w tym kraju, należał do »matki Barker«. W wieku sześćdziesięciu paru lat ta kobieta nadal rządziła diabelskim pomiotem, który wydała na świat... Synowie u niej szukali wskazówek, zachęty, pomysłów. Skrycie byli jej we wszystkim posłuszni”.

Ta charakterystyka powielana była przez skądinąd wiarygodne książki, zwłaszcza wydaną w 1963 *Dillinger Days* Johna Tolanda, oraz filmy klasy B w rodzaju *Krwawej mamuśki* Rogera Cormana. Nie ma jednak żadnych dowodów, które by potwierdzały mit o kryminalnym geniuszu Ma Barker. Według akt FBI oraz osób, które żyły na tyle długo, by o niej opowiedzieć, Ma Barker nie była nawet przestępczynią, a co dopiero „mózgiem” gangu. Nie ma dowodów, by kiedykolwiek brała udział w napadzie na bank lub strzelała z pistoletu. Nigdy nie została aresztowana. Stworzony przez Hoovera obraz „najbardziej przerażającej kobiety w historii amerykańskiej przestępczości” nie ma podstaw. Za życia Ma Barker była zupełnie nieznana, nikt spoza gangu nie wiedział, kim jest.

Niska i pulchna Arizona Donnie Barker na specjalne okazje kręciła na papiloty swe

czarne, zwykle wiszące w strąkach włosy i upinała w kok. Była zaniedbaną prostą kobietą i poza układaniem puzzli oraz słuchaniem radiowego serialu *Amos i Andy* interesowało ją jedynie szczęście synów. Wiedziała o ich przestępstwach i żyła za ich nielegalnie zdobyte pieniądze, ale sugestia, jakoby była przywódczynią gangu, jest „najbardziej niedorzecznym pomysłem w historii przestępczości”, jak powiedział kiedyś Karpis. Jeden z mentorów gangu, słynny kasiarz epoki jazzu Harvey Bailey otwarcie drwił z założenia, że Ma planowała ich działania. „Ta staruszka nie była w stanie zaplanować nawet śniadania”, stwierdził.

Ma Barker urodziła się w Ash Grove w stanie Missouri nieopodal Springfield, prawdopodobnie w roku 1873. Nim wraz z mężem w 1910 przeprowadzili się do Tulsy, mieli czterech synów. Wszyscy czterej zostali przestępcami. Najstarszy Herman włączył się po Zachodzie, rabując sklepy, dopóki nie strzelił sobie w łeb, kiedy policja osaczyła go na pustej parceli w Wichita w stanie Kansas w 1927. Kryminalna kariera drugiego syna, Lloyda, szybko została przerwana dwudziestopięcioletnim wyrokiem odsiadki w Leavenworth za obrabowanie furgonetki pocztowej w 1921. Ich młodszy bracia Fred i Dock, wychowani w Tulsie, dołączyli do grupy rozwydrzonych nastolatków włamujących się do domów i kradnących samochody, znanych jako Central Park Gang; kilku z nich piętnaście lat później weszło w skład gangu Barkera i Karpisa. Po latach FBI opisywało Central Park Gang jako „szkołę przestępczości, w której nauczała Ma Barker”. Nie ma żadnych dowodów na poparcie tego twierdzenia. W rzeczywistości rola Ma Barker ograniczała się do złorzeczenia policjantom i prokuratorom zamykającym w więzieniu jej synów.

A okazji ku temu miała pod dostatkiem. Dock, złodziej samochodów, a potem włamywacz, dostał wyrok dożywocia w więzieniu w Oklahomie po tym, jak zastrzelił nocnego stróża w 1922. Mniej więcej w tym samym czasie Freddie został aresztowany za włamanie w Kansas i umieszczony w poprawczaku. Tam poznał Karpisa, syna litewskich imigrantów, który dorastał na ulicach Wichita, gdzie wyuczył się przestępczego fachu. Wiosną 1931 zwolniono ich, osobno, i Karpis pojechał do Tulsy, żeby odnaleźć Freddiego. Na zawsze zapamiętał pierwsze spotkanie z Ma Barker, w jej ruderze na zaśmieconym placu przy torach kolejowych.

- Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem tę niską, tęgą staruszkę stojącą na pudle, w brudnym dresie i męskim swetrze - wspominał Karpis po latach. - Próbowała *umocować* roletę w oknie.

Karpis przedstawił się i Ma zaprosiła go do środka. Był wstrząśnięty tym, co ujrzał. W domu nie było elektryczności ani bieżącej wody. Wyhodek znajdował się na zewnątrz. Wszędzie roiło się od much. Ma z własnej inicjatywy wysłała telegram do Freda, który był w

Joplin, i w ciągu kilku następnych dni ona i Karpis się polubili. Z czasem niemal go adoptowała. Fred twierdził, że wolała Karpisa od własnych synów. Mówił: „Nie działasz jej na nerwy tak jak ja”³.

Barker i Karpis zaczęli dokonywać nocnych włamań wokół Tulsy. Po niedługim czasie obaj zostali aresztowani. Karpisa wypuszczono, lecz zatrzymany na dłużej Barker zmuszony był do ucieczki. Umykając przed władzami, zabrali ze sobą Ma oraz jej partnera Alberta Dunlopa, starego pijaka, i udali się do Missouri, gdzie obrabowali swój pierwszy bank i wykorzystali pieniądze z łupu, żeby kupić Ma farmę. Wszystko szło dobrze mniej więcej do połowy grudnia 1931; tydzień przed Bożym Narodzeniem na stacji benzynowej w West Plains podszedł do nich miejscowy szeryf, żeby zadać kilka pytań. Karpis wpadł w panikę i go zastrzelił.

Wykorzystując krok przewagi nad pościgiem, zgarnęli Ma i pognali do domu jednego z przyjaciół Barkerów, Herberta „Deafy” Farmera, działającego na szeroką skalę oszusta, który na swej farmie oddalonej o osiem kilometrów na południe od Joplin prowadził coś w rodzaju bezpiecznego schroniska dla przestępców z całego regionu. Farmer zaproponował, żeby Karpis i Barker wynieśli się do St. Paul w Minnesocie, gdyż skorumpowana miejscowa policja zamieniła to spokojne nadrzeczne miasto w kryminalną stolicę Środkowego Zachodu. I tak kilka dni po świętach Bożego Narodzenia Karpis i Barker, marzący o rabowaniu banków, wkroczyli do tawerny Zielona Latarnia w St. Paul, jednocześnie wstępując do pierwszej ligi przestępczej na Środkowym Zachodzie.

Zielona Latarnia, prowadzona przez grubego ortodoksyjnego Żyda Harry’ego Sawyera, stanowiła główną kwaterę kryminalistów, była czymś w rodzaju klubu zrzeszającego wszystkich bardziej znaczących bandytów ze Środkowego Zachodu trudniących się napadaniem na banki. Regularnie bywali tam Harvey Bailey, kasiarz epoki jazzu, i Frank Nash, a także rewolwerowcy z Chicago oraz całe tłumy tych, którzy chcieli im dorównać, wśród nich George Barnes, znany później jako Machine Gun Kelly. Karpis był pod wrażeniem. Razem z Freddie’em zainstalowali Ma i Alberta Dunlopa w domu na południowym brzegu rzeki i wzięli się do pracy: doglądali szmuglu papierosów, dokonywali włamań. W marcu 1932 zostali zaproszeni do udziału w pierwszym dużym napadzie na bank w centrum Minneapolis.

Zaledwie kilka dni później syn kobiety, od której wynajmowali mieszkanie, zobaczył ich zdjęcia w czasopiśmie detektywistycznym. Skorumpowani detektywi, którzy odebrali telefon, zwlekali na tyle długo, że każdy zdążyłby uciec. Karpis i Barker, winiąc pijanego Alberta Dunlopa za to, że zostali rozpoznani, wyciągnęli go nad jezioro za miastem i

zastrelili. Przenieśli się do Kansas City. W czerwcu tego samego roku obrabowali bank w Fort Scott w Kansas u boku Harveya Bailey. Kiedy Bailey został aresztowany, zaczęli działać na własną rękę, obrabiając kilka banków w północnych stanach Środkowego Zachodu. Do jesieni Fred zdobył dość pieniędzy, żeby łapówkami wydostać z więzienia swojego brata Docka i jednego z przyjaciół Docka zTulsey, Volneya Davisa*[* Naukowcy badający historię przestępczości długo nie mieli pewności, czy zwolnienie Docka Barkera nastąpiło na skutek wręczenia łapówki. Akta FBI potwierdziły, że faktycznie tak było. W 1934 r. jeden z agentów FBI przesłuchiwał Jacka Glynn, prywatnego detektywa z Leavenworth w Kansas i zarazem kombinatora zajmującego się załatwianiem więźniom federalnym zwolnień warunkowych. Glynn przyznał, że zgłosił się do niego znajomy Freddiego, niejaki Jess Doyle, z pytaniem, ile by kosztowało wyciągnięcie Docka Barkera zwięzienia. Spotkali się w hotelu National w Leavenworth. Glynn powiedział, że koszt wyniesie od 150 do 300 dolarów. Doyle dał mu 200 i kazał się postarać. Glynn odwiedził Barkera wwięzieniu i wychodząc, spytał strażnika, jaki będzie najlepszy sposób, żeby go „wydobyć”. Strażnik doradził mu, żeby się skontaktował z senatorem Presem Lesterem. Lester był starym politycznym wyjadaczem z Oklahomy, a jako senator z dystryktu McAlester miał ogromne wpływy w miejscowym więzieniu. Według Glynn Lester stwierdził, że za 200 dolarów Barker dostanie zwolnienie warunkowe. Glynn zdeponował pieniądze w banku w McAlester, z poleceniem wypłacenia ich Lesterowi. Poszło tak gładko, że miesiąc później Glynn wykorzystał tę samą drogę, żeby uwolnić Volneya Davisa. Po zapłaceniu łapówki Lesterowi Davis również został wypuszczony na przepustkę.]. Dock i Davis zostali członkami gangu.

Biorąc przykład z najbrutalniejszych bandytów z St. Paul, gang Barkera i Karpisa nie miał specjalnych skrupułów w kwestii używania broni. W grudniu podczas dokonywania rabunku zabili serią z pistoletów maszynowych dwóch policjantów z Minneapolis, a kiedy się zatrzymali podczas ucieczki, żeby wymienić samochód, przypadkowy świadek przyglądał się Fredowi Barkerowi o chwilę za długo i Fred go zastrzelił. Po zimowych wakacjach w Reno, gdzie Karpis zaprzyjaźnił się z mafijnym szoferem Jimmym Burnellem, którego później wprowadził w przestępcze kręgi St. Paul, gang obrabował bank w Nebrasce, wystrzeliwując przy tym istny grad kul. Jeden z członków gangu zginął i Karpis zaczął się zastanawiać nad bezpieczniejszym sposobem zdobywania pieniędzy. Z większym zainteresowaniem odniósł się do pomysłu porwania ludzi, który wiosną podsunął mu Harry Sawyer.

Karpis obserwował, jak William Hamm, trzydziestoosmioletni prezes spółki piwowarskiej, wychodzi tylnymi drzwiami napołudniowe słońce i skręciwszy w lewo, kieruje się do swojej rezydencji na wzgórzu, gdzie zamierzał zjeść lunch. Po drugiej stronie ulicy

Dock Barker uniósł ramię, dając umówiony znak. Kiedy Hamm wszedł na chodnik, inny członek gangu, Charley Fitzgerald, ubrany w filcowy kapelusz i ciemny garnitur, podszedł do niego i wyciągnął prawą rękę.

- Pan Hamm, prawda? - upewnił się.

- Owszem - odparł Hamm, ściskając dłoń nieznanego. Fitzgerald nagle wzmocnił uścisk, lewą ręką chwycił Hamma za łokieć i podprowadził do krawężnika. W tym momencie podbiegł Dock i chwycił Hamma za drugie ramię. - Czego ode mnie chcecie? - spytał oszołomiony Hamm.

Karpis podjechał hudsonem i Hamm został wepchnięty na tylne siedzenie. Dock Barker wsiadł za nim, wciągnął mu na głowę poszewkę od poduszki i zepchnął go na podłogę między siedzeniami.

- Przykro mi, że to robię - powiedział Fitzgerald do Hamma. - Ale muszę pana prosić, żeby się pan położył na podłodze, bo nie chcę, żeby pan widział, dokąd jedzie. Mam nadzieję, że nie ma pan mi tego za złe.

Pojechali na wschód. Pięćdziesiąt kilometrów za St. Paul zrównali się z chevroletem, w którym siedział Freddie i gładki w obejściu gangster z Chicago Shotgun George Ziegler (naprawdę nazywał się Fred Goetz); ten ostatni został wprowadzony wraz ze swym współnikiem Bryanem Boltonem, żeby pomóc w robocie[* Światy mafijnych zabójców i prowincjonalnych gangsterów rabujących banki rzadko się przenikały, ale tak było w przypadku Zieglera. Stanowił wyjątek pośród ludzi Ala Capone; „dorabiał sobie”, wyjeżdżając z Chicago w wiejskie rejony Illinois i Wisconsin, żeby napadać tam na banki. Jednak sławę zyskał za sprawą masakry w dniu świętego Walentego w 1929 roku; podobno był wówczas jednym z gangsterów przebranych za policjantów, którzy zabili z broni maszynowej siedmiu ludzi Bugsa Morana w garażu w North Side. Tożsamość strzelających nigdy nie została jednoznacznie potwierdzona, ale zarówno FBI, jak i przyjaciele Zieglera wierzyli, że on był w tej grupie.] Ziegler wcisnął Hammowi do ręki kartkę z napisanym na maszynie żądaniem okupu.

Nikt nie wiedział, jak Ziegler wszedł w orbitę Ala Capone. Wcześniej był członkiem drużyny futbolowej Uniwersytetu Illinois, a podczas drugiej wojny światowej służył w randze podporucznika. Jednakże w 1925 roku, kiedy pracował jako ratownik na plaży w Chicago, został aresztowany za próbę gwałtu na siedmioletniej dziewczynce. Po wyjściu za kaucją ukrył się i wkrótce potem wypłynął jako pomysłowy zabójca działający dla gangu Capone. Mówiło się, że jednym z wynalazków Zieglera była bomba czasowa ze skórzanymi trokami, którymi można ją było przywiązywać do porywanej ofiary - okazywała się niesłychanie

skuteczna przy wymuszaniu okupu. Znany był z niezmiennej uprzejmości wobec obcych. Jeden z agentów FBI pisał o nim: „Miał charakter pełen sprzeczności. Dobrze wychowany, zawsze grzeczny, zdolny był do wielkoduszności i do niewiarygodnego okrucieństwa”.

Partner Zieglera Bryan Bolton był słabym ogniwiem, o czym wiedzieli wszyscy poza Zieglerem. Do czterdziestki Bolton pracował jako stolarz, sprzedawca samochodów i zawodowy golfista, nim został kierowcą innego z uczestników „walentynkowej masakry”, „Killera” Freda Burkę. Jak później odkryło FBI, Bolton także miał swój udział w masakrze. Według relacji z dwóch źródeł to on, stojąc na czatach, dał ludziom Capone przedwczesny znak do rozpoczęcia strzelaniny; ta pomyłka pozwoliła uciec Bugsowi Moranowi. Podobno wściekły Capone zarządził egzekucję Boltona i tylko dzięki interwencji Zieglera Bolton uniknął śmierci. Jego lojalność wobec Zieglera była niekwestionowana.

- Domyślam się, że pan wie, o co chodzi - powiedział. - Proszę podpisać te papiery, i to szybko.

Hamm, klęcząc na podłodze, zrobił, co mu kazano.

- Kogo pan wybiera na osobę do kontaktów? - spytał Ziegler. Hamm wymienił Williama Dunna, wiceprezesa spółki do spraw sprzedaży.

Karpis uśmiechnął się pod nosem. Dokładnie tego sobie życzyli. Billy Dunn był poborcą haraczu dla mafii z St. Paul i przyjacielem Harry’ego Sawyera, a przy tym człowiekiem, na którego mogli liczyć.

O godzinie 14.40 tego samego popołudnia Billy Dunn siedział w swoim gabinecie na terenie browaru, kiedy zadzwonił telefon.

- Czy to W. W. Dunn? - rozległ się w słuchawce głos Karpisa. - Tak.

- Mam panu coś do powiedzenia i nie chcę, żeby pan mi przerywał, dopóki nie skończę. Mamy pana Hamma. Chcemy, żeby pan zdobył sto tysięcy dolarów w dwudziestkach, dziesiątkach i piątkach.

Dunn później mówił, że uznał, iż ktoś stroi sobie z niego żarty.

- Hej, hej, u diabła, co się dzieje? - spytał.

- Niech pan się zamknie i słucha, co mam do powiedzenia - ciągnął Karpis. Udzielił Dunnowi wskazówek, jak okup ma być przekazany. - Jeśli piśnie pan komuś choć słówko - ostrzegł - to Hamm gorzko tego pożałuje... i pan też.

Dunn chciał zapytać, skąd ma wziąć tyle pieniędzy, lecz nim zdążył, połączenie zostało przerwane. Zadzwonił do gabinetu Hamma i do jego rodzinnej rezydencji, ale go nie zastał. Zaczął więc obdzwaniać braci Hamma. Około piątej spotkali się z Dunnem w rezydencji, żeby przekazać złą wiadomość ich sędziwej matce. Pani Hamm upierała się, żeby

wezwać policję. Zorganizowano spotkanie w hotelu Lowry. Tam Dunn opowiedział o zdarzeniu szefowi policji z St. Paul, Thomasowi Dahilowi, uczciwemu człowiekowi, który ubolewał nad korupcją szerzącą się wśród jego podwładnych.

Dahffi skontaktował się z szefem lokalnego biura FBI Wernerem Hannim, który wysłał pracownika do domu Dunna przy Summit Avenue 1916, żeby zainstalował urządzenie nagrywające w jego telefonie. Wezwano również dwóch funkcjonariuszy z nowego oddziału do spraw porwań przy departamencie policji w St. Paul. Jednym z nich był Tom Brown, dawny szef policji St. Paul, któremu gang płacił za poufne informacje*[* Przez całe dziesięciolecia historycy z St. Paul zastanawiali się, czy i jaką rolę w porwaniu Hamma odegrał „Big Tom” Brown, ważący 130 kilogramów i mierzący 192 cm wzrostu. Istniały na ten temat różne pogłoski, ale dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy otwarto akta FBI, jego udział został jednoznacznie potwierdzony. Z akt FBI wynikało, że czterdziestoczteroletni Brown zgodził się informować gang o wszelkich poczynaniach policji. W zamian miał otrzymać czwartą część ze 100 000 dolarów okupu, czyli trzykrotnie więcej niż każdy z bezpośrednio zaangażowanych porwawczy. Według zapisu w aktach brano nawet pod uwagę możliwość, że to Brown był inicjatorem porwania.].

Kiedy policja i agenci FBI gromadzili się w domu Dunna, Williama Hamma przewożono przez Wisconsin do północnego Illinois. Karpis prowadził, a Fred Barker i Shotgun George Ziegler zostali na miejscu, żeby prowadzić negocjacje w sprawie okupu. Około północy Karpis zaparkował przed piętrowym domem w Bensonville, północno-wschodnim przedmieściu Chicago. Dom należał do miejscowego naczelnika poczty, dobrego znajomego Zieglera. Wprowadzili Hamma do sypialni o oknach zabitych deskami. Karpis dał mu kilka czasopism, poczęstował piwem i zostawił go samego. Hamm usiadł i gapiąc się przed siebie, czekał. północ

Billy Dunn czekał w swoim domu. Wreszcie telefon zadzwonił. - Dunn, jak dotąd dobrze się pan stosuje do wskazówek - oznajmił ktoś po drugiej stronie linii. - Dałem panu trochę czasu na otrząśnięcie się z szoku. Musi pan zrozumieć, że to nie żart, jak się panu zdawało. Wystarczy, żeby pan wypełniał polecenia.

Dunna zaskoczył ton głosu rozmówcy; zdradzał, że wie on dokładnie, co Dunn robił przez cały dzień, i nie przejmuje się specjalnie faktem, że wezwano policję. Dunn dzwonił do Toma Browna, który udał się do domu na spóźnioną kolację. Około drugiej, po powrocie Browna, dostrzegł taksówkę krążącą w pobliżu, oświetlającą reflektorami uspione domy, wyraźnie szukającą jakiegoś adresu. Brown wyszedł do taksówki i kierowca podał mu list dla Dunna. Powiedział, że pewien człowiek - później zidentyfikowany jako Shotgun George

Ziegler - dał mu go przed garażem w centrum miasta. W liście było napisane: „Wie pan, że pański chłopak wypadł z obiegu. Ma pan zapłacić 100 000 dolarów w taki sposób, jak panu przedstawiono dziś po południu... Jeśli nie spełni pan naszych żądań, nie zobaczy pan więcej Hamma juniora”.

Brown zabrał list, żeby zanieść Dunnowi. Wszystko szło zgodnie z planem.

Niedaleko Boliver w Missouri

16 czerwca, piątek

Świt

Następnego ranka Pretty Boy Floyd i jego nieodłączny kompan Adam Richetti, pożegnawszy się z rodziną i przyjaciółmi, wyruszyli do Kansas City. O świcie jechali na północ drogą 16 wychodzącą ze Springfield w stanie Missouri, kiedy pontiac, którego ukradli z garażu Joe Hudibera, zakaszłał, prychnął i zdechł. Poirytowany Floyd zatrzymał przejeżdżającego farmera, który zgodził się doholować ich do pobliskiego Boliver, gdzie szczęśliwym zrzędzeniem losu brat Richettiego Joe pracował jako mechanik.

Miasto pogrążone było jeszcze we śnie, kiedy mniej więcej dziesięć po siódmej wjechali na podjazd garażu Bitzera, dealera handlującego chevroletami. Floyd dał starszemu mężczyźnie kilka banknotów i patrzył, jak grupa mechaników wpycha pontiaca do środka. Nie pozostawało im nic innego, jak czekać, więc Floyd spacerował tam i z powrotem, podczas gdy Joe Richetti zaglądał pod maskę. Adam odkręcił słoik z bimbrem i zaczął pić. Floyd przyglądał mu się z obrzydzeniem. Wielokrotnie ostrzegał Richettiego przed nadużywaniem alkoholu. Stawał się po nim niechlujny.

Po niedługim czasie grupa sprzedawców samochodów, schludnie odzianych w dwukolorowe buty i drelichowe kombinezony, zbliżyła się, żeby podziwiać wielkiego nowego pontiaca Floyda. Nic nie wskazywało na to, by któryś z nich Floyda rozpoznał. Około jedenastej, kiedy Joe Richetti wciąż pracował nad silnikiem, przyszedł właściciel garażu, Ernest Bitzer. Usiadł na ławce obok Floyda i uścisnął mu rękę.

- Ten wóz wygląda, jakby naprawdę szybko jeździł - zagadnął.

- Wyciąga sto trzydzieści pięć - przyznał Floyd.

Dopiero w tym momencie Bitzer uświadomił sobie, że widział twarz swojego rozmówcy w gazetach. Nim jednak był w stanie cokolwiek zrobić, do garażu wszedł inny mężczyzna.

- Wygląda, jakby gnał kawał drogi - odezwał się, wskazując pontiaca. Floyd przyjrzał

się nieznanemu. To był nowy szeryf, Jack

KilUngsworth. Zanim przed sześcioma miesiącami objął swą funkcję, pracował jako sprzedawca u Bitzera i często wstępował do dawnego pracodawcy na kawę. Tego ranka nie miał munduru, odznaki ani broni. Spojrzawszy Floydowi w twarz, rozpoznał człowieka z listu gończego, który wisiał w jego biurze.

Jednak Adam Richetti także rozpoznał Killingswortha; znał go z wizyt w Boliver u brata. Podszedł do pontiaca, otworzył tylne drzwi i wyciągnął pistolet maszynowy ukryty pod kocem.

- To przedstawiciel prawa! - warknął do Floyda, mierząc w szeryfa. Następnie zawołał do sprzedawców i mechaników kręcących się po garażu: - Stańcie w rzędzie pod ścianą! Jeśli będziecie próbowali uciec, to was zabijemy!

Joe Richetti stanął przed Killingsworthem, zasłaniając go przed bratem.

- Jeśli chcesz zastrzelić szeryfa, to najpierw będziesz musiał zastrzelić mnie - powiedział.

Adam, który od trzech godzin raczył się bimbrem, sprawiał wrażenie skołowanego.

- Dobra, w takim razie niech się stąd wynosi - powiedział, machając na szeryfa.

KilUngsworth ruszył w stronę wyjścia, poszturchiwany przez Richettiego bronią w plecy. Kiedy otworzył drzwi, poczuł na skroni zimny dotyk lufy.

- Zrób jeszcze jeden krok, to cię zabiję - ostrzegł Floyd.

Z niewytłumaczonych powodów Richetti zaczął przeklinać, nakłaniając szeryfa do przestąpienia progu. Floyd go uciszył.

- Od tego picia miesza ci się w głowie - warknął. Skierował szeryfa z powrotem do garażu, pomiędzy pracowników stojących pod ścianą. - To dla nas sprawa życia i śmierci. Nie mamy innego wyjścia - oznajmił przepaszająco.

Musiał działać szybko, nie mógł pozwolić, by sytuacja wymknęła się spod kontroli. Podczas gdy Richetti miał na oku zakładników, Floyd wytknął głowę za drzwi garażu. Nie dostrzegł innych przedstawicieli prawa ani żadnego poruszenia. Wrócił do środka i przejął pilnowanie zakładników, natomiast Richetti podszedł do nowego chevroleta seda-na należącego do jego brata. Floyd gestem nakazał szeryfowi, żeby wyszedł razem z nim.

- Dlaczego mnie zabieracie? - spytał Killingsworth.

- Zna pan wszystkie drogi i poprowadzi mnie z dala od głównych tras - wyjaśnił Floyd.

Richetti i Floyd, zakładając, że wkrótce pościg będzie im deptał po piętach, załadowali swoje pistolety do chevroleta. Floyd z Killingsworthem usiedli z tyłu, a Richetti zajął miejsce

za kierownicą. Kiedy ruszali, Floyd zawołał przez okno do brata Richettiego:

- Możesz zatrzymać moje auto, Joe!

Richetti skierował sedana na zachód, starając się jak najszybciej opuścić miasto.

- Znasz tejsze drogi - rzucił przez ramię do Killingswortha. - Wyprowadź nas stąd!

- A dokąd chcecie jechać? - spytał szeryf.

- Do Kansas City.

Hot Springs w Arkansas godz. 11.30

Tego samego piątkowego ranka, kiedy Pretty Boy Floyd pędził w stronę Kansas City, dwaj agenci Biura Śledczego krążyli ulicami po centrum Hot Springs w Arkansas, szukając uciekiniera. Za kierownicą siedział Joe Lackey z rzymskim nosem, a obok niego siwowłosy „kowboj” o wyglądzie poczciwego dziadka, dawny oficer policji z Dallas Frank

Smith. Przyjechali ze swojego biura w Oklahoma City, żeby sprawdzić pogłoskę, jakoby stary kasiarz Frank Nash bawił w mieście. Informacja się potwierdziła; choć blisko związany z Karpisem i Barkerem, Nash wybrał wakacje w Arkansas zamiast udziału w porwaniu Hamma.

W lecie 1933 roku Hot Springs były kurortem słynącym z korupcji i rozpościerania czerwonego dywanu przed gangsterami ściągającymi z całego kraju na wakacje, żeby zażywać mineralnych kąpeli i uciech hazardu; pośród bawiących tam niesławnych gości był Al Capone i długa lista przestępczych potentatów z Nowego Jorku. Główna ulica miasta, Central Avenue, przebiegała między dwoma wzgórzami. Po jednej stronie stało siedem wytwornych łaźni, po drugiej ciąg sal bilardowych i tawern, a na końcu dwa kasyna: Belvedere i Southern Club. W okolicznych domach miały swe siedziby burdele i kabarety. Było to nielegalne, ma się rozumieć, ale wszyscy, począwszy od gubernatora Arkansas, przymykali oko. Burmistrz i miejscowa policja zarządzali całym interesem niczym korporacja, pobierając należną działkę od każdej dziwki, krupiera i zawodowego gracza w bilard.

Lackey zwolnił, dostrzegając Otto Reeda na chodniku naprzeciwko White Front, sklepu z cygarami. Obaj agenci przywieźli ze sobą Reeda, szefa policji z McAlester w Oklahomie, ponieważ śledził on karierę Nasha i potrafił od razu go rozpoznać. Kiedy Lackey pojechał do krawężnika, Reed nachylił się do okna jego samochodu.

- To jest Nash - powiedział, wskazując na człowieka stojącego w drzwiach sklepu White Front.

- Nie jestem pewien - wyraził wątpliwość Smith. - Ten facet ma wąsy i pełno włosów

na głowie. Nash jest łysy.

- I jest masywniejszy niż w rysopisie - dodał Lackey.

- To jest Nash - powtórzył Reed. - Znam go aż za dobrze. Postanowili zająć się Nashem osobiście. Reed wsiadł do auta i Lackey zawrócił, podjeżdżając pod White Front. Przy wejściu sprzedawano cygara i niskoprocentowe piwo, na tyłach znajdowała się sala bilardowa. Prowadził ją zawodowy hazardzista Dick Galatas. White Front był miejscem spotkań gangsterów przyjeżdżających do miasta. Każdy z trzech agentów sprawdził broń, po czym wysiedli. Wprawdzie noszenie pistoletów naruszało przepisy obowiązujące w FBI, ale w przypadku niektórych starych agentów Biuro stosowało politykę patrzenia przez palce.

Agent Lackey wszedł do środka pierwszy i wyraził chęć zakupu cygara. Nigdzie nie było widać Nasha. Dwaj pozostali także weszli do sklepu. Przy stolikach w przedniej części pomieszczenia siedziało około dziesięciu klientów, ale na tyłach, wokół stołów bilardowych, widać było więcej ludzi. Lackey zauważył dwulufową strzelbę opartą o ścianę. Otto Reed także ją dostrzegł.

W tym momencie z sali bilardowej wyszedł Nash ze szklanką piwa w dłoni. Skierował się ku drzwiom, jakby miał zamiar opuścić sklep. Lackey i Smith podeszli do niego z wyciągniętą bronią. Reed także wyjął pistolet, mierząc w resztę klientów. Wszyscy zastygli w bezruchu.

- Franku Nash - odezwał się Smith. - Podnieś ręce do góry.

Żaden z nich nie przedstawił się jako agent FBI, nikt też nie wspomniał o aresztowaniu. Nash nie rozpoznał Reeda, myślał, że zaraz zostanie zamordowany.

- Nie strzelajcie - powiedział błagalnie. Został przeszukany i wyprowadzony na zewnątrz, do czekającego samochodu. Reed wepchnął Nasha na przednie siedzenie, a sam usiadł za jego plecami. Agent Lackey zajął miejsce za kierownicą i ruszyli na wschód, w kierunku drogi prowadzącej do Little Rock.

Po chwili agent Smith zatrzaskał Nashowi na przegubach kajdanki. Następnie pociągnął go lekko za włosy; tupecik został mu w ręku.

- Uważaj na moje włosy - obruszył się Nash. - Kosztowały mnie sto dolców. - Kiedy Smith sięgnął do jego wąsów, Nash powstrzymał go, unosząc skute dłonie. - Są autentyczne - powiedział.

Właściciel sklepu White Front Dick Galatas znajdował się w kawiarnianej części pomieszczenia, kiedy wyprowadzano Nasha. Ledwie agenci zniknęli za drzwiami, zadzwonił do Herberta „Dutcha” Akersa, skorumpowanego szefa miejskich detektywów. Powiedział mu, że pewien biznesmen z Chicago, niejaki George Miller, właśnie został porwany przez trzech

mężczyzn w czarnym sedanie.

- Zatrzymaj ich! Natychmiast! - krzyczał.

Akers, który znał prawdziwą tożsamość Millera, zaczął obdzwaniać okoliczne komisariaty policji*[* Akers miał odgrywać powtarzającą się rolę w wojnie z przestępczością. Choć nigdy nie wyjawiono nazwiska informatora, który powiadomił FBI o pojawieniu się Nasha w Hot Springs, z akt Biura jasno wynika, że Akers wziął później nagrodę w wysokości 500 dolarów za wydanie Nasha.]. Jego telefony szybko poskutkowały. Trzydzieści kilometrów na wschód od Hot Springs, w miejscowości

Benton, wyjechawszy z zakrętu, agenci FBI ze zdumieniem ujrzeli uzbrojonych mężczyzn ustawionych wzdłuż drogi. Lackey nie miał wyboru, musiał się zatrzymać. Jeden z mężczyzn podszedł i przedstawił się jako miejscowy szeryf. Wyjaśnił, że szuka porywaczy niejakiego pana Millera z Hot Springs. W odpowiedzi agenci pokazali swoje legitymacje i wyjaśnili, kim jest ich więzień. Po kilku chwilach napięcia szeryf dał znak, by jechali dalej.

Wiadomość o tym została przekazana Dutchowi Akersowi, który z kolei dostarczył ją Galatasowi. Fakt, że Galatas, zamiast się poddać, podwoił wysiłki, by wydobyć Nasha z rąk ludzi, o których już wiedział, że są agentami federalnymi, świadczy wymownie o skali korupcji w amerykańskich służbach publicznych w tamtym czasie. Galatas opuścił White Front i pojechał do obozu turystycznego Oak Park, żeby powiadomić o zdarzeniu żonę Nasha Frances. Kobieta wpadła w histerię, ale Galatas kazał jej się nie martwić, bo on wszystkim się zajmie. Następnie odwiózł Frances i jej córkę do domu przyjaciela. Stamtąd oboje, Frances i Galatas, zaczęli intensywnie telefonować. Jedną z pierwszych rozmów odbyli z mafijną meliną o nazwie O.P. Inn w Chicago. Tamtejszy barman obiecał wykonać stosowne telefony w imieniu Nasha.

Tymczasem Nash i jego „porywacze” spiechli do Little Rock, pokonując osiemdziesiąt osiem kilometrów w pięćdziesiąt osiem minut, zgodnie ze wskazaniem zegarka Lackeya. W pewnym momencie wyprzedził ich policyjny samochód. Kiedy podszli dwaj funkcjonariusze, Lackey pokazał legitymację i wyjaśnił, kim są. Policjanci eskortowali ich do granicy miasta, gdzie rozstali się po postoju na poboczu.

- Dokąd jedziecie? - spytał jeden z policjantów.

- Do Joplin - odpowiedział Lackey.

Lackey skierował się na północny zachód drogą 64.

- Mam nadzieję, że wydostaniemy się z tego stanu żywi - powiedział Nash chwilę później.

- Ja też - mruknął Lackey.

Wieść o tym, że Nasha widziano w Little Rock i że wiozący go agenci zmierzają do Joplin, dotarła do Hot Springs i Galatas niezwłocznie zadzwonił do Joplin, do Deafy Farmera, zwalistego oszusta, który półtora roku wcześniej wysłał Alvina Karpisa i Freda Barkera do St. Paul. Po krótkiej rozmowie Galatas odłożył słuchawkę i zwrócił się do Frances:

- **Wszystko będzie załatwione. Możesz się spotkać z Frankiem w Joplin.**

Trzysta kilometrów na północ od Hot Springs, pośród brązowiejących pól zachodniego Missouri, tego samego piątkowego popołudnia trwał zupełnie inny pościg. Policja z całego stanu, zaalarmowana porwaniem szeryfa Jacka Killingswortha, zorganizowała pościg, do którego wkrótce dołączyły dziesiątki miejscowych szeryfów i policjantów.

Floyd kierował się na północny zachód do Kansas City, mknąc drogą 83, a potem klucząc bocznymi drogami po powiecie Hickory. Pięćdziesiąt kilometrów za Boliver przejął kierownicę od Richettiego, który denerwował go swoim pijaństwem. Ku zdumieniu szeryfa Floyd był bardzo rozmowny. Killingsworthi ze swej strony robił wszystko, żeby pomóc swoim porywaczom. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli zostaną złapani, wyniknie strzelanina, a wcale nie chciał brać w niej udziału, ponieważ widział na kolanach Floyda automatyczny pistolet.

Wjechali do powiatu Henry, mniej więcej w połowie drogi do Kansas City. Floyd przez cały czas zachowywał zimną krew. Zatrzymali się przy jednym z wiejskich sklepów, żeby kupić batony i zimne napoje; Floyd zapytał sprzedawczynię, czy słyszała coś o porwaniu w Boliver. Odpowiedziała, że niedawno przejeżdżała tamtędy grupa policjantów, przekonanych, że porywacze zmierzają do granicy z Oklahomą. Floyd tylko się uśmiechnął.

Późnym rankiem policję zaskoczyła wiadomość, że samochód Floyda przejechał z wielką szybkością przez miasta Wheatland i Quincy. W końcu, za wioską Brownington, Floyd zobaczył we wstecznym lusterku samochód patrolu stanowego. Richetti chwycił pistolet. Floyd odbezpieczył swoją broń i spokojnie powiedział do szeryfa:

- Machnij, żeby odjechali.

Killingsworthi zdjął z głowy panamę i wystawiając rękę z kapeluszem za okno, zaczął nią gwałtownie wymachiwać. Poskutkowało, samochód wkrótce zniknął. Zostali jednak namierzeni, a Floyd nie zamierzał ryzykować. Trzy kilometry na zachód od Deepwater zwolnił i zaczął się rozglądać za innym środkiem lokomocji. Po kilku minutach minął ich pontiac.

- Ten by się nadał - stwierdził Floyd. Wcisnął pedał gazu, dogonił upatrzone auto i dał znak, żeby się zatrzymało.

Kierowca pontiaca, diakon baptystów Walter L. Griffith, nie krył zaskoczenia, kiedy Floyd otworzył jego drzwi i warknął:

- Przesuń się!

Griffith usłuchał; Richetti z Killingsworthem zajęli miejsca na tylnym siedzeniu, a Floyd usiadł za kierownicą i ruszył na północ. Powiedział Griffithowi, żeby się nie martwił.

- Wyglądasz na całkiem porządnego chłopca. Chyba pozwolę ci wyjść z tego cało.

W pewnym momencie nad drogą przed nimi przeleciał samolot. Floyd przyglądał mu się pochylony nad kierownicą. Około szóstej zjechał z drogi na wschód od Ottawy w Kansas, zatrzymując pontiaca w pobliskim wąwozie. Miał zamiar poczekać, aż się ściemni, i dopiero wtedy wjechać do Kansas City.

Frank Nash i trzej wiozący go agenci zatrzymali się na małą przekąskę w Conway w Arkansas. Agent Joe Lackey zadzwonił z budki do swojego szefa Ralpa Colvina z biura FBI w Oklahoma City. Colvin był bardzo zadowolony z aresztowania Nasha, ale nie podobała mu się wiadomość, że za jego dwoma agentami przez pustkowie Arkansasa ciągnie uzbrojony pościg. Kazał Lackeyowi zapomnieć o jeździe do Joplin, kierować się do Fort Smith i przesiąść się do nocnego pociągu do Leavenworth. Colvin sprawdził rozkład jazdy. Pociąg odjeżdżał z Fort Smith o wpół do dziewiątej wieczorem. W drodze do Leavenworth przejeżdżał przez Kansas City, miał tam być o siódmej rano. Colvin zadzwonił do Kansas City, żeby zorganizować im eskortę.

Tymczasem w Hot Springs Dick Galatas zawiózł Frances Nash i jej córkę na lotnisko, skąd samolot miał je zabrać do Joplin. Kiedy Frances oświadczyła, że jest zbyt przerażona, by polecieć, Galatas wsiadł do samolotu razem z nią by czuła się raźniej. O 5.45 wylądowali w Joplin, a przed nocą byli w domu Deafy Farmera w południowej części miasta.

- Niech diabli wezmą takie życie! Człowiek jest ciągle śledzony i cały czas musi się ukrywać - mówił Floyd. Znajdowali się w zacisznym wąwozie; Floyd siedział na trawie i rozmawiał z szeryfem Killingsworthem, który leżał z głową wspartą na kamieniu. Walter Griffith siedział w swoim pontiacu, jakby go pilnował, a Richetti chrapał beztrzesko na tylnym siedzeniu.

Im więcej Floyd mówił, tym bardziej wydawał się przygnębiony.

- Nie ma dla mnie odwrotu - stwierdził w pewnym momencie. - Zbyt wielu gliniarzy na mnie poluje. Nie mam wyboru, muszę walczyć. Nie dam się wziąć żywcem.

Killingsworth słuchał z uwagą.

- Dopadną mnie - ciągnął Floyd. - Prędzej czy później padnę naszpikowany ołowiem. Tak się to skończy. Mogło być inaczej, gdyby nie ta cholerna policja. Żyłbym uczciwie,

mieszkał z rodziną, pracował. Ale doszedłem do wniosku, że muszę być twardy i będę napadał na banki. Tylko sobie mogą za to podziękować.

Killingsworth, licząc na wzbudzenie współczucia u Floyda, wspominał o swojej rodzinie, o żonie i małym synku. Floyd uśmiechnął się krzywo.

- Nie powinieneś marnować ani jednego dnia - powiedział. - Jak byś się czuł, gdyby to na ciebie polowano dzień i noc, dzień i noc? Jak by ci się spało każdej nocy z tym na kolanach? - Dotknął pistoletu leżącego obok na trawie. - Ja też mam syna. Może ci się zdaje, że nie chciałbym go zobaczyć? Ty codziennie po powrocie do domu możesz być ze swoim synem, możesz z nim porozmawiać. A ja mojego widuję tylko od czasu do czasu. A teraz muszę trzymać się z daleka.

Po zmroku bez przeszkód wjechali do Kansas City. Około dziesiątej Floyd zatrzymał się w części miasta, gdzie znajdowały się pakownie towarów. Wysiadł z auta, żeby zadzwonić, a następnie podjechał do rogu Dziewiątej i Hickory. Wkrótce stanął obok nich drugi samochód. Killingsworth widział, że Floyd i Richetti przekładają do niego broń i jakąś skrzynię. Po minucie Floyd wrócił do pontiaca i kazał swoim dwóm więźniom wysiąść.

- Oczekajcie pięć minut, a potem przejdźcie tam i weźcie samochód powiedział, wskazując miejsce, gdzie zamierzał zostawić pontiaca. - Jedźcie do domu i do nikogo nie dzwońcie, bo będziecie obserwowani.

- Odjeżdżając, kazał Killingsworthowi wziąć zestaw kijów golfowych, które zostawił w bagażniku. - Będziesz miał coś po mnie na pamiątkę dodał.

- Nie potrzebuję niczego, żeby cię pamiętać - odpowiedział szeryf.

Fort Smith w Arkansas godz.8.30

Pociąg do Kansas City miał dziesięć minut opóźnienia. Trzej stróże prawa - Frank Smith, Joe Lackey i Otto Reed - byli zdenerwowani. Czekali na peronie, spoglądając to na tory, to na wyjście z dworca.

Nash stał przy nich zakuty w kajdanki. Nagle jakiś człowiek zbliżył się do Lackeya. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy przedstawił się jako reporter Associated Press i oznajmił, że znalazł się na stacji całkiem przypadkowo. Wskazując Nasha, spytał, kim jest więzień.

Do końca życia Joe Lackey przysięgał, że nie odpowiedział na pytania reportera. Jednak ktoś to zrobił. Pół godziny po tym, jak we czterech - trzech agenci i więzień - wsiedli do pociągu do Kansas City, doniesienie reportera dotarło do AP: „Frank Nash, jeden z ostatnich żyjących członków gangu Ala Spencera rabującego banki i pociągi przed dziesięciu laty, został dziś schwyty w Hot Springs w Arkansas przez trzech agentów Departamentu

Sprawiedliwości, którzy »porwali« go z ulicy tego kurortu”. Sześćoakapitowa notatka opisywała porwanie, ucieczkę i, co najbardziej zdumiewające, ujawniała, że agenci mają zamiar wsiąść do nocnego pociągu do Kansas City. Notatka dotarła do dziesiątków biur AP, między innymi tego w Hot Springs, gdzie Dick Galatas miał dobrych znajomych.

Nieświadomi przepływu informacji w APNash i trzech agenci podróżowali do Kansas City w przedziale A wagonu 11; Nash został przykuty do górnej kuszetki. Według rozkładu jazdy następnego dnia o siódmej rano mieli się znaleźć na Union Station w Kansas City.

W hotelowym pokoju niespełna trzy kilometry od peronu, z którego Frank Nash wsiadał do pociągu do Kansas City, Bonnie Parker odzyskiwała przytomność. Jak wspominała później jej rodzina, minęło aż sześć dni, nim Bonnie rozpoznała swoją siostrę Billie, która siedziała przy niej cały czas, ocierając chorej czoło i zmieniając opatrunki. Clyde także czuwał przy łóżku Bonnie, przez ten tydzień nie opuszczał jej na dłużej niż parę minut.

Znajdowali się w trudnym położeniu. Nie mogli zostać dłużej w Fort Smith. Clyde gorączkowo zastanawiał się nad wyborem bezpiecznego miejsca na rekonwalescencję Bonnie. W Dallas zbyt wiele by ryzykowali. Potrzebowali pomocy jakiejś zaufanej osoby, kogoś, kto potrafi się ukrywać. Im dłużej Clyde myślał, tym większej nabierał pewności, że w grę wchodzi tylko jeden człowiek. Postanowił, że jak tylko Bonnie będzie w stanie podróżować, uda się na poszukiwanie Pretty Boy Floyda.

Joptin w Missouri godz. 22.09

W domu Deafy Farmera zadzwonił telefon. Było to połączenie z Hot Springs, ktoś prosił Galatasa. Galatas przez chwilę słuchał, po czym bez słowa odłożył słuchawkę. Nastąpiła zmiana planów.

- Wiozą Franka pociągiem do Kansas City - oznajmił. Frances Nash szukała w myślach kogoś, kto mógłby uratować jej męża. Nadzieję pokładała w jednej tylko osobie, w najlepszym przyjacielu męża, Verne'em Millerze. Miller, dawny szeryf z Dakoty Południowej, który wszedł na przestępczą drogę po tym, jak skazano go za defraudację, stanowił wyjątek pośród gangsterów ze Środkowego Zachodu - mimo iż z powodzeniem rabował banki, dorabiał sobie jako płatny zabójca w służbie syndykatów z Chicago i Nowego Jorku. Miał opinię tak dobrego strzelca, że mówiono o nim, iż potrafi wypisać swe nazwisko serią z thompsona. Nordycki w typie, opanowany, prowadzący samotniczy tryb życia, napadał na banki u boku Harveya Baileya i Barkerów. W tym czasie mieszkał w Kansas City ze swoją dziewczyną.

O 22.17 Frances Nash dodzwoniła się do domu Millera przy Edgevale Road. Miller

wiedział już, że Nash został aresztowany; znajomy bootleger Frank „Fritz” Mulloy znalazł Millera na polu golfowym i przekazał mu wiadomość pozostawioną w Chicago.

- Co mam robić? - spytała Frances. - Co robić?

Miller ją zapewnił, że wszystkim się zajmie, po czym odłożył słuchawkę. Dwie godziny później telefon w domu Farmera znów zadzwonił.

- Ja odbiorę - powiedziała Frances. - Wiem, że musi być do mnie.

- Mówi Verne - odezwał się Miller. - Jestem na stacji. - Chodziło o Union Station w Kansas City.

Frances znów się załamała, zaczęła szlochać do słuchawki. - Nie przejmuj się tak bardzo - powiedział jej Miller. - Niedługo zobaczysz swojego Franka.

- Co mam robić? - chlipała Frances. - Gdzie mogę się z tobą spotkać? Nie mogę wrócić do domu. Nie mam dokąd pójść.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Miller wiedział, że sam nie poradzi sobie z uwolnieniem Nasha. Ze stacji zadzwonił do Zielonej Latarni w St. Paul, szukając Barkerów; nie wiedział, że są zajęci porwaniem Hamma. Zaczynało mu brakować czasu.

Kansas City w Missouri

17 czerwca, sobota godz.7.15

Pociąg wjeżdżał na tor 12 na Union Station. Joe Lackey, agent FBI o rzymskim nosie, wychylił się przez drzwi. Nie spał od czterdziestu ośmiu godzin i nerwy miał napięte do granic wytrzymałości. Wszyscy wiedzieli, że przeżarte korupcją Kansas City jak magnes przyciąga oszustów, alfonsów i gangsterów napadających na banki. Wszystkie ważne instytucje, od policji po komisje wyborcze, znajdowały się pod kontrolą politycznego bossa Thomasa J. Pendergasta, którego dochody z hazardu, prostytucji i narkotyków sięgały 30 milionów dolarów rocznie. (Jednym z trybów w rozbudowanej machinie Pendergasta był czterdziestodzie-więcioletni sędzia powiatowy Harry Truman, który następnego roku miał zostać wybrany do Senatu Stanów Zjednoczonych).

Według rozkładu jazdy pociąg miał po godzinnym postoju ruszyć do Leavenworth; jednak agenci byli zgodni, że pozostawanie w Kansas City choćby przez godzinę stanowi zbyt wielkie ryzyko. Dlatego biuro w Oklahoma City wraz z SAC z Kansas City Reedem Vetterlim, dwudziestodzie-więcioletnim mormonem o dziecięcej twarzy, wymyśliło inny plan. Vetterli zebrał oddział stróżów prawa, którzy mieli przewieźć Nasha samochodem ostatnie pięćdziesiąt kilometrów do Leavenworth.

Lackey z daleka wypatrzył Vetterlego, który w ciemnym garniturze stał na peronie z trzema innymi mężczyznami. Kiedy pociąg się zatrzymał, Lackey wyskoczył i Vetterli przedstawił mu swoich towarzyszy. Trzydziestoletni Ray Caffrey z Nebraski, poważny i niezbyt przystojny, miał ciemne włosy rozdzielone przedziałkiem biegnącym przez środek głowy. Dwaj pozostali, starsi, o dość niechlujnej powierzchowności, Frank Hermanson z wystającymi zębami i Bill „Red” Grooms, byli policjantami z Kansas City. Hermanson i Grooms przyjechali policyjnym opancerzonym autem.

Lackey przedstawił im sytuację i wrócił do wagonu po Nasha. Chwilę później trzej agenci wysiedli z pociągu, prowadząc więźnia. Nash miał na sobie białą koszulę rozpiętą pod szyją i kajdanki na rękach zasłonięte chustką do nosa. Plan przewidywał odwiezienie Nasha prosto do Leavenworth pod eskortą opancerzonego samochodu; przy odrobinie szczęścia mieli szansę wrócić w porze lunchu.

Niewiele się odzywając, siedmiu ludzi otoczyło Nasha, formując coś w rodzaju klina. Szybko zeszli po schodach w rozległą czeluść Union Station, mimo wczesnej pory wypełniana już podróżnymi. Agent Caffrey szedł z tyłu, trzymając lufę pistoletu kalibru.38 wciśniętą między żebra Nasha. Ludzie z ciekawością odwracali głowy, kiedy ta dziwna grupa przemierzała niebezpiecznie otwartą przestrzeń dworca i przez łuk głównego wyjścia skierowała się na parking. Lottie West, pracownica Towarzystwa Pomocy Podróżnym, stała przed restauracją Freda Harveya, gwarząc z kierownikiem, kiedy minęło ją ośmiu mężczyzn.

- To musi być Pretty Boy Floyd - powiedziała pani West, wskazując na więźnia. Poranne gazety zamieściły wiadomość, że Floyd przybył do miasta poprzedniego wieczoru, i wszyscy tylko o tym rozmawiali.

Grupa przeszła przez plac do dwudrzwiowego chevroleta agenta Caffreya stojącego w pierwszym rzędzie. Na parkingu zaczynał się ruch; do krawężnika podjeżdżały taksówki, trzy zakonnice kręciły się w pobliżu. Caffrey otworzył drzwi od strony pasażera, wpuszczając na tylne siedzenie Joego Lackeya i Otto Reeda.

- Ty siadaj z przodu - zwrócił się Lackey do Nasha. - Pojedziemy tak jak z Hot Springs. Będziemy cię mogli wszyscy mieć na oku.

Nash wcisnął się na przednie siedzenie. Frank Smith dołączył do Reeda i Lackeya z tyłu. Policjanci Grooms i Hermanson czekali przy przednim prawym kole. Vetterli stał z boku samochodu w takiej pozycji, jakby zamierzał usiąść koło Nasha. Ray Caffrey przecisnął się obok dwóch policjantów i obszedł samochód z przodu, żeby zająć miejsce za kierownicą.

Nagle ktoś od strony, w którą zwrócony był przód auta, zawołał:

- Ręce do góry!

Wszystkich siedmiu stróżów prawa odwróciło się w tamtą stronę. Ułamek sekundy potem wybuchła strzelanina.

- Dołożyć im! - krzyknął jakiś głos.

Grad kul z broni maszynowej zagrzechotał o karoserię samochodu. Dwaj policjanci, Red Grooms i Frank Hermanson, podrygiwali jak marionetki, na ich piersiach i twarzach wykwitały plamy krwi; obaj byli martwi, nim upadli na ziemię. Na przednim siedzeniu głowa Franka Nasha eksplodowała. Siedzącego za nim Otto Reeda spotkało to samo.

Ray Caffrey, rzucony na maskę, zsunął się bezwładnie na chodnik. Yetterlemu kula przeszła prawe ramię. Upadł obok samochodu, moment później poderwał się na nogi i pobiegł w stronę stacji; serie puszczone jego śladem wzniecały pył z ziemi. Siedzący z tyłu Lackey uniósł pistolet, ale trafiony trzema kulami opuścił rękę; nadal żywy, zgiął się wpół, udając martwego, podobnie jak obok niego Frank Smith. Obaj siedzieli z głowami wciśniętymi między kolana, kiedy strzelanina wreszcie ustała. Usłyszeli zbliżające się kroki.

- Wszyscy nie żyją - powiedział ktoś przy aucie.

Później nazwano to zdarzenie masakrą w Kansas City. Wówczas było to drugie pod względem skali i brutalności morderstwo popełnione na stróżach prawa w historii Ameryki i wstrząsnęło całym narodem. Nastąpiło niecałe czterdzieści osiem godzin po porwaniu Williama Hamma i wywołało falę oburzenia, która dotarła nawet do biurka Franklina Roosevelta w Gabinetcie Ovalnym.

Wojna z przestępczością się rozpoczęła.

3

CHŁOPCY Z KOLEDZU WCHODZĄ DO GRY

/ 7 czerwca - 22 lipca 1933

Ktokolwiek to zrobił, musi zostać wyeliminowany, i to musi zostać wyeliminowany przez nas. J. Edgar Hoover w sprawie masakry w Kansas City

Byliśmy gromadą żółtodziobów, którzy nie mieli pojęcia, co robią.

DAWNY AGENT SPECJALNY KENNETH McINTIRE, 1983

Kansas City

17 czerwca, sobota godz.7.20

- Ten tutaj żyje! On żyje!

Chmura dymu po strzelaninie wciąż jeszcze unosiła się nad parkingiem przed Union Station, kiedy pierwsi gapie podbiegli do samochodu agentów. Ray Caffrey leżał na ziemi przy przednim błotniku; oczy miał otwarte i bezgłośnie poruszał ustami - to były ostatnie minuty jego życia. Niecałe dwa metry dalej dwaj detektywi z Kansas City leżeli w coraz większej kałuży krwi; głowa Reda Groomsa spoczywała na piersi Franka Hermansona. W aucie rzucony na siedzenie kierowcy Frank Nash miał otwarte usta i głowę odchyloną do tyłu; strużki krwi spływały mu po szyi i wsiąkały w białą koszulę. Ciało Otto Reeda na tylnym siedzeniu wyglądało jeszcze gorzej.

Pierwszą osobą, która znalazła się przy ostrzelanym chevrolecie po ucieczce napastników, był Mike Fanning, policjant pełniący w tym czasie służbę na dworcu. Oddał kilka strzałów do odjeżdżającego w pośpiechu sedana. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Otworzywszy drzwi, wycelował pistolet w mężczyzn znajdujących się w środku i kazał im wysiąść.

- Nie strzelaj, jestem agentem federalnym - odezwał się Frank Smith, podnosząc rękę do góry. Miał lzy w oczach, kiedy spojrzął na swego starego przyjaciela Otto Reeda. Po jego lewej stronie Joe Lackey jęczał z bólu. Został trafiony w plecy trzy razy. - Spokojnie, spokojnie - zwrócił się Smith do Lackeya. - Wyjdiesz z tego.

SAC z Kansas City Reed Vetterli podbiegł, pomógł wyciągnąć Lackeya na zewnątrz i ułożyć go na chodniku. Smith podtrzymał w ramionach głowę rannego kolegi.

- Nic mi nie będzie - wyszeptał Lackey. - Zajmij się innymi. Wokół zbierał się tłum - biznesmeni w słomkowych kapeluszach, taksówkarze w płaskich czapkach, paru farmerów w płóciennych kombinezonach. Ktoś pośliznął się w coraz większej kałuży krwi. Jakaś kobieta krzyczała. Spragniona sensacji reporterka podeszła blisko, brudząc sobie białe buty na czerwono. Po paru minutach zjawily się karetki, Lackey został zabrany do szpitala; wyzdrowiał i wrócił do służby po kilku tygodniach. Vetterli, z lekko krwawiącym ramieniem, udał się pospiesznie do biura FBI w budynku Rezerwy Federalnej. Zadzwoił do Waszyngtonu i natychmiast połączono go z dyrektorem.

- To była masakra, panie Hoover - powiedział do słuchawki. - Ray Caffrey nie żyje. Joe Lackey może z tego nie wyjść. Dwaj detektywi z Kansas City i szef policji z McAlester w Oklahomie zginęli. Podobnie jak Frank Nash. - Przez chwilę słuchał. - Cóż, straciłem dobry letni płaszcz i koszulę... Nie, nie pojechałem do szpitala... Tak jest, pójdę do lekarza.

Jednego z agentów wysłano do domu Raya Caffreya, żeby przekazał smutną wiadomość żonie. Pozostali udali się na parking przed Union Station, żeby przesłuchać

świadków. Ludzie tłoczyli się tam przez cały ranek i nie brakowało takich, którzy twierdzili, że widzieli zabójców. Jednakże zeznania wypełniające notatniki agentów miały niewielką wartość. Zamachowcy używali jednego samochodu, nie dwóch. Tych, co strzelali, było dwóch, a może trzech. Ktoś widział pięciu. Zamachowcy byli wysocy i szczupli albo niscy i grubi, może ogorzali na twarzach, a może nie. To były trudne początki śledztwa, które miało się okazać niezwykle wyczerpujące.

Tego ranka FBI dostało jednak wielką szansę. W Joplin Dick Galatas wrócił już do Hot Springs, ale reszta konspiratorów - Frances Nash, Deafy Farmer i jego żona - wpadła w panikę, usłyszawszy przez radio wiadomość o masakrze. Frances zupełnie się załamała.

- Nie wierzę, nie wierzę! - powtarzała w kółko.

Wszyscy troje zrobili jedno, co im pozostało: uciekli. Przed drugą zniknęli... ale nie bez śladu. Pewna kobieta mieszkająca w pobliżu - i korzystająca z tej samej linii - usłyszała coś podejrzanego przez telefon i doniosła o tym policji w Joplin, która wkroczyła do domu Farmera w południe*[* Akcją kierował szef detektywów z Joplin Ed Portley, który później napisał cykl artykułów prasowych o swoim pościgu za Bonnie i Clyde'em po morderstwach popełnionych przez nich wiosną w Joplin.]. Zastali jedynie gospozię, lecz mimo to zatelefonowali do Kansas City. Dwóch agentów FBI wskoczyło do samochodu i następnego ranka przyjechało do Joplin, na wypadek gdyby ktoś wrócił.

W porze lunchu, zaledwie pięć godzin po wystrzeleniu ostatniej kuli przy Union Station, Hoover zastanawiał się, komu powierzyć kierowanie dochodzeniem, najważniejszym w dotychczasowej historii Biura*[* Nikt nie zwracał uwagi na fakt, że Biuro nie miało uprawnień do badania sprawy masakry. Zamordowano wprawdzie jednego z agentów należących do Biura, ale w owym czasie zabicie agenta federalnego nie było jeszcze przestępstwem federalnym. Stosowne prawo uchwalono dopiero następnej wiosny.]. Ludzie Reeda Vetterlego byli świeżo upieczonymi absolwentami koledżów, wprawdzie bystrymi, ale żaden nie nadawał się do prowadzenia śledztwa. Hoover niewielu miał profesjonalnych, dojrzałych śledczych, potrafiących się wykazać zarówno dyplomacją, jak i ulicznym sprytem. Ray Caffrey był trzecim zabitym agentem w historii Biura. Hoover postanowił sprowadzić na miejsce człowieka, który zajmował się wyjaśnianiem pierwszego zabójstwa. Zadzwoił do San Antonio po Gusa Jonesa*[* Jones zyskał wysoką pozycję w Biurze dzięki roli, jaką odegrał w śledztwie dotyczącym pierwszego zabójstwa agenta FBI na służbie, Eda Shanahana. Shanahan, wysoki, szczupły, był agentem z Chicago; pewnego wieczoru w październiku 1925 r. podszedł do auta blokującego mu drogę w garażu w centrum miasta i zastukał do okna kierowcy. Na nieszczęście dla niego kierowcą okazał się złodziej

samochodów Martin Durkin. Kiedy Shanahan pokazał legitymację służbową i poprosił go, żeby przesunął swój pojazd, Durkin wyciągnął pistolet i strzelił mu w pierś].

Hoover uznał schwytanie Durkina za absolutny priorytet i przez następne trzy miesiące agenci w całym kraju pracowali także wieczorami i w weekendy, by w końcu trafić na trop Durkina w Nowym Jorku, potem w Los Angeles i San Diego. Z Kalifornii Durkin wyruszył wraz z żoną na wschód przez Arizonę i Nowy Meksyk, ale w Pecos w Teksasie miejscowy funkcjonariusz z biura szeryfa zauważył pistolet na przednim siedzeniu jego samochodu. Durkin wprawdzie pojechał dalej, lecz sze ryf zawiadomił biuro FBI w El Paso. Zorganizowano poszukiwania i znaleziono auto Durkina porzucone w pobliżu podczas styczniowej śnieżycy. To Jones odkrył, że Durkin wsiadł do pociągu jadącego do Chicago. Agenci aresztowali mordercę w okolicach St. Louis.

Jones, od 1921 roku SAC w San Antonio, był typowym przedstawicielem „kowbojów”, których Hoover zatrudnił w liczbie około dziesięciu, żeby szkolili jego „chłopców z koledżu” i prowadzili ważniejsze sprawy. Pięćdziesięcioletni Jones wyglądał jak uosobienie mieszkańca teksaskiego pogranicza; zwalisty, o okrągłej twarzy, z rzędnącymi jasnymi włosami. Nosił okulary w drucianej oprawie i miał upodobanie do ogromnych kapeluszy. Urodził się w San Angelo w 1882 roku, w rodzinie, z której pochodziło wielu przedstawicieli prawa działających w zachodnim Teksasie. Jego ojciec został zabity podczas jednej z potyczek z Indianami, jakie miały miejsce pod koniec XIX wieku. W latach pierwszej wojny światowej jako szef agentów w El Paso Jones zajmował się głównie przechwytywaniem dostaw broni skierowanych do Pancho Villi i innych meksykańskich rewolucjonistów. Po przeniesieniu do San Antonio stał się jednym z najlepszych pracowników Hoovera.

Po rozmowie z Hooverem wsiadł do samolotu i wylądował w Kansas City o wpół do trzeciej nad ranem w niedzielę, siedemnaście godzin po masakrze. W centrum miasta odbył konferencję z Vetterlim i jego ludźmi, a o dziesiątej zabrał dwóch z nich na spotkanie z nowym szefem policji w Kansas City Eugene Reppertem. Reppert, jeden z pionków w drużynie Pendergasta, już pracował nad wymiganiem się od wszelkiej odpowiedzialności za masakrę; opowiadał dziennikarzom, że aresztowanie Nasha było operacją prowadzoną przez FBI.

- Wpakowaliście nas w to bagno - powiedział do Jonesa¹. Jones zapewnił, że Biuro jest gotowe udzielić policji wszelkiej możliwej pomocy w śledztwie, na co Reppert odparł, że nie ma zamiaru prowadzić żadnego śledztwa w związku z masakrą. - To sprawa rządu, nie policji - stwierdził.

Później Jones wyznał, że nigdy wcześniej nie słyszał czegoś równie zdumiewającego z ust szefa policji; dwóch jego ludzi nie żyło, a on nie miał zamiaru prowadzić śledztwa. FBI mogło się tylko zastanawiać dlaczego.

Biuro pozostało zdane na siebie. Nikt nie mówił tego głośno, ale wśród ludzi Hoovera byli i tacy, którzy wątpili, czy poradzą sobie z tak skomplikowanym dochodzeniem. FBI nigdy dotąd nie miało do czynienia z podobną sytuacją. Gus Jones zastanawiał się, co zrobią bezbronni agenci, jeśli przyjdzie im stanąć twarzą w twarz z dobrze uzbrojonymi zamachowcami. Hoover przysłał mu depezę z poleceniem, by użył wszelkich środków do schwytania zabójców.

- Jakich? Rurek do strzelania grochem? - brzmiała odpowiedź Jonesa.

Nagle nieoficjalny zakaz noszenia broni przez agentów FBI został uchylony. W Waszyngtonie jeden z najbardziej zaufanych ludzi Hoovera, Clyde Tolson, zdobył dwa pistolety maszynowe i wysłał je do Kansas City.

Wróciwszy do siedziby FBI, Jones zwołał spotkanie, by omówić główne wątki śledztwa. Niektórzy z agentów uważali, że masakra była skutkiem zamachu dokonanego przez mafię na Franka Nasha. Jones był raczej skłonny sądzić, że chodziło o nieudaną próbę odbicia więźnia. Wytypowano paru głównych podejrzanych. Dwie najbardziej prawdopodobne teorie brane pod uwagę przez agentów były już omawiane przez gazety w Kansas City. Jedna zakładała, że za zabójstwami stał Pretty Boy Floyd. Uwolniony po porwaniu szeryf Killingsworth udzielił kilku wywiadów i wszędzie pisano o przybyciu Floyda do Kansas City. Problem polegał na tym, że z dziesiątków świadków tylko jedna osoba, Lottie West ze Stowarzyszenia Pomocy Podróżnym, zidentyfikowała Floyda. W istocie pani West twierdziła, że widziała Floyda siedzącego przy jej biurku, kiedy zjawiała się w pracy. Choć tę opowieść cytowano w wielu gazetach, żaden z agentów nie brał jej poważnie.

Druga teoria, o mocniejszych podstawach, opierała się na pogłoskach, że Nash zorganizował ucieczkę Harveya Baileya i dziesięciu innych skazanych z zakładu karnego w Kansas City 31 maja. Jones wysuwał hipotezę, że grupa Baileya próbowała uwolnić Nasha i z jakiegoś powodu na koniec go zabiła. Teoria zyskała na wiarygodności, kiedy kilku naocznych świadków masakry rozpoznało na zdjęciach Baileya jako jednego z zamachowców. Najlepszym z nich był biznesmen Samuel Link. Oświadczył, że tego ranka wysiadł ze swojego samochodu zaparkowanego tuż obok reo sedana w tym samym momencie, gdy człowiek rozpoznany przez niego jako Bailey wysiadł z reo, strącając Linkowi kapelusz z głowy. Link twierdził też, że widział, jak Bailey i towarzyszący mu drugi mężczyzna strzelali do samochodu agentów. A co najlepsze, Link w 1926 był

funkcjonariuszem z biura szeryfa w Kansas City i raz widział Bailey'a na ulicy. Wskazał zdjęcie jednego ze skazanych, którzy uciekli razem z Bailey'em, krwawego gangstera z Oklahomy Wilbura Underhilla - nazywanego przez gazety „The Tri-State Terror” - rozpoznając na nim drugiego z zamachowców.

Najlepszymi świadkami powinni być trzej agenci, którzy przeżyli strzelaninę: Vetterli, Lackey i Frank Smith. Jednak ich relacje rozczarowały śledczych. Przesłuchany na szpitalnym łóżku Lackey powiedział, że widział dwóch strzelających, ale nie jest w stanie ich zidentyfikować; okna samochodu były tak brudne, że niewiele przez nie widział. Smith natomiast widział jednego z zabójców i też go nie rozpoznał, a potem, w trakcie strzelaniny, siedział z głową wciśniętą w kolana. Jedynie Vetterli udzielił konkretnych informacji; powiedział, że rozpoznał człowieka trzymającego pistolet maszynowy: był to „Big” Bob Brady, gangster z Oklahomy trudniący się napadaniem na banki, który uciekł wraz z Bailey'em. W niedzielę wieczorem Jones zdecydował się skupić wysiłki Biura na znalezieniu Bailey'a i pozostałych uciekinierów. Przygotowano listy gończe.

W niedzielę wieczorem, trzydzieści sześć godzin po strzelaninie, głównym wątkiem śledztwa była seria podejrzanych telefonów z Hot Springs do domu Deafy Farmera na południe od Joplin, odkrytych przez agentów z biura w Oklahoma City. Można było z nich wnioskować, że ktoś z Hot Springs dzwonił do Farmera, by uwolnił Nasha. Teraz należało się dowiedzieć, do kogo Farmer dzwonił w Kansas City. Zapis połączeń znajdował się w St. Louis. O dziwo, Reed Vetterli postanowił napisać list do firmy telefonicznej, zamiast po prostu tam zadzwonić. Odpowiedź nadeszła dopiero po czterech dniach, co dało dość czasu Verne'owi Millerowi i reszcie sprawców masakry, by zniknąć.

Tamtego sobotniego wieczoru, piętnaście godzin po masakrze w Kansas City, pośrednik wybrany przez Williama Hamma, Billy Dunn, opuścił St. Paul fordem coupe, z którego wyjęto drzwi. Usunięcie drzwi było pomysłem Shotguna George'a Zieglera; uznał, że w ten sposób nikt nie będzie się mógł ukryć w środku i ich zaskoczyć. Na podłodze obok Dunna leżała teczka ze 100 000 dolarów w gotówce.

Wyjazd Dunna nastąpił po trzech wiadomościach od porywaczy Hamma. Pierwsza została dostarczona do apteki w pobliżu domu Dunna: „Jesteś tak cholernie sprytny, że przez ciebie obaj skończycie martwi. Dlatego chcemy, żebyś osobiście przekazał pieniądze, bo jak będzie jakiś przekręt, z przyjemnością damy ci w łeb”.

W sobotę rano ktoś zostawił drugą wiadomość w samochodzie jednego z pracowników browaru. Zawierała wskazówki, jak dostarczyć okup, i ostrzeżenie dla Dunna, żeby przyszedł sam: „Wciągnąłeś w to gliniarzy, to teraz się pozbądź tych dupków”. SAC w

St. Paul Werner Hanni rozważał zastawienie pułapki na porywaczy w czasie przekazywania okupu. Skorumpowany detektyw Tom Brown zawiadomił Barkerów. Tego popołudnia Dunn otrzymał trzecią wiadomość: „Jeśli już skończyłeś z tymi wygłupami, to damy ci szansę. Przede wszystkim odczep się od gliniarzy”.

Tuż po dziesiątej wieczorem Dunn pojechał na północ drogą 61. Minął miasto White Bear Lake i w ciemnościach dalej zmierzał na północ. Przed Pine City, mniej więcej w połowie drogi do Duluth, wyprzedził go jakiś samochód pędzący ponad sto dziesięć kilometrów na godzinę. Zanim przejechał następny. Dunn zwolnił i patrzył, jak oba auta zjeżdżają na pobocze. Pozwolili mu się wyminąć, po czym znów go wyprzedzili. Po kilku minutach Dunn zobaczył przed sobą światła reflektorów. Mrugnęły pięć razy. To był sygnał. Zatrzymał samochód i wyrzucił pieniądze.

Dunn pojechał do Duluth, gdzie, jak mu powiedziano, Hamm miał czekać w hotelu New Duluth. Nie było go tam. Wkrótce potem do Dunna dołączył tajny łącznik porywaczy Tom Brown oraz jeszcze jeden detektyw. Czekali całą noc, ale Hamm się nie pojawił.

Fred Barker i George Ziegler wrócili do meliny w Bensonville następnego ranka i rzucili teczkę na kuchenny stół.

- Zorganizuj trochę piwa od Hamma - zarządził Ziegler. - Mam wrażenie, że będzie mi najbardziej smakowało przez długi czas.

Następnego ranka o świcie, po całej nocy spędzonej za kierownicą w drodze powrotnej do Minnesoty, Karpis zostawił Williama Hamma z zawiązanymi oczyma w szczerym polu w okolicy miasta Wyoming. Po kilku minutach Hamm zdjął przepaskę z oczu i dotarł do pobliskiej farmy, skąd zadzwonił do matki do Minneapolis. W południe był już w swojej posiadłości; oszołomiony stał naprzeciw tłumowi reporterów.

Kilku członków gangu również wróciło tego ranka do Bliźniaczych Miast (St. Paul i Minneapolis) i gdyby nie interwencja Toma Browna, kariery Barkerów zakończyłyby się tego dnia na dobre. Sąsiedzi z Yernon Street, gdzie Fred Barker wynajmował dom, zauważyli jego dziwne zwyczaje oraz ciągłe przyjazdy i odjazdy wielkich samochodów i zaczęli żartować, że dom zajmują gangsterzy, może nawet porywacze Hamma. Kiedy tego ranka członkowie gangu wysypali się z buicka, jeden z sąsiadów rzucił dowcipnie: „Przyjechały pieniądze z okupu”. Nie wszyscy żartowali. Pewien młody człowiek był na tyle podejrzliwy, że zadzwonił do wydawcy „St. Paul Pioneer Press”. Wydawca z kolei powiadomił policję, która - na szczęście dla Barkerów - zleciła zajęcie się sprawą Tomowi Brownowi. Brown wymknął się z biura i zadzwonił do przyjaciela, który ostrzegł Barkerów. Przez cały wieczór sąsiedzi obserwowali, jak członkowie gangu biegają po domu, trzaskając drzwiami, i wrzucają walizki

do samochodów. Kiedy następnego dnia rano dwaj funkcjonariusze przybyli zbadać sytuację, zastali dom całkiem pusty.

Do tamtego poniedziałku, kiedy Barkerowie pospiesznie wynosili się z St. Paul, reszta gangu zdążyła się już ulokować w Chicago. Tam ze zdumieniem przeczytali w gazetach o masakrze w Kansas City. Wszyscy w jakikolwiek sposób związani z gangiem wiedzieli, że zrobił to Verne Miller, żeby ratować swego najlepszego przyjaciela Franka Nasha.

Na przedmieściach Maywood Volney Davis, przyjaciel Docka Barkera, przez cały ranek nerwowo krążył po swoim mieszkaniu na pierwszym piętrze.

- Ta strzelanina z pewnością podgrzeje sytuację - powiedział do swojej dziewczyny, Edny „Rabbits” Murray.

Davis i Murray wciąż się zastanawiali, co robić, gdy około południa usłyszeli klakson. Murray podeszła do okna. Ku swemu przerażeniu ujrzała jasną czuprynę Verne’a Millera.

- Curly jest w domu? - spytał Miller.

- Jest - odparła Murray. Davis podszedł do okna.

- Zejdź na dół na chwilę - polecił mu Miller.

Murray patrzyła, jak Davis schodzi po schodach, wprowadza samochód Millera do garażu po drugiej stronie ulicy, a następnie wręcza Millerowi kluczyki od swojego auta. Potem Miller wszedł na górę i ciężko usiadł na sofie.

- Jestem wykończony. Nie było łatwo się wydostać z Kansas City. Macie jodynę? - Kiedy Murray dezynfekowała mu niewielkie skaleczenie na palcu wacikiem namoczone w jodynie, popadł w pesymistyczny nastrój. - Jestem najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju - oświadczył ponuro. - Wiem, że kiedyś będę za to wisiał. Dzień przed tym, kiedy to się stało, rozmawiałem z żoną Nasha i powiedziałem jej, że zrobię dla Franka wszystko, co będę mógł. Ona mnie wskaże².

Następnego dnia Miller wrócił ze swoją dziewczyną Vi Mathias. Zostali w mieszkaniu Davisa trzy dni, a potem zniknęli.

Masakra w Kansas City, dziesięć sekund strzelaniny, w której śmierć poniosło pięciu ludzi, na zawsze zmieniła prawny krajobraz Ameryki. Ustawiła FBI na wojennej stopie, co w następnych miesiącach miało zmienić tę instytucję w pierwszą w kraju federalną siłę policyjną. Prawdopodobnie dzięki niej Hoover zachował posadę; sześć tygodni później został oficjalnie mianowany dyrektorem Biura. Co najważniejsze, doprowadziła do publicznie ogłoszonej wojny z przestępczością, w której wkrótce ludzie Hoovera mieli się po raz pierwszy zmierzyć z prawdziwymi przestępcami.

Nie stało się to z dnia na dzień. Wbrew legendzie, następnego dnia wcale nie odbyła

się konferencja prasowa, na której Hoover miał zapowiedzieć wojnę z gangsterami. Owszem, odbierał w swoim biurze telefony od dziennikarzy, ale wypowiadał się jedynie na temat samej masakry.

- Nie spoczniemy, dopóki nie schwytemy sprawców - powiedział reporterom „Kansas City Star” kilka godzin po strzelaninie. - Nawet gdyby się to okazało zadaniem na lata, doprowadzimy sprawę do końca.

Tak naprawdę inicjatorem szeroko zakrojonej wojny z przestępczością nie był Hoover, lecz jego nowy szef, prokurator generalny Homer Cummings, który przez całą wiosnę badał możliwość podjęcia ogólnokrajowej akcji przeciwko zorganizowanej przestępczości. Masakra dała rządowi pretekst, by sprzedać ten pomysł narodowi. Dwanaście dni po masakrze, 29 czerwca, Cummings ogłosił serię przedsięwzięć, które składały się na nową wojnę z przestępczością: zatrudnienie specjalnego prokuratora Josepha Keenana, wydanie pakietu ustaw, według których zabicie agenta federalnego stanowiło przestępstwo federalne, oraz utworzenie wewnątrz struktur Biura oddziałów specjalnych do prowadzenia śledztw w najważniejszych sprawach. Cummings dawał do zrozumienia, że zastanowi się nad stworzeniem federalnych sił policyjnych, zbudowanych wokół Biura i zasilonych agentami z mającego wkrótce ulec rozwiązaniu Biura do spraw Prohibicji. „New York Times” pisał o tym na pierwszych stronach.

- Przestępczość rozpanoszyła się do takiego stopnia, że rząd musi interweniować i starać się zdusić tę podziemną armię - powiedział Cummings do reporterów w pierwszym z serii wywiadów, jakich udzielał tamtego lata. - Jesteśmy zaangażowani w wojnę - oznajmił Córóm Amerykańskiej Rewolucji w sierpniu - która zagraża bezpieczeństwu naszego kraju, w wojnę ze zorganizowanymi siłami przestępczymi.

Publiczna reakcja na tę nową „wojnę” wahała się między poparciem i zwątpieniem. „Rzadko ma miejsce tak rażące lekceważenie prawa, jak w pamiętną sobotę w Kansas City”, pisał „Washington Post”. Tyle że przedstawiciele rządu już wcześniej nawoływali do wojen przeciwko gangsterom i wielu ludzi wątpiło, by FBI czy jakakolwiek inna agencja była w stanie cokolwiek zmienić. „Urzednicy z Departamentu Sprawiedliwości są świetni w znajdowaniu i aresztowaniu fałszerzy - pisał jeden z felietonistów. - Może równie dobrze sobie poradzą z bandytami mordującymi w biały dzień”.

Wzywanie do wojny z przestępczością nie było bezinteresowne; Cummings chciał zwrócić uwagę na swoje kurczące się ministerstwo i doprowadzić do jego rozwoju. Nie można powiedzieć, by natychmiast zyskał szerokie poparcie dla swojej polityki, to miało się stać później. W istocie zainteresowanie opinii publicznej nowymi zadaniami FBI

- wyjaśnieniem masakry w Kansas City i porwaniem Hamma - było raczej nikłe w porównaniu z tym, jakie wzbudziło chociażby porwanie syna Lindbergha; obszerne relacje prasowe ukazywały się właściwie tylko na Środkowym Zachodzie.

Jednak apel Cummingsa doskonale współgrał z pragnieniami zwolenników Nowego Ładu w gabinecie Roosevelta; podchwycili oni nawoływania prokuratora generalnego i wpisali je w kontekst rządowej walki ze skutkami Wielkiego Kryzysu. Jesienią wojna z przestępczością miała się stać kluczowym argumentem w dążeniach Roosevelta do centralizacji wielu dziedzin amerykańskiej władzy. W styczniu stanowiła główny punkt prezydenckiego orędzia o stanie państwa. I tak mało znana instytucja działająca przy Departamencie Sprawiedliwości posłużyła Rooseveltowi do przecierania szlaku przy wprowadzaniu polityki Nowego Ładu. Gdyby Hooverowi i jego agentom neofitom udało się pokonać najgroźniejszych gangsterów, byłby to szybki i namacalny dowód na wartość nowej doktryny.

Kierując się tymi założeniami, w krótkim czasie po masakrze przyznano Hooverowi obfite środki: zatrudniono nowych agentów i wysłano ich na szkolenia, zakupiono broń i pokazano agentom, z grubsza, jak jej używać. Początkowo program szkolenia w zakresie obchodzenia się z bronią był, oględnie mówiąc, dość chaotyczny. Agenci z Nowego Jorku trenowali na farmie jednego z kolegów, strzelając do dyn i butelek po napojach, podczas gdy biuro w Cincinnati wymusiło na miejscowej policji, by uczyła ich ludzi. W Chicago szef agentów po prostu rozdał swoim podwładnym pistolety ze słowami: „Macie, chłopcy. Nauczcie się z nich strzelać”³. „W Kansas City mieliśmy jeden pistolet kalibru.32 - wspominał jeden z tamtejszych agentów. - To było wszystko. Pewnego razu kazano mi zabrać tę broń i trochę kul i przyjść do biura. Kiedy tam przyszedłem, odkryłem, że kule nie pasują do pistoletu”⁴.

Tak wyglądał stan armii młodych agentów dowodzonej przez Hoovera, któremu wyznaczono misję dostarczenia Białemu Domowi zwycięstw w dwóch wiodących śledztwach prowadzonych w ramach wojny z przestępczością. Te dwie odrębne sprawy szybko zaczęły się ze sobą łączyć. Pięć dni po masakrze, w czwartek 22 czerwca, agent Gus Jones otrzymał telefon z biura w St. Paul. Tamtejsi agenci prowadzący sprawę porwania Hamma przeszukali dom wynajmowany przez Freda Barkera. Nie mieli pojęcia, kto tam mieszkał, ale odciski palców zdjęte z butelek po piwie okazały się należeć do Franka Nasha[* Nash odwiedził Barkerów w St. Paul na tydzień przed porwaniem, o czym Biuro dowiedziało się dopiero po wielu miesiącach.]. Ludzie Hoovera zadali sobie pytanie: czy Frank Nash był zamieszany w porwanie Hamma?

Tego samego ranka do biura w Kansas City dotarł wreszcie wykaz rozmów telefonicznych Deafy Farmera. To, co odkryli agenci, zmieniło bieg śledztwa; cała seria rozmów skierowana była pod adres 6612 Edgevale w Kansas City. Znalezione tam pusty dom. Agent Dwight Brantley w towarzystwie administratora nieruchomości oraz policjanta z Kansas City nadzorowali przeszukanie*[* Pochodzący z Karoliny Północnej Dwight Brantley służył w FBI od 1924 do 1950. W 1957 został komendantem policji w Kansas City. Zmarł w 1967 w wieku 68 lat.]. W szufladzie biurka znaleźli plik papierów, głównie rachunków za telefon i prąd wystawionych na rodzinę Vincenta Moore'a. W piwnicy Brantley odkrył puste butelki po piwie, a także siedmiolitrową bańkę na mleko wypełnioną gwoździami dekarскими.

Wezwano specjalistę z FBI zajmującego się zbieraniem odcisków palców i po kilku godzinach dokonano identyfikacji: Vincent Moore naprawdę był Verne'em Millerem, co już wcześniej zaczęło podejrzewać kilku agentów znających Franka Nasha. Tydzień później, 6 lipca, gazety w Kansas City ujawniły wyniki dochodzenia, wymieniając Millera i dwóch miejscowych bandytów jako sprawców masakry. Dla FBI Miller stał się najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju. Po kilku dniach polowanie zaczęło przynosić rezultaty. Deafy Farmer i jego żona zostali aresztowani 7 lipca, kiedy z niewyjaśnionych powodów wrócili do Joplin. Agenci wysłedzili Frances Nash w domu krewnych w Illinois i objęli ją nadzorem. Po paru dniach przesłuchań wszyscy troje załamali się i zaczęli mówić; o locie z Hot Springs, telefonach do Millera. Żadne jednak nie potrafiło udzielić odpowiedzi na najistotniejsze dla FBI pytanie: Gdzie w tym momencie znajdował się Miller? I kim byli jego wspólnicy?

Gus Jones sporządził listę bandytów, którzy mogli wchodzić w grę. Znaleźli się na niej Pretty Boy Floyd, Bonnie i Clyde, Alvin Karpis i bracia Barker. Jones jednak pozostał przekonany, że współwinnymi masakry obok Millera byli ludzie, którym Nash pomógł uciec z więzienia w Kansas: Harvey Bailey, bandyta z Oklahomy Wilbur Underhill i reszta zbiegów. Bailey wiedział o tych podejrzaniach i starał się go za wszelką cenę przekonać o swojej niewinności. Któregoś ranka Jones dostał list i po otwarciu ze zdumieniem odkrył, że nadawcą jest Bailey i jego kompani. W liście było napisane, że Bailey i reszta nie mogli brać udziału w masakrze z tego prostego powodu, że w tym samym czasie rabowali bank w Black Rock w Arkansas. „My niżej podpisani dokonywaliśmy wówczas napadu”, pisał Bailey. Do listu dołączył zestaw odcisków palców całego gangu, żeby jeszcze bardziej uwiarygodnić sprawę.

Rano w czwartek 20 lipca, kiedy Jones w biurze FBI w Kansas City studiował list od Bailey'a, nadeszła wiadomość, że poprzedniego wieczoru na skraju miasta była duża

strzelanina.

Chodziło o Bonnie i Clyde'a.

Platte City w Missouri 18 lipca, wtorek

Tamtego wieczoru około dziesiątej gang Barrowa zajechał do motelu położonego na północ od Kansas City, na peryferiach Platte City w Missouri. Trzy tygodnie wcześniej uciekli z Fort Smith po tym, jak Buck i W.D. wdali się w strzelaninę, rabując sklep spożywczy w Fayetteville w Arkansas. Po nieudanej próbie znalezienia Pretty Boy Floyda - udało im się jednakowoż znaleźć jego brata Bradleya - zaszyli się w motelu w Great Bend w stanie Kansas. Jedynym znaczącym przestępstwem, jakiego się dopuścili, był napad na zbrojownię Gwardii Narodowej w Enid w Oklahomie, skąd wynieśli pięć automatycznych strzelb Browning, sześć koltów.45 automatic i dziesięć tysięcy sztuk amunicji. Clyde żartował, że na tylnym siedzeniu mają tyle broni, że nie ma gdzie usiąść.

Wszystko wskazywało na to, że gang opuścił Great Bend poprzedniego dnia, 17 lipca, noc spędził na jakimś polu w południowej części Kansas. We wtorek rano pewien farmer znalazł zakrwawione bandaże na opuszczonym przez nich obozowisku i telefonicznie powiadomił policję stanową. Wiedząc o obrażeniach Bonnie, policja ogłosiła alarm w wielu stanach, nakazując szeryfom zwracać uwagę na rzucające się w oczy zakupy środków opatrunkowych. Tego wieczoru, po obrabowaniu trzech stacji benzynowych w Fort Dodge, Clyde minął przedmieścia Kansas City i dojechał do skrzyżowania w Platte City. Dwa domki z czerwonej cegły, w których gang się rozlokował, stały na uboczu za barem o nazwie Tawerna Czerwona Korona. Blanche i Buck udali się tam następnego dnia na lunch, ale zaraz wyszli, ujrawszy miejscowego szeryfa Holta Coffeya. Tamtego popołudnia Blanche pojechała do miasta i kupiła w aptece strzykawki i siarczan atropiny. Aptekarz uznał ten zakup za dziwny i zadzwonił do szeryfa Coffeya, który pamiętał o policyjnych zaleceniach.

Aptekarz powiedział szeryfowi, że Blanche wspomniała, że mieszka w motelu Czerwona Korona; szeryf Coffey szybkim telefonem upewnił się, że istotnie zatrzymały się tam dwie pary. Mając w pamięci treść okólnika wydanego przez stanową policję, nabrał przekonania, że ma do czynienia z gangiem Barrowa. Skontaktował się z patrolem drogowym z Missouri, który podesłał mu wsparcie z Kansas City, obejmujące również samochód opancerzony. Postanowili zaatakować jeszcze tej samej nocy. Do wieczora szeryf Coffey zebrał trzynastu funkcjonariuszy, którzy mieli wziąć udział w akcji. O północy pod Czerwoną Koroną zebrała się grupa uzbrojona w pistolety maszynowe Thompson, metalowe tarcze, gaz łzawiący i broń z gumową amunicją.

Okolo pierwszej ruszyli do akcji, zajmując pozycje przed ciemnymi domkami połączonymi niewielkim garażem. Dwaj policjanci wspięli się na dach tawerny i wymierzyli z pistoletów w drzwi. Samochód opancerzony cicho zatrzymał się na wprost domków, blokując wyjazd z garażu. Kiedy wszyscy już byli gotowi, szeryf zbliżył się do domku po lewej, zajmowanego przez Bucka i Blanche. Zapukał do drzwi.

- Kto tam? - odezwała się Blanche. Akurat prała rzeczy Bonnie w zlewie.

- Muszę porozmawiać z chłopcami - odpowiedział szeryf Coffey.

- Chwileczkę, proszę poczekać, aż się ubierzemy.

Clyde leżał w łóżku obok Bonnie w sąsiednim domku, kiedy usłyszał tę wymianę zdań. Podniósł się i chwycił browninga.

- To gliny - rzucił szeptem do W.D. - Zapalaj auto.

W.D. wymknął się do garażu, podczas gdy Clyde podchodził do drzwi. Uchyliwszy je lekko, zobaczył, że opancerzone auto blokuje im drogę ucieczki. Pobiegnął za W.D. i wskoczył na tylny błotnik ich forda, wyglądając na zewnątrz przez okienko umieszczone wysoko w drzwiach. W odległości zaledwie trzech metrów ujrzał szeryfa Coffeya stojącego przed wejściem do drugiego domku. Uniósł karabin i wystrzelił przez okienko. Trafiony kulą szeryf upadł, ale zaraz się pozbierał i pobiegł w stronę tawerny.

Wszyscy atakujący otworzyli ogień; kule odłupywały kawałki cegły z fasad, rozbijały okna w drobny mak. Clyde jak szalony wbiegł do swojego domku, strzelając z browninga przez okna. Wszędzie widać było policję, w tawernie klienci chowali się pod stolikami. Clyde przeładował broń, podszedł do drzwi, otworzył je kopniakiem i opróżnił cały magazynek, mierząc do pancernego auta; kule z grzechotem odbijały się od karoserii. Jedna trafiła kierowcę, funkcjonariusza George'a Highfilla w kolana. Inna uderzyła w klakson, który zaczął jednostajnie wyć. Highfill wpadł w panikę, wrzucił wsteczny bieg i zaczął się wycofywać sprzed garażu.

Buck i Blanche znaleźli się w pułapce, z ich domku do garażu nie było przejścia. Wśród kul świszczących nad głowami zdecydowali się opuścić domek. Trzymając przed sobą materac, wyszli na zewnątrz i zaczęli się przesuwac w stronę garażu⁵. Materac był ciężki i nieporęczny, więc w końcu go odrzucili. Buck zdążył zrobić zaledwie parę kroków, potknął się i upadł, nie przestając strzelać ze swego automatycznego karabinu; kula kalibru.45 trafiła go w skroń, wrywając dziurę w czaszce i wychodząc czołem. Blanche krzyknęła do Clyde'a, żeby otworzył drzwi garażu, jednocześnie pomagając wstać Buckowi, który wciąż żył.

Nie bacząc na nieustający ostrzał, Clyde otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Wsadzili Bucka do forda, gdzie dołączył do Bonnie, która zdołała tam dotrzeć o własnych

siłach. Clyde wskoczył za kierownicę i wycofał auto z garażu prosto pod grad kul. Blanche dostała rykoszetem w czoło, odłamek szkła wpadł jej do lewego oka.

- O mój Boże! - krzyknęła. - Oślepił mnie!

W.D., stojąc na wysuniętym stopniu przy drzwiach, utrzymywał ogień z browninga, podczas gdy Clyde przedzierał się pod huraganowym ostrzałem. Kule uderzały w karoserię ze wszystkich stron. Ford przetoczył się przez plac, niemal przeskoczył przez rów i wyjechał na drogę. Pozostawieni z tyłu funkcjonariusze z biura szeryfa i policjanci z patrolu rzucili się do telefonów, żeby zorganizować pościg. Trzech z nich odniosło niegroźne rany od kul. Kiedy gang pospiesznie zmierzał na północ, Blanche poprosiła Clyde'a, by się zatrzymał. Chciała pomóc umierającemu Buckowi.

- Nie ma mowy - odpowiedział Clyde. - Nie zatrzymujemy się.

Po szybkiej wyprawie na Wystawę Światową John Dillinger wrócił do Indianapolis 7 lipca z zamiarem nadania rozmachu swej kryminalnej karierze. Po raz pierwszy wyjawiał swoje plany dotyczące ucieczki z więzienia nastoletniemu wspólnikowi Williamowi Shawowi. Razem kupili samochód dla Dillingera, bordowego sportowego chwoleta coupe rocznik 1928. Dillinger nie umiał prowadzić, więc Shaw go nauczył.

Spragniony większych osiągnięć Dillinger zaczął rozpracowywać bank w centrum miasta, o którym wspomniał mu Shaw, Bank Stanowy przy Massachusetts Avenue. Kiedy był zajęty przygotowaniami, Shaw nagle zniknął. Kilka dni później Dillinger otrzymał wiadomość, że chłopiec przeniósł się do Muncie, osiemdziesiąt kilometrów na wschód, dowiedziawszy się, że policja szuka go w związku z rabunkiem, którego dokonał, kiedy Dillinger był jeszcze w więzieniu.

Dillinger pojechał do Muncie w piątek 14 lipca i znalazł Shawa z grupą przyjaciół w mieszkaniu przy South Council Street. Drugim lokatorem mieszkania był ostro popijający były więzień Harry Copeland, tępy osiłek, którego później Dillinger wykorzystał przy kilku napadach na banki. Tamtego popołudnia zabrali Copelanda i pojechali piętnaście kilometrów na zachód do rolniczej miejsciny Dalesville; Dillinger „obczaił” tamtejszy bank i postanowili go okraść w poniedziałek.

Z jakiegoś powodu, prawdopodobnie braku gotówki, zdecydowali się okraść jeszcze tej samej nocy przydrożną tawernę w Muncie. Kilka minut po północy Dillinger ze wspólnikiem weszli do środka z wyciągniętą bronią, z chustkami na twarzach i po chwili wycofali się zza baru, zabierając około 70 dolarów. Opuszczając tawernę, Dillinger natknął się w drzwiach na parę wchodzącą do środka. Z uśmiechem uszczypnął kobietę w pośladek, a kiedy jej towarzysz zaprotestował, Dillinger go pobił⁶.

Obrabowanie tawerny okazało się błędem. Następnego ranka, w sobotę, Dillinger z Copelandem wyszli z kwatery, żeby przestawić samochód Dillingera do garażu na tyłach domu, kiedy usłyszeli: „Ręce do góry!”. Rozkaz wydali dwaj detektywi z Muncie, wspierani przez dwóch policjantów z patrolu. W uliczce za domem trzymali Shawa i innych pod bronią. Detektywi wezwani po nocnym napadzie bez trudu wyśledzili samochód Copelanda, zielonego sedana z żółtymi felgami⁷. Dillinger natknął się na stróżów prawa, kiedy wjeżdżał swoim nowym chevroletem w uliczkę. Wrzucił wsteczny bieg. Policjanci w ogóle go nie zauważyli. Shaw i reszta zostali zabrani do aresztu w Muncie, gdzie powiedzieli, że ich współnik nazywa się „Dan Dillinger”; nazwisko to nic detektywom nie mówiło*[* W czasie przesłuchania William Shaw przyznał się do udziału w kilku rabunkach na terenie Indianapolis. Za napad na tawernę dostał dziesięć lat więzienia. Dwadzieścia pięć lat później Shaw był głównym źródłem informacji dla autorów opisujących pierwsze miesiące przestępczej kariery Dillingera. Udzielił obszernych wywiadów Johnowi Tolandowi, historykowi Josephowi Pinkstonowi, który zajmował się losami Dillingera, oraz pisarce Allannie Nash. Następne czterdzieści cztery lata z wyjątkiem siedemnastu miesięcy Shaw spędził w różnych więzieniach Środkowego Zachodu. W 1977 roku spalił się w hotelowym pokoju w Chicago, zasnawszy z zapalonym papierosem. Przez tydzień nikt się nie zgłosił po jego ciało].

Zupełnie nie przejmując się aresztowaniem towarzyszy, Dillinger nadal snuł plany obrabowania banku w pobliskim Dalesville. Dwudziestodwuletnia kasjerka Margaret Good była sama, kiedy o 12.45 wszedł tam Dillinger w szarych letnich spodniach i słomkowym kapeluszu. Zażyczył sobie widzenia z prezesem. Kiedy panna Good powiedziała, że prezesa nie ma, Dillinger z uśmiechem wsunął do okienka pistolet.

- To jest napad - oznajmił. - Dawaj pieniądze, złotko⁸.

Panna Good, która już przeżyła dwa napady w ciągu dwóch lat, wskazała mu otwarty skarbiec i podniosła ręce do góry. Harry Copeland stał na straży z pistoletem, a Dillinger przeskoczył niską barierkę oddzielającą skarbiec od sali kasowej. Copeland trzymał na muszce trzech klientów, którzy pojawili się w czasie, gdy Dillinger wygarniał z sejfu trzy i pół tysiąca dolarów oraz garść brylantowych pierścionków. Potem zaprowadził pannę Good i klientów do skarbcza, zamknął drzwi i obaj z Copelandem spokojnie wyszli do zielonego chevroleta sedana przygotowanego do ucieczki. Cały pobyt w banku trwał mniej niż dziesięć minut⁹.

Robota była łatwa i Dillinger wykonał ją sam. Zaczął nabierać pewności siebie.

Po miesiącu poszukiwania porywaczy Williama Hamma utknęły w martwym punkcie.

Agenci w St. Paul przesłuchali ogromną liczbę typów z przestępczego podziemia, ale nie udało im się znaleźć żadnego dowodu na to, że sprawą kierowali Alvin Karpis i bracia Barker, którzy ulokowali się na lato w domkach nad jeziorem nieopodal Chicago. Ma Barker pozostała w swym mieszkaniu w Chicago, bez reszty pochłonięta układaniem puzzli.

Nagle we środę 19 lipca w biurze FBI w Chicago zadzwonił telefon. Sekretarka oddała słuchawkę szefowi agentów Melwinowi Purvisowi, dwudziestodwuletniakowi z Karoliny Południowej, który miał zostać kluczową postacią wojny z przestępczością. Nie zaznawszy szczęścia jako prawnik w rodzinnym mieście, Purvis w 1926 roku zatrudnił się w Biurze i szybko awansował. Niewysoki (170 cm wzrostu), z delikatnymi rysami twarzy i wysokim głosem mógł uchodzić za nastolatka. Był ulubionym podwładnym Hoovera. W ich korespondencji uderza szczególny ton, o wiele bardziej poufały niż w listach dyrektora skierowanych do innych agentów. Listy Hoovera zaczynają się od zwrotu

„drogi Melu”, a podpisane są „J.E.H.” albo „Jayee”. Purvis zwracał się do Hoovera per „panie Hoover”, dopóki Hoover nie kazał mu „skończyć z tym panem”. Hoover często i z upodobaniem mówił o tym, jak Purvis podoba się kobietom. Pewnego razu powiedział, że jeśli Purvis pojedzie do Waszyngtonu na bal kostiumowy, sekretarka FBI zjawi się tam „w przezroczystej sukni”. Pokpiwał z Purvisa, gdy jedna z gazet opisała go jako materiał na hollywoodzką gwiazdę. „Że też film nie upomniał się o takiego smukłego, jasnowłosego dżentelmena o brązowych oczach. Życzę powodzenia Clarkowi Gable na służbie”¹⁰.

- Wszyscy podejrzewaliśmy, że Melvin jest pupilkiem Hoovera - wspomina sekretarka Purvisa, Doris Rogers. - Byliśmy przekonani, że od początku był „synkiem tatusia”. Bez wątplenia Hoover uważał go za osobę bardzo atrakcyjną, coś w rodzaju ozdoby, ale przy tym za człowieka inteligentnego i nadającego się do zawodu, który wykonywał.

Tym, co wyróżniało Purvisa [* Syn Purvisa, Alston, obecnie profesor na uniwersytecie w Bostonie, dopuszcza możliwość, że zauroczenie Hoovera jego ojcem miało romantyczny charakter. Jeśli tak, było nieodwzajemnione. Purvis był zdeklarowanym heteroseksualistą i w swoim czasie się ożenił.] spośród zastępów powściągliwych młodych agentów w ciemnych garniturach i wypolerowanych czarnych butach, była typowa dla południowca świadomość własnej wartości. Pewny siebie do granic zarozumiałstwa, uważał się za jednostkę uprzywilejowaną i nie bał się tego okazywać. Nosił dobrze skrojone dwurzędowe garnitury z misternie uformowaną chusteczką w butonierce i słomkowe kapelusze. Podczas gdy inni agenci kawalerowie mieszkali po sześciu na jednej kwaterze i jeździli do pracy koleją miejską, Purvis przybył do Chicago z własnym wierzchowcem, którego trzymał w stajni w Lincoln Park i dosiadał w weekendy. Przywiózł też ze sobą

czarnego służącego, którego nazywał Prezydentem i który woził go luksusowym samochodem Pierce Arrow. „To było trochę staroświeckie, ale naprawdę stylowe auto - wspomina Doris Rogers. - Ludzie się za nim oglądali. Taki właśnie był Melvin. Na pierwszy rzut oka było widać, że pochodzi z Karoliny Południowej*[* Inną oznaką południowego pochodzenia Purvisa było to, że nazywał ludzi o ciemnym kolorze skóry „opalonymi”].

W tamtą środę mijają osiem miesięcy, odkąd Purvis pełnił funkcję szefa agentów specjalnych w Chicago; nie zdołał jeszcze zgłębić tajemnic polityki mafijnego Chicago. Kiedy wziął słuchawkę, okazało się, że dzwoni główny śledczy z biura prokuratora stanowego, dawny policjant z Chicago Dan „Tubbo” Gilbert. Purvis współpracował z nim nad sprawą dziwnego porwania mafijnego oszusta znanego jako Jake „the Barber” Factor. Wielu w Chicago uważało, że porwanie zostało sfingowane, bo Factor chciał uniknąć ekstradycji do Wielkiej Brytanii, gdzie miał być postawiony przed sądem. Purvis wierzył, że było prawdziwe. To było jego pierwsze duże śledztwo w sprawie porwania].

Tamtego ranka Tubbo Gilbert powiedział mu, że porwania Factora i Hamma zaczęły się ze sobą łączyć. Dwa tygodnie wcześniej Gilbert przekazał prasie, że Jake Factor prawdopodobnie został uprowadzony przez irlandzkiego gangstera Rogera Touhy’ego, właściciela podmiejskiego imperium hazardu i nielegalnego wyszynku, konkurującego od dawna z Alem Capone. Sam Capone siedział wprawdzie w więzieniu federalnym skazany za uchylanie się od płacenia podatków, ale Touhy walczył z jego sukcesorem Frankiem Nittim o przejęcie kontroli nad kilkoma wielkimi związkami zawodowymi w Chicago.

Teraz Gilbert twierdził, jakoby miał dowody, że Touhy porwał również Hamma. Co lepsze, powiedział Purvisowi, że właśnie mu doniesiono, iż Touhy wraz z trzema kompanami z gangu został zatrzymany tego ranka w Elkhorn w stanie Wisconsin po stłuczce samochodowej. Nie istnieje zapis tej rozmowy pomiędzy Gilbertem i Purvisem, ale przed wieczorem Gilbert przekonał Purvisa, że Touhy jest odpowiedzialny także za porwanie Hamma. Purvis nie przeprowadził niezależnego dochodzenia w sprawie Touhy’ego. W jego przekonaniu słowo Gilberta powinno być wystarczające dla Biura.

W piątek rano Gilbert i dwóch ludzi Purvisa przybyli do Elkhorn, po czym więźniów przetransportowano do Chicago, gdzie specjalista z FBI zdjął im odciski palców. Touhy’ego doprowadzono do gabinetu Purvisa. Purvis powiedział mu, że jest zatrzymany za porwanie Hamma*[* *Ham* po angielsku znaczy „szynka”].

- O jaką szynkę panu chodzi, panie Purvis? O kanapkę z szynką? - zakpił Touhy. - A może porwałem pieczeń z szynki?

Następnego dnia Williama Hamma i kilku naocznych świadków jego porwania

srowadzono do Chicago, żeby zidentyfikowali porywaczy. Przyjrząwszy się podejrzanym przez lustro weneckie, Hamm wcale nie był pewien, czy to oni go porwali, i wyznał to dziennikarzom. Jednak jeden ze świadków, kierowca taksówki Leo J. Allison, podobno rozpoznał sprawców, to w zupełności wystarczyło Purvisowi. Wyszedł ze swego gabinetu i oświadczył reporterom, że Biuro zebrało „żelazne dowody”, że Hamma uprowadził Touhy.

- Tożsamość wszystkich czterech zatrzymanych została potwierdzona - mówił Purvis.
- Urzędnicy rządowi pracowali nad tą sprawą uważnie i z wielką dokładnością, dlatego możemy być pewni”.

W Waszyngtonie Hoover nie posiadał się z zachwytu. „To wielkie osiągnięcie, które było możliwe tylko dzięki niestrudżonym wysiłkom i pomysłowości całego personelu Biura w Chicago”, napisał do Purvisa¹².

Nic bardziej mylnego. W rzeczywistości Purvis dał się nabrać i namówić do aresztowania niewłaściwych ludzi przez skorumpowanego śledczego współdziałającego z chicagowską mafią, co dwadzieścia lat później potwierdził sąd federalny. Rogera Touhy’ego w końcu skazano za sfingowane porwanie Jake’a Factora i dopiero po dwudziestu latach spędzonych w więzieniu był w stanie przekonać sędziego, że został wrobiony. W 1954 roku sędzia John Barnes w opinii, która doprowadziła do uwolnienia Touhy’ego, stwierdził, że biuro prokuratora stanowego w Illinois, zdominowane przez Tubbo Gilberta, nigdy nie wniosło żadnego oskarżenia przeciwko choćby jednemu członkowi mafii. Sędzia Barnes znalazł „poważne motywy, które mogły skłonić kapitana Gilberta i polityczno-kryminalny syndykat z Chicago do usunięcia Touhy’ego na stałe ze sceny”. Mając Purvisa za swego nieświadomego sprzymierzeńca, Gilbert i FBI „działali zgodnie, żeby skazać Touhy’ego za cokolwiek”, stwierdził sędzia¹³.

„Za to, że Touhy w ogóle został oskarżony w sprawie Hamma, Departament Sprawiedliwości powinien odpowiedzieć”, zakończył swój wywód sędzia Barnes.

Oczywiście nigdy nie odpowiedział. W ciągu kilku następných dni niektórzy prokuratorzy zaangażowani w sprawę wyrazili swoje wątpliwości co do mocy zarzutów, ale nikogo to specjalnie nie obeszło. W tamtą sobotę Hoover i jego „chłopcy z koledżu” mogli się cieszyć: jedna z dwóch głównych bitew w ich nowej wojnie z przestępczością została wygrana. Nikt nie przypuszczał, że jeszcze tej samej nocy zacznie się trzecia.

Oklahoma City

22 lipca, sobota godz. 23.15

Trzy kilometry na zachód od stolicy Oklahomy, w posiadłości z beżowej cegły, pokrytej bordowym dachem w stylu „misyjnym”, dwie pary siedziały w wiklinowych fotelach przy karcianym stoliku i grały w brydża. Gospodarz, powściągliwy czterdziestotrzyletni potentat naftowy Charles F. Urschel, siedział naprzeciwko swojej żony Berenice. Miał na sobie lniane spodnie i krawat, a na jego wypomadowanych włosach widać było ślady po grzebieniu. Jego żona, jedna z najbogatszych kobiet na całym Południowym Zachodzie, była wdową po słynnym poszukiwaczu ropy Tomie Slicku, który przed śmiercią kierował największą na świecie niezależną kompanią naftową. Charles Urschel był współnikiem Slicka i obecnie zarządzającego majątku, szacowanego na 50 milionów dolarów przed krachem na Wall Street. Kiedy Urschelowi zmarła żona, wydawało się całkiem naturalne, że poślubił Berenice. Drugą parę stanowili Walter Jarrett, korpulentny, łysiejący biznesmen z branży naftowej, i jego żona.

Rozgrywka dobiegała końca, gdy nagle z ciemności na zewnątrz dobiegł jakiś hałas. Urschel odwrócił się na fotelu.

- To ja, Betty - rozległ się głos. Jarrett wstał i otworzył drzwi. Do środka weszła szesnastoletnia Betty Slick, córka pani Urschel. Wróciła z wizyty u przyjaciół. Powiedziała kilka słów i udała się na górę.

Pani Jarrett spojrzała na zegarek.

- Już prawie wpół do dwunastej - oznajmiła. - Czas, żebyśmy szli do domu, Walterze.

Jarrett odsunął się od stolika razem z fotelem.

- Chyba tak - przyznał.

- Nie, zaczekajcie - poprosiła Berenice, kładąc rękę na nadgarstku Jarretta. - Zagrajmy jeszcze jednego robra¹⁴.

Parter rezydencji Urschelów jaśniał żółtym światłem, kiedy około wpół do dwunastej zatrzymał się w pobliżu duży chevrolet. Kierowca Albert Bates, bandyta o małpiej twarzy, szerokim spektrum przestępczych specjalności i bogatej kartotece, ścisnął kierownicę tak mocno, że zbieleły mu kostki palców.

- Już dobrze, Al, uspokój się - powiedział masywny, przystojny mężczyzna siedzący obok niego. - To będzie bułka z masłem.

Przystojniak w panamie z wąskim rondem miał 180 cm wzrostu, 80 kilogramów wagi, dobrodusznie zaokrąglone policzki, uwodzicielskie spojrzenie oraz pistolet maszynowy Thompson. Obaj z Batesem wysiedli z auta. Noc była pogodna, w bogatej dzielnicy, w której się znajdowali, panował spokój.

- W porządku - powiedział przystojniak. Przeszli podjazdem w stronę obrośniętego

winem garażu. Na oszklonej werandzie z tyłu domu widzieli czworo ludzi siedzących przy karcianym stoliku. Z daleka Bates nie był w stanie powiedzieć, kto jest kto.

- Jezu! - szepnął. - Który z nich to Urschel? Przystojniak też nie potrafił rozpoznać.

- Chodźmy - rzucił, kierując się ku werandzie¹⁵.

Berenice Urschel już miała położyć kartę na stoliku, **gdy nagle** znieruchomiała z uniesioną dłonią. Zmarszczyła brwi.

- Co się stało? - spytał Urschel.

- Chyba coś słyszałam - odpowiedziała. - Ktoś chodzi koło domu.

Urschel po chwili namysłu otworzył drzwi i wyjrzał w ciemność. Okazało się, że wszyscy słyszeli nadjeżdżający samochód, prawdopodobnie należący do któregoś z sąsiadów. Dokończyli partię, ponownie rozdali karty i zaczęli licytację. Ledwie Berenice powiedziała „dwa kiery”, kiedy drzwi się otworzyły. Wszyscy odwrócili głowy. Do środka weszło dwóch mężczyzn, obaj mieli broń. Berenice krzyknęła i szybko podniosła ręce do góry.

- Przestań! Macie być cicho, bo odstrzelimy wam głowy - ostrzegł przystojniak. - Który z was to Urschel? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, powtórzył pytanie. Nadal nikt się nie odzywał. Na twarzy pytającego pojawił się cień uśmiechu. - Dobrze, w takim razie zabierzemy was obu - powiedział, unosząc lufę pistoletu.

Urschel i Jarrett wolno podnieśli się z foteli.

- Szybciej! - ponaglił przystojniak. Mężczyźni posłusznie wyszli z nim na zewnątrz. Bandyta przystanął na moment w progu. - Zostańcie tutaj - zwrócił się do kobiet. - I macie się trzymać z daleka od telefonu.

Minutę później Berenice usłyszała, jak samochód odjeżdża. Obie kobiety poderwały się na nogi.

- Na górę! - zarządziła Berenice.

Wbiegły po schodach i zamknęły się w sypialni. Berenice chwyciła telefon, wykręciła numer policji i zgłosiła porwanie. Zaraz potem przypomniała sobie artykuł o porwaniu w ostatnim wydaniu „Time’a”. Rozmawiali o nim z mężem tego popołudnia. Pismo leżało na jej toalecie. Przekartkowała je, szukając artykułu, i zadzwoniła na gorącą linię, której numer był w nim podany.

W słuchawce odezwał się kobiecy głos:

- Numer publiczny 7117.

- Chcę zawiadomić o porwaniu! - zawołała Berenice. Po chwili słuchawkę przejął mężczyzna.

- Numer publiczny 7117 - powtórzył.

- Mówi żona Charlesa F. Urschela z Oklahoma City. Chcę zawiadomić o porwaniu.
- Tu J. Edgar Hoover, pani Urschel - przedstawił się Hoover. - Proszę mi o wszystkim dokładnie opowiedzieć¹⁶.

4

UJADANIE PSÓW

22 lipca - 25 sierpnia 1933

Oklahoma City 22 lipca 1933

- Nie widziałam ich wyraźnie, ale wydaje mi się, że obaj mieli ciemne włosy i pełne, okrągłe twarze - mówiła Berenice Urschel. - Wyglądali na cudzoziemców.

Była pierwsza w nocy, półtorej godziny po porwaniu jej męża; pani Urschel znów siedziała przy brydżowym stoliku i opowiadała o zdarzeniu szefowi agentów z Oklahoma City Ralphowi Colvinowi. Starła się przypomnieć sobie nawet najdrobniejsze szczegóły.

- Chcę panią zapewnić - zaczął Colvin - że najważniejszy dla nas jest bezpieczny powrót pani męża. Każda droga w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Oklahoma City będzie obserwowana. - Poinformował ją, że obie z panią Jarrett muszą się udać na komendę policji, żeby obejrzeć zdjęcia z kartoteki.

- Pojadę od razu - zaproponowała pani Urschel, wstając. - Wezmę tylko płaszcz.
Zadzwoił telefon. Sięgnęła po słuchawkę, ale Colvin ją powstrzymał.

- Jest drugi aparat? - spytał.

- Owszem, w holu.

Telefonował Walter Jarrett. Wypuszczono go za miastem, bo porywacze przeszukali jego portfel i stwierdzili, że nie jest Urschelem.

- Zabrali Charliego - oznajmił. - Nie jest ranny. Powiedzieli, że się z tobą skontaktują. Złapałem jakąś furgonetkę i od razu pojechałem na policję.

W komendzie w centrum miasta pani Urschel i Jarrettowie przejrzeni kartotekę; kilka postaci ze zdjęć wydało im się jakby znajomych.

Ślady stóp wokół werandy nic nie wniosły. Na drzwiach nie znaleziono odcisków palców. Kiedy się rozwidniło, Jarrett z grupą agentów FBI zdołali odtworzyć trasę porywaczy na północny wschód, ale jakieś piętnaście kilometrów od miasta trop się urywał.

- To porwanie sprawia wrażenie akcji starannie zaplanowanej przez zawodowca - powiedział Colvin pani Urschel. - Nie pochodzą stąd, bo znalazłby pani męża z widzenia. Świadomość, że to zawodowcy, powinna panią uspokoić, ponieważ istnieje mniejsze niebezpieczeństwo, że mężowi coś złego się stanie.

W ciągu dnia Hoover zadzwonił do Kansas City. Kazał Gusowi Jonesowi pojechać do Oklahoma City i przejąć prowadzenie sprawy. Colvin czekał na lotnisku. W drodze do posiadłości wymieniali uwagi na temat ewentualnych sprawców. Colvin zaczynał podejrzewać Waltera Jarretta i jedną lub dwie osoby zatrudnione przez Urschela. Byli zgodni, że jeśli porwania nie dokonał ktoś z bliskiego otoczenia ofiary, najbardziej podejrzany byłby Harvey Bailey i gang złożony z więźniów, którzy tego mają uciekli z zakładu karnego w Kansas.

Na miejscu Jones ojcowskim tonem udzielił pani Urschel pouczenia, czego powinna się spodziewać. Będą czekać na wiadomość od porywaczy. Przekazą okup. Jej mąż zostanie wypuszczony.

- W momencie gdy pan Urschel będzie wolny - powiedział Jones - my przystąpimy do pracy.

FBI miało szczęście, że Charles Urschel został porwany przez człowieka, który był prawdopodobnie najbardziej nieudolnym kryminalistą epoki Wielkiego Kryzysu, przystojniaka George'a F. Barnesa, lepiej znanego jako Maszynę Gun Kelly. Siedemdziesiąt lat po przestępstwie, które przyniosło mu sławę, pamięta się właściwie tylko jego pseudonim sugerujący, że chodzi o bezwzględnego zabójcę. Tymczasem Kelly był lekkoduchem, marzycielem i żartownisiem, osobnikiem zadającym pytania w rodzaju: „Ciężko pracować, czy ciężko zabrać się do pracy?”. Pewnie niewiele by o nim słyszano, gdyby nie jego żona

Kathryn, przebiegła blondynka, którą J. Edgar Hoover często demonizował w wypowiedziach dla prasy.

Mimo braku szczególnych talentów Kelly zrobił zdumiewającą karierę; w latach 1933-34 był jedynym groźnym przestępcą, który pochodził z wyższej klasy średniej i uczęszczał do koledżu. Urodził się w Chicago w 1900 roku, dwa lata później cała rodzina przeprowadziła się do Memphis. Ojciec był dobrze prosperującym agentem ubezpieczeniowym. Kelly dorastał w otoczeniu bogactwa, chodził do kościoła katolickiego i zarabiał na kieszonkowe, rozwoząc gazety i nosząc kije graczy na polu golfowym. W szkole średniej nazywano go „Zelkiem”; lubił się stroić, biegał za spółniczkami i szastał pieniędzmi.

Kiedy matka zmarła i ojciec związał się z inną kobietą, Kelly zaczął sprawiać kłopoty. Przerwał szkołę i został bootlegerem; sprzedawał whisky kupioną w Missouri i Kentucky. Podjął naukę w koledżu, ale wytrwał tylko jeden semestr w A&M w Missisipi. Ojciec go wydziedziczył. Kelly, ambitny młodzieniec marzący o lepszym życiu, wkrótce ożenił się z Genewą Ramsey, córką milionera z Memphis. Zaczął pracować w firmie budowlanej teścia i spłodził dwoje dzieci, ale życie zaczęło mu się sypać, gdy ojciec Genevy zginął w wypadku.

Teściowa kupiła mu kryty parking i mleczną farmę, żeby miał z czego utrzymywać rodzinę, lecz Kelly wolał nielegalny handel alkoholem. W 1924 roku, w wieku 24 lat, został aresztowany i sędzia skazał go na sześć miesięcy obozu pracy. Geneva odeszła. Przygnębiony Kelly próbował popełnić samobójstwo, łykając całą butelkę dwuchlorku rtęci, ale skończyło się jedynie na wymiotach. Chcąc uniknąć wyroku, uciekł do Kansas City, gdzie wkrótce, pracując jako sprzedawca w supermarkecie, zdefraudował tyle pieniędzy, żeby kupić ciężarówkę.

Używał jej do wożenia whisky aż do Nowego Meksyku, gdzie w 1927 został na krótko aresztowany. Kiedy przyłapano go na sprzedawaniu alkoholu w rezerwacie Indian, sędzia federalny wymierzył mu najwyższą przewidzianą za to przestępstwo karę - pięć lat więzienia. W Leavenworth Kelly przystał do grupy gangsterów z St. Paul, udzielając pomocy w próbie ucieczki zorganizowanej przez Franka Nasha. Po wyjściu w 1930 na zwolnienie warunkowe skierował się do Minnesoty, gdzie szybko znalazł swoje miejsce wśród bywalców Zielonej Latarni i zaczął brać udział w napadach na banki.

We wrześniu 1930 roku ożenił się z Kathryn Thorne, zabawową dziewczyną z Oklahomy, której drugi mąż - Kelly był trzecim - dokonał żywota w tajemniczych okolicznościach. Kathryn była wyniosłą, używającą życia alkoholicką; córkę podrzuciła matce na wychowywanie. Spośród wszystkich kobiet, jakie FBI ściagało w latach 1933-34, to ona najbardziej zaszła za skórę Hooverowi. „Kathryn Thorne Kelly była jednym z najbardziej

zimnych i bezwzględnych przestępców, z jakimi miałem do czynienia”, pisał w książce *Persons in Hiding* wydanej w 1936 roku. Według Hoovera Kathryn była złym duchem Kelly’ego, „zwariowaną na punkcie mężczyzn i strojów, przebiegłą i chytrą manipulantką”, która ukształtowała, promowała i zdominowała swojego męża. „George Machine Gun Kelly był typowym okazem pantoflarza”, pisał Hooyer¹.

Trzeba przyznać, że charakterystyce nie brak barwności, jednak w aktach FBI nie ma żadnych dowodów na to, by Kathryn była kimkolwiek więcej niż wtajemniczoną współniczką męża. Niewiele mogła działać, by poprawić jego przestępcze umiejętności. Kelly fatalnie się spisywał przy rabowaniu banków, był tak nerwowy, że czasami zdarzało mu się wymiotować przed napadem. W końcu Harvey Bailey, Verne Miller i inni gangsterzy z St. Paul zaczęli go unikać. Niewiele lepiej szły mu porwania. W styczniu 1932 wraz ze współnikiem porwał biznesmena z Indiany, Howarda Woolvertona; Kathryn wzięła jego nazwisko z książki telefonicznej. Kelly był zmuszony wypuścić Woolvertona, ponieważ jego rodzina nie była w stanie zebrać okupu.

Pomiędzy wycieczkami do Chicago i St. Paul w poszukiwaniu współników Kelly mieszkał w domu Kathryn przy East Mulkey Street w Fort Worth w Teksasie, gdzie para szybko wzbudziła zainteresowanie policji. Sympatyczny w obejściu Kelly zaprzyjaźnił się z paroma policjantami, a raz nawet pomógł policji złapać grasującego w sąsiedztwie włamywacza. Marzył jednak o rabowaniu banków. Według Hoovera Kathryn była kimś w rodzaju rzecznika prasowego swojego męża, chwaliła się jego dokonaniem, żeby zapewnić mu pracę. To akurat mogła być prawda; Kathryn lubiła się chwalić Kellym, zwłaszcza po pijanemu. W końcu Kelly’emu udało się przyłączyć do gangstera epoki jazzu Eddiego Bentza i z nim oraz Albertem Batesem rabowali banki w Waszyngtonie, Teksasie i Missisipi w 1932 roku.

Z czasem przechwałki Kathryn dotarły do sprytnego detektywa z Fort Worth, Eda Weatherforda, który dał Kathryn do zrozumienia, że jest skorumpowany. Kiedy zidentyfikowano Verne’a Millera jako jednego ze sprawców masakry w lipcu 1933, Weatherford przypomniał sobie, że Kathryn wymieniła to nazwisko, chwając się znajomością z różnymi gangsterami napadającymi na banki. Detektyw skontaktował się z FBI. SAC z Dallas Frank Blake posłał wiadomość do Kansas

City; to wówczas po raz pierwszy Kelly zwrócił na siebie uwagę Biura*[* Urodzony w 1883 roku Frank Blake studiował na Vanderbilt University, a po uzyskaniu dyplomu przez krótki czas trenował tamtejszą drużynę futbolową. Po pięciu latach prowadzenia rancza wstąpił w szeregi Biura w 1919 i pokonując kolejne szczeble kariery, w 1930 został SAC w

Dallas. Niski i krępy, mówiący z teksa-skim akcentem, służył w FBI do 1942 roku, kiedy to atak serca zmusił go do przejścia na emeryturę. Zmarł w swoim domu na przedmieściach Dallas w 1948 roku.]. „Doniesiono mi z Fort Worth, że Kelly bardzo sprawnie posługuje się pistoletem maszynowym - pisał Blade - mówi się, że potrafi wypisać swoje nazwisko kulami wystrzelonymi z takiej broni”².

Z dnia na dzień Kelly stał się podejrzanym o udział w masakrze; agenci z Kansas City napisali do Leavenworth, prosząc o jego kartotekę. Blake tymczasem pojechał do Fort Worth i przez kilka godzin obserwował dom przy East Mulkey Street, zapisując numer rejestracyjny cadillaca stojącego na podjeździe. 13 lipca agenta Charlesa Winstead'a wysłano na zwiady do zapuszczonego rancza pod Paradise w Teksasie, na północ od Fort Worth, gdzie matka Kathryn mieszkała z gderliwym starym ranczerem Robertem „Bossem” Shannonem. Winstead odnalazł właściwy dom, umówił się z listonoszem w sprawie kontrolowania nadchodzącej poczty i wrócił do Dallas³. Nie znalazłszy niczego, co by łączyło Kelly’ego z masakrą, FBI przestało się nim interesować.

Właśnie naranczo Shannona dziewięć dni później Kelly’owie przywieźli Charlesa Urschela. Urschel miał oczy zasłonięte opaską. W zamian za część pieniędzy z okupu Boss Shannon i jego syn Armon zgodzili się pilnować zakładnika, podczas gdy Kelly zajmował się negocjacjami. Kathryn na ten czas zabrała swoją córkę Pauline do Fort Worth. W niedzielę rano 23 lipca zaprosiła Eda Weatherforda do swojego domu; liczyła na to, że jeśli ktoś ich obserwuje, gość ją ostrzeże. Kathryn powitała Weatherforda na schodach, mówiąc mu, że właśnie wróciła z St. Louis.

Rozmowa była krótka. Przechodząc przez podjazd, Weatherford zerknął na samochód Kathryn. Zauważył leżącą na przednim siedzeniu gazetę z Oklahomy, z opisem porwania Urschela na pierwszej stronie, oraz czerwone błoto przyklejone do kół. Odjeżdżając, Weatherford myślał o tym, że ziemia w Oklahomie ma właśnie taki czerwony kolor.

Już w domu przestudiował opisy porwania Urschela w „Fort Worth Star Telegram”. Im dłużej czytał, tym mocniej był przekonany, że stoją za tym Kelly’owie. Następnego ranka znów zadzwonił do biura FBI w Dallas, które przesłało wiadomość dalej, do Gusa Jonesa w Oklahoma City⁴. Jones ją zignorował.

Dexterwłowa 23 lipca, niedziela

Tamtej niedzieli, kiedy Gus Jones przejął dowodzenie w domu Urschelów w Oklahoma City, Henry Nye spacerował w pobliżu swojej farmy koło Dexter w stanie Iowa, trzydzieści kilometrów na zachód od Des Moines. Polną dróżką doszedł do miejsca na polu,

gdzie dziesięć lat wcześniej znajdował się park rozrywki o nazwie Dexfield Park. Obecnie ten sześćohektarowy teren obrośnięty wysokimi klonami z gęstym poszyciem i zakolem rzeki Middle Raccoon służył głównie za miejsce schadzek zakochanych. Zza drzew Nye zobaczył forda z 1933 roku. Obok stali jacyś ludzie. Z początku wziął ich za biwakujących turystów. Później jednak zauważył rzuconą na ziemię koszulę; była ubrudzona czymś, co wyglądało jak krew. Nye pospiesznie wrócił do domu i zatelefonował do strażnika pełniącego nocną służbę.

Clyde znalazł to pole trzy dni wcześniej, w czwartek, tamtego popołudnia, kiedy uciekli z obławy w Platte City. Ich obozowisko, składające się z koców i siedzeń samochodowych rozłożonych na trawie, przypominało szpital polowy. Jakimś cudem Buck nadal żył. Leżał na ziemi półprzytomny, z obandażowaną głową, bliski śmierci. Blanche nie widziała na jedno oko. Bonnie ledwie chodziła. Clyde nie mógł ryzykować jazdy do motelu, a tym bardziej do lekarza. Ich samochód miał tyle dziur po kulach, że zauważyłby je nawet najbardziej krótkowzroczny szeryf. W.D. zasmarował uszkodzenia błotem, a potem ukradł inne auto w miejscowości Perry.

Clyde użył tego kradzionego samochodu w piątek, żeby pojechać do Dexter. Kupił pięć obiadowych porcji kurczaka i blok lodu w sklepie mięsnym Blohma, gazę i alkohol w aptece Pohle'a oraz koszule i buty w sklepie z ubraniami. Następnego dnia powtórzył zakupy. W niedzielę rano, kiedy się obudzili, Buck nadal żył. Żadne z nich nie mogło zrozumieć, jak to możliwe. Od czasu do czasu Blanche naciskała dłonią na ranę w jego skroni, żeby mózg nie wychodził na zewnątrz. Buck nie miał przed sobą wiele czasu.

W niedzielę rano wiadomość o zakrwawionych obozowiczach z Dexfield Park dotarła do szeryfa w Adel. Szeryf wiedział z gazet o strzelaninie w Platte City i natychmiast pomyślał o gangu Barrowa. Nie zwlekając, pojechał do Dexter i przepytał sprzedawców, którzy obsługiwali Clyde'a. Uzyskane od nich rysopisy zgadzały się z listem gończym wiszącym w jego biurze. Zawiadomił policję stanową w Des Moines, prosząc o pomoc. O zmroku przybyło dwóch funkcjonariuszy. Do tego czasu po okolicy rozeszła się pogłoska o planowanej obławie. Farmerzy zaczęli się zjeżdżać wysłużonymi furgonetkami, uzbrojeni w wiatrówki, gotowi do działania. Nim zapadł wieczór, dziesiątki ludzi obstawiły drogi wiodące do Dexfield Park. Panował dziwnie radosny nastrój, jak na festynie. Niektórzy chłopcy przyprowadzili swoje sympatie. Wielu miało ze sobą butelki z czymś mocniejszym do picia. W ciemności około czterdziestu ludzi z bronią ruszyło w las, żeby przeczekać do świtu.

Dexterwłowa 24 lipca, poniedziałek

Pole błyszczało od gęstej rosy. Obudziwszy się kilka minut po piątej, Clyde stwierdził,

że Blanche jest już na nogach, wciąż ubrana w obcisłe bryczesy i okulary przeciwsłoneczne, których nie ściągała od czasu ucieczki z Platte City. W.D. piekł kielbaski nad ogniem. Clyde usiadł obok Bonnie na poduszce wyjętej z samochodu. Był gotowy ruszać w drogę. Poprzedniego wieczoru wraz z W.D. zrobili przegląd auta i wyczyścili broń.

- Dokąd pojedziemy? - spytała Bonnie, ubrana w nocną koszulę.

- „My” donikąd - odparł Clyde. - Zabieram Bucka do domu, do matki. - Obiecali Cumie Barrow, że gdyby któremuś z nich coś się stało, ten drugi przywiezie rannego brata do domu.

- Nigdzie nie pojedziesz beze mnie - wyszeptła Bonnie. - Zresztą po co miałbyś jechać z Buckiem taki kawał drogi? Przecież on umiera, kochanie. Nie dożyje następnej nocy.

- Zabieram go do domu właśnie dlatego, że umiera - odparł Clyde⁵.

Podniósł wzrok i dostrzegł ruch między drzewami; zbliżali się jacyś ludzie, pięciu lub sześciu. Clyde chwycił ulubionego browninga, wycelował w tamtą stronę i puścił serię nad głowami nadchodzących, chcąc ich odstraszyć. Jeśli mu się zdawało, że to farmerzy na porannej przechadzce, natychmiast zdał sobie sprawę z własnej pomyłki. Na jego strzały odpowiedziała istna kanonada spomiędzy drzew otaczających pole. Nad obozowiskiem zaroilo się od kul. W.D. stał przy ogniu z patelnią w ręku, kiedy zwała go z nóg kulka grubego śrutu. Clyde, nie przerywając ognia, zawołał, żeby wszyscy zapakowali się do kradzionego auta.

Podczas gdy Clyde cały czas puszczał serie w kierunku drzew, W.D. zdołał wsiąść do samochodu, ale nie mógł uruchomić silnika. Strzelając z biodra, Clyde wcisnął się za kierownicę, spychając W.D. do tyłu. Bonnie dokuśtykała do nich, a po chwili Blanche dowlokła też półprzytomnego Bucka. Kiedy już wszyscy byli w środku, Clyde wrzucił wsteczny bieg, zmierzając do jedyne go wyjazdu z pola, wąskiej gruntowej drogi wychodzącej na bity trakt biegnący wzdłuż zachodniej granicy polany. Kule trafiały w auto, wybijały szyby. Clyde zobaczył, że kilku ludzi z bronią blokuje wyjazd. Gwałtownie zmieniając kierunek, cofnął się przez krzaki na środek polany. Trafiony w ramię stracił panowanie nad kierownicą i podwozie zahaczyło o wystający pień.

W.D. wyskoczył, próbował zepchnąć auto z przeszkody. Bezskutecznie.

- Wszyscy wysiadać! - krzyknął Clyde. - Wysiadać, na litość boską, wysiadać!

Pobiegł do auta, którego używali w Platte City, lecz nim tam dotarł, czarny ford był wrakiem; sześćdziesiąt cztery kule posiekały opony, powybiły okna i uszkodziły silnik. Clyde rozejrzał się po drzewach, szukając drogi ucieczki. Za obozowiskiem, niecałe sto metrów na północ, nad rzeką rosły wątle krzaki; stamtąd nikt nie strzelał. Clyde ruszył

biegiem ku rzece. Pozostali próbowali iść w jego ślady. Draśnięty kulą w czoło W.D. upadł, a potem zaczął się czołgać naprzód. Bonnie, trafiona dwukrotnie śrutem w brzuch, padła ciężko na trawę. W.D. chwycił ją i razem zdołali dopełznąć do zagłębienia prowadzącego na brzeg rzeki. Nim tam dotarli, Buck upadł. Blanche zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Clyde podbiegł do brata.

- Zabierz Blanche i czekajcie - wycharczał Buck. - Ze mną koniec⁶.

Nie zważając na słowa brata, Clyde zaciągnął go w krzaki.

Wyglądało na to, że jakimś cudem Clyde wybrał drogę ucieczki, której nie blokowali ludzie z obławy. W gęstych zaroślach nad wodą nikt już do nich nie strzelał. Kierując się ku bitej drodze z nadzieją, że uda im się ukraść jakiś pojazd, przez kilka minut zmierzali wzdłuż rzeki na zachód, dopóki nie trafili na wzniesienie. Buck znowu upadł.

- Zabierz Blanche - wyszeptał do Clyde'a. - Ja nie dam rady. Clyde powiódł wzrokiem wzdłuż rzeki. W oddali dostrzegł zarys mostu.

- Idę po auto - powiedział. - Ukryjcie się tutaj. W tym gąszczu nie znajdą was nigdy⁷.

Wspiął się na wzniesienie i kryjąc się między drzewami, pobiegł w stronę mostu. Wyłoniwszy się z zagajnika, ujrzał dwóch funkcjonariuszy z biura szeryfa stojących na drodze przy moście; jeden z nich opierał się o betonowy łuk pozostały po wejściu do dawnego parku rozrywki. Przedstawiciele prawa pierwsi zauważyli Clyde'a, unieśli broń i zaczęli strzelać. Clyde schował się za drzewo.

- Hej, nie strzelajcie! - zawołał. - Jestem jednym z was⁸.

Kiedy opuścili pistolety, Clyde wychylił się i strzelił. Odpowiedzieli ogniem; jedna z kul wytrąciła Clyde'owi browninga z rąk. Sięgnął po pistolet trzymany za paskiem spodni, wycofując się w zarośla. Po minucie wrócił do swoich.

- Wszystko w porządku? - spytał Bonnie. Pokiwała głową, przytulając się do niego.

- Obstawili most - zwrócił się do W.D. - Pomożesz Bonnie w rzece? Będziemy musieli płynąć.

Pozostawiając Bucka i Blanche na łasce losu, we troje weszli do płytkiej wody i przepłynęli około dwudziestu metrów na przeciwny brzeg. Bonnie trzymała się szyi W.D. Po drugiej stronie Clyde wyjrzał zza zarośli i zobaczył farmę. Ruszył ku zabudowaniom. Bonnie z W.D. zostali na brzegu.

Osiemnastoletni Marvelle Feller wyszedł z domu, żeby nakarmić bydło ojca. Zaniepokoiło go zachowanie ich owczarka niemieckiego, który zaczął warczeć, odsłaniając zęby. Zniecierpliwiony pies pognął na należące do rodziny pole kukurydzy. Chwilę później Feller zobaczył mężczyznę wyłaniającego się pomiędzy wysokich łądyg. Człowiek ten koszulę

miał podartą, ubrudzoną błotem i krwią. Stojąc za płotem z drutu kolczastego, machnął pistoletem.

- Odwołaj psa albo go zabiję! - wrzasnął.

Feller podbiegł i chwycił psa za obrozę. Jego ojciec z najemnym pracownikiem, zaniepokojeni hałasem, wyszli z domu sprawdzić, co się dzieje.

- Wszyscy na ziemię! - rozkazał im Clyde. Usłuchali.

Clyde przyłożył palce do ust i głośno zagwizdał. Niedługo potem za jego plecami stanęli W.D. i Bonnie. W.D. ocierał krew z oczu, krwawił obficie z kilku ran na ciele. Prząd nocnej koszuli Bonnie także był czerwony od krwi.

- Pomóż mi ją przenieść przez ten drut - rozkazał Clyde starszemu z Fellerow, który bez protestu przestawił Bonnie na drugą stronę płotu.

W tym momencie wybiegły z domu pani Feller i jej córka.

- Otoczyli grupę bandytów w parku... - zaczęła i nagle słowa uwięzły jej w gardle.

- Nie zrobimy wam krzywdy - odezwał się Clyde. - Potrzebujemy tylko samochodu. - Fellerowie mieli trzy auta, niestety dwa z nich stały unieruchomione. Clyde machnięciem pistoletu wskazał plymoutha w garażu. - Wyprowadźcie go.

Fellerowie pomogli Bonnie zająć miejsce na tylnym siedzeniu. Marvelle musiał pokazać Clyde'owi, jak zapalić silnik. Z pomocą nastolatka Clyde dojechał do głównej drogi i wyruszył na północ, oddalając się od Dexfield Park.

Godzinę później ludzie z obławy, przeczesując zarośla wokół Dexfield Park, znaleźli Bucka i Blanche. Bucka odwieziono do szpitala King's Daughters w Perry. Wkrótce przyjechała tam jego matka i inni członkowie rodziny. Przeżył jeszcze prawie tydzień, zmarł w sobotę po południu, 29 lipca. Został zabrany do Dallas i tam pochowany. Blanche trafiła do więzienia. Tymczasem Bonnie i Clyde ominęli blokady na drogach i zapadli się pod ziemię. Bonnie mówiła później matce, że ukradli samochód w Polk City w Iowa i pojechali na zachód w kierunku Denver. Minęło dużo czasu, nim znów ich widziano.

Przez cały tamten tydzień, kiedy szukano Bonnie i Clyde'a po całym Iowa, dziennikarze i fotoreporterzy oblegali ulice wokół rezydencji Urschelów w Oklahoma City. Porwanie Urschela było największym wydarzeniem kryminalnym od czasu sprawy Lindbergha, która miała miejsce rok wcześniej i w przeciwieństwie do uprowadzenia Hamma, przetrzymywanego zaledwie przez tydzień poza domem, wzbudziła ogólnokrajowe zainteresowanie. Posiadłość, miliony, przerwana gra w brydża - prasa nie mogła się oprzeć tak smakowitym tematom.

Ranow środę 26 lipca, dwa dni po ucieczce Bonnie i Clyde'a z Dexfield Park, John

Catlett, bogaty nafcziarz z Tulsy, golił się w swojej łazience. Jedna z jego służących weszła do sypialni sąsiadującej z łazienką, przynosząc elegancką beżową kopertę; posłaniec z Western Union doręczył ją do domu.

- Połóż - rzucił Catlett, nie przerywając golenia. Skończywszy, opłukał twarz i otworzył przesyłkę. Ze środka wypadły trzy wizytówki Charlesa Urschela. Oprócz nich Catlett znalazł trzy napisane na maszynie listy. Jeden był do niego, Urschel prosił, by pozostałe dwa oddał jego żonie. Catlett wsunął listy do kieszeni marynarki, wsiadł do samochodu i pojechał do Oklahoma City.

Berenice Urschel płakała, czytając listy od męża. Porywacze żądali 200 000 dolarów za jego powrót do domu. List zawierał tekst fałszywego ogłoszenia o sprzedaży rancza, które miało się ukazywać w „Daily Oklahoma” codziennie przez tydzień. Widząc je, porywacze mieli się ponownie skontaktować. Jeden z przyjaciół Urschela, wysoki, muskularny nafcziarz E.E. Kirkpatrick, zlecił zamieszczenie ogłoszenia jeszcze tego samego wieczoru.

Następnego dnia przyszedł list od porywaczy na adres gazety. Było w nim polecenie, by Kirkpatrick w sobotę wieczorem wsiadł do pociągu odjeżdżającego o 22.10 do Kansas City. Po pewnym czasie z pociągu miał zobaczyć jedno ognisko, potem drugie. Kazano mu na widok drugiego wyrzucić z pociągu teczkę z okupem. Gdyby coś się nie udało, miał w Kansas City zatrzymać się w wyznaczonym hotelu i tam czekać na dalsze wskazówki[*]. Jak na listy z żądaniem okupu z czasów Wielkiego Kryzysu, ten wyjątkowo był wolny od melodramatycznych wątków. Zawierał tylko jedno ostrzeżenie: „Pamiętaj, jeśli będziesz próbował jakichś sztuczek, znajdziesz szczątki Urschela i zamiast radości będzie podwójna żałoba, bo ktoś bardzo bliski i drogi rodzinie Urschelów jest pod stałą obserwacją i również odpowie za twój błąd”].

Pani Urschel uniosła wzrok znad listu, przeczytawszy sumę okupu.

- To mnóstwo pieniędzy - odezwał się człowiek z FBI.

- Owszem, ale będziemy musieli je dać - odpowiedziała pani Urschel. - Chodzi o życie Charliego. Nie ma innego wyjścia.

Podczas trwania negocjacji Ed Weatherford, detektyw z Fort Worth, nie przestawał namawiać agentów z biura FBI w Dallas, żeby przyjrzeni się Kellym. Gdyby agenci z Dallas bardziej serio potraktowali jego radę, mogli sprawę rozwiązać. A byli już blisko. 24 lipca, dwa dni po porwaniu, Weatherford i agent z Dallas Dwight McCormack założyli podsłuch na telefonie Kathryn przy East Mulkey Street[*]. Urodzony w Illinois w 1905 r. Dwight L. McCormack służył w FBI od 1929 do 1944. Później pełnił funkcję sędziego sądu dla nieletnich w Dallas. Tam też zmarł w 1959.]. Podsłuchowi nie poświęcono jednak należytej

uwagi: zamiast agenta FBI zajmowała się nim kontrolerka z firmy telekomunikacyjnej Southwestern Bell, której powiedziano, by zadzwoniła, jeśli usłyszy coś podejrzanego.

Weatherford w tym czasie obserwował dom. Kathryn zniknęła. Detektyw był pewien, że pojechała na ranczo Shannona. Błagał biuro w Dallas, by założyło także podsłuch na telefonie z rancza, ale była to linia obsługująca kilku abonentów i agenci uznali za mało prawdopodobne, by małżeństwo Kellych powiedziało tą drogą coś, co by ich obciążało. Kolejna okazja przepadła, kiedy FBI nie udało się zdobyć zdjęcia Kelly'ego. Policja z Fort Worth dysponowała pojedynczą fotografią Kelly'ego, zrobioną z własnej inicjatywy w grudniu 1930. Agenci poprosili o jej wypożyczenie, by mocją pokazać pani Urschel. Gdyby rozpoznała Kelly'ego na zdjęciu, sprawa mogłaby się szybko zakończyć. Ale fotografia zaginęła.

„Weatherford twierdzi, że ostatni raz widział to zdjęcie na biurku innego oficera - pisał jeden z agentów. - Sugeruje, że któryś z chłopców wziął je i zapomniał oddać”⁹. Zniknięcie tego zdjęcia kosztowało FBI całe tygodnie pracy.

W tamtą sobotę o dwudziestej E.E. Kirkpatrick czaił się w krzakach za rezydencją Urschelów z czterema innymi przyjaciółmi rodziny i funkcjonariuszem z biura szeryfa. Berenice Urschel ukazała się w oknie na piętrze i oświetliła podjazd. Na ten znak pod dom podjechał samochód, z którego wysiadł bankier z Oklahoma City. Podbiegł do krzaków i wręczył Kirkpatrickowi brązową skórzaną teczkę zawierającą 200 000 dolarów w gotówce.

Dwie godziny później Kirkpatrick wraz z nafiarczem z Tulsy Johnem Catlettem wsiedli do pociągu pospiesznego „Katy-Limited” do Kansas City. Przeszli na sam tył i usiedli przy drzwiach wychodzących na tory. Mieli ze sobą dwie identyczne teuczki, jedna wypełniona była gotówką, druga gazetami; gdyby ktoś próbował ich napaść, zamierzali oddać tę drugą.

Pociąg miał opóźnienie, ponieważ dodawano dwa wagony, żeby pomieścić grupę wycieczkowiczów udających się na Wystawę Światową.

- Myślisz, że to pokrzyżuje ich plany, Kirk? - spytał Catlett.

- Sam chciałbym wiedzieć - odpowiedział Kirkpatrick.

W końcu rozległ się gwizdek konduktora i pociąg wyjechał ze stacji, kierując się na północny wschód w stronę granicy Kansas. W miarę jak nabierał prędkości, za oknem coraz szybciej migały nękane burzami piaskowymi miasta północnej Oklahomy. Witcher. Arkadia. Luter. Fallis. Tryon. Kirkpatrick był zdenerwowany, natomiast Catlett sprawiał wrażenie spokojnego, rozprawiał o przynętach wędkarskich i polowaniu na indyki. Na każdej stacji Kirkpatrick wychodził na powietrze i zapalał papierosa, stając pod lampą na peronie. Byli

zgodni co do tego, że najbardziej prawdopodobnym miejscem przekazania pieniędzy są dzikie wzgórza Osage. Kirkpatrick wspominał wszystkich bandytów, których drogi w przeszłości krzyżowały się z tą trasą kolejową - Daltonów, braci James, Doolinów, Ala Spencera, Franka Nasha. Pewne okoliczności nigdy się nie zmieniały.

Mijały godziny. Pociąg przejechał przez Bartlesville, potem Dewey, wreszcie znalazł się w stanie Kansas. Nie było widać żadnych ognisk. Kiedy zbliżali się do Kansas City, zaczynało świtać. Kirkpatrick był zrozpaczony. Albo spartaczyli sprawę, albo to wszystko było jakimś ponurym żartem. W Kansas City wysiedli z pociągu i zameldowali się w hotelu Muehlebach, tak jak nakazali porywacze. Wkrótce potem chłopiec hotelowy przyniósł Kirkpatrickowi telegram. Było w nim napisane: NIESPODZIEWANE WYDARZENIE NIE POZWOLIŁO MI SIĘ Z TOBĄ ZOBACZYĆ WCZORAJ WIECZOREM. SKONTAKTUJĘ SIĘ OK. 6.00 RANO. E.W. MOORE¹⁰.

Nigdy nie zostało wyjaśnione, dlaczego Kelly nie odebrał okupu. Według jednej z wersji, zalał silnik swojego samochodu”.

Przez całą niedzielę Kirkpatrick i Catlett czekali w pokoju hotelowym, słuchając kojących melodii granych w lobby przez pianistę:

Pieśni wiosennej Mendelssohna, Melodii F-dur Rubensteina i Serenady Schuberta. W końcu o 5.40 zadzwonił telefon.

- Mówi Moore - odezwał się w słuchawce męski głos. - Dostałeś moją depeszę? - Kiedy Kirkpatrick potwierdził, Moore kazał mu pójść do hotelu LaSalle na Linwood Boulevard... samemu. Mieli się spotkać przed wejściem o 6.20.

Kirkpatrick z automatycznym koltem wetkniętym za pasek spodni dojechał taksówką do LaSalle. Ściskając w ręku uchwyt teczki, przeszedł kilka kroków i zapalił papierosa. Po chwili ujrzał korpulentną postać zmierzającą w jego stronę chodnikiem. Nieznajomy miał na sobie starannie odprasowany letni garnitur, słomkowy kapelusz i krawat zawiązany w misterny węzeł.

To był Kelly.

- Wezmę tę teczkę - powiedział Kelly.

Kirkpatrick przyjrzał mu się uważnie, **starając się zapamiętać każdy szczegół.**

- Szybciej! - ponaglił Kelly.

- Skąd mam wiedzieć, że mam do czynienia z właściwą osobą?

- Do diabła, dobrze to wiesz.

- Dwieście tysięcy dolarów to mnóstwo pieniędzy - powiedział Kirkpatrick. - Jaką mamy gwarancję, że spełnicie obietnice?

- Nie targuj się ze mną - ostrzegł Kelly. - Chłopcy czekają.

- Chwileczkę. Co właściwie mam przekazać pani Urschel?

- Urschel wróci do domu w ciągu dwunastu godzin. - Kelly zrobił krok do przodu, chwycił teczkę i szybko odszedł, mieszając się z tłumem przechodniów.

Wróciwszy do hotelu, Kirkpatrick zadzwonił do pani Urschel.

- Dopiąłem interes z tą farmą - powiedział. - Potrzeba około dwunastu godzin, żeby prawnicy dopatrzyli szczegółów i prawo własności zostanie przeniesione.

- Dziękuję - powiedziała Berenice i odłożyła słuchawkę¹².

Cały poniedziałek w Oklahoma City padał deszcz. Berenice przez cały dzień czekała, chodząc w kółko po salonie. Kiedy Kirkpatrick wrócił z Kansas City, Gus Jones zawiózł go do biura FBI, żeby obejrzał zdjęcia w kartotece. Weatherford nie znał żadnej ze sfotografowanych osób.

- Jak sądzicie? Wypuszczągo? - spytał Kirkpatrick, kiedy już zajechali do rezydencji.

Jones pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć - westchnął. - Jeśli czują, że może rozpoznać kryjówkę, to nie ma szans. Powiedzieli panu, że wróci do domu w ciągu dwunastu godzin. Nie wrócił. W liście napisali, że będą go trzymać, dopóki nie sprawdzą i nie rozmieniają każdego banknotu, a to może im zająć całe tygodnie. Im dłużej będą go trzymać, tym bardziej to będzie niebezpieczne.

- Zatem nie sądzi pan, żeby wyszedł z tego cało? - spytał Kirkpatrick.

- Tego bym nie powiedział - zastrzegł się Jones. - Ale twierdzę, że jeśli go nie będzie do jutra rana, to nie wróci.

Po zapadnięciu zmroku napięcie w rezydencji Urschelów jeszcze się wzmogło. Jedyne moment odprężenia nastąpił, gdy jeden z prawników zobaczył mysz. Przyniósł z kuchni pułapkę, wsunął pod kanapę i natychmiast o niej zapomniał. Późnym wieczorem, przy nieustannym szumie deszczu na zewnątrz, rozległ się głośny trzask. Pani Urschel poderwała się na nogi przestraszona.

- Co to było? - spytała. Prawnik się uśmiechnął.

- To tylko mysz się złapała - powiedział.

Około jedenastej tylne drzwi się otworzyły i do domu wszedł Charles Urschel. Był nieogolony. Mrużył oczy. Pani Urschel podbiegła i rzuciła mu się w ramiona. Godzinę wcześniej wysadzono go na przedmieściach Norman, skąd taksówką dojechał do domu.

Wezwany telefonicznie Gus Jones zjawił się punktualnie o jedenastej. Urschel twierdził, że jest zbyt zmęczony, by rozmawiać. Jones jednak nalegał. Urschel powiedział, że

nie jest w stanie zidentyfikować porywaczy i nie wie, gdzie był przetrzymywany. Jones wziął go pod ramię i powiedział, że nie szkodzi. Zaprowadził go do gabinetu, zamknął drzwi i zaczął zadawać pytania.

Po przydzieleniu Gusa Jonesa do sprawy Urschela dochodzenie w sprawie masakry w Kansas City zaczęło się ślimaczyć. Nikt z zatrzymanych nie dał żadnych wskazówek co do osoby Verne'a Millera lub tego, kim byli jego współnicy. Bukmacher z Hot Springs Dick Galatas zapadł się pod ziemię, podobnie jak Pretty Boy Floyd, jakkolwiek większość agentów była sceptyczna co do jego udziału w strzelaninie. Harvey Bailey i pozostali uciekinierzy szwendali się po Oklahomie, rabując banki do woli, a Biuro nie podejmowało większych wysiłków, żeby ich schwytać.

Nagle 31 lipca, w dniu, kiedy Urschel został uwolniony, nadeszła elektryzująca wiadomość z Nowego Jorku: tamtejsi agenci znaleźli dziewczynę Verne'a Millera, Vi Mathias. Mieszkała tam jako Vivian Allen w luksusowym apartamencie na Central Park West. Z raportu SAC w Nowym Jorku Franka X. Faya wynikało, że jej gospodarzem jest trzydziestosześcioletni „Louis lub Philip Buckwalt (znany także jako Bucholtz, Buchouse lub Buchalter). Wstępne śledztwo wykazało, że choć człowiek ten żyje w luksusie, nie cieszy się najlepszą opinią”¹³. To, że Fay nie wiedział, kim jest opisywany przez niego osobnik, świadczy o nikłej wiedzy FBI na temat kryminalnego podziemia Ameryki w roku 1933.

Człowiek goszczący Vi Mathias dał się lepiej zapamiętać jako Louis „Lepke” Buchalter, jeden z członków-założycieli nowojorskiego syndykatu, obok Meyera Lansky'ego i Charlesa „Lucky” Luciano. Buchalter właśnie został szefem „wymuszającego ramienia” mafii, nazwanego przez prasę Murder Inc., którym kierował, nie zaprzestając prowadzenia dotychczasowych interesów w branży narkotykowej oraz manipulowania związkami zawodowymi. Nie wiadomo do końca, jak Buchalter poznał Verne'a Millera, ale później FBI miało doniesienia, że Buchalter wynajmował Millera kilkakrotnie, żeby mordował jego mafijnych rywali. W każdym razie znał Millera na tyle, by ukrywać jego dziewczynę.

Agenci z Nowego Jorku interesowali się Vi Mathias od 19 lipca, kiedy biuro w St. Paul, przechytujące pocztę jej rodziców, zadzwoniło z wiadomością, że jej córka Betty dostała pudełko cukierków toffi wysłane z Atlantic City. Jeden z nowojorskich agentów odnalazł sklep, gdzie je kupiono, i zdobył paragon. Potwierdzono, że podpis na paragonie należy do Mathias, ale na tym ślad się urywał.

W dniu porwania Urschela, 22 lipca, przyszła wiadomość, że Betty dostała drugą przesyłkę, tym razem komplet składający się z pióra i ołówka, wysłany ze sklepu z upominkami w Lake Placid w stanie Nowy Jork. Nowojorscy agenci dotarli tam po kilku

godzinach. Dowiedzieli się, że dwie dobrze ubrane kobiety nabyły ten prezent tydzień wcześniej. Jedną z kobiet opisano jako trzydziestoosmiolatkę „bardzo masywną, z bardzo szerokimi ramionami, dużym biustem, bardzo ciemnymi włosami i smagłą cerą. Wyglądała na Żydówkę, miała na sobie żółty komplet z dzianiny i wielką zieloną broszkę”. To była żona Buchaltera, Betty. Druga kobieta, szczupła blondynka z mocnym makijażem, ubrana była w niebieski jedwabny kostium i biały beret z pomponem. Sprzedawca rozpoznał na zdjęciu Vi Mathias.

Agenci rozproszyli się po Lakę Placid i okolicy, sprawdzając każdy hotel oraz biuro Western Union. Nie znaleźli nic konkretnego, ale usłyszawszy, iż jakaś kobieta podobna z opisu do Mathias powiedziała sprzedawczyni, że wybiera się do Montrealu, rozszerzyli poszukiwania na Kanadę. W końcu wieczorem 27 lipca hotelowy detektyw z Montrealu powiadomił agentów, że kobieta przypominająca z opisu Mathias przed kilku godzinami wymeldowała się z hotelu Mt. Royal. Detektyw rozpoznał Vi Mathias i Betty Buchalter na zdjęciach, dodając, że odjechały z dwoma mężczyznami - jednym z kierowników wytwórni filmowej Columbia Pictures i właścicielem kempingu w górach Adirondack. Następnego dnia agenci zlokalizowali właściciela kempingu, który opowiedział im, jak przez tydzień we czwórkę odwiedzali nocne kluby Montrealu i hotele na północy stanu Nowy Jork, pijąc bez umiaru i świetnie się bawiąc. Mathias zakochała się na zabój w kierowniku z Columbi. Żadna z pań najwyraźniej nie przejmowała się nieobecnością swego życiowego partnera.

Właściciel kempingu sugerował, że obie kobiety mogą być w hotelu Sherwood w Burlington w stanie Vermont. Z Manhattanu wysłano dwóch agentów, którzy następnego dnia, w niedzielę 30 lipca o jedenastej, patrzyli, jak Mathias ubrana w wydekolowaną zieloną sukienkę odjeżdża spod hotelu czarnym lincolnem. Obok niej siedziała rozłożysta Betty Buchalter. Agenci przejechali za lincolnem granicę stanu Nowy Jork, a potem, nie spuszczać go z oczu, skręcili na południe. Wszystko szło gładko aż do chwili, gdy oba auta minęły miejscowość Troy w stanie Nowy Jork, gdzie samochód FBI złapał gumę. Mathias z Buchalter pojechały dalej.

Takie potknięcia często się zdarzały FBI w 1933 roku, jako że ludzie Hoovera dopiero poznawali tajniki śledczego rzemiosła. Niemniej jednak całkiem ładnie wybrnęli z kłopotliwej sytuacji. Dzięki sprawdzeniu hotelowych rejestrów biuro w Nowym Jorku wiedziało, że pani Buchalter mieszka w apartamencie 17 J w budynku Majestic na Central Park West. Zaangażowano agentów do całodobowej obserwacji i następnego wieczoru, 31 lipca, zauważyli oni panią Buchalter samotnie opuszczającą apartamentowiec. Śledzili ją przez kilka przecznic, ale jej nie zatrzymywali. Zainstalowali podsłuch na telefonie Buchalterów i

umówili się z portierem, że będzie im dostarczał informacji. Założyli, że jeśli Mathias nadal przebywa w Nowym Jorku, z pewnością wróci na Central Park West¹⁴.

Trzy dni później informator z Majestica zawiadomił nowojorskie biuro FBI, że Buchalterowie wybierają się na wakacje i wysłali już część bagaży na Pennsylvania Station. Dwóch agentów dotarło na stację w momencie, gdy siedmioosobowa grupa, między innymi osoby zidentyfikowane jako pan i pani Buchalter oraz panna V. Allen, wsiadała do pociągu jadącego do Vermontu. Agenci również zajęli miejsca w pociągu, który dotarł do Vermontu w nocy. Nie wiadomo, jak to się stało, ale po wyjściu na peron agenci stwierdzili, że całe towarzystwo śledzonych już odjechało.

Tym razem ludzie Hoovera dostali drugą szansę. Agenci z biura w Nowym Jorku od tygodni mieli na oku hotele w Atlantic City, zaalarmowani niepotwierdzonymi pogłoskami, jakoby Verne Miller ukrywał się w tamtym rejonie. W piątek 4 sierpnia wieczorem zastępca dyrektora hotelu Ritz Carlton w Atlantic City zadzwonił z informacją, że Buchalterowie i ich syn w towarzystwie niejakiej panny Vivian Allen właśnie się zameldowali.

Przed północą w hotelu zjawili się pięciu agentów. Buchalterowie i „panna Allen” zajmowali pokoje 1519 i 1520, z oknami wychodzącymi na ocean. Przepytany zastępca dyrektora powiedział, że goście ci zarezerwowali leżaki na weekend. Następnego ranka kilku agentów w strojach kąpielowych rozsiadło się na plaży w pobliżu Buchaltera, jego żony, młodego chłopca, trzech mężczyzn „żydowskiego pochodzenia” oraz kobiety, ale bynajmniej nie blondynki; w swoich raportach agenci napisali, że „miała fryzurę w stylu Greta Garbo w kolorze henny”. To była Mathias ze świeżo ufarbowanymi włosami.

W poniedziałek rano około jedenastej, po weekendzie, podczas którego nic się nie wydarzyło, Buchalterowie się wymeldowali. Razem z Mathias wsiedli do czarnego lincolna sedana przed hotelem. Nowojorscy agenci ruszyli za nimi, dwóch packardem, trzeci limuzyną prowadzoną przez szofera. Jechali na północ, w stronę Manhattanu. Auto należące do FBI się przegrzało i tylko limuzyna z szoferem podążyła za lincolnem do Newark, do hotelu Robert Trent. Portier wyładował z auta kilka toreb. Rodzina Buchalterów, Mathias i jakiś niezidentyfikowany mężczyzna wysiedli i weszli do środka.

Po kilku minutach Buchalterowie znów wyszli z hotelu i wsiedli do lincolna. Nie było z nimi Mathias. Agent w limuzynie musiał podjąć błyskawiczną decyzję: jechać za lincolnem czy nie spuszczać z oka Mathias. Zakładając, że Mathias zamieszkała w hotelu, wybrał lincolna i jechał za nim, dopóki nie nabrał pewności, że Buchalterowie kierują się do tunelu Hollanda. Wówczas kazał szoferowi wrócić do hotelu Robert Trent. Natychmiast ruszył do recepcji, upewnić się, że Mathias się zameldowała. Ku swemu przerażeniu odkrył, że nie.

Według słów zastępcy dyrektora Mathias posiedziała w lobby około dwudziestu minut, po czym wyszła.

Sześciu agentów zjawilo się w hotelu, żeby przesłuchać portiera, kierowców taksówek oraz każdego, kto tylko im się nawinął. Bez skutku. Vi Mathias zniknęła bez śladu i tym razem FBI nie było w stanie jej znaleźć.

Za zamkniętymi drzwiami rezydencji Urschelów Gus Jones prowadził przesłuchanie. Miał kojący sposób bycia. Choć Charles Urschel upierał się, że nic nie wiedział, ponieważ przez cały czas miał zasłonięte oczy, Jones zachęcał go do mówienia, przekonując, że kiedy jeden ze zmysłów jest wyłączony, pozostałe ulegają wyostreniu. Po pewnym czasie Urschel zrozumiał, że Jones ma rację.

Przypomniał sobie, że przejeżdżali przez gwałtowną ulewę mniej więcej godzinę po opuszczeniu Oklahoma City. Pamiętał, że zatrzymali się na stacji benzynowej, gdzie obsługujący zrobił uwagę na temat sorga, rośliny uprawianej głównie w południowej Oklahomie. Pamiętał też, że ich samochód przejeżdżał przez długi drewniany most. Jones znał ten most - przecinał Rzekę Czerwoną niedaleko Ardmore. A to oznaczało, że Urschela zabrano do Teksasu.

Przetrzymywano go na farmie. Słyszał pianie kogutów, pochrząkiwanie świń. Dostał wodę do picia w obtłuczonym blaszanym kubku. Woda zapewne pochodziła ze studni, bo słyszał skrzypienie studziennego kołowrotu. Miała silny mineralny posmak. Po paru dniach opaska na oczach trochę się rozluźniła i dojrzał zarysy szopy, w której go trzymano. Jones zrobił szkic. Urschel pokiwał głową. Był podobny.

Jones nalegał na więcej. Codziennie dwa razy słycać było przelatujący samolot. Około dziewiątej rano i o piątej lub szóstej po południu. Zainteresowanie Jonesa rosło. Rozkład lotów można było sprawdzić. W końcu Urschel przypomniał sobie straszną burzę w sobotę wieczorem, zanim go uwolniono. Spytał wówczas pilnującego go człowieka - młodego chłopca, jak mu się zdawało, nie żadnego z porywaczy - czy to tornado. Chłopiec odpowiedział, że nie, ale „na południe stąd, w Oklahomie, zdarzają się często”. Jones się uśmiechnął.

- To była podpucha - stwierdził. - Nie był pan na północ od Oklahomy, tylko na południe. - Pochylił się ku swemu rozmówcy. - Teraz chcę, żeby pan się dobrze zastanowił, panie Urschel. To może być najważniejsze pytanie ze wszystkich, jakie panu dziś zadałem, więc proszę się nie spieszyć z odpowiedzią. Czy słyszał pan samolot tamtej nocy, kiedy była wichura?

Urschel zamknął oczy, a potem pokręcił głową.

- Nie. Jestem pewien, że nie. Jones znów się uśmiechnął.

- Muszę przyznać, że jak na człowieka z zawiązanymi oczami i skutego łańcuchem widział pan piekielnie dużo - powiedział¹⁵.

Przesłuchanie Charlesa Urschela przez Jonesa stało się sławne w Biurze i później przez całe lata, rzadko wymieniając Jonesa z nazwiska, Hoover przytaczał je jako świetlany przykład „naukowego” podejścia FBI do rozwiązywania spraw kryminalnych. W istocie praca dedukcyjna Jonesa, jakkolwiek błyskotliwa, okazała się zbędna. Podczas gdy Jones dosłownie stawał na głowie, żeby znaleźć farmę w północnym Teksasie odpowiadającą opisowi Urschela, detektyw z Fort Worth Ed Weatherford przekonał agentów z Dallas, że porwaniem kierował Kelly.

Rano następnego dnia po wypuszczeniu Urschela Weatherford zwabił agenta z Dallas Kelly’ego Deadericka do Paradise, gdzie przesłuchali kobietę, która obsługiwała miejską centralę telefoniczną[* Kelly D. Deaderick, weteran pierwszej wojny światowej, służył w FBI od 1927 do 1951 r. Później był prokuratorem w Yakima w stanie Waszyngton. Tam też zmarł w 1970, w wieku 71 lat.]. Powiedziała im, że Kathryn Kelly, którą dobrze знаła, spędziła cały tydzień z matką na ranchu Shannona. Wszyscy w mieście odnosili się podejrzliwie do Kellych, ich błyszczących samochodów i dwudziesto-dolarowych banknotów, którymi sypali wokół jak konfetti. Człowiek z działu telegramów powiedział mniej więcej to samo. Twierdził, jakoby Kathryn Kelly przechwalała się, że jej mąż rabuje banki.

Agent Deaderick wrócił do Dallas przekonany, że są na dobrym tropie. Zadzwoił do Gusa Jonesa i pokrótce przedstawił mu sprawę.

Jednak Jones nadal ignorował Kellych; załatwił sobie samolot w Philips Petroleum i wysyłał agentów nad północny Teksas, próbując znaleźć farmę opisaną przez Urschela. Pomimo odkryć Weatherforda, podsumowanie sprawy przedstawione przez FBI 5 sierpnia nawet nie wspominało o Kellych. Rozczarowanie agentów z Dallas osiągnęło szczyt dwa dni później, kiedy osoba numer dwa w tamtejszym biurze, Dwight McCormack, napisała raport oceniający dowody. Zamiast nagłówka na notatce służbowej McCormack umieścił zdanie: „Po zbadaniu działalności George’a Kelly’ego i jego gangu w Fort Worth i Paradise w Teksasie można z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że byli zaangażowani w porwanie Urschela”.

Mimo to Jones nie chciał słuchać. Nadal zasypywał biuro w Dallas żądaniem udostępnienia rozkładów lotów i prognoz pogody z całej Oklahomy i północnego Teksasu. Legenda FBI (i wersja wydarzeń przedstawiana przez Jonesa) utrzymuje, że dopiero po

dokładnej analizie tych danych zidentyfikowano Paradise jako prawdopodobną kryjówkę porywaczy. W rzeczywistości przebiegło to inaczej, nieco bardziej subtelnie: za każdym razem, gdy Jones domagał się danych, biuro z Dallas sprawdzało warunki w Paradise i wskazywało, do jakiego stopnia pasują do opisu Urschela. Rozstrzygnięcie nastąpiło we środę 9 sierpnia, kiedy Dallas dostarczyło danych na temat opadów w Paradise. Pasowały dokładnie do tego, co zapamiętał Urschel.

Jones wreszcie przejrzał na oczy i kazał agentom z Dallas przeprowadzić zwiad na ranchu Shannona. Wczesnym rankiem następnego dnia, w czwartek 10 sierpnia, Ed Weatherford zawiózł agenta FBI Eda Dowda do miejscowości Decatur, osiem kilometrów od Paradise, gdzie przesłuchali pracownika banku, z którego usług korzystał Boss Shannon. Dowd, przekonany o uczciwości bankowca, postanowił zaryzykować. Wyjaśnił mu, że Shannon może być zamieszany w porwanie Urschela. Bankowiec wezwał kolegę zajmującego się doradztwem kredytowym i Dowd rozłożył przed nimi rysunek szopy sporządzony przez Urschela. Kolega oznajmił, że widział dokładnie taką szopę w obejściu Shannona.

Wymyślili plan. Urzędnik z banku przygotował jakiś mało znaczący dokument, który Shannon miał podpisać. Doradca kredytowy podjął się, że zawiezie Dowda na rancho i poprosi Shannona o podpis; Dowd miał udawać bankowego taksatora. Dowd wsiadł do jego forda coupe i razem pojechali wyboistą gruntową drogą na farmę, gdzie natknęli się na syna Bossa Shannona, Armona, stojącego przed szopą. Dowd spytał, czy może się napić wody. Armon pomógł mu wyciągnąć ją ze studni. Dowd zauważył, że kołowrót skrzypi. Woda miała mineralny posmak. Żona Armona wyszła z szopy i poczęstowała wszystkich świeżo rozkrojonym arbuzem. Po chwili Dowd wszedł do środka. Wszystko zgadzało się dokładnie z opisem Urschela. Po powrocie do Dallas Dowd przesłał Gusowi Jonesowi do Oklahoma City raport o swoich odkryciach.

Jones postanowił zrobić nalot na farmę Shannona następnego dnia, w piątek 11 sierpnia. Kiedy Urschel wyraził chęć wzięcia udziału w wyprawie, Jones zgodził się, choć niechętnie. Wszyscy spotkali się w piątek po południu w Denton, na północ od Dallas. Grupa składała się z czternastu osób: Jonesa i trzech agentów, czterech detektywów z Fort Worth pod przywództwem Eda Weatherforda, czterech policjantów z Dallas oraz Urschela i detektywa z Oklahoma City. Nim dotarli do Decatur, słońce zaczęło zachodzić. Jones zatrzymał kolumnę samochodów i zebrał wszystkich wokół siebie.

- Panowie, mamy do przejechania jakieś czterdzieści kilometrów po nędznych drogach - zaczął. - Może nam się uda zdążyć przed zmrokiem, ale nawet jeśli, to wątpię, czy skończymy robotę, zanim będzie ciemno. - Przykłęknął i narysował na ziemi plan farmy

Shannona. - Tak mniej więcej to wygląda. Na rancho prowadzi tylko jedna droga, całkiem prosta. Nie możemy się zakraść chyłkiem, bo teren jest tak płaski, że mrówkę widać z daleka. Jedyny sposób to po prostu wjechać tam z zaskoczenia, a do tego potrzebujemy dziennego światła... Dosyć się w swoim czasie nastrzelałem i nie chcę się znaleźć po ciemku w obcym miejscu, gdzie wszystkie szanse są po stronie przeciwnika. Według mnie powinniśmy się wstrzymać, pojechać do Fort Worth, trochę się przespać i zaatakować o świcie¹⁶.

Tego wieczoru szef agentów w Oklahoma City Ralph Colvin był tak pewny sukcesu, że wysłał depezę do Hoovera: NIE MOŻE NAM SIĘ NIE UDAĆ. SPODZIEWANY WAŻNY PRZEŁOM DO POŁUDNIA W SOBOTE¹⁷. W Fort Worth Jones i jego ludzie zjedli kolację i próbowali się przespać kilka godzin w hotelu Blackstone. O czwartej rano ponownie zebrali się na hotelowym parkingu i pojechali do Rhome, dwadzieścia siedem kilometrów od Decatur, gdzie czekali półtorej godziny na miejscowego szeryfa, który miał do nich dołączyć. O szóstej szeryfa nadal nie było, więc Jones zdecydował, że ruszają w dalszą drogę bez niego.

Stacja radiowa WB AP zaczęła dzień piosenką Cecila Gilla, jodłującego śpiewaka country. Horyzont czerwieniał, kiedy kolumna składająca się z trzech samochodów jechała na północ w kierunku Paradise, wzniesając tumany pyłu na gruntowych drogach. W domu Shannona było ciemno, gdy dotarli na miejsce. Jones wyskoczył z auta uzbrojony w pistolet maszynowy. Tuż za nim wysiadł Urschel; o dziwo, agenci pozwolili mu wziąć strzelbę z obciążoną lufą. Obiegając dom dookoła, natknęli się na Bossa Shannona podciągającego szelki.

- Czego tu szukacie? - zażądał wyjaśnień Shannon.

- Ten stary mnie pilnował! - zawołał Urschel.

Agenci wymierzili broń w Shannona, a Jones rozejrzał się i zauważył coś dziwnego na podwórku za domem - prowizoryczną pryczę opartą na dwóch kobyłkach do cięcia drewna. Na pryczy ktoś spał. Jones, z pistoletem gotowym do strzału, podbiegł do nieruchomej sylwetki. Z bliska zobaczył, że to mężczyzna śpiący w samej bieliźnie. Spodnie i biała koszula leżały w nogach pryczy, razem ze strzelbą Winchester i koltem.45. Jones podszedł jeszcze bliżej i zajrzał śpiącemu w twarz. Natychmiast rozpoznał znajome rysy, faliste włosy i mocno zarysowaną szczękę. Cicho zaklął ze zdumienia.

Opuścił broń tak, że koniec lufy dotknął nosa śpiącego. Mężczyzna poruszył nozdrzami, zamrugał i w końcu się ocknął. Jones patrzył w brązowe oczy człowieka, który był mentorem Verne'a Millera, Machine Gun Kelly'ego, Alvina Karpisa i braci Barker, człowieka, który był głównym podejrzanym w sprawie masakry. To był Harvey Bailey. Przez dłuższą chwilę obserwowali się nawzajem w słabym świetle świtu, nie mówiąc ani słowa.

Bailey popatrzył na pistolet Jonesa, wycelowany teraz w jego klatkę piersiową. Jego własny kolt leżał kilkanaście centymetrów od jego prawej ręki. Agent z Dallas, Charles Winstead, stał z boku pryczy.

- No, dalej! - warknął. - Sięgaj po broń! Bailey się nie poruszył.

- Wstawaj, Harvey - powiedział w końcu Jones. - Kto tu jest z tobą?

Bailey się nie odezwał.

- Harvey, jeśli zobaczę, że ktoś się czai, albo ktoś strzeli, to obiecuję, że rozwalę cię na kawałki - rzekł spokojnie Jones.

- Jestem tu sam - powiedział Bailey. - Dorwaliście mnie. - Powoli usiadł na pryczy, przeciągnął się i uśmiechnął lekko. - Do diabła, każdy czasami musi się przespać¹⁸.

Agenci przeszukali dom i zabudowania gospodarcze, zakuwając w kajdanki całą rodzinę Shannona. Matka Kathryn, Ora Shannon, ciskała się i piekliła, że nie zrobiła nic złego.

- Nie waż się im nic mówić! - rzuciła wściekle do męża. Niepotrzebnie. Gus Jones wziął syna Shannonów Armona na „ojcowską rozmowę” i młodzieniec szybko wszystko im powiedział. Sprawcami porwania było małżeństwo Kellych i Albert Bates. I dawno stamtąd wyjechali.

Harvey Bailey i Shannonowie zostali zabrani do aresztu w Dallas, gdzie Boss Shannon wkrótce wszystko wyśpiewał, potwierdzając to, co wcześniej agenci usłyszeli od jego syna. W nadziei, że uda mu się zaskoczyć Kellych, Jones zdołał dopilnować, by sprawa była utrzymywana w sekrecie przez siedemdziesiąt dwie godziny, ale w poniedziałek rano wiadomość ukazała się w „Dallas Times-Herald”, a następnego dnia rozeszła się po całym kraju. Większość gazet głosiła, że to Bailey zorganizował porwanie, tak samo jak masakrę w Kansas City. W rzeczywistości Bailey nie miał nic wspólnego z uprowadzeniem Urschela. Po prostu wstąpił na rancho Shannona, co zdarzyło mu się już parę razy wcześniej na zaproszenie Kelly’ego, bo chciał się gdzieś przespać[* Dwaj inni uciekinierzy z Lansing, „Big” Bob Brady i Ed Davis, przyjechali na rancho Shannona poprzedniego wieczoru razem z Baileyem, ale odjechali po kolacji. Gdyby agenci FBI zrobili nalot wcześniej, tak jak planowali, mogłoby dojść do strzelaniny.]. Aresztowanie Baileya było szczęśliwym trafem, ale w tamtym tygodniu FBI w ogóle miało dużo szczęścia. W sobotę po południu, zaledwie parę godzin po nalocie na farmę Shannona, policja aresztowała Alberta Batesa na parkingu w centrum Dallas[* Przez całe lata Hoover pozwalał, by autorzy piszący o sprawie Urschela przypisywali schwywanie Batesa FBI. W rzeczywistości, co jasno wynika z akt, Bates został zatrzymany po wyczerpującym śledztwie przeprowadzonym przez - co może się wydać

zaskakujące - American Express Company. Firma ta poszukiwała Batesa od czasu, gdy zrealizował czeki podróżne skradzione podczas napadu w Tupeco w stanie Missisipi w 1932 r. Aresztowano go dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Według raportu FBI w tamten piątek, 11 sierpnia, pracownik American Express jechał pociągiem z Omaha do Denver, kiedy zobaczył Batesa wsiadającego do wagonu. Niezwłocznie zawiadomił policję z Denver, która dokonała aresztowania. podał żadnych użytecznych informacji o Kellych ani na temat swojej części pieniędzy z okupu.]

Dzięki Edowi Weatherfordowi polowanie na Kellych nabrało tempa. Przez dwa tygodnie jeden z agentów notował adresy zwrotne z korespondencji przychodzącej do Shannonów - adresy, które dopiero teraz FBI zaczęła przeglądać. Dwa listy przyszły od Kathryn; jeden został wysłany z St. Paul 4 sierpnia, drugi z Madison w stanie Wisconsin trzy dni później, z adresem zwrotnym na poste restante w Indianapolis. Wysłano agenta, żeby obserwował pocztę w Indianapolis, a biuletyn z opisem samochodu Kellych rozesłano po całym kraju.

Pierwszy ślad pojawił się w Cleveland, gdzie w niedzielę 13 sierpnia agenci rozpytywali o znaleziony na ranchu Shannona rachunek z firmy handlującej cadillacami. Sprzedawca powiedział agentom, że Kelly z żoną był u niego przed trzema dniami, 10 sierpnia, żeby spłacić należność za cadillaca, którym jeździ, i porozmawiać o kupnie nowego. Wyszli jednak, nie kupiwszy nowego auta, mówiąc, że jadą do Chicago. Agenci w Chicago i Cleveland niezwłocznie odwiedzili salony samochodowe i biura lotnicze w obu miastach.

Rozpoczęło się polowanie na Machinę Gun Kelly'ego.

Po latach Kelly opowiedział swojemu synowi o cudownych kilku dniach, jakie on i Kathryn przeżyli po otrzymaniu okupu za Urschela. Mówił, że polecili za granicę, do Chihuahua w Meksyku, gdzie przez dziesięć dni leżeli w łóżku, popijając tequilę. Z radia w hotelowym pokoju w Meksyku dowiedział się o aresztowaniu Bailey'a.

I ta opowieść Kelly'ego, jak wiele innych, była czystą fantazją, prawdopodobnie wymyśloną po to, by zrobić wrażenie na synu. W rzeczywistości po uwolnieniu Urschela 31 lipca małżeństwo Kellych pojechało do St. Paul, gdzie wynajęli mieszkanie i zaczęli szukać kontaktów z przestępczym podziemiem, żeby wyprać pieniądze z okupu. Wspólnik Harry'ego Sawyera, właściciel kasyna Jack Peifer wziął 7000 dolarów, pobierając za przysługę 20 procent. Peifer rozdał pieniądze sześciu swoim ludziom, żeby je rozmięli w okolicznych bankach. Kelly kupił Kathryn futro i biżuterię, zapłacił 1150 dolarów za bransoletkę z 234 małymi brylantami i 850 dolarów za pierścionek z ośmioma okrągłymi brylantami.

Z St. Paul Kelly'owie udali się do Cleveland, gdzie usłyszeli wiadomość o

aresztowaniu przez FBI kilku współników Peifera. Kupili cadillaca i pojechali nim do Chicago, a potem dalej, do Des Moines. Ukrywali się w hotelu Fort Des Moines, kiedy rozeszły się wieści o aresztowaniach na farmie Shannona. Kathryn była wściekła, że jej matka została zatrzymana, i przysięgła zrobić wszystko, by ją uwolnić. Od tego momentu o wiele bardziej przejmowała się losami matki niż męża.

Chcąc za wszelką cenę znaleźć adwokata, Kathryn pojechała z Kellym na południe, do zachodniego Teksasu, gdzie w miejscowości Coleman mieszkali jej krewni. 16 sierpnia dotarli na zapuszczone ranczo należące do czterdziestotrzyletniego wujka Kathryn, Cassa Colemana. Kathryn wysiadła z samochodu z dwiema skórzanymi torbami zawierającymi okup. Z pomocą wuja zapakowali pozostałe pieniądze do dzbanka na wodę i do wiadra, a następnie zakopali pod wierzwą za stodołą.

Następnego ranka Kelly długo spał, a Kathryn pojechała do Brownwood, żeby kupić samochód. Wróciła po południu zdezelowanym chevroletem sedanem. Nazajutrz zostawiła Kelly'ego z wujem, mówiąc, że jedzie do Dallas, żeby wynająć adwokata dla matki, i wróci za kilka dni. Cass Coleman bynajmniej nie był zachwycony pozostawianiem sam na sam z poszukiwanym przestępcą. Wysłał Kelly'ego na inne ranczo, w pobliżu sąsiedniego miasta Santa Ana, gdzie sześćdziesięcioletni farmer Will Casey pozwolił Kelly'emu zamieszkać w wolnym domu na terenie swojej posiadłości. Coleman przywiózł Kelly'emu pościel i naczynia kuchenne, po czym wrócił do siebie, żeby czekać na Kathryn.

Wtedy w mieście zjawili się FBI. Agenci z Dallas odkryli, że Kathryn ma krewnych w Coleman, i przeczesywali tę okolicę, chcąc ich przesłuchać. Wystarczył jeden dzień, by wiadomość o obecności agentów dotarła do Kelly'ego. Tuż przed południem 23 sierpnia pojechał na farmę Colemana, wbiegł do domu i zwrócił się do gospodarza:

- Potrzebuję kawałka papieru.
- Co się dzieje? - zdziwił się Coleman.

Kelly mu wyjaśnił. Otrzymałszy od Colemana kartkę, coś na niej napisał, włożył do koperty i zakleił.

- Daj to Kathryn - poprosił. - I powiedz jej słowo „Missisipi”. Wskoczył do samochodu i odjechał, kierując się na wschód. Kiedy

Kathryn wróciła na farmę po kilku dniach, przeczytała wiadomość od Kelly'ego i zaklęła.

- Cholerny głupiec! - powiedziała do wuja, po czym wyruszyła na poszukiwanie krnąbrnego męża.

Podczas tych upalnych dni, kiedy uwagę całego narodu skupiało polowanie na

Machinę Gun Kelly'ego, John Dillinger w spokoju rozwijał swoją przestępczą karierę; wędrował po różnych miastach Indiany, Ohio i północnego Kentucky, „obczajając” banki, w przerwach zaglądając na Wystawę Światową! odwiedzając zaprzyjaźnione panie. Był ciągle w ruchu, chociaż w pewnym momencie miał wynajęte jednocześnie dwa mieszkania, jedno w East Chicago, drugie w Gary, które służyły mu jako kryjówki.

Pozostawał nieznaną opinii publicznej, jednak jego dokonania budziły żywe zainteresowanie detektywa Matta Leacha, pracującego w nowo powstałym wydziale policji stanowej w Indianie. Obsesyjna pogoń Leacha za Dillingerem przeszła w Indianie do legendy. Leach był serbskim imigrantem, przyjechał do zachodniej Pensylwanii w 1907 roku, kiedy miał 13 lat[*]. Według doskonałego artykułu zamieszczonego w „Serb World USA” w 1992 r., Leach naprawdę nazywał się Matija Licanin. Jego rodzina pochodziła z serbskiego miasta Kordun.]. Trzy lata później rodzina przeprowadziła się do Indiany i ojciec Leacha podjął pracę w hucie stali w Gary. Sam Leach także pracował w hutnictwie przed wstąpieniem do wojska w 1915. Służył pod dowództwem Johna J. Pershinga podczas wyprawy przeciwko Pancho Villi oraz na froncie zachodnim pierwszej wojny światowej. Po powrocie do Gary został policjantem i stopniowo awansował na szefa wydziału do walki z narkotykami i prostytutką. Jako policjant szczebla lokalnego działał w Legionie Amerykańskim, a kiedy jego komendant Paul McNutt został wybrany na gubernatora stanu Indiana w 1932 roku, Leacha mianowano pierwszym kapitanem stanowych sił policyjnych stworzonych przez McNutta. Jedynie super-intendent policji, Al Feeney, był wyższy rangą.

Podobnie jak FBI, policja stanowa Indiany była słabo wyposażona do walki z przestępczością. W 1933 roku jej czterdziestu jeden pracowników (licząc z urzędnikami) pochodziło, jak Leach i Feeney, z politycznego rozdania i miało za zadanie patrolować stanowe drogi na motocyklach lub kilkoma starymi autami bez łączności radiowej; przed Dillingerem do ich najtrudniejszych przedsięwzięć należało kierowanie ruchem pojazdów zmierzających na Wystawę Światową i schwywanie bandy złodziei kurczaków¹⁹. Jednakże Leach, chudy i poważny, czuł się powołany do ważniejszych zadań. Czytał książki z dziedziny psychologii i uważał się za wnikliwego analityka typów przestępczych. Niestety, większość ludzi zauważała u niego głównie skłonność do jąkania, która się nasilała w chwilach stresu.

Kiedy gazety napisały o niezidentyfikowanym bandycie, który przeskakując przez barierkę, obrabował bank w Dalesville, Leach bardzo się nim zainteresował. Rabuś wykazał się fantazją pozwalającą sądzić, że wkrótce może bardziej zuchwale wybierać swoje cele. Tknięty przecuciem Leach pojechał do Muncie, żeby przesłuchać nastoletniego współnika

Dillingera, Williama Shawa, siedzącego w więzieniu. Shaw wymienił nazwisko Dillingera. Leach skontaktował się z oficerem odpowiedzialnym za warunkowe zwolnienie Dillingera i dowiedział się od niego, że Dillinger zniknął.

Dwa tygodnie po napadzie w Dalesville, w piątek 4 sierpnia po południu, farmerzy zauważyli ciemnoniebieskiego chryslera seda-na przejeżdżającego wzdłuż pola kukurydzy nieopodal miejscowości Montpelier we wschodniej części Indiany. Dokładnie o 14.40 samochód zatrzymał się przed First National Bank na Main Street, obrabowanym trzy lata wcześniej. Dillinger, w słomkowym kapeluszu na głowie, wszedł do środka i wyciągnął rewolwer.

- To jest napad - powiedział z uśmiechem, nie przestając żuć gumy.

Kiedy jego wspólnik Harry Coleman zmusił trzech pracowników, żeby się położyli na podłodze, Dillinger przeskoczył niską barierkę i spytał dyrektorkę Merle Tewksbury, ile pieniędzy znajduje się aktualnie w banku. Podczas gdy Dillinger zgarniał gotówkę z lady, Copeland „zaopiekował się” parą nowo przybyłych klientów, również każąc im kłaść się na podłodze. W pewnym momencie jedna z kasjerek sięgnęła do przycisku alarmu.

- Co ty wyprawiasz, chcesz włączyć ten alarm? - spytał Dillinger, wciąż żując gumę.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła - odpowiedziała ze złością kobieta. To był rabunek doskonały. Po zapędzeniu pracowników i klientów do skarbcza, Dillinger z Copelandem wyszli z banku z sumą 10 110 dolarów w banknotach i workiem monet. Zostawili w banku dokładnie czterdzieści centów. Cały napad trwał dziesięć minut.

- Wygląda na to, że bank znowu został obrabowany - stwierdził staruszek stojący na Main Street, kiedy Dillinger z Colemanem wyszli na zewnątrz.

Dillinger odwrócił się do niego z uśmiechem.

- Wcale się nie dziwię - powiedział, nim wraz ze wspólnikiem wsiedli do chryslera i odjechali²⁰.

Matt Leach też nie był zdziwiony. Sztuczka z przeskakiwaniem barierki przekonała go, że rabunek to sprawa Dillingera. Podał obserwacji domy ojca Dillingera i jego siostry. Kilka dni później niespodziewanie zyskał sprzymierzeńca, prywatnego detektywa Forresta Huntingtona, który pracował dla firmy ubezpieczającej bank w Montpelier. Huntington „przycisnął” siedzącego w więzieniu w Muncie Williama Shawa, żeby mu powiedział, z kim Dillinger mógł się kontaktować. Shaw rzucił nazwisko więźnia z Lebanon w Kentucky i od niego z kolei Huntington wydusił adres, pod którym Dillinger się zatrzymywał w East Chicago w Indianie*[* Dillinger „obczaił” i mógł obrabować co najmniej jeden bank w północnym Kentucky. Był podejrzany, ale nigdy nie postawiono mu zarzutów w sprawie

napadu na bank w Gravel Switch w Kentucky, który nastąpił 11 sierpnia.]

W poniedziałek 14 sierpnia Leach z oddziałem policji stanowej zrobili nalot na mieszkanie w East Chicago i aresztowali trzech byłych skazanych. Jeden z nich twierdził, że Dillinger co jakiś czas pomieszkuje w hotelu East Chicago's Inland. Parę dni później informator z własnej inicjatywy zgłosił, że słyszał, iż Dillinger przeniósł się do mieszkania w Gary. Leach i tam zrobił nalot, ale Dillinger zdążył się wynieść do Chicago.

Pod koniec sierpnia polowanie nabrało tempa. Do poszukiwań dołączyło więcej śledczych z firm ubezpieczeniowych i 25 sierpnia jeden z nich, szef oddziału Agencji Pinkertona w Cincinnati, zawiadomił policję w Dayton, że Dillinger spotyka się z siostrą kobiety osadzonej w więzieniu stanowym, niejkiej Jenkins. Jeden telefon do Michigan City wystarczył, by ustalić dane osobowe Mary Longnaker. Dwóch detektywów z Dayton udało się do domu z pokojami na wynajem przy West First Street, gdzie zaproszeni do środka przez gospodynię, przeszukali pokój Longnaker. Znaleźli list od Dillingera.

Gospodyni przyznała, że niejaki pan Dillinger regularnie pisuje do jej lokatorki panny Longnaker, i obiecała powiadomić detektywów, gdy przyjdzie następny list. Kilka dni później dotrzymała słowa. W liście Dillinger obiecywał rychłe odwiedziny. Podekscytowani detektywi nakłonili właścicielkę, żeby wynajęła im pokój. Wprowadzili się tam niezwłocznie i czekali.

5

DZIECIAK JIMMY

18 sierpnia - 25 września 1933

Dom wynajęty przez Alvina Karpisa na lato stał przy bocznej gruntowej drodze wijącej się wzdłuż południowego brzegu jeziora Michigan, na wschód od Michigan City w Indianie. W lasach za wydrami było mnóstwo bungalów; większość służyła jako letnie domy bogatym mieszkańcom Chicago. Karpis wynajął swój od pewnego polityka z Cicero, mającego powiązania z mafią. Położony na wzgórzu nad jeziorem dom był rzucającą się w oczy miniaturową rezydencją w stylu hiszpańskim, z białymi stiukowymi ścianami i dachem krytym czerwoną dachówką. Obniżoną względem gruntu jadalnię zdobił zyrandol z brązu i fortepian Steinwaya*[* Dom nadal stoi, przy 2000 Golden Gate Drive w Long Beach w Indianie.]

Przez większość czasu Karpis i jego nastoletnia sympatia Delores Delaney wylegiwali się na plaży albo grillowali z przyjaciółmi, głównie ze starym kasiarzem Edem Bentzem, który rozstał się z Machiną Gun Kellym przed porwaniem Urschela. Dla rozrywki

obserwowali, jak Bentz uczy sztuki rabowania banków ich sąsiada, jasnowłosego dwudziestoczerolatka z zamieszkanym przez Polaków okolic parku Humboldta w Chicago. Był to ten sam chłopak, który do wiosny tamtego roku pracował jako mafijny szofer w Reno i którego Karpis wprowadził w środowisko gangsterskie St. Paul. Wszyscy nazywali go Jimmym - Jimmy Burnell, Jimmy Burkę, Jimmy Williams - niezależnie od tego, jakiej ksywy aktualnie używał. Naprawdę nazywał się Lester Joseph Gillis.

W historii miał się zapisać jako Baby Face Nelson.

Siedemdziesiąt lat po tym, jak wkroczył w publiczne życie Ameryki, Baby Face Nelson pozostaje najmniej znaną z głównych postaci Wielkiej Fali Przeszłości, przyćmiony przez Dillingera, swego późniejszego współnika. Nelsona i jego pochodzenie długo okrywała zasłona tajemnicy; przez lata nieliczne wiadomości na jego temat, zebrane przez autorów czasopism detektywistycznych, przeplatały się z mitami i półprawdami. Piszący swą książkę w roku 1963 John Toland przedstawił Nelsona jako „młodego człowieka, którego Dillinger poznał w tawernie odwiedzanej przez kryminalne podziemie”.

W rzeczywistości nim Nelson w 1934 połączył siły z Dillingerem, kierował własnym gangiem, a jego działalność cechował zarówno duży zasięg geograficzny - czuł się jednakowo dobrze w San Francisco, Reno i Chicago - jak i nieuzasadniona przemoc. Był postacią pełną sprzeczności: z jednej strony prezentował się jako człowiek oddany rodzinie, podróżujący z żoną, a czasem też z dwójką małych dzieci, z drugiej zyskał reputację - całkowicie zasłużoną - najbardziej brutalnego przestępcy epoki Wielkiego Kryzysu, maniakalnego mordercy, wzbudzającego odrazę, podczas gdy Dillinger i Pretty Boy Floyd stali się kimś w rodzaju ludowych bohaterów. W swych najgorszych momentach Nelson był wręcz karykaturą wroga publicznego, bezdusznym, zdziczałym zabójcą, który śmiejąc się, strzelał z pistoletu maszynowego do kobiet i dzieci podczas co najmniej dwóch ze swoich napadów. Zachowanie Nelsona było tak szablonowe, jakby odgrywał sceny z gangsterskiego filmu, na przykład *Wroga publicznego nr 1* z Jimmym Cagneyem.

Gillis, czy Nelson, jak będzie odtąd nazywany, był niski, miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt, co mogło być powodem kompleksów i do pewnego stopnia tłumaczy jego porywczosć i bezwzględność. Urodził się 6 grudnia 1908 roku jako siódme i ostatnie dziecko belgijskich imigrantów Josepha i Mary Gillisów. Jego ojciec, opisywany jako człowiek posepny i mocno nadużywający trunków, pracował w garbarni. Gillisowie byli porządnymi ludźmi i wcześniej nikt z tej rodziny nie miał kłopotów z prawem. Wielkie nadzieje, jakie pokładali w swym jasnowłosym synku, stopniowo się rozwiewały. Już od najmłodszych lat Nelson był krnąbrny i niezrównoważony, toczył bójki z przeciwnikami wyższymi o głowę. W

wieku zaledwie 11 lat zadawał się z gangiem nastoletnich cwaniaków wskakujących za lady sklepów, żeby wygarnąć pieniądze z kasy, i kradnących samochody. Pośród jego ówczesnych kolegów był Jack Perkins, który później działał u jego boku w 1934. Z czasem wybryki Nelsona przybrały taką częstotliwość, że wylądował w szkole dla trudnej młodzieży.

4 lipca 1921 roku dwunastoletni Nelson znalazł pistolet w samochodzie znajomego ojca. Chcąc przstraszyć dzieciaki bawiące się na ulicy, strzelił nad ich głowami. Kula rykoszetem trafiła jednego z chłopców w szczękę. Policja aresztowała Nelsona. To było jego pierwsze spotkanie z wymiarem sprawiedliwości; zapoczątkowało też jego obsesję na punkcie broni. Nawet kiedy FBI deptało mu po piętach, rzadko zdarzało mu się przegapić kolejne wydanie „Field & Stream”, pisma zamieszczającego artykuły o nowinkach z dziedziny uzbrojenia. W 1921 sąd dla nieletnich, nie biorąc pod uwagę zapewnień Nelsona, że postrzał nastąpił na skutek wypadku, skazał go na dwanaście do piętnastu miesięcy w stanowym zakładzie poprawczym.

Odsiedział rok. Po powrocie do domu mógł się bez przeszkód oddać swojej drugiej pasji - automobilom. Jako dorosły mężczyzna Nelson miał bzika na punkcie samochodów; pomiędzy kolejnymi napadami często można go było znaleźć w jakimś garażu rozmawiającego z mechanikami. Jako trzynastolatek mógł prowadzić, tylko kiedy ukradł auto, i robił to często. Policja znów go aresztowała i tym razem, w październiku 1922, wysłano go do specjalnej szkoły dla chłopców w St. Charles w Illinois. Po półtora roku został z niej warunkowo zwolniony. Udało mu się pobyć na wolności przez pięć miesięcy. Złapany w skradzionym samochodzie musiał wrócić do St. Charles we wrześniu 1924.

Nim został zwolniony warunkowo następnego lata, jego ojciec zmarł. Joseph Gillis zrezygnował z posady, żeby kupić restaurację, która nie przyniosła spodziewanego dochodu, więc popadł w depresję. Znalaziono go martwego przy kuchni z odkręconym gazem. Z braku pieniędzy Mary Gillis zmuszona była przyjąć pod swój dach lokatorów; Nelson starał się jej pomóc, podjął pracę mechanika w przedstawicielstwie Chryslera. Po trzech miesiącach policjanci złapali go w kolejnym skradzionym aucie. Wrócił do poprawczaka. Dziesięć miesięcy później dostał zwolnienie warunkowe i wrócił do tej samej pracy.

Na początku 1927 roku stracił zatrudnienie. Miał 18 lat i był chudym blondynem kipiącym nerwową energią. Dołączył do pary wyrostków kradnących opony i którejś nocy policja schwytała ich w salonie samochodowym. Wykpił się rokiem w zawieszeniu i zdołał załatwić sobie pracę w zakładzie mechanicznym przy Commonwealth Edison.

I wtedy się zakochał. Jego wybranka nazywała się Helen Wawrzyniak; jej rodzice zmienili nazwisko na Warwick. Była dziewczyną z sąsiedztwa, niepozorną piętnastolatką, i

pracowała po szkole jako sprzedawczyni na stoisku z zabawkami w sklepie Goldblatta na Western Avenue. Zaszła w ciążę, więc 31 października 1928 roku pobrali się, podpisując stosowne papiery w sądzie powiatu Porter w Valparaiso w stanie Indiana. W kwietniu następnego roku Helen urodziła synka, któremu nadali imię Ronald, a dwa lata później córkę Darlene. Młoda rodzina zamieszkała z matką Nelsona.

W 1928 Nelson zaczął pracować na stacji benzynowej Standard Oil, gdzie zbierały się miejscowe oprychy. Dwie bramy dalej na północ mieścił się sklep z częściami samochodowymi, prowadzony przez niejakiego George'a Vande Houtena. Dwudziestośmioletni syn Vande Houtena Albert zaczął organizować kręcące się wokół stacji dzieciaki w wędrownie bandy złodziei opon. Nelson chętnie się przyłączył. On i jego koledzy włóczyli się po ulicach Chicago i kradli opony, które potem odsprzedawali Vande Houtenowi i innym. W ten sposób Nelson poznał mnóstwo różnej maści oszustów i bandytów. Jeden z nich przyjął Nelsona do pracy w charakterze kierowcy wożącego przemycaną whisky po przedmieściach Chicago, a nawet do Iowa. Wtedy Nelson poznał boczne drogi i tawerny w miejscowościach takich jak Summit, Cicero i Wheaton*[* Prawdopodobnie przez właściciela garażu Nelson nawiązał kontakt z gangiem Rogera Touhy'ego. Według autobiografii Touhy'ego z 1959 r., Nelson pracował przez krótki czas jako „torpeda” podczas walk o wpływy między ludźmi Touhy'ego i Alą Capone; ta działalność nie trwała długo, ale powiązania Nelsona z Touhyem w późniejszych latach sprawiały mu kłopoty.]. W tamtym okresie zaczął brać udział w weekendowych wyścigach samochodowych rozgrywanych na zwykłych drogach za miastem. Jeden z jego mechaników, młody Polak Clarence Liedler, później działał u jego boku.

Żeby utrzymać żonę i dzieci, Nelson zaczął szukać sposobu na zarabianie większej ilości pieniędzy. Przystał do grupy włamywaczy, w której był m.in. Harry Lewis. Rok 1930 był dla Nelsona przełomowy - z drobnego złodziejzka stał się uzbrojonym bandytą. Długo przypisywano mu dwie kradzieże biżuterii i dwa napady na banki w 1930, ale akta FBI dowodzą, że wymienione incydenty stanowiły zaledwie ułamek przestępstw, jakie popełnił w ciągu tamtego roku¹.

Zaczęło się w ceglanej rezydencji przy Lake Shore Drive wczesnym wieczorem 6 stycznia, miesiąc po dwudziestych pierwszych urodzinach Nelsona. Pięciu ludzi pod jego przywództwem wdarło się do domu członka zarządu jednego z czasopism Charlesa M. Richtera, zapędziło rodzinę do jednego pomieszczenia i związało taśmą klejącą. Po odcięciu linii telefonicznych splądrowali wszystkie dwadzieścia dwa pokoje w domu; zrabowali biżuterię wartą 25 000 dolarów². Dwa tygodnie później gang Nelsona znów uderzył - udając

ekipę remontową, weszli do podmiejskiego domu pewnego prawnika. Po związaniu taśmą dwóch służących uciekli z kosztownościami wartymi 5000 dolarów³. Jedna z chicagowskich gazet nazwała ich „taśmowymi bandytami”.

Dwa miesiące później gang Nelsona wystąpił gościnnie jako gwiazda opery mydlanej, którą mieszkańcy Chicago śledzili od miesiący. Ich ofiara, Lottie Brenner von Beulow, była wdową po bogatym fabrykancie, która wyszła za tajemniczego niemieckiego hrabiego podczas wakacji w Meksyku. Kiedy hrabia okazał się oszustem, pani Brenner wniosła o rozwód. Rozprawa miała się odbyć 31 marca. Nelson z dwoma współnikami, udając urzędników sądowych, stanęli pod drzwiami rezydencji pani Brenner przy 5539 Sheridan Road. Wpuszczeni na górę wyciągnęli pistolety, po czym szybko związali i zakneblowali panią Brenner, jej siostrę i czworo służących. Przeszukawszy sypialnię pani Brenner, znaleźli biżuterię wartości 50 000 dolarów. Jednak nim zdążyli uciec, nadszedł „hrabia” von Beulow, który także został związany, zakneblowany i obrabowany, powiększając łup gangu o 95 dolarów i dwa zegarki⁴.

Wyczyny gangu Nelsona stopniowo stawały się coraz bardziej ambitne. 21 kwietnia Nelson obrabował swój pierwszy bank, zabrał z niego 4000 dolarów. 16 maja Walter Lynne Akers, jubiler z Chicago, w swoim podmiejskim domu w Danville zastał czekających czterech mężczyzn z pistoletami. Gangsterzy zwracali się do pana i pani Akers po imieniu. Narzucili koc na żonę jubilera i ich dwuletniego synka.

- Chyba wiecie, po co tu jesteśmy - rzekł jeden z nich do Akersa. - Przyszliśmy po klucze od sklepu i kombinację cyfr do sejfu. Jeśli je dostaniemy, żadne z was nie ucierpi.

Akers spełnił żądania. Dwóch gangsterów udało się do jego sklepu jubilerskiego, a dwaj zostali, żeby pilnować okradanej rodziny. Po splądrowaniu sklepu, z którego ukradli klejnoty warte 25 000 dolarów, wrócili do domu Akersa i kazali całej rodzinie wsiąść do samochodu.

W czasie jazdy do Chicago przywódca gangu, którym najwidoczniej był Nelson, zauważył, że dziecko drży.

- Za nic w świecie nie zrobilibyśmy krzywdy temu malcowi - powiedział. - Sam mam dwójkę takich maluchów.

Gang wysadził Akersów przy Mannheim Road i odjechał.

- Cóż, Lynne, przykro mi, że tak wyszło, ale dalej nie możemy was zabrać - usłyszeli na pożegnanie, po czym bez przeszkód wrócili do domu.

Pierwsze oznaki kłopotów pojawiły się po tym, jak dziewczyna jednego ze współników Nelsona została aresztowana i powiedziała policji o wyczynach gangu. Wydano

nakaz zatrzymania, co zmusiło Nelsona do przyjęcia pseudonimu „George Nelson”, którym odtąd posługiwał się prawie cały czas. Nakaz aresztowania nie powstrzymał go jednak przed kontynuowaniem działalności. 3 października Nelson kierował napadem na Itasca State Bank koło Chicago; łup wyniósł prawie 4600 dolarów. Potem jeden z kasjerów rozpoznał Nelsona.

Trzy noce później Nelson dokonał swego najbardziej zuchwałego rabunku - napadł na ulicy na żonę burmistrza Chicago, Williama „Big Billa” Thompsona. Wieczorem 6 października Mary Walter Thompson wracała z teatru do swojego apartamentu na Sheridan Road, kiedy podeszło trzech mężczyzn. Jeden przytknął pistolet do jej piersi, drugi do boku, trzeci z napastników pobił jej ochroniarza i przyłożył mu lufę do brzucha.

(Pochodzenie przezwiska „Baby Face” - Dziecięca Buzia - nigdy nie zostało potwierdzone, ale raczej na pewno wzięło się stąd, jak pani Thompson opisała młodego napastnika, który przyłożył jej pistolet do piersi. Według artykułu w „Chicago Herald” z 8 października 1930 roku powiedziała: „Miał dziecięcą buzię. Ładny młody mężczyzna, prawie chłopiec. Ciemnowłosa, ubrany był w szary płaszcz i brązowy filcowy kapelusz z rondem opuszczonym na oczy”⁵).

Nelson zażądał, by oddała mu pierścionek z sześciokaratowym brylantem, bransoletkę wysadzaną 40 diamentami i broszkę ze 140 małymi kamykami; te trzy sztuki biżuterii wyceniono później na 18 000 dolarów. Kiedy gangsterzy uciekli do samochodu, pani Thompson zemdląca.

Dopiero po latach i po przesłuchaniu dawnych wspólników Nelsona agencji FBI połączyli go z niewyjaśnionymi krwawymi zbrodniami popełnionymi pod koniec listopada 1930. Według słów Stantona J. Randalla, członka gangu przesłuchanego przez FBI w 1934 roku, Nelson kierował grupą ośmiu ludzi, którzy wczesnym rankiem w niedzielę 23 listopada wtargnęli do zajazdu przy Archer Avenue na przedmieściach Summit. Mary Brining, dwudziestodwuletnia studentka University of Illinois, śpiewała walca „Pocałunek” w zadymionej sali na zapleczu, pełnej tańczących par, gdy napastnicy weszli frontowymi drzwiami z bronią gotową do strzału. Przywódca gangu, opisany później przez prasę jako „niezamaskowany młodzieniec w wieku około 18 lat” - zapewne Nelson - wepchnął barmana i drugą osobę z obsługi na zaplecze, a następnie stanął pośrodku parkietu i krzyknął: „Wszyscy ręce do góry! Stanąc twarzą do ściany!”.

Kiedy jego wspólnicy zaczęli okradać klientów zajazdu, Nelson trzymał właściciela pod bronią. Nagle krzyknął do jednego z członków gangu, żeby zapalił wszystkie światła, ale w zamieszaniu wykonujący polecenie gangster musiał wcisnąć niewłaściwy przełącznik, bo w sali zrobiło się zupełnie ciemno. W tym momencie pies właściciela, dog niemiecki, ugryzł

Nelsona w nogę. Nelson strzelił do psa. Inny członek gangu wpadł w panikę i zaczął strzelać na oślep w ciemności. Detektyw kolejowy James Mikus wyszedł z łazienki i zaczął strzelać do napastników.

Zapanował chaos. W ciągu niespełna minuty trzy młode kobiety poniosły śmierć lub były umierające, w tym śpiewaczka Mary Brining; trzy inne osoby zostały ciężko ranne.

- Wynośmy się stąd! - zawołał Nelson i wszyscy gangsterzy wybiegli głównymi drzwiami. Mikus, choć ranny, pokuśtykał do swojego auta i rzucił się w pogoń, ale samochód gangsterów zginął mu z oczu w ulicznym ruchu.

Trzy dni później wieczorem gang Nelsona wpadł do tawerny przy Waukegan Road na północnych przedmieściach. W barze były tylko trzy osoby: właściciel Frank Engel, kelner i znajomy Engela, dwudziestosiedmioletni makler giełdowy pochodzący ze znanej rodziny z North Shore, Erwin R. Thompson, który wstąpił tam na spóźnioną kolację po odwiedzeniu chorej żony w szpitalu. Kiedy Nelson kazał całej trójce podnieść ręce do góry, Thompson popełnił błąd, pozwalając sobie na nerwowy uśmieszek.

- Nie śmiej się, ty! - warknął Nelson, a potem strzelił mu w pierś. Thompson padł martwy. - Chyba nie jesteśmy tacy twardzi, co? - mruknął Nelson, stojąc nad ciałem Thompsona. Następnie odwrócił się do osłupiałego Engela. - Otwieraj sejf! - krzyknął. Engel zrobił, co mu kazano. Gdy Nelson dostał 125 dolarów, które były w środku, zawołał do swoich ludzi: - Idziemy! I było po wszystkim.

Policja w końcu aresztowała większość członków gangu w lutym 1931. Nelsona zatrzymano w mieszkaniu w Cicero. W jedynym artykule, jaki „Chicago Tribune” poświęciła jego aresztowaniu, po raz pierwszy nazwano go „Baby Face”⁶. Skazany za pojedynczy rabunek otrzymał wyrok jednego roku odsiadki w więzieniu stanowym w Joliet.

W lutym 1932 Nelsona zabrano w kajdankach do miejscowości Wheaton, na wschód od Chicago, gdzie po krótkiej rozprawie otrzymał drugi wyrok rocznego więzienia. Późnym popołudniem w środę 17 lutego strażnik więzienny R.N. Martin zaprowadził go na pociąg do Chicago. Dojechawszy do Chicago po godzinie, przesiedli się do innego pociągu, zmierzającego na południe. W Joliet Martin wepchnął Nelsona do żółtej taksówki, która miała ich dowieźć do celu. Kiedy taksówka dojeżdżała do budynku więzienia na Collins Street, Nelson wyciągnął pistolet; najprawdopodobniej ktoś podał mu broń w pociągu.

- Jeśli się poruszysz, to cię zabiję - powiedział do Martina. - Rozepnij kajdanki.

Następnie przyłożył lufę pistoletu do skroni taksówkarza, mówiąc:

- Pojedziesz dalej do Chicago i będziesz robił dokładnie to, co ci każę.

Na przedmieściach Summit kazał kierowcy zjechać na pobocze przy cmentarzu.

Zmusił obu do wyjścia z samochodu i zabrał Martinowi portfel⁷. Wiedział, że nie może dłużej pozostawać w Chicago. Skorzystał z pomocy starych przyjaciół z gangu Touhy'ego i dzięki temu kilka tygodni później znalazł się w pociągu jadącym do Reno w Nevadzie; w kieszeni miał numer telefonu człowieka, który zgodnie z obietnicą Touhy'ego miał się nim zaopiekować - Williama Grahama. Graham był hazardzistą i ze swoim wspólnikiem Jamesem McKayem niemal rządzą miastem.

Nelson wysiadł z pociągu w Reno w marcu 1932 roku. Używając przybranego nazwiska „Jimmy Johnson”, zadzwonił do Grahama i powiedział mu, kim jest. Po kilku tygodniach Graham wysłał Nelsona do San Francisco, gdzie miał pracować dla pewnego bootlegera z Sausalito. Nelson przez pół roku pilnował przesyłek alkoholu. Wraz z kilkoma ludźmi odbierał dostawy w ustronnych zatoczkach, doglądał rozładunku skrzynek, a następnie ciężarówkami dostarczał je do San Francisco. Podczas tych wypraw zyskał dwóch przyjaciół: przystojnego prostaka Johnny'ego Chase'a i pulchnego Włocha Josepha „Fatso” Negriego. W najgorętszym dla Nelsona roku 1934 ci dwaj byli jego zaufanymi sprzymierzeńcami.

Jesienią 1932 Nelson opuścił okolice San Francisco (podobno zdecydował się na wyjazd po tym, jak Negri zobaczył jego zdjęcie w pewnym czasopiśmie detektywistycznym). Wrócił do Reno, gdzie znów szukał wsparcia u Billa Grahama. Graham zatrudnił go jako swojego kierowcę. Właśnie tamtej zimy w Reno Nelson poznał bawiącego na wakacjach Alvina Karpisa. Karpis z przejęciem mu opowiadał o napadach na banki dokonywanych przez gang Barkera na Środkowym Zachodzie i zgodził się przedstawić go odpowiednim ludziom, jeśli wróci na wschód. Wiosną Nelson wrócił do Chicago, w maju wynajął pokój w hotelu Inland w East Chicago. Traf chciał, że był to ten sam hotel, który tego lata często odwiedzał Dillinger; ci dwaj przyszli wspólnicy mieli kilku wspólnych znajomych i mogli się spotkać, choć nie ma na to żadnego potwierdzenia. Nelson zaczął przesiadywać z Karpisem w Kryształowej Sali przy restauracji Louisa Cernocky'ego na północnych przedmieściach Fox River Grove, w nadziei że gang zaprosi go do udziału w napadzie.

Jednak Karpis, wiedząc od znajomych z Reno o wybuchowym charakterze Nelsona, miał wątpliwości. Zamiast zaproponować mu dołączenie do gangu Barkera, przedstawił Nelsona Edowi Bentzowi, kasiarzowi epoki jazzu, który zgodził się wyjawić Nelsonowi tajniki napadania na banki[* W artykule zamieszczonym w „Argosy” w 1953 r. Bentz wspomina, jak właściciel tawerny w Indianie przedstawił mu Nelsona. To możliwe, jakkolwiek wydaje się bardziej prawdopodobne, że zaprzyjaźnił się z Nelsonem po tym, jak zarekomendował mu go inny kasiarz, Karpis.]. Kilka dni później Nelson wraz z żoną i swoją matką Mary wprowadzili się do bungalowu obok Bentza nad brzegiem jeziora w Indianie,

naprzeciwko miniaturowej stiukowej rezydencji Karpisa. Po dwudziestu latach Bentz wspominał, jak z Nelsonem spacerował po wydmach.

- Wiem, że jesteś związany z najlepszym zespołem w kraju i że nikt z zewnątrz nie może się do nich dostać - mówił Nelson. - Nie proszę cię, żebyś mnie wciągnął do tego zespołu. Pragnę zdobyć doświadczenie.

- W jakiej dziedzinie? - spytał Bentz zaczepnym tonem. Nelson się roześmiał.

- Dobrze wiesz w jakiej... w twojej, oczywiście.

- Chodzi ci o banki...

- Właśnie.

- Nie możesz tego robić sam - powiedział Bentz. - Musisz najpierw zorganizować zespół. Musisz kupić sprzęt, samochód i co tam jeszcze. Będziesz potrzebował co najmniej trzech tysięcy, żeby porządnie zacząć.

- Powiedzmy, że możemy pominąć samochód. Załatwię sobie auto w Chicago. Ile potrzeba na sprzęt?

- Nie powinieneś napadać na bank, używając kradzionego auta - powiedział Bentz. - Powinieneś je kupić, tak jak robi każdy człowiek interesu. Bo to jest twój interes. Można użyć trefnego auta, ale to zwiększa ryzyko.

- Wiem - przyznał Nelson - ale zaryzykuję.

- W porządku, w takim razie na resztę wystarczy tysiąc. Ale co z zespołem... skąd weźmiesz ludzi?

Nelson wspomniał, że ma przyjaciół w St. Paul.

- A co z odwrotem? - zapytał Bentz. - Czy któryś z was umie opracować bezpieczny sposób zwinięcia się z miejsca po robocie?

- Nie, żaden z nas nie ma pojęcia o drogach. Bentz westchnął.

- Chcecie we czterech zrobić skok, obrabować bank, a żaden o tej robocie nie ma pojęcia. To niewykonalne... chyba że chcecie dać się zabić.

- Chwileczkę - obruszył się Nelson. - Po prostu mówiłem ci, na czym stoję. Chcę twojej pomocy. Pomyślałem, że nam pomożesz się do tego zabrać. Powiesz nam, od czego zacząć, zaplanujesz ucieczkę i doradzisz, jaki sprzęt nam się przyda. Nie chodziło mi o to, żebyś brał udział w napadzie. Po prostu powiedz nam, co mamy robić. Damy ci równą działkę.

Bentz się zgodził.

Po wybraniu celu Nelson pojechał 8 czerwca do St. Paul, gdzie namówił trzech kasiarzy, żeby połączyli z nim siły, tworząc nowy gang.

Jeden spóźnił się na umówione spotkanie nad jeziorem w Indianie, więc Bentz poradził, żeby go zastąpić dwoma więźniami zwolnionymi warunkowo z zakładu karnego w Michigan City (Bentz poznał ich w portowej spelunie w Indianie, gdzie gromadził się rozmaity przestępczy element*[* Chodziło o Art's Army Store na 3318 Michigan Avenue, komis z wojskowymi ubraniami, gdzie na zapleczu zbierali się miejscowi bandyci. Wiadomo, że Bentz i Nelson bywali tam często w czerwcu 1933, podobnie jak John Dillinger i Homer Van Meter. Nelson i Dillinger mogli się tam spotkać.]

- Są tak samo beznadziejni jak wy - zarekomendował ich Bentz z uśmiechem. - Żadnego doświadczenia.

- Co to za jedni? - spytał Nelson.

- Jeden to Homer Van Meter - odpowiedział Bentz. - Poszedł siedzieć na osiem lat za strzelanie do policjanta w South Bend. Drugi nazywa się John Dillinger.

- Nie - powiedział na to Nelson. - Żadnych obcych⁸.

Grand Heaven w Michigan 18 sierpnia 1933, piątek

Kiedy agenci FBI przeczesywali Południowy Zachód w poszukiwaniu Machinę Gun Kelly'ego, sporządzili listę jego znajomych po fachu. Na pierwszym miejscu widniało nazwisko wspólnika Kelly'ego od rabowania banków, Eddiego Bentza. 18 sierpnia, kiedy dalekopisy FBI w całym kraju wypluwały nazwiska i adresy braci i siostr Bentza, sam Bentz uczestniczył w spotkaniu w zagajniku nieopodal New Heaven w stanie Michigan, miejscowości wypoczynkowej nad jeziorem Michigan. Obok stał jego nowy protegowany, znany wcześniej jako Lester Gillis. Tego dnia Baby Face Nelson miał dokonać swego pierwszego prawdziwego napadu na bank.

- Zbierzcie się tu, wokół mnie, to wam wytłumaczę, gdzie kto ma iść - powiedział Bentz. Omówił po kolei zadania wszystkich uczestników napadu. Nelson miał wprowadzić gang do banku.

- Bentz - przerwał mu Nelson, wyraźnie czymś zmartwiony - boję się, że stracimy kupę forsy przez to, że zostaniesz na zewnątrz.

- O co ci, u diabła, chodzi? - zdumiał się Bentz.

- Trzeba mieć doświadczenie, żeby zmusić tych ludzi do otwarcia sejfów.

- Wciągnąłeś mnie w to, mimo moich oporów - powiedział Bentz.

- Zgodziłem się pilnować ulicy i prowadzić samochód, a teraz chcesz, żebym wszedł do środka? To kto będzie pilnować ulicy?

Nelson ruchem głowy wskazał kierowcę Monahana, człowieka Touhy'ego.

- Freddie mógłby prowadzić i zająć się ulicą.

- Niemożliwe! - zirytował się Bentz. - Chcesz niedoświadczonego człowieka postawić na czatach? On nie ma zielonego pojęcia o czyszczeniu ulicy*[* „Czyszczenie ulicy” oznaczało pilnowanie, by uzbrojeni obywatele i przedstawiciele prawa nie przeszkodzili w rabunku.]. Nigdy bym się na to nie zgodził... Nie w tym mieście.

- A wejdiesz do środka, jeśli zostawimy na zewnątrz dwóch ludzi?

- spytał Nelson.

Bentz nie krył złości.

- Dobrze - zgodził się w końcu. - Ale w takim razie zabierzemy ze sobą jeden pistolet maszynowy. Ty go weźmiesz.

- W porządku - powiedział Nelson.

Bentz wyciągnął rysunki i omówili wszystko jeszcze raz.

Od strony jeziora Michigan wiał lekki wiaterek, kiedy Bentz z Nelsonem wchodzili do Peoples Savings Bank kilka minut przed piętnastą, godziną zamknięcia. Nelson, z piknikowym koszykiem w ręku, przeszedł do ostatniego okienka kasowego, wsunął przez szparę dwu-dziesięciodolarowy banknot i poprosił o rozmielenie dwóch dolarów na pięciocentówki. Był zdenerwowany. Otrzymałszy od kasjera żądane monety, poprosił o kolejne dwa dolary po dziesięć centów. Bentz stanął obok niego i zachichotał. Wtedy Nelson niezdarnie wyciągnął z koszyka thompsona i zawołał:

- Ręce do góry!

Kasjer ukradkiem włączył niesłyszalny alarm.

Kierowca podjechał i zaparkował w bocznej uliczce na tyłach banku. Bentz rozkazał pracownikom i dwóm klientom położyć się na ziemi, Nelson mierzył do nich z broni. Weszło dwóch innych członków gangu, zaciągnęli rolety w oknach i zaczęli plądrować boksy kasowe. Bentz kazał głównemu kasjerowi otworzyć skarbiec, wszedł do środka i wygarniał pliki banknotów do płóciennych worków.

Alarm zadzwonił w sklepie meblowym po drugiej stronie ulicy. Właściciel sklepu, Edward Kinkema, który był również przedsiębiorcą pogrzebowym, chwycił strzelbę i wybiegł. Wycelował w auto czekające na rabusiów. Kierowca odjechał. Kinkema zaczął krzyknąć, że bank jest okradany.

Usłyszał to Nelson.

- Pospieszcie się, coś tu śmierdzi! - krzyknął do kompanów. Bentz wyjrzał przez okno i zobaczył ludzi biegnących tam i z powrotem po ulicy.

- Nie strzelać, dopóki oni pierwsi nie zaczną - zarządził. Nelson wyszedł pierwszy,

popychając przed sobą głównego kasjera.

Kinkema dostrzegł go z drugiej strony ulicy i strzelił. Nelson schylił się i też zaczął strzelać; kule z jego pistoletu maszynowego rozbiły szyby w kilku autach. Bentz wyszedł za nim, obejmując w pasie kasjerkę. Reszta gangu także opuściła bank, prowadząc przed sobą zakładników.

I wtedy zauważyli, że nie ma samochodu, którym mieli uciec.

- Nasze auto... u diabła, gdzie się podziało?! - zawołał ktoś.

Bentza na moment zatkało. Potem zauważył Kinkemę kucającego za samochodem po drugiej stronie jezdni, uniósł broń i przestrzelił jeszcze kilka szyb w stojących tam autach. Kinkema schował się w swoim sklepie. Reszta gangu oddawała chaotyczne strzały, wzbudzając popłoch wśród przechodniów. Bentz z Nelsonem zebrali zakładników w gromadkę i prowadzili przed sobą, oddalając się od banku. Na skrzyżowaniu Bentz wbiegł na jezdnię i wymachując pistoletem, zatrzymał nadjeżdżającego chevroleta. Kobieta siedząca za kierownicą nie chciała wysiąść, dopóki Bentz nie przystawił jej lufy do twarzy. Nelson i reszta wskoczyli do środka... wszyscy oprócz Earla Doyle'a, który został zatrzymany przez dyrektora banku i aresztowany. Nelson zażądał, żeby Bentz zawrócił po Doyle'a, ale Bentz się nie zgodził.

Mieli poważny problem. Plan ucieczki został w aucie, które miało ich zabrać z banku, więc Bentz był zmuszony wyznaczoną trasę odtwarzać z pamięci. Co gorsze, zarekwirowany przez nich chevrolet miał w baku niewiele benzyny. Trzyście kilometrów na południe od Grand Heaven zabrali drugie auto, wysadzając z niego dwie kobiety, ale wkrótce z dwóch opon uszło powietrze. Ukradli więc trzeci samochód, tym razem czterem studentom z koledżu. Do Long Beach dotarli dopiero o świcie.

Zatrzymali się koło miejscowej szkoły jeździeckiej i przeliczyli łup. Był nędzny, zaledwie 3500 dolarów, czyli po 600 na głowę. Następnego ranka Bentz wyprowadził się ze swojego bungalowu w Long Beach. Miał dość Baby Face Nelsona i jego gangu amatorów. Nigdy więcej nie spotkał się z żadnym uczestnikiem napadu. Tymczasem Nelson wstąpił do swojego sąsiada z naprzeciwka, Alvina Karpisa, żeby mu opowiedzieć o swoim pierwszym prawdziwym napadzie na bank. Ale Karpisa nie było. Miał własne sprawy do załatwienia*[* Był u Freda Barkera, który ze swą dziewczyną Paulą Harmon spędzał lato w wynajętym domu w Long Lake w stanie Illinois.].

Si. Paul w Minnesocie 30 sierpnia godz.8.30

- Sprawdziłeś apteczkę? - spytał Freddie Barker.

- Tak - odpowiedział Karpis. - Mamy tu wszystko, co trzeba. Panowała napięta

atmosfera. W spotkaniu uczestniczyli: Freddie i Dock Barker, Alvin Karpis, Bill Weaver, stary Chuck Fitzgerald. Wszystko było przygotowane - broń naoliwiona, amunicja sprawdzona. Nikt nie miał ochoty na tę robotę, ale potrzebowali pieniędzy. Nawet w 1933 roku 95 000 dolarów podzielone na czternaście części nie wystarczało na wieki*[* Pewien członek gangu przesłuchany przez FBI w 1935 twierdził, że największa część okupu za Hamma, 25 000 dolarów, trafiła do rąk skorumpowanego detektywa Toma Browna. Jack Peifer dostał 10 000. Każdy z sześciu ludzi, którzy dokonali uprowadzenia - Karpis, bracia Barker, Shotgun George Ziegler, Charles Fitzgerald i Bryan Bolton - otrzymał 7800 dolarów. Gang dał również staremu przyjacielowi Deafy Farmerowi 2500 dolarów na koszty jego obrony w sprawie masakry w Kansas City.].

- Mamy alkohol - ciągnął Karpis - na wypadek jakby ktoś dostał kulkę i trzeba było przemyć ranę. Mam też morfinę, w tych małych ampułkach. Porcje po 16 miligramów i po 32 miligramy. I mnóstwo bandaży.

Barker zaśmiał się z przymusem.

- Wiecie, może się zdarzyć, że dziś każdy z nas będzie potrzebował czegoś z tej apteczki.

Pięciu mężczyzn wstało i rozeszło się do samochodów.

Południowe St. Paul godz.9.30

W każdą środę rano Rezerwa Federalna w Minneapolis przesyłała wypłatę dla zakładów mięsnych Swift & Co. na dworzec kolejowy w południowym St. Paul. Tam dwaj posłańcy przejmowali ciężkie torby z pieniędzmi i w eskorcie dwóch funkcjonariuszy policji szli za róg, do urzędu pocztowego w południowym St. Paul, skąd zabierali dalszą partię gotówki.

Tamtego ranka, kiedy pociąg zatrzymał się n& stacji o 9.19, Karpis i bracia Barker już czekali. Dwaj młodzi posłańcy, Joe Hamilton, lat 21, i Herbert Cheyne, lat 22, wzięli torby, wyszli ze stacji i skręcili w boczną uliczkę wraz z dwoma umundurowanymi policjantami przydzielonymi im do eskorty: Leo Pawlakiem, żółtodziobem z drogówki, ojcem dwojga dzieci, i Johnem Yeamanem, który miał troje dzieci. Obserwował ich z kawiarni przy North Concord Street, przy końcu uliczki, przyjaciel Docka Barkera Bill Weaver*. Z nerwów zdążył już wypić[* Pochodzący z Arkansas Weaver siedział w więzieniu z Dockiem Barkerem. Trzymał się z Karpisem i Barkerami od czasu ich pierwszego napadu na bank w południowej części Missouri na początku 1931. Zapisy w jego kartotece sięgały r. 1918; osadzony za zabicie policjanta z Oklahomy, wyszedł na zwolnienie warunkowe. Współdziałał z Karpisem

i Barkerami przez całą resztę ich kariery.]ć jedno piwo. W prawej ręce trzymał pistolet zawinięty w gazetę.

Weaver patrzył, jak Yeaman wsiada do służbowego auta stojącego naprzeciwko kawiarni. Przez ostatnie dwa tygodnie członkowie gangu obserwowali policjantów przy pracy i stąd wiedzieli, że Yeaman usiądzie w samochodzie i będzie tam czekał, aż pozostali wyjdą z poczty. Zadaniem Weavera było dopilnowanie, by Yeaman nie stwarzał problemów. Tymczasem Pawlak towarzyszył posłańcom za róg, do urzędu pocztowego, skąd po chwili wyszli i stanęli przed budynkiem.

W tym momencie pod pocztę podjechał czarny sedan. Za kierownicą siedział Karpis. Dock Barker, ubrany w płócienny kombinezon, wyskoczył z auta i wycelował strzelbę z obciążoną lufą w Pawlaka. Chuck Fitzgerald, w szarym garniturze, także wysiadł z pistoletem w dłoni.

- Ręce do góry! - krzyknął Barker.

Pawlak znieruchomiał, a potem wolno uniósł ręce nad głowę. Fitzgerald zabrał mu broń.

- Rzućcie te torby! - rozkazał Barker. Posłańcy zrobili, co im kazał. Fred Barker wyszedł z samochodu na ulicę i czujnie obszedł ich dookoła, trzymając w rękach pistolet maszynowy.

Za rogiem Yeaman zaczął cofać samochód w stronę Concord Street. Bill Weaver wybiegł z kawiarni, zerwał gazetę z pistoletu i strzelił w okno po stronie kierowcy. Kula trafiła Yeamana w głowę, strącając mu czapkę; ciężko ranny policjant opadł bezwładnie na siedzenie.

Zaskoczony odgłosem strzałów Dock Barker pomyślał, że gang został zaatakowany. Uniósł broń na wysokość twarzy Pawlaka i krzyząc: „Ty brudny sukinsynu!”, wystrzelił. Policjant zginął na miejscu. Fred Barker także zaczął strzelać. Najpierw otworzył ogień do policyjnego samochodu, trafiając rannego Yeamana w głowę i pierś. Potem zatoczył koło, strzelając w witryny sklepów. Przechodzący akurat ulicą ludzie rozpięchli się w poszukiwaniu osłony. Posłańcy padli na ziemię i wczołgali się pod zaparkowaną ciężarówkę.

Siedzący za kierownicą sedana Karpis także sądził, że zostali zaatakowani. W rzeczywistości żaden z policjantów nie oddał ani jednego strzału. Nagle Fitzgerald upadł, trafiony rykoszetem.

- Dostałem! - krzyknął.

Obaj bracia Barker uznali, że do Fitzgeralda strzelano z poczty. Dock wyciągnął z kombinezonu dwa pistolety kalibru.45 i razem z Freddieм zaczęli ostrzeliwać ceglanaą fasadę

budynku. Posypało się szkło z okien. Kobiety krzyczały.

Po minucie Barkerowie przerwali ogień, wzięli torby z pieniędzmi i skierowali się do auta.

- Do diabła, nie zostawiajcie mnie! - zawołał Fitzgerald. Leżał na chodniku.

Bracia Barkerowie wrzucili torby do samochodu, wrócili po Fitzgeralda i ułożyli go na tylnym siedzeniu. Bill Weaver podbiegł i wskoczył do środka; Karpis wcisnął pedał gazu. Auto wyrwało do przodu, skręcając gwałtownie, żeby ominąć tramwaj. Słuchając głośno wykrzykiwanych poleceń Freddiego, który patrzył w mapę ucieczki, Karpis wjechał na wzgórze i po kilku minutach znaleźli się poza miastem⁹.

- Cholera! Cholera! - przeklinał Fitzgerald na tylnym siedzeniu. Krew spływała mu po udzie.

- Gdzie cię trafili? - spytał Freddie. - Wygląda, jakbyś dostał w nogę. - W biodro!

Zatrzymawszy się na pierwszej stacji benzynowej, dali Fitzgeraldowi zastrzyk z morfiny i obmyli mu ranę alkoholem. Karpis ruszył w stronę Chicago. Po drodze zrobili Fitzgeraldowi jeszcze dwa zastrzyki, ale nim przekroczyli granicę stanu Illinois, zaczął się związać z bólu. Karpis ominął centrum miasta, zjechał z głównej drogi i w końcu zatrzymał się na podjeździe domu znajomego w Calumet City, na przedmieściu od strony granicy z Indianą.

Po znalezieniu lekarza dla Fitzgeralda Karpis pojechał do swojego domu nad jeziorem. Zasiadł z Delores Delaney przy kuchennym stole i rozmawiali do późna. Powiedział jej, że był w Nowym Jorku w interesach; wiedziała na tyle dużo, żeby nie zadawać pytań. W pewnym momencie oznajmiła:

- Mam ci coś do powiedzenia.

- O co chodzi? - spytał Karpis, uzbijając się w cierpliwość.

- Jestem w ciąży.

- Co takiego?!

- Tak, jestem w ciąży.

- Jak to się, u diabła, stało?

- Jesteś dorosły - odpowiedziała Delaney. - U diabła, mam ci tłumaczyć, jak to się stało?

- Powinnaś być trochę bardziej ostrożna! - Nagle Karpis zorientował się, że nie to powinien był powiedzieć. Pocałował ją. - No dobrze - rzekł spokojnie. - Zastanowimy się, co zrobić. Jestem pewien, że nie chcesz mieć dziecka teraz.

Delaney się nadąsała.

- Wiesz co? - zaczął Karpis. - Wyślę cię do twojej siostry do St. Paul i zorganizuję

aborcję. Chcesz tego?

Po chwili namysłu pokiwała głową. Karpis przybrał wesoły, zachęcający ton.

- Skoro już o tym mówimy, może byś przy okazji dała sobie wyciąć migdałki? Załatwisz wszystko za jednym razem. - Mógł to zrobić Nels Mortenson, znajomy wzięty lekarz z St. Paul. - Dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Delaney.

Następnego dnia Karpis wstąpił do mieszkania Freddiego Barkera w South Side.

- George Ziegler chce się z tobą widzieć - oznajmił mu Freddie. Karpis odnalazł Zieglera w tawernie w Cicero.

- Właściwie to nie ja cię szukałem - powiedział Ziegler. - Pewni ludzie z miasta chcą ci zadać parę pytań. - Ludzie z miasta. Syndykat. Karpis od razu nabrał czujności. - A w ogóle to co ty kombinujesz? - rzucił Ziegler. Miał na myśli: „Co takiego zrobiłeś, że wkurzyłeś syndykat?”.

- Do diabła, nie wiem, o czym mówisz.

- Cóż, zaczynają mieć co do ciebie wątpliwości. Pytali mnie, czy możesz być powiązany z Touhym lub coś w tym rodzaju. - Frank Nitti z chicagowskiego syndykatu pozostawał w stanie wojny z ludźmi Touhy'ego działającymi na przedmieściach.

- Wiesz, że nie - powiedział Karpis.

- Tak, mówiłem im, że raczej nie masz z nimi nic wspólnego, ale... - Ziegler zawiesił głos. - Tak czy owak, jedź do miasta, do związku zawodowego operatorów filmowych. Czeka tam na ciebie kilku facetów.

W drodze do centrum Karpis próbował ochłonać; nie było tak źle, już by nie żył, gdyby Nitti chciał jego śmierci. W biurze związku zastał trzech mężczyzn czekających na niego na zapleczu. Dwóch znał: Williego „Trzy Palce” White'a i Klondike'a O'Donnella. Trzeci, Phil Deandre, odsunął krzesło i spytał Karpisa, czy współpracuje z Touhym.

- Do licha, przecież wiecie, że nie - odpowiedział Karpis. O'Donnell się uśmiechnął.

- Wiemy - przyznał. Ale Baby Face Nelson to była inna sprawa. Nelson miał dawne powiązania z Touhym i z jakiegoś powodu Nitti pragnął jego śmierci.

- Dowiedzieliśmy się, że ludzie Touhy'ego kręcą się koło ciebie, a chcemy ich sprzątnąć - powiedział Deandre. - Ty się usuń, bo będzie gorąco i mógłbyś oberwać przy okazji.

Karpis obiecał, że usunie się natychmiast. Wstał, a Deandre napomniął go, żeby nie ostrzegał Nelsona. Poklepał Karpisa po ramieniu.

- Jesteś w porządku. Szkoda, że wzięłeś się do kradzieży i masz kłopoty. Powinieneś

był przyjść do nas i dla nas pracować. Potrzebujemy takich jak ty.

Karpis myślał gorączkowo. Musiał zniknąć, i to szybko. Wrócił do Long Beach i zarezerwował dla Delores Delaney bilet na samolot. Następnego wieczoru, kiedy Delores była już bezpieczna w St. Paul, Karpis przeszedł na drugą stronę ulicy do bungalowu Nelsona.

- Wyjdiesz na chwilę? - zapytał.

Przeszli się po świeżym powietrzu; na północ rozciągało się jezioro Michigan, ciemniejsze od wieczornego nieba.

- Masz u siebie któregoś z chłopaków Touhy'ego? - zaczął Karpis.

- Czemu pytasz, u diabła? - zdziwił się Nelson.

- Posłuchaj. Czy są u ciebie, czy nie, to bez znaczenia. Wynoście się stąd natychmiast.

- Co jest? Chcesz nam mówić, co mamy robić? Karpis wyjaśnił mu, jak wygląda sytuacja z Nittim.

- Możesz mi przyłożyć w szczękę lewym sierpowym, jeśli się mylę - powiedział na koniec. - Nie powinienem z wami o tym rozmawiać, ale nie mam zamiaru patrzeć, jak was będą wykańczać, bo przecież nie zrobiliście nic poza tym, że kradliście. Dlatego ja się wynoszę i mówię wam, że jeśli nie pójdziecie w moje ślady, oba te domy wylecą w powietrze.

Nelson na chwilę popadł w zadumę.

- Zwiniemy się przed północą. - Zasugerował, żeby przekazać wiadomość przez Louisa Cernocky'ego z Fox River Grove. Karpis uznał, że to byłoby niebezpieczne, ponieważ żona Franka Nasha, która wiedziała, gdzie mieszka Cernocky, była pod obserwacją FBI. Po rozmowie Karpis opróżnił dom nad jeziorem i pojechał do nowego lokum, które wynajął w budynku South Shore Country Club w Chicago.

Kilka dni później Ziegler wstąpił do niego z niepokojącą wiadomością: Frank Nitti chce się z nim widzieć osobiście, i to zaraz. Karpis poczuł się nieswojo. Spotkanie umówiono w pewnym barze w centrum miasta. Karpis zjawił się przed czasem. W barze nie było nikogo poza barmanem, który zerkał na niego nerwowo. Kiedy wszedł Nitti w towarzystwie „trójpalczastego” Williego White'a, przywitali się chłodno. Zasiadli w pokoju na zapleczu; zapadła długa cisza.

- Coś ci powiem, Ray - zaczął White, używając przydomka Karpisa.

- Poręczyłem za ciebie przed naszymi ludźmi. A teraz chcielibyśmy ci zadać kilka pytań.

- W porządku, pytaj.

- Po pierwsze, czy mówiłeś coś gościom, którzy mieszkają w tych dwóch domach koło

ciebie? I po drugie, czy możesz nam wyjaśnić, dlaczego zniknęli zaraz po tym, jak z tobą rozmawialiśmy?

Karpis zawnazs przygotował sobie odpowiedź.

- Mam zamiar powiedzieć wam prawdę. Rozmawiałem z nimi i Nelson mnie zapewnił, że nie ma z nimi żadnych lewych typów, zwłaszcza od Touhy'ego, i że zajmują się wyłącznie rabowaniem banków. Postanowiłem im powiedzieć i wynosić się stamtąd, bo spodziewałem się kłopotów. To przeze mnie już ich tam nie ma.

Znów zapadła cisza. Nitti patrzył na Karpisa w milczeniu.

- Nie miałeś przypadkiem trzymać języka za zębami? - przypomniał Karpisowi White.

- Owszem - przyznał Karpis - ale zmieniłem zdanie. Nitti włączył się do rozmowy:

- Domyślam się, że masz przy sobie broń.

- Czterdziestkępiątkę - potwierdził Karpis.

Nitti kazał mu zaczekać na zewnątrz. Karpis przysiadł w barze. Minęła minuta, dwie. Karpis patrzył na zegar na ścianie. Po pięciu minutach drzwi na zaplecze się otwarły.

- Wejdz, Ray - powiedział White. Karpis usiadł i spojrzał Nittiemu w oczy. - Darujemy ci, bo wiemy, że nie mieszasz się w nasze interesy - mówił White. - I wiemy, że ani Freddie, ani ludzie tacy jak Frank Nash i Harvey Bailey też nie. Jest tylko jeden człowiek między wami, który wchodzi nam w paradę. Wiesz tak samo dobrze jak ja, o kim mówię. To ten sukinsyn Verne Miller.

- Nie wiedziałem, że macie na niego żyłę - powiedział Karpis.

- Wszyscy mają żyłę na tego drania - stwierdził Nitti.

Po ostatecznym ostrzeżeniu, by nigdy nie stawał na drodze interesom syndykatu, Karpisowi pozwolono odejść. Pojechał do domu. Zastał tam Delores Delaney. Wróciła z St. Paul, gdzie przeszła usunięcie migdałków i ciąży, a następnie spędziła pięć dni w szpitalu w Chicago, gdy szwy na cięciu w gardle pękły. W łóżku Karpis miał ochotę na czułości, ale powiedziała:

- Wiesz, że nie będziemy mogli nic dziś robić.

- Dlaczego?

- Lekarz zabronił przez trzydzieści dni po operacji.

- Jezu Chryste! - jęknął Karpis.

Leżeli objęci, aż Delores zasnęła. Karpis nie lubił takich niewinnych przytulaneek, ale kiedy trzymał ją w ramionach, czuł coś w rodzaju zadowolenia. Świt nastał szybko.

Następnego dnia Karpis pojechał podziękować George'owi Zieglerowi, który zaproponował mu przejazdzkę.

- Co zamierzacie teraz robić? - spytał Ziegler.

- Co masz na myśli?

- Zarabianie pieniędzy. Ostatnio nic nie robicie, prawda? Karpis nie wspomniał o napadzie w St. Paul, z którego wykluczyli

Zieglera.

- A co? - spytał. - Coś ci chodzi po głowie? Chyba nie potrzebujesz w tej chwili pieniędzy?

- I owszem - przyznał Ziegler. - Straciłem to, co miałem, na rynku zbożowym. Cholerstwo poszło w dół i po forsie. Będę musiał się zakręcić za gotówką.

- Co planujesz, kolejne porwanie?

- Nie - odparł Ziegler. - Mam coś ekstra.

Shotgun George Ziegler wyjaśnił Karpisowi, że chce uderzyć na Bank Rezerwy Federalnej w Chicago, położony w samym sercu finansowego centrum miasta, w sąsiedztwie Bankers Building - najwyższego budynku w mieście, osiemnaście pięter poniżej siedziby chicagowskiego oddziału FBI.

Pierwszy poniedziałek września, tradycyjne Święto Pracy, był nad Potomakiem parny i wilgotny. W siedzibie FBI przy Vermont i Constitution ludzie Hoovera pracowali nad sprawą Maszynę Gun Kelly'ego. Udało im się wyśledzić Kellych do Des Moines, ale tam ślad się urywał. Agenci weszli w zachodnim Teksasie, gdzie dawniej lubiła bywać Kathryn, i zdołali nakłonić do współpracy jej ojca, który pozwolił im przeszukać dom przy East Mulkey Street. Jednak wszystkie wysiłki zmierzające do ustalenia aktualnej tożsamości Kelly'ego spełzały na niczym. Dla ścigających go ludzi Maszynę Gun Kelly był tylko nazwiskiem.

Podczas gdy ludzie Hoovera przeczesywali kraj, Kelly'owie byli w rozsypce. Ostatnie przestępstwo w niczym nie przypominało tych, które popełniali wcześniej. Tym razem znaleźli się na czołówkach gazet w całym kraju, a agenci federalni z jakiegoś biura, o którym niewiele słyszeli, tropili ich dzień i noc, przekraczając granice stanów. Po ucieczce z zachodniego Teksasu, gdzie agenci niemal deptali mu po piętach, Kelly pojechał do Biloxi w Missisipi i w czwartek 24 sierpnia wieczorem zatrzymał się w hotelu Avilez. Trzy dni później przeniósł się do hotelu Avon przy West Beach Boulevard i zameldował jako J.L. Baker.

Nigdy nie grzeszył bystrością. Teraz popełnił błąd, realizując kilka czeków podróży, co sprawiło, że recepcjonista go rozpoznał. Agenci z Nowego Orleanu pospieżyli do Biloxi, gdzie wieść o ich przybyciu przeciekła do prasy. W poniedziałek 28 sierpnia, stojąc na rogu jednej z ulic w Biloxi, Kelly usłyszał, jak gazeciarz wykrzykuje: „Maszynę Gun Kelly jest w mieście!”. Wpadł w panikę, pobiegł na dworzec autobusowy i

kupił bilet do Memphis. Nie wrócił nawet do hotelu po swój bagaż, w którym między ubraniami leżał naładowany pistolet kalibru.45.

Chociaż wciąż mało doświadczeni, agenci FBI nauczyli się obserwować dawne miejsca pobytu uciekiniera; gdyby Hoover wiedział cokolwiek na temat przeszłości Kelly'ego, agenci mogliby czekać na swą ofiarę w Memphis. Ale nie czekali. Później tego samego dnia Kelly zadzwonił z budki przy dworcu autobusowym w Memphis do swego byłego szwagra, dobrze prosperującego adwokata Langforda Ramseya. Ramsey, w owym czasie najmłodszy prawnik, któremu udało się dostać do palestry Tennessee, nie miał pojęcia, że George Barnes znany mu przed ośmiu laty obecnie nazywa się Machine Gun Kelly i jest poszukiwany w całym kraju. Załatwił mu kryjówkę w domu dobrego znajomego, kulawego pracownika garażu w centrum miasta.

Kathryn tymczasem, przejechawszy Teksas i Luizjanę, przybyła do Biloxi. Nie zastała tam Kelly'ego. Załamała się. Była pewna, że Kelly uciekł z jakąś nowo poznaną kobietą. Nie wiedziała, co robić. Pojechała z powrotem do Teksasu, do południowych przedmieść Tempie i w sobotę 2 września wieczorem stanęła przed domem swojej długoletniej służącej Junie*[* Junie to pseudonim; prawdziwe nazwisko służącej jest w aktach FBI zaczer-nione.]. Zaproszona do środka nasmarowała twarz tłustym kremem i zaczęła wyklinać na męża.

- Nie wiem, gdzie jest George, ale próbuję się skontaktować z tym sukinsynem. Chcę, żeby się poddał, bo wtedy uwolnią mnie i moją matkę od zarzutów¹⁰.

Następnego dnia Kathryn kupiła rudą perukę i zameldowała się w hotelu Waco's Hilton, gdzie spędziła dzień, rozmyślając o nadchodzącej rozprawie matki. Musiała się dowiedzieć, czy Sam Sayers, adwokat z Fort Worth, którego najęła, by reprezentował matkę, poczynił jakieś postępy po jej propozycji wydania Kelly'ego. Następnego ranka zadzwoniła do Sayersa do Fort Worth.

- Halo, mówi twoja dziewczyna - przedstawiła się.

- Która? - spytał rzeczowo Sayers.

- Twoja najlepsza dziewczyna... ta z pekińczykami. Muszę się z tobą zaraz zobaczyć. - Podała mu swoje zamiary w Waco.

- Nie mogę z tobą teraz rozmawiać - powiedział Sayers. - Chyba wiesz, że nie powinnaś do mnie dzwonić na ten numer. - Odłożył słuchawkę*[* Ta krótka rozmowa, przytoczona słowo w słowo w notatce służbowej FBI z 3 października 1933, jest dość dziwna. Sugeruje, że FBI podsłuchiwało telefon Sayersa, choć w aktach FBI nie ma nigdzie wzmianki o zgodzie na założenie podsłuchu. Z dalszej treści notatki wynika, że Sayers pojechał do Waco w poszukiwaniu Kathryn, ale jej nie znalazł.].

Nie znajdując lepszego rozwiązania, Kathryn wskoczyła do furgonetki i pojechała na północ w kierunku Fort Worth, choć nie wiedziała, jak się bezpiecznie umówić z Sayersem. Tuż za Hillsboro, w miejscowości Itasca, zauważyła koło stacji benzynowej trójkę autostopowiczów. Podjechała do nich; w głowie zaświtał jej pewien pomysł.

- Chcecie, żeby was podwieźć? - zagadnęła.

Miała przed sobą rodzinę z Oklahomy, uciekającą przed skutkami Wielkiego Kryzysu - farmera Luthera Arnolda, jego żonę Flossie Mae i ich dwunastoletnią córkę Geralene. Wyrzucono ich z farmy wuja pod Ardmore, ponieważ bank przejął mienie, i od tego czasu podróżowali autostopem po Teksasie, mając się najróżniejszych zajęć, żeby przeżyć. Skwapliwie skorzystali z propozycji podwiezienia złożonej przez rudowłosą kobietę w sukni w niebieską pepitkę.

- A co właściwie robicie? - spytała Kathryn po pewnym czasie.

- Po prostu podróżujemy - odpowiedział Arnold. - Rozglądam się za czymkolwiek, co pozwoli wykarmić troje głodnych ludzi.

** Smutna opowieść o farmie w Oklahomie była prawdziwa, ale Luther Arnold nie wspomniał, że był dwukrotnie aresztowany za wystawianie czeków bez pokrycia w Los Angeles.

Kathryn wyraziła współczucie. Powiedziała, że może zdoła im pomóc. Dojechali do Cleburne, gdzie zatrzymali się na turystycznym kempingu na nocleg. Kathryn zapłaciła za wszystko. Następnego ranka zabrała Flossie Mae i Geralene do miasta i kupiła im sukienki. Kiedy wróciły na kemping, Kathryn wzięła Luthera Arnolda na stronę.

- Lubię was i chciałabym wam umożliwić zarobienie paru dolarów - powiedziała. - Mogę wam zaufać?

- Całkowicie - zapewnił Arnold.

- Jestem Kathryn Kelly... na pewno czytaliście o mnie w gazetach. Panie Arnold, proszę, żeby pan mi pomógł w ważnej sprawie. - Wręczyła mu 50 dolarów i powiedziała, by pojechał autobusem do Fort Worth, skontaktował się z jej adwokatem Samem Sayersem i dowiedział się od niego, czy zawarł ugodę z prokuraturą.

Arnold wyraził zgodę. Odwiedził Sayersa w jego biurze i dowiedział się, że nie ma żadnego postępu w sprawie. Kiedy wieczorem wrócił do Cleburne, Kathryn zaczęła intensywnie myśleć. Sayers praktykował w Teksasie i nie znał warunków panujących w Oklahomie, gdzie miała być sądzona jej matka. Zapytała więc Arnolda, czy nie zna jakiegoś adwokata z Oklahomy, którego mogłaby wynająć, na co Arnold odpowiedział, że owszem,

zna jednego w Enid. Nazajutrz rano Kathryn wysadziła Arnolda pod Fort Worth z 300 dolarami i pisemnym poleceniem dla Sayersa, żeby dał mu samochód, który u niego zostawiła. Arnold miał pojechać do Enid, nająć adwokata dla matki Kathryn, a potem skierować się na południe do San Antonio, gdzie Kathryn obiecała zostawić dla niego dalsze wskazówki na poste restante.

Tym razem sprawy nie poszły tak, jak zaplanowała. Arnold zadzwonił do Sayersa, ale go nie zastał w domu. Wcale się tym nie przejął. Przeciwnie, coraz bardziej mu to odpowiadało. Po miesiącu włóczenia się po Teksasie, zebrania o strawę i golenia się w toaletach na stacjach benzynowych, był wolny w dużym mieście i miał kieszenie pełne gotówki. Przy dworcu autobusowym spytał kierowcę żółtej taksówki, gdzie można się napić. Taksówkarz zawiózł go do baru, tam Arnold zamówił piwo. Po piwie poczuł się jeszcze lepiej i spytał barmana, gdzie mógłby znaleźć kobiece towarzystwo. Barman zadzwonił, gdzie trzeba, i szybko pojawiła się dziewczyna. Przedstawiła się jako Mae.

Arnold kupił całą skrzynkę piwa. Zabrał je do mieszkania Mae, gdzie od razu mu się spodobało. Wkrótce poczuł się tak dobrze, że spytał Mae, czy nie ma przypadkiem jakichś koleżanek. Nie minęło wiele czasu, jak przyszła Hilda*[* Zarówno Mae, jak i Hilda to pseudonimy, prawdziwe imiona i nazwiska obu kobiet są w raportach FBI zaczernione.]. I tak Arnold spędził przyjemny długi wieczór ze swoimi dwiema nowymi przyjaciółkami i skrzynką piwa.

Następnego dnia rano Lutherowi Arnoldowi udało się zastać Sama Sayersa, który przekazał mu chevrolet Kathryn. Arnold wziął samochód, zapakował obie przyjaciółki na tylne siedzenie i we trójkę pojechali do Enid, gdzie wynajął adwokata dla matki Kathryn. Potem udali się do Oklahoma City, stanęli w hotelu Skirvin, najładniejszym w mieście, i zaczęli huczną biesiadę¹¹. Następnego ranka kilku innych adwokatów wynajętych przez Kathryn także zjawilo się w hotelu Skirvin.

To wtedy, w sobotę 9 września, Gus Jones dostał wiadomość, że prawnicy spotykają się z emisariuszem Kathryn Kelly w hotelu Skirvin. Luther Arnold został poddany obserwacji. Z pewnością istniały wątpliwości, czy ten ostro popijający mężczyzna jest bezpośrednio zamieszany w sprawę Kellych, i znalazły one wyraz w staranności, a raczej jej braku, z jaką prowadzono obserwację. Rano w poniedziałek 11 września agenci struchleli; Luther Arnold zniknął. Jego dwie przyjaciółki zostały, ale Jones zrozumiał, że szansa znalezienia Kellych przez FBI odeszła w siną dal.

Podczas gdy ludzie Hoovera skupieni byli bez reszty na Machinę Gun Kellym, John Dillinger otrzymał przykrą dla siebie wiadomość, że partia broni, którą przerzucił przez mur

w Michigan City, została znaleziona i trafiła w ręce naczelnika więzienia. Zrozumiał, że będzie musiał spróbować jeszcze raz, a do tego potrzebował więcej pieniędzy. W południe we środę 6 września ze współnikiem Harrym Copelandem wkroczył do głównej sali banku stanowego przy Massachusetts Avenue w centrum Indianapolis. W swoim słynnym słomkowym kapeluszu przekrzywionym zawadiacko na bok, bez słowa wszedł na dwumetrowej wysokości budkę kasjera i celując z pistoletu w kierownika banku, Lloyda Reinharta, oznajmił:

- To jest napad.

Reinhart, pogrążony w rozmowie przez telefon, zignorował jego słowa, biorąc je za żart.

- Odczep się od tego cholernego telefonu! - warknął Dillinger.

Reinhart uniósł głowę, spojrział prosto w lufę pistoletu i zrozumiał, że to jednak żart. On i kasjer podnieśli ręce do góry, a Dillinger zeskoczył z budki i zaczął zgarniać gotówkę do białej torby. Za jego plecami Copeland, skubiąc chustkę zakrywającą mu twarz, co chwilę wyglądał na zewnątrz.

- Pospiesz się! - napominał współnika kilkakrotnie.

Po kilku minutach obaj wyszli z banku i wsiedli do samochodu. Kiedy później przeliczyli łup, okazało się, że wyniósł ponad 24 000 dolarów, co oznaczało, że dokonali drugiego pod względem zyskowości napadu na bank w historii stanu.

Do dziś nie wiadomo, jak Dillingerowi udało się dostarczyć drugi zestaw broni do więzienia w Michigan City. Jeden z uczestników spisku odsiadujący tam karę powiedział później władzom, że pistolety zostały przeschmuglowane w pudle z niemi przysłanymi do więziennej szwalni. Według innej wersji Dillinger ponownie przerzucił je przez więzienny mur. Jakkolwiek było, broń ostatecznie trafiła do jego przyjaciół.

Wypełniwszy misję, był gotów zrobić sobie kilka dni urlopu. Wskoczył do swojego nowego samochodu, szybkiego essex terrapla-ne, i ruszył do Dayton, żeby się spotkać z dziewczyną, którą podrywał przez całe lato, Mary Longnaker. Jej mieszkanie przez cały czas było obserwowane przez dwóch policjantów.

Rozstawszy się z Lutherem Arnoldem, Kathryn Kelly zawiozła żonę i córkę Arnolda na rancho swojego wuja w zachodnim Teksasie. Było to ryzykowne posunięcie, jako że agenci FBI przeczesywali ten teren od tygodni. Jednak Kathryn chciała odnaleźć męża, a tylko to miejsce przychodziło jej do głowy. Kiedy się tam zjawiała, Cass Coleman oznajmił jej, że nie widział Kelly'ego od dwóch tygodni. Kathryn nie zabawiła u wuja długo, ledwie pół godziny, które wystarczyły jej, by załadować do furgonetki kilka łóżek polowych i napisać

wiadomość dla męża. Nakazała Colemanowi, by zawiadomił ją na poste restante, jak tylko Kelly się pokaże.

Cztery dni później, w sobotę 9 września, Kelly w końcu przyjechał, po dziesięciu dniach włóczenia się po Memphis i osuszania kolejnych butelek ginu. W obawie, że rancho Cassa Colemana może być obserwowane, wszedł ukradkiem do kuchni sąsiada, wprawiając w przestkach jego żonę. Już samą fryzurą mógł wzbudzić lęk - ufarbował włosy na jaskrawożółty kolor. A ponieważ w czasie ucieczki przytył jakieś pięć kilogramów, wyglądał jak wzdęty kanarek. Sąsiadka, do której dotarły pogłoski o prawdziwej tożsamości Kelly'ego, natychmiast udała się do Cassa Colemana i ze złością zażądała, żeby zabrał intruza z jej domu. Coleman wysłał telegram do Kathryn o treści: MATKA LEPIEJ.

Kathryn dostała telegram po dwóch dniach, kiedy zabrała Flossie Mae Arnold na pocztę w San Antonio i wysłała ją do okienka.

- Matka zaczęła otwierać kopertę z telegramem - mówiła potem Geralene Arnold - ale w końcu poczekała z tym, aż wsiądzie do auta. Kathryn wyrwała jej telegram z ręki, mówiąc, że to nie do niej.

Po zapoznaniu się z treścią wiadomości Kathryn odwiozła Geralene na rancho Colemana, zostawiając Flossie Mae w mieście.

Po trzech tygodniach rozłąki spotkanie Kellych bynajmniej nie było serdeczne.

- Kathryn podeszła do Kelly'ego i powiedziała: „Nie wiem, czy mam cię zabić, czy ucałować”¹² - wspominała Geralene.

Natomiast Cass Coleman tak przedstawiał to wydarzenie agentom FBI:

- Jak tylko Kathryn weszła, powiedziała George'owi, że jest skończonym durniem i że zrobił głupio, wyjeżdżając do Missisipi, gdzie nie mogła się z nim skontaktować, bo wiedział, że potrzebowała pieniędzy. Zarzucała mu też, że pojechał tam za jakąś kobietą. Kelly się tłumaczył, że próbował sam się sobą zająć, dopóki nie uda mu się z nią skontaktować. Rozmowa zakończyła się wzajemnymi oskarżeniami o kłamstwo.

Skłóceni małżonkowie furgonetką pojechali i do San Antonio, gdzie Kathryn wynajęła umeblowany pięciopokojowy bungalow. Flossie Mae i Geralene słuchały, jak debatuje nad swoim następnym krokiem. Kelly zamierzał jechać na wschód, do Chicago lub Nowego Jorku, gdzie według niego mogli się z powodzeniem ukrywać przez długie miesiące. Kathryn jednak chciała uwolnić matkę. Powiedziała Kelly'emu, że powinien się oddać w ręce FBI w zamian za wypuszczenie jej na wolność. Ku zdziwieniu Kathryn Kelly się zgodził.

- Idź się z nimi targować i daj mi znać, jak załatwisz sprawę - powiedział. - Sam bym poszedł, ale wiesz, że osobiście nie mogę się z nimi targować¹³.

Nazajutrz, we wtorek 12 września, Luther Arnold przybył do San Antonio. Miał wiele do powiedzenia na temat swej wyprawy do Oklahoma

City, a przy tym był całkowicie nieświadomy, jak niewiele brakowało, by został aresztowany. Kathryn dała mu więcej pieniędzy, żeby zapłacił adwokatowi jej matki. Następnego dnia Arnold wrócił na północ, zatrzymując się po drodze w Fort Worth, gdzie spędził przyjemny wieczór, odwiedzając bar za barem. W końcu tak się upił, że wynajął jakiegoś młodego człowieka, by go zawiózł do Oklahoma City. Ledwie zdążył wejść do hotelu Skirvin następnego popołudnia, w środę 14 września, gdy aresztowali go ludzie Gusa Jonesa.

Agenci FBI zaczęli już tracić cierpliwość. Według jednego z wewnętrznych raportów zastosowali „energiczne, lecz odpowiednie” metody, by nakłonić Arnolda do mówienia (później to określenie oznaczało brutalne traktowanie zatrzymanych). Szybko dał się złamać¹⁴. Gus Jones zadzwonił do San Antonio. Po kilku godzinach tamtejsi agenci wraz z oddziałem miejscowej policji zjawili się w bungalowie Kellych. Kiedy wtargnęli do środka przez frontowe drzwi, zastali tylko przestraszoną Flossie Mae Arnold, która powiedziała im, że małżonkowie Kelly wyjechali poprzedniego dnia na ranczo Cassa Colemana. Flossie Mae miała powód do lęku - zabrali ze sobą jej córkę Geralene.

Tamtej nocy biuro z Dallas miało kilku swoich agentów w zachodnim Teksasie i wszyscy oni w pośpiechu udali się na ranczo Colemana. Jeden z agentów był już w mieście, kiedy Kelly'owie, w towarzystwie Geralene, pojawili się na parę godzin przed nalotem w San Antonio. Na razie dopisywało im szczęście. Sąsiad Cassa Colemana, Clarence Durham, wróciwszy tego dnia z pracy, znalazł Kellych wylegujących się na łóżku na jego werandzie. Zażądał, żeby natychmiast się wynieśli.

Zaraz potem udał się do biura szeryfa i o wszystkim mu opowiedział¹⁵. Następnego dnia w każdym biurze szeryfa w zachodnim Teksasie panował stan podwyższonej gotowości. Wieści o tym, że widziano Kellych, napływały z Abilene, San Angelo i innych miast leżących na trasie do Wichita Falls, co pozwalało domniemywać, że zmierzają do Oklahoma. Mosty na Czerwonej Rzece obstawiono patrolami z drogówki, ale stało się to zbyt późno. Kelly'owie wczesnym rankiem tego dnia przekroczyli granicę stanu i skierowali się na północ.

Głodni i zmęczeni dotarli do Chicago w niedzielę 17 września. Pragnąc zdobyć nowe, nieznane policji auto, Kelly próbował z budki telefonicznej się dodzwonić do właściciela pewnego garażu w Cicero; nie udało mu się, bo akurat w tym momencie człowiek ten był zajęty wyposażaniem specjalnego kuloodpornego samochodu do napadu na Rezerwę Federalną, planowanego przez Alvina Karpisa i Barkerów. Kelly'owie pojechali do centrum

miasta, wynajęli mieszkanie i po rozpakowaniu bagaży wyszli coś zjeść.

Przy kolacji Kelly mocno się zdenerwował, ponieważ odniósł wrażenie, że siedząca w pobliżu para mu się przygląda. Po posiłku, obawiając się, że zostali rozpoznani, wzięli Geralene i przez godzinę jeździli po ulicach, zanim w końcu wrócili pod wynajęte mieszkanie. Kathryn wysłała Geralene do środka, żeby spakowała i wyniosła bagaże, a potem wysadziła Kelly'ego przy Picadilly Theatre; Kelly ukrył się tam, żeby obejrzeć film i przeczekać. Jeśli nawet ich rozpoznano, to FBI nie miało z tym nic wspólnego. Wieczorem udało im się wynająć inne umeblowane mieszkanie na Chicago North Side¹⁶. Powiedzieli gospodyni, że przyjechali do miasta obejrzeć Wystawę Światową.

Następnego dnia, w poniedziałek 18 września, w Oklahoma City zaczynał się proces Alberta Batesa, Harveya Bailey'a i Shannonów oskarżonych o porwanie. Wiadomość ukazała się na pierwszych stronach chicagowskiej prasy. Kathryn ze złością czytała gazety, ciskając się po mieszkaniu, przysięgając zemstę Urschelowi i prokuratorowi rządowemu, Josephowi Keenanowi. Napisała nawet list do Keenana; opieczętowany w Chicago, przyszedł do Oklahoma City następnego dnia. „Cała rodzina i przyjaciele Urschelów i wy wszyscy wkrótce zostaniecie wykończeni - pisała Kathryn. - Nie mogę temu w żaden sposób zapobiec. Chętnie wydam wam George'a Kelly'ego, jeśli oszczędzicie moją matkę, która jest niewinna, bo nie zrobiła nic złego”.

Następnego dnia drugi list, tym razem podpisany przez Kelly'ego, przyszedł do rezydencji Urschelów. Zaczynał się od słów: „Nieświadomy Charlesie”.

Piszę te parę słów, żeby cię zawiadomić, że planuję zniszczyć tę twoją tak zwaną rezydencję oraz ciebie i twoją rodzinę zaraz po tym procesie. Młody człowieku, domyślam się, że zacząłeś rozumieć swój poważny błąd... Twoje dni są policzone... Mam przyjaciół w Oklahoma City, którzy znają każdy twój ruch, a ty wciąż jesteś zbyt głupi, żeby się połapać, kto wszystkim kieruje. Gdybym miał taki sam mały mózdzek jak ty, władze dawno by mnie dorwały, a tymczasem popijam sobie dobre piwo i wkrótce zobaczę ciebie i twoją rodzinę w takim stanie, w jakim powinienem był was zostawić od razu - martwych jak głąz... Adios, mądralo. Twój najgorszy wróg, Geo. R. Kelly... Do zobaczenia w piekle.

Listy od Kelly'ch spadły niczym bomby na salę sądową w Oklahoma City, wypełnioną po brzegi dziennikarzami z całego kraju. Człowiek numer dwa w Biurze, Harold „Pop” Nathan, który przybył obserwować proces, wysłał śladem listów swoich agentów. Na próżno. Jednak nie wszystkie listy Kelly'ch okazały się niemożliwe do wytropienia. Przed opuszczeniem Teksasu Kathryn wysłała wiadomość do Flossie Mae Arnold, polecając jej zameldować się w jednym z pensjonatów w Oklahoma City i czekać na dalsze instrukcje. Ten

list został przechwycony przez agentów FBI w San Antonio i przekazany Popowi Nathanowi w Oklahoma City.

Nathan kazał przywieźć Flossie Mae do Oklahomy, gdzie wraz z mężem, Lutherem, miała zamieszkać w wyznaczonym pensjonacie i czekać na wieści od Kathryn. W czwartek 21 września nadszedł list - Kelly'owie kazali się skontaktować ze sobą przez zostawienie wiadomości w barze Michigan Tavern przy 1150 South Michigan Avenue. „Opiekuję się twoim dzieckiem, moja droga - pisała Kathryn, przypominając Flossie Mae o Geralene. - Nigdy nie spuszczam jej z oka, więc bądź ostrożna i pilnuj moich ubrań, bo to wszystko, co posiadam”.

FBI zorganizowało obławę. Nathan zatelefonował do biura w Chicago i zorientował w sprawie Melvina Purvisa. Purvis miał za zadanie jedynie obstawić Michigan Tavern, żeby można było aresztować Kellych, gdy tylko się pojawią. Wysłuchał Nathana i obiecał wszystkiego dopilnować. I stało się coś bardzo dziwnego: zapomniał, co ma zrobić. Kilka tygodni później, kiedy Hoover dowiedział się o spartaczeniu sprawy i zażądał wyjaśnień, Purvis nie był w stanie przedstawić żadnego wytłumaczenia. „Przypominam sobie, że po otrzymaniu tej informacji nie sporządziłem notatki, prawdopodobnie dlatego, że w tym czasie toczyło się tak wiele ważnych dochodzeń...”, napisał do Hoovera¹⁷.

Traf chciał, że następnego ranka Kelly przygotowywał się do wyjazdu z Chicago. Pisał wściekle listy i telefonował z budek do ludzi, którzy mogliby mu pomóc. Dodzwonił się do jednego z członków mafii Franka Nittiego, ale usłyszał: „Jesteś tremy, nie zgodziłbym się ryzykować, że ktoś mnie z tobą zobaczy, nawet za 10 000 dolarów”. W końcu Kelly postanowił kupić auto, korzystając z pośrednictwa Abe Kapłana prowadzącego Michigan Tavern. Zostawiwszy swój stary samochód na ulicy, zabrał Kathryn i Geralene, zapakował ich bagaże do taksówki i skierował się do baru.

Usiedli w boksie z tyłu sali. Kapłan zjawił się po piętnastu minutach i postawił na stoliku butelkę whisky. Zaczął mówić, ale nagle urwał, spoglądając na Geralene.

- To miła dziewczyna - powiedział Kelly, wyciągając plik banknotów. - Jest w porządku.

Zbiegiem okoliczności tuż przed dziewiątą, kiedy Kelly'owie byli w drodze do Michigan Tavern, Melvin Purvis nagle przypomniał sobie o telefonie od Nathana. Jednak zamiast wysłać swoich ludzi do tawerny, pchnął dwóch agentów na pocztę w centrum miasta, żeby odnaleźli listonosza, który dostarczał korespondencję właścicielowi tawerny. Dowiedziawszy się, że listonosz właśnie odbywa swą codzienną trasę, agenci pojechali w okolice tawerny. Dotarli tam mniej więcej dziesięć po dziesiątej, kiedy Kelly'owie siedzieli w

środku. Agenci znaleźli listonosza, który stwierdził, że nie wie o żadnych przesyłkach poste restante slanych do lub z Michigan Tawern. Zamiast udać się do tawerny, agenci wrócili do swojej siedziby w Bankers Building¹⁸.

Nie było ich już w pobliżu, gdy Kelly'owie wyszli z tawerny, wsiedli do taksówki i ruszyli do Cicero, żeby odebrać swój nowy samochód. Przed południem opuścili miasto. Dopiero po godzinie Purvis uświadomił sobie, że popełnił błąd. O czternastej wysłał ludzi, żeby obstawili tawernę, i trzymał ich tam przez cały weekend. Po wielu tygodniach, kiedy Hoover dowiedział się o tym, dopisał na notatce służbowej: „To była fatalna robota”.

Dayton w Ohio

22 września, piątek godz. 1.05 (czasu wschodniego)

Zaledwie kilka godzin przed tym, jak Kellym udało się umknąć przed FBI w Chicago, John Dillinger znów zawitał do Dayton, z nadzieją że rozpali na nowo swój romans z Mary Longnaker. Tak się złożyło, że właśnie tego popołudnia dwaj detektywi dyżurujący na posterunku w pensjonacie zrezygnowali z obserwacji Longnaker i wrócili za swoje biurka.

Właścicielka pensjonatu zadzwoniła na policję, kiedy Dillinger się pokazał.

- On tu jest - oznajmiła dyżurnemu sierżantowi, W.J. Aldredge'owi.

- Kto? - spytał Aldredge.

- John Dillinger, ty durny platfusie!

Godzinę później policja otoczyła pensjonat. Sierżant Aldredge i obaj detektywi, Russel Pfauhl i Charlie Gross, spotkali się z właścicielką przy tylnym wyjściu. Powiadomiła ich szeptem, że Dillinger jest na piętrze, w pokoju Longnaker. Pfauhl ze strzelbą i Gross z pistoletem maszynowym weszli cicho po wyłożonych chodnikiem schodach na górę i zapukali do pokoju. Po chwili Mary Longnaker otworzyła drzwi. Detektyw Gross wszedł do środka, a za nim Pfauhl. Dillinger, w podkoszulku i szarych spodniach od garnituru, stał w salonie, trzymając plik zdjęć, które zrobił na Wystawie Światowej.

- Ręce do góry, John - rozkazał Gross. - Jesteśmy z policji. Dillinger wolno podniósł ręce; zdjęcia rozsypały się po podłodze.

Przez moment jakby się zawahał, dłonie mu zadrżały.

- Nie rób tego, John - odezwał się Pfauhl, unosząc pistolet maszynowy. - Bo cię zabiję¹⁹.

Centrum Chicago godzina 00.15 (czasu centralnego)

Niedługo po północy, niemal w tym samym momencie, gdy detektywi z Dayton zatrzymali Dillingera i odstawili go w kajdankach do miejskiego aresztu, Alvin Karpis i bracia Barker siedzieli w zaciemnionym hudsonie sedanie na Jackson Street w finansowej dzielnicy Chicago. Samochód stał w cieniu Bankers Building, osiemnaście pięter poniżej okna Melvina Purvisa, ale Karpis był zainteresowany siedzibą Rezerwy Federalnej znajdującą się przecnicę dalej. Obserwował, jak wychodzą dwaj mężczyźni; jeden ciągnął ręczny wózek wyładowany pękatymi workami. Za nimi pojawiło się dwóch uzbrojonych strażników.

- Okay - odezwał się któryś z nich.

Karpis ruszył hudsonem, jednocześnie naciskając guzik na desce rozdzielczej. Z tyłu samochodu ukazała się gęsta chmura czarnego dymu, tworząca zasłonę, która miała zablokować ruch uliczny. Kazał zainstalować urządzenie wytwarzające dym, ponieważ obawiał się licznych turystów jadących na zachód z Wystawy Światowej odbywającej się nad jeziorem. Kazał też wstawić kuloodporną szybę w oknie od strony kierowcy, a całą karoserię pokryć warstwą pancerną.

Chwilę później hudson zatrzymał się przy krawężniku obok kurierów Rezerwy Federalnej i ich ochroniarzy. Z samochodu wyskoczyli Fred Barker i George Ziegler, w chustkach zakrywających twarze, i wymierzyli z pistoletów maszynowych w ludzi z konwoju, którzy oddali im pięć worków z wózka. Nie trwało to nawet minuty. Gdy tylko Barker z Zieglerem wsiedli z powrotem do auta, Karpis ruszył, podążając trasą wcześniej dokładnie opracowaną i wyrysowaną na mapie. Pomocnik Zieglera, wysoki, chudy Bryan Bolton, siedział obok niego z thompsomem na kolanach. Po przejechaniu dwóch przecnic na zachód skręcili w prawo w Franklin Street, pognali dwie przecznice na północ i skręcili w Adams, kierując się ponownie na zachód. Rozpędzony hudson niemal przeleciał przez most na Chicago River.

Na Halsted Karpis skręcił na północ... prosto w nadjeżdżającego forda coupe. Samochody się zderzyły; hudson wpadł na słup telefoniczny na północno-zachodnim rogu skrzyżowania. Akurat wtedy na południowo-zachodnim rogu stało dwóch umundurowanych policjantów patrolujących swój rejon. Jeden z nich, czterdziestosześcioletni Maurice Fitzgerald, przebiegł przez ulicę do rozbitego forda, z którego dochodziły krzyki kilku kobiet.

Drugi policjant, Miles Cunningham, trzydziestopięcioletni ojciec dwojga dzieci, podszedł do hudsona. Dock Barker, z pistoletem kalibru .38 w prawej ręce, wysiadł z auta, które miało mocno wgnieciony przód.

- Gliny! - krzyknął.

Bryan Bolton podniósł pistolet maszynowy i wystrzelił prosto w Cunninghama, zabił

go na miejscu. Dock wrzasnął - jedna z kul Boltona rykoszetem trafiła go w mały palec prawej ręki, wybijając oczko z nowego sygnetu. Kiedy Karpis i reszta wysiedli z hudsona i zatrzymywali przejeżdżający samochód, Bolton odwrócił się i zaczął strzelać do Fitzgeralda, który próbował się ukryć za znakiem drogowym.

Gangsterzy w wielkim pośpiechu przetrucili łup do zarekwirowanego pojazdu i ruszyli na południe. Karpis zauważył, że zbiornik na benzynę jest prawie pusty. Na Ashley Avenue wysiedli, zatrzymali drugie auto i wyrzuciwszy z niego właścicieli, zapakowali się do środka z pieniędzmi i bronią. W milczeniu dojechali do garażu w południowo-zachodniej części miasta, zamknęli za sobą drzwi i wysypali pieniądze z worków. W tym momencie odkryli, że ukradli jedynie dwadzieścia kilogramów poczty.

Barkerowie wpadli we wściekłość.

- Do cholery, kto to wymyślił? - warknął Dock, oglądając swój zakrwawiony palec. Ziegler zbaraniał. Dock ze złością zwrócił się do Boltona: - Na litość boską, mogłeś mi odstrzelić całą rękę!

Fred Barker wkroczył pomiędzy nich.

- Takie rzeczy się zdarzają - powiedział. - Nie ma się o co kłócić. Ważniejsze jest to, czy któryś z was zostawił odciski palców na tym cholernym hudsonie. To jest w tej chwili najważniejsze.

O strzelaninie w samym centrum Chicago pisała prasa w całym kraju. I to na pierwszych stronach. Następnego ranka Karpis rozłożył chicagowskie gazety na kuchennym stole w swoim mieszkaniu na South Side. Około dziesiątej dołączył do niego Fred. Od razu rzuciła im się w oczy wypisana wielkimi literami wiadomość o obławie zorganizowanej przez policję i FBI. 10 000 NAGRODY ZA UJĘCIE GANGSTERA - ZABÓJCY POLICJANTA, krzyczał „Chicago American”. Po dokładniejszej lekturze Karpis doszedł do wniosku, że sytuacja nie wygląda aż tak źle. Detektywi znaleźli w porzuconym hudsonie kilka sztuk broni, ale odcisków palców najwidoczniej nie. Co więcej, z artykułu wynikało, że policja uważa, iż sprawcami napadu i strzelaniny byli raczej Machine Gun Kelly, Verne Miller i Pretty Boy Floyd.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - odezwał się Karpis. - Albo się wszystko obróci na złe, albo się obróci na dobre, ale radzę ci, zmień lokum i nie zwlekaj z tym ani minuty. Za dużo ludzi wie, gdzie mieszkasz i gdzie mieszka twoja matka.

Fred się skrzywił. Nie miał najmniejszej ochoty na tłumaczenie się przed matką.

- Jak chcesz, to pojedę z tobą - zaproponował Karpis. - Znam cię. Najchętniej byś to odłożył.

Znaleźli Ma nowe mieszkanie na South Shore Drive i załatwili umeblowanie. Tamtego popołudnia, kiedy policja robiła naloty na wszystkie gangsterskie meliny w mieście, Karpis z Fredem stali w magazynie prowadzącym wynajem mebli i wybierali sprzęty do nowego lokum Ma Barker. Potem pomogli jej w przeprowadzce. Dopiero wówczas Ma się zorientowała, że Fred nie będzie z nią mieszkał. Po raz pierwszy od opuszczenia Oklahomy miała zostać sama. Karpisowi nagle wydała się bardzo stara.

Później Karpis i Fred rozeszli się do swoich aut. Fred był wyraźnie zły na Zieglera za spartaczenie napadu.

- Powiedz temu sukinsynowi, żeby wymyślił następny skok, tak samo świetny jak ten, który właśnie zrobiliśmy - rzucił złośliwie.

- Do diabła, nie możesz go winić - powiedział Karpis. - Przecież nie zrobił tego dla zabawy. Myślał, że zgarniemy pieniądze, tak samo jak ja. Prawdę mówiąc, już planowałem, że wyjadę do Australii, jeśli uda nam się zdobyć tyle, na ile liczyliśmy.

- Do Australii? - zdziwił się Barker.

- Owszem. Gdybym miał kupę forsy, tobym się wyniósł z tego kraju. Tu się niedługo zrobi za gorąco. Przez tę historię w Kansas City, gdzie Verne Miller zabił gliniarzy i Franka Nasha. Z tego się robi wielka afera i przyjdą najgorsze czasy dla takich jak my. Za rok lub dwa rząd pewnie przejmie banki, żeby zapobiec napadom, więc nie zostało nam wiele czasu, by nachapać forsy i się stąd wynosić²⁰.

Barker się skrzywił; nie lubił być pouczany, ale Karpis miał rację. Policja zaczynała im się dobierać do skóry. Podczas weekendu detektywi z Chicago wysłedzili auto gangsterów u mafijnego mechanika, który świadczył usługi Machine Gun Kelly'emu. Zatrzymanie mechanika z kolei doprowadziło do aresztowania człowieka piorącego pieniądze, Gusa Winklera, z którym zarówno Kelly, jak i Karpis robili interesy. Obaj zostali przekazani w ręce FBI. W poniedziałek Melvin Purvis wystąpił przed dziennikarzami i powiedział im - nie wiedzieć czemu - że kule, od których zginął Cunningham, zostały wystrzelone z broni użytej podczas masakry w Kansas City. Wyraził też przypuszczenie, że ośmiokątne okulary Gusa Winklera mogą mieć coś wspólnego z okularami noszonymi przez Kelly'ego.

- Istnieje możliwość, że Kelly'ego i Winklera coś łączy - oznajmił - i że mogli mieć to samo podejście do ośmiokątnych okularów, używanych przez osoby o wyjątkowo spokojnym charakterze. Mogli się nawet wymienić okularami²¹.

Po raz kolejny inni byli obwiniani o przestępstwa popełnione przez gang Barkerów. Jednak Karpisa najbardziej niepokoiło wzmożenie działań policyjnych skierowanych przeciwko przestępczości zorganizowanej. Pouczony spotkaniem z Frankiem Nittim,

zastanawiał się, czy przypadkiem nie czas, by gang opuścił Chicago.

W tamten piątkowy wieczór, kiedy Karpis przygotowywał się do pilnych wakacji, Machinę Gun Kelly przybył do Memphis z Kathryn i dwunastoletnią Geralene Arnold po całodziennej podróży z Chicago. Udał się prosto do bungalowu na East Raynor Street, należącego do pracownika garażu, gdzie ukrywał się już wcześniej. Właściciel, niski mężczyzna z porażoną lewą stroną ciała, nie zadawał żadnych pytań.

Następnego dnia Kelly poszedł do domu swego byłego szwagra Langforda Ramseya i z radością spotkał tam swoich dwóch małoletnich synów, Bruce'a i George'a juniora. Po latach Bruce Barnes pamiętał ojca z tamtego dnia jako uśmiechniętego mężczyznę o żółtych włosach, ubranego w stalowoszary garnitur, noszącego pistolet w kaburze pod marynarką. Kelly powiedział, że jest agentem FBI i wypełnia tajną misję, po czym dał chłopcom po dwudziestodolarowym banknocie wyciągniętym z grubego zwoju.

Tamtego popołudnia z Langiem Ramseyem i Kathryn zaczęli pić gin; biesiada przeciągnęła się do późnego wieczora. W pewnym momencie Kelly wyznał Ramseyowi, że to on jest Machinę Gun Kellym. Przez całe lata później Ramsey twierdził, że uznał to za żart. Jednak zgodził się wyświadczyć byłemu szwagrowi przysługę, i to dużą. Kellym zaczynało brakować gotówki, potrzebowali pieniędzy zakopanych na ranchu wuja Kathryn w zachodnim Teksasie, ale bali się wrócić po nie osobiście. Ramsey zgodził się przywieźć im te pieniądze.

Nazajutrz o świcie wyjechał na zachód. Obok niego siedziała stęskniona za domem Geralene Arnold, której Kathryn nakazała służyć Ramseyowi za przewodnika po ziemi wuja. Podczas gdy Kelly'owie pozostawali w domu na East Raynor Street, Ramsey jechał przez Arkansas do Teksasu, mijając po drodze Dallas i Fort Worth. Horyzont na wschodzie zaczął różowieć, kiedy około piątej rano w poniedziałek zatrzymywał auto przed bramą farmy Cassa Colemana. Coleman, widząc, że nadjeżdżają, wyszedł na podwórko.

- Przyjechałem po... - zaczął Ramsey.

- Wiem, po co przyjechałeś - przerwał mu Coleman. Od ostatniego widzenia się z Kellymi był kilkakrotnie przesłuchiwany przez FBI i nabrał błędnego przekonania, że jest obserwowany. Biuro w Dallas chciało go mieć na oku, ale nie miało wystarczającej liczby agentów.

- Jestem od George'a i Kathryn Kellych - powiedział Ramsey. - Nazywam się...

- Nie obchodzi mnie, jak się nazywasz. - Coleman oznajmił Ramseyowi, że nie chce mieć z Kellymi więcej nic wspólnego.

- Czy to bezpieczne, żebym wziął ze sobą jej futra? - spytał Ramsey.

- Nie, nie jest bezpieczne, żebyś cokolwiek brał albo tu przywoził - odpowiedział

Coleman. - Aresztują cię, zanim się oddalisz na sto metrów. Tu się roi od gliniarzy...

- Do mnie nic nie mają - bronił się Ramsey.

- Ale zaczną mieć, nim stąd odjedziesz. Będą ci siedzieć na ogonie²².

Ramsey odjechał wstrząśnięty. Dotarł do miejscowości Gainesville na północ od farmy i w południe zatrzymał się przed biurem Western Union, skąd wysłał telegram do Kelly'ego: MIAŁEM KILKA POWAŻNYCH PROBLEMÓW. NIE UDAŁO SIĘ NIC ZAŁATWIĆ. PRÓBOWAŁEM SIĘ UMÓWIĆ NA PÓŹNIEJ. OBAWIAM SIĘ, ŻE TO BYŁO NAJLEPSZE WYJŚCIE. NIEMOŻLIWE. ZMIENIŁ ZDANIE. NIE CHCĘ PRZYWOZIĆ ZŁYCH NOWIN. MOGĘ PRÓBOWAĆ DALEJ, JEŚLI TRZEBA. PRZYŚLIJ INSTRUKCJE TUTAJ.

Geralene błagała go, żeby jej pozwolił wrócić do rodziców. W drodze do Gainesville Ramsey wysadził dziewczynkę przy dworcu kolejowym w Fort Worth i kupił jej bilet do Oklahoma City, gdzie pod pieczę FBI przebywali Arnoldowie. Była to decyzja brzemienna w skutki. Ledwie Geralene rozstała się z Ramseyem, wysłała telegram do ojca: CZEKAJ NA MNIE NA STACJI ROCK ISLAND O 10.15 DZIŚ WIECZOREM. GERRY.

Arnoldowie czekali na dworcu. Agenci FBI także. Dziewczynka powiedziała Popowi Nathanowi wszystko, co wiedziała. Między innymi to, że małżeństwo Kellych zatrzymało się w domu na East Raynor Street w Memphis.

Tym razem Hoover miał zamiar dopilnować, żeby Kelly'owie nie uciekli. Poinformowany o sytuacji przez Popa Nathana, zadzwonił do Williama Rorera, trzydziestojednoletniego szefa agentów w Birmingham w Alabamie, kazał mu o świcie jechać do Memphis i zrobić nalot na dom przy East Raynor Street. W Alabamie było już po północy i Rorer, szczupły, przystojny weteran pierwszej wojny światowej, pracujący w Biurze od 1929 roku, miał świadomość, że nie zdąży dojechać do Memphis przed świtem. Musiał zdobyć samolot.

Obudził telefonem człowieka prowadzącego usługi czarterowe, ale ten upierał się, że nie wolno mu latać w nocy. Poradził Rorerowi, żeby spróbował w Gwardii Narodowej, która miała samoloty na lotnisku Roberfs Fidel w Birmingham. Po kilku dalszych telefonach Rorer zdołał się połączyć z pułkownikiem Gwardii Narodowej w Montgomery. Pułkownik oznajmił, że chętnie by pomógł, ale nie ma odpowiednich uprawnień. Rorer zadzwonił więc do jego zwierzchnika, generała Gwardii Narodowej w Fort McPherson w Georgii i „po długich perswazjach” udało mu się wreszcie załatwić przelot do Memphis²³.

SAC Rorer z jakimś agentem wsiedli do wojskowego samolotu na lotnisku Roberfs Fidel w Birmingham o 3.20 nad ranem i wylądowali w Memphis po dwóch godzinach, o 5.30.

Tam już czekali agent-rezydent Biura w Memphis i kilku policjantów. Cała grupa pojechała na East Raynor Street, gdzie zebrały się umundurowane siły policyjne. East Raynor była cichą uliczką z jednakowymi ceglanyymi bungalowami po obu stronach i znajdowała się tuż obok ruchliwej Speedway Avenue w południowej części miasta. W domu numer 1408, szóstym od Speedway, było ciemno. Rorer nie tracił czasu na niepotrzebne manewry rozpoznawcze. We wczesnoporannej szarówce wysłał dwóch detektywów z Memphis, żeby podkradli się i zajęli pozycje po obu stronach domu. Następnie on sam i detektyw William Raney z wyciągniętą bronią weszli na frontowy ganek.

Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk. Rorer pociągnął za drzwi sztormowe. Otworzył się bez trudu. Zerkając na detektywa Raneya, przekręcił gałkę głównych drzwi. One także się otworzyły. Rorer cicho wszedł do środka. Mimo panującego półmroku zorientował się, że jest w zagraconym salonie. Na sofie leżało pismo „Master Detektiv” otwarte na artykule „Moja ścinająca krew w żyłach przygoda ze śmiercią”. Detektyw Raney stanął za Rorerem. Po ich prawej stronie znajdowały się otwarte drzwi do sypialni. Na łóżku leżeli dwaj mężczyźni w bie-liźnie, pogrążeni we śnie. Żaden z nich nie był Kellym.

Rorer na palcach przeszedł holem na tyły domu, gdzie zobaczył oszkloną werandę; na podłodze walało się mnóstwo pustych butelek po whisky Old Log Cabin. Zajrzał do drugiej sypialni. Spała tam

Kathryn w jedwabnej zielonej piżamie. Detektyw Raney tymczasem wszedł do frontowej sypialni, gdzie spało owych dwóch mężczyzn. Kiedy znalazł się w środku, Kelly, który usłyszał kroki, wyszedł z pokoju znajdującego się naprzeciwko, po drugiej stronie holu. Detektyw Raney zauważył jego cień na ścianie. Uniósł strzelbę. Moment później Kelly wszedł do sypialni i natknął się na dwie załadowane lufy.

Kelly, w samej bieliźnie, z żółtymi włosami zmierzwionymi od snu, trzymał w ręku czterdziestkępiątkę.

- Rzuć broń - powiedział Raney.
- Czekałem na was całą noc - odpowiedział mu Kelly z uśmiechem.
- No to jesteśmy - rzekł na to Raney.

Kelly powoli odłożył pistolet na maszynę do szycia, a potem uniósł ręce. Było po wszystkim*[* Później Kelly twierdził, jakoby czuwał przez całą noc, przewidując możliwość nalotu. Zważywszy na kilka pustych butelek po ginie w jego sypialni i kolejne dziesięć po whisky na werandzie, wydaje się to mało prawdopodobne. Niezależnie od tego, czy spał, czy nie, wstał wcześniej, czekając na dostarczenie prasy. Około siódmej usłyszał stuk na frontowym ganku - odgłos wrzuconej gazety. Wyszedł po nią i wracając, zapomniał

przekręcić klucz w drzwiach.]. Przedstawiciele prawa, dotąd czekający na zewnątrz, weszli do domu i zakuli w kajdanki Kelly'ego, pracownika garażu oraz drugiego mężczyznę, który spał na łóżku, a okazał się po prostu znajomym. Przed założeniem kajdanek Kathryn Rorer dał jej piętnaście minut na ubranie się. Wyszła z sypialni w eleganckiej czarnej sukni z epoletami z małego futra i pomarańczowymi guzikami. Idąc do oczekujących przed domem samochodów, powiedziała jednemu z agentów, że czeka na pewnego młodego człowieka, który ma wrócić z Teksasu z jej futrami i pekińczykami, i poprosiła, by się upewnił, że o nie zadbano.

Kelly zachowywał milczenie. Na komisariacie zaprowadzono go do dyżurnego sierżanta.

- Jak pan się nazywa? - spytał sierżant.

- George R. Kelly.

- Ile ma pan lat i gdzie pan mieszka?

- Mam trzydzieści siedem lat i mieszkam wszędzie. Wiadomość o aresztowaniu szybko się rozeszła i jeszcze przed południem ponad trzysta osób zgromadziło się wokół więzienia, żeby zobaczyć Kellych. Policjanci musieli wyjść na ulice, żeby kierować ruchem. Wtrącony do celi Kelly promieniał, ponieważ udało mu się odnowić znajomość z kilkunastoma policjantami z Memphis, których znał z liceum lub z poprzednich aresztowań.

- Bill! Hej, Gari! - pokrzykiwał, kiedy kolejni funkcjonariusze wchodzili, żeby go zobaczyć.

Wkrótce żartował ze wszystkimi.

- Pożycz mi tej spluwy, dobra? - zwrócił się do jednego z agentów FBI. Rorerowi poradził: - Powinien pan otworzyć stoisko z hamburgerami przed więzieniem, żeby trochę zarobić na tym tłumie.

Trzymana w innej części aresztu Kathryn nie marnowała czasu.

- Jestem niewinna i mogę to udowodnić - oświadczyła reporterom tłoczącym się przed celą. - Po tym wszystkim uwolnię się od niego i całego tego towarzystwa. - Przedstawiała siebie jako niewinną żonę, która żyła w lęku przed mężem mordercą. - Jutro miałam jechać do Oklahoma City, żeby się oddać w ręce władz - twierdziła. - Kelly wprawdzie powiedział, że mnie zabije, jeśli to zrobię, ale i tak miałam taki zamiar.

Jeśli sądziła, że dzięki tym opowieściom zyska wolność, srodze się rozczarowała. W następnym tygodniu oboje z Kellym zostali wojskowym samolotem przewiezieni do Oklahoma City, gdzie w październiku stanęli przed sądem. Podobnie jak Albert Bates, Harvey Bailey i Shannonowie, dostali wyroki dożywotniego więzienia*[* Wszyscy, którzy udzielali Kellym schronienia, między innymi Land Ramsey, otrzymali krótkie wyroki więzienia.]. Kathryn skończyła w federalnym więzieniu dla kobiet w Milan w stanie Michigan, gdzie przez kilka lat była informatorką FBI, starając się w ten sposób zasłużyć na skrócenie kary. Natomiast Kelly, Bates i Bailey zostali wysłani do Leavenworth, a potem do otwartego rok później Alcatraz.

Machinę Gun Kelly był pierwszym powszechnie znanym zbiegłym więźniem, którego FBI udało się złapać, a jego aresztowanie stanowiło punkt zwrotny w historii Biura. Wzmocniło przekonanie, że prawdziwi zbrodniarze poruszają się swobodnie po całym kraju, spopularyzowało tezę, że naród jest w stanie wojny z tymi przestępcami, i w publicznej świadomości ustanowiło Biuro pełnomocnikiem narodu w tej wojnie. Masakra w Kansas City, choć królowała na pierwszych stronach całej krajowej prasy, nigdy nie wpłynęła w taki sposób na masową wyobraźnię.

Historia aresztowania Kelly'ego wkrótce stała się jedną z ulubionych opowieści Hoovera, przytaczał ją często przez następne czterdzieści lat. Według wersji Hoovera, przedstawianej w licznych aprobowanych przez FBI książkach, artykułach prasowych i filmach klasy B, Kelly prosił aresztujących go agentów:

- Nie strzelajcie, G-meni! - Wtedy po raz pierwszy agenci FBI usłyszeli to określenie. Kiedy spytali Kelly'ego, co ma na myśli, wyjaśnił, że G-men to skrót od *Government man* [człowiek rządu].

Ta historia, kwestionowana już w 1946 roku w artykule w „Harper's”, jest prawie na pewno nieprawdziwa. Setki artykułów napisanych później w ogóle o niej nie wspominają. Po

latach sam Kelly powiedział swojemu synowi, że nigdy nie użył tego określenia. Po raz pierwszy pojawiło się w serii sponsorowanych przez FBI artykułów napisanych przez dziennikarza Reksa Colliera dziewięć miesięcy później, w lipcu 1934 roku, wzbudzających u niektórych podejrzenie, że nazwa „G-men” nie wyszła z ust Machinę Gun Kelly’ego, lecz zrodziła się w płodnych umysłach ludzi Hoovera, zajmujących się publicznym wizerunkiem Biura.

Badania poprzedzające napisanie tej książki jednakowoż pozwalają zakładać, że ten termin rzeczywiście pojawił się w związku z aresztowaniem Kelly’ego, choć nie do końca w taki sposób, jak twierdził Hoover. W pojedynczym, dawno zapomnianym wywiadzie telefonicznym udzielonym reporterowi „Chicago American” kilka godzin po schwytaniu Kelly’ego Rorer stwierdził, że te historyczne słowa wypowiedziała Kathryn. Według Rorera w chwili aresztowania „żona Kelly’ego płakała jak dziecko. Objęła męża i powiedziała: »Kochanie, chyba już po nas. G-meni nie dadzą nam nigdy spokoju. Od dawna się tego obawiałam«,²⁴.

I tak narodził się przydomek.

Dayton w Ohio

W tamten wtorkowy poranek, kiedy stalowe kraty ze szcęką zamknęły się za Kellymi w Memphis, John Dillinger siedział w swojej celi w Dayton w stanie Ohio. Przez cztery dni szeryfowie i funkcjonariusze z biur szeryfów z całej wschodniej Indiany i zachodniego Ohio paradowali przez areszt, okazując Dillingera kilkunastu osobom, które były świadkami napadów na bank tamtego lata. Został zidentyfikowany jako uczestnik napadów w New Carlisle i Bluffton w Ohio oraz w Indianapolis i Dalesville w Indianie. Detektyw z Indiany Matt Leach przybył pierwszy, zaledwie w parę godzin po aresztowaniu Dillingera w piątek rano. Przesłuchał Dillingera w jego celi, pytając go o kilka różnych napadów na banki. W odpowiedzi uzyskał jedynie uśmiech.

- O czym pan mówi? - spytał Dillinger.

Jednak w tamten wtorek w areszcie mówiono tylko o jednym, i to wcale nie o napadach na banki. Wiadomość zamieściły wszystkie gazety. Poprzedniej nocy dziesięciu skazanych, w tym wszyscy dawni kompani Dillingera, uciekli z więzienia stanowego w Michigan City w stanie Indiana. Matt Leach był przekonany, że przyjdą po Dillingera.

6

ULICE CHICAGO

12 października - 20 listopada 1933

Pośród wszystkich współczesnych przestępców, których działalność została z taką mocą ujawniona publicznie, prawdopodobnie nie ma drugiego, który by swą kryminalną karierą tak dobitnie pokazał nieadekwatność naszych systemów, jak John Dillinger.

Melvin Purvis

LimawOhio 12 października, czwartek

John Dillinger siedział przy stole w celi aresztu tymczasowego i grał w bezika z trzema innymi więźniami. Uzbrojeni policjanci przewieźli go do Limy, miasta na skrzyżowaniu szlaków w północno - zachodnim Ohio, ponieważ miał tam stanąć przed sądem za mało znaczący napad popełniony w pobliskim Bluffton w sierpniu tego roku. Więzienie nie było zbyt imponujące, mieściło się w kamiennym skrzydle dobudowanym na tyłach siedziby szeryfa Jessa Sarbera przy głównym placu miasta; po drugiej stronie bocznej uliczki wznosił się gmach sądu powiatu Allen. Szeryf Sarber był korpulentnym, łagodnym człowiekiem; wcześniej sprzedawał używane samochody, przedstawicielem prawa został, kiedy Wielki Kryzys zmusił go do wycofania się z interesu. Jego żona, dobra kucharka, serwowała aresztantom posiłki złożone z wieprzowych kotletów, żeberek i tłuczonych ziemniaków.

Dillinger nie przypuszczał, że tak się to skończy. Nie rabował banków na tyle długo, by popaść w fatalizm jak Pretty Boy Floyd. Przeciwnie, niemal stale był w dobrym nastroju. Właśnie to ludzie zapamiętali po latach: uprzejmość, przymrużenie oka, męską radość życia. Przygnębiony bywał zwykle tylko wtedy, gdy myślał o swojej rodzinie. Miał 30 lat, ale nadal cenił sobie przychylność ojca i siostry. Skoro już miał być człowiekiem wyjętym spod prawa, to chciał być typem wyrzutka, którego ludzie podziwiają. Chciał wspomagać rodzinę w ciężkich czasach. Przede wszystkim jednak, jako że ojciec nigdy nie poświęcał mu wiele uwagi, pragnął szacunku.

W przeciwieństwie do Baby Face Nelsona i innych przestępców epoki Wielkiego Kryzysu nie wyrósł w biedzie i zaniedbaniu. Urodził się w porządnej dzielnicy Indianapolis 22 czerwca 1903 roku. Jego matka Mollie zmarła, kiedy miał cztery lata. Rodzina była dość zamożna. John Dillinger senior miał własny sklep, zaopatrywał w produkty spożywcze całe sąsiedztwo i odłożył ryle pieniędzy, że zainwestował w nieruchomości, kupując cztery domy. Bez wątplenia pracował całymi dniami i nie bardzo interesował się synem. Pod nieobecność ojca Dillinger, podobnie jak Clyde Barrow, był wychowywany przez starszą siostrę. Audrey Dillinger, rudowłosa dziewczyna o trzynaście lat starsza od Johna, założyła rodzinę w 1906 roku, ale wraz z mężem przez kilka lat mieszkała u ojca, dopóki starszy Dillinger powtórnie

się nie ożenił w 1912.

Tak samo jak Machine Gun Kelly, Dillinger nie lubił macochy, a jego niechęć jeszcze się pogłębiła, kiedy ojciec zaczął płodzić dzieci z nową żoną. Trudne emocje znajdowały upust w młodzieńczym buncie, choć po latach koledzy i nauczyciele nie przypominali sobie niczego naprawdę niepokojącego. W szkole publicznej numer 38 uchodził za żywe, wesołe dziecko, ale fatalnego ucznia. Marne oceny doprowadzały do coraz bardziej zaciętych kłótni z ojcem.

W szóstej klasie Dillinger był przywódcą grupy rozwydrzonych chłopaków, którzy sami siebie nazywali Gangiem Parszywej Dwunastki. Niezmiernie ich bawiło podkradanie arbuzów z cudzego pola czy kradzież wiader z węglem, które potem odsprzedawali sąsiadom. W pewnym momencie Dillinger został aresztowany za kradzież węgla, ale skończyło się na reprimendzie udzielonej przez sędziego. Ojciec był mniej wyrozumiały. Według Johna Tolanda, który na początku lat sześćdziesiątych przeprowadził wywiady z kilkoma kolegami Dillingera z wczesnej młodości, Dillinger senior na pewien czas przykuł syna łańcuchem do swego sklepowego wozu, próbując go w ten sposób okiełznać. Metoda silnej ręki tylko wzmogła bunt syna. Jeden z jego dawnych kolegów powiedział Tolandowi, że jako nastolatek Dillinger popełnił serię drobnych przestępstw, m.in. kradł whisky i straszył pewnego chłopca piłą tarczową. Żadne jednak nie doprowadziło do kłopotów z prawem¹.

W wieku 16 lat Dillinger porzucił szkołę i imał się różnych zajęć w Indianapolis. Rok później, w marcu 1920, jego rodzina przeprowadziła się na farmę pod Mooresville, dwadzieścia pięć kilometrów na południowy zachód od miasta. Wkrótce przenieśli się jeszcze raz, na większe, dwudziestohektarowe gospodarstwo przy drodze 267, na północ od miasta. Mooresville było małą senną miejscowością i Dillinger śmiertelnie się tam nudził. Unikając pracy na farmie, całe dni polował na wiewiórki lub obstawiał drugą bazę w miejscowej drużynie baseballowej, natomiast wieczorami grywał w bilard w lokalu o nazwie Idle Hour lub innym podobnym przybytku w Martinsville, dwadzieścia pięć kilometrów na południe. Podobnie jak Pretty Boy Floyd poznawał tam starszych od siebie mężczyzn i zaprzyjaźniał się z nimi, a ponieważ mu imponowali jako „twardziele”, starał się ich naśladować.

I tak przez kilka lat grał w kości i bilard, polował, żyjąc z ciężkiej pracy ojca albo swoich dorywczych zajęć. W 1923 roku skończył 20 lat i nie miał najmniejszego pojęcia, co zrobić ze swoim życiem. Jak Floyd zastanawiał się nad wstąpieniem do wojska, tyle że Dillinger rzeczywiście się zaciągnął do marynarki. Po zakończeniu podstawowego szkolenia 4 października 1923 roku, otrzymał funkcję strażaka trzeciej kategorii na USS „Utah”, okręcie bojowym zakotwiczonym w bostońskim porcie. Jak Clyde Barrow, Dillinger w

Massachusetts tęsknił za domem. Trzy tygodnie po zamustrowaniu na „Utah” oddalił się bez pozwolenia. Sąd wojskowy skazał go na dziesięć dni izolacji i obcięcie żołądka. Po odbyciu kary Dillinger powtórzył wybryk, a po drugiej rozprawie przed sądem wojskowym uciekł z okrętu na dobre. Umieszczono go na liście dezertorów. Po raz pierwszy wyznaczono cenę za jego głowę: 50 dolarów.

Wiosną pojawił się z powrotem w Mooresville, mówiąc rodzinie, że dostał lekarskie zwolnienie ze służby ze względu na katar sienny. Ożenił się z szesnastolatką Beryl Hovious. Przez jakiś czas mieszkali na jej rodzinnej farmie, potem wynajęli mieszkanie w Martinsville, jednakże domowe życie w żaden sposób nie pomogło się Dillingerowi usatkwować. Nie miał pracy, nie miał celu w życiu, nie miał przyszłości. Wrócił do dawnych zwyczajów i całe dni przesiadywał w salach bilardowych.

Sobotni wieczór 6 września 1924 roku na zawsze zmienił jego życie. Dillinger wyszedł się napić z jednym z kolegów od bilardu, trzydziestoletnim byłym więźniem Edem Singletonem. Pod wpływem głupoty i alkoholu postanowili napaść starszego sklepikarza z Mooresville Franka Morgana, przyjaciela rodziny Dillingerów. Kiedy Morgan tego wieczoru wracał z utargiem do domu, Dillinger wyszedł z zaułka przy kościele i uderzył go w głowę wielką śrubą owiniętą w chustkę. Morgan upadł i zaczął wołać o pomoc. Wtedy Dillinger wyciągnął pistolet. Pistolet wypalił. Dillinger zaczął uciekać. Singleton, czekający nieopodal w samochodzie, odjechał, nie czekając na współnika.

W poniedziałek funkcjonariusz z biura szeryfa przyjechał na farmę Dillingerów i dokonał aresztowania. Prokurator zasugerował, że sędzia mógłby okazać pobłażliwość, gdyby Dillinger przyznał się do winy i przeprosił. Dillinger zgodził się i nawet nie zadbał o wynajęcie obrońcy. Był to fatalny błąd. Sędzia Joseph W. Williams postanowił wykorzystać Dillingera jako przykład i wydał zdumiewający wyrok dziesięciu do dwudziestu lat w stanowym zakładzie karnym. Dillingerowie byli załamani, tym bardziej że Ed Singleton wynajął adwokata, załatwił sobie innego sędziego i mimo obciążających go zeznań Dillingera, otrzymał wyrok dwóch do czternastu lat, z czego ostatecznie odsiedział dwa.

- Kiedy się dowiedzieliśmy o tym wyroku - wspomina Audrey - mój tata omal się nie przewrócił. Bałam się, że dostanie zawału. A kiedy John dostał ten wyrok, było jeszcze gorzej².

Pod koniec 1924 Dillinger przybył do więzienia Pendleton w Indianie jako pełen goryczy młody człowiek. Podczas pierwszych tygodni dwukrotnie próbował uciec. Raz złapano go, kiedy ukrywał się w stercie śmieci. Za drugim razem, gdy wieziono go do Mooresville, żeby zeznawał przeciwko Singletonowi, rzucił się w boczną uliczkę, ale

schwymano go po kilku minutach.

Przestępczą karierę Dillingera zdeterminowała seria bliskich przyjaźni. Dwie osoby, które miały na niego największy wpływ, poznał w Pendleton. Pierwszą był Harry „Pete” Pierpont, uderzająco przystojny twardziel z przenikliwymi szarymi oczyma, odsiadujący dziesięć do dwudziestu jeden lat za napad na bank w Kokomo w Indianie*[* Pierpont był typem więźnia, który jest w stanie wojny z całym światem. Jego problemy zaczęły się, gdy miał 19 lat i próbował ukraść samochód; cztery razy strzelił do właściciela z pistoletu, niecelnie. Dostał wyrok i poszedł do więzienia, ale jego matka powiedziała naczelnikowi, że syn jest psychicznie nie zrównoważony, od czasu gdy jako chłopiec został uderzony w głowę kijem baseballowym.

Drugą - Homer Van Meter, wysoki, tyczkowaty zbieg z Fort Wayne w Indianie, z którym Dillinger się najdłużej przyjaźnił. Van Meter, samotnik i trochę dziwak, miał trudniejsze dzieciństwo niż Dillinger; już w szóstej klasie uciekł do Chicago. Pracował jako goniec hotelowy, dopóki w wieku 17 lat nie został skazany za kradzież samochodu. Zwolniony warunkowo rok później, zachował wolność przez dwa miesiące. Aresztowano go wraz z kolegą za okradanie pasażerów w pociągu do Toledo. „Ten człowiek należy do najbardziej niebezpiecznego typu przestępców - napisał któryś z urzędników w Pendleton. - Ma wypaczone poczucie moralności i nie zamierza robić nic innego poza napadaniem na uczciwych ludzi... Jest urodzonym mordercą, więc jeśli społeczeństwo ma być skutecznie chronione, tacy jak on muszą pozostawać w zamknięciu przez całe życie”.]

Przyjaźń z Pierpontem i Van Meterem utwardziła Dillingera. Kiedy tych dwóch przeniesiono do więzienia stanowego w Michigan City, Dillinger także poprosił o przeniesienie. 15 lipca 1929 spełniono tę prośbę. Miał 26 lat. To przeniesienie wprowadziło go w nowy, szeroki świat przestępczości. Osadzeni w Pendleton byli dzieciakami - siedzieli za napady i włamania. Więźniowie w Michigan City byli starsi, a ich przestępstwa znacznie poważniejsze. Nie brakowało tam gangsterów rabujących banki z Teksasu i Oklahomy, gładkich w obejściu mafijnych zabójców i siwowłosych naciągaczy.

Wprawdzie Dillinger nie był wzorowym więźniem, ale pierwsze trzy lata odsiadki udało mu się przeżyć bez większych kłopotów. Otrzymywał różne kary, w tym za kradzież arbuza, za ukrywanie w celi brzytwy i za to, że przyłapano go w łóżku z innym więźniem (podobnie jak Alvin Karpis, mógł się dopuszczać praktyk homoseksualnych za kratami). W Michigan City dojrzał. Na ogół był pokojowo nastawiony i nie dążył do konfrontacji. Łatwo się zaprzyjaźniał.

Jego przyjaciel Pete Pierpont bezustannie próbował uciekać, chowając się w kubłach

na śmieci lub wybierając podobne metody. Mniej więcej w połowie 1932 roku zaczął mówić o innym sposobie wydostania się z krat: o masowej ucieczce z użyciem broni. Więźniem, który zaszczerpił mu ten pomysł, był najprawdopodobniej Charles Makley, czterdziestotrzyletni bootleger, który potem „przerzucił się” na banki, odsiadujący piętnastoletni wyrok po aresztowaniu w Hammond w 1928. Przysadzisty, korpulentny Makley, ze szczęką jak kowadło i błyszczącymi oczyma, radził zachować cierpliwość i wszystko dokładnie zaplanować.

* Przeniesiono go do szpitala psychiatrycznego, a następnie zwolniono warunkowo. Potem trafił do Pendleton za napad w Kokomo. Zadzierał ze strażnikami i podejmował niezliczone próby ucieczki, co zapewniło mu szacunek innych skazanych. Naczelnik napisał do adwokata jego matki, że Pierpont „jest mustangiem i musi zostać okiełznany”.

Kiedy Pierpont z Makleyem rozważali szanse powodzenia takiej ucieczki na wielką skalę, dołączyło do nich dwóch innych osadzonych za napady na banki: Russel Clark, przystojny, gadatliwy kasiarz z Detroit, odsiadujący dwadzieścia lat za napad w 1927, oraz John „Red” Hamilton, roztargniony trzydziestoczwololatek z północnego Michigan, z dwudziestopięcioletnim wyrokiem. Hamilton, który jako dziecko stracił dwa palce u prawej ręki w wypadku na sankach, miał długo pozostać u boku Dillingera. Przez kilka miesięcy tych czterech zastanawiało się, jak najlepiej zorganizować ucieczkę. W końcu ich plany miały już tylko jeden słaby punkt: broń. Bez niej nie mogli zbiec, a wcale nie było łatwo przemycić ją do więzienia. Zdali sobie sprawę, że potrzebują pomocy kogoś z zewnątrz.

Prawdopodobnie pod koniec 1932 pomyśleli o Dillingerze. Doskonale nadawał się do tej roli. Przez wszystkie lata spędzone za kratami Dillinger zasypywał komisję od zwolnień warunkowych listami i wyglądało na to, że wreszcie zostanie wypuszczony. Pierpont złożył mu propozycję. Trzydzieści lat później urzędnicy więzienni twierdzili, że Pierpont opowiadał Dillingerowi o bogactwach, jakie zdobywają gangsterzy napadający na banki, mówił, że noszą jedwabne garnitury, mieszkają w najelegantszych hotelach i sypiają z najdroższymi dziewczynkami. Obiecał Dillingerowi, że jeśli pomoże w ucieczce, będzie mógł zostać członkiem ich gangu, na przykład jako kierowca. Zapewne nie musiał go długo namawiać. Ostatecznie Dillinger czytał gazety, które codziennie pisały o jakimś banku na Środkowym Zachodzie ogłoszonym przez gang kasiarzy; sam gang Barkera i Karpisa obrobił siedem różnych banków. Wszyscy mówili, że to łatwo zdobyty pieniądz.

Dillinger się zgodził, choć nie wiadomo, czy kierowała nim lojalność, ambicja, czy po prostu nie miał innego celu w życiu. Podobno Pierpont dał mu wówczas dwie listy. Jedną stanowił spis banków, które według Pierponta i Makleya nadawały się do obrabowania; mogli

go nawet podszkolić w tym rzemiośle - nauczyć, jaką porę dnia wybrać, jak postępować z ewentualnymi klientami obecnymi w banku podczas napadu, jak otworzyć sejf. Na drugiej liście znajdowały się nazwiska potencjalnych współników, którym mógł zaufać. Pierpont z Makleyem wymyślili, że jeśli Dillinger obrabuje bank, zdobędzie dość pieniędzy na kupno broni i przeszmugłowanie jej za kraty. Choć ta historia wydaje się prawdopodobna, w dokumentach więziennych ani w aktach FBI nie ma nic, co by ją potwierdzało.

Pod koniec kwietnia rodzina Dillingera wraz z sędzią, który go skazał, i sklepikarzem, którego napadł przed dziewięciu laty, złożyli petycję o zwolnienie warunkowe. Motywowali je tym, że Dillinger jest potrzebny na rodzinnej farmie. Dwóch z trzech członków komisji wyraziło zgodę, trzeci się wstrzymał. 10 maja gubernator Paul McNutt wydał zgodę na warunkowe zwolnienie. Dillinger był wolnym człowiekiem.

Znalazłszy się poza murami więzienia, jak wiemy, niezwłocznie próbował spełnić obietnicę daną Pierpontowi. Odczekał trzy miesiące, po czym podjął próbę przemycenia broni do Michigan City, najwyraźniej przystępując do działania zaraz po tym, jak Pierpontowi odmówiono zwolnienia warunkowego. Ucieczka, dzięki dostarczonej przez Dillingera broni, przebiegła bez komplikacji. A teraz, o ironio, Dillinger znowu został aresztowany, podczas gdy jego koledzy byli wolni. Wiedział, że jeśli nie zdarzy się cud, pozostanie za kratami przez następne dwadzieścia lat.

W tamten czwartek, 12 października, miał przed sobą kolejną noc w areszcie w Limie. Po kolacji złożonej z kotletów wieprzowych i tłuczonych ziemniaków dołączył do grających w bezika. Na końcu korytarza szeryf Sarber przy swoim biurku rozłożył przed sobą gazetę „Lima News”; na pierwszej stronie pisano o postępach w procesie Machinę Gun Kelly’ego w Oklahomie. Żona szeryfa Sarbera, Lucy, siedziała naprzeciwko męża i rozwiązywała krzyżówkę. Około szóstej przyszedł ich zastępca Wilbur Sharp; zdjął pas z bronią, rzucił na wolne biurko i ciężko usiadł na rozkładanej leżance. Pies Sarbera Brownie podszedł go obwąchać. Sharp podrapał go za uchem.

O 18.25 drzwi się otwały i do środka weszło trzech mężczyzn w garniturach. Pani Sarber, pochłonięta krzyżówką, nawet na nich nie spojrzała.

- Czego chcecie? - spytał szeryf Sarber pierwszego z mężczyzn, ubranego w ciemnoszary garnitur, płaszcz i jasny filcowy kapelusz.

- Jesteśmy z Michigan City - brzmiała odpowiedź. - Chcemy się widzieć z Johnem Dillingerem.

- Proszę o dokumenty - powiedział szeryf Sarber. - To są nasze dokumenty. - Mężczyzna w jasnym kapeluszu wyciągnął pistolet i strzelił mu w pierś.

Masowa ucieczka z zakładu karnego w Michigan City nocą 26 września znalazła się na czołówkach gazet w całym kraju. Padał rześisty deszcz, kiedy Pierpont, Makley i ośmiu innych osadzonych, używając trzech pistoletów kalibru.45 przesmuglowanych przez Dillingera, wzięli grupę strażników w charakterze zakładników i przeszli przez budynek więziennej administracji; strażnicy rozstawieni na murze, widząc więźniów najwyraźniej eskortowanych przez umundurowane służby, nie nabrali żadnych podejrzeń. Cztery z grupy uciekinierów wzięli przybyłego akurat do więzienia szeryfa jako zakładnika i użyli jego samochodu. Kiedy odjechali, Pierpont z pozostałymi pięcioma pobiegli na stację Standard Oil znajdującą się po drugiej stronie ulicy i zarekwirowali drugie auto.

Tamtej nocy, omijając blokady rozstawione na drogach w całym stanie, grupa Pierponta, do której należeli Charles Makley, Russell Clark, John Hamilton, oszust Ed Shouse i Jim Jenkins, zajmujący kiedyś wspólną celę z Dillingerem, bezpiecznie dotarła do Indianapolis, do mieszkania dawnej sympatii Pierponta, niejakiej Mary Kinder. Mieli dużo szczęścia; trzech z tamtej czwórki zbiegów zabito lub złapano w ciągu kilku dni. Następnego wieczoru jedna z koleżanek Kinder pobiegła kupić uciekinierom ubrania. Do mieszkania przyszedł wspólnik Dillingera Harry Copeland z wiadomością, że załatwił kryjówkę w wynajętym domu w Hamilton w Ohio, na północ od Cincinnati.

Od momentu, gdy Mary Kinder powiedziała im, że Dillinger został aresztowany, nie było żadnych wątpliwości, że banda Pierponta będzie próbowała go uwolnić. Podczas przygotowań do tej akcji nastąpił wszakże pewien incydent. Po kradzieży samochodu, którym jechali do Hamilton, byli widziani przez policję z Indianapolis; w nerwach i pośpiechu Jim Jenkins wypadł przez otwarte drzwi auta. Kiedy uciekał na piechotę, został zauważony, postrzelony i zabity przez grupę straży obywatelskiej w miejscowości Bean Blossom. Pozostała piątka dotarła do Hamilton.

Już tam zaczęli snuć plany uwolnienia Dillingera. Potrzebowali pieniędzy na jedzenie, papierosy i benzynę, więc postanowili obrabować bank. We wtorek 3 października, wieczorem, tydzień po ucieczce, gang wdarł się do First National Bank w rodzinnym mieście Makleya - St. Mary's w Ohio, na południe od Limy, gdzie przetrzymywano Dillingera. Napad przebiegł gładko, bez strzelaniny. Jeszcze tego samego wieczoru wrócili do Hamilton bogatsi o 11 000 dolarów. Pieniądze były zbyt nowe, żeby je wydawać, więc Mary Kinder przez kilka dni podgrzewała banknoty w piekarniku i prasowała je, żeby wyglądały na zużyte³.

Zaczęli badać sytuację w Limie. Mimo iż Mart Leach miał przecucie, że mogą podjąć próbę odbicia więźnia, Pierpont nie zauważył żadnych dodatkowych straży wokół aresztu. Postanowili przystąpić do akcji następnego dnia, w czwartek 12 października, w Dzień

Kolumba.

Szeryf Sarber był śmiertelnie ranny. Krew chlustała z poszarpanej dziury w jego piersi, kiedy próbował się pozbierać z ziemi. Pierpont stał nad nim, wrzeszcząc:

- Dawaj klucze do cel.'

Sarber nie reagował, więc Makley pochylił się i uderzył go w głowę kolbą. Pistolet przypadkowo wypalił, co wszystkich zaskoczyło. Pierpont wycelował w Sarbera własną broń.

- Dawaj klucze - powtórzył.

- Nie róbcie mu więcej krzywdy! - błagała pani Sarber, kucając przy boku męża. Wyjęła klucze z szuflady i dała je Pierpontowi, który podszedł do kraty oddzielającej pomieszczenie z celami. Kiedy jeden z więźniów wyrżał zza rogu, Pierpont uniósł pistolet i oddał strzał na postrach.

- Cofnąć się, sukinsyny! - zawołał. - Chcemy tylko Johna! Dillinger wpadł do swojej celi, złapał płaszcz i kapelusz, po czym wybiegł przez drzwi z metalowej kraty. Szeryf Sarber leżał w kałuży krwi. Dillinger spojrzał na umierającego szeryfa i nie mówiąc ani słowa, wyszedł na zewnątrz.

- Ludzie, czemu musieliście mi to zrobić! - jęknął szeryf. Odwrócił się do żony, pochylonej nad nim z troską. - Matko, chyba będę musiał cię opuścić.

Półtorej godziny później zmarł w miejscowym szpitalu. Przez cały wieczór wycie syren odbijało się echem po ulicach Limy. Policjanci i ludzie ze straży obywatelskiej wylegli z domów, żeby obstawiać drogi. Dillinger tymczasem jechał z gangiem na południe, by nocą dotrzeć do wynajętego domu w Hamilton. Nadszedł dla niego czas na dokonanie wyboru. Mógł rozstać się z gangiem i uciekać dalej na własną rękę. Postanowił jednak zostać z przyjaciółmi i przystąpić do rabowania banków na pełny etat.

Żeby rabować banki, potrzebowali broni, i to nie zwykłych pistoletów, ale maszynowych thompsonów i kuloodpornych kamizelek. W tamten sobotni wieczór w Auburn, mieście położonym tuż za granicą Indiany, policjant Fred Krueger właśnie zasiadł przy biurku za barierką w komisariacie, żeby zjeść torebkę popcornu, kiedy weszło dwóch mężczyzn w garniturach. Obaj mieli w rękach pistolety.

- Możesz nie wstawać - odezwał się jeden. - Nie chcemy nikogo zabijać, chyba że będziemy musieli. Masz jakąś broń?

- Tak - odpowiedział Krueger, sięgając po swój pistolet.

- O nie - powiedział uprzejmie mężczyzna. - Sam go wezmę⁴.

Krueger i drugi policjant obecny w komisariacie zostali rozbrojeni i zamknięci w celi. Zabrawszy klucz do szafki z bronią, intruzi przeładowali cały arsenał do czekającego na nich

samochodu: pistolet maszynowy Thompson, pistolet Smith & Wesson kalibru.38, strzelbę Winchester kalibru.401, szesnastozrzałową strzelbę Winchester 44-40, pistolet kolt kalibru.45, lugera, kilkaset sztuk amunicji i trzy kuloodporne kamizelki.

Z Auburn gangsterzy skierowali się do Chicago, przekonani, że w wielkim mieście łatwo uda im się zniknąć[* Niezidentyfikowany więzień z Michigan City powiedział później FBI, że początkowo gang ukrywał się w Steuben Club, melinie prowadzonej przez mafię. Według tego źródła Dillingera powitał tam osobiście Frank Nitti, który pozwolił gangowi korzystać z pomieszczenia z bronią zwanego „Arsenałem”. Wydaje się to mało prawdopodobne, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że kilka dni później gang dokonał napadu w celu zdobycia broni w Peru w Indianie.]. Następne parę dni zeszło im na wynajmowaniu kwater. 20 października, cztery dni po napadzie w Auburn, gang znów wyruszył w trasę, żeby zdobyć więcej broni i amunicji. W piątek wieczorem trzech mężczyźni weszli do ratusza w Peru w Indianie, o godzinę drogi na północ od Indianapolis, i wymierzyli z pistoletów w funkcjonariuszy siedzących przy biurkach.

- Od tygodnia do nikogo nie strzelałem - odezwał się jeden, później zidentyfikowany jako Pierpont. - Ale równie dobrze mogę puknąć któregoś z was, gliniarze⁵.

Pierpont trzymał policjantów na muszce, a jego dwaj kompani - jednym z nich był Dillinger - włamali się do szafki z bronią, wyładowali jej zawartość na koc, a potem przenieśli do swojego auta. W ten wieczór udało im się zdobyć sześć kuloodpornych kamizelek, dwie strzelby z obciętymi lufami, dwie strzelby Winchester, sześć pistoletów kalibru.38. Wychodząc, zabrali policjantom ich osobistą broń i odznaki.

Dopiero wtedy Pierpont i Dillinger poczuli się na tyle mocni, by obrabować bank. Wybrali Central National Bank w Greencastle, w stanie Indiana, gdzie znajdował się Uniwersytet DePauw, na zachód od Indianapolis. W tamtą sobotę odbywał się tradycyjny doroczny zjazd absolwentów i Makley uważał, że banki będą przepelnione gotówką. W poniedziałek o 14.25 czarny studebaker przejechał wolno Jackson Street w centrum Greencastle i zaparkował przed bankiem. Wysiadło pięciu mężczyzn: Dillinger, Pierpont, Makley, John Hamilton i albo Harry Copeland, albo Russell Clark. Wszyscy mieli na sobie płaszcze, a pod nimi broń. Po wejściu do banku Pierpont zbliżył się do okienka i poprosił o rozmienienie banknotu dwudziestodolarowego. Kasjer odesłał go do innego okienka. Pierpont wyciągnął thompsona.

Dillinger z pistoletem w dłoni przeskoczył barierkę i mierząc do kasjerów, zapędził ich do skarbcza. Później pracownicy i klienci banku mówili, że dziwny był spokój i opanowanie rabusiów. Gangsterzy wygarnęli pieniądze z szuflad i blatów do muślinowych

worków tak cicho, że nikt w biurze szeryfa po drugiej stronie ulicy nie zorientował się, że właśnie trwa napad.

Zarzucili worki na plecy niczym banda złych Mikołajów i wyszli do studebakera. Oddalili się natychmiast. Z Greencastle pojechali do Chicago, gdzie przeliczyli pieniądze; zdobyli prawie 75 000 dolarów, czyli mniej więcej po 15 000 na głowę. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że mieli pracowite ostatnie dwa tygodnie, więc przyszedł czas, żeby się trochę zabawić⁶.

Gang Dillingera wrócił do Chicago tuż po tym, jak gang Barkera stamtąd wyjechał, uciekając przed policyjną siecią zarzuconą po nieudanym napadzie na Rezerwę Federalną. Wynosząc się pojedynczo lub parami, przemierzali Wielką Równinę Prerii, zdążając do Reno. Karpis z Delores Delaney przybyli tam pierwsi 27 września, po postojach na nocleg w Council Bluffs w Iowa i Rawlings w Wyoming. W Reno

Karpis zaparkował samochód przed Bank Club, dał Delaney 20 dolarów, żeby zagrała na jednorękim bandycie, a sam wszedł tylnym wejściem, by się spotkać z szefem przestępczego podziemia w mieście, Billem Grahamem. Po serdecznym powitaniu z poklepywaniem się nawzajem po plecach wspólnik Grahama Jim McKay wziął Karpisa na bok.

- Pamiętasz tego dzieciaka, którego tu mieliśmy, tego Jimmy'ego? - spytał. Miał na myśli Baby Face Nelsona.

- Jasne - odparł Karpis. Opowiedział, jak wprowadził Nelsona w kryminalne środowisko St. Paul i Chicago.

- Ten gnojek jest niebezpieczny - powiedział McKay. - Jeszcze narobi prawdziwych kłopotów. Mam nadzieję, że nie ma go z wami, co? Nie ma chyba zamiaru tu wrócić?

- To tylko zwariowany dzieciak - powiedział Karpis z uśmiechem.

-1 w tym problem - rzekł na to McKay. - On naciska spust, zanim pomyśli. Byłem z nim kiedyś w Kalifornii nad jeziorem Tahoe i zatrzymał nas patrol stanowy, żeby sprawdzić światła w aucie, a on o mało policjantów nie zabił. Jeszcze chwila i naprawdę by strzelał.

Reszta zjawiała się stopniowo w ciągu następnych dni; Dock Barker przyjechał z najmłodszym członkiem gangu, kolegą z dzieciństwa, Hardym Campbellem. Ma została w Chicago. Przyjęła tę decyzję z ponurą rezygnacją, ledwie podnosząc wzrok znad puzzla, kiedy Karpis przyszedł się pożegnać. W Reno dni płynęły powoli, przeciągały się w tygodnie. Karpis z Delaney spędzali weekendy na ranczu dla turystów, polując na zające, spacerując i wczesnie chodząc spać. Pozostali przesiadywali w kasynach i chodzili do kina.

Pewnego razu Karpis zawiózł Delaney do San Francisco. Podwieźli Docka Barkera,

któremu w zraniony palec wdała się infekcja, do szpitala w Vallejo w Kalifornii, prowadzonego przez człowieka z podziemia Tobe'a Williamsa, dawnego kasiarza; jego lekarze obsługiwali medycznie gangsterów z całego kraju. W San Francisco Karpis odwiedził grupę bootlegerów, o której wspomniał Bill Graham. Okazało się, że są to ludzie z dawnego gangu Baby Face Nelsona. Poznał barmana, który twierdził, że ma znajomości w Hollywood, i potem Delaney o niczym innym nie mówiła.

- Jak sądzisz, gdybyśmy go zabrali do Hollywood, to może by nas przedstawił jakimś gwiazdom filmowym? - spytała.

Nie przestawała marudzić także po powrocie do Reno i w końcu Karpis zgodził się ją zawieźć do Los Angeles. Obiecali wrócić za tydzień i pojechali na południe do sennego pustynnego Las Vegas, gdzie spotkali się z dwójką znajomych Harry'ego Sawyera prowadzących małe kasyno na odludziu. Karpis uważał, że Las Vegas jest końcem świata. Po kilku dniach wyruszyli na zachód do Los Angeles, znaleźli hotel w centrum, po czym udali się do Beverly Hills w nadziei, że zobaczą jakąś gwiazdę. Karpis jeździł wolno tam i z powrotem obsadzonymi palmami alejami, wypatrując rozpoznawalnych twarzy. Bez skutku. Delaney była niepokojona.

- Jak, u diabła, można poznać tych ludzi, skoro wszyscy chodzą w ciemnych okularach? - narzekała. - Wiadomo, że ktoś jest gwiazdą, tylko gdy ludzie się wokół niego gromadzą i proszą o autografy.

Wybrali się na wzgórze Hollywood, próbując odnaleźć dom Clarka Gable'a. Parę razy Karpis się zgubił i po pewnym czasie zauważył, że jedzie za nimi patrol policyjny.

- Wynośmy się stąd w cholerę - mruknął. - Bo inaczej nas zatrzymają.

Trochę przestraszony wymeldował się z hotelu i od razu wrócili do Reno, wybierając najprostszą trasę przez Dolinę Śmierci. Dołączywszy do gangu, zaczęli robić to co reszta, czyli włóczyć się po kasynach, grać w keno, rozprawiać o wakacjach na Hawajach, na które nigdy nie pojechali, i zastanawiać się, czy obrabować bank pod San Francisco. Jedyne ożywienie nastąpił wówczas, gdy nowemu członkowi gangu, Harry'emu Campbellowi, chowany do kieszeni pistolet wypalił, o mało nie odstrzel i wuj ąc mu jąder. Wszyscy zgodnie uznali, że czas wracać do Chicago⁷.

Na Środkowym Zachodzie liście zaczęły opadać z drzew, a tajemnica masakry w Kansas City nadal pozostawała niewyjaśniona. 13 września prokuratorzy z Missouri postawili w tej sprawie zarzuty kilkunastu osobom, ale był to gest wykonany bez przekonania, kompromis pomiędzy federalnymi prawnikami, domagającymi się oskarżeń o morderstwo, a miejscowymi prokuratorami, którzy mieli tak słabe dowody, że nie bardzo nadawały się na

wytoczenie sprawy. Znani władzom konspiratorzy, Deafy Farmer i jego kompani, mieli stanąć przed sądem razem z kilkoma osobami, które mogły brać udział w zamachu - Pretty Boy Floydem, Harveyem Baileyem i gangiem Bailey'a - ale jedynie za utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. Biuro trzymało się teorii, że masakry dopuścił się Verne Miller wspólnie z Baileyem i uciekinierami z Kansas. Bailey, oczywiście, gorąco zaprzeczał jakimkolwiek swoim związkom z masakrą, zresztą miał alibi - został wysłany do Leavenworth po skazaniu za porwanie Urschela.

Ludzie Hoovera nie mogli tego alibi podważyć. Przez trzy miesiące nie odkryli żadnych dowodów, które by świadczyły, że Bailey lub jego ludzie byli na Union Station. Ich najlepszy świadek, Samuel Link, który rzekomo widział tam Bailey'a, stracił wiarygodność po tym, jak jego znajomy powiedział agentom: „Link czasami mówi bardzo dziwne rzeczy, twierdzi, że był z Teddym Rooseveltem w Ameryce Południowej i że osobiście poznał wszystkie koronowane głowy Europy⁸”. Co gorsze, kule z pistoletu Bailey'a różniły się od znalezionych na miejscu zdarzenia. Prawie za każdym razem, gdy na Środkowym Zachodzie rabowano jakiś bank, kule były przesyłane do laboratorium w Kansas City. Sprawdzono amunicję wystrzeloną przez Bonnie i Clyde'a w Platte City i przez Baby Face Nelsona w Grand Haven, ale nie znaleziono identycznej.

Ponieważ materiał do wystąpienia przeciwko gangowi Bailey'a był, ogólnie mówiąc, słaby, agenci skupili się na znalezieniu pozostałych konspiratorów. Dick Galatas, hazardzista z Hot Springs, wyparował. Członkowie gangu Bailey'a rabowali banki w całej Oklahomie; jeden z nich, Big Bob Brady, został postrzelony i schwytany w Nowym Meksyku na początku października, ale Reed Vetterli, ocalały z masakry, wrócił z jego sali szpitalnej przygnębiony, ponieważ nie był w stanie go rozpoznać. Najważniejsze, że nadal nie było tropów prowadzących do Verne'a Millera i jego dziewczyny, Vi Mathias. W St. Paul, Chicago i Kansas City agenci wracali do akt, żeby sprawdzić ewentualne tropy pominięte latem.

Trzy tygodnie później nastąpił przełom w Chicago. Tamtejsi agenci przypomnieli sobie informację sprzed miesiąca, że pewna kelnerka z nocnego klubu, niejaka Bobbie Moore, jest najlepszą przyjaciółką Vi Mathias. Wtedy Melvin Purvis zarządził obserwowanie Moore, ale odwołał je, kiedy agenci zaczęli się uganiać za Mathias po całym Wschodnim Wybrzeżu. Nie wiedzieć czemu musiały upłynąć długie tygodnie, nim ktoś zaproponował, by ponownie przyjrzeć się Bobbie Moore. Ostatni znany FBI adres kelnerki prowadził do Sherone Apartments na Sheridan Road. Zarządca budynku, wezwany do siedziby FBI w piątek 26 października, rozpoznał na zdjęciach nie tylko Moore, ale też Vi Mathias. Dziewczyna Verne'a Millera, albo kobieta uderzająco do niej podobna, wprowadziła się tam pod koniec

sierpnia.

U schyłku 1933 roku FBI nadal było jedynie załączkiem organizacji profesjonalnie zwalczającej przestępczość, jaką miała się stać w przyszłości. Schwywanie Machinę Gun Kelly'ego było nadzwyczajnym osiągnięciem. Hooverowi chłopcy z koledżu mieli dużo energii, ale mało doświadczenia - podejrzani w rodzaju Vi Mathias byli znajdowani, a potem gubieni, obiecujące poszlaki spoczywały zapomniane w szafkach z aktami, a większość agentów nadal się uczyła, jak używać pistoletu.

Z perspektywy czasu wydaje się jasne, że biuro Melvina Purvisa w Chicago było jednym z gorszych. Purvis i jego ludzie rozwiązyali swoje dwie pierwsze sprawy porwań - Williama Hamma i Jake'a Faktora - i w obu przypadkach, jak się okazało, aresztowali niewinne osoby. Przy pierwszej próbie schwywania groźnego przestępcy, Machinę Gun Kelly'ego, Purvis „zapomniał” o swoim zadaniu*[* W pierwszej poważnej operacji, gdy jego ludzie byli przygotowani, by użyć broni, poszło jeszcze gorzej. Zdarzyło się to w sierpniu, kiedy powiązany z mafią oszust Jake Factor doniósł, że ktoś próbuje wymusić na nim okup. Zorganizowano spotkanie z wymuszającymi w parku przy Dwudziestej Drugiej. Purvis zjawił się tam na czele armii składającej się z dwustu chicagowskich policjantów i agentów FBI - największej tego rodzaju siły uderzeniowej w historii, jak pisała „Chicago American”. Gdy zjawili się podejrzani, policja ruszyła. W powstałym zamieszaniu podejrzanym udało się uciec. Miejscowa popołudniówka „American” nazwała tę akcję „wielkim fiaskiem”]. Biuro, które w końcu miało się stać epicentrum wojny z przestępczością, zajmowało całe osiemnaste piętro gmachu Bankers Building w dzielnicy finansowej Chicago. Wejście znajdowało się przy końcu holu obstawionego krzesłami; zwykle zajmowali je dziennikarze spoza miasta oraz z sześciu chicagowskich gazet. Zabijali czas, czytając, paląc papierosy i naprzykrzając się dwudziestoczteroletniej sekretarce Purvisa, Doris Rogers*[* Siedemdziesiąt lat później Doris Rogers (obecnie, w 2004, Doris Locker-man) była jedyną nadal żyjącą osobą spośród pracujących wówczas na osiemnastym piętrze, przytomną na umyśle, towarzyską dziewięćdziesięcioczerolatką mieszkającą w Atlancie.]. Purvis sprowadził Rogers ze swojego poprzedniego miejsca zatrudnienia w Birmingham w Alabamie. Była jego cerberem; nikt nie wszedł przez wahadłowe drzwi obok biurka sekretarki bez jej pozwolenia. Drzwi do gabinetu Purvisa otwierały się za nią.

- Biuro Melvina nie miało śladu wytworności - wspominała. - Typowe biurko szefa agentów, drewniane. Żadnych obrazów ani pamiątek. To nie było gniazdko, miły pokój ze zdjęciami dzieci. Panowała tam surowość i dyscyplina.

Obok gabinetu Purvisa znajdowały się drzwi do wewnętrznego sanktuarium

osiemnastego piętra, pomieszczenia z aktami. Nigdzie pedanteria Hoovera nie uwidaczniała się tak wyraźnie, jak w archiwum Biura. Z każdej notatki służbowej, wydruku z dalekopisu czy telegramu sporządzano przez kalkę siedem kopii; zwykła literówka stanowiła podstawę do działań dyscyplinarnych. Akta trzymano w skonstruowanych według rządowego przepisu szarych metalowych szafkach. Agentom nie wolno było wchodzić do archiwum; wstęp miała tam jedynie urzędniczka Helen Dunkel lub jej asystentka. Jeśli któryś z agentów potrzebował akt, prosił którąś z nich.

Była tam jedna po spartańsku urządzona sala konferencyjna, używana zwykle do prowadzenia przesłuchań. Po lewej stronie biurka Doris rozciągała się przestrzeń zastawiona niemal setką identycznych drewnianych biurek, gdzie siedzieli agenci. Błat każdego biurka wyglądał tak samo - znajdował się na nim jedynie czarny telefon i podkładka do pisania; osobiste przedmioty i zdjęcia rodzinne były zakazane. Pod koniec dnia blaty miały wyglądać nieskazitelnie; każdą pracę należało oddać do archiwum albo zabrać do domu. Agenci raportów nie pisali sami na maszynie, lecz dyktowali je dwóm stenografistkom, siostrom bliźniaczkom o nazwisku Barber. Tylko Purvis jadał przy biurku; okruchy i plamy były podstawą do wyciągnięcia konsekwencji dyscyplinarnych. Większość z około czterdziestki agentów brała z bufetu w lobby kanapki udające specjalia za trzydzieści pięć centów.

- Pamiętam, jak Melvin mówił, że chciałby znaleźć się w miejscu, gdzie zwykłych kanapek z szynką nie nazywają lunchem dżentelmena - wspominała Rogers.

Z wyglądu agenci byli tak samo podobni do siebie, jak ich biurka: ciemne garnitury, czarne skarpetki, wyglansowane czarne buty, równe przedziałki na wypomadowanych włosach. Podpisywali się przy wejściu i przy wyjściu; jeśli jakiś agent spóźnił się do pracy choćby minutę, Purvis musiał się tłumaczyć przed Waszyngtonem. Dwa spóźnienia mogły oznaczać zawieszenie. Wielu pracowników, jak Purvis i jego zastępca tamtej jesieni, łagodny Douglas O. Smith z Arkansas, pochodziło z Południa i miało dyplomy stanowego koledżu*[* Purvis przywiózł Smitha, znanego jako D.O., do Chicago z Oklahoma City. Smith, cieszący się uznaniem mentor wielu młodych agentów w czasie swej znakomitej kariery w FBI, pochodził z Fort Smith w Arkansas. Ożenił się tydzień przed zasadzką w Sherone Apartments; został przedstawiony swojej przyszłej żonie przez Franka Smitha, agenta ocalałego z masakry w Kansas City. Służył w FBI od 1928 do 1958. W późniejszych latach uczył w szkołach w Fort Smith. Zmarł w styczniu 1977 w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat.]. Niewielu było żonatych; większość wynajmowała na spółkę mieszkania.

Po siedemdziesięciu latach niewielu ludzi, z którymi Doris Rogers pracowała, zostawiło trwałe ślad w jej pamięci. Jedynym, któremu się to udało, był goniec, energiczny

młody Polak z South Side, Johnny Madala, który wiecznie nękał Purvisa, żeby mu pozwolił zrobić coś ważnego.

- Johnny był moim ulubieńcem, roześmiany, pomocny, nieatrakcyjny, skromny - wspominała Rogers. - Wszyscy go lubili.

Dziwnym zrządzeniem losu oboje, Madala i Doris Rogers, mieli być wciągnięci w polowanie na Verne'a Millera. Purvisa akurat nie było w mieście, kiedy dokonano wstępnej identyfikacji Vi Mathias. Madala zgłosił się na ochotnika, że będzie ją obserwował. Udając pracującego w terenie rewidenta, w weekend wprowadził się do budynku, gdzie mieszkała. Jego lokal, numer 211, znajdował się około dwudziestu metrów od mieszkania Mathias. Jej drzwi mógł widzieć tylko przez kratkę wentylatora we wnęce kuchennej.

Trzy dni po wprowadzeniu się do Sherone Apartments Madala po raz pierwszy udało się zobaczyć z okna podejrzaną na ulicy. Szczupła blondynka z pieprzykiem na lewym policzku, trochę ponad 170 cm wzrostu. To była Mathias. Tamtego popołudnia Madala widział, jak do jej mieszkania co chwilę wchodzi jakieś dzieci. Dopiero po kilku minutach się zorientował, że dziewczyna urządza przyjęcie halloweenowe. Potem, o 16.30 usłyszał ruch na zewnątrz. Podeszedł do wentylatora i ujrzał Bobbie Moore biegnącą korytarzem i krzyczącą do Mathias, która wyszła ze swojego mieszkania.

- On tu jest, Vi, on tu jest! - entuzjasmowała się Moore. Stojąca w progu Mathias także się ożywiła.

- Gdzie on jest, Bobbie? - spytała. - Szybko, mów, gdzie on jest?

- Na dole. Powiedziałam mu, że masz u siebie mnóstwo dzieci i zejdziesz na dół, jak tylko się ich pozbędziesz.

- Przekaż mu, że zejdę za kilka minut. - Vi zniknęła z powrotem w mieszkaniu.

W tym momencie Madala ujrzał mężczyznę, który wyłonił się zza narożnika przy windach i wszedł do korytarza. Miał jasne wąsy i okulary w rogowej oprawie. Bobbie Moore podbiegła, objęła go i pocałowała. Razem odwrócili się i poszli z powrotem w stronę wind. Madala odsunął się od wentylatora.

Wyglądało na to, że pojawił się Miller. Madala zadzwonił do Bankers Building i opowiedział o tym jednemu ze starszych agentów, Edowi Guinane. O 18.15 Guinane przyjechał na miejsce, żeby zająć się wszystkim osobiście. Rozstawił policjantów i agentów wokół budynku; kilku tłoczyło się też w kawalerce Madali. Chcąc się upewnić, że ma do czynienia z Millerem, Guinane sprowadził Doris Rogers, która wychowała się w Huron w Dakocie Południowej i widywała Millera, kiedy tam pracował w biurze szeryfa. Guinane ustawił ją przy kratce wentylatora. Gdyby zobaczyła Millera wychodzącego z mieszkania

Mathias, stojący obok niej agent miał wykonać ruch ręką, jakby ubijał kotlety, dając sygnał oddziałowi, że mają wyjść na korytarz. Guinane kazał swoim ludziom czekającym na zewnątrz uważnie patrzeć w okno. Miał pomachać w oknie marynarką, gdyby Miller się pokazał.

Minęła godzina. Dzięki podsłuchowi założonemu na telefonie Mathias, o 19.30 dyżurny agent usłyszał, jak Vi Mathias dzwoni do Bobbie Moore znajdującej się na dole.

- Panna Moore? - odezwała się Mathias.

- Przy telefonie.

- Verne chce, żebyś odstawiła auburna (samochód) - powiedziała Mathias i zaraz odłożyła słuchawkę. Wyglądało na to, że Miller miał zamiar zostać u Mathias na noc.

Rozmowa wywołała ożywioną debatę pomiędzy agentami zebranymi w mieszkaniu 211. John Madala zachęcał Guinane do natychmiastowego szturmu na mieszkanie Mathias. Guinane odmówił. Musieli być pewni, że to Miller.

1 grudnia

Nastał świt. Na ulicy pod budynkiem nowa zmiana agentów i policjantów zastąpiła tych, którzy czuwali przez całą zimną noc. W lokalu 211 agenci na zmianę ucinali sobie krótkie drzemki w sypialni. Późnym rankiem, gdy Miller nadal się nie pokazywał, przyjechał agent Edward Notesteen z St. Paul*[* Edward N. Notesteen, absolwent wydziału prawa na uniwersytecie w Minnesocie, służył w FBI od 1930 do 1959. Zmarł w San Diego w 1970 w wieku 71 lat.]. On także znał Millera z Dakoty Południowej. Guinane ustawił go w kuchence Madali, żeby prowadził obserwację na zmianę z Doris Rogers.

Mijały godziny. Do południa nikt nie widział podejrzanego. Po południu Guinane zadzwonił do Bankers Building, żeby spytać, co ma robić. Połączono go z Hooverem w Waszyngtonie; Hoover kazał im czekać, dopóki Miller nie zostanie zidentyfikowany. Popołudniowe godziny ciągnęły się nieznośnie. Wreszcie o 20.15 Mathias zadzwoniła do Bobbie Moore i poprosiła ją, żeby podstawiła samochód pod boczne wyjście z budynku.

W lokalu 211 gwałtownie wzrosło napięcie. Agent Notesteen, który akurat spał i miał na sobie jedynie kalesony i skarpetki, wrócił na punkt obserwacyjny we wnęce kuchennej. Kilku policjantów i agentów czaiło się przy drzwiach, gotowych wkroczyć do akcji. Na zewnątrz dwóch agentów w zaparkowanym samochodzie patrzyło, jak Bobbie Moore wyprowadza auburna z garażu i podjeżdża nim pod boczne wyjście. Zaczęła trąbić klaksonem.

I wtedy z mieszkania Mathias wyszedł mężczyzna z kobietą. Agent Notesteen i Doris

Rogers ich widzieli. Kobieta w zielonej jedwabnej piżamie była Mathias. Mężczyzna miał na głowie kapelusz z rondem opuszczonym nisko na czoło.

- To Miller - szepnęła Rogers. - Wiem, że to Miller.

- Nie można być pewnym z tej odległości - powiedział Notesteen. Para szybko przeszła korytarzem, w którym paliły się trzy lampy na suficie. Kiedy Miller przechodził pod pierwszą, Notesteen nadal nie był w stanie rozpoznać jego twarzy.

- To Miller! - upierała się Rogers.

Mężczyzna kierował się wprost na kryjówkę Notesteena za kratą wentylatora. Kiedy przechodził pod drugą lampą, Notesteen nadal nie był pewien.

- To Miller! - rzuciła ze złością Rogers.

Agenci przy drzwiach czekali w napięciu. Johnny Madala uchylił lekko drzwi.

- To Miller! - powiedział bezgłośnie.

W tym momencie mężczyzna minął trzecią lampę, jakieś trzy i pół metra od Notesteena. Notesteen nareszcie rozpoznał znajome rysy, mocną szczękę i szerokie kości policzkowe.

To był Verne Miller.

Notesteen dał sygnał umówionym gestem. Tylko że agent Guinane akurat wyszedł do salonu i tego nie widział. Natomiast Miller przystanął, jakby coś wyczuł. Nagle rzucił się biegiem w stronę wind.

- To on! To on! - zawołał Notesteen.

- Tam jest! - zawtórował mu Madala, otwierając na oścież drzwi swojej kawalerki. Wszyscy jednocześnie chcieli wybiec na zewnątrz i na moment zaklinowali się w drzwiach. Pierwszy wydostał się zwalisty sierżant policji z Chicago, Frank Freemuth, a za nim grupa agentów. Pobiegli korytarzem, żeby dopaść Millera przy windach, ale skręciwszy za róg, przeżyli przykrą niespodziankę.

Miller zniknął.

- Schody! - krzyknął ktoś.

Sierżant Freemuth pchnął drzwi do klatki schodowej i pędem zbiegł na dół. W lobby na parterze zauważył człowieka w brązowym garniturze, stojącego przy ladzie recepcji.

- Jak pan się nazywa? - spytał. Któryś agent przytknął mężczyźnie lufę pistoletu do żeber. Kiedy ten się odwrócił, wszyscy zobaczyli, że to nie Miller.

- Wyszedł do samochodu! - zawołał inny z agentów.

Allen Lockerman i Julius Rice, agenci obserwujący na zewnątrz Bobbie Moore, zauważyli człowieka w kapeluszu wychodzącego z budynku bocznymi drzwiami*[* Allen

Lockerman ożenił się z sekretarką Pundsą, Doris Rogers. Wycofał się ze służby w FBI w połowie lat trzydziestych i pracował jako adwokat w Atlancie. Dla Juliusa H. Rice'a był to trzeci rok czterdziestojednoletniej kariery w FBI. W późniejszych latach został ulubieńcem Hoovera; mówili do siebie po imieniu. Urodzony w 1904 r. Rice także był absolwentem wyższej Szkoły Prawa im. Jerzego Waszyngtona. Zaczął pracę w Biurze w 1931. Od 1946 pracował w oddziale w Portland w Oregonie, aż do przejścia na emeryturę w 1972. Tam też zmarł w 1975, w wieku 70 lat.]. Mężczyzna pobiegł do samochodu, trzymając ręce w kieszeniach trenca.

- On wygląda jak nasz podejrzany - stwierdził Lockerman.

Obaj agenci uznali jednak, że to nie może być Miller. Nie było sygnału z góry od Guinane'a, żadna marynarka ani nawet koszula nie powiewała w oknie; w ogólnym podnieceniu Guinane zapomniał dać umówiony znak. Dokładnie w chwili, gdy mężczyzna wsiadł do auburna Bobbie Moore, z bocznych drzwi budynku wysypała się gromada agentów.

Miller zatrzasnął drzwi i wielki auburn pognał Galt Street, kierując się na wschód, w stronę jeziora. Agent Lew Nichols przez chwilę biegł za nim, wciąż niepewny, czy człowiek na siedzeniu pasażera to naprawdę Verne Miller.

- Zatrzymać auto! - krzyczał.

Miller odwrócił się z pistoletem w ręce i oddał do Nicholosa dwa strzały, ale spudłował. Nichols opadł na jedno kolano i także wystrzelił. Agent Lockerman wyskoczył z samochodu i również zaczął strzelać. Ludzie na chodnikach rozpięchli się, szukając osłony. Jeden z policjantów stanowych oddał dwie serie z thompsona do oddalającego się auta. Tylna szyba auburna się rozprysła. Bobbie Moore krzyknęła, ale zachowała panowanie nad pojazdem, skręciła w lewo, wjeżdżając z piskiem opon w Sheridan Road. Agenci jeszcze przez chwilę biegli śladem uciekinierów, lecz wkrótce stracili ich z oczu⁹.

Agent Guinane pospieszył do pobliskiego sklepu, żeby zadzwonić do centrum. Ogłoszono alarm w całym mieście i dwadzieścia minut później porzucony auburn został znaleziony w ślepej uliczce, kilka przecznic na północ od Sherone. Naoczny świadek zeznał, że jakiś mężczyzna wybiegł z samochodu i przeskoczył przez ogrodzenie na podwórze budynku przy Clarendon Avenue. (Przedziwnym zbiegiem okoliczności był to budynek, w którym mieszkał wówczas John Dillinger). W samochodzie było siedem dziur po kulach oraz ślady krwi. Przez całą noc policja w Chicago dokonywała nalotów na przestępcze meliny i sprawdzała miejskie szpitale, ale Millera nigdzie nie znaleziono. Vi Mathias została wzięta pod nadzór policyjny. Bobbie Moore poddała się kilka dni później. Żadna z nich nie powiedziała FBI absolutnie nic*[* Późniejsze sprawozdanie FBI z ucieczki Millera, napisane

przez zastępcę dyrektora Vincenta W. Hughesa, było porażające. Hughes uznał, że „plan pojmania Millera był daleki od doskonałości, a jego wykonanie zasługiwało na jeszcze większą krytykę”. Pośród „zasadniczych błędów” Hughes wymienił brak agenta nadzorującego akcję i nieobecność samochodów gotowych do podjęcia pościgu. Hughes sugerował, że agenci powinni byli wkroczyć do mieszkania Millera, co było niespotykaną choć też niebezpośrednią krytyką pod adresem Hoovera, który kazał swoim ludziom się wstrzymać. Ucieczka Millera wyraźnie uwidoczniła brak doświadczenia agentów FBI w kwestii stosowania podstawowych metod egzekwowania prawa.].

Po napadach dokonanych przez gang Dillingera w Peru, Auburn i Greencastle, w stanie Indiana zapanowało coś w rodzaju wojennej hysterii. Czegoś podobnego jeszcze na Środkowym Zachodzie nie widziano: uzbrojeni po zęby desperados w samochodach napadali bezczelnie na stanowe składy broni i banki. Do czytania takich wiadomości przyzwyczajeni byli ludzie w Teksasie i Oklahomie, ale nie w Indianie. Próbując jakoś się bronić, gubernator Paul McNutt rozmieścił siedmiuset funkcjonariuszy Gwardii Narodowej w zbrojowniach na terenie stanu. Dowództwo Gwardii oświadczyło, że jest przygotowane do użycia czołgów, samolotów i trującego gazu w walce z gangiem. Przejęci swą rolę gwardziści porozstawiali blokady na wszystkich stanowych drogach, i to w takiej ilości, że szef Matta Leacha musiał ostrzec uczestników zabaw halloweenowych, by nie robili niczego, co mogłoby doprowadzić do omyłkowego wzięcia ich za Dillingera. Legion Amerykański z Indiany na ochotnika zgłosił gotowość wysłania trzydziestu tysięcy swoich członków do patrolowania głównych szlaków.

„Gang skazańców na wolności - telegrafował wydawca „Indianapolis News” do właściciela gazety w Waszyngtonie. - Czy można zmusić Homera Cummingsa do udzielenia państwowej pomocy Indianie? Jeden szeryf nie żyje, drugi został porwany, dwa komisariaty ogołoczone z broni, obrabowane banki”¹⁰. Prokurator generalny przekazał pytanie Hooverowi, który zareagował chłodno. Nawet gdyby miał stosowne uprawnienia, a te nie były do końca oczywiste, znał ograniczenia Biura, a ponadto wolał sprawy, w których mógł odnieść sukces. Taka obława, wymagająca zastosowania ogromnych środków przy niepewnym wyniku, była skazana na niepowodzenie. „Powiedziałem [zastępcy prokuratora generalnego], że oferujemy swoją pomoc w zakresie badania odcisków palców - napisał Hoover w notatce służbowej włączonej do akt - jednakże jeśli chodzi o pomoc w schwytaniu przestępców, to nie mamy takiego zamiaru”¹¹ [* Agenci FBI w Chicago, Detroit i Cincinnati w rzeczywistości wykonywali tamtej jesieni pewne czynności śledcze w sprawie Dillingera, napisali kilka raportów i wzięli udział w paru konferencjach. Jednak ogólnie rzecz biorąc, Biuro nie

angażowało się w tę sprawę, zgodnie z życzeniem Hoovera.].

Pod nieobecność Biura odpowiedzialność za schwytanie gangu spadła na Matta Leacha i liczącą sobie zaledwie rok policję stanową Indiany. Szybko stali się pośmiewiskiem. „Indianapolis News” prowadziła komiksową rubrykę zatytułowaną WESOŁE POLOWANIE, w której jeden uzbrojony gangster ścigał po całym stanie grupę policjantów. Leach poprosił o dodatkowy przydział broni, na co gubernator McNutt przystał, asygnując ponad 10 000 dolarów na kamizelki kuloodporne, pistolety maszynowe i dziesięć nowych samochodów. Jednak by móc te dobra wykorzystać, Leach musiał najpierw znaleźć Dillingera. Nie posiadając żadnej wskazówki, gdzie może nastąpić kolejne uderzenie, próbował wbić psychologiczny klin pomiędzy członków gangu. Zebrał grupę dziennikarzy z Indianapolis i poprosił ich o pomoc.

- Prawdziwym łotrem, z którym musimy się zmierzyć, jest Pierpont - oznajmił im Leach. - To wyjątkowy egoista. Umyślnie go obrazimy, wzbudzając zazdrość. Nazwiemy ich gangiem Dillingera. Pierpont dostanie szału ze złości. Zginęło wielu ludzi i wiele banków zostało obrabowanych. Nakręcimy sprężynę i Pierpont dostanie za swoje¹².

Było to naiwne zagranie i wzbudziło jedynie rozbawienie u Pierponta i Dillingera, czytających gazety w swoich nowych kwaterach. W istocie te pierwsze tygodnie w Chicago należały do najszcześniejszych w życiu Dillingera; był jeszcze na tyle mało rozpoznawalny, że nie musiał się ukrywać, miał pieniądze, lojalnych współników i po raz pierwszy od opuszczenia więzienia miał dziewczynę.

Nazywała się Evelyn Frechette, ale wszyscy mówili na nią „Billie”. Miała 26 lat, kruczoczarne włosy obcięte na pazia, łagodne brązowe oczy i szerokie kości policzkowe. Twarz pokrywała grubą warstwą pudru Maksa Factora, żeby zamaskować ślady po trądziku. Jak większość kobiet trafiających do łóżek kryminalistów pokroju Dillingera, szukała ucieczki od trudnego życia, przeplancowana z wiejskiej biedy dzieciństwa do niepewnego losu w wielkim mieście.

Wychowała się w rezerwacie Menominee w Wisconsin, miała w żyłach połowę krwi indiańskiej, połowę francuskiej. W 1924 roku ukończyła prowadzoną przez katolickich misjonarzy szkołę dla Indian i po pewnym czasie zawędrowała do Chicago. Na początku 1932 roku była spokojną młodą kobietą lubiąca tanią whisky, pracowała jako szatniarka w jednym z chicagowskich nocnych klubów razem ze swoją przyjaciółką Patricią Cherrington, pulchną drugorzędną tancerką.

Rudowłosa Cherrington, twarda i afektowana, uważała się za „rozrywkową” dziewczynę, choć w istocie także uciekała przed życiem. Wychowana w Teksasie, w wieku

13 lat wyleciała ze szkoły, w wieku 15 lat wyszła za mąż, a w wieku dwudziestu paru była rozwódką z dzieckiem. Obie z Frechette pracowały kolejno w kilku nocnych klubach z golizną i czuły pociąg do mężczyzn z bliznami, którzy tam bywali. W czerwcu 1932 zostały aresztowane wraz ze swoimi sympatiami, ciemnymi typami trudniącymi się rozbojem, Weltonem Sparkiem i Arturem Cherringtonem. Kobiety wypuszczono. Spark i Cherrington dostali wyroki za napad na listonosza. W przeddzień wyjazdu skazanych do Leavenworth kobiety spontanicznie ich poślubiły.

Latem 1933 Frechette i Cherrington, bez szans na połączenie ze swoimi mężami, dryfowały przez życie, umawiając się z nieodpowiednimi mężczyznami i mieszkając w śmierdzących hotelowych norach. Z powodu zapalenia woreczka żółciowego Cherrington zakończyła taneczną karierę i wprowadziła się do młodszej siostry Opal Long, masywnej rudowłosej dziewczyny w okularach z grubymi szklami, z tak potężnym siedzeniem, że przylgnęła do niej, jako przezwisko, nazwa wielkiej ciężarówki. Nikt dokładnie nie wie, jak to się stało, że te trzy kobiety znalazły się w kręgach Dillingera. Znacznie później Frechette uparcie twierdziła, że poznała Dillingera w nocnym klubie w listopadzie tamtego roku. W rzeczywistości jest wielce prawdopodobne, że spotkała go wcześniej, może w sierpniu, kiedy Dillinger po raz pierwszy wynajął mieszkanie w Chicago. Wówczas jego wspólnik Harry Copeland poznał Cherrington, która na występie kabaretu przedstawiła Frechette Dillingera jako „Jacka Harrisa”.

Billie mówiła, że nigdy nie zapomni pierwszych słów Dillingera. Stał przy jej stoliku i patrzył na nią z tym swoim szerokim uśmiechem.

- Cześć, dziecinko - powiedział. - Gdzie się podziewałaś przez całe moje życie?

Zatańczyli. Dillinger był uprzejmy, co Frechette całkowicie wystarczyło. Gdyby potrzebowała dalszej zachęty, mógł ją stanowiąc gruby rulon banknotów w jego kieszeni. „Nie zadawałam żadnych pytań - pisała po kilku miesiącach. - Bo i po co? Od tamtego pierwszego wieczoru, gdy go poznałam, nie było nikogo innego w moim życiu i nikogo innego nie chciałam. Traktował mnie jak damę”¹³.

W Chicago Dillinger i Pete Pierpont postanowili zamieszkać z Frechette i Mary Kinder. Wynajęli czteropokojowe mieszkanie na 4310 Clarendon Avenue w północnej części miasta. Portier zapamiętał, że te dwie pary miały zdumiewająco ciężki bagaż. Zwykle wszyscy spali do późna, wygrzebując się z łóżek o dziesiątej lub jedenastej. Dillinger trzymał broń w zamkniętej na klucz szafie i wziął na siebie prace porządkowe; z ręcznikiem owiniętym wokół bioder zmywał naczynia i przecierał podłogi wilgotną szmatą. Billie i Mary z początku przyglądały mu się z niedowierzaniem, ale wyjaśnił im, że nabrał tego zwyczaju w

więzieniu. Mieli telefon, lecz żadne z nich nie dbało o to, by odkładać słuchawkę na widełki. Chłopcy na posyłki co chwilę dzwonili do drzwi, obładowani półmiskami zjedzeniem z pobliskiej restauracji lub z delikatesów na dole. Kiedy wchodzili do środka, Dillinger się chował.

Prawie każdego popołudnia wybierali się we czwórkę na przejażdżkę, wstępując do sklepów przy State Street i kupując ubrania. Dillinger nabył kilka nowych niebieskich garniturów oraz jeden brązowy i napominał resztę, by nie kupowali rzeczy zbyt rzucających się w oczy, choć sam wydał 149 dolarów na zimowy płaszcz dla Billie. Jak całe pokolenia biedujących wiejskich chłopaków przed nim, Dillinger lubił się stroić; dbał o to, by zawsze mieć odprasowany garnitur i nienagannie uformowany kapelusz. Codziennie zmieniał bieliznę, co robiło duże wrażenie na Mary Kinder. Kiedy nie chodzili po sklepach, można ich było spotkać w gabinecie dentystycznym przy Washington Avenue, gdzie w znieczuleniu leczyli zęby i wstawiali koronki. Z wyliczeń Kinder wynikało, że przynajmniej jedno z nich siedziało na fotelu dentystycznym codziennie przez dwa tygodnie.

Wieczory przeznaczali na zabawę. Przeważnie zaczynali od kina. Dillinger, który wyładował w więzieniu, zanim aktorzy zaczęli mówić na ekranie, był wręcz fanatykiem filmów. Wyciągał pozostałą trójkę na seans trzy lub cztery razy w tygodniu, tak że wkrótce obejrzeli cały repertuar dostępny w North Side. Po kinie szli do restauracji, a potem do nocnego klubu, zazwyczaj do College Inn lub Terrace Garden. Wszyscy unikali mocnych alkoholi, zadowolając się raczej piwem, przy czym Dillinger pił jeszcze mniej niż reszta. Właściwie nie umiał tańczyć, ale, choć niechętnie, pozwalał Billie, by pokazała mu kilka tanecznych kroków. Pierpont śmiał się z nich od stolika, stanowczo odmawiając wyjścia na parkiet. Siedząca obok niego Kinder patrzyła na łagodne zabiegi Billie wokół Dillingera. Oboje mieli trudne życie, a teraz było widać, że rodzi się między nimi miłość.

Zadziwiająco rzadko spotykali się z resztą gangu, Russellem Clarkiem, Charlesem Makleyem i Johnem Hamiltonem, ale kiedy panowie byli zmęczeni, zapraszali kolegów do siebie, żeby pograć w pokera. Zajadając się garściami orzeszków ziemnych, opowiadali o latach spędzonych za kratami¹⁴. Jak na bandę morderców byli całkiem zgodną kompanią i rzadko dochodziło między nimi do nieporozumień.

- Przyjaźnili się - wspominała Opal Long - jak grupa absolwentów jednego rocznika, tyle że ich szkołą było więzienie, a zamiast o rozgrywkach futbolowych i prywatkach rozmawiali o tym, jak robili na szaro strażników, i o tygodniach spędzonych „w czarnej dziurze” o chlebie i wodzie. Te wspomnienia kazały im się trzymać razem w czasie, gdy znacznie bezpieczniej byłoby się rozdzielić i pójść każdy swoją drogą. Lgnęli do siebie,

ponieważ bali się obcych¹⁵.

Był wszakże jeden wyjątek: Dillinger wyraźnie nie lubił szóstego członka gangu, Eda Shouse'a, oślizłego typu, który według niego próbował uwieść Billie. Wszyscy wprawdzie słyszeli uszczypliwe uwagi, jakie czynił Dillinger pod adresem Shouse'a, ale dopiero odkrycie, że Shouse chce obrabować bank na własną rękę, spowodowało, że został wykluczony. Mary Kinder podsłuchiwała, jak usiłował namówić Johna Hamiltona, żeby do niego dołączył.

- Niczego nie zrobisz - zwróciła się do niego ze złością. - Oni są zgraną paczką przyjaciół i nie wyrwiesz dwóch czy trzech, żeby napaść na bank¹⁶.

Jeszcze tej samej nocy pozostali członkowie gangu głosowali za tym, żeby Shouse'a wyrzucić, i następnego ranka, kiedy Shouse zawitał do mieszkania Dillingera, każdy rzucił mu na kanapę zwój banknotów.

- Tu są twoje pieniądze - powiedział z odrazą Dillinger. - A teraz wynoś się stąd¹⁷.

Gang był ostrożny w nawiązywaniu nowych kontaktów w Chicago; Dillinger, podobnie jak Alvin Karpis, obawiał się, że policja mogłaby się zacząć czepiać syndykatu, a to by rozgniewało Franka Nittiego. Nieliczne osoby, z którymi się widywali, należały raczej do szerokiego grona „absolwentów” więzienia stanowego w Indianie. Byli więźniowie gnietli się w brudnych wynajętych norach lub pomieszkiwali u swoich dziewczyn i zawsze chętnie łapali okazję zarobienia szybkich pieniędzy. Właśnie poprzez to środowisko, dobrze monitorowane przez chicagowską policję, wiadomość o obecności Dillingera w mieście dotarła do rosnącej liczby polujących na niego przedstawicieli prawa i osób prywatnych.

Detektyw pracujący dla firm ubezpieczeniowych, Forrest Huntington, zdołał umieścić w tych kręgach płatnego informatora, Arta McGinnisa, dawnego znajomego Dillingera z Michigan City. McGinnis rozpowszechnił w Chicago plotkę, jakoby był paserem i chętnie skupował kradzione rzeczy. Dillinger i Pierpont mieli już pośrednika, który próbował upłynnić obligacje z banków w Greencastle i St. Mary's. Co tydzień McGinnis podrzucał Huntingtonowi garść pogłosek, z których tylko niewielką część dało się zweryfikować. Opowiadał na przykład, że Dillinger próbuje kupić mózdzierze z demobilu, „obczaja” banki w Indianapolis i zamierza obrabować Rezerwę Federalną. Matt Leach kłócił się z Huntingtonem o McGinnisa, którego chciał mieć pod swoją kontrolą. Huntington się wzbraniał. Uważał, że Leach jest zanadto spragniony popularności, i winił go za nieudaną próbę schwytania Dillingera w sierpniu.

„Próbowałem współpracować z kapitanem Leachem i dwa miesiące temu powierzyłem mu pewną informację. Gdyby należycie ją wykorzystał, John Dillinger zostałby

aresztowany - pisał Huntington do swoich przełożonych. - Jednak Leach swoimi niedyskretnymi metodami i podawaniem kryminalnych wiadomości do prasy w formie sensacji, poczuciem wyższości wobec miejscowej policji oraz innymi nieracjonalnymi i błędnymi zachowaniami zniechęcił do siebie przedstawicieli prawa w stanie i teraz nikt nie chce z nim współpracować¹⁸.

Kontakty Huntingтона z McGinnisem tym bardziej się skomplikowały, że policja z Chicago wzięła informatora pod obserwację w ramach własnych działań zmierzających do odnalezienia Dillingera. Huntington musiał zawrzeć układ z porucznikiem Johnem Howe'em, szefem tajnego oddziału chicagowskiej policji; ludzie Howe'a mogli dokonać każdego aresztowania, jakie McGinnis im umożliwi, pod warunkiem że nie tkną jego samego. Huntington naciskał na McGinnisa, żeby zorganizował spotkanie, podczas którego Dillinger mógłby zostać schwytany.

W poniedziałek 13 listopada rano McGinnis zadzwonił do Huntingтона mocno podekscytowany. Powiedział, że Dillinger dopiero co był w jego mieszkaniu, chcąc spieniężyć osiem obligacji „Pożyczki wolności” na sumę 1000 dolarów każda. Umówili się na spotkanie tego samego popołudnia na pewnym parkingu w centrum miasta. Był jednak pewien haczyk. McGinnis pragnął nagrody, jaką mu obiecano za schwytanie wszystkich członków gangu, nie tylko Dillingera, więc odmówił podania adresu owego parkingu, chyba że uzyska przyrzeczenie, że tego dnia policja jeszcze nie aresztuje Dillingera. Huntington zadzwonił do sierżanta Howe'a, a ten z kolei porozumiał się ze swoim zwierzchnikiem, który kazał mu samodzielnie podjąć decyzję. Howe obiecał Huntingtonowi, że będą tylko się przyglądać. Żadnych aresztowań.

Huntington z Howe'em siedzieli tamtego popołudnia w kawiarni w samym centrum miasta, kiedy samochód prowadzony przez mężczyznę bardzo podobnego do Dillingera zabrał McGinnisa z najbliższego rogu ulicy. Po trzech godzinach McGinnis zadzwonił. Przez całe popołudnie jeździli z Dillingerem po Chicago i miał mnóstwo rzeczy do opowiedzenia. Całkiem mimochodem wspomniał, że Dillinger cierpi na zapalenie mieszków włosowych*[* Według innych opowieści była to infekcja grzybicza.]. McGinnis załatwił mu wizytę u lekarza, Charlesa Eye'a, przyjmującego w gabinecie mieszczącym się niedaleko mieszkania McGinnisa, przy Keeler Avenue, tuż poniżej Irving Park Boulevard. Jeszcze raz McGinnis przypomniał Huntingtonowi, że mają się powstrzymać przed aresztowaniem Dillingera.

W biurze sierżanta Howe'a byli akurat dwaj ludzie Matta Leacha, kiedy Huntington przyszedł mu przekazać nowiny. Natychmiast zadzwonili do Leacha do Indianapolis, a ten z kolei po paru minutach zatelefonował wściekły do Howe'a i Huntingтона. Domagał się, żeby

Dillingera zatrzymano jeszcze tego wieczoru, argumentował, że mogą nigdy nie mieć drugiej takiej okazji. Jednak Huntington, podobnie jak jego informator, chciał wylapać cały gang, a sierżant Howe go w tym popierał. Obaj w końcu się zgodzili na żądanie Leacha, by zabrać ze sobą dwóch jego ludzi.

O 19.15 Howe, Huntington i dwaj ludzie Leacha siedzieli w ciemnym samochodzie i patrzyli, jak Dillinger podjeżdża pod gabinet doktora Eye'a sedanem essex terraplane. Jakiś mężczyzna i kobieta, prawdopodobnie Pete Pierpont i Mary Kinder, pozostali w aucie, natomiast Dillinger wbiegł do budynku. Piętnaście minut później wyszedł i odjechał. Nie próbowali go zatrzymać.

Następnego ranka nad miasto nadciągnął zimny front i temperatura opadła do -10 stopni Celsjusza. McGinnis doniósł Huntingtonowi, że Dillinger wieczorem ma wizytę kontrolną doktora Eye'a. Nalegał, by tym razem funkcjonariusze go śledzili do miejsca, gdzie mieszka i gdzie bez wątpienia znajdą cały gang. Późnym popołudniem sierżant Howe przeprowadził z Huntingtonem kolejną ożywioną dyskusję. Huntington zgadzał się ze swoim informatorem: życzył sobie, żeby Dillingera śledzono. Leach, który przybył z Indianapolis, chciał go mieć żywego lub martwego. Spór ostatecznie rozstrzygnął policjant, który przyjechał akurat do Howe'a z Limy w Ohio. Uparł się, że Dillingera należy pojmać, żeby pomścić śmierć szeryfa Sarbera.

Przed siódmą wieczorem trzy oddziały policji z Chicago zebrały się na bocznej uliczce dwie przecznice od gabinetu doktora Eye'a. Leach był wśród nich, przytupywał dla rozgrzewki, podobnie jak Huntington i Howe. Ponieważ Dillinger był ścigany listem gończym w Indianie, dowództwo nad oddziałami powierzono Leachowi. Niedługo po siódmej Huntington i jeden z policjantów podkradli się bliżej, żeby obserwować gabinet doktora Eye'a. O 19.25 Dillinger podjechał esseksem. Obok niego siedziała Billie. Dwaj przyczajeni mężczyźni patrzyli, jak Dillinger szybko wchodzi do budynku, zostawiwszy Billie w samochodzie.

Huntington wrócił do czekających i opowiedział, co zobaczył. Wszystko zostało ustalone. Funkcjonariusze wsiedli do czterech aut i wolno podjechali na wyznaczone pozycje. Trzy auta zatrzymały się przy krawężniku na Keeler, spokojnej uliczce, naprzeciwko esseksa Dillingera. Czwarty samochód, prowadzony przez detektywa z Chicago Howarda Hardera, zaparkował po drugiej stronie Irving Park Boulevard, mniej więcej piętnaście metrów za esseksem. Mieli Dillingera na widelcu. Leach wziął na bok jednego ze swoich ludzi, Arta Kellera, i powiedział mu, że nie zależy mu na wzięciu Dillingera żywcem. Chciał, żeby Keller po prostu go zastrzelił. (To wskazuje, jak daleko zaszyły prawa obywatelskie w ciągu

następnych siedemdziesięciu lat, skoro obaj długo potem z entuzjazmem opowiadali tę historię).

Minuty się wlokły. Policjanci drżeli z zimna w nieogrzewanych samochodach. Wszyscy widzieli Dillingera, kiedy pojawił się na chodniku. Dillinger spojrzął na zaparkowane samochody. Zauważył, że niektóre są zwrócone przodem w złym kierunku. Otworzył drzwi od strony kierowcy, wsunął się za kierownicę i powiedział Billie, żeby się mocno trzymała. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, wrzucił wsteczny bieg i z piskiem opon wycofał esseksa prosto w gęsty ruch na Irving Park Boulevard.

Detektyw Harder kazał staranować auto Dillingera, ale kierowca w nerwowym pośpiechu zalał silnik. Dillinger tymczasem zmienił bieg na jedynkę i wyrwał do przodu; gnając na wschód, ledwie ominął nadjeżdżające z przeciwka auto. Tylko jeden z policyjnych samochodów, prowadzony przez detektywa z Chicago Johna Artery'ego, zdołał podjąć pościg. Obok Artery'ego siedział Art Keller, funkcjonariusz, który dostał rozkaz zabicia Dillingera. Artery wcisnął pedał gazu do oporu i po paru sekundach wyprzedził uciekającego esseksa.

- Na ziemię! - krzyknął Dillinger do Billie, która posłusznie skuliła się na podłodze.

Keller wychylił się przez okno i otworzył ogień. Opróżnił cały magazynek pistoletu.³⁸, a potem strzelał z karabinu. Dillinger skręcił gwałtownie w prawo w Elston Avenue. Auto Kellera jechało równo z nim. W następnych latach policjanci rozciągali ten pościg do półgodzinnego maratonu. W rzeczywistości był dość krótki, przejechali może dwa kilometry. Keller ponownie wychylił się z okna i strzelał do esseksa, ale nikogo nie trafił. W pewnym momencie Dillinger skręcił ostro w ślepą uliczkę. Detektyw Artery nie zdążył zareagować w porę. Gnał dalej prosto, podczas gdy Dillinger zawrócił, wyrwał w przeciwnym kierunku i zniknął.

- Trzeba przyznać, że ten ptaszek umie prowadzić - westchnął Keeler.

Dillinger i Billie zostawili podziurawionego kulami esseksa w North Side i pojechali taksówką do mieszkania Russella Clarka, gdzie gang bawił się na spontanicznie zorganizowanym przyjęciu, tańcząc do melodii płynących z radia. Mary Kinder usłyszała, że ktoś się dobija do drzwi. Zdziwiła się, widząc w progu Dillingera z Billie. Dillinger był przekonany, że uszedł z zasadzki przygotowanej przez syndykat; dopiero rano dowiedzieli się, że goniła ich policja.

Relacje ze strzelaniny zamieszczone na pierwszych stronach gazet przybliżyły postać Dillingera tysiącom mieszkańców Chicago. „Tribune” napisała: „Biegłość w przestępczym rzemiośle stawia go na równi z braćmi James i Harveyem Baileym”, i zamieściła zapierający

dech w piersiach opis, jak to policja wymieniała ogień z gangsterem strzelającym z pistoletu maszynowego z „niewidocznych wrót” w samochodzie Dillingera. Prawda była taka, że Dillinger nie oddał ani jednego strzału, był zbyt zajęty prowadzeniem. Niektóre z sześciu miejscowych gazet porównywały to zdarzenie do ucieczki Verne’a Millera sprzed szesnastu dni.

Każdy z członków gangu miał swój pogląd na to, kto zdradził, ale Dillinger i Pierpont byli pewni, że Art McGinnis. Nie tracili czasu na opróżnianie apartamentu na Clarendon Avenue, pozostali na drugim końcu miasta u Russella Clarka. Chicagowska policja deptała im po piętach; detektywi zrobili nalot na Clarendon już następnego dnia. Zbiegiem okoliczności dawny wspólnik Dillingera Harry Copeland, który przez swoje pijaństwo stał się ciężarem dla gangu, został następnego wieczoru aresztowany po tym, jak przyszedł mu do głowy idiotyczny pomysł, by grozić pistoletem kobiecie, z którą się kłócił przed barem w North Side. Pod jego nieobecność Pat Cherrington zaczęła sypiać z Johnem Hamiltonem. Jej siostra Opal Long zajmowała już łóżko Russella Clarka.

Dillinger nie pozwalał, by policja zdeorganizowała mu życie. Członkowie gangu próbowali upłynnić skradzione obligacje poprzez pewnego pasera z Milwaukee i po drodze zauważyli kuszący bank należący do American Bank and Trust Company, położony w małym miasteczku Racine nad jeziorem. W weekend gang wynajął mieszkanie w Milwaukee i pokręcił się po centrum Racine, oglądając budynek banku i wybierając ewentualne drogi ucieczki. Zaczynało im brakować pieniędzy, a Dillingera rozpierały kosztowne marzenia, począwszy od kupna samolotu i nauki pilotażu, po długie wakacje na Florydzie. Zaplanowali, że napadną na bank w poniedziałek.

7

ZASADZKI

20 listopada - 31 grudnia 1933

Racine wWisconsin

20 listopada, poniedziałek godz. 14.30

Zimny front przesunął się dalej, ale kiedy pięciu gangsterów jechało w stronę American Bank and Trust Company, znad jeziora Michigan wiał lodowaty wiatr. Siedzący za kierownicą Russell Clark powysadzał innych członków gangu na rogach ulic w centrum i zajechał na parking za bankiem*[* Naoczni świadkowie zgodnie twierdzili, że widzieli pięciu rabusiów. Później do udziału w tym napadzie przyznał się Leslie Homer i został skazany. Czyli jednego z członków gangu, prawdopodobnie Russella Clarka, tam nie było.]. To był

błąd: bank nie miał tylnego wyjścia. Co gorsze, gang albo przeoczył, albo zlekceważył fakt, że siedziba policji w Racine znajdowała się zaledwie trzy przecznice dalej.

Pete Pierpont, w szarym płaszczu i kapeluszu w tym samym kolorze, pierwszy wszedł do banku. Rozpostarł plakat Czerwonego Krzyża i bez słowa przykleił go w oknie, tak że z zewnątrz nie było widać okienek kasowych. Dillinger, Makley i Hamilton weszli chwilę później. Kierownik kas Harold Graham przeliczał właśnie plik banknotów. Zaraz po tym, jak wystawił tabliczkę PROSZĘ PRZEJŚĆ DO NASTĘPNEGO OKIENKA, usłyszał: „Ręce do góry!”. Nawet nie uniósł głowy, sądząc, że to żart.

- Ręce do góry! - powtórzył Makley. Graham nadal nie reagował.

- Proszę do następnego okienka - powiedział tonem, który można było uznać za nie dość uprzejmy.

Makley strzelił. Graham, ranny w prawe ramię i biodro, upadł na plecy. Jakimś cudem zachował przytomność na tyle, by wcisnąć guzik alarmu. Umieszczone na zewnątrz urządzenie zaczęło głośno dzwonić; przeszywający odgłos niósł się uchem wzdłuż głównej ulicy. Kolejne dwa alarmy rozdzwoniły się na komendzie policji. Dillinger z Pierpontem przeszli wzdłuż okienek, nakazując ośmiu czy dziewięciu pracującym w nich kasjerom położyć się na podłodze. Dillinger siłą doprowadził prezesa banku, Grovera Weylanda, do skarbcza, kazał mu go otworzyć, po czym wpadł do środka i zaczął wygarniać do worka sterty banknotów. Pierpont obserwował główne wejście do banku. Wszyscy spośród przestraszonych kasjerów i klientów opisywali później przystojnego, mocnego Pierponta jako przywódcę gangu.

Na komendzie policji funkcjonariusze wcale się nie rwali do działania. Przeżyli już kilka fałszywych alarmów i oficer Chester Boyard uznał, że to jest kolejny. Wziął ze sobą dwóch podwładnych, wsiedli do policyjnego wozu i pojechali do banku. Wchodząc do głównego holu, Boyard usłyszał:

- Ręce do góry!

Nim zdążył zareagować, jeden z rabusiów - później zidentyfikowany jako Russell Clark - wymierzył do niego z broni maszynowej i odebrał mu pistolet. Sierżant Wilbur Hansen wszedł jako drugi, z pistoletem maszynowym opuszczonym lufą ku ziemi.

- Brać tego gliniarza z rozpylaczem! - zawołał Pierpont z głębi pomieszczenia¹.

Makley, osłaniający kompanów, odwrócił się i strzelił. Kula drasnęła Hansena w prawą rękę i wyrwała mu ranę w boku. Jakaś kobieta zemdląła, osunęła się na podłogę. Wazon z kwiatami rozprysł się na kawałki. Makley próbował wyciągnąć funkcjonariuszowi Boyardowi pistolet z kabury. Szło mu to opornie; chwilę trwało, nim rozpiął sprzączkę i w

końcu zabrał broń. Trzeci policjant, który nie zdążył wejść do środka, pobiegł po pomoc.

Salę kasową zasnuł dym od strzałów. Na zewnątrz gromadził się coraz większy tłum. Kierownik sklepu z butami Goldberga, znajdującego się o cztery bramy dalej na północ, przybiegł sprawdzić, co się dzieje. Boyard nawiązał z nim kontakt wzrokowy przez otwarte drzwi i gwałtownie pokręcił głową. Kierownik sklepu wszedł na parapet witryny i zajrzał do środka. Makley posłał w jego stronę serię z pistoletu maszynowego, zmuszając go do ucieczki. Szkło z brzękiem posypało się na ulicę.

Dillinger kończył ogoławanie skarbcza. Wyrzwał przez boczne okno. Do parkingu za bankiem był spory kawałek drogi.

- Będziemy musieli się ostrzeliwać, wychodząc frontowymi drzwiami! - zawołał. Machnął pistoletem, przyzywając do siebie Grovera Weylanda i trzy kasjerki schowane pod ladą, po czym kazał im iść przodem. Weyland się ościągał, więc Pierpont uderzył go w twarz, strącając mu z nosa okulary.

- Gdybyś nie miał w ręce tego pistoletu, nie byłbyś taki odważny - powiedział z wściekłością Weyland².

W tym momencie kolejny policjant wszedł do banku.

- Chodź z nami - rzucił dowcipnie Dillinger.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - spytał przybyły policjant, ale zamilkł, uciszony gestem przez Boyarda³.

Każdy z pięciu napastników wybrał sobie jednego lub dwóch zakładników i wszyscy wyszli głównymi drzwiami. Na chodniku zgromadziło się tylu ludzi, że musieli się dosłownie przeciskać przez tłum. Niektórzy z gapiów, widząc funkcjonariusza Boyarda, nabrali przekonania, że to on wyprowadza członków gangu, i zaczęli jeszcze bardziej napierać do przodu, żeby popatrzeć.

- Cofnąć się! Cofnąć! - rozległy się okrzyki.

Kiedy tłum zaczął się rozstępować, zza rogu, odległego o jakieś sześć metrów, wypadli dwaj detektywi.

- Mack! - krzyknął Pierpont.

Makley odwrócił się i posłał serię w tamtą stronę. Detektywi schronili się w sklepie z kapeluszami.

Ciekawscy nadal stali w miejscu, kiedy grupa złożona z gangsterów i ich zakładników krok za krokiem zmierzała w stronę brzegu jeziora, gdzie czekał samochód. Kilku zakładnikom udało się wymknąć i wtopić w ludzką ciżbę, ale też co najmniej jeden spośród gapiów został zgarnięty przez gangsterów jako zakładnik. Panował chaos. Kiedy bandyci

dotarli już do parkingu, Pierpont ponownie zauważył owych dwóch detektywów wyglądających z bocznej uliczki.

- Znów jest ten typ z bronią - warknął do Makleya. - Załatw go! Makley ostrzelał wylot uliczki, podrywając z ziemi obłóczki kurzu i odłamki asfaltu. Detektywi umknęli do pobliskiego sklepu odzieżowego.

Grupa gangsterów z zakładnikami dotarła do samochodu; Dillinger usiadł za kierownicą.

- Panie prezesie, jedźcie pan z nami - powiedział Pierpont do Weylanda. I do kasjerki Annę Patzke dodał: - Pani w czerwonej sukience też.

Dwoje zakładników zajęło miejsca na wystającym progu obok Dillingera, a funkcjonariusz Boyard naprzeciwko nich po drugiej stronie auta.

Dillinger ruszył ostro; ze świstem minęli dwóch biegnących policjantów. Weyland pomachał do nich, żeby nie strzelali. Pilotowany przez Hamiltona, który czytał trasę z mapy, Dillinger jechał przez miasto na zachód; dwukrotnie przejechał czerwone światło, po czym wtopił się w uliczny ruch. Kazali Boyardowi uciekać, a dwoje pozostałych zakładników wciągnęli do środka, nie chcąc przyciągać uwagi.

Ruch na drodze stawał się coraz słabszy, aż w końcu znaleźli się na bitym trakcie między żółknącymi polami Wisconsin. Zatrzymali się, żeby zmienić tablice rejestracyjne, a potem jeszcze raz, by uzupełnić paliwo. Kiedy pani Patzke powiedziała, że marznie, Pierpont dał jej swój płaszcz. Weylandowi oddał kapelusz. Napięcie zaczęło opadać. Dillinger był w szampańskim humorze. Trzymając się bocznych dróg, przejeżdżali obok kilku farm. W pewnej chwili minęli traktor prowadzony przez starszego mężczyznę.

- Cześć, Joe! - zawołał Dillinger, machając do niego.

W końcu przywiązali zakładników do jakiegoś drzewa. Pierpont ściągnął prezesowi z głowy swój kapelusz i odjechali.

Pod koniec dnia gang był z powrotem w Milwaukee, gdzie czekała na nich Mary Kinder. Dillinger naśmiewał się z Pierponta, że pożyczył pani Patzke swój nowy płaszcz. Łup wyniósł po 5000 dolarów na głowę.

Przed zmrokiem, kiedy oddziały pościgowe rozjechały się po całym południowym Wisconsin, bezskutecznie próbując złapać ślad rabusiów, do Racine przybyli dziennikarze i policja z całej okolicy, od Milwaukee po Indianapolis. Był wśród nich jeden z ludzi Matta Leacha i szybko zostało potwierdzone, że napadu dokonał gang Dillingera. Wypytywany przez reporterów Grover Weyland powiedział, że gang był „przyjazny”. Opowiadał też, że w pewnym momencie jeden z rabusiów w samochodzie - później zidentyfikowany jako Makley

- zaklął, na co Dillinger kazał mu panować nad językiem, bo jest między nimi dama.

Ta kurtuazja stała się znakiem rozpoznawczym Dillingera. Podobnie jak większość jego kolegów po fachu, Dillinger pilnie czytał doniesienia prasowe na swój temat i zapewne owe przejawy uprzejmości nie wynikały z dobrych manier, lecz z coraz większej dbałości o swój publiczny wizerunek. Dillinger wiedział, że ludzie podziwiają śmiałków grabiących banki, i łaknął pochlebstw. A był podziwiany. Tak jak Pretty Boy Floyd budził tanie sentymenty w umęczonej suszą Oklahomie, Dillinger szybko zaczął być postrzegany przez wielu mieszkańców Środkowego Zachodu jako siła karząca potentatów finansowych, którzy wciągnęli naród w Wielki Kryzys. Do gazet w Indianapolis zaczęły nadchodzić listy z poparciem dla niego.

„Dlaczego prawo miałoby ścigać Johna Dillingera za napadanie na banki? - pisał ktoś. - Nie jest wcale gorszy od bankierów i polityków, którzy zabrali pieniądze biedakom. Dillinger nie okrada biednych. Okrada tych, którzy stali się bogaci, okradając biednych. Jestem za Johniem”.

A to był dopiero początek.

W połowie listopada mijały trzy miesiące, odkąd ostatnio widziano Bonnie i Clyde'a uciekających po krwawej strzelaninie 24 lipca w Dexfield Park w Iowa. Od tamtej pory nie było żadnych potwierdzonych doniesień o ich miejscu pobytu. Nikt nie wiedział, gdzie się zaszyli, ale dość nietypowy - można powiedzieć, że wręcz anegdotyczny - dowód pozwala przypuszczać, że spędzili kilka tygodni z kuzynostwem Clyde'a, mieszkającym na farmach w najodleglejszych zakątkach wschodniego Teksasu. Dalecy krewni Barrowa, przepytani po kilkudziesięciu latach przez gromadę uczniów odrabiających szkolne zadanie, wspominali pewne zdarzenie z tego okresu: Bonnie uczyła się posługiwać pistoletem i omal nie odstrzeliła sobie przy tym palca u nogi.

Gdziekolwiek Bonnie i Clyde się ukrywali, aktywnie szukało ich tylko dwóch ludzi. Agent FBI z Dallas Charles Winstead węszył, gdzie tylko się dało, ale nie mógł tego robić na pełny etat, ponieważ musiał się zajmować innymi sprawami. Przy braku zaangażowania ze strony FBI obowiązek ścigania gangsterskiej pary spadł na szeryfa powiatowego z Dallas Smoota Schmida, który wyznaczył do tej sprawy doświadczonego śledczego Boba Alcorna. Tamtej jesieni Alcorn zaczął pracować z młodym funkcjonariuszem Tedem Hintonem; obaj poznali

Bonnie w czasach, kiedy kelnerowała w centrum Dallas, i obaj znali Clyde'a oraz jego dawne kryjówki w mieście.

Nim nastał październik, Alcorn z Hintonem byli prawie pewni, że Bonnie i Clyde

ukrywają się na wsi gdzieś w okolicach Dallas. Obawiając się, że zostaną zauważeni, zrezygnowali z prowadzenia stałej obserwacji rodzin Barrowa i Parker. Zamiast tego wykorzystywali swoje źródła, nasłuchując wieści, co się dzieje z Clyde'em, a także całymi dniami i nocami jeździli po bocznych drogach wokół miasta, parkując na wzgórzach i stamtąd obserwując przejeżdżające pojazdy; raz nawet im się zdawało, że widzieli forda Clyde'a, i rzucili się w pościg, ale podejrzane V-8 było szybsze od ich służbowego wozu. Potrzebowali mocniejszego auta. Hinton zdołał przekonać firmę motoryzacyjną Bena Griffina, by wypożyczyła im nowego szybkiego corda sedana; sprzedawca zapewniał ich, że jeśli czymś mogą dopaść Clyde'a Barrowa, to właśnie cordem.

Późnym wieczorem Hinton siedział za kierownicą corda na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na Duncanville, i obserwował przejeżdżające samochody. Były doniesienia, że w tych okolicach widziano członków rodziny Barrowa. Nagle Alcorn wskazał przejeżdżającego forda i krzyknął:

- To on!

Hinton natychmiast wrzucił jedynkę; wtoczywszy się na twardą nawierzchnię, zmienił bieg na dwójkę, ale zbyt mocno szarpnął dźwignią. Linka sprzęgła się zerwała, auto zakołysało się i stanęło.

Zwrócili corda i wypożyczyli potężnego cadillaca limuzynę. Jadąc którejś nocy obwodnicą we wschodniej części Dallas, Hinton odniósł wrażenie, że widział Clyde'a w przejeżdżającym fordzie. Wcisnął pedał gazu, ale ford okazał się za szybki. Po kilku minutach zostawił ich daleko w tyle i zniknął w mroku. Dwaj rozczarowani stróże prawa zwrócili cadillaca. Byli gotowi próbować wszystkiego. Namówili firmę wydobywczą, by wypożyczyła im potężną ciężarówkę do transportu żwiru. Zamierzali schwytać Clyde'a w pułapkę. Alcorn miał siedzieć w wozie policyjnym na odcinku drogi, gdzie wcześniej Clyde'a widywano. Widząc, jak przejeżdża, miał dać sygnał światłami Hintonowi czekającemu w ciężarówce. Zadaniem Hintona było zablokowanie drogi albo wjechanie w bok forda Clyde'a.

Prawie się udało. Szeryf Schmid był z nimi tamtego wieczoru, kiedy zauważyli Clyde'a jadącego z Bonnie. Schmid dał znak światłami, Hinton wjechał ciężarówką na drogę. Ale nagle wokół niego pojawiły się inne auta. Nie chcąc ryzykować, że zrani kogoś przypadkowego, Hinton się wycofał. Mógł jedynie wzrokiem podążyć za oddalającym się celem*[* Możliwe, że opowieści o wypożyczonych samochodach, zwłaszcza o ciężarówce do transportu żwiru, są zmyślane. Przytoczył je Ted Hinton w książce *Am-bush* z 1978 roku, wydanej wkrótce po jego śmierci.]

Okolice Dallas w Teksasie 22 listopada, środa

Po dwóch miesiącach kontaktów z informatorami Alcorn z Hintonem wreszcie odnieśli sukces tuż przed Dniem Dziękczynienia. Do Hintona zadzwonił właściciel farmy mlecznej mieszkający pod Sowers, dwadzieścia dwa kilometry na północny zachód od Dallas, i powiedział, że widział Clyde'a parkującego na odcinku drogi stanowej numer 15 biegnącym wzdłuż jego gospodarstwa*[* Obecnie jest to teren niemal przylegający do lotniska Dallas-Fort Worth.]. Opisał, jak Clyde mrugał światłami, dając znak samochodowi wiozącemu rodziny Barrowa i Parker, żeby się zatrzymał. Wiadomość brzmiała wiarygodnie i nie była jedyną, jaką otrzymał Hinton. Wprawdzie nigdy nie ujawnił źródła, ale ktoś - najwyraźniej blisko związany z rodziną Barrowa - powiedział mu, że w środę ma się odbyć spotkanie.

Kiedy Alcorn z Hintonem przekazali nowiny szeryfowi Schmidowi, wywiązała się burzliwa dyskusja. Funkcjonariusze upierali się, by zastawić na Clyde'a pułapkę. Przypomnieli, że Clyde przysiągł, iż nigdy nie da się wziąć żywcem, więc nie było sposobu go dopaść... chyba że martwego. Jednak Schmid, marząc o tym, by zostać sfotografowanym przez dziennikarzy obok zakutego w kajdanki Clyde'a Barrowa, upierał się, że chce go dostać żywego. Alcorn i Hinton nie byli w stanie przekonać go do swoich racji. Podejrzewali, że Schmid pragnie zostać następnym gubernatorem.

Tamtego wieczoru po zachodzie słońca, dwa dni po napadzie Dillingera w Racine, czterej przedstawiciele prawa zaparkowali auta kilometr od miejsca planowanego spotkania, po czym zbliżyli się pieszo i zajęli pozycje w rowie jakieś trzydzieści metrów od punktu, gdzie farmer widział Clyde'a. Około wpół do siódmej, w zapadających ciemnościach, pojawił się jakiś samochód. Zjechał na pobocze i stanął. W resztkach dziennego światła funkcjonariusze rozpoznali rodziny Barrowa i Parker.

O 18.45 zaczajeni wśród chwastów stróże prawa usłyszeli dźwięk silnika V-8 zbliżającego się od północy. Chwilę później ukazał się ford. Prowadził Clyde. Później twierdził, że tamtego wieczoru miał złe przecucia. Zaczął ich mijać, ale kiedy znalazł się około trzydziestu metrów od ich kryjówki, szeryf Schmid nagle wyskoczył z rowu.

- Stać! - zawołał.

Szeryf zaczął realizować swój plan, a Hinton z Alcornem, trzymając się swojego, otworzyli ogień do nadjeżdżającego forda. Kule zagrzechotały o drzwi od strony kierowcy; pistolet maszynowy Hintona czynił spore szkody. Clyde starał się utrzymać panowanie nad kierownicą. Trzy opony forda pękły, przednia i boczne szyby rozprysły się na kawałki. Kule odłupywały kawałki kierownicy. Z sufitu zwisały strzępy podartej tapicerki.

Clyde wcisnął pedał gazu i zmaltretowane auto, kołysząc się na boki, wjechało na żwirową drogę, wspięło się na wzgórze i zniknęło z oczu. Samochód z rodzinami Barrowa i Parker odjechał.

- To moja wina, chłopcy - odezwał się po chwili Schmid. - Powiniennem być was posłuchać.

Clyde wiedział, że daleko nie ucieknie na trzech przebitych oponach. Sześć kilometrów dalej zobaczył nadjeżdżającego forda coupe i zajechał mu drogę. Wyskakując ze swojego auta ze strzelbą w dłoni, zawołał do kierowcy:

- Wynoś się!

Ani kierowca, Thomas R. James, ani jego przyjaciel Paul Reich nie zareagował. Clyde przytknął strzelbę do okna po stronie kierowcy, skierował lufę do góry i pociągnął za spust. Kula wybiła dziurę w dachu. James z Reichem wytoczyli się drzwiami po przeciwnej stronie, twarze mieli poranione odłamkami szkła. Stanęli z rękami uniesionymi nad głową. Bonnie podbiegła i wsiadła do środka razem z Clyde'em. Clyde nie wiedział, jak włączyć silnik.

- Gdzie jest kluczyk? - zapytał.

- Jak jesteś taki mądry, to sam znajdź - odburknął James. Moment później Clyde'owi się udało i ford coupe zniknął w mroku teksaskiej nocy.

Przez całą tamtą jesień Hoover bronił się przed próbami wciągnięcia FBI w ściganie gangów Dillingera i Barrowa, podejmowanymi przez przedstawicieli prawa i prasę ze Środkowego Zachodu. W połowie listopada przyjął jeszcze bardziej zdecydowane stanowisko, po tym, jak Biuro dzień po dniu otrzymywało zabójcze ciosy w dwóch głównych bitwach toczonych w ramach wojny z przestępczością: w sprawie porwania Hamma i masakry w Kansas City.

Proces zaczął się 17 listopada w St. Paul. Zarzuty postawione znanemu bandycie z Chicago Rogerowi Touhy'emu i jego współnikom były oparte na słabych podstawach i prokuratorzy o tym wiedzieli. Prawie żaden naoczny świadek nie rozpoznał sprawców z absolutną pewnością, natomiast alibi przedstawiane przez obrońców okazały się niepodważalne. Hamm, wciąż wstrząśnięty po dramatycznych przeżyciach, nie potrafił zidentyfikować żadnego z porywaczy i w ogóle niechętnie zeznawał. Pop Nathan powiedział do jednego ze swych współpracowników, że jest „zdegustowany postawą Hamma” i że „cała sprawa budzi jego podejrzenia, bo ma wrażenie, że Hamm jest związany z elementem gangsterskim poprzez dystrybucję swojego piwa”⁴. Prokurator federalny Joe Keenan powiedział Hooverowi wprost: „Nie wygramy sprawy”⁵. I nie wygrali. Po trwającym tydzień procesie Touhy i jego współnicy zostali oczyszczeni z wszystkich zarzutów. Komentatorzy

prasowi potępli wyrok, twierdząc, że tylko zachęci innych porywaczy. Hoover był bliski apopleksji.

Wiadomości w sprawie masakry były jeszcze gorsze. Verne Miller zniknął, choć po jego ucieczce w Halloween agenci dowiedzieli się sporo o jego podróżach. Podczas przeszukania auta porzuconego przez Millera w Chicago znaleziono parę jeżdżieckich bryczesów, zakupionych w sklepie luksusowego hotelu Greenbrier w White Sulphur Springs w Wirginii Zachodniej. Według hotelowej księgi meldunkowej Miller zamieszkał tam 13 sierpnia jako lekarz z Maplewood w New Jersey, a następnie przeniósł się do Greystone Inn w Roaring Gap w Karolinie Północnej. Jego partnerzy od golfa opowiadali agentom, że jest marnym sportowcem, bo w Greenbrier zrezygnował z gry po jednym złym uderzeniu.

Miller udawał wędrownego optyka, na co wskazywała torba z okularami, oprawkami i szklami oraz wizytówki znalezione w jego samochodzie. Przedmioty te doprowadziły agentów do Mason Optical Service w Newark w New Jersey, którego właściciel powiedział im, że dostarczył taki sprzęt niejakiemu Irwinowi Silversowi. Policja z Newark rozpoznała doktora Silversa jako brata gangstera Ala Silversera, członka organizacji przestępczej Longy'ego Zwillmana, rządzącej półświatkiem New Jersey. Agenci wezwali do siebie Irwina Silversa 15 listopada; lekarz przyznał, że zrobił zakupy w firmie optycznej dla swojego brata, ale zaprzeczył, jakoby znał Verne'a Millera. „Ten ptaszek na pewno jest kłamcą”, napisał Hoover w notatce służbowej następnego ranka.

* Touhy został skazany w lutym następnego roku za porwanie Jake'a Factora.

Wydano nakaz aresztowania Ala Silversa i szybko przyszła dobra wiadomość: Silversa znaleziono już następnego dnia w Connecticut. Zła wiadomość natomiast była taka, że znaleziono go martwego. Silvers leżał na polu niedaleko miejscowości Komers nagi, wokół szyi miał owinięty sznur do wieszania bielizny, a jego twarz stanowiła krwawą miazgę, prawdopodobnie na skutek użycia młotka. Nazajutrz informator nowojorskiej policji doniósł, że Silvers został zamordowany przez gang Zwillmana za to, że bez pozwolenia udzielił Millerowi pomocy, wzbudzając w ten sposób niepożądane zainteresowanie poczynaniami gangu. Po siedemdziesięciu latach to zabójstwo nadal pozostaje niewyjaśnione.

FBI od miesięcy słyszało pogłoski, że przestępcze podziemie chce, by polowanie na Millera, z towarzyszącymi mu policyjnymi nalotami i politycznymi naciskami, szybko się zakończyło. Teraz okazało się, że Biuro ściga się z bossami podziemia, żeby dopaść Millera. Hoover miał świadomość, że jeśli bandyci dostaną Millera pierwsi, sprawa masakry może nigdy nie zostać wyjaśniona. Właśnie dlatego 28 listopada po południu, osiem dni po znalezieniu ciała Silwersa, czterech ludzi z FBI siedziało w biurze prawniczym w centrum

Manhattanu i przesłuchiwało Lepke Buchaltera.

Właściwie nie wiadomo, czego agenci oczekiwali od uprzedząco grzecznego szefa spółki Murder Inc. W tym przypadku Buchalter okazał się mało pomocnym świadkiem. Otwarcie przyznał, że zna Millera, i opowiedział agentom, jak w Święto Dziękczynienia w 1932 jadł obiad z Millerami i Frankiem Nashem, jak zimą grał w golfa z Millerem w Hot Springs, a nawet o tym, jak latem nadskakiwał Vi Mathias.

- Teraz nikt nie chce mieć nic wspólnego z Millerem - mówił⁶. - Ale jeśli się pojawi w Nowym Jorku, będziecie o tym wiedzieli.

Agenci naciskali, pytając, czy Miller może zostać zabity w ciągu najbliższego miesiąca, na co Buchalter „uśmiechnął się wymownie i powiedział, że nic o tym nie wie, ale będzie musiał popytać na mieście”.

Następnego wieczoru, w środę 29 listopada, FBI dostało odpowiedź. Vernon W. Northrop w drodze do domu z pracy zauważył coś na pustej parceli na obrzeżach Detroit. Było to nagie ciało mężczyzny leżące w rynsztoku, związane sznurem, w pozycji embrionalnej. Wezwano policję. Denat - wzrostu 174 cm, wagi 70 kilogramów - miał włosy i wąsy ufarbowane na rudo. Został zabity ośmioma lub dziewięcioma uderzeniami w czoło, najprawdopodobniej młotkiem. Wokół szyi miał owinięty sznur do wieszania bielizny, tak ciasno, że zmiażdżył mu grdykę; sześciometrowej długości końcówka sznura leżała na parceli.

To był Miller. Chociaż nigdy nie wykryto, kto go zamordował, wszyscy zdawali sobie sprawę, że Lepke wygrał ten wyścig. Hoover został z tyłu. „Upewnijcie się dokładnie, czy to Miller - pisał w notatce służbowej. - Nie polegajcie jedynie na słowie policji”⁷.

Jednak policja miała rację. Miller zginął, a wraz z nim przepadły wszelkie nadzieje na szybkie wyjaśnienie sprawy masakry. Znowu agenci wrócili do akt, odświeżając stare tropy i ponownie przesłuchując ludzi. Żadna z aresztowanych przez FBI osób nie miała do powiedzenia nic użytecznego. Na wolności pozostali tylko dwaj podejrzani, Pretty Boy Floyd i człowiek, który uciekł z więzienia razem z Harveyem Baileyem, bandyta o dzikim spojrzeniu, Wilbur Underhill z Oklahomy.

Ludzie Hoovera przeczesywali wschodnią połowę Oklahomy w poszukiwaniu ich obu, ale jak dotąd bez rezultatu.

Po śmierci Millera śledztwo w sprawie masakry zaczęło się rozwijać w nowych, dziwnych kierunkach. Następnego ranka Ted Conrój, nowy szef agentów w Kansas City, wysłał list do Hoovera. Pisał w nim, że dzięki przesłuchaniom, jakie jego agenci prowadzili w więzieniu stanowym w Kansas City, ma „niezwykle ważne” wiadomości na temat ludzi

biorących udział w masakrze. Zgodnie z teorią Conroya byli to bracia Fred i Dock Barkerowie⁸.

Był to już postęp - w pewnym sensie. FBI szukało właściwych podejrzanych, ale winnych niewłaściwego przestępstwa.

Pod koniec listopada gang Barkera wrócił z wakacji w Nevadzie wypoczęty i gotowy do pracy. Zadzwoiwszy się w świeżo wynajętych kwaterach w Chicago, Fred i Karpis pojechali do St. Paul, gdzie pewnego wieczoru na początku grudnia Harry Sawyer z Zielonej Latarni ściągnął ich na swoją farmę. Mieli sporo do nadrobienia. Proces Touhy'ego właśnie się zakończył; mocno się uśmiali z tego, jak wypadło FBI. Zastanawiali się prawie godzinę, kto zabił Verne'a Millera.

W końcu Karpis zapytał Sawyera, czy ma dla nich jakąś robotę. Owszem, miał. Ku zaskoczeniu Karpisa chodziło o kolejne porwanie, innego milionera z Twin Cities, Edwarda Bremera, trzydziestosiedmioletniego syna Adolpha Bremera, jednego z głównych finansowych sponsorów prezydenta Roosevelta. Bremerowie byli właścicielami browaru Schmidt. Karpis pomyślał, że Sawyer zwariował.

- Zdajesz sobie sprawę, jak się zrobi gorąco? - spytał.

- Co znaczy gorąco? - zachnął się Sawyer. - Wiesz, że mam tu swoje kontakty. Do diabła, chłopcy, dostaniecie te pieniądze bez problemu. Będzie tak jak z Hammem. Przy nim przecież nie było żadnych kłopotów.

- To będzie zupełnie co innego - upierał się Karpis. - Wiesz tak samo dobrze jak ja, ile ten gość wydał forsę na kampanię Roosevelta. Mówili mi, że dał trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów i mógł zostać ambasadorem w Niemczech.

Sawyer parsknął śmiechem.

- Nie wiem, ile dał, ale faktycznie mógł być ambasadorem.

- To wcale nie będzie tak jak z Hammem - powtórzył Karpis. - Chodzi o ważnego sukinsyna. Jak myślisz, ile pieniędzy powinno się wziąć za kogoś takiego? Ja bym go nie tykał za mniej niż pół miliona dolarów.

- Tyle nie dostaniesz za nikogo - ostudził go Sawyer. - Zachowajmy rozsądek.

- W takim razie ile?

- Bez problemu zgarniesz dwieście tysięcy.

- Nie wciskaj mi kitu o braku problemów - powiedział Karpis. - Bo z czegoś takiego mogą wyniknąć same problemy.

Sawyer zwrócił się do Barkera, który dotąd w ogóle nie zabrał głosu.

- Co ty o tym sądzisz, Freddie?

- Dwieście tysięcy dolarów brzmi nieźle. - Barker popatrzył na Karpisa. - Po co tyle gadania o tym, że będzie gorąco? Od 1931 cały czas jest gorąco.

- Okay, Freddie - powiedział Karpis. - Ale powiadam ci, że to będzie coś zupełnie innego, niż dotąd robiliśmy. - Karpis zgodził się do nich dołączyć, jeśli tego zechcą. - Ale wolałbym rabować banki choćby codziennie. Wszystko inne bym wolał od porwania tego gościa. Jak już mamy kogoś porwać, to porwijmy kogokolwiek, byle nie jego. I przenieśmy się do jakiegoś innego miasta. - Rozmawiali o pracy w Chicago lub Indianie, ale gang Dillingera rozsierdził policję w obu tych miastach. Sawyer upierał się, że w St. Paul jest najlepiej: skorumpowani gliniarze, pod dostatkiem ludzi do pracy, no i nie ma Dillingera. Przed świtem osiągnęli kompromis: jeśli Shotgun George Ziegler zaaprobuje pomysł, Karpis weźmie w tym udział.

W drodze powrotnej do Chicago Karpis i Fred kontynuowali rozmowę o porwaniu Bremera. Karpis mógł podać tysiąc powodów, dla których nie powinni tego robić. Przypomniał Fredowi między innymi, jak łatwo FBI wpadła na trop pieniędzy z okupu odebranego przez Maszynę Gun Kelly'ego.

- Boże, ależ ty się ciągle martwisz - stwierdził Fred.

To była prawda. Karpis uświadomił sobie, w jakim napięciu żyje, dopiero kiedy jego dziewczyna zauważyła, że bardzo schudł. Obiecał jej, że będzie jadł codziennie pół kilo lodów, żeby wrócić do dawnej wagi.

- Lepiej żebyśmy zaczęli zarabiać jakieś pieniądze - powiedział do Freda Barkera. - I kombinować, jak się wynieść z tego kraju, bo będzie naprawdę kiepsko. Wystarczy poczytać w gazetach, co mówi Hoover, co mówi prokurator generalny. Chcą wprowadzić te wszystkie prawa i dostaną o wiele więcej ludzi do FBI... Dlatego, cokolwiek byśmy mieli robić dla pieniędzy, lepiej to zrobić do przyszłego lata i wynosić się stąd, bo inaczej obu nas zabiją albo złapią.

Barker nic na to nie odpowiedział.

- To mi przypomina o twojej matce - ciągnął Karpis. - Mówiłem ci o tym już ze dwa albo trzy razy, że musimy przestać z nią mieszkać. Wiesz o tym, tak?

Barker przyjął postawę obronną, jak zawsze, kiedy Karpis poruszał temat jego matki.

- Przecież wynająłem to mieszkanie - powiedział, robiąc aluzję do nowej kwatery, w której umieścił Ma.

- No tak, ale nie możesz tam mieszkać. Zamieszkasz u siebie. - Nawet w te wieczory, kiedy umawiał się ze swoją sympatią, harpiowatą pijaczką Paulą Hormon, Barker chodził spać do matki. Karpis zrezygnowany porzucił temat. Nie sposób było rozmawiać z Fredem o

jego matce. Mieszkała się do wszystkiego, zawsze narzekała na ich dziewczyny i w razie wypadku mogli przez nią zginąć. Jak zręczna podczas ucieczki mogła być sześćdziesięcioletnia kobieta?

- Wiesz co, dajmy spokój z moją matką - odezwał się Barker, kiedy już dotarli do Chicago. - Czuje się samotna. Ciągłe pyta, czemu do nas częściej nie przychodzisz*[* Rozmowa przytoczona z zapisków Karpisa.].

Następnego dnia Karpis zastał Ma bez reszty pochłoniętą układaniem puzzli. Poświęcała im codziennie długie godziny i zawsze kiedy Karpis przychodził z wizytą, wciągała go do pomocy. Gdy usiadł obok Ma, z sypialni wyszedł nieco chwiejnym krokiem Fred. Najwyraźniej miał za sobą długi wieczór.

- Byłem wczoraj u Pauli - powiedział niskim głosem.

- A co na to twoja matka? spytał złośliwie Karpis. - Mówiła ci, co myśli o takich późnych powrotach do domu? - Fred bardziej bał się własnej matki niż policji.

Kilka dni później Karpis wstąpił do mieszkania George'a Zieglera i przedstawił mu pomysł uprowadzenia Bremera dla okupu.

- Myślę, że to gra warta świeczki - powiedział Ziegler. - Tak, poszedłbym na to. Z drugiej strony... można zrobić coś innego. Porwać kogoś w Chicago.

- Kogo? - spytał Karpis.

- Mam na myśli faceta z organizacji. Karpisowi serce podeszło do gardła.

- Z organizacji?

- No tak. Czemu nie?

- Karpis nie wspomniał o swoim spotkaniu z Frankiem Nittim.

- Słyszałeś kiedyś o Dennisie Cooneyu? - spytał Ziegler.

- Czy on przypadkiem nie odpowiada za wszystkie dziwki i burdele?

- Tak, o niego mi chodzi. Jego żona ma trzysta tysięcy dolarów odłożone w sejfie depozytowym. To łatwy łup.

Karpis przez następne dwa tygodnie chodził jak cień za Dennisem Cooneyem, opracowując najlepszy sposób porwania. Siedząc którejs nocy przed domem Cooneya, zaczął się zastanawiać, co byłoby gorsze: zostać złapanym przez J. Edgara Hoovera czy przez Franka Nittiego. Ostatecznie Ziegler podjął decyzję za niego. Pewnego wieczoru pojechali za miasto. Ziegler milczał przez większą część drogi.

- Wezwali mnie dziś do centrum - odezwał się w końcu. - Kto?

- Wiesz, dla kogo pracuję. Karpis spojrzał na niego z ukosa.

- Wiem.

- Pytali mnie, czy słyszałem plotki, że Dennis Cooney ma zostać porwany.

Ziegler opowiedział, jak bossowie syndykatu poprosili go, żeby zbadał sytuację i jeśli pogłoski są prawdziwe, wyszedł i zabił niedoszłych porywaczy. Nie domyślał się, skąd te plotki się wzięły. Ktokolwiek je rozsiewał, porwanie Cooneya przestało wchodzić w grę.

- Cóż - westchnął - w takim razie możemy jechać do St. Paul i zająć się tamtym gościem.

I tak zapadła decyzja. Mimo obaw Karpisa mieli dokonać kolejnego porwania w St. Paul. Karpis złożył sobie samemu obietnicę: jeśli uda mu się ten ostatni raz, odejdzie z gangu.

San Francisco ostatnie dni grudnia

Jaskrawe światło neonów, czerwonych, niebieskich i żółtych, przedzierało się przez wilgotną mgłę nadpełzającą znad zatoki San Francisco. Na wąskim odcinku Pacific Street, pełnym tawern i sklepów z różną tandetą, świętujący chwiejnym krokiem wędrowali od baru do baru, śmiejąc się i poklepując po plecach napotkanych znajomych. Z drzwi lokalu Spider Kelly's dobiegały dźwięki jazzu. Na chodniku korpulentny Włoch przeciskał się do wejścia pomiędzy turystami. Był to Fatso Negri, stary znajomy Baby Face Nelsona od szmuglowania alkoholu. Negri poczuł, że ktoś go pociąga za łokieć. Odwrócił się rozszłoszczony... i szczeka mu opadła. Przed nim, w czapce opuszczonej nisko na czoło, stał Nelson we własnej osobie.

- No nie... Jimmy Burnell! - wykrzyknął Negri, używając nazwiska, którym Nelson posługiwał się w starych czasach. - Skąd się tu wziąłeś?

Nelson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przywiało mnie ze wschodu - powiedział. - Muszę przyznać, że robisz się z każdym dniem coraz grubszy. - Odwrócił się do dziewczyny stojącej obok niego. - To moja żona Helen - przedstawił.

- Miło poznać - powiedział Negri, wyciągając rękę.

Weszli do środka, gdzie Nelson opowiedział Negriemu o swoim nowym gangu i jego dokonaniach. We wrześniu, po ucieczce z domu nad jeziorem w Indianie przed zbirami Franka Nittiego, Nelson przeniósł się do St. Paul. Sierpniowy napad z Eddiem Bentzem w Grand Haven w Michigan przekonał Nelsona, że jest już gotów poprowadzić własny gang, który bez trudu zebrał spośród talentów okupujących Zieloną Latarnię. Jednym z wybranych był Homer Van Meter, tyczkowaty samotnik, który zaprzyjaźnił się z Dillingerem w więzieniu[*]. Po wyjściu na zwolnienie warunkowe Van Meter kręcił się po East Chicago. Spotkał tam Nelsona; z akt FBI wynika, że pomieszkiwał zarówno u DiHingera, jak i u

Nelsona. Chcąc uciec z Indiany, gdzie był dobrze znany policji, pojechał za Nelsonem do St. Paul i zgadzał się brać udział w każdym jego przedsięwzięciu.]. Drugim - Tommy Carroll, który w sierpniu wraz z nimi napadł na bank w Grand Haven. Carroll, przystojny, mierzący 183 cm osiłek ze spleśzczonym nosem, był pijakiem i kobieciarzem uwielbiającym nocne kluby St. Paul. Miał żonę, stałą kochankę, a do tego jeszcze romansował z Jean Delaney, starszą siostrą nastoletniej kochanki Alvina Karpisa, Delores Delaney.

Pierwszym celem tego trio był First National Bank w Brainerd, dwie godziny drogi na północ od St. Paul. W październiku, po wynajęciu dwóch miejscowych zbirów do najcięższej roboty, Nelson i jego ludzie przenieśli się do domków w miejscowości wypoczynkowej Sebago, dwadzieścia kilometrów na północ od Brainerd. Przez dziesięć dni krążyli po ulicach Brainerd, wstępując do banku pod różnymi pretekstami i ucząc się przy tym nazwisk możliwie największej liczby pracowników. Nelson wynajął nawet przewodnika, żeby go oprowadził, rzekomo chcąc ocenić nieruchomość⁹. W noc przed napadem odciął linie telefoniczne banku.

W poniedziałek 23 października przystąpili do akcji. Kiedy pojawił się stróż, żeby otworzyć drzwi do piwnicy za pięć szósta rano, przystawili mu pistolet do pleców. Jeden z napastników kazał otworzyć drzwi. Stróż odparł, że nie ma klucza.

- Akurat nie masz - warknął gangster. - Otwierałeś te drzwi przez ostatnie dziesięć dni.

Kiedy w końcu stróż zrobił, co mu kazali, Carroll machnął ręką i podbiegł do nich dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi. Jednym z nich był Nelson. We trzech zajęli pozycje w głównej sali, natomiast Van Meter, ubrany w strój myśliwski, z bronią maszynową ukrytą w drewnianej skrzynce, stał na zewnątrz. Pracownikom, którzy zaczęli się już schodzić, kazano się kłaść na podłodze. Nelson chwycił Zane'a Smitha, siedemnastoletniego gońca, walnął go w szczękę i zaciągnął do bocznego pomieszczenia. Tam zapytał, ile pieniędzy jest w skarbcu. Smith twierdził, że nie wie; Nelson zagroził wówczas, że wetknie mu do uszu zapalone papierosy, „żeby otrzymać lepsze odpowiedzi”.

Któryś z kasjerów w końcu otworzył skarbiec. Po splądrowaniu skarbcza i wygarnięciu gotówki z szuflad gangsterzy zapędzili zakładników do męskiej toalety, ostrzegając, że zastrzelą każdego, kto ośmieli się wystawić głowę. Nelson ostatni wycofał się z banku przez frontowe drzwi. Znalazłszy się już na chodniku, uniósł pistolet maszynowy i strzałem wybił szybę w drzwiach. Przechodnie widzieli, jak potem strzelał w chodnik, a odbite od betonu kule odskakiwały gwałtownie na boki. Kiedy już wsiedli do auta i odjeżdżali, Nelson wystawił broń za okno i zaczął strzelać na oślep, zostawiając ślady kul na fasadzie budynku YMCA¹⁰. Nikt nie został ranny.

To był owocny napad, łup wyniósł 32 000 dolarów, więcej niż 6000 na osobę. Wszyscy wrócili do St. Paul, gdzie mieszkali trzy tygodnie później, kiedy to policja zrobiła nalot na kwaterę Carrolła. Wprawdzie Carrollowi udało się zbiec po walce, ale Nelson rozkazał, żeby wszyscy wynieśli się z miasta. Zostawiając małą córeczkę u swojej matki w Chicago, zabrał żonę Helen oraz czteroletniego synka RONALDA i we troje pojechali na południe do San Antonio, gdzie 22 listopada zameldowali się w obozie turystycznym Johnson Courts na South Press Street*[* Nelson tamtego lata odwiedził to teksaskie miasto wcześniej już dwukrotnie, kupując broń od rusznikarza Heiniego Leibmana. Przedstawił ich sobie nawzajem Eddie Bentz.]. Pozostali członkowie gangu dołączyli do nich wkrótce i zakotwiczyli tam na dłuższe wakacje. Nelson spędzał większość czasu w pobliskim garażu i w warsztacie rusznikarza w centrum miasta. Reszta włóczyła się po burdelach i barach.

Kłopoty zaczęły się dwa tygodnie później, kiedy burdelmama z przybytku odwiedzanego często przez Carrolła i innego członka gangu Chucka Fishera zauważyła pistolet maszynowy w ich samochodzie. 9 grudnia wezwała miejscowego detektywa, wyjawiając mu swe podejrzenia, że wskazani goście są „groźnymi gangsterami z północy”. Detektyw przekazał wiadomość szefowi agentów z San Antonio Gusowi Jonesowi. Nikt nie wiedział, kim są podejrzani; pseudonim Baby Face Nelson nic nikomu nie mówił. Janes dobrze znał zarządcę budynku, w którym mieszkał Fisher, więc pojechał tam i obejrzał pokój. Nie dopatrzył się jednak niczego szczególnego.

Dwa dni później, w poniedziałek 13 grudnia po południu, burdelmama zadzwoniła na policję w San Antonio z drugim doniesieniem. Jeden z gangsterów miał przyjechać do niej, żeby zabrać dziewczynę na konną przejażdżkę. Dwaj detektywi, H.C. Perrin i Al Hartman, siedzieli w samochodzie przed burdelem, kiedy podjechała taksówka, wysiadł z niej Tommy Carroll i podbiegł do drzwi. Po chwili z dziewczyną wrócił do taksówki. Detektywi pojechali za nimi.

Carroll zorientował się, że mają „ogon”. Jechali przez centrum East Commerce Street. Jakiś kilometr przed Alamo Carroll kazał kierowcy się zatrzymać. Wskoczył z taksówki i wbiegł w uliczkę za rogiem. Detektyw Perrin uzbrojony w strzelbę z krótką lufą i Hartman ze służbowym rewolwerem rzucili się w pościg”.

Uliczka okazała się ślepym zaułkiem. Carroll wychylił się i strzelił do nadbiegającego Perrina. Pierwsza kula trafiła detektywa między oczy. Następne roztrzaskały prawy nadgarstek i łokieć detektywa Hartmana. Carroll przebiegł kawałek ulicą, wymierzył z pistoletu do kierowcy przejeżdżającej furgonetki, wskoczył do środka i już go nie było. Tamtej nocy wywiało z miasta cały gang Nelsona, nie uciekł tylko Chuck Fisher, złapany

przez Gusa Jonesa w swoim mieszkaniu*[* Chuck Fisher nic nie powiedział policji w San Antonio. „Wydobyłem z niego tyle, co kot napłakał”, powiedział dziennikarzom komisarz. Fishera wysłano do Le-avenworth z oskarżeniem o wyjątkowo groźny napad rabunkowy, ale tam też nic nie powiedział FBI. Przez następne cztery miesiące nikt się nie zorientował, że Nelson był w San Antonio.]

Gang się rozproszył. Van Meter i Carroll wrócili do St. Paul, natomiast Nelson pojechał na zachód, przez Nowy Meksyk i Utah; kilka dni przed Bożym Narodzeniem dotarł do San Francisco. Właśnie wtedy spotkał Fatsa Negriego przed barem na Pacific Street. Przez kilka dni Nelson snuł plany błyskawicznej akcji rabowania banków na Środkowym Zachodzie, którą zamierzał przeprowadzić wiosną. Negri zgodził się do niego dołączyć.

Dobre czasy gangu Dillingera skończyły się nagle 14 grudnia, kiedy to wysłano detektywa policji z Chicago, by sprawdził doniesienie, że samochód marki Auburn jest naprawiany w pewnym garażu na Broadwayu. John Hamilton pojawił się na miejscu tamtego popołudnia. Kiedy detektyw William Shanley do niego podszedł, Hamilton spanikował i zastrzelił Shanleya. Potem uciekł. Wiadomość o zabiciu detektywa Shanleya znalazła się na pierwszych stronach gazet i doprowadziła do tego, że dwa dni później władze policji w Chicago utworzyły specjalny czterdziestoosobowy oddział, który miał za zadanie ostatecznie rozwiązać sprawę Dillingera.

Dillinger uznał, że czas wybrać się na długo planowane wakacje na Florydzie. Gang opuścił miasto konwojem złożonym z czterech aut. Dillinger pierwszy dotarł 19 grudnia do Daytona Beach, gdzie wraz z Billie Frechette szybko wynajął przestronny piętrowy dom, w którym pokoi wystarczało dla wszystkich. Następny tydzień upłynął im na spacerach po plaży i łowieniu ryb. Cieszyli się, że są daleko od Chicago; dla większości członków gangu był to pierwszy w życiu pobyt nad oceanem. Po kilku dniach wsiedli do samochodów i udali się na dwudniową wycieczkę do Miami, gdzie znaleźli rozrywkę na psich wyścigach i w paru nocnych klubach.

Kilka dni po świętach, wróciwszy do Daytona, Billie postanowiła pojechać z wizytą do rodziny mieszkającej w Wisconsin i spędzić tam resztę wakacji. Długo utrzymywało się przekonanie, że podjęła tę decyzję po kłótni z Dillingerem - trzydzieści lat później Mary Kinder twierdziła, że Dillinger podbił wówczas ukochanej oko - ale nie ma na to żadnych dowodów. Dillinger został, mówiąc, że zobaczą się po Nowym Roku.

Shawnee w Oklahomie

30 grudnia, sobota godz. 1.45

Ze wszystkich umiejętności, jakie ludzie Hoovera próbowali opanować tamtej zimy, strategia i taktyka posługiwania się bronią były zdecydowanie najtrudniejsze. W większości placówek prowadzono kursy strzeleckie, ale butelki po napojach i papierowe tarcze nie odpowiadały ogniem. Chwywania uzbrojonych zbiegów ludzie z FBI mieli się nauczyć dopiero po wielu pogrzebach.

Po klęsce, jaką była ucieczka Verne'a Millera w Halloween, następna próba ogniowa nastąpiła w strugach zimnego deszczu w Shawnee, małej miejscowości na wschód od Oklahoma City. Tamtego wieczoru Ralph Colvin, szef agentów w Oklahoma City, wraz z oddziałem FBI i policji podkładał się przez gęstą mgłę do tylnych drzwi oszalowanego deskami domu, gdzie według informatora ukrywał się Wilbur Underhill. Colvin od tygodni deptał Underhillowi po piętach. W przeciwieństwie do Pretty Boy Floyd, który zapadł się pod ziemię, Underhill pojawiał się w różnych częściach stanu, rabując banki. Dla FBI stanowił najlepszą szansę na wyjaśnienie sprawy masakry w Kansas City.

Kiedy Colvin zbliżył się do domu, rozległo się szczekanie psa. Colvin miał u boku detektywa z Oklahoma City Clarence'a Hurta; lubił Hurta i za kilka miesięcy miał go namówić na przejście do FBI. Szybko przebiegli przez błotniste podwórko pod okno sypialni. Zasłony były rozsunięte. W środku zobaczyli mężczyznę w długich kalesonach. To był Wilbur Underhill. Obok na łóżku siedziała kobieta.

- Ręce do góry, Wilbur! - zawołał Hurt. - Jesteśmy przedstawicielami prawa!

Underhill zamarł. Zaczął podnosić ręce, a potem nagle odwrócił się do okna. Hurt wystrzelił pocisk z gazem łzawiącym, który rozbił szybę, uderzył Underhilla w pierś i sycząc, spadł na podłogę. Colvin wystrzelił trzy serie z pistoletu maszynowego. Posypało się szkło. Underhill upadł.

Na odgłos strzałów policjanci i agenci znajdujący się z drugiej strony domu otworzyli ogień ze strzelb, pistoletów i broni maszynowej. Dom aż się trząsł, kiedy kule siekły drewnianą konstrukcję. Colvin i Hurt wycofali się, pochyleni nisko ku ziemi. Funkcjonariusze za ich plecami także zaczęli strzelać. Wszystkie szyby w oknach zostały rozbite. Dom zaczęła wypełniać chmura gazu łzawiącego.

Znienacka Underhill ukazał się w progu, ubrany jedynie w bieliznę i skarpetki. Trzech agentów strzeliło do niego; nowicjusz Tyler M. Birch opróżnił cały magazynek*[* Urodzony w Falls Church w Wirginii w 1901 r. Tyler M. Birch przystąpił do służby w FBI zaledwie dwa miesiące przed tamtą strzelaniną. Zrezygnował z pracy w Biurze w 1938, walczył podczas drugiej wojny światowej oraz wojny koreańskiej. Zmarł w grudniu 1981 w wieku 80 lat.].

Underhill odwrócił się, strzelił, po czym zeskoczył z ganku. Pośliznął się na błotnistym gruncie i upadł. W powietrzu świsnęły kule. Underhill się podniósł, znów upadł, znów się podniósł i chwiejnie przeszedł na sąsiednie podwórko. Przez cały czas, nie wiedząc czemu, ludzie z FBI wciąż mierzyli w dom. Underhill rozpląnął się we mgle.

Kiedy strzelanina ustała, dał się słyszeć jakiś ruch wewnątrz domu. Colvin zawołał, by wszyscy wyszli. Jeden ze współników Underhilla wyczołgał się na zewnątrz oślepiony przez gaz, krwawiąc obficie z ran w łokciu i barku. Za nim ukazała się krzycząca przeraźliwie kobieta; została trafiona dwoma kulami w brzuch. Po kilku minutach detektyw Hurt namówił także żonę Underhilla do opuszczenia domu.

Kiedy już całą trójkę zapakowano do karetki, przedstawiciele prawa ruszyli tyralierą przez miasto, oświetlając latarkami każdy zaułek i zaglądając pod domy w poszukiwaniu Underhilla. Był ranny, więc nie mógł uciec daleko. Colvin zadzwonił do więzienia stanowego w McAlester, sto sześćdziesiąt kilometrów na wschód, prosząc o przysłanie psów tropiących. Do świtu nie znaleziono żadnych śladów zbiega.

Wreszcie, tuż przed siódmą, policja w Shawnee odebrała telefon od właściciela komisju meblowego, który powiedział, że Underhill jest w jego sklepie na Main Street. Ośmiu policjantów i funkcjonariuszy z biura szeryfa udało się tam niezwłocznie. Znaleźli Underhilla leżącego na łóżku na zapleczu. Pościel była czerwona od krwi. Underhill wyglądał strasznie. Kula trafiła go w czoło, wydarła pas włosów i odcięła lewe ucho. Brzuch miał pocętkowany śladami kul, z których jedna wyszła przez plecy. Nie stawiał oporu.

- Chyba mnie macie - wychrypiał.

Stanley Rogers, szeryf z Oklahoma City, podszedł bliżej.

- Kiepsko z tobą, Underhill - powiedział.

- Zgadza się, jestem podziurawiony jak sito - przyznał Underhill. - Trafili mnie pięć razy. Liczyłem każde trafienie.

Zabrano go do szpitala, gdzie przez cały dzień na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Agenci tłoczyli się przy jego łóżku, próbując wypytać o masakrę. Dopiero Frank Smith, „kowboj”, który przeżył masakrę, nakłonił Underhilla do mówienia. „Underhill był przekonany, że umiera, i w takich okolicznościach zapewnił agenta Franka Smitha, że ani on, ani Harvey Bailey nie mieli nic wspólnego z masakrą w Kansas City - pisał agent do Hoovera. - Zeznanie złożone w takich okolicznościach zapewne jest prawdziwe”.

Następnego dnia Underhill został zabrany do szpitala więziennego w McAlester, gdzie zmarł 7 stycznia. Hoover nie miał wyboru, musiał przyjąć na wiarę jego wyznanie złożone na łożu śmierci. Po sześciu miesiącach wysiłki Biura zmierzające do wyjaśnienia masakry w

Kansas City utknęły w martwym punkcie.

Rok się skończył, nowa federalna wojna z przestępczością trwała już prawie sześć miesięcy. Z perspektywy czasu rok 1933, choć obfitujący w wydarzenia, stanowił jedynie preludium, rodzaj przedłużonego szkolenia dla FBI i narodu. Mimo wysiłków prokuratora generalnego Homera Cummingsa, by uczynić z przestępczości problem skali państwowej, do tego momentu pozostawała ona raczej zjawiskiem o zasięgu regionalnym. Historię halloweenowej ucieczki Verne'a Millera gazety w Chicago i Kansas City zamieszczały na pierwszych stronach, pod krzyczącymi nagłówkami, a ten sam temat zajmował ledwie osiem akapitów w środku „New York Timesa”.

Narodowej policji Hoovera brakowało grupy narodowych przestępców, z którymi mogłaby walczyć na narodowej scenie. Rok 1934 miał mu dostarczyć pięć takich grup. Każda z nich objawiła się w łatwo rozpoznawalnej, chętnie eksploatowanej przez media postaci: rodziny porywaczy, kochanków-uciekierów, charyzmatycznego zbiega-artysty, maniackalnego zabójcy i niezrozumianego przez otoczenie chłopca z prowincji. Dla każdej z tych grup sezon świąteczny był chwilą odpoczynku przed nadciągającą burzą.

Nikt tak naprawdę nie wie, co robili Bonnie i Clyde; według siostry Clyde'a Nell prawdopodobnie spędzili święta sami w opuszczonym domu na Wielkiej Równinie Prerii. Pośród wzgórz Oklahomy rodzina Pretty Boy Floyda zastanawiała się, co też on może robić; nikt nigdy się tego nie dowiedział. Baby Face Nelson spędził święta w Bay Area. Zbikowana Ma Barker zaskoczyła gang, wydając bożonarodzeniowy obiad w swoim mieszkaniu w Chicago. Wszyscy wymieniali się prezentami: dawali sobie torebki, perfumy i błyszczące przybory toaletowe.

Przez cały wieczór Ma była jakby inną kobietą śmiała się i okazywała życzliwość dziewczynom członków gangu.

- Możesz przychodzić, kiedy tylko zechcesz! - powiedziała do Delores Delaney pod koniec przyjęcia. - Może wybierzemy się razem do miasta na zakupy?

Jadąc do domu, Delaney i Karpis usiłowali zgłębić tajemnicę nagłej zmiany w zachowaniu Ma.

- Co w nią wstąpiło? - zastanawiał się na głos Karpis.

- Staruszka czuje się samotna - westchnęła w odpowiedzi Delaney.

W Daytona Beach gang Dillingera zorganizował huczną zabawę sylwestrową. To był jedyny raz, kiedy członkowie gangu widzieli Dillingera pijanego. W ostatnich minutach 1933 roku wyszedł na balkon z Mary Kinder, machając pistoletem maszynowym.

- Myślisz, że mógłbym go zestrzelić? - spytał, wskazując księżyc. Kiedy zegar wybił

północ i rozbrzmiały kościelne dzwony w całym mieście, Dillinger skierował lufę w górę i wystrzelił ogłuszającą serię nad Atlantyck.

Rozproszonych tamtej nocy po San Francisco, Chicago i Florydzie członków wszystkich tych gangów łączyło co najmniej jedno: po raz ostatni w życiu świętowali nadejście nowego roku.

8

„ATAK NA WSZYSTKO, CO JEŚĆ NAM DROGIE”

2-28 stycznia 1934

W pierwszych dniach 1934 roku gang Dillingera, Bonnie i Clyde oraz Barkerowie zaczęli się mobilizować do większych operacji. Karpis i Barkerowie pierwsi zabrali się do roboty; przyjechali z Chicago do St. Paul 2 stycznia i spotkali się w mieszkaniu wynajętym przez Freda Barkera. Było ich siedmiu do porwania Edwarda Bremera: Karpis, bracia Barker, Shotgun George Ziegler, starzy znajomi Bill Weaver i Volney Davis oraz nowy człowiek z Tulsy, Harry Campbell.

Przez cały tamten tydzień Karpis z Fredem Barkerem śledzili Bremera. Najlepszym momentem do dokonania porwania był bez wątpienia ranek, kiedy młody prezes banku podrzucał swoją dziewięcioletnią córkę do Summit School na Goodrich Avenue. Był wówczas sam, a na ulicach wokół szkoły panował spokój. Wiecznie czymś strapiony Karpis martwił się samochodami, których mieli użyć. W styczniu w St. Paul było bardzo zimno. Temperatura każdej nocy spadała do dziesięciu stopni poniżej zera. Kupili dwa nowe buicki i Karpis kazał je wyposażyć w radia, wzmocnione ogrzewanie oraz urządzenia do odmrażania szyb. Tylko tego brakowało, żeby auto, którym mieli uciekać, wysiadło na mrozie.

Każdego wieczoru Karpis i Barker zwoływali gang, żeby omówić postępy w przygotowaniach poczynione w ciągu dnia; spotykali się w mieszkaniu Billa Weavera na pierwszym piętrze ceglanego apartamentowca Kensington na Portland Avenue. W piątek 12 stycznia plany były już prawie dopięte na ostatni guzik, kiedy Karpis i Barker po zapadnięciu zmroku wracali do Weavera. Zaparkowawszy samochód obok budynku, zauważyli, że jakiś człowiek, stojąc na skrzynce, zagląda do okna sąsiedniego domu. Nagle ich zobaczył, zeskoczył na ziemię i zniknął za rogiem.

Karpis i Barker wymienili spojrzenia; wyglądało na to, że widzieli policjanta, który sprawdzał nie ten budynek, co trzeba.

- Niedobrze - przyznał Dock Barker, gdy już na gorze opowiedzieli o zdarzeniu. -

Wyjdę i zobaczę, co się dzieje. - Wrócił po kilku minutach. - Tam na rogu stoi jakiś człowiek - oznajmił. - Dziwne, że stoi bez płaszcza w taką pogodę.

Zastanawiali się, co robić. Wreszcie Karpis powiedział, że pogada z Harrym Sawyerem w Zielonej Latarni. Jeśli ich obserwowano, Sawyer może zadzwonić do swojej wtyczki w policji i to sprawdzić.

Postanowili opuścić budynek parami. Dock wyszedł pierwszy, żeby wybadać sytuację. Po chwili wrócił zmartwiony.

- W bocznej alejce stoi auto z dwoma policjantami - powiedział.

- O Chryste, niedobrze - westchnął Karpis.

Wysłali Docka, żeby podprowadził samochody pod główne wyjście z budynku. Wróciwszy tym razem, stwierdził, że policjanci w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Wyglądało na to, że obserwują sąsiedni budynek.

- Chodźmy - powiedział któryś z członków gangu i wszyscy udali się do czekających pojazdów. Policjantów nigdzie nie było widać. Bez przeszkód dojechali do mieszkania Freda. Jednak Fred nie był zadowolony. Musiał wiedzieć, czy plan upadł, i nie mógł z tym czekać na Sawyera; jeśli jednak byli pod obserwacją, mogli się wszyscy znaleźć w Chicago jeszcze przed świtem. Fred postanowił wrócić do Weavera.

- Skoro już - powiedział Karpis - to lepiej weź ze sobą trochę sprzętu. Jedna spluwa to za mało.

Barker podszedł do szafy i wyciągnął pistolet maszynowy z dwoma bębenkami po 50 nabojów. Razem z Karpisem wsiedli do chevroleta Docka. Fred prowadził, Karpis siedział obok z thompsonem na kolanach. Dotarli do Weavera po północy.

- Mam się przejechać tą alejką? - spytał Barker.

- Jasne, przejedźmy się - powiedział Karpis.

Ruszyli ukryci w cieniu. Policyjnego auta nie było. Dotarli do końca i wyjechali na ulicę. Teren był gęsto zabudowany apartamentowcami, po obu stronach jezdni stały rzędy zaparkowanych samochodów. Kiedy skręcili za róg, za nimi błysnęły światła reflektorów: jeden z zaparkowanych pojazdów ożył i ruszył od krawężnika.

Karpis odwrócił się na siedzeniu.

- Jadą za nami - powiedział.

- Widzę - mruknął Barker.

Cały czas utrzymując niewielką prędkość, skręcili za róg, potem za drugi. Tamci uparcie jechali za nimi. Karpis obejrzał się, usiłując dojrzeć, kto siedzi w śledzącym ich aucie. Zobaczył dwie sylwetki. Kierowca miał na głowie spiczasto zakończony kapelusz -

umundurowany funkcjonariusz drogówki.

- Faceci wyglądają na policjantów, zgadza się - powiedział. - U diabła, co teraz zrobimy?

- Możemy zrobić tylko jedno - odparł Barker. - Powstrzymamy ich. Okrążyli jeszcze jeden róg, przeciskając się wąską ulicą między rzędami zaparkowanych samochodów.

- Jak masz zamiar ich powstrzymać? - spytał Karpis.

- Przyspieszę mocno i skręcę za róg, a ty wyskoczysz z tą maszyną i jeśli się pokażą, zaczniesz strzelać.

Kiedy się zbliżali do następnego rogu, Karpis czuł nieprzyjemne łaskotanie w żołądku. Tuż za rogiem się zatrzymali. Karpis wysiadł na mróz z thompsonem w rękach. Barker wyskoczył z drugiej strony z czterdziestkąpiątką. Gdy samochód policjantów wyłonił się zza rogu, obaj otworzyli ogień. Rozpoczęła się ogłuszająca kanonada; samochód policjantów dygotał pod gradem kul. Karpis i Barker przyjrzeni się ostrzelanemu pojazdowi. Nie widać było nikogo w pozycji siedzącej. Szybko wskoczyli do chevroleta i odjechali. W mieszkaniu Freda włączyli radio i czekali na wiadomości. Nasłuchiwali całą noc, w ogóle nie kładąc się spać. Dopiero o świcie, kiedy Dock wybiegł po gazetę, dowiedzieli się, że strzelali do umundurowanego pracownika linii lotniczych Northwest.

Okazało się, że Roy McCord, radiooperator, jechał za Barkerem i Karpisem, bo myślał, że są podglądaczami. Tego wieczoru po powrocie z pracy dowiedział się od żony, że w pobliżu kręci się jakiś podejrzany typ; prawdopodobnie chodziło o mężczyznę, którego Karpis z Barkerem widzieli wcześniej. McCord, nadal ubrany w lotniczy mundur i spiczaste nakrycie głowy, wyszedł z domu z przyjacielem, żeby sprawdzić, co się dzieje, zobaczył auto Barkera i skończył w szpitalu z trzema ranami od kul. Przeżył. Jego przyjaciel nie został ranny.

Przez cały dzień członkowie gangu debatowali, czy należy zrezygnować z porwania Bremera. W końcu postanowili opóźnić akcję o dwa dni, przekładając ją na środę 17 stycznia. W tym czasie uderzyli Dillinger oraz Bonnie i Clyde.

East Chicago w Indianie 15 stycznia, poniedziałek

Po trzech tygodniach wygrzewania się w słońcu Florydy Dillinger pojechał z powrotem na Środkowy Zachód z Johnem Hamiltonem. Reszta gangu planowała przedłużyć sobie wakacje, ruszyła do Tucson w Arizonie. Dillinger powiedział, że chce po drodze zabrać Billie Frechette, i obiecał spotkać się z nimi w Tucson. W Chicago zamierzał spieniężyć obligacje, których dotąd nie udało im się pozbyć. Hamilton natomiast miał nadzieję zobaczyć

się z Pat Cherrington.

Według Cherrington, która później opowiedziała swoją historię FBI, Dillinger z Hamiltonem opuścili Florydę w niedzielę 14 stycznia. Hamilton tamtego popołudnia telegramem z Savannah wysłał prośbę, by zechciała się z nim umówić w jednym z chicagowskich hoteli¹. Po całonocnej jeździe dotarli do Chicago następnego ranka. Jeszcze tego samego dnia, prawdopodobnie cierpiąc na brak gotówki i nie mogąc sprzedać kradzionych obligacji, zdecydowali się obrabować bank. Była to decyzja podjęta pod wpływem impulsu. Niektórzy tłumaczyli ją rosnącą wiarą Dillingera we własną szczęśliwą gwiazdę, inni niecierpliwością, pragnieniem, by znów znaleźć się w centrum uwagi, jako że od dwóch miesięcy nie dokonał żadnego skoku.

Jakkolwiek było, tamtego dnia Dillinger zachowywał się jak wyposzczony aktor na jasno oświetlonej scenie. Wybrał bank w East Chicago, przeżartym korupcją przemysłowym mieście, gdzie spędził trochę czasu poprzedniego lata. Są dowody, że znał pewnych ludzi w tamtejszej policji, niektórzy sugerowali nawet, że napaść akurat na First National Bank była częścią z góry ustalonego planu. Jeśli tak, to ktoś zapomniał powiadomić resztę policji w East Chicago.

O 14.45 Dillinger i Hamilton wysiedli z auta zaparkowanego przed bankiem, zostawiając kierowcę, którego tożsamość nigdy nie została ustalona. W wyłożonej marmurem sali kasowej Dillinger wyciągnął pistolet maszynowy z - jak opisało kilku naocznych świadków - futerału na puzon.

- To jest napad! - zawołał, zaskakując kilkunastu klientów obecnych w banku. -
Wszyscy ręce do góry!

Wiceprezes banku Walter Spencer wcisnął guzik alarmu pod swoim biurkiem; przecznicę dalej, na komendzie policji rozległ się sygnał. Klienci z podniesionymi rękami zaczęli się ustawiać pod ścianą; jeden z nich zapomniał zabrać wypłaconą gotówkę z kasowej lady.

- Proszę podejść i wziąć swoje pieniądze - zwrócił się do niego Dillinger. - Nie chcemy pańskich pieniędzy. Tylko bankowe².

Hamilton stał obok, wyraźnie nie wiedząc, co robić.

- Idź, zbierz forszę - polecił mu Dillinger³.

Hamilton szybko wszedł od tyłu do kasowych boksów i zaczął zgarniać stosy banknotów z lad do skórzanej torby. Wtedy w drzwiach ukazał się funkcjonariusz policji Hobart Wilgus, zupełnie nieświadomy, że właśnie odbywa się napad.

Dillinger go zobaczył.

- Wchodzi gliniarz - rzucił do Hamiltona, który na moment się zawahał. - Nie spiesz się, mamy dość czasu - uspokoił go Dillinger. Odczekał, aż Wilgus znajdzie się w środku, i wtedy podszedł, by go rozbroić. Opróżnił magazynek pistoletu policjanta, po czym oddał mu bezużyteczną broń. Zauważył, że Wilgus przygląda się jego thompsonowi. - Och, proszę się nie bać - rzekł lekko. - Nawet nie wiem, czy działa.

Kiedy Hamilton podjął opróżnianie kas, Dillinger dostrzegł mężczyzn w garniturach, zmierzających szybko w stronę banku. Byli to detektywi po cywilnemu, wezwani alarmem. Hamilton także ich zobaczył. Dillinger, popisujący się przed widownią, udał całkowitą beztroskę.

- Nie przejmuj się tymi gliniarzami - uspokoił Hamiltona. - Bez pośpiechu. Dokładnie uprzętnij kasy. Zajmiemy się tymi ptaszkami, jak stąd wyjdziemy.

Zaraz potem Hamilton skończył robotę. Dillinger machnął thompsonem na Waltera Spencera.

- Proszę ze mną, panie prezesie - powiedział. Spencer spytał, czy może wziąć płaszcz. Dillinger zaprzeczył. - Nie idzie pan daleko. - Następnie chwycił za ramię Wilgusa. - Ty idziesz pierwszy. Mogą cię zastrzelić zamiast mnie. I tak was lubimy, chłopcy⁴.

Podobnie jak dwa miesiące wcześniej w Racine, prowadził zakładników przed sobą jako żywe tarcze. Tym razem jednak nie miał do czynienia z tłumem gapiów. Siedmiu policjantów z East Chicago czekało pod osłoną zaparkowanych aut i w bramach sklepów po obu stronach banku. Dillinger schylił głowę, kryjąc się za Wilgusem; Hamilton zasłaniał się Walterem Spencerem, trzymając go w mocnym uścisku. Przez długą chwilę, kiedy cała czwórka przesuwała się powoli do czekającego samochodu, nikt się nie odzywał. Dillinger nawiązał kontakt wzrokowy przynajmniej z jednym z policjantów; kilku z nich stało w odległości nie większej niż sześć metrów od niego. Do auta pozostało tylko kilka kroków i przez moment wszystko wskazywało na to, że Dillingerowi się powiedzie. I wtedy jeden z funkcjonariuszy, czterdziestotrzyletni detektyw Patrick O'Malley, zawołał:

- Wilgus!

Wilgus się odwrócił, dając O'Malleyowi możliwość strzału. O'Malley czterokrotnie nacisnął spust; przynajmniej jeden pocisk trafił w kuloodporną kamizelkę Dillingera.

Dillinger sprawiał wrażenie zaskoczonego. Po raz pierwszy w swej przestępczej karierze dał się ponieść nerwom.

- Spadaj! - warknął do Wilgusa, odpychając go na bok. - Dostanę tego sukinsyna⁵.

Uniósł broń i puścił serię w detektywa O'Malleya. Policjant, ojciec trzech małych córek, upadł martwy na chodnik z ośmioma dziurami od kul w piersi.

Widząc, co się dzieje z O'Malleyem, sześciu jego kolegów otworzyło ogień. Huk wystrzałów zatrzęsł ulicą. Dillinger z Hamiltonem rzucili się do auta, przeskakując między zaparkowanymi pojazdami. Hamilton nie zdążył. Trafiony kilka razy, upadł na ziemię; jedna z kul przebiła kamizelkę. Dillinger zatrzymał się i pociągnął go za sobą, jednocześnie chwytając torbę z pieniędzmi. Jakimś cudem obaj znaleźli się w samochodzie, nie doznając dalszych obrażeń. Kule tłukły o karoserię, gdy kierowca gwałtownie wjeżdżał w Chicago Avenue, unikając policyjnego pościgu. Wystarczyło parę minut, by zniknęli wszystkim z oczu.

Naoczni świadkowie dokonali identyfikacji i w wieczornych gazetach ukazała się oficjalna informacja, że John Dillinger, którego wielu ludzi w Indianie považało za walkę z chytrymi bankierami, okazał się mordercą. To zabójstwo wyraźnie ciążyło Dillingerowi przez resztę życia. Wielokrotnie później wypierał się zabicia detektywa O'Malleya przed adwokatami, przedstawicielami prawa i znajomymi. Niejeden raz mówił to także zupełnie obcym osobom. To uparte zaprzeczanie brało się prawdopodobnie nie tyle z obawy przed skazaniem za morderstwo, ile z niemożności pogodzenia się z utratą zarówno dobrego mniemania o sobie, jak i dotychczasowego publicznego wizerunku. Dillinger swoją popularność zawdzięczał temu, że ludzie kojarzyli go z Robin Hoodem, uważali za zwykłego faceta, który potrafi korzystać z życia w ciężkich czasach. Nie chciał być tym złym. Pragnął być kimś, kogo ludzie tacy jak jego siostra Audrey i jej rodzina mogą podziwiać.

Zawiózł ciężko rannego Hamiltona do hotelu, gdzie czekała Pat Cherrington. Przez prawie cały wieczór razem próbowali znaleźć lekarza. Jedna kula trafiła Hamiltona w brzuch, co najmniej jedna w bark. Przez kilka następných tygodni ranny pozostał w Chicago z Cherrington, która pielęgnowała go, dopóki nie wrócił do zdrowia.

Tymczasem Dillinger, podzieliwszy się z nim 20 000 dolarów, pojechał do Billie. Zostali w Chicago tylko tak długo, jak wymagała tego wizyta u adwokata od rozvodu; planowali się pobrać zaraz po rozwiązaniu poprzedniego małżeństwa Billie. Potem udali się na południe do St. Louis, gdzie Dillinger chciał odwiedzić wielką wystawę samochodów. Kupili na niej nowego forda V-8, zameldowali się w hotelu w centrum miasta i przetańczyli wieczór w ogrodzie urządzonym na dachu. Później wyruszyli na zachód drogą 66, ciesząc się na wakacje pod słońcem Arizony.

Wschodni Teksas, okolice Huntsville

16 stycznia, wtorek

Świt

Następnego ranka po napadzie dokonanym przez Dillingera w East Chicago, w odległym zakątku wschodniego Teksasu czarny ford coupe przemierzał wyboiste gruntowe drogi pośród sosnowych lasów porastających dolinę Trinity River. Znad rzeki unosiła się gęsta mgła, utrudniająca prowadzenie. Za kierownicą siedział Clyde Barrow, obok niego Bonnie. Na tylnym siedzeniu wieźli wyniszczonego czterdziestoośmioletniego heroinistę Jimmy'ego Mullinsa. Samochód przejechał przez wąski drewniany most i stanął. Clyde wysiadł, trzymając pod pachą automatyczny rewolwer Browning. Mullins też wyszedł z auta. Zostawiając Bonnie w fordzie, znikli między drzewami w oparach mgły.

Przez sześć miesięcy Bonnie i Clyde byli sami, mieszkali w samochodzie i żyli z tego, co dostali od rodziny i przyjaciół. Teraz, kiedy noga Bonnie się zagoiła, Clyde chciał wrócić do pracy. A do tego potrzebował współnika. Zyskali już jednak taką sławę, że nie mógł się zwrócić do kogoś, kogo nie znał. Jedyne człowiek, któremu mógł w pełni ufać, jego dawny współnik Raymond Hamilton, odbywał karę na farmie-więzienia Eastham. Tego ranka Clyde planował go stamtąd wyrwać.

Nie był to pomysł Clyde'a, lecz samego Hamiltona. Na początku stycznia Hamilton obiecał 1000 dolarów Mullinsowi, niegodnemu zaufania straceńcowi, który miał wkrótce zostać warunkowo zwolniony, jeśli znajdzie Clyde'a i namówi go na przeszmugłowanie broni na farmę. Po wyjściu na wolność Mullins udał się do Dallas i odszukał brata Raymonda, Floyda. Floyd Hamilton należał do siatki wspierającej Bonnie i Clyde'a, co kilka dni wieczorem woził im jedzenie w umówione miejsce za miastem. Zabrał Mullinsa na spotkanie z Clyde'em na polanie przy drodze niedaleko Irving, piętnaście kilometrów na zachód od Dallas.

Mullins pamiętał Clyde'a z więzienia. Bonnie poznał teraz. Była brudna i wychudzona. Wciąż miała zabandażowaną nogę. Kulafa. Clyde wysłuchał planu Mullinsa, siedząc po ciemku w samochodzie. Pokusa, by znów pracować razem z Raymondem Hamiltonem, była silna; z takim współnikiem mógł napadać na banki, zamiast żyć jak żebrak. Tyle że nie ufał Mullinsowi. Bracia Hamiltonowie chcieli, by broń została przeszmugłowana w niedzielę wieczorem. Obawiając się pułapki, Clyde powiedział, że zrobi to w sobotę wieczór. Nakazał Floydowi Hamiltonowi nie spuszczać Mullinsa z oka, dopóki nie wyjadą.

Następnego wieczoru, zakupiwszy pistolet w lombardzie, Hamilton i Mullins spotkali się z Bonnie i Clyde'em na drodze na wschód do Dallas. O zachodzie słońca ruszyli na południe w stronę Madisonville, a następnie zjechali na boczne trakty, mając nadzieję znaleźć ten, który ich doprowadzi do miejsca, gdzie mieli zostawić broń. Około wpół do drugiej w

nocy dotarli na skraj farmy-więzienia. Mullins wziął pistolet, dwa magazynki z amunicją i jedną z czter-dziestekpiątek Clyde'a, zapakował wszystko w dętkę samochodową i podkrał się pod zabudowania więzienia. Znalazłszy się niecałe sto metrów od baraku, gdzie mieszkał Hamilton, wsunął pakunek do kanału przepustowego.

Wrócili do Dallas przed świtem. Niedziela była dniem odwiedzin w Eastham, więc Floyd Hamilton pojechał tam, by powiedzieć

Raymondowi, że broń jest na miejscu. Clyde i Bonnie tymczasem wrócili na skraj więziennej farmy. Zajęło im to parę godzin, ale odnaleźli pole, gdzie grupa Hamiltona pracowała tamtego tygodnia przy oczyszczaniu gleby. Kilka następných godzin zeszło im na obmyślanie planu ucieczki. Padał deszcz i drogi były rozmiękle. Dwukrotnie musieli przejeżdżać przez grodzone pola, zamykając za sobą bramy.

Termin ucieczki ustalono na wtorek rano. O świcie, zostawiwszy Bonnie w samochodzie, Clyde z Mullinsem przekradli się przez krzaki w pobliże farmy, przykucnęli w zaroślach i czekali. Po godzinie nadal czekali. Gdyby ucieczka Hamiltona się opóźniła, obiecali czekać w tym samym miejscu przez trzy kolejne ranki. Już mieli się zbierać, kiedy poprzez mgłę usłyszeli dwa wystrzały.

Clyde nadstawił ucha. Dwa strzały oznaczały, że strażnicy proszą o pomoc. Minęła minuta, potem druga. Zaniepokojeni wrócili do samochodu. Nagle zza gęstej zasłony mgły dobiegły ich zbliżające się głosy.

- Weźcie coś innego! - ktoś zawołał. To był Raymond Hamilton.

- Co? - odkrzyknął Clyde.

Nie rozumiał. Zakładając, że Hamilton jest ścigany przez strażników, Clyde uniósł browninga i puścił serię w czubki drzew. Mullins zrobił to samo. Wystrzelawszy wszystkie naboje, oddali broń Bonnie do przeładowania. Chwilę potem z mgły wyłoniło się czterech mężczyzn: Hamilton, odsiadujący wyrok za morderstwo Joe Palmer oraz dwóch innych więźniów, którzy uciekli za nimi. Wszyscy ciężko dyszeli - przebiegli ponad kilometr.

- Nikt poza Raymondem i Palmerem nie wsiądzie do auta - oznajmił Mullins. - Reszta ma wracać.

- Stul pysk, Mullins - warknął Clyde. - To moje auto i ja będę decydował. Trzech z was może jechać tu z tyłu. - Wskazał bagażnik. - A czwórka chyba się zmieści w środku.

W godzinę ustawiono blokady na drogach w całej okolicy. Trzymając się bocznych traktów, Clyde jechał to na północ, to na zachód, mijając Centerville, Jewett, Teague, Wortham i Mexię, nim w końcu dotarł do Hillsboro, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Waco. Na stacji benzynowej do ich samochodu podszedł starszy mężczyzna.

- Słyszeliście, jaki numer wyciął dziś rano Clyde Barrow? - zagadnął Clyde'a. Staruszek gadał bez przerwy przez kilka minut, nim Clyde mu przerwał, prosząc o nalanie paliwa.

Z Hillsboro, obawiając się, że jego stare kryjówki w Dallas mogą być pod obserwacją, Clyde zawiózł grupę na południe, do Houston. Do Dallas wrócili trzy dni później wieczorem, 20 stycznia, żeby spotkać się z rodzinami za miastem. Wiele było do opowiadania... i wiele do planowania. Po raz pierwszy od siedmiu miesięcy Clyde Barrow miał widoki na utworzenie gangu.

Lee Simmons, który zarządzał systemem więzień w Teksasie, był szczupłym, małym mównym pięćdziesięcioletkiem, przedstawicielem tego samego pokolenia rzeczowych teksaskich stróżów prawa, co jego przyjaciel z FBI, Gus Jones. Akurat wizytował więzienie stanowe w Huntsville, sześćdziesiąt kilometrów na południe od Eastham, kiedy o dziewiątej rano odebrał telefon o ucieczce. Przed dziesiątą był już na farmie. Dwóch strażników zostało rannych. Strzelali uciekający więźniowie, ale Simmons wiedział, że wszystko zorganizował Clyde. Jego przecucia znalazły potwierdzenie następnego dnia, kiedy złapano któregoś z przypadkowych uciekinierów.

Tamtego wieczoru, po dniu spędzonym na udzielaniu informacji dziennikarzom i nadzorowaniu blokad, Simmons odwiedził majora M.H. Crowsona, jednego z rannych strażników, w szpitalu w Huntsville. Crowson dostał kulę w brzuch i raczej nie miał szans przeżyć.

- Panie Simmons, proszę o mnie źle nie myśleć - wyszeptał z trudem. - Wiem, że nie przestrzegałem pana wskazówek. Przepraszam.

- Proszę się tym nie martwić - uspokoił go Simmons. - Te łotry miały swój dobry dzień. My też będziemy mieli swój. Obiecuję, że nie puszczę im tego płazem.

Crowson zmarł nazajutrz, a Lee Simmons przysiągł sobie, że za wszelką cenę dopadnie Clyde'a Barrowa, żywego lub martwego. Rozmyślał o tym przez kilka dni. A im więcej myślał, tym bardziej był pewien, że zna człowieka, który może tego dokonać.

St. Paul w Minnesocie

17 stycznia, środa

Dzień po akcji Clyde'a Barrowa w Eastham, rankiem temperatura w St. Paul wynosiła około zera, kiedy Edward Bremer jechał ze swojej rezydencji na North Mississippi River Boulevard czarnym lincolnem sedanem, wioząc córkę do szkoły. Bremer był bardzo

zamożny. Urodził się w pierwszej rodzinie Twin Cities. Jego ojciec Adolph w 1896 roku ożenił się z córką niemieckiego piwowara Jacoba Schmidta i po śmierci teścia przejął zarządzanie Spółką Piwowarską Jacob Schmidt. Był przyjacielem i sponsorem prezydenta Roosevelta. Szczęśliwie przetrwał czasy prohibicji, produkując napoje bezalkoholowe i „prawie piwo”, a także rozszerzając działalność na inwestycje finansowe. Jego syn Edward prowadził największy bank należący do rodziny, Commercial State Bank na rogu Washington i Szóstej.

Jednak Bremerowie nie byli przykładnymi biznesmenami, na jakich wyglądali, o czym FBI dopiero miało się przekonać. Ich interesy, podobnie jak interesy Williama Hamma, zazębiały się z interesami przestępczego podziemia St. Paul. Rodzinny browar dostarczał „prawie piwo” do wielu gangsterskich melin w St. Paul, między innymi do tawerny Harry’ego Sawyera. Według zeznania złożonego FBI pod przysięgą przez żonę Sawyera Gladys, Bremerowie w tajemnicy sprzedawali Sawyerowi prawdziwe piwo od 1926 do 1932 roku, które on rozprowadzał po całej Minnesocie. Ta współpraca szła nawet o krok dalej - Gladys Sawyer twierdziła, jakoby Bremerowie tak naprawdę byli właścicielami Zielonej Latarni.

Nie wiadomo, czym Bremerowie rozgniewali przestępcze kręgi, ale niewątpliwie coś takiego się zdarzyło. Bank Edwarda Bremera prowadził sprawy finansowe Harry’ego Sawyera - oraz innych bootlegerów z St. Paul - i według raportów FBI Bremer pomógł Sawyerowi spieniężyć kradzione obligacje, zapewne również te, które Harvey Bailey ukradł z mennicy w Denver w 1922 roku. Bez wątpienia nieporozumienie pomiędzy Sawyerem i Edwardem Bremerem miało charakter finansowy, jednak zaczepny charakter Bremera także mógł mieć znaczenie. Jak napisano w jednej z notatek służbowych FBI, „Bremer jest bardzo nie lubiany nie tylko przez swoją rodzinę, lecz przez wszystkich; wybuchowy, bardzo samolubny, bezduszny, ma niewielu przyjaciół”.

Tamtego ranka, po latach życia w cieniu ojca, Edward Bremer miał się stać sławny. Minutę po odwiezieniu córki do szkoły zatrzymał się przed znakiem stopu na rogu Goodrich i Lexington Parkway. W tym samym momencie Shotgun George Ziegler wjechał na skrzyżowanie, zastawiając mu drogę. Karpis ustawił się za Bremerem z tyłu, blokując go w miejscu.

Dock Barker i Volney Davis wyskoczyli z samochodów. Dock otworzył drzwi w aucie Bremera i wymierzył z pistoletu w młodego dziedzica.

- Nie ruszaj się, bo cię zabiję.

Bremer wpadł w panikę. Próbował wrzucić bieg, ale Dock zdzielił go pistoletem w czoło. Bremer podjął próbę ucieczki przez drzwi od strony pasażera, lecz Davis otworzył je

pierwszy i wraz z Dockiem zaczął okładać Bremera pistoletem. Bremer kopnął w drzwi, ale Davis zatrzaskał mu je na kolanie. Walka nie trwała długo, lecz nim Bremer się poddał, krew ciekła mu strumieniem z głębokiej rany na głowie. Karpis się przestraszył.

- Jeśli podjedzie wóz policyjny, będziemy mieć kłopoty jak cholera - wymamrotał.

W końcu Dockowi udało się zepchnąć ofiarę na podłogę pod przednim siedzeniem. Davis próbował włączyć silnik, jednak bez powodzenia.

- Tylko bez małych sztuczek, odpalaj auto - rozkazał Bremerowi Dock.

Wycierając krew z oczu, Bremer uniósł się i wcisnął guzik, umożliwiając włączenie silnika. Kiedy samochód ruszył, Dock nałożył Bremerowi okulary z zaklejonymi szklami, żeby nic nie widział. Nikt nie zauważył porwania, nie było pościgu. Kolumna składająca się z trzech samochodów przejechała kilka kilometrów poza miasto i stanęła na poboczu. Podobnie jak w przypadku Hamma, George Ziegler dał Bremerowi do podpisania dwa listy na temat okupu. Młody dziedzic narzekał, że bardzo go boli rana na głowie i kolano. Karpis odpowiedział mu na to, że sam jest sobie winien, bo stawiał opór.

- No cóż, zdenerwowałem się - powiedział Bremer.

Karpis pojechał z nim na południe w kierunku Chicago, natomiast Ziegler z Fredem Barkerem zawieźli listy do St. Paul. Dwie godziny po porwaniu Walter W. Magee, przedsiębiorca budowlany i bliski przyjaciel rodziny Bremerów, odebrał telefon od człowieka, który przedstawił się jako McKee.

- Zgarnęliśmy twojego kolegę Eda Bremera. Chcemy dwieście tysięcy.

„McKee” oznajmił, że auto Bremera stoi pod wieżą wodną na Edgumbe Road. Powiedział też, że Magee znajdzie list z instrukcją pod schodami przed swoim biurem, i odłożył słuchawkę. Magee wyszedł na zewnątrz i znalazł list. Było w nim napisane:

Zostajesz niniejszym **zaangażowany** w bardzo **desperackie** przedsięwzięcie. Nie próbuj nas oszukać. Chodzi o przyszłość twoją i B. Postępuj zgodnie ze wskazówkami zawartymi w liście. Policja nigdy nie pomaga w takich razach i teraz też nie pomoże. Lepiej dopilnuj, żeby **najpierw zapłacić**, a potem niech sobie robią swoje **dochodzenie**. Ponieważ policja zwykle się wtrąca, twój przyjaciel jest niespokojny, więc nie zwlekaj z zapłaceniem okupu.

Żądamy 200 000 dolarów.

Okup musi być w **5- i 10-dolarowych banknotach - żadnych nowych pieniędzy ani kolejnych numerów - i muszą się jak najbardziej różnić datą emisji.**

Pieniądze spakuj w dwa **duże kartonowe pudła po garniturach**, na tyle duże, żeby pomieściły całą sumę, i zwiąż mocnym sznurkiem.

Nie będziemy się kontaktować, dopóki nie dasz znać, że jesteś gotów dostarczyć okup według naszych wskazówek.

Jak tylko będziesz miał przygotowane pieniądze, umieścisz ogłoszenie „Jesteśmy gotowi, Alice” w dziale osobistym „Minneapolis Tribune”.

Wtedy dostaniesz **ostatnie instrukcje**. Bądź gotowy **wyjsc natychmiast po otrzymaniu wiadomości**, żeby zapłacić.

Nie próbuj grać na zwłokę ani nas przechytryć. I żadnego targowania. Nie tłumacz się biedą, bo wiemy, ile oni mają w bankach. Nie próbuj się z nami komunikować, to my cię pokierujemy.

Groźby są niepotrzebne - **jeśli ty wykonasz swoją część umowy, my gwarantujemy**, że dotrzemy naszej.

Magee zadzwonił do biura Bremera, zakładając, że może chodzić o kawał. Bremera nie było. Wykręcił więc numer browaru i zostawił wiadomość dla Adolpha Bremera, żeby się z nim spotkał w hotelu Ryan. Komendant policji w St. Paul został powiadomiony i o 11.05 zadzwonił do Wernera Hanniego, szefa agentów w St. Paul. Hanni poszedł prosto do hotelu i zastał tam Bremerów rozmawiających z komendantem, który przyprowadził ze sobą dowódcę specjalnego oddziału do spraw porwań, Toma Browna, pozostającego w zмовie z Barkerami. To oznaczało, że gang będzie znał każdy ruch policji.

Spotkanie było rzeczowe; Adolph Bremer nie należał do ludzi łatwo wpadających w panikę. Pojechał z Walterem Magee, żeby poszukać samochodu syna; znaleźli go po półgodzinie. Przednie siedzenie było zachłapane krwią, więc Magee polecił Bremerowi, by się nie zbliżał; kazał zabrać samochód do myjni, gdzie usunięto krew... razem z odciskami palców, jakie mogli zostawić gangsterzy. Inni członkowie rodziny w tym czasie zajęli się umieszczeniem ogłoszenia w „Tribune”.

Zapadała już noc, kiedy Karpis dojechał do meliny w Bensenville - tego samego domu, gdzie siedem miesięcy wcześniej przetrzymywany był William Hamm. Jeden z kompanów Zieglera czekał w kuchni. Zaprowadzili Bremera do sypialni i posadzili go naprzeciwko zabitego deskami okna.

Pilnowali go na zmianę. Około jedenastej Karpis zajrzał do kuchni, gdzie znajomy Zieglera, Harold Alderton, słuchał radia.

- Słyszałeś już coś? - spytał go Karpis.
- O Chryste, tak - opowiedział Alderton. - Będzie gorąco jak cholera.
- Co masz na myśli?
- Oni myślą, że facet nie żyje. Znaleźli auto całe zachłapane krwią i z tego, co mówią

w radiu, są przekonani, że został zabity.

- Chryste Panie! - jęknął Karpis. - Będzie naprawdę ciężko.

St. Paul w Minnesocie 20 stycznia, sobota

Przez dwa dni członkowie rodziny Bremera krążyli nerwowo po rezydencji naprzeciw browaru Schmidta, niecierpliwie czekając na nowe wskazówki od porywaczy. Ogłoszenie „od Alice” ukazało się w czwartek rano, ale jak dotąd nie było na nie żadnego odzewu. Wiadomość o porwaniu przeciekła do gazet i w czwartek wieczorem Bremer złożył oświadczenie dla prasy, zapewniając porywaczy, że jego rodzina nie ma zamiaru współpracować z policją.

- Chcemy mieć Eddiego z powrotem w domu, całego i zdrowego - oświadczył.

Agenci FBI czuwali w obu domach Bremerów.

SAC Werner Hanni założył podsłuch na osiemnastu liniach telefonicznych w browarze i w domach Bremerów. Był tak zajęty, że zapomniał na bieżąco informować zwierzchników, mimo kilkakrotnych napomnień Hoovera. „Wygląda na to, że muszę się zadowolić prasą jako źródłem informacji na temat ważnych dochodzeń prowadzonych przez Biuro pod moim zwierznictwem - napisał Hoover do Hanniego, przeczytawszy w „Washington Post” o krwi znalezionej w aucie Bremera. - Trudno mi zrozumieć, dlaczego mając tak wyraźne, określone i często przypomniane instrukcje, zaniedbujesz przekazywanie mi pełnych informacji w tak ważnej sprawie”. Gniew Hoovera, podsycany naciskami ze strony Białego Domu, narastał przez weekend, ponieważ Hanni nie wykonał oczekiwanej roboty papierkowej. „Zadzwoń i powiedz mu, że chcę to mieć natychmiast, dość wymówek i zwlekania”, dopisał Hoover na jednej z notatek służbowych.

Rodzina Bremera była zasypywana telefonami i listami w większości wyrażającymi wsparcie, ale też pochodzącymi od różnych wariatów. W piątek przyszła pocztówka z doniesieniem, że Edward Bremer został zabity i pochowany w pobliżu miejscowości Anoka w Minnesocie. Później, około szóstej rano w niedzielę, H.T. Nippert, lekarz rodzinny Bremerów, leżąc w łóżku w swoim domu w St. Paul, usłyszał hałas na parterze. Sądząc, że ktoś rozbił talerz, spokojnie znowu zasnął. Godzinę później, kiedy się golił, odebrał telefon.

- Zejdz do przedsiönka - zabrzmiał w słuchawce nieznamy głos. - Coś tam znajdziesz.

Na dole Nippert znalazł butelkę wrzuconą przez szybę w drzwiach wejściowych. Pod drzwiami leżała koperta zawierająca trzy listy. Jeden, napisany przez Edwarda Bremera, zawierał polecenie, by przekazał dwa pozostałe Adolphowi Bremerowi. Doktor Nippert

pojechał do rezydencji i Bremerów i zamknął się ze starszym Bremerem w bibliotece. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem do stojącego w holu agenta FBI Edwarda Notesteena. Notesteen spytał, co się dzieje. Powiedziano mu, że Adolph Bremer przeszedł lekki atak serca. Jednak półtorej godziny później, kiedy Bremer wyszedł z biblioteki, sprawiał wrażenie całkiem zdrowego.

Notesteen wyczuł niepokój, który wydał mu się niezwiązany z troską o bezpieczeństwo syna. Podczas kilku dyskretnych rozmów odbytych z członkami rodziny dowiedział się, że Adolpha Bremera najbardziej martwi wysokość okupu. Z powodu chybionych inwestycji cierpiał na chwilowy brak gotówki; gdyby wypłacił całe 200 000 dolarów, rodzina mogłaby stracić browar. Po kilku tygodniach FBI odkryło, że Adolph Bremer podejrzewał, iż porwanie zostało zorganizowane przez prezesa innego banku z St. Paul, by osłabić i przejąć First Commercial Bank Edwarda Bremera.

Adolpha Bremera zaprzętała bez reszty myśl o konieczności zapłaty okupu, kiedy w sobotę po południu składał wizytę gubernatorowi Minnesoty Floydowi Olsonowi. W liście, który rodzina otrzymała tego ranka, porywacze nakazywali umieścić cztery niebieskie nalepki NRA (National Rifle Association) w oknie biura Waltera Magee'ego, kiedy okup będzie gotowy do przekazania. Bremer wyznał szczerze Olsonowi, jak wygląda stan jego finansów, na co gubernator zaproponował wystawienie połowy nalepek, by dać porywaczom do zrozumienia, że rodzina chce negocjować wysokość okupu. Później tego popołudnia Magee zrobił tak, jak radził Olson.

Następnego dnia, w niedzielę, druga co do ważności osoba w FBI, Pop Nathan, spotkał się z Adolphem Bremerem i jego doradcami finansowymi, dwoma nowojorskimi bankierami. Bremer spytał Nathana, czyjego zdaniem porywacze zgodzą się na 50 000 dolarów, uznanych przez jednego z bankierów za „najwyższą możliwą sumę”. Nathan, który jeszcze nie wiedział o listach dostarczonych przez doktora Nipperta, powiedział, że w innych przypadkach negocjacje nie doprowadziły do obniżenia okupu. Podkreślił przy tym, że Biuro nadal będzie się trzymać na uboczu, dopóki okup nie zostanie przekazany, ale od momentu uwolnienia Bremera spodziewa się pełnej współpracy ze strony rodziny.

W poniedziałek rano do rezydencji Bremerów nadszedł kolejny list. Zostawiono go przed biurem jednego z kierowników miejscowej kompanii węglowej.

Jeśli możecie czekać, to w porządku. Kręcicie jak najęci, żeby ktoś zginął i wtedy gliniarze będą bohaterami, ale Eddie zostanie męczennikiem. Gliniarze się ucieszą ale Eddie nie.

Mamy dość tej ciuciubabki, teraz możecie się pieprzyć. Odtąd wy będziecie się z nami

kontaktować. **Lepiej nie próbujcie**, dopóki nie **odciągniecie wszystkich gliniarzy, gazet i stacji radiowych**. Od tej pory będziemy **milczeć**, dopóki **sami** nas nie znajdziecie. Lepiej nie czekajcie z tym **za długo**.

Po otrzymaniu tej wiadomości Adolph Bremer popadł w rozterkę. Kontaktować się z porywaczami? Jak? Był zły na policję z St. Paul. Zbyt wiele szczegółów przedostawało się do prasy, co irytowało bandytów przetrzymujących jego syna; podejrzewał, że to sprawka któregoś z funkcjonariuszy. Uznał, że czas powiedzieć całą prawdę FBI. Posłał po Popa Nathana. Kiedy o trzeciej Nathan zawitał do rezydencji, Bremer zaprosił go do wykładanej mahoniem biblioteki i powiedział o listach porywaczy. Oddał wszystkie listy Nathanowi, który zawinął je w celofan, zabrał do siedziby Biura w centrum miasta, a następnie wysłał pocztą lotniczą do Waszyngtonu.

Pół godziny później Nathan czytał popołudniowe wydanie „St. Paul Daily News”; ze zdumieniem odkrył, że artykuł wstępny zawiera wszystkie szczegóły z listów dotyczących okupu. Zadzwoił do komendanta policji Dahilla i zażądał spotkania w swoim pokoju hotelowym. Powiedział mu, że jest przeciek, i to poważny. Dahill nie miał wątpliwości, kto stanowi źródło: detektyw Tom Brown. Posunął się nawet o krok dalej, powiedział Nathanowi, że według niego Tom Brown „nadał” zarówno porwanie Hamma, jak i Bremera⁶.

W melinie pod Chicago narastało napięcie. W przeciwieństwie do spokojnego i cierpliwego Williama Hamma, Ed Bremer nie ustawał w narzekaniach: było mu zimno, bolała go głowa, bolało kolano. Karpis miał go dość. Przez cały dzień Bremer siedział przed zabitym deskami oknem w okularach z zaklejonymi szklami. Cała sprawa trwała już cztery dni i Karpis nie miał pojęcia, dlaczego tym razem wszystko się przeciąga. W pewnym momencie spytał o to Bremera.

- Najpierw musiałbym się dowiedzieć, jakiej sumy zażądaliście - odparł Bremer.

- Nie mam z tym nic wspólnego - powiedział Karpis. - Chyba nie powinno być kłopotu z zebraniem pieniędzy?

- Zależy jakiej sumy.

- Do diabła, twoja rodzina jest najbogatsza na Północnym Zachodzie. Co znaczy „zależy jakiej sumy”? Ile pieniędzy jest w tym banku?

- Czasem mamy tam dwadzieścia pięć lub trzydzieści tysięcy dolarów. I to w dniu największych wpływów w miesiącu.

- Załóżmy, że byśmy cię wypuścili - powiedział Karpis. - Poszedłbyś po te pieniądze i nam je przyniósł?

Bremer wyraźnie się ożywił. Zasugerował kilka sposobów zdobycia pieniędzy; w

pewnym momencie, wprowadzając tym Karpisa w konsternację, wymienił nazwisko pewnego bogatego obywatela z zarządu kolei, którego porwanie by się opłaciło. Chcąc wejść w zażyłość z porywaczami, nie krył swoich związków z przestępczym podziemiem. Opowiedział o tym, jak pośredniczył w sprzedaży kradzionych obligacji Harveya Baileya. Spytał nawet Karpisa, czy zna Harry'ego Sawyera lub jego współnika, Jacka Peifera. Karpis zaprzeczył.

- Oni rządzą miastem - powiedział Bremer. - Jak się dowiesz, kim oni są, to będziesz wiedział, kim ja jestem. Wystarczy, że spytasz ich o mnie i o to, ile razy upłynniałem dla nich trefne papiery. Jestem swój chłop. Gdybyście przyszli do mnie, zamiast mnie porywać, więcej byście zarobili, porywając tego, o którym ci mówiłem.

- Dobra, poczekajmy i zobaczmy najpierw, czy dostaniemy te 25 000, o których mówisz - rzekł Karpis. - A może dostaniemy czterdzieści.

Bremer się zasępił.

- Nie sądzę, żeby mogli zapłacić tak dużo.

Którejś nocy Freddie i George Ziegler niezapowiedziani przyjechali z St. Paul. Byli zmęczeni i rozczarowani. Widzieli przepołowione nalepki i domyślili się, że Bremerowie chcą zapłacić tylko połowę okupu.

- Sam nie wiem, co ci powiedzieć - zaczął Ziegler. - W mieście jest taka zadyma, że za każdym razem, jak próbujemy wysłać im wiadomość, agenci nas wyprzedzają. Za każdym razem, jak próbujemy zadzwonić i im powiedzieć, gdzie jest list, agenci podsłuchują. Oni po prostu nie chcą zapłacić, nic nie chcą. Słyszałeś, co mówił Roosevelt?

- Prezydent? - zdziwił się Karpis.

W wypowiedziach radiowych Roosevelt nazwał porwanie Bremera „atakiem na wszystko, co jest nam drogie”.

- Jasne - mruknął Ziegler - dał do zrozumienia, że Bremer jest jego przyjacielem i że dopilnuje, by to przestępstwo nie pozostało bezkarne. To najbardziej trefna sprawa od czasu porwania małego Lindbergha.

- Jak myślisz, zapłacą, czy mamy go wypuścić bez żadnych pieniędzy?

- Nie, nie, nie - zaprotestował Ziegler. - Goręcej niż teraz już nie będzie, niezależnie od tego, czy dostaniemy forszę, czy nie. Nie mów reszcie chłopaków, że ci to powiedziałem, ale jak się to skończy, będziemy mieli duże kłopoty. Zrobi się jeszcze gorzej, jeśli będziemy musieli zabić tego gościa.

Z biegiem dni Karpis popadał w coraz głębsze przygnębienie. W najlepszym razie był niańką z pistoletem maszynowym. W najgorszym miał być zabójcą. Myślał z goryczą, że

przecież nie po to został złodziejem.

Tucson w Arizonie, spieczone słońcem pustynne miasto liczące trzydzieści tysięcy mieszkańców, wydawało się bardzo odległe od Środkowego Zachodu, w którym gang Dillingera miał swoje korzenie. Po długiej jeździe z St. Louis Dillinger przybył tam w niedzielę zupełnie odmieniony; pycha, którą okazywał w East Chicago, zniknęła bez śladu. Strzelanina na chodniku przed bankiem nauczyła go, że powinien mniej ryzykować, żyć spokojniej; skończyły się nocne salwy do księżyca.

Po przyjeździe Dillinger i Billie przekonali się, że reszta gangu świętuje w burdelach i nocnych klubach serwujących obficie tequilę*[* Owa podróż Dillingera mogła nie przebiegać całkiem gładko. Według akt FBI otrzymał mandat w Albuquerque.]. Russell Clark mieszkał z Charlesem Makleyem pod najlepszym adresem w mieście - w hotelu Congress. Makley zdążył poderwać jakąś szansonistkę i wszyscy świetnie się bawili. Dillinger i Billie zamieszkali w motelu na Szóstej Południowej, meldując się jako „pan i pani Frankowie Smith” z Greek Bay w Wisconsin. Kilka godzin później zjawili się też Pete Pierpont z Mary Kinder po kilkudniowej wizycie u krewnych pod Albuquerque.

Ludziom z gangu Dillingera, których życie upływało dotąd na farmach Środkowego Zachodu i w więziennych celach, Tucson wydawało się inną planetą. Tutaj mężczyźni nosili kowbojskie kapelusze i wysokie buty, wieczorami wszędzie rozlegała się rzewna meksykańska muzyka, były góry, kaktusy i grzechotniki, a w centrum miasta, na chodnikach, słupki do przywiązywania koni. Miało się wrażenie pobytu na planie filmowym westernu; Chicago istniało jakby w innym świecie.

Ta szczególna atmosfera działała na zmysły i odbierała czujność. Pierwszego popołudnia, jeżdżąc ulicami miasta, Pierpont nie wiedzieć czemu zatrzymał się, by pogawędzić z dwoma policjantami. Przedstawił się jako mieszkaniec Florydy bawiący na wakacjach, po czym wskazując jakieś auto, powiedział, że wydaje mu się, iż jest śledzony. Podczas gdy jeden z policjantów dalej gawędził z Pierpontem, drugi pojechał za wskazanym pojazdem. Pierpont z dumą pokazywał wyposażenie swego nowego buicka, licznik prędkości, wspomaganie kierownicy.

Rozmawiali o pogodzie i weszli w taką komitywę, że Pierpont niepytany podał swój adres. Drugi policjant wrócił i powiedział, że samochód, na który Pierpont zwrócił mu uwagę, jest zupełnie nieszkodliwy. Pierpont podziękował i odjechał, machając na pożegnanie. Jakkolwiek na to patrzeć, zachował się idiotycznie.

Dni spędzali na zwiedzaniu, wieczory w nocnych klubach. Wszystko szło gładko aż do szóstej rano we wtorek, kiedy nieszczęlny piec gazowy w piwnicy hotelu Congress stanął

w ogniu. Płomienie wdarły się do szybu windy i wkrótce w całym budynku snuł się dym. Strażacy przyjechali po kilku minutach. Jeden z nich, William Benedict, zdziwił się, widząc dwóch mężczyzn przystawiających drabinę do okna na drugim piętrze. Byli to Makley i Clark; tłumaczyli się, że próbują wydostać swój bagaż. Kiedy już opanowano pożar, Benedict wszedł na górę do pokoju 329 i otworzywszy kopniakiem drzwi, wyniósł z niego ciężkie pudło. W środku były pistolety maszynowe Makleya i Clarka, o czym Benedict oczywiście nie wiedział. Makley podziękował mu wylewnie i dał napiwek w wysokości dwóch dolarów.

Minęły trzy dni. Rano w piątek 25 stycznia William Benedict przeglądał „True Detectiv” i niespodziewanie zobaczył w nim zdjęcie „pana Daviesa”, którego bagaż wyniósł z pokoju 329. Zawołał przejeżdżającego akurat funkcjonariusza z biura szeryfa i pokazał mu czasopismo. W porze lunchu historię Benedicta powtarzano w miejscowej komendzie policji. Przypomniała ona funkcjonariuszowi Harry’emu Lesly’emu dziwną opowieść, jaką usłyszał tego ranka od pary turystów. W wieczór poprzedzający pożar w hotelu byli w nocnym klubie i wypili kilka drinków z człowiekiem, który przedstawił im się jako Art Long. Pan Long, naprawdę Russell Clark, nadużywający tequila, mówił im, jak łatwo jest przetrwać Wielki Kryzys, jeśli człowiek umie się posługiwać bronią maszynową. Para zauważyła też, że ludzie z otoczenia „pana Longa” noszą pod marynarkami kabury z bronią.

Te dwie opowieści skłoniły detektywów do przejrzania listów gończych. „Pan Davies”, jak się okazało, z opisu idealnie wręcz pasował do zdjęcia Charlesa Makleya. Funkcjonariusz zadzwonił do hotelu i dowiedział się, że bagaż pana Daviesa zabrano do wynajętego bungalowu na Drugiej Wschodniej. O 13.30 trzech policjanci z Tucson z samochodu obserwowali wymienioną posesję. Niedługo potem Makley wyszedł z domu do swojego studebakera w towarzystwie zaprzyjaźnionej szansonistki. Policjanci pojechali za nim.

W centrum Tucson Makley zaparkował przed Grabę Electric Company. Funkcjonariusze weszli za nim do środka i aresztowali go, kiedy stał przy ladzie recepcji. Makley protestował, twierdząc, że jest biznesmenem z Florydy, spędzającym w Tucson wakacje, na co jeden z funkcjonariuszy odpowiedział mu, że może wyjaśnić całe nieporozumienie w komisariacie.

Makleya zaprowadzono do gabinetu komendanta CA. Wollarda.

- Jak się pan nazywa? - spytał Wollard.

- J.C. Davies - odparł Makley. - Proszę przyjechać do mojego domu. Natychmiast wszystko wyjaśnię. Są tam wszystkie moje papiery.

Komendant, oglądając zdjęcie Makleya z kartoteki, oświadczył, że musi od niego

pobrać odciski palców. Makley się sprzeciwił.

- No cóż, Makley - powiedział spokojnie Wollard - weźmiemy pańskie odciski, czy się to panu podoba, czy nie.

Makley został umieszczony w celi.

Jeden złapany, zostało trzech. Komendant podejrzewał, że gdzieś w Tucson ukrywa się reszta gangu Dillingera. Wezwał swoich trzech najlepszych ludzi, sierżantów Franka Eymana i Dallasa Forda oraz detektywa Cheta Shermana. Upewniwszy się, że wszyscy trzej dokładnie obejrzą zdjęcia pozostałych członków gangu, wysłał ich na Drugą, żeby obserwowali bungalow Makleya. Liczył na to, że ktoś się tam pokaże.

Trzej policjanci zajęli pozycję obserwacyjną, parkując swój wóz w pobliżu domu Makleya. Po upływie nieco ponad godziny zaczęli się niecierpliwić. Zgodnie doszli do wniosku, że mogą przynajmniej sprawdzić, czy kogoś nie ma w środku. Zastosowali prosty fortel. Detektyw Sherman wysiadł z auta i podszedł do domu, wyciągając list z kieszeni kurtki. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła kobieta. Była to dziewczyna Russella Clarka, Opal Long.

- Słucham?

Pokazując kopertę, Sherman oświadczył, że ma przesyłkę. Kiedy kobieta wyciągnęła rękę po list, Sherman napał ramieniem na drzwi i wszedł do środka. I stanął oko w oko z Russellem Clarkiem. Wyciągnął rewolwer i kazał Clarkowi podnieść ręce do góry. Zamiast wykonać polecenie, Clark rzucił się na policjanta i chwycił jego rewolwer za lufę. Zaczęli się szamotać, aż przez salon wylądowali w sypialni. Czekający na zewnątrz Eyman i Ford, wyczuwając komplikacje, wbiegli na schody. Opal Long zobaczyła ich i szybko zatrzęsnęła drzwiami, łamiąc palec Fordowi, który chwycił za framugę.

Sierżant Ford otworzył drzwi kopniakiem, przewracając Long, i wpadł do sypialni, gdzie znalazł Clarka i Shermana mocujących się na łóżku. Clark sięgał pod poduszkę, kiedy Ford zdzielił go pistoletem w głowę. Sierżant Eyman chwycił Clarka za ramiona, ściągnął go z łóżka i zakuł w kajdanki. Pod poduszką znaleźli trzydziestkęósemkę. Dalsze przeszukanie zaowocowało dwoma maszynowymi thompsonami, automatyczną strzelbą, dwoma pistoletami, dwiema kamizelkami kuloodpornymi i gotówką w ilości 4526 dolarów i 68 centów. Funkcjonariusze zapakowali Clarka i Long do samochodu i zawieźli do centrum miasta. Żaden nie pomyślał o tym, że ktoś powinien zostać na miejscu.

Dwóch złapanych, zostało dwóch. Na komendzie Wollard zrobił swoim ludziom odprawę. Uświadomił im, że Dillinger i Pierpont muszą być w mieście i jeśli się dowiedzą o aresztowaniach, zanim policja ich znajdzie, mogą w kilka minut przepaść bez śladu na

pustyni. Przecucia komendanta były tramę. Jeszcze nie skończył mówić, gdy Pierpont przyjechał do bungalowu Makleya. Wchodząc po schodach, zauważył krople krwi. Pobiegnął do auta, wrócił do swojej turystycznej kwatery i kazał Mary Kinder od razu zacząć się pakować.

Kiedy tych dwoje się pakowało, do gabinetu Wollarda wszedł policjant i opowiedział komendantowi o turyście, którego poznał przed kilkoma dniami. Rysopis pasował do Pierponta. Wollard natychmiast wysłał sierżanta Eymana z dwoma innymi funkcjonariuszami, żeby sprawdzili adres podany przez „turystę z Florydy”. Podjeżdżając na miejsce, zobaczyli Pierponta oddalającego się swoim nowym buickiem. Śledzili go przez kilka przecznic, naradzając się, co robić. Postanowili udawać zwykłą kontrolę drogową, w nadziei że wezmą Pierponta z zaskoczenia. Trąbiąc klaksonem, sierżant Eyman machnął na Pierponta, żeby się zatrzymał. Pierpont usłuchał. Sierżant wysiadł z wozu.

- Witam - rzekł. - Czy mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy?

Pierpont podał żądany dokument - fałszywy - i Eyman dokładnie go obejrzał. Zwracając prawo jazdy z przeprosinami, wytknął Pierpontowi, że nie ma na szybie wymaganej przepisami winietki. Dodał, że bez problemu może ją otrzymać. Wystarczy, by podjechał na komendę policji, a sprawa będzie załatwiona w parę minut. Mając przed sobą trzech stróżów prawa, Pierpont musiał się zgodzić.

- Nawet mogę z panem pojechać - oświadczył Eyman, wślizgując się na tylne siedzenia.

Pierpont poprawił wsteczne lustro, żeby mieć Eymana na oku. W czasie jazdy Eyman nie przestawał go zagadywać, wychwalając pogodę w Tucson. Pierpont tylko kiwał głową i się uśmiechał. Mary Kinder siedziała sztywna jak słup soli. Powoli sierżant Eyman wyciągnął pistolet i wsunął między nogi, poza zasięg wzroku kierowcy. Następnie wyjął paczkę papierosów i poczęstował Pierponta. Pierpont odmówił.

Na komendzie sierżant Eyman zaprowadził Pierponta i Kinder schodami do gabinetu Wollarda. Broń zabrana Makleyowi i Clarkowi leżała na biurku i podstęp natychmiast się wydał. Pierpont odruchowo sięgnął po pistolet trzymany w kaburze pod pachą. Jednak Eyman był szybszy.

- Rzuć broń! - krzyknął.

Pierpont nie miał zamiaru wykonać polecenia, więc Eyman oraz dwaj inni funkcjonariusze rzucili się, żeby go obezwładnić, i wszyscy czterej runęli na podłogę.

- Rzuć ten pistolet, bo cię zabiję! - zagroził Eyman.

Pierpont znieruchomiał. Jeden z policjantów wykręcił mu rękę, a pozostali go przeszukali.

- Dość ostro mnie traktujecie - powiedział Pierpont z wymuszonym uśmiechem.

- A czego od nas oczekujesz? Że cię ucałujemy? - zakpił Eyman.

Trzech złapanych, został jeden. Policja była pewna, że John Dillinger przebywa w Tucson. Nadchodziła noc. Przy braku innych tropów pozostawało obserwowanie bungalowu Makleya i motelu przy Szóstej. Słońce zaczynało już zachodzić, kiedy detektyw James Herron, przysadzisty Irlandczyk, oraz dwóch umundurowanych funkcjonariuszy podjechało pod bungalow. Dwaj policjanci zakradli się do domu tylnym wejściem, natomiast detektyw Herron zawrócił, żeby przestawić samochód; uznał, że widok obcego auta może spłoszyć Dillingera.

Zaraz potem zza rogu wyłonił się błyszczący nowy hudson sedan i zaparkował przed bungalowem. Herron, ukryty za krzakiem, widział, jak mężczyzna w brązowym garniturze wysiada i podchodzi do ganku, zostawiwszy w samochodzie kobietę. Herron wyszedł zza krzaka w momencie, gdy mężczyzna podnosił już nogę, żeby wejść na stopnie.

Nagle znieruchomiał, przypatrując się plamom krwi. Następnie odwrócił się gwałtownie, chcąc wrócić do auta... i natknął się na detektywa Herrona.

Dillinger z Herronem stali naprzeciw siebie na trawniku, niczym w scenie z filmu o Dzikim Zachodzie. Herron pierwszy wyciągnął pistolet.

- Ręce do góry! - rozkazał.

Dillinger nie zareagował, tylko się na niego gapił. Herron zrobił krok do przodu i wetknął mu lufę między żebra.

- Podnoś te ręce, bo cię przedziurawię na wylot! - rzucił ostro. Dillinger wolno podniósł ręce.

- O co chodzi? - zapytał.

W tym momencie dwaj policjanci wyszli na ganek.

- Uważajcie na auto! - powiedział do nich Herron.

Policjanci minęli ich pospiesznie, zmierzając w stronę samochodu, a Herron chwycił Dillingera za ubranie i pchnął przed siebie. Dillinger zrozumiał, że nie uda mu się wywinąć. Sięgnął po pistolet trzymany w kaburze pod pachą. Herron dźgnął go lufą w plecy, a jeden z policjantów wycelował mu w twarz z pistoletu na gumowe kule. Dillinger się poddał.

Gem, set, mecz dla policji z Tucson.

Wiadomość o aresztowaniach w Tucson ukazała się na pierwszych stronach gazet w całym kraju. Następnego dnia tłumy ciekawskich otoczyły więzienie powiatu Pima, gdzie trzymano pod strażą wszystkich czterech gangsterów oraz ich towarzyszkę życia. Biuro komendanta Wollarda zasypywane było telegramami i wiadomościami telefonicznymi. Z każdego przylatującego samolotu wylewał się strumień dziennikarzy i fotografów z Chicago, Nowego Jorku i innych miast. Ilekroć jakiś funkcjonariusz wychodził z aresztu, oślepiał go błysk fleszy.

O dziesiątej wszystkich siedmiu aresztowanych zaprowadzono w kajdankach do wypełnionej po brzegi sali sądowej, żeby odczytać im zarzuty. Dillinger z ponurą miną opadł na krzesło.

- Proszę wstać - upomniał go sędzia.

- Nie jestem Dillingerem - wymamrotał Dillinger. Strażnik szarpnięciem postawił go na nogi. Za każdego z członków gangu wyznaczono kaucję 100 000 dolarów. Kiedy opuszczali salę, flesze błyskały nieustannie. Billie uśmiechnęła się do DiUingera, który odwzajemnił uśmiech, a potem nachylił się i ją pocałował.

Tamtego popołudnia przed celami zajmowanymi przez członków gangu przedefilowała niekończąca się procesja reporterów, polityków i policjantów; oglądali słynnych bandytów z odległego Środkowego Zachodu jak małpy w zoo. Dillinger, widząc to zainteresowanie, w końcu się rozchmurzył, przyznał, że jednak jest Dillingerem, i wszedł w swoją ulubioną rolę wielkiego gangstera napadającego na banki.

- Jestem ekspertem w swoim fachu - powiedział do grupy reporterów otaczających jego celę i pilnie robiących notatki. - Zawsze potrafię wykiwać policję. Węszą po starych śladach jak psy tropiące, które niczego nie rozumieją. A najgłupszy na świecie są ci z Chicago. Nawet teraz żaden z tych przemądrzałych gliniarzy nie ma ani pół dowodu, że kogoś zabiłem czy obrabowałem jakiś bank.

Reszta wzięła przykład z Dillingera, także uśmiechała się i stroiła miny do obiektywów. Pete Pierpont wymieniał cięte uwagi z gubernatorem Arizony.

- Tutejsi gliniarze są inni niż ci w Indianie - żartował. - Działają za szybko jak dla nas.

Nastrój wesołego ożywienia zniknął wraz z dziennikarzami. W niedzielę rano, kiedy do Tucson zjechali prokuratorzy z Ohio, Wisconsin i Indiany, żeby domagać się ekstradycji, członkom gangu nie było już do śmiechu. Pierpont wpadł we wściekłość na widok Matta Leacha, który jesienią przez krótki czas przetrzymywał w areszcie jego matkę.

- Powinienem był cię zabić, kiedy miałem ku temu okazję, ty brudny sukinsynu! -

wrzasnął. - Zamknąłeś moją matkę... Jeśli kiedyś stąd wyjdę, pierwsze, co zrobię, to cię zabiję, ty szczurze!

Leach patrzył na Pierponta przez chwilę, a potem zwrócił się do jednego z reporterów:

- Oto człowiek, który naprawdę kocha swoją matkę.

Stając przed całą Dillingera, Leach wyciągnął do niego rękę przez kraty. Dillinger zawahał się, ale uściśnął mu dłoń.

- Cóż, znów się spotykamy, John - zagadnął Leach. Zrobił krok do tyłu, żeby się lepiej przyjrzeć Dillingierowi. Skomplementował jego wąsy i zapytał, czy jest gotowy wrócić do Indiany.

- Nie spieszy mi się - odparł Dillinger. - Nie będę tam miał co robić⁷. Po raz kolejny wydawało się, że przestępcza kariera Dillingera dobiegła końca. Tymczasem tak naprawdę dopiero się zaczęła.

9

NARODZINY GWIAZDY

30 stycznia - 2 marca 1934

Samolot wiozący Dillingera wylądował na chicagowskim lotnisku Midway o 18.10 w ciemny, śnieżny wtorkowy wieczór 30 stycznia. To był długi lot, pierwszy w życiu tego gangstera. Wcześniej przez dwa dni w Tucson trwał zażarty spór między prawnikami z Wisconsin, Indiany i Ohio, z których każdy dowodził, że to on powinien oskarżać gang jako pierwszy. Gubernator Arizony ostatecznie kazał przewieźć Dillingera do Indiany, gdzie czekał go proces o zabójstwo detektywa O'Malleya w East Chicago; w razie uznania go za winnego groziło mu krzesło elektryczne. Pierpont, Makley, Clark i Mary Kinder zostali wysłani do Ohio, gdzie mieli odpowiedzieć za zabójstwo szeryfa Sarbera; Kinder później wyszła na wolność. Billie Frechette i Opal Long zostały zwolnione. Pojechały autobusem do Chicago.

Dillinger nie pogodził się potulnie ze swoim losem. Po cyrku, jaki zrobił się w ten poniedziałek, kiedy to do więzienia wpuszczono tłumy gapiów pragnących zobaczyć go na własne oczy, funkcjonariusze musieli wywlec go z celi siłą. „Nie wezmą cię do Indiany! - krzyczał Pierpont. - Chłopie, załatwicie!”. Dillinger wrywał się, kiedy zakładano mu kajdanki. „To porwanie! - grzmiał. - Nie możecie mnie wywieźć bez sądu!”.

W Chicago zszedł po schodach samolotu w sam środek chmary fotografów i osiemdziesięciu pięciu chicagowskich policjantów. „Takiego powitania w Chicago nie zgotowano jeszcze żadnemu przestępcy”, odnotowała „Chicago Tribune”. Wśród

trzaskających fleszy i wyciągających szyje reporterów dwaj policjanci wpełnęli Dillingera na tylne siedzenie samochodu¹.

Chicagowscy stróże prawa, wielu z nich wyposażonych w pistolety maszynowe i kamizelki kuloodporne, nie pozostawili niczego przypadkowi. Trzynaście samochodów i dwanaście motocykli, wszystkie na sygnale, tworzyło konwój, który krętą drogą wyjechał z lotniska na pełne gapiów ulice miasta. Po drugiej stronie granicy, w północno-zachodniej Indianie, kawalkada skierowała się do Crown Point, stolicy powiatu Lake, gdzie Dillinger miał stanąć przed sądem. Przed więzieniem okręgowym, do którego dotarł o 19.40, czekał już tłum reporterów i fotografów.

Dillinger został zaprowadzony do gabinetu szeryfa Lillian Holley. Pani Holley objęła tę funkcję po zabójstwie poprzedniego szeryfa, jej męża; jej brak doświadczenia miał wkrótce stać się problemem. W ślad za więźniem weszło trzydziestu reporterów, którzy stłoczyli się w środku, wykrzykując pytania.

- Cieszy się pan, że znów widzi Indianę? - spytał ktoś.

- Mniej więcej tak samo jak Indiana się cieszy, że widzi mnie - powiedział Dillinger, żując gumę. Tłum wyraźnie na nim nie robił wrażenia.

- Mówią, że to pan przemycił pistolety do więzienia stanowego przed wielką ucieczką z 26 września - powiedział jeden z reporterów.

Dillinger uśmiechnął się szeroko.

- Nie zaprzeczam.

- Jak pan je wniósł? - zapytał ktoś inny.

- Zbyt pan dociekliwy - stwierdził Dillinger z uśmiechem. Reporterzy popatrzyli po sobie. To było coś nowego, przestępca z pierwszych stron gazet obdarzony urokiem osobistym, rabuś, który potrafi dowcipkować w drodze na krzesło elektryczne. Obok niego stał prokurator powiatu Lake, Robert Estill, który przyjechał z nim z Arizony i miał okazję poznać z pierwszej ręki jego rozbijający, przyjazny sposób bycia. Fotograf krzyknął do Estilla, żeby objął Dillingera ramieniem; zapominając się na jedną brzemiennej w skutki chwilę, Estill zrobił to. Wśród trzasków fleszy Dillinger oparł łokieć na ramieniu prokuratora. Powstałe wówczas zdjęcie opublikowały gazety z całego kraju. Oburzyło ono wielu ludzi, w tym także J. Edgara Hoovera, który publicznie potępił Estilla za spoufalanie się z człowiekiem, którego miał oskarżać.

Wyczuwając, że zdobył sympatię publiczności, Dillinger bez skrępowania snuł historię swojego życia.

- Miałem pecha i tyle - powiedział. - Dziesięć lat temu, w moim rodzinnym mieście,

starym dobrym Mooresville, spiłem się i obrabowałem sklep. Zgarnąłem 550 dolarów i mnie złapali... W więzieniu poznałem kupę równych chłopaków. Chciałem im pomóc. Nie da się ukryć, że pomogłem zorganizować ucieczkę w Michigan City we wrześniu zeszłego roku, przysnęło wtedy dziesięciu ludzi. Czemu nie? Nie opuszczam kumpli, oni nie opuszczają mnie.

Reporterzy słuchali Dillingera z wyczuwalnym ozywieniem.

- Ile czasu zajmuje panu obrobiecie banku? - spytał ktoś. Dillinger zachichotał.

- Równo minutę i czterdzieści sekund - powiedział. Niespieszne żucie gumy, żarciki, którymi sypał jak z rękawa, jego krzywy uśmiech, rezon, niezaprzeczalna charyzma - wszystko to zrobiło ogromne wrażenie na grupie reporterów przyzwyczajonych do widoku ponurych gangsterów z syndykatu. Nic w tym dziwnego, John Dillinger bowiem, najbardziej ze wszystkich kryminalistów czasu Wielkiego Kryzysu, miał w sobie coś z gwiazdy. „Nie wyglądał jak konwencjonalny zabójca - nie miał też żadnej z charakterystycznych cech przypisywanych oszustom - rozwodził się następnego dnia oczarowany reporter „Chicago Daily News”. - Widać, że gdyby miał trochę więcej czasu i szersze grono znajomych, mógłby wkrótce zostać bohaterem ogólnokrajowej - głównie kobiecej - kampanii na rzecz ocalenia go przed śmiercią na krześle elektrycznym za zabójstwo policjanta Patricka O'Malleya”. „Daily News” pisał dalej:

John Dillinger stał w koszuli z rozpiętym miękkim kołnierzykiem, tak swobodnie, jakby rozmawiał o tegorocznych plonach z gościem na farmie swojego ojca w Mooresville w stanie Indiana, którą opuścił przed laty. Zadziwił elokwencją - której pod wieloma względami mogli mu pozazdrościć jego interlokutorzy - i niewzruszonym spokojem.

Ręce, rozkute po raz pierwszy od wielu godzin, trzymał swobodnie opuszczone u boków. Ciężar ciała, jak dobrze wyszkolony żołnierz, przeniósł na przednią część stóp. Podbródek miał wysunięty do przodu, mięśnie twarzy pracowały, kiedy żuł gumę w mocnych szczękach.

Trudno było sobie uzmysłwić, że człowiek ten jest jednym z najbardziej bezwzględnych morderców w okresie, w którym ich nie brakuje. Oprócz zaciętych ust w jego twarzy nie było żadnych oznak hardości. Oprócz czujnej asysty uzbrojonych policjantów nic nie wskazywało, że to przestępca, więzień, który młodzieńcze lata spędził w zakładzie karnym. Nie było w nim krzty cynizmu ani demonstracyjnej zatwardziałości przestępcy... Zdawał się traktować całe to zamieszanie jak jakiś żart...

Komuś dobrze obeznanemu z obyczajami bandytów, kto widzi go po raz pierwszy, niełatwo przyjąć do wiadomości, że już za kilka dni, najwyżej za miesiąc, dwa ten wesoły, sympatyczny młody człowiek prawdopodobnie będzie zimnym trupem. Choć bowiem wina

pana Dillingera nie ulega kwestii, to w oczach zahartowanych obserwatorów zasługuje on na opinię najbardziej niezwykłego przedstawiciela swojego gatunku, postać, jaką dotąd zobaczyć można było tylko w filmach twórców obdarzonych szalenie bujną wyobraźnią.

Jak na prasę krajową, w której wszystkich przestępców bez wyjątku nazywano „szczurami” i „bezwzględny mordercami”, ten i podobne opisy były czymś bezprecedensowym. W tym momencie narodziła się sława Dillingera, który z lokalnego rabusia przeobraził się w postać, o której mówił cały kraj, chłopaka przystępnego, sympatycznego, twardo stąpającego po ziemi. Wkrótce opinia publiczna Północy, nienawykła do utożsamiania się z przestępcami, mimo woli będzie za niego trzymać kciuki. Cały ten spektakl przykuł uwagę nawet tak renomowanego organu jak „New York Times”, który odnotował, że przybycie Dillingera wypadło jak „uwspółcześniona wersja powrotu syna marnotrawnego”.

Pół godziny, które Dillinger spędził na przekomarzaniu się z reporterami w więzieniu Crown Point, nadało ton przyszłym relacjom prasowym o jego wyczynach. Opisywano go jako złodziejzka z przypadku, nierozumianego chłopaka z farmy, lojalnego druha, który okradał banki tylko po to, by pomóc swoim kumplom. Dillinger, wyraźnie świadom tego, jak dobrze mu szło tamtego wieczoru, chytrze to wykorzystał, by wzbudzić współczucie. „Nie jestem złym człowiekiem, panie i panowie - powiedział, kiedy ludzie szeryfa wreszcie go wyprowadzili. - Tylko pechowym chłopcem, który wszedł na złą drogę”. „Tribune” napisała następnego ranka: „Kiedy dziennikarze wychodzili, w niejednym oku zalśniło coś jakby łza”. To była jego życiowa rola.

Rodzina Bremerów przez tydzień snuła się po korytarzach rodzinnej posiadłości, czekając na wiadomość od porywaczy. Gdy nastąpiła sobota 3 lutego, popadali już w desperację. Obawiali się, że Edward nie żyje.

Tego ranka Pop Nathan z FBI został wezwany do apartamentu w hotelu Lowry, zajmowanego przez nowojorskich bankierów Adolpha Bremera. Dwaj bankierzy powiedzieli Nathanowi, że rodzina przygotowuje się, by wystosować ostatni apel do porywaczy. Bódcem była nie tylko obawa o życie Edwarda, ale i presja gazet. Kilku reporterów wspomniało o niepokojących plotkach, które pewnego dnia mogły ukazać się w druku. Jedna mówiła o tym, że bank Edwarda Bremera jest bliski bankructwa, a Bremer rzekomo upozorował porwanie, by wyłudzić od ojca pieniądze na jego ocalenie. Inna dotyczyła rzekomego szwindlu niejakiego Wunderlicha, który z jakiegoś powodu miał winić Edwarda Bremera za poniesione przez siebie straty i dlatego go uprowadził.

Dwaj bankierzy pokazali Nathanowi list, który Adolph Bremer zamierzał odczytać

dziennikarzom. Nathan wyraził obiekcje tylko wobec zawartej w nim obietnicy, że rodzina nie podejmie współpracy z FBI. „Powiedziałem im, że Biuro za nic nie będzie tolerowało podobnej sytuacji”, napisał do Hoovera². Bankierzy go zignorowali.

W niedzielne popołudnie Adolph Bremer wyszedł przed dom i wręczył reporterom oświadczenie, w którym otwarcie przestrzegł porywaczy, by nie próbowali kontaktować się bezpośrednio z rodziną, bo wszystkie telefony są na podsłuchu. zaproponował, by zamiast tego zwrócili się do nowego pośrednika, a wówczas Bremerowie dostarczą okup.

„Jeśli postąpicie zgodnie z powyższymi propozycjami, po powrocie syna nie będę zainteresowany podjęciem jakichkolwiek działań - napisał Bremer. - Jeżeli natomiast w ciągu najbliższych trzech dni i nocy nie dostanę wiadomości od Edwarda, uznam, że nie chcecie ze mną negocjować i że tym samym jestem zwolniony ze wszelkich zobowiązań zawartych w niniejszym liście”.

W Waszyngtonie apel Bremera rozwścieczył Hoovera. Za to w kryjówce gangu w Bensonville, na obrzeżach Chicago, zapanowała radość. Fred Barker kazał Edwardowi Bremerowi napisać jeszcze dwa listy do ojca i dwóch zaproponowanych przezeń pośredników. „Jeśli tym razem dostaniemy forszę, dobra nasza - powiedział później Barker Karpisowi. - Jeśli nie, lepiej zapomnieć o sprawie i postawić na gościu krzyżyk”.

Następnego wieczora, w poniedziałek 5 lutego, gra została wznowiona. Około wpół do ósmej Lillian Dickman, kasjerka banku Edwarda Bremera, była w domu rodziców na Cortland Street w St. Paul, kiedy do tylnych drzwi zapukał nieznajomy.

- Lillian Dickman? - spytał.

- Tak - powiedziała.

Dał jej dwie koperty. Dickman pospieszyła do posiadłości Adolpha Bremera i obie mu przekazała. W jednej była następna odręcznie napisana prośba Edwarda o to, by ojciec zapłacił okup*[* List Bremera do Dickman był następującej treści:

Droga Lii, od lat jesteś moją zaufaną pracownicą i dlatego zwracam się do Ciebie, żebyś dla mnie coś zrobiła. Nie może tego zrobić nikt inny. Załączam list, który musi trafić w ręce mojego ojca - nieotwarty - i wiem, że stanie się tak, jeśli Ci go powierzę. Zapewne już wiesz, że mój ojciec zaapelował do wszystkich włącznie z policją i władzami o trzy dni spokoju, by mógł wystarać się o mój powrót. Teraz trzeba przekazać mu instrukcje - i wiem, że Twój stary kumpel mnie nie zawiedzie...

Proszę, dziewczyno, nie zwlekaj - tylko nie trać głowy - wiem, że dla Ciebie to nie jest w żaden sposób niebezpieczne i że zrobisz, o co proszę. Zawsze się dobrze rozumieliśmy.

Tu jest jak w piekle i wydaje mi się, że trwa to całe wieki. Jeśli zrobisz, o co Cię

proszę, to jak mi obiecano, wkrótce wrócę do domu. Proszę, pospiesz się, i uważaj na siebie.

Jak zawsze Ed]. „Proszę, tym razem zrób, co chłopaki każą, i nie trać czasu. Im wcześniej, tym lepiej - napisał Bremer. - Tato, liczę na Ciebie, to nie do zniesienia. To prawdziwe piekło. Robię, co mogę, żeby to przecierpieć i... znów Cię zobaczyć”.

Był też napisany na maszynie list od porywaczy. Obiecali w nim, że podejmą jeszcze jedną, ostatnią już próbę odebrania okupu. Instrukcje miały nadejść później. Godzinę po tym, jak Adolph Bremer dostał oba listy, jeden z jego bankierów zapukał do drzwi Popa Nathana w hotelu St. Paul. Aby uniknąć reporterów, razem przekradli się schodami przeciwpożarowymi do apartamentu, w którym czekał Bremer. Chciał, by Nathan dał słowo, że FBI nie przeszkodzi w przekazaniu okupu. Nathan taką obietnicę złożył. Bremerowie na razie zdani byli tylko na siebie.

Crown Point, Indiana

5 lutego, poniedziałek **godz. 14.00**

Do sali sądowej powoli wszedł Dillinger z szerokim uśmiechem na twarzy. Ręce i nogi miał skute kajdankami. W przygotowaniu do wstępnej rozprawy gmach sądu karnego okręgu Lake obstawili czterdziestu ludzi szeryfa. Gazety pisały o plotkach, że John Hamilton, jedyny członek gangu wciąż pozostający na wolności, zamierza odbić Dillingera, i wszyscy wchodzący do sali byli poddawani rewizji. Na korytarzach tłoczyły się setki ludzi, którzy wyciągali szyje, by zobaczyć więźnia.

Dillinger, w niebieskiej koszuli i kamizelce od swojego niebieskiego garnituru z serży, przysłuchiwał się w milczeniu, jak zatrudniony przez jego ojca jednoręki adwokat, Joseph Ryan, prosi o więcej czasu na przygotowanie obrony. Ryan mówił cicho, tak cicho, że wielu musiało wyteńczyć słuch, by go dosłyszeć. Sądząc z mowy ciała, Dillinger nie był zachwycony wystąpieniem swego obrońcy. Sędzia William Murray po wysłuchaniu jego argumentacji dał Ryanowi cztery dni. Dillinger miał zostać postawiony w stan oskarżenia 9 lutego, w piątek.

Tego popołudnia wśród publiczności zasiadał Louis Piquett, siwowłosy czterdziestodwuletni adwokat z Chicago. Był karykaturą obrońcy gangsterów, egzaltowanym, żywo gestykującym byłym barmanem, który dzięki znajomościom w Partii Demokratycznej na początku lat dwudziestych został szefem prokuratury w Chicago. Funkcję tę pełnił do 1923 roku, kiedy stanął przed sądem pod zarzutem korupcji, później wycofanym. Klientami prywatnej praktyki Piqueta były największe szumowiny Chicago czasów syndykatu, aborcjoniści, przemytnicy alkoholu i zabójcy; w czasie wolnym Piquett zajmował

się rozmaitymi drobnymi machlojkami na giełdzie. Jak cała rzesza innych chicagowskich adwokatów, postrzegali Dillingera jako przepustkę do sławy i tydzień wcześniej przekazał mu przez kogoś swoją wizytówkę. Wkrótce dostał wiadomość, że Dillinger chce się z nim zobaczyć. Dwa razy spotkali się w więzieniu. Były to zdawkowe rozmowy, podczas których obaj próbowali się nawzajem wybadać, zakończone z chwilą, gdy ojciec Dillingera zatrudnił Joego Ryana.

Po rozprawie w poniedziałkowe popołudnie naczelnik więzienia, Lewis Baker, wziął Piquetta na stronę; Dillinger chciał się z nim widzieć. Spotkali się w celi. W obawie przed podsłuchem Piquett przez całą rozmowę głośno stukał monetą. Maską zawiązaną, którą Dillinger przywdział dla reporterów, zniknęła bez śladu. Tu, w celi, był tylko człowiekiem lękającym się krzesła elektrycznego.

- Nie mogę zostać z Ryanem - powiedział. - Mój Boże, pośle mnie na krzesło! Praktycznie już załatwił mi skazanie, a przecież dopiero poprosił o odroczenie sprawy.

- Ryan jest w porządku - rzekł Piquett.

- Chcę, żeby pan mnie reprezentował. Co pan na to?

- Będę szczerzy - odparł Piquett. - To będzie kosztować.

- Stoi.

Dillinger zaoferował mu wysokie honorarium i Piquett zgodził się go bronić³. Wkrótce stał się pod każdym względem najważniejszą osobą w życiu Johna Dillingera. Oficjalnie był jego głównym obrońcą, ekstrawaganckim liderem prężnie rozwijającego się stowarzyszenia wielbicieli Johna Dillingera. Jednak najlepiej miał przysłużyć się Dillingierowi za zamkniętymi drzwiami; robił dla niego wszystko, od przekazywania tajnych wiadomości po odpowiadanie na propozycje wydania książki o nim. Relacje Dillingera z Piquettem i współpracującym z nim detektywem, sympatycznym safandulą Arthurem O'Learym, stały się fundamentem dla przyszłych wyczynów gangstera. Ci dwaj z czasem zostali jego sekretnymi współnikami, pomocnikami, pośrednikami, załatwiali wszystko, o co poprosił[*] Rola, jaką Piquett i O'Leary odegrali w życiu Dillingera, nie była w pełni znana aż do 1990 roku, kiedy odnaleziono nieopublikowany rękopis Russella Girardina, chicagowskiego pracownika agencji reklamowej i niespełnionego pisarza. To, jak doszło do odkrycia manuskryptu, samo w sobie jest ciekawą historią. Pod koniec 1934 roku Girardin pozyskał Piquetta i O'Leary'ego do współpracy przy pisaniu książki o Dillingierze. Powiedzieli mu wszystko, na potwierdzenie swoich relacji udostępniając daty i oświadczenia złożone pod przysięgą, Girardinowi jednak udało się opublikować tylko serię okrojonych artykułów. Rękopis leżał zapomniany na półce w jego domu w Chicago przez pół wieku do czasu, aż osiemdziesięciodziewięcioletniego

Girardina wytropili dwaj entuzjaści Dillingera, William Helmer i Joseph Pinkston. Jego manuskrypt rzuca snop nowego światła na historię Dillingera; wiele przedstawionych w nim kluczowych faktów znajduje potwierdzenie w nowo udostępnionych dokumentach FBI.]

Na razie Piągett wrócił do swojego biura w Chicago i zajął się przygotowaniem do procesu Dillingera. Procesu, który miał być apogeum jego kariery i przynieść mu nieopisane bogactwo i sławę. Procesu, który miał się nigdy nie odbyć.

St. Paul, Minnesota godz. 16.30

O 16.30 tego popołudnia ojciec Deere, katolicki ksiądz mieszkający pod St. Paul, usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył. Na progu stał mężczyzna o zapadniętych oczach i ziemistej cerze.

- Ojciec Deere? - spytał. - Tak.

- Da radę ksiądz dojechać do St. Paul na szóstą? - Tak.

Mężczyzna wcisnął księdzu w ręce kopertę, po czym poszedł do czekającego brązowego sedana i nim odjechał. Ojciec Deere, znajomy rodziny Bremerów, zobaczył, że koperta zaadresowana jest do Adolpha Bremera. Wrócił do środka i podniósł słuchawkę telefonu.

O 18.00 koperta była już w rękach Adolpha Bremera. Jak się okazało, zawierała instrukcje dotyczące sposobu przekazania okupu. Pieniądze, 200 000 dolarów w banknotach o niskich nominałach, których numery spisało FBI, zostały spakowane do dwóch kuferków. Parę minut po siódmej w browarze kuferki załadowano do samochodu Waltera Magee. Obawiając się złodziei, Magee pojechał bocznymi uliczkami na University Avenue, tam zgodnie z zapowiedzią porywaczy znalazł zaparkowanego chevroleta coupe z logo Shell Oil przymocowanym do przednich drzwi jak w samochodzie służbowym. Magee wsunął się za kierownicę chevroleta. Zauważył, że szyby zostały przyciemnione jakimś związkim chemicznym ograniczającym widoczność.

W kieszeni w drzwiach po lewej stronie znalazł kluczyki i list napisany na maszynie. Zgodnie z zawartymi w nim instrukcjami udał się do Farmington, miasteczka trzydzieści kilometrów na południe od St. Paul, gdzie zatrzymał się przy dworcu autobusowym. O 21.15 ruszył za odjeżdżającym właśnie autobusem do Rochester. Podążył za nim przez miasteczka Cannon Falls i Zumbrota, zatrzymując się na poboczu, ilekroć autobus przystawał, by wysadzić pasażerów. Wreszcie, sześć kilometrów na południe od Zumbroty, zobaczył na wzgórzu ponad drogą cztery czerwone światła. Zahamował. Dziewięćset metrów dalej, tak jak podano w instrukcji, była droga gruntowa. Magee skręcił na nią.

Powoli ruszył naprzód ciemną drogą. Kiedy przejechał jakieś siedemset metrów, z tyłu pojawił się samochód, który pięć razy błysnął światłami. Magee wysiadł, przeszedł do drzwi pasażera, wyjął dwa kuferki i położył je na drodze. Następnie wsiadł z powrotem i ruszył przed siebie. W końcu dotarł do małej miejsciny o nazwie Mazeppa.

7 lutego, środa

Następnego ranka Fred Barker wrócił do kryjówki **pod** Chicago uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Jest! - krzyknął, kiedy wtaszczyli kuferki do kuchni.

- Ile? - spytał Karpis.

- Wszystko - powiedział Barker. - Dwieście tysięcy.

Na Karpisa spadło odwiezienie Bremera. Zmusili więźnia, żeby się ogolił, i dali mu nowe ubrania. Karpis czytał artykuł opisujący, jak FBI zbiera odciski palców z odzieży, i chciał mieć pewność, iż Bremer nie wróci do domu z czymś, czego któryś z nich dotykał. Jego stare ubrania, z bielizną włącznie, spalili. Bremer poprosił, żeby oddali mu szelki, ale Karpis odmówił.

O zmroku założyli Bremerowi opaskę na oczy i razem z nim poszli do buicka zaparkowanego w zaułku. Karpis prowadził, Dock Barker był obok niego na przednim siedzeniu, Bremera położyli na podłodze z tyłu. W centralnym Wisconsin znaleźli zapas paliwa pozostawiony przez Freda Barkera. Karpis trzymał lejek, kiedy Dock wlewał zawartość pierwszego kanistra do baku. Karpisowi w ciemności omsknęła się ręka i lodowato zimna benzyna chlusnęła do jego rękawiczki.

- Jezu Chryste, przez ciebie zamrznę - powiedział, potrząsając dłonią.

- Mnie też chlapanęło na rękawiczki - odparł Dock. Przelewając paliwo z drugiego kanistra, ściągnął jedną rękawiczkę.

- Do licha, nie zdejmuj jej - powiedział Karpis.

- Benzyny mi się nalało.

- No to co? Jeszcze zostawisz odciski palców czy coś.

- I tak nikt tych kanistrów nie znajdzie. A nawet gdyby, nie będą wiedzieć, że z nich korzystaliśmy.

Karpis był zbyt zmarznięty, by się spierać.

Jechali przez noc do Rochester w stanie Minnesota. O ósmej zatrzymali się na tyłach budynku w centrum. Dock wcisnął Bremerowi do ręki kilka banknotów, wyprowadził go z samochodu i kazał policzyć do piętnastu, zanim zdejmie opaskę z oczu. Bremer zaczął liczyć,

dygocząc.

- Jeszcze tu jesteście - usłyszał. - Zaczynaj od nowa.

W drodze powrotnej do Chicago Dock był wręcz pijany ze szczęścia.

- Pewnie weźmiesz swoją dolę i pojedziesz z Delores na Florydę, co? - droczył się z wciąż zasępionym Karpisem.

- Wiesz co, Dock? - odparł Karpis. - Nieprędko wydamy choćby centa z tych pieniędzy.

St. Paul, Minnesota 8 lutego, czwartek

Ostatni pocieszyciel opuścił posiadłość Bremerów koło północy. Adolph Bremer w ciemności poszedł na drugą stronę ulicy, do browaru, żeby trochę popracować. Agent S.L. Fortenberry siedział na bocznej werandzie, kiedy usłyszał pukanie do drzwi wejściowych. Otworzył i do środka wtoczył się Edward Bremer, blady i drżący.

Agent Fortenberry pobiegł do browaru zawołać Adolpha Bremera. Kiedy wrócili do posiadłości, były uściski, radość i łzy. Agent Fortenberry poprosił, by mógł „dostać zaszczytu” zatelefonowania do Popa Nathana z dobrą nowiną. Edward przekonywał, że nie wolno mu tego zrobić. Obiecał porywaczom, że nic nie ukaże się w porannych wydaniach gazet. Obaj Bremerzy nakłonili Fortenberry'ego, by wstrzymał się z powiadomieniem Biura do świtu. Niechętnie uległ. Edward Bremer wychylił duszkiem dwie szklanki piwa, zanim zaczął opowiadać. Kiedy skończył, agent Fortenberry spytał, czy byłby w stanie rozpoznać któregoś z porywaczy.

- Wiem, że to brzmi niedorzecznie - powiedział Bremer - ale więzili mnie przez dwadzieścia dwa dni, a ja żadnego z nich nie widziałem.

Bremer wielokrotnie powtarzał ojcu, że „nie mogą mieszać w to prokuratury”, jak agent Fortenberry doniósł w sporządzonym później pisemnym meldunku. Porywacze grozili jego żonie i dziecku. Wreszcie koło trzeciej, śpiący i wyczerpany, Edward Bremer poszedł do łóżka. Ledwie zniknął na górze, a już Fortenberry sięgnął po telefon.

W piątek rano Nathan zadzwonił do lekarza Edwarda Bremera, który pozwolił mu Bremera przesłuchać, ale tylko przez pół godziny, o drugiej po południu. Powiadomiwszy o tym Waszyngton, Nathan pojechał do posiadłości Adolpha Bremera. W kuchni właśnie trwała narada rodzinna. Adolph Bremer spytał Nathana, co sądzi o zapewnieniach Edwarda, że nie byłby w stanie rozpoznać żadnego z porywaczy. Nathan określił je jako „brednie, w niczym nieprzydatne dla śledztwa”. Adolph prosił go, by potraktował jego syna „ulgowo”. Edward jest osłabiony, za kilka dni poczuje się lepiej. Nathan powiedział, że nie ma kilku dni. Z

każdym dniem trop będzie się zacierał coraz bardziej.

O drugiej Nathan zobaczył się z Edwardem Bremerem. Bremer był zastraszony, dręczyły go wątpliwości, czy podjąć współpracę z władzami. „Policja jest w porządku - powiedział - ale na co mi agenci federalni?”. Nathan spytał, jak ma to rozumieć; Bremer machnął ręką i zapewnił, że tylko żartował. Nathan popadł w irytację. Powiedział, że jest oczywiste, iż Bremer nie mówi wszystkiego, co wie. Bremer się obruszył. Powtarzał z naciskiem, że nie mógłby rozpoznać żadnego z porywaczy, bo „żywej duszy nie widział”. Rozsierdzony Nathan wrócił do biura. Był przekonany, że Edward Bremer coś ukrywa.

W ten sam piątkowy poranek, gdy Pop Nathan męczył się z Edwardem Bremerem, rozprawa Dillingera w Crown Point przerodziła się w teatr jednego aktora - Louisa Piqueta. Sala sądowa znów wypełniona była do ostatniego miejsca, pod ścianami stali ludzie szeryfa z pistoletami maszynowymi, reporterzy robili notatki, trzaskały flesze. Wśród publiczności znaleźli się dwaj policjanci z Arizony, którzy aresztowali Dillingera. Obaj zdradzili, że rozważają propozycje z filmu i wodewilu, ale oferowane stawki ich nie satysfakcjonują⁴.

Ledwie sędzia Murray uciszył tłum, Piquett już był na nogach.

- Wysoki Sądzie! - zagrzemiał. - Czy ta rozprawa odbędzie się w zgodzie z duchem prawa tego stanu i tego kraju, czy też mamy być świadkami parodii sprawiedliwości? Czy pozwolimy władzom stanu na dalsze podsycanie atmosfery uprzedzenia i nienawiści? W powietrzu wisi krwawy odór nietolerancji i złej woli. Brzęk kajdan przywodzi na myśl carskie kazamaty, a nie symbolizowanego przez wywieszoną tu flagę ducha wolności, który panować winien na amerykańskiej sali sądowej. Proszę Wysoki Sąd, by nakazał zdjąć te kajdany.

To był Piquett w najlepszym wydaniu, melodramatyczny i wojowniczy. Oskarżyciel, Robert Estill, nie mógł się z nim równać.

- Wysoki Sądzie, ten człowiek jest bardzo niebezpieczny - powiedział.

- Zdjąć więźniowi kajdanki - polecił sędzia Murray. Piquett dopiero się rozkręcał.

- Dziękuję - rzekł. - Jeśli wolno, chciałbym też zwrócić uwagę, że jesteśmy w sądzie cywilnym, nie wojskowym. Cóż może być bardziej wyrazistym dowodem uprzedzenia niż lufy pistoletów maszynowych wymierzone w plecy oskarżonego i stłoczona w sali armia strażników? Czy Wysoki Sąd mógłby nakazać, by z sali usunięto broń?

Wstał bratanek szeryfa Holleya, a zarazem funkcjonariusz z jego biura, Carroll Holley.

- Ja odpowiadam za bezpieczeństwo więźnia.

- Kim pan jest? - spytał Piquett. - Prawnikiem? Jeśli nie, jakim prawem zabiera pan głos przed sądem?

Sędzia Murray nakazał usunąć broń. Piquett przedstawił wówczas wniosek o odroczenie rozprawy, twierdząc, że potrzeba mu czterech miesięcy, by przygotować obronę Dillingera. Estill powiedział, że dziesięć dni powinno wystarczyć.

- Rozpoczęcie procesu za dziesięć dni byłoby równoznaczne ze zlinczowaniem tego biedaka w majestacie prawa! - krzyknął Piquett. - Prawo obowiązujące w tym stanie zabrania linczu!

- Zabrania też zabójstwa - odparował Estill.

- To może przestrzegajcie tego prawa? - rzucił Piquett. - Dlaczego [po prostu] nie postawicie Dillingera pod ścianą i go nie rozstrzelacie? Nie ma potrzeby wyrzucać publicznych pieniędzy na tego rodzaju farsę... Wysoki Sądzie, toż nawet Chrystus miał bardziej sprawiedliwy proces!

Estill już miał coś odkrzyknąć, ale sędzia Murray nakazał obu prawnikom spokój. Piquett przeprosił Wysoki Sąd i skinął ręką na Estilla.

- Bob i ja szanujemy siebie nawzajem - powiedział.

- Jeszcze trochę, a i pana obejmie ramieniem - zażartował Murray.

Sala gruchnęła śmiechem. Po dalszych jałowych sporach sędzia dał Piquettowi miesiąc; proces Dillingera miał się rozpocząć 12 marca.

- Wysoki Sądzie - powiedział nadąsany Estill - może niech pan Piquett weźmie Dillingera ze sobą do domu i przywiezie go na proces? W końcu poza tym dostał wszystko, czego zażądał.

Dillinger przysłuchiwał się tej dyskusji ze swoim charakterystycznym uśmiechem na twarzy. Kiedy przed powrotem do więzienia zakładano mu kajdanki, nachylił się do Piqueta i szepnął:

- Brawo, mecenasie⁵.

Agentem, którego Hoover wyznaczył do kierowania śledztwem w sprawie Bremera, był William Rorer, przystojny weteran pierwszej wojny światowej, człowiek, który aresztował Machine Gun Kelly'ego. Rorer, awansowany na inspektora, przybył do St. Paul w sobotę 10 lutego, następnego dnia po wstępnej rozprawie Dillingera. Ten dzień poświęcił na lekturę raportów, a nazajutrz, w niedzielę, przesłuchał Bremera w jego domu.

Rozmowa nie zaczęła się najlepiej. Udali się na werandę, gdzie Rorer podkreślił, jak ważne jest, by Bremer powiedział wszystko, co wie. Bremer znów się rozżłościł i odparł, że wszystko już powiedział Popowi Nathanowi. Rorer stwierdził, że to oczywista nieprawda. „Kto powiedział, że kłamię?”, rzucił Bremer⁶. Skoro tak, ciągnął, to w ogóle nic nie powie. Rorer przypomniał mu, że to jego obowiązek względem władz i narodu amerykańskiego.

- Pal licho obowiązek - powiedział Bremer.

Spotkanie się zakończyło, kiedy młody prezes banku wybiegł z placem. Tymczasem w Waszyngtonie Hoover nie miał dla Bremera krzty współczucia. Był gotów podjąć drastyczne działania. Przez kilka dni rozważał publiczne skrytykowanie Bremera za brak współpracy z Biurem. Nathan poprosił go, by się z tym wstrzymał, ale Hoover mimo to wysłał Cummingsowi projekt stosownego oświadczenia. Zaczynał się od wykładu na temat ciężącego na ofercie obowiązku udzielenia pomocy w schwytaniu porywaczy, by następnie zwrócić uwagę, że „mimo dobrej woli, jaką wykazali się agenci specjalni Biura Śledczego, ograniczając zakres swoich działań, by umożliwić bezpieczny powrót pana Bremera, nie uzyskaliśmy od niego pomocy, jakiej należy oczekiwać... Ani zuchwałość, ani strach, ani obojętność nie mogą stanowić usprawiedliwienia braku pełnego, uczciwego, energicznego zaangażowania i współpracy”.

W poniedziałek rano, kiedy Bremer przyjechał do siedziby Biura na następne przesłuchanie, Rorer odczytał mu tekst oświadczenia. Efekt był piorunujący. Bremer nagle zaczął sobie przypominać różne szczegóły. Przesłuchania odbywały się każdego dnia przez następny tydzień. Powiedział, że porywacze pozwalali mu palić chesterfieldy; nie, na paczce nie było stempla z nazwą stanu. Przypomniał sobie tapetę w pokoju, w którym był przetrzymywany, i wzorek w czerwone kwiatki na zastawie. Zeznał, że porywacze wieźli go mniej więcej osiem godzin.

Zmiana nastawienia Bremera zbiegła się w czasie z odnalezieniem cennych dowodów. Następnego popołudnia po jego uwolnieniu agenci zabrali Waltera Magee i pokonali z nim trasę, którą jechał w miejsce złożenia okupu. Na drodze 55, na południe od Zumbroty, Magee wskazał wzniesienie, na którym zobaczył czerwone światła. Agenci wdrapali się na porośniętą trawą nasyp i znaleźli trzy ciężkie, mosiężne lampy i ręczną latarnię; wszystko zawinęli w celofan i wysłali do laboratorium w Waszyngtonie.

Tymczasem agent McKee pojechał do Portage w stanie Wisconsin, którego szeryf przechowywał, jak twierdził, podejrzane kanistry. Były tam cztery piętnastolitrowe pojemniki i lejek. Szeryf zabrał McKee do farmera Reubena Grossmana, który to wszystko znalazł. Grossman zeznał, że kanistry po raz pierwszy zobaczył w noc uwolnienia Bremera, leżały na poboczu drogi gruntowej odchodzącej od drogi 16. Rano nadal tam były, więc zaniósł je do swojego garażu. A ponieważ przeszło mu przez myśl, że mogły mieć jakiś związek ze sprawą Bremera, zadzwonił do szeryfa. McKee zabrał kanistry i lejek i wysłał je do Waszyngtonu. Po kilku dniach przyszła wiadomość. Na jednym z kanistrów znaleziono odcisk palca, który udało się zidentyfikować.

Zostawił go Dock Barker.

Kansas City” Missouri 12 lutego, poniedziałek

Podczas gdy FBI gorączkowo szukało informacji o Barkerach, śledztwo w sprawie masakry w Kansas City utknęło w martwym punkcie. Hoover dopominał się od biur w Kansas City i Oklahoma City informacji o ich działaniach. „Szczególnie zażenowany jestem brakiem jakichkolwiek wiadomości o rozwoju sytuacji w sprawie Floyd’a - pisał do nowego szefa biura w Oklahoma City, Dwighta Brantleya. - Więcej dowiaduję się na ten temat od prywatnych osób w Nowym Jorku niż od was”[* Wzmianka o nowojorskich znajomych Hoovera może być aluzją do jego przyjaciela Waltera Winchella.].

Śledztwo wciąż miało dwóch prowadzących i ich sprzeczne hipotezy były przyczyną tarć. Nowo przydzielony do dochodzenia A.E. „Gyp” Farland przesłuchiwał więźniów z Leavenworth, którzy znali Barkerów. 29 stycznia napisał do Hoovera, że Biuro „myliło się co do tożsamości osób, które pomagały Verne’owi Millerowi podczas masakry w Kansas City”. Farland przekonywał, że współnikami Millera niemal na pewno byli Fred Barker i Alvin Karpis. Inni agenci nie podzielali jego zdania.

Hoover przeczytał ten meldunek ze złością. Hipoteza Farlanda wydawała się nieprzemysłana i dobitnie pokazywała, jak chaotycznie prowadzone jest śledztwo. Hugh Clegg miał to sprawdzić. „Zadzwoń do pełniącego obowiązki szefa biura w Kansas City agenta M.C. Speara - napisał do Hoovera tego popołudnia - i powiedz mu, że jest pan bardzo niezadowolony z zastoju w śledztwie w sprawie masakry w Kansas City; że można odnieść wrażenie, że odłożyli je na bok i sporadycznie oddelegowują do niego kogo popadnie, zamiast energicznie przeć do jego pomyślnego zakończenia”.

Spear przedstawił Cleggowi sprzeczne hipotezy stawiane przez śledczych. „Poinformowałem Speara, że wszelkie ich teorie są nieistotne dla dochodzenia - przekazał Hooverowi Clegg - że wdawanie się w spory dotyczące hipotez nie należy do zadań agentów; że interesują nas fakty, jakiegokolwiek by były, i że nie powinien tolerować żadnych konfliktów w swoim biurze”.

Hoover wybuchnął. „Tak dalej być nie może! - nabazgrał na notatce od Clegga. - Każ wysłać do K.C. ostry list dot. kłótni. Mają się natychniać skończyć”.

Na polecenie Hoovera nowy agent, Harold Anderson, miał dokładnie przestudiować akta dotyczące masakry [* Harold E. Anderson urodził się i wychował w Oregonie. W latach 1927-43 służył w FBI, później pracował jako śledczy Narodowej Komisji Ekspertów ds. Ubezpieczeń od Pożaru i Stanowej Komisji Gier Hazardowych w Nevadzie. Zmarł w 1975 w

Las Vegas w wieku 75 lat.]. W dokumentach wypełniających dwie szafki po cztery szuflady każda panował bałagan. Minęło dziesięć dni, zanim Anderson je uporządkował. Gdy to zrobił, odkrył coś zdumiewającego. W jednej z szuflad znalazł plik fotografii odcisków palców pochodzących z domu Verne'a Millera. Odciski, zdjęte z butelek po piwie w piwnicy Millera, zostały porównane z tymi w archiwum biura w Kansas City, ale nie przesłano ich do Waszyngtonu, gdzie mieściła się ogólnokrajowa kartoteka linii papilarnych. To był duży błąd i Anderson zdawał sobie sprawę, że polecą głowy.

Tego poniedziałkowego poranka odciski palców zostały przesłane do Waszyngtonu do analizy. Hoover wpadł w furię; żądał wyjaśnienia, jak to się stało, że przeleżały siedem miesięcy w aktach. „Wygląda na to - napisał do niego agent z Kansas City - że w zamieszaniu, jakie zapanowało wkrótce po masakrze, [teczka z odciskami palców] gdzieś się zapodziała”.

Anderson wyszperał w aktach kilkanaście nowych tropów. Wziął się do pracy, podczas gdy laboratorium FBI, już zajęte sprawą Bremera, zaczęło szukać odcisków palców na butelkach po piwie.

W ten sam poniedziałek Louis Piquett powrócił do Crown Point. Nie milkły plotki, że John Hamilton przygotowuje napad na więzienie, by odbić współnika. Szeryf Holley poprosiła o przeniesienie DiUingera do więzienia w Michigan City. Dillinger błagał, by Piquett do tego nie dopuścił.

- Bez obaw - uspokoił go Piquett. - Nie pojedziesz tam.

W gabinecie sędziego Williama Murraya Piquett przysłuchiwał się, gdy szeryf Holley przekonywała, że więzienie w Michigan City to jedyne miejsce, z którego Dillinger na pewno nie ucieknie. Bez trudu zbił jej argumenty chytrym komplementem.

- Moim zdaniem macie tu bardzo porządne więzienie - powiedział. - Dlaczego uważa pani, że coś jest z nim nie tak?

- Nic takiego nie powiedziałam - odparła pani Holley. - To najlepiej zabezpieczone więzienie w Indianie.

- Tak też myślałem - powiedział Piquett. - Ale oczywiście nie chcę stawiać pani Holley w trudnym położeniu. Zdaję sobie sprawę, że jest kobietą i jeśli obawia się ucieczki...

- Nie obawiam się żadnej ucieczki - odparła pani szeryf. - Poradzę sobie i z Johnem Dillingerem, i z każdym innym więźniem.

To w zasadzie przesądzało sprawę, ale żeby postawić kropkę nad i, Piquett zapowiedział, że w razie przeniesienia DiUingera złoży wniosek o zmianę miejsca rozprawy. Sędzia Murray wyraźnie nie miał nic przeciwko zainteresowaniu mediów, jakie budził jako

sędziego Dillingera, i nie potrzebował usłyszeć nic ponadto. Zdecydował, że więzień pozostanie w Crown Point.

Piquett ponownie pojawił się w więzieniu trzy dni później, w czwartek 15 lutego. Po raz pierwszy przyprowadził swojego współpracownika, Arta O'Leary'ego. Zamierzał wysłać go na Florydę, by potwierdzić alibi Dillingera, który utrzymywał, że w czasie, gdy według świadków obrabował bank w East Chicago, wciąż jeszcze był w Daytona Beach.

- Moment - powiedział Dillinger, kiedy zbierali się do wyjścia. - Dam wam liścik do Billie.

W drodze powrotnej do Chicago Piquett i O'Leary obejrzeni złożoną kartkę. Dillinger naszkicował na niej plan więzienia w Crown Point i napisał, jak można go stamtąd uwolnić. Gryps instruował Hamiltona, by wysadził dynamitem narożnik więzienia, po czym przy użyciu lutownicy przebił się przez stalowe ściany do bloku, w którym będzie czekał Dillinger⁷. O'Leary gwizdnął cicho. To była pierwsza wskazówka, że Dillinger nie miał zamiaru stanąć przed sądem. List przeraził ich obu. Plan był absurdalny, jego wykonanie bez wątpienia zakończyłoby się śmiercią wszystkich zainteresowanych. Mimo to, po krótkiej dyskusji, Piquett przekazał go Frechette, a ona Johnowi Hamiltonowi.

Hamilton jednak nie był w stanie nikomu pomóc; wciąż jeszcze nie wylizał się z ran odniesionych miesiąc wcześniej w East Chicago. Od tamtej pory ukrywał się w mieszkaniu w Chicago, gdzie opiekowała się nim Pat Cherrington. W desperacji skontaktował się z jedynym przedstawicielem przestępczego podziemia, któremu zaufał, ich starym druhem, Homerem Van Meterem. Van Meter był w St. Paul, gdzie, jak chciał los, właśnie spotkał się z dawno niewidzianym znajomym, tym najbardziej niezrównoważonym ze wszystkich gangsterów ery Wielkiego Kryzysu, Baby Face Nelsonem.

W wyniku napadu na Eastham Clyde Barrow wreszcie, po siedmiu miesiącach, miał nowy gang i wszystko wskazywało na to, że postanowił uczynić z niego swojaprzepustkę do gangsterskiej elity: od tej pory miał się zająć okradaniem banków. Niewykluczone, że banki budziły w nim lęk. W przeszłości, nawet kiedy miał współników, poprzestawał na sklepach jubilerskich i stacjach benzynowych. Jeśli teraz widział w sobie porównywalnego z Dillingerem herszta bandy wytrawnych złodziei, to, jak wkrótce się okazało, tylko się oszukiwał. Przeszkodą był jego nowy współnik, Raymond Hamilton. Buńczuczny Hamilton nie ustępował Clyde'owi pod względem próżności i nie zamierzał pozostawać w niczym cieniu.

Niewiele wiadomo o pierwszych tygodniach po napadzie na Eastham. Większość informacji pochodzi z zeznań Joego Palmera, jednego z więźniów, którzy zbiegli razem z

Hamiltonem. Schwytyany ponownie w Paducah w stanie Kentucky w sierpniu 1934 roku, przed swoją śmiercią na krześle elektrycznym przedstawił niekompletną wersję wydarzeń. Według Palmera, chudego mordercy z odstającymi uszami, któremu doskwierały krwawiące wrzody i rozmaite chroniczne dolegliwości żołądkowe, z Bonnie i Clyde'em po napadzie oprócz niego zostali jeszcze trzej więźniowie: Raymond Hamilton, podwójny morderca Hilton Bybee i oszpecony śladami po trądziku dwudziestoletni chłopak z Luizjany, Henry Metłwin.

Ta uformowana w Dallas pięcioosobowa grupa pojechała na wschód, do Luizjany, by odwiedzić rodziców Henry'ego Metłwina w odludnej części gminy Bienville, na wschód od Shreveport. W Shreveport kupili ubrania i broń. Potem wybrali się na północ z zamiarem obrabowania banku w Iowa, która wkrótce stała się ulubionym terenem łowów Clyde'a. Napięcia wewnątrz grupy uwidoczniły się po skoku na bank w Rembrandt, w północno-zachodniej Iowa, 25 stycznia, osiem dni po napadzie na Eastham. Sam skok był nieciekawą, szybko odbęb-nioną chałturą; łup wyniósł 3800 dolarów. Palmer zeznał, że był zbyt chory, by w nim uczestniczyć, i został w samochodzie z Bonnie. Mimo to Clyde nalegał, żeby dać mu taką samą część łupu, jak wszystkim. Hamilton protestował, ale Clyde postawił na swoim. Nie był to ich ostatni spór; między Hamiltonem i pozostałymi tworzył się wyraźny rozdzwiek. Wyczuwając, że sytuacja robi się zapalna, Hilton Bybee odszedł z gangu po napadzie w Rembrandt; po pięciu dniach, w Amarillo, wpadł w ręce policji*[* Niewiele książek o Bonnie i Clydzie wspomina o napadzie w Rembrandt, zapewne dlatego, że jedyna wzmianka o nim pojawia się w odręcznych notatkach Lee Simmonsa z przesłuchania Joego Palmera. Notatki te w całości zawarte są w opublikowanym w 1957 r. pamiętniku Simmonsa *AssignmentHuntsville*. Według współczesnych relacji do napadu na bank doszło 25 stycznia.]

Niesnaski nie ustawały, gdy gang kilka dni później wracał przez Missouri na południe. Byli już prawie w Joplin, kiedy Palmer i Hamilton pokłócili się na tylnym siedzeniu. Palmer, jak sam twierdził, nazwał Hamiltona „zarozumiałym gnojkiem, któremu gęba się nie zamyka”, po czym narzucił sobie koc na głowę i zasnął na podłodze z tyłu. Hamilton, kipiący ze złości, wyjął wtedy pistolet, jakby chciał go zastrzelić; widząc to, Clyde, który prowadził, wyciągnął rękę do tyłu i dał Hamiltonowi w twarz, przez co stracił panowanie nad samochodem. Wpadli do rowu, uszkadzając lewe koło*[* Niektórzy autorzy, w tym EJ. Milner w *The Lives and Times of Bonnie & Clyde* (Southern Illinois University Press, 1996), twierdzą, że do tego incydentu doszło kilka tygodni później. Jednak z notatek Simmonsa wynika, że Palmer jasno powiedział, że było to „gdzieś tak 1 lutego”, czyli zaraz po napadzie w Rembrandt. Milner o tym napadzie nie wspomina.]. Palmer podziękował Clyde'owi za

uratowanie życia, ale nie chciał więcej mieć z Hamiltonem nic wspólnego. Przekonał Clyde'a, by zostawił go w hotelu Conner w Joplin. Clyde obiecał wrócić za kilka tygodni⁸.

Jeśli gang wyjechał z Missouri, to wkrótce wrócił, bo 12 lutego Bonnie i Clyde wdali się tam w strzelaninę. Według relacji w „Springfield Press” z następnego dnia wszystko zaczęło się rano, kiedy mieszkanka Springfield zauważyła, że jakiś mężczyzna kradnie jej samochód sprzed domu na East Walnut Street. Podniesiono alarm i tuż przed południem ktoś zobaczył skradzione auto przejeżdżające przez Galenę, na południe od Springfield; potem widziano je znowu w Reeds Spring, na zachód od Branson.

Clyde zabłądził. Za Reeds Spring zabrał autostopowicza, Joego Gunna, czterdziestoletniego farmera, wziął go na muszkę i kazał mu pilotować ich do Berryville, po drugiej stronie granicy z Arkansas. Gunn wgramolił się na tylne siedzenie, obok Hamiltona i Henry'ego Metłwina, którzy przysiedli na stercie karabinów automatycznych i tysięcy pocisków. Nie minęło pięć minut, a Clyde zauważył z przodu policyjną blokadę. Był tam szeryf Reeds Spring. Clyde skręcił na drogę gruntową, która szybko się urwała, i zawrócił w stronę blokady.

- Chłopaki, trzeba dać im popalić - powiedział, zatrzymując samochód.

Chwycił karabin automatyczny, wyskoczył na drogę i wraz z Hamiltonem i Methvinem otworzyli ogień w kierunku blokady. W tej samej chwili następny radiowóz pojawił się za nimi. Jechali nim dwaj ludzie z biura szeryfa Springfield. Hamilton obrócił się i zaczął do nich strzelać. Clyde opróżnił dwa magazynki. Gunn zauważył, że za każdym razem dawał Bonnie karabin do przeładowania. Gang miał przygniatającą przewagę w sile ognia i po kilku minutach stróże prawa z obu miast wycofali się, by wezwać posiłki. Gunn wspominał, że Bonnie „była zachwycona”. Hamilton wskoczył na tylne siedzenie z szerokim uśmiechem na ustach.

- Chciałem zabić tego skurwiela na tylnym siedzeniu - powiedział.

Gang przejechał przez granicę z Arkansas i ostatecznie zatrzymał się dwanaście kilometrów na południe od Berryville. Jak zeznał Gunn, którego tam wysadzili, Clyde wówczas złapał Bonnie za nos i powiedział: „Nie ma co taszczyć zbędnego balastu, kochanie”⁹. Gunn powlókł się z powrotem na północ. Jeszcze tego popołudnia opowiedział o swojej przygodzie gazecie ze Springfield.

Z Arkansas Clyde zawiózł całą grupę do Dallas, gdzie razem z Hamiltonem wzięli pod obserwację kilka miejscowych banków. W poniedziałkowy wieczór 19 lutego przekonani, że potrzebują jeszcze większej siły ognia, włamali się do składu broni Gwardii Narodowej w położonym na zachód od Fort Worth miasteczku Ranger w Teksasie, skąd wynieśli całe

naręcza karabinów automatycznych Browning, koltów kalibru.45 i tysiące kul. Wszystko to przetransportowali do Dallas.

Na ten okres, między 12 lutego a początkiem marca, przypada jeden z dziwniejszych epizodów historii Bonnie i Clyde'a. Hamilton, który czuł się samotny, w Dallas odnowił znajomość z Mary O'Dare, mocno umalowanym ziółkiem, dziewiętnastoletnią żoną odsiadującego wyrok kolegi*[* Mężem O'Dare był Gene O'Dare, aresztowany wraz z Hamiltonem na lodowisku w Michigan pod koniec 1932 r.]. Po raz pierwszy od czasów Blanche Barrow do gangu dołączyła inna kobieta. Bonnie tolerowała Blanche, lecz Mary O'Dare serdecznie nie znosiła, tak jak prawie wszystkie osoby związane z gangiem. O'Dare została zapamiętana jako niedojrzała, złośliwa plotkara, która nie mogła zrozumieć, dlaczego Bonnie i Clyde wolą sypiać w samochodzie i myć się w lodowato zimnych strumieniach, niż zatrzymać się w porządnym hotelu. Brat Raymonda Hamiltona, Floyd, określał ją jako „naciągaczkę” i „ prostytutkę”, która nakładała na twarz tyle makijażu, że „zbożem można by ją obsiać”¹⁰. Clyde i Bonnie za jej plecami nazywali ją „Praczką”.

O'Dare była już w gangu, kiedy Clyde i Hamilton uzgodnili, który bank obrobiją: R.P. Henry and Sons w Lancaster, czterdzieści kilometrów na południe od Dallas. We wtorkowy poranek 27 lutego, pozostawiając kobiety w fordzie na północ od miasta, zabrali Henry'ego Methvina i pojechali do Lancaster. Kilka minut przed południem wysiedli przy bocznym wejściu do banku. Zachowanie Clyde'atego dnia świadczy o jego ambicji, by wejść do gangsterskiej elity. Zniknęły pomięte, przykurzone garnitury, w których zwykle chodził. Dziś miał na sobie elegancki płaszcz w kratę i dobrze dobrany stetson. Hamilton był w płaszczu uszytym na miarę. Methvina zostawili w samochodzie.

W holu było pięć osób, kiedy Clyde wszedł, wyjął spod płaszcza obrzyn i powiedział:

- Wszyscy na podłogę!

Jeden z klientów, starszy pan Brooks, nie zrozumiał.

- Co? - spytał. - Co mamy zrobić?

Ollie Worley, robotnik zatrudniony w ramach programu robót publicznych, który właśnie zrealizował czek z wypłatą wynoszącą 27 dolarów, wyjaśnił:

- Musimy się położyć na podłodze. Brooks nadal stał.

- Hej, dziadku, lepiej się połóż - ponaglił Clyde.

- Proszę - wtrącił członek władz banku.

Musieli namawiać go jeszcze minutę, zanim starszek zajął miejsce na podłodze. Hamilton w tym czasie obszedł boksy kasjerów od tyłu, zbierając gotówkę do worka. Jednego kasjera zaprowadził do skarbcza, zabrał z półek paczki banknotów i wrócił, gotów do wyjścia.

W tym momencie stało się coś dziwnego. W czasie, gdy Hamilton był wewnątrz skarbcza, Clyde wyrwał Olliemu Worleyowi 27 dolarów z ręki. Teraz, przed wyjściem, odwrócił się do niego.

- Ciężko na to zapracowałeś, co? - spytał, wskazując pieniądze w swojej dłoni.

- Tak, proszę pana - powiedział Worley. - Kopałem rowy...

- Masz. - Clyde wcisnął mu pieniądze do ręki. - Nie chcemy twoich pieniędzy. Tylko pieniądze banku¹¹.

Wśród dziesiątek relacji naocznych świadków o zachowaniu Clyde'a ta rozmowa jest czymś wyjątkowym. Jeśli ufać pamięci Worleya - opowiedział tę historię Johnowi Nealowi Phillipsowi, historykowi z Dallas, w 1984 roku - był to może jedyny przypadek, kiedy Clyde wykazał się czymś w rodzaju odruchu altruistycznego[* Wersja Worleya z 1984 r. różni się od tej, którą przedstawił gazetom pięćdziesiąt lat wcześniej. W dniu napadu przekonywał reporterów z Dallas, że pieniądze oddał mu Hamilton i że chodziło o 3 dolary, nie 27.]. Co więcej, jego dobór słów jest znaczący: powiedział Worleyowi dokładnie to samo, co, jak donosiły gazety, powiedział Dillinger sześć tygodni wcześniej podczas skoku na First National Bank w East Chicago. W połączeniu z nietypową dla niego uprzejmością i z uszytym na miarę ubraniem ten incydent wskazuje, że Clyde zaczynał wzorować się na Dillingerze i próbował naśladować jego sukcesy. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że pragnął budzić taki podziw jak Dillinger i zmieniał swoje zachowanie w nadziei, że to osiągnie.

Jednak wszelkie jego marzenia o tym, że mogliby z Hamiltonem zawrzeć spółkę działającą z rozmachem godnym Dillingera, ulotniły się jeszcze tego samego dnia. Opuściwszy w pośpiechu Lancaster, zabrali dziewczyny i skierowali się na północ, w stronę Oklahomy. Clyde prowadził, Hamilton i O'Dare siedzieli z tyłu z Henrym Methvinem. W pewnym momencie Hamilton zaczął dzielić łup, który wyniósł 4000 dolarów, na trzy części.

- A dla mnie? - spytała nagle Mary O'Dare.

- Ty nie dostaniesz nic - warknął Clyde.

Później opowiadał rodzinie, że uważnie obserwował w lusterku wstecznym, jak Hamilton dzieli pieniądze. Zobaczył, że Hamilton wsuwa O'Dare do ręki zwitek banknotów. Zatrzymał wówczas wóz, nakrzyczał na Hamiltona i przeszukał go. Znalazł przy nim dodatkowe 600 dolarów. Anegdota ta bez wątpienia ma w sobie duży ładunek dramaturgii, może za duży, by w nią uwierzyć. Bez względu jednak na to, co tego dnia wydarzyło się naprawdę, spółka Barrow-Hamilton przestała istnieć. Według niektórych relacji Bonnie i Clyde rozstali się z Hamiltonem i O'Dare od razu, na drodze.

Jest to mało prawdopodobne. Bonnie później mówiła matce, że ostateczny rozłam nastąpił kilka dni później, podczas koszmarnej wyprawy gangu na północ, na Środkowy Zachód. Dojechali wówczas aż do Indiany, gdzie mężczyźni sprawili sobie nowe, eleganckie garnitury, kapelusze i płaszcze, a dziewczyny suknie, i wszyscy raz czy dwa razy wybrali się do kina; aż kusi, by postawić tezę, że Clyde'a ciągnęło do Indiany, bo było to terytorium Dillingera, ale dokładna trasa podróży gangu nie jest znana.

Przez całą drogę O'Dare sprzeczała się ze wszystkimi, nawet z odpowiadającym monosylabami Methwinem. Według relacji Bonnie kroplą, która przelała czarę, było coś, co wydarzyło się po jej ostrej kłótni nie z O'Dare, lecz z Clyde'em. Bonnie nie wyjaśniła, o co poszło, ale zrobiło się tak nieprzyjemnie, że odeszła na bok z płaczem, zarzekając się, że „wraca do domu, do mamy”. O'Dare próbowała ją pocieszyć.

- Ja tam bym się z nim nie patyczkowała. Załatwiłabym go na cacy.

- Wracam do domu - odparła Bonnie. - Nienawidzę go.

- Ja porachowałamby się z nim przed wyjazdem - stwierdziła O'Dare.

- Mam taki zamiar - powiedziała Bonnie. - Poczekaj, a zobaczysz.

- Otrułabym go - odparła O'Dare. Ta sugestia zaskoczyła Bonnie.

- Otruć Clyde'a?

- No to choć go uspij - namawiała O'Dare. - A jak już będzie nieprzytomny, zabierzesz mu forszę i przyśniesz. Pomyśl, jak mogłabyś się zabawić za te pieniądze.

Bonnie potem opowiadała matce: „Gdybym nie była tak zła na Clyde'a, chyba dałabym jej w twarz. Ale od tej pory nie chciałam mieć z nianie wspólnego. Powiedziałam Clyde'owi, a on Raymondowi, że jeśli ona zostanie, to koniec. Wtedy się rozstali i my z Henrym wróciliśmy do Teksasu”¹².

Zważywszy na skłonność Bonnie do koloryzowania faktów, Mary O'Dare mogła wcale nie sugerować otrucia Clyde'a; w każdym razie zrobiła coś tak złego, że, jak opowiadał Joe Palmer, Bonnie, Clyde i Methvin później naradzali się, czyjej nie zabić. Po rozwiązaniu gangu Clyde już nigdy nie pracował z Raymondem Hamiltonem.

Obie pary wróciły oddzielnie w okolice Dallas. Hamilton wziął do pomocy brata i razem obrabowali kilka teksaskich banków. Clyde na razie miał pieniędzy pod dostatkiem i przystał na propozycję Henry'ego Methvina - który zastąpił W.D. Jonesa w roli chłopca na posyłki Clyde'a - by odwiedzić jego rodziców w Luizjanie. Pewnego popołudnia na początku marca, w głębi sosnowego lasu na wschód od Shreveport, Clyde zawiózł ich wyboistą drogą gruntową do chałupy rodziców Methvina, Iversona i Avy Methvin. Ivy Methvin był pijakiem; Ava rzadko się odzywała.

Mimo to okolica spodobała się Clyde'owi. W ciągu kilku leniwie płynących dni u Methvinów zabierał Bonnie na długie spacery wśród sosen. Wieś zupełnie odcięta od świata, z niewidoma utwardzonymi drogami, bez żadnych większych miast i bez policji w zasięgu wzroku. Nieopodal jezioro pełne ryb. Tylko nieliczne wiejskie chałupy miały bieżącą wodę czy kanalizację; radia i telefony były jeszcze większą rzadkością. Clyde wyznał Bonnie, że ta atmosfera mu odpowiada. Oboje byli wykończeni. Przez ostatnie osiem miesięcy, od strzelaniny w Platte City, nie spali w łóżku. W pewnym momencie Clyde zaproponował, by znaleźli sobie w pobliżu domek. Mogliby go wyremontować i przyjeżdżać tu na wakacje. Bonnie spodobała się myśl o domku w lesie, w którym mieszkaliby tylko we dwoje. Wydawało się, że wszystko wreszcie układa się po ich myśli.

Jednak było inaczej. Wędrując po lasach północnej Luizjany, Bonnie i Clyde nie wiedzieli, że po raz pierwszy od dwóch lat mają na karku zawodowego tropiciela, który szuka ich już na Luizjańskiej prowincji.

Wynajęty został przez Lee Simmonsa, szefa teksaskiego więziennictwa. Simmons pragnął zemsty za napaść na jego obóz pracy, a skoro FBI i szeryf Dallas nie chcieli albo nie potrafili schwytać Bonnie i Clyde'a, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Dwa tygodnie po ucieczce z więzienia Eastham, 1 lutego, Simmons przybył do rezydencji gubernatora w Austin i przedstawił swój pomysł pani gubernator, Mildred „Ma” Ferguson. Obok niej siedział jej mąż, a zarazem poprzednik, Jim Ferguson, którego odwołanie z urzędu dwa lata wcześniej pod zarzutem korupcji skłoniło jego żonę do kandydowania w wyborach pod hasłem „Dwoje gubernatorów za cenę jednego”. Simmons powiadomił Fergusonów, że chce wynająć kogoś, kto zlikwidowałby Clyde'a Barrowa. Kiedy pani gubernator spytała, kogo konkretnie ma na myśli, Simmons odparł: „Franka Hamera”.

Nie musiał praktycznie nic dodawać. Cały Teksas znał Franka Hamera, żywą legendę. Hamer był szorstkim, czterdziestodziewięcioletnim dawnym rangerem, którego kariera obfitowała w pościgi za złodziejami bydła i strzelaniny z meksykańskimi bandytami nad Rio Grandę. Ten rosły mężczyzna - 189 cm wzrostu, nieco ponad 90 kilogramów wagi - uchodził za uosobienie etosu rangera, stereotypowego małomównego samotnika, który źle żyje z położonymi i najpierw strzela, potem pyta. Od dawna hołubiony przez teksaską prasę, był typem opromienionego sławą policjanta, który przyjaźni się z gwiazdami filmowymi; jego przyjacielem był aktor kina niemego, Tom Mix. Miał też bliskich znajomych wśród czynnych i emerytowanych agentów FBI (zaliczał się do nich szef biura w San Antonio, Gus Jones). Po serii drobnych kontrowersji - chodziło między innymi o sprawę umorzoną z powodu nielegalnie przeprowadzonej rewizji - Hamer w listopadzie 1932 roku opuścił szeregi

rangerów. Podano liczne powody jego odejścia, ale fakty były takie, że rangerzy stawali się coraz bardziej upolitycznieni i coraz mniej skuteczni, a Hamer nie należał do sympatyków Ma Ferguson i jej skorumpowanego męża. Niechętnie podjął pracę w ochronie spółki naftowej z siedzibą w Houston.

Siedząc w gabinecie pani gubernator, Simmons ku swojemu zdumieniu usłyszał, że pomimo waśni między nią a Hamerem Fergusonowie nie będą oponować przeciwko jego zatrudnieniu. „Jak dla nas, Frank jest w porządku - powiedziała pani Ferguson. - Nic do niego nie mamy”¹³. Simmons wyszedł z rezydencji z plikiem pisemnych upoważnień w teczkę, pojechał do domu Hamera w Austin i wyłuszczył mu swoją propozycję. Hamer będzie pracować sam, w tajemnicy. Tylko Simmons i pani gubernator znać będą jego prawdziwe zadanie. Jedyńm celem Hamera będzie przywieźć Bonnie i Clyde’a, żywych lub martwych. Żadnej polityki, żadnej biurokracji, nikogo, kto zaglądałby mu przez ramię.

- Ile pańskim zdaniem trzeba na to czasu? - spytał Hamer.

- Któż to może wiedzieć - powiedział Simmons. - Pół roku, może więcej. Pewnie minie z miesiąc, zanim poczuje pan na tyle pewny grunt pod nogami, żeby zacząć. Nieważne, jak długo to potrwa, będę pana wspierał do samego końca.

- Cóż, skoro tak, zgoda - powiedział Hamer. Simmons poczynił tylko jedną sugestię.

- Kapitanie - powiedział - wiem, że głupio postępuję, próbując udzielać panu jakichkolwiek rad, ale na pańskim miejscu przyparłbym ich do muru i pewien swojej racji wystrzelał wszystkich, jak leci.

Hamer nie odpowiedział, ale te słowa zapadły mu w pamięć. Następnego dnia zabrał się do pracy. Niewiele wiadomo o jego pierwszych tygodniach na tropie Bonnie i Clyde’a. Nigdy nie opisał pościgu w szczegółach. W jedynym dłuższym wywiadzie na ten temat, jakiego udzielił historykowi teksaskich rangerów, Walterowi Prescottowi Webbowi, opowiedział ogólnie o swoich studiach nad Bonnie i Clyde’em:

Rozmawiałem z wieloma osobami, które go znały, i uważnie obejrzałem liczne zdjęcia jego i Bonnie. Znałem ich budowę ciała, wzrost i wszystkie znaki szczególne. To jednak nie wystarczało. Policjant musi znać mentalność przestępcy, to, jak myśli, jak reaguje w różnych sytuacjach. Kiedy zacząłem rozumieć, co siedzi w głowie Clyde’a Barrowa, poczułem, że robię postępy... Przed zakończeniem pościgu znałem już nie tylko wygląd i sposób myślenia tych dwojga, ale wiedziałem też, jaką whisky piją co jadają, jaki kolor, rozmiar i fakturę mają ich ubrania.

Na dwa dni przed strzelaniną z udziałem Bonnie i Clyde’a w Reeds Spring w stanie Missouri, 10 lutego Hamer wsiadł do swojego czarnego fordka V-8 i pojechał do Dallas. Tam

przesłuchał W.D. Jonesa, schwytanego w listopadzie, a także Jimmy'ego Mullinsa, który został aresztowany i dokładnie przemaglowany przez policję Dallas i FBI. Hamer złożył też pierwszą z kilku wizyt w biurze FBI w Dallas, gdzie spotkał się z agentem przydzielonym do tej sprawy, Charlesem Winsteadem. Bonnie i Clyde nie byli priorytetami Biura, ale Winstead od kilku miesięcy krążył po wschodnim Teksasie, gdzie sprawdzał wszelkie sygnały o nich. Był przekonany, że pod miasteczkiem Gilmer na wschód od Dallas znalazł jeden z ich samochodów. Przy innej okazji wraz z lokalnym szeryfem wydobyli z wyschniętego koryta rzeki nieopodal Athens walizkę pełną ubrań, które Bonnie i Clyde'owi zostawili krewni¹⁴.

FBI nie chciało się mocniej angażować w tę sprawę, ale Hamerowi lepiej poszło ze Smootem Schmidem, szeryfem powiatu Dallas. Schmid zgodził się, by dwaj jego funkcjonariusze, Bob Alcorn i Ted Hinton, współpracowali z Hamerem. Ci trzej odbyli kilka długich rozmów poświęconych wypracowaniu strategii, po czym razem pojechali na wschód. Analiza wędrówek Clyde'a wykazała jego szczególne przywiązanie do trójkąta między Dallas, Joplin a Shreveport, i po wstępnym rozeznaniu sytuacji Hamer zaczął kontaktować się ze znajomymi stróżami prawa z tamtego rejonu, koncentrując się głównie na wschodniej części Teksasu, gdzie Clyde miał rodzinę.

Po raz pierwszy natrafił na trop w Texarkana. Stamtąd ślady Bonnie i Clyde'a wiodły do Logansport, małego miasta w zachodniej Luizjanie, a dalej na północ, do Keatchie, gdzie zatankowali paliwo, i do Shreveport, gdzie Clyde kupił spodnie, bieliznę, rękawiczki i strzelbę automatyczną. Hamer odszukał jeden z ich obozów nad rzeką Wichita, niedaleko Wichita Falls w Teksasie, skąd znaleziony paragon doprowadził go do sklepu w Dallas, w którym Bonnie kupiła sukienkę.

„Trop jednak ciągle zawracał do Luizjany” - opowiadał Walterowi Prescottowi Webbowi. To tam, 17 lutego, raptem po tygodniu poszukiwań, znalazł ich kryjówkę. Tak twierdził. Możliwe, że było to tylko pobożne życzenie czy nawet czcze przechwałki; Hamer skromnością nie grzeszył. Nie podaje żadnych szczegółów dotyczących kryjówki, wspomina tylko, że znajdowała się na terenie gminy, której szeryfowi nie ufał. „Dlatego załatwiłem, żeby Barrow przeniósł kryjówkę gdzieś, gdzie byli policjanci, na których mogłem bardziej polegać”. Nie wyjaśnia, jak mógł czegoś takiego dokonać. Jednak kontynuuje: „Względnie szybko zaszyli się w gminie Bienville, w dobrze mi znanym miejscu”.

W gminie Bienville mieszkali rodzice Henry'ego Methvina. Hamer twierdził, że przez kilka dni krążył po drogach gruntowych na jej terenie, zanim zwrócił się do lokalnego szeryfa, wysokiego, oszczędnego w słowach Hendersona Jordana. Jak się okazało, zrobił to w najlepszym możliwym momencie. Niedługo przedtem jeden z sąsiadów przekazał Jordanowi

wiadomość od rodziny Metłwinów: Jeśli Henry'emu Methvinowi zagwarantowane zostanie ulaskawienie, Ivy i Ava Methvin gotowi byli zdradzić Bonnie i Clyde'a.

Trzyosobowy gang Baby Face Nelsona zebrał się ponownie w St. Paul w ostatnim tygodniu lutego. Wiosna oznaczała początek sezonu na banki. Boczne drogi wkrótce miały stać się przejezdne, Nelson spotkał się więc z Eddiem Greenem, ulubionym zwiadowcą Harry'ego Sawyera, rudowłosym byłym więźniem, by nakreślić plan ataku. To właśnie Green wskazał Barkerom banki, które obrabowali w 1932 i na początku 1933 roku. Gangowi Nelsona na wiosnę 1934 roku zaproponował trzy: jeden w Sioux Falls w Dakocie Południowej i dwa w Iowa, w Mason City i Newton. Na przeszkodzie stał brak ludzi. Wszyscy byli zgodni co do tego, że trzech nie wystarczy. Jednak po aresztowaniu Harveya Baileya i tak wielu innych kurczyła się pula doświadczonych złodziei w St. Paul, a nikt nie palił się do tego, by sięgnąć po obcych.

Rozwiązanie przyszło wraz z dziwnym telefonem od Johna Hamiltona, który spytał, czy gang Nelsona dałby radę wyciągnąć Dillingera z więzienia w Crown Point. Według wszystkich relacji pomysł ten Nelsona zaintrygował. Hamilton zasugerował, by przemycili Dillingerowi pistolet. Nelson nie wiedział jak, ale znał kogoś, do kogo mógł się zwrócić. Alvin Karpis kiedyś mu opowiadał, że przeschmugłował do więzienia w Kansas pistolet dla Harveya Baileya; broń później znaleziono, ale przynajmniej udało się ją wnieść. Za pośrednictwem Harry'ego Sawyera Nelson skontaktował się z Karpisem, który był w Chicago.

Karpis przybył z Chicago z Dockiem Barkerem, lekko poirytowany, że Nelson nie chciał zdradzić, o co chodzi. Po zapadnięciu zmroku pojechali na urwiska nad rzeką, do Hollyhocks Club, eleganckiej restauracji z kasynem, należącej do Jacka Peifera. Samochód zostawili parkingowemu. W gabinecie na górze zastali gang Nelsona.

- No, chłopaki, o co chodzi? - spytał Karpis.

- Chcesz, to mu powiedz - powiedział Nelson do Van Metera.

- Nie, ty mu powiedz, Jimmy - odparł Van Meter. Nelson się uśmiechnął.

- Hej, pamiętacie, jak obrobiliście ten bank w Fort Scott w Kansas?

- Uhm, pamiętam - powiedział Karpis. - A bo co?

- Pamiętasz, Bailey wtedy siedział w pudle i jak była wyspa, przeszukali jego celę i znaleźli w materacu czterdziestkępiątkę. Pewnie ty mu ją wniosłeś, zgadza się?

- A żebyś wiedział - odparł Karpis. Następnie opowiedział o tym, jak przygotowywał ucieczkę, ale wobec zastrzonych środków bezpieczeństwa dał za wygraną.

- Jak udało ci się przeschmugłować pistolet i dlaczego Bailey nie mógł tego cholerstwa

użyć? - spytał Nelson.

Karpis wyjaśnił, że Bailey był pod zbyt ścisłym nadzorem.

- Dlaczego pytasz? Co jest grane? Nelson zerknął na Van Metera.

- Mamy w Chicago niezłego prawnika, który zna w Indianie kogoś, kto mógłby wnieść Dillingerowi spluwę - powiedział. - Tyle że chce wiedzieć, co i jak zamierzamy zrobić, i trzeba by mu zapłacić pięć tysięcy. To pomyśleliśmy, że może poradzimy sobie sami.

Karpis westchnął.

- Przejechałem taki kawał drogi, żeby gadać o czymś takim? Nelson przeprosił. Pragnąc udobruchać Karpisa, spytał, czy ktoś z gangu Barkerów nie chciałby zrobić z nimi paru skoków. Karpis odpowiedział wymijająco; lubił Nelsona, ale uważał za zbyt nieobliczalnego, by z nim współpracować.

- Tak czy tak, na tę akcję przydałoby się nam paru chłopaków - powiedział Nelson.

Odwrócił się do Barkera. - Wchodzisz w to, Dock?

- Mógłbym - powiedział Dock. - A co? Ilu ludzi wam potrzeba?

- Dwóch - odparł Nelson.

- Co myślisz o Billu Weaverze? - spytał Barker Karpisa.

- Tak, pójdzie na to - rzekł Karpis.

- Kiedy ruszacie? - spytał Dock.

- Pierwsza rzecz to wyciągnąć Dillingera - zaczął opowiadać Nelson. - Jak się uda, a uda się na pewno, w Chicago wszystko jest gotowe do tego, żeby w góra dziesięć godzin przewieźć go do St. Paul. Wtedy swobodnie moglibyśmy obrobić ten bank w Dakocie Południowej.

- Tam na pewno będzie gorąco - powiedział Karpis. Wszyscy wiedzieli, że w St. Paul roi się od agentów FBI, przysłanych tam w związku ze sprawą Bremera.

- Też tak myśleliśmy - wtrącił Van Meter - ale kurczę, często zaglądam do Zielonej Latarni, knajpy Sawyera, i nikt się mnie nie czepia.

Spotkanie się zakończyło, wyszli.

- Wiesz, gdybym cię posłuchał - powiedział Nelson do Karpisa - nie wpakowałbym się w ten bajzel.

Karpis się zaśmiał.

- Pamiętam, jak kiedyś w Reno mówiłeś mi, że jak tylko zbierzesz 10 000, wracasz do Reno. I co? Więcej zgarnąłeś na swojej pierwszej robocie.

- Uhm - popatrzył Nelson z uśmiechem - ale jak już miałem dziesięć, to chciałem mieć

dwadzieścia. A jak miałem dwadzieścia, chciałem mieć czterdzieści. Wiesz, jak jest*[*
Jedynym źródłem, które przytacza tę rozmowę, jest zapis zeznań Karpisa, któremu wyraźnie
mylą się daty. Według niego do spotkania doszło pod koniec marca, choć wszystko wskazuje
na to, że odbyło się ono pod koniec lutego.]

Następnego dnia, po powrocie do Chicago, Karpis wspomniał o planach odbicia
Dillingera Fredowi Barkerowi.

- Kurczę, oby mieli więcej szczęścia niż my z Baileyem - powiedział Barker.

- Sam nie wiem - odparł Karpis. - Coś mi mówi, że Dillinger zginie w tym więzieniu.

Nie wierzę, że mu się uda, ale spróbować spróbują, to na pewno.

10

DILLINGER INEL50N

3-29 marca 1934

Crown Point, Indiana 3 marca, sobota

Tego ranka ulewny deszcz walił w ulice Crown Point, zamieniając rynsztoki na
biegnącej za więzieniem Joliet Street w rwące potoki. Świt był paskudny, zimny i wietrzny,
niskie szare chmury przeciągały na południe znad jeziora Michigan. Kilka minut po ósmej
Sam Cahoon, sześćdziesięcioczeroletni woźny, przytruchtał w półmroku do więzienia.
Strząsnął deszcz z płaszcza i pomachał strażnikowi na powitanie. Jego pierwszym
obowiązkiem było posprzątać blok więzienny dla kryminalistów, w którym przebywał
Dillinger. Cahoon przeszedł przez sekretariat i noga za nogą powlókł się w głąb
dwudziestopięciometrowego korytarza, który kończył się zakratowanymi drzwiami bloku
więziennego.

Zabrawszy szmaty, Cahoon krzyknął do strażnika Wina Bryanta, żeby wypuścił
więźniów z cel, bo musi posprzątać. Razem odemknęli metalową skrzynkę na ścianie
korytarza i przrzucili dźwignię, która otwierała cele, co pozwoliło Dillingerowi i jego
czternastu współwięźniom wyjść na korytarz za zakratowanymi drzwiami bloku. Kilka minut
później, po wypełnieniu paru innych obowiązków, Cahoon wrócił i na oczach Bryanta
pociągnął za dźwignię otwierającą zakratowane drzwi, by wpuścić dwóch porządkowych,
którzy wnieśli pudło papieru toaletowego, mydło i proszek do szorowania.

Ledwie Cahoon przestąpił próg bloku więziennego, Dillinger wyskoczył naprzód i
wcisnął mu w brzuch coś, co wyglądało jak pistolet. Obrócił Cahoona i stanął twarzą w twarz
z Bryantem, wbijając lufę w plecy woźnego.

- Chodź, Sam, przed nami kawał drogi - powiedział. - Będziesz grzeczny, co?

Cahoon zbaraniał i wymamrotał coś w stylu „Zawsze jestem grzeczny”.

U boku Dillingera wyrósł potężny czarny więzień, Herbert Youngblood, z groźnie wzniesionym przepychaczem do toalet; on jeden ze wszystkich osadzonych dał się skusić, żeby pomóc Dillingerowi.

- Masz broń? - spytał Bryanta. Strażnik pokręcił głową, że nie. Regulamin więzienny zabraniał noszenia broni w pobliżu bloku więziennego.

Dillinger wskazał otwartą celę.

- No, chłopaki, do środka - powiedział. Bryant i dwaj porządkowi dali się zamknąć. Cahoon też ruszył w stronę celi. - Nie, ty mi jesteś potrzebny - powstrzymał go Dillinger. - Wyprowadzisz mnie stąd.

Wypchnął woźnego z bloku. Dwadzieścia metrów dalej, w głębi betonowego korytarza, naczelnik i grupa strażników sączyli poranne kawy w biurze od frontu budynku. Tam było jedyne wyjście. Korytarz dzieliły na pół cztery stopnie łączące stary gmach więzienia z nowym aneksem. Dzięki temu Dillinger znajdował się tuż ponad linią wzroku strażników.

- Ile drzwi jest po drodze do wyjścia? - spytał Dillinger.

- Czworo - odparł Cahoon po chwili namysłu.

Dillinger wiedział, że ma mało czasu, może kilka minut, zanim ktoś wróci na blok więzienny. Szybko zasypał Cahooną gradem pytań o rozmieszczenie strażników, drzwi i broni. Wyjął ołówek i na półce naszkicował plan więzienia. Cahoon skinął głową. Prawie wszystko się zgadzało. Wtedy Dillinger, wciąż mierząc mu w plecy, powoli ruszył korytarzem naprzód. Youngblood szedł za nim. Zatrzymali się przed schodami. Przykucnęli, by zajrzeć w głąb korytarza, i zobaczyli mężczyznę, który przeszedł z jednego pokoju do drugiego.

- Kto to? - spytał Dillinger spokojnie.

- Ernest Blunk - powiedział Cahoon. Blunk był trzydziestodwuletnim funkcjonariuszem z biura szeryfa.

- Zawołaj go tu - zakomenderował Dillinger.

- Blunk! - wrzasnął Cahoon. - Chodź na chwilę. Blunk podszedł, spojrzał w górę schodów i zamarł.

- Właż tu, sukinsynu, bo cię zabiję - powiedział Dillinger. Blunk zobaczył błysk pistoletu w jego dłoni. - Trzymam cię na muszce - dodał Dillinger. - Nie masz szans.

Zaprowadził Blunka na blok więzienny i wepchnął go do celi razem z pozostałymi.

Kiedy poszedł, Blunk spytał Wina Bryanta, czy widział pistolet Dillingera. Bryant odparł, że wyglądał jak czter-dziestkapiątka.

- Teraz to sukinsyna zabiją - skwitował Blunk.

Dillinger zagonił Cahooną z powrotem do schodów i kazał mu zawołać naczelnika, Lew Bakera. Cahoon jednak miał już dość.

- Nie pomogę ci wyjść, żeby nie wiem co - powiedział. - Nie idę ani kroku dalej. Strzelaj i niech cię diabli.

Youngblood wysunął się naprzód i zamierzył się przepychaczem do toalet.

- Bez takich - uspokoił go Dillinger. - Zostaw to mnie. - Popchnął Cahooną z powrotem w stronę bloku. - Wbrew temu, co o mnie mówią, nie jestem mordercą. Ale stąd wyjdę.

- Zabiją cię, zanim dojdiesz na środek korytarza.

- Zobaczymy - odparł Dillinger.

Wepchnął Cahooną do celi i zawołał do siebie **Ernesta Blunka**. Popchnął go w stronę schodów.

- Dziś mi się uda - powiedział.

- Nic z tego - odparł Blunk. - Zabiją cię.

- Nie mam nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Ty możesz być albo martwym bohaterem, albo żywym tchórzem.

Blunk zapowiedział, że nie pomoże mu uciec.

- Masz żonę i dziecko, bardzo ich kochasz i chciałbyś ich jeszcze zobaczyć, zgadza się? - spytał Dillinger.

- W porządku. - Blunk skapitulował.

- Ilu strażników jest w biurze? - spytał Dillinger.

- Nie wiem.

- Nie kłam, sukinsynu, bo cię zabiję.

- Przecież mówię: nie wiem.

Dillinger kazał mu mówić ciszej. Chwilę pomyślał.

- Zobaczymy, co da się zobaczyć - rzekł wreszcie i pchnął Blunka naprzód.

Dotarli na szczyt schodków. Dillinger kazał Blunkowi wezwać naczelnika Bakera. Blunk się zawahał. Dillinger dźgnął go lufą pistoletu w plecy.

- Lew! - zawołał Blunk.

- Moment! - odrzyknął Baker. Naczelnik wciąż był w biurze ze strażnikami. Po chwili wystawił głowę na korytarz.

- Chodź no! - powiedział Blunk.

Baker poszedł na blok więzienny i zobaczył stojącego tam Blunka. Ledwie znalazł się za zakratowanymi drzwiami, a już poczuł na plecach lufę pistoletu. Dillinger złapał go za koszulę i wepchnął do celi razem z pozostałymi.

- Siedź tam, a nic ci nie będzie - obiecał i zamknął za nim drzwi. I tak z pomocą Blunka zwabił strażników jednego po drugim z biura naczelnika Bakera na blok więzienny, gdzie wszyscy dali się zaskoczyć i dołączyli do reszty towarzystwa w celi. Jeden z nich, Kenneth „Butch” Houk, próbował wyrwać Dillingerowi pistolet, ale został obezwładniony i wrzucony do celi. Po zamknięciu ostatniego z czterech strażników Dillinger pobiegł do biura naczelnika, skąd zabrał dwa pistolety maszynowe. Jeden zatrzymał dla siebie, drugi dał Youngbloodowi. Uzbrojony i gotowy do ucieczki, nie oparł się pokusie, by na odchodnym zagrać na nosie swoim prześladowcom. Pobiegł z powrotem na blok i pokazał pistolet, którym ich sterroryzował. Naczelnik Baker i strażnicy nie wierzyli własnym oczom. Pistolet był z drewna.

- Oto jakie pewne jest to wasze więzienie - oświadczył Dillinger z szerokim uśmiechem. - Wystarczył mi ten drewniany pistolecik. - Postukał „pistoletem” w kraty. - Gdzie trzymacie samochody? - spytał naczelnika Bakera.

- W garażu. Na tyłach. - A kluczyki?

- Są w samochodach.

Jedyne znane Dillingerowi wejście do garażu było na zewnątrz, co znaczyło, że po samochód musiał się zakraść wzdłuż zewnętrznej ściany więzienia. Z opisu Sama Cahoonia wiedział, że w kuchni, do której można się było dostać przez biuro naczelnika, są drzwi prowadzące na dwór. Teraz już uzbrojeni w dwa pistolety maszynowe Dillinger i Youngblood zaprowadzili Ernesta Blunka do biura. Przy drzwiach kuchni Dillinger zerknął na Youngblooda. Youngblood skinął głową. Był gotowy.

Dillinger wepchnął Blunka do kuchni, zaskakując dwóch strażników i więziennego kucharza, Williama Ziegera. Zieger, człowiek bojowy, zerknął na Dillingera i jego pistolet maszynowy i powiedział:

- Zabiorę ci toto i w tyłek wsadzę. Blunk pobladł.

- Mój Boże, Bill! On nie żartuje!

Zieger poddał się. Blunk zrobił krok do przodu, po czym na polecenie Dillingera zabrał jednemu ze strażników pistolet i położył go na stole. Dillinger złapał zdobyczną broń, otworzył szafę, wyjął płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz i wyszedł kuchennymi drzwiami na deszcz. Za nim podążyła niezwykła procesja - Youngblood z pistoletem wymierzonym w

Blunka, dalej kucharz i dwaj strażnicy, a na końcu trzej inni więźniowie, którzy też postanowili uciec. Żaden z sześciu mężczyzn zamykających orszak nie był prowadzony pod lufą pistoletu.

Dillinger potruchtał wzdłuż bocznej ściany więzienia z czerwonej cegły do bocznych drzwi garażu na tyłach. John Hudak, porządkowy, stał zgarbiony nad silnikiem nasha rocznik 1927 - wozu szeryf Holley - kiedy poczuł, że coś twardego wbija mu się w plecy. Odwrócił się i zobaczył Dillingera.

- Wsiadaj i jedź - polecił Dillinger.
- Ja... nie mam kluczyków - wyjąkał Hudak.
- Gdzie są? - spytał Dillinger.
- Chyba w biurze naczelnika.

Dillinger popchnął Blunka w stronę samochodu i **kazał sprawdzić**, czy są w nim kluczyki. Blunk zajrzał do środka.

- Nie ma - powiedział.
- Baker kłamał, sukinsyn - stwierdził Dillinger. - Powiniennem go zabić.

Przez chwilę zastanawiał się, co teraz zrobić. Musiał zdobyć kluczyki. Kazał Youngbloodowi pilnować grupki zebranej w garażu, a sam zaprowadził Blunka i Hudaka z powrotem do kuchni. W środku zaskoczyli członka Gwardii Narodowej i trzech innych mężczyzn. Blunk zabrał im broń, a Dillinger zamknął ich w sekretariacie. W tym czasie Hudak bez skutku szukał kluczyków do auta pani szeryf.

- Muszę ukraść wóz - powiedział Dillinger do Blunka. - Gdzie najbliższy warsztat?

Kiedy Dillinger przekradał się z powrotem do więziennego garażu, naczelnik Baker i inni zakładnicy już wydostali się z cel na górze. Wciąż zamknięty na bloku więziennym Baker podszedł do ukrytego wizjera, którego drugi koniec znajdował się w szafie w jego mieszkaniu. Załomotał w ścianę. Po chwili w wizjerze ukazało się oko jego żony.

- Irene, czy samochód wyjechał z garażu? - zapytał.

Nie zrozumiała.

- Wezwij pomoc - rzucił Baker. - John Dillinger uciekł!

Pani Baker nie była pewna, co robić. Podniosła słuchawkę telefonu, ale z niewiadomego powodu nie było sygnału. Otworzyła okno, wypatrzyła przechodzącego listonosza i krzyknęła:

- Mój Boże! John Dillinger uciekł!

Listonosz tylko na nią patrzył. Odchodząca od zmysłów pani Baker wyskoczyła z mieszkania i zbiegła schodami do garażu. W środku zastała Ernesta Blunka z nieznanym jej

mężczyzną.

- John Dillinger uciekł! - krzyknęła.

Nieznajomy ruszył ku niej. Dopiero wtedy zauważyła, że miał pistolet maszynowy w ręku, dwa pistolety zatknięte za pas i dwa następne w przednich kieszeniach.

- O nie! Nie mów, że Dillinger to ty. Dillinger uśmiechnął się i wziął ją za ramię.

- Pani Baker - powiedział Blunk. - Niech pani robi, co on każe, a nikomu nic się nie stanie.

Dillinger zamknął całą gromadkę, licząc już przeszło dziesięć osób, w bocznym pokoju i przygotował się do wyjścia. Popychając Blunka przed sobą, zbiegowie wyszli bocznymi drzwiami, okrążyli od tyłu więzienie i budynek sądu. Dillingerowi wciąż sprzyjało szczęście. Tego ranka na tyłach nie było żadnych członków Gwardii Narodowej ani ludzi szeryfa.

Obok gmachu sądu stał przysadzisty murowany budynek, warsztat samochodowy. Trzej mężczyźni podbiegli w deszczu do tylnego wejścia. Przemierzyli wnętrze warsztatu, kierując się ku jego frontowej części. Dwaj mechanicy na ich widok wzruszyli ramionami i wrócili do pracy.

- Potrzebuję samochodu - powiedział Dillinger do Blunka.

- Jest ich tu dużo - odparł Blunk. - Wybierz sobie któryś. Podeszli do zgarbionego nad silnikiem trzydziestoletniego mechanika, Edwarda Saagera.

- Który z tych samochodów jest najszybszy? - spytał Dillinger. Widząc pistolet maszynowy u jego boku, Saager uznał Dillingera za funkcjonariusza z biura szeryfa.

- Ford V-8 - powiedział i odwrócił się z powrotem do silnika. Dillinger uniósł pistolet.

- Ruszaj.

Saager wciąż grzebał w silniku, jakby nic nie usłyszał.

- Ruszaj - powtórzył Dillinger.

Saager odwrócił się i zobaczył wymierzony w siebie pistolet.

- On nie żartuje - uprzedził Blunk. Saager dopiero teraz zrozumiał, że nie ma do czynienia ze stróżem prawa. Dillinger zaprowadził obu jeńców do forda V-8, także należącego do szeryf Holley.

- Mam prowadzić? - spytał Saager.

- Nie, prowadzić będzie pan Blunk - zdecydował Dillinger. - Ty usiądziesz z tyłu.

Youngblood wsunął się na miejsce obok Saagera. Dillinger usiadł z przodu, z pistoletem maszynowym na kolanach.

- Niech ktoś otworzy drzwi! - krzyknął.

Mechanik wcisnął przycisk kompresora i otworzyły się jedne z dwojga tylnych drzwi garażu. Blunk wyjechał fordem na Joliet Street, po czym w strugach deszczu skierował się na zachód. Dillinger kazał mu jechać powoli. Na rynku Blunk o mały włos nie zderzył się z innym samochodem; Dillinger zapowiedział mu, że jeśli się rozbiją, on zginie pierwszy. Kiedy dotarli na obrzeża miasta, kazał jechać dalej na zachód, po drogach gruntowych. Kilka minut później przekroczyli granicę z Illinois. Podobnie jak to było przed czterema miesiącami w Racine, Dillinger rozpogodził się, kiedy tylko znaleźli się na terenach wiejskich. Zaczął śpiewać, racząc wszystkich własną interpretacją *The Last Roundup*, z powtarzaną frazą *Get along, little dogies, get along* (Ruszajcie, cielątka, ruszajcie).

Śpiew ucichł, gdy ford zsunął się z błotnistej drogi do rowu. Po dziesięciu minutach Youngblood i Saager zdołali wypchnąć go z powrotem na drogę. Przez następne pół godziny Saager zakładał łańcuchy na koła. Kiedy ruszyli dalej na zachód, Dillinger zrobił się gadatliwy. Blunk spytał go, czy wybiera się do Ohio odbić Pierponta i pozostałych.

- Oni zrobiliby to samo dla mnie - powiedział Dillinger.

Za miasteczkiem Peotone Dillinger zaczął wypatrywać przewodów telefonicznych. Nie widząc żadnych, kazał Blunkowi zatrzymać wóz i wysiąść. Wyjął z kieszeni zwitek banknotów i oddzielił cztery jedno-dolarowe. Dał je Blunkowi, który pokręcił głową. Dillinger zaproponował wówczas te pieniądze Saagerowi, a on je przyjął.

- Nie mam co mówić, żebyście nie kontaktowali się z policją, bo wiem, że i tak to zrobicie - powiedział Dillinger.

- Na naszym miejscu też byś tak postąpił - odparł Blunk.

- Gdybym chciał, mógłbym zamknąć ci usta - powiedział Dillinger, unosząc thompsona.

- Nie wierzę, że zabiłbyś człowieka, nie dając mu szansy - stwierdził Blunk.

Dillinger uśmiechnął się szeroko, wsiadł za kierownicę forda i odjechał. Blunk i Saager stali w błocie i patrzyli, jak Dillinger znika w oddali, kierując się w stronę Chicago¹. W południe miał już być najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju.

Lou Piauett i jego współpracownik, Art O'Leary, tego ranka przyjechali do kancelarii, gdzie czekali na wieści. Billie Frechette zjawiała się koło ósmej. Chłopiec na posyłki Piauetta, były więzień Meyer Bogue, doszłusował później. Około wpół do dziesiątej siedzieli beczynnie i mimo wczesnej pory pili dzin, kiedy zadzwonił bratanek Piauetta z nowiną, że w radiu właśnie mówili, że Dillinger uciekł².

- Wygląda na to, że się udało - oznajmił Piauett, kiedy odłożył słuchawkę. - Zadzwonię do naczelnika Bakera.

Połączył się z Crown Point.

- Halo! Pan Baker? Mówi Lou Piquett z Chicago.

- Tak, witam, Lou - powiedział Baker.

- W radiu mówili, że mój klient uciekł. Prawda to?

- Tak. Właśnie nas opuścił.

- Są zabici lub ranni?

- Nie, nikomu nic się nie stało.

- To dobrze, cieszę się - powiedział **Piquett**. - Nie **zostawił może** adresu kontaktowego?

Odłożywszy słuchawkę, poinformował wszystkich:

- Kurczę, to prawda! Uciekł!

Billie krzyknęła cicho i ukryła twarz w dłoniach.

- Biedny Johnnie! - lamentowała. - O mój Boże, zabiją go!

- Oj, nie marudź - powiedział Piquett wesoło. - Pewnie go nigdy więcej nie zobaczą.

Przez kilka godzin oblewali sukces. Dżin łał się strumieniami. Bogue wyskoczył po wychodzące już nadzwyczajne dodatki do gazet i czytali je między kolejkami. W tym czasie policja wylęgała na ulice miasta, zajmując pozycje przy głównych drogach wjazdowych od południa. Piquett zorientował się, że także jego kancelaria znajdzie się pod obserwacją. Pomyślał o swojej byłej sekretarce, Esther Anderson, która mieszkała na Wellington Avenue w North Side. Wysłał tam Billie, sam pojechał za nią taksówką. O'Leary został na miejscu i czekał, aż zadzwoni Dillinger. Stało się to około trzeciej. Jedynymi słowami Dillingera były:

- Dokąd jechać?

- Wellington Avenue 434 - powiedział O'Leary. - Piquett będzie czekał.

Piquett stał oparty o ścianę budynku przy Wellington Avenue, w nasuniętym na oczy kapeluszu, z rękami w kieszeniach, kiedy podjechał Dillinger.

- Się masz, mecenasie - powiedział.

Piquett podszedł do samochodu. Herbert Youngblood leżał na wznak na tylnym siedzeniu, z dwoma pistoletami maszynowymi w rękach.

- Tu się mam zadekować? - spytał Dillinger, oglądając budynek.

- Nie - powiedział Piquett. - Wpadniemy tylko na kilka minut, żeby pogadać.

Weszli razem do holu, gdzie Billie rzuciła się Dillingerowi na szyję. Udali się na górę, ale Esther Anderson na widok Dillingera kazała im się wynosić. Dillinger z Billie wrócił do samochodu. Piquett zszedł na dół minutę później.

- Billie mówi, że możemy zatrzymać się u jej siostry na Halsted - rzekł Dillinger. -

Przyjedź tam koło wpół do ósmej wieczorem. Aha, i potrzebuję trochę pieniędzy. Daj wszystko, co masz.

Piągett wygrzebał z kieszeni zwitek banknotów, około trzystu dolarów, i dał Dillingerowi.

- Dzięki, mecenasie - powiedział Dillinger. - Do zobaczenia wkrótce.

W drodze do kryjówki Dillinger wsadził Youngblooda do tramwaju, dał mu 100 dolarów i podziękował**[* Youngblood zginął dwa tygodnie później w strzelaninie z policją.]. Sam pojechał z Billie do mieszkania jej siostry na piętrze budynku na North Halsted 3512. Tego wieczora odwiedził ich Piągett i Dillinger, przytulony do Billie na rozkładanej kanapie, opowiedział im, co się wydarzyło w Crown Point.

- Chwila - rzekł Piągett w pewnym momencie. - Kiedy będę miał z tego jakieś pieniądze? Nie dostałem jeszcze nawet dolara.

Dillinger spochmurniał.

- Co takiego? Ten prawnik, którego wynajął mój ojciec, nic ci nie dał? *Zabrał* tacie ostatnie pięćset dolarów. Każ mu wybulić te pięć stów, bo jak nie, to będzie miał ze mną do czynienia.

Następnego dnia Dillinger nie wychodził z mieszkania. Porozmawiał z Johnem Hamiltonem, który przekazał mu, co uzgodnił z gangiem Nelsona. Wszystko było gotowe. Wieczorem wspólnik Nelsona, Tommy Carroll, zajechał przed budynek zielonym fordem. Dillinger i Billie z walizkami wyszli bocznym wyjściem i dali nura na tylne siedzenie. Pod płaszczami mieli pistolety maszynowe.

Wyjechali z miasta, kierując się na północny zachód, w stronę St. Paul, gdzie czekał nowy wspólnik Dillingera, Baby Face Nelson**[* Po upływie siedemdziesięciu lat pytania krążące po spektakularnej ucieczce Dillingera z „ucieczkoodpomego” więzienia w Crown Point wciąż wywołują dyskusje historyków amerykańskiej przestępczości. Dwa są szczególnie interesujące: Czy Dillinger naprawdę, jak twierdził, użył drewnianego pistoletu? I jaką, jeśli w ogóle jakąkolwiek, pomoc uzyskał od wspólników w więzieniu i poza nim?].

Co się tyczy pistoletu, wielu wciąż nie może uwierzyć, że Dillinger zdołał uciec, korzystając tylko z drewnianej atrapy. Ernest Blunk i inni twierdzili później, że pistolet Dillingera był prawdziwy. Część autorów, w tym John Toland, zgadza się z nimi; Toland postawił tezę, że Dillinger użył dwóch pistoletów, drewnianego i prawdziwego. Jednak z dokumentów FBI jasno wynika, że Dillinger, przynajmniej na początku, miał tylko drewniany pistolet. Agenci przesłuchali wszystkich uczestników wydarzeń tamtego poranka i kilku z nich, w tym naczelnik Baker, widziało atrapę z bliska. Niektórzy, także Sam Cahoon,

przekonywali, że Dillinger własnoręcznie wystrugał pistolet z półki w swej celi. Tak naprawdę jednak, co jednoznacznie potwierdza rękopis Girardina, drewniana atrapa została wniesiona z zewnątrz. Zrobił to Art O'Leary. Po tym, jak przeczytał o człowieku z Wisconsin, który uciekł z lokalnego więzienia przy użyciu zabawkowego pistoletu, poprosił rusznikarza z Chicago, by mu taki wystrugał.

Drugie i dużo bardziej drażliwe pytanie dotyczy tego, jaką-jeśli jakąkolwiek - pomoc Dillinger uzyskał od sojuszników z Crown Point. Ernest Blunk i Sam Cahoon zostali później oskarżeni o to, że byli z nim w zмовie; obu uniewinniono po pobieżnie przeprowadzonych procesach. Dochodzenie w sprawie ucieczki powierzono zastępcy stanowego prokuratora generalnego, Edwardowi Barce'owi. Osiem miesięcy później, w listopadzie 1934 roku, Barce przedłożył gubernatorowi Paulowi McNuttowi tajny raport, którego kopia zachowała się w archiwach FBI. Na pierwszy rzut oka raport Barce'a był prawdziwą bombą. Barce twierdził w nim, że Art O'Leary dwukrotnie spotykał się z naczelnikiem Lew Bakerem, w tym raz przy budce z grillem na przedmieściach Crown Point, i że wręczył Bakerowi 1800 dolarów za pomoc Dillingerowi w ucieczce. Barce powoływał się na pracowników

Podczas gdy politycy i prokuratorzy z Indiany toczyli spory o to, kto jest odpowiedzialny za jego ucieczkę, w ten niedzielny wieczór, trzydzieści sześć godzin po opuszczeniu Crown Point, Dillinger przybył do Minnesoty i zostawił swoje rzeczy w mieszkaniu numer 106 w Santa Monica Apartments na South Girard Avenue w Minneapolis. Eddie Green wynajął je dla „państwa Olson”. Billie dała dozorczy pięćdziesiąt dolarów zadatku, po czym zaciągnęli rolety i zamocowali je drutem.

Nic nie wiadomo o przebiegu pierwszego spotkania Dillingera z gangiem Nelsona, które odbyło się następnego dnia. Obaj szefowie gangów prawdopodobnie się znali; według niepotwierdzonych relacji, w czerwcu ubiegłego roku widzieli się w East Chicago i rozmawiali o wspólnym napadzie na pociąg jesienią. Na pewno o sobie słyszeli. Dillinger był wdzięczny Nelsonowi za to, że przyjął go po ucieczce; przez wiele następnych tygodni rozповідаł wszem wobec, jak wielką Baby Face oddał mu przysługę.

Co się tyczy Nelsona, współpraca z Dillingerem z miejsca zjednywała mu szacunek i prestiż, czyli to, na czym zależało mu najbardziej jako - koniec końców - dwudziestoczterolatkowi, który raptem rok wcześniej był szoferem gangsterów. Teraz miał pod swoją „komendą” najbardziej poszukiwanego rabusia w kraju. Dillinger taktownie przyjął drugoplanową rolę w gangu Nelsona, ale szczegół ten zupełnie umknął uwagi prasy. Kiedy powiązania między nimi stały się powszechnie budki z grillem i szynku w Crown Point, którzy zeznali, że Piquett przechwalał się, iż Dillinger obiecał mu 50 000 dolarów za

wyciągnięcie go na wolność. Barce ujawnił nawet serię listów, które O'Leary rzekomo napisał do skorumpowanego polityka z East Chicago, co miało dowodzić, że spisek miał szerszy zasięg.

Historia ta, choć bez wątplenia intrygująca, jest niemal na pewno niezgodna z prawdą. Raport Barce'a miał jedną zasadniczą wadę. Jedyne źródłem zawartych w nim rewelacji był Meyer Bogue, oszust, krótko zatrudniony jako chłopiec na posyłki Piąetta; niedługo po ucieczce Dillingera z Crown Point zaczął pracować dla Barce'aza 15 dolarów dziennie. Agenci FBI później przesłuchali wszystkie osoby wymienione jako uczestnicy spisku Barce'a-Bogue'a, a także rzekomych świadków. Wszyscy zaprzeczyli najbardziej istotnym faktom podanym przez Barce'a. Nikt nie został postawiony w stan oskarżenia, a tym bardziej osądzony.

Jeśli spisek rzeczywiście był, to o małym zasięgu, może ograniczony do jednej osoby, tej, która wniosła Dillingerowi drewniany pistolet. Mogli to zrobić O'Leary albo Piąett. Oni sami powiedzieli Russellowi Girardinowi, że pistolet w rzeczywistości przeszmurował Ernest Blunk, który, jak twierdzili, przyjął za to łapówkę. Jak było naprawdę - pozostaje tajemnicą.

znane, gazety, ku irytacji Nelsona, ochrzciły ich „drugim gangiem Dillingera”. Jego zazdrość szybko przerodziła się w zawiść.

Nie jest jasne, czy Dillinger zdawał sobie sprawę, że wchodzi w spółkę z psychopatą. Tego samego wieczora, gdy on przybył do Minnesoty, Nelson jechał przez Minneapolis ze swoim chłopcem na posyłki, Johnniem Chase'em. W pewnym momencie zajechali drogę trzydziestopięcioletniemu sprzedawcy farb, Tedowi Kidderowi, który z żoną i teściową wracał z przyjęcia urodzinowego.

- Niech to diabli, tak się nie robi - powiedział Kidder, kiedy samochód Nelsona wsunął się przed niego.

Poirytowany dodał gazu i w odwecie zajechał drogę hudsonowi Nelsona. Nelson wpadł w furję. Zrównał się z Kidderem i próbował go zepchnąć na bok. Kidder wystrzelił naprzód, ale gdy dojeżdżał do swojego domu w dzielnicy St. Louis Park, Nelson wciąż trzymał się tuż za nim. Nie chcąc doprowadzić rozjuszonego kierowcy do swojego domu, Kidder skierował się do drogerii, by stamtąd zadzwonić po policję. Kiedy wyskoczy[* W serii artykułów opublikowanych w 1941 w „Tnie Detective Adventures” znajomy Nelsona, Fatso Negri, przytoczył przedstawioną przez Nelsona wersję zabójstwa Kiddera. „Niechcący zajechaliśmy drogę jakiemuś samochodowi - mówił Nelson. - Kierowca, bezczelny typ, w zemście zajechał drogę nam. Zatrzymał się, wysiadł, podszedł do nas i mówi do mnie: »Co

jest, do cholery? Wylaż z wozu, dam ci w pysk«. Zrobił krok czy dwa w naszą stronę, a ja wycelowałem do niego i strzeliłem. No i musieliśmy wiać”.] z samochodu, Nelson podjechał do niego i coś krzyknął. Po chwili padły trzy strzały. Kidder dostał dwa razy w tułów i upadł, śmiertelnie ranny.

Jego żona, Bernice, przypadła do niego.

- Zabiłeś go! - krzyknęła do gangstera.

- Stul pysk, bo ciebie też kropnę³ - **warknął Nelson, cofnął wóz** i odjechał*.

Taki był nowy wspólnik Johna Dillingera.

Sioux Falls, Dakota Południowa 6 marca, wtorek

Temperatura nie przekraczała zera, kiedy kilka minut przed dziesiątą zielony packard sedan zajeżdżał przed budynek Security National Bank & Trust Company. Wysiadło sześciu mężczyzn w czarnych płaszczach. Srodzy, śmiertelnie poważni, nieogoleni, w nasuniętych na czoło fedorach, tworzyli groźnie wyglądającą bandę. Bankowa stenografka zobaczyła ich przez okno.

- O, zaraz nas napadną - powiedziała żartem do urzędnika.

- To mi się nie podoba - odparł urzędnik.

Zaledwie trzy dni po ucieczce z Crown Point Dillinger miał za chwilę obrabować bank. Jeden z ludzi został przy samochodzie, Tommy Carroll zajął pozycję na chodniku przy drzwiach wejściowych, z pistoletem maszynowym pod płaszczem. Dillinger wprowadził Nelsona i pozostałych do środka. Nelson rozchylił płaszcz i wyjął thompsona.

- To jest napad! - krzyknął. - Wszyscy na ziemię!

Ktoś wcisnął guzik alarmu i kiedy część pracowników i klientów banku padła na podłogę, a część cofnęła się pod ściany, na zewnątrz rozległo się głośne brzęczenie. Nelson drgnął na ten dźwięk. Dillinger, który przywykł do pracy przy akompaniamencie alarmu, spokojnie przeszedł na tyły boksów kasjerów i z Van Meterem zaczęli zgarniać z lady pliki banknotów. Nelson był wściekły. Nerwowo chodził tam i z powrotem po holu, wygrażając ludziom pistoletem maszynowym.

- Ciekawe, kto włączył alarm! - krzyczał. - Kto to zrobił? No kto? Kiedy Dillinger i Van Meter popchnęli prezesa banku w stronę drzwi skarbcza, Nelson coraz bardziej tracił panowanie nad sobą. Mierzył z pistoletu do kolejnych wystraszonych pracowników.

- Który chce zginąć, niech się ruszy! - oznajmił. - Niech się tylko ruszy!

Po kilku minutach zaczęli ściągać policjanci. Pierwszy przybiegł funkcjonariusz drogówki, Homer Powers. Powitał go Tommy Carroll z pistoletem maszynowym i po chwili

Powers stał z podniesionymi rękami. Następni przyjechali szef policji, M.W. Parsons, i jeden z detektywów. Rozbrojeni, stanęli obok Powersa. Wokół zbierał się tłum gapiów, których przyciągnął dźwięk alarmu i widok trzech policjantów z podniesionymi rękami.

Tymczasem w holu Nelson wpadał w coraz większą furię. W tej właśnie chwili przed bank podjechał policjant na motocyklu, Hale Keith. Zauważywszy go przez okno, Nelson przeskoczył niską barierkę, wdrapał się na biurko pośrednika kredytowego i puścił przez szybę ogłuszającą serię. Wśród krzyku kobiet Keith upadł trafiony czterema kulami.

- Dostał! Dostał! - krzyknął Nelson.

Podczas gdy Dillinger i Van Meter kończyli opróżniać skarbiec, na zewnątrz robiło się coraz większe zbiegowisko. Ludzie wychylali się z okien, by popatrzeć, jak Tommy Carroll na ulicy mierzy z pistoletu w policjantów, których wziął na zakładników. Szeryf i kilku jego funkcjonariuszy wdrapali się na dachy, w nadziei że zdejmą rabusiów podczas ucieczki. Tymczasem w banku Dillinger i Van Meter kończyli robotę. Podobnie jak pierwszy gang Dillingera w Racine, zabrali ze sobą dyrektora banku i czworo kasjerów do samochodu. Nelson strzałem rozbił witrynę.

Gang załadował dyrektora banku, Leo Olsona, i kasjerów na stopnie packarda. Kiedy samochód ruszył, ktoś z policjantów strzelił w chłodnicę. Spod maski buchnęła para. Wóz stanął i zakładnicy zeskoczyli na ziemię. Jedna z kobiet rzuciła się do ucieczki.

- Wracaj! krzyknął któryś rabuś. Po chwili, z zakładnikami z powrotem na stopniach, packard znów powoli ruszył ulicami na południe, w kierunku skutej lodem prerii na obrzeżach miasta. Kiedy znaleźli się na wiodącej na południe drodze 77, Dillinger przypomniał współnikom, by rozrzucili z tyłu gwoździe papowe. Słyszając, jak silnik packarda krztusi się i charczy, wiedział, że jest kwestią czasu, kiedy dopadnie ich pościg.

Kilka kilometrów dalej packard zaczął nawalać; wszyscy wyskoczyli, zatrzymali nadjeżdżającego z naprzeciwka dodge'a i przegonili wystraszonego kierowcę na pole. Zepchnęli zakładników na jezdnię i zaczęli przenosić kanistry z paliwem do nowego auta.

W tej właśnie chwili szeryf Melvin L. Sells, który z trzema ludźmi ruszył radiowozem w pościg, dostrzegł samochody zaparkowane na drodze. Zatrzymał się w odległości stu metrów, by nie narażać życia zakładników. Jeden z rabusiów, prawdopodobnie Nelson, puścił serię w stronę radiowozu. Policjanci widzieli, jak Dillinger chwyta Nelsona i wciąga go do samochodu.

Gang uciekł na południe. Po latach szeryf Sells uparcie trzymał się wersji, że ścigał bandytów przez dwie godziny i dał za wygraną, dopiero gdy zgubił ich gdzieś w Iowa. Tak naprawdę gazeta z następnego ranka doniosła, że szeryf i załogi dwu innych wozów

zawrócili, gdy tylko rabusie otworzyli ogień. Samochód z uciekającymi bandytami po raz ostatni widziano w południowo-zachodniej Minnesocie, gdy jechał w kierunku St. Paul, ale lokalni szeryfowie, którzy ruszyli w pościg, nie zdołali go dogonić⁴.

CZY TO BYŁ DILLINGER? - pytał nagłówek wieczornego wydania lokalnej gazety „Daily Argus-Leader”. Kilkoro naocznych świadków, w tym prezes banku, upierało się, że tak. Nie wierzył im prawie nikt, z FBI włącznie. Wydawało się nie do pomyślenia, by Dillinger mógł zaledwie trzy dni po ucieczce zaatakować w miejscu oddalonym od Crown Point o trzy stany. Następnego dnia do Sioux Falls przyjechał agent z St. Paul, ale śledztwo Biura w zasadzie na tym się zakończyło.

Gang powrócił do mieszkań w Minneapolis i St. Paul. Podliczono łup - wynosił 46 000 dolarów, prawie 8000 na twarz. Nie wiadomo, co Dillinger sądził o szalonych wybrykach Nelsona, ale wydarzenia tego dnia dobitnie pokazały różnice w sposobie działania obu szefów gangów. Bez względu na to, co myślał, Dillinger potrzebował gangu Nelsona. Po raz pierwszy miał do uregulowania rachunki - wystawione przez Piquetta i adwokatów reprezentujących Pete'a Pierponta, Charlesa Makleya i innych jego dawnych współników, których proces o zabójstwo szeryfa Jessa Sarbera rozpoczął się w tym tygodniu w Limie w stanie Ohio. Musiał zdobyć więcej pieniędzy, i to szybko.

Oblawa na Johna Dillingera okazała się najważniejszą akcją w dziejach FBI. Jak żadne inne wydarzenie miała potwierdzić zasadność działań administracji Roosevelta na rzecz powołania ogólnokrajowej agencji ochrony porządku publicznego i na dobre włączyć Biuro w poczet szanowanych amerykańskich instytucji. Po dziś dzień panuje powszechne przekonanie, że Hoover z zapalem włączył się w poszukiwania. Tak naprawdę, co jasno wynika z dokumentów FBI, uważał sprawę Dillingera za potencjalne źródło kłopotów i długo nie dawał się w nią wciągnąć.

Poprzedniej jesieni, kiedy po śmierci szeryfa Sarbera gubernator Indiany prosił FBI o pomoc, Hoover milczał. Poproszony przez prokuratora generalnego o ponowne przeanalizowanie sytuacji, nakazał biurom w Chicago, Detroit i Cincinnati, by służyły „wszelką możliwą pomocą”, pomoc ta jednak ograniczyła się do paru przesłuchań. Melvin Purvis i inni szefowie biur odbyli jedną czy dwie narady z przedstawicielami lokalnych władz, ale tylko po to, by na bieżąco śledzić rozwój wydarzeń. Hoovera w zasadzie nie interesowało nic więcej.

Także w pierwszych godzinach po ucieczce Dillingera Hoover nie palił się do tego, by go ścigać. Śledztwa dotyczące masakry i uprowadzenia Bremera wciąż były w toku i na co dzień zaprzętały uwagę dziesiątek agentów; czternastu zajmowało się sprawą Bremera w

samym Chicago. Purvis pojechał tej soboty do Crown Point, by wybadać sytuację, ale reakcją na telefony reporterów do Biura były tylko wzruszenia ramion. „Dziennikarze dopytywali się, czemu nie wiemy o ucieczce nic więcej - pisał do Hoovera. - Poinformowałem ich, że Dillinger nie był więźniem federalnym”⁵.

Kiedy jednak w poniedziałek rano uciezka Dillingera zdominowała nagłówki w prasie krajowej, Hoover zatelefonował do Purvisa. Nie od razu przydzielił mu tę sprawę. Z wewnętrznej korespondencji FBI wynika, że najpierw próbował ocenić szanse Biura na sukces, gdyby dołączyło do pościgu za zbiegiem. W szczególności spytał Purvisa, czy jego informatorzy mogą wiedzieć coś, co doprowadziłoby do aresztowania Dillingera. Odpowiedź Purvisa, jak zauważył Hoover następnego dnia, była jak kubeł zimnej wody.

„Z naszej wczorajszej rozmowy - pisał Hoover do Purvisa - wywnioskowałem, że nie masz w świecie przestępczym praktycznie żadnych informatorów ani kontaktów, do których twoje biuro mogłoby się zwrócić w razie potrzeby... Trochę mnie to niepokoi”⁶[* W późniejszych latach Hoover stał się znany z dołączania do akt FBI pism, które miały uwalniać go od winy w sprawach kontrowersyjnych. Następnego ranka po rozmowie z Purvisem napisał do Popa Nathana notatkę, która jest wczesnym tego przykładem:

Wczoraj wieczorem zmuszony byłem zadzwonić do pana Purvisa z Chicago, by spytać, jakie działania podjęto w celu zatrzymania Dillingera, i ku mojemu zaskoczeniu, chicagowskie biuro nie zrobiło w tej sprawie praktycznie nic... Jestem też cokolwiek zaniepokojony tym, że federalne organy nadzorcze po ucieczce Dillingera nie zwróciły się niezwłocznie do naszych biur w terenie, by powiadomić je o konieczności skupienia wysiłków na jego schwytaniu, nawet jeśli wówczas nie było jeszcze wiadomo, iż Dillinger złamał prawo federalne. Przyczyną mojego zdumienia... jest fakt, że po poprzedniej ucieczce Dillingera niniejszy Wydział podjął działania mające doprowadzić do jego zatrzymania, a co za tym idzie, nie było powodu, by nie postąpić podobnie, kiedy uciekł tym razem.

Brzmiało to wyjątkowo nieszczerze. Tej jesieni FBI nie zrobiło praktycznie nic, by schwytać Dillingera. Żaden SAC nie ośmieliłby się wszcząć poważnego śledztwa bez zgody Hoovera, a on jej nie udzielił. Jeśli w tym tygodniu FBI nie spieszyło się, by ruszyć w pościg za Dillingerem, Hoover winić za to mógł tylko siebie.]

Nie bez powodu. Purvis nie dość, że nie miał na miejscu żadnych informatorów, to jeszcze nie był pewien, co zrobić z informacjami, które udałoby mu się uzyskać. Co więcej, pytania, z którymi zwracał się do centrali FBI, wskazują, że ta sprawa go przerastała. Myślał o założeniu podsłuchów na kilka telefonów, ale nie wiedział, czy to w Illinois legalne. Dwukrotnie dzwonił do Sama Cowleya, agenta, który pełnił funkcję szefa wydziału śledczego

Biura, z pytaniem, czy robiąc nalot, musi brać ze sobą policjantów z Chicago. Tak nakazuje prawo, przypominał mu Cowley. Hoover ironizował, że z policyjną eskortą Purvis czuje się różnie. „Musi mieć ze sobą kilku mundurowych - nabazgrał w tę środę na notatce. - Bez tego byłby zagubiony”⁷.

Dotknięty krytyką Hoovera Purvis wynajął tajnego informatora - źródło, z którego korzystał już wcześniej, za pięć dolarów dziennie - i tego wtorkowego wieczoru przeprowadził nalot przy asyście chicagowskiej policji. Wdarli się do mieszkania Anne Baker, którą informator omyłkowo oskarżył o to, że ukrywała Dillingera po jego ucieczce. Nalot skończył się zupełną klapą. W domu nie było nikogo o nazwisku Baker. Dopiero następnego ranka Purvis się dowiedział, że trafił pod zły adres.

Po nawałnicy, która przetoczyła się przez prasę, Hoover nie miał wyboru. W środowy poranek 7 marca, następnego dnia po napadzie w Sioux Falls, rozesłał do wszystkich biur FBI telegram z instrukcją dla kierujących nimi agentów, by „od chwili obecnej poświęcili szczególną uwagę” sprawie Dillingera. Oficjalnym uzasadnieniem włączenia FBI do śledztwa było to, że Dillinger podczas ucieczki ukradł samochód, którym przekroczył granicę Illinois, co stanowiło naruszenie federalnej Ustawy Dyera. Był to najcieńszy możliwy listek figowy. W rzeczywistości osobiste ambicje Hoovera zmusiły go, by zajął się sprawą Dillingera: jeśli FBI nie ścigało najbardziej poszukiwanego człowieka w kraju, to na co komu taka agencja?

Bez dowodów, że Dillinger wyjechał z Chicago, dyrektywa Hoovera stała się wielkim obciążeniem dla niedorównującego swojemu przeciwnikowi Purvisa. Niepewny, od czego zacząć, zasięgnął opinii u Johna Stege'a z powołanej przez chicagowską policję Brygady Dillinger. Jednak Stege, jak Purvis doniósł Hooverowi, „nie był skłonny dzielić się informacjami o swoich działaniach z kimkolwiek, nawet z innymi organami ścigania”⁸.

Purvis zaczynał więc od zera. Zdjął pięciu agentów ze sprawy Bremera i wysłał ich w pościg za Dillingerem. Trudno powiedzieć, czy mierne osiągnięcia tej grupy w następnych tygodniach były skutkiem niejednoznacznej postawy Biura, czy nieudolności Purvisa. Agenci pojechali do więzienia w Crown Point, przesłuchali wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z ucieczką, i odwiedzili więzienie w Michigan City, gdzie dawny wspólnik Dillingera, Ed Shouse, podał im nazwisko Billie Frechette. Przez dziesięć dni, w czasie których Dillinger rzekomo był widziany w miastach tak odległych jak Los Angeles i Seattle, Purvis i jego ludzie badali przeszłość Frechette i krewnych uwięzionych wspólników Dillingera. Nie znaleźli zupełnie nic.

Przez wiele następnych tygodni Dillinger nie schodził z pierwszych stron gazet. Skoro jednak zniknął bez śladu, tłumy reporterów ścigały do Limy w stanie Ohio na procesy jego

byłych współników, Pete'a Pierponta, Charlesa Makleya i Russella Clarka. Każdy artykuł obracał się wokół jednej i tej samej kwestii: czy Dillinger przyjdzie im z pomocą?

Władze Ohio były na to przygotowane. Lima zmieniła się w obóz warowny. Gubernator George White wezwał Gwardię Narodową i jej członkowie dzień i noc patrolowali ulice. Ich dowódca, wojowniczy artylerzysta Harold Bush, otoczył gmach sądu okręgowego workami z piachem i trzema gniazdami karabinów maszynowych. Kiedy gruchnęła plotka, że Dillinger zamierza uprowadzić gubernatora White'a, dwa oddziały członków Gwardii rozlokowały się przed jego posiadłością.

Trzy procesy zakończyły się błyskawicznie. W sumie trwały dwa tygodnie. Ed Shouse został ściągnięty pod strażą z Indiany i przedstawione przez niego suche wyliczenie wydarzeń, które doprowadziły do zabójstwa szeryfa Sarbera, dostarczyło ławom przysięgłych pod dostatkiem amunicji. Najpierw Pierpont, potem Makley, a na końcu Russell Clark zostali uznani za winnych. Pierpont i Makley dostali wyroki śmierci, Clark dożywocia. Dillinger się nie pokazał.

Mason City, Iowa 13 marca/wtorek

Mokry śnieg zacinął z ukosa nad żółtymi polami północnej Iowa, gdy dwa samochody zatrzymały się przy piaskowni tuż za południową granicą miasta. Ostry wiatr szarpał kłapy płaszczy Homera Van Metera i Eddiego Greena, którzy wysiedli z jednego z samochodów, granatowego buicka. Z drugiego wyłoniła się reszta gangu - Dillinger, Baby Face Nelson, John Hamilton i Tommy Carroll. Skupili się w krzywym kręgu i rozpoczęli naradę.

Green i Van Meter spędzili weekend w Mason City. Wynajęli pokój w YMCA i zajęli się studiowaniem rozkładu budynku First National Bank. Teraz przedstawili swoje ustalenia pozostałym, którzy przyjechali z St. Paul. Wszyscy wiedzieli, że ten skok niesie ze sobą duże ryzyko. Po latach napadów wiele banków na Środkowym Zachodzie przeobraziło się w małe fortece, a bank w Mason City, stojący na rynku, był Fort Knox stanu Iowa. W holu, pięć metrów nad drzwiami wejściowymi, ulokowano stalową kabinę, w której za kuloodpornymi szybami siedział strażnik uzbrojony w gaz łzawiący i karabin. Green przekonywał jednak, że do wzięcia jest kupa pieniędzy. Szacował, że w skarbcu przechowywano ćwierć miliona dolarów. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przez wiele miesięcy nie będą musieli nic robić.

Kilka minut po drugiej krąg się rozerwał. Gangsterzy przenieśli broń do buicka i ruszyli do miasta. Prowadził Tommy Carroll. Na Pennsylvania Avenue za buicka wjechał pan W.E. Barr z żoną.

- Czy to nie dziwne? - spytała pani Barr, wskazując ten samochód. - Mają wybitą tylną szybę.

- Pewnie im gorąco - powiedział pan Barr. - Strasznie dużo tam ludzi. Wyglądają jak żałobnicy⁹.

Minutę później kamerzysta amator H.C. Kunkleman zobaczył buicka zatrzymującego się przy strzelistej, sześciopiętrowej, wykonanej z czerwonej cegły fasadzie First National Bank. Stojąc przy statywie na rynku, Kunkleman przyglądał się z zaciekawieniem, jak pięciu z sześciu mężczyzn w środku wysiada z samochodu. Jeden z nich zauważył kamerę Kunklemana.

- Ej, ty! - warknął. - Kręcić to my, a nie nas. Zabieraj to stąd. Wystraszony Kunkleman przestał filmować[* Lokalni historycy do dziś nie mają pojęcia, kim był Kunkleman i co tam robił z kamerą tego dnia. Film nakręcony tuż przed i zaraz po napadzie został później wywołany i pokazany w kinie w Mason City. Następnie zniknął. Przez wiele dziesięcioleci historycy na próżno poszukiwali Kunklemana i jego legendarnego filmu. Ostatecznie odnalazł się w rękach właściciela sklepu ze sprzętem fotograficznym w Mason City w 1996 r.].

Carroll został w samochodzie, z karabinem przyciśniętym do piersi. Nelson, w ciemnografitowej czapce, czarnych skórzanych rękawicach i płaszczu z wielbłądziej wełny, zajął pozycję u wylotu zaułka prowadzącego na tyły budynku. Dillinger, w szarej fedorze, płaszczu tego samego koloru i grubym szalu w paski, ustawił się przed drzwiami. Pozostali - Van Meter, Hamilton i Eddie Green - wpadli do banku.

W piętrowym holu było pełno klientów - w sumie dwudziestu kilku - stojących w krótkich kolejkach do boksów kasjerów; pierwszym wyzwaniem dla trójki rabusiów było ściągnąć na siebie ich uwagę. Któryś puścił w sufit ogłuszającą serię z pistoletu maszynowego. Wśród deszczu kawałków tynku napastnicy zaczęli krzyczeć: „Ręce do góry! Ręce do góry! Wszyscy na ziemię!”. Wrażenie było takie, jakby trzej oszalali wikingowie wdarli się na spotkanie modlitewne. Po czterdziestu latach właśnie ta dzika furia, z jaką gang wykrzykiwał rozkazy, była najbardziej żywa w pamięci strażnika, który siedział wówczas w stalowej kabinie nad nimi, Toma Waltersa. „Przysięgam, byli naćpani albo coś - wspominał w wywiadzie udzielonym w 1973 roku. - Mieli purpurowe twarze, oczy im płonęły. Ani na chwilę nie przestawali krzyczeć. W życiu nie widziałem nic podobnego”¹⁰.

Zaskoczeni kasjerzy podnieśli głowy. Kilkoro pracowników schowało się w szafach i pod biurkami.

- Na ziemię! Na ziemię! - krzyczał Eddie Green. - Wszyscy na ziemię!

Jeden z pobudzonych adrenaliną rabusiów, podobno Van Meter, podszedł wielkimi

krokami do prezesa banku, Willisa Bagleya, który siedział za biurkiem przy drzwiach wejściowych i rozmawiał z klientem. Bagley, oniemiały na widok nadchodzącego mężczyzny z pistoletem maszynowym, zachował dość przytomności umysłu, by dać nura do swojego gabinetu i zatrzaskać drzwi.

Van Meter włożył w drzwi lufę pistoletu, żeby się nie zamknęły. Bagley napał na nie całym swoim ciężarem i Van Meter nie bez trudu wyszarpnął pistolet. Cofnął się o krok i puścił serię w drzwi. Kobiety zaczęły krzyczeć. Bagley, draśnięty w pierś, umknął w bezpieczne miejsce, a Van Meter dał mu spokój i przemaszerował przez hol, pokrzykując na ludzi, żeby padli na podłogę.

W tym momencie Tom Walters, trzydziestotrzyletni strażnik siedzący na krześle w stalowej kabinie nad drzwiami wejściowymi, otrząsnął się z szoku i wcisnął do pistoletu pocisk z gazem łzawiącym. Wymierzył przez szczelinę w kuloodpornej szybie i strzelił do stojącego bezpośrednio pod nim Eddiego Greena. Pocisk trafił Greena w plecy i spadł na podłogę, wśród leżących pokotem klientów. Jeden z nich kopnął go na bok. Ktoś inny odkopnął go z powrotem. „Śmiesznie to wyglądało - wspominał w 1982 roku kasjer Emmett Ryan. - Tyle że nam wtedy nie było do śmiechu”¹¹.

Green, stojący na środku holu w gęstej chmurze gazu łzawiącego, zaklął i zerknął w górę na Waltersa, który usiłował przeczyścić swój pistolet gazowy. Pistolet się zaciął i nic nie pomagało. Green złapał za kołnierz jednego z dyrektorów banku, R.L. Stephensona, osłonił się nim jak tarczą i otworzył ogień do Waltersa. Kuloodporne szkło pękało, odłamki sypały się na wszystkie strony. Jeden pocisk, odbity rykoszetem, wpadł przez szczelinę do środka, rozcinając strażnikowi podbródek i prawe ucho. Rozwścieczony Green wypytywał, jak dostać się do kabiny.

- Zdejmij tego sukinsyna z gazem łzawiącym! - wrzasnął do Hamiltona, który już zgarniał pieniądze z blatów.

Hamilton spojrział w górę i zobaczył, że Walters już odrzucił pistolet gazowy i złapał karabin Winchester. Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem; Hamilton wiedział, że nie ma sensu strzelać w kuloodporną szybę, a Walters nie mógł pociągnąć za spust, bo naraziłby życie niewinnych osób. „Hamilton wyzywał mnie najgorszymi słowami, jakie można sobie wyobrazić, i podpuszczał mnie, żebym do niego strzelił - wspominał Walters. - Ale nie mogłem tego zrobić, bo kropnąłbym połowę ludzi w holu”.

Bank wypełniały kłębiące się chmury gazu łzawiącego. Ulokowany na półpiętrze urzędnik Tom Barclay złapał świecę dymną z gazem łzawiącym i wrzucił ją do holu. Opary gazu sięgały już piętra, kiedy telefonistka Margaret Johnson podbiegła do barierki. Padła na

kolana, poczołgała się do okna i otworzyła je. W dole zobaczyła mężczyznę w płaszczu z wielbłądziej welny, stojącego w zaułku.

- Ej, ty tam! - zawołała. - Nie wiesz, że jest napad? Wezwij pomoc! Mężczyzna się odwrócił. To był Nelson.

- Mnie to pani mówi?

W tym momencie wszyscy w banku już się krztusili. W gęstych oparach gazu niewiele było widać. Podczas gdy Green i Van Meter chodzili po holu i kazali ludziom kłaść się na podłogę, Hamilton zostawił strażnika i zajął się Harrym Fisherem, asystentem kasjera, szczupłym pięćdziesięciodziewięciolatkiem. Z białym płóciennym workiem w dłoni, pełnym pieniędzy z boksów kasjerów, przystawił

Fisherowi pistolet do pleców i pchnął go w stronę skarbcza. Fisher, choć przerażony, miał przykrą świadomość, że w środku jest przeszło 200 000 dolarów gotówką.

„Przez całą drogę do skarbcza zastanawiałem się, jak to rozegrać, żeby nie dać mu pieniędzy - wspominał Fisher w wywiadzie, którego udzielił w 1942 roku¹². - Musiałem iść za wolno jak dla niego, bo kopnął mnie w kość ogonową, żeby mnie pogonić”.

Dotarli do zakratowanych drzwi prowadzących do skarbcza. Wtedy Fisher wpadł na pewien pomysł. Wyciągnął z kieszeni klucz i otworzywszy drzwi, przysunął pod nie worek zjednocentówkami, żeby je przyblokować. Kiedy Hamilton podniósł worek, drzwi się zatrzasnęły, oddzielając ich od siebie. O to właśnie Fisherowi chodziło. Podczas gdy Hamilton mierzył do niego przez kraty, podszedł do skarbcza, który - czego Hamilton nie wiedział - był otwarty, i obrócił pokrętło zamka szyfrowego, zamykając drzwi. Ocierając łzy z oczu, odwrócił się do Hamiltona i powiedział:

- Ledwo widzę, nie wiem, czy dam radę wprowadzić właściwą kombinację¹³.

- Radzę ci to otworzyć, i to szybko - warknął Hamilton. Podczas gdy Hamilton wycierał łzy z twarzy, Fisher niespiesznie odemknął skarbiec. Kiedy potężne drzwi stanęły otworem, podszedł z powrotem do kraty.

- Teraz te drzwi są zamknięte - skłamał, wskazując ruchem głowy drzwi dzielące go od Hamiltona - i nie mam jak ich otworzyć.

Hamilton kazał mu precyzyjnie przeliczyć pieniądze przez kraty. Zdeterminowany jak najbardziej się ociągać, Fisher poszedł do skarbcza, wziął tyle worków z banknotami jednodolarowymi, ile zdołał udźwignąć, i poczłapał do zakratowanych drzwi. Podał worki Hamiltonowi. Kiedy skończył, powlókł się z powrotem do skarbcza i wziął następne worki z banknotami jednodolarowymi.

- Jak się nie pośpieszysz - powiedział Hamilton - to cię zastrzele.

Podczas gdy Harry Fisher chytrze grał na zwłokę, przed bankiem zbierał się tłum. Ludzie wychodzili ze sklepów i domów na rynku, zwabieni hukem wystrzałów. Przez kilka minut panowała atmosfera jak na pikniku, niektórzy nawet się śmiali. Kilka osób na widok zamontowanej na statywie kamery H.C. Kunklemana uznało, że trwają zdjęcia do filmu.

- Hej, Hank! - krzyknął ktoś, kto wypatrzył znajomego w tłumie¹⁴.

Podczas gdy Dillinger stał na chodniku przy drzwiach wejściowych i ze słabym uśmiechem trzymał gapiów na dystans, Van Meter wypchnął na zewnątrz dziesięcioro zakładników. We dwóch ustawili grupę, tworząc szereg żywych tarcz. Dillinger wbiegł do banku, by zobaczyć, czemu trwa to tak długo.

- Daj mi jeszcze trzy minuty! - wrzasnął Hamilton.

Dillinger zebrał jeszcze jedną grupę sześciu czy siedmiu ludzi i pogonił ich w stronę drzwi. Po tym, co zaszło w East Chicago, nie zamierzał ryzykować. „Trzymaj się blisko mnie - usłyszała go Lydia Crosby, ste-nografka bankowa. - Chodź tu, z drugiej strony”. Kiedy wyszli, Dillinger ustawił te osoby w szeregu razem z pozostałymi. Już przeszło piętnastu pracowników i klientów banku stało na chodniku przed budynkiem z rękami w górze. Van Meter wszedł do sklepu z obuwem i wypędził kilkoro kupujących, by dołączyli do reszty zakładników.

Wtedy po prawej stronie rozległy się strzały. To Nelson puścił serię w reportera „Mason City Globe Gazette”, zwabionego odgłosami kanonady wewnątrz banku; reporter wskoczył do księgarni Yelland and Hanes. Chwilę potem nadszedł duży hudson sedan. Nelson krzyknął „Won stąd!” i strzelił. Kule trafiły w chłodnicę; samochód zatrzymał się z głośnym piskiem hamulców, zawrócił i popędził na rynek, omal nie rozjeżdżając gapiów. Z tłumy dobiegł histeryczny płacz dziecka.

Nelson groźnie omiatał okolicę lufą pistoletu, wypatrując policji. Według kilku świadków wybuchnął śmiechem. Strzelił serią do rzędu zaparkowanych samochodów, następną puścił w okna na piętrze sklepu żelaznego. Kilka osób uznało, że musi być obłąkany. W tej właśnie chwili chodnikiem nadszedł R.L. James, sekretarz kuratorium Mason City, nieświadom, że akurat trwa napad.

- Stój! - krzyknął Nelson, ale James, który słabo słyszał, nie zwolnił kroku. Nelson strzelił i trafił go w nogę. James upadł na chodnik, brocząc krwią. Nelson podbiegł do niego, zabrał mu aktówkę i przeszukał ją. - Myślałem, że jesteś gliną, sukinsynu - powiedział.

- Nie jestem gliną-jęknął James.

Dillinger zrobił kilka kroków w stronę Nelsona. Na widok rannego Jamesa spytał:

- Musiałeś to zrobić?¹⁵

- Myślałem, że to glina! - odburknął Nelson.

W tym samym czasie, gdy Dillinger wchodził z powrotem za mur zakładników, z okna na drugim piętrze, bezpośrednio nad nim, wychylał się stary sędzia, John C. Shipley. Miał w ręku wysłużony rewolwer, który wygrzebał z szuflady biurka. Wymierzył w

Dillingera i pociągnął za spust. Kula drasnęła Dillingera w prawy bark. Dillinger obrócił się na pięcie, spojrział w górę, podniósł pistolet i kilka razy strzelił w parapet. Shipley schował się, cały i zdrowy.

Odwracając się z powrotem do zakładników, Dillinger zauważył przebiegającego przez rynek policjanta, Jamesa Buchanana, który ukrył się za dużym głazem - pomnikiem ofiar wojny secesyjnej. Dillinger podniósł pistolet i strzelił. Kula odbiła się rykoszetem od głazu.

- Wyjdź stamtąd i walcz jak mężczyzna! - krzyknął Dillinger. - Najpierw odejdź od tłumu! - odparował Buchanan. Wyjrzał zza pomnika, ale nie strzelił.

Dillinger widział, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Van Meter wszedł z powrotem do holu i rozganiając ręką gaz łzawiący, wrzasnął do Hamiltona:

- Spadamy!

- Jeszcze trzy minuty! - odkrzyknął Hamilton. W skarbcu Harry Fisher, dotąd powolny, teraz poruszał się w żółwym tempie. - Dawaj wysokie nominały! - warknął na niego Hamilton. Fisher puścił jego słowa mimo uszu i wynosił kolejne worki z banknotami jednodolaro-wymi.

- Idziemy! - ryknął Van Meter.

- Minutę! - odparł Hamilton. Był w rozterce. - To grzech zostawić tyle pieniędzy¹⁶.

W workach, które miał w ręku, było 52 000 dolarów. 200 000 zostało w skarbcu. Uznał jednak, że nie może dłużej zwlekać. Odwrócił się od drzwi skarbcza, złapał jakiegoś pracownika banku i popchnął go do wyjścia. Chwilę potem cała szóstka członków gangu była już przed budynkiem, otoczona przez około dwudziestu pięciu zakładników. Pędząc przed sobą po kilka osób każdy, gangsterzy ruszyli w stronę buicka. Nastroje były fatalne. Kiedy Eddie Green dostrzegł jubilera, który zza zaparkowanego samochodu patrzył, co się dzieje, rzucił: „Schowaj ten łeb, bo ci go zetnę!”. Strzelił raz i jubiler natychmiast schylił głowę.

W tym momencie sędzia Shipley znowu wyjrzał przez okno. Widząc Hamiltona z workiem pieniędzy, posłał za nim jeszcze jeden, ostatni już strzał, trafiając go w prawy bark. Hamilton zatoczył się i wpadł do samochodu. Rana nie była poważna, podobnie jak ta, którą odniósł Dillinger.

Pięcioro zakładników zostało wsadzonych na stopnie samochodu, dwoje następnych na przedni zderzak i jeszcze kilkoro na tylny. „Włóż, łysa pało, bo cię kropnę” - burknął jeden z rabusiów, podobno Nelson, do Ralpa Wileya, asystenta kasjera. Kilka kobiet wylądowało na tylnym siedzeniu. Po paru minutach w oknach samochodu widać było tylko płataninę rąk i nóg. Kiedy Tommy Carroll powoli zjechał na ulicę, świadkowie doliczyli się od dwudziestu

do dwudziestu sześciu osób wewnątrz i na zewnątrz samochodu.

Z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę samochód włókł się przez labirynt ulic w stronę granic miasta. W pewnym momencie, kiedy mijali Kirk Apartments, jedna z zakładniczek, Minnie Piehm, krzyknęła: „Wysadźcie mnie! Tu mieszkam”. O dziwo, samochód stanął i panna Piehm czmychnęła. Pewien kasjer już miał za nią ruszyć, lecz gangsterzy go zatrzymali.

Sytuacja ta nie była zabawna dla zakładników, którzy wciąż tkwili na zderzakach i stopniach samochodu. „Nie gapić się na mnie, bo zabiję” - powtórzył kilka razy jeden z bandytów. Buick wciąż jechał bardzo wolno, więc bez trudu dogoniły go dwa radiowozy. W jednym był komendant policji, EJ. Patton. Patton trzymał się w bezpiecznej odległości, kiedy buick skręcił na drogę 18 w kierunku południowym i przyspieszył. W pewnej chwili, gdy uciekający wóz wtoczył się na wzniesienie, siedzący z przodu Nelson powiedział do Carrola: „Zaczekaj, niech wjadą na górę, to ich powystrzelam”. Wziął karabin i kilka razy strzelił na oślep w stronę samochodu Pattona.

Buick zatrzymał się tuż za granicą miasta. Nelson wyskoczył, puścił parę kul w samochód komendanta Pattona, po czym zaczął rozrzucać garście ćwieków. Dillinger zauważył, że kilka z nich wpadło pod buicka.

- Wrzucasz nam ćwieki pod samochód - powiedział ze spokojem¹⁷.

Kiedy Nelson wskoczył z powrotem do auta, Carroll znów ruszył na południe z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wciąż sypał śnieg, zakładnicy na zewnątrz samochodu marzli. Jeden z kasjerów, Emm et Ryan, dał pewnej kobiecie swoją marynarkę. Z jakiegoś powodu rozzłościło to Dillingera, który przeszył go lodowatym spojrzeniem. „Bardziej zimnych oczu nie można sobie wyobrazić - wspominał Ryan po latach. - Zimne oczy i biała skóra”.

Ryan po raz drugi rozdrażnił Dillingera, kiedy samochód skręcił na boczną drogę, by uwolnić kilku zakładników. Ryan już miał odejść, ale uprzytomnił sobie, jak zimno musi być innemu zakładnikowi, który był bez płaszcza, więc zaproponował, że zajmie jego miejsce.

- Kto tu, do cholery, rządzi? - spytał Dillinger.

Kiedy buick stanął, komendant Patton, który wciąż trzymał się za nim, zjechał na pobocze. Nelson strzelił trzy razy z karabinu; trafił radiowóz, ale Pattona chybił.

- Zadzwoń na policję! - krzyknął do jednego z odchodzących zakładników. - Powiedz im, że jeśli nie przestaną nas śledzić, wybijemy wszystkich, których wieziemy!

Jechali tak jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut, nim wreszcie dotarli do piaskowni i drugiego samochodu. Tam zostawili większość zakładników; dwóch wzięli ze sobą i ruszyli

na północ. Tych uwolnili, dopiero gdy komendant Patton zawrócił do Mason City. Kiedy nabrali pewności, że nic im nie grozi, zatrzymali się i obandażowali rany Dillingera i Hamiltona.

O zmroku wrócili do St. Paul. Zmęczeni udali się do Zielonej Latarni, szynku Harry'ego Sawyera. Sawyera nie było, ale jego barman zapewnił, że wie, co robić. Tej nocy doktora Nelsa Mortensena obudził dzwonek u drzwi jego domu na Fairmont Avenue w St. Paul. Chudy, siwy i powszechnie szanowany w okolicy, pięćdziesięcioletni Mortensen był przewodniczącym stanowej komisji zdrowia; zaprzyjaźniony z Harrym Sawyerem, leczył Freda Barkera na syfilis i usunął migdałki dziewczynie Alvina Karpisa. Zszedł na dół i rozchylił zasłony. Przy krawężniku stały dwa samochody. Otworzywszy drzwi, zobaczył grupę nieznajomych.

Barman wyjaśnił, że dwaj z nich zostali ranni w strzelaninie w mieście. Mortensen powiedział, że nie ma swojej torby z przyborami medycznymi, ale mimo to ich wpuścił. W przedpokoju zerwał z Hamiltona bandażę i obejrzał ranę; nie była poważna. Dillinger omal nie zemdlał, kiedy ściągnął koszulę. Zwalił się na krzesło i Mortensen przyniósł mu szklanekę wody. Rana Dillingera była głębsza, ale nie bardziej poważna. Mortensen powiedział im, że gdyby potrzebowali dalszego leczenia, mogą rano zajrzeć do jego gabinetu. Kiedy wychodzili, mignął mu pistolet maszynowy pod płaszczem Van Metera. Wrócił do łóżka, nikomu nie mówiąc o tym zdarzeniu¹⁸.

Miesiąc później, kiedy dowiedzieli się o tym agenci FBI, Hoover postanowił Mortensena przykładowo ukarać. Lekarz został skazany na rok więzienia. Do swojej śmierci w 1971 roku w wieku 87 lat utrzymywał, że nie miał pojęcia, że jego pacjentem był John Dillinger.

Po wizycie u Mortensena gang podzielił łup. Zapis przeprowadzonego przez FBI przesłuchania schwytanej tej wiosny Pat Cherrington ukazuje obraz delikatnych relacji wewnątrz gangu. Według Cherrington „Nelsona nie lubił nikt... Będąc w jego towarzystwie, żyli w ciągłym strachu, zwłaszcza zaraz po skoku. Kiedy spotykali się, żeby podzielić łup, zawsze pilnowali, by Nelson siedział na środku pokoju, choć on sam nie wiedział, że robili to celowo, i pozwalali mu odliczać przypadającą każdemu dolę. Wszyscy byli twarzą do Nelsona, bo obawiali się, że w każdej chwili mógł ich wystrzelać i zabrać całą sumę”¹⁹.

Po podziale pieniędzy gang zaczął się rozchodzić. Van Meter i jego sympatia, Mickey Conforti, rozlokowali się w swoim mieszkaniu na Girard Avenue w St. Paul. Dillinger i Billie wprowadzili się już do nowego lokum na South Lexington Avenue; to w Minneapolis musieli opuścić, gdy pistolet Hamiltona przypadkiem wypalił - Dillinger bał się, że to zwróciło czyjąś

uwagę, i wolał nie ryzykować. W tym nowym mieszkaniu Hamilton spał na kanapie z Pat Cherrington.

Hamilton i Cherrington na razie mieli całe mieszkanie dla siebie, Dillinger bowiem musiał załatwić pewne sprawy. W środę rano, po nocnej wizycie u doktora Mortensena, wziął ze sobą Billie i pojechali do Chicago. W gabinecie Piquetta był Art O'Leary i on odebrał telefon.

- Bądź przed biurem, od strony Wacker Drive - usłyszał. - Przyjadę po ciebie za jakieś piętnaście minut²⁰.

Spotkanie było krótkie. Dillinger chciał, by Piquett pomógł Billie uzyskać rozwód. O'Leary obiecał, że przekaze wiadomość. Piquett tylko przewrócił oczami. Za trud reprezentowania najbardziej poszukiwanego człowieka Ameryki nie dostał jeszcze centa. Tę i następną noc Dillinger i Billie spędzili w pokoju w piwnicy prowadzonego przez Louisa Cernocky'ego Crystal Bali Room w Fox River Grove. W niedzielę po południu odbyli następne krótkie spotkanie z O'Learym, któremu trafiło się zadanie wyjaśnienia Dillingerowi, że Piquett nie prowadzi spraw rozwodowych. Jeśli Billie chce rozwodu, powiedział O'Leary, niech sama sobie poszuka adwokata.

Następnego ranka Dillinger podrzucił O'Leary'emu paczkę z pieniędzmi. Zawierała 2300 dolarów, w tym po tysiącu dla Piqueta i rodziców Pete'a Pierponta. Potem odwiózł Billie na lotnisko, skąd poleciała do Indianapolis, by odwiedzić ojca Dillingera. W Mooresville Billie dała Dillingerowi seniorowi kilka plików banknotów i drewniany pistolet, dzięki któremu Dillinger uciekł z Crown Point²¹. Przywiozła też list od Dillingera do jego siostry Audrey. Był następującej treści:

Droga Siostrzyczko!

Pomyślałem, że skrobnę Ci parę słów, żebyś wiedziała, że u mnie w porzondeczku [sic!]. Nie martw się o mnie, kochana, bo to nic nie da, a pozatem świetnie się bawię. Wysłałem Emmetowi [mężowi Audrey] mój drewniany pistolet i niech go zatrzyma na zawsze. Widzę, że ten Blunk od szeryfa mówi, że miałem prawdziwą45-kę, ale to bujda, bo nie chcą przyznać, że zamknęłam ośmiu ludzi szeryfa i dwunastu porzondkowych, choć miałem tylko drewniany pistolet, zanim w ręce wpadły mi dwa pistolety maszynowe i szkoda, że nie widziałaś ich min. Ha! Ha! Ha! Ten numer wart był dziesięciu lat mojego życia. Ha! Ha! Wpadnę do was, jak drogi będą lepsze, wokół Indiany na razie jest taki kocioł, że ciężko byłoby mi się przebić, dlatego posyłam mojązoną Billie... Aha, i kochana, jak czegoś potrzebujesz, to nigdy ci nie wybaczę, jak mi nie dasz znać. Tydzień temu dostałem kulkę, ale teraz już czuję się dobrze, trochę tylko boli, twardy ze mnie chłop, co? Ha! Ha!... Ściskam,

Johnnie²².

Billie spędziła ten piątek u Dillingerów w Indianie, a Dillinger w tym czasie pojechał na wschód odwiedzić rodziców Pete'a Pierponta w Ohio. Posiedział u nich na ganku i upewnił się, że rodzina dostała pieniądze, które wysłał na opłacenie kosztów obrony współnika. Potem wrócił do Chicago, gdzie spotkał się z Billie. Trudno w to uwierzyć, ale FBI wciąż nie wzięło domów Dillingerów i Pierpontów pod obserwację.

Podczas gdy Dillinger przemierzał Illinois, Indianę i Ohio, Baby Face Nelson wybrał się na zachód, do Reno, gdzie już po kilku dniach uwikłał się w sprawę, którą FBI miało rozwiązać dopiero po latach. Dwaj bossowie półświatka Reno, Bill Graham i Jim McKay, właśnie stanęli przed sądem federalnym, oskarżeni o udzielenie pomocy grasującej w mieście szajce oszustów. Skądś się dowiedzieli, że głównym świadkiem oskarżenia miał być Roy Fritsch, rewident banku należącego do Grahama i McKaya.

W czwartek 22 marca, tydzień po napadzie w Mason City, Fritsch zaparkował samochód blisko swojego domu i zniknął. Świadek zeznał później FBI, że widział, jak dwaj mężczyźni uderzyli Fritscha w głowę i zaciągnęli go do oczekującego auta. Przystępstwo to oficjalnie pozostaje niewyjaśnione. FBI jednak po latach dowiedziało się od swoich informatorów, że sprawcami byli Nelson i jego znajomy John Chase. Jak wynika z dokumentów FBI, Nelson zamordował Fritscha i wrzucił jego zwłoki do szybu kopalnianego. Ciała nigdy nie odnaleziono.

W tym samym czasie, gdy trwały znużające przygotowania do najbardziej ambitnej obławy w dotychczasowej historii agencji, FBI odkryło coś, co miało otworzyć zupełnie nowy front wojny z przestępczością. W lutym biuro w Kansas City z opóźnieniem przesłało do Waszyngtonu siedemnaście odcisków palców pobranych w domu Verne'a Millera po masakrze w Kansas City. Minęło dobrych kilka tygodni, zanim technicy porównali te odciski z liniami papilarnymi dziesiątek podejrzanych. Jednak 14 marca, dzień po napadzie z udziałem Dillingera w Mason City, dokonali zdumiewającego odkrycia: odcisk palca na butelce po piwie znalezionej w piwnicy Millera pokrywał się z odciskiem Adama Richettiego, namiętnie żłowiącego bimber pomagiera Pretty Boy Floyda. Wniosek narzucał się sam: mimo powszechnych wątpliwości co do ich udziału w tej zbrodni, Richetti i Floyd rzeczywiście byli z Millerem podczas masakry.

Na wieść o tym Hoover puścił do biura w Kansas City serię ostrych pism z żądaniem wyjaśnienia, jak to się stało, że zapomniano o tych odciskach palców, i kto jest za to odpowiedzialny. Co ważniejsze, zarządzono kontrolę dotychczasowego przebiegu śledztwa w sprawie masakry. Wszyscy zapomnieli o podejrzaniach wobec Barkerów. FBI nie ujawniło

swojego odkrycia, lecz agenci uczestniczący w dochodzeniu od tej pory skoncentrowali swoje wysiłki wyłącznie na poszukiwaniach Floyda i Richettiego.

Był tylko jeden kłopot - od pół roku nie dostali żadnych potwierdzonych informacji, by ktokolwiek widział tych dwóch. Floyd jakby zapadł się pod ziemię. W lutym armia przeszło tysiąca policjantów z Oklahomy i członków Gwardii Narodowej przeczesała Cookson

Hills, ale nie znaleźli żadnych jego śladów. FBI dotąd nie szukało Floyda zbyt energicznie; jeśli nie był zamieszany w masakrę, nie miało powodu się nim interesować. Agenci z Kansas City i Oklahoma City zbierali spływające informacje, lecz sami raczej nie starali się czegoś wyszperać. Kansas City dopiero w lutym namierzyło długoletnią dziewczynę Floyda, Juanitę Baird.

Nathan uznał, że problemem jest jakość, nie ilość. Tylko dwaj z dziesięciu agentów w Oklahoma City, doniósł Hooverowi, byli dostatecznie kompetentni, by prowadzić ważne śledztwo. Najlepszy z nich, Frank Smith, stary „kowboj”, który przeżył masakrę, dostał polecenie, by skupić się wyłącznie na pościgu za Floydem, i w poszukiwaniu informacji zaczął składać wizyty szeryfom i kapusiom z Oklahomy. Nathan jednak nie miał złudzeń. Jeśli grupa pościgowa złożona z tysiąca ludzi nie mogła znaleźć Pretty Boy Floyda, to szanse, że dokonają tego młodzi i niedoświadczeni agenci FBI - którzy już mieli na głowie poszukiwania Dillingera, Barkerów i wielu innych - były bliskie zeru.

Chicago, Illinois * Hotel Irving, pokój 234

* Nigdy nie ustalono dokładnej daty zabiegów Barkera i Karpisa. Można przypuszczać, że było to 10 marca, może dzień wcześniej, może dzień później.

Fred Barker siedział w piżamie przy stole. **Doktor Joseph Moran**, o kaprawych, przekrwionych oczach, ze skalpelem **w dłoni, pochylił się i chwycił go za palce.**

- Gotów? - spytał.

Karpis przyglądał im się z boku jak zahipnotyzowany. Przyszli do gabinetu doktora Morana po kolacji, z torbami podróżnymi, w których mieli zmianę bielizny i czyste koszule. Lekarz był pijakiem o smutnych oczach, który dużo kaszlał i miał pulsującą czerwoną żyłkę w nosie. Walczył w pierwszej wojnie światowej, kształcił się na wydziale medycznym uniwersytetu Tufts w Bostonie, po czym odsiedział krótki wyrok w Joliet za wykonywanie nielegalnych aborcji. Zwolniony warunkowo w 1931 roku, zatrudnił się w kontrolowanym przez Rogera Touhy'ego związku zawodowym w Cicero i z powodzeniem operował kilku jego ludzi. Kiedy następnej wiosny kontrolę nad związkiem przejęli ludzie Ala Capone, Moran otworzył prywatną praktykę.

Karpis usłyszał o nim w nielegalnej knajpie[* Bar nosił nazwę Zielona Latarnia, tak jak lokal Harry'ego Sawyera w St. Paul, ale nie miał z nim nic wspólnego.], kiedy, jak zawsze ostrożny, rozpytywał o kogoś, kto mógłby zmienić linie papilarne. Po ich przyjeździe tego wieczora Moran owinął palce Barkera na wysokości pierwszego stawu gumkami recepturkami. Następnie przygotował pewną ilość fioletowawego płynu odkażającego i oczyścił nim opuszki palców. Kiedy Barker stracił czucie w palcach, Moran wstrzyknął do każdego kokainę.

Barker odetchnął głęboko.

- Jestem gotowy - powiedział.

Moran schylił się i powoli zaczął zestrugiwać czubek palca Barkera. Karpis nie wierzył własnym oczom; wyglądało to dokładnie jak temperowanie ołówka. Dzięki zaciśniętym gumkom było mało krwi, ale Karpis widział, że przy odcinaniu płatów skóry pobladł nawet doktor. Piegi na czole Morana pulsowały. Był spocony.

Skończywszy okrajac palce prawej dłoni Barkera, Moran przeprosił i wyszedł na zaplecze. Wrócił po chwili.

- Jak się czujesz? Napijesz się czegoś? - Widać było, że sam ma na to ochotę.

- Pewnie, że się napiję - powiedział Barker. - Wszystko jedno czego, byle szybko.

Moran podał mu butelkę whisky. Barker podniósł ją lewą ręką do ust i pociągnął potężny łyk. Przez następne dziesięć minut Moran odkrajał koniuszki palców jego lewej dłoni. Na koniec obłożył obie dłonie dużymi wacikami i je obandażował.

- Zrobię ci zastrzyk z morfiny - powiedział Moran - bo za kilka godzin zaczniesz boleć.

Zaprowadził go do sąsiedniego pokoju i położył na łóżku. Po kilku minutach Barker już spał.

- Chodź - powiedział Moran do Karpisa. - Kolej na ciebie. Karpis usiadł przy stole.

- Co właściwie, u licha, zamierzasz zrobić? - spytał.

- Cóż, masz taką trochę asymetryczną twarz - powiedział Moran. - Wyrównam ją. -

Opisał serię nacięć, które zamierzał zrobić na skroniach, by naciągnąć skórę twarzy. Karpis nic z tego nie rozumiał.

- Lepiej, żebyś wiedział, co robisz - powiedział.

Moran dał Karpisowi zastrzyk z morfiny. Po kilku minutach Karpis poczuł się, jakby bujał w obłokach; przestał zważać na to, co robi doktor. Moran tymczasem wstrzyknął kilka małych dawek kokainy na obwódzie jego twarzy i zaczął robić nacięcia. Karpis czuł się tak błogo, że praktycznie nie zwracał na to uwagi.

- Teraz ręce. Gotów? - spytał Moran po chwili.

- Uhm - wymamrotał Karpis.

Po wszystkim Moran i jego asystent położyli go w łóżku w innym pokoju. Rano Karpisa ze snu wyrwał straszliwy ból. Asystent pokazał mu, by trzymał dłonie zwrócone do góry, a wtedy krew odpłyne z palców i rwanie w nich zelżeje.

- Jak Freddie? - spytał Karpis.

- Obudził się w środku nocy - odparł asystent. - Bolało go jak diabli. Dostał końską dawkę morfiny. Pośni jeszcze kilka godzin.

Barker i Karpis przez trzy dni to tracili, to odzyskiwali świadomość. Karpis, gdy był przytomny, czytał gazety. W czwartek 15 marca zobaczył artykuł, który nim wstrząsnął: FBI uznało gang Barkerów za głównych podejrzanych w sprawie porwania Bremera. Biuro zidentyfikowało odciski palców Docka Barkera na kanistrach z paliwem znalezionych w Wisconsin. Karpis zaklął.

- Trzeba pomyśleć, jak tu się w cholerę ulotnić z Chicago - powiedział Fredowi.

Barker przysypiał.

- Nie wiem, co robić - wymamrotał. - Pogadamy, jak wstanę. Na razie chce mi się spać.

Karpis usiadł w fotelu i patrzył na śpiącego Barkera, aż sam też usnął. Barker obudził go przed świtem.

- Jak myślisz, dokąd powinniśmy pojechać? - spytał.

- My? O kim mówisz? „My”, czyli kto?

- No wiesz - powiedział Barker. - Ma, ja i ty.

- Nie, Ma nie - odparł Karpis. - Nigdzie z nami nie pojedzie, Freddie. Już ci to mówiłem. Przez nią zginiesz. Zobaczysz.

Barker skrzywił się.

- Może masz rację. Może niech lepiej tu zostanie. Myślisz, że zostanie?

- Nie będzie miała wyboru.

- Jak to załatwimy?

- Chcesz, żebym z nią pogadał? - spytał Karpis.

- Dałbyś radę?

- Pewnie.

Przenieśli się do pensjonatu na Winthrop Avenue, gdzie dochodzili do siebie; obaj wciąż byli owinięci bandażami i nie chcieli w tym stanie pokazywać się w swoich mieszkaniach. Dało to Karpisowi pretekst, by odłożyć spotkanie z Ma na później. Bał się go. Zwlekali jeszcze kilka dni, do czasu aż dostali drugą alarmującą wiadomość: zginął Shotgun

George Ziegler. Stało się to w Cicero. Gdy Ziegler wychodził z baru, podjechał zabójca i wypalił do niego ze strzelby, prawie urywając mu głowę. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Karpis był przerażony. Nie ulegało wątpliwości, że to była robota syndykatu*[* To zabójstwo nigdy nie zostało wyjaśnione.]. Czy Frank Nitti chciał ich śmierci?

Następnego ranka wpadł Dock Barker. Śmierć Zieglera, stwierdzili zgodnie, oznaczała, że w Chicago przestało być bezpiecznie; jeśli narazili się czymś syndykatowi, liczyła się każda minuta. Dock zaproponował, by przenieśli się do Toledo. Jego kumpel miał tam znajomych. Karpis i Fred zgodzili się; uznali, że to równie dobre miejsce jak każde inne. Następnego dnia Dock pojechał do Ohio i wynajął tam mieszkanie. Kiedy wrócił, dla Karpisa nastąpiła chwila, o której myślał z trwogą od wielu dni: rozmowa z Ma Barker.

Zmusił Docka, żeby z nim poszedł. Freddie bardzo się bał.

- Jezu Chryste! - krzyknęła Ma, ledwie weszli do jej mieszkania. - Byłeś z George'em Zieglerem?

- Nie, dlaczego? - spytał Karpis. Twarz miał wciąż zabandażowaną.

- Spójrz na siebie. Co ci się, do licha, stało?

- Och... tego... miałem kraknę.

- Gdzie Freddie? Co z nim? Czemu go tu nie ma?

- Był ze mną, jak miałem tę kraknę - powiedział Karpis. - I trochę bardziej ucierpiał.

Trzymają go w bezpiecznym miejscu.

Ma wpadła w złość.

- Na pewno nie jest tam bezpieczniej niż tutaj!

Karpis starał się powiedzieć, co miał do powiedzenia, w możliwie najbardziej delikatny sposób. Nie wspominał o przeprowadzce, przynajmniej nie od razu. Powiedział, że będzie jej więcej odwiedzać, a jeśli nawet, to rzadko. Ma wpadła w histerię. Przez godzinę pomstowała, na czym świat stoi. Pojedzie z Freddiem na Florydę, upierała się. A jeśli nie, to wraca do Oklahomy i już. Karpis dał jej się wygadać. Dock przez cały czas nie odzywał się ani słowem.

- Skończyłaś? - zapytał Karpis, gdy Ma wreszcie umilkła. - Wynosimy się i nie powiem ci dokąd. Będziemy w kontakcie. Pieniądzy ci nie zabraknie.

- Co mi z pieniędzy, skoro muszę zostać sama? - spytała Ma. Klócili się jeszcze godzinę, zanim skapitulowała. - No dobrze - powiedziała ze smutkiem. - Tylko odwiedźcie mnie, chłopcy, jak będziecie w Chicago. I nie myślcie, że tak zostanie na zawsze. Latem znajdziemy sobie domek nad jeziorem. Co wy na to?

Karpis obiecał letni domek, choć wiedział, że nic z tego nie będzie. W tej chwili

powiedziałyby wszystko, byleby zamknąć Ma Barker usta. Następnego dnia pojechali do Toledo. Ma została. Z tą chwilą o większej części gangu Barkerów na długo zaginął słuch.

Kiedy Karpis i Barkerowie uciekali z Chicago, pościg FBI za nimi wytracał tempo. W odróżnieniu od gangu Dillingera, który gubił za sobą gadatliwych współników jak łupież, wydawali się zamkniętym klanem prostaczków z miasta, nieprzeniknionym i niepoznawalnym. Miesiąc po uznaniu Barkerów za porywaczy Edwarda Bremera FBI wciąż nie znalazło ani jednego wiarygodnego źródła informacji na ich temat. Agenci mieli kapusiów więziennych i stare listy gończe z Oklahomy i Missouri, ale niewiele ponadto.

Sporządzenie list krewnych i więziennych znajomych gangu Barkerów potrwało wiele tygodni. Wzięto pod obserwację braci i siostry kilku członków gangu i ich dziewczyn, a także mieszkających w Chicago rodziców Karpisa. Do biur FBI napływały listy od ludzi, którzy twierdzili, że znali albo widzieli członków gangu. Tylko jeden z nich, odsiadujący wyrok w Teksasie Henry Hull, podał pewne informacje. Hull, kumpel Docka Barkera z więzienia, kiedyś odwiedził go w Nevadzie. Agenci FBI ściągnęli do Reno i odszukali wszystkie mieszkania, sklepy spożywcze, pralnie chemiczne i kasyna, w których gang przebywał w trakcie swoich dwu pobytów w tym mieście. Zdobyli billingi telefoniczne i przeróżne ciekawostki - od pewnego krawca dowiedzieli się, że Fred Barker ma obwód szyi 33 cm - ale to wszystko na nic im się nie zdało. Od pół roku nikt nie widział żadnego z członków gangu.

Obsesją Hoovera stało się odnalezienie domu, w którym przetrzymywany był Bremer. Poświęcono tysiące godzin na poszukiwania w Wisconsin i Illinois opisanego przezeń miasta. Agenci odwiedzili przeszło sto. W każdym przesłuchali policję i listonoszy, ale żadne nie pasowało do tego, co zapamiętał Bremer. Jeden z ludzi Purvisa, Ralph Brown, nawet trafił do właściwego miasta, Bensonville, lecz go nie rozpoznał[* Najbardziej intensywnym przesłuchaniom FBI poddało nie osoby powiązane z Barkerami, lecz samych agentów FBI. Kiedy wiadomość o identyfikacji odcisków palców DockaBarkera wyciekła do gazet wychodzących w St. Paul, Hooverwybuch-nął. Żądał, by wskazano źródło przecieku, i zasypał biura w Minneapolis i Oklahoma City gniewnymi pismami. Pop Nathan przesłuchał kilku agentów z Oklahomy, którzy rzekomo wspomnieli o odciskach palców miejscowym policjantom, którzy z kolei mieli przekazać tę wiadomość reporterowi z Minnesoty zbierającemu informacje o Barkerach. Prawdopodobnym źródłem przecieku był agent Herman Hollis, były szef biura w Detroit; Hollis wszystkiemu zaprzeczył. Dochodzenie ciągnęło się przez wiele tygodni, aż w końcu Nathan przyznał, że prawdopodobnie nigdy nie znajdą winnego.].

Śledztwo w sprawie Dillingera posuwało się naprzód jeszcze wolniej, jeśli w ogóle.

Pod koniec marca minął czwarty tydzień dochodzenia, ale Purvis i jego ludzie wciąż nie mieli ani jednej wskazówki co do miejsca pobytu gangu, nie wiedzieli nawet, że to jego dziełem były napady w Sioux Falls i Mason City. Kiedy wrzawa wokół ucieczki z Crown Point przycichła, śledztwo Biura zupełnie wytraciło i tak marny impet. Z perspektywy czasu decyzje Purvisa wydają się niezrozumiałe. Nie zadał sobie trudu, by wziąć farmę Dillingerów w Mooresville pod obserwację; gdyby to zrobił, agenci może czekali by na Billie, kiedy przyjechała tam 19 marca.

Jedyny pewny trop Biuro zawdzięczało ludziom Matta Leacha, którzy odszukali dziewczynę Russella Clarka, Opal Long, mieszkającą z matką w Detroit. Biuro w Detroit zmusiło policję z Indiany do wycofania się i przejęło obserwację w nadziei, że Long skontaktuje się z Dillingerem. Purvis jednak zdołał zaprzepaścić nawet ten cień szansy. W czwartek 29 marca agenci z Detroit pojechali za Long na dworzec kolejowy, gdzie wsiadła do pociągu do Chicago, Kiedy dotarła na miejsce, Purvis wysłał za nią swoich ludzi, którzy jej śladem trafili do hotelu Commonwealth. Hoover zgodził się, by założono podsłuch na jej telefon. Tyle że Long zorientowała się, że jest śledzona.

Tego wieczora wsiadła do taksówki, patrząc przez tylną szybę na obserwujących ją dwóch agentów. Taksówka, jak określił to Purvis "jechała zygzakami" przez centrum miasta i bez trudu zgubiła eskortę FBI. Wiele tygodni później agenci dowiedzieli się, że Long udała się z Chicago prosto do St. Paul, gdzie spotkała się z Dillingerem.

Pod koniec marca Hoover tracił cierpliwość. Poirytowany doniesieniami gazet o akcjach policji przeciwko Dillingerowi w Chicago, wysłał Purvisowi ostry list: „Twoje biuro nie powiadomiło Wydziału o szczegółach tej akcji ani o informacjach, które do niej doprowadziły. Budzi to wątpliwości Wydziału co do stanu waszej wiedzy na temat ostatnich wydarzeń w okręgu Chicago, związanych z poszukiwaniami Dillingera”²³.

Nie było jednak żadnych postępów. Po miesiącu poszukiwań ani Purvis, ani żaden inny agent FBI nie mieli najmniejszego pojęcia, gdzie jest Dillinger. I wtedy - zabawne - Dillinger odnalazł ich.

11 CRESCENDO

30 marca - 10 kwietnia 1934

Podczas gdy FBI mało energicznie kontynuowało obławę, Dillinger w oczekiwaniu, aż jego rana się zagoi, odpoczywał w swoim nowym mieszkaniu w Lincoln Court Apartments, niedużym budynku z czerwonej cegły na ruchliwej South Lexington Avenue, w

sercu najbardziej ekskluzywnej dzielnicy St. Paul. Było ciasno; w salonie spali John Hamilton i Pat Cherrington. Nelson, jak to mu się często zdarzało, przepadł gdzieś na zachodzie. Van Meter pojawiał się i znikał jak duch, nieustannie strzelając oczami po samochodach przed budynkiem w poszukiwaniu rządowych tablic rejestracyjnych.

Przy tej samej ulicy było kino i Dillinger kilka razy zabrał tam Billie. Pewnego wieczoru obejrżeli w kronice wywiad z ojcem Dillingera. „John to nie jest zły chłopak - powiedział Dillinger senior. - Powinni dać mu szansę. Obrabował kilka banków, to wszystko”. Dillinger się uśmiechnął. Ojciec chyba nigdy jeszcze nie powiedział o nim nic równie miłego. W piątkowy wieczór 31 marca, pod koniec drugiego tygodnia pobytu w St. Paul, Dillinger zabrał Billie na „Modę roku 1933”, przegląd najnowszych prac projektantów z Nowego Jorku i Paryża. Tej nocy Opal Long przyjechała z Chicago, gdzie zgubiła ogon z FBI. Zapewniła, że nikt jej nie śledził. Dillinger kładł się spać w doskonałym nastroju. Nadchodził weekend. Może wyskoczą za miasto.

Ulice St. Paul przykrywała gruba warstwa śniegu, kiedy tego piątkowego popołudnia Daisy Coffey weszła po białych marmurowych schodach w gmachu sądu federalnego do biur FBI w sali 203. SAC Werner Hanni i jego ludzie koncentrowali się na sprawie Bremera, ale Hanni oderwał się na dość długo, by przyjąć zeznanie. Pani Coffey powiedziała, że jest administratorką Lincoln Court Apartments na South

Lexington Avenue i że para wynajmująca mieszkanie 303 budzi jej podejrzenia. Nowi lokatorzy, „pan Carl P. Hellman z małżonką”, często podejmowali gości, zawsze korzystali z tylnych drzwi budynku i do 10.30 nie podnosili rolet. Na Hannim jej słowa nie zrobiły wrażenia. „Po prostu jej się wydaje, że [Hellmanowie] są jacyś tajemniczy, że coś jest z nimi nie tak”, napisał w notatce.

Kiedy pani Coffey wyszła, Hanni dał jej zeznania dwóm młodym agentom, Rosserowi L. „Rusty’emu” Nallsowi i Rufusowi Coulterowi*[* Rosser Nalls urodził się w Waszyngtonie, w r. 1929 wstąpił do FBI i pracował w wielu biurach w terenie, zanim w 1956 przeszedł na emeryturę. Zmarł w 1983 w wieku 82 lat.

Rufus C. Coulter urodził się w Tennessee, stracił rodziców we wczesnym dzieciństwie. Choć nie miał skończonej szkoły podstawowej, zapisał się na kursy wieczorowe i zdołał ukończyć prawo na uniwersytecie Arkansas. Służył w FBI w latach 1929-45, później pracował w Motoroli. Zmarł w 1975 w wieku 72 lat.]. Później tego dnia Nalls i Coulter pojechali do niej i pokazali jej zdjęcia tylko tych osób, którymi interesowało się biuro w St. Paul - Karpisa i Barkerów. Pani Coffey nie rozpoznała żadnego z nich. Miała jednak zapisany numer rejestracyjny pana Hellmana. Agent Nalls sprawdził go po powrocie do biura i

stwierdził, że samochód zarejestrowany jest na Carla Hellmana z North St. Paul. Kiedy jednak zadzwonił na pocztę, by spytać o adres pana Hellmana, okazało się, że tam go nie mają. Wyglądało na to, że nazwisko jest fałszywe.

Lincoln Court był dwupiętrowym budynkiem z z trzydziestoma dziewięcioma mieszkaniami; z tyłu biegł brukowany zaułek, a za nim osiedle mieszkaniowe. Tej nocy Nalls i Coulter powoli przejechali zaułkiem i zatrzymali się na bocznej ulicy. Widzieli, że rolety w oknie mieszkania 303 są opuszczone. Wydawało się to normalne; w przeciwnym razie każdy mógłby zajrzeć do środka. W szparze pod roletami dostrzegli mężczyznę i kobietę chodzących po mieszkaniu. Po trzech godzinach wrócili do biura i zameldowali, że nie zobaczyli nic niezwykłego.

Mimo to pojechali tam znowu następnego ranka o dziewiątej, by przesłuchać lokatorów mieszkania 303. Inspektor William Rorer, który został w St. Paul, by kierować śledztwem w sprawie Bremera, uznał, że potrzebna im będzie policyjna eskorta. Agent Coulter zaofiarował się, że poszuka policjanta na patrolu, a Nalls udał się na miejsce. Przed dziesiątą zaparkował wóz obok budynku i zaczął obserwację. Po kilku minutach zobaczył dwie kobiety wychodzące tylnymi drzwiami. Podeszły do zaparkowanego samochodu, zamieniły kilka słów z siedzącym w środku mężczyzną i cała trójka odjechała. Nalls, zgodnie z procedurą, zanotował ich rysopisy. Dopiero później miało się okazać, że widział Opal Long, Pat Cherrington i Johna Hamiltona, którzy jechali na śniadanie i po zakupy. Nalls ich nie rozpoznał.

O 10.15 zobaczył, jak pod budynek podjeżdżają agent Coulter i nieznanemu mu policjant. Obaj zniknęli w środku. Minutę czy dwie później nadjechał zielony ford sedan. Chudy mężczyzna wysiadł i wszedł do budynku. Minęło kilka minut. Agent Nalls wciąż siedział w swoim aucie i obserwował wejście od frontu, kiedy nagle zobaczył agenta Coultera nadbiegającego z pistoletem w ręku przez zaśnieżone podwórze. Coulter odwrócił się i wdał w wymianę strzałów z goniącym go chudym mężczyzną.

Agent Coulter z sześćdziesięcioletnim detektywem z St. Paul, Henrym Cummingssem, zapukali do mieszkania 303 i czekali, aż ktoś otworzy. Po długiej chwili drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Znad łańcucha wyjrzała kobieta. Detektyw Cummings przedstawił się i spytał, czy mógłby porozmawiać z Carlem.

Billie zapomniała fałszywe nazwisko Dillingera.

- Carlem? - spytała. - Jakim Carlem?

- Carlem Hellmanem. Billie odzyskała zimną krew.

- Właśnie wyszedł, wróci po południu. Przyjdźcie wtedy.

- Pani Hellman, zgadza się? - spytał Cummings. Billie skinęła głową.

- W takim razie porozmawiamy z panią.

- Jestem nieubrana - odparła Billie. - Przyjdźcie po południu.

- Zaczekamy, aż się pani ubierze - powiedział Coulter.

Billie uprzedziła, że to sekundę potrwa, i zniknęła za drzwiami. Coulter usłyszał trzask zamykanej drugiej zasuwki.

Dillinger był jeszcze w łóżku, kiedy Billie przypadła do niego.

- To gliny! Co mam robić?

Dillinger zerwał się na równe nogi i zaczął się ubierać.

- Nie trać głowy - rzekł. - Spakuj trochę rzeczy do dużej torby. Podczas gdy Billie wrzucała do torby ubrania, Dillinger otworzył szufladę komody i wyjął części pistoletu maszynowego. Następnie podszedł do drzwi. Coulter i detektyw Cummings czekali na korytarzu. Coulterowi coś się nie podobało.

- Trzeba wezwać wsparcie - szepnął. - Idź, zadzwoń. Albo ja to zrobię.

- Kogo wolisz? - spytał Cummings. - Waszych ludzi czy naszych?

- Naszych - odparł Coulter¹.

Zbiegł na dół, żeby od administratorki budynku zadzwonić do swojego biura. Kiedy wrócił na górę, Cummings wciąż stał na korytarzu. Czekali razem, według oceny Coultera, jeszcze dziewięć minut.

Tymczasem Homer Van Meter zostawił zielonego forda przed budynkiem i wszedł tylnymi schodami na drugie piętro. Gdy tylko zobaczył dwu mężczyzn pod drzwiami Dillingera, wyczuł, że zanosi się na kłopoty. Ze spuszczoną głową podszedł do nich, przecisnął się obok i ruszył w stronę klatki schodowej od frontu. Nagle się zatrzymał.

- Pan Johnson? - spytał Coultera.

- Nie - odparł Coulter.

Kiedy Van Meter zaczął schodzić w dół, Coulter ruszył ku niemu.

- A pan to kto? - spytał.

Van Meter odwrócił się i stanął na półpiętrze.

- Handluję mydłem - odparł.

- Gdzie pańskie próbki? - spytał Coulter.

- Zostawiłem na dole, w samochodzie. Coulter spytał, czy ma dokumenty.

- Nie. Są w samochodzie.

Van Meter zniknął na dole. Coulter po chwili postanowił pójść za nim. Zszedł do holu i wyjrzał na zewnątrz. „Handlarza mydłem” nigdzie nie było. Coulter odwrócił się, by wejść z

powrotem na górę, i zobaczył Van Metera przyczajonego z pistoletem w rękę na pograżonych w ciemności schodach do piwnicy.

- Tego szukasz, palancie? - spytał Van Meter. - To masz!

Kiedy Van Meter uniósł broń do strzału, Coulter odskoczył w tył i wypadł przez drzwi frontowe na zewnątrz. Pobiegł przez zaśnieżone podwórze. Van Meter rzucił się w pościg, rażąc ogniem, gdzie popadnie; pociski wzbijały małe eksplozje brudnego śniegu. W ten spokojny sobotni poranek w St. Paul wystrzały brzmiały nierzeczywiście - trach, trach, trach! - jak fajerwerki. Biegąc po śniegu, Coulter wyciągnął pistolet, obrócił się i odpowiedział ogniem. Van Meter wpadł z powrotem do budynku.

Tymczasem w mieszkaniu 303 Billie błagała Dillingera, by nie wszczynął strzelaniny. Dillinger jednak, gdy tylko usłyszał wystrzały, podniósł pistolet maszynowy i puścił serię przez drzwi. Następnie uchylił je na kilka centymetrów, wysunął lufę thompsona na korytarz i zaczął strzelać na oślep. Detektyw Cummings przywarł plecami do ściany we wnęce - kule świszczwały obok jego brody. Ledwie Dillinger przestał strzelać, Cummings zbiegł schodami od frontu na dół. W mieszkaniu Billie wyszła z sypialni i zobaczyła uśmiechniętego Dillingera. Cienkie smużki światła słonecznego wpadały do pokoju przez podziurawione kulami drzwi².

- Nie trać głowy - powtórzył Dillinger, kiedy zaczęła go błagać, by więcej nie strzelał. - Idziesz ze mną. Zapnij walizkę i chodź. - Podeszedł do drzwi i strzelił serią w głębi korytarza. Billie ruszyła za nim, dźwigając jego ciężką walizkę w obu rękach. W środku były pistolety.

Tymczasem w dzielnicy zapanował chaos. Zatrzymywano samochody, ludzie wychylali się z okien. Agent Nalls, który w człowieku goniącym Coultera rozpoznał kierowcę zielonego forda, wskazał jego samochód i Coulter bez namysłu przestrzelił oponę. Nalls pobiegł do drogerii, by zatelefonować po posiłki.

Obaj agenci zapomnieli o tylnym wejściu do budynku. Tamtędy wyszli Billie i Dillinger; Van Meter wybiegł minutę po nich. Dillinger, w jasnoszarym garniturze, bez krawata, poszedł swobodnym krokiem w głąb zaułka, z thompsonem opuszczonym przy prawej nodze. Dał Billie kluczyki do samochodu i wziął od niej walizkę, oglądając się przez ramię³. Billie pobiegła do garażu, w którym trzymali czarnego hudsona, i wyjechała tyłem. Dillinger wrzucił walizkę na tylne siedzenie i wsiadł. Billie wcisnęła gaz do dechy, hudson popędził z rykiem w głąb zaułka.

- Wolniej! Wolniej! - zakomenderował Dillinger. - Będziesz się rzucać w oczy.

Żaden z agentów FBI i policjantów z St. Paul, którzy ściągnęli do dzielnicy, nie miał pojęcia, kto strzelał. Jeden z agentów zadzwonił do Waszyngtonu z informacją, że podejrzani

nie odpowiadali rysopisom członków gangu Barkera. Dopiero dwie godziny później, kiedy agenci wreszcie wdarli się do mieszkania 303, FBI zrozumiało, kogo znalazło. W lokalu był arsenał broni krótkiej i maszynowej, szuflady pełne męskich garniturów i damskiej bielizny oraz trzy zdjęcia.

Jedno małego dziecka, drugie nastolatka, trzecie ostrzyżonego najeża marynarza ze znajomym krzywym uśmiechem. Dillinger. Potwierdziły to odciski palców pobrane z butelki płynu do ust Listerine. A krople krwi na korytarzu wskazywały, że był ranny.

Nogawka spodni Dillingera poczerwieniała od krwi. Dostał jedną z własnych kul, odbitą rykoszetem. Trafiła go w górną część lewej łydki i przeszła na wylot tuż pod kolaniem. Przy wtórze niosącego się po St. Paul wycia syren Dillinger powiedział Billie, by pojechała do Eddiego Greena, rudowłosego zwiadowcy gangu. Potrzebował lekarza.

Green wskazał im drogę do biurowca w centrum Minneapolis, gdzie przyjmował doktor Clayton May. May był czterdziestosześcioletnim lekarzem pierwszego kontaktu, którego oferta obejmowała aborcje za 50 dolarów i leczenie chorób wenerycznych szalejących w półświatku St. Paul. Kiedy Green powiedział, że przywiózł znajomego poturbowanego w wybuchu nielegalnej destylarni, May wyszedł z nim do samochodu. Dillinger siedział z tyłu z Billie. Pojechali do osiedla w południowej części miasta, gdzie lekarz przyjmował swoich co bardziej szemranych klientów. Billie objęła Dillingera ramieniem i pomogła mu dokuśtykać do mieszkania na parterze.

Doktor May później uparcie trzymał się wersji, że Dillinger groził mu śmiercią, tak naprawdę jednak wystarczającą zachętę stanowił zwitek banknotów, który gangster miał przy sobie. Rana nie była poważna. Obandażowali ją i oczyścili roztworem rtęci. Doktor May kazał Dillingerowi odpocząć kilka dni. Zrobił mu zastrzyk przeciwwężcowy i wyszedł. Po pewnym czasie Dillinger zapadł w sen.

Teksas, okolice Dallas

1 kwietnia, Wielkanoc godz. 15.30

. Tego ranka, gdy FBI gorączkowo szukało Dillingera, Bonnie Parker siedziała obok samochodu zaparkowanego na północ od granicy Dallas, na nieutwardzonej drodze biegnącej ponad drogą stanową 114, i głaskała białego królika. Królik był prezentem dla jej matki. Clyde leżał wyciągnięty na tylnym siedzeniu i próbował się zdrzemnąć. Henry Methvin chodził tam i z powrotem. Po długiej wizycie u rodziny Methvina w Luizjanie zabrali z Joplin nękanego wrzodami żołądka Joego Palmera i posłali go przodem do Dallas, by uprzedził

rodziny Bonnie i Clyde'a o ich przyjeździe.

Około wpół do czwartej Bonnie podniosła głowę i zobaczyła w dole trzech policjantów na motocyklach, jadących na północ. To byli policjanci stanowi. Na oczach Bonnie dwaj z nich, dostrzegłszy samotnego forda zaparkowanego na zboczu wzgórza, zwolnili i zawrócili, kierując się do wjazdu na drogę gruntową, przy której czekali Bonnie i Clyde.

Według wersji wydarzeń, którą Clyde przedstawił rodzinie, Bonnie go obudziła. Wysiadł z obrzynem w rękę. Methvin stał już obok auta, z karabinem automatycznym przyciśniętym do piersi. Clyde, jak twierdził, powiedział do niego: „Bierzemy ich”⁴. Zapewniał, że chciał wziąć ich na zakładników, jak to robił kilka razy wcześniej.

Methwin źle go rozumiał. Dwaj policjanci na patrolu, dwudziestosześcioletni E.B. Wheeler i dwudziestodwuletni H.D. Murphy, dla którego był to pierwszy dzień służby, właśnie podjeżdżali do zaparkowanego forda, z pistoletami wciąż w kaburach, kiedy Methvin uniósł karabin i serią w pierś zabił Wheelera na miejscu. Murphy zatrzymał motocykl i sięgnął po obrzyn. Widząc to, Clyde strzelił do niego trzy razy, zabijając także i jego. Przejżdżający kierowca widział, jak cała trójka wskoczyła do forda i odjechała.

Szeryf powiatu Dallas, Smoot Schmid, natychmiast ogłosił, że winnym zabójstwa jest Clyde. „To nie człowiek - powiedział Schmid. - To zwierzę”. Gubernator Ferguson wyznaczyła 500 dolarów nagrody za zatrzymanie Clyde'a i jego niezidentyfikowanego współnika.

Następnego ranka do Dallas przybył Frank Hamer.

Hoover o mało nie dostał apopleksji, kiedy tej niedzieli na jego biurko trafiły wstępne raporty o strzelaninie w St. Paul. Nic z tego nie rozumiał: dlaczego nalot przeprowadzili dwaj ludzie i dlaczego jednym z nich był funkcjonariusz znanej z korupcji policji St. Paul? Dlaczego jego ludzie byli uzbrojeni w broń krótką, nie pistolety maszynowe? I, co najważniejsze, dlaczego dali Dillingerowi uciec?[* Wśród ludzi Hoovera wciąż nie było jasności co do tego, kiedy i na jakich warunkach lokalna policja może współuczestniczyć w akcjach FBI. Jak Hoover napisał w notatce włączonej do akt, gdy tej niedzieli spytał inspektora Williama Rorera, dlaczego poprosił o pomoc policję z St. Paul, Rorer odpowiedział, że „działał w oparciu o założenie, że podejrzanego zatrzymać można tylko w obecności policjanta”. Hoover stwierdził, że „założenie to jest całkowicie błędne” i że policja może brać udział w akcji FBI tylko w dwu przypadkach: kiedy FBI potrzebuje więcej ludzi albo sprzętu. Rorer poskarżył się także, że nie wszyscy jego ludzie potrafią obsługiwać pistolety maszynowe. „Jeśli agenci nie umieją obchodzić się ze sprzętem - odparł Hoover -

należy ich tego natychmiast nauczyć”.] W rozmowie telefonicznej z Purvisem pieklił się, że agenci z St. Paul „potwornie spartaczyli wczorajszy nalot”. Od tej pory, dodał, wszystkie informacje o Dillingerze - choćby najbardziej trywialne - miały być przekazywane do centrali. I, jak przypomniał agentom z St. Paul, policja miała już nigdy więcej nie uczestniczyć w akcjach FBI, chyba że agentom „będzie brakować sprzętu, takiego jak karabiny maszynowe czy pistolety gazowe”⁵.

Strzelanina w St. Paul podziałała na Hoovera elektryzująco. Sądząc z tonu jego pism, był zdumiony, że Dillinger poważał się strzelać do jego ludzi. Z miejsca zdecydował, że schwytanie Dillingera stanie się priorytetem Biura. We wtorek nakazał wszystkim biurom dać Dillingerowi pierwszeństwo „przed wszystkimi innymi trwającymi śledztwami”. Do St. Paul napłynęli nowi agenci. W biurze FBI i na poczcie rozstawiono łóżka polowe, na których ludzie Hoovera ucinali sobie drzemki w przerwach w pracy.

W poniedziałek wieczorem odnotowali pierwszy sukces. Do biura w St. Paul zadzwoniła administratorka Lincoln Park, pani Coffey, z informacją, że jej mąż odszukał adres jednego z gości Dillingera, tego samego człowieka, który wdał się w wymianę ognia z agentem Coulterem; wynajmował on mieszkanie na Marshall Avenue 2214. Po godzinie budynek był już otoczony przez agentów. Za dnia nie pojawił się tam ani Dillinger, ani żaden z pozostałych podejrzanych, lecz administrator na podstawie rysopisu rozpoznał w człowieku, który napadł na Coulera, lokatora spod numeru 106. Mieszkanie dwa tygodnie wcześniej wynajął inny mężczyzna, który przedstawił się jako D. Stevens. Administrator od wielu dni nie widział żadnego z nich.

Okna mieszkania były pozamykane; z zewnątrz wyglądało na opuszczone. Zakładając, że podejrzany jest zbyt przebiegły, by wrócić, o 7.30 agenci kazali administratorowi otworzyć mieszkanie. To, co znaleźli w środku, jasno wskazywało, że trafili do gangsterskiej kryjówki: było tam łożo pistoletu maszynowego Thompson, półmetrowej długości lont, mapy drogowe i rozkłady lotów, tablice rejestracyjne, trzy zeszyty z planami ucieczek i naboje - mnóstwo nabojów. Poszukali odcisków palców, zabrali porozrzucane paragony i przywieszki z pralni, po czym cała ekipa wróciła do biura, pozostawiając na miejscu dwóch niskich rangą agentów.

Parę minut przed dwunastą dwaj agenci chodzili po mieszkaniu z pistoletami maszynowymi w rękach, gdy nagle usłyszeli, że ktoś wsuwa klucz do zamka w drzwiach wejściowych. Przypadli do drzwi. Weszła wystraszona „Murzynka” - jak określał ją raport - i znalazła się oko w oko z lufą thompsona. Była to pokojówka Lucy Jackson. Wyjaśniła, że przyszła posprzątać na prośbę siostry. Jej siostra, Leona Goodman, czekała w samochodzie na zewnątrz. Agenci ją zatrzymali.

Leona Goodman opowiedziała FBI historię, która miała okazać się jedną z najistotniejszych, jakie Biuro słyszało w tym roku. Zznała, że pracuje dla człowieka, którego zna jako pana Stevensa; agenci mieli później ustalić, że „pan Stevens” zlecał pani Goodman sprzątanie domów wielu poważnych przestępców, od Van Metera poprzez Franka Nasha po Harry’ego Sawyera. Tego ranka, powiedziała pani Goodman, pan Stevens zjawił się u niej w domu, dał jej klucz i poprosił, by dokładnie wysprzątała to mieszkanie. Nie czuła się najlepiej, poprosiła więc siostrę, by zrobiła to za nią. Obiecała spakować do jas-nobrazowej walizki trochę ubrań i zabrać do swojego domu. Pan Stevens miał po nie później przyjechać.

Agenci zabrali panią Goodman do biura, gdzie opróżnili jasnobrazową walizkę, a następnie wypchali ją stertami listów gończych. Inspektor Rorer zwrócił się do Eda Notesteena, agenta, który w Chicago, podczas ucieczki Verne’a Millera w Halloween dyżurował na stanowisku obserwacyjnym w małej kuchni, i kazał mu zabrać panią Goodman, walizkę oraz dwóch agentów do domu pani Goodman. Mieli tam zaczekać na tajemniczego „pana Stevensa”. Notesteen na odchodnym spytał Rorera, co zrobić, jeśli ten człowiek się zjawi. Jak później napisał w notatce na temat wydarzeń tego dnia, odpowiedź Rorera wydała mu się niezwykła: „Zastrzel go”.

Wczesnym popołudniem Notesteen i dwaj inni agenci zajęli stanowiska w wyblakłym drewnianym domu pani Goodman, stojącym przy cichej uliczce w *czarnej* dzielnicy. Ton jego notatek wyraźnie wskazuje, że Notesteenowi nie odpowiadało ani otoczenie, ani otrzymane rozkazy. Agent George Gross, który siedział w oknie z pistoletem maszynowym na kolanach, zauważył kilka podejrzanych samochodów przejeżdżających obok domu*[* George Gross pochodził z St. Louis i służył w FBI w latach 1930-35. Później został adwokatem. Zmarł w 1958 r.]. Notesteen zadzwonił do inspektora Rorera i poprosił o posiłki; chwilę później odetchnął na widok kilku aut z agentami, krążących po okolicznych ulicach. Podczas rozmowy telefonicznej wymownie poprosił Rorera o powtórzenie rozkazu. Wszystko zależało od tego, czy pani Goodman zidentyfikuje „pana Stevensa”, wyjaśnił Rorer i zakończył: „Jeśli powie: to ten, zabij go”⁶.

Popołudnie dłużyło się niemiłosiernie. Notesteen chodził z pokoju do pokoju. To było nie w porządku. Nie mieli bladego pojęcia, kim był „pan Stevens”. Mógł się okazać pracownikiem agencji nieruchomości czy Bóg raczy wiedzieć kim. A Notesteen miał rozkaz zastrzelić go bez ostrzeżenia. Raz po raz wypytywał panią Goodman, która siedziała w kuchni, czy na pewno rozpozna pana Stevensa. „Poznam, poznam” - zapewniała.

Minęły trzy godziny. Wreszcie, około wpół do szóstej, agent Gross zobaczył zwalnającego zielonego sedana terraplane.

- Samochód - powiedział. - Staje po drugiej stronie ulicy.

Z auta wyskoczył człowiek w płaszczu i w paru susach znalazł się przy drzwiach kuchennych. Widząc go, pani Goodman wystawiła walizkę na zewnątrz i bez słowa zatrzęsła mu drzwi przed nosem.

Agent Notesteen wpadł do kuchni.

- To on? - spytał.

- Tak - odparła pani Goodman. - To człowiek, który był tu rano, ten od tamtego mieszkania.

- Ognia! - krzyknął Notesteen do agenta Grossa. Rozbrzmiała seria z pistoletu maszynowego i brzęk tłuczonego szkła. Po chwili Notesteen podszedł do okna. Na chodniku leżał mężczyzna z walizką. Ku zaskoczeniu Notesteena, pochylała się nad nim szlochająca kobieta.

- Jest pani pewna, że to ten człowiek? - spytał panią Goodman, która wybuchnęła histerycznym płaczem.

- Tak - wykrztusiła. - To on.

.. Notesteen zatelefonował do inspektora Rorera i powiadomił go, co się stało. Następnie wypadł na zewnątrz, gdzie zobaczył agentów podbiegających do leżącego na ziemi mężczyzny, który wyglądał jak martwy albo umierający. Nikt nie wiedział, kto to jest. Płacząca kobieta nie chciała nic powiedzieć. Nie był to Dillinger, to widać było na pierwszy rzut oka. Miał przy sobie prawo jazdy na nazwisko Clarence Leo Coulter. Było fałszywe. Następnego dnia FBI miało go zidentyfikować jako Eddiego Greena. Zapłakaną kobietą była jego żona Beth. Oboje wiedzieli, gdzie ukrywa się Dillinger.

Eddie Green jeszcze żył, kiedy sanitariusze wwieźli go do szpitala imienia Anckera w St. Paul. Majaczył. Przeniesiony do łóżka szpitalnego to tracił, to odzyskiwał przytomność, szamotał się i bełkotał bez ładu i składu. Kula weszła w jego potylicę przez rondo fedory, opisała półokrąg wokół czaszki i utkwiała nad prawym okiem. Lekarze orzekli, że ranny długo nie pociągnie. Dwaj agenci czuwali przy jego łóżku i notowali wszystko, co mówił.

Green całą noc wołał Jima; agenci później ustalili, że chodziło o jednego z jego braci. Pytał o jakiegoś Freda, potem o George'a i Lucy, by wreszcie poprosić: „Skarbie, cofnij wóz pod drzwi”. Przed świtem agenci zaczęli zasypywać Greena pytaniami o Dillingera. Większość jego odpowiedzi była niezrozumiała. W pewnym momencie powiedział: „Mam te klucze, które chciał”.

- Czyje klucze? - spytał jeden z agentów.

- Johna.

- Jakiego Johna?

- Dillingera.

Kiedy agenci próbowali z niego wyciągnąć, gdzie szukać Dillingera, nie udzielił żadnych sensownych odpowiedzi. W pewnej chwili jednak wspomniał o opłaconym przez siebie lekarzu. Agenci spytali, czy w Lincoln Court Apartments ktoś został ranny.

- Jack... w nogę - powiedział Green. Naciskali, by podał adres lekarza.

- Wabasha Street - odparł.

- Gdzie dokładnie na Wabasha Street? -980 czy jakoś tak.

Agenci sprawdzili to; adres Wabasha Street 980 nie istniał.

O świcie Green jeszcze żył. Co więcej, jego stan się stabilizował; za to jego wypowiedzi nadal stanowiły jeden wielki bełkot. O zmierzchu w środę 4 kwietnia wciąż mówił. Przybyła nowa zmiana agentów. W dążeniu do tego, by skierować bezładne monologi Greena na właściwe tory, postanowili przesłuchiwać go, podając się za lekarzy i członków gangu. Ku ich zaskoczeniu, ta tragikomiczna maskarada zaczęła się sprawdzać. W pewnej chwili agent Roy Noonan, w przebraniu lekarza, spytał Greena, czy zna mężczyznę, który prowadził zielonego fordą i strzelał do agenta Coultera*[* Roy T. „Stub” Noonan, pochodzący z Minnesoty, był znanym agentem FBI od 1928 r. do przejścia na emeryturę w 1954. W latach 1955-67 pełnił funkcję dyrektora Biura do Walki z Przystępnością w Minnesocie. Zmarł w 1981.].

- Doktorze, aleś pan ciekawski - powiedział Green. - Daj mi pan zastrzyk, żebym zasnął.

- Najpierw powiedz, kto siedział za kółkiem zielonego fordą - upierał się Noonan.

- Przecież wie pan równie dobrze jak ja.

- Nie, nie wiem.

- Po co panu to wiedzieć?

- Mam taki kaprys. To jak, Jack go prowadził? - Tak.

- Jack, a jak dalej?

- Przecież wie pan bez pytania.

- Nie, nie wiem. Kto to był?

- Dillinger - powiedział Green. - To jak, dostanę ten zastrzyk?

I tak w kółko. Krok po kroku agenci wyciągali z umierającego coraz więcej informacji. Przełom nastąpił o jedenastej tego wieczora, kiedy pewien agent podstępem skłonił Greena do podania adresu kryjówki Dillingera w Minneapolis: Park Avenue 635. W biurze FBI wszystkim skoczyła adrenalina. Agenci pospieszyli na Park Avenue, ale nigdzie

nie było numeru 635. Po kilku minutach zadzwonił agent czuwający przy łóżku Greena. Teraz Green twierdził, że właściwy adres to Park Avenue 1835, mieszkania 4. Ten adres już odnaleźli. Był to piętrowy dom z pokojami do wynajęcia w podupadłej okolicy, gdzie, jak później ustalili agenci FBI, lekarz Clayton May miał gabinet, w którym potajemnie wykonywał aborcje.

Zastępca dyrektora FBI, Hugh Clegg, przybyły tego dnia z Waszyngtonu, by kierować obławą na Dillingera, kazał wszystkim ludziom, których miał do dyspozycji, otoczyć budynek przy Park Avenue 1835. O północy wszystkie wyjścia były już obstawione. W środku panowała cisza. Światło paliło się tylko w jednym mieszkaniu na dole. Agent zapukał do jego drzwi i powiedział, że szuka kogoś, kto ostatnio wprowadził się do tego budynku. Lokator odparł, że wszyscy mieszkają tu co najmniej pół roku, pracują i większość ma dzieci. Agenci FBI uznali, że zabrnęli w ślepy zaułek. Clegg wrócił do biura, pozostawiając grupę agentów, by obserwowali budynek. O świcie przyjechała nowa zmiana. Spośród wchodzących i wychodzących nikt nie wyglądał znajomo. W mieszkaniu numer 4 nie działo się nic.

Wreszcie późnym popołudniem Clegg postanowił przeprowadzić nalot. Rozmieściwszy ludzi wokół budynku, podkraść się do drzwi mieszkania w asyście trzech agentów z pistoletami maszynowymi i zapukał. Jak później napisał w raporcie z akcji: „Zapukaliśmy i otworzył mężczyzna w wieku 45-50 lat; przystawiliśmy mu do brzucha lufy pistoletów, ale mimo polecenia nie podniósł rąk. Był wyraźnie rozbawiony. Jego żona była bardzo wzburzona i chciała zastrzelić agentów. Do strzelaniny nie doszło. W lokalu była mała dziewczynka”⁷.

Trafili do niewłaściwego mieszkania. Dopiero kilka dni później agenci mieli się dowiedzieć, że kryjówka Dillingera była piętro niżej. Nie miało to znaczenia. Dillinger opuścił budynek o osiemnastej poprzedniego wieczoru, mniej więcej pięć godzin przed tym, jak majaczący Eddie Green zdradził jego kryjówkę.

W ten poniedziałek Frank Hamer przyjechał do Dallas z Mannym Gaultem, przydzielonym do dochodzenia policjantem z drogówki. Trop Clyde’a się urwał, ale Hamer miał pewne przeczucie i następnego dnia wybrał się je sprawdzić wraz z ludźmi szeryfa z Dallas, Bobem Alcornem i Tedem Hintonem.

Z tego, co wydedukował, ilekroć w Dallas robiło się gorąco, Clyde uciekał na północ. We wtorek rano czterej tropiciele pojechali drogą 77 do Sherman i zaczęli pokazywać zdjęcia Bonnie i Clyde’a pracownikom stacji benzynowych. W środę po południu dotarli do Durant, stolicy okręgu w Oklahomie, gdzie oba auta ugrzęzły w korku. Wtedy to, jak twierdził Ted Hinton, Alcorn zauważył nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Ku ich zdumieniu byli w

nim Bonnie i Clyde.

- To oni! - krzyknął Alcorn.

Samochód Clyde'a przejechał tuż obok. Hinton wyciągnął broń, ale Alcorn potrząsnął głową. Był za duży ruch; dostali polecenie, by nie wszczynać strzelaniny w sytuacji, gdy mogłoby to zagrażać osobom postronnym. Hinton odprowadził wzrokiem wóz Clyde'a, zjechał na bok i zatrzymał Hamera. Oba samochody zdołały wydostać się z korka i ruszyć w pościg, ale do tego czasu Clyde zniknął bez śladu⁸.

W czwartkowe popołudnie 5 kwietnia Alcorn i Hinton skontaktowali się ze swoim biurem i dostali informację, że w drogerii w Texarkana widziano Bonnie. Czterej tropiciele pomknęli na południowy wschód. O zmroku byli już w Texarkana. Tam dowiedzieli się, że ktoś zauważył Clyde'a przy budce gastronomicznej siedem kilometrów na północ od miasta. Pod budką usłyszeli, że zbiegów widziano, gdy bez uiszczenia opłaty wjechali na płatny most, oddalony o piętnaście kilometrów na północ. Most prowadził do południowo-wschodniej Oklahomy.

Clyde jechał przez noc w strugach rzęsiwego deszczu, kierując się za Tulsa, w północno-wschodni kraniec stanu. Po północy za miastem o nazwie Commerce zjechał z drogi 66 na drogę gruntową i pół kilometra dalej zatrzymał się na noc. Było to odludne miejsce, ulokowane między dwiema kopalniami, dziesięć minut jazdy od granic z Kansas i Missouri. Bonnie i Clyde skulili się pod kocami na przednim siedzeniu. Henry Methvin spał z tyłu⁹.

Rano okazało się, że ich miejsce parkingowe zmieniło się w bajoro. Clyde wstał pierwszy, wyszedł na drogę i przeciągnął się. Zauważył go przejeżdżający tamtędy J.W. Cox, pośrednik w handlu bydłem. Clyde pomachał mu ręką. Po półgodzinie Cox wracał tą samą drogą. Widząc Clyde'a, pomyślał, że pewnie trzeba go będzie wziąć na hol, i zapisał numer rejestracyjny forda. U fryzjera w Commerce znalazł Percy'ego Boyda, szczupłego trzydziestosiedmiolatka, komendanta policji. Boyd w obawie, że w zaparkowanym wozie siedzi banda pijanych rozrabiaków - miał kilka takich zgłoszeń w ostatnich tygodniach - poprosił posterunkowego Cala Campbella, spokojnego sześćdziesięciolatka, by pojechał z nim to sprawdzić.

Kilka minut po dziewiątej dwaj policjanci zatrzymali się przed samochodem Clyde'a. Bonnie i Methwin jeszcze spali, ale Clyde na ich widok wskoczył za kierownicę forda i wrzucił wsteczny. Boyd i Campbell właśnie wysiedli, kiedy koła forda zakreśliły się w tył i wóz cofnął się po błotnistej drodze. Boyd rzucił się w pościg, ale dystans między nimi błyskawicznie się powiększał. Clyde przejechał zaledwie sto metrów, kiedy samochód zsunął

się do rowu i tylne koła ugrzęzły w błocie.

Boyd i Campbell pobiegli do swojego samochodu, a Clyde wyskoczył z forda z automatycznym browningiem w rękach.

- Uważaj, Percy! - krzyknął Campbell, gdy Clyde otworzył ogień. Może chciał ich odstraszyć. Policjanci odpowiedzieli ogniem. Clyde nie pozostał im dłużny. Boyd, draśnięty w głowę, upadł na ziemię zamroczony. W tym momencie obudził się Methvin. Złapał karabin, wygramolił się z samochodu drzwiami od strony pasażera, wymierzył w Campbella i strzelił mu w pierś. Campbell padł na kolana, na chwilę wstał, po czym zwałił się na plecy. Już nie żył.

- Dawaj ich tutaj - powiedział Clyde do Metłwina. Metłwin podszedł do Boyda, który leżał w błocie i jęczał.

- Wstawaj i chodź - rzucił Methvin.

Boyd wstał z podniesionymi rękami i prowadzony przez Metłwina pod lufą karabinu, podszedł do forda. We trzech próbowali wypchnąć samochód z błotnistej rowu. Na próżno. Clyde wziął karabin, stanął na drodze i zaczął zatrzymywać przejeżdżające auta. Zmusił kilku kierowców, by pomogli mu wyswobodzić wóz.

- Chłopaki - powiedział w pewnej chwili, mierząc do nich z karabinu-jeden porządny człowiek już zginął, a jeśli nie będziecie posłuszni, to samo spotka następnych.

Po dziesięciu minutach już kilkunastu mężczyzn wypychało i wyciągało wóz z błota, jednak bez skutku. Clyde zmusił kierowcę przejeżdżającej ciężarówki, by przyczepił łańcuch do zderzaka forda. Po chwili samochód był wolny. Clyde dał znak komendantowi Boydowi, by wsiadł na tył. Pojedzie z nimi.

Ruszyli na północ, wymykając się pościgowi, i przekroczyli granicę Kansas. Clyde nawiązał rozmowę z rannym Boydem; w pewnej chwili zatrzymał się, by obandażować mu ranę głowy. O zmroku przyjechali do sklepu w Fort Scott. Methvin pobiegł do środka i wrócił po kilku minutach z czterema talerzami jedzenia i wieczornym wydaniem gazety z nagłówkami krzyczącymi o strzelaninie.

- Przykro mi, że staruszek zginął - powiedział Clyde cicho. Potem zamilkł.

Zaraz na północ od Fort Scott wypuścili Boyda na poboczu. Clyde dał mu banknot dziesięciodolarowy i uścisnął jego dłoń.

- To na autobus. Pamiętaj, żeby iść do lekarza - powiedział.

- Bonnie, co mam powiedzieć prasie? - rzucił Boyd.

Bonnie myślała długo. Od dawna denerwowało ją, że gazety z Południowego Zachodu uparczywie przedrukowywały głośne zdjęcie, zrobione rok wcześniej w Joplin, do

którego pozowała z cygarem.

- Powiedz im, że nie palę cygar.

Dillinger opuścił St. Paul ledwie kilka godzin przed tym, jak FBI otoczyło jego kryjówkę. Z obandażowaną raną postrzałową lewej nogi pojechał z Billie na południe do Iowa, a stamtąd na wschód, przez Illinois do środkowej Indiany. Kilka godzin po nalocie agentów na budynek przy Park Avenue 1835 zatrzymał się na polu za farmą ojca pod Mooresville. Było tuż po północy w piątek, 6 kwietnia, niedługo przed tym, jak w Oklahomie Bonnie i Clyde wzięli Percy'ego Boyda na zakładnika.

O dziwo, farma Dillingerów wciąż nie była pod obserwacją FBI. Szef biura w Cincinnati, Earl Connelley, którego rewir obejmował środkową Indianę, dołączył do obławy na Dillingera dopiero w tym tygodniu, po otrzymaniu dyrektywy Hoovera. Noszący cienki wąsik Connelley, jeden z najlepszych śledczych Biura, był weteranem pierwszej wojny światowej; wstąpił do Biura w 1920 roku i pracował ramię w ramię z Hooverem podczas akcji w latach dwudziestych. Od 1927 roku kierował biurami w terenie - w Seattle, St. Louis i Nowym Jorku - a przed rokiem stanął na czele biura w Cincinnati. Ludzie Connelleya rozjechali się już po Ohio i Kentucky, gdzie sprawdzali dziesiątki tropów. Nie miał jednak dość agentów do prowadzenia obserwacji. Od dawna prosił o przysłanie dodatkowych.

Dwudziestoletni Hubert Dillinger nie wiedział nic o powrocie brata przyrodniego aż do chwili, kiedy w piątek rano wszedł do domu swojego ojca. Dillinger wyskoczył wówczas zza drzwi, wymierzył do niego palec i powiedział: „Ręce do góry!”. Były uściski i wiele radości; i Hubert, i jego ojciec cieszyli się ze spotkania. Dillinger przedstawił Billie jako swoją świeżo poślubioną małżonkę, „Annę”, i sprawiał wrażenie, jakby bardzo zależało mu na tym, by ich przekonać, że są małżeństwem; powtórzył to kilka razy. Swojego hudsona zostawił w stodole; po śniadaniu Hubert poszedł tam, pomógł mu zdjąć opony, wyczyścić je i pomalować na czarno¹⁰.

Kiedy zapadł zmrok, Dillinger oświadczył, że muszą z Hubertem gdzieś wyskoczyć. Wróć przed świtem, zapewnił Billie. Hubert wśliznął się za kierownicę hudsona i razem pojechali na wschód, przez Indianę do Ohio. Po drodze Dillinger szczegółowo opisał swoje ucieczki z Crown Point i St. Paul. Na pytanie Huberta, czy zaskoczyło go zachowanie Herberta Youngblooda w Crown Point, Dillinger westchnął i powiedział: „Wiesz, jakie są czarnuchy”¹¹.

Około północy dotarli na farmę rodziców Pete'a Pierponta, pod miasteczkiem Liepsic. Hubert został w samochodzie, a Dillinger pobiegł do domu i dał Pierpontom trochę pieniędzy na opłaty sądowe. Zostali tam zaledwie kwadrans. W drodze powrotnej do Mooresville

Dillinger zasnął. Około trzeciej nad ranem, kiedy mijali Noblesville, na wschód od Indianapolis, zasnął też Hubert. Hudson otarł się o pikapa z ładunkiem chrzanu, wypadł z szosy, przebił ogrodzenie i wreszcie znieruchomiał w zagajniku. Był rozbity, ale żadnemu z Dillingerów nic się nie stało. Pikap z chrzanem został zdemolowany. Jego kierowca, Joe Manning, dokuśtykał do samochodu Dillingera w porę, by zobaczyć, jak Dillinger zdejmuje przednie i tylne tablice rejestracyjne; Hubert zbył Manninga machnięciem ręki i powiedział, że nic im się nie stało.

Dillinger wyjął z hudsona pistolet maszynowy, zawinął go w koc, po czym ruszyli z Hubertem przez pola. Jakies pięć kilometrów dalej doszli do drogi. Dillinger powiedział Hubertowi, by zabrał się okazją do Indianapolis, zdobył samochód i przyjechał po niego. On sam zaczeka schowany w stogu siana.

Kiedy na miejscu wypadku zjawił się patrol drogówki, obaj Dillingerowie byli już daleko. W ich samochodzie znaleziono jednak magazynek do pistoletu automatycznego. Wzbudziło to podejrzenia policjantów, którzy po powrocie na posterunek zadzwonili do Marta Leacha. Tak się akurat składało, że w gabinecie Leacha byli dwaj agenci FBI. Wszyscy razem pojechali obejrzeć wrak. Numer silnika samochodu przekazano do Cincinnati, które skonsultowało się z St. Paul. Ku zaskoczeniu niemal wszystkich w FBI - panowało przekonanie, że Dillinger wciąż jest w Minnesocie - numer był zgodny z numerem silnika samochodu zakupionego dwa tygodnie wcześniej przez „Carla Hellmana”¹². Leach kazał zablokować drogi w całej środkowej Indianie.

Uwaga FBI nagle zogniskowała się na Indianapolis. Earl Connelley umieścił sztab operacji w hotelu Spink Arms. Poprosił Hoovera o dosłanie dziesięciu ludzi i przez cały ten weekend agenci przybywali na lotnisko w Indianapolis, skąd pojedynczo i dwójkami dojeżdżali do sztabu Conelleya. Agenci FBI poraż pierwszy na poważnie zainteresowali się rodziną

Dillingera. Do sobotniego popołudnia Connelley i jego ludzie zlokalizowali domy Johna Dillingera seniora i Audrey Hancock, siostry Dillingera, a także stację benzynową w Indianapolis, na której pracował Hubert. Do czasu ustanowienia stałych posterunków Connelley wytyczył trasę, którą agenci mieli patrolować, przebiegającą obok wszystkich tych miejsc.

W tę samą sobotę, gdy agenci FBI ściągali do Indiany, Hubert wrócił na farmę z Dillingerem, który spędził kilka pełnych napięcia godzin w kłującym sianie. Jeśli obawiał się, że FBI wie o jego powrocie do Indiany, nie dawał tego po sobie poznać. Położył się na kanapie w salonie, by dać odpocząć rannej nodze, z pistoletem maszynowym schowanym pod

kocem. Potrzebował nowego samochodu. Około dziesiątej dał Hubertowi trochę pieniędzy i wysłał go z Billie do Indianapolis, żeby jakiś kupili. Wybrali nowego fordą za 722 dolary i zostawili go w garażu w Mooresville.

Mooresville, Indiana 8 kwietnia, niedziela

Dillinger leżał na kanapie w salonie i zaśmiewając się do rozpuku, czytał o swoich wyczynach w zachowanych przez ojca gazetach. Po porannym nabożeństwie zaczęli zjeżdżać członkowie rodziny. Pierwsza przybyła Audrey, ukochana siostra, która go wychowała, wraz z mężem, Emmettem, ich nastoletnimi córkami, półmiskiem smażonego kurczaka i trzema ciastami z kremem kokosowym, ulubionymi przysmakami jej brata. Dillinger wyszedł im na powitanie i wycalował się ze wszystkimi kobietami. Chwilę później przyjechali dwaj synowie Audrey, Norman i Fred Hancock.

Choć Dillingerowie nie byli z natury wylewni, na zjeździe rodzinnym panowała serdeczna atmosfera. Czuło się też jednak pewien smutek; nikt nie mówił tego głośno, lecz wszyscy zdawali sobie sprawę, że mogą widzieć „Johnniego” po raz ostatni. Audrey ulżyło, kiedy zobaczyła, że życie zbiega nie odmieniło jej brata. Wciąż miał ten sam niewymuszony uśmiech i sypał żartami jak z rękawa. Wszyscy bacznie przyglądali się Billie. Była cicha. Wydała się Audrey surowa. Pod makijażem rysowało się coś jakby blizna. Dillinger znów wspomniął, że są małżeństwem.

Ponieważ w pokoju były dzieci, z początku nie rozmawiali o jego wyczynach. Trzymali się tematów przyziemnych, takich jak wyjazd kuzyna do Teksasu w poszukiwaniu pracy czy praca Huberta na stacji benzynowej. Podczas gdy dorośli wymieniali się najnowszymi wieściami, ulubiona siostrzenica Dillingera, osiemnastoletnia Mary Hancock, zrobiła mu manicure; kiedy przypadkiem trąciła go w nogę, zauważyła, że się skrzywił. W pewnej chwili Emmett Hancock wziął Dillingera na stronę i spytał, co zaszło w Crown Point.

- Jeśli nic nie wiesz, nie możesz nic powiedzieć, mam rację? - zapytał Dillinger.

- Tak.

- Niech to będzie dla ciebie lekcja.

Dillinger bardziej otwarty był wobec Audrey. Szczegółowo opisał ucieczkę z Crown Point, naszkicował nawet mapkę, którą następnie spalił.

Usiedli na podwórzu za domem i zjedli kurczaka. Był piękny wiosenny dzień, niebo prawie bezchmurne. Po posiłku wszyscy razem poszli przez pola do lasu. Dillinger trzymał za rękę Mary.

- Chcesz wierzyć gazetom, twoja sprawa - powiedział jej - ale daję ci słowo, że nikogo

nie zabiłem i nigdy nie zabiję. - Uśmiechnął się. - W tym, co piszą, jest może pół ziarnka prawdy.

Wrócili i Dillinger pozował do zdjęć, błaznując z pistoletem maszynowym i drewnianym pistoletem z Crown Point. Kiedy na niebie pojawił się samolot - FBI później ustaliło, że ktoś ćwiczył akrobacje lotnicze - Dillinger schronił się w domu. Inni po raz pierwszy widzieli po nim, że był zaniepokojony. Atmosfera beztróskiego niedzielного pikniku ulotniła się bez śladu.

Dillinger był wyraźnie spięty. Co chwila wyglądał przez okno i obserwował samolot. Hubert i Fred Hancock zabrali dzieci na podwórko, żeby puszczać latawiec. Nieco później, około trzeciej, do salonu weszła Mary Hancock i powiedziała: „Jest tam samochód z dwoma facetami, wygląda podejrzanie”. Widząc, że tajemniczy samolot wciąż krąży po niebie, a drogą przed domem przeciąga sznur aut, Dillinger oznajmił, że na niego już czas. Wysłał Huberta z Fredem Hancockiem po kupionego dzień wcześniej ford.

Godz. 15.00

Podczas gdy Dillinger relaksował się na łonie rodziny, farmę mijal sznur aut jadących dwupasmową asfaltową drogą 267. W wielu z nich byli szukający sensacji niedzielni kierowcy z Indianapolis, którzy wyciągali szyje, by choć rzucić okiem na osławione domostwo Dillingerów.

Jak wynika z wewnętrznych pism FBI, załogę jednego z tych samochodów stanowili dwaj młodzi agenci. J.L. Geraghty i T.J. Donegan dopiero co przyjechali do Indiany. Donegan przybył z Cincinnati poprzedniego wieczoru. O drugiej w nocy zabrano go na błyskawiczny objazd okolicy, ale w ciemności niewiele zobaczył. Miał za sobą raptem dwie godziny snu i robił, co mógł, by nie zablądzić. Jego partner, Geraghty, był jeszcze bardziej zagubiony; przyjechał do Mooresville z Nowego Jorku tego ranka.

Kiedy około trzeciej mijali farmę Dillingerów, zauważyli, że przed domem stoją trzy auta: dwa sedany i chevy coupe, który odpowiadał opisowi samochodu Huberta. Dobrze się składało - mieli rozkaz odszukać Huberta i nie spuszczać go z oka. Trzy kilometry za farmą zawrócili. Przejeżdżając obok niej po raz drugi, dostrzegli przed domem grupkę dzieci i dwóch mężczyzn.

Po pewnym czasie zawrócili znowu, na próżno szukając miejsca, z którego można by obserwować podjazd przed domem. Kiedy mijali farmę Dillingerów po raz trzeci, zauważyli, że samochód Huberta zniknął. Wyruszyli na poszukiwania. Natknęli się na niego w Mooresville; jechał w przeciwnym kierunku, w stronę farmy. Przed nim był czarny ford.

Kilka przecznic dalej zawrócili i ruszyli z powrotem do gospodarstwa Dillingerów, bez pośpiechu, by nie budzić podejrzeń.

Hubert ich zobaczył i uznał za agentów FBI. Zostawił lincol-na na farmie i ostrzegł Dillingera, że są śledzeni. Umówił się z nim na wieczór, po czym odjechał swoim chevy z Fredem Hancockiem. Kiedy Donegan i Geraghty mijali dom po raz czwarty, dwóch młodych ludzi już tam nie było. Widząc, że wóz Huberta znowu zniknął, agenci się zaniepokoiili. Przyspieszyli w nadziei, że wyprzedzą go na drodze 267. Dotarli aż do miasteczka Plainfield, zanim dali za wygraną. Przypuszczając, że Hubert zjechał na jedną z bocznych dróg, zawrócili w stronę farmy Dillingerów.

Do tego czasu Dillinger zdążył już uknuć plan, jak wymknąć się z farmy. Początkowo zamierzał wyruszyć po zapadnięciu zmroku, ale pojawienie się samolotu i agentów FBI zmusiło go do szybkiego działania. Kazał wszystkim wyjechać w złożonej z trzech samochodów kolumnie. Audrey i jej mąż ruszyli przodem i skręcili w lewo, na Mooresville. Drugim autem jechał John Dillinger senior; on skręcił w prawo. Za kierownicą trzeciego, ostatniego wozu, nowego lincolna, usiadła Billie, miejsca obok niej zajęły dwie nastoletnie córki Audrey. Dillinger z pistoletem maszynowym położył się na podłodze z tyłu, naciągnął koc na głowę.

Nikt nie widział ich wyjazdu. Billie skręciła w prawo i przejechała kawałek w stronę Plainfield. Kiedy Dillinger uznał, że nic im nie grozi, kazał jej zatrzymać wóz. W tym samym momencie od południa nadjechali Donegan i Geraghty. Zobaczyli nowiutkiego lincolna zaparkowanego na poboczu i poznali, że to ten sam wóz, który widzieli wcześniej.

Zbliżając się, zauważyli, że w lincolnie są trzy kobiety i mężczyzna. Kiedy go mijali, mężczyzna wysiadł drzwiami od strony pasażera i obszedł samochód od tyłu. Obaj agenci dobrze mu się przyjrzeni. Wyglądał na jakieś 35 lat, miał około 175 cm wzrostu, był dobrze zbudowany, ubrany w szary letni garnitur i dopasowany do niego kapelusz.

Nie rozpoznali Dillingera.

Później przysięgali przełożonym, że to nie mógł być on. Mylili się. Dillinger obejrzał się przez lewe ramię i odprowadził ich wzrokiem. Tego wieczora, po spotkaniu z przyjaciółmi na poboczu drogi, pojechał z Billie do Chicago.

W następnym tygodniu lokalna prasa potwierdziła pogłoski o weekendowej wizycie Dillingera. Historia ta trafiła na pierwsze strony gazet w całym kraju. Wypytywana przez reporterów Audrey bez skrupowania opowiadała o serdecznym spotkaniu z bratem. Pojawiły się spekulacje, że w okolicy przebywali agenci FBI, ale Biuro pominęło je milczeniem. Dopiero dziś, po odtajnieniu dokumentów FBI, wyraźnie widać, jak bardzo FBI pokpiło

sprawę: dwaj agenci przejechali obok Dillingera w słoneczny wiosenny dzień i nie mieli bladego pojęcia, że to on.

Chicago, Illinois 9 kwietnia, poniedziałek

Następnego ranka Dillinger i Billie spali do późna. Leżąc w łóżku, rozmawiali o przyszłości. Dillinger był w świetnym humorze. Mówił o tym, żeby znaleźć cichy zakątek, może gdzieś na wsi, w którym mogliby osiąść i żyć jak normalni ludzie. Billie spodobał się ten pomysł. Dillinger powiedział, że chce zrobić sobie operację plastyczną twarzy. W tych czasach lekarze potrafili zmienić człowieka nie do poznania, tłumaczył.

Kiedy około południa wreszcie dotarli do Chicago, zadzwonił do współpracownika Piquetta, Arta O'Leary'ego. O'Leary, któremu ufał, w najbliższych tygodniach miał się stać jego głównym łącznikiem. Spotkali się o piętnastej na rogu Sacramento i Augusta, po czym wybrali się na przejażdżkę po okolicznych ulicach, podczas której Dillinger opowiadał o tym, co wydarzyło się w St. Paul i Mooresville.

- A propos, może Piquett zna jakiegoś lekarza, który robi operacje plastyczne? - spytał w pewnym momencie. Nazwisko adwokata wymówił „Piklat”, jak to mu się czasem zdarzało.

- Czemu pytasz?

- Bo chciałbym, żeby się mną zajął. Chcę żyć jak inni. Billie i ja chcielibyśmy wziąć ślub i gdzieś zamieszkać na stałe¹³.

O'Leary obiecał, że spyta Piquetta o chirurga plastycznego. Po spotkaniu Dillinger pojechał do U Tavern na State Street. Billie weszła do środka i porozmawiała z jednym z byłych chłopaków Opal Long, Larrym Strongiem. Może znał jakieś miejsce, gdzie mogłyby się zatrzymać? Strong powiedział, że spróbuje coś znaleźć, i umówili się na ósmą w barze Tumbie Inn. Billie nie wiedziała jednego: Strong był już przesłuchiwany przez FBI. Kiedy wyszła, on - albo ktoś, z kim rozmawiał - podszedł do telefonu i zadzwonił do Melvina Purvisa[* W archiwach FBI zachowała się notatka służbowa, która jednoznacznie stwierdza, że informatorem tego dnia nie był Larry Strong. Albo powstała po to, by kryć Stronga, albo Strong rozmawiał z kimś, być może swoim bratem, kto później zgłosił się na FBI.].

Tumbie Inn godz. 20.00

Kilka minut po ósmej Purvis przecisnął się przez drzwi pogrążonego w półmroku, obskurnego szynku. Ubrał się niechlujnie, stosownie do okazji. Lany Strong siedział przy barze, podpity, zajęty rozmową z barmanem w średnim wieku. Oprócz nich w sali byli tylko starszy mężczyzna i chłopiec. Purvis usiadł przy kontuarze i wdał się w towarzyską

pogawędkę ze Strongiem i barmanem. Żaden z nich go nie rozpoznał. Po kilku minutach do knajpy wszedł zataczający się muzyk i Strong poprosił go, by zagrał coś na pianinie. Pianina nie było. Taki to był lokal.

Na ulicach wokół baru czyhało kilkunastu agentów. Około wpół do dziewiątej Dillinger nadjechał Austin Street i zatrzymał forda przy krawężniku obok szynku. Samochód zauważył stojący w głębi przecznicy agent James J. Metcalfe. Cichy, drobnej budowy, urodzony w Niemczech i wychowany w Teksasie, Metcalfe był jednym z nielicznych członków grupy agentów nazwanej później Brygadą Dillinger, którzy zdobyli rozgłos po zakończeniu służby w FBI. Po odejściu z Biura został najpierw dziennikarzem, a potem poetą, jego sentymentalne wiersze publikowano w gazetach w całym kraju.

Niestety, Metcalfe był dużo lepszym poetą niż agentem FBI. Obserwując samochód w gęstniejącym zmroku, nie mógł dostrzec rysów twarzy kierowcy. Kiedy zobaczył wysiadającą kobietę, stwierdził, że musi przyjrzeć się jej towarzyszowi z bliska. Billie zniknęła w Tumbie Inn, a Metcalfe niespiesznie przeszedł obok zaparkowanego wozu. Za kierownicą siedział Dillinger z thompsonem na kolanach. Metcalfe minął go w odległości nie większej niż półtora metra.

Tymczasem Purvis zauważył wchodzącą Billie. Stała przy barze między nim a pijanym Lanym Strongiem. Purvis zaproponował, by usiadła na stołku, ale potrząsnęła przecząco głową zamówiła piwo i nachyliła się do Stronga, by z nim porozmawiać. Purvis wyteżył słuch, usiłując dosłyszeć, co do siebie szepczą. Na próżno. Po minucie wyszedł na zewnątrz i widząc jednego ze swoich ludzi, skinął mu głową. Agent Ralph Brown wyjął spod płaszcza pistolet maszynowy i wpadł do środka. Za nim wbiegła reszta agentów. Po kilku sekundach Billie i Strong zostali aresztowani.

O dziwo, wszyscy zapomnieli o mężczyźnie w samochodzie zaparkowanym na zewnątrz. Purvis, z powodów, które przemilczał w sporządzonych po fakcie raportach, wziął ze sobą dwóch agentów i przeszukali piwnicę szynku. Dopiero po powrocie na górę wpadł na to, by spytać, czym Billie przyjechała. Samochodem, odparł ktoś. Kilku agentów wybiegło na zewnątrz, ale Dillinger już zniknął, po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Kilka dni później, gdy Billie przywieziono do sądu na formalne odczytanie zarzutów, w obecności reporterów otwarcie szydziła z FBI, twierdząc, że gdy ją aresztowano, Dillinger był w Tumbie Inn. „Nie będę takich bzdur komentował” - odpowiadał Purvis. Dillingera oczywiście nie było w barze, ale Purvis poniewczasie zrozumiał, że właśnie on siedział w zaparkowanym samochodzie. Notatki na ten temat, sporządzone przez uczestniczących w akcji agentów, były małymi arcydziełami sztuki apologii. Dwaj zaręczali, że widzieli

kierowcę auta i że na pewno nie był to Dillinger. Agent Metcalfe, który przeszedł tuż obok samochodu, napisał, że nie mógł wyraźnie zobaczyć, co było w środku, „ponieważ samochód stał przy nietypowo wysokim krawężniku, więc aby zajrzeć do środka, należałoby się bardzo nisko pochylić”¹⁴.

Tego wieczoru Dillinger zadzwonił do Arta O’Leary’ego.

- Federalni zgarnęli Billie - powiedział.

- Jak to się stało?

- Siedziałem w samochodzie za rogiem. Było ich za dużo, żeby móc ją odbić. To przez tego szczura, Larry’ego Stronga. Gdzie pan Piątt? Nadal w Waszyngtonie?

- Tak - powiedział O’Leary.

- Dzwon do niego. Niech spróbuje załatwić nakaz zwolnienia¹⁵. Billie Frechette przewieziono w kajdankach do Bankers Building.

Agenci posadzili ją na krześle w sali konferencyjnej, podjasno świecącą lampą. Przez całą tę noc i część następnego dnia bombardowali ją pytaniami. Nie chciała nic powiedzieć o Dillingerze. Błagała, by dali jej się przespać, jednak odmówili. W pewnej chwili sekretarka Purvisa, Doris Rogers, zaniósła jej kanapkę i wyszła zbulwersowana. Siedemdziesiąt lat później wciąż pamięta, co zrobiła potem. „Jak wyszłam - wspomina - wróciłam do Melvina i powiedziałam: »To nieludzkie«,».

- Co według ciebie powinniśmy zrobić? - spytał Purvis.

- Dajcie jej pospać.

- Gdzie?

- Zabiorę ją do damskiej ubikacji.

Za zgodą Purvisa Rogers wróciła do sali konferencyjnej i zaprosiła Frechette do ubikacji.

- Nie mogę - powiedziała Frechette. - Nie puszczą mnie.

- Chodź - przekonywała Rogers.

W damskiej ubikacji stała skórzana sofa. Rogers nalała Frechette szklankę wody i kazała jej się położyć. Billie zasnęła. Rogers obudziła ją po godzinie. Frechette błagała, by nie prowadzono jej z powrotem do sali konferencyjnej. Obiecywała, że powie Rogers wszystko. Rogers jednak nie miała wyboru. Frechette wróciła pod prażące światła.

„Te kobiety to były takie bidulki - wspomina Rogers. - Wszyscy wokół byli splukani, a one zadawały się z tymi typami, bo nie miały co do ust włożyć. Wszystkie miały jedno czy dwoje dzieci i były podle traktowane. Mówię wam, podczas Wielkiego Kryzysu w Ameryce było strasznie”.

Gdy agenci FBI rozjeżdżali się po środkowej Indianie w pościgu za Dillingerem, w biurze w St. Paul zastępca dyrektora Hugh Clegg przysunął sobie krzesło i zaczął rozmawiać z żoną Eddiego Greena, Beth. W gazetach z Minneapolis i St. Paul roiło się już od plotek o tajemniczej rudowłosej kobiecie schwytej przez FBI, ale ku konsternacji Clegga, Beth Green milczała. Przynajmniej z początku.

Ciekawa była z nich para. Clegg miał 35 lat, ale wyglądał na więcej; niewysoki, pulchny, był prowincjonalnym adwokatem z Missisipi stojącym u progu długiej, wspaniałej kariery. Wyszkolono go na agenta, ale znacznie lepiej sprawdzał się w roli biurokraty; Hoover puszczał jego raporty kontrolne w obieg po Biurze, stawiając je za wzór. Clegg był modelowym przedstawicielem potakiwaczy, którzy otaczali Hoovera w późniejszych latach. Wielbił Hoovera, mówił o nim „mój bohater”; Hoover z kolei cenił Clegga za jego niezachwianą lojalność i typową dla mieszkańców Południa swobodę, z jaką obracał się w waszyngtońskich wyższych sferach. Awans na zastępcę dyrektora dostał po tym, jak Hoover przeczytał entuzjastyczne listy od wiceprezydenta, któremu Clegg rok wcześniej towarzyszył w podróży na Zachodnie Wybrzeże.

Czterdzieści pięć lat później Clegg wspominał Beth Green jako jedyną przedstawicielkę świata przestępczego, którą polubił. Odbyli ze sobą kilka długich rozmów, Green jednak nie chciała nic powiedzieć o Dillingerze. Wreszcie we wtorek 10 kwietnia Eddie Green zapadł w śpiączkę; umarł następnego popołudnia, tydzień po tym, jak został postrzelony. Na wieść o tym Beth Green zaczęła mówić Cleggowi wszystko, co wiedziała*[* Tak jak została przedstawiona w dokumentach FBI, śmierć Eddiego Greena była egzekucją. Oficjalnie podano dziennikarzom, że Green został postrzelony, ponieważ wykonał „groźny gest”. Wszyscy agenci obecni na miejscu zdarzenia użyli w swoich raportach tego samego sformułowania: „groźny gest”. Niektórzy uściślili, że Green odwrócił się, jakby zamierzał strzelać, albo że wsunął rękę do kieszeni, jakby sięgał po broń. Żadnej broni nie było. W swoim raporcie Hugh Clegg powoływał się nawet na dręczonego rozterkami agenta Notesteena, który miał zobaczyć ów „groźny gest”. Notesteen jednak w swoim raporcie jednoznacznie stwierdza, że Greena w ogóle nie widział. Wyraźnie zaznacza, że kazał otworzyć ogień wyłącznie na podstawie identyfikacji podejrzanego dokonanej przez panią Goodman. Kluczowe słowa padły wiele godzin wcześniej z ust inspektora Rorera: „Zabij go”]. Nazwiska i adresy popłynęły wartkim strumieniem z jej ust. To od Green FBI po raz pierwszy usłyszało nazwiska członków gangu Dillingera: Van Metera, Tommy’ego Carrolla, mężczyzny znanego jako „Red” - wyjaśniła, że to John Hamilton - i bezwzględnego dwudziestoczterolatka, George’a Baby Face Nelsona, o którym Green powiedziała: „To

jeszcze dziecko”.

Jednak Beth Green miała informacje nie tylko o Dillingerze. Eddie Green robił interesy z Barkerami i jego żona znała wszystkich także w tym gangu. Szybko uzupełniła spore luki w wiedzy FBI o jego strukturze. Podała nazwiska wszystkich członków gangu i ich dziewczyn, w tym nastoletniej ukochanej Karpisa, Delores Delaney, którą opisała jako „biedne, głupiutkie kurczątko”. Agenci dopiero teraz się dowiedzieli, jaką rolę w przestępczej sieci oplatającej St. Paul odgrywał Harry Sawyer, i że to on wystawił Bremera. Green zdradziła, że lokal Louisa Cernocky’ego pod Chicago służył obu gangom za punkt kontaktowy.

Przynajmniej z początku encyklopedyczna wiedza Beth Green na niewiele się Biuru zdała, po części dlatego, że Hoover miał za mało ludzi, by sprawdzić wszystkie wskazane tropy. Zasoby Biura były na wyczerpaniu, jak zauważył Pop Nathan w rozmowie telefonicznej z Hooverem w tym samym tygodniu. Hoover nie miał innego wyboru, jak tylko zdać się na Melvina Purvisa.

„Cóż, synu, trzymaj się dzielnie i dorwij mi Dillingera - polecił Purvisowi w odręcznie napisanym liście - a świat stanie przed tobą otworem”.

Rozkaz wydany przez Rorera prawdopodobnie był skutkiem presji ze strony opinii publicznej i rozpowszechnionej w Biurze żądzy odwetu, podsycanej przez brak snu, nerwy i brak doświadczenia. Mimo to wysocy rangą funkcjonariusze FBI świetnie zdawali sobie sprawę, że śmierć Greena może im poważnie zaszkodzić. Kiedy reporter Tommy Thompson przekonał lokalny zakład medycyny sądowej, by przeprowadził własne dochodzenie, Biuro szybko zajęło się ratowaniem własnej skóry. Jeśli ktoś spyta, zapowiedział Hooverowi Clegg, on odmówi podania nazwiska agenta, który postrzelił Greena, i wszelkich świadków; gdyby to zrobił, zostaliby wezwani do sądu, stwierdził, a to byłoby „niepożądane”. Tak się jednak składa, dodał Clegg, że Thompson zadłużył się u ludzi z półświatka: „W razie potrzeby można by wyrzucić naciski w celu wstrzymania wszelkich nieprzychylnych publikacji, jakie mogłyby wyjść spod jego pióra”. W końcu się okazało, że FBI martwiło się niepotrzebnie; lekarz sądowy orzekł, że zabójstwo było uzasadnione.

ŚMIERĆ W LEŚIE

10-23 kwietnia 1934

Aresztowanie Billie Frechette było dla Dillingera druzgocącym ciosem. W następnych dniach łamał sobie głowę nad tym, jak ją uratować. W Bankers Building była zbyt dobrze

strzeżona - to wiedział - ale według gazet wkrótce miała zostać przewieziona do St. Paul, by tam stanąć przed sądem pod zarzutem ukrywania przestępcy. Postanowił spróbować odbić japo drodze. Na pewno nie obeszloby się bez strzelaniny, potrzebował więc kamizelek kuloodpornych.

Tej samej nocy, kiedy Billie została aresztowana, wszedł tylnymi drzwiami do szynku Louisa Cernocky'ego w Fox River Grove. Cernocky upiekł mu stek na ruszcie i dał butelkę whisky; Dillinger zabrał to wszystko do sypialni w piwnicy. Cernocky - jak to było uzgodnione - pośredniczył w kontaktach między członkami gangu i już nazajutrz przyjechali Nelsonowie, którzy przywieźli ze sobą spotkanych w St. Paul Tommy'ego Carrolla i jego dziewczynę. Następnego wieczora, w środę 11 kwietnia, do towarzystwa dołączyli Van Meter i Hamilton, z którymi zabrała się Pat Cherrington*[* Po strzelaninie w St. Paul we trójkę ukryli się na farmie Harry'ego Sawyera. Stamtąd pojechali do Tennessee, gdzie wynajęli pokoje w motelu pod Nashville. Pewnego ranka Van Meter i Hamilton wrócili z zakupów w wielkim pośpiechu. Jak Cherrington później zeznała FBI, Van Meter opowiadał, że stali z Hamiltonem przed drogerią w Nashville i pili coca-colę, kiedy zauważyli dwóch wałęsających się nastolatków, którzy sprawili na nich wrażenie, jakby zamierzali obrabować sklep. Zostali więc, żeby popatrzeć, mówił Van Meter, gdy nagle podszedł do nich mundurowy policjant, który spytał ich o nazwiska. Wtedy Van Meter - jak twierdził - wyjął pistolet maszynowy i warknął: „Tu masz dokumenty”. Policjant uciekł, potykając się o własne nogi.

FBI później odnalazło należące do Van Metera i Hamiltona ubrania z metkami ze sklepu w Nashville, co zdaje się potwierdzać zeznania Cherrington.]. Nikt nie odniósł się entuzjastycznie do pomysłu Dillingera, by odbić Billie, ale Van Meter wiedział, skąd wziąć kamizelki kuloodporne.

O 1.15 w nocy z czwartku na piątek pięćdziesięcioletni policjant Judd Pittenger stał na rogu ulicznym w centrum Warsaw w stanie Indiana, czterdzieści pięć kilometrów na zachód od Fort Wayne. Warsaw była sennym miasteczkiem i Pittenger, pełniący nocną służbę, leniwie patrolował swój rewir; jedynym urozmaiceniem conocnej rutyny byli pojawiający się sporadycznie wandalcy czy inne podejrzan typki. Tym razem jednak, gdy odwrócił się na dźwięk kroków, zobaczył dwóch mężczyzn w prochowcach, którzy mierzyli do niego z pistoletów maszynowych. Później zeznał, że w jednym rozpoznał Dillingera; drugim był Van Meter.

- Potrzebne nam wasze kamizelki - stwierdził Dillinger - i to nie żart. Pittenger chwycił jego pistolet za lufę; po krótkiej szamotaninie Van

Meter wcisnął mu thompsona w plecy.

- Puść - powiedział Dillinger. - Nie chcemy cię zabić.

Van Meter wyszarpnął pistolet Pittengera z kabury i rąbnął go nim dwa razy w głowę.

- Nie bij! - krzyknął Pittenger.

- Zostaw go - rzucił Dillinger do Van Metera i kazał Pittengerowi zaprowadzić ich na komisariat. Chcieli dostać się do schowka z bronią.

- Nie mam klucza - powiedział Pittenger.

- A kto go ma? - spytał Dillinger. - Nie wiem.

- Nie bądź głupi. Nie zmuszaj nas, żebyśmy cię zabili.

- Nie zabijajcie mnie - błagał Pittenger. - Mam dwójkę dzieci.

- Właśnie dlatego wolelibyśmy cię nie zabić - rzekł Dillinger. Pittenger westchnął, wyjął klucz z kieszeni i im oddał. W opuszczonym komisariacie weszli po schodach do schowka z bronią. Van Meter trzymał Pittengera na muszce, a Dillinger wyjął trzy kamizelki kuloodporne i dwa pistolety'.

Po kilku godzinach Matt Leach kazał zablokować drogi w całej północnej Indianie. Ochotnicy pozrywali się z łóżek, by obsadzić blokady. Wszystko na nic. O świcie Dillinger był już bezpiecznie z powrotem w Chicago, gdzie wieczorne wydania gazet donosiły, że Billie w każdej chwili może zostać przewieziona do St. Paul*[* Możliwe, że Dillinger wrócił do Chicago przez Louisville w stanie Kentucky. Tej soboty, dzień po napadzie w Warsaw, pewien lekarz z Louisville zgłosił, że zwrócił się do niego nieznajomy, który prosił o pomoc w związku z raną nogi; na zdjęciach rozpoznał Dillingera. Earl Connelley, który właśnie sprawdzał sygnał od informatora o pobycie Dillingera w tej okolicy, wziął gabinet lekarza pod obserwację; gdy jednak o sprawie napisała lokalna prasa, zrezygnował. Historię o wizycie Dillingera w Louisville w pewnym stopniu uwiarygodniła Pat Cherrington, która zeznała FBI, że w tamtą sobotę, 14 kwietnia, ona i Hamilton spotkali się z Dillingerem w niezidentyfikowanym „ośrodku wypoczynkowym” w Kentucky. Jeśli Dillinger rzeczywiście był w Louisville, tego popołudnia już wrócił do Chicago, gdzie spotkał się z Artem O’Learym.

Zamknięta w sali konferencyjnej FBI na osiemnastym piętrze, skąpana w gorącym blasku światła i przesłuchiwana bez przerwy przez dwa długie dni, Billie nie dała Purvisowi nic, dlatego też z ulgą wysłał ją na proces do St. Paul. W Indianapolis Earlowi Connelleyowi nie lepiej się wiodło z rodziną Dillingera. Zatrzymał i próbował zastraszyć Huberta Dillingera i kilku jego kuzynów, ale wyglądało na to, że żaden nie wiedział, gdzie Dillinger się ukrywa. Jeden z nich, Fred Hancock, usłużnie zasugerował, by poszukali w Arizonie.]

Jak stwierdził Purvis, potrzebowali lepszych informatorów. Ci, których mieli,

dostarczali wielu informacji; niestety, prawie wszystkie były bezwartościowe. Szef biura w Detroit, Bill Larson, przez cały ten tydzień brał w obroty pewnego gadatliwego kapusia z Muncie. Bazując na uzyskanych od niego informacjach, Purvis rozesłał ludzi do Muncie, Fort Wayne, Elkhorn i South Bend; żadna się nie potwierdziła. Informator Earla Connelleya, Art Maginnis, były donosiciel na usługach firm ubezpieczeniowych, dostał polecenie, by obserwować stację benzynową Dillingera, ale wskazywane przez niego tropy nie były lepsze. W piątkową noc, gdy Dillinger okradał komisariat w Warsaw, Connelley za sprawą Maginnisa daremnie stał na czatach w Louisville w stanie Kentucky. Purvis skontaktował się z Waszyngtonem i zasugerował, by zaoferowali 5000 dolarów nagrody za informacje, które doprowadzą do schwytania Dillingera. Hoover odrzucił ten pomysł.

Napad w Warsaw powiedział Purvisowi, że Dillinger wciąż jest blisko; szanse, że bez Billie znów zrobi sobie wakacje na Florydzie albo w Arizonie, wydawały się nikłe. W ten weekend Purvis pojechał do South Bend, a następnie do Muncie, gdzie sprawdzał kolejne tropy wiodące donikąd. W następny poniedziałek, 16 kwietnia, Hoover był coraz bardziej zniecierpliwiony. Agenci rozjeżdżali się po kraju bez planu, bez dyscypliny. Stwierdził, że potrzebują uporządkowanego systemu analizy informacji. Tej środy powiedział Purvisowi, by przestał pałętać się po Indianie i został w Chicago. Connelley i inni SAC mieli od tej pory konsultować wszystkie informacje z Purvisem i dzwonić do niego przynajmniej raz dziennie. Już następnego ranka przysłała wiadomość, że Dillingera widziano w Sault St. Marie.

Podczas gdy Purvis, Connelley i ich ludzie gorączkowo szukali Dillingera w Indianie i północnym Kentucky, a on nie ruszał się z Chicago. Deszcz kropił tej soboty, nazajutrz po napadzie w Warsaw, kiedy Art O'Leary poszedł na spotkanie na róg Belden i Campbell Avenue. Widząc Dillingera po drugiej stronie ulicy, uchylił kapelusza na znak, że nikt go nie śledził. Kiedy Dillinger zrobił to samo, O'Leary podszedł i wsiadł do jego samochodu. Dillinger usiadł za kierownicą, z kapeluszem opuszczonym tak nisko, że zasłaniał mu twarz. Miejsca z tyłu zajmowali dwaj nieznani O'Leary'emu mężczyźni; przez ułamek sekundy bał się, że wpadł w pułapkę.

- Johnnie, to ty? - spytał.

- A któż by inny?

- Zdejmij kapelusz.

Dillinger ze śmiechem zdjął mokry kapelusz i przedstawił O'Leary'emu Johna Hamiltona. O'Leary uściskał jego dłoń, zauważając brak części palców. Dillinger nie raczył przedstawić Van Metera. Chciał się od O'Leary'ego dowiedzieć, jak Billie zostanie przewieziona do St. Paul. Powiedział, że zadzwoni w poniedziałek, by poznać szczegóły².

Nikt nie uważał pomysłu Dillingera, by odbić Billie, za rozsądny; i Van Meter, i Hamilton próbowali mu to wyperswadować. Zdecydowanie najmniej entuzjazmu wykazywali O'Leary i Louis Piquett. Uzgodnili między sobą, że nie zrobią nic, by ustalić szczegóły transportu Billie do St. Paul.

W poniedziałek o szesnastej zdenerwowany O'Leary spotkał się z Dillingerem na rogu North i Kedzie Avenue. (Dillinger zostawił zagadkową wiadomość telefoniczną: „32 zachód i 16 północ”, a O'Leary jądcyfrował). Pat Cherrington przesiadła się na tył, by wpuścić O'Leary'ego na przednie siedzenie; Hamilton był obok niej, z pistoletem maszynowym na kolanach, przykrytym kocem. Kiedy Dillinger wyraził rozczarowanie tym, że O'Leary przyszedł z pustymi rękami, ten zaczął go przekonywać, by zaufał sądom.

- Czy pan Piquett pojedzie do St. Paul i pomoże jej bronić? - spytał Dillinger.
- Będę musiał z nim najpierw pogadać, ale jestem pewien, że nie odmówi.
- W porządku, Art; daj mu te pięćset dolarów. - Dillinger wyciągnął zwitek banknotów. - Aha, dowiedziałeś się czegoś więcej o lekarzu robiącym operacje plastyczne?
- Tak. Lou mówi, że nazywa się Ralph Robiend.
- Wiesz, ile bierze?
- Będzie cię to kosztować pięć tysięcy.
- Pięć patoli? Sporo, nie sądzisz?
- Nie, kiedy wziąć pod uwagę, jak bardzo to niebezpieczne - powiedział O'Leary. - Do licha, jesteś najbardziej poszukiwanym człowiekiem w całych Stanach³.

Dillinger niechętnie przyjął do wiadomości fakt, że Billie jest poza jego zasięgiem; FBI wkrótce przewiozło ją do St. Paul; Piquett pojechał tam, by pomóc w jej obronie. Samotny, pozbawiony kobiety, którą chciał poślubić, Dillinger popadał w depresję. Byłby w jeszcze bardziej ponurym nastroju, gdyby wiedział, że FBI, w reakcji na anonimowe zgłoszenie, już szukało doktora Ralphi Robiendy.

Chandra Dillingera bledła w porównaniu z tym, jak przygnębiony był John Hamilton. Z każdym kolejnym dniem popadał w coraz większy fatalizm. Powtarzał, że niedługo umrze. Przy kilku okazjach wspominał, jak bardzo mu zależy, by przed śmiercią zobaczyć się z siostrą w rodzinnym Sault St. Marie. Dillinger próbował go od tego odwieść, ale Hamilton coraz bardziej chciał tam pojechać. Dillingerowi dane było pożegnać się z rodziną; dlaczego tego samego odmawiał jemu? Dillinger westchnął i zgodził się mu towarzyszyć.

We wtorek 17 kwietnia włożył jedną z nowych kamizelek kuloodpornych, wcisnął pistolet do kabury pod pachą i wsiadł do forda V-8. Wypatrując po bocznych drogach patroli drogówki, pojechał za Hamiltonem z Chicago do Indiany. W drodze na północ, do Michigan,

spędził cały dzień sam ze swoimi myślami. Obok niego, na miejscu, na którym zwykle mościła się Billie, leżała lornetka i termos zimnej wody; w skrzyniach na tylnym siedzeniu były ułożone w rzędach pistolety.

O zmroku dwa samochody zatrzymały się na stacji benzynowej pod Sault St. Marie, w najbardziej na północ wysuniętym krańcu Michigan. Kiedy pracownik napełniał bak, Dillinger stał na drobnym deszczu, z szarą fedorą nasuniętą na czoło, i obserwował każdy jego ruch. Źle zrobił, że tu przyjechał; to była głupota.

- Przebył pan szmat drogi - powiedział pracownik, zauważywszy tablice rejestracyjne z Minnesoty. - Czym się pan zajmuje?

- Sprzedaję ubrania - odparł Dillinger*[* Przesłuchiwany później przez agentów FBI pracownik stacji powiedział, że miał wrażenie, iż rozpoznał Dillingera, ale uznał, że to niemożliwe, więc nie zadzwonił po szeryfa.].

Po zapadnięciu zmroku pojechali do miasta. O wpół do dziewiątej trzydziestodziewięcioletnia siostra Hamiltona, Anna Steve, usłyszała pukanie do drzwi swojego drewnianego domu na szczycie stromego wzgórza przy Czternastej. Za progiem stała Pat Cherrington.

- Pani Steve? - spytała. Pani Steve skinęła głową. - Proszę się nie bać i nic nie mówić. Mam niespodziankę. Jest ze mną ktoś, kto chce się z panią zobaczyć.

Po chwili z ciemności wyłonił się Hamilton, z karabinem maszynowym zawiniętym w koc. Tuż za nim był Dillinger, z karabinem w rękach. Pani Steve rozplakała się na widok brata, którego nie widziała od siedmiu lat. Hamilton wziął ją w ramiona i powiedział, że nie mogą zostać długo. Ocierając łzy, pani Steve zaproponowała, że kupi steki na tę okazję, ale Dillinger potrząsnął głową i przekonał ją, by ugotowała to, co ma w domu. Pani Steve wygoniła trójkę dzieci na górę, przygotowała na kolację jajka na bekonie i tosty, i zjadła z gośćmi przy stole kuchennym, snując wspomnienia z lat dziecińczych Hamiltona. Potem obaj mężczyźni się ogolili. Pani Steve nożyczkami szybko przystrzygła im włosy⁴.

Po raz pierwszy od wielu tygodni Hamilton wydawał się szczęśliwy. Około dziesiątej drzwi kuchenne otworzyły się na oścież. Zaskoczeni Hamilton i Dillinger porwali karabiny ze stołu, jednak wszedł osiemnastoletni syn pani Steve, Charles Campbell.

- Charles, to Johnnie - powiedział Hamilton. Nie musiał nic dodawać. Wszyscy przenieśli się do salonu, gdzie młody Campbell bacznie przypatrywał się obu mężczyznom. Hamilton miał chrapliwy oddech; był to skutek starych ran. Dillinger, który wciąż utykał, pozostawał spięty. Siedział przy oknie i praktycznie się nie odzywał; na przemian czytał gazetę i wyglądał na zewnątrz. Po pewnym czasie Hamilton wysłał siostrzeńca po jednego ze

swoich kolegów z lat dzieciństwa, Paula Parquette, który przyszedł i osłupiał, kiedy znalazł się twarzą w twarz z najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju. To była niezręczna chwila, parodia spotkania po latach; nikt nie wiedział, co powiedzieć, więc Hamilton pokazał staremu kumplowi, jak działa jego karabin maszynowy. Dla Dillingera było tego już zdecydowanie zbyt wiele, więc około jedenastej wstał i oznajmił, że pora wyjść. Hamilton błagał, by pozwolił mu przenocować w domu siostry. Dillinger jednak powiedział, że to byłoby zbyt niebezpieczne. FBI gdzieś tam jest, wyjaśnił, i obserwuje*[* Mylił się. Choć FBI znało już tożsamość Hamiltona i Van Metera, Purvis nie zrobił nic, by wziąć ich rodziny pod obserwację.].

Kiedy zbierali broń, pani Steve zaczęła płakać. Dała bratu słoik z sarniną. Długo stali objęci, wreszcie Hamilton delikatnie pocałował siostrę w policzek.

- Pa - powiedział. - Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

Nie zobaczyli się więcej. Anna Steve widziała brata po raz ostatni, gdy schodził z błotnistej wzgórza, oddalając się od jej domu; swój samochód zostawił jej w prezencie. Wsiadł do auta Dillingera i pojechali do miasteczka St. Ignace, gdzie się okazało, że uciekł im ostatni prom przez jezioro Michigan. Dillinger znalazł hotel, w którym mogli zostać na noc, i Cherrington ich tam zameldowała³.

Jeden z sąsiadów pani Steve skontaktował się z ludźmi Purvisa, którzy następnego dnia dotarli do Sault St. Marie, jednak Dillingera już tam nie było. Agenci w towarzystwie ludzi lokalnego szeryfa wdarli się do domu pani Steve, wyprowadzili ją i jej syna w kajdankach. W Waszyngtonie Hoover nie miał dla nich krzty współczucia; chciał pokazać, co czeka każdego, kto ukrywa niebezpiecznych przestępców. Ceną, jaką pani Steve zapłaciła za przyrządzenie jajek na bekonie, ostrzyżenie dwóch osób i trzygodzinne spotkanie z dawno niewidzianym bratem, były trzy miesiące w federalnym więzieniu dla kobiet.

W ten piątek, gdy ludzie Purvisa przesłuchiwali Annę Steve, Dillinger był w Chicago, w miejscu, które już nie powinno być bezpieczne: Crystal Ballroom Louisa Cernocky'ego w Fox River Grove. Tydzień wcześniej Beth Green powiedziała FBI wszystko o szynku Cernocky'ego, także to, że i gang Barkerów, i gang Dillingera przyjeżdżały tam odpoczywać; opisała wizytę, jaką Dillinger złożył tam zaledwie przed kilkoma tygodniami.

Biuro węszyło wokół Cernocky'ego od poprzedniego lata, kiedy to wdowa po Franku Nashu powiedziała im, że Nash był stałym bywalcem jego lokalu. Nazwisko Cernocky'ego wielokrotnie pojawiała się w śledztwie w sprawie Bremera; w marcu Hoover nawet zgodził się założyć podsłuch na jego telefony. FBI przesłuchiwało sąsiadów Cernocky'ego, a grupa agentów szukających kryjówki, w której przetrzymywano Bremera, przejechała obok szynku

zaledwie w ostatni weekend. Tyle jednak w tamtym tygodniu było sygnałów, które agenci musieli sprawdzić, że Purvis nie znalazł czasu, by wziąć go pod obserwację.

Gdyby to zrobił, ujrzałby obraz, o jakim dotąd tylko śnił: zebranie gangu Dillingera w komplecie, które zaczęło się 19 kwietnia, w czwartek, a skończyło dzień później. Wszyscy członkowie spotkali się po raz pierwszy od trzech tygodni, od czasu, kiedy w St. Paul rozjechali się na wszystkie strony świata; Nelson z niewiadomego powodu przywiózł ze sobą barmana od Harry'ego Sawyera, Pata Reilly'ego. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że potrzebne jest im miejsce, gdzie mogliby się przegrupować, odsapnąć i w spokoju omówić następne posunięcie. Zbliżał się weekend; musieli się gdzieś zaszyć. Może taki wyjazd poprawi Dillingerowi nastrój. Cernocky powiedział, że zna miejsce w sam raz, zajazd na dalekiej północy stanu Wisconsin, prowadzony przez starego, zaufanego znajomego. Zapewnił Nelsona, że nikt nie będzie ich tam szukał. Napisał list polecający, włożył go do białej koperty i dał Nelsonowi.

W tym momencie wewnątrz gangu rysowały się już wyraźne oznaki napięcia, głównie za sprawą Nelsona. Bardzo mało jest konkretnych informacji o wzajemnych relacjach członków gangu. Wielu uczestników tamtych wydarzeń miało zginąć w ciągu roku, a FBI raczej nie obchodziło, jak ze sobą żyli; nieliczne znane fakty pochodzą z luźnych uwag poczynionych wiele miesięcy później przez Pat Cherrington i garstkę innych osób.

Z uwag tych wynika, że kłopot Nelsona z Dillingerem brał się w równej mierze z zazdrości, co z poczucia krzywdy. Nelson uważał, niebezzasadnie, że to on ukrył Dillingera po Crown Point, zabrał go na napady w Sioux Falls i Mason City, i wreszcie skłonił Cernocky'ego, by przyjął ich w gościnę. A co miał za cały swój trud? Gazety na okrągło rozpisywały się tylko o Dillingerze - Dillinger to, Dillinger tamto. Dla Nelsona ten gang był gangiem Baby Face Nelsona, ale cóż, jego nazwisko pozostawało nieznanie opinii publicznej.

Nie chodziło jednak tylko o zazdrość. I Nelson, i jego żona Helen uważali, że Dillinger jest lekkomyślny; gazety w ten piątek pisały o aresztowaniu pani Steve i Nelsonowie się obawiali, że jest tylko kwestią czasu, kiedy Dillinger sprowadzi im FBI na kark. Nelson nie miał ochoty płacić tak wysokiej ceny za to, że oddał człowiekowi przysługę. Z kolei Dillinger był zdania, że Nelson jest nie zrównoważony. Przebywał w jego towarzystwie tylko podczas planowania i dokonywania napadów. Cherrington zeznała FBI wiele miesięcy później: „Wszyscy w gangu wiedzieli, że Nelson to brutalny typ, kocha krew i z wielką rozkoszą zabiłby każdego, kto stanąłby mu na drodze... Żaden z nich nie życzył sobie towarzystwa Nelsona, ale jak nadarzała się jakaś robota, często nie mogli się bez niego obejść”⁶.

Na razie wszyscy jakoś się dogadywali. Cernocky obudził gangsterów wczesnym rankiem w piątek, podał śniadanie i około siódmej wyrzucił ich za drzwi. Zrobił to w samą porę; kilka godzin później na lunch wpadła grupa policjantów z Chicago, nieświadomych odgrywanej przez Cernocky'ego roli przystanku na szlaku przerzutowym Dillingera. Gang pojechał czterema samochodami na północ, przez Wisconsin. Pierwsza ruszyła grupa Dillingera, za nią Van Meter ze swoimi ludźmi. Kolumnę zamykali Nelsonowie i Carroll.

Podróż przebiegała bez przygód do czasu, gdy Nelson mijał od wschodu Madison. Kierując się drogą 51 na północ, przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle. Wówczas w drzwi od strony kierowcy uderzył rozpędzony samochód, wgniatając lewy bok forda. Wszystkim uczestnikom wypadku dopisało szczęście. Nelson i jego żona byli w szoku, ale nie odnieśli żadnych obrażeń, podobnie jak kierowca drugiego wozu, należącego do fabryki konserw. Co ważniejsze, Nelsonowi nie puściły nerwy; nikogo nie zastrzelił. A już najlepsze w tym wszystkim było to, że Tommy Carroll jechał za nim i mógł mu przyjść z pomocą. W obawie przed pojawieniem się policji Nelson uruchomił swoje auto i nakłonił drugiego kierowcę, by udał się za nim do warsztatu. Tam wcisnął mu do ręki 83 dolary i odjechał. Asekurowany przez Carrolla, zdołał dotrzeć do następnego miasteczka na północ, Portage - tego samego, w którym dwa miesiące wcześniej Dock Barker zostawił odciski palców na kanistrze paliwa - i tam odstawił auto do warsztatu. Jego właściciel zdążył tylko wejść do środka po kartkę i ołówek, a uprzejmy młody człowiek w brązowej zamszowej marynarce już zniknął bez śladu⁷.

Van Meter pierwszy dotarł do celu, którym był odludny obszar pokryty jeziorami i sosnowym lasem; było około pierwszej. Tuż przed miejscowością Manitowish skręcił w lewo z wyboistej asfaltowej drogi 51 i przejechał pod imponującym cementowym łukiem, na którym widniała wypisana białymi literami nazwa małego domu wypoczynkowego: Little Bohemia.

Pod koniec XIX wieku w lasach sosnowych wokół Manitowish osiedlali się drwale, ale po 1920 roku zainteresowanie wycinką drzew zmalało i miejscowi, z których wielu należało do drugiego pokolenia imigrantów ze Skandynawii i francuskojęzycznej części Kanady, przerwali się na turystykę. Już w 1908 roku powstały pierwsze małe ośrodki wypoczynkowe, właściwie skupiska wiejskich domków, przyciągające gości z miast położonych nawet tak daleko na południe jak Chicago, którzy przyjeżdżali tu latem, by łowić ryby w czystych jeziorach, kąpać się przy kamienistych plażach i polować. Wiosną 1934 roku Manitowish było odcięte od świata wioską, w której każdy znał każdego, każdy był czymś szwagrem i nad każdym małym jeziorem pracowała pełną parą co najmniej jedna nielegalna

destylarnia.

Pierwszą rodziną Manitowish byli LaPorte'owie. Ich najstarsza córka, Ruth, poślubiła drukarza z Milwaukee, Henry'ego Vossa, który w 1912 roku zaczął stawiać domki letniskowe. W roku 1928 Vossowie zakończyli budowę największego domu wypoczynkowego w okolicy, okazałego Birchwood Lodge przy drodze 51. Mogli się poszczycić nowoczesną kuchnią, pełną przepychu jadalnią z widokiem na jezioro Spider i ogniem trzaskającym w wielkim kominku w holu.

LaPorte'owie mieli trzech synów: Lloyda, przewodnika wędkarzy; szczupłego, cechującego się stoickim spokojem George'a, który prowadził sklep spożywczy; i czarną owcę, Louisa, bimbrownika, którego dwie destylarnie nad jeziorem Grant Lakę pracowały przez cały okres Wielkiego Kryzysu⁸.

Młodsza siostra Ruth, Nan, zaopatrywała w bimber produkcji brata nielegalne bary w całym stanie. W Racine poznała Emila Wanatkę, krępego, towarzyskiego restauratora austro-węgierskiego pochodzenia. Pobrali się i przenieśli do Chicago, gdzie prowadzili mały, szemrany bar o nazwie Little Bohemia, szczególnie popularny wśród postaci z półświatka. W 1926 roku Wanatkowie wrócili do Manitowish. Emil kupił ziemię nad jeziorem Star, nieopodal Birchwood Lodge, i postawił własny dom wypoczynkowy, nową Little Bohemia, której budowę zakończono w 1931 roku. Bardziej przypominająca zajazd niż hotel, Little

Bohemia była piętrową chatą z bali, z salą barową, kuchnią i parkietem do tańca na dole, kilkoma sypialniami na piętrze i domkiem przy tylnej werandzie. Niewidoczna z drogi 51, stała za dwustu metrami lasu strzelistych sosen. Wanatka zaciągnął masę długów, by ją zbudować, przez co musiała pozostawać otwarta przez całą zimę. Wprowadził specjalne oferty, by zwabić miejscowych, i ścisnął kciuki.

Tego piątkowego popołudnia Wanatka pracował w barze, kiedy, ku jego zaskoczeniu, wszedł Van Meter i zawoławszy go po nazwisku, powiedział, że on i jego znajomi - w sumie dziesięć osób - są w drodze do Duluth i muszą się gdzieś zatrzymać. Wanatka stwierdził, że nie ma sprawy, i podał trójce gości schabowe na lunch; mały buldog Mickey Conforti, Rex, dostał mleko w spodku. Van Meter przez resztę popołudnia chodził po posesji, wytyczając w pamięci ewentualną trasę ucieczki. Dom był odcięty od świata i pusty. Nada się w sam raz.

Około piątej przyjechali Nelson i Tommy Carroll. Dillinger zjawił się nieco później. Teraz już było ich dziesięcioro - sześciu mężczyzn i cztery kobiety. Byli jedynymi gośćmi. Wanatka z początku się cieszył. Nie był jednak głupi. Nie umknęło jego uwagi, że jak tylko przeczytał list polecający od Cernocky'ego, Nelson podarł go na strzępy⁹. Szesnastoletni kelner, George Baczo, zaniósł bagaż gangu do pokojów. Torby były strasznie ciężkie.

- W tej to musi być olów - zażartował, zwracając się do Wanatki. - Co oni, narzędziami handlują?

Wanatka pokiwał głową. Znał takich ludzi w Chicago. Przy odrobinie szczęścia nie zostaną długo. Żona Wanatki, Nan, też coś wyczuła. Wszyscy dostali pokoje na górze, oprócz Nelsona i Carrola, którzy ulokowali się w domku obok werandy. Nelson był poirytowany, że Dillingerowi trafił się lepszy pokój.

- Za kogo on się ma, do cholery? - warknął. - Sam niech zamieszka w domku¹⁰.

Wanatka podał gangsterom steki na kolację.

- Grasz w karty? - spytał go Tommy Carroll, kiedy uprzątnięto naczynia.

- W bezika - odparł Wanatka.

- Co powiesz na pokerka?

Grali w sali barowej, w siedmiokartowego pokera otwartego - Wanatka, Carroll, Dillinger, Nelson i Hamilton. Przy trzecim czy czwartym rozdaniu pula urosła do 34 dolarów, co w czasach Wielkiego

Kryzysu było sporą sumą. W rozgrywce pozostali Wanatka, który miał odkryte szóstkę i króla, i Dillinger, z królem i ósemką. Po zakończeniu licytacji Wanatka wyciągnął rękę po wygraną.

- Zaraz, zaraz - powiedział Dillinger. - Co masz?

- Króle i szóstki.

- Przykra sprawa, Emil. Ja mam króle i ósemki.

Kiedy Dillinger zgarniał wygraną, rozchylił mu się płaszcz i Wanatce mignęła kabura z pistoletem. Rozdając karty, gospodarz przyjrzał się Nelsonowi, siedzącemu po jego lewej, i reszcie graczy. Pod płaszczami wszystkich odznaczały się podobne wybrzuszenia. Po rozgrywce Dillinger spytał:

- Gdzie łazienka?

Wanatka pokazał mu i poszedł do kuchni. Było gorzej, niż myślał. Sześciu uzbrojonych mężczyzn w zajeździe na odludziu w weekend na początku wiosny; od razu przyszło mu do głowy, że to Dillinger. W kuchni odszukał „Chicago Tribune”. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Dillingera. Tak, to był on. Serce Wanatki zaczęło bić jak oszalałe. Wrócił do stolika, ale stracił ochotę do gry. Uważnie obserwował gości. Wyglądało na to, że są podzieleni na dwie grupy. Ten wyluzowany, Johnnie, wydawał się najbliżej związany z tym, który nie miał wszystkich palców, Redem. Gadatliwy chłopak, Jimmy, trzymał z Tomem, tym, co miał perkaty nos. Chudy, cichy Wayne był samotnikiem.

W pewnym momencie siostra Nan, Ruth, przyszła z córką z Birchwood Lodge, żeby

pogadać. Dillinger spytał Wanatkę, kto to jest, po czym kupił im coś do picia. Córka Ruth spytała, czemu ten miły pan ma włosy innego koloru niż brwi”. Kobiety ją uciszyły.

Około dziesiątej Wanatka, który szukał pierwszej lepszej okazji, by wycofać się z gry, zaczął udawać, że ziewa. Wstał, powiedział, że idzie spać¹², poszedł na górę ze swoimi dwoma owczarkami collie, Shadowem i Prince'em, i przygotował się do snu. Po chwili u jego boku była już Nan i zasypywała go pytaniami: Co to za jedni? Bandyty? Co robić? Wanatka odetchnął głęboko.

- Myślę, że ten z włosami ufarbowanymi na rudo to Dillinger. Leżeli w łóżku, wpatrzeni w sufit. Emil w końcu zasnął, ale Nan nie mogła zmrużyć oka i nasłuchiwała. Ilekroć zaskomlał pies, ilekroć gdzieś otworzyły się drzwi, zamierała w bezruchu. Słyszała, jak ktoś - wydawało jej się, że mężczyzna - chodził tam i z powrotem po korytarzu.

Następnego ranka Emil obudził się pierwszy i o szóstej poczłapał na dół wypuścić psy na dwór. Tommy Carroll był już w sali barowej.

- Dzień dobry, Emil - powiedział, przeciągając się. - Ale dobrze mi się spało. Można prosić śniadanie?¹³

Wanatka odparł, że przygotuje coś, kiedy wszyscy wstaną. Carroll poszedł na górę obudzić pozostałych i wkrótce cały gang, ziewając, zwał się schodami na dół; kobiety były w szlafrokach. Zjedli w kuchni. Kiedy kończyli, Wanatka zwrócił się do Dillingera:

- Johnnie, moglibyśmy pogadać?

Poszli do gabinetu. Wanatka zamknął drzwi.

- Co się stało? - spytał Dillinger.

Wanatka nie mógł dłużej wytrzymać. Musiał wiedzieć.

- Jesteś John Dillinger - powiedział.

Wyraz twarzy Dillingera pozostał niezmienny.

- Chyba się nie boisz, co?

- Nie - skłamał Wanatka. - Ale wszystko, co mam swojego, z rodziną włącznie, jest tutaj, a ciebie szuka każdy policjant w Ameryce. Zrobię, co w mojej mocy, żeby nie dopuścić do strzelaniny.

Dillinger położył mu dłoń na ramieniu.

- Chcemy tylko parę dni odpocząć i mieć co jeść. Dobrze zapłacimy i wyjedziemy. Nie będzie żadnych kłopotów¹⁴.

Po tej rozmowie atmosfera drastycznie się zmieniła; Dillinger przypuszczalnie powiedział pozostałym członkom gangu, że Wanatka ich rozpoznał. Od tej pory Dillinger i Nelson na zmianę mieli oko na telefon w recepcji i starali się podsłuchiwać wszystkie

rozmowy; ilekroć przyjeżdżał jakiś samochód, Dillinger pytał Wanatkę, kto to. Po śniadaniu Dillinger wysłał Pata Reilly'ego do St. Paul. Kończyła im się amunicja, a Van Meter chciał wziąć od Harry'ego Sawyera pieniądze, które zostawił mu na przechowanie. Pat Cherrington zaofiarowała się, że też pojedzie. Obiecali, że wrócą nazajutrz, i około ósmej wyruszyli w drogę¹⁵.

Po ich wyjeździe Dillinger wyjął karabin kalibru.22 i z Van Meterem i Nelsonem ćwiczyli strzelanie do puszki ustawionej na oddalonej o sto metrów zaspie. Dillinger zaproponował Wanatce, żeby też sobie postrzelał. Wanatka chwalił się później przez lata, że trafili tylko on i Van Meter. Van Meter przyniósł pistolet maszynowy i wszyscy strzelali także z tej broni. Nieco później ośmioletni syn Wanatków, Emil junior, wyniósł na podwórko rękawicę baseballową. Dillinger i Nelson rzucali mu piłkę dotąd, aż chłopiec zrezygnował, skarżąc się, że Nelson rzuca za mocno.

Tego już dla Nan Wanatki było za wiele. Nie życzyła sobie, by jej syn przebywał w towarzystwie ludzi takiego pokroju - kto mógł wiedzieć, do czego byli zdolni? Co gorsza, poranne wydania gazet donosiły o aresztowaniu Anny Steve; ich wszystkich mógł spotkać ten sam los. Po lunchu oznajmiła, że wysyła Emila juniora na przyjęcie urodzinowe. Dillinger dał dziecku dwadzieścia pięć centów na lody, ale kiedy ojciec i syn już szykowali się do wyjazdu, postanowił na wszelki wypadek wysłać z nimi Van Meta. Co więcej, jeszcze przed nastaniem zmroku kazał członkom gangu mieć na oku wszystkich domowników. Kiedy Nan pojechała po zakupy, była pewna, że widziała Baby Face Nelsona obserwującego ją z parkingu.

Sobotni wieczór minął spokojnie, ale w niedzielę rano Nan miała już dość. Wzięła siostrę na stronę i wyznała, że zastanawia się, czy nie wezwać policji. Tego ranka napisała list do swojego szwagra, Henry'ego Vossa, i wsunęła go do paczki papierosów. Był następującej treści: „Henry, możesz jechać do Rhineland i zadzwonić, tak jak to było uzgodnione. Ani słowa nikomu. Powiedz, żeby obstawili drogi. Jutro będzie ich tu więcej i nie pozwól, żeby ktokolwiek się domyślił, dokąd jedziesz i po co. Chcemy, żeby nas chronili najlepiej, jak potrafią. Przekaż im to”¹⁶.

Około dziesiątej Dillinger dał Wanatce 500 dolarów gotówką i zapowiedział, że gang wyjedzie następnego ranka, w poniedziałek. Niedługo później w sali barowej zjawił się Lloyd LaPorte, przewodnik wędkarzy. Nan zauważyła, że Dillinger i Nelson stoją z boku i słuchają.

- A niech to - powiedział LaPorte - zostawiłem papierosy w domu. Nie masz paczki na zbyciu, Nan?

Wziął od siostry paczkę z listem w środku. Wrócił niespiesznie do samochodu i

pojechał do Birchwood Lodge, gdzie Henry Voss przeczytał list. Mieli telefon towarzyski, więc woleli z niego nie korzystać. Pojechali na południe, w stronę miasteczka Rhineland, skąd zadzwonili do FBI.

Okolo pierwszej Purvis czytał gazety w swoim mieszkaniu w Chicago, korzystając z jednego z nielicznych wolnych dni, kiedy jego służący, President, przyniósł mu telefon. Dzwonili z biura policji federalnej w Chicago, żeby przekazać pilną wiadomość od niejakiego Henry'ego Vossa z północnego Wisconsin. Purvis wybrał podany numer telefonu i po chwili już rozmawiał z Vosse.

- Człowiek, na którym wam najbardziej zależy, jest tutaj - powiedział Voss enigmatycznie.

- Chodzi o Dillingera?

Voss nie odpowiedział. Purvis naciskał, podejrzewając, że może mieć do czynienia z jakimś pomyłką, i Voss w końcu przyznał: tak, Dillinger i czterej inni mężczyźni ukrywają się w Little Bohemia w Manitowish. Purvis spytał, gdzie jest najbliższe lotnisko. Tu, w Rhineland, odparł Voss, siedemdziesiąt pięć kilometrów na południe od Manitowish. Purvis powiedział mu, by czekał tam na niego o szóstej. Kazał Vossowi obwiązać szyję chustką, żeby mogli go rozpoznać.

Potem zadzwonił do Waszyngtonu i złożył meldunek Hooverowi. Szef FBI przyznał, że zgłoszenie wydaje się autentyczne, kazał mu zebrać wszystkich agentów, którzy są do dyspozycji, i natychmiast udać się do Rhineland. Purvis zadzwonił do St. Paul i przekazał jego polecenia Cleggowi, który nie zwlekając, ogłosił mobilizację. W obu biurach wybuchł ledwo kontrolowany chaos; atmosfera była bojowa. Lotnicy gnali jak szaleni na pas startowy. Wyrwani z drzemki w swoich domach agenci wydzwaniali jeden do drugiego; kilku wskoczyło do samochodów w niekompletnym ubraniu i z piskiem opon popędziło do biura. Purvis wpadł do budynku, w biegu zapinając guziki koszuli i poprawiając krawat. W obu miastach agenci otworzyli schowki z bronią i wyciągnęli cały ciężki sprzęt, jaki mieli, włącznie z karabinami maszynowymi i pistoletami na pociski z gazem łzawiącym.

W St. Paul Clegg wyczarterował samolot od Northwest Airways; stawka wynosiła dwadzieścia pięć centów za kilometr. Miał lecieć z inspektorem Rorerem i trzema agentami; Werner Hanni i trzej inni, którzy przyznali, że boją się latać, wrzucili pistolety na pociski z gazem łzawiącym do samochodu i ruszyli w drogę. W Chicago Purvis wyczarterował dwa samoloty i wyznaczył jedenastu ludzi, którzy mieli się nimi zabrać. Do Rhineland leciało się trzy godziny. Minęła godzina, zanim wszyscy w ogóle dotarli na lotnisko miejskie. Kiedy pakowali się do samolotów, Purvis zauważył, że pilot ma tylko mapę drogową. Ścisnął kciuki.

Z każdą upływającą godziną tego niedzielnego popołudnia członkowie gangu Dillingera byli coraz bardziej niespokojni. Wszyscy to czuli;

coś było nie tak. Zbyt wielu ludzi przychodziło i wychodziło, zbyt wielu ludzi ich widziało. Wieczorem miał się zrobić jeszcze większy ruch; Wanatka organizował kolejną ze swoich promocyjnych kolacji pod hasłem „dolar od nakrycia”. Dillinger schował samochody w garażu. W pewnej chwili Van Meter spytał Wanatkę, czy nie zna jakiegoś bardziej ustronnego miejsca, do którego mogliby się przenieść. Po lunchu do baru wszedł miejscowy, który usadowił się na stołku i zaczął pić; raz czy dwa razy namawiał Hamiltona, by do niego dołączył.

Tego już dla Dillingera było za wiele. Około czwartej powiadomił Wanatkę o zmianie planów. Grupa wyjedzie wieczorem, jak tylko Pat Reilly wróci z St. Paul. Poprosił, by Wanatka podał im wczesną kolację, steki z czosnkiem.

Nan Wanatka nerwowo przygotowywała posiłek, kiedy w drzwiach kuchni stanęła jej siostra Ruth. Już miała powiedzieć, że jej mąż pojechał do Rhinelandera zadzwonić do FBI, ale Nan w porę ją uciszyła.

- Nakupiliśmy strasznie dużo mięsa na weekend - powiedziała, zerkając w stronę gangsterów jedzących w barze. - Może weźmiesz trochę? - Dała siostrze znak, by weszła z nią do chłodni na mięso. - Wyjadą, jak tylko wróci Reilly! - syknęła¹⁷.

Kiedy siostra zostawiła ją samą, Nan przeszła z kuchni do baru i naląła sobie drinka. Jej mąż był zdumiony.

- Ty pijesz? - spytał.

Już miała coś odpowiedzieć, kiedy napotkała spojrzenie Nelsona. Emil próbował się uśmiechnąć. Nelson nic nie powiedział, ale poznał, że coś knują. Nan poszła do kuchni. Nelson ruszył za nią, ale najwidoczniej się rozmyślił, bo usiadł obok żony.

Przez kuchenne okno Nan zobaczyła, że pod dom zajeżdża Pat Reilly; obok niego w samochodzie siedziała Pat Cherrington. Dillinger i reszta nie zauważyli ich, zajęci jedzeniem. Reilly wyraźnie nie był pewien, co robić. Przed budynkiem nie było żadnych aut - Dillinger ukrył je w garażu - zaniepokoił się więc, że gang już się ulotnił. Na oczach Nan Wanatki zawrócił i odjechał¹⁸.

Pierwsza do Rhinelandera dotarła pięcioosobowa grupa Clegga; ich samolot wylądował kilka minut po piątej. Napasie startowym czekali George LaPorte i Henry Voss. Widok samolotu przyciągnął tłum gapiów, Clegg zabrał więc obu mężczyzn na polanę obok pasa startowego, gdzie pokazał im zdjęcia członków gangu Dillingera. Voss rozpoznał jedynie Tommy'ego Carrola - zapamiętał jego charakterystyczny płaski nos. Ale wszyscy byli

gangsterami, co do tego nie miał wątpliwości.

Narysował uproszczony plan działki, na której stała Little Bohemia, ze wszystkimi zabudowaniami. Stanowczo stwierdził, że nikt nie ucieknie przez jezioro za budynkiem; nie było łodzi, to raz, a poza tym wodę wciąż jeszcze miejscami pokrywał lód. Dom od jeziora dzielił tylko cienki pas żwirowej plaży. Wanatkowie przygotowali nawet plan ataku. Wszystko wskazywało, że gang chce wyjechać rano. O czwartej nad ranem, tuż przed świtem, rodzina i personel schowają się w piwnicy, wtedy FBI będzie musiało przystąpić do natarcia. Clegg był pod wrażeniem zapału Vossa.

Po pierwsze, potrzebowali samochodów. Voss zawiózł Clegga do salonu Forda w Rhineland. Clegg porozmawiał z kierownikiem. Wyjaśnił, że są agentami federalnymi i muszą wypożyczyć trzy samochody. Kierownik odparł, że nie ma zezwolenia na wypożyczenie aut, a nawet gdyby, to i tak mógłby im oddać co najwyżej jedno stare coupe. Spytał Clegga, czy robi obławę na miejscowych bimbrowników, bo jeśli tak, to nie mają nawet o czym mówić; gdyby rozeszło się po okolicy, że pomagał przy takiej akcji, straciłby połowę klientów. Kiedy Clegg wyjaśnił, że bimbrownicy go nie interesują, kierownik spytał, czy w takim razie chodzi o Dillingera. Clegg odparł, że potrzebują samochodów, i to szybko. Kierownik powiedział, że to zajmie godzinę lub dwie.

W trakcie rozmowy Clegg zauważył samolot nadlatujący nisko nad drzewami. Przybył Purvis. Spotkali się na lotnisku. Purvis był w lekkim szoku wywołanym twardym lądowaniem - jego samolot obrócił się dwa razy, kiedy koła dotknęły ziemi - mogli jednak ruszać w drogę. Do Little Bohemia było siedemdziesiąt pięć kilometrów, ale mieli mnóstwo czasu. Kiedy czekali na samochody, Purvis postanowił wysłać agenta Raya Surana z Henrym Vosse na przespiesi do Manitowish. Suran wskoczył do wozu Vossa i ruszyli na północ, ale już na przedmieściach Rhineland spotkali żonę Vossa, Ruth, która właśnie jechała ich ostrzec: Dillinger wyjeżdża dziś, po kolacji. Musieli się pospieszyć.

To całkowicie zmieniało postać rzeczy. Wrócili na lotnisko. Purvis obejrzał się i zobaczył Henry'ego Vossa nadbiegającego z krzykiem: „Panie Purvis! Panie Purvis!”. Kiedy Voss wytłumaczył, że Dillinger zmienił plany, Purvis i Clegg postanowili natychmiast ruszyć w drogę. Samochody były gotowe, poza tym Purvis przekonał pewnego siedemnastoletniego chłopaka, by użyczył im swojego coupe, dzięki czemu w sumie mieli pięć aut. O 19.15 konwój FBI obrał kurs na Little Bohemia.

Im dalej światła Rhineland zostawały w tyle, tym drogi robiły się gorsze. Były nieutwardzone, grząskie po wiosennej odwilży i pełne wybojów. Auta FBI podążały na północ, ślizgając się i podskakując. Jedno, a potem drugie wpadło do rowu. Nie było czasu

ich wyciągać. Ośmiu agentów z tych samochodów chwyciło broń i weszło na stopnie pozostałych trzech aut. Byli tak zmarznięci, że utrzymywali się na nich z najwyższym trudem - temperatura spadła prawie do zera. Purvis nie spuszczał oka z zegarka. Jeśli zdążą, to w ostatniej chwili.

Tuż przed dziewiątą samochody FBI wtoczyły się z łoskotem na podjazd przed należącym do Henry'ego Vossa okazałym Birchwood Lodge, półtora kilometra od Little Bohemia. W domu Voss zastał Nan Wanatkę z córką; wymknęły się, przewidując, że dojdzie do nalotu. Nan powiedziała, że Dillinger wciąż jest u nich, czy raczej był jeszcze pół godziny wcześniej, i nalegała, by Clegg się pospieszył; gang mógł wyjechać w każdej chwili. Clegg postanowił wyruszyć do Little Bohemia i przygotować plan natarcia po zapoznaniu się z terenem. Kazał swoim ludziom pogasić papierosy i sprawdzić broń.

Kilka minut później konwój FBI ze zgaszonymi światłami wolno sunął pogrążoną w ciemności drogą 51, mijając kilka jasno oświetlonych domów, aż dowlókł się do wylotu dwustumetrowego podjazdu prowadzącego do Little Bohemia. Poziom pewności siebie uczestników akcji nie mógł być wysoki. Nikt nie pomyślał, że FBI nigdy dotąd nie próbowało przeprowadzić obławy na taką skalę, że ludzie nie są przygotowani do udziału w zmasowanej wymianie ognia, że niewielu spośród obecnych w ogóle powąchało prochu. Wszyscy znali kompromitujące statystyki FBI, jeśli chodzi o strzelaniny. W ostatnim półroczu agenci trzykrotnie starli się z uzbrojonymi bandytami: podczas nieudanej akcji w Chicago w dniu święta Halloween, której skutkiem była ucieczka Verne'a Millera; w trakcie ucieczki Dillingera z kryjówki w St. Paul i podczas obławy na Wilbura Underhilla. Tylko w ostatnim przypadku doszło do aresztowania, a i to dopiero po tym, jak Underhill wymknął się z domu otoczonego przez FBI. Kiedy samochody skręcały na podjazd, nikomu też nie trzeba było przypominać, że agenci po raz czwarty w ciągu dwudziestu trzech dni mieli Dillingera na wyciągnięcie ręki, a mimo to nadal go nie schwytali.

Było ciemno choć oko wykol, kiedy trzy samochody jechały po błocie pod wysokimi sosnami. Ciszę mącił tylko wiatr świszczący w gałęziach drzew. Wśród opadłych liści i poszycia zalegały płaty śniegu i brudnego lodu. Światło pojedynczej żarówki na tylnej werandzie Little Bohemia odbijało się w zderzakach zaparkowanych w rzędzie samochodów. Jadący drugim wozem Purvis myślał, że warunki są wymarzone. Jeśli Dillinger nadal jest w środku, udało im się go całkowicie zaskoczyć. Byli jeszcze pośród drzew, kiedy Clegg zatrzymał pierwszy samochód i wysiadł. Purvis stanął za nim.

I wtedy rozszczękały się psy. Nikt nic nie mówił o psach. Wysiadając na podjazd, Purvis zerknął na budynek i zobaczył, jak czterech czy pięciu ludzi wychodzi na werandę. Na

jego oczach trzech z nich wcisnęło się do chevroleta coupe. Serce w nim zamarło. Nalot nie mógł rozpocząć się gorzej: szczekanie psów, podniesiony alarm, członkowie gangu uciekający do samochodu.

Przez lata, które upłynęły od tamtej mroźnej nocy w Wisconsin, uczestnicy akcji zadali sobie nadzwyczaj wiele trudu, by wytłumaczyć się ze swojego postępowania. John Toland, który rozmawiał z kilkoma z nich, napisał w 1963 roku, że tamtego popołudnia Hugh Clegg w Rhineland „nakreślił plan ataku”. Tak naprawdę, co jasno wynika z dokumentów FBI, żadnego planu nie było; był tylko mglisty pomysł, aby okrążyć gospodę. Inspektor Rorer powiedział Hooverowi po wszystkim, że „nie byli w stanie opracować planów z uwagi na brak czasu, ale zamierzali to zrobić zaraz po przyjeździe”¹⁹*[* Potwierdzili to inni agenci. „Nie dostaliśmy konkretnych rozkazów, gdzie kto ma być”, powiedział agent William Ryan podczas odprawy po akcji. Agent Arthur McLawhon: „Od wyjazdu z Rhineland aż do przyjazdu na miejsce dostałem tylko jedno polecenie: żeby prowadzić samochód”. Agent K.en McIntire: „Wszystko wydarzyło się tak szybko, że praktycznie nie było czasu wydawać rozkazów i każdy działał według swojego rozeznania”. Agent Sam Hardy: „Panowie Purvis i Clegg zdawali się kierować operacją, ale niżej podpisany nie wiedział, jaki właściwie plan miał zostać wykorzystany po przybyciu do domu wypoczynkowego Little Bohemia”]. Co gorsza, choć zastępca dyrektora Clegg był wśród obecnych najwyższy rangą, nie określono jasno, kto dowodzi operacją. W różnych momentach rozkazy wydawali i Clegg, i Purvis, i inspektor Rorer²⁰.

Kiedy ludzie z werandy Little Bohemia w pośpiechu pakowali się do chevroleta coupe, inspektor Rorer, który od czasu schwytania Machinę Gun Kelly’ego cieszył się pewnym autorytetem, warknął na Purvisa: „Szybciej! Szybciej!”. Licząc na to, że uda się otoczyć budynek, Purvis wysłał go z dwoma ludźmi do lasu po lewej stronie. Inni agenci na polecenie Clegga weszli między drzewa po prawej. Podczas tej rozmowy rozbłysły światła chevroleta. W zimnym nocnym powietrzu niosła się muzyka, wytwarzając niesamowity nastrój. Samochód zaczął się cofać. Kierowca nagle wrzucił jedynkę i gwałtownie zawrócił; światła chevroleta pobiegły ku Cleggowi i Purvisowi, którzy stali jak wryci na podjeździe.

Praktycznie nie było czasu pomyśleć, a co dopiero przygotować plan. Instynktownie - o ile wiadomo, nikt nie wydał żadnego rozkazu - Clegg i Purvis wraz z agentem Carterem Baumem potruchtali z wyciągniętą bronią w stronę samochodu. Kiedy auto skręciło ku nim, Purvis i Clegg wrzasnęli: „Policja! Stój! Agenci federalni!”. Inni agenci - rozbiegający się po ciemnym lesie - dołączyli do chóru okrzyków: „Stać! Agenci federalni!”. Samochód wyrwał naprzód. Na werandzie pojawili się dwaj mężczyźni i zaczęli coś krzyczeć; wśród hałasu nikt

nie dosłyszał słów.

Samochód nie stanął; jechał prosto na biegnących podjazdem Purvisa i Clegga. „Ognia!” - krzyknęli. Cała polana rozbrzmiała hukami wystrzałów. Purvisowi zaciął się pistolet maszynowy, ale agent Baum skosił samochód serią z thompsona. Szyba rozbiła się w drobny mak, opony eksplodowały. Wóz osiadł i znieruchomiał.

W tej chwili z domku przy prawym narożniku zajazdu wypadła ciemna postać, która strzeliła z pistoletu do Purvisa - pociski trafiły w ziemię u jego stóp - i zniknęła w lesie po prawej stronie. W ogólnym zamieszaniu nikt nie rzucił się w pogoń.

Wszystko to, jak później szacował inspektor Rorer, trwało raptem dziesięć sekund. Kiedy padły pierwsze strzały, on i dwaj agenci, T.G. Melvin i Lew Nichols, przemykali wśród drzew, zamierzając obejść zajazd od lewej strony. Rorer właśnie mówił swoim ludziom, by zachowali między sobą odstęp, gdy wyszedł za narożnik budynku, gdzie mignął mu cień człowieka szykującego się do skoku z okna na piętrze.

- Stać! Policja! - ryknął i strzelił.

W odpowiedzi z okna padła seria z broni maszynowej. Kule świszczwały wśród drzew. W świetle błysków z lufy Rorer dostrzegł w oknie dwóch mężczyzn. Agent Melvin wypalił trzy razy ze strzelby. Po chwili Rorer podniósł głowę; mężczyźni zniknęli. Był pewien, że zostali zmuszeni wycofać się w głąb pomieszczenia.

Tymczasem strzały na podjeździe ucichły. Purvis i Clegg zaczęli krzyczeć do ludzi w uszkodzonym chevroletcie, by wysiedli z rękami w górze. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy.

- Nie strzelać! - krzyknął ktoś. Zanim ktokolwiek mógł zareagować, jakiś człowiek wyskoczył z samochodu i wyrwał sprintem do lasu po prawej stronie, gdzie sześciu agentów FBI biegło w stronę jeziora. Za garażem kilku zaplątało się w drut kolczasty, z którego po omacku usiłowali się oswobodzić.

Tuż za nimi był agent Harold H. Reinecke. Właśnie pędził w kierunku jeziora, kiedy omal nie wpadł na niego mężczyzna z samochodu.

- Stój! - ryknął. Mężczyzna rzucił się do ucieczki. - Stój! - powtórzył Reinecke. Kiedy i to nie poskutkowało, podniósł strzelbę i dwa razy pociągnął za spust. Chybił. Posłał jeszcze jeden strzał, także niecelny.

Podczas gdy agent Reinecke gonił nieznanego przez las, drugi mężczyzna powoli wysiadł z samochodu, zachwiał się i osunął na ziemię. Widać było, że jest ranny.

- Ręce do góry! - krzyknął Clegg.

- Imię, nazwisko! - zawołał Purvis. Mężczyzna na ziemi stęknął.

- John - powiedział.

- Ręce do góry! Ręce do góry! - Purvis i Clegg krzyczeli do leżącego, by do nich podszedł, on jednak nie reagował. Było ciemno; z odległości piętnastu metrów Purvis nie widział wyraźnie jego twarzy. Kazał agentowi Samowi Hardy'emu przyprowadzić trzeci samochód, żeby mogli tego człowieka obejrzeć w świetle reflektorów. Hardy pobiegł po wóz, ale nie było kluczyków. Kierowca, agent Arthur McLawhon, był w lesie. Hardy krzyknął do niego, by przyniósł kluczyki. Zanim McLawhon przybiegł, stracili kilka cennych minut. Hardy ruszył naprzód.

Gdy leżącego dosięgły światła reflektorów, wszyscy mogli zobaczyć, że ranny John to nie Dillinger. Był to tęgi, starszy mężczyzna. Purvis krzyknął do niego, by podszedł bliżej i się poddał. Mężczyzna dźwignął się na nogi, jakby zamierzał go usłuchać. Zaraz jednak zatoczył się do tyłu, gruchnął ciężko na tyłek, wyjął z kieszeni piersiówkę i pociągnął. Purvis wrzasnął, by nie strzelać.

W Little Bohemia zapadła cisza. Agenci FBI zajęli pozycje w lesie po obu stronach budynku, w miejscach, z których mogli obserwować plażę na tyłach. Obie grupy zameldowały, że nikt się tamtędy nie wymknął. Starszy mężczyzna wstał, wszedł chwiejnym krokiem na werandę i zniknął wewnątrz domu. Purvis i Clegg, niepewni, co robić, widzieli go w środku, zataczającego się od okna do okna.

Purvis wciąż jeszcze zastanawiał się nad swoim następnym posunięciem, kiedy z tyłu pojawiły się światła skręcającego na podjazd samochodu. Wóz zatrzymał się za zaparkowanymi autami FBI. Dwaj agenci stojący z Purvisem, Carter Baum i Sam Hardy, krzyknęli do kierowcy, by podał nazwisko. Samochód nagle wyskoczył do tyłu i pomknął w kierunku drogi. Baum otworzył ogień z pistoletu maszynowego. Purvis biegł za autem i strzelał w koła. Trafił w chłodnicę. Uciekający tyłem wóz zniknął w ciemności.

Purvis zdał sobie sprawę, że sytuacja robi się kłopotliwa. Agenci zasypywali gradem kul wszystko, co się ruszało, nie wiedząc nawet, do czego strzelają. W obawie, że w końcu dostanie któryś z jego ludzi, Purvis krzyknął, żeby każdy z agentów głośno podał swoje nazwisko i pozycję. Wtedy przybiegł agent Hardy. Zameldował, że wciąż widać światła cofającego się samochodu, który właśnie powoli wyjeżdżał na drogę. Purvis powiedział mu, żeby przeszedł z dwoma agentami przez las i spróbował wziąć wóz z zaskoczenia.

Trzej agenci dotarli na koniec podjazdu przed Little Bohemia mniej więcej równo z samochodem. Jeszcze raz kazali wszystkim wysiąść i podać nazwiska. Samochód znowu ruszył do ucieczki. Agenci otworzyli ogień. Rozległ się głośny trzask pękającej opony. Kiedy auto zniknęło w oddali, tym razem na dobre, agenci słyszeli, że jedno z kół toczy się na

obręczy. Nie było jak zatrzymać uciekiniera. W pośpiechu nikt nie pomyślał, by zablokować drogi. Miejscowy szeryf nie miał nawet pojęcia, że na jego terenie jest FBI.

Tymczasem na lewo od podjazdu zmaterializował się inspektor Rorer; Purvis i Clegg naradzili się z nim, co robić. Jak dotąd strzelali już do co najmniej pięciu różnych samochodów, przy czym nie rozpoznali ani jednego z ludzi. A teraz do tego doszedł jeszcze szósty samochód. Wszyscy zdążyli już zauważyć, że w uszkodzonym chevro-lecie, który wciąż stał z zapalonym silnikiem, siedzi jakiś mężczyzna. Słychać było muzykę - grało radio samochodowe. Purvis zawołał mężczyznę, ten jednak nawet nie drgnął.

Postanowili, że Rorer sprawdzi samochód. Osłaniany przez Purvisa, podszedł na czworakach do chevroleta. Na przednim siedzeniu znalazł młodego mężczyznę z opuszczoną głową. Jego prawa pierś i ramię były całe we krwi. Rorer poszukał pulsu; na próżno. Wyłączył radio i silnik, po czym z kieszeni martwego wyjął portfel. Wrócił do Clegga i Purvisa i zameldował, jak to później ujął, „że mężczyzna jest młody i martwy”.

Rorer otworzył portfel zabitego i wyciągnął jego prawo jazdy. Trzej kierujący operacją dowiedzieli się, że właśnie zabili Eugene'a Boisneau, trzydziestopięcioletniego robotnika z pobliskiego federalnego obozu pracy.

Czekali. Nie licząc rannego Johna - wciąż widzieli, jak zatacza się w domu wypoczynkowym - wydawało się, że w budynku nie ma żywej duszy. Choć wyglądało na to, że zabili niewinnego człowieka, Purvis starał się o tym nie myśleć. Dillinger i jego gang byli w potrzasku; prędzej czy później będą musieli spróbować wyrwać się z okrażenia. Purvis i Clegg postanowili na razie nie przypuszczać szturmu. Nie starczyłoby kamizelek kuloodpornych dla wszystkich, a poza tym nie mieli pistoletów na pociski z gazem łzawiącym. Purvis nie wiedzieć czemu nie zabrał z Chicago ani jednego. Te od Clegga wieźli Werner Hanni i pozostali agenci z St. Paul, którzy jeszcze nie dotarli na miejsce. Upływały kolejne minuty. Agenci kulili się za drzewami i chuchali na zmarznięte dłonie.

Minęła godzina. Wreszcie około jedenastej na podjeździe pojawiły się światła samochodu. Przyjechała karetka z federalnego obozu pracy, Camp Mercer. Purvis był zaskoczony. Nikt jej nie wzywał. Z karetki wysiadł lekarz obozowy, S.X. Roberts, który powiadomił Purvisa, iż dostał zgłoszenie, że ranny jest jeden z robotników, John Morris. Purvis zorientował się, że to ani chybi ten John, który schronił się w budynku. Z minuty na minutę sytuacja była coraz gorsza.

Z lasu wyłonił się jeszcze jeden mężczyzna. Nazywał się John Hoffman; pracował na stacji benzynowej. To on był trzecim człowiekiem z chevroleta coupe, tym samym, do którego w lesie strzelał agent Reinecke. Miał ranę postrzałową prawej ręki i twarz

pokaleczoną odłamkami szkła. Hoffman i doktor Roberts razem zawołali Johna Morrisa, by wyszedł. Zrobił to po chwili. Ku zaskoczeniu Purvisa, za plecami Morrisa ukazali się trzej mężczyźni, którzy wyszli z podniesionymi rękami. Byli to Emil Wanatka, jego barman i pomocnik kelnera. Wanatka powiedział, że Dillinger i jego ludzie nadal są w środku, schowani w sypialni na piętrze, po lewej stronie budynku.

Wieść rozeszła się lotem błyskawicy wśród agentów przyczajonych za drzewami: Gang Dillingera jest w potrzasku. To była dobra wiadomość. Przekazali sobie też szeptem wiadomość złą: Ktoś, podobno cywil, zginął w chevrolecie. Nikt nie przejął się nią bardziej od Cartera Bauma, przystojnego dwudziestodwuletniaka, z którego broni padły śmiertelne strzały. Przygnębiony Baum siedział w jednym z aut FBI i próbował się rozgrzać. Był z nim agent Ken McIntire.

- Zdaje się, że ktoś jest w tamtym wozie - powiedział w pewnej chwili McIntire - i chyba nie żyje.

- Nie chyba, tylko na pewno - odparł Baum. - Zabiłem go. McIntire próbował uspokoić jego sumienie. Do samochodu strzelało kilku agentów, powiedział. Było ciemno. Nie może wiedzieć na pewno, że właśnie on zabił tego człowieka. Niech o tym zapomni. Baum jednak zapomnieć nie potrafił. Zabił niewinnego. Dotykając pistoletu maszynowego, który miał na kolanach, powiedział:

- Już nigdy z niego nie strzelę²¹.

Tymczasem na zewnątrz Purvis i Clegg wciąż się naradzali, czy przypuścić szturm. Znowu postanowili zaczekać na Wernera Hanniego i sprzęt z gazem łzawiącym. Budynek był otoczony, więc Dillinger i tak nie miał jak uciec. Purvis dorwał agenta Jaya Newmana i kazał mu pojechać jednym z samochodów FBI do Birchwood Lodge, zadzwonić na lotnisko w Rhinelander i zostawić Hanniemu wiadomość, by od razu po przyjeździe gnał do Little Bohemia. Newman, świecki kaznodzieja mormoński, widząc, jak bardzo Carter Baum przeżywa to, co się stało, zaproponował, że zabierze go ze sobą. Spróbuje z nim porozmawiać. Purvis się zgodził.

Newman pojechał z Baumem do Birchwood Lodge, zadzwonił do pozostawionego w Rhinelander agenta i przekazał mu wiadomość od Purvisa. Kiedy skończył, telefonista powiedział mu, że właśnie słyszał, że w Manitowish skradziono packarda. Newman w obawie, że komuś z gangu udało się zbiec, wraz z Baumem, mijając Little Bohemia, pojechał do centrum, gdzie natknął się na posterunkowego Carla C. Christiansena. Christiansen wskoczył do samochodu i zabrał się z nimi z powrotem do Birchwood Lodge, w nadziei że uda mu się zorganizować grupę pościgową.

Na miejscu czekała na nich następna wiadomość. Chwilę wcześniej zadzwonił telefonista, Alvin Koerner, który mieszkał między Birchwood Lodge a Little Bohemia, i zgłosił, że przed jego domem stoi podejrzanie wyglądający samochód. Newman postanowił to sprawdzić. Wrócił do auta i usiadł za kierownicą; Baum zajął miejsce obok niego, Christiansen przy oknie. Po minucie dotarli na żwirowy podjazd przed domem Koenera. Przy drodze 51 stał samochód.

- Przygotujcie broń - powiedział Newman.

Podjechali do samochodu. Widzieli, że jest pusty. Agent Baum zapisał jego numer rejestracyjny. Skręcili na żwirową dróżkę prowadzącą do domu Koenera. Wzdłuż niej ciągnął się biały parkan. Przed domem stał ford. Omiótłszy go swoimi światłami, Newman zauważył, że w środku jest pełno ludzi. Zatrzymał się za nim i opuścił szybę.

- Szukam pana Koenera! - zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Oczy Newmana rozblęły podejrzliwie.

- Kto jest w tym samochodzie? - spytał.

Drzwi forda od strony pasażera otworzyły się i wyskoczył niski młody mężczyzna w brązowej zamszowej kurtce. Podszedł do otwartego okna Newmana.

- Wiem, dranie, że nosicie kamizelki kuloodporne - warknął - dlatego będę walił wysoko i nisko.

Baby Face Nelson podniósł pistolet i otworzył ogień.

Dopiero kiedy było o wiele za późno, Purvis i Clegg uprzytomnili sobie, że wszystkie założenia, które poczynili tego wieczoru, były na wskroś błędne. Podczas gdy stali jak wrośnięci w ziemię przed Little Bohemia i obserwowali budynek, wypatrując jakiegokolwiek śladu gangu, rzekomo osaczonego, Dillingera już tam nie było i szybko się oddalał. Także Van Meter, Hamilton, Carroll i Nelson - wszyscy uciekli w pierwszych minutach zakończonej kłapą operacji, która miała prześladować FBI przez wiele następnych lat.

Później FBI ustaliło taki przebieg wypadków: Kiedy trzy samochody Biura wjechały na podjazd przed Little Bohemia, wszyscy członkowie gangu oprócz Nelsona byli na górze i się pakowali. Nelson znajdował się w domku obok werandy. W sali barowej zostali tylko John Hoffman, dwudziestoosmioletni pracownik stacji benzynowej, i dwaj jego znajomi z obozu pracy, pięćdziesięciodziewięcioletni kucharz

John Morris i trzydziestopięcioletni Eugene Boisneau. Właśnie włożyli płaszcze i wyszli na werandę, kiedy nadszedły samochody FBI.

Barman i pomocnik kelnera wyszli pomachać gościom na pożegnanie. Hoffman, właściciel chevroleta, przekręcił kluczyk w stacyjce i włączyło się radio. Nikt nie dostrzegł

samochodów FBI na ciemnym podjeździe. Hoffman uruchomił wóz i pojechał w stronę drogi - wciąż nie widząc agentów, którzy zaczęli krzyczeć do niego, by się zatrzymał. Radio samochodowe ich zagłuszało. Tak naprawdę żaden z trzech mężczyzn w aucie nie wiedział, co się dzieje, aż do chwili kiedy kule podziurawiły przednią szybę. Za nimi, na werandzie, barman i pomocnik kelnera zaczęli krzyczeć: „Przestańcie! To klienci!”. Nikt nie zrozumiał wśród huku wystrzałów.

Na dźwięk palby Dillinger i jego towarzysze porwali broń, otworzyli okno od tyłu budynku i przygotowali się do skoku. W tym momencie inspektor Rorer i jego ludzie wyszli zza narożnika budynku, zobaczyli ich i otworzyli ogień. Dillinger odpowiedział serią z thompsona. Decydujące znaczenie tego wieczoru miał błąd, który popełnił Rorer. Był przekonany, że jego strzały zmusiły gang do wycofania się w głąb budynku. Mylił się. Gdy on i jego ludzie schylili się, by uniknąć ostrzału z góry, Dillinger, Van Meter, Hamilton i Carroll jeden po drugim wyskoczyli przez okno na trzymetrową stertę zamrożonego śniegu. Kiedy Rorer znów spojrzał w tamtym kierunku, już ich nie było.

Zerknąwszy w stronę jeziora, nie zauważył, by ktokolwiek tamtędy uciekał. Nie mógł jednak wiedzieć, że podwórze od plaży dzieliła dwupółmetrowa skarpa; Henry Voss nie zaznaczył jej na mapie, którą tego popołudnia narysował agentom. Dillinger i jego ludzie zbiegli po drewnianych schodach na plażę, skręcili w prawo i pomknęli brzegiem jeziora, schowani za skarpa. Tymczasem Nelson wyskoczył z domku, strzelił do Purvisa i czmychnął w las. Zanim agenci przedarli się przez ogrodzenie z drutu kolczastego, on też już dawno zniknął w ciemności.

Za kierownicą samochodu, który wjechał na podjazd po tym, jak padły pierwsze strzały, siedział chłopiec na posyłki gangu, Pat Reilly, wracający do Little Bohemia z Pat Cherrington. Cherrington właśnie otworzyła drzwi, kiedy usłyszała okrzyk „Stać!”. Odparowała: „Idź do diabła”, wskoczyła z powrotem do samochodu i kazała Reilly’emu dać gaz do dechy. Przy zjeździe na drogę Reilly przystanął na minutę, niezdecydowany, co robić. Kiedy huknęły strzały, stracił panowanie nad autem i wjechał na pniak.

Usiłując ściągnąć wóz z pniaka, rzucił Cherrington dwa pistolety na kolana i kazał jej strzelać. Posłała go do wszystkich diabłów. Kiedy wreszcie udało im się oswobodzić, po raz drugi przejechali obok domu wypoczynkowego, ściągając na siebie strzały, które trafiły w oponę; drzwi samochodu otworzyły się i Cherrington wypadła, złamała lewy bark. Później tej nocy, wymieniwszy przebitą oponę na stacji benzynowej, para pechowych zbiegów ugrzęzła w błocie. Nie mając innego wyjścia, rozsiedli się w szczerym polu i upili się whisky²². Dopiero następnego dnia, po wielu dalszych perypetiach, dotarli do St. Paul.

Tymczasem Dillinger i reszta przedzierali się przez gąszcz sosen i wypatrywali samochodu, który można by ukraść. W ciemności zgubili Tommy'ego Carrola. Ostatecznie to właśnie Carroll miał najlżejszą przeprawę; dostał się do Manitowish, ukradł packarda i pojechał do St. Paul. Dillinger, Van Meter i Hamilton wyłonili się z lasu kilkaset metrów na północ od Little Bohemia; gdyby FBI zablokowało drogi albo choć patroloowało drogę 51, może zostaliby zauważeni. A tak Van Meter mógł bez obaw wyjść na jezdnię i spróbować zatrzymać przejeżdżający samochód; wóz, prowadzony przez brata Nan Wanatki, George'a LaPorte'a, jechał za karetką do Little Bohemia i nie stanął.

Dillinger dostrzegł po drugiej stronie drogi drewniany dom i kilka stojących za nim domków letniskowych. Był to ośrodek wypoczynkowy MitchelPs Rest Lakę Resort. W domu siedemdziesięcioletni właściciel ośrodka, Edward J. Mitchell, właśnie tłumaczył coś swojemu człowiekowi do wszystkiego, a jego chora na grypę żona leżała na kanapie, gdy usłyszeli pukanie do drzwi. To przyszedł Hamilton, który poprosił o szklankę wody, po czym bezceremonialnie zerwał telefon ze ściany. Za Hamiltonem wszedł Dillinger. Do Mitchellów dotarli już plotki o gangsterach w Little Bohemia. Poza tym słyszeli strzały.

- To chyba nie pan Dillinger, co? - spytała pani Mitchell. Dillinger uśmiechnął się szeroko.

- Szanowna pani trafiła w dziesiątkę - powiedział. Zauważył przerażoną minę Edwarda Mitchella. - Bez obaw, staruszku - rzucił. - Przy mnie włos ci z głowy nie spadnie.

- Moja żona ma grypę - powiedział Mitchell. Dillinger przykrył starszą panią kocem.

- Proszę, mateczko - powiedział²³.

Wyjaśnił, że potrzebuje tylko samochodu. Mitchell odparł, że ma forda T, ale wóz całą zimę stał na klockach. Van Meter wyszedł na zewnątrz i zobaczył forda model A, ten jednak nie chciał zapalić. Spytał Mitchella, czyj jest zaparkowany obok niego zielony ford coupe. Mitchell odparł, że jego stolarza, który mieszka w jednym z domków. Stolarz, Robert L. Johnson, już spał; obudziło go pukanie do drzwi. Ubrał się, chwycił latarkę i powłókł się w kapciach do drzwi. Otworzywszy je, zobaczył kręcących się przed domkiem Dillingera, Van Metera i Hamiltona. Dillinger powiedział, że muszą pojechać po lekarza dla pani Mitchell. Czterdziestkapiątka, którą miał w dłoni, wskazywała, że sprawa jest poważniejsza.

Baby Face Nelson miał najgorzej. Odcięty od reszty gangu, pobiegł brzegiem jeziora w przeciwnym kierunku, na południe, i po półgodzinie przedzierania się przez chaszczę zobaczył światła domku kilkaset metrów za Little Bohemia. Także i w nim przebywali starsi państwo, pan George W. Lange z małżonką. Nelson nawet nie zapukał; od razu wszedł z pistoletem w dłoni.

- Bez paniki - powiedział do Lange'ów. - Nic wam nie zrobię, ale to sprawa życia i śmierci.

Zwalił się na kanapę, schował pistolet pod płaszcz i pogłaskał psa Lange'ów, który zaczął szczekać. Odpocząwszy kilka minut, Nelson wymierzył pistolet w przerażonych starszych państwa i zażądał, by Lange zawiózł go gdzieś swoim samochodem, chevroletem coach rocznik 1932. Pani Lange się rozplakała. Nelsona jak zwykle nie stać było na ludzki odruch w rodzaju tych, które Dillingerowi przychodziły z taką swobodą.

- No, przymknij się - to najlepsze, na co mógł się zdobyć. Lange'owie włożyli płaszcze i wsiedli do samochodu; pan Lange prowadził, Nelson zajął miejsce obok niego. Światła nie chciały się zapalić. Nelson mimo to kazał jechać. Lange powoli wysunął się na drogę 51 i skręcił w prawo, w stronę oddalonego o kilkaset metrów Birchwood Lodge. Jakies sto metrów dalej zgasł silnik.

Nelson był w opałach; w każdej chwili mógł nadjechać wóz pełen agentów FBI. Po lewej stronie zobaczył dom jarzący się od świateł.

- Kto tam mieszka? - spytał²⁴.

- Alvin Koerner - powiedział Lange.

Koerner był telefonistą. W tej chwili siedział z żoną w salonie struchlały. Słyszał strzały w Little Bohemia, a potem odebrał telefon od spanikowanego, rannego Johna Morrisa. Służąca Koernera i jego dwoje dzieci spali w pokoju na tyłach. Zerknąwszy za okno, zobaczył samochód Lange'ów - ich samych jeszcze nie dostrzegł - i od razu zadzwonił do Birchwood Lodge, żeby to zgłosić.

Nelson wbił lufę pistoletu w plecy George'a Lange'a i zaprowadził starszych państwa błotnistą dróżką do drzwi Koernera. Koerner, który go nie zauważył, wpuścił całą trójkę do środka. Nelson zażądał, by Koernerowie zawieźli go do miasteczka Woodruff. Koerner, gorączkowo szukając wymówki, powiedział, że to niemożliwe; musi pilnować dzieci. Nelson wycelował do niego i odparł, że nic go to nie obchodzi.

Wciąż jeszcze się kłócili, kiedy podjechał samochód.

- Czyj to wóz? - spytał Nelson.

- Nie wiem - odparł Koerner.

Byli to George LaPorte i jego kolega Carl J. Christiansen (niespo-krewniony z posterunkowym), którzy po tym, jak nie zabrali łapiącego okazję Van Metera, zajrzeli do Little Bohemia, gdzie do ich samochodu wskoczyli Emil Wanatka i dwaj jego pracownicy. Tych trzech potrzebowało płaszczy, postanowili wziąć je od Koernera. Christiansen został w samochodzie, reszta weszła do domu. Wpuścił ich Nelson.

- Cześć, Jimmy - powiedział barman. Przez weekend dobrze się ze sobą dogadywali; Nelson zawsze dawał wysokie napiwki.

- Nie próbuj mnie bajerować - odparował Nelson, wyciągając pistolet. - Pod ścianę.

Wanatka sięgnął po pistolet Nelsona.

- Odłóż to, Jimmy - powiedział. - To moi przyjaciele. Nelson cofnął się o krok.

- Kto jest w samochodzie?

- Nikt - odparł Wanatka, zapominając o Christiansenie, który został na tylnym siedzeniu.

- Są tam jacyś federalni? - Nie.

- Spadam stąd-powiedział Nelson. Wskazał na Wanatkę i Koenera. - Wy dwaj pojedziecie ze mną.

Machnął na nich pistoletem i wyszli na zewnątrz. Pani Koerner zaczęła płakać. Nelson kazał Wanatce prowadzić; sam usiadł obok niego i trzymał go na muszce. Koerner zajął miejsce z tyłu, obok Carla Christiansena.

- Jiramy - powiedział Wanatka - nie mam kluczyków.

Wtedy z tyłu podjechało auto. Za jego kierownicą siedział agent Jay Newman.

Nelson trzymał pistolet centymetry od twarzy agenta Newmana.

- Zabiję cię! - warknął. - Wysiadaj!

Newman odchylił się na oparcie siedzenia, licząc na to, że albo Carter Baum, który miał na kolanach pistolet maszynowy, albo posterunkowy Carl Christiansen zdołają strzelić. Kiedy żaden z nich nie drgnął, Newman sięgnął pod płaszcz po pistolet.

- Zostaw to! - powiedział Nelson. - Zabiję cię! Wysiadaj, ale już! Newman znieruchomiał. Baum, agent dręczony wyrzutami sumienia po tym, jak zastrzelił niewinnego człowieka, schował głowę za ramieniem Newmana, jakby chciał się ukryć; nie próbował dobyć broni. Christiansen z kolei schylił się za Baumem. Newman powoli otworzył drzwi i wysiadł. Ledwie jego noga dotknęła ziemi, Nelson pociągnął za spust. Pierwsza kula drasnęła Newmana tuż nad prawym okiem; zwałił się twarzą w błoto, oszołomiony, ale żywy.

Nelson odwrócił się i zaczął strzelać do siedzących w samochodzie Bauma i Christiansena. Obaj wypadli na zewnątrz drzwiami pasażera. Baum wylądował na Christiansenie i próbował uciec, ale Nelson był szybszy. Trzy pociski rozerwały Baumowi szyję. Agent przeleciał na drugą stronę białego parkanu i upadł na twarz. Christiansen zatoczył się do przodu, prosto w światło reflektorów samochodu. Dwie kule trafiły go w biodro. Kiedy wpadał do rowu, Nelson postrzelił go jeszcze trzy razy.

Na dźwięk strzałów Emil Wanatka rzucił się do ucieczki. Nelson wpadł w furję;

strzelał do wszystkiego, co się ruszało. Wanatka, ścigany przez kule wzbijające za nim żwir z ziemi, dał nura w zaspę. Alvin Koerner zdołał uciec do domu i zamknąć drzwi na klucz.

Kiedy zabrakło ruchomych celów, Nelson wskoczył do auta FBI, wrzucił wsteczny i dał gaz do dechy. Koła fordą zakręciły się tak gwałtownie, że sypnęły żwirem w ścianę domu Koenera. Agent Newman odzyskał przytomność. Czując w dłoni pistolet, podniósł go i wystrzelał cały magazynek w fordą. Nic to nie dało - Nelson zjechał na drogę 51 i zniknął w oddali.

Newman wstał. Kręciło mu się w głowie. Kula drasnęła go w czoło, krew zalewała mu twarz i oczy. Podszedł chwiejnym krokiem do samochodu i zobaczył skulonego na tylnym siedzeniu kolegę LaPorte'a, Carla J. Christiansena.

- Wsiadaj z rękami w górze! - zakomenderował Newman.

- Nie strzelaj, proszę - błagał Christiansen. - Jestem stąd.

Newman usłyszał jęk i zobaczył ciała. Pchnął Christiansena w stronę drzwi domu Koenera; choć zamroczony, widział, że rannym pilnie potrzeba lekarza. Christiansen załomotał do drzwi, krzycząc: „Alvin! Otwieraj!”, ale Koerner nie odpowiadał. Dwaj mężczyźni poszli za dom i zobaczyli ludzi w kuchni. Newman zaczął dobijać się do okna i przycisnął do szyby swoją odznakę. Nikt się nie ruszył. W końcu Newman powiedział do Christiansena:

- Jadę do Vossów, a ty pojedziesz ze mną.

- Ani mi się śni - odparł Christiansen. - Zostaję tutaj. - Niech cię diabli! - Newman wbił mu lufę pistoletu w bok. - Jedziesz ze mną.

Wsiadli do samochodu i wyjechali na drogę.

Niedługo po ucieczce Nelsona z domu Koernerów samochód wiozący Wernera Hanniego i trzech agentów z St. Paul pędził drogą 51 na północ, w kierunku Birchwood Lodge. Zbliżając się do domów wypoczynkowych, Hanni zobaczył nadjeżdżającego z naprzeciwka czarnego fordą. Włączył światła mijania i przyjrzał mu się. Myślał, że to agenci FBI.

Kiedy się mijali, ford nagle błysnął reflektorem, który na chwilę oślepił Hanniego, i pojechał dalej. Paru agentów obejrzało się za nim, by zobaczyć, czy się zatrzyma. Zaraz potem Hanni stanął przed Birchwood Lodge, by sprawdzić, czy ford zawróci; nie zawrócił. Później tej nocy agenci uprzytomnili sobie, że kierowcą samochodu z reflektorem był Baby Face Nelson.

Kiedy Hanni i jego ludzie stali na poboczu, podjechał inny samochód. Wsiadli dwaj funkcjonariusze z biura szeryfa; wezwano ich do jakiejś strzelaniny. Po chwili zjawiono się

trzecie auto.

- Jesteście z policji?! - krzyknął ktoś ze środka.

- Nazywam się Hanni - powiedział Hanni.

Z samochodu wysiadł człowiek z krwawiącą raną głowy.

- Jestem Newman. Gdzie znajdę lekarza?

Purvis wciąż kucał na podjeździe przed Little Bohemia i obserwował budynek, wypatrując gangsterów, których już w środku nie było. Pierwsze złe przeczucia zrodziły się w nim, gdy z lasu wypadł Emil Wanatka. Biegł przez całą drogę z domu Koernerów; był tak zasapany, że nie miał sił podnieść rąk, kiedy jeden z agentów kazał mu to zrobić.

- Wszyscy wasi nie żyją - wykrztusił wreszcie Wanatka. - U Koernerów.

Purvis spojrzał na niego sceptycznie. Spytał go o nazwisko i adres. Kiedy Wanatka nie potrafił przeliterować nazwy Manitowish, Purvis stał się wobec niego uszczypliwy.

- Po kogo przyjechaliście? - zirytował się Wanatka. - Po mnie czy po Dillingera?

Purvis wysłał dwu agentów do domu Koenera, żeby sprawdzili, czy Wanatka mówi prawdę.

Pierwsi do Koernerów dotarli ludzie Wenera Hanniego. Od czasu, gdy padły strzały, minęło pół godziny. Ranny posterunkowy, Carl C. Christiansen, siedział oparty o parkan. Agent Thomas Dodd wziął od niego latarkę i po chwili znalazł Cartera Bauma*[* Thomas J. Dodd był prawnikiem z Connecticut, który w latach 1933-35 pełnił służbę w FBI, a potem zaczął robić karierę polityczną. Po drugiej wojnie światowej był naczelnym oskarżycielem amerykańskim w prowadzonych w Norymberdze procesach niemieckich dowódców wojskowych. W 1958 r. został wybrany na pierwszą z dwóch kadencji w Senacie; jego syn, Christopher Dodd, jest obecnie senatorem z Connecticut. Thomas Dodd zmarł w 1971 r.], który leżał twarzą w kałuży krwi. Już nie żył. Nikt nie wyszedł z domu, by pomóc rannym; wszyscy za bardzo się bali.

Podczas gdy rannych przewożono do szpitali, Purvis i Clegg nie ruszali się sprzed Little Bohemia, przekonani, że w środku została przynajmniej część gangu. Minęła godzina. Po północy zrobiło im się tak zimno, że schronili się w garażu. Reszta agentów marzła w lesie aż do czwartej, gdy niebo zaróżowiło się na wschodzie. Wtedy Clegg dostał informację, że w pobliżu jest lokalny szeryf z grupą swoich ludzi i że chcą dołączyć do obławy. Wezwał ich. Miejscowi chcieli przypuścić szturm, ale Clegg nalegał, by najpierw wrzucić do środka granaty z gazem łzawiącym.

Nawet to nie poszło gładko. Mieli tylko jeden pistolet na naboje z gazem łzawiącym i wystrzelwane z niego pociski nie mogły przebić siatek na oknach. Pięciu agentów naradziło

się za garażem, co robić. Uznali, że jedyne wyjście to podbiec do budynku i wrzucić granat z gazem przez drzwi. Jeśli Dillinger nadal był w środku - a tak sądzili wszyscy - mogło się to okazać misją samobójczą. Agent John T. McLaughlin zgłosił się na ochotnika.

- Tylko ja tu jestem kawalerem - wyjaśnił.

„Był to najodważniejszy czyn, jaki widziałem w tamtych czasach, i John McLaughlin na zawsze pozostał dla mnie bohaterem” - napisał po latach inny agent, Robert G. Gillespie*[* John T. McLaughlin, który urodził się i wychował w New Hampshire, służył w FBI w latach 1926^41. Do swojej śmierci w 1975 r. był wziętym adwokatem w Reno w stanie Nevada.

Urodzony w 1903 r. w Alabamie i wychowany w Missisipi Robert G. Gillespie służył w FBI niecały rok. Później prowadził kancelarię prawniczą w Jackson w Missisipi i w latach 1954-77 pełnił funkcję prezesa Sądu Najwyższego Missisipi.]

Tuż po czwartej McLaughlin podbiegł do budynku i wrzucił do środka granaty z gazem łzawiącym. Ludzie szeryfa zaczęli strzelać, ale Clegg kazał im wstrzymać ogień. Kiedy uniosły się pierwsze smużki gazu, z głębi domu dobiegł kobiecy głos: „Wyjdziemy, tylko nie strzelajcie!”.

- Wyjdźcie z rękami w górze i wyprowadźcie wszystkich! - krzyknął Purvis. Po chwili na werandzie pojawiły się kobiety gangu - Jean Delaney, Helen Gillis i Mickey Conforti ze szczeniakiem w ramionach. Agenci wpadli do środka, ale nikogo więcej nie znaleźli. Na plaży za budynkiem wypatrzyli ślady prowadzące do lasu. Purvis dopiero teraz zdał sobie sprawę z ogromu katastrofy. Gdy zabierano kobiety, on stał i patrzył w osłupieniu, odtwarzając w pamięci wydarzenia ostatniej nocy, tak jak miał to robić raz po raz do końca życia. Zginęło dwóch ludzi, a Dillinger zniknął.

13

KONIEC BONNIEICLYDEA

23 kwietnia - 23 maja 1934

23 kwietnia, poniedziałek

Zaczynał padać śnieg, kiedy agenci zeszli się w Birchwood Lodge na śniadanie. Purvis nie mógł się zmusić do jedzenia. W najczarniejszych snach nie wyobrażał sobie równie koszmarnej sytuacji: Dillinger zniknął, jeden z agentów nie żył, a na dodatek zabili cywila. Purvis czuł się osobiście odpowiedzialny za tę porażkę.

W drodze na lotnisko zastanawiał się nad złożeniem rezygnacji. Już na pasie startowym, czekając na samolot powrotny do Chicago, usłyszał rozmowę kilku ludzi, którzy przeklinali go za spartaczenie „bitwy w Little Bohemia”, jak ochrzciła to zajście prasa. Sytuacja wyglądała jeszcze gorzej, gdy Purvis wrócił po południu do Bankers Building. W Wisconsin krążyła już petycja w sprawie jego odwołania. ODSUNĄĆ PURVISA! - krzyczał nagłówek popołudniowego wydania „Chicago American”. ŻĄDAMY ODEJŚCIA PURVISA!

Do południa o tragedii w Little Bohemia wiedział już cały kraj. Hoover stanął w Waszyngtonie przed tłumem reporterów i próbował wyjaśnić, co się stało, choć sam jeszcze mało wiedział. Tego samego popołudnia, zeznając przed komisją parlamentarną, Homer Cummings błagał o opancerzone samochody i samoloty. „Gdybyśmy mieli opancerzony samochód w Wisconsin - mówił - nasi ludzie mogliby podjechać pod dom, w którym przebywał Dillinger. Wtedy nie doszłoby do tej straszliwej tragedii”.

Prośby Cummingsa utonęły jednak w zalewie zjadliwych komentarzy, sprowokowanych w znacznej części przez politykę działania w pojedynkę, jaką prowadziło Biuro. Politycy z Wisconsin, podobnie jak policja z Chicago i policja stanowa z Indiany Matta Leacha, krytykowali Biuro za niechęć do kooperacji z miejscowymi władzami. „Stwierdzić tu należy pożałowania godny brak współpracy pomiędzy władzami federalnymi, stanowymi i lokalnymi”, grzmiał senator Royal Capeland, przewodniczący senackiej komisji śledczej. Prokurator Joe Keenan odpowiadał: „Nie wiem, gdzie ani kiedy dopadniemy Dillingera, ale go dopadniemy. Mam nadzieję, że stanie się to w takich okolicznościach, iż rząd nie będzie musiał ponosić kosztów procesu”.

Po raz pierwszy Biuro stało się celem zmasowanych ataków prasy. Właściwie wielu Amerykanów po raz pierwszy usłyszało wtedy o Biurze Śledczym, o J. Edgarze Hooverze czy Melvinie Purvisie. W kilku dziennikach pojawiły się sugestie, że Hoover zostanie zmuszony do rezygnacji. „Milwaukee Sentinel” nazwał agentów biura GLINIARZAMI Z OPERY KOMICZNEJ. „Przedstawiciele rządu uczynili z polowania na Dillingera farsę, która zamieniła się w tragedię, gdy zamiast ściganych bandytów zginęli przypadkowi świadkowie”, pisał „Chicago Times” w artykule wstępnym. Will Rogers dołączał do grona szyderców, ironizując w swojej rubryce poświęconej przestępczości: „Otoczyli Dillingera i byli gotowi go zastrzelić, kiedy wyszedł. Ale przed nim pojawiła się grupka innych ludzi, zastrzelili więc ich. Dillinger zginie, być może przy innej okazji, przypadkowo, kiedy wmiecha się w tłum jakichś niewinnych świadków”¹.

Tymczasem Purvis próbował zaszyć się na osiemnastym piętrze i uniknąć spotkania z

dziennikarzami, było to jednak niemożliwe - reporterzy kłębili się na korytarzu za biurkiem Doris Rogers. Nie mógł nawet spokojnie przejść do windy. Kiedy w końcu dopadli go w poniedziałek wieczorem, próbował przedstawić sprawę w pozytywnym świetle. „Mamy teraz znacznie więcej dowodów w sprawie Dillingera niż kiedykolwiek dotąd - mówił. - Wkrótce go złapiemy. Zostawia za sobą coraz wyraźniejszy ślad”.

Doris Rogers nie mogła nie zauważyć, jak przybici wydawali się agenci, którzy wrócili tego dnia do pracy. Z pewnością wszyscy byli wstrząśnięci tą strzelaniną, ale chodziło o coś jeszcze. Wielu spośród młodszych pracowników uświadomiło sobie po raz pierwszy, że mogą zginąć. Ekscytująca praca w Biurze nie wydawała im się już zabawą. Na razie nie byli jeszcze w stanie rozmawiać o tym, co zaszło. Nikt nie chciał mówić o Jayu Newmanie, który leżał w szpitalu w Wisconsin, ani o Carterze Baumie, ulubieńcu całego Biura. Ciało Bauma zostało przewiezione do Waszyngtonu i spoczęło na cmentarzu Rock Creek.

„Jestem przygnębiony - mówił Cummings reporterom po uroczystościach pogrzebowych. - Ta śmierć ukazuje jednak dobitnie wagę problemu, przed jakim stoi naród. Jak już mówiłem wcześniej, ci, którzy oczekiwali, że wojna ze zorganizowaną przestępczością zakończy się łatwym zwycięstwem, nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji. Czeka nas z pewnością jeszcze niejedno rozczarowanie, porażka i smutek. Doznaliśmy porażki. Pograżyliśmy się w smutku. Tym bardziej jednak czujemy się zdeterminowani do walki. Nie poddamy się. Ta kampania przeciwko zbrodni zakończy się sukcesem”².

Tymczasem reakcja Hoovera na klęskę w Little Bohemia była zadziwiająco powściągliwa. Człowiek, który bezlitośnie łąał agentów spóźnionych do pracy choćby o minutę, nie przejawiał niemal żadnego krytycyzmu względem Clegga i Purvisa. W sprawę zaangażowanych było zbyt wielu doświadczonych agentów - ludzi zatrudnionych przez Hoovera - by znaleźć kozła ofiarnego. We wszystkich raportach wewnętrznych, które powstały w ciągu kolejnych dwóch tygodni, jedyna nuta niezadowolenia znalazła się w notce sporządzonej przez Hoovera trzy dni po strzelaninie, po rozmowie z Purvisem. W dość nietypowym dla siebie niedopowiedzeniu Hoover pisał, że powiedział Purvisowi, iż „chciałby mniej strzelanin, a więcej tajnych informatorów”³.

Twardo stawał w obronie swoich ludzi. W liście do prokuratora generalnego pisał: „Nie uważam, by fakty, które przedstawiono mi do tej pory, usprawiedliwiały jakiegokolwiek krytyczne uwagi skierowane pod adresem moich agentów w związku z podjętymi przez nich działaniami. Zbliżyli się do znanej kryjówki gangsterów i zobaczyli trzech mężczyzn opuszczających to miejsce. Wezwali ich do zatrzymania się, lecz oni, zamiast wykonać

polecenie, wsiedli do auta i chcieli odjechać, agenci zaczęli więc do nich strzelać”. W tym samym liście Hoover starał się bronić Purvisa, podkreślając, że zastępca dyrektora Hugh Clegg „przez cały czas był odpowiedzialny za wszelkie szczegóły”⁴.

Wkrótce się okazało, że jego wiara w Purvisa ma jednak swoje granice.

Podczas gdy Hoover próbował przez cały poniedziałek dociec, co poszło nie tak, pięciu członków gangu Dillingera usiłowało dotrzeć do jakiejś bezpiecznej kryjówki. Nie było to łatwe. Policja zablokowała wszystkie drogi w Wisconsin i Minnesocie. Setki drwali we flanelowych koszulach i członków straży obywatelskiej pochwyliły za broń i wsiadły do aut, by szukać gangu na bocznych drogach. Pierwszy do bezpiecznego miejsca dotarł Tommy Carroll. Jego samochód utknął na błotnistej leśnej drodze, Carroll ruszył więc dalej na piechotę, a potem, korzystając z autostopu, wrócił do St. Paul.

Tymczasem Dillinger w towarzystwie Van Metera i Hamiltona jechał skradzionym fordem coupe na południe. Po drodze wysadził właściciela auta, zatrzymując się na moment około dziewiętej rano za miejscowością Park Falls w stanie Wisconsin. Potem ruszyli w stronę St. Paul. Trzymając się bocznych dróg, uniknęli spotkania z grupami pościgowymi i bez przeszkód wjechali do Minnesoty. Przypuszczając, że miasto strzeżone jest od północy, Dillinger okrążył je od południa.

O 10.30 trzech gangsterzy zbliżyli się do mostu nad Missisipi w Hastings, trzydzieści kilometrów od St. Paul. Po południowej stronie mostu pełnił straż Fred McArdle, któremu towarzyszyło trzech ludzi z biura szeryfa. McArdle sprawdzał tablice rejestracyjne przejeżdżających samochodów, porównując je z informacjami z biuletynu FBI. Kiedy Dillinger zbliżył się do mostu, McArdle rozpoznał poszukiwaną rejestrację. Wsiadł do auta, by ruszyć za nim w pościg, jednak w tej samej chwili zajechała mu drogę ciężarówka z bydłem. Nim McArdle przejechał na drugą stronę, Dillinger zniknął.

McArdle wraz z trzema funkcjonariuszami pojechali na północ, w stronę St. Paul, licząc, że uda im się dogonić Dillingera. Nie mieli krótkofalówki, nie mogli więc powiadomić nikogo, że gangster zmierza do miasta. Piętnaście kilometrów na północ od mostu McArdle dostrzegł forda Dillingera, który jechał z prędkością zaledwie sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, by nie ściągać na siebie uwagi. Jeden z funkcjonariuszy strzelił w tylne opony, lecz chybił. Ford poderwał się do przodu. Dillinger wybił tylną szybę i otworzył ogień.

Przez kilka minut trwała gwałtowna wymiana ognia, oba auta pędziły sto trzydzieści na godzinę. Pocisk trafił Johna Hamiltona w dolną część pleców. Gangster osunął się bezwładnie, ciężko ranny. Pokonując ostry łuk, Van Meter skręcił gwałtownie w prawo, w boczną dróżkę zwaną Cemetery Road. McArdle na moment stracił forda z oczu i pojechał

prosto. Nim się zorientował, było już za późno.

Van Meter znalazł jakiś ustronny zakątek i zatrzymał się. Hamilton mocno krwawił, potrzebował pomocy lekarza. Dillinger zrozumiał, że muszą przede wszystkim zdobyć nowy samochód. Przez godzinę jechali bocznymi drózkami na południe od miasta, niezauważeni przez nikogo. W końcu około południa Van Meter zatrzymał się na poboczu żwirowej drogi, pięć kilometrów na południe od South St. Paul. O 12.45 nadjechał jakiś ford. Kierował nim Roy Francis, menedżer miejscowego oddziału Northern States Power Company. Miał właśnie przerwę na lunch i wybrał się z żoną i malutkim synem na przejażdżkę, by uśpić dziecko. Nagle zobaczył stojącego na drodze mężczyznę. Był to Van Meter. W dłoni trzymał pistolet.

- Przykro mi, że sprawiam panu kłopot - powiedział, gdy Francis wyszedł z samochodu - ale muszę zabrać pańskie auto. - Francis cofnął się o krok i zaczął podnosić ręce. - Nie musi pan podnosić rąk - zareagował Van Meter. - Nie zastrzelimy pana.

Pani Francis wysiadła z samochodu, trzymając na rękach dziecko, a Dillinger pomógł Hamiltonowi ułożyć się na tylnym siedzeniu. Kiedy to robił, Van Meter, jakby poczuwszy ukłucie zazdrości, spytał Francisza:

- Co pan robi?

- Pracuję w zakładzie energetycznym - odparł Francis.

- Szczęściarz z pana - stwierdził Van Meter. - Ma pan rodzinę i pracę.

Przed odjazdem Dillinger pogłaskał dziecko po głowie.

- Proszę się nie bać - rzekł. - Lubimy dzieci.

Kilka minut później Van Meter i Dillinger odjechali oboma samochodami. Rodzina Francisów przeszła na piechotę do położonej trzy kilometry dalej stacji benzynowej i wezwała pomoc.

Jakiś czas później ukryli skradzione coupe na skraju drogi i przenieśli broń do samochodu Francisa, gdzie wciąż leżał cierpiący niewymowne katusze Hamilton. Po strzelaninie zapewne w St. Paul roило się już od policji i agentów FBI, Dillinger postanowił więc z umierającym człowiekiem na tylnym siedzeniu jechać do Chicago.

Rezerwat Indian Lac Du Flambeau, Wisconsin godz. 14.00

Piętnastoletnia Dorothy Schroeder, która mieszkała wraz z rodzicami w północnych lasach, rozwieszała mokre ubrania przed obitą papą chałupą, kiedy zobaczyła mężczyznę przedzierającego się ku niej przez zarośla. Jego ubranie - szare spodnie, brązowa zamszowa marynarka, krawat i zielony kapelusz - świadczyło, że nie jest to żaden z okolicznych mieszkańców.

- Którędy do Woodruff?-zapytał, zbliżając się do niej. Najwyraźniej zabłądził.

Dorota poszła po matkę. Mężczyzna stał już na podwórku, gdy pani Schroeder wyszła z domu.

- Sprzeda mi pani filiżankę kawy? - spytał Baby Face Nelson.

Zaledwie godzinę drogi od Little Bohemia w ukradzionym samochodzie FBI pękł korbowód. Nie chcąc budzić podejrzeń, Nelson nie zatrzymał kolejnego samochodu, lecz ruszył na piechotę przez las. Przeszedł trzydzieści kilometrów, nim w końcu trafił na ukrytą w głuszy chatę.

Pani Schroeder zaprosiła go do kuchni, poczęstowała kawą i kromką chleba z masłem; pomimo sprzeciwów wręczył jej trzy banknoty jednodolarowe. Kilka minut później, kiedy popijał kawę, do domu przyszli wujek i ciotka pani Schroeder, Ole „Ollie” Catfish i jego żona Maggie. Catfish, sześćdziesięciosiedmioletni Indianin z plemienia Czipewejow, który posługiwał się łamaną angielszczyzną, korzystał z chaty, kiedy zajmował się żywiciowaniem klonów. Wraz z żoną przyszedł tu z ich domu, z odległego o dziesięć kilometrów miasteczka Lac Du Flambeau. Nelson powiedział im, że jest strażnikiem łowieckim i musi u nich zostać na dwa lub trzy dni. Catfish się nie sprzeciwiał. Tej nocy Nelson spał w sypialni Catfishów,

na łóżku obok starszych państwa. Chicago było bardzo daleko. Nie miał pojęcia, jak się tam dostanie.

Podczas gdy cały naród wyczekiwał z zapartym tchem na kolejne szczegóły pościgu FBI za Dillingerem, czasy względnej anonimowości gangu Barkera-Kafpisa dobiegały końca. Podczas gdy większość jego członków kryła się w Toledo, Dock Barker został w Chicago ze swoim starym kumplem z Tulsy, Volneyem Davisem. Obaj nie mogli się doczekać, kiedy gang zdoła wreszcie wyprać pieniądze z okupu za Bremera; paserzy z Reno i St. Paul nie chcieli ryzykować.

Na początku kwietnia, gdy* kończyły mu się już pieniądze, Dock pojechał do Toledo, by porozmawiać z Karpisem i jego bratem Fredem. Wcześniej spotkał się z doktorem Moranem, zapijaczonym lekarzem, który zajmował się pokątnie dokonywaniem aborcji i przeprowadzał również operacje plastyczne. Moran twierdził, że może wyprać pieniądze Bremera, a Dock chciał dać mu szansę. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Karpis i Fred się na to zgodzili.

Doktor Moran omal nie skakał z radości, gdy 15 kwietnia Dock Barker przyszedł do jego biura w Irving Park Hotel i wręczył mu 10 000 dolarów owiniętych w gazetę: gang zgodził się zapłacić mu 6,25 procent od każdego dolara wymienionego w miejscowych bankach. Moran zwołał do pomocy swych nielegalnych klientów. Należeli do nich jeden ze znajomych Docka z Oklahomy, chory na rzeżączkę Russell Gibson, zwany także Slim Gray; cierpiący na nerwobóle kumpel Morana z więzienia, Izzy Berg, a także starzejący się cukrzyk, były ustawodawca stanowy „Boss” John McLaughlin. McLaughlin zaangażował jeszcze więcej ludzi, między innymi siedemnastoletniego syna Jacka, swego szofera oraz trzydziestoczteroletniego gońca Williama Vidlera.

Podczas gdy jego asystent, Jimmy Wilson, zajmował się pacjentami, Moran zamknął się w pokoju 210, nad swoim gabinetem w hotelu. Rozłożył wszystkie pieniądze na łóżku. W pewnej chwili zapukał Wilson, który nie miał pojęcia o tej akcji. Moran, który był już pijany, otworzył drzwi, trzymając w dłoni butelkę piwa. Wilson zajrzał do środka. Zobaczył Bossa McLaughlina, Izzy’ego Berga i Russella Gibsona stojących nad łóżkiem i przeliczających największą stertę pieniędzy, jaką kiedykolwiek widział. McLaughlin chował plik banknotów do teczki. Berg spytał:

- Ile jeszcze chcecie?
- Co się tu dzieje? - spytał osłupiały Wilson.
- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy - wybełkotał Moran.
- Zamknij te drzwi - warknął McLaughlin⁵.

Szybko rozproszali pierwsze 10 000, a gdy skończyli, przyszedł Dock Barker i zabrał wypraną gotówkę.

- Jakież problemy? - spytał.

- Żadnych - odparł Gibson.

- Świetnie. Mamy tego dużo więcej.

Rozprowadzanie kolejnych dwudziestu tysięcy trwało kilka dni. Boss McLaughlin i jego ludzie biegali po mieście, podczas gdy Moran upijał się do nieprzytomności. Wszystko szło gładko aż do poniedziałku 23 kwietnia. Tego ranka, gdy agenci FBI wietrzyli bar Emila Wanatki z resztek gazu łzawiącego, kasjer jednego z banków w Chicago odkrył, że ktoś wpłacił banknot o numerze wyszczególnionym w biuletynie FBI dotyczącym porwania Bremera. Jego przełożony zadzwonił do FBI. Następnego dnia, gdy ludzie Purvisa próbowali dojść, kto wpłacił tremy banknot, Dock Barker dostał wiadomość, że Dillinger chce się z nim spotkać.

W ten sam wtorek rano Dillinger, poszukiwany przez policję i straż obywatelską całym Wisconsin i Minnesocie, wjeżdżał na przedmieścia Chicago. Była to najbardziej dramatyczna chwila w jego życiu od czasów ucieczki z Crown Point. Na tylnym siedzeniu leżał umierający John Hamilton; całe wnętrze samochodu poplamione było jego krwią. Wcześniej udało im się kupić bandaż i lekarstwa w Dubuque, w stanie Iowa, jeśli jednak Hamilton miał przeżyć, musiał znaleźć się pod opieką lekarza. Przejechali bezpiecznie całą drogę do miasta, bo ukradli po drodze tablice rejestracyjne, Dillinger wiedział jednak, że jeśli będzie zbyt długo jeździł po ulicach Chicago, ktoś w końcu zauważy okrwawionego mężczyznę na tylnym siedzeniu.

Lekarzem, którego próbował tego dnia znaleźć Dillinger, był nie kto inny, jak Joseph Moran, zamknięty w tym czasie w pokoju hotelowym i zajęty praniem brudnych pieniędzy z okupu Bremera*[* Nigdy nie wyjaśniono, skąd Dillinger znał Morana; możliwe, że słyszał o nim od Baby Face Nelsona, który opowiedział Alwinowi Karpisowi o swojej operacji. Według kilku relacji Dillinger spotkał się z Moranem w tamten wtorek, lecz Moran odmówił mu pomocy. Wydaje się to mało prawdopodobne; żaden ze znajomych Morana, którzy pomagali mu prać pieniądze - kilku z nich było później przesłuchiwanym przez FBI - nie wspomina o takim epizodzie. Według późniejszych zeznań członków gangu Barkera Dillinger próbował znaleźć Morana, ale nie mógł.]. Nie znalazłszy go, Dillinger pojechał do Hi-Ho Inn, nocnego klubu prowadzonego przez dwóch ludzi syndykatu, braci Bobby'ego i Joiego O'Brien. O'Brienowie najwyraźniej jednak nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Odesłali Dillingera, obiecując, że znajdą doktora Morana i jeszcze tego wieczora zorganizują z nim spotkanie.

Wizyta Dillingera wywołała całą lawinę telefonów. Bracia O'Brien zadzwonili do Elmera Farmera, człowieka, który był właścicielem kryjówki Bremera i mógł, ich zdaniem, znaleźć Morana. Farmer z kolei zatelefonował do Docka Barkera, który próbował skontaktować się z Moranem, ale nie mógł. Tymczasem Joie O'Brien pojechał do miasteczka Aurora położonego pięćdziesiąt kilometrów od centrum Chicago i ściągnął stamtąd Yolneya Davisa, który przez kilka tygodni mieszkał w apartamencie w Aurorze. Wszyscy zebrali się tego wieczora na parkingu za Seafood Inn, restauracji w podmiejskim Elmhurst⁶.

Dillinger po raz pierwszy spotkał wtedy członków gangu Barkera, nie było jednak czasu na uprzejmości. Wyjęli Hamiltona z samochodu i ułożyli go na tylnym siedzeniu buicka Yolneya Davisa. Dillinger i Van Meter wrócili potem z Davisem do jego mieszkania w Aurorze. Davis odesłał swoją dziewczynę, Ednę Murray, do przyjaciół, a potem wraz z Dillingerem i Van Meterem wniósł Hamiltona na górę i położył na łóżku. Wszyscy widzieli, że ich towarzyszywi zostało już niewiele życia. W ranę wdała się gangrena. Teraz nawet lekarz nie mógłby go uratować.

Członkowie dwóch gangów opiekowali się umierającym przez całą tę noc i następnego dzień, robiąc wszystko, by ulżyć mu w cierpieniu. Hamilton przeżył jeszcze dwa dni, zmarł około trzeciej po południu w czwartek, 26 kwietnia. O zmierzchu Dock Barker i Yolney Davis pojechali do kamieniołomu oddalonego o dziesięć kilometrów na południe od Aurory i tam wykopali grób. Kiedy całkiem się ściemniło, włożyli ciało Hamiltona do samochodu, zawieźli je do kamieniołomu i złożyli w grobie. Davis kupił wcześniej kilka puszek ługu, by zniszczyć twarz zmarłego. Dillinger pochylił się nad ciałem towarzysza i powiedział cicho:

- Red, stary druhu, to okropne, ale wiem, że na moim miejscu zrobiłbyś to samo⁷. - Po czym wylał ług na głowę Hamiltona. Barker i Yan Meter zasypali grób, a Davis znalazł zwój drutu kolczastego, którym oznaczył miejsce pochówku*[* Co ciekawe, nic nie wskazuje na to, by po powrocie do Chicago Dillinger próbował kontaktować się z Louistem Piquettem albo Artem O'Learym. Podczas późniejszych rozmów z nimi kłamał, opisując ten okres swojego życia. Mówił, że ukrył się wraz z Van Meterem na jakiś czas w opuszczonej kopalni w Wisconsin, a potem pochował Hamiltona na wydmach w pobliżu jeziora Michigan. Nigdy nie wspominał o gangu Barkerów ani o innych, którzy udzielili mu w tym czasie pomocy.].

Kiedy wrócili, w mieszkaniu Davisa panował nieopisany bałagan, Davis zadzwonił więc po Ednę Murray, by pomogła mu w sprzątaniu. Po wejściu do mieszkania Murray omal nie zemdląła. Podłogę w sypialni pokrywał biały proszek dezynfekujący. W rogu leżała sterta zakrwawionych prześcieradeł gotowych do spalania. Zlew wypełniony był naczyniami, lekarstwami i zakrwawionymi bandażami. Murray otworzyła szafę i wrzasnęła z przerażenia,

gdy ze środka wypadła łopata, którą gangsterzy wykopali grób. Nad wszystkim unosił się smród gangreny i śmierci⁸.

Ostatnią rzeczą, jaką zaprzętał sobie tego tygodnia głowę Purvis, była sprawa Bremera, choć nieustannie pracowało nad nią kilkunastu agentów. Na rozkaz Hoovera trwały poszukiwania domu, w którym przetrzymywano Bremera, co pochłaniało mnóstwo czasu i pracy. Podczas gdy połowa agentów FBI z Chicago polowała na Dillingera, druga bez ustanku była w drodze, odwiedzając każde miasteczko między Joliet a środkowym Wisconsin w poszukiwaniu właściwej kombinacji pociągów, dzwonów kościelnych i fabrycznych syren, które słyszał Bremer. Agenci produkowali setki raportów, ale wciąż nie mogli niczego znaleźć. Niektórzy otwarcie narzekali, że tylko tracą czas. Hugh Clegg z St. Paul zaproponował nawet, by włączyć harcerzy do pomocy.

Do wszystkich banków w kraju rozesłano okólnik z numerami seryjnymi banknotów, jakimi złożono okup za Bremera. W poniedziałek rano, gdy Purvis i jego ludzie wracali do swoich biur z Little Bohemia, pracownik Uptown State Bank przy Wilson Avenue odkrył, że któryś z klientów przepuścił przez jedną z kas 900 dolarów z okupu Bremera. Klient zniknął, ale jeszcze tego samego dnia po południu agenci odwiedzili wszystkie banki w okolicy, szukając innych banknotów. Do wieczora znaleźli pieniądze Bremera w Main State Bank przy Milwaukee Avenue i w kilku innych placówkach.

Przez kolejne dwa dni agenci przeczesywali banki w North Side. Rankiem w czwartek 26 kwietnia, w dniu śmierci Hamiltona, do FBI zadzwonił pracownik City National Bank & Trust Company przy LaSalle Street, kilka przecznic od Bankers Building. Znow pojawiły się tam pieniądze z okupu Bremera. Kasjer przypominał sobie, że klient wspominał, iż pracuje u pobliskiego bukmachera. Dwaj agenci poszli wraz z kasjerem do zakładu bukmacherskiego na piętrze budynku biurowego przy 226 South Welles Street. Kasjer wskazał swojego klienta. Był to William Vidler, przyjaciel Bossa McLaughlina. Agenci zakuli Vidlera w kajdanki i zaprowadzili go do Bankers Building, gdzie został przeszukany. W jego kieszeni znaleziono 2200 dolarów z okupu Bremera.

Vidler zeznawał. W piątek o 10.30 Pop Nathan poszedł wraz z oddziałem agentów do mieszkania Bossa McLaughlina, mieszczącego się w budynku przy West Jackson Boulevard, i wyprowadził starego polityka i jego syna w kajdankach. Tej nocy, gdy wieczorne wydania gazet pisały już o aresztowaniach, agenci zaczęli przesłuchiwać McLaughlinów w areszcie, licząc, że dzięki ich zeznaniom trafią na ślad gangu Barkera. Nikt nawet nie przypuszczał, że ten sam trop zaprowadzi ich do Dillingera.

Rezerwat Indian Lac Du Flambeau, Wisconsin 27 kwietnia, piątek

Tego samego ranka, gdy Pop Nathan zabrał Bossa McLaughlina do aresztu w Chicago, Ole Catfish wstał i wyszedł z pokoju, zostawiając tam śpiącego Baby Face Nelsona. Przez trzy dni życie w leśnej chacie płynęło gładko. Kobiety gotowały Nelsonowi posiłki, on zaś siedział całymi dniami w milczeniu, wpatrując się w las. W ten piątek około południa do chaty przyszedł jakiś traper, który rozmawiał z Catfishem; Nelson ukrył się w kuchni i ich obserwował. Później spytał Catfisha, kto to był. W miarę upływu czasu robił się coraz bardziej zdenerwowany. Około szóstej po południu powiedział, że musi już iść, i zażądał, by stary Indianin zaprowadził go do najbliższego miasta.

Catfish odmówił, twierdząc, że jest chory. Wtedy Nelson wyjął pistolet i rozkazał krótko: „Idziemy”. Ruszyli wzdłuż torów. Żona Catfisha, Maggie, szła za nimi, dopóki Nelson nie kazał jej zawrócić.

* Agenci przez cały dzień przesłuchiwali Bossa McLaughlina w jego mieszkaniu, ale on odmawiał składania zeznań. Podczas przesłuchania żona McLaughlina siedziała przy oknie i paliła papierosy. W pewnej chwili agenci zobaczyli, jak wyrzuca coś przez okno. Pani McLaughlin twierdziła, że był to niedopałek. Kiedy jednak agenci wyszli na zewnątrz, zobaczyli syna McLaughlina, Jimmy'ego, stojącego na chodniku i czytającego wiadomość, którą rzuciła mu matka. Treść brzmiała: „Agenci rządowi są tutaj od dziesiątej rano (...). Nie wchodź. Uciekaj. Zamkną cię w więzieniu”. Agenci schwytali chłopca, a on zaprowadził ich do swojej skrytki w Board of Trade, gdzie trzymał w kapeluszu zwitek pieniędzy Bremera.

Weszli w las, choć robiło się już coraz ciemniej. Catfish skarżył się, że boli go serce, przystawali więc co jakiś czas. Zapadła noc. Na niebie pojawił się księżyc w pełni.

Około dziewiątej, pokonawszy dziesięć kilometrów, natknęli się na ognisko, wokół którego siedziało trzech wędkarzy, znajomych Catfisha. Nelson podszedł do ognia i ogrzał sobie ręce. Po kilku minutach jakieś pięćdziesiąt metrów dalej zaparkował samochód.

- Chodź, sprawdzimy, co to za goście - powiedział Nelson do Catfisha. Zobaczyli dwóch Indian stojących obok chevroleta z 1928 roku.

Zaraz podjechał plymouth. Siedziało w nim dwóch miejscowych mieszkańców, którzy wybrali się na nocne wędkowanie. Kiedy mężczyźni przy chevroletcie gawędzili sobie spokojnie, Nelson podszedł do plymoutha i przyjrzał mu się uważnie.

- To twoje auto? - spytał kierowcę.

Jeden z mężczyzn obrzucił go ponurym spojrzeniem. Spytał, jakim prawem łowi ryby w rezerwacie. Nelson wyjął broń.

- To jest moje prawo - powiedział. - Wsiadajcie i ustawcie się obok tamtych.

Potem wyrwał kabel rozdzielacza w chevroletcie, unieruchamiając go w ten sposób.

Kazał Catfishowi wsiąść do plymoutha. Catfish zgiął się wpół, jakby przejęty wielkim bólem.

- Chory - powiedział.

Nelson wbił mu lufę między zebra i ponownie kazał wsiąść do samochodu. Sam usiadł za kierownicą, a potem zerwał toporek wiszący na szyi starego Indianina.

- Nie chcę, żebyś mnie zabił, kiedy będę prowadził - powiedział. Catfish doprowadził Nelsona do skrzyżowania z drogą stanową numer 70. Nelson wypuścił go wówczas z samochodu i odjechał, kierując się na południe. Przejechał przez Wisconsin, rankiem zatrzymał się w tawernie Cernocky'ego w Fox River Grove. Cernocky zaprosił go do środka i przygotował coś do jedzenia. Nelsonowi szczęście nadal sprzyjało. Pomimo wiadomości od Beth Green, pomimo faktu, że Emil Wanatka powiedział FBI, iż gang Dillingera do Little Bohemia wysłał Cernocky, pomimo podsłuchu i licznych rozmów z sąsiadami Cernocky'ego Purvis nie kazał obserwować tawerny.

W piątek rano, gdy Nelson jechał do Chicago, Dillinger i Van Meter byli z Dockiem Barkerem w mieszkaniu Yolneya Davisa w Aurorze. Dillinger siedział zgarbiony nad radiem, słuchał na zmianę audycji radiowych i częstotliwości policyjnych. Edna Murray przyglądała mu się uważnie. Urok Dillingera na nią nie działał. Uważała, że ten człowiek ma oczy zabójcy, a jego krzywy uśmiech przypominał jej raczej drwiący grymas. Dillinger ignorował ją i rzadko się odzywał, zwykle tylko przeklinając⁹. Był zły przede wszystkim na Louisa Cernocky'ego, który jego zdaniem doprowadził FBI do Little Bohemia; wraz z Dockiem Barkerem doszli wcześniej do wniosku, że to właśnie Cernocky zdradził Franka Nasha, doprowadzając tym samym do masakry w Kansas City. Dillinger i Van Meter mieli na sobie kamizelki kuloodporne, na kolanach trzymali pistolety maszynowe. Byli zmęczeni, zdenerwowani i brudni. Śmierć Hamiltona wstrząsnęła nimi oboma, szczególnie Dillingerem. Nikt nie chciał tak umierać.

Obaj rozluźnili się na moment, rozbawieni, kiedy usłyszeli w wiadomościach o pobycie Nelsona u Ole Catfisha.

- Cóż, Baby Face na pewno nie jest głodny - stwierdził Van Meter. - Miał ze sobą wielkiego suma*[* *Catfish* (ang.) - sum (przyp. tłum.)].

Prawdziwy wstrząs spotkał ich jednak dopiero pod koniec dnia, gdy zobaczyli wieczorne wydania gazet. Artykuły o aresztowaniu Bossa McLaughlina były na pierwszych stronach. Sytuacja wyglądała kiepsko. McLaughlin wiedział, że Davis mieszka w Aurorze. Dock Barker wyjaśnił całą sytuację Dillingerowi. Jeśli McLaughlin zdecydował się zeznawać, w każdej chwili w drzwiach mogli stanąć agenci FBI. Dillinger naradził się z Van Meterem. Nie mogli wyjechać bez nowego samochodu. Postanowili na razie nie wyjeżdżać. Dillinger

stwierdził, że jeśli przyjdzie po nich FBI, będą gotowi.

Gdy zapadła noc, wszyscy zajęli pozycje w salonie. Mieszkanie znajdowało się na parterze; mogli wyjść przez każde z trzech dużych okien prosto na chodnik. Dock Barker z pistoletem maszynowym Thompson usiadł przy jednym oknie, Van Meter przy drugim, a Dillinger przy trzecim. Volney Davis przechadzał się po ulicy, obserwując.

Minęła jedna godzina, potem druga. Edna Murray siedziała w sypialni, zamartwiając się, kiedy nagle Davis wpadł do mieszkania.

- Dock, chyba się zaczyna! - syknął do Barkera. - Są tutaj! Przy Czwartej zatrzymał się samochód, wysiadło z niego dwóch facetów, idą w tę stronę. Drugi zaparkował przy Fox Street, wyszło z niego trzech ludzi!

Podbiegł do szafy, wyciągnął z niej walizkę i rzucił na środek salonu.

- Króliczku, uciekaj stąd, wsiadaj do mojego auta - rozkazał Ednie Murray. - Przygotujmy się!

- Króliku, zostań tam, gdzie jesteś - odezwał się Dock Barker spokojnym, opanowanym głosem. - Nie wychodź z tego mieszkania. Jeśli zaczną się fajerwerki, schowasz się za mną i tym tommym*[* Tommy to pieszczotliwa nazwa pistoletu maszynowego Thompson popularnego zarówno wśród amerykańskich gangsterów, jak i policjantów w czasach prohibicji (przyp. tłum.)], a ja cię stąd wyprowadzę.

Nagle Barker zaklął i skierował pistolet na dwóch mężczyzn, którzy pojawili się po drugiej stronie ulicy. Jeden z nich zapalił papierosa. Barker pomyślał, że to dla agentów FBI sygnał do ataku. Podniósł broń.

- Nie rób tego, Dock! - warknął cicho Dillinger. - Poczekajmy, aż będziemy mieli pewność. Wtedy damy im popalić!

W pokoju zapadła cisza. Edna Murray słyszała własny oddech. Dwaj mężczyźni, do których mierzył Barker, przeszli dalej i zniknęli za rogiem. Barker opuścił broń. Chwila zagrożenia minęła. To nie było FBI.

Pozostali na miejscach z bronią gotową do strzału aż do późnej nocy, kiedy to przed mieszkaniem zaparkował kumpel Docka, Russell Gibson. Gdy otworzył drzwi, ujrzał przed sobą ciemny otwór lufy pistoletu Dillingera. Wszedłszy do środka, powiedział, że wszystko jest w porządku. McLaughlin nie sypał. Nikt jednak nie wiedział, jak długo to może trwać. Gibson namawiał wszystkich, by wyjechali jak najszybciej⁰. Dillinger przedyskutował to z Van Meterem. Postanowili zostać na następną noc.

Tymczasem w więzieniu powiatu Cook ludzie Purvisa przesłuchiwali Bossa McLaughlina do samego świtu. Dopiero gdy zagrozili, że postawią w stan oskarżenia jego

syna, stary spryciarz zdecydował się mówić. Powiedział, że trzy tygodnie wcześniej skontaktował się z nim pewien znajomy oszust, który przedstawił mu dwóch mężczyzn o nazwiskach „Smith” i „Jones”. McLaughlin twierdził z uporem, że nigdy nie dowiedział się niczego więcej o tych dwóch ani nie poznał żadnego z członków gangu Barkera. Powiedział jednak, że Smith i Jones zatrzymali się w Irving Park Hotel, a przyjechali prawdopodobnie z Toledo. Była to dla FBI pierwsza wskazówka, że Barkerowie przebywają w Toledo, lecz w zamieszaniu wokół sprawy Dillingera Purvisowi umknęła. Później, gdy sprawdzano rozmowy telefoniczne doktora Morana, znalazło się wśród nich kilka połączeń z Toledo, lecz ludzie Purvisa nie zajmowali się tym tropem przez długie miesiące.

Mieli za dużo na głowie. Purvis zmagał się z prawdziwym potopem informacji spływających do FBI po historii z Little Bohemia. Wciąż pojawiały się nowe tropy, w większości bezwartościowe. Dillinger nie żyje, Dillinger jest w Kalifornii, Dillinger jest w Kanadzie. Reporterzy rozbili już niemal stały obóz w holu przed biurkiem Doris Rogers; zasypywany pytaniami Purvis nie mógł spokojnie przejść do łazienki. Co gorsza, każdy szeryf w Indianie był pewien, że Dillinger ukrywa się na jego terenie, i każdy z nich chciał, by go wysłuchano. Przez cały ten tydzień, gdy Dillinger siedział w Aurorze, dogłębnie umierającego Johna Hamiltona, Purvis coraz to wysyłał ludzi do różnych miast i miasteczek, by sprawdzić nowe tropy: w środę było to East Chicago, w czwartek Muncie, w piątek Fort Wayne, w sobotę South Bend. Wszystkie sygnały okazały się fałszywe.

Trzy kobiety Dillingera schwyte w Little Bohemia i przewiezione do aresztu w Madison, w stanie Wisconsin, nie wniosły właściwie nic nowego do sprawy. Oskarżone o współudział w przestępstwie i udzielanie pomocy zbiegowi, podawały fałszywe nazwiska, opowiadały zmyślane historie. Po kilku dniach Jean Delaney i Mickey Conforti postanowiły w końcu zeznawać, lecz podane przez nich informacje nie na wiele się agentom przydały. Conforti zdradziła swoje prawdziwe nazwisko, utrzymywała jednak, że nie miała pojęcia, iż jej chłopak, „Wayne Hunter”, to w rzeczywistości Homer Van Meter. Agenci znaleźli niepełnosprawną matkę Conforti w sanatorium w pobliżu Chicago i zasypali ją pytaniami, choć biedna kobieta nie potrafiła nawet utrzymać śliny w ustach. Sam fakt, że FBI przetrzymywało w areszcie kobiety, był powodem do drwin. Komentując zatrzymanie Billie Frechette, prześmiewcy mówili, że Biuro może nie zawsze chwyta właściwego faceta, ale za to zawsze dopadnie jego kobiety.

Purvis miał jeszcze samochody. Agenci znaleźli auta, którymi uciekali Nelson i Tommy Carroll, porzucone na bocznych drogach w północnych lasach. Znaleźli też samochód, który zepsuł się Nelsonowi w drodze do Little Bohemia. Sprawdzili dobrze dwa

wozy, które Dillinger zostawił w garażu w Little Bohemia. Nie znaleźli niczego, co mogłoby im pomóc.

Purvis wielkie nadzieje wiązał z szesnastoma sztukami bagażu porzuconego przez gang. Znalaziono ogromną kolekcję broni i tablic rejestracyjnych oraz ubrania - czarne garnitury, zielone krawaty, niebieskie jedwabne płaszcze kąpielowe - a także wiersze Mickey Conforti, książkę z biblioteki w St. Paul. Najlepszym tropem była wizytówka znaleziona w torbie Nelsona. Widniało na niej nazwisko kapłana Philipa Coughlina, starego przyjaciela rodziny, którego agenci odnaleźli na przedmieściach Chicago, w Wilmette. Coughlin zgodził się współpracować i dołożył kolejne fakty do rosnącej kartoteki Nelsona*[* Biuro zaczęło gromadzić materiały dotyczące Nelsona po marcowym napadzie na bank w Mason City, w stanie Iowa, kiedy pracownik banku rozpoznał go na fotografii. Purvis nie miał w tym czasie pojęcia, że w napadzie brał udział również Dillinger. Dopiero po Little Bohemia agenci poniewczasie zrozumieli, że Nelson i Dillinger pracują razem.]. Purvis kazał obserwować siostrę i matkę Nelsona.

W sobotę wieczorem, gdy agenci nadal przesłuchiwali Bossa McLaughlina, Volney Davis pojechał do Chicago i ukradł auto dla Dillingera. Nazajutrz Dillinger i Van Meter podziękowali Dockowi Barkerowi za pomoc i zostawiwszy swój zakrwawiony samochód przy North Side, pojechali do East Chicago, gdzie po dwóch dniach udało im się ponownie spotkać z Tommym Carrollem.

Następnego wieczora, w środę 2 maja, wszyscy trzej zatrzymali się za drewnianym domem w Fort Wayne. Dom należał do Audrey G. Russa, robotnika budowlanego, który znał rodzinę Van Meta. Wystraszony pojawieniem się w jego progach najbardziej poszukiwanego człowieka w kraju, zgodził się ich przenocować. Jego żona i jedenastoletnia córka przyglądały się ze zdumieniem, jak Dillinger taszczy z samochodu cztery pistolety maszynowe, kilka kamizelek kuloodpornych i plik ponad dwudziestu tablic rejestracyjnych.

Według raportu FBI Dillinger raczył przerażoną rodzinę szczegółami ucieczki z Crown Point i Little Bohemia. „Twierdził, że nigdy nie da się schwytać żywcem i nim kiedyś odejdzie, zabierze ze sobą kilku innych, co miało zapewne oznaczać, że nim zostanie ujęty, zabije kilku funkcjonariuszy - głosił raport. - Stwierdził również, że czuje się urażony faktem, iż zdaniem wielu gazet udało mu się zbiec z więzienia Crown Point dzięki przekupstwu, i że pozbawiono go w ten sposób uznania, jakie należało mu się za ten najlepszy podstęp w jego życiu. Dodał też, że poradził sobie z dziesięcioma urzędnikami i siedmioma ludźmi szeryfa, nim dostał w ręce prawdziwą broń”.

Dillinger śmiał się ze ścigających go policjantów, nazywając ich „bandą

nieudaczników”. Mówił, że obawia się tylko „federalnych”; mogli wszędzie dojechać, wydawać, ile chcą, a nawet wynajmować samoloty. Mówiąc, pocierał nogę, w którą został raniony w St. Paul. Uraził ją sobie dodatkowo, jak twierdził, podczas stłuczki kilka dni wcześniej, kiedy Tommy Carroll stracił panowanie nad kierownicą i wjechał w drzewo¹.

Następnego ranka Dillinger i Van Meter poprosili o steki na śniadanie. Byli głodni; czekał ich trudny dzień. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy mieli obrabować bank.

Choć Purvis zaprzepścił szansę na schwytanie Dillingera w Aurorze, w poniedziałek 30 kwietnia nabrał przekonania, że zaczyna robić postępy. Po przesłuchaniu Bossa McLaughlina agenci wysłani do hotelu Irving Park zidentyfikowali tajemniczych „Smitha i Jonesa” jako Russella Gibsona i Izzy’ego Berga; odźwierny zeznał, że ci dwaj od kilku tygodni pracowali nad czymś z doktorem Moranem. Niestety, Moran i jego kumple zniknęli w poprzedni piątek, kiedy gazety doniosły o aresztowaniu McLaughlina. Agenci rozjechali się po całym Chicago, przepytując wszystkich, którzy znali Morana, i licząc na to, że wcześniej czy później trafiana trop jego hulaszczej zgrai.

Tymczasem w Indianie Earl Connelley coraz mocniej naciskał na rodzinę Dillingera. Jego ludzie od tygodni przesłuchiwali Huberta

* Podczas tych poszukiwań Purvis znalazł pierwszego z uciekinierów z Little Bohemia. Była to Pat Cherrington. Opuściwszy Little Bohemia, Cherrington i barmanka Harry’ego Sawyera, Pat Reilly, wróciły do St. Paul. Po tygodniu Cherrington wsiadła do pociągu do Chicago. Wcześniej wysłała telegram do szwagierki, prosząc, by czekała na nią na dworcu. FBI, które inwigilowało krewnych Cherrington, przejęło telegram; agenci wsiadli do pociągu na stacji w Janesville, w stanie Wisconsin, i pojechali za Cherrington do Chicago, a potem do Detroit. Po miesięcznej obserwacji, która jednak nie przyniosła żadnych nowych tropów w sprawie Dillingera ani kogokolwiek innego, pod koniec maja agenci aresztowali Cherrington. Została skazana na rok więzienia w federalnym więzieniu dla kobiet.

Dillingera i innych krewnych. Najbardziej uległy okazał się siostrzeniec gangstera, Norman Hancock. Tego dnia Connelley namówił Hancocka, by pojechał do Johna Dillingera seniora i pomógł mu przy wznoszeniu płotu. Umówili się, że jeśli Hancock odkryje, iż Dillinger ukrywa się w domu ojca, wyjmie chusteczkę i wytrze twarz. Ponad dwudziestu policjantów z Indianapolis czekało w pobliżu na umówiony znak. Connelley i sześciu innych agentów ukryło się w stogach siana i budynkach gospodarczych, gdy Hancock zajechał przed dom i zniknął w jego wnętrzu. O drugiej dziesiątej wyszedł wraz ze starszym Dillingerem na ganek. Wyjął chusteczkę i dwukrotnie otarł twarz.

Gdy Hancock i pan Dillinger szli spokojnie drogą, by zająć się budową płotu, nagle

zatrzymało się obok nich kilka samochodów FBI. Agenci wyskoczyli na drogę i otoczyli ich, a potem odprowadzili na bok, na przesłuchanie. Hancock wydawał się zaskoczony. Gdy tylko oddalili się od pozostałych, powiedział Connelleyowi, że to pomyłka. Dillingera nie było w domu. Tego ranka pan Dillinger otrzymał anonimowy list z informacją, że syn przebywa w Minnesocie, cały i zdrowy. Hancock twierdził uparcie, że dał umówiony sygnał tylko po to, by poinformować FBI o liście¹².

Connelley był wściekły. Agenci wsiedli z powrotem do swoich aut; policjanci z Indianapolis się wycofali. Nazajutrz Matt Leach skarżył się dziennikarzom, że przedwczesna akcja Connelleya zniweczyła wszelkie szanse na schwytanie Dillingera w Indianie. Wzajemna niechęć między policją stanową a FBI narastała z każdą godziną.

Dwa dni później, w środę 2 maja, znaleziono w North Side samochód, który Dillinger ukrał w pobliżu St. Paul. Ślady krwi na tylnym siedzeniu świadczyły o tym, że któryś z członków gangu został ranny. Nagłówki wieczornych wydań gazet krzyczały, że Dillinger wrócił do miasta i prawdopodobnie liże się z ran. Purvis nie był tego taki pewien. Przypuszczał, że samochód to fałszywy trop, który ma skłonić agentów, by skoncentrowali poszukiwania na Chicago. Choć raz miał rację.

Fostoria^ Ohio

3 maja, czwartek

Popijając kawę z termosów, Dillinger, Van Meter i Tommy Carroll jechali na wschód od Toledo, gdzie ukradli kolejny samochód. Kończyły im się pieniądze. Van Meter powiedział, że zna pewien bank.

Mieszkańcy Fostorii, węzła kolejowego położonego sześćdziesiąt pięć kilometrów na południe od Toledo, uważali, że bank w ich miasteczku jest wystarczająco zabezpieczony przed włamaniem. Zdaniem policji, ogromna liczba pociągów przejeżdżających przez to miasto utrudniała przygotowanie planu ucieczki i skutecznie zniechęcała przestępców. Van Meter znał jednak to miejsce z dzieciństwa, gdy przyjeżdżał tu na wakacje. Ani on, ani Dillinger nie poświęcili zbyt wiele czasu na dokładną obserwację First National Bank ani na przygotowanie ucieczki. Po prostu potrzebowali pieniędzy.

O 14.50, gdy bank przygotowywał się do przerwy o 15.00, do środka weszli dwaj mężczyźni, którzy pod długimi płaszczami kryli pistolety maszynowe. Przekonali się, że hol, choć niemal całkiem pusty, ze względu na swój kształt może im pokrzyżować plany; nad podłogą wznosiła się antresola, a z boku odchodziły dwa dodatkowe wyjścia: jedno z nich

prowadziło do sklepu jubilera, O.C. Harding Jewelry Store, drugie do apteki. Podczas gdy Tommy Carroll czekał na zewnątrz przy samochodzie, Van Meter przełożył pistolet nad balustradą i wycelował w kasy.

- Pakować pieniądze! - krzyknął.

Dillinger nie okazywał tego dnia radości, nie bawił się w uprzejmości i uśmiechy, z których słynął do tej pory; skończyły się czasy, gdy przeskakiwał przez barierki przed kasami. Teraz robił wszystko niemal mechanicznie, z ponurą, zaciętą miną. Gdy pracownicy banku podnieśli ręce, Dillinger przeszedł przez drzwi wahadłowe i zaczął zsuwać do toreb sterty banknotów leżące na ladzie. Van Meter zebrał w jedną grupę wszystkich kasjerów i kilku innych pracowników. Dwie kobiety zaczęły krzyczeć.

- Nie zabijaj mnie! - błagała jedna z nich.

- Siedz cicho, to cię nie zabiję - odparł Van Meter¹³.

Rabusie nie zauważyli, że jeden kasjer, Frances Hillyard, wymknął się na zewnątrz. Hillyard odszukał szefa miejscowej policji, Franka Culpa. Culp w drodze do banku wpadł na pewien pomysł; gdyby udało mu się dostać na antresolę, miałby przewagę i mógłby przegonić włamywaczy. Kiedy wpadł do holu, zobaczył, że winda prowadząca na antresolę stoi na piętrze. Van Meter strzelił do niego; pocisk uderzył Culpa w pierś i rozerwał mu płuco. Culp zdołał wycofać się do sklepu jubilera i zaczął krzyczeć, wzywając policjantów¹⁴.

Gdy Tommy Carroll usłyszał strzał, wyszedł z samochodu i zaczął strzelać na oślep. Pociski rozbijały okna wzdłuż całej ulicy, przechodnie rzucali się na ziemię. Ci, którzy zrobili to za wolno lub mieli pecha, zostali postrzeleni, jeden mężczyzna w łydkę, inny w stopę. Tymczasem Dillinger pospiesznie pakował resztę pieniędzy z lad; później prezes banku oszacował straty na ponad 17 000 dolarów. Jeden z klientów usłyszał, jak Van Meter mówi:

- Przed głównym wyjściem robi się za gorąco. Chodźmy przez aptekę.

Pochwycili dwoje pracowników, mężczyznę i kobietę, i pchając ich przed sobą, przeszli przez aptekę. Gdy znaleźli się na zewnątrz i wskoczyli do samochodu, kazali stanąć zakładnikom na stopniach przy drzwiach. Van Meter mocno trzymał kobietę za rękę, kiedy samochód ruszył z rykiem silnika w dół Tiffin Street. Pojechali na zachód, rozrzucając za samochodem gwoździe papowe. Za miastem puścili zakładników wolno*[* Pomimo zeznań naocznych świadków, którzy jednoznacznie zidentyfikowali Van Metera, wielu historyków uznaje wydarzenia z Fostorii za jeden z wielu niepotwierdzonych napadów przypisywanych Dillingerowi. Mieszkańcy miasta twierdzili uparcie, że napadu dokonał Dillinger, choć miejscowy historyk, Paul Krupp, pisał w 1981 r.: „Nie ma żadnych poważnych dowodów na to, że Dillinger przyjechał tego dnia do miasta”. Jednak dokumenty FBI potwierdzają udział

Dillingera w napadzie; samochód, którym przestępcy uciekli z Fostorii, miał takie same tablice rejestracyjne jak auto, którego Dillinger użył podczas swojego następnego napadu, w czerwcu.].

Tymczasem w Fort Wayne stary przyjaciel Van Metera, Audrey Russ, umierał ze strachu, że Dillinger wróci do jego domu. Spotkał się ze swoim szefem z Western Gas Construction Company, opowiedział mu o wszystkim i spytał o radę. Szef Russa poznał kiedyś agenta FBI w South Bend, WJ. Devereaux. W ten czwartek, gdy Dillinger pojechał do Fostorii, zadzwonił do Devereaux i nie podając swego nazwiska, opisał pokrótce, co się stało. Devereaux miał wrażenie, że rozpoznał głos w słuchawce. Zadzwonił do Chicago, poinformował o wszystkim Purvisa i spytał, czy ma sprawdzić tę wiadomość. Purvis kazał mu się na razie wstrzymać.

Wkrótce miał pozałować tego rozkazu.

Frustracja w szeregach FBI, wywołana nieudanym najazdem na Little Bohemia, narastała i po dwóch tygodniach osiągnęła temperaturę wrzenia. Choć w każdej innej jednostce rządowej dawno już pojawiłyby się wzajemne oskarżenia, w łonie FBI nigdy wcześniej nie dochodziło do podobnych tarć; pośród wielu trudnych akcji przeprowadzonych w 1934 roku tylko Little Bohemia wywołała takie reakcje.

Pierwszy podniósł głos SAC z St. Paul, łagodnie zazwyczaj usposobiony Werner Hanni. Hanniemu najwyraźniej nie podobał się fakt, że jego biurem kierują inspektor Rorer i Hugh Clegg, a już całkiem się wściekł po historii w Little Bohemia. Kroplą, która przelała czarę goryczy, było nocne spotkanie na bocznej drodze z uciekającym Baby Face Nelsonem; Hanni był tym głęboko wstrząśnięty. Jego gniew wyszedł na jaw, gdy Clegg, przeglądając papiery na biurku, trafił na list Hanniego adresowany do Hoovera, choć nigdy doń niewysłany. List zawierał, między innymi, takie stwierdzenia:

Nie istnieje żaden dobry argument, który mógłby wyjaśnić, dlaczego Dillinger i jego współlnicy zdołali uciec. Nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że akcja została źle zorganizowana, a dowódcom zabrakło rzetelnej wiedzy i właściwego osądu sytuacji. Autor tego listu oraz jego towarzysze wpadli w śmiertelną pułapkę. Wydaje się, że nie przeprowadzono żadnych przygotowań, mimo że dowódcy dysponowali wcześniej planem okolicy. Gdyby nie nadspodziewanie dobre traktowanie ze strony kierowcy, który oślepił blaskiem reflektorów autora, biuro bez wątpienia straciłoby czterech agentów więcej.

Hanni miał kilka gorzkich słów niemal dla każdego. Skrytykował inspektora Rorera, że nie chciał pomóc przy niesieniu ciała Cartera Bauma; Rorer, jak pisał Hanni, skarżył się na „ból w plecach”. Nie ograniczył też swych ataków do wydarzeń z Little Bohemia.

Skrytykował Clegga, choć nie wymienił go z nazwiska, za zadreęczanie jego ludzi pytaniami o śmierć Eddiego Greena, a tym samym opóźnianie pościgu za Dillingerem.

Gdyby wieczorem 3 kwietnia, kiedy wszyscy pracownicy biura w St. Paul, łącznie z autorem, pracowali bez wytchnienia, ludzie prowadzący śledztwo podjęli odpowiednie środki zmierzające do sprawdzenia świeżych tropów, a nie zajmowali się przepytывaniem agentów, odrywaniem ich od pracy i ustalaniem, czy zabójstwo Greena było usprawiedliwione, czy też nie, uzyskano by zapewne informacje, które umożliwiłyby pojmanie Dillingera.

Wszyscy, których dotknęła krytyka Hanniego, napisali ostre w tonie notatki, zdecydowanie broniąc się przed zarzutami. Gdy Hoover badał tę sprawę, otrzymał znacznie bardziej niepokojącą wiadomość. Prokurator z Departamentu Sprawiedliwości, Joe Keenan, powiedział mu, że słyszał z wiarygodnego źródła historię o tym, jak agenci w Little Bohemia zbuntowali się przeciwko Purvisowi i Cleggowi i zamknęli ich w szopie, podczas gdy Dillinger uciekł. Hoover domagał się od Keenana, by ujawnił źródło tych wiadomości, a Keenan podał mu w końcu nazwisko byłego agenta, Thomasa Cullena. Agenci przesłuchali Cullena i potwierdzili, że jest autorem tej opowieści.

Hoover przekazał tę sprawę Popowi Nathanowi, przykazując mu, by „przeprowadził bardzo dokładne i energiczne śledztwo”¹⁵. Raport Nathana, przedstawiony trzy tygodnie później, oczywiście bronił wszystkich posunięć Biura i ostro krytykował biednego Hanniego. Zdaniem Nathana zarzuty Hanniego były „zupełnie absurdalne” i „wskazywały na nie zrównoważony i, być może, rozhisteryzowany stan umysłu”¹⁶. Hanni został cichcem odwołany z St. Paul i przeniesiony do Omaha.

Minęło wiele czasu, nim jakikolwiek agent ponownie ośmielił się skrytykować Biuro.

Wydarzenia z Little Bohemia przekonały Dillingera, że na razie nie może uważać żadnej kryjówki za bezpieczną. Kilka nocy spędził wraz z Van Meterem, kuląc się w przeciekającej szopie w pobliżu East Chicago, aż wreszcie przyszedł im na ratunek Baby Face Nelson*[* Choć starał się nie pokazywać w Chicago - wciąż obawiał się gniewu Franka Nittiego - Nelson, w odróżnieniu od Dillingera, miał w tym mieście całą sieć kontaktów. Potrzebował ich. Po krótkim pobycie w barze Louisa Cernocky’ego skontaktował się z Jimmym Murrayem, starym paserem, który był właścicielem zajazdu Rain-bo Inn w South Chicago. Murray zorganizował słynny napad braci Newton na pociąg w Roundout, w stanie Indiana, w 1924 r. Odsiedziawszy wyrok w więzieniu federalnym w Atlancie, wrócił do Chicago i do swojej działalności. FBI ustaliło później, że tej jesieni handlował skradzionymi obligacjami zarówno dla gangu Nelsona, jak i Dillingera. Po Little Bohemia pozwolił Nelsonowi zatrzymać się w jego chacie w Wauconda, na północny zachód od miasta, gdzie

Nelson spędził większą część maja. Tam spotkał się ponownie z Carrollem i swoim pomagierem z Kalifornii, Johnnym Chase'em.].

W poniedziałek 7 maja, cztery dni po napadzie w Fostorii, Nelson kupił czerwoną furgonetkę, forda A (wielu właścicieli sklepów spożywczych woziło takimi autami towar), z zamkniętą tylną częścią, tylną szybą i odsuwanymi drzwiami. Dillinger zamierzał używać furgonetki jako ruchomej kryjówki, i tak też zrobił; w tylnej części samochodu ułożyli z Van Meterem podwójny materac, na którym spali. Przez kilka dni jeździli po bocznych drogach Indiany, planując następny ruch. Dillinger chciał przede wszystkim poddać się operacji plastycznej; o kontakt z lekarzem prosił Louisa Piąquetta od tygodni.

Późnym wieczorem w środę, 9 maja, gdy nie mieli już nic do jedzenia, Dillinger i Van Meter zatrzymali się za domem Audrey Russa w Fort Wayne. Gdyby Purvis skorzystał z tropu, który tydzień wcześniej podrzucił mu szef Russa, czekali by już tam agenci. Ponieważ jednak tak się nie stało, Russ musiał wygramolić się z łóżka i wpuścić Dillingera do środka, a jego żona przygotować posiłek. Zarówno Dillinger, jak i Van Meter wyglądali na wyczerpanych. Byli ubrani w dżinsowe ogrodniczki, koszule robocze i zniszczone czapki. Pani Russ zauważyła, że Dillingerowi wciąż dokucza noga; chwiał się, wchodząc na schody. Gangsterzy prawie się nie odzywali podczas posiłku, a zaraz potem wyszli.

Następnego ranka Audrey Russ ponownie poszedł do swego szefa. Razem zadzwonili do FBI, tym razem ujawniając swoje nazwiska, i opowiedzieli o drugiej wizycie Dillingera. Był to najlepszy trop FBI od czasu Little Bohemia. Choć Purvisowi ciągle brakowało ludzi, postanowił umieścić trzech agentów w domu Russa. Gdyby Dillinger znów tam przyjechał, byli gotowi na jego przyjęcie*[* Purvis zaprzepaścił kolejną szansę, nie rozsyłając informacji o czerwonej furgonetce, którą jeździł Dillinger. Russowie podali FBI dokładny opis samochodu, nie znali jedynie numerów rejestracyjnych.].

Indianapolis, Indiana 10 maja, czwartek

Było to kolejne leniwe, wiosenne popołudnie na stacji benzynowej Dillingerów przy LaSalle Street. Jakiś chłopiec jeździł przed stacją na rowerze, kreśląc koła w piachu. Kuzyn Dillingera, Fred Hancock, czekał na klienta o 15.45, kiedy zauważył jakiegoś obcego człowieka stojącego obok beczki z paliwem w rogu podwórka. Nieznajomy był nieogolony, nosił ogrodniczki, kamizelkę i okulary bez ramek. Gdy klient już wyszedł, nieznajomy zbliżył się do okienka stacji i zapukał w szybę. Hancock spojrzał mu w oczy i zdumiał się: to był Dillinger. Agent FBI, Whitson, siedzący w samochodzie po drugiej stronie ulicy, również go zobaczył.

Dillinger wręczył Hancockowi małą paczkę. W środku były mniejsze paczki zawierające 1200 dolarów w banknotach: 300 dla jego ojca, 300 dla matki Hancocka, Audrey, i po 100 dla Hancocka i Huberta Dillingera. „Przekaż mojemu ojcu - mówił Dillinger Hancockowi - że jeśli coś mi się stanie, powinien dać trochę pieniędzy Billie”. Potem odszedł.

Agent Whitson obserwował z samochodu, jak nieznajomy przechodzi przez LaSalle i idzie w stronę Washington Street. Dojrawszy głęboki dołek w jego brodzie, wysiadł z samochodu i ruszył za nim. Mężczyzna szedł szybko, dotarł do rogu Washington Street jakieś trzydzieści metrów przed Whitsonem. Agent podbiegł do skrzyżowania i wyjrzał za róg - nic. Mężczyzna zniknął. Whitson przeszedł się wzdłuż ulicy, zaglądając do zaparkowanych przy chodniku aut. Nic. Po chwili wrócił do swego samochodu, opisał incydent w notatniku i zapomniał o nim. Uznał, że był to zapewne jakiś menel*[* Agenci FBI poznali prawdziwą tożsamość „menela” dopiero kilka miesięcy później, kiedy Hancock opisał ten incydent dziennikarzowi.]

Dillinger obrastał coraz większą legendą. Mimo że od czasu Little Bohemia policja i FBI nie mogły trafić na jego trop, po trzech tygodniach od owych wydarzeń większość amerykańskich dzienników codziennie pisała o poszukiwaniach, a gazety w Chicago zamieszczały nawet trzy lub cztery relacje dziennie. Wydawało się, że każde doniesienie związane z Dillingerem, choćby najbardziej absurdalne, jest dobrym pretekstem do napisania nowego artykułu.

„Pan Dillinger - pisał felietonista „Chicago Tribune”, gdy histeria sięgała szczytu - widziany był wczoraj w Chicago, gdzie oglądał rękawiczki w sklepie przy State Street; wczoraj także kupował w Springfield, w stanie Illinois, dwunastocylindrowy samochód; w Omaha, w Nebrasce, kupił sześć eleganckich krawatów; zastanawiał się nad kupnem podmiejskiego domku w swoim rodzinnym mieście Mooresville, w stanie Indiana, gdzie spotkał się także ze starymi przyjaciółmi; wypił szklankę wody mineralnej w sklepie w Charleston, w Karolinie Południowej; spacerował z laseczką po Broadwayu w Nowym Jorku. Kupił też wędkę w sklepie sportowym w Montrealu i zjadł kolację w hotelu w Yucatan, w Meksyku. Wydaje się jednak, że pan Dillinger starannie unika Londynu, Berlina, Rzymu, Moskwy i Wiednia, a nawet jeśli pojechał wczoraj do tych miejsc, to podróżował incognito”¹⁷. Dziennikarz pisma „Time” stwierdzał: „Jeśli John Killer Dillinger rzeczywiście był we wszystkich tych miejscach, w których widziano go rzekomo w ciągu ostatniego miesiąca, to musiał skakać po całym kraju niczym jakiś obłąkany indiański duch”¹⁸.

Spora część prasy traktowała obławę na Dillingera jak zabawną historię przygodową. W numerze z 7 maja „Time” przedstawił ją jako grę planszową, osadzoną w „Krainie

Dillingera”, na Środkowym Zachodzie. GRA ZACZYNA SIĘ TUTAJ głosił napis nad Crown Point. Artykuł zamieszczony w „Time” starał się przedstawić Dillingera jako amerykańskiego antybohatera. „Wielcy desperado, wyrastają z małych urwisów. Kiedy John Dillinger miał 10 lat, podobnie jak Tom Sawyer był biednym chłopcem ze wsi. Czasami marzył pewnie o tym, by zostać następnym Abrahamem Lincolnem albo Jesse Jamesem... ale raczej nie o tym, że stworzy wielką, niezapisaną jeszcze odyseję: Przez Środkowy Zachód z pistoletem maszynowym”.

Ton tego, jak i wielu innych artykułów sugerował, że Dillinger jest nieszkodliwym Strusiem Pędziwiatrem ściganym przez niezdarne i pechowe Kojota. Nic dziwnego, że taki punkt widzenia przejęły dzieci. Kiedy pewien skaut, Richard Neff, zwiedzał biuro gubernatora Indiany, dziennikarz spytał go, co sądzi o Dillingerze. „Osobiście jestem za nim”, odparł chłopiec. Dojrzawszy zdumienie na twarzy gubernatora, dodał niepewnie: „Bo ja zawsze jestem za słabszymi”¹⁹.

Właśnie ten aspekt historii Dillingera, podkreślany przez szeroko publikowane zdjęcia i wywiady z Crown Point, wzbudził w społeczeństwie reakcje, które zdaniem wielu zostały przez rząd zlekceważone. Widzowie kinowi w Chicago i Nowym Jorku bili brawo, gdy w kronikach filmowych pojawiała się twarz Dillingera. Magazyn „Detective” przeprowadził wśród właścicieli kin sondaż, z którego wynikało, że Dillinger wzbudza większy entuzjazm niż Roosevelt czy

Charles Lindbergh. Redaktor naczelny magazynu pisał: „Gdyby ułożyć według tych danych ranking popularności, Dillinger zająłby pierwsze miejsce, prezydent Roosevelt drugie, a pułkownik Lindbergh trzecie, co oznacza, że obecnie największym bohaterem narodowym jest ten notoryczny złodziej, bandyta i bezlitosny morderca!”.

W miarę jak rosła sława Dillingera, jego nazwisko zostało, co nieuniknione, wciągnięte w debatę polityczną. Był już ulubieńcem londyńskich brukowców, a nazistowskie gazety w Niemczech używały jego historii jako argumentu za przymusową sterylizacją wszystkich przestępców. Tymczasem w Waszyngtonie prokurator generalny Homer Cummings wykorzystał przypadek Dillingera do przeforsowania kilku aktów prawnych ograniczających przestępczość, między innymi ustawy, zgodnie z którą zabicie agenta federalnego stało się przestępstwem federalnym, o co Hoover zabiegał od lat. Wszystkie te ustawy zostały przyjęte przez Izbę Reprezentantów 5 maja, choć kilku senatorów republikańskich nadal krytykowało FBI. Presja na administrację Roosevelta rosła z każdym dniem. „Wygląda na to, że jeśli demokraci nie dopadną Dillingera, mogą przegrać jesienne wybory”, pisał Will Rogers.

W sprawę zaangażował się sam prezydent. Nie wymieniając Dillingera z nazwiska, zaapelował do radiosłuchaczy, by współpracowali z władzami w walce z przestępczością. Mówił: „Nie można skutecznie zaprowadzić porządku i wyeliminować gangsterów, dopóki znacząca część społeczeństwa patrzy pobłażliwie na dokonania znanych przestępców albo przyklaskuje próbom wyidealizowania zbrodni”.

Codziennie nadchodziły nowe doniesienia o domniemanym miejscu pobytu Dillingera, niemal wszystkie fałszywe. 4 maja, po tym jak Louis Piquett wygłosił żartobliwy komentarz w rozmowie z pewnym dziennikarzem, pojawiło się mnóstwo artykułów sugerujących, że Dillinger ucieka do Anglii; kanadyjskie, brytyjskie i amerykańskie władze na próżno przeszukiwały dziesiątki transatlantyków. Każdego dnia ludzie Purvisa jechali do innego miasta, by sprawdzić wiarygodność kolejnych zgłoszeń; każdego wieczora wracali na osiemnaste piętro, zmęczeni i przybici. Dwaj agenci zbadali szczegóły napadu na bank w Fostorii, nie byli jednak przekonani, że to dzieło Dillingera; dopiero dwa miesiące później Biuro zmieniło zdanie w tej kwestii. Według jednego z dziwniejszych doniesień, które agenci sprawdzali kilkakrotnie, Dillinger otrzymywał zaszyfrowane wiadomości z pirackiej stacji radiowej. Pomimo dziesiątek podobnych sygnałów FBI nigdy nie namierzyło takiej stacji.

Praktycznie jedyną nadzieją Purvisa była wówczas zasadzka w domu Audrey Russa w Fort Wayne. Dla agentów, którzy na zmianę pełnili tam straż, był to jednak prawdziwy koszmar. Działo się tak za sprawą pani Russ, którą jeden z agentów opisał jako osobę „chciwą i skąpą”. W jednej z notatek agent John T. McLaughlin nazwał ją wręcz „obłąkaną”. Pani Russ oskarżała agentów między innymi o to, że pluli na podłogę, porysowali jej fortepian i strzelali przez okno. Agenci płacili jej dwa i pół dolara dziennie, ale wkrótce pani Russ zażądała - i otrzymała - trzy dolary. „Wydawało się, że zależy jej jedynie na tym, by wyciągnąć od agentów jak najwięcej pieniędzy i dawać im jak najmniej jedzenia”, skarżył się agent McLaughlin. W miarę jak mijały kolejne dni, a Van Meter i Dillinger nie pojawiali się w domu Russów, agenci zaczęli podejrzewać, że pani Russ zmyśliła całą tę historię, by zarobić trochę rządowych pieniędzy²⁰.

W Mooresville ludzie Earla Connelleya prowadzili całodobową obserwację domu Dillingera, nikt jednak nie wierzył, by Dillinger zamierzał tam wrócić. W akcie desperacji Purvis wysłał agentów do wszystkich, którzy kiedykolwiek znali Dillingera, między innymi do Williama Shawa, jego nastoletniego partnera z poprzedniego lata, oraz Mary Longnaker, mieszkanki Dayton, z którą Dillinger kiedyś romansował. Inni agenci przepytывali znajomych z dzieciństwa Baby Face Nelsona i kilka byłych dziewczyn Tommy'ego Carrolla. Żaden z tych ludzi nie powiedział im niczego ciekawego. W tym momencie Purvis nie miał

nic. Kompletnie nic.

Przez dwa tygodnie Dillinger i Van Meter pozostawali w swej ruchomej kryjówce, czerwonej furgonetce. Kiedy chcieli się wykąpać albo po prostu mieli dość jazdy samochodem, zatrzymywali się na kempingach. Kilka dni spędzili w chacie w pobliżu Crown Point. Wciąż mieszkali w furgonetce, kiedy 19 maja Dillinger odnowił kontakt z Artem O'Learym. O'Leary pojechał do tawerny na przedmieściach Chicago i czekał tam do zmroku na przyjazd Dillingera. Jechał za jego furgonetką, dopóki nie zatrzymała się na poboczu w ustronnym miejscu.

Dillinger był chory. Zdaniem O'Leary'ego miał wysoką temperaturę, 40 stopni. O'Leary wsiadł do furgonetki i razem wybrali się na leniwą przejażdżkę po bocznych drogach. Dillinger prowadził i rozmawiał, podczas gdy Van Meter pozostał z tyłu i wyglądał przez okna, trzymając pistolet maszynowy w pogotowiu. Dillinger był w kiepskim nastroju. Potrzebował lekarza, ale bał się pójść do kogoś, kogo nie znał. Pytał o Billie Frechette, której proces odbywał się właśnie w St. Paul, oraz o operację plastyczną, na którą wciąż chciał się umówić z Piquettem. Poprosił, by O'Leary przyjechał następnego dnia z lekarstwem i syropem na kaszel.

Następnego wieczora O'Leary przywiózł Dillingerowi syrop i pół litra whisky. Zarówno stan zdrowia, jak i nastrój Dillingera polepszyły się nieco. Dillinger poczuł się jeszcze lepiej, gdy O'Leary wręczył mu wiadomość od Frechette, która wciąż przebywała w więziennej celi w St. Paul. Billie błagała w liście, by nie próbował jej uwolnić. Skończyłoby się to jej śmiercią. Obiecywała, że odsiedzi wyrok i spotka się z nim potem. Dillinger wyglądał na wzruszonego. Dał O'Leary'emu list dla Billie i 600 dolarów gotówką dla Piqueta. Później O'Leary otworzył i przeczytał ten list. Dillinger wyrażał swą miłość do Billie, raz jeszcze ofiarował jej ratunek i prosił o śmierć w jej ramionach²¹.

Podczas gdy cały naród z zapartym tchem śledził poczynania Dillingera, na Południowym Zachodzie trwał inny, znacznie mniej upubliczniony pościg. Frank Hamer z dnia na dzień był coraz bliżej schwytania Bonnie i Clyde'a.

Te dwie obławy mogłyby stanowić studium kontrastów. Gazety od Chicago po Londyn traktowały Dillingera jako fenomen na skalę międzynarodową, prosiły socjologów i psychologów o wypowiedzi na jego temat, a dziennikarze z północy niemal zupełnie ignorowali Bonnie i Clyde'a. Choć w Dallas ich nazwiska wciąż pojawiały się na pierwszych stronach gazet, w dziennikach z Chicago lub Nowego Jorku opisy dokonań tej przestępczej pary zajmowały nie więcej niż pięć, sześć akapitów. Artykuły traktujące o Dillingerze, zamieszczane w niedzielnych wydaniach gazet w miastach takich jak Pittsburgh i Buffalo,

zaopatrzone były w dopiski przedstawiające czytelnikom sylwetki Clyde'a czy Pretty Boy Floyda; obaj traktowani byli jako pomniejsi przestępcy, bandyci napadający na stacje benzynowe i wdający się w strzelaniny z prowincjonalnymi szeryfami. O Bonnie w ogóle rzadko wspomniano; stała się sławna dopiero po śmierci. Nikt, nawet inni wrogowie publiczni, nie darzył Bonnie i Clyde'a szczególnym szacunkiem.

Artykuły prasowe odzwierciedlały priorytety władzy. Hoover odesłał jednego czy dwóch agentów do tropienia Bonnie i Clyde'a, nigdy jednak nie traktował tej sprawy poważnie. Niemal wszystkie oddziały Biura zaangażowane były w obławę na Dillingera, a grupa pościgowa Bonnie i Clyde'a składała się z czterech osób*[* Liczba agentów przydzielonych do sprawy Dillingera zmieniała się w czasie: tamtej wiosny zajmowało się nią na pełny etat trzydziestu ośmiu agentów, dwudziestu dwóch w Chicago i szesnastu w Indianie, pod dowództwem Earla Connelleya.].

Zarówno myśliwi, jak i ofiary bezustannie się przemieszczali. Na początku kwietnia, po zamordowaniu trzech funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa w ciągu zaledwie pięciu dni, Bonnie, Clyde i Henry Methvin uciekli na północ, do Kansas, potem zaś wrócili do Teksasu, by zobaczyć się z rodzinami. Wyszadzili Methvina w Wichita Falls i wysłali go przodem, by zorganizował spotkanie. Podczas podróży do Dallas Methvin siedział w pociągu obok dwóch strażników Teksasu, którzy bez ustanku rozmawiali o Bonnie i Clydzie. Gdy dotarł już do miasta, poszedł do hotelu Sanger, by odszukać siostrę Clyde'a, Neli, która pracowała w tamtejszym sklepie; był to ten sam hotel, w którym zatrzymywał się Hamer podczas wizyt w Dallas. Gdy nie udało mu się znaleźć Neli, Methvin poszedł do domu Parkerów, zebrał członków rodziny i pojechał na miejsce spotkania, na wschód od Dallas, w pobliżu miasteczka Mount Pleasant.

Tego wieczora, leżąc na kocach obok swoich samochodów, na ustronnej łączce, rodziny Barrowów i Parkerów z największym jak dotąd przekonaniem usiłowały namówić Clyde'a i Bonnie, by wyjechali z kraju. „Jeśli nie chcecie się poddać - błagała pani Parker - jedźcie do Meksyku. Uciekajcie w stronę granicy”. Clyde twierdził, że jeśli pojedą do Meksyku, nigdy już nie zobaczą swoich rodzin.

- Spotkania z wami to jedyna radość, jaka nam w życiu została - mówił. - Jeśli kiedyś stanie się tak, że nie będziemy mogli widywać naszych bliskich, możemy równie dobrze umrzeć. Zostaniemy blisko domu i będziemy tu przyjeżdżać, póki starczy nam życia.

Clyde ujawnił wtedy swój plan. Mówił, że kilkakrotnie odwiedził Methwinów w Luizjanie. Widzieli tam dom, który mogliby kupić. Bonnie chciała go wyremontować, naprawić dach, zawiesić koronkowe franki. Gdyby już tam osiedli, krewni mogliby

przyjeżdżać do nich w odwiedziny. Pani Parker tylko kręciła głową. Wszyscy wiedzieli, jak to się skończy. Po jakimś czasie znużyła ich ta poważna rozmowa. Resztę wieczoru Clyde spędził na przeglądaniu gazet z Dallas.

Po wielkanocnym napadzie w Dallas wrócili na północ. Kończyły im się pieniądze, więc Clyde pojechał do Iowa, na swój ulubiony „teren łowiecki”, w poszukiwaniu banku. W poniedziałek 16 kwietnia Clyde i Henry Metłwin obrabowali First National Bank w Stuart, w stanie Iowa, zaledwie osiem kilometrów od Dexter, miasteczka, w którym w lipcu poprzedniego roku zginął Buck Burrow. Z Iowa pojechali na południe. Po drodze zabrali Joego Palmera, który czekał na nich w Joplin (Palmer wrócił tam po strzelaninie w Niedzielę Wielkanocną). Z Joplin pojechali na południe, do Luizjany, gdzie Bonnie i Clyde chcieli zrobić sobie wakacje w domu Methwinów. Ivy Methwin, który regularnie kontaktował się z szeryfem Hendersonem Jordanem, śmiertelnie bał się Clyde'a, więc zaproponował inne miejsce.

Podczas tej wizyty Clyde i Bonnie, za namową Methwinów, zamieszkali po raz pierwszy w opuszczonym domu, o którym wspominali swym rodzicom, położonym piętnaście kilometrów na południe od miasteczka Gibsland. Okoliczni mieszkańcy mówili o nim „dom Johna Cole'a”, tak bowiem nazywał się jego ostatni właściciel, który cztery lata wcześniej zmarł w nim na gruźlicę wraz ze swą żoną i dwiema córkami. Był to czteropokojowy, niemalowany dom z drewna, położony na końcu gruntowej drogi w sosnowym lesie. Przez środek budynku biegł otwarty hol dzielący go na dwie równe, dwupokojowe części. Dom przykryty był cynowym dachem, przeciekającym podczas deszczu. Choć zostało w nim jeszcze trochę mebli, całość była w tak opłakanym stanie, że rodzina Cole'a po prostu zostawiła go na pastwę losu. Dla Bonnie i Clyde'abył to jednak pierwszy prawdziwy dom; czuli się w nim jak w niebie.

Nie wiadomo do końca, jak przejęli ten budynek. Clyde powiedział swej rodzinie, że wynajął go lub kupił od rodziny Cole'ów. Miejscowy historyk, Carroll Rich, utrzymuje, że Clyde i Bonnie wprowadzili się bez wiedzy rodziny. Wiele lat później syn Johna Cole'a, Otis, powiedział Richowi, że poszedł do domu, gdy się dowiedział, że zamieszkali tam jacyś dzicy lokatorzy. Zobaczył pijanego Ivy Metłwina siedzącego na ganku. Widział także dwoje innych ludzi krzątających się we wnętrzu budynku. Kiedy Methwin spytał go, gdzie w okolicy można kupić jakiś bimer, Cole odpowiedział „Nie interesuję się tym” i pospiesznie się oddalił. Nie przychodził tam już więcej²².

Wkrótce jednak po okolicy rozeszła się wieść, że „dzicy lokatorzy” to Bonnie i Clyde. Carroll Rich, mieszkaniec gminy Bienville, maluje sugestywny obraz tych dni, gdy

niepokojące opowieści przenikały przez sosnowy las; Bonnie i Clyde z tych opowieści nie mają w sobie nic z romantycznych buntowników goniących za wolnością. Przedstawiani są w nich jako mordercy, straszdyła, których obecność może oznaczać tylko śmierć.

Oto jak wspomina te czasy Rich:

Miejscowe dzieciaki trzęsły się ze strachu, słysząc, jak starsi rozmawiają o tym, kto zamieszkał w sosnowym lesie. Wieczorami ludzie siedzieli w bujanych fotelach na ganku, patrzyli na pola kukurydzy... i zastanawiali się, czyj to samochód wodzi światłami po drzewach. Czasami, gdy w piątkowy wieczór przyjeżdżali w odwiedziny kuzyni, w jednym łóżku spało nawet pięcioro dzieci. Starsze dzieciaki do późna w nocy opowiadały wtedy historie o Bonnie i Clydzie, o policjantach zabitych z zimną krwią, o zakrwawionych, grubych szeryfach, związanych i błagających o litość, snuły opowieści, które miały porządnie nastraszyć młodsze dzieci i sprowadzić koszmarne sny²³.

Jeśli nawet Clyde przypuszczał, że ludzie wiedzą, kto zamieszkał w ich okolicy, nie okazywał tego w żaden sposób. W tamtym czasie wydawało się, że w Bienville wciąż trwa XIX wiek. Ludzie zarabiali na życie, uprawiając suche poletka lub wożąc rozklekotanymi ciężarówkami drzewa z wyrębu. Mało kto miał telefon i kanalizację, w pobliżu nie było żadnych kin ani sklepów z gazetami; wielu mieszkańców wsi nie umiało czytać. W te wilgotne wiosenne wieczory 1943 roku opowieści o Bonnie i Clydzie rozprzestrzeniały się jak poranna mgła znad bagien.

Ludzie szeptali, że widziano ich w sklepie na rozdrożu w Sailes, gdzie kupili ser, krakersy i zimną coca-colę. Jakiś mężczyzna w ciemnych okularach przyjechał wielkim pontikiem w pobliże wioski i pytał, czy mógłby kupić kurczaka do upieczenia; nikt nie miał wątpliwości, że był to Clyde. Pewien dzierżawca przysięgał, że widział Bonnie i Clyde'a na kocu rozłożonym pod drzewem, zupełnie nagich, poruszających się rytmicznie. Może opowieści te były zmyślane, może nie. Na razie nikt nie doniósł o tym władzom. Nikt nie chciał zostać zamordowany we własnym łóżku.

Wiosenna idylla Bonnie i Clyde'a nie trwała długo. Kończyły im się pieniądze i w piątek 27 maja byli już z powrotem w drodze*[* Tego ranka Clyde wysłał z Memphis list do szeryfa Dallas, Smoota Schmida. List dotyczył Raymonda Hamiltona. Hamilton został schwyty w środę po napadzie na bank w Lewisville, na północ od Dallas. Przewieziony do więzienia, rozmawiał swobodnie z dziennikarzami, odpowiadając na pytania dotyczące głównie jego rozstania z Bonnie i Clyde'em. Choć nie skrytykował otwarcie byłego współnika, wywiady te mocno rozsierdziły Clyde'a, podobnie jak list Hamiltona do jego prawnika, w którym zaprzeczał, jakoby brał udział w zamordowaniu posterunkowego Cala

Campbella; prawnik pokazał ten list dziennikarzom. W liście wysłanym z Memphis Clyde opisywał zarówno napad w Lancaster, jak i późniejszą kłótnię o podział łupów, krytykował Mary O'Dare i, co dość dziwne, twierdził, że Hamilton był „zbyt tchórzliwy, by walczyć” podczas lutowej strzelaniny w Reeds Spring.]. Po krótkim przystanku w Memphis Clyde pojechał na północ, przez Arkansas i Missouri aż do Kansas. W niedzielne popołudnie 29 kwietnia dotarli do Topeki. Jeździli przez chwilę po pobliskich ulicach, szukając samochodu, który spodobałby się Clyde'owi. Znaleźli go przy 2107 Gable Street - nowiutki jasnobrązowy ford V-8 deluxe stał na podjeździe. Ukradli go i ruszyli w stronę północno-zachodniej części Iowa, gdzie jechali przez okryte zielenią pola, szukając jakiegoś banku do obrabowania. 3 maja Clyde wszedł wraz z Metłwinem i Joe Palmerem do banku w Everly, w stanie Iowa; Bonnie czekała w samochodzie. Łup był jednak wyjątkowo mizerny, około 700 dolarów.

Później, 4 lub 5 maja, zostawili Palmera w Wichita i pojechali do Joplin, gdzie Clyde napisał do matki, że wraca do Luizjany. Jeśli jednak sądził, że może odłożyć następne spotkanie z rodziną o kilka miesięcy, Bonnie miała w tej kwestii zupełnie inne zdanie. Błagała go, by zawiózł ją do Dallas, do jej matki. W niedzielę 6 maja przejechali obok stacji benzynowej Barrowów i wyrzucili butelkę z listem, w którym prosili o spotkanie tego samego wieczora, pięć kilometrów na wschód od Dallas. Noc była ciepła. Bonnie siedziała na kocu ze swą matką i rozmawiała z nią przez dwie godziny. Oglądały zdjęcia, które przywiozła Bonnie: Clyde i Palmer w eleganckich garniturach, z rękami na ramionach Bonnie; Clyde z groźną miną i strzelbą na kolanach.

- Mamo - odezwała się nagle Bonnie - kiedy nas zabiją, nie pozwól, żeby mnie zabrali do zakładu pogrzebowego, dobrze? Niech przywiozą mnie do domu.

Pani Parker złapała ją za rękę.

- Nie mów tak - poprosiła. - Na miłość boską, nie mów tak. Bonnie się uśmiechnęła.

- Nie denerwuj się, mamu. Dlaczego miałybyśmy o tym nie rozmawiać? Ta chwila się zbliża. Wiem o tym. Wie o tym cały Teksas. Więc nie pozwól, żeby trzymali mnie w kostnicy. Przywieź mnie do domu, kiedy umrę. Tak dawno już nie byłam w domu. Będę leżeć we frontowym pokoju, a ty usiądziesz obok mnie... Długa, chłodna, spokojna noc, którą spędzimy razem, nim cię opuszczę. To będzie miłe i kojące. - Położyła palec na fotografii, na której obejmował ją Clyde. - Lubię to zdjęcie. Kiedy nas zabiją, nie mów nic złego o Clydzie. Proszę, obiecaj mi to.

Przed wyjazdem Bonnie dała matce nowy wiersz, uściskała ją i obiecała, że wróci za dwa tygodnie. Potem poszła do Clyde'a, który czekał na nią w fordzie, i pojechali na wschód. Przez dwa tygodnie nie było o nich żadnej wieści; żadnego potwierdzonego napadu na bank,

żadnego listu, żadnych doniesień o miejscu ich pobytu. Prawdopodobnie jechali przez Arkansas, Missisipi i Tennessee, ale to tylko przypuszczenia.

Wiadomo jednak, że w poniedziałkowy wieczór 21 maja wrócili do domu w Bienville. Brązowy ford kołysał się w głębokich koleinach leśnej drogi prowadzącej ku ruderze ukrytej między drzewami. Wszyscy byli zadowoleni, że wracają, szczególnie Henry Methvin; wciąż powtarzał, jak bardzo chce się zobaczyć z rodzicami. Wszyscy byli też brudni i zmęczeni, mieli dość kąpania się w strumykach i spania w samochodzie; Bonnie mówiła, że nie spała w prawdziwym łóżku od czasu strzelaniny w Dexfield Park minionego lata. Teraz mieli wreszcie swój dom, a Clyde marzył tylko o tym, by wyciągnąć się na łóżku i odpocząć, a potem wybrać się może na ryby albo na polowanie.

Nigdy nie miał okazji zrealizować tych zamiarów. Frank Hamer już czekał.

Spośród wielu amerykańskich legend powstałych po wojnie z przestępczością z początku lat trzydziestych mało która obarczona jest tak wielką liczbą sprzecznych relacji, jak właśnie opowieść o zasadzce na Bonnie i Clyde'a. Kiedy było już po wszystkim, Hamer przedstawił własną wersję wydarzeń. W roku 1979, w książce wydanej dwa lata po jego śmierci, funkcjonariusz z biura szeryfa z Dallas, Ted Hinton, przedstawił odmienną relację; właściwie każda spośród książek o Bonnie i Clydzie, wydanych w ciągu ostatnich czterdziestu lat, opisuje inaczej te pamiętne dni i wydarzenia w lasach Luizjany. Wielu uważa, że Bonnie i Clyde'a zdradził Henry Methvin. Inni mówią, że taka wersja została wymyślona później, by uchronić Methvina przed więzieniem.

W sumie jednak, pomimo półprawd i mitów, którymi obrosły wydarzenia sprzed kilkudziesięciu lat, fakty są zadziwiająco jednoznaczne. Można o nich przeczytać w starych dokumentach sądowych z procesu Methvina, który odbył się w 1936 roku i dotyczył zamordowania posterunkowego Cala Campbella, oraz w odkrytych niedawno dokumentach FBI i zeznaniach członków grupy pościgowej Franka Hamera. Z dokumentacji tej wynika, że kluczową postacią tej intrygi nie był wcale Hamer, lecz szeryf gminy Bienville, Henderson Jordan.

Jordan był typowym wiejskim szeryfem, pogodnym, ogorzałym facetem w płowym stetsonie. Później rzadko mówił o tym, co się wydarzyło, nigdy też nie ujawnił ze szczegółami, jaką rolę odgrywał w tej sprawie. Jednak w 1958 roku, na krótko przed śmiercią, zgodził się porozmawiać o tym ze swoim bratankiem, profesorem historii, Glennem Jordanem. W wywiadzie tym Jordan twierdzi, że ostatni rozdział historii Bonnie i Clyde'a zaczął się na początku marca, po ich pierwszej wizycie w domu Methvinów. Nie wiadomo, czy autorem tego pomysłu był Henry Methwin, czyjego ojciec, obaj jednak popierali

propozycję, z którą starszy Methvin udał się do sąsiada, niejakiego Johna Joynera, a która brzmiała następująco: jeśli stan Teksas daruje młodemu Metłwinowi winy, rodzina Metłwinów zdradzi Bonnie i Clyde'a. Ivy Methvin wysłał Joynera z tą propozycją do szeryfa Jordana w Arcadii, osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Shreveport.

Szeryf Jordan wiedział wówczas, że Henry Methvin miał jakieś kłopoty w Teksasie. Początkowo jednak nie miał pojęcia, że podróżuje z Bonnie i Clyde'em*[* Wynika z tego, że szeryf Jordan nie kontaktował się z Frankiem Hamerem przed początkiem marca. Według niektórych wersji tych samych wydarzeń Hamer rozmawiał z Jordanem jeszcze w lutym.]. Oto co on sam mówi na ten temat:

Wczesną wiosną 1934 roku dowiedziałem się, że Ivy Methvin, który mieszkał w południowej części gminy, chce ze mną porozmawiać. Powiedziano mi także, że mam spotkać się z Methvinem na osobności, i że nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nie wiedziałem, o jaką sprawę chodzi. Wiedziałem jedynie, że syn Ivy'ego, Henry, miał jakieś kłopoty z prawem w Teksasie i kilku innych miejscach... Potrzebowałem paru dni, żeby zaaranżować spotkanie. W końcu, było to chyba na początku marca, spotkaliśmy się we trzech, ja, Methvin oraz Prentiss Oakley, mój zastępca i przyjaciel.

Na leśnej polanie obok drogi Ivy Methvin powiedział szeryfowi, że jego syn uciekł z więzienia dzięki pomocy Bonnie i Clyde'a, i teraz z nimi podróżuje. Jak mówił Methvin, cała trójka po raz pierwszy pojawiła się w jego domu w lutym, mniej więcej dwa tygodnie po ucieczce z więzienia, a potem wpadła jeszcze parę razy. Przyjeżdżali bez uprzedzenia, zatrzymywali się na kilka dni, a potem znikali. Ivy Methvin śmiertelnie bał się Clyde'a. Był pewien, że doprowadzi do śmierci jego syna.

Jordan tak opisuje tę rozmowę:

Zaproponowałem, by Henry po prostu oddał się w ręce policji. Musiałby odpowiedzieć za swoje przestępstwa i odsiedzieć wyrok, ale przynajmniej by żył. Methvin nie chciał tego słuchać. Powiedział, że jeśli Henry się podda, Bonnie i Clyde zabiją jego i jego żonę. Twierdził, że bezpieczeństwo jego rodzinie może zapewnić jedynie śmierć Bonnie i Clyde'a. Powiedział, że zgodzi się pomóc policji ich schwytać, jeśli zawrze jakąś umowę, która pomoże jego synowi. Że zgodzi się udzielić pomocy, tylko jeśli jego syn nie wróci potem do więzienia. Że jego pomoc powinna oczyścić konto syna.

Jordan powiedział Metłwinowi, że on nie ma kompetencji, by zawierać taką umowę, ale pomyśli, kto mógłby to zrobić. Przez kilka dni zastanawiał się nad ofertą Metłwina, nim w końcu zadzwonił do biura FBI w Nowym Orleanie, gdzie skontaktowano go z agentem Lesterem Kendale'em. Jordan rozmawiał z nim kilkakrotnie, aż wreszcie Kendale

zapropował, by spotkali się z Hamerem. Według zeznań złożonych podczas procesu Methvina w 1936 roku, spotkanie to odbyło się na ustronnej, przydrożnej polanie w gminie Bienville*[* Zeznając podczas procesu Henry'ego Metłwina w 1936 r., John Joyner powiedział, że spotkanie odbyło się w pobliżu miasteczka Castor w gminie Bienville.]. Uczestniczyli w nim szeryf Jordan, agent Kendale, Hamer, funkcjonariusz z biura szeryfa Dallas Bob Alcorn oraz pośrednik Methvina, John Joyner. Oto jak wspomina to spotkanie szeryf Jordan:

Hamer zgodził się przystać na ofertę rodziny Methwinów. Choć nie obiecał, że stan Teksas zrezygnuje ze wszystkich zarzutów pod adresem Henry'ego Methvina, był tego bardzo bliski. Nim spotkanie dobiegło końca, zrozumiałem, że mam przedstawić starszemu Metłwinowi następującą propozycję: jeśli pomoże schwytać Bonnie i Clyde'a, Henry nie będzie musiał wrócić do więzienia.

Hamer zawiózł propozycję Metłwina Lee Simmonsowi w Dallas. Simmons przekazał ją do biura gubernatora Teksasu, gdzie zatwierdziła ją Ma Ferguson. Napisała list, w którym stwierdzała jednoznacznie, że jeśli Henry Mettwin pomoże zatrzymać Bonnie i Clyde'a, zostanie uwolniony od wszystkich zarzutów, które ciążyą na nim w Teksasie. Simmons dał ten list Hamerowi.

Trwało to ponad tydzień. W tym czasie szeryf Jordan na bieżąco informował o wszystkim Ivy'ego Metłwina. „Nasze spotkania odbywały się późną nocą, przy bocznych drogach w lesie - wspominał. - Gdy tylko otrzymałem potwierdzenie, przekazałem Metłwinowi, że zawarliśmy umowę”. Mettwin z kolei miał dla Jordana nie najlepsze wieści. Bonnie i Clyde ponownie go odwiedzili. Właśnie wtedy namówił ich, by skorzystali z domu Johna Cole'a.

W swojej wersji wydarzeń Frank Hamer nawet słowem nie wspomina o szeryfie Jordanie ani Ivym Metłwinie. Powiedział teksaskiemu historykowi, Walterowi Prescottowi Webbowi, że sam zdołał odnaleźć kryjówkę Bonnie i Clyde'a w Bienville. Nie podał żadnych szczegółów, ale z pewnością chodziło o dom Johna Cole'a. Oto fragment wspomnień Hamera:

Kilkakrotnie wybierałem się sam do tego sekretnego miejsca. Miałem nadzieję, że uda mi się schwytać Bonnie i Clyde'a żywych; mogłem tego dokonać, tylko zaskakując ich we śnie. Wystarczyłoby ich wtedy ogłuszyć mocnym uderzeniem w głowę, zabrać broń i zakuć w kajdanki. Nim by się ocknęli, byłoby po wszystkim... W obozowisku zawsze było mnóstwo śladów ich obecności - niedopałki cameli Bonnie (Clyde palił papierosy Buli Durham), liście sałaty dla ich białego królika, kawałki kanapek, guzik od płaszcza Clyde'a. Znalazłem

miejsce, w którym urządzili sobie sypialnię*[* Hamer twierdził, że pod koniec kwietnia lub na początku maja bliski był pojmania Bonnie i Clyde'a w domu Johna Cole'a. „Załatwilibyśmy wtedy sprawę - wspomina Hamer - gdyby kilku miejscowych policjantów i agentów federalnych nie przeprowadziło w tym samym czasie akcji w Ruston, w Luizjanie. Gdy Clyde dowiedział się o tym, wyjechał i znów musieliśmy na niego czekać”].

Hamer i Jordan zastanawiali się, czy przypuścić szturm na dom Johna Cole'a, kiedy Bonnie i Clyde wrócą do Bienville. Według Jordana Ivy Methvin sprzeciwiał się takiemu rozwiązaniu, twierdząc, że doprowadzi to do śmierci przedstawicieli prawa. Henderson wspomina:

Zacząłem się martwić o Methvina, który był śmiertelnie przerażony. Okropnie bał się Bonnie i Clyde'a, ale bał się też być z nami podczas aresztowania. Powtarzał wciąż, że nie wiemy, co robimy... Mówił, że oni nie mają żadnego szacunku dla ludzkiego życia, że gdybyśmy próbowali ich schwytać, po prostu zabiliby nas wszystkich.

Szeryf Jordan naradzał się z Methvinem i próbował z nim ustalić, gdzie zrobić zasadzkę. Methvin mówił, że mają skrzynkę pocztową w Shreveport i że wraz z Clyde'em korzystają z pralni w Bossier City. Mówił również, że dom Johna Cole'a łączy z najbliższym miasteczkiem, Gibsland, tylko jedna, nieutwardzona droga. Proponował, by zaskoczyć ich właśnie na tej drodze. Po każdym spotkaniu z Methvinem Jordan dzwonił do Hamera, który krążył po Teksasie, sprawdzając różne tropy.

Mijały kolejne tygodnie bez żadnych wieści o Clydzie i Bonnie. W połowie maja minął miesiąc, odkąd widziano ich po raz ostatni. Hamer postanowił założyć obóz w pobliżu Shreveport i czekać. Chciał, by w akcję zaangażowało się FBI. 11 maja wstąpił do biura FBI w Dallas i poprosił, by miejscowy szef agentów, Frank Blake, przydzielił mu do pomocy Charlesa Winstead²⁴. Blake odmówił. Hamerowi nie udało się również zwabić do Shreveport agenta z Nowego Orleanu, Lestera Kendale'a.

I tak późnym wieczorem w sobotę 19 maja Hamer i jego trzech teksa-scy pomocnicy zameldowali się w hotelu w Shreveport, by tam czekać na wieści o powrocie Bonnie i Clyde'a. W niedzielę rano, zjadłszy na śniadanie jajka z szynką i kaszą kukurydzianą, zaczęli grać w pokera. Później przyszedł do nich szeryf Jordan z jednym ze swych ludzi, Prentissem Oakleyem, i razem omówili plan działania, na wypadek gdyby Bonnie i Clyde wrócili.

Żaden z elementów tej historii nie jest tak zagmatwany i niejasny, jak relacje z następnych dwóch dni. Wiele lat później uczestnicy tych wydarzeń nie pamiętali nawet, czy czekali z zasadzką dzień czy dwa dni. Czytając uważnie dokumenty sądowe, można jednak stwierdzić, że ostatni rozdział dwuletniej serii przestępstw Bonnie i Clyde'a rozpoczął się w

poniedziałkowy wieczór 21 maja, dwa dni po tym, jak grupa pościgowa Hamera przybyła do Shreveport.

Tego wieczora Bonnie, Clyde i Henry Methvin wrócili do Bienville. Nim położyli się spać w domu Johna Cole'a, Methvin poprosił, by pozwolili mu zobaczyć się z rodzicami. Gdy zapadł już zmierzch, Clyde podjechał pod dom Methwinów. Bonnie i Clyde zostali w samochodzie, a Henry spotkał się z matką. Spytał, czy umówili się z szeryfem. Jego matka potwierdziła. Henry powiedział jej, że rano Clyde prawdopodobnie pojedzie do Shreveport po kanapki i wtedy będzie można go zaskoczyć. Poprosił też, by powiadomiła szeryfa i dopilnowała, by nazajutrz pułapka była gotowa. Ava Methwin odparła, że się postara²⁵.

Rankiem następnego dnia, we wtorek 22 maja, Clyde zawiózł ich wszystkich do Shreveport. Zaparkował brązowego forda przed Majestic Cafe. Melvin poszedł po kanapki i napoje. Usiadł przy barze, czekając, aż kelnerka przygotuje zamówienie. W tym czasie Clyde zauważył zbliżający się samochód policyjny. Nie czekając na Methwina, wcisnął pedał gazu i ruszył z piskiem opon, ściągając na siebie uwagę przechodniów. Methwin zrozumiał, że został sam, co było mu bardzo na rękę. Powoli wysunął się z baru, nie zabierając nawet swojego zamówienia. Rozejrzał się uważnie dokoła, sprawdzając, czy Clyde rzeczywiście odjechał, po czym uciekł. Na skraju miasta złapał okazję i po południu siedział już bezpiecznie w domu swego brata w Bienville²⁶.

Henry Methvin dotrzymał swojej części umowy, lecz jego rodzice ociągali się z wypełnieniem swojej. Nie chcąc, by ktoś zobaczył go w towarzystwie szeryfa Jordana, Ivy Methvin czekał aż do rana, by odszukać swego pośrednika Johna Joynera i wysłać go do Arcadii z wieścią o powrocie Bonnie i Clyde'a. W zeznaniu złożonym podczas procesu Henry'ego Methvina w 1936 roku John Joyner twierdził, że udało mu się odnaleźć szeryfa dopiero wieczorem tego dnia. Tymczasem Bonnie i Clyde pojechali do domu Methwinów, szukając Henry'ego. Ich wizyta napędziła stracha Methwinom, kiedy więc odjechali, starszy Methvin również poszedł szukać Jordana.

Nim szeryf Jordan zadzwonił do Shreveport, Frank Hamer wiedział już o powrocie Bonnie i Clyde'a. Ted Hinton twierdził, że zadzwonił wcześniej do szefa policji w Shreveport, chciał go bowiem poznać z Hamerem. Szef zaskoczył Hintona, mówiąc, że tego ranka dwóch jego podwładnych widziało Clyde'a przed Majestic Cafe[* Czterdzieści lat później Ted Hinton twierdził, że rozmowa ta odbyła się w niedzielę 20 maja, wielu badaczy uznało więc, że Methvin porzucił Bonnie i Clyde'a w sobotę 19 maja. Jeśli jednak Hinton rzeczywiście dowiedział się od szefa policji Shreveport o powrocie Clyde'a, to rozmowa ta musiała odbyć się we wtorek 22 maja. W zeznaniach z 1936 r. Methvin stwierdza wyraźnie,

że incydent przed Majestic Cafe miał miejsce we wtorek rano.]. Kiedy szef dodał, że wkrótce potem z kawiarni uciekł jakiś młody mężczyzna, który nie wziął zamówionego jedzenia, Hinton spojrzał na Boba Alcorna. „Henry Methvin”, stwierdził Alcorn.

Pojechali do Majestic, odszukali kelnerkę, która przyjmowała zamówienie Metłwina, i rozłożyli przed nią kilka zdjęć.

- Widzi tu pani kogoś, kto wygląda jak mężczyzna, który nie zabrał swoich kanapek? - spytał Hinton.

- To on. - Kelnerka wskazała zdjęcie Methvina. - Te same oczy, ta sama pryszczata twarz. Nie mam żadnych wątpliwości²⁷.

Szeryf Jordan, powiadomiony przez Johna Joynera, dotarł do Hamera dopiero wieczorem. Nadszedł czas na przygotowanie zasadzki. Uzgodnili, że spotkają się w Gibsland. Przed odjazdem Hamer zadzwonił do Lee Simmonsa w Austin i zostawił mu zagadkową wiadomość: „Stara kura wkrótce wysiedzi jajka. Myślę, że kurczaki wyklują się jutro”.

Według szeryfa Jordana grupa przygotowująca zasadzkę spotkała się w Gibsland tuż po północy. Było ich siedmiu: Jordan, Prentiss Oakley, Hamer i Manny Gault, Bob Alcorn i Ted Hinton oraz Ivy Methvin. Zabrali kanapki, sprawdzili broń i pojechali ciemnymi leśnymi drogami do miejsca wybranego przez Jordana i Hamera. Był to zwykły nasyp przy drodze, porośnięty krzewami, starymi dębami i iglakami. Największą zaletą tego miejsca był widok na drogę prowadzącą z Gibsland do domu Johna Cole’a. Stojąc w zaroślach, mogli obserwować ją na odcinku co najmniej kilometra w każdą stronę. Hamer był zadowolony. Zaparkowali między drzewami. Pod osłoną ciemności wzniesli prowizoryczną osłonę z patyków i liści, ukryli się za nią i czekali. Gdyby Bonnie i Clyde wyjeżdżali z domu Johna Cole’a lub wjeżdżali do niego, musieliby tędy przejechać.

Godziny mijały powoli. „To była jedna z najdłuższych nocy w moim życiu”, wspomina Jordan. Ludzie drzemali na zmianę w samochodach, po dwóch naraz. Pozostali oganiali się od komarów i much. Ivy Metłwin pojechał do domu i wrócił swym rozklekotanym pikapem tuż przed świtem. Błagał ich, by odwołali całą akcję. „Mówił, że wszyscy zginiemy - wspominał Jordan. - Było ciepło, komary chciały zjeść nas żywcem. Nie dość, że niepokoiłiśmy się nadchodzącym rankiem, musieliśmy jeszcze słuchać Methvina, który powtarzał bez końca, że wszyscy zginiemy. W końcu kazałem mu się zamknąć” *[* Według Teda Hintona Methvin zrobił się tak uciążliwy, że na chwilę przykuli go kajdankami do drzewa.].

Irytujące uwagi Metłwina rozpały tylko dyskusję o tym, co należy zrobić, jeśli Bonnie i Clyde pojawią się na drodze. Jordan uważał, że powinni dać im szansę, by się

poddali. Hamer nie chciał o tym słyszeć. „Spieraliśmy się o to z Hamerem od wielu dni - wspominał Jordan. - Ja chciałem wyjść na drogę i zażądać, by się poddali, ale Hamer twierdził, że jeśli to zrobię, to będę trupem”. Jordan nie przejmował się tymi ostrzeżeniami. Kiedy nadszedł świt, wciąż zdecydowany był dać przestępcom ostatnią szansę.

Wstało słońce. Hamer zastanawiał się już od dłuższego czasu, jak zmusić Clyde'a do zatrzymania się; mogliby mieć kłopoty z oddaniem celnego strzału, gdyby przemknął obok z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. W końcu kazał Methwinowi zaparkować pikapa przy drodze. Zdjęli oponę z lewego przedniego koła i postawili samochód na lewarku. Hamer zakładał, że Clyde się zatrzyma, by pomóc.

Minęła siódma, potem ósma. Przejechała ciężarówka z drewnem i jakieś dwa samochody osobowe. „Za każdym razem, gdy mijał nas jakiś samochód, Methvin przybiegał do nas i błagał, żebyśmy wszystko odwołali - wspominał Jordan. - Za każdym razem cierpliwie go słuchałem, a potem kazałem wracać do samochodu. W końcu powiedziałem mu, że jeśli się nie uspokoi, Bonnie i Clyde nie będą mieli okazji go zabić, bo ja zrobię to wcześniej”.

O dziewiątej zaczęli się zastanawiać, czy zrezygnować. Ktoś zaproponował, by poczekać jeszcze pół godziny. Na kilka minut zajęli się ponownie zabijaniem komarów i strącaniem kleszczy. Wreszcie o 9.15 usłyszeli warkot silnika. Samochód nadjeżdżał od wschodu, z dużą prędkością. Wszyscy spojrzeli na drogę. Na niewielkie wzniesienie wjechał brązowy ford. Obserwowali spod przymrużonych powiek, jak sunął w dół zbocza.

- To on - wyszeptał Hinton. - Tak. To Clyde.

Bob Alcorn odczekał jeszcze chwilę i gdy wyraźnie zobaczył twarz kierowcy, powiedział:

- To on, chłopcy.

Nikt nie wie, gdzie Bonnie i Clyde spędzili swą ostatnią wspólną noc. Z pewnością nie w domu Johna Cole'a, skoro rano jechali od strony Gibsland. O ósmej rano Clyde zatrzymał się przed Canfield's Cafe, gdzie zjadł z Bonnie lekkie śniadanie, złożone z pączków i kawy. Bonnie miała na sobie tę samą czerwoną sukienkę, w której często ją widywano, Clyde ubrany był w niebieski jedwabny garnitur z krawatem. Zamówili kanapki na wynos, a gdy wrócili do samochodu i ruszyli w stronę domu Johna Cole'a, Bonnie zaczęła jeść swoją porcję. Clyde zdjął buty i położył okulary przeciwsłoneczne na desce rozdzielczej²⁸.

Trzyście kilometrów na południe od Gibsland wjechali na niewielki grzbiet i zobaczyli Ivy'ego Metłwina stojącego obok pikapa przy drodze. Bonnie położyła kanapkę na czasopiśmie, które trzymała na kolanach. Pod czasopiśmie leżał kolt.45. Clyde zdjął nogę z

pedału gazu, zatrzymał się, odwrócił w prawo, w stronę Methwina i jego samochodu.

- Cześć - rzucił do Methwina.

W tym samym momencie Methwin zgiął się wpół, jakby przejęty wielkim bólem, i cofnął o krok. Ukryty w zaroślach, sześć metrów na lewo od Clyde'a, szeryf Jordan miał właśnie odłożyć broń i krzyknąć coś - wezwać ich do zatrzymania się, do kapitulacji - choć sam nie był pewien co. Clyde zdjął nogę z hamulca, ford ruszył naprzód.

W tej chwili Prentiss Oakley wypalił. Ułamek sekundy później zaczęli strzelać pozostali członkowie grupy pościgowej. Bonnie krzyknęła Jak pantera” - tak opisał to później Jordan. Pierwsze pociski trafiły Clyde'a w głowę i klatkę piersiową. Samochód toczył się do przodu. Kanonada nie ustawała. Grad pocisków sypał się na brązowego forda bez końca, ponad 150 kul rozrywało karoserię i ciała dwojga przestępców. Samochód jechał powoli prosto, zatrzymał się dopiero na nasypie, jakieś trzydzieści metrów dalej.

Nagle zapadła cisza. Hinton podbiegł do drzwi po stronie kierowcy. Zobaczył scenę, którą zapamiętał do końca życia - wewnątrz samochodu wyglądało Jak rzeźnia”. Clyde leżał oparty o siedzenie, włosy miał zlepione krwią. Hinton próbował otworzyć drzwi kierowcy, lecz auto opierało się z tej strony o nasyp. Wdrapał się na maskę i otworzył drzwi po stronie pasażera. Bonnie wpadła mu prosto w ramiona. Wydawała się taka drobna, wciąż miękka i ciepła. Poczul zapach jej perfum. Była cała we krwi. Pociski urwały jej prawą dłoń. Hinton położył Bonnie z powrotem na przednim siedzeniu i sięgnął po pistolet Clyde'a. Był zimny²⁹. Ani Clyde, ani Bonnie nie zdążyli oddać ani jednego strzału.

Podbiegł Ivy Methvin. Na tylnym siedzeniu forda leżało coś okryte kocem.

- Zabiliście mojego syna! - warknął Methvin.

Szeryf Jordan nachylił się nad siedzeniem i odrzucił koc. Pod spodem leżała broń.

- Nie zabiliśmy pańskiego syna, panie Methvin - powiedział.

Wezwano okręgowego koronera. Nim przyjechał na miejsce strzelaniny, po okolicy rozeszła się już wieść o śmierci Bonnie i Clyde'a, a na leśnej drodze ustawiała się długa kolejka samochodów osobowych i ciężarówek. Dziesiątki gapiów chciały obejrzeć z bliska samochód i podziurawione kulami ciała Bonnie i Clyde'a. Kiedy Ted Hinton przeszedł przez tłum, filmując to wszystko kamerą którą przywiózł ze sobą, jeden z ciekawskich wyjął nożyczki i próbował obciąć Clyde'owi ucho, czemu w porę zapobiegł szeryf Jordan. Nie udało mu się jednak powstrzymać kogoś innego, kto obciął pukiel włosów Bonnie.

Wkrótce przyjechała laweta, która zabrała podziurawionego forda. Jeszcze przed lunchem ciała przewieziono do Conger's Furniture Store w Arcadii, sklepu meblowego, który pełnił również rolę kostnicy. Na ulicę wyległo szesnaście tysięcy ludzi, wszyscy chcieli

zobaczyć zabitych przestępców. Kiedy kładziono na nosze ciało Clyde'a, ktoś zawołał: „To był tylko mały gnojek!”.

Nazajutrz przybyły rodziny zabitych, które przewiozły ich ciała do Dallas. Ogromne tłumy witały wracających do domu Bonnie i Clyde'a. Ciało Bonnie zostało wystawione na pokaz w zakładzie pogrzebowym McCamy-Campbell Funeral Home. W ciągu jednego dnia przewinęło się tam dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć martwą Bonnie. Została pochowana na cmentarzu Fishtrap Cemetery, a w ostatniej drodze towarzyszyły jej tłumy dziennikarzy i fotografów. Clyde spoczął obok swego brata Bucka na Western Heights Cemetery, półtora kilometra dalej. Gdy jeszcze leżał w zakładzie pogrzebowym, do sali wszedł jakiś pijak, rzucił na dywan niedopałek, rozdeptał go i stwierdził: „Cieszę się, że on nie żyje”.

Wtedy Bonnie i Clyde zyskali znacznie większy rozgłos niż za życia. Wiadomość o ich śmierci trafiła na pierwsze strony dziesiątek gazet na północy, łącznie z „New York Timesem”; był to pierwszy i ostatni raz, gdy cieszyli się takim zainteresowaniem. Fakt, że stali się nagle tak sławni, był skutkiem ubocznym trwającej wciąż hysterii wokół Dillingera: dziennikarzom, którzy zawsze szukają chwytneho tematu, ogromnie spodobała się myśl, że na terenie kraju działają jeszcze inni, podobni Dillingerowi desperaci. Po kilku dniach zainteresowanie tą historią osłabło, po części dlatego, że Frank Hamer, szeryf Jordan i pozostali członkowie grupy pościgowej nie chcieli rozmawiać o szczegółach zasadzki.

Przez następne trzydzieści lat mało kto pamiętał o Bonnie i Clydzie, ich nazwiska pojawiały się tylko w jakichś czasopismach detektywistycznych i tanich czytadłach, aż do czasu, gdy dwaj hollywoodzcy scenarzyści przeczytali o ich dokonaniach w książce Johna Tolanda *Dillinger Days*, wydanej w 1963 roku, i stworzyli w 1967 roku film, który przywrócił ich zbiorowej pamięci Amerykanów. Sztuka zamieniła bezlitosnego wielokrotnego mordercę i jego naiwną dziewczynę w bohaterów budzących współczucie, nadała im sympatyczne, miłe rysy, których nigdy nie posiadali, i kulturowe znaczenie, na które nigdy nie zasłużyli.

14

NOWE TWARZE

24 maja - 30 lipca 1934

Pewnie, że sprawdziliśmy mnóstwo lipnych tropów i wiele razy narobiliśmy kłopotów sobie i niewinnym ludziom.

AGENT SPECJALNY JOHN WELLES

Rankiem nazajutrz po śmierci Bonnie i Clyde'a Dillinger wciąż włóczył się po bocznych drogach północno-zachodniej Indiany w swojej czerwonej furgonetce. Mieszkał w niej wraz z Van Meterem już od trzech tygodni i wiedział, że nie wytrzyma tego długo. Kilka godzin wcześniej Art O'Leary powiedział mu, że Louis Piquett ma już umówionego chirurga plastycznego. Gdy tylko Dillinger dowiedział się o tym, gotów był poddać się operacji.

Poprzedniego wieczora, kilka minut po jedenastej, dwaj detektywi z policji East Chicago, Martin O'Brien i Lloyd Mulvihill, wyszli ze swojego komisariatu, by sprawdzić doniesienie o pojawieniu się Dillingera. Obaj prowadzili śledztwo w sprawie napadu na bank w East Chicago, do którego doszło w styczniu, i w związku z tym brali również udział w obławie na Dillingera. Zaledwie pół godziny po tym, jak opuścili posterunek, znaleziono ich martwych. Siedzieli w swoim samochodzie, na bocznej drodze za miastem. Zostali wielokrotnie postrzeleni w głowę i szyję, zapewne z karabinu maszynowego.

Dillinger powiedział potem O'Leary'emu, co się stało. Dwaj detektywi zauważyli czerwoną furgonetkę, zrównali się z nią i kazali Dillingerowi zatrzymać się na poboczu. Van Meter ostrzelał ich z miejsca pasażera, zabijając obu, nim zdążyli wysiąść z auta.

Z późniejszych komentarzy Dillingera wynika, że zabójstwo to związane było z pieniędzmi za ochronę, które Dillinger dawał członkom Wydziału Policji East Chicago; jedynym policjantem, którego wymienił z nazwiska, był detektyw Martin Zarkovich. Dillinger stwierdził pewnego razu, że dwaj zastrzeleni detektywi próbowali „wyciągnąć od niego pieniądze”. Innym razem sugerował, że byli to uczciwi ludzie, którzy zaczęli podejrzewać Zarkovicha o ciemne interesy. Zdaniem Dillingera Zarkovich wysłał ich obu na poszukiwanie czerwonej furgonetki, wiedząc, że zostaną zabici.

„Ci dwaj policjanci nie powinni byli zginąć - cytował później Dillingera O'Leary. - Próbowali wykonywać tylko swoją robotę, a w tym nie ma nic złego. Mieli pecha, bo wiedzieli za dużo, a Zark robił się nerwowy. Wysłał ich, żeby sprawdzili jakichś podejrzanych typów w czerwonej furgonetce. Myślę, że Van też nie czuł się z tym dobrze, ale nie mógł postąpić inaczej, a Zark wiedział, co się stanie” ‘. Bez względu na to, czy Martin Zarkovich rzeczywiście odgrywał jakąś rolę w tym zabójstwie, czy też nie, miał jeszcze się pojawić w dramacie Dillingera.

Następnego dnia chicagowskie gazety pisały, że zabójcą może być Dillinger. Purvis zapoznał się ze sprawą i postanowił ją zignorować; kiedy jeden z asystentów Hoovera zadzwonił i spytał dlaczego, Purvis odrzekł: „Nie ma praktycznie możliwości zidentyfikowania zabójców, jako że jedynymi świadkami morderstwa były jego ofiary”².

Pomimo braku zainteresowania ze strony FBI wydarzenia z 24 maja najwyraźniej przekonały Dillingera, że jego wędrowne życie nie jest już bezpieczne. Tej samej nocy pojechał z Van Meterem do Chicago, gdzie odnowił kontakt z Baby Face Nelsonem i Tommym Carrollem. Obaj mieszkali w chacie w Wauconda, na północny zachód od Chicago, a posiłki jadali w tawernie Louisa Cernocky'ego w Fox River Grove. Nelson przez sporą część maja zastanawiał się, jak uwolnić swoją żonę, Helen, która przebywała w areszcie w Madison, w stanie Wisconsin; w końcu jednak zatrudnił prawnika.

Dillinger nie miał w Chicago żadnych zaufanych ludzi prócz Piquetta i O'Leary'ego. Miał ich jednak Nelson. Tej nocy, ukrywszy czerwoną furgonetkę w garażu przyjaciela, Nelson zawiózł Dillingera i Van Metera do Rain-Bo Inn, gdzie namówił swego starego przyjaciela, pasera Jimmy'ego Murraya, by przenocował ich w pokoju na strychu. Murray zgodził się, ale wkrótce zaczął tego żałować. Następnego wieczora powiedział Nelsonowi, że sprawy nie wyglądają dobrze. Dillinger obiecał mu wcześniej, że pozostanie w ukryciu, nie dotrzymał jednak słowa, zszedł na dół i krążył wśród gości. Kilku z nich nawet zauważyło głośno, że bardzo przypomina Johna Dillingera.

Wszyscy zamieszani w tę sprawę - Nelson, Murray i Piquett, który również został w to wciągnięty - zrozumieli, że muszą znaleźć Dillingerowi jakąś kryjówkę. Tak się złożyło, że Murray i Piquett mieli wspólnego znajomego, niejakiego Jimmy'ego Probasco, Włocha, który ocierał się o chicagowskie podziemie, sprzedając kradzione rzeczy i alkohol[* Jamesa J. Probasco dobrze znała policja Chicago. Od 1921 r. był dwukrotnie aresztowany za posiadanie kradzionych rzeczy, nigdy jednak nie został skazany. Przez lata zajmował się najróżniejszymi interesami, od walk bokserskich po lecznice weterynaryjne.]. Sześćdziesięciosiedmioletni Probasco zamierzał kupić pewną tawernę, brakowało mu jednak pieniędzy. W niedzielę 27 maja miał niespodziewaną wizytę.

Chicago, Illinois 27 maja, niedziela

Drewniany dom Jimmy'ego Probasco stał obok stacji benzynowej Shell, przy Crawford Avenue 2509, w przemysłowej części dzielnicy North Side. Z przodu, wzdłuż frontowej ściany domu ciągnął się rachityczny żywopłot, z tyłu zaś okalał go płot drewniany, za którym Probasco trzymał swoje dwa policyjne psy, Króla i Królową. Sądząc po tym, co słyszeli zwykle jego sąsiedzi, ulubionym zajęciem Probasco było przeklinanie i wrzeszczenie na psy. Dom był piętrowy, Probasco mieszkał na parterze, a górę wynajmował.

O północy Piquett i O'Leary stali obok stacji benzynowej, kiedy pojawił się tam Dillinger z Van Meterem. Probasco wystraszył się, gdy otworzył drzwi i zobaczył w progu

Piquetta z dwoma obcymi; nikt nie poinformował go wcześniej o wizycie.

- Jimmy, to jest mój słynny klient, John Dillinger - powiedział Piquett. - Możemy gdzieś usiąść i porozmawiać?³

Dillinger i Van Meter weszli do środka. Na parterze znajdował się salon i dwie sypialnie, jedna z przodu, druga z tyłu. Probasco uściśnił gościom dłonie i zaprowadził ich do kuchni. Był zdenerwowany.

- Więc tak to wygląda - mruknął Dillinger, rozglądając się dokoła.

- Jaką cenę pan proponuje, panie Piquett?

Piquett zażądał 50 dolarów za dzień.

- Nie uważa pan, że to trochę za dużo? - spytał Dillinger.

- Szuka pana policja w całym kraju - odpowiedział mu Probasco.

- Ale chcę, żeby pan był zadowolony. Jaka cena będzie pańskim zdaniem uczciwa?

- Trzydzieści pięć za dzień? - zaproponował Dillinger. Probasco się zgodził. Dillinger spytał Piquetta o lekarzy. Wszystko było już ustalone. Mieli przyjść do domu Probasco następnego wieczora, by wykonać operację. Dillinger wyjął portfel i odliczył 3000 dolarów.

- Resztę dostanie pan po operacji - powiedział.

W tym momencie do kuchni weszła tęga, ciemnowłosa kobieta. Dillinger był zirytowany.

Piquett wyjaśnił, że to dziewczyna Probasco, która z nim mieszka, pielęgniarka. Kiedy Probasco zapewnił, że jego dziewczyna świetnie gotuje, Dillinger zgodził się, by została⁴. Później Probasco pokazał Dillingerowi frontową sypialnię i rozkładaną dwuosobową sofę. Dillinger stwierdził, że mu to odpowiada, i poszedł spać.

28 maja, poniedziałek

Następnego wieczora Art O'Leary przywiózł do domu Probasco dwóch lekarzy. Weszli do frontowej sypialni i rozejrzeli się dokoła. Probasco rozłożył wcześniej łóżko polowe przeznaczone dla operowanego. Człowiekiem, który miał przystawić skalpel do twarzy Dillingera, był Wilhelm Loeser, wysoki, szczupły Niemiec, który używał pseudonimu „Ralph Robiend”. Znany był już miejscowemu biuru FBI; oddział z Oklahoma City, szukając lekarza związanego z zupełnie inną sprawą, powiadomił chicagowskie biuro, że może on pojawić się na wiosnę w ich mieście. Pięćdziesięcioośmioletni Loeser, który przyjechał do Ameryki w wieku 12 lat, studiował medycynę na Uniwersytecie Kansas i Uniwersytecie Północno-Zachodnim. W połowie lat dwudziestych zaczął zarabiać na życie, sprzedając nielegalne środki ze swojej apteki w Chicago; aresztowany i skazany na trzy lata więzienia w

1931 roku, został warunkowo zwolniony, szybko jednak złamał warunki zwolnienia i uciekł do Meksyku w obawie przed ponownym aresztowaniem. Piquett był jego adwokatem. Gdy na początku 1934 roku Loeser wrócił do Chicago jako „Ralph Robiend”, Piquett zatrudnił go do przeprowadzenia operacji plastycznej pewnego oszusta, Williama Elmera Meade’a.

Asystentem Loesera miał być tego wieczora roztrzęsiony, trzydzie-stodwuletni alkoholik, Harold Cassidy, kuzyn Art’a O’Leary’ego. Siedem lat wcześniej Cassidy ukończył Wydział Medycyny na Uniwersytecie Illinois. Zawsze brakowało mu pieniędzy, a na dodatek jego była żona bez ustanku domagała się alimentów; Piquett był również jego prawnikiem. Cassidy miał swój gabinet w North Side, nad jednym z dawnych nielegalnych barów Ala Capone, gdzie przeprowadzał nielegalne aborcje i wszelkie inne zabiegi, na których mógł coś zarobić. Pomagał Loeserowi podczas poprzedniej operacji i miał dostać 600 dolarów za pracę przy Dillingerze.

Gdy wszyscy znaleźli się już we frontowej sypialni domu Probasco, Dillinger powiedział Loeserowi, czego spodziewa się po operacji; Loeser nie przewidywał żadnych trudności.

- Chce pan znieczulenie miejscowe czy ogólne? - spytał Dillinger.
- Przy ogólnym całkowicie stracę przytomność, tak? - spytał Dillinger.
- Zgadza się.
- Będziesz tutaj, Art? - spytał Dillinger O’Leary’ego.
- Zostanę, jeśli chcesz, Johnnie - odparł O’Leary.
- Chcę, żebyś został.

Loeser spytał, co Dillinger jadł tego dnia. Dillinger odpowiedział, że tylko grejpfruta i tost na śniadanie. Było to kłamstwo, zaledwie godzinę wcześniej zjadł pełny posiłek, bardzo już jednak chciał zacząć. Podczas gdy Loeser mył ręce w łazience, Dillinger zdjął koszulę i położył się na łóżku. Zebrawszy swoje rzeczy, Cassidy pochylił się nad nim, położył mu ręcznik na twarzy i zaczął zwilżać go eterem.

- Jesteś tutaj, Art? - spytał Dillinger.
- Jestem przy tobie, Johnnie - zapewnił go O’Leary.

Po minucie lub dwóch Dillinger wciąż był półprzytomny. Cassidy wylał na ręcznik całą puszkę eteru. Nagle zauważył, że Dillinger zszarzał na twarzy i przestał oddychać. Ogarnięty paniką cofnął się pod ścianę.

- Co się dzieje? - spytał O’Leary.
- On nie oddycha! - krzyknął Cassidy.

Jedzenie, które niedawno spożył Dillinger, weszło w reakcję ze środkiem

znieczulającym. Loeser wpadł do pokoju i zaczął reanimować Dillingera, uciskając jego klatkę piersiową. W drzwiach pojawił się Probasco.

- Mój Boże, on nie żyje! - krzyknął przerażony. - O mój Boże! O'Leary otworzył okno, by przewietrzyć pokój i przegnać opary eteru. Loeser wciąż reanimował Dillingera. Po kilku kolejnych, pełnych niepewności minutach Dillinger zaczął oddychać. O'Leary i Probasco odetchnęli głośno z ulgą. Dobrze wiedzieli, co zrobiliby z nimi Van Meter i Nelson, gdyby Dillinger umarł; nikt by nie uwierzył, że go nie zdradzili.

Kiedy stan Dillingera już się ustabilizował, Loeser zaczął operację. Szło mu powoli. Dillinger kilkakrotnie zwymiotował, obficie też krwawił, plamiąc łóżko. Loeser wycierał wymiociny i krew, po czym kontynuował operację. Najpierw usunął trzy pieprzyki. Potem wygładził zmarszczki na twarzy, robiąc nacięcia pod uszami i naciągając skórę. Fragmentami skóry z nacięć wypełnił dołek w brodzie. W końcu zaszył rany i je obandażował. Dillinger wyglądał jak okrwawiona mumia. Po godzinie odzyskał przytomność.

Był bardzo oszołomiony. O'Leary powiedział mu, że omal nie umarł. Dillinger zdobył się na cichy śmiech.

- Równie dobrze mogłoby stać się to teraz, jak kiedy indziej - powiedział.

Przez dwa dni dochodził do zdrowia. W czwartek 31 maja przyszedł Cassidy, zdjął opatrunki. Dillinger przejrzał się w lustrze. Zdradziecki dołek w brodzie zniknął, podobnie jak pieprzyki. Nikt go teraz nie rozpozna.

Przez cały maj Hoover rozmyślał o tym, jak fatalny obrót przybrała wojna z przestępczością. Po Little Bohemia z Biura śmiał się cały kraj. Dillinger zniknął, podobnie jak Barkerowie. Zagadka masakry w Kansas City pozostawała nierozwiązana, od miesięcy też nie widziano Pretty Boy Floyda. Biuro nie doczekało się żadnego uznania - bo i na takie nie zasłużyło - za zabicie Bonnie i Clyde'a. Frank Hamer udzielił wywiadu, w którym powiedział, że znajdzie Dillingera, jeśli FBI go o to poprosi. Stanowisko Hoovera było jasne: „Po moim trupie”.

Akcja w Little Bohemia uzmysłowiła Hooverowi kilka rzeczy. Przynajmniej pokazywała, że jego ludzie są kompletnie nieprzygotowani do bezpośrednich starć z przestępcami. Pomimo wielu miesięcy intensywnego szkolenia chłopcy z koledżu nie radzili sobie z bronią i byli kompletnie zagubieni w sytuacjach choćby tylko przypominających prawdziwą walkę. Hooverowi ogromnie zależało na tym, by przy następnym spotkaniu z Dillingerem agenci FBI gotowi byli do starcia. Trzeba było sprowadzić „kowbojów”. Hoover kazał Popowi Nathanowi poszukać w biurach na Południowym Zachodzie ludzi umiejących posługiwać się bronią. Nathan znalazł kilku kandydatów, którzy w maju zaczęli zjeżdżać się

do Chicago.

Jednym z pierwszych był trzydziestoosmioletni Charles Winstead, doświadczony Teksaszczyk, który ścigał Machine Gun Kelly'ego oraz Bonnie i Clyde'a, brał też udział w obławie na Harveya Baileya. Winstead przyleciał do Chicago 12 maja, z Love Field w Dallas. Przyjechawszy do biura, odnowił znajomość z innym Teksaszczykiem, byłym strażnikiem, J.C. „Doc” White'em, zawsze uśmiechniętym młodszym bratem Toma White'a, najlepszego człowieka Hoovera w latach dwudziestych. Pięćdziesięciopięcioletni Doc White został najstarszym członkiem Brygady Dillinger i mentorem wielu młodszych agentów.

Nie wszyscy agenci zjeżdżający do Chicago pochodzili z Teksasu. Jednym z najlepszych był trzydziestojednoletni Herman Hollis, który na co dzień pracował w Tulsie i od miesięcy węszył wokół starych kryjówek gangu Barkera we wschodniej Oklahomie. Hollis, długonosy prawnik z Des Moines, znany jako „Ed”, był jednym z niewielu chłopców z koledżu, który umiał posługiwać się bronią; doskonale strzelał z pistoletu maszynowego Thompson. Energiczny i pracowity, uważany był za jednego z najlepszych śledczych FBI.

Oczywiście nie był człowiekiem bez wad. Wcześniej pełnił przez jakiś czas funkcję szefa agentów w Detroit, jednak okresowe raporty kwestionowały jego umiejętności administracyjne. Nieustannie zadręczał Biuro prośbami o przeniesienie do Kalifornii lub Arizony; jego żona, Genevieve, miała „zaburzenia nerwowe”, które, zdaniem lekarza, mogłyby ustąpić w cieplejszym klimacie. Hollis był także niezwykle próżny, uchodził za bawidamka, który flirtuje ze stenografkami. „Prawdopodobnie jest bardzo dumny ze swych eleganckich ubrań - pisał w notatce Hugh Clegg - widać to szczególnie, gdy przechodzi obok lustra”⁵.

Przede wszystkim jednak Hollis był kompetentnym śledczym i dobrym strzelcem, a Hoover miał niewielu takich ludzi. Kiedy Pop Nathan sporządził listę agentów „szczególnie predestynowanych do niebezpiecznych zadań”, oprócz Hollisa znalazło się na niej tylko dziesięć nazwisk. Zdesperowany Hoover sięgnął do wydziałów policji z Południowego Zachodu. Z Dallas sprowadził szefa detektywów, R.L. „Boba” Jonesa, a z Waco detektywa Bucka Buchanana. Zwabił również dwóch członków zespołu strzeleckiego z Oklahoma City, trzydziestoletniego detektywa Jerry'ego Campbella oraz trzydziesto-dziewięcioletniego Clarence'a Hurta, który brał udział w strzelaninie w Underhill; obu czekała długa kariera w FBI. Hurt ubiegał się już wcześniej o pracę w Biurze, lecz jego podanie zostało odrzucone. Pop Nathan napisał wtedy: „Nic nie wskazuje na to, by kandydat miał szczególnie konstruktywną wyobraźnię”. Hurt jednak dobrze radził sobie z bronią, a teraz to wystarczało.

Wszyscy ci ludzie mieli tworzyć rdzeń nowej, ulepszonej Brygady Dillinger. Nowi

członkowie zostali wysłani do Waszyngtonu na miesięczne szkolenie. W dniu, w którym szkolenie dobiegło końca, Clarence Hurt napisał do przyjaciela, że jedynie on i jego partner, Jerry Campbell, w zespole nie byli prawnikami⁶. I tu leżał problem; wszyscy nowi członkowie zespołu rozumieli, że zostali sprowadzeni nie po to, by chwytać ludzi pokroju Dillingera, lecz najprawdopodobniej by ich zabijać. „Zatrudnili mnie jako płatnego mordercę, bez dwóch zdań; ginęło zbyt wielu księgowych i prawników z ich biur”, mówił do swych przyjaciół D.A. „Jelly” Bryce, detektyw z Oklahoma City, wynajęty nieco później tego samego roku (cytuję za biografem Bryce’a, Ronem Owensem).

Wkrótce jednak Hoover zrozumiał, że sprowadzeni przez Biuro strzelcy sami nie znajdą Dillingera. Problemem było dowództwo. Problemem był Purvis. W późniejszych latach pojawiły się głosy, że do upadku Purvisa przyczyniła się zazdrość Hoovera. Hoover, jak pisali niektórzy badacze, nie mógł znieść, że podczas obławy na Dillingera uwaga całej amerykańskiej prasy skupiała się na Purvisie. Może jest w tym trochę prawdy, jednak Purvis musiał odejść nie ze względu na dążenie do sławy, lecz na całą serię błędów, które popełnił w ciągu minionego roku. Hoover wybaczył mu, gdy aresztował niewłaściwych podejrzanych w sprawie porwania Hamma i „zapomniał” wydać rozkaz schwymania Machine Gun Kelly’ego. Dyrektor Biura bronił swego ukochanego „Małego Mela” nawet po nieudanej akcji w Little Bohemia. Trudno było jednak ukryć, że podczas obławy na Dillingera Purvis wykazywał się wyjątkową nieudolnością. Podejrzani ginęli bez śladu. Informatorzy byli beznadziejni. Przeszukiwano niewłaściwe mieszkania. Purvis nie próbował nawet dogadać się z policją w Chicago, a wchodził w konflikty z innymi wydziałami. Pozwolił, by skradziono mu samochód sprzed jego własnego domu.

Hoover nabrał jeszcze większych wątpliwości, gdy Purvis dostał najlepszą przynętę, jaka trafiła się Biuru od wielu miesięcy. 26 maja sędzia federalny w Wisconsin zwolnił warunkowo kobiety z Little Bohemia - Helen Gillis, Jean Delaney i Mickey Conforti. Nim wyszły na wolność, zostały przesłuchane w Bankers Building. Purvis wyznaczył sześciu ludzi, którzy mieli je obserwować. Conforti pojechała do domu swych przybranych rodziców, a Gillis i Delaney udały się do mieszkania siostry Nelsona, Juliette Fitzsimmons przy South Marshfield Avenue. Wszystkie trzy zajęły się codziennymi sprawami. Wiedziały, że są obserwowane.

Purvis szukał jakichś sposobów, by jego agenci mniej rzucali się w oczy. Naprzeciwko domu Fitzsimmons znajdowała się stacja benzynowa. Purvis wymógł na właścicielu, by pozwolił tam pracować jednemu z agentów. We wtorek 29 maja, trzy dni po uwolnieniu Helen, Purvis zadzwonił do swego człowieka. Był zaszokowany, gdy agent

wspomniał, że widział poprzedniego dnia Nelsona, który przyszedł z wizytą do swojej żony. Nelson czterokrotnie objechał okolicę, sprawdzając zapewne, czy dom nie jest obserwowany, po czym wszedł do budynku⁷.

Tego było już za wiele. Hoover wysłał do Purvisa ostry list. „Zaczyna mnie coraz bardziej niepokoić rozwój wydarzeń w Chicago. Zbyt często się zdarza, że obserwacja nie jest prowadzona prawidłowo, a osoby poddane tej obserwacji bez trudu się spod niej wymykają. Nie możemy dłużej pozwalać, by niektóre tropy pozostawały niezbadane albo były badane bez należytej staranności. Musi pan koniecznie objąć tę sprawę ścisłym nadzorem”⁸.

Sytuacja Purvisa pogorszyła się jeszcze bardziej tego samego dnia, gdy jeden z chicagowskich reporterów doniósł, że do miasta przyjechała wdowa po Eddie Greenie i że rozmawia z FBI. Jeden z bliskich współpracowników Hoovera spytał Purvisa o ten przeciek, a Purvis odpowiedział, że dziennikarz prawdopodobnie to zmyślił. „To dziwne, że dziennikarze zmyślają prawdę”, napisał w notatce Hoover⁹. Hoover właśnie wysłał do Purvisa depezę z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy, gdy następnego ranka w chicagowskich gazetach pojawiły się artykuły cytujące Purvisa, który stwierdził podobno, że jego zdaniem Dillinger nie żyje. Hoover ponownie zażądał wyjaśnień. Purvis znów odparł, że był to jedynie wytwór dziennikarskiej wyobraźni. „Nie powiedziałbym niczego, co mogłoby sugerować, że Dillinger nie żyje, bo wcale tak nie uważam”, napisał do Hoovera¹⁰.

Miarka przebrała się następnego wieczora, w czwartek 31 maja, tego samego dnia, gdy Cassidy zdjął bandaż z twarzy Dillingera. Agenci obserwujący Helen Gillis siedzieli w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy. Purvis wyznaczył do tego zadania Eda Hollisa. Od samego początku uważał akcję za problematyczną, gdyż „Helen zdaje sobie sprawę, że przez cały czas jest obserwowana”, pisał do Hoovera. Jednocześnie zapewniał go: „Siedzę tę sprawę z najwyższą uwagą”¹¹.

Purvis doszedł do wniosku, że potrzebuje kogoś, kto zdobędzie zaufanie Helen. Jego wybór, wyjątkowo kiepski, padł na niejakiego George’a Nelsona z Michigan City, oszusta, który przebywał na zwolnieniu warunkowym. Nelson twierdził, że poznał Dillingera w więzieniu i że Baby Face Nelson „ukradł” jego nazwisko. Purvis zgodził się płacić Nelsonowi 20 dolarów za dzień. W czwartek wieczorem wysłał go do budynku przy Marshfield Avenue.

Hollis i pozostali agenci obserwowali, jak George Nelson podjeżdża pod dom, z którego wyszły właśnie Helen i Jean Delaney. Nelson podszedł do nich i powiedział, że przysyłają go Dillinger i Baby Face Nelson. Żadna z kobiet nie знаła go jednak ani nawet o nim nie słyszała, założyły więc, jak później zeznały, że to wtyczka FBI. Helen i Delaney przeszły za róg budynku. Nelson poszedł za nimi.

Zamiast śledzić kobiety osobiście, Hollis i jego ludzie postanowili zaczekać, zakładając, że obie wkrótce wrócą. Po piętnastu minutach wciąż się nie pojawiały. Agenci opuścili budynek i pobiegli za róg. Zobaczyli Nelsona siedzącego w samochodzie. Zdziwili się, bo Nelson rozpoznał ich i podszedł. Powiedział, że Helen jest w kinie i żeby się nie martwili, gdyż on ma całą sytuację pod kontrolą. Nie miał. Hollis i jego ludzie wrócili do swojej kryjówki i czekali na powrót obu kobiet. Czekali do samego świtu¹²*[* Informacja o zniknięciu Helen Gillis przedostała się do chicagowskich gazet dopiero trzy tygodnie później, 22 czerwca. Ed Tamm zadzwonił wówczas do Sama Cowleya i kazał mu wszystkiemu zaprzeczyć.].

Kobiety zniknęły. Purvis poinformował o tym Hoovera telefonicznie rano w sobotę 2 czerwca. Tego samego dnia Hoover wezwał do siebie jednego ze swych bliskich współpracowników, Sama Cowleya, i oświadczył, że przyszedł czas na zmiany. Cowley, który przez ostatni rok siedział za biurkiem w kwaterze głównej FBI, został wysłany do Chicago, by przejąć dowodzenie nad sprawą Dillingera.

Samuel P. Cowley, który nieoczekiwanie stał się gwiazdą trzeciego aktu wojny z przestępczością prowadzonej przez Hoovera, był całkowitym przeciwieństwem Melvina Purvisa. Spokojny, małomówny, oschły, o zwisającym podbródku i smutnych oczach, był ucieleśnieniem przeciętnego biurokraty z Waszyngtonu. Pochodził z prominentnej rodziny mormonów z Utah. Jego ojciec, Mathias, był jednym z dwunastu apostołów zarządzających międzynarodowym Kościołem, zmuszony został jednak do ustąpienia w 1903 roku, gdy Cowley miał cztery lata. Powodem było przywiązanie Mathiasa do poligamii, której jego Kościół zakazał. Miał cztery żony.

Ukończywszy szkołę średnią w 1916 roku, Cowley został mormońskim misjonarzem na Hawajach; mówił biegle po hawajsku. Po powrocie do domu w 1920 roku zaczął naukę na Utah Agricultural College, grał w zespole futbolowym, a latem pracował jako komiwojazer, sprzedając tekstylia w Nebrasce i Dakocie. Chciał zostać prawnikiem, ale w tym czasie w Utah nie było studiów prawniczych. W 1925 roku został jednak przyjęty w Alma Mater Hoovera, George Washington University.

Po ukończeniu studiów w 1929 roku chciał rozpocząć praktykę prawniczą w Utah, nie mógł jednak znaleźć pracy. By nie tracić czasu, zatrudnił się w FBI (rodzina powiedziała, że wróci na zachód, gdy poprawi się koniunktura). Został przyjęty jako agent specjalny. Miał wtedy 29 lat. Przez kolejne trzy lata pracował w biurach FBI w Detroit, Chicago, Butte, Salt Lake City i w końcu w Los Angeles, gdzie poznał dziewczynę z Utah, Lavon Chipman, z którą wkrótce się ożenił. Był solidnym, pracowitym śledczym, najlepiej czuł się jednak w

pracy biurowej; zasypywał Waszyngton propozycjami usprawnienia systemu dokumentacji Biura.

Hoover docenił jego zaangażowanie i w październiku 1932 roku przeniósł go do kwatery głównej, przydzielając mu pracę w dziale porwań. Cowley, który ważył 75 kilogramów, miał 180 cm wzrostu, nalaną, ziemistą twarz i ubierał się w workowate garnitury, często bywał niedoceniany. „Prawdę mówiąc, pracownik ten nie robi większego wrażenia, jeśli chodzi o cechy charakteru, o czym świadczy choćby niedbałość, z jaką dobiera ubrania”, pisał w raporcie jeden z urzędników na początku 1934 roku. Później jednak dodawał, że Cowley „nabrał doświadczenia i pewności siebie, zawsze wykonuje swą pracę należycie”.

Bezbarwny, lecz pracowity, Cowley siedział za biurkiem od wczesnego ranka do późnej nocy, w niedziele i święta. Potrafił zawartość całej sterty dokumentów streścić na jednej stronie; był tak zapracowany, że nie pofatygował się nigdy na nową strzelnicę Biura. Vincent Hughes, dyrektor działu śledczego, zauważył, z jaką pasją Cowley oddaje się pracy, i pod koniec 1933 roku mianował go swoim asystentem. Tak więc Cowley został wciągnięty w sam środek wojny z przestępczością. Codziennie przez kilka godzin siedział przy telefonie, rozmawiając z biurami z różnych miast, by później przekazać ich wskazówki, tropy, potrzeby i problemy Hooverowi.

Jego praca zrobiła takie wrażenie na przełożonych, że gdy w styczniu 1934 roku zmarł Hughes - z przepracowania, jak twierdzą niektórzy - Cowley przejął jego posadę. Miał coraz więcej pracy, co oczywiście odbijało się na jego młodej rodzinie. Gdy w marcu urodził mu się drugi syn, nie pojechał do żony do szpitala; był tak zajęty, że nie znalazł nawet czasu, by wybrać dla syna imię. Lavon żartowała, że jeśli nie wymyśli czegoś szybko, nazwie dziecko „Junior”¹³. W maju, gdy stosunki między Hooverem i Purvisem coraz bardziej się psuły, Cowley był już jednym z najbardziej zaufanych ludzi dyrektora; setki informacji w sprawach Bremera i Dillingera przechodziły przez jego maszynę do pisania, nim trafiły na biurko Hoovera.

Kiedy Cowley został wysłany do Chicago, gdzie miał nadzorować Purvisa, nie wydano w tej sprawie żadnego oświadczenia ani publicznie, ani prywatnie, co doprowadziło później do sporego zamieszania w kwestii roli Cowleya; przez następne miesiące gazety wciąż pisały o nim „główny asystent Purvisa”. Początkowo mówiono Purvisowi, że Cowley przyjedzie do Chicago na coś w rodzaju inspekcji i będzie miał za zadanie ocenić organizację, jaką zbudował Purvis, by schwytać Dillingera.

Prawda była jednak oczywista dla wszystkich od chwili, gdy Cowley pojawił się w

Chicago. „Nikt nic nie mówił, ale wszyscy o tym wiedzieliśmy - wspomina Doris Rogers. - Wieści rozeszły się po biurze pocztą pantoflową, ludzie szeptali i wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Mówili: »Cowley przyjeżdża«, a słuchacze tylko kiwali głową. Wiedzieliśmy, co to oznacza. Wiedzieliśmy, choć nikt nam tego nie powiedział”.

Cowley z miejsca zabrał się do pracy. Przyleciał z Waszyngtonu rankiem w niedzielę 3 czerwca, a już około południa był w Bankers Building. Kiedy wjechał na osiemnaste piętro, Parkera tam nie było, zajął się więc przesłuchaniem agentów, którzy zgubili Helen Gillis. Spartaczyli sprawę, a Cowley powiedział im to wprost. Gdy przyjechał Purvis, próbował bronić swoich ludzi, ale Cowley jednoznacznie uznał tę akcję za porażkę. Spośród czternastu agentów oddelegowanych do sprawy Dillingera czterech obserwowało dom siostry Nelsona. Cowley natychmiast odesłał trzech spośród nich do innych zadań.

Na pozór Purvis przyjął swoją degradację bez słowa skargi lub komentarza. Jednak z tonu jego notatek służbowych wynikało jasno, że nie przepada za nowym szefem; w swojej książce z 1936 roku, *American Agent*, nie wspomina ani o Cowleyu, ani o własnej degradacji[* Z akt FBI nie wynika jasno, jak ani kiedy Purvis dowiedział się o degradacji. Dokumenty zawierają jedynie wzmiankę o podróży do Waszyngtonu, którą Purvis odbył tego tygodnia; prawdopodobnie właśnie wtedy Hoover powiedział mu o zmianach.]. „Widać było napięcie na jego twarzy - wspomina Doris Rogers. - Było mi żal Cowleya. Wykonywał tylko swoją pracę. Nie mógł się dogadać z Purvisem. Ci dwaj wyraźnie się nie lubili. Miałam wrażenie, że Melvin został zdradzony. Wszyscy czuliśmy się zdradzeni, pokonani. Widać to było w sposobie, w jaki Purvis się poruszał, w jaki nosił kapelusz. Był przygarbiony, miał opuszczone ramiona. Czuliśmy się obłączeni. Wróg atakował. Przyjaciele, których mieliśmy w Waszyngtonie, zamienili się w naszych wrogów”.

Morale na osiemnastym piętrze wyraźnie upadło. Chodziło nie tylko o to, że ludzie Purvisa byli wyczerpani i stracili zaufanie do Waszyngtonu. Zmieniła się także natura ich pracy. Tylko nieliczni chcieli robić karierę w organach ochrony porządku publicznego. Dla większości praca w FBI miała być zajęciem tymczasowym, krótką przygodą po studiach, punktem zaczepienia do czasu, gdy skończy się kryzys i będzie można znaleźć normalną pracę. Nie zgłosili się do Biura, by zginąć z ręki jakiegoś oprycha. Doris Rogers spotykała się z kilkoma agentami, którzy zwierali jej się ze swoich wątpliwości.

„Kiedy Purvis został odsunięty na bok, wszyscy agenci gotowi byli odejść, gdyby tylko mogli - wspomina Rogers. - Nie chodziło tylko o lojalność względem Melvina. Agenci byli już wtedy zmęczeni, wycieńczeni. Woleliby wrócić do domu i zająć się czymś innym, choćby nalewaniem piwa w knajpie. Zrobiliby wszystko, byle się stamtąd wyrwać. Zostali

wciągnięci w sytuację, która mogła skończyć się dla nich śmiercią. Żaden o to nie prosił. Wiedzieli, że nie mogą liczyć na zaszczyty, tylko co najwyżej na szybką śmierć. Nie to było ich życiowym celem. Wszyscy zadawali sobie to samo pytanie: Co ja robię w tej okropnej pracy?”.

Napięcie wzrosło jeszcze tego samego niedzielного popołudnia, gdy Cowley i Purvis pojechali do Fort Wayne, by ocenić drugi ważny punkt obserwacyjny, w domu Audreya Russa. Ten projekt także zakończył się fiaskiem. Trzej agenci przenieśli się z domu Russa do odległego o dwadzieścia kilometrów hotelu, bo waleczna pani Russ spodziewała się gości; zgodziła się łaskawie zadzwonić, gdyby Dillinger znów do nich przyjechał. Po całonocnej rozmowie Cowley kazał agentom wrócić do Chicago, a sam z Purvisem wrócił do Bankers Building o 5.15¹⁴.

Był niezadowolony. Cały poniedziałek poświęcił kontroli reszty organizacji Purvisa. Wypytywał go o skuteczność pracy informatorów i domagał się przyspieszenia działań w sprawie Bremera, którą zajmowało się sześciu agentów. Wieczorem pojechał do Indianapolis, rano zaś wybrał się wraz z Earlem Connelleyem na objazd Mooresville; Connelley rozmieścił w okolicy Indianapolis szesnastu agentów, którzy obserwowali dom Dillingera oraz kilka innych gospodarstw. Dwaj kolejni agenci pracowali w Dayton, a jeden w Columbus, w stanie Ohio. Cowley wątpił, by którykolwiek z nich mógł rzeczywiście coś osiągnąć. „Zauważył, że agenci prowadzą obserwację od miesiąca lub sześciu tygodni - pisał Hoover w notatce sporządzonej tego wieczora - i trudno przypuszczać, by obserwowani o tym nie wiedzieli, podobnie jak trudno przypuszczać, by w takiej sytuacji Dillinger próbował się z nimi skontaktować”¹⁵.

Mimo to Cowley powiedział Hooverowi, że nie warto dokonywać żadnych zmian. Hoover po raz pierwszy od kilku tygodni wydawał się zadowolony. Dwa dni później zadzwonił do Cowleya i, jak zapisał w notatce, „wyraziłem nadzieję, że nowy porządek w Chicago przyniesie rezultaty, a także powiedziałem panu Purvisowi, że do czasu zakończenia sprawy Dillingera pan Cowley przejmuje kierownictwo”¹⁶.

Podczas gdy Cowley przejmował rządy w chicagowskim biurze, zła passa Purvisa wciąż trwała. Była dziewczyna Pete’a Pierponta, Mary Kinder, zaręczyła się, a Connelley zaprzyjaźnił się z jej narzeczonym, który powiedział mu, że Kinder zamierza się wkrótce spotkać z Dillingerem. We wtorek Purvis pojechał do miasteczka Mishawaka; według doniesień agentów właśnie tutaj miał ukrywać się Pierpont, w domku, obok którego jego rodzice otwierali rożen. Purvis z paroma agentami obserwowali budynek aż do północy, kiedy to, ku ich zdumieniu, podjechało do nich kilka aut policyjnych. Ze środka wypadło kilkunastu

policjantów z długą bronią i w kamizelkach kuloodpornych; zażądali wyjaśnień. Purvis powiedział im, kim jest, i przeprosił, że nie powiadomił o swoim przybyciu miejscowych władz. Potem powlókł się do budki telefonicznej, by ponownie przekazać do Waszyngtonu złe wieści. „Pan Purvis stwierdził, że z naszego punktu widzenia sprawa została spaprana - pisał do Hoovera jeden z jego asystentów. - Zgodziłem się z jego sugestią, by przekazać tę sprawę miejscowej policji. Polecilem mu także, by ostrzegł policję, że nie należy tej historii nagłaśniać”¹⁷.

W dniu, w którym Sam Cowley przybył do Chicago, Van Meter poszedł w ślady Dillingera i wkroczył w nowy wspaniały świat chirurgii plastycznej. Zapłacił za operację 5000 dolarów. W domu Probasco znów pojawił się doktor Loeser w towarzystwie Harolda Cassidy’ego. Tym razem wszystko poszło gładko. Loeser zlikwidował charakterystyczny garb na nosie Van Metaera, zmniejszył górną wargę i z przedramienia kwasem usunął wytatuowane słowo *Hope* (nadzieja). Najwyraźniej nikt nie wziął tego za zły znak.

Dwa dni później Loeser wrócił i kwasem solnym zniszczył linie papilarne na palcach Van Metaera i Dillingera. Dillinger zniósł ten zabieg w milczeniu, krzywił się tylko, a na jego czoło wystąpiły krople potu. Van Meter przeklinał głośno i biegał po całym pokoju, wymachując rękami. Później wpadł do nich Baby Face Nelson. Spojrzał na twarze swych współników, uśmiechając się szyderczo.

- Więc postanowiliście kupić sobie nowe gęby - zakpił. - Może rzeczywiście były wam potrzebne.

- Przynajmniej będę mógł teraz wyjść na ulicę - odparował Dillinger¹⁸.

Tego dnia odwiedził ich również Piquett, by powiedzieć Dillingerowi, że potrzebuje pieniędzy na zapłatę dla dwóch adwokatów, którzy reprezentowali Billie Frechette podczas procesu w St. Paul; zgodnie z oczekiwaniami została skazana na rok więzienia. Dillinger wysłał O’Leary’ego po pieniądze do swego ojca. W środę 6 czerwca wieczorem O’Leary zameldował się w hotelu Claypool w Indianapolis. Następnego ranka pojechał na stację benzynową i spotkał się z Hubertem Dillingerem. Hubert dyskretnie wskazał Arta McGinnisa, informatora FBI, który od ponad miesiąca kręcił się w pobliżu stacji.

- Uważaj, co mówisz.

- Co ten kapuś tu robi? - spytał O’Leary.

- Wolę, żeby był w pobliżu, bo mam go na oku.

- Przywiozłem list od Johnniego do twojego taty - oświadczył O’Leary¹⁹.

Hubert powiedział McGinnisowi, że O’Leary jest agentem FBI, który chce porozmawiać z jego ojcem, po czym zawiózł swego gościa do domu Dillingerów w

Mooresville. John Dillinger senior spotkał się z nimi przy drodze. O'Leary wręczył mu list, w którym młodszy Dillinger pisał:

Tato!

Jestem cały i zdrowy, przekonałem się, że mam jeszcze przyjaciół, którzy mnie nie sprzedadzą. Szkoda, że nie mogłem zostać dłużej w domu, tak bardzo się cieszyłem, że mogłem zobaczyć ciebie i dziewczyny. Jeździłem sporo po całym kraju, ale dom to zawsze dom. Wkrótce wyjeżdżam i nie będziecie musieli dłużej się o mnie martwić. Pozdrów dziewczyny. Mam nadzieję, że wszyscy są zdrowi.

Johnnie²⁰

- Jak się Johnnie miewa? - spytał pan Dillinger.

- Świetnie - odparł O'Leary.

Starszy Dillinger poszedł do stodoły i po chwili wrócił z paczką owiniętą w gazetę. W środku O'Leary znalazł 3000 dolarów; były to pieniądze, które Dillinger dał ojcu po napadzie na bank w Fostorii.

- Jeśli zobaczysz się z Johnniem, powiedz mu, że na stacji jest ze mną Art McGinnis - poprosił O'Leary'ego Hubert²¹. O'Leary mu to obiecał.

W dokumentach FBI nie ma niczego, co by świadczyło, że agenci obserwujący dom Dillingera zauważyli wizytę O'Leary'ego; inaczej pojechaliby za nim do domu Jimmy'ego Probasco. Art McGinnis jednak coś podejrzewał. Nazajutrz Earl Connelley zadzwonił do Waszyngtonu, by zameldować: „Jakiś nieznany osobnik, który próbował odnaleźć Dillingera, przedstawił się jako agent rządowy i skontaktował z bratem przyrodnim Dillingera. Pan Connelley ma informatora, który twierdzi, że ta nieznana osoba na kilka godzin opuściła wraz z Hubertem stację”²². FBI nigdy nie ustaliło tożsamości tego człowieka; prawdopodobnie był to właśnie O'Leary.

O'Leary wrócił wieczorem do Chicago i udał się do domu Probasco. Dillinger chodził z pokoju do pokoju, wyraźnie zdenerwowany i przybity. Powiedział O'Leary'emu, że właśnie słyszał wiadomości w radiu. Chodziło o Tommy'ego Carrola.

Waterloo, Iowa 7 czerwca, czwartek

Carroll i jego dziewczyna Jean Delaney podróżowali przez Iowę, zamierzając zatrzymać się na dłużej w domu rodziców Delaney w St. Paul. Spędziwszy noc w pobliżu Cedar Rapids, jechali przez miasteczko Waterloo, gdy coś popsulo im się w samochodzie. Carroll oddał auto do warsztatu. Później, w porze lunchu, detektyw z policji Waterloo, Emil Steffen, odebrał telefon od mechanika, który powiedział mu, że właśnie skończył pracować

przy brązowym hudsonie, a widział w nim pod dywanikiem broń i całą kolekcję tablic rejestracyjnych. Stwierdził też, że kierowca „wyglądał na twardziela”.

Detektyw Steffen wziął do pomocy innego policjanta, P.E. Walkera, i razem z nim jeździł po ulicach Waterloo, szukając brązowego hudsona. Nie mogli go znaleźć, więc po godzinie wrócili na komisariat, do centrum. Poszukiwany samochód stał właśnie tam, naprzeciwko komisariatu. Policjanci zatrzymali się obok niego i czekali. Po chwili zobaczyli, jak do samochodu zbliża się młody mężczyzna z ładną blondynką. Carroll otworzył przed Delaney drzwiczki hudsona po stronie pasażera. Potem przeszedł na drugą stronę, do drzwi kierowcy.

Detektywi wysiedli z samochodu.

- Hej! - zawołał Walker. - Chwileczkę. Kim jesteś?

- A kim wy jesteście? - odpowiedział pytaniem Carroll.

- Policja - odparł Walker.

Carroll cofnął się o krok i sięgnął pod płaszcz. Walker rzucił się do ataku. W momencie gdy przestępca wyjął pistolet, Walker uderzył go w nos. Carroll usiadł na drodze, tuż obok krawężnika. W okamgnieniu zerwał się na równe nogi, wciąż trzymając w dłoni pistolet, i wbiegł na chodnik. Detektyw Steffen wyjął pistolet i strzelił. Kula z odległości pięciu metrów trafiła Carrolła pod lewą pachą. Delaney krzyknęła.

Carroll wypuścił pistolet z dłoni i uciekł. Detektyw Steffen strzelił trzykrotnie. Dwie kule dosięgły celu. Carroll upadł na ziemię.

Steffen podbiegł do niego. Stanął nad rannym i spytał go o nazwisko.

- Tommy Carroll - wychrypiał przestępca. Nie chciał odpowiadać na więcej pytań. - Mam przy sobie siedemset dolarów - powiedział. - Dopilnujcie, żeby dziewczyna je dostała. Ona o niczym nie wie.

Policjanci aresztowali Jean Delaney i zabrali Carrolła do szpitala. Po południu do szpitala przyjechali dwaj agenci. Lekarze poinformowali ich, że rannemu zostało już niewiele życia. Agenci stali nad jego szpitalnym łóżkiem i przez czterdzieści pięć minut bombardowali go pytaniami. Bezskutecznie. Tommy Carroll zmarł o 18.55²³.

Zamknięci w domu Jimmy'ego Probasco Dillinger i Van Meter zareagowali zupełnie odmiennie na wieść o śmierci przyjaciela. Van Meter przysięgał, że nigdy tak nie umrze, nie da się zastrzelić w jakiejś brudnej uliczce, przez resztę swej kariery będzie robił wszystko, by nie rzucać się ludziom w oczy.

Dillinger zachowywał się całkiem inaczej. Gdy tylko pozbył się bandaży, chciał posmakować życia. Dzień po śmierci Carrolła, w piątek 8 czerwca, postanowił wybrać się na

mecz baseballa drużyny Chicago Cubs na Wrigley Field. Piquett poszedł z nim, a później powiedział, że widział tam również Johna Stege'a z Brygady Dillinger chicagowskiej policji. „Glina - wyszeptał do Dillingera, gdy wyszli ze stadionu. - Ważny glina”²⁴.

Dillinger się nie martwił, że zostanie rozpoznany. Prawdopodobnie był wręcz odurzony świadomością, że może bezpiecznie krążyć wśród ludzi. Później niektórzy przypisywali to jego „nowej twarzy”, inni jego rosnącemu ego. W weekend Dillinger czuł się już na tyle dobrze, że wybrał się do nocnego klubu, może był też w burdelu.

Poznał ładną kelnerkę, Polly Hamilton, z którą zamierzał spotykać się częściej.

- Przypomina mi Marie - zauważył Van Meter. Mówił o swej byłej dziewczynie, Mickey Conforti, której nie widział od dwóch miesięcy, od czasu Little Bohemia²⁵.

W środę 13 czerwca rano Van Meter czuł się już na tyle pewny siebie, że postanowił poszukać swojej byłej kobiety. Wstał wcześniej, włożył najlepszy ciemny garnitur i białe buty, dodał swój najnowszy element przebrania - delikatne pince-nez przymocowane czarną wstążką do kamizelki. Tak ubrany wyszedł na zewnątrz i usiadł za kierownicą swego rdza-woczerwonego forda. Wiedział, że jadąc na spotkanie z Mickey Conforti, podejmuje spore ryzyko. FBI obserwowało ją już parę tygodni.

Dzięki śmierci Tommy'ego Carrola ludzie Hoovera po raz pierwszy od kilku tygodni mieli jakieś nowe tropy. Nie naprowadziły ich na nie zeznania Jean Delaney; w nocy po śmierci Carrola agenci przesłuchiwali ją do 4.15 nad ranem, ale nie powiedziała im nic przydatnego. Nawet elokwentny Hugh Clegg nie zdołał niczego od niej wyciągnąć. Została skazana na rok i jeden dzień więzienia, a potem przewieziona do federalnego zakładu karnego dla kobiet w Wirginii Zachodniej.

Cenne wskazówki ukryte były w bagażu Carrola, czarnej skórzanej torbie - dwie koszule wciąż w opakowaniach z pralni w Niles Center*[* 11 czerwca Dillinger poszedł z Polly Hamilton do gabinetu lekarza sądowego w centrum Chicago, gdzie dziewczyna dostała jakieś zastrzyki i podpisała dokumenty potrzebne jej do nowej pracy. Wizyta ta, podobnie jak trzy kolejne w tym samym gabinecie, została ujawniona przez „Chicago Daily Times” po śmierci Dillingera. Obecnie przedmieście Skokie, w stanie Illinois.]. Gdy pokazano właścicielce pralni zdjęcie Carrola, zidentyfikowała go jako jednego ze swoich klientów; był u niej tylko kilka razy. Agenci pokazali jej również zdjęcia innych członków gangu Barkerow i gangu Dillingera. Rozpoznała Baby Face Nelsona jako przyjaciela Carrola, „pana Cody'ego, miłego młodego człowieka”, który przywoził jej pranie od początku maja. Pamiętała, że gdy przyjechał kiedyś po koszule, które nie były jeszcze gotowe, strzelił palcami i powiedział, że jechał osiemdziesiąt kilometrów, żeby je odebrać.

Pomimo pewnych postępów Cowley musiał się jeszcze sporo dowiedzieć. Największym jego błędem było odwołanie agentów obserwujących dom Mickey Conforti. Conforti wiedziała, że jest obserwowana; Cowley uważał, że śledzenie jej to strata czasu, bo najprawdopodobniej nie będzie próbowała skontaktować się z Van Meterem. Mylił się. 14 czerwca do jego biura zadzwoniła przybrana matka Conforti. Dziewczyna zniknęła.

Cowley pluł sobie w brodę. Van Meter po prostu poszedł do przyjaciółki Mickey Conforti i wysłał ją do swej dziewczyny z wiadomością, że chce, by do niego wróciła. Conforti wrzuciła trochę rzeczy do torby, spotkała się z nim za rogiem i zniknęła. Dokładnie dwa tygodnie po tym, jak Purvis pozwolił, by Baby Face Nelson odzyskał swoją żonę - ten błąd kosztował go utratę stanowiska - Cowley zrobił to samo. I tak stracił ostatni trop, który mógł zaprowadzić go do gangu DiHingera.

Utrata Mickey Conforti była sporym błędem. Jednak najbardziej niezrozumiałym przeoczeniem ze strony Cowleya w tych parnych, czerwcowych dniach był fakt, że nie kazał nikomu śledzić Louisa Piąuetta. Ludzie Cowleya dokładnie go sprawdzili, wiedzieli, że był zamieszany w różne oszustwa giełdowe. Przesłuchali jego byłą sekretarkę Esther Anderson, kobietę, która odprawiła DiHingera po jego ucieczce z Crown Point; agenci nie pytali Anderson o wydarzenia z tamtego dnia, a ona sama z siebie nic o tym nie mówiła. Przez cały ten czas Piąuett chodził wolno*[* Biuro próbowało śledzić Piąuetta od 19 maja, zrezygnowało jednak zaledwie po dwóch dniach. Najwyraźniej wymagało to zaangażowania zbyt wielu ludzi.].

W rezultacie Piąuett i Art O'Leary mogli spełniać wszystkie zachcianki DiHingera tuż pod nosem FBI. Obaj co kilka dni zachodzili do domu Probasco. Piąuett miał mnóstwo pomysłów na to, jak zarobić na sławie DiHingera. Zaproponował dziennikarzowi z „Chicago American” wywiad z Dillingerem za 50 000 dolarów: gazeta odmówiła. Piąuett i przedstawiciel tej samej gazety zastanawiali się również, czy „American” nie mógłby zaaranżować sytuacji, w której Dillinger dobrowolnie by się poddał. Dillinger zgadzał się na wszystko, z wyjątkiem poddania, gotów był nawet napisać autobiografię. Piąuett obiecywał, że przyniesie magnetofon, by Dillinger mógł nagrać swoje wspomnienia.

Najbardziej jednak spodobał się Dillingerowi pomysł nakręcenia filmu. Piąuett zaproponował, by kupili kamery i sprzęt do nagrywania.

Chciał sfilmować wykład Dillingera i Van Metera o tym, ile zła niesie ze sobą zbrodnia.

- Wygłoszę przesłanie do młodzieży Ameryki! - entuzjazmował się Van Meter.
- Nie, nie o to chodzi, Van - odparł Dillinger. - Chcemy im tylko powiedzieć, że

zbrodnie nie popłaca.

- Zrobimy to jeszcze inaczej - zaproponował Van Meter. - Ty powiesz, że zbrodnie nie popłaca, a ja wygłoszę przemówienie do amerykańskiej młodzieży²⁶.

Dillinger spędzał większość czasu w salonie domu Probasco, czytając gazety. Van Meter, który nie lubił czytać, godzinami ślezczał przy radiu, słuchając policyjnych częstotliwości i wszystko, co słyszał, relacjonując z zapalem Dillingerowi. Obaj śmiali się z fałszywych tropów, które musiała sprawdzać chicagowska policja i FBI. Według różnych doniesień Dillingera widziano w Kentucky, w Wisconsin, twierdzono nawet, że ukrywa się w górach Ozark razem z Pretty Boy Floydem. Dillinger zwykle się śmiał, zdenerwował się tylko, gdy usłyszał w wiadomościach, że prokurator generalny wydał rozkaz, by strzelać do niego bez ostrzeżenia.

Kiedy pewnego wieczora przyszedł do nich O'Leary, Dillinger wręczył mu karteczkę, na której zapisał adresy Melvina Purvisa i agenta Harolda Reineckiego. O obu pisano w gazecie, że zastrasza Billie Frechette w czasie, gdy przebywała w areszcie FBI.

- Chcę, żebyś sprawdził, czy te adresy są dobre - polecił Dillinger.

O'Leary poszedł do Piquetta. Udzielanie schronienia to jedno, morderstwo to zupełnie co innego. Piquett spotkał się z Dillingerem następnego dnia.

- Co ty planujesz, Johnnie? - spytał.

- Oni chcą mnie zabić, prawda? - odparł pytaniem Dillinger. - Dlaczego mam siedzieć i czekać z założonymi rękami? Którejś nocy zaparkujemy przed ich domami i dopadniemy ich, zanim oni to zrobią.

- Zdajesz sobie sprawę, co by to oznaczało? - zirytował się Piquett. - Wezwą tu całą armię, zaprowadzą w mieście stan wojenny, a mnie powieszą na latarni.

Piquett w końcu wygrał ten spór, był to jednak początek rozdzwiewu między nimi. Rozdzwiew ten się pogłębił, gdy Dillinger i Van Meter ostrzegli Piquetta w żartach, że zamierzają obrabować wszystkie banki w jego rodzinnym miasteczku w Wisconsin. Piquett potraktował to poważnie. Stracił panowanie nad sobą i przysiągł - co zrobił także podczas rozmowy o zamordowaniu Purvisa - że jeśli Dillinger zrealizuje swój pomysł, „między nimi wszystko będzie skończone”²⁷.

Dillinger denerwował Piquetta swymi coraz częstszymi wyprawami do miasta. Wychodził niemal każdego wieczora, a także za dnia. Wybrał się jeszcze na kilka meczów Cubs, ponownie odwiedził Wystawę Światową, zaczął regularnie bywać w burdelu w North Side. Wydawało się, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Ufarbował włosy na czarno, zapuścił wąsy i kupił okulary w drucianych złotych oprawkach. Po trudnych tygodniach spędzonych w

czerwonej furgonetce nabierał coraz większej pewności siebie. Van Meter, który wynajął dla Mickey Conforti pokój w South Side, uważał, że Dillinger postępuje jak szaleniec, pokazując się w tyłu miejscach, i mówił mu o tym wprost.

- Doigrasz się któregoś dnia, jak ciągle będziesz się tak włóczył - beształ go²⁸.

Temat powrócił 23 czerwca, gdy Homer Cummings wyznaczył nową nagrodę, w wysokości 15 000 dolarów, za schwytanie Dillingera. Nelson wart był tylko 7500.

- Wygląda na to, że moja cena idzie w górę - żartował Dillinger. - Jimmy się wścieknie, kiedy mu powiem, że rząd daje za mnie więcej niż za niego. A ty, Van, w ogóle się nie liczysz.

- Pocałuj mnie gdzieś! - odburknął Van Meter. - Lepiej uważaj, żeby ktoś nie połaścił się na tę nagrodę.

Cowley rozesłał agentów do sześciu punktów obserwacyjnych. Poprosił Waszyngton o więcej ludzi i ich dostał. Tego miesiąca do Brygady Dillinger dołączyło ośmiu nowych agentów, było ich już więc dwudziestu dwóch. Mimo to 27 czerwca Cowley nie był ani trochę bliżej schwytania Dillingera niż trzy tygodnie wcześniej, gdy przyjechał do Chicago. Tego dnia zwołał w Bankers Building konferencję, podczas której chciał ustalić dalszą strategię. Z Indianapolis przyjechał Earl Connelley, z St. Paul Hugh Clegg, a z Waszyngtonu przedstawiciel kwatery głównej, Ed Tamm.

Omówili każdy trop i ocenili każdy punkt obserwacyjny. Agenci Connelleya w Indianie obserwowali dwanaście miejsc, sam Connelley regularnie kontaktował się z informatorem Artem McGinnisem. Tamm twierdził, że powinni wywierać większy nacisk na rodzinę Dillingera. Agenci Clegga przeprowadzali naloty na różne miejsca w Minneapolis i St. Paul; tego samego dnia odnieśli pierwszy sukces, aresztując barmana Harry'ego Sawyera, Pata Reilly'ego, który był w Little Bohemia. Reilly wywołał lawinę artykułów prasowych, twierdząc, że Dillinger nie żyje. Dziennikarze przybyli tłumnie do Mooresville, by porozmawiać z Johnem Dillingerem seniorem, który ich zapewnił, że jego syn jest wciąż żywy.

Najbardziej obiecujący punkt obserwacyjny Cowleya znów znajdował się w domu Audrey Russa w Fort Wayne. Russowie twierdzili, że Van Meter wróci tam lada dzień. Odwołując własne polecenie, Cowley wysłał do tego punktu czterech agentów, którzy pełnili całodobową straż. Wśród tej czwórki znajdowali się dwaj najlepsi strzelcy Cowleya, „kowboje” Charles Winstead i Clarence Hurt, którzy poświęcali sporo energii na unikanie gniewu zadziornej pani Russ²⁹. Na razie Cowley był usatysfakcjonowany. Jego agenci pracowali w połowie miast między Indianapolis i Chicago. Niestety, żaden z nich nie był w

położonym na północy stanu Indiana mieście South Bend, gdzie w sobotę uderzył Dillinger.

Napad na Merchants National Bank w South Bend był prawdopodobnie najbardziej chaotyczny i bezładny w karierze Dillingera. Okoliczności napadu są mało znane, wiadomo jednak, że gangsterzy ustalili plan działania w odległej szkole na terytorium Nelsona, na północny zachód od przedmieść Chicago[* Budynek szkoły, który już nie istnieje, stał trzy kilometry na północ od skrzyżowania dróg stanowych 53 i 62 (obecnie Algonquin Road), w miasteczku Arling-ton Heights.]. Przez kilka nocy z rządu Van Meter i Dillinger przyjeżdżali do tej szkoły, by spotkać się z Nelsonem, któremu zazwyczaj towarzyszyła rosnąca grupa akolitów. Należeli do nich: kolega Nelsona z Kalifornii, Johnny Chase; gruby wykidajło z Bay Area, Fatso Negri; przyjaciel Nelsona z dzieciństwa, rekieter Jack Perkins, oraz mechanik z Chicago, Clarey Lieder[* To właśnie Lieder kilka tygodni wcześniej schował w swoim garażu czerwoną furgonetkę Dillingera. W tym samym czasie sprzedał Van Meterowi swojego nowego rdzawoczerwonego forda.], którego Nelson znał z czasów, gdy brał udział w wyścigach samochodowych. Tylko

Negri mógł potem zdać relację z tych spotkań, a jego zeznania zmieniały się wraz z upływem czasu[* Negri został schwytany w grudniu 1934 r. i wielokrotnie przesłuchany przez FBI. Podał Biuru tylko fragmentaryczne opisy spotkań w South Bend. W 1941 współtworzył serię artykułów o karierze Baby Face Nelsona, drukowanych w „Master Detective”. W artykułach tych podał znacznie więcej informacji niż podczas przesłuchań. Niestety, wiele spośród tych relacji, łącznie z opowieścią o wizycie Dillingera i niedoszłym napadzie na Zaporę Hoovera w Nevadzie, to bez wątpienia wytwory jego wyobraźni. Autor tej książki powołuje się na wspomnienia Negriego, tylko gdy pokrywają się z zeznaniami złożonymi w 1934 i 1935 podczas przesłuchań FBI.].

Do dziś nie wiadomo, kto właściwie brał udział w napadzie w South Bend. Świadkowie mówią o czterech, pięciu lub sześciu bandytach; większość obstaje przy pięciu. Z pewnością byli wśród nich Dillinger, Van Meter i Nelson. Jack Perkins został później osądzony i skazany za współudział. Możliwe, choć mało prawdopodobne, że w napadzie uczestniczyli również Johnny Chase i Fatso Negri.

Najbardziej intrygująca teoria dotycząca tożsamości pozostałych gangsterów dotyczyła Pretty Boy Floyd'a i jego pomagiera, Adama Richettiego, którzy ukrywali się tak skutecznie, że FBI od roku nie przyjęło żadnego potwierdzonego doniesienia na ich temat. Jeden ze świadków stanowczo twierdził, że widział, jak Floyd, którego opisał jako „śniadego grubasa”, pomagał tego dnia Dillingierowi w South Bend. O współudziale Floyd'a wspominał także kilka miesięcy później Fatso Negri - powiedział FBI, że słyszał, jak członkowie gangu

rozmawiali o współpracy ze „znanym przestępcą z Południowego Zachodu”. Jeśli rzeczywiście był to Floyd, nie można wykluczyć, że skontaktował się z Dillingerem przez Richettiego, który przebywał przez jakiś czas w poprawczaku w Pendleton, w Indianie. Możliwe też, że Negri zmyślił tę historię, by ukryć własny udział w napadzie.

Bez względu na to, kto rzeczywiście towarzyszył Dillingerowi tego dnia, między członkami gangu coraz bardziej narastało napięcie. Jak zwykle najczęściej zamieszania wprowadzał Nelson. Uważał, że Dillinger i Van Meter żyją zdecydowanie zbyt otwarcie, i wielokrotnie im to powtarzał. Pewnej nocy, podczas narady w szkole, doprowadziło to do starcia między Nelsonem i Van Meterem; Nelson dowiedział się wcześniej, że Van Meter sprowadził ponownie Mickey **Conforti, której on nie darzył zaufaniem**. Negri opisał to tak:

Jimmi [Nelson] zaczął się kłócić z Van Meterem, chodziło o to, że on żyje z jakąś dziewczyną i że tej dziewczynie nie można ufać. Van Meter mówił, że dziewczyna jest w porządku. Johnnie [Chase] powiedział wtedy do mnie: „Chodźmy na spacer”, no i wyszedłem, bo myślałem, że lada moment zaczną do siebie strzelać. W końcu się pogodzili, a potem Johnnie powiedział mi, że Van Meter obiecał Jimmiemu zastrzelić tę dziewczynę, sprzątnąć ją. Kłócili się tak głośno, że prawie wszystko słyszałem. Van Meter obiecał Jimmiemu, że zabije tę dziewczynę, a gdyby tego nie zrobił, to pewnie Jimmy sprzątnąłby jego... Myślałem, że będzie niezła jatka”³⁰.

Ta opowieść to doskonały przykład słynnej wybuchowości Nelsona oraz tego, jak daleko Van Meter i Dillinger gotowi byli się posunąć, by go zadowolić; nic nie wskazuje na to, by Van Meter kiedykolwiek rozważał zabicie Marie Conforti. W takiej atmosferze gang planował swoje następne posunięcie. Według Negriego członkowie gangu brali pod uwagę kilka banków w Illinois i Indianie, nim w końcu ich wybór padł na South Bend. Van Meter wybrał się tam, zaopatrzonego w swoje pince-nez. Nocą 29 czerwca podczas spotkania w szkole gang poczynił ostatnie ustalenia, po czym wszyscy członkowie sprawdzili broń i kamizelki kuloodporne. Miały im się przydać.

South Bend, Indiana 30 czerwca, sobota

Było gorące przedpołudnie, gdy samochód gangu zatrzymał się tuż za skrzyżowaniem Wayne Street i Michigan Street w samym sercu South Bend. Dochodziła 11.30. Po Michigan Avenue przejeżdżały z turkotem tramwaje. Na chodnikach było wielu ludzi, klientów okolicznych sklepów. Dwudziestodwuletni policjant, Howard Wagner, kierował ruchem na skrzyżowaniu. Alex Slaby, bokser amator, zaparkował auto przy Wayne Street, kiedy obok zatrzymał się brązowy hudson, blokując jego samochód. Z auta wyskoczyło

czterech ludzi.

Jeden z nich wydał się Slaby'emu znajomy. Ubrany był w ogrodniczki i słomkowy kapelusz, prawą dłoń krył pod chustką. Kiedy Slaby wpatrywał się w niego, próbując przypomnieć sobie, skąd zna tę twarz, Dillinger zsunął chustkę i wymierzył do niego z pistoletu.

- Zmywaj się stąd - rozkazał.

Slaby przyglądał się oszołomiony, jak Dillinger i dwaj inni znikają za rogiem, zmierzając w stronę Merchants Bank. Nagle zrozumiał, że bank zostanie za chwilę obrabowany. Wysiadł z samochodu. Silnik hudsona wciąż pracował. Slaby sięgnął po kluczyki tkwiące w stacyjce.

- Co ty robisz? - rozległ się nagle głos za jego plecami.

Slaby odwrócił się i zobaczył młodego jasnowłosego mężczyznę w płaszczu, pod którym rysował się wyraźnie kształt karabinu maszynowego.

- Nic - odparł Slaby i odszedł spokojnie, zmierzając do budki telefonicznej, by wezwać policję.

Tymczasem Van Meter ustawił się z karabinem przed wejściem do banku, a Dillinger i niezidentyfikowany „grubas” weszli do środka. W holu czekało ponad dwudziestu klientów, ustawionych wzdłuż barierki przed kasami. Tego dnia Dillinger nie tracił czasu na uprzejmości. Wyjął pistolet maszynowy Thompson i krzyknął:

- To jest napad!

Większość klientów instynktownie podniosła ręce i wycofała się pod ścianę. Wiceprezes banku schował się pod biurkiem. Dziewięć lub dziesięć osób czmychnęło do sali konferencyjnej. Ignorując ich wszystkich, Dillinger przeszedł przez sięgające mu do pasa drzwi wahadłowe i zaczął ściągać z lady sterty banknotów. Nagle inny gangster - prawdopodobnie „grubas” - podniósł karabin i puścił serię w sufit. Na hol opadł kurz i kawałki tynku. Kobiety krzyczały.

Słyszac strzały przypominające huk petard, ludzie na chodnikach zdumieni odwracali głowy. Policjant Wagner, kierujący ruchem na skrzyżowaniu, także to usłyszał i ruszył w stronę banku, trzymając w dłoni gwizdek. Zobaczył go Van Meter. Strzelił. Trafił Wagnera w pierś. Policjant zachwiał się i runął na ziemię, sięgając poniewczasie do kabury z pistoletem. Umarł w ciągu półgodziny.

Wybuchła panika. Ludzie biegali i krzyczeli. Kilka budynków dalej, przy Wayne Street, na chodnik wyszedł jubiler Harry Berg z pistoletem w dłoni. Zobaczywszy Nelsona trzymającego karabin maszynowy, otworzył ogień. Pierwsza kula trafiła Nelsona w pierś - jego kariera zapewne skończyłaby się właśnie wtedy, gdyby nie był w kamizelce kuloodpornej. Zaskoczony Nelson puścił serię, która zmusiła Berga do powrotu do swojego sklepu. Większość pocisków uderzyła w zaparkowany obok samochód, rozbijając przednią szybę i raniąc mężczyznę siedzącego w środku. Inny mężczyzna trafiony został w brzuch rykoszetem. Wszedł do jubilera i tam upadł.

Nelson skierował broń na ludzi, którzy w panice szukali jakiegoś schronienia. W tym momencie przez skrzyżowanie przebiegł siedemnastoletni chłopiec, Joseph Pawłowski. Wskoczył Nelsonowi na plecy. Obaj mocowali się przez chwilę, aż Nelson uderzył Pawłowskiego kolbą karabinu w skroń. Nastolatek się przewrócił, a potem uciekł.

Van Meter zszedł na chwilę z posterunku przed wejściem do banku, wbiegł do sklepu z butami Nisley Shoes i kazał wyjść sześciorgu ludzi na zewnątrz, gdzie ustawił ich przed sobą w szeregu jako żywą tarczę. Trzej policjanci z drogówki, usłyszawszy strzały, pobiegli w górę Wayne Street i zobaczyli ludzi stojących z podniesionymi rękami. Van Meter

otworzył ogień, a policjanci schowali się za pobliskimi samochodami.

W tej właśnie chwili z banku wyszedł Dillinger i jego niezidentyfikowany współnik. Obaj nieśli płócienne torby zawierające ponad 28 000 dolarów w gotówce. Szło z nimi trzech zakładników, między innymi prezes banku, Delos Cohen. Policjanci ukryci po drugiej stronie skrzyżowania otworzyli ogień. Cohen upadł, trafiony w kostkę. Inny zakładnik, kasjer, został postrzelony w nogę.

- Jestem ranny! - krzyknął.

- Idź dalej - odparł Dillinger, pchając go naprzód.

Kiedy Dillinger, Van Meter i „grubas” prowadzili zakładników, rozpętała się gwałtowna strzelanina. Zza samochodów trzech policjanci zasypali gangsterów gradem pocisków. Nelson, który wciąż stał obok hudsona, puścił w ich stronę kilka długich serii, rozbijając okna sklepów i niszcząc markizę przed kinem State Theatre.

Nagle Van Meter upadł. Dillinger odwrócił się i zobaczył, że z głowy jego współnika tryska krew. Porzuciwszy dwóch zakładników, ujął Van Metera pod pachy i wciągnął go do hudsona. Samochód podziurawiony był kulami, kolejne uderzyły w niego, gdy odjeżdżał³¹. Sześciu policjantów twierdziło później, że ruszyło w pościg za samochodem, który uciekał z South Bend, kierując się na zachód. Porzuconego hudsona odnaleziono później w pobliżu miasteczka Gibsland.

Po południu gang wrócił do umówionego miejsca, budynku szkoły. Van Meter wciąż obficie krwawił. Gdy przybył na miejsce wezwany przez gangsterów Fatso Negri, zobaczył go leżącego na ziemi, pokrytego krwią. Później tak opisywał tę scenę agentom FBI: „Van Meter leży nieruchomo, cały zakrwawiony, myślałem, że już umiera”. Negri chciał sprowadzić lekarza, ale Nelson się nie zgodził. Ktoś zaproponował, by lekarza porwać. Między Dillingerem i Nelsonem wybuchła kłótnia. W końcu Dillinger postanowił zabrać Van Metera z powrotem do domu Jimmy’ego Probasco. Tam mogli sprowadzić znajomego lekarza.

Dillinger zawiózł krwawiącego Van Metera do Chicago, a gdy już zapadł zmrok, zatrzymał się za domem Probasco. Probasco próbował skontaktować się z anestezjologiem, Haroldem Cassidym, lecz bez powodzenia. Nie czekając na lekarza, Probasco obandażował ranę Van Metera. Następnego wieczora przyszli Piquett i O’Leary. Probasco przechadzał się nerwowo po mieszkaniu i klął.

- Gdzie jest ten cholerny Cassidy? - pytał. - Wczoraj dzwoniłem do niego z dziesięć razy i prosiłem, żeby przyszedł jak najszybciej, a sukinyś się nie pokazał. Gdybyśmy mieli na nim polegać, Van Meter już by nie żył. Dobrze, że ze mnie taki dobry lekarz. Pokaż im

głowę.

Van Meter siedział na sofie, przytomny i w coraz lepszej formie.

- Uratowałem ci życie, prawda? - spytał go Probasco. - Przez całą noc wyjmowałem z tej rany włosy.

Nieco później przyszedł Cassidy. Podczas gdy Probasco i Van Meter obrzucali go obelgami, lekarz oczyścił ranę i założył nowy opatrunek. Dillinger uraczył wszystkich opowieścią o strzelaninie, szczególną uwagę poświęcając odważnemu jubilerowi, który strzelił do Nelsona.

- Wiesz co, Johnnie - powiedział w pewnej chwili Van Meter. - Musimy wrócić do South Bend za parę dni i zająć się tym żydkiem.

- Jasne. - Dillinger się roześmiał. - Na pewno to zrobimy.

15

KOBIETA W POMARAŃCZOWEJ SPÓDNICY

1-27 lipca 1934

Nim nadszedł weekend po napadzie w South Bend, Dillinger już postanowił, że opuści dom Jimmy 'ego Probasco. Probasco był kłótliwym pijaczyną; Dillinger się obawiał, że wcześniej czy później jego gospodarz wygada się i ściągnie na nich niebezpieczeństwo. Według jednego ze źródeł Dillinger i Van Meter podsłuchali rozmowę telefoniczną, podczas której Probasco kłócił się z kimś zaciekle i stwierdził w pewnym momencie:

- Nie obchodzi mnie, czy sprowadzisz tu gliniarzy. Zrób to i zobaczysz, co się tu będzie działo.

Dillinger nie był zachwycony taką perspektywą. Miarka przebrała się 4 lipca, kiedy po powrocie do domu Dillinger i Van Meter zastali Piąquetta i Probasco pijących na umór. Gdy ci dwaj wyszli, gangsterzy spakowali swoje rzeczy, wrzucili je do samochodu Van Metera i nigdy więcej się tam nie pokazali¹.

Tego samego dnia Dillinger wprowadził się do mieszkania przy 2420 North Halsted Street w dzielnicy North Side, w okolicy zamieszkaną głównie przez niemieckich imigrantów*[* Dillinger znał tę okolicę; zaledwie przecnicę dalej mieszkała siostra Billie Frechette, u której *zatrzymał się w nocy po ucieczce z Crown Point.*]. W lokalu tym mieszkało jeszcze troje ludzi, w tym dwie kobiety, a niejasne relacje łączące je, Dillingera oraz pewnego detektywa policyjnego z Indiany przyczyniły się do śmierci Dillingera. Jedną z owych kobiet była nowa dziewczyna Dillingera, Polly Hamilton, dwudziestosekstoletnia rozwódka, która

pracowała jako kelnerka w S&S Cafe przy Wilson Avenue. Drugą - Ana Sage, przysadzista, czterdziestodwuletnia imigrantka z Rumunii, która od czasu przybycia do Ameryki utrzymywała się głównie z prowadzenia kilku burdeli.

Do dziś nie wiadomo, jak Dillinger je poznał. Przez dziesięciolecia przyjmowano wersję wydarzeń podaną przez Hamilton w artykule prasowym opublikowanym po śmierci Dillingera. Polly Hamilton twierdziła, że poznała Dillingera w chicagowskim klubie nocnym Barrel of Fun, gdzie przedstawił się jej jako pracownik giełdy Chicago Board of Trade, Jimmy Lawrence. Jednak znacznie bardziej prawdopodobne wydaje się, że Dillinger poznał Hamilton przez Anę Sage, która od lat była znaczącą postacią w półświatku północno-zachodniej Indiany, środowisku dobrze znanym Dillingerowi. Mieli co najmniej dwoje wspólnych przyjaciół.

Ana Sage, która przeszła do historii jako „kobieta w czerwieni”, urodziła się pod nazwiskiem Campanas, w 1892 roku, w rumuńskiej wiosce Komlos, niedaleko czarnomorskiego portu Konstanca. W wieku 17 lat wyszła za niejakiego Mike’a Chioleka. Wyjechali razem do Chicago, spłodzili syna, któremu dali na imię Steve, i rozeszli się w 1917 roku, gdy Ana miała 25 lat. Zostawiona sama sobie, z ośmioletnim synem pod opieką, przeprowadziła się do Indiana Harbor, okolicy zamieszkaną przez rumuńskich imigrantów. Położona nad brzegiem jeziora dzielnica, będąca prawdziwym labiryntem małych szeregowych domków i walących się barów, stanowiła wówczas najniebezpieczniejszą część East Chicago. Ana pracowała tam jako prostytutka i kelnerka, aż w końcu wylądowała w gospodzie Harbor Bay Inn, gdzie jedną z atrakcji były prostytutki po dwa dolary za numerek.

Gdy jej szef trafił na pół roku do więzienia za nielegalną sprzedaż alkoholu, Ana sama zaczęła prowadzić interes. Była w tym dobra. Dość wysoka i mocno zbudowana kobieta z silnym akcentem ze wschodniej Europy robiła wrażenie na klientach i kontrahentach. Korzystając ze sporadycznej pomocy swego szefa, uczyniła z gospody najważniejsze gniazdo rozpusty w Indiana Harbor. Utrzymywała porządek, opłacając się policjantom z East Chicago. Prawdopodobnie jej najbliższym dobroczyńcą był ekstrawagancki i skorumpowany detektyw Martin Zarkovich - ten sam Martin Zarkovich, któremu Dillinger rzekomo płacił za ochronę.

Zarkovich był prawdziwą legendą Harbor. „Drobiazgowy, nieskazitelnie ubrany, istny paw”, pisał o nim później felietonista z Indiany. Zarkovich krążył po ulicach East Chicago w filcowej fedorze i garniturach tak eleganckich, że zyskał sobie przydomek „Szejk”². Lojalny żołnierz sił policyjnych, których najważniejszym zadaniem było utrzymanie spokoju w burdelach i domach gry East Chicago - w 1926 roku został szefem detektywów - w latach dwudziestych został jednocześnie trzykrotnie oskarżony o korupcję, a raz skazany za

naruszenie prohibicji, w 1929 roku. Połowa pracowników struktury władzy została skazana w tym samym procesie, nic więc dziwnego, że „Zark” wrócił po jakimś czasie do pracy; paradoksalnie, sprawa ta wzmocniła więzy łączące go ze strukturą władzy powiatu Lake. Na początku lat trzydziestych znał już wszystkie znaczące postacie świata polityki w północno-zachodniej Indianie, a także wiele, które większego znaczenia nie miały, poczynając od Williama Murraya, sędziego na procesie Dillingera w Crown Point, a kończąc na śledczym Louisa Piqueta, Arcie O’Learym. O’Leary znał Zarkovicha od lat.

Ana Campanas poznała Martina Zarkovicha już na początku swego pobytu w East Chicago. Z dokumentów rozwodowych pani Zarkovich, wypełnionych w 1920 roku, wynika, że znała go aż za dobrze; pani Zarkovich wymieniła Anę z imienia, oskarżając ją o utrzymywanie „nazbyt przyjacielskich” stosunków z jej mężem. Zarkovich nadal ochraniał Anę, kiedy otworzyła swój pierwszy burdel w sąsiednim Gary, w 1921 roku. W roku 1923 radziła sobie już tak dobrze, że wynajęła cały hotel, czterdziestosześciorokojowy Kostur. Podobno dochodziło w nim do tylu strzelanin i walk na noże, że policjanci nazwali go „Wiadrem Krwi”. Ana, która prowadziła interes pod nazwiskiem „Katie Brown”, stała się znana jako „Kostur House Katie”.

Dzięki powiązaniom Zarkovicha z establishmentem powiatu Lake Ana kilkakrotnie uniknęła aresztowania pod zarzutem prostytucji. Dwa razy została skazana, lecz w obu wypadkach gubernator Indiany ją ułaskawił. Szczęście w końcu odwróciło się od niej w 1932 roku, kiedy po kolejnym oskarżeniu i skazaniu nowy gubernator, Paul McNutt, odrzucił jej prośbę o ułaskawienie. „Wiadro Krwi” zostało zamknięte, a Ana przekazana wydziałowi imigracyjnemu, który miał zająć się jej deportacją.

Pokonana, wycofała się do Chicago, gdzie dojeżdżała regularnie co najmniej od 1928 roku, kiedy to wyszła za mąż za rumuńskiego imigranta, Aleksandra Suciū, który zangielszczył swe nazwisko na Sage. Ana Sage miała jeszcze dość zaoszczędzonych pieniędzy, by kupić kamienicę w zamożnej dzielnicy Chicago; być może, w tej kamienicy działał przez jakiś czas dom publiczny. Kiedy Sage’owie rozeszli się w 1933 roku, kamienica została sprzedana, a Ana przenosiła z mieszkania do mieszkania, wreszcie pod koniec czerwca 1934 roku trafiła do lokalu przy North Halsted, gdzie wciąż czekała z niepokojem na wynik przedłużających się procedur deportacyjnych.

Jedną z jej przyjaciółek była Polly Hamilton, dziewczyna z Dakoty Północnej, która przeniosła się do Gary w latach dwudziestych. Tam wyszła za policjanta, wkrótce się jednak rozwiodła. Jednocześnie przez cały czas pracowała dla Sage w hotelu Kostur, choć nie wiadomo, w jakim charakterze. Nie wiadomo też, co robiła w mieszkaniu Sage przy North

Halsted. We wszelkich relacjach dotyczących jej związku z Dillingerem opisywana jest jako kelnerka, lecz w dokumentach FBI kilkakrotnie figuruje jako prostytutka. Z dokumentów tych wynika, że Sagę użyczała jej lokalu, gdy Hamilton dorabiała sobie jako dziwka; niewykluczone, że Dillinger poznał ją właśnie podczas schadzki. Sagę przyznała później podczas rozmowy z agentami FBI, że pozwalała prostytutkom korzystać z wolnych pokoi w jej mieszkaniu, robiła to aż do czerwca. Dokumenty FBI sugerują, że Hamilton mieszkała wcześniej w jednym z chicagowskich hoteli, a przeniosła się do Any Sagę najpóźniej 1 lipca. Trzecim lokatorem był dwudziestotrzyletni bezrobotny syn Sagę, Steve.

Jak Dillinger poznał Anę Sagę? Choć brak konkretnych dowodów na poparcie tej hipotezy, najprawdopodobniej przedstawił ich sobie Martin Zarkovich, który znał zarówno Sagę, jak i pośrednika Dillingera, Arta O'Leary'ego. Sporo dowodów wskazuje także na to, że Zarkovich znał również osobiście Dillingera. W wywiadzie udzielonym po śmierci Dillingera przedstawił siebie jako dzielnego detektywa opętanego pragnieniem schwytania Dillingera, który w styczniu, podczas napadu na bank w East Chicago, zabił jego przyjaciela Patricka O'Malleya. Zarkovich twierdził, że pracował samodzielnie po godzinach, ścigając Dillingera.

Niewykluczone. Jednak przez wiele miesięcy ktoś pomagał Dillingerowi w East Chicago, udzielając choćby schronienia w chacie, w której Dillinger zatrzymał się na krótko w maju. Podczas rozmowy z O'Learym Dillinger mówił o nim „Zark”, co wskazywałoby na Zarkovicha. Jak już wiemy, Dillinger, nie wspominając otwarcie o pomocy udzielanej mu przez Zarkovicha, powiedział O'Leary'emu, że to właśnie on odpowiedzialny jest za śmierć dwóch detektywów z East Chicago, zastrzelonych 24 maja*[* Wielu późniejszych wielbicieli Dillingera snuło teorie, że Zarkovich pomagał gangsterowi w kilku kluczowych momentach jego kariery, dając mu schronienie w maju i podsuwając pomysł napadu na bank w East Chicago. Niektórzy twierdzą nawet, że to właśnie Zarkovich przemycił drewnianą broń, którą potem Dillinger posłużył się w Crown Point. Nie jest to całkiem naciągana teoria - z dokumentów FBI wynika, że Zarkovich odwiedzał Dillingera w więzieniu. Po ucieczce Dillingera Zarkovich rzeczywiście mocno zaangażował się w śledztwo w tej sprawie, co niektórym wydaje się dziwne. „Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Zarkovich tak aktywnie uczestniczył w śledztwie - stwierdził sędzia William Murray w wywiadzie, którego udzielił „Chicago Tribune” latem tego samego roku. - Wydeptał niemal ścieżkę między salą sądową i biurem prokuratora”

* Niewykluczone, że Dillinger poznał Hamilton w weekend 9-10 czerwca, tuż po tym, jak pozbył się opatrunków z twarzy.]. Choć wydaje się, że wiele łączyło Zarkovicha z Dillingerem, nie ma żadnych niezbitych dowodów na to, że Zarkovich rzeczywiście pomagał

gangsterowi w East Chicago ani że on skontaktował Dillingera z Aną Sage. FBI, jedyna organizacja, która mogła wyjaśnić te wątpliwości, nigdy nawet nie próbowało tego robić. Z powodów, które wkrótce staną się oczywiste, Biuro nie miało żadnego interesu w ściganiu Zarkovicha.

Z pewnością wiemy jednak, że pod koniec czerwca Dillinger spędzał sporo czasu z przyjaciółką Any Sage, Polly Hamilton, która później utrzymywała z uporem - pomimo licznych dowodów przeczących temu twierdzeniu - że nigdy nie wiedziała, iż jej nowy chłopak, „Jimmy Lawrence”, to najbardziej poszukiwany człowiek w kraju. Dillinger zadurzył się w Hamilton, pierwszej kobiecie, która pozwoliła mu zapomnieć o Billie Frechette. Spędzał z nią niemal cały czas, za dnia chodzili na mecze Cubs, do wesołego miasteczka i do kina, a wieczorami na kolacje i do klubów. Dillinger był miły i szastał pieniędzmi, choć Hamilton wydawało się nieco dziwne, że zawsze nosi ten sam jasnoszary garnitur. Dillinger jej wyjaśnił, że po prostu nosi jakieś ubranie, dopóki mu się nie znudzi; potem je wyrzuca. Kiedy spytała o świeże blizny na jego twarzy, odpowiedział, że uczestniczył niedawno w wypadku samochodowym.

Wszędzie jeździli taksówkami. Często bywali w Riverview Park; Dillinger upierał się, by jeździli wciąż tym samym roller coasterem. Kiedy kolejka jechała w dół, krzyczał; gdy zakręcała, całował Hamilton. Na strzelnicach radził sobie tak dobrze, że inni klienci otaczali go wianuszkami i podziwiali. Gdy oboje wybierali się do klubów nocnych, Grand Terrace czy French Casino, zwykle byli wśród pierwszych par na parkiecie; Dillinger lubił tańczyć kariokę i często prosił, by orkiestra ją zagrała. Kiedy grano jego ulubione piosenki - „Ali I Do Is Dream of You” albo „For Ali We Know” - pochylał się ku Polly Hamilton i śpiewał jej do ucha. Nie pił dużo, jeden lub dwa drinki z dżinem, i każdego wieczora, nim pojechali do domu, zatrzymywał się na hot doga. Nazywał Hamilton „Contessą” albo „Księżniczką”, a na urodziny kupił jej pierścionek z ametystem. Ona dała mu złoty pierścionek z wygrawerowanym w środku napisem - Z MIŁOŚCIĄ, POLLY - oraz zegarek z jej zdjęciem wsuniętym z tyłu.

W niedzielę 1 lipca do mieszkania przy North Halsted wprowadziła się najpierw Sage, potem Hamilton, a dwa dni później Dillinger. Sage dała mu dwa klucze, do jego pokoju i do szafki, w której trzymał broń i kamizelkę kuloodporną; Dillinger owinał klucze gumką i nosił je w kieszeni. W dniu, w którym wprowadził się Dillinger, Hamilton zadzwoniła do swojego szefa w S&S. Powiedziała mu, że miała wypadek samochodowy i nie będzie jej przez kilka dni. W rzeczywistości zrobiła sobie wolne na następne trzy tygodnie, spędziła je z Dillingerem.

Dillinger okazał się niekłopotliwym lokatorem. Jak mówił obu kobietom, był

zwykłym chłopakiem z małej wioski w Indianie, który lubił przyrządzać swoje ulubione potrawy, placuszki z sosem, stek, truskawki i czasem żabie udka. Po kolacji, podobnie jak robił to z Billie, wkładał fartuch i mył naczynia. W wolnych chwilach grał w karty, zwykle w bezika, z Sagę i jej synem. Kilkakrotnie wybrał się do kina z Hamilton oraz Steve'em i jego dziewczyną; w Grenadzie obejrzeni razem *Viva Vii la* z Wallace'em Beerym, w Marbro *You're Telling Me* z W.C. Fieldsem. Steve Chiolek uważał „Jimmy'ego” za świetnego faceta.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Dillinger nieco się odprężył i prowadził normalne życie. Kupił nową białą koszulę w sklepie Warda Mitchella, postawił kilka zakładów u bukmachera, ostrzygł się u fryzjera nad kinem Biograph. Znacznie później „Chicago Daily News” doniosło, że czuł się na tyle bezpiecznie, iż kilkakrotnie bywał w siedzibie policji Chicago. Hamilton ubiegała się o nową pracę, a jej przyszły pracodawca wymagał świadectwa o stanie zdrowia. Gabinet lekarski mieścił się w tym samym budynku co komenda; Dillinger czterokrotnie czekał na Hamilton przed gabinetem lekarza na dwunastym piętrze, gdy dwa piętra niżej chicagowska policja zajęta była szukaniem jego tropów.

Choć pochłonięty układaniem sobie życia w nowych okolicznościach, Dillinger utrzymywał stały kontakt z O'Learym i Van Meterem. We wtorek 10 lipca wieczorem on i O'Leary zabrali swoje dziewczyny na Wystawę Światową, przechadzali się pośród tłumów nad brzegiem jeziora. Dwa dni później obaj się spotkali i pojechali razem na południe, na przedmieścia, gdzie odnaleźli Van Metera przy różnie prowadzonym przez jego rodziców. Dillinger i Van Meter rozmawiali przez pół godziny w aucie, po czym wrócili do O'Leary'ego. Van Meter skarżył się na Nelsona. Wyglądało na to, że nie mógł się z nim dogadać w kwestii upłynnienia pewnych obligacji.

- Rozmówiłem się z Jimmym - relacjonował. - Powiedziałem mu, że nie zapłacę dwóch i pół tysiąca dolarów. Zresztą i tak nigdy go nie lubiłem.

- On też zawsze narzekał na ciebie - zauważył Dillinger.

- Chwilami bywało naprawdę kiepsko. - Van Meter pokiwał głową. - Myślałem już, że będziemy się strzelać.

- Daj spokój, Van. Skończyliśmy z Nelsonem. Już nie należy do gangu.

- No i dobrze - stwierdził Van Meter. Kiedy się żegnali, rzucił jeszcze: - Nie zapomnij o „zupie”.

Kiedy wracali do Chicago, Dillinger opowiedział O'Leary'emu o ich następnym skoku. Chcieli napaść na pociąg. Właściwie był to pomysł kolegi Nelsona, Jimmy'ego Murraya, który miał doświadczenie w podobnych napadach. Murray twierdził, że ten pociąg będzie przewoził miliony.

- To będzie jeden z największych skoków na świecie - ekscytował się Dillinger. - Tylko ja i Van. Nie dopuszczamy nikogo innego. Obserwujemy ten pociąg od tygodni, mamy wszystko rozpracowane. Potrzebujemy „zupy” (nitrogliceryny), żeby wysadzić drzwi wagonu pocztowego. Wiemy, ile pieniędzy będzie w środku, a będzie naprawdę dużo. Wystarczy nam do końca życia. Kiedy tylko to załatwimy, wyjedziemy z kraju.

Z powodu skąpstwa Van Metera Dillinger zmuszony był zorganizować dwa dni później, w sobotę 14 lipca, jeszcze jedno spotkanie z O'Learym. Harold Cassidy, ich znajomy anesteziolog, domagał się od Van Metera zapłaty za opiekę lekarską, której udzielił mu po napadzie w South Bend. Dillinger, O'Leary i Cassidy spotkali się po południu na rogu alej Kedzie i North. Dillinger dał Cassidy'emu 500 dolarów, mówiąc, że to pieniądze od Van Metera. Najprawdopodobniej była to nieprawda, Dillinger chciał zażegnać konflikt; zależało mu na tym, by nikt nie czuł się oszukany lub niezadowolony.

Niedzielę Dillinger spędził z Polly Hamilton. Kiedy Hamilton wybrała się na przejażdżkę rowerową z przyjaciółką, Dillinger przez kilka godzin oglądał mecz softballu, w którym uczestniczył Steve Chiolek. Po powrocie z przejażdżki Hamilton zobaczyła, że Dillinger kupuje butelkowane piwo dla obu zespołów. Wydawało się, że jest wolny od wszelkich trosk. Nim zapadł zmierzch, byli już z powrotem w mieszkaniu przy North Halsted. Następnego ranka znaleźli w porannych gazetach doniesienia o gwałtownej strzelaninie w północno-zachodniej części miasta. Był tam Nelson.

16 lipca, poniedziałek godz.2.00

Tej nocy Nelson zorganizował spotkanie „swojego” gangu, które miało się odbyć na północno-zachodnich przedmieściach, na bocznej leśnej drodze. Pierwsi przybyli Johnny Chase i Fatso Negri, po nich Jack Perkins. Zaparkowali swoje czarne fordys, zgasili światła i wysiedli, by porozmawiać. Helen siedziała w samochodzie Nelsona i czytała jakieś czasopismo w świetle latarki.

Mężczyźni pograżeni byli w rozmowie, kiedy około drugiej w nocy na drogę wjechali dwaj policjanci stanowi, Fred McAllister i Gilbert Cross, wracający do domu po długim dniu pracy. McAllister zauważył trzy samochody stojące między drzewami i postanowił to zbadać. Skręcił na nieutwardzoną dróżkę, zatrzymał się i wysiadł. W rowie obok samochodów stało czterech mężczyzn.

- Jakież kłopoty? - spytał McAllister.

- Żadnych - odparł ktoś.

W tym momencie rozległy się strzały, niemal na pewno pochodzące z karabinu

maszynowego Nelsona. McAllister został trafiony w prawe ramię i upadł na ziemię, większość pocisków uderzyła jednak w samochód, a aż sześć zraniło Crossa, który zdołał otworzyć drzwi i wytoczyć się na zewnątrz, do rowu. Obaj policjanci leżeli zakrwawieni na ziemi, gdy czterej mężczyźni wskoczyli do swoich aut i odjechali. McAllister, który posłał za nimi kilka pocisków, zdołał dojechać do szpitala. Zarówno on, jak i Cross przeżyli³.

Nazajutrz strzelanina trafiła na pierwsze strony chicagowskich gazet, a we wszystkich artykułach spekulowano, że w sprawę zamieszany był Dillinger. Agent Arthur McLawhon pojechał do szpitala w Des Plaines, by porozmawiać z jednym z rannych policjantów. Pokazał mu zdjęcia Helen Gillis i Marie Conforti, ale policjant ich nie rozpoznał. Zapewniał McLawhona, że strzelanina była dziełem grupy bimbrowników, którzy ukrywali 8000 litrów alkoholu w szopie oddalonej od miejsca starcia zaledwie o dwieście pięćdziesiąt metrów. Przesłuchawszy kilku innych policjantów, McLawhon napisał do Sama Cowleya: „Wszyscy są przekonani, iż gang Dillingera nie miał z tym nic wspólnego”⁴.

I tak zakończono tę sprawę. Cowley poświęcał sporo czasu poszukiwaniom Nelsona. Agenci zabrali na przesłuchanie jego przyjaciela, mechanika Clareya Liedera, wypuścili go jednak, gdy powiedział, że nie widział Nelsona od lat. Najbardziej obiecujący trop pojawił się w poniedziałek 9 lipca. Kilka dni wcześniej FBI zaangażowało informatora w biurze Louisa Piqueta: jego nazwisko zostało wymazane z akt[* Informatorem mógł być goniec Piquetta, Meyer Bogue, lub jego sekretarka.]. Informator zasugerował, by agenci śledzili Piqueta tego dnia. Agenci zastosowali się do tej rady i zobaczyli, jak Piquett wdaje się na rogu ulicy w kłótnię z jakimś niezidentyfikowanym mężczyzną. Gdy ci dwaj się rozeszli, agenci poszli śladem nieznanego, który wszedł do piętrowego domu w Oak Park. Następnego dnia rozmawiali z właścicielem domu; okazało się, że nieznanomy to „Ralph Robiend”, czyli Wilhelm Loeser, lekarz Dillingera. Jeden z agentów wynajął mieszkanie obok budynku Loesera i prowadził stamtąd obserwację⁵.

Czas pokazał, że Van Meter miał rację - Dillinger rzeczywiście był głupcem, żyjąc tak otwarcie. W połowie lipca co najmniej kilkanaście osób wiedziało, że mieszkał u Jimmy’ego Probasco albo u Any Sage, a jego beztroski styl życia wręcz prowokował do sięgnięcia po 15 000 dolarów, które oferowano za jego głowę. Biorąc pod uwagę realia Wielkiego Kryzysu, była to naprawdę wielka pokusa. W trzecim tygodniu lipca, gdy Dillinger wciąż pokazywał się na mieście z Polly Hamilton, a jednocześnie planował napad na pociąg, prawdopodobnie co najmniej trzy osoby spiskowały przeciwko niemu.

Z dokumentów FBI wynika, że pierwszym zdrajcą był Wilhelm Loeser. Loeser obawiał się, że trafi z powrotem do więzienia, jeśli wyjdzie na jaw, że operował Dillingera.

Nie miał jednak dość siły charakteru, by oddać się w ręce sprawiedliwości. Wysłał do FBI dwa anonimowe listy. W pierwszym opisywał zadanie zlecone mu przez Piąuetta, niezwiązane ze sprawą Dillingera; w dokumentach FBI nie ma żadnej wzmianki, by ktoś próbował badać ten trop. W drugim liście opisywał operację, której poddany został DilHnger. Loeser wysłał jednak ten list dopiero w poniedziałek 23 lipca, kiedy nie miało to już żadnego znaczenia.

We wtorek 17 lipca Art O'Leary dowiedział się o innym, bardziej niepokojącym zagrożeniu. Przyjechał wtedy do domu Probasco, by zabrać karabin i radio, które zostawił tam DilHnger. Zobowiązawszy go do dochowania tajemnicy, Probasco powiedział mu, że Piąuett zaproponował, by wydali Dillingera. Co więcej, Probasco twierdził, że Piąuett proponował zabić O'Leary'ego i w ten sposób wyeliminować jedynego człowieka, który mógłby zaprzeczyć zeznaniom wymyślonym przez nich na użytek FBI⁶.

O'Leary wyszedł z domu Probasco głęboko wstrząśnięty. Tego samego wieczora o szóstej spotkał się z Dillingeringem w parku przy skrzyżowaniu alej Kedzie i North. Gdy podjechał samochodem, DilHnger siedział na wysokiej skale, zaraz zszedł na ziemię i usiadł obok kierowcy.

- Widziałeś się z Probasco? - zapytał.

- Byłem tam dziś po południu.

- Powiedział ci o Piąuettcie? Więc DilHnger wiedział.

- Tak - potwierdził O'Leary. - Ale nie wierzę w te brednie.

- Cóż - westchnął DilHnger. - Ja wierzę.

- Och, nie przejmuj się Probasco. Wiesz, że on jest cały czas pijany. Nawet nie wie, co mówi.

- Hm... - mruknął DilHnger. - Van Meter też mnie przed nim ostrzegł. Powiedział, że za często mówi o poddaniu się. - Zamilkł na moment, wpatrzony w przestrzeń. - Art, chcę, żebyś wyjechał z miasta - rzekł w końcu. - Zabierz rodzinę i jedź do lasów na północy albo gdzie indziej.

- Co ty zrobisz?

- Pójdę do biura Piąuetta i załatwię tę sprawę raz, a dobrze. - Zwariowałeś, Johnnie - zachnął się O'Leary. - Coś takiego nie ujdzie ci na sucho. Poza tym Lou na pewno cię nie zdradzi. To nie w jego stylu.

nisko głowę, ale gdy tylko na niego spojrzałam i zobaczyłam jego profil, natychmiast rozpoznałam Johna Dillingera - mówiła Sage. - Powiedziałam mu wtedy, że może przedstawiać się jako Jimmy Lawrence, ale tak naprawdę nazywa się John Dillinger.

Powiedziałam to w obecności Polly, a potem zawołałam ją do łazienki i powtórzyłam, że jej chłopak to John Dillinger. Powiedziałam też, że albo zmuszę go do tego, by przyznał, kim jest naprawdę, albo każę mu się wynosić”.

Relacja ta wydaje się mało prawdopodobna i przeczy wszystkiemu, co później Polly Hamilton mówiła o swej znajomości z Dillingerem; najprawdopodobniej zarówno Sage, jak i Hamilton kłamały. Tak czy inaczej Sage zeznała, że wróciła potem do salonu i ponownie zażądała od Dillingera wyjaśnień. On nadal zaprzeczał, jakoby był Dillingerem.

„Kazałam mu poczekać chwilkę - opowiadała dalej Sage - przeszłam do drugiego pokoju, wzięłam kilka zdjęć, które ukazały się w gazetach, pokazałam mu je i powiedziałam, że jeśli ma przy sobie broń, to jest Johnem Dillingerem, a jeśli nie ma, to nim nie jest. Miał w kieszeni pistolet”.

Według Sage dopiero następnego wieczora Dillinger wyjawiał Hamilton, kim naprawdę jest. Zdaniem Sage dziewczyny wcale nie obchodziło, czy to rzeczywiście Dillinger, czy nie; kochała go. Ana Sage nie. Powiedziała Purvisowi, że od razu zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób powiadomić policję. Jeśli rzeczywiście tak było, to potrzebowała kilku tygodni, żeby zebrać się na odwagę. Ze wszystkich dostępnych dowodów wynika, że spróbowała zdradzić Dillingera dopiero 13 lub 14 lipca. Nie powiedziała Purvisowi, że 12 lipca otrzymała z urzędu imigracyjnego list odrzucający jej prośbę o możliwość pozostania w Ameryce. Wystawiono nakaz deportacji. Można z całym przekonaniem założyć, że ten list skłonił Sage do zdrady⁹.

Sage twierdziła, że początkowo nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Najpierw skłonna była skontaktować się z prawnikiem, który reprezentował ją w urzędzie imigracyjnym. Umówiła się z nim na spotkanie, później jednak zrezygnowała, bo mu nie ufała. Podobno wtedy pomyślała o Martinie Zarkovichu. „Zadzwoiłam do Martina Zarkovicha, pogawędziłam z nim trochę i powiedziałam, że chciałabym wkrótce porozmawiać o pewnej ważnej sprawie”, opowiadała. Zarkovich obiecał, że zadzwoni w niedzielę 15 lipca, w dniu, w którym Dillinger oglądał mecz softballu z udziałem syna Sage.

Ana Sage utrzymywała - co znów pozostaje w sprzeczności z zeznaniami Polly Hamilton - że na bieżąco informowała Hamilton o swoich kontaktach z Zarkovichem. „Powiedziałam Polly, że Martin do mnie wpadnie, a Polly prosiła, by nie mówić o tym Johnowi. Prosiła, żeby Martin nie przychodził do mieszkania, żeby spotkała się z nim gdzie indziej”.

Okazało się jednak, że nie miało to żadnego znaczenia - według Sage Zarkovich nie zadzwonił do niej w niedzielę. Dwa dni później, we wtorek 17 lipca, Dillinger wyjechał z

Chicago; tego samego wieczora kazał O'Leary'emu zrobić sobie wakacje. Według Sage Dillinger powiedział, że jedzie w interesach do Wisconsin i wróci za dwa lub trzy dni. Następnego ranka, w środę 18 lipca, Sage ponownie zadzwoniła do Zarkovicha. Zarkovich obiecał, że przyjdzie do jej mieszkania nazajutrz, w czwartek około trzeciej po południu. Dotrzymał słowa. Z relacji Sage wynika, że dopiero wtedy wyjawiała, iż Hamilton spotyka się z DiUingerem, który miał wrócić do miasta następnego dnia. „Powiedziałam Zarkovichowi, że zadzwonię do niego w sobotę i dam znać, czy John Dillinger wrócił do Chicago, a gdyby nie wrócił, to czy Polly miała od niego jakieś wiadomości”.

Dillinger wrócił w piątek rano. Najprawdopodobniej spotkał się wcześniej z Van Meterem, by omówić szczegóły napadu na pociąg; tego samego dnia obaj pojawili się w Rain-Bo Inn Jimmy'ego Murraya, gdzie znaleźli Fatsa Negriego i powiedzieli mu, by umówił ich na następny wieczór z Nelsonem. Według Sage Dillinger do wieczora grał w karty z Hamilton. Następnego ranka, w sobotę, wyszedł wraz z Hamilton, Steve'em Chiolekiem i dwiema dziewczynami. Wtedy Sage zadzwoniła do Zarkovicha i poprosiła, by poinformował o wszystkim FBI.

Podczas rozmowy w samochodzie Purvisa Sage powiedziała, że następnego wieczora z DiUingerem i Hamilton wybiera się do kina, prawdopodobnie do Marbro Theatre przy West Madison Street. Obiecała, że gdy tylko będzie wiedziała to na pewno, zadzwoni do FBI. Purvis dał jej swój prywatny numer, Andover 2330. Sage powiedziała, że będzie ubrana w pomarańczową spódnicę, by agenci mogli ją łatwiej zauważyć na ulicy.

FBI potrzebowało zaledwie kilku dni, by znaleźć spore luki w zeznaniach Any Sage. Jeśli podczas rozmowy nad jeziorem Purvis też miał jakieś wątpliwości, to zachował je dla siebie. Chciał tylko dopaść Dillingera, a Ana Sage podała mu go na tacy.

Tego samego wieczora, gdy Ana Sage zawarła umowę z Purvisem, Dillinger pojechał na północno-zachodnie przedmieścia, by porozmawiać z Nelsonem o napadzie na pociąg. Nelson bardzo zapalił się do tego projektu, do końca życia marzył o jego realizacji. Podobnie jak poprzednio, tylko Fatso Negri mógł potem opisać to spotkanie, jego relacja jest jednak bardzo skąpa. Powiedział, że przyjechał trochę później, zastał Nelsona, Dillingera i Jimmy'ego Murraya czekających niecierpliwie na Van Metera. Nelson przeklinał głośno. W pewnym momencie w rozmowie padło stwierdzenie, że Negri chce wrócić do Kalifornii. Nelson powiedział, że nie ma nic przeciwko, jednak Dillinger się nie zgadzał.

- On za dużo wie - powiedział z uśmiechem i odwrócił się do Fatsa Negriego. - Może jednak zostałbyś tutaj i popracował z nami? Zgarniemy kupę pieniędzy. Potem pojedziesz do domu i zajmiesz się swoimi sprawami, nikt cię nie znajdzie. Będziesz miał naprawdę kupę

szmału. Johnny mówił, że twoja rodzina jest biedna. Kiedy skończymy, będziesz mógł obsypać ich pieniędzmi. Możesz to zrobić, prawda, Fats?

- Jasne, zostanę - przytaknął Negri.

Minęła kolejna godzina, a Van Meter wciąż się nie pojawiał. Postanowili zakończyć spotkanie. Kiedy się rozchodzili, Nelson powiedział Dillingerowi, żeby znalazł Van Meta i „skopał mu tę jego chudą dupę”. Umówili się na kolejne spotkanie za dwa dni, w poniedziałek¹⁰.

22 lipca, niedziela

Był to kolejny upalny dzień, temperatura zbliżała się do 40 stopni. Cowley i Purvis od wczesnego ranka byli już w swoich biurach na osiemnastym piętrze. Zadzwonili do większości członków oddziału, przykazując im, by pozostawali w kontakcie: mogli być potrzebni. Po jakimś czasie pojawili się Zarkovich i O'Neil, którzy przyprowadzili ze sobą jeszcze dwóch policjantów z East Chicago. Cowley i O'Neil zajęli się omawianiem planu na wieczór. O'Neil wiele razy mówił Cowleyowi, że jego zdaniem mają za mało ludzi, by schwytać Dillingera; Cowley zamierzał zaangażować do tego piętnastoosobową grupę. „Kapitan O'Neil chciał koniecznie wezwać do pomocy policję z Chicago - pisał następnego ranka asystent Hoovera w notatce służbowej - ale Cowley twardo się sprzeciwiał. O'Neil powiedział, że jeśli spartaczą sprawę, Cowley może o nich zapomnieć; innymi słowy, gdyby im się nie udało, byłaby to wina FBI, a gdyby odnieśli sukces, O'Neil przypisałby sobie całą zasługę”¹¹.

Cowley postanowił, że nie będą obserwować mieszkania Any Sage ani jej śledzić: prawdopodobnie się obawiał, że Dillinger mógłby coś zauważyć i uciec. Na razie wszystko pozostawało w rękach Sage, FBI pozostało jedynie czekać. Poprzedniego wieczora, po spotkaniu z Sage, Cowley odwiedził wraz z jednym z agentów kino Marbro i obejrzał uważnie wszystkie wejścia i wyjścia, zapisując kilka uwag w swoim notesie. Później zadzwonił do Hoovera, który powiedział, że chce, by schwytano Dillingera żywcem, jeśli to możliwe.

Około drugiej Cowley i Purvis zaczęli dzwonić do agentów; wszyscy mieli się stawić w biurze najpóźniej o trzeciej. Agenci schodzili się grupami po dwóch lub trzech, wszyscy spoceni i zgrzani. Nie wygłaszano żadnych przemówień, nie wydawano rozkazów. Wkrótce jednak wśród mężczyzn siedzących w holu i czytających gazety rozeszła się elektryzująca wieść; mieli nowego informatora, tym razem być może prawdziwego. Udręczeni upałem, sprawdzili broń i cierpliwie czekali.

Dillinger zawsze starannie się ubierał, zwłaszcza gdy przebywał w towarzystwie Polly Hamilton. Tego ranka włożył świeże białe slipy firmy Hanes, rozmiar 34, lekkie szare spodnie, czarne skarpety, czerwone podwiązki do skarpet i białe buty Nunn Bush z koźlej skóry. Zapiął białą wełnianą koszulę, zawiązał krawat w czerwone wzory. Do kieszeni na piersi włożył klucz do mieszkania Sage, cygaro La Corona-Belvedere i zwitek pieniędzy spięty klamerką.

Prawdopodobnie spędził ten dzień z Hamilton, która nie czuła się wówczas najlepiej. Grali w bezika. Około piątej Sage zaczęła przygotowywać kolację. Mieli zjeść jedno z ulubionych dań Dillingera, pieczonego kurczaka. Gdy Sage zabrała się do pracy, oświadczyła, że nie ma masła i musi pójść do sklepu. Udała się do najbliższej budki telefonicznej.

Purvis odebrał telefon. Sage stwierdziła, że wszystko idzie zgodnie z planem; nie wspomniała, że Dillinger przebywa w jej mieszkaniu. Oceniała, że prawdopodobnie wyjdą do kina około ósmej.

- Zadzwoń, kiedy będę wiedziała coś konkretnego. - Odłożyła słuchawkę i wróciła do domu.

Purvis i Cowley chodzili po biurach na osiemnastym piętrze. Czekali. Do szóstej Sage nie zadzwoniła. Nie odezwała się także do szóstej trzydzieści. O siódmej Purvis zaczął się denerwować. Mieli coraz mniej czasu. Wreszcie, kilka minut po siódmej, zadzwonił telefon.

- Jest tutaj - powiedziała Sage. - Za chwilę wyjdziemy. Nie wiem jeszcze, czy pójdziemy do Biograph, czy do Marbro. - Odłożyła słuchawkę, nim Purvis mógł ją o cokolwiek zapytać.

Był zaskoczony. Nikt nie wspominał wcześniej o Biograph. Kino to znajdowało się przy North Lincoln Avenue, wąskiej uliczce tuż obok mieszkania Sage. Cowley natychmiast wysłał dwóch agentów, by obejrzelili budynek. Sprawy się komplikowały. Cowley i Purvis przeprowadzili krótką dyskusję. W końcu uznali, że nie mają wyboru. Musieli zabezpieczyć oba kina, i to szybko.

O 19.15 Cowley wezwał ludzi do biura Purvisa; zebrało się tam ponad dwadzieścia osób². Cowley przedstawił Zarkovicha, który zaraz potem zabrał głos. Powiedział, że Dillinger wybiera się na ósmą do kina, do Biograph albo do Marbro. Ze względu na operację plastyczną wygląda nieco inaczej niż na portretach FBI. Twarz ma okrągłą, usunął zdradzieckie brodawki i charakterystyczny dołek w brodzie. Pofarbował też włosy na czarno i zapuścił wąsy. Według informatora ubrany jest w szary garnitur w kratę, białe buty i słomkowy kapelusz. Nie wymieniając nazwisk, Zarkovich opisał również dwie towarzyszące mu kobiety. Starsza, mocnej budowy, miała być ubrana w pomarańczową spódnicę[* A nie,

jak głosi legenda, w czerwoną sukienkę.]

Kiedy Zarkovich skończył, wystąpił Purvis. Miał na sobie jednorzędową niebieską marynarkę, białe spodnie i słomkowy kapelusz.

- Panowie, wszyscy wiecie, jaki jest John Dillinger-zaczął. - Jeśli pojawi się w którymś z tych dwóch kin, lecz zdoła nam uciec, Biuro okryje się hańbą. Może przyjdzie do kina w towarzystwie kobiet i bez broni; ale może też przyjdzie uzbrojony, z innymi członkami gangu. Oczywiście próba pojmania Dillingera wiąże się ze sporym ryzykiem. Naszym zadaniem jest schwytać go żywcem, w miarę możliwości, oczywiście, i nie stracić przy tym żadnego z agentów. Panowie, jest to okazja, na którą wszyscy od dawna czekaliśmy. Musimy ją wykorzystać. Nie ryzykujcie bez potrzeby, a jeśli Dillinger stawi opór, każdy będzie musiał radzić sobie sam, każdy z was zrobi też to, co uzna za stosowne, by chronić własne życie.

Omówili plan przygotowany na wypadek, gdyby Dillinger rzeczywiście pojawił się w kinie. Wybrano pięciu ludzi, którzy mieli zbliżyć się do niego. Grupę tę miał prowadzić Purvis. Towarzyszyli mu dwaj najlepsi strzelcy, Charles Winstead i Clarence Hurt, oraz dwaj policjanci z East Chicago, Glen Stretch i Peter Sopsic. Purvis powiedział, że będzie trzymał straż za kasą. Kiedy Dillinger się pojawi, da swoim ludziom sygnał, zapalając cygaro. Gdyby Dillinger uciekł tej piątce, mówił Purvis, pozostali agenci zrobią to, co uznają za stosowne.

- Jaką broń weźmiemy ze sobą? - zapytał ktoś.

- Tylko pistolety - odparł Purvis.

Po spotkaniu pojechał z agentem Ralphem Brownem do kina Biograph. Cowley został na miejscu, by koordynować akcję; Purvis obiecał, że będzie dzwonił do niego co pięć minut. Zarkovich i agent Winstead zostali odesłani do Marbro. Brak konkretnych informacji od Sage oznaczał, że nie będą mogli zebrać wszystkich sił w jednym miejscu, dopóki Dillinger się tam nie pojawi - jeśli się pojawi - i że zaatakują go, gdy film się skończy.

Purvis i Brown zatrzymali się przed Biograph o 19.37. Brown został przy samochodzie, a Purvis poszedł do kasy. Tej nocy wyświetlano *Wielkiego gracza*, gangsterski film z Clarkiem Gable i Williamem Powellem. Następnny seans zaczynał się o 20.30. Purvis wrócił do samochodu i usiadł obok Browna.

Było gorąco. Purvis miał ogromną ochotę rozejrzeć się uważnie po ulicy, bał się jednak, że ktoś go zauważy. Zmusił się więc do siedzenia w bezruchu i spoglądał tylko na tych, którzy przechodzili obok chodnikiem¹³. O 20.15 kino zaczęło się wypełniać. Co pięć minut Brown biegł do baru przy tej samej ulicy i dzwonił z automatu do Cowleya.

Jeśli Sage z całym towarzystwem rzeczywiście wyszła z domu o ósmej, Dillinger powinien był się zjawić lada chwila. Minęło pięć minut, potem dziesięć, potem piętnaście.

Wciąż ani śladu Dillingera. W zupełnie innym punkcie miasta, przed Marbro, Winstead i Zarkovich rozglądali się niespokojnie dokoła. W Waszyngtonie w salonie swego domu siedział Hoover, który co pięć minut odbierał telefony od Cowleya. Pomiędzy kolejnymi rozmowami Cowley chodził nerwowo po biurze. Agenci czekający w holu raz po raz sprawdzali broń. Nikt nie miał nic do powiedzenia.

Coś było nie tak. Purvis to wyczuwał. O 20.25 był już niemal pewien, że cały weekend został zmarnowany; kolejna duszna noc, kolejny fałszywy informator, kolejny długi tydzień pracy. To był błąd. Nie powinni byli ufać policji z East Chicago.

Nieco później, o 20.36, Purvis zerknął w bok i zobaczył dwie kobiety oraz mężczyznę idących po chodniku. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że to Ana Sage, jakaś młodsza dziewczyna - zapewne Polly Hamilton - i... John Dillinger. Sage ubrana była w pomarańczową spódnicę i przekrzywiony kapelusz, dokładnie tak, jak opisywał to Zarkovich. Dillinger miał słomkowy kapelusz. Ralph Brown także ich zobaczył. Gdy tylko cała trójka przeszła, Brown wysiadł z samochodu i pobiegł zadzwonić do Cowleya. Tymczasem Dillinger podszedł do kasy i podał kasjerce kilka banknotów. Oszołomiony faktem, że oto patrzy wreszcie na człowieka, którego szukał tak długo, Purvis przyglądał się profilowi Dillingera, jego szarym spodniom, czystej białej koszuli i ciemnym okularom. Dillinger był bez marynarki: oznaczało to, że ma przy sobie co najwyżej jeden pistolet. I był sam. Bez Nelsona i bez Van Metera.

To działo się naprawdę. Wciąż bacznie obserwowany przez Purvisa Dillinger kupił bilety i wprowadził obie kobiety do kina. Na sali było tłoczno, ale znalazł dwa miejsca w trzecim rzędzie; Sage usiadła sama z tyłu. Dillinger przytulił się do Hamilton i scenicznym szeptem poprosił o pocałunek; dziewczyna spełniła jego prośbę. Później powiedziała, że Dillinger był wyjątkowo zalotny tego wieczora.

Tymczasem Purvis wysiadł z samochodu, kupił bilet. Wszedł z tłumem na salę i powiódł wzrokiem po krzesłach. Znaczna większość była zajęta. Gdyby udało mu się znaleźć trzy miejsca tuż za Dillingerem, mogliby schwycić go jeszcze w czasie seansu. Przeszedł jedną alejką, potem drugą. Dostrzegł tylko kilka wolnych siedzeń. Wciąż nie widział Dillingera. Musieli poczekać, aż wyjdzie.

Purvis wrócił do samochodu. Brown powiedział, że ludzie Cowleya są już w drodze. Obydwaj agenci zaczęli się denerwować. A jeśli Dillinger coś wyczuje i zaraz wyjdzie z kina? Wtedy sami musieliby się nim zająć. Purvis spojrzął na zegarek. Wysiadł i porozmawiał z kasjerką. Dowiedział się, że film trwa dziewięćdziesiąt cztery minuty, należało jednak doliczyć do tego kronikę i zwiastuny innych filmów, co razem dawało dwie godziny i cztery

minuty. Gdyby Dillinger został do końca filmu, wyszedłby z kina około 22.35.

W miarę upływu czasu Purvis coraz bardziej się denerwował. Nie minęło jednak dwadzieścia minut, a dostrzegł agentów ustawiających się na ulicy. Wymienił z Brownem pełne ulgi spojrzenia. Przybył też Cowley, naradzał się przez chwilę z Purvisem, ustalając pozycje poszczególnych ludzi. Postawili dwóch policjantów z East Chicago, Stretcha i Sopsica, na chodniku, na północ od wejścia do kina. Kiedy przyjechał Charles Winstead, zajął wraz z Clarence'em Hurtem pozycje po południowej stronie, gdzie skierowałby się Dillinger, gdyby chciał wrócić do mieszkania Sage. Cowley rozstawił resztę agentów po dwóch, wzdłuż ulicy. W kinie znajdowały się jeszcze dwa boczne wyjścia i jedno tylne. Boczne wychodziły na alejkę, którą można było przejść na skróty do mieszkania Sage. Cowley postawił tam czterech ludzi.

O 21.30 wszyscy byli już na miejscach. Purvis, który razem z agentami Winsteadem i Hurtem stał w przejściu obok kasy, żuł odgryzioną końcówkę cygara. Zaszło mu w gardle, ale nie mógł odejść, żeby kupić sobie coś do picia. W pewnym momencie uświadomił sobie, że drżą mu kolana. Minęła dziesiąta. Nikt nie wychodził z kina.

Napięcie rosło, w miarę jak zbliżał się koniec filmu. Agenci stojący wzdłuż ulicy przestępowali z nogi na nogę i spuszczaali wzrok, starając się nie ściągać na siebie uwagi. Bez powodzenia. Nagle o 22.20 w alejce obok kina zatrzymały się dwa sedany. Ze środka wyskoczyło kilku mężczyzn z bronią w dłoniach, jeden miał obrzyn.

- Policja! - krzyknął. - Ręce do góry!

EJ. Conroy wyjął odznakę. Trzej pozostali agenci zrobili to samo.

- Agenci federalni - powiedział Conroy i wyjaśnił, że prowadzą obserwację. Kiedy policjant spytał, na kogo czekają, odmówił odpowiedzi. Inny policjant wyjaśnił, że przyjechali pod kino, bo ktoś ich poinformował, że kręcą się tu podejrzani ludzie. Spytał, czy mogą w czymś pomóc. Conroy zaprzeczył i poprosił, by się wycofali. Policjanci wrócili z ociąganiem do samochodów i odjechali.

Minęło dziesięć minut. 22.30. Film miał się skończyć lada chwila. W tym momencie przed kino zajeżdżał kolejny samochód. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden przeszedł przez ulicę i podszedł do agenta Jerry'ego Campbella, drugi zaczepił dwóch policjantów z East Chicago, Stretcha i Sopsica. Okazało się, że są to detektywi z Chicago, którzy sprawdzają to samo doniesienie*[* Policję wezwał menedżer z Biograph, który myślał, że podejrzani mężczyźni kręcący się przed kinem zamierzają obrabować.]. Campbell i policjanci z East Chicago próbowali ich spławić, ale intruzi byli podejrzliwi i nie chcieli odejść.

Pięć minut później wciąż zadawali pytania, gdy z kina zaczęli wychodzić pierwsi widzowie. Purvis ruszył do akcji. Zostawiając Hurta i Winsteadą w przejściu, podszedł do kasy, bliżej wychodzących z kina ludzi. Cygaro w jego ustach drżało. Salę opuszczało coraz więcej ludzi, na chodniku zrobił się tłok. Purvis zauważył wśród wychodzących kobiety z dziećmi. Starał się zachować spokój.

Wreszcie, o 22.40, zobaczył go: Dillinger szedł w tłumie, Polly Hamilton trzymała go za lewą rękę, Ana Sage szła obok niej. Purvis starał się przybrać obojętną, nonszalancką minę. Od Dillingera dzieliło go zaledwie półtora metra; wystarczył jeden krok, by mógł go dotknąć. Ich spojrzenia spotkały się ze sobą na ułamek sekundy. Purvis miał przez moment wrażenie, że został rozpoznany.

Dillinger jednak opuścił wzrok i ruszył dalej. Gdy to zrobił, Purvis wyjął pudełko z zapalkami, zapalił cygaro. Dillinger skręcił w lewo, prowadząc kobiety na południe, w tym samym kierunku, z którego przyszli. Zmierzał prosto na Hurta i Winsteadą. Stojący sześć metrów dalej agenci dostrzegli sygnał. Hurt wyszeptał do Winsteady:

- To Dillinger, ten w słomkowym kapeluszu i ciemnych okularach.

W tej samej chwili dostrzegł Dillingera Jerry Campbell stojący po drugiej stronie ulicy.

- Idą - powiedział do drugiego agenta. Obaj ruszyli na południe, idąc równoległe do Dillingera.

Spośród wszystkich agentów stojących przed kinem Biograph tego wieczora tylko kilku zareagowało na sygnał Purvisa. Z dokumentów FBI wynika, że zobaczyło go nie więcej niż sześciu agentów. Stał zbyt daleko i otaczało go zbyt wielu ludzi. Cowley, który zajął pozycję nieco dalej, w ogóle nie zauważył, że Purvis zapala cygaro. Nie zauważyli również policjanci z East Chicago, stojący zaledwie o sześć metrów na północ od niego; Purvis przyglądał im się ze zdumieniem, gdy wciąż prowadzili rozmowę z ciekawskimi detektywami. Martin Zarkovich sam rozpoznał Dillingera. Ruszył w stronę policjantów, by ich zaalarmować.

Purvis nie wiedział, co robić. Zrobił dwa kroki, jakby chciał ścigać Dillingera. Potem wyjął drugą zapalkę i ponownie podniósł ją do cygara, licząc, że tym razem zobaczy go więcej agentów. Nie miał pojęcia, czy Hurt i Winstead wiedzą, co się dzieje. Sfrustrowany powiedział bezgłośnie:

- Do cholery! Ruszajcie się!

Trzy metry dalej Dillinger i dwie kobiety zbliżyli się do grupy sześciu lub siedmiu osób. Gdy tłum się rozstał, a Dillinger wydłużył krok, Purvis ruszył jego śladem. W tym

momencie Dillinger przeszedł obok miejsca, w którym stali Winstead i Hurt. Kiedy cała trójka ich minęła, Hurt ruszył za nimi. Agent Ed Hollis, który stał przy samochodzie FBI, zajął miejsce tuż obok niego. Dillinger obejrzał się w prawo, na Hollisa. Winstead zrobił krok do przodu. Dillinger obrócił się w miejscu i spojrzał prosto w twarz Winstead.

Wtedy już wiedział. Świeżo upieczony agent, Jack Welles, który stał po drugiej stronie ulicy, opowiadał: „Dillinger zrozumiał chyba, że wpadł w pułapkę; na jego twarzy widać było napięcie”. Agenci stojący na chodniku mieli na długie lata zapamiętać następne kilka sekund, wielokrotnie do nich wracali, odtwarzając wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, jakby oglądali tę scenę w zwolnionym tempie. Dillinger odwrócił się z powrotem do przodu i zaczął się pochylać, jakby chciał przykucnąć. Jednocześnie wsunął rękę do kieszeni spodni, gdzie miał trzydziestkęósemkę. Winstead wyciągnął swoją czterdziestkępiątkę. Hurt i Hollis także sięgnęli po broń.

Dillinger zrobił krok lub dwa naprzód, jakby chciał pobiec do alejki odległej o niecałe trzy metry. Nie zdążył. Nikt nie krzyknął „Stać!” ani „Ręce do góry!”, nikt nie przedstawił się jako agent FBI[* W swojej książce *American Agent*, wydanej w 1936 roku, Purvis twierdzi, że krzyknął: „Ręce do góry, John, jesteś otoczony!”. Choć opisywał ten wieczór w licznych wywiadach i notatkach służbowych, nie wspominał w nich o takim incydencie. Nie potwierdzają tego również wywiady i relacje innych agentów uczestniczących w wydarzeniach tamtego wieczoru. Nasuwa się podejrzenie, że Purvis po prostu to wymyślił, by odeprzeć pojawiające się od czasu do czasu zarzuty, iż próba zatrzymania Dillingera była w istocie egzekucją.].

Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Gdy tylko Winstead zobaczył, że Dillinger sięga po broń, strzelił trzykrotnie. Huk wystrzałów prze-

Późnym wieczorem dziennikarz przekazał Johnowi Dillingerowi seniorowi wiadomość o śmierci jego syna. Starszy Dillinger opadł ciężko na krzesło.

- Czy to prawda? - spytał. - Jest pan pewien, że nie zaszła jakaś pomyłka?

Dziennikarz zapewnił, że o pomyłce nie może być mowy.

- Więc John nie żyje - powiedział Dillinger. - W końcu go dopadli, choć modliłem się i modliłem, żeby do tego nie doszło. Chcę, by przywieźli tu ciało. Czuję się tak fatalnie, że ledwie mogę mówić¹⁵.

Tymczasem w Waszyngtonie dziennikarze opadli Hoovera. Pomimo licznych prób nie zamierzał się chwalić, lecz podkreślił, że Biuro wciąż ściga Nelsona i Van Metera.

- To wcale nie oznacza, że sprawa Dillingera została zakończona - mówił. - Każdy, kto kiedykolwiek pomógł członkom szajki Dillingera, będzie ścigany aż do skutku¹⁶.

Dziennikarze odszukali prokuratora generalnego, Homera Cummingsa, na dworcu Union Station, gdzie czekał właśnie na pociąg, który miał go zawieźć na wakacje na Hawaje. Prokurator umieścił śmierć Dillingera w szerszym kontekście, przedstawiając ją jako produkt federalistycznego myślenia epoki Nowego Ładu.

- Koniec działalności Johna Dillingera nie oznacza, że Departament Sprawiedliwości może spocząć na laurach - mówił. - Dla nas to tylko kolejny epizod w starannie zaplanowanej kampanii przeciwko przestępczości zorganizowanej, którą prowadzimy od ponad roku. - Bez śladu ironii (która powinna się tam znaleźć, jeśli wziąć pod uwagę całkowity brak współpracy między FBI i chicagowską policją) dodał: - To, co się właśnie wydarzyło, jest doskonałym przykładem sukcesu, jaki można osiągnąć dzięki wzmożonym wysiłkom i pełnej koordynacji między organami władzy lokalnej i federalnej. Prowadzenie takiej właśnie, przyjaznej i pomocnej współpracy jest jednym z najważniejszych elementów walki z przestępczością.

Wiadomość o śmierci Dillingera trafiła nazajutrz na pierwsze strony gazet na całym świecie, zdominowała nagłówki zarówno w Nowym Jorku, jak i Londynie, Moskwie i Berlinie. Europejskie gazety skupiały się na tym, że Dillinger nie został w żaden sposób ostrzeżony, nim strzelono mu w plecy. W Niemczech jedna z nazistowskich gazet wykorzystała nawet ten fakt do frontalnego ataku na Stany Zjednoczone: „Czy zawołanie przestępcy po imieniu tuż przed zastrzeleniem to choćby namiastka procesu? - pisał felietonista. - Czy kraj, w którym dzieje się coś takiego, nadal zasługuje na miano kraju prawa i sprawiedliwości?”¹⁷.

Amerykańskie gazety takich wątpliwości nie miały. Bohaterem większości relacji był Purvis, który przez cały dzień czytał telegramy z gratulacjami, udzielał wywiadów i pozował do zdjęć w swoim biurze. Podpis pod jego fotografią w „Chicago Daily Times” - DOPADŁ GO WRESZCIE - był typowy dla panujących wówczas nastrojów. „New York Evening Journal” opublikował kilka zdjęć Purvisa ułożonych niczym sceny z filmu, pod spodem zaś umieścił napis: „Melodramat z półświatka - w trzech odsłonach (film produkcji USA w reżyserii Melvina Purvisa)”. „Time” zamieścił fotografię Purvisa ściskającego dłoń Homera Cummingsa opatrzoną podpisem MELVIN PURVIS I PRZYJACIEL. Podczas gdy Sam Cowley, którego „Tribune” wciąż nazywała „głównym asystentem Purvisa”, unikał kontaktów z prasą, Purvis udzielał wywiadów ukazujących doskonale jego ego. Rozmawiając z dziennikarzem „Daily Times”, nazywał nieujawnioną jeszcze donosicielkę „swoim informatorem” i pozwolił sobie ubarwić opowieść o zapalaniu cygara kilkoma szczegółami.

„Moi ludzie nie reagowali na umówiony znak. Muszę przyznać, że byłem naprawdę zaniepokojony, bo Dillinger dostrzegł mój gest i obdarzył mnie paskudnym spojrzeniem...

Gdy tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że to on. Miał oczy zabójcy”¹⁸.

Hoover nie tak wyobrażał sobie zachowanie agentów FBI, o czym Purvis miał się wkrótce przekonać. W rzeczywistości wciąż zostało jeszcze mnóstwo pracy, a Cowley wyłączył Purvisa z niemal wszystkich zadań. W poniedziałek wieczorem, kiedy Cowley zmagął się z natłokiem bieżących spraw, Purvis został odesłany na dworzec kolejowy, gdzie pozował do zdjęć z Homerem Cummingssem. Następnego wieczora poleciał do Waszyngtonu, gdzie z kolei robił sobie zdjęcia z Hooverem; Cowley grzecznie odmówił, twierdząc, że jest zbyt zapracowany. Hoover oświadczył, że zarówno Purvis, jak i Cowley otrzymali podwyżki. Wydawało się, że Purvis wrócił przynajmniej na chwilę do łask dyrektora.

„Zatrzymanie i zabicie Johna Dillingera dokonane przez agentów twojego biura, działających pod twym godnym podziwu kierownictwem i zgodnie z ustalonym przez ciebie planem, to kolejny dowód twoich umiejętności przywódczych - pisał do Purvisa Hoover nazajutrz po strzelaninie. - Wyczyn ten umacnia też zaufanie i wiarę, jakie zawsze w tobie pokładałem... Nie osiągnęlibyśmy takiego sukcesu, gdyby nie twoja nieograniczona wytrwałość, efektywne planowanie i inteligencja...”¹⁹.

Fakt, że Purvis zbiera wszystkie pochwały za ujęcie Dillingera, wcale się nie podobał policji z East Chicago. Zarkovich udzielił kilku wywiadów, starając się ze wszystkich sił zyskać należyte uznanie dla policji. Podobnie jak Purvis znacznie ubarwił swoją opowieść, mówiąc dziennikarzom, że kilkakrotnie widział Dillingera w kinie Biograph. Twierdził także, że policja East Chicago obserwuje Van Metera i Nelsona. Na próżno. Prasa obwołała Purvisa „człowiekiem, który dopadł Dillingera” i żadne deklaracje policji East Chicago nie mogły tego zmienić. Nieco później tego samego tygodnia kapitan O’Neil powiedział dziennikarzom, że popełnił „wielki błąd”, pozwalając, by Purvis zajął się na początku kontaktami z prasą.

„Powtarzana przez Purvisa historyjka o tym, że ktoś w niedzielę po południu poinformował jego biuro o zamiarach Dillingera, to jedna wielka bzdura - zżymał się. - Podejrzewaliśmy, że Dillinger pojawi się w kinie tego wieczora, i przekazaliśmy tę informację ludziom Purvisa”²⁰.

Podczas gdy Purvis płał się w blasku sławy, Cowley ciężko pracował. W poniedziałek, kiedy złożył już zeznania w śledztwie korone-ra - odmówił wówczas zidentyfikowania agentów, którzy zastrzelili Dillingera - musiał stawić czoło wścieklej Anie Sage, która była przekonana, że gang Dillingera ją wytropi. Po strzelaninie uciekła wraz z Hamilton spod kina. Dwa dni później pewien chłopiec pływający w jeziorze Michigan znalazł karabin maszynowy, pistolet i kamizelkę kuloodporną w płytkiej wodzie przy pomoście, obok Lincoln Park. Wszystkie te przedmioty należały do Dillingera: thompson został

zidentyfikowany jako jeden z pistoletów skradzionych z komisariatu w mieście Warsaw, w stanie Indiana. Jak donosili dziennikarze, chicagowska policja podejrzewała, że gdy Sage pobięła do swego mieszkania, wyniosła stamtąd rzeczy Dillingera i wrzuciła je do jeziora. Nigdy tego nie udowodniono. Później, kiedy Hamilton ukryła się u jednej z przyjaciółek, Sage zamknęła się w swoim mieszkaniu.

Już w poniedziałek po południu pojawiły się plotki o tajemniczej „kobiecie w czerwieni”, która zdradziła Dillingera. Purvis i Zarkovich odmawiali jakichkolwiek informacji w tej sprawie, lecz informacje o spisku tak czy inaczej przedostały się do prasy. DILLINGER ZDRADZONY PRZEZ DZIEWCZYNĘ W CZERWIENI głosił nagłówek na pierwszej stronie poniedziałkowego wieczornego wydania „Chicago Daily Times”. Sage wpadła w panikę. Zarkovich zawiózł ją do Bankers Building, gdzie spotkała się z Cowleyem, który określił jej zachowanie jako „histeryczne”. Sage ze łzami w oczach błagała, by FBI ją ukryło. Cowley zapewnił ją, że spełni każde jej życzenie, i odesłał ją do domu. Następnego ranka rozmawiał o niej z Hooverem. „Pan Cowley uważa, że jeśli jej nie ukryjemy, gazety prawdopodobnie dotrą do niej i narobią mnóstwo zamieszania - pisał Hoover w notatce. - Spytałem pana Cowleya, czy mogą ją trzymać w odosobnieniu. Pan Cowley potwierdził, a ja poprosiłem, by się tym zajęli”.

Tego samego ranka Cowley zadzwonił do Sage i poprosił o spotkanie w Stevens Hotel. Tam poinstruował ją, by wróciła do domu, spakowała swoje rzeczy, opuściła miasto i powiedziała mu, dokąd jedzie. Gdy po powrocie do domu Sage wrzucała do walizki swoje rzeczy, zadzwonił dzwonek u drzwi. Sage wyjrzała przez judasz i zobaczyła jakichś mężczyzn. Przerazona zadzwoniła do Purvisa, który powiedział jej, że zaraz pośle tam agenta. Okazało się, że tajemniczy mężczyźni to detektywi z chicagowskiej policji, którzy chcieli zabrać ją na przesłuchanie.

Po przewiezieniu do komisariatu w Sheffield Sage przez kilka godzin odpowiadała na pytania kapitana Thomasa Duffy’ego. Co zdumiewające, pozwolił, by przysłuchiwała się temu grupa dziennikarzy. Sage okazała się wytrawną kłamczynią i zaprzeczała z uporem niemal wszystkiemu. Raz za razem powtarzała, że po prostu wracała z kina do domu, gdy nagle jak spod ziemi wyrosli agenci FBI, którzy zabili chłopaka jej przyjaciółki. Kiedy Cowley dowiedział się, że Sage jest na komisariacie, natychmiast tam pojechał. Zarówno on, jak i Sage zachowywali się tak, jakby w ogóle się nie znali. Cowley spytał detektywa Duffy’ego, czy stawia Sage jakieś zarzuty. Duffy odparł, że chciał ją jedynie przesłuchać. Cowley wyszedł, prosząc Duffy’ego, by dał mu znać, kiedy już skończy. Później powiedział Hooverowi, że jego zdaniem policja zatrzymała Sage na prośby swych przyjaciół z „Chicago

Daily News”, którzy chcieli usłyszeć jej zeznania.

Tego wieczora, gdy gazety zidentyfikowały Sagę jako „kobietę w czerwieni”, Cowley zadzwonił na komisariat i dowiedział się, że Sage wciąż tam jest. Duffy powiedział mu, że zamierza ją zatrzymać do następnego dnia. „Nie, nie zrobi pan tego”, odparł Cowley²¹. Zadzwonił do komendanta chicagowskiej policji, przekonał go, by oddał Sagę pod opiekę FBI, po czym wysłał po nią dwóch agentów na komisariat. Przewożeniu informatorki do Bunkers Building towarzyszyli dziennikarze, zasypali Cowleya pytaniami. Stanowczo zaprzeczał, by Sage wydała Dillingera.

Kiedy znaleźli się już za zamkniętymi drzwiami, Cowley polecił jej, by zadzwoniła do Polly Hamilton, której Biuro wciąż nie mogło odnaleźć. O drugiej w nocy obie kobiety były na osiemnastym piętrze. Agenci przesłuchiwali je przez całą noc. Hamilton twierdziła z uporem, że nigdy nie wiedziała, kim naprawdę był „Jimmy Lawrence”, choć stało to w jasnej sprzeczności z zeznaniami Sagę. Cowley jednak zaakceptował jej wersję wydarzeń. „Jest pewny, że Hamilton nie wie więcej niż informatorka - pisał Hoover w notatce po rozmowie, którą odbył z Cowleyem tego dnia. - Wierzy, że Hamilton mówi prawdę”²².

Postanowili wywieźć obie kobiety z Chicago. W środę rano, trzy dni po strzelaninie, Cowley polecił dwóm agentom zawieźć Sagę do jej mieszkania. W środku zastali tłum reporterów sprowadzonych tam przez uczynną policję Chicago. Kiedy Sagę spakowała już walizkę, rzucając przy okazji kilka soczystych epitetów w stronę dziennikarzy, agenci zawieźli ją i Hamilton do Detroit. Kilka następnych dni spędziły w hotelu.

Podczas gdy Cowley zajmował się kobietami, jego ludzie zaczęli zgarniać tych, którzy pomagali Dillingierowi. Zaczęli od Wilhelma Loesera. Jak tylko FBI się dowiedziało, że Dillinger przeszedł operację plastyczną, Cowley nie miał wątpliwości, kto ją przeprowadził. Sześciu agentów stanęło pod drzwiami Loesera we wtorek rano. Nikt nie zareagował na dzwonek, więc wyważyli boczne drzwi. Gdy wbiegali na schody, usłyszeli pytanie „Kto tam?”. Chwilę później na schodach ukazał się Loeser, zaspany i bez koszuli. Został przewieziony do Bankers Building.

Loeser opowiedział im o wszystkim. Następnego wieczora oddział dowodzony przez Charlesa Winsteadę przeprowadził nalot na dom Jimmy’ego Probasco. Jeszcze przed północą Probasco został zamknięty w sali konferencyjnej w Bankers Building. Podczas przeszukania domu agenci znaleźli coś, co później opisane zostało jako „list pożegnalny”. Cowley kazał obserwować aresztowanego przez całą noc. O dziewiętej rano dwudziestopięcioletni nowicjusz, agent

Max Chaffetz, zaprowadził go do zdjęcia odcisków palców, potem z powrotem do sali

konferencyjnej i zostawił na kilka minut samego. Gdy wrócił, sala była pusta, a pod otwartym oknem stało krzesło. Chaffetz podszedł do okna i spojrział w dół. Osiemnaście pięter niżej leżały roztrzaskane szczątki Jimmy'ego Probasco*[* W późniejszych latach agenci FBI plotkowali, że podczas długiego lotu nieszczęsny Probasco uderzył w schody przeciwpożarowe, które oderwały mu głowę.]. „Pan Cowley [zadzwoił i] oświadczył, że Probasco wyskoczył właśnie z okna biura w Chicago, które znajduje się na osiemnastym piętrze - pisał Hoover w notatce sporządzonej tego ranka o 10.30. - Stwierdziłem, że było to karygodne niedbalstwo”²³.

Po śmierci Probasco pojawiły się plotki, że został wypchnięty albo że spadł podczas przesłuchania, gdy za oknem trzymali go agenci. Przybity Cowley zaproponował Hooverowi, by zawiesił jego i Chaffetza na dwa tygodnie. Hoover postanowił zawiesić tylko Chaffetza. Ponieważ Boss McLaughlin, który przekazywał okup za Bremera, skarżył się dziennikarzom, że podczas przesłuchań agenci wywieszali go za okno na osiemnastym piętrze, zarówno Cowley, jak i Hoover obawiali się licznych oskarżeń ze strony prasy. Okazało się jednak, że znaczna większość chicagowskich gazet zignorowała tę historię.

W ciągu kilku następnych tygodni FBI zatrzymało również Louisa Piqueta, Arta O'Leary'ego i Harolda Cassidy'ego. W tym czasie Cowley był już całkiem pochłonięty poszukiwaniem Baby Face Nelsona, Homera Van Metera, Pretty Boy Floyda i gangu Barkerów. Sprawa Dillingera nie została jednak jeszcze całkiem zamknięta.

Jak wynika z raportów FBI, historia zdrady Dillingera opisywana przez Anę Sagę i Polly Hamilton, choć akceptowana przez dwa pokolenia historyków, była równie niespójna i bezsensowna zarówno w 1934 roku, jak i teraz. Relacje obu kobiet wzajemnie się wykluczały, należało się więc spodziewać, że wkrótce ktoś zakwestionuje ich prawdziwość.

Stało się to w piątek 27 lipca. Matt Leach przyszedł do Bankers Building i spotkał się z Cowleyem za zamkniętymi drzwiami. Stosunki między FBI i policją stanową Indiany już od dawna były napięte, a pogorszyły się jeszcze po tym spotkaniu.

Leach powiedział Cowleyowi, że według jego informatora Martin Zarkovich co najmniej przez dwa miesiące udzielał schronienia Dillingerowi w East Chicago; żeby to zatuszować, doprowadził 24 maja do śmierci dwóch detektywów z policji w East Chicago, i że podsunął FBI trop Dillingera, by ukraść jego pieniądze. „Daje to podstawy do przeprowadzenia poważnego śledztwa i powinno zająć się tym FBI”, stwierdził Leach. Cowley był sceptyczny. Powiedział, że Biuro bada już, czy Sagę i Hamilton nie udzielały schronienia Dillingerowi, zauważył jednak, że ponieważ Zarkovich brał udział w zatrzymaniu Dillingera, żaden sąd nie skazałby go za udzielanie pomocy gangsterowi. Dodał również, że

jeśli Zarkovich zaaranżował morderstwo dwóch detektywów, było to przestępstwo stanowe, nad którym FBI nie miało żadnej jurysdykcji.

Kiedy wyraźnie niezadowolony Leach już wyszedł, Cowley zadzwonił do Hoovera. „Zdaniem pana Cowleya jest to zmowa - napisał Hoover w notatce z tego dnia. - Powiedziałem, że całkowicie się z nim zgadzam: uważam, że policja jest po prostu zazdrosna, bo to nie oni zatrzymali Dillingera”²⁴.

FBI nie miało najmniejszego zamiaru prowadzić śledztwa przeciwko Sage i Hamilton, a tym bardziej przeciwko Zarkovichowi; to tajemnicze trio stało się sprzymierzeńcami Biura. Hoover zachowywał się tak, jakby wszelkie zarzuty skierowane przeciwko nim były jednocześnie zarzutami pod adresem FBI. Po śmierci Dillingera agenci odebrali tylko jedno poświadczone zeznanie od Sage, a żadnego od Hamilton i Zarkovicha. Trzeba jednak wspomnieć, że 2 sierpnia dwóch agentów przesłuchało Hamilton w Detroit, a jej wymijające odpowiedzi kazały im przypuszczać, że coś ukrywa.

„Widać wyraźnie, że jej informacje są bardzo ogólne i pozostają w sprzeczności z informacjami podanymi przez panią Sage - pisali później do Cowleya. - Obaj agenci wyrażają przekonanie, że nie uzyskają żadnych wiadomości na temat pobytu Dillingera w mieszkaniu pani Sage, gdyż ona Polly ostrzegła, by nie ujawniała żadnych informacji w tej kwestii. W dodatku pani Sage robi wszystko, by przesłuchania Polly odbywały się tylko w jej obecności”²⁵.

Było to ostatnie przesłuchanie Hamilton przeprowadzone przez FBI. Po krótkim pobycie w Detroit zarówno ona, jak i Sage zostały zwolnione. Hamilton zniknęła, ukrywając się ze swymi rodzicami gdzieś w Dakocie Południowej. Za namową Cowleya Sage przeniosła się do Los Angeles. Cowley odwiedził ją tam w październiku i wręczył jej należną część nagrody za wydanie Dillingera, 5000 dolarów.

Zamiast zbadać dokładniej informacje podane przez Matta Leacha, Biuro zaczęło wypytywać o samego Leacha. Earl Connelley szukał na niego jakichś haków w Indianapolis i w połowie sierpnia poinformował Cowleya, że Leach poświęca „sporo uwagi” pewnej damie - nie jego żonie - która mieszka w hotelu Spink Arms²⁶.

Leach nie dał się zastraszyć.

- Chcemy dotrzeć do sedna tej sprawy - powiedział dziennikarzowi „Chicago Tribune”²⁷. Nigdy tego nie zrobił.

Dillinger został pochowany na rozległym cmentarzu Crown Hill w Indianapolis, przy akompaniamencie ogłuszających grzmotów i szumu gwałtownej letniej ulewy. Ojciec sprowadził jego zwłoki z Chicago; podczas tej podróży za karawanem jechał długi sznur

samochodów wypełnionych dziennikarzami. Za kamiennym murem otaczającym cmentarz zgromadził się pięciotysięczny tłum. John Dillinger senior stał w bezruchu, gdy opuszczano trumnę do grobu. Strugi deszczu spływającego po jego twarzy wyglądały jak łzy. Gdy wszystko dobiegło końca, wrócił do swojego pustego domu. Dziennikarze wrócili do swoich biur. Przedstawienie dobiegło końca.

16

ZAMIESZANIE

23 lipca - 12 września 1934

Baby Face Nelson nie wpadł w panikę, ale musiał jak najszybciej wyjechać z Chicago. Wieczorem po śmierci Dillingera spotkał się w restauracji w North Side ze swoim przyjacielem Jackiem Perkinsem i poprosił go, by pojechał z nim i zabrał swoją żonę oraz trzyletniego synka Jackiego. Nelson wyjaśnił, że jeśli zabrają ze sobą dziecko, będą wzbudzać mniej podejrzeń, a on nie mógł zabrać swojego dziecka; przypuszczał, że obserwuje je FBI. Perkins się zgodził.

Dwa dni później niewielka grupka Nelsona wyjechała z Chicago dwoma samochodami, kierując się na zachód. Jechali przez Iowę, nocę spędzali na położonych na uboczu kempingach. Po dwóch dniach jazdy dotarli do Reno. Nelson okrążył miasto i zatrzymał się w Cal-Neva Lodge, gdzie odwiedził starego znajomego, hazardzistę Texa Halla. Nelson chciał, by Hall znalazł mu jakąś kryjówkę.

- Nie mogę, Jimmy - odparł Hall. - Za duże ryzyko.

Zirytowany Nelson pojechał dalej, szukając schronienia w swoich ulubionych miejscach w Bay Area. Samochody Nelsona i Perkinsa wjechały do Kalifornii oddzielnie, Nelson uznał bowiem, że dwa auta z rejestracjami z Illinois mogą wzbudzić podejrzenia na granicy stanu. Nazajutrz wszyscy spotkali się w dużej wiejskiej gospodzie, Parente Hotel, w miasteczku El Verano, niedaleko Sonomy. Właścicielem gospody był Louis Parente, kuzyn bimbrownika, który zatrudnił niegdyś Nelsona w Sausalito. Nelson nie wiedział, czy może ufać Parente, ale Negri, który dzięki swym znajomościom w podziemiu Kalifornii został w istocie przewodnikiem Nelsona, zapewnił, że Parente jest „w porządku”.

Kiedy Nelson podjechał pod hotel, Parente stał na zewnątrz, ubrany w białe flanelowe spodnie i słomkowy kapelusz.

- Cześć, Louis - przywitał się Nelson. Parente tylko wpatrywał się w niego. - Nie pamiętasz mnie? - spytał Nelson. - Pracowałem dla twojego kuzyna. - Parente skierował go do recepcji, gdzie Nelson mamrotał coś o chłodnym przyjęciu. Menedżer, Gus Zappas,

przydzielił Nelsonowi pokoje na parterze.

- Nie pamiętasz mnie? - spytał Zappasa Nelson.

- Jesteś Jimmy - odparł Zappas.

- Nie zmieniłem się? - pytał dalej Nelson.

- Nie bardzo.

Po lunchu Nelson wysłał Perkinsa na pocztę, by sprawdził, czy nie ma tam ich zdjęć; nie było, więc odetchnął z ulgą. Potem wysłał Negriego do San Francisco, by sprowadził jego dawnego szefa, Soapa Mareno. Mareno, choć niechętnie, zgodził się pojechać do El Verano, gdzie dotarł około północy. Podczas nocnego spaceru wokół hotelu Nelson spytał, czy Mareno nie mógłby znaleźć jakiejś kryjówki dla gangu, najlepiej jakiejś farmy na uboczu. Po godzinie Mareno wrócił do San Francisco. Nelson był ogromnie rozczarowany.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówił potem Negriemu. - Soap nic dla mnie nie zrobi.

Jeśli Nelson miał nadzieję, że uda mu się na dłużej zaszyć w gospodzie, stracił ją następnego dnia po lunchu. Kiedy wychodzili z jadalni, ktoś krzyknął:

- Hej, Fatso!

Negri odwrócił się i zobaczył Davida Dillona, policjanta z San Francisco, który jadł właśnie lunch ze swoją żoną. Negri podszedł do niego, by pogawędzić przez chwilę.

- Kto to był? - spytał Nelson, gdy Negri wrócił do niego. Negri wyjaśnił, że Dillon jest jego przyjacielem i nikomu nic nie powie. Nelson był wzburzony. Poszedł prosto do recepcji i wymeldował się¹.

Kręcił się po okolicy, odwiedzając starych przyjaciół w nadziei, że któryś znajdzie mu kryjówkę. Następnego wieczora, po kolacji w miasteczku Agua Caliente, odbył pierwsze z dwóch spotkań z Louistem „Bones” Tambinim, bimbrownikiem z San Francisco; Tambini także powiedział, że nie może aż tak ryzykować. Tę noc Nelson i jego ludzie spędzili na otwartym powietrzu. Negri pojechał do hotelu w Napa. Stęskniony, zadzwonił z automatu do swojej matki. Następnego ranka wspomniiał o tym Nelsonowi, który wpadł w gniew.

- Nie mówiłem ci, żebyś nigdy nie dzwonił ani nie pisał do rodziny i znajomych? - zżymał się. Powiedział Negriemu, żeby pojechał do matki i czytał ogłoszenia drobne w „Chicago Tribune”; jeśli będą go potrzebowali, zamieszczą ogłoszenie zawierające słowo „Nondo”.

Nie mogąc skorzystać ze swych starych kryjówek, Nelson zmuszony był poszukać czegoś innego. Zjeździł całą północną Kalifornię, zatrzymując się na kempingach w miastach takich jak Caspar, Scotia, Eureka, Weaverville i Sacramento. Potem pojechał na południe i spędził kilka nocy w motelach obok Salinas i Stockton². Wkrótce doszedł do wniosku, że

widzi go zbyt wielu ludzi w zbyt wielu miejscach; musieli zatrzymać się gdzieś na dłużej, nawet jeśli mieliby mieszkać pod namiotem.

Na tym się niemal skończyło. Rankiem 9 sierpnia wjechali do Nevady, zaparkowali obok sklepu w Fallon, miasteczku położonym na wschód od Reno. Nelson został w samochodzie, a Perkins i pozostali poszli na zakupy. Kupili kuchenkę turystyczną Coleman za 5 dolarów 95 centów, lampkę Coleman za taką samą cenę, namiot za 18 dolarów, trochę narzędzi, jedzenie i strzelbę Winchester. Perkins zapłacił za wszystko, odliczając należność z grubego zwitka jednodolarówek, grzecznie odmówił, gdy właściciel sklepu chciał mu pomóc, przewiózł wszystko na wózku do samochodów i zapakował do przyczepy, którą kupili wcześniej w Reno³.

Nazajutrz Nelson znalazł ich nowy dom, ośrodek Mount Grant Lodge położony dwadzieścia kilometrów na południe od Hawthorne w stanie Nevada, nad brzegiem jeziora Walker. Ośrodek składał się tylko z kilku domków letniskowych, wszystkie jednak wyposażone były w elektryczność i bieżącą wodę, a przez pierwszych kilka dni Nelson uważał, że nie trzeba mu niczego więcej. Miał jednak problem z Johnnym Chase'em, jedynym samotnym mężczyzną w całej grupie. Chase był beznadziejnie zakochany. Usychał z tęsknoty za swoją dziewczyną, sprzedawczynią z kiosku w San Francisco, Sally Backman. Bez ustanku nagabywał Nelsona, by pozwolił jej przyjechać do nich. Wszyscy byli przeciwni. Nelson nie ufał nowym twarzom i powiedział to wprost.

Chase nie zamierzał się jednak poddać. Pewnej nocy wybrał się do San Francisco i umówił z Backman. Negri zabrał ją spod kiosku przy Sausalito Feny i zawiózł na plażę, gdzie czekał Chase. Spędzili tę noc w hotelu przy Mission Street. W zaciszu hotelowego pokoju

Chase wyjaśnił dziewczynie, że podróżuje z kimś „niebezpiecznym”; chciał, by przyjechała do niego, lecz nie mógł zagwarantować jej bezpieczeństwa. Sally poprosiła o czas do namysłu. Chase wrócił do obozowiska. Minęły dwa tygodnie.

Im dłużej pozostawali w Nevadzie, tym mocniej Chase tęsknił. Wreszcie, znużony gderaniem przyjaciela, Nelson ustąpił. W czwartek 16 sierpnia Chase wsiadł do swojego auta i pojechał po dziewczynę do San Francisco. Wkrótce okazało się, że była to najgorsza decyzja, jaką Baby Face Nelson kiedykolwiek podjął.

W środę 15 sierpnia Ed Guinane, szef agentów z San Francisco, odebrał telefon od detektywa z Oakland, który twierdził, że ma informacje o Nelsonie. Guinane pojechał do Oakland, by z nim się spotkać[* Był to ten sam Ed Guinane, który prowadził obserwację Verne'a Millera w Chicago.]. Okazało się, że żona detektywa to siostrzenica Louisa Parente. Poprzedniego wieczora Parente powiedział detektywowi, że trzy tygodnie wcześniej Nelson

był w jego gospodarstwie.

Następnego ranka Guinane zwołał konferencję agentów FBI i policjantów z Oakland i San Francisco. Po zebraniu cała grupa pojechała do El Verano Inn, by przesłuchać Louisa Parente. Parente i jego menedżer powiedzieli wszystko, co wiedzieli. Zidentyfikowali Fatsa Negriego - FBI dopiero wtedy dowiedziało się o jego istnieniu - opisali też Chase'a i rodzinę Perkinsów, a także samochód Nelsona, choć nie znali numeru rejestracyjnego.

W poniedziałek po południu Ed Guinane dyktował już notatkę dla Hoovera, zawierającą wszystkie szczegóły pobytu Nelsona w powiecie Napa. Dalekopis trafił na biurko Hoovera następnego ranka. „Powiadomić Cowleya, niech wyśle samolotem do San Francisco 4 lub 5 agentów, którzy znają Nelsona”, napisał Hoover na dalekopisie. Wieczorem tego samego dnia pięciu ludzi z Brygady Dillinger wsiadło do samolotu do San Francisco*[* Dzięki tej podróży, oraz innym podobnym do niej, Brygada Dillinger przechrzczona została na Latającą Brygadę. Później nazwano ją prostu oddziałem specjalnym.]

Współpracując z policją z San Francisco i Sausalito, agenci szybko trafili na obiecujący trop. Jeden z informatorów doniósł, że Chase ma dziewczynę, Sally Backman. Dziewczyna właśnie zniknęła⁴.

W sobotę 18 sierpnia, w dniu, w którym agenci FBI przybyli do San Francisco, Chase dotarł do chat nad jeziorem Walker, przywożąc ze sobą Fatsa Negriego i Sally Backman. Temperatura sięgała niemal 40 stopni. Chase przedstawił wszystkich Backman, podając tylko ich imiona: Jack, Grace i ich synek Jackie, i Helen, cicha dziewczyna w kraciastej bawełnianej sukience. Backman od razu poczuła niechęć do szczupłego, pewnego siebie blondyna, którego Chase przedstawił jako Jimmy'ego. Nelson z kolei nie krył wcale antypatii, jaką czuł do niej: pozwalał sobie na złośliwe komentarze o tym, jak każdy powinien ciężko pracować, by Backman „czuła się komfortowo”. Właściciel ośrodka, John Benedict, od razu zauważył, że ci dwoje się nie lubią. Uważał, że Nelson jest „gburowaty”, nie miał jednak nic przeciwko pozostałym. Gdy Benedict stwierdził, że Backman czuje się chyba dość nieswojo, Chase powiedział mu, że to „dziewczyna z miasta” nieprzywykła do życia na pustyni⁵.

Gang zajmował trzy domki, Nelsonowie mieszkali w jednym, rodzina Perkinsów w drugim, a Chase i Backman w trzecim. Negri spał na rozkładanym łóżku pod gołym niebem. Byli jedynymi gośćmi ośrodka. Całymi dniami leniuchowali. Kobiety czasem pływały. Nelson dużo spał. Ubrany zazwyczaj w wyblakłe brązowe sztruksy i pomiętą białą koszulę, lubił strzelać do królików i wiewiórek ze swej strzelby kalibru.22. Od czasu do czasu wędkował z Chase'em, rzadko jednak udawało im się coś złowić.

Niemal każdego ranka Negri jechał do Fallon lub Hawthorne, by kupić jedzenie i

gazety. Z zapalem przeglądał gazety, a czasami też magazyn „Field & Stream”; lubił czytać artykuły o broni. Wieczorami zdarzało się, że wszyscy prócz niego jechali na kolację do restauracji Oasis; wtedy Helen przywoziła mu jedzenie. Gdy wracała, Nelson siedział zwykle w hudsonie i słuchał radia. Gdy jedli w obozie, Helen zajmowała się gotowaniem, korzystając z przepisów zanotowanych na karteczkach, które woziła w małym pudełku.

Backman nie pomagała ani nawet nie ofiarowywała się z pomocą, co psuło atmosferę w grupie. Gdy zostawała sama z Chase'em, bez przerwy pytała go, kiedy wyjadą. Chase odpowiadał, że wkrótce, „czekajana wiadomość”. Backman nie była głupia. Chciała wiedzieć, kim naprawdę jest „Jimmy”. Dręczyła Chase'a pytaniami tak długo, aż wyjawiał jej prawdę. Była przerażona. Zaczęła namawiać Chase'a, by opuścili grupę.

Nelson przygotowywał się tymczasem do powrotu na wschód. Pewnego ranka jego ludzie zabrali hudsona do warsztatu w Reno na przegląd. Innego dnia Nelson pojechał z przyczepą do Hawthorne, by naprawić tylne światła; nie chciał wpaść w ręce policji przez zwykłą kontrolę drogową. W czwartek 23 sierpnia wieczorem siedział sam w samochodzie i słuchał radia. Właśnie wtedy dowiedział się o Van Meterze.

Tego samego wieczora, gdy zginął Dillinger, Homer Van Meter ze swoją dziewczyną, Mickey Conforti, pojechał do St. Paul, w nadziei że znajdzie schronienie u Harry'ego Sawyera w Zielonej Latarni lub u jego współnika w Hollyhocks Club. Sawyer zniknął jednak jeszcze wiosną, a Jack Peifer nie chciał mieć nic wspólnego z gangsterem ściganym przez FBI. Zdesperowany Van Meter wynajął pokój na kempingu obok miasta Walker, w stanie Minnesota. Nocami jeździł do St. Paul, szukając kogoś, kto pomógłby mu znaleźć bezpieczniejszą kryjówkę.

Przez następny miesiąc Van Meter i Conforti zatrzymywali się w różnych ośrodkach turystycznych w lasach na północ od St. Paul. FBI podejrzewało, że mogą przebywać w tej właśnie okolicy, nie mogło jednak zdobyć żadnych konkretnych informacji. „Okolo 75 procent gangsterów wyjechało z miasta, odłączyło telefony lub przeprowadziło się - pisał do Hoovera Cowley. - Wszyscy się ukrywają, wiedząc, że inaczej zostaliby wezwani na przesłuchanie”.

Nigdy się nie dowiemy, kto zdradził Van Metera. Z informacji, które pięć lat później przekazał FBI jeden z informatorów, wynika, że był to prawdopodobnie Jack Peifer. Według tej relacji w czwartek 23 sierpnia rano Van Meter przyjechał do Hollyhocks, gdzie spotkał się z Peiferem, który zapewne miał dla niego kilka tysięcy dolarów w gotówce (przechowywał też pieniądze Freda Barkera i Alvina Karpisa). Informator powiedział FBI, że Peifer poczekał, aż Van Meter odjedzie, po czym zadzwonił do swego starego przyjaciela Toma Browna,

skorumpowanego detektywa, który współpracował z gangiem Barkerów podczas porwania Hamma i Bremera. Inni policjanci z St. Paul odnosili się do niego z wielką podejrzliwością, Brown więc zapewne się ucieszył, że ma okazję poprawić swój wizerunek, wydając znanego gangstera.

O piątej po południu tego samego dnia ktoś podwiózł Van Metera do salonu samochodowego w centrum St. Paul. Van Meter ubrany był w niebieską marynarkę i dopasowany krawat, białe spodnie i słomkowy kapelusz; prawdopodobnie zamierzał się z kimś spotkać. Kiedy o 17.12 wyszedł z salonu, ujrzał Toma Browna, szefa policji Franka Cullena, dwóch detektywów oraz ich broń.

- Ręce do góry! - krzyknął jeden z detektywów.

Van Meter wyciągnął pistolet zza pasa i przebiegł przez University Avenue, strzelając dwukrotnie przez ramię. Kapelusz zsuwał mu się z głowy, zdjął go więc i trzymał w ręce, nie zwalniając biegu. Brown i jego ludzie oddali kilka strzałów, widząc jednak, że na linii ognia znajduje się jakaś kobieta, pobiegli za nią. Uskakując przed przejeżdżającymi samochodami, Van Meter popędził w dół Marion Street, a potem skręcił w lewo, w boczną alejkę.

Była to ślepa uliczka. Przystanął, odwrócił się i zobaczył za sobą policjantów. Pierwszy strzał z obrzyna Browna odrzucił gangstera pół metra do tyłu, na ceglana ścianę garażu. Van Meter zdołał ustać, lecz wówczas otworzyli ogień wszyscy policjanci, dziurawiąc jego ciało pięćdziesięcioma pociskami. Homer Van Meter, który zawsze powtarzał, że nie chce umrzeć w jakiejś brudnej uliczce, skończył właśnie w ten sposób.

Kiedy godzinę później wiadomość o śmierci Van Metera dotarła do Waszyngtonu, Hoover był wściekły. „Dyrektor jest bardzo zdenerwowany faktem, że coś takiego mogło się wydarzyć w St. Paul bez naszej wiedzy”, zapisał następnego dnia jeden z agentów w St. Paul. Nikt nie chciał stwierdzić otwarcie tego, co wydawało się oczywiste: że miejscowa policja celowo wykluczyła FBI ze sprawy, tak jak Biuro wykluczyło policję Chicago ze sprawy Dillingera. „Myślę, że nasze biuro w St. Paul wykazało się całkowitym brakiem agresji”, zapisał Hoover w notatce służbowej.

Aresztowana kilka dni później Mickey Conforti powiedziała FBI, że Van Meter miał przy sobie 6000 dolarów. Policja z St. Paul poinformowała o znalezieniu tylko 923 dolarów. Całkiem możliwe, że 5077 dolarów zabrał Tom Brown, o czym świadczyłaby zadziwiająca symetria: gdy Alvin Karpis i bracia Barkerowie przeczytali następnego dnia o udziale Browna w strzelaninie, jednogłośnie postanowili zatrzymać należne mu 5000 dolarów z okupu za Bremera. Nazajutrz ciało Van Metera zostało przewiezione do jego rodzinnego miasta Fort Wayne w Indianie, na cmentarz Lindenwood. Nie czekał na niego nikt prócz przedsiębiorcy

pogrzebowego i garstki dziennikarzy, którzy rozeszli się, gdy tylko trumna spoczęła w grobie.

Rankiem po śmierci Van Metera Baby Face Nelson wysłał Fatsa Negriego do miasta po gazety. Podobnie jak Barkerowie, był wstrząśnięty, gdy przeczytał o udziale Toma Browna.

- Sukinsyn - powiedział. - To facet, któremu zapłaciliśmy tysiąc dolarów⁶.

Zdecydował, że wyjeżdżają do Chicago. Zostawili kilka oprawionych pstrągów dla właściciela domków. Zapakowali na przyczepę kanistry z paliwem; Nelson chciał jechać bez zatrzymywania się na stacjach benzynowych. Pojechali przez Nevadę do Kolorado i Kansas. Nelson pozwalał swoim ludziom spać na kempingach, nigdy jednak nie wjeżdżał do nich przed jedenastą wieczorem.

Perkinsowie jechali plymouthem Negriego, a Johnny Chase i Sally Backman siedzieli z tyłu auta Nelsona. Upakowani w ciasnym hudsonie, Nelson i Backman w końcu otwarcie się starli. Nelson jeździł jak szaleniec, rzucając autem po nierównych bocznych drogach. Backman poprosiła go, by zwolnił. Nelson zignorował jej prośbę, pytając kpiąco, czego się boi i czyjej wygodnie. Po jakimś czasie stał się jeszcze agresywniejszy, mówił Chase'owi, że powinien ją zostawić, że ona znudzi się nim za pół roku i wróci do domu.

Według relacji, którą Negri zamieścił w pewnym czasopiśmie detektywistycznym w 1941 roku, konflikt między Nelsonem i Backman osiągnął punkt krytyczny podczas postoju przy drodze gdzieś w Nebrasce. Helen przygotowała lunch na kuchence turystycznej i zmywała właśnie naczynia, gdy Nelson warknął na Backman:

- Może byś pomogła?

- Idź do diabła! - odparła Backman.

Według opisu Negriego wszyscy zastygli jak „razeni prądem”, gdy uświadomili sobie, że ktoś otwarcie sprzeciwił się Nelsonowi; tego nie ośmielił się zrobić do tej pory nikt inny, nawet Dillinger.

Nelson tylko spojrział na Backman, a potem odszedł. Przez całe popołudnie jechali w milczeniu, aż zatrzymali się po zmroku w okolicach Nebraski. Wszyscy prócz Nelsona postanowili pojechać do restauracji; Negri twierdzi, że Nelson go poprosił, by został z nim. Kiedy byli już sami, Nelson powiedział:

- Chcę załatwić Sally⁷.

Negri był wstrząśnięty. „To było najgorsze słowo, jakiego mógł użyć w stosunku do Sally - wspominał siedem lat później. - W ustach Nelsona brzmiało wyjątkowo bezlitośnie, jak najgorszy wyraz, jaki z miasta Pawhuska w stanie Oklahoma. Comstock powiedział, że Floyd się z nim skontaktował i poprosił o negocjacje warunków poddania się. Powiedział też,

że Floyd nie ma pieniędzy i jest ciężko ranny, po tym jak został postrzelony w plecy przez nieznaną sprawców. Według Comstocka Floydowi zależało na dwóch rzeczach: by agenci nie próbowali go zabić i by został objęty opieką medyczną⁸. Biuro wyraziło zgodę. Hoover dopilnował, by szpitale więzienne w Leavenworth, w stanie Kansas, oraz w Springfield, w stanie Missouri, gotowe były na przyjęcie Floyda⁹.

Rozmowy z Comstockiem ciągnęły się przez tydzień, potem przez następny; adwokat zbierał informacje o wysokości nagród oraz o zarzutach, jakie stan Ohio postawił Floydowi. Hoover zaczynał się niecierpliwić. „Należy zwiększyć naciski w tej sprawie, i to znacznie - pisał do Cowleya 31 maja. - Sprawa ta ciągnie się już od tygodni, a nie wydaje się, byśmy byli choć trochę bliżej zatrzymania Floyda niż na początku negocjacji”¹⁰. Brantley pozostawał w kontakcie z Comstockiem jeszcze przez dwa tygodnie, w końcu jednak doszedł do wniosku, że adwokat ma jedynie kontakt z Ruby Floyd, a nie z jej mężem. „Comstock robi na mnie wrażenie człowieka głupiego i niedorzecznego, dotkniętego już niemal demencją starczą - pisał do Hoovera 15 czerwca. - Moim zdaniem dalsze negocjacje z tym człowiekiem to strata czasu, wysiłku i pieniędzy”¹¹.

Bardziej obiecujące wydawały się początkowo negocjacje z J. Frankiem Norrisem, ekstrawaganckim teksaskim duchowym. Norris, pastor Pierwszego Kościoła Baptistów w Fort Worth, był żarliwym kaznodzieją radiowym z przeszłością - raz był sądzony za morderstwo, choć ostatecznie go uniewinniono, kiedy indziej oskarżony został o podpalenie własnego kościoła. Ruby Floyd była jego słuchaczką. Ustaliła, że w Dzień Ojca, 17 czerwca, jej syn Jackie zostanie ochrzczony właśnie w kościele Norrisa. Uroczystość relacjonowana była podczas programu radiowego Norrisa, a czterominutowy film nakręcony podczas chrztu włączony został do rewii Ruby, którą wystawiano w Pałace Theatre w Fort Worth. Agenci śledzili Ruby i jej świtę podczas jej całego dziesięciodniowego pobytu w Fort Worth.

Potem Norris zadzwonił do Franka Blake'a, szefa agentów w Dallas, z propozycją negocjacji warunków poddania Floyda. Jednak Hoover, sceptycznie nastawiony po epizodzie z Comstockiem, zajął twarde stanowisko. „Powiedziałem panu Blake'owi, że moim zdaniem możemy się zgodzić, iż nie zabijemy Floyda, jeśli się podda - pisał w notatce z 23 czerwca. - Zasugerowałem jednak, by przy okazji Blake zaznaczył wyraźnie, że agenci mają rozkaz strzelać do Floyda bez ostrzeżenia i że jeśli nie podda się wkrótce, bez wątpienia zostanie przez nich zabity”¹². Tego samego dnia przykazał Popowi Nathanowi, by skupił się wyłącznie na schwytaniu Floyda. „Myślę, że nadszedł już czas, byśmy skoncentrowali się zdecydowanie na rozwiązaniu tej sprawy - pisał do Nathana, dodając w innej notatce: „Zabijemy Floyda, jeśli go złapiemy”¹³.

27 czerwca Ruby skończyła wystawiać swą rewię w Pałace Theatre i wróciła do Oklahomy. Wielebny Norris nie zamierzał się jednak poddać. Ubłagał Popa Nathana, by pozwolił mu zabrać agenta do Oklahomy, na spotkanie z matką Floyda. Ku zdumieniu niemal wszystkich pracowników Biura Norris dotrzymał słowa. 10 lipca agent towarzyszący Norrisowi spotkał się z matką Floyda i jego rodzeństwem. Spotkanie zakończyło się ogólnym narzekaniem rodziny Floyda, która twierdziła, że policja zmusiła go do prowadzenia przestępczego życia. Niemniej przy tej okazji po raz pierwszy od niemal roku Biuro zdołało ustalić adresy najbliższych krewnych Floyda.

Śledztwo utknęło jednak w martwym punkcie. Choć agenci od miesięcy przeczesywali miasta wschodniej Oklahomy i północnego Arkansas, od minionego lata nie pojawiły się żadne wiarygodne doniesienia dotyczące miejsca pobytu Floyda. W lipcu, cztery miesiące po zidentyfikowaniu odcisków palców Richettiego i rok po masakrze, Biuro miało pewną teorię na ten temat - że Floyd i Richetti sprzymierzyli się jakoś z Verne'em Millerem - jednak jedynym dowodem wspierającym tę teorię był jeden odcisk palców. Agenci rozmawiali z dziesiątkami informatorów, którzy twierdzili, że znają Millera lub Floyda, żaden jednak nie powiedział niczego, co by sugerowało, że ci dwaj przestępcy kiedykolwiek się spotkali.

Tajemnica masakry zaczęła się rozwiązywać 10 lipca, kiedy zginął szef mafii Kansas City, Johnny Lazia, zastrzelony w chwili, gdy wysiadał z samochodu przed Park Central Hotel. Zabójstwo to początkowo nie interesowało Biura, nie podlegało też jego jurysdykcji. Dopiero gdy 6 sierpnia jedna z gazet w Kansas City napisała, że hospitalizowany gangster, Jack Griffin, był niegdyś jednym z zabójców Johnny'ego Lazii, Biuro zaczęło działać. Agenci w Kansas City poszukiwali Griffina, podejrzewając - niesłusznie - że należał on do gangu Barkera. Na razie Biuro nie miało jednak pojęcia, że może być powiązany z masakrą.

Dwaj agenci odwiedzili Griffina w szpitalu. Gangster miał kilka ran postrzałowych, które odniósł podczas nieudanego zamachu na jego życie. Nie chciał odpowiadać na żadne pytania, zasugerował jednak, by agenci wrócili kilka dni później, wtedy może będzie miał coś do powiedzenia. Agenci czekali siedemnaście dni. Gdy wrócili 23 sierpnia, by przesłuchać go ponownie, okazało się, że Griffin zniknął. Na razie nikt się tym nie przejął. Griffin był tylko jednym z wielu gangsterów.

Potem się okazało, że jeden z pocisków, od których zginął Lazia, wysłany na badania do laboratorium balistycznego w Kansas City, wystrzelony został z tej samej broni, której użyto podczas masakry 17 czerwca 1933 roku. Biuro w Kansas City uświadomiło sobie, że Jack Griffin może mieć klucz do rozwiązania zagadki masakry. Nowy SAC Bruce Nathan podzielił się tą wiadomością z szefem detektywów policyjnych Kansas City, Thomasem

Higginsem. Dopiero wtedy, 24 sierpnia, sześć tygodni po zabójstwie Lazii, Higgins powiedział Biuru to, o czym wiedziało już całe miejscowe podziemie: Griffin i trzech jego kumple zabili Lazię, gdy pokłócili się z nim o jakieś pieniądze związane z hazardem. Od tej pory próbowali ich dopaść ludzie Lazii. Jeśli FBI sądziło, że Griffin i jego znajomi mogą pomóc w rozwiązaniu zagadki masakry, musiało znaleźć ich wcześniej niż mafia.

Po raz kolejny FBI stanęło do wyścigu z syndykatem. Choć ze sporym opóźnieniem, biuro w Kansas City zmobilizowało się do działania. Agenci zaczęli od poszukiwań Griffina. Wkrótce odkryli niepokojący fakt, że gdy Griffin został wypuszczony ze szpitala, trafił pod opiekę Jeffa Rayana, detektywa cieszącego się złą sławą. Rayan uważany był za człowieka mafii, a Griffin zniknął bez śladu. Zniknęli również wszyscy wspólnicy Griffina, rekieter z St. Louis, niejaki Al O'Brien, właściciel nocnego klubu z Kansas City, Nugent LaPlumma oraz narkoman Michael Capra, zwany „Jimmy Needles”.

Przez cały tydzień biuro w Kansas City szukało tropów tej czwórki. Rankiem w piątek 31 sierpnia udało się zatrzymać dziewczynę Griffina. Agenci zaczęli ją właśnie przesłuchiwać, gdy do sprzedaży trafił „Kansas City Journal Post”. Dziennikarz gazety donosił, że Jimmy Needles LaCapra trafił do aresztu w Wichita, w stanie Kansas, wraz z trzema gangsterami z Kansas City, którzy próbowali go zabić.

Dwaj agenci z Kansas City, Harold Anderson i Walter Trainor, dotarli do Wichita wieczorem. Sierżant pełniący dyżur zdał im krótką relację.

LaCapra ukrywał się w swoim rodzinnym mieście Argonia, trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Wichita. Poprzedniej nocy, gdy jechał samochodem, zrównał się z nim czarny ford; trzech mężczyzn siedzący w fordzie otworzyli do niego ogień z broni maszynowej. Potem ford przyspieszył i odjechał. LaCapra zdołał dotrzeć do komisariatu w Wichita, szukając tam schronienia, podczas gdy trzech mężczyzn, którzy próbowali go zabić, spowodowali wypadek i zostali aresztowani przez policję drogową Kansas City. Wszyscy czterej siedzieli teraz w celach.

Anderson i Trainor próbowali najpierw porozmawiać z niedoszłymi zabójcami LaCapry, których posiniaczone twarze stanowiły żywy dowód tego, jakimi technikami posługiwali się podczas przesłuchań policjanci z Kansas. „Każdy z nich milczał przez całe przesłuchanie i powtarzał tylko, że wybrali się na przyjacielską przejażdżkę - pisał Trainor w raporcie. - Wygląd wszystkich trzech świadczył o tym, że zostali ukarani fizycznie, prawdopodobnie przez policjantów z patrolu drogowego”¹⁴.

Jimmy Needles, zawodowy przestępca tuż po czterdziestce, roztrzęsiony i wyniszczony przez narkotyki, zachowywał się zupełnie inaczej. Ogromnie się ucieszył,

widząc agentów FBI zmierzających do jego celi. Natychmiast zaczął mówić, tak szybko i nieskładnie, że początkowo agenci nie mogli się w tym połapać. „Zeznania złożone przez LaCaprę były bardzo chaotyczne i rozwlekłe, wydawało się, że jest bardzo zdenerwowany, choć zarazem nie sprawiał wrażenia człowieka chorego psychicznie - zanotował Trainor w swoim raporcie. - Poprosił agentów o ochronę, twierdząc, że w każdej chwili może zostać zabity przez mafię. Powiedział, że wie, iż zostało mu już niewiele życia, ale że w miarę możliwości odwdzięczy się za wszelką pomoc, jakiej udzieli mu rząd”¹⁵.

I wtedy Jimmy Needles wypowiedział słowa, na które FBI czekało od ponad roku: Masakra. Verne Miller. Pretty Boy Floyd. Johnny Lazia. Gotów był opowiedzieć im całą tę historię.

Cleveland, Ohio 3 września

Był wspaniały letni dzień, po turkusowym niebie sunęły śnieżnobiałe chmury. Alvin Karpis leżał na ciepłym dachu swojego forda, wpatrzony w niebo. Obok leżała Delores Delaney. Słyszał jej oddech. Była w czwartym miesiącu ciąży, która stawała się już widoczna. Nad ich głowami trwał Cleveland Air Show, samoloty kręciły się w skomplikowanych akrobacjach. Wszędzie dokoła na kocach siedziały setki par wpatrujących się, podobnie jak oni, w niebo.

Minęło pięć miesięcy, odkąd gang Barkera uciekł z Chicago po zabójstwie George’a Zieglera, pięć cudownie spokojnych miesięcy bez najmniejszych sygnałów, które mogłyby świadczyć o tym, że FBI jest na ich tropie. Karpis miał nową pracę i nowych przyjaciół. Nie popełnił żadnego większego przestępstwa, odkąd w lutym umył ręce od sprawy Eda Bremera; od siedemnastu miesięcy nie obrabował żadnego banku. Gang niemal się już rozpadł, a Karpis robił wszystko, co mógł, by zdystansować się od jego członków. Byli głupi, upijali się i ryzykowali. On prowadził z Delores spokojne życie, zwykle kładł się do łóżka przed jedenastą.

Niesnaski w gangu zaczęły się po wyjeździe do Toledo. Zachowywali się dyskretnie, otoczeni opieką króla miejscowego podziemia, Joego Roscoe. Po kilku tygodniach skończyły im się pieniądze. Wciąż mieli 150 000 dolarów okupu, które wydawali po trochu w chicagowskich supermarketach, zaspokajając dzięki temu najważniejsze potrzeby. Jednak po wpadce wiecznie pijanego doktora Morana nikt nie chciał podejmować ryzyka wyprania większej ilości tych pieniędzy. Dock Barker udał się z tym do Reno, lecz jego tamtejsi przyjaciele odmówili pomocy. Zgiełk wokół Dillingera zmienił nastawienie społeczeństwa. Teraz gang nie mógł liczyć na wsparcie swych starych kontaktów. Karpis obawiał się też

syndykatu. Dillingeromania rozbudziła niechciane zainteresowanie jej działaniami, a Karpis zastanawiał się, czy Frank Nitti nie kazał ich zabić.

Siedzieli więc, czekali i niepokoiли się, spędzając całe dnie na picu piwa, łowieniu ryb w jeziorze Erie, jeżdżeniu roller coasterem w wesołym miasteczku Willow Bay oraz zamawianiu swych ulubionych piosenek w najpopularniejszym miejscu spotkań przestępczego podziemia Toledo, Casino Club. Wszyscy byli stałymi klientami tego klubu, Karpis i Barkerowie siedzieli w boksie w rogu, popijając drinki, stary Charlie Fitzgerald przeklinał kelnerki, kiedy dolewały mu wody do bourbona. Chłopiec na posyłki, którego przywieźli z Chicago, niegdyś zawodowy golfista, Willy Harrison, zabawiał wszystkich, na żarty dyrygując zespołem muzycznym. Pewnego wieczoru szkocki piosenkarz, śpiewający w kilcie, nie wykonał jego polecenia, więc Harrison go uderzył, wszczynając burdę, która skończyła się dopiero wtedy, gdy Fred Barker przyłożył Harrisonowi pistolet do skroni. Freddie nie lubił awantur. Przyciągały uwagę.

Oprócz tych nielicznych wyjątków życie w Toledo było jednak nudne, członkowie gangu zajmowali się więc głównie piciem. Dziewczyna Freda, Paula Harmon, praktycznie nie trzeźwiała. Inny członek gangu, Harry Campbell, kupił swej dziewiętnastoletniej dziewczynie, Wynonie Burdette, złośliwego pekińczyka. Pewnego dnia Karpis i Freddie siedzieli w mieszkaniu Barkera, gdy usłyszeli strzały.

- Słyszałeś to co ja? - spytał Karpis.

- Tak - odparł Barker. - Karabin maszynowy.

Kilka chwil później rozległ się tupot nóg na schodach, zadzwonił dzwonek. Ktoś zaczął kopać w drzwi. Karpis wpadł do sypialni, pochwycił pistolet maszynowy i stanął obok drzwi. Dał Freddiemu znak, by otworzył. Do mieszkania wleciał Campbell z ręką owiniętą zakrwawionym ręcznikiem.

- Co się stało, do diabła? - spytał Karpis. - Ktoś cię ściga?

- Nie, nie - odparł Campbell, krzywiąc się z bólu. - To ten cholerny pies. Polazł na podwórko sąsiadów, a ja poszedłem go stamtąd zabrać. Nie chciał przyjść, kiedy go wołałem, wreszcie go złapałem, a on odwrócił się, sukinsyn, i mnie pogryzł.

Karpis się roześmiał. Odwinęli ręcznik i zobaczyli krwawiące ślady ugryzień.

- Muszę chyba dostać jakieś zastrzyki - stwierdził gangster.

- Zapytam Joego Roscoe, czy zna lekarza, który może się tym zająć - powiedział Karpis.

W tym momencie do pokoju wszedł Dock Barker.

- Do diabła, ten lekarz, Moran, chce uciec z Chicago i przyjechać tutaj - powiedział

Barker. - Może on da Campbellowi te zastrzyki? Pojadę do Chicago i sprowadzę go tutaj.

Kilka dni później Dock wrócił z Moranem, jego asystentem oraz ich znajomym, Ollie Bergiem. Wszyscy trzej chcieli koniecznie uciec z Chicago. Zatrzymali się w hotelu i całe dnie pili. Karpis zaczął się denerwować.

- Nie zamierzam tu dłużej zostać - powiedział Fredowi w maju. - Za dużo kręci się tutaj ludzi i za dużo się pije.

Traf chciał, że w tym samym czasie Karpis otrzymał propozycję pracy od dwóch nowych przyjaciół, przysadzystego mafiosa, Shimmy'ego Pattona, oraz jego współnika, szczupłego blondyna, Arta Heberbranda. Patton i Heberbrand otwierali na przedmieściach Cleveland, Newberg Heights, nowe kasyno i obawiali się gróźb ze strony konkurencyjnej organizacji, poprosili więc Karpisa, by zajął się ochroną. Karpis, który szukał sobie jakiegoś zajęcia i chciał odłączyć się od gangu, przyjął propozycję. Fred dąsał się, że i on nie został zaproszony do współpracy. W ciągu kilku dni Karpis spakował się i przeniósł z Delores do ceglanego domu parterowego w pobliżu lotniska w Cleveland. Okolica była cicha, spokojna, na wypielęgowanych trawnikach bawiły się dzieci. Delores kupowała meble. Karpisowi się podobały.

Praca w kasynie była niewymagająca. Niemal co wieczór Karpis wkładał swój nowy smoking, jechał do klubu, przechadzał się między graczami, przyglądał grze, sprawdzał, czy nikt się nie awanturuje, i od czasu do czasu wyrzucał za drzwi jakiegoś pijanego klienta. Po północy oparty o ścianę obserwował, jak księgowi liczą pieniądze. Dostawał całkiem niezłą pensję i czasami się zastanawiał, jak wyglądałoby jego życie, gdyby znalazł taką pracę wcześniej, nim zajął się napadaniem na banki. Przygotował listę konkurencyjnych mafiosów oraz wszystkich ich dzieci, a potem wysłał je przez pośrednika z jednoznacznym ostrzeżeniem: jeśli Harvard Club będzie w jakikolwiek sposób nękany, ich domy spłoną, a dzieci zostaną poturbowane. Potem nie miał już żadnych kłopotów.

Co kilka dni jeździł do Toledo, by porozmawiać z Fredem. Sytuacja pogarszała się tam niemal z dnia na dzień. Pijany doktor Moran przeprowadził „operację” usunięcia linii papilarnych DockaBarkera i teraz domagał się jako zapłaty części pieniędzy z okupu. Wieczorami chadzał do burdelu, którego szefowa, Edith Barry, wzięła kiedyś Docka na stronę i powiedziała mu, że Moran chwali się operacjami.

- Przez tego faceta wszystko się psuje - powiedział Karpisowi Dock. - Do diabła, nie wiem, co robić.

W końcu jednak znalazł rozwiązanie. Kilka dni później Fred i Dock siłą wyciągnęli Morana z Casino Club, strzelili mu w głowę, a ciało pochowali w jakimś nieoznaczonym

grobie w Michigan. FBI ścigało Morana jeszcze przez długie miesiące i z wielkim ociąganiem uznało w końcu, że zapijaczony lekarz nie żyje. Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Śmierć Morana nie rozwiązała problemów Karpisa. Choć bardzo chciał, nie mógł odciąć się od pozostałych, uczepili się go jak rzep psiego ogona. Znudzeni pobyt w Toledo, zaczęli jeden po drugim przenosić się do Cleveland. Freddie i Paula Harmon zamieszkali w domku przy Sto Siedemdziesiątej Pierwszej Zachodniej. Harry Campbell wynajął mieszkanie przy Franklyn Boulevard. Pojawił się nawet Harry Sawyer z żoną Gladys; zajęli wolny pokój w domu Freda Barkera. Wiosną Sawyerowie uciekli z St. Paul niemal spod nosa FBI i od tej pory jeździli po Nevadzie, od kempingu do kempingu. Ku przerażeniu Karpisa, przywieźli swoją pięcioletnią adoptowaną córkę Francine. Karpis nie znosił ich towarzystwa do tego stopnia, że przeprowadził się do nowego domu przy Sto Czterdziestej Zachodniej. Podał swój nowy adres tylko Fredowi i zabronił Delores widywać się z innymi kobietami gangu.

Sytuacja zaogniła się jeszcze bardziej, gdy z Chicago przyjechał Volney Davis, który domagał się swojej części okupu. Dock trzymał pieniądze przez chwilę u siebie, w końcu jednak postanowili przenieść je do chaty nad jeziorem, należącej do Billa Weavera. Karpis dał Weaverowi pieniądze zapakowane w dwie skórzane torby i przykazał mu surowo, by nigdy nie zostawiał ich w domu bez opieki. Weaver nie był jednak szczególnie rozgarnięty i kiedy następnym razem przyjechali do niego w odwiedziny, zastali dom otwarty i pusty. Znaleźli Weavera na plaży i obrzucili go przekleństwami. Po tym incydencie Fred i Karpis odebrali pieniądze i zakopali je pod garażem Karpisa.

W połowie lata już tylko Ma Barker pozostała w Chicago, pochłonięta swoimi układankami. Gdy pewnego weekendu Karpis wybrał się do niej z wizytą, stwierdził z zaskoczeniem, że radzi sobie całkiem nieźle. Wraz z Dockiem zabrał ją do kina. Ku ich przerażeniu film poprzedzała kronika zawierająca apel do widzów, by szukali Dillingera, Nelsona, Pretty Boy Floyda, Karpisa i Barkerów. Karpis skulił się w swoim fotelu, gdy na ekranie pokazywano ich zdjęcia. „Jeden z nich może siedzieć obok was”, powiedział spiker. Karpis mocno naciągnął kapelusz na czoło. Potem zajrzał do kilku tawern w Cicero, próbując wybadać, czy ściga ich syndykat. Jeden ze starych przyjaciół powiedział mu, by się tam nie kręcił. Karpis zrozumiał aluzję i szybko wrócił do Cleveland.

Mijały tygodnie. Fred i Karpis rozmawiali o napadzie na bank w Ohio, dopóki jednak mieli pieniądze, nie musieli się spieszyć. Delores zaszła w ciążę i spytała Karpisa, czy ma dokonać kolejnej aborcji; nie miał serca znów jej do tego zmuszać, więc zgodził się na dziecko.

Pewnego lipcowego wieczora, gdy przyjechał do kasyna, Art Heberbrand wziął go na stronę.

- Zająkasz godzinę przyjedzie tu dwóch facetów, chcemy, żebyś z nimi porozmawiał - powiedział. Karpis spytał, czy spodziewają się jakichś kłopotów. - Nie, żadnych - zapewnił go Heberbrand. Czekali w biurze, aż zapadnie zmrok, po czym Heberbrand wstał z krzesła. - Chodźmy na parking - powiedział.

Karpis wyszedł za nim. Przysiadł na stopniu samochodu i zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. W końcu pojawił się obok nich jeden z ludzi Heberbranda.

- Już są, chłopcy - powiedział.

- Chodźmy - rzucił Heberbrand.

Karpis podszedł za nim do forda sedana. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Karpis natychmiast rozpoznał kierowcę. Nie wierzył własnym oczom: był to Pretty Boy Floyd. Obok siedział Adam Richetti. Heberbrand przedstawił ich sobie. We cztery przeszli do szopy na tyłach parkingu. Floyd był ponury.

- Najprawdopodobniej w końcu wszystkich nas złapią albo zabiją - stwierdził. - Ale mam nadzieję, że obaj raczej zginieemy, niż damy się złapać.

Karpis skinął głową. Dobrze go rozumiał.

Floyd jękał coś przez chwilę, nim wreszcie przeszedł do celu swej wizyty. Chciał napaść na bank z gangiem Barkerów. Jak to ujął: „Chcielibyśmy zarobić trochę pieniędzy, jeśli wy macie na oku coś, do czego potrzebujecie więcej chłopaków”.

Karpis pomyślał o banku w Cleveland, nad którym zastanawiał się Fred.

- Może będziemy coś mieli za kilka tygodni, ale nie jestem tego pewien - powiedział. - Sam wiesz, jak jest z takimi sprawami. Może być dobrze, może być źle. Jeśli wy będziecie chcieli się tym zająć, a my będziemy kogoś potrzebować, jak się z tobą skontaktujemy?

Floyd nie zamierzał jednak ujawnić, gdzie się ukrywa.

- Możecie spytać tych chłopaków, oni wiedzą, jak mnie złapać - odparł. Chwilę później pożegnał się i odjechał.

- Na miłość boską, nie trzeba było im mówić, że tu jesteśmy - zwrócił się Karpis do Heberbranda.

- Do diabła, myślałem, że trzymacie się razem.

- Nie wierz we wszystko, co czytasz - odrzekł Karpis. - Kiedyś pracowaliśmy z Dillingerem, pracowaliśmy z tymi czy innymi facetami, ale teraz nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego. Ci faceci po prostu ściągają na siebie nieszczęście, padają jak muchy, co tydzień słysząc, że dopadli tego czy innego. Spodziewam się, że lada moment złapią albo może nawet

zabiją Dillingera, ciekaw jestem tylko, gdzie to się stanie.

Już nigdy więcej nie spotkał się z Floydem, a kilka dni później, gdy wyszedł z kina, usłyszał, jak uliczni sprzedawcy gazet krzyczą o śmierci Dillingera w Chicago*. Myślał, że był to zwykły zamach. Równie dobrze on mógł się znaleźć w takiej sytuacji; zaledwie kilka dni wcześniej widział wraz z Delores *Wielkiego gracza*, ten sam film, który Dillinger obejrzał przed śmiercią. Miesiąc później dowiedział się o śmierci Van Metera w St. Paul. Przeczytał o udziale Toma Browna w strzelaninie i domyślił się, że Van Meter został zdradzony. To była niedobra wiadomość. Nie mieli już wstępu do Chicago i Reno.

- Lada chwila to samo może spotkać nas - powiedział Fredowi. - Nikt nie chce się z nami zadawać.

Był coraz bardziej niespokojny. Zbyt długo przebywał w jednym miejscu. Uważał, że najwyższy już czas uwolnić się od pozostałych członków gangu. Najpierw jednak musieli zrobić coś z resztą okupu, wynoszącą jeszcze około 100 000 dolarów. W sierpniu udało im się wreszcie znaleźć kogoś, kto podjął się wyprania tych pieniędzy. Był to bogaty oszust z Detroit, niejaki Cash McDonald, który powiedział im, że może przekazać pieniądze swoim przyjaciółom, hazardzistom z Hawany, ci zaś mieli wymienić je w bankach w Meksyku i Wenezueli.

* Krąg nowych przyjaciół Karpisa nie ograniczał się tylko do przestępców. W wywiadach udzielonych wiele lat później Karpis mówił, że jadł kolację z Josephem Keenanem, prokuratorem z Departamentu Sprawiedliwości, który ścigał *Machine Gun Kelly'ego* i *Rogera Touhy'ego*. Podobno przedstawił ich sobie kolega Keenana ze szkoły średniej, detektyw z Cleveland, Frank Noonan. Karpis twierdził również, że udawał wówczas hazardzistę. Keenan nie miał pojęcia, z kim rozmawia. Podczas kolacji chwalił się, że „zgarnął *Harveya Bailey'a*”, choć wszyscy w FBI wiedzieli, że Bailey nie odpowiadał za porwanie *Urschela*. Historii tej nie da się w żaden sposób sprawdzić i choć Karpis wydawałby się zbyt sprytny, by podejmować takie ryzyko, istnieją pewne przesłanki potwierdzające jego słowa. FBI badało później, czy Noonan nie udzielał pomocy Karpisowi, a z dokumentów Biura wynika, że Keenan był w Cleveland około 20 lipca 1934.

Kiedy Karpis i Fred Barker poszli odkopać pieniądze, czekała ich przykra niespodzianka. Do toreb przesączyla się woda. W dniu, w którym McDonald miał zabrać pieniądze na Kubę, obaj przez kilka godzin biegali jak szaleni po mieszkaniu Karpisa, rozkładając wszędzie mokre pieniądze i susząc je wentylatorami. McDonald nie był zadowolony, gdy wręczyli mu sto tysięcy w wilgotnych banknotach, ale je wziął. Towarzyszyli mu Harry Sawyer i Willie Harrison, którzy mieli go pilnować. McDonald

obiecał, że wróci za kilka dni przez Miami.

Kiedy Karpis leżał w ten letni wieczór na dachu swojego samochodu i obserwował akrobacje lotnicze, był już zdecydowany opuścić Cleveland, gdy tylko McDonald wróci z wypraną gotówką. Teraz jednak rozkoszował się ciepłem słońca i przyglądał ewolucjom dwupłatowca sterowanego przez niemieckiego pilota, asa lotnictwa z czasów pierwszej wojny światowej. Dziwnie było patrzeć na Niemca latającego swobodnie w Ohio, byłego wroga Ameryki, który teraz mógł bez przeszkód poruszać się po niebie nad miastem Środkowego Zachodu; szesnaście lat wcześniej ten sam człowiek próbował zabić amerykańskich pilotów, a oni próbowali zabić jego. Teraz pojawił się tutaj, wolny jak ptak.

Niemiecki samolot kręcił się jak komar, przeleciał tuż nad czubkami drzew, a potem wzbił pionowo w niebo. W pewnym momencie inny samolot zleciał tak nisko, że Karpis musiał podnieść się do pozycji siedzącej, by go zobaczyć. Na oczach wszystkich widzów samolot wbił się w ziemię. Pilot zginął na miejscu. W niebo wzbija się smuga czarnego dymu. Karpis wpatrywał się w tę scenę jak zahipnotyzowany. Z powodów, które nie do końca sam rozumiał, ogarnął go nagle wielki smutek.

Śmierć Homera Van Metera była dla FBI punktem zwrotnym. Gang Dillingera nie istniał. Z punktu widzenia Hoovera wojna z przestępczością zmieniła się teraz w zwykłą obławę. Kilkakrotnie mówił o tym, że „szczury” nie mają się już gdzie ukrywać, i w dużej mierze miał rację. Dzięki dillingeromanii zrobiło się głośno o pozostałych wrogach publicznych - ich ponure twarze spoglądały teraz na czytelników z gazet w całym kraju, od Miami po Seattle.

Hoover darzył Sama Cowleya ogromnym zaufaniem. 6 sierpnia mianował go generałem operacyjnym Biura na czas wojny. Cowley miał teraz nieograniczoną władzę i możliwości konieczne do schwytania Baby Face Nelsona, Pretty Boy Floyda, Karpisa i Barkerów; mógł wszędzie wyjeżdżać, mobilizować każdego agenta, przejmować dowodzenie w każdym miejscu. „Chciałbym zamknąć te trzy sprawy w ciągu następnych trzydziestu lub czterdziestu pięciu dni, jeśli to możliwe”, pisał do niego Hoover 5 września¹⁶.

Awans Cowleya odbył się kosztem Purvisa. Od śmierci Dillingera Purvis coraz bardziej popadał w niełaskę. Hoover dwukrotnie wysłał krótkie listy, gdy nie mógł się do niego dodzwonić. Rozjuszały go najmniejsze drobiazgi: w jednym z listów domagał się od Purvisa wyjaśnień, dlaczego dostawa artykułów z chicagowskich gazet była opóźniona. Purvis został niemal całkowicie odsunięty od wszelkich prac dochodzeniowych. Jego sekretarka, Doris Rogers, przyglądała mu się ze współczuciem, gdy spędzał kolejne dni na sporządzaniu raportów o podwładnych, przesłuchiowaniu kandydatów do pracy i polerowaniu

butów.

Cowley wiedział, że Hoover nie zdaje sobie sprawy, jak trudne może być zatrzymanie Nelsona, Floyd'a i Barkerów. Najpierw skupił się na Barkerach, przesuwając dwunastu agentów zajmujących się dotąd gangiem Dillingera do pracy nad tą sprawą. Niestety, nie miał zbyt wielu obiecujących tropów. Do późna w nocy przesiadywał za swym biurkiem w Bankers Building, sporządził kilka grubych raportów, w których opisywał wszystkich członków gangu, ich rodziny, krewnych i znajomych. Miał jednak bardzo niewiele informacji na temat funkcjonowania gangu. Barkerowie wydawali się znacznie bardziej skryci niż Dillinger. Nie kontaktowali się ze swoimi rodzinami, o czym agenci FBI przekonali się podczas kilku frustrujących miesięcy obserwacji ojca Docka i Freda, George'a Barkera, który prowadził spokojne życie w swoim warsztacie w Missouri. Nie mieli dziewczyn, które Biuro mogłoby przesłuchać; od sześciu miesięcy jedyną osobą, która powiedziała FBI cokolwiek o wewnętrznych układach w gangu, pozostawała Beth Green.

Potem wpadła w ręce Cowleya niejaka Helen Ferguson, aresztowana przez agentów 18 sierpnia w jej mieszkaniu w Chicago. Ferguson spotykała się z jednym spośród pomniejszych członków gangu, który zginął podczas napadu w Nebrasce; ona także podała sporo szczegółów dotyczących gangu. Niestety, nie widziała żadnego z Barkerów od ponad roku. Po tygodniu przesłuchań Cowley ją wypuścił, przykazał jednak, by pozostawała w kontakcie z Biurem. Nie wykluczał, że jeszcze mu się przyda.

Wskazówka, która w końcu zaprowadziła Biuro do Toledo, od czterech miesięcy leżała w kartotece w Chicago. Była to lista połączeń telefonicznych z gabinetu doktora Morana. Pochłonięci polowaniem na Dillingera agenci po prostu nie mieli czasu, by sprawdzić wszystkie numery. Dopiero po śmierci Dillingera agenci z Detroit odkryli, że Moran dzwonił do Teda Angusa, hazardzisty z Toledo i właściciela ulubionego klubu nocnego Barkerów, Casino Club. Wieczorem 4 września szef agentów z Detroit, William Larson, zaryzykował i zadzwonił do Angusa. Przedstawił się jako przyjaciel Docka i powiedział, że musi się z nim jak najszybciej skontaktować.

- Cóż, wiesz, że Dock to facet, którego dość trudno złapać - odparł Angus.

Jasne, mówił Larson, Docka nie jest łatwo znaleźć, ale on koniecznie musi mu powiedzieć o pewnych sprawach w Chicago.

- Pod jaki numer mogę zadzwonić do ciebie jutro? - spytał Angus. Larson odparł, że dzwoni z automatu, bo nie ma telefonu. Obiecał, że zadzwoni ponownie następnego wieczora. Odłożył słuchawkę przekonany, że Angus wie, gdzie są Barkerowie. Teraz potrzebował kogoś z ich środowiska, kto mógłby zdobyć zaufanie Angusa. Zadzwonił do Chicago i

powiedział jednemu z ludzi Cowleya, by jak najszybciej przysłali do Detroit Helen Ferguson.

Cleveland/Ohio 5 września, środa

Rankiem, nazajutrz po tym, jak Larson zadzwonił do Toledo, do komisariatu policji w Cleveland wszedł jakiś mężczyzna i spytał, czy mógłby zobaczyć fotografię Baby Face Nelsona. Przypuszczał, że wie, gdzie Nelson się zatrzymał. Pokazano mu odpowiednie zdjęcie, jednak pokręcił głową, mówiąc, że widział kogoś innego. Poprosił o zdjęcia innych poszukiwanych przestępców. Policjanci odparli, że nie mają takiej kartoteki. Stwierdził wówczas, że jest pewien, iż przy Sto Siedemdziesiątej Drugiej Zachodniej 4419 w Cleveland mieszka ktoś, kto jest poszukiwany przez policję. Potem wyszedł. Nikt nie zapisał jego nazwiska.

Kilka godzin później w domku przy Sto Siedemdziesiątej Pierwszej Zachodniej 4419 trzy kobiety przygotowywały się do wyjścia do miasta. Życie zbiega nie było łatwe, a Paula Harmon, Gladys Sawyer i Wynona

Burdette radziły sobie z tym w najlepszy znany im sposób. Piły. Tego popołudnia włożyły najlepsze ubrania oraz biżuterię i, zabrawszy ze sobą adoptowaną córkę Sawyer, Francine, pojechały do centrum, do hotelu Cleveland, gdzie zajęły miejsca w barze Bronze Room.

O piątej po południu były już kompletnie pijane i zachowywały się bardzo głośno. Kiedy menedżer poprosił je, by opuściły salę, Harmon kazała mu iść do diabła. Menedżer zadzwonił po ochroniarza, który, nie zważając na głośne obelgi, wyprowadził je do holu, gdzie Gladys Sawyer zwymiotowała na podłogę. Wezwano policję. O 17.30 przyjechała policjantka, Mildred Wilcox, która poinformowała kobiety, że zostają aresztowane za zakłócanie porządku. Harmon chciała ją przekupić diamentową bransoletką, ale Wilcox nie przyjęła łapówki. Kobiety poszły z policjantką posłusznie i cicho - na początku. Gladys Sawyer była tak pijana, że musieli ją wywieźć w wózku inwalidzkim. Dopiero gdy zbliżyły się do policyjnego radiowozu, zrozumiały, że wpakowały się w poważne tarapaty. Krzycząc i przeklinając, Sawyer uderzyła Wilcox w twarz. Po chwili wszystkie cztery leżały na chodniku. Harmon i Burdette przeklinały głośno i kopały Wilcox w zębra. Policjantka zaczęła wołać o pomoc. Jej krzyki usłyszeli dwaj policjanci z pieszego patrolu. Harmon próbowała uciekać, gdy do nich dobiegli. Wspólnymi siłami trójka policjantów wepchnęła przeklinające pijane kobiety do samochodu. Znalazło się w nim też miejsce dla małej Francine.

Ruszyli. Dwaj policjanci stali na stopniach auta. Po drodze Harmon otworzyła okno i wyrzuciła przez nie zawartość swojej torebki. Policjanci zatrzymali samochód i zebrali

wszystkie rozrzucone na drodze rzeczy. Po przyjeździe do aresztu kobiety odmówiły składania zeznań, podały jedynie swe nazwiska, po części fałszywe. W celi Harmon wrzeszczała i przeklinała, domagając się, by ktoś zadzwonił do Shimmy'ego Pattona, szefa Harvard Club. Gladys Sawyer płakała, niespokojna o los Francine. Wynona Burdette stała w rogu i rozmyślała.

- Weź się w garść! - wrzasnęła w pewnym momencie na Gladys. - Nic im nie mów!¹⁷

Okolo godz. 23

Karpis usiadł na łóżku, odkładając na nocny stolik pistolet maszynowy Thompson. Delores wsunęła się pod kołdrę. Nagle ktoś zapukał głośno do drzwi. Karpis zerwał się na równe nogi - nikt poza Freddiem nie znał jego nowego adresu. Włożył spodnie i buty, chwycił pistolet.

- Podejdz do drzwi - wyszeptał do Delores. - Jeśli to ktoś, kogo nie znamy, pozwól mu wejść. Ja zajmę się resztą.

Delaney narzuciła płaszcz na koszulę nocną, przeszła do salonu i otworzyła drzwi. Do salonu weszli Freddie, Dock i Harry Campbell.

- Co się dzieje, do diabła? - spytał Karpis.

- Ubierajcie się - odrzekł krótko Freddie. - Sprawy nie wyglądają dobrze.

Karpis i Delores ubrali się szybko i usiedli w salonie. Freddie powiedział im, co się stało. Nie martwił się kobietami.

- Ale przesłuchają też tę małą, a ona wszystko im powie. Pewnie już wezwali FBI.

Nie wezwali. Policja w Cleveland nie miała pojęcia, kim są trzy kobiety zatrzymane tego wieczora. Harmon powiedziała, że nazywa się „pani Earl J. Matterson”, Burdette przedstawiła się jako „Wynona Walcott”. Tylko Gladys Sawyer, nie wiadomo dlaczego, podała swoje prawdziwe nazwisko, a nawet adres w St. Paul. Wszystko to nie miało żadnego znaczenia dla policjanta, który przyjmował je do aresztu.

Jednak Mildred Wilcox coś podejrzewała. Biżuteria, stawianie oporu, próba przekupstwa - policjantka czuła, że te kobiety coś ukrywają. Usadziła małą Francine na krześle i wraz z innym detektywem zaczęła ją łagodnie przepytawać.

Najpierw spytali, czym zajmuje się tata.

- Prowadzi restaurację - odparła Francine. - W St. Paul. A przyjaciele taty?

- Nigdy nie pracują i mają mnóstwo pieniędzy. Czym jej mama przyjechała do Cleveland Hotel?

- Packardem - odpowiedziała Francine. Podała adres garażu, w którym jej mama

zostawiła samochód.

- Czy przyjaciele taty też jeżdżą packardem? - spytał detektyw.

- O nie! - odrzekła Francine. - Jeżdżą tym małym samochodem, do którego wsiadają za miastem. Najpierw zakładają niebieskie tablice rejestracyjne.

Czy nie pamięta przypadkiem numerów rejestracyjnych?

- Nie, proszę pana - powiedziała Francine. - Jestem mała i umiem liczyć tylko do trzynastu¹⁸.

Kiedy inny detektyw wspomniał o człowieku, który mówił, że widział jakiegoś poszukiwanego przestępcę, jego zwierzchnicy zrozumieli, że mają do czynienia z grubszą sprawą. Prowadzeni przez Francine detektywi pojechali do wspomnianego przez nią garażu i znaleźli tam packarda, a w samochodzie - pistolet kalibru .38 i karteczkę z dwoma adresami. Jeden z nich, Sto Siedemdziesiąta Pierwsza Zachodnia 4419, był oddalony tylko o jedną przecznicę od miejsca, w którym ten nieznajomy człowiek podobno widział Nelsona lub innego poszukiwanego. O czwartej rano do domu przy Sto Siedemdziesiątej Pierwszej Zachodniej pojechał oddział dowodzony przez porucznika Kirka Gloecknera.

6 września, czwartek

Minęła północ, a gangsterzy zebrani w salonie Karpisa wciąż się zastanawiali, jak długo jeszcze ich domy będą bezpieczne. Ktoś zaproponował, by natychmiast wyjechać z miasta, ale to nie miało sensu. Potrzebowali przynajmniej swojej broni. Mieli przy sobie tylko zwykłe pistolety i jeden karabin maszynowy. Freddie chciał zabrać swoje ubrania.

Pojechali do domu Freddiego przy Sto Siedemdziesiątej Pierwszej Zachodniej. Sprawdziwszy, czy w pobliżu nie ma policji, Freddie wbiegł do środka. Powrócił z kilkoma torbami wypełnionymi bronią. Stamtąd udali się do mieszkania Harry'ego Campbella, chcąc zabrać stamtąd jeszcze jeden pistolet maszynowy. Zobaczyli jednak z ulicy, że w mieszkaniu sąjacyś trzech mężczyzn*. Karpis zaklął. Karabinu Campbella używali podczas napadu w South St. Paul. Gdyby został zidentyfikowany, nie byłoby żadnych wątpliwości, kto zatrzymał się w tym mieszkaniu. Wrócili do domu Karpisa, by omówić następny ruch.

Samochód oddziału dowodzonego przez porucznika Gloecknera zatrzymał się przed domem przy Sto Siedemdziesiątej Pierwszej Zachodniej 4419 tuż po czwartej. Policjanci zapukali. Nikt nie otworzył, więc wyważyli drzwi. W środku Gloeckner i jego ludzie znaleź-

* Jeśli Karpis nie pomylił się w zeznaniach, nie wiadomo, kim byli ci ludzie. Policja w Cleveland namierzyła mieszkanie Campbella dopiero po kilku dniach.

li dokumenty wskazujące, że w domu mieszkali państwo Matterson, Gladys Sawyer i

jeszcze jeden mężczyzna. Najbardziej jednak zainteresowała Gloecknera zawartość szuflady w nocnym stoliku. Leżał tam notatnik. Dwie strony zapisane były ołówkiem. Znajdował się tam plan drogi łączącej dwa miasta. FBI uznało później, że był to plan ucieczki*.

Oprócz notatnika Gloeckner znalazł zwinięty kawałek papieru, jak się okazało - fragment listu gończego zawierający odciski palców. Na odwrocie widniała notatka, że Fred Barker poszukiwany jest za morderstwo; później tego samego dnia policjanci z komisariatu zidentyfikowali odciski palców jako należące do Freda Barkera. Szef Gloecknera, kapitan Frank Story zrozumiał, że w Cleveland musi się ukrywać gang Barkerów. Wczesnym rankiem wezwał do siebie wszystkich detektywów i wypytał ich, czy nie słyszeli ostatnio wiadomości o jakichś nowych podejrzanych mieszkańcach. Jeden z detektywów powiedział, że jego szwagierka wspominała coś o mężczyźnie, który mieszkał w domku przy Sto Czterdziestej. Kierowany przecuciem, Story kazał tej kobiecie przejrzeć zdjęcia członków gangu Barkerów. Natychmiast wskazała fotografię Alvina Karpisa. Story wysłał samochód do domu przy Sto Czterdziestej¹⁹.

W czasie, gdy policja powoli zacieśniała krąg poszukiwań, czterech członkowie gangu siedzieli w domu Karpisa, zastanawiając się nad następnym posunięciem.

- Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to wysłać kogoś do Toledo, żeby wynajął nam mieszkanie - mówił Karpis. - Z samego rana przeniesiemy się gdzieś indziej i tam zdecydujemy, co robić dalej, ale na pewno będziemy musieli się stąd wynieść.

Dock i Campbell pojechali jednym samochodem do Toledo, obiecując, że spotkają się później przy Casino Club. Karpis zadzwonił do swojego szefa, Shimmy'ego Pattona, i poprosił go, by sprawdził, jak wygląda sytuacja ich kobiet. Potem wyłączył światło i siedział z Fredem w ciemności, czekając. Delores zdołała się trochę przespać. O świcie, gdy Karpis przechadzał się nerwowo po salonie, w drzwiach pojawiła się nagle Delores i powiedziała, że przed domem stoi samochód. Karpis wyjrzał przez szparę w żaluzjach. Był to ford coupe. Rozpoznał

* Była to droga ucieczki po napadzie w South St. Paul, opisująca dokładnie, jak należy jechać z St. Paul do Davenport w stanie Iowa.

siedzących w środku mężczyzn: byli to Patton i Art Heberbrand. Karpis wyszedł do samochodu, rozglądając się ostrożnie po ulicy.

- W półgodziny musicie się stąd wynieść - ostrzegł go Patton. Wcześniej zadzwonił do swojego znajomego policjanta i dowiedział się, że co prawda kobiety nic nie powiedziały, ale mała Francine była aż nadto rozmowna. Wystarczył jeden telefon do St. Paul. FBI mogło tu przyjechać za kilka godzin.

- Wyjedźcie z miasta - mówił Heberbrand. - Jeśli chcesz, wróc za kilka tygodni, powiemy ci wtedy, jak wyglądają tu sprawy.

- A jak wyglądają teraz? - spytał Karpis.

- Trochę dalej przy tej ulicy stoi samochód policyjny z dwoma facetami w środku. Nie martw się, nie narobią ci kłopotów. Chcą tylko mieć pewność, że nie będzie cię już w domu, kiedy wezwą posiłki.

Kilka minut później Karpis i pozostali byli w drodze do Toledo. Około dziesiątej spotkali się z Dockiem i Campbellem, którzy już wynajęli mieszkanie. Dokonali kiepskiego wyboru - był to zniszczony pokój w biednej dzielnicy. Karpis uważał, że zawsze należy wynajmować mieszkania w najlepszych dzielnicach. Przekonał się, że bogaci sąsiedzi nie plotkują tyle co biedni.

- To się do niczego nie nadaje - stwierdził. - Będzie dobrze, jeśli przetrwamy tu do wieczora.

- Więc co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? - spytał Freddie.

- Moim zdaniem ty i Dock powinniście pojechać do Chicago i zawieźć waszą matkę do hotelu, tylko na tydzień, może krócej. Ale zabierzcie ją z tamtego mieszkania. Ja, Campbell i Delores dojedziemy do was dziś wieczorem.

Najbardziej Karpisa martwiła wizja McDonalda, który wraca z Hawany do Cleveland z wypranymi pieniędzmi i trafia prosto w policyjną pułapkę.

- Możemy pożegnać się z wszystkimi pieniędzmi, jeśli do tego dojdzie - stwierdził. Musieli jakoś zawiadomić McDonalda. Rozdzielili między siebie broń. Barkerowie wzięli walizkę z dwoma karabinami maszynowymi Thompson. Karpis zatrzymał swój ulubiony karabin. Freddie i Dock natychmiast pojechali do Chicago. Karpis dojechał tam wieczorem i spotkał się z nimi w mieszkaniu Ma. Fred i Dock przenieśli już matkę do hotelu. Bliska była paniki. Wydawało się, że po raz pierwszy naprawdę zrozumiała, w jak trudnym znaleźli się położeniu.

- Co teraz będzie? - pytała. Uszła z niej wszelka woła walki. Karpis nie mógł przestać myśleć o Cashu McDonaldzie. Musieli go ostrzec, by nie wracał do Cleveland. W końcu wpadł na pomysł. Mogli zostawić wiadomość u menedżera hotelu McDonalda w Miami, El Commodoro, i liczyć na to, że McDonald zatrzyma się tam po powrocie z Hawany.

Powiedzieliby mu, żeby wracał prosto do Detroit. Willie Harrison mógł przyjechać do Chicago, kiedy wszystko już będzie załatwione. Karpis poszedł do automatu telefonicznego przy Siedemdziesiątej Dziewiątej i zadzwonił. Wrócił po kilku minutach.

- Byli w Hawanie, spodziewa się ich lada chwila - powiedział Freddiemu. - Wy tłumaczyłem mu, że nie mogą jechać do Cleveland, że sytuacja rozwinęła się nie po naszej myśli.

Zostawił też instrukcje dla Harrisona: miał spotkać się z nimi w Chicago, gdy wszystko zostanie już załatwione. Na razie Karpis i Freddie siedzieli w domu Ma Barker. Czekali.

Cleveland, Ohio 7 września, piątek

FBI dowiedziało się o wydarzeniach w Cleveland dopiero w piątek rano, gdy napisały o nich gazety*. W tym czasie policja zidentyfikowała już jednoznacznie wszystkich członków gangu i przeprowadziła nalot na dom Karpisa, nie znalazła tam jednak nic prócz brudnych ubrań. Następnego ranka Sam Cowley poleciał do Ohio, by przesłuchać trzy kobiety, które wciąż przebywały w areszcie w Cleveland. Początkowo wszystkie twierdziły, że poznały się w nocnym klubie i wcześniej nie miały ze sobą nic wspólnego. Paula Harmon raz po raz przerywała przesłuchanie, wrzeszcząc, bijąc na oślep i gryząc agentów, którzy próbowali ją obezwładnić. W pewnym momencie nawet jednemu wypróżniła się na but.

Jednak w niedzielę, gdy przewiezione zostały do Chicago, zaczęły spuszczać z tonu. W końcu opowiedziały ze szczegółami o tych

* W czwartek po południu, dwadzieścia cztery godziny po zatrzymaniu kobiet, kapitan Story telefonował do agenta FBI w Cleveland. Opisał całe zajście i sugerował, że może mieć to coś wspólnego z „porwaniami w St. Paul”. Jednak według raportu FBI kapitan Story nie wspomniał ani słowem, że Karpis lub Barkerowie mogą ukrywać się w Cleveland. FBI nie zrobiło w tej sprawie nic, dopóki gazety nie opisały jej w piątek rano.

kilku miesiącach, które spędziły z gangiem Barkerów. Parę dni później Harmon zabrała nawet agentów na przejażdżkę po północnym Illinois, próbując bezskutecznie odnaleźć dom, w którym przetrzymywany był Ed Bremer.

Tymczasem Karpis i Barkerowie zniknęli. Cowley miał jeszcze nadzieję, że trafi na ich trop dzięki nowej informatorce, Helen Ferguson, powiedział jednak Hooverowi, że wątpi, by udało jej się odnowić znajomość z gangiem po tak długiej rozłące. Jeden z agentów zawiózł Ferguson do Toledo, gdzie odwiedziła Casino Club i zostawiła wiadomość dla Barkerów. Kazano jej czekać; zamieszkała w hotelu, podobnie jak jej opiekun z FBI. Minęły

dwa dni. W niedzielę 9 września agent został odwołany. Kazał Ferguson pozostawać w kontakcie. Wyglądało na to, że całe przedsięwzięcie skończyło się fiaskiem. Cowley zapomniał o niej.

Przez trzy dni Karpis i Barkerowie przemierzali nerwowym krokiem pokoje mieszkania Ma w Chicago, czekając na wiadomość, że pieniądze zostały wymienione w Hawanie. We wtorek rano Dock wyjrzał przez okno i powiedział do Karpisa:

- Chcesz coś zobaczyć?

Karpis podszedł i spojrzał w dół. Na rogu ulicy stał Willie Harrison z gazetą pod pachą.

Freddie pobiegł, by go przyprowadzić. Cała grupa odetchnęła z ulgą, gdy Harrison wszedł do mieszkania. Powiedział, że wszystko poszło zgodnie z planem - pieniądze zostały wymienione w Hawanie, McDonald czeka na nich w Detroit. Karpis i Freddie natychmiast wyjechali. Po drodze zamierzali zatrzymać się na moment w Casino Club w Toledo. Dostali wiadomość, że Helen Ferguson chce się z nimi spotkać.

Powinni byli trafić prosto w pułapkę FBI. Jednak Ferguson nie rozmawiała z agentami FBI już od dwóch dni, gdy we wtorek wieczorem została wezwana do Casino Club. Tam Bert Angus kazał jej usiąść i poczekać. Jak napisała później w zeznaniu złożonym w biurze FBI, po jakimś czasie „skontaktował się” z nią Fred Barker. Była to prawdopodobnie bardzo krótka rozmowa. Ferguson poprosiła o pieniądze. Barker powiedział, że nie ma pieniędzy. Spytała, czy mogliby się jeszcze zobaczyć. Kazał jej przyjechać trzy dni później do Chicago, gdzie miała się z nim spotkać przed sklepem Sears przy Siedemdziesiątej

Dziewiątej Wschodniej. Potem Barker wrócił do samochodu, w którym czekał na niego Karpis, i odjechał. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie było ani jednego agenta FBI²⁰.

Gdy Helen Ferguson popędziła z powrotem do swego hotelu, by zadzwonić do FBI, Karpis i Barker opuścili Toledo i jechali w ciemnościach do domu Casha McDonalda, położonego w podmiejskiej dzielnicy Detroit, Grosse Pointę. McDonald czekał na nich z Harrym Sawyerem. Pieniądze, prawie 66 000 dolarów, leżały na stole; McDonald wziął 15 procent prowizji. Na jego wyraźną prośbę Karpis przeliczył całą sumę.

- Jesteś pewien, że te pieniądze pojawią się teraz w Caracas i w Meksyku? - spytał Karpis.

- Tak, jestem tego całkowicie pewien - odparł McDonald.

- Chciałem tylko wiedzieć...

- Dlaczego? - przerwał mu McDonald. - Chcesz zamieszkać na Kubie?

- Nie wiem jeszcze, dokąd pojedę - skłamał Karpis.

- Wybierasz się dokądś, Ray? - spytał Sawyer.

- Jeszcze nie zdecydowałem. A po co ci to wiedzieć?

- Na wypadek gdybyś ty chciał się ze mną skontaktować albo gdybym ja chciał się skontaktować z tobą.

- Lepiej nie planuj żadnych spotkań ani kontaktów - odparł Karpis. - Na twoim miejscu zastanawiałbym się, dokąd się stąd wynieść, żeby uciec przed glinami. Będzie coraz gorzej, ale zrobisz, co zechcesz. Zapomnij na razie o kontaktach. Jeśli zamierzasz tu zostać, będziesz musiał trzymać się z dala od wszystkich znajomych.

Tę noc spędzili u McDonalda. Rankiem pożegnali się i pojechali z powrotem do Chicago. Karpis i Freddie wstąpili do starego znajomego George'a Zieglera, Bryana Boltona, dali mu część okupu należną Zieglerowi i poprosili, żeby przekazał je wdowie po George'u. Później wrócili do mieszkania Ma.

- Wyjeżdżam dziś wieczorem - oświadczył Karpis. - Nie zostanę ani chwili dłużej w tym cholernym mieście.

Nie chciał mówić, dokąd się wybiera. Dock stwierdził, że on wróci z Campbellem do Toledo; miał nadzieję, że uda im się dowiedzieć czegoś o sytuacji kobiet. Wyjechali. Wtedy Karpis wyjawiał Freddiemu, że jedzie do Miami, nie wspomniał jednak, dokąd uda się stamtąd.

- Jak będę mógł się z tobą skontaktować? - spytał Freddie.

Karpis zaproponował, by przekazywali sobie informacje przez hotel w Miami, El Commodoro. Tamtejszy menedżer był człowiekiem godnym zaufania.

- Ale nie chcę, żeby ktokolwiek inny wiedział, dokąd się wybieram - powiedział Karpis.

Pojechali razem do hotelu Ma. Karpis kazał Delores spakować rzeczy. Dochodziła północ.

- Za chwilę wyjeżdżamy i już tutaj nie wrócimy - oświadczył Karpis.

- Kiedy znów się zobaczymy? - spytała Ma.

- Nie wiem - odrzekł Karpis. - Teraz z Delores jedziemy na Florydę. Jeśli tam przyjedziecie, chętnie zobaczę się z tobą i Freddiem, ale wcale nie mam ochoty widzieć pozostałych.

Uścisnął dłoń Ma, a potem wrócił do jej mieszkania, gdzie zostawił swojego forda. Wrzucił do środka teczkę z pistoletem i amunicją. Był tam też Willie Harrison, a Karpis zgodził się podwieźć go do domu jego żony w Gary. Potem każdy zdany był już tylko na siebie.

Chicago, Illinois 14 września, piątek

Tego wieczora Helen Ferguson stała na rogu przy sklepie Sears. Była przerażona. Cowley postanowił, że nikt nie będzie jej śledził ani obserwował, obawiając się zapewne, że mógłby odstraszyć Barkerów, a nawet narazić życie Helen. Znow musiała radzić sobie sama*.

O dziesiątej wieczorem do sklepu zbliżył się z wielką prędkością osobowy chevrolet, zahamował gwałtownie i gdy Ferguson zajęła miejsce obok kierowcy, odjechał. Ludzie Cowleya nie mieli z nią kontaktu przez następne dwadzieścia sześć godzin, dopóki nie zadzwoniła do biura w Chicago. Powiedziała wówczas, że doszło do spotkania, ale nie z Fredem Barkerem. Przez dwadzieścia cztery godziny jeździła bez ustanku po ulicach Chicago z Dockiem Barkerem i jego przyjacie-

* Nic nie wskazuje na to, by Cowley kazał obserwować Ferguson z większej odległości, dzięki czemu agenci mogliby chociaż zanotować numery rejestracyjne samochodu, który po nią przyjechał. Nie wiadomo, czy zrezygnował z tego z braku wiary w Ferguson, czy z obawy o jej bezpieczeństwo.

lem Russellem Gibsonem. Gibson prowadził, a Dock siedział za nią, trzymając w rękach karabin maszynowy. Obaj twierdzili, że Freddie wyjechał do Kansas City, nie chcieli jednak ujawnić niczego więcej. W pewnej chwili Dock otwarcie ją spytał, czy plotki o tym, jakoby nawiązała współpracę z rządem, są prawdziwe. Zaprzeczyła.

Cowley nie wiedział, do jakiego stopnia ma wierzyć w opowieść Ferguson. Powiedziała, że umówiła się na kolejne spotkanie w następnym tygodniu. W umówiony wieczór znow stała przed sklepem Sears. Nikt się nie pokazał. Na tym skończyła się jej współpraca z Biurem. Miesiąc później Cowley zgodził się, by Helen Ferguson przejęła własność połowy domu publicznego w Toledo.

Gdy wrzesień przeszedł w październik, FBI nie było ani trochę bliżej schwytania Karpisa i Barkera niż przed miesiącem.

IZ POLE W OHIO I DROGA WILLINOIS

18 września -27 listopada 1934

Pieprzcie się. Pretty Boy Floyd do agenta specjalnego McKee

Rankiem 1 września w celi aresztu w Wichita, w stanie Kansas, Michael „Jimmy Needles” LaCapra opowiedział agentom historię masakry w Kansas City. Szczegóły znał od swego szwagra, jednego z ludzi szefa mafii, Johnny’ego Lazii.

Oto co zdaniem LaCapry wtedy się wydarzyło:

Verne Miller późnym wieczorem 16 czerwca 1933 roku, zaledwie dwie godziny po tym, jak usłyszał, że następnego ranka FBI przywiezie Franka Nasha do Kansas City, pojechał na dworzec Union Station. Ta część opowieści z pewnością była prawdziwa - Biuro już wcześniej wiedziało, że Miller około północy dzwonił kilkakrotnie z automatu przy stacji. Jednak jak wyjaśnił agentom LaCapra, Miller przyjechał na stację nie tylko po to, by zbadać teren, na którym miało dojść do odbicia więźnia; chciał się również spotkać z Johnnym Lazią, który rezydował w przydworcowej restauracji Harvey Restaurant. Poprosił Lazię o kilku ludzi, którzy pomogliby mu uwolnić Nasha. Lazia odmówił, wspomniał jednak o kimś innym, kto tego samego wieczora przyjechał do Kansas City ze swoim współnikiem. Chodziło o Pretty Boy Floyda. Floyd zatrzymał się w Sexton Hotel, gdzie jeden z ludzi Lazii prowadził dom gry. Lazia zabrał tam Millera, by poznać go z Floydem. Floyd, któremu brakowało wtedy pieniędzy, zgodził się pomóc, zwłaszcza że Miller nie przewidywał żadnej strzelaniny. LaCapra nie był pewien, czy współnik Floyda - „mały makaroniarz”

- brał udział w masakrze. Agenci założyli, że tym „małym makaroniarzem” był Adam Richetti.

Zdaniem LaCapry to właśnie Floyd następnego ranka krzyknął na dworcu „Ręce do góry!”, na co ludzie ukryci w samochodzie odpowiedzieli ogniem. Podczas strzelaniny Floyd został trafiony w lewe ramię, prawdopodobnie rykoszetem. Później uciekł do kryjówki, gdzie opatrzył go lekarz. Tymczasem Miller ponownie spotkał się z Lazią i przeprosił go za wszelkie kłopoty, jakie mogła pociągnąć za sobą masakra na dworcu. Gdy Floyd był już gotowy do podróży, kilku ludzi Lazii przemyciło go za miasto.

Historia LaCapry była idealna. Wyjaśniała niemal wszystko: jak Miller i Floyd, obcy sobie ludzie, stworzyli nagle zespół, i dlaczego Adam Richetti zatrzymał się w domu Verne’a Millera, gdzie zostawił odciski palców na butelce. Zdaniem Hoovera pozostawał tylko jeden problem. Opowieść z drugiej ręki, przedstawiona przez roztrzęsionego śpuna, z pewnością nie zrobi należytego wrażenia na ławie przysięgłych. Potrzebowali potwierdzenia, a mieli pod ręką tylko jedną osobę, która mogła im to zapewnić: dziewczynę Verne’a Millera, Vi Mathias.

Mathias od listopada minionego roku przebywała w federalnym więzieniu dla kobiet w Milan, w stanie Michigan. Miała zostać warunkowo zwolniona 18 września, o czym chicagowskie biuro FBI dowiedziało się na kilka dni przed tym terminem. Od miesiący Kathryn Kelly próbowała wydobyć od Mathias jakieś informacje, jednak bez powodzenia. Teraz Sam Cowley zaproponował śmiały, choć nie całkiem zgodny z prawem plan. Zależało mu na tym, by Mathias wyszła z więzienia zupełnie sama, bez strażnika, w czasie gdy w

poblizu nie będzie żadnych autobusów ani taksówek. Nikt nie będzie mógł się do niej zbliżyć.

Ponieważ Mathias będzie sama, pisał do centrali Cowley, „nie będzie mogła korzystać z pomocy prawników ani kogokolwiek innego... agenci będą mogli ją przejąć i zatrzymać w odosobnieniu, w jakimś mieszkaniu, gdzie zostanie przesłuchana w sprawie masakry”. Krótko mówiąc, miała zostać porwana. Cowley był pewien, że złamie ją, jeśli nie zabraknie mu czasu. „Pan Cowley zauważył, że przesłuchania kobiet, prowadzone przez chicagowskie biuro, są tak skuteczne głównie dzięki temu, że ciągną się w nieskończoność, dopóki agenci nie przełamają oporu przesłuchiwanym i nie uzyskają od nich szczegółowych informacji”, pisał do Hoovera jeden z jego bliskich współpracowników¹.

Plan Cowleya został zatwierdzony. Kiedy Mathias wyszła z więzienia, została zatrzymana przez trzech agentów z Chicago, którzy zawieźli ją do Detroit, do wynajętego mieszkania, i natychmiast przystąpili do pracy. Jednak Vi Mathias, choć samotna i niepewna swego statusu prawnego, była twardą kobietą. Przyznała, że zna Barkerów i kilku innych przestępców, lecz choć mijały kolejne tygodnie, wciąż nie chciała odpowiadać na pytania związane z masakrą w Kansas City.

Nowy Orlean, Luizjana 22 września, sobota

Przez piętnaście miesięcy Dick Galatas, bukmacher z Hot Springs, który w przeddzień masakry zabrał żonę Franka Nasha, Frances, do Joplin, pozostawał równie nieuchwytny jak Pretty Boy Floyd. Zakładając, że właśnie Galatas był prawdziwym organizatorem masakry w Kansas City, ludzie Hoovera badali wszystkie tropy z nim związane, od St. Louis, gdzie miał przyjaciół, podobnych jemu hazardystów, po Los Angeles, gdzie posiadał skrawek ziemi pod miastem. Przesłuchiwali i śledzili jego krewnych, wujka i ciotkę w północnej części stanu Nowy Jork, brata w Chicago, innych członków rodziny w Kalifornii. Posunęli się nawet do tego, że umieścili tajnego agenta w akademiku Uniwersytetu Alabama, w którym mieszkał pasierb Galatasa. Pomimo wszystkich tych wysiłków nie mogli pochwalić się żadnymi sukcesami. Galatas i jego żona Elizabeth zniknęli.

W sobotę rano David Magee, nowy SAC w Nowym Orleanie, odebrał telefon od nowoorleańskiego prokuratora, René Vioski. Viosca poprosił go, by przyjechał do jego biura w Federal Building; miał u siebie człowieka, który twierdził, że Galatas ukrywa się w mieście. W biurze Vioski Maggie poznał człowieka, który w dokumentach FBI figuruje tylko jako Tajny Informator Numer Jeden. Człowiek ów powiedział, że w „Liberty Magazine” z 15 września widział zdjęcie Galatasa oraz ogłoszenie o tysiąc dolarowej nagrodzie za informacje prowadzące do jego ujęcia. Galatas, twierdził informator, był bardzo podobny do Edwina W.

Lee, południowo-wschodniego dystrybutora firmy produkującej farby, Liquid Celophane Corporation. Biuro Lee znajdowało się w centrum, w Stern Building. W soboty przebywał tam często nawet do drugiej*.

Agent Magee zadzwonił do Waszyngtonu i spytał, czy mają obserwować Lee. Nie, odpowiedziało kierownictwo. Jeśli Lee to rzeczywiście Galatas, powinni go natychmiast aresztować. O pierwszej Magee zabrał ze sobą dwóch ludzi i pojechał do Stern Building. Zostawiwszy jednego z agentów w samochodzie, z drugim wszedł do budynku. Po drodze do pokoju 503 minęli trzech sprzedawców, którzy wychodzili na lunch. Przywitała ich kobieta, którą Magee rozpoznał jako Elizabeth Galatas. Nie przedstawiając się, spytał o pana Lee. Kobieta wprowadziła go do sąsiedniego biura. Na podłodze klęczał mężczyzna zajęty malowaniem planszy z próbkami farb. Podniósł wzrok na agentów, po czym wrócił do pracy.

- Richard Tallman Galatas? - spytał jeden z agentów. Obaj wyciągnęli broń.

Galatas ponownie podniósł głowę.

- Wiedziałem, że do tego dojdzie - powiedział. - Ale za nic na świecie bym się nie poddał.

I znowu zajął się malowaniem.

Dick Galatas i jego żona zostali przewiezieni do biura FBI, a potem, na polecenie Waszyngtonu, zamknięci w mieszkaniu agenta Magee. Podobnie jak w przypadku Vi Mathias, żaden sąd ani prokurator nie został poinformowany o jego zatrzymaniu. Hoover przekazał nową wiadomość Cowleyowi. „Powiedziałem Cowleyowi, że nasi agenci zatrzymają Galatasa, dopóki nie otrzymają od niego pewnych informacji - pisał do współpracownika. - Wiemy, że to kluczowa postać w tej sprawie, że może rozwiązać wiele wątpliwości i potwierdzić informacje, którymi już dysponujemy”². Podczas rozmowy telefonicznej z Dwightem Brantleyem, szefem agentów z Oklahoma City, Hoover powiedział: „Moim zdaniem to rozwiązanie sprawy masakry w Kansas City”³.

Nim jeszcze Galatas został aresztowany, był już na skraju załamania. Przykuty kajdankami do krzesła w mieszkaniu agenta Magee,

* Nowoorleańskie gazety pisały później, że informatorem był bezrobotny, który odpowiedział na ogłoszenie o pracy zamieszczone przez „Lee” w „New Orleans Times-Picayune”.

odpowiadał ospałym, monotonnym głosem na wszystkie pytania, przyznając się do udziału w masakrze. W pewnym momencie, gdy agenci spytali go, dlaczego to zrobił, Galatas westchnął ciężko.

- Bo byłem szalony - powiedział⁴.

Od czasu masakry bezustannie uciekał. St. Louis. Reno. Sacramento. Los Angeles. W końcu Nowy Orlean. Przysiężał, że nie wie, kim byli współnicy Verne'a Millera. Powiedział jednak agentom, choć nikt w FBI nie był tym szczególnie zainteresowany, jaka była geneza wypadków, które doprowadziły do masakry, a więc pośrednio do wojny z przestępczością prowadzonej przez Hoovera.

Wszystko zaczęło się po tym, jak na wiosnę kupił White Front Cigar Store. Na tyłach sklepu przyjmował zakłady, a zarobione pieniądze trzymał w domu, o czym wiedzieli wszyscy jego znajomi i znajomi znajomych. Z tego powodu bezustannie obawiał się porwania. W maju złożyli mu wizytę dwaj ludzie z Chicago, prosili o pomoc w przekonaniu miejscowych władz, by pozwoliły im sprzedawać w mieście piwo Blue Ribbon. Galatas odmówił; nieznajomi nie budzili jego zaufania. Kilka dni później ci dwaj wrócili i nalegali stanowczo, by pojechał z nimi do hotelu Eastman. Uległ, przestraszył się jednak, gdy zobaczył, że są uzbrojeni. Kiedy wszyscy razem weszli do hotelowej windy, w ostatniej chwili wymknął się i ukrył. Był pewien, że chcieli go porwać.

Dzień lub dwa dni później w White Front znów pojawił się jeden z tych dwóch mężczyzn. Był z nim Frank Nash, którego Galatas znał, choć bardzo słabo. Galatas podejrzewał, że Nash kieruje niedoszłymi porywaczami. Przerażony poprosił telefonicznie swego przyjaciela, Dutcha Akersa, szefa detektywów w Hot Springs, by wydał Nasha władzom federalnym. Galatas przypuszczał, że Akers zadzwonił do FBI". Gdy Nash został aresztowany, Galatas obawiał się, że mafia będzie podejrzewać go o zdradę. Robił wszystko, co w jego mocy, by pomóc Frances Nash i w ten sposób uniknąć podejrzeń⁵.

Była to ciekawa opowieść, ani trochę jednak nie przybliżyła FBI do schwytania Pretty Boy Floyd. Hoover wezwał posiłki. W poniedziałek 24 września nowojorski agent R.G. Harvey został wysłany

* Informator, który wydał Franka Nasha, figuruje w aktach FBI jako „Informator A”. Z kilku notatek wynika, że był policjantem. Rzeczywiście, wszystko wskazuje na to, że informatorem był Akers.

do Nowego Orleanu. Jeden z asystentów Hoovera, Ed Tamm, kazał Harveyowi „popracować” nad Galatasem; „on jest tchórzem, a z takimi ludźmi zawsze można sobie poradzić”⁶. Dał Harveyowi jednoznacznie do zrozumienia, że będzie musiał Galatasa potraktować ostro. „Potrzebne tu dobre, energiczne, fizyczne przesłuchanie”, mówił Tamm Hooverowi 24 września⁷. Chcąc pomóc Harveyowi, Tamm zadzwonił do biura w St. Louis i powiedział: „Na kilka dni potrzebujemy w Nowym Orleanie dobrze zbudowanego agenta”⁸.

Agent Harvey przyjechał do Nowego Orleanu we wtorek; tego samego dnia wraz z

dwoma innymi agentami zajął się Dickiem Galatasem. „Obywatel Galatas został przewieziony po zmierzchu do biura i przebywał tam do wczesnych godzin rannych - pisał następnego ranka Harvey w raporcie dla Hoovera. - Przesłuchanie było długie i energiczne”⁹.

Dwa miesiące później prawnik Galatasa sporządził wniosek, który miał osłabić wagę jego zeznań. W piśmie tym Galatas opisywał ze szczegółami, co oznaczało „energiczne fizyczne przesłuchanie” według FBI. Przez całe dni siedział przykuty do krzesła w domu agenta Magee. Dostawał mało jedzenia albo wcale. Nie pozwalano mu się kłaść, nie mówiąc już o spaniu. Nocami przewożono go do biura FBI. Najpierw wysłuchiwał ostrzeżeń. „Powiesz nam to, co chcemy usłyszeć... Nie masz żadnych praw i nie dostaniesz adwokata, dopóki z tobą nie skończymy... Wyciągniemy z ciebie wszystko, w taki czy inny sposób”. Potem zaczynały się groźby. „Powiniem cię teraz zabić... Znaj dacie potem na ulicy, a my powiemy, że próbowałeś uciekać”.

Kilka dni później, gdy przewieziono go do Chicago i przykuto do krzesła w biurach FBI na osiemnastym piętrze, Galatas usłyszał bardziej sugestywne groźby. „Użyję wszelkich koniecznych środków, żeby dostać to, czego chcę... Jeśli znajdą cię martwego na ulicy, tak jak znajdowali innych, nikt nie będzie bawił się w śledztwo, wszyscy pomyślą, że zabili cię gangsterzy”. Podczas jednego z przesłuchań agent podprowadził go do otwartego okna. „Będziesz długo leciał, ale nie odbijesz się jak piłka, kiedy uderzysz o ziemię”. W końcu, jak relacjonował Galatas, groźby zamieniły się w rękoczyny. Agenci bili go pięściami po twarzy do krwi. Szarpali za włosy. Uderzali w kark, aż tracił przytomność. Bili gumowymi wężami i kopali w zębra. W końcu agent stojący za drzwiami wchodził do sali i mówił: „Dość”.

Nikt szczególnie się nie przejął zeznaniami Galatasa, gdy w końcu odczytano je podczas procesu. Lecz Galatas mówił prawdę. Zdaniem sekretarki Melvina Purvisa, Doris Rogers, podczas pierwszych miesięcy wojny z przestępczością agenci z chicagowskiego biura rzadko uciekali się do przemocy fizycznej. Jednak już w połowie 1934 roku, gdy coraz bardziej rosły naciski na biuro, agenci zaczęli bić niektórych więźniów w sali konferencyjnej na osiemnastym piętrze. „Słyszeli o wymuszaniu zeznań i próbowali to robić, choć nie wiedzieli jak - pisała Rogers w 1935 roku, w artykule dla „Chicago Tribune”. - Ich starania były głupie i bezskuteczne. Przesłuchiwali niewłaściwych ludzi, zadawali im cierpienie, lecz nie zdobywali żadnych ważnych informacji. Były to jednak przypadki nieliczne i odosobnione. Zwolenników takich metod, wiedzionych źle ukierunkowanym entuzjazmem, starsi i mądrzejsi członkowie organizacji szybko przywołali do porządku”¹⁰.

W wyniku tych „energicznych fizycznych przesłuchań” FBI uzyskało coraz bardziej szczegółowe zeznania, złożone zarówno przez Galatasa, jak i jego żonę, które jednak nie

rzucali żadnego światła na rolę, jaką Pretty Boy Floyd odegrał w masakrze. Tymczasem Vi Mathias, poddana podobnym praktykom w Detroit, zareagowała zupełnie inaczej. Po jedenastu dniach odosobnienia, dręczona bez ustanku pytaniami, które zadawali jej pracujący na zmianę agenci, 30 września została przewieziona do biura w Chicago. Tam złożyła zeznanie. Potwierdziła wszystkie szczegóły opowieści, którą LaCapra przedstawił agentom FBI. Rozpoznała na zdjęciach Floyda i Richettiego jako ludzi, których Miller przyprowadził do ich domu po masakrze. Powiedziała, że Floyd był ranny w lewe ramię i wyjechał z Richettim po kilku godzinach. Nie widziała już więcej żadnego z nich.

Tego właśnie potrzebował Hoover. 10 października stanął przed tłumem dziennikarzy i poinformował ich o schwytaniu Dicka Galatasa. Ujawnił także ustalenia, jakie Biuro poczyniło w sprawie masakry, wymieniając Verne'a Millera, Pretty Boy Floyda i Adama Richettiego jako sprawców tej zbrodni. Następnego dnia informowały o tym wielkie nagłówki w gazetach Oklahomy, Kansas i Missouri, gdzie Floyd był dobrze znany, znacznie mniejsze zaś w miastach na wschodzie, gdzie opisywano go jako Jednego z przestępców z Południowego Zachodu". Z pewnością nie był tak sławny jak Dillinger.

Gość niewyróżniającego się niczym pensjonatu w biednej dzielnicy Buffalo, w stanie Nowy Jork, znany w okolicy jako George Sanders, czytał ze ściągniętymi brwiami doniesienia w sprawie masakry. Sąsiedzi zauważyli, że już od wielu miesięcy pan Sanders często chodzi nerwowo po pokoju. Odłożywszy gazetę, odwrócił się do swej dziewczyny i westchnął ciężko.

- Chcesz wrócić do domu? - spytał Pretty Boy Floyd.

Kiedy FBI zajęte było poszukiwaniami Floyda, Baby Face Nelson zaszył się na pustyni w Nevadzie. Zajmował się majstrowaniem przy samochodach i strzelaniem do zajęcy. Rozstawszy się z Johnnym Chase'em, zabrał swą żonę, Helen, oraz Fatsa Negriego z powrotem do Reno. Przez tydzień jeździli po Nevadzie, szukając kempingu, na którym mogliby się ukryć. Żaden z odwiedzanych ośrodków nie przypadł Nelsonowi do gustu: w ładniejszych miejscach kręciło się za dużo ludzi, w bardziej odizolowanych nie było elektryczności albo bieżącej wody. Któregoś dnia samochód Nelsona, jadący sto trzydzieści na godzinę, wjechał na wybój. Auto uległo uszkodzeniu, więc wieczorem 21 września wjechali chyłkiem do Reno, szukając znajomego mechanika, niejakiego Franka Cochрана.

Schowali hudsona w warsztacie za domem Cochрана i przenieśli broń oraz bagaże do starego buicka, którego pożyczył im Cochran; na prośbę Nelsona mechanik zamontował w nim nawet syrenę. Grupa Nelsona wróciła do koczowniczego życia, kręcąc się po bocznych drogach Nevady, dojechali aż do Las Vegas. Po tygodniu włóczęgi, podczas której sypiali pod

gołym niebem, znowu zawitali w Reno. W centrum zobaczyli, że hudson Nelsona stoi przed kinem. Nelson był wściekły - FBI mogło przecież zauważyć jego auto. Gdy Cochran wyszedł z kina, wrócili do jego domu, ponownie przenieśli swoje rzeczy do hudsona, zapłacili Cochranowi 250 dolarów i odjechali.

Wreszcie 1 października Nelson znalazł odpowiednie miejsce do zamieszkania, kemping w Wally Hot Springs, w stanie Nevada, dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Carson City. Helen wynajęła dwupokojowy domek; ona i Nelson spali w jednym pokoju, Negri w drugim. Każdego ranka Nelson wysyłał Negriego do miasteczka po jedzenie i gazety. Szukali wiadomości od Johna Chase'a w dziale drobnych ogłoszeń w „Reno Evening Gazette”. W czwartek 11 października Nelson znalazł w końcu odpowiednie ogłoszenie. Chase wrócił. FBI też o tym wiedziało.

Przez cały wrzesień Ed Guinane, SAC w San Francisco, budował złożoną sieć kontroli oplatającą wszystkie kontakty Nelsona w Kalifornii. Założył podsłuch na telefonach matki Fatsa Negriego, braci Johna Chase'a oraz w gangsterskim szpitalu Tobe'a Williama w Vallejo*. Wzdłuż całej granicy stanów Nevada i Kalifornia rozmieszczono listy gończe z podobizną Nelsona. Guinane był pewny, że Nelson nadal przebywa w tej okolicy. 26 września widział go w Vallejo człowiek, który rok wcześniej sprzedał mu samochód, 29 września widzieli go również klienci tawerny w Reno.

Najlepszym tropem, jakim dysponował Guinane, była zaginiona dziewczyna Johnny'ego Chase'a, Sally Backman. Agenci przeszukali jej mieszkanie i przesłuchali członków rodziny; wszyscy mówili, że to niepodobne do Sally, by po prostu wyjechała bez słowa pożegnania. Guinane przypuszczał, że wcześniej czy później Backman wróci do Sausalito. Miał rację. W sobotę 6 października szef policji w Sausalito, Manuel Menotti, zobaczył Backman na ulicy. Natychmiast ją aresztował i wezwał Guinane'a, który przyjechał ją przesłuchać tego samego popołudnia.

Była to żmudna, powolna praca. Przez kilka dni Backman nie chciała zdradzić żadnych szczegółów wspólnej podróży z Nelsonem. W końcu Guinane postanowił wykorzystać jej uczucie do Chase'a. Powiedział, że jeśli Chase zostanie z Nelsonem, niemal na pewno zginie. Jeśli chciał przeżyć, musiał opuścić Nelsona. Backman domagała się od FBI obietnicy, że agenci nie zabiją Chase'a, kiedy zostanie aresztowany. Guinane powiedział, że zrobią wszystko, co w ich mocy, by Chase'owi nie stała się krzywda.

Podziałało. W poniedziałek 8 października Backman przewieziona została do pokoju hotelowego w Shaw Hotel w San Francisco, gdzie opowiedziała ich historię. Rozstawszy się z Nelsonem na przedmieściach Chicago, pojechali do Nowego Jorku. Zameldowali się w St.

Andrews Hotel, na rogu Broadwayu i Siedemdziesiątej Drugiej, jako państwo Madisonowie. Przez trzy tygodnie kręcili się po Manhattanie - para młodych kochanków, którzy chcieli zobaczyć na własne oczy Radio City Music Hall i nowy Empire State Building. Przestraszyli

* Jeden z agentów wszedł kiedyś do tego szpitala i zobaczył Chucka Fitzgeralda, członka gangu Barkerów, który dochodził do siebie po postrzeleniu. Agent go nie rozpoznał.

się tylko raz, kilka dni po przyjeździe, gdy Chase wszedł do zakładu fryzjerskiego, a jakiś mężczyzna zawołał: „Johnny Chase!”.

Okazało się, że to stary znajomy Chase’a, bimbrownik Arthur „Fat” Pratt, który opuścił Bay Area, by zająć się rodzinnym interesem jubilerskim w miejscowości Helena, w Montanie. Pratt i jego dziewczyna, którzy również byli na wakacjach, wybrali się razem z Chase’em i Backman na Coney Island, kilka razy zjedli razem kolację i poszli do kina na film z Mae West, *Piękność lat dziewięćdziesiątych*.

Kiedy byli sami, Backman błagała Chase’a, by opuścił Nelsona na stałe, a Chase coraz bardziej się wahał. Mówił wtedy o kupnie jakiejś stacji benzynowej i ustatkowaniu się, a Backman mu wierzyła. Nie mogli jednak zostać w Nowym Jorku na zawsze. Wieczorami, leżąc w łóżku, dyskutowali o tym, czy Backman może wrócić bezpiecznie do Sausalito. Chase mówił, że FBI na pewno ją aresztuje i będzie przesłuchiwać. Obiecała, że nie powie ani słowa. Mogła się z nim skontaktować przez ogłoszenie drobne w „San Francisco Examiner”*. Chase obiecywał, że gdy Backman uporządkuje swoje sprawy w Sausalito, będzie mogła wrócić do niego i razem rozpoczną uczciwe życie. 30 września odprowadził ją do autobusu jadącego na lotnisko w Newark. Po powrocie do San Francisco Backman mieszkała przez pięć dni u znajomych, nim aresztował ją Menotti.

Opowieść Backman naprowadziła FBI na kilka nowych tropów. Agenci z Nowego Jorku pojechali do St. Andrews Hotel, gdzie dowiedzieli się, że Chase kupił nowy samochód, airflow deSoto. Dalekopisy z numerami rejestracyjnymi samochodu trafiły do wszystkich biur FBI i komisariatów w zachodnich stanach. Równie obiecujące było odkrycie, że Chase wysłał paczkę do Arthura Pratta, do miejscowości Helena w Montanie. Informacja ta trafiła do biura FBI w Butte we wtorek 9 października. Agenci zadzwonili do tamtejszego szeryfa i poprosili, by sprawdził, czy w którymś z hoteli nie przebywa mężczyzna podający się za Johna Madisona. Kilka godzin później nadeszła informacja z Heleny: Chase, alias Madison, wyjechał z miasta tego ranka.

Odebrawszy paczkę, którą wysłał na przechowanie do Pratta, Chase pojechał na południe Nevady. Po południu, gdy FBI dowiedziało się o jego pobycie w Montanie, dojechał do Reno. Zostawił samochód

* Treść ogłoszenia miała brzmieć: „Mama odebrała radio. Skontaktuj się ze mną”.

w warsztacie Franka Cochra przy Virginia Avenue, poprosił o kilka drobnych napraw, a potem przeszedł do centrum i zameldował się w hotelu El Cortez, ponownie używając nazwiska Madison. FBI deptało mu po piętach. Nazajutrz, we wtorek 10 października, policjanci z Reno znaleźli samochód Chase'a w warsztacie Cochra. Tego wieczora do Reno przybył Guinane z grupą agentów. Następnego ranka przesłuchali Cochra, który powiedział, że we wtorek jakiś mężczyzna zostawił ten samochód do naprawy.

- Nie znam go - skłamał Cochran. - To pewnie jakiś turysta. Guinane zastawił pułapkę.

- Będzie kilku uzbrojonych ludzi w warsztacie - powiedział Cochranowi. - Chase wróci po samochód, a wtedy go dopadniemy. - Guinane przyprowadził też szefa policji w Sausalito, Manuela Menottiego, który znał Chase'a od lat. - Pańskim zadaniem - mówił do Menottiego Guinane - będzie podejść do Chase'a, kiedy on wejdzie do warsztatu. Może go pan namówi, żeby się poddał. Potem go przekonamy, by wystawił nam Nelsona.

Agenci nie wiedzieli, że tego ranka, gdy Guinane rozstawiał swoich ludzi wokół warsztatu, Chase wyszedł z hotelu, by rozprostować nogi. Postanowił przejść się do warsztatu Cochra i sprawdzić, co się dzieje z jego samochodem. Gdy zbliżał się już do warsztatu, zobaczył dwóch mężczyzn w garniturach, pogrążonych w rozmowie. Przypuszczał, że są to policjanci w cywilu albo agenci FBI. Zwolnił, by podsłuchać ich rozmowę. Doszły go słowa „agenci federalni” i „samochód”.

Nie wpadł w panikę. Od razu poszedł do redakcji „Reno Evening Gazette”, gdzie zamieścił ogłoszenie. Nazajutrz zobaczył je Nelson. Tego samego wieczora zabrał ze sobą Helen oraz Negriego i podjechał pod warsztat Cochra, by odszukać Chase'a. Samochód Cochra stał na podjeździe, co zgodnie z ich umową oznaczało, że Cochran jest spalony. Helen ubłagała Nelsona, by odjechał. Za miastem zatrzymał samochód.

- Wkładamy kamizelki - rzucił do Negriego.

Negri się sprzeciwił; przecież widzieli samochód na podjeździe.

- Do diabła z sygnałem - warknął Nelson. - Włóżysz kamizelkę i pójdziesz do domu Cochra.

Wrócili do Reno. Nelson zaparkował niedaleko domu.

- Idź do domu, zadzwoń do drzwi i spytaj Franka, gdzie jest Johnny.

Fatso Negri się bał.

- Jimmy, jeśli to zrobię, wydam na siebie wyrok śmierci. Tam są G-meni, podziurawią mnie jak sito. Nie mogę tego zrobić.

- Śmiało - zachęcał go Nelson. - Zostanę tutaj i jeśli kogoś zobaczę, dam mu popalić.

Mam stąd świetny widok.

Negri pocił się ze strachu jak mysz.

- Wiem, Jimmy, ale dla mnie to pewna śmierć - bronił się. - Pewnie już nas zauważyli.

Miej litość, Jimmy. Ja bym ci tego nie zrobił.

Nelson nie dał przekonać.

- Śmiało, Fatso, nie ma się czego bać. Kropnę ich pierwszy.

- Chodźmy obaj - nie poddawał się Negri. Nelson stracił cierpliwość.

- Nie! Idź już! - warknął. - Będę cię osłaniał.

Negri wysiadł z samochodu, pobiegł do drzwi frontowych Cochran i zadzwonił.

Cochran uchylił drzwi.

- Wynoś się - syknął. - Nie mówiłem ci, co znaczy samochód na podjeździe? Odejdź stąd.

- Gdzie jest Johnny Chase? - spytał Negri.

- Idzie drogą - odparł Cochran, nim zamknął drzwi. - Wynoś się!¹²

Negri wrócił do samochodu. FBI nie miało pojęcia, że Cochran pomaga Nelsonowi, nie obserwowało więc domu. Nelson pojechał w stronę miasteczka Sparks, szukając Chase'a. Po chwili zrównał się z nimi czerwony sedan: w środku siedział Cochran, a obok niego Chase.

- Jedźcie za nami! - krzyknął Nelson, po czym wyprowadził ich na pustynię.

Zatrzymali się wśród krzewów bylicy. Dokoła skakały zające. Cochran powiedział Nelsonowi o pułapce FBI w jego warsztacie.

- Do diabła z G-menami! - warknął Nelson. - Pojadę do tego warsztatu i nafaszeruję ich ołowiem. Odzyskam samochód Johnny'ego!

Cochran prosił Nelsona, by nie działał pochopnie.

- Umieć radzić sobie ze spluwą - odparł Nelson. - Nie martw się, nie podziurawię twojego warsztatu!

Chase poparł Cochran, mówiąc, że nic nie zyskają, zabijając agentów federalnych. Nelson uspokoił się, gdy Cochran obiecał mu podać numery rejestracyjne samochodów FBI. Stwierdził, że skoro nie może zastrzelić agentów w warsztacie Cochran, dopadnie ich przy innej okazji.

W drodze powrotnej do Wally Hot Springs Chase opowiedział Nelsonowi o swojej podróży do Nowego Jorku.

- Szukają nas wszędzie - mówił. - W Nowym Jorku, w Chicago, w San Francisco, w

Reno i we wszystkich miastach po drodze. W Nowym Jorku skontaktowałem się z paroma znajomymi chłopakami z różnych branż i wszyscy mnie odrzucili, uprzejmie, ale stanowczo.

- Och, te tchórzliwe cwaniaczki ze wschodu - zirytował się Nelson. - G-meni nie dadzą nam rady. Potrzebujemy tylko trochę czasu, żeby zrobić jeszcze ze dwa dobre skoki, jak ten na pociąg z Milwaukee. Potem wyjedziemy do Europy i tyle nas będą widzieli.

Negri milczał, choć słyszał tę samąpiosenkę już wiele razy: jeszcze jeden skok, zawsze jeszcze jeden skok, a potem spokojne życie.

Przez całą noc Nelson, Chase i Negri pełnili na zmianę straż, spodziewając się nalotu FBI. Podczas gdy oni wpatrywali się w pustynną noc, trzymając na kolanach karabiny maszynowe, Sam Cowley wylądował na lotnisku w Reno. Poprzedniego dnia był jeszcze w Los Angeles, gdzie przekazał Anie Sage 5000 dolarów nagrody za wydanie Dillingera. Przez cały następny dzień, piątek 12 października, towarzyszył agentom czekającym w warsztacie Franka Cochra. Był rozczarowany, gdy Cochran nie rozpoznał na fotografiach Nelsona ani Chase'a. Po południu, podczas rozmowy telefonicznej z Waszyngtonem, stwierdził, że „sytuacja nie napawa optymizmem”¹³.

Tej nocy Cochran spotkał się z Nelsonem na pustyni w pobliżu Reno. Przekazał mu numery rejestracyjne kilku samochodów FBI, a nawet podał adres budynku, w którym zatrzymało się paru agentów. Nelson gotów był w każdej chwili wybrać się do miasta i zamordować wszystkich agentów FBI, jakich znajdzie, ale Chase starał się go uspokajać.

Ani Baby Face Nelson, ani Sam Cowley nigdy się nie dowiedzieli, jak niewiele brakowało, by spotkali się tego dnia twarzą w twarz. Cowley opuścił Reno następnego ranka; udał się do Salt Lake City, a potem do Montany, gdzie agenci przesłuchiwali przyjaciela Chase'a, Arthura Pratta. Nikt nie miał pojęcia, że dzień, w którym miało dojść do ostatecznej konfrontacji między Cowleyem i Nelsonem, jest już bliski.

20 października

Kiedy zapadł zmierzch, Pretty Boy Floyd, Adam Richetti i ich umęczone dziewczyny, siostry Juanita i Beulah Baird, wyjechali z Buffalo. Pod osłoną nocy przejechali przez Pensylwanię do Ohio, a tam skręcili na południe. Richetti miał krewnych w Dillonvale, w Wirginii Zachodniej, może zmierzali właśnie tam. Floyd przejechał obok Youngstown i około trzeciej w nocy dotarł do rzeki Ohio w East Liverpool, gdzie skręcił na drogę stanową 7, dwupasmową asfaltową szosę biegnącą wzdłuż zachodniej granicy Ohio. Padał deszcz, nad rzeką podnosiła się mgła; tuż przed granicą miasta Wellsville, sześć kilometrów od East Liverpool, samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i wjechał w słup telefoniczny.

Spod maski buchały kłęby pary, gdy Floyd wysiadł, by obejrzeć uszkodzenie. Zirytowany rozejrzał się wokół. Po prawej stronie widać było ciemne zabudowania opuszczonej cegielni. Po lewej sunęły mroczne wody rzeki; na drugim brzegu, w odległości nieco ponad kilometr, widać było światła domów stojących już w sąsiednim stanie, Wirginii Zachodniej. Zdołali wycofać samochód na drogę, lecz Floyd wiedział, że nie ujadą daleko, jeśli nie dokonają niezbędnych napraw. Kazał siostrom Baird pojechać do Wellsville i znaleźć jakiegoś mechanika. Dziewczyny zatrzymały samochód jadący na południe i zniknęły w ciemnościach.

Srebrny szron okrywał trawę, gdy Floyd i Richetti zabrali kilka koców oraz broń i wyszli na zalesione wzgórze, by tam czekać na powrót dziewczyn. Zatrzymali się w górnej części zbocza, nad cegielnią, skąd widać było szosę, tory kolejowe i rzekę w dole. Kilkadziesiąt metrów wyżej, na szczycie wzgórza, ciągnął się rząd zaciemnionych domów, w sporej części przypominających bardziej szopy niż prawdziwe domostwa. Było zimno, więc Floyd i Richetti nazbierali trochę chrustu i rozpalili ognisko.

Mijały godziny. O świcie zapłonęły pierwsze światła w domach na szczycie wzgórza. Minęła ósma, a dziewczyny wciąż nie wracały. Około dziesiątej z jednego domu wyszedł niejaki Joe Fryman, który wybrał się do swojego ogrodu nad rzeką. Stał obok drogi z zięciem, kiedy dojrzał błysk w dole zbocza. Powiedział, że powinni to sprawdzić. W połowie drogi natknął się na Floyda i Richettiego siedzących przy ogniu. Najpierw pomyślał, że to jacyś włóczędzy; wystarczyło jednak jedno spojrzenie na ich ubrania - Floyd miał na sobie granatowy garnitur bez krawata - by zrozumieć, że to nieprawda.

- Robimy zdjęcia - powiedział Floyd. - Byliśmy jeszcze z dwiema dziewczynami i zgubiliśmy się. Czekamy na nie.

Zaniepokojony Fryman ruszył z powrotem do domu. Po drodze spotkał sąsiada, Łona Israela.

- Coś mi to śmierdzi - stwierdził. Israel zgodził się z nim, poszedł do sklepu i zadzwonił do szefa dwuosobowej komendy policji w Wellsville, zadziornego Johna H. Fultza. W czwartek obrabowano bank w Tiltonville, miasteczku odległym zaledwie o godzinę jazdy, Fultz pomyślał więc, że dwaj podejrzani mężczyźni mogą mieć z tym coś wspólnego. Nim ruszył w drogę, zabrał ze sobą dwóch pobliskich mieszkańców, Williama Erwina i Grovera Potts. Kilka minut później dotarli na szczyt wzgórza. Żaden nie nosił munduru. Tylko Fultz miał broń, pistolet kalibru.38.

- Wiesz, gdzie są ci ludzie? - spytał.

- Nie wiem dokładnie, ale mogę pokazać w jakiej okolicy - odparł Israel.

Poprowadził ich w dół błotnistej ścieżki. Gdy uszli jakieś osiem metrów i mijali właśnie kępę krzewów, nagle pojawił się przed nimi Floyd.

- Czego chcecie? - spytał. Nie czekając na odpowiedź, wyjął pistolet i skierował go na Fultza. - Ręce do góry!

Fultz udawał, że jest robotnikiem, który idzie do cegielni.

- Nie podniosę rąk - odparł.

- Powiedziałem, ręce do góry - warknął Floyd.

- Nie podniosę rąk - powtórzył z uporem Fultz. - Idę do cegielni i nie rozumiem, dlaczego miałbym podnosić ręce. - To powiedziawszy, zrobił krok do przodu.

- Jeszcze krok, a cię zastrzelę - ostrzegł go Floyd.

- Nie strzeliłbyś do robotnika - odparł Fultz.

Floyd podszedł, celując mu w brzuch. Fultz po prostu przeszedł obok niego, prowadząc za sobą Łona Israela i dwóch ludzi. Floyd ruszył ich śladem w dół ścieżki, wciąż mierząc do Fultza.

- Nie próbuj uciekać, bo cię zastrzelę - powiedział.

- Nikt nie zamierza tu uciekać - odrzekł Fultz.

Przeszli kolejne trzydzieści metrów. Sprzecali się przez cały czas aż do momentu, gdy Fultz natknął się na Richettiego, który wciąż leżał na kocu.

- Cześć, kolego, jak się masz? - spytał Fultz. - Widzę, że nieźle ci się wiedzie.

- Owszem - odparł Richetti. Floyd miał dość.

- Nie daj się nabrać - krzyknął. - Zastrzel go! To glina! Richetti posłusznie wyciągnął czterdziestkępiątkę, wycelował w Fultza i pociągnął za spust. Broń nie wypaliła. Fultz sięgnął po swój pistolet, odwrócił się do Floyda i warknął:

- Ty wielki tchórzliwy sukinsynu.

Strzelił do Floyda, chybił, potem odwrócił się i wypalił w stronę Richettiego. Pozostali rozpięchli się i uciekli między drzewa. Fultz musiał przeładować broń. Gdy podniósł wzrok, Floyd już zniknął. Szeryf dostrzegł jednak Richettiego uciekającego między drzewami. Pobiegnął za nim.

Richetti przeskoczył przez płot i ruszył w stronę tylnego wejścia domu. Fultz wbiegł na podwórze w chwili, gdy Richetti dotarł do drzwi. Szeryf strzelił, a pocisk uderzył w ścianę domu, pół metra od ramienia Richettiego.

- Poddaję się! - krzyknął Richetti.

Podczas gdy Fultz zakuwał Richettiego w kajdanki, Floyd wyszedł pomiędzy drzew i wyciągnął spod koców pistolet maszynowy Thompson. Lon Israel i dwaj pomocnicy Fultza

pobiegli w górę zbocza, do domu Israela po śrutówki. Wyszli właśnie na podwórze, gdy Floyd wyłonił się z lasu. Puścił serię z pistoletu; potem broń się zacięła. Potts trafiony w ramię padł na ziemię. Erwin zdążył wypalić raz ze swojej śrutówki, nim odskoczył w bok i się ukrył. Floyd rzucił się do rowu, a potem pobiegł pochylony przez szczyt wzgórza, między drzewa. Po drodze wyrzucił bezużyteczną broń w trawę.

Las, do którego wbiegł Floyd, ciągnął się u podnóży Appalachów. Na zachód od rzeki łagodne dotąd zbocza zamieniały się w strome skaliste skarpy; dna rozdzielających je dolin pocięte były płytkimi strumieniami, stały tam szopy kryte papą i wały się sterty śmieci. Po drugiej stronie wzgórza przed swoim warszatem stali bracia Theodore i William Peterson pograżeni w rozmowie z nastoletnim George'em McMillenem, który przyjechał po części do swojego forda T. McMillen podniósł wzrok i zobaczył ubłoconego mężczyznę w granatowym garniturze, który schodził ze zbocza na podwórko Petersonów.

Podszedł do nich i spytał, czy ktoś podwiózłby go do Youngstown za pięć dolarów.

- Dlaczego? - spytał jeden z mężczyzn.

Floyd wyjaśnił, że był na polowaniu, kiedy zepsuł mu się samochód.

- Jaka część się zepsuła? - spytał jeden z Petersonów. - Może uda nam się naprawić.

- Przednia oś - odparł Floyd. Postawił stopę na osi forda McMillena, pokazując, gdzie doszło do uszkodzenia. - Muszę dostać się do Youngstown - mówił dalej. - Mam tam ważną sprawę do załatwienia. Dam dziesięć dolarów. - Wyciągnął z kieszeni plik jedno-dolarówek, by pokazać, że ma pieniądze.

- Ja pana zawiozę - powiedział Ted Peterson. Wsiedli do samochodu. Peterson wyjeżdżał właśnie z podwórza, gdy z okna domu wychyliła się jego matka.

- Dokąd jedziesz?! - krzyknęła.

- Zawożę tego człowieka do Youngstown! - odkrzyknął Peterson.

- Nie możesz zawieźć go do Youngstown i wrócić tu na pierwszą. Była 12.40. Peterson miał za dwadzieścia minut stawić się w domu innego klienta.

- Przykro mi, stary - powiedział, wysiadając.

- W porządku - odparł Floyd.

Złożył tę samą propozycję George'owi McMillenowi.

- Zawieziesz mnie?

- Dobrze - zgodził się McMillen, biorąc od Floyda dziesięć dolarów.

Kiedy już usiedli w fordzie McMillena, Floyd powiedział chłopcu, by trzymał się bocznych dróg.

- Pewnie wiesz, kim jestem - stwierdził w pewnej chwili.

- Chyba nie - odpowiedział McMillen.

- Nazywam się Floyd. Pretty Boy Floyd. McMillen tylko patrzył na niego. Nie rozumiał.

- Mówią o tym w radiu w całym kraju, piszą we wszystkich gazetach - kontynuował Floyd.

- Nic o tym nie wiem - zapewnił go chłopiec. - Właśnie wróciłem z Cannon's Mili, a w gazetach czytam tylko komiksy i ogłoszenia o pracy.

Pięć minut później silnik zgasł. Wzdłuż drogi ciągnęły się szklarnie należące do Jamesa H. Bauma. Baum sprzedawał kwiaty w swojej kwiaciarni w Wellsville, jego największym klientem był miejscowy zakład pogrzebowy. Wraz z przyjacielem układał drewno, gdy Floyd i McMillen weszli na jego podjazd.

- Potrzebujemy benzyny - oświadczył Floyd. - Zapłacę.

- Nie mam benzyny - odparł Baum.

Floyd spojrzał na jego samochód, nasha sedana.

- Może spuścilibyśmy trochę z pańskiego samochodu?

- Nie da się. - Baum pokręcił głową, ale zgodził się ich zawieźć na stację benzynową.

Kiedy już wsiadł do nasha, Floyd wyciągnął broń.

- A teraz, staruszkule - rzekł - będziesz robił, co ci każę. Pojechali na północ, w stronę Youngstown, trzymając się bocznych dróg. Niemal przez dwie godziny tłukli się po wertepach, aż wreszcie, piętnaście kilometrów dalej na północ, dotarli do szosy. Zaczęli nabierać prędkości, gdy zobaczyli blokadę. Dwaj ludzie szeryfa zatrzymali na środku drogi wagon kolejowy. Długa kolejka samochodów czekała na przejazd.

George Hayes i Charley Patterson, funkcjonariusze z biura szeryfa, którzy zorganizowali blokadę, widzieli, jak samochód Nasha zatrzymuje się i nawraca. Wydało im się to podejrzane.

- Jedźmy za nim - powiedział Hayes do Pattersona.

Ruszyli w pościg, stracili jednak sporo czasu, nim udało im się przebić przez korek.

Tymczasem Floyd zerkał zaniepokojony przez tylną szybę auta Bauma.

- Ktoś za nami jedzie - stwierdził. - Dodaj gazu.

Po lewej stronie otwierał się wjazd na górską drogę gruntową, tak nierówną i krętą, że miejscowi nazywali ją Roller Coaster Road; Floyd kazał Baumowi tam skręcić. Nash zjechał z głównego traktu i popędził w lasy na północ od East Liverpool. Ludzie szeryfa jechali jego śladem. Jakiś kilometr od skrzyżowania zaczęli trąbić. W tym momencie James Baum uznał, że ma już dość, i zatrzymał samochód. Auto ludzi szeryfa przystanąło jakieś pięćdziesiąt

metrów dalej. Floyd podniósł się z przedniego siedzenia i strzelił. Pocisk rozbił tylną szybę nasha, trafił w przednią szybę samochodu ludzi szeryfa, którzy pochylili głowy, kryjąc się przed kolejnymi strzałami, lecz Floyd wyskoczył z auta i pobiegł w las.

Nim zapadł zmrok, w całym powiecie Columbiana panowało już ogromne poruszenie. Farmerzy z czarnymi opaskami na rękach, które oznaczały ich przynależność do grupy pościgowej, przybyli licznie do Wellsville i kręcili się wokół położonego nad rzeką aresztu. W budynku przebywał szef miejscowej policji Fultz, który próbował przesłuchać Adama Richettiego. Zamknięty w celi Richetti podał fałszywe nazwisko - Richard Zamboni. Powiedział też, że jego kolega to hazardzista z Toledo. Z niewiadomych powodów George McMillen nie wyjawiał nikomu, że „hazardzista” przedstawił mu się jako Pretty Boy Floyd.

W niedzielę rano obława na zaginionego „hazardzistę” wciąż trwała. Nocny deszcz wymazał ślady pozostawione przez Floyda, który zniknął w najdzikszej części powiatu Columbiana, ponurym labiryncie stromych, porośniętych lasem zboczy przy strumieniu Little Beaver. Około pierwszej po południu do Wellsville przybył Ray B. Long, szeryf Steubenville w stanie Ohio, który chciał dołączyć do obławy. Rozpoznał Richettiego z listu gończego.

- To Adam Richetti - powiedział Fultzowi. - Poszukiwany w związku z masakrą w Kansas City.

Zwrócił się do Richettiego po nazwisku, a on przyznał, że tak naprawdę się nazywa.

Szeryf Long stwierdził, że muszą zadzwonić do FBI. Fultz się sprzeciwił; miał swoje wielkie pięć minut i najwyraźniej nie chciał z nikim się nimi dzielić. Long zadzwonił tak czy inaczej. Centrala w biurze FBI w Cincinnati przekazała wiadomość do najstarszego stopniem agenta w tej okolicy - tak się złożyło, że był to Melvin Purvis.

Purvis przebywał w Cincinnati wraz z grupą agentów ścigających porywacza, który uprowadził kobietę z Kentucky. Nie było to prestiżowe zadanie, z pewnością jednak lepsze niż sporządzanie notatek, a tylko takie prace zlecał mu ostatnio Hoover. Ich stosunki, do niedawna chłodne, teraz stały się wręcz lodowate, o czym świadczył choćby dziwaczny list Hoovera z połowy września, w którym łąkał Purvisa, że mówi niewyraźnie przez telefon. „Kazałem sprawdzić nasze aparaty i dowiedziałem się, że ich stan techniczny jest bez zarzutu - pisał Hoover. - Byłoby wskazane, by podczas naszych rozmów mówił pan nieco głośniejszy”^{14*}.

* 2 października Hoover wysłał do Purvisa telegram z pretensjami, że nie powiadomił go o wizycie mężczyzny, który przekazał chicagowskiemu biuru informacje w sprawie porwania syna Lindbergha. „Kazałem panu Cowleyowi zająć się osobiście tą sprawą - pisał Hoover. - Jestem pewien, że on poświęci jej należyłą uwagę”.

W niedzielę rano, kiedy nadeszła wiadomość o Floydzie, Purvis był w swoim pokoju hotelowym. Natychmiast zadzwonił do Hoovera, który, choć niechętnie, zgodził się, by Purvis wyczarterował lot do Wellsville i nadzorował obławę. O drugiej po południu Purvis ze swymi ludźmi był już na pokładzie samolotu. Patrząc z góry na wielobarwne połacie jesiennych lasów Ohio, wracał myślami do dnia, w którym zjawił się w Little Bohemia. Nikt w jego obecności nie wypowiadał głośno słów w rodzaju „odkupienie”, z pewnością jednak wszystkim takie skojarzenie się nasuwało.

Po przylocie do Wellsville Purvis natychmiast stał się z Fultzem. Było już ciemno, a oddziały pościgowe rozeszły się do domów, by zjeść ciepłą kolację; od ponad dwudziestu czterech godzin nikt nie widział Floyda. Purvis powiedział, że chce, by cały teren obławy został otoczony. Fultz odparł, że nie może tego zrobić. Co gorsza, odmówił wydania Richettięgo FBI. Oświadczył, że prowadzi przeciwko niemu sprawę o czynny napad na policjanta. Purvis zadzwonił do Hoovera i powiedział, że sytuacja jest „poza jego kontrolą”¹⁵.

Opuściwszy areszt w Wellsville, pojechał do East Liverpool i zatrzymał się w Travelers Hotel, zamieniając swój apartament w stanowisko dowodzenia. O trzeciej nad ranem w jego pokoju zgromadziło się niemal dwudziestu agentów z Pittsburgha, Cleveland i Cincinnati. Purvis podzielił ich na pięć oddziałów złożonych z trzech lub czterech osób. Postanowił wysłać dwa z nich do domów krewnych Richettięgo w Dillonvale. Pozostałe trzy grupy miały patrolować drogę 7 oraz całą sieć bocznych dróg na północ od East Liverpool. Przypuszczano, że Floyd jest ranny, inni agenci mieli więc za zadanie sprawdzić szpitale, gabinety lekarskie i korporacje taksówkarzy. Ponad dwustu policjantów i funkcjonariuszy z biur szeryfów, przybyłych z całego stanu, pilnowało blokad postawionych na mostach spinających brzegi Ohio River Valley.

Godz. 13.00

Wczesnym popołudniem w poniedziałek, po dwóch dniach bez żadnych wieści o Floydzie, nadszedł wreszcie interesujący meldunek. Trzej ludzie Purvisa sprawdzali farmy na północ od East Liverpool, kiedy przywołał ich do siebie posterunkowy, który zameldował, że Floyda właśnie widziano na farmie, na północ od strumienia Little Beaver. Żona jednego z farmerów poczęstowała go kanapką i pozwoliła mu się umyć. Informacje te przekazano Purvisowi. Hoover zadzwonił w chwili, gdy Purvis wychodził już z pokoju. Dyrektor kazał mu natychmiast udać się w teren¹⁶. Hoover chciał mieć pewność, że jeśli Floyd zostanie zatrzymany, to dokona tego FBI.

Purvis spotkał się ze swoimi ludźmi na drodze gruntowej dziesięć kilometrów na

północ od East Liverpool. Był niemal pewien, że Floyd zmierza na północ, w stronę Youngstown. Podzielili się na dwie grupy, zaczęli sprawdzać domy i zabudowania gospodarcze. Purvis oglądał sąsiek w stodole, gdy z dołu doszedł go jakiś hałas. Wyciągnął broń. Usłyszał kroki na drabinie, skierował w dół lufę pistoletu... i poczuł się jak głupiec, ujrzawszy jednego ze swych ludzi. Wszyscy byli zdenerwowani.

Około trzeciej po południu, gdy krążyli po bocznych drogach, obserwując okoliczne pola, zobaczyli samochód, w którym siedziało czterech mężczyzn - szef policji z East Liverpool oraz trzech jego podwładni. Postanowili połączyć siły.

Godz. 14.50

W tym samym czasie Floyd wyszedł z lasu na północ od strumienia Little Beaver. Białą koszulę miał poznaczoną plamami potu, garnitur upstrzony sosnowymi igłami i ostem. Przez dwie doby, odkąd uciekł ludziom szeryfa, przeszedł trzysta kilometrów na wschód. Za jego plecami, nad brzegiem strumienia, rozciągały się ruiny opuszczonego młyna zbożowego oraz kilku od dawna już nieużywanych śluz, pamiątki minionego wieku. Floyd marzył tylko o tym, by zjeść ciepły posiłek i wyrwać się z Ohio. Przed sobą widział odosobniony dom, za którym ciągnęły się zielone pola.

El len Conkle, wdowa, która uprawiała swe dwudziestohektarowe gospodarstwo z pomocą krewnych zmarłego męża, czyściła wędzarnie, kiedy do tylnych drzwi domu zapukał nieznajomy.

- Zabłądziłem i jestem bardzo głodny - powiedział Floyd. - Da mi pani coś do jedzenia? Zapłacę.

Pani Conkle nigdy nie słyszała o Pretty Boy Floydzie, nie wiedziała też nic o obławie.

- Wyglądam jak jakiś dzikus, prawda? - mówił Floyd. - Wczoraj wieczorem polowałem z bratem na wiewiórki i się zgubiłem. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jestem.

Pani Conkle wiedziała jednak, że nikt nie poluje nocą na wiewiórki, a już z pewnością nie w garniturze. Floyd wyraźnie się zakłopotał.

- Prawdę mówiąc, upiłem się - oświadczył. - No i zabłądziłem. Pani Conkle, która później zawsze przedstawiana była jako prosta, dobra kobieta służąca pomocą nieznajomemu, nie była jednak naiwna; w gruncie rzeczy była przerażona. Jak zeznała kilka dni później podczas śledztwa, bała się reakcji nieznajomego na odmowę, zrobiła mu więc coś do jedzenia, licząc, że wtedy szybciej sobie pójdzie. Spytała, na co ma ochotę.

- Mięso - odparł Floyd. - Ostatnio jadłem tylko jabłka i ciasteczka imbirowe. Chciałbym zjeść trochę mięsa.

Usiadł w bujanym fotelu na tylnym ganku i zaczął czytać niedzielne wydanie „Review” z East Liverpool. Pani Conkle poszła do wędzarni po żeberka, a potem zniknęła w kuchni. Jakiś czas później wróciła z talerzem pełnym żeberek, świeżym chlebem i puddingiem. Floyd zjadł wszystko prócz puddingu, potem zaś chętnie poczęstował się zaproponowaną przez gospodynię kawą i kawałkiem ciasta. Na koniec stwierdził, że był to „iście królewski posiłek”.

Poprosił, by pani Conkle podwoziła go do Youngstown. Odparła, że nie może tego zrobić, ale na jej polu pracuje szwagier, Stewart Dykę, oraz jego żona; kiedy wrócą, może zabiorą go do miasta. Floyd wszedł do forda A należącego do Dykę’a i czekał. Kluczyki tkwiły w stacyjce, ale nie ukradł auta.

Około trzeciej wrócił Dykę z żoną. Floyd poprosił o podwiezienie do Youngstown. Chciał zapłacić. Dykę odparł, że jest zbyt zmęczony, stwierdził jednak, że podrzuci go do Clarkson, skąd odchodzi autobus do Youngstown.

- Niech pan wsiada - rzekł.

Floyd wrócił do auta, pożyczył od pani Dykę puderniczkę i zaczął pudrować sobie twarz, nieudolnie próbując się w ten sposób zamaskować. Dykę usiadł za kierownicą. Samochód wyjechał z podwórka i wszyscy pomachali pani Conkle na pożegnanie.

Wtedy Stewart Dykę zobaczył dwa samochody zmierzające w stronę domu.

godz. 16.10

Dwa samochody wyłoniły się zza szerokiego zakrętu i wjechały na zbrocze prowadzące ku ostatniej farmie przy Sprucevale Road, do domu pani Conkle. Jeden z policjantów z East Liverpool, Glenn G. „Curly” Montgomery, pierwszy zobaczył Floyda.

- Stój! - krzyknął. - To on!

Floyd zauważył agentów tuż przed tym, jak oni go zobaczyli. Pochylił się i wyciągnął pistolet.

- Jedź za ten budynek! - rozkazał Dyke’owi. - Oni mnie szukają. Dykę wypełnił polecenie i wjechał za drewnianą szopę szerokości pięciu metrów, w której przechowywał kukurydzę. Sięgnął do drzwi samochodu, otworzył je.

- Wsiadaj, sukinsynu - rozkazał.

Floyd wygramolił się z samochodu i ukrył za szopą.

Kiedy samochód policyjny wjechał na podwórze pani Conkle, pierwszy wysiadł Montgomery. Tuż za nim zatrzymał się samochód FBI, z którego wyskoczyło czterech agentów.

- Jest tam, za szopą! - krzyknął jeden z policjantów.

Wszyscy wyciągnęli broń. Dolna krawędź ścian szopy znajdowała się jakieś 30 cm nad ziemią, policjanci i agenci widzieli stopy Floyda, który biegał z jednej strony szopy na drugą, najwyraźniej nie wiedząc, co robić.

- Floyd, wyjdź na drogę! - krzyknął Purvis. - Jeśli tego nie zrobisz, będziemy strzelać!
Floyd wybiegł zza szopy i popędził przez otwartą przestrzeń w stronę garażu.

- Uważajcie, próbuje uciec! - wrzasnął jeden z policjantów. - Stój! - krzyknął Purvis.
Okrzyki „Stój!”, „Stać!” dochodziły ze wszystkich stron. Floyd jednak biegł dalej. Minął garaż i pognął na otwarte pole. Przed nim, w odległości około dwustu metrów, wznosiła się ściana drzew. Pędził w tamtą stronę zygzakiem.

- Dajmy mu popalić! - krzyknął Purvis.

Rozległy się strzały. Agenci mieli pistolety, śrutówki i jeden pistolet maszynowy Thompson. Pociski rozłupały jabłoń pani Conkle, na podwórko spadł grad liści i gałęzi. Floyd nadal biegł przez pole, oglądając się raz po raz przez ramię. Huknęły kolejne strzały. Kilku policjantów strzelało z miejsca, inni już biegli za gangsterem. Kiedy

Floyd zbliżał się do szczytu wzniesienia, podniósł nagle prawą rękę i upadł ciężko na lewy bok.

Pierwsi dobiegli trzej policjanci z East Liverpool. Kiedy się zbliżyli, wycelował w nich pistolet, gotów bronić się do końca. Chester Smith chwycił go za nadgarstek i wyrwał mu broń z dłoni. W tej samej chwili drugi policjant rzucił się na Floyda i przygwoździł go do ziemi. Gangster sięgnął po drugi pistolet, zatknięty za pasem, lecz trzeci policjant, Herman Roth, pochwycił tę broń szybciej*.

- Nie ruszaj się! Nie ruszaj się! - krzyczał któryś z policjantów. Floyd wreszcie przestał się szarpać. W tym momencie dobiegł do nich szef policji East Liverpool, Hugh McDermott.

- Jesteś ciężko ranny? - spytał.

- Już po mnie - wychrypiał Floyd. - Trafiliście mnie dwa razy. - Miał rację: pocisk kalibru.45 uderzył go pod lewą łopatką i utkwiał w klatce piersiowej. Druga kula trafiła go w prawy bok i zatrzymała się tuż pod sercem. Miał uszkodzone serce, płuca i żebra.

- Jak się nazywasz? - spytał Montgomery w chwili, gdy dołączyli do nich Purvis i agenci FBI.

- Murphy - odparł Floyd. - Gdzie jest Eddie? - spytał, używając fałszywego imienia Richettiego.

- Jaki Eddie? - zdziwił się Montgomery.

- Gdzie jest Eddie?
 - Nie wiem - przyznał Montgomery.
 - Do diabła... - mruknął Floyd.
 - Jak się nazywasz? - spytał Montgomery ponownie.
 - Murphy! - warknął gangster.
 - Nazywasz się Floyd! - wtrącił Purvis. Floyd tylko patrzył na niego.
 - Czy nie nazywasz się Charles Pretty Boy Floyd? - spytał Purvis.
- Floyd wykrzywił usta w półuśmiechu.
- Tak, jestem Floyd - przyznał.

Purvis wrócił truchtem do swego samochodu, by wezwać lekarza i powiadomić Waszyngton o schwytaniu Floyda. Na farmie pani Conkle nie było telefonu, Purvis zabrał więc ze sobą jednego z agentów

* Purvis twierdził później, że kopniakiem odrzucił broń na bok. Może to zrobił, kiedy Roth wyrwał już pistolet z dłoni Floyda.

i ruszył do sklepu w miasteczku Clarkson. Kiedy odjechał, agent Sam McKee przykucnął obok Floyda i zaczął go przesłuchiwać. Spytał, czy Floyd brał udział w masakrze na dworcu Union Station.

- Do diabła z Union Station - warknął Floyd.
- Umierasz - stwierdził McKee.
- Wiem, że już po mnie. - Floyd szybko tracił siły.
- Więc zrób jeszcze coś przyzwoitego i powiedz mi, co wiesz o masakrze na Union Station - odpowiedział McKee.

Floyd milczał.

- Czy to prawda, że ty, Adam Richetti i Verne Miller strzelaliście na Union Station?

Oczy Floyda rozblęły gniewem.

- Niczego ci nie powiem, sukinsynu - syknął. Chwilę później zapadł w półomdlenie. McKee przestał go przesłuchiwać. Stan rannego pogarszał się w zastraszającym tempie. Po kilku minutach wydawało się, że Floyd jest już bliski śmierci.

- Kto wam powiedział, że tutaj jestem? - spytał w przeblęsku świadomości.

Kilkakrotnie próbował wstać, policjanci z East Liverpool przytrzymywali go jednak przy ziemi.

- Pieprzcie się - oświadczył w pewnym momencie. O 16.25 powiedział: - Odchodzę. - I umarł*.

* Śmierć Pretty Boy Floyda to najbardziej kontrowersyjna kwestia w całej historii

walki FBI z wrogami publicznymi w 1934 r. Czterdzieści pięć lat później, w 1979, jeden z policjantów z East Liverpool, Chester Smith, trafił na pierwsze strony gazet, zarzucając agentom FBI, że to oni zabili Floyda, gdy leżał bezbronny na polu pani Conkle. Według Smitha, który po raz pierwszy opowiedział tę historię w „Akron Beacon-Journal” w 1974, Purvis próbował przesłuchać Floyda w sprawie masakry. Floyd nie chciał odpowiadać na jego pytania, więc Purvis miał rozkazać Hollisowi: „Wykończ go”, a Hollis posłusznie oddał śmiertelny strzał w pierś Floyda.

Opowieść ta była potem wielokrotnie cytowana; jeden z całkiem wiarygodnych skądinąd autorów zatytułował rozdział opisujący śmierć Floyda „Zabójstwo”. W rzeczywistości jednak ta wersja wydarzeń nie ma żadnych solidnych podstaw. Tego popołudnia agent Hollis nie był nawet obecny na farmie pani Conkle. Jak wynika z raportu koronera, Floyd nie miał żadnej rany na piersiach. Został trafiony dwukrotnie, jak sam powiedział policjantom, jednak żaden pocisk nie trafił w pierś. Żaden z uczestników tamtych wydarzeń nawet nie wspominał tamtego dnia o podobnym zajściu.

Dlaczego więc, pytają niektórzy, Chester Smith wymyślił taką historię? Starzy przyjaciele Smitha wzdychają ciężko, kiedy ktoś zadaje im to pytanie. „Znałem Chestera, byliśmy dobrymi kumplami - wspomina Bob „Brassy” Berestord, były szeryf powiatu Columbiana. - Nazywaliśmy go »Cap«. Opowiadał te same historie wielokrotnie, za każdym razem inaczej. Tę słyszałem w kilku wersjach: wersja z agentem Hollisem była całkiem nowa. Wydaje mi się, że nikt ze znajomych Capa nie brał jej na serio”.

Wszystkie wersje wydarzeń podawane przez Capa Smitha na przestrzeni lat miały jeden punkt wspólny: Smith zawsze odgrywał w nich kluczową rolę. W 1969 powiedział w „East Liverpool Review”, że to on, a nie Glenn Montgomery, pierwszy zauważył Floyda, to on, nie Montgomery, pierwszy wyskoczył z samochodu. Twierdzeniom tym przeczą jednoznacznie zeznania złożone przez innych policjantów dwa dni po śmierci Floyda. Co więcej, Smith mówił, że Floyd zginął od pocisków wystrzelonych z jego broni. Jest to bez wątplenia niezgodne z prawdą, gdyż Smith miał wówczas karabin, a Floyda trafiły pociski z pistoletu kalibru.45. Trzeba tu też wspomnieć, że w wywiadzie w 1969 r. Smith nie wspomniął ani słowem o zabiciu Floyda; wersja ta pojawiła się wiele lat później. Biorąc to wszystko pod uwagę, należy uznać opowieści Smitha za konfabulację, wytwór wyobraźni starego człowieka, rozgoryczonego faktem, że inni zyskali sławę, która - jak uważał - należała się jemu.

Ciało Floyda przewiezione zostało do zakładu pogrzebowego Sturgis w Wellsville. Wkrótce zebrał się tam tłum dziennikarzy i zaciekawionych mieszkańców miasta. Ku sporej

konsternacji Hoovera, większość dziennikarzy bardziej interesowała się Purvisem niż zastrzelonym gangsterem. Gdy tylko pojawił się w zakładzie pogrzebowym, otoczył go wianuszek reporterów. Hoover dotarł tam o piątej trzydziści, godzinę po strzelaninie. „Purvis powiedział, że dziennikarze robili mu zdjęcia i zadawali pytania, poinstruowałem go więc, by przekazał gazetom, że wszelkich informacji udzielać będzie biuro w Waszyngtonie”, pisał w notatce. Purvis obiecał milczeć, twierdząc, że „nie chce doświadczyć ponownie tego, przez co ostatnio przechodził”¹⁷.

Przez cały wieczór, choć wciąż dzwoniли do niego z gratulacjami przyjaciele i dziennikarze, Hoover nie przestawał myśleć o Purvisie. Około dziewiątej Purvis i Sam Cowley, który przyleciał z Chicago, zadzwonili do Hoovera, by poinformować go, że w ciągu godziny przejmą Richettiego; gdy Purvis odszedł od telefonu, Hoover powiedział Cowleyowi, że chce, by Purvis jak najszybciej opuścił Wellsville. Purvis miał „wyjechać jeszcze tego wieczora, by uniknąć niepotrzebnego rozgłosu”, pisał Hoover do jednego ze swych współpracowników. Dla większego efektu powtórzył te instrukcje: „Powiedziałem Cowleyowi ponownie, że chcę, by pan Purvis i jego ludzie wyjechali wieczorem z miasteczka, jeśli bowiem zostaną tam dłużej, nie obędzie się bez mnóstwa filmów i temu podobnych”.

Jednak Purvis nie mógł się powstrzymać. Po trzech miesiącach niełaski i pomiatania znów był gwiazdą; kiedy reporterzy spytali go o przebieg wydarzeń, opowiedział wszystko. Następnego ranka gazety przedstawiały Purvisa - „człowieka, który dopadł Dillingera” - jako bohatera FBI, który wyeliminował właśnie drugiego spośród największych wrogów publicznych. **OPOWIEŚĆ PURVISA O AMERYKAŃSKIEJ PUŁAPCE** - głosił nagłówek w „Chicago Tribune”. „Melvin Purvis, młody prawnik, który stał się detektywem, wyciął dziś następny karb na swojej broni. Purvis, zazwyczaj łagodny i spokojny Amerykanin z Południa, w którego »wstępuje diabeł«, gdy rozprawia się z przestępcami, stał się najgroźniejszą nemezis amerykańskich desperados”.

Hoover gotował się ze złości. Chciał, by wyrazy uznania i splendor spływały na Biuro, a nie na Purvisa. Uważał, że jeśli rzeczywiście jakiś człowiek ma szczególne zasługi w schwytaniu Dillingera i Floyda, jest to Cowley, którego gazety wciąż przedstawiały jako zastępcę Purvisa. Dwa dni później do domu Purvisa w Chicago przybył agent z kwatery głównej, Bob Newby, który kazał mu trzymać się z dala od biura; przykazał mu nawet, by nie mówił nikomu, że jest w mieście. Purvis, który po śmierci Dillingera odbył „rundę honorową” przez Waszyngton, spytał, czy może pojechać na wschód; Newby odparł, że nie widzi przeszkód. Stosunki między Hooverem i Purvisem zepsuły się całkowicie i nieodwracalnie¹⁸.

Dillinger i Floyd już nie żyli, więc Sam Cowley mógł skupić się na Baby Face Nelsonie. Akta pęczniały od nowych wiadomości; działania zmierzające do ujęcia Nelsona przyćmiewały wszystko, co Biuro robiło w przypadku Dillingera i Floyda. Cynicy twierdzili, że tamte dwie sprawy zostały rozwiązane zupełnie przypadkowo, że były tylko wynikiem donosu i wypadku samochodowego. Cowleyowi bardzo zależało, by w tym przypadku wyglądało to zupełnie inaczej. Akta dotyczące Nelsona świadczyły, jak bardzo podniósł się poziom profesjonalizmu FBI w ciągu kilku zaledwie miesięcy: fuszerki z czasów Purvisa, nieudane działania w sprawach Rogera Touhy'ego, Verne'a Millera czy Little Bohemia odchodziły w niepamięć. Wojna z przestępczością nauczyła sprawnego działania wiele organizacji, w tym także FBI.

Pracując zgodnie z wytycznymi Cowleya, agenci sprawdzili niemal wszystkie kontakty Nelsona z początków jego działalności, przesłuchali jego współników z ostatnich lat, obserwowali domy wszystkich krewnych Helen i samego Nelsona. Kilku spośród nich współpracowało potajemnie z FBI, między innymi szwagier Nelsona, Robert Fitzsimmons, którego żona przejęła opiekę nad synem gangstera, Ronaldem. 9 października Fitzsimmons zadzwonił do Cowleya, by mu powiedzieć, że jego rodzina wyjeżdża z wizytą do krewnych mieszkających w Bremerton, w stanie Waszyngton. Podróż zajęła im cały tydzień; przez cały ten czas jechali za nimi dwaj agenci.

Największe nadzieje na schwytanie Nelsona Cowley wciąż wiązał z dziewczyną Johna Chase'a, Sally Backman, która przebywała w areszcie w San Francisco. Szczególnie intrygowała go mętna opowieść o wizycie w miasteczku w stanie Wisconsin, gdzie Nelson zamierzał podobno spędzić zimę. Agenci w San Francisco przez kilka dni ślęczeli wraz z Backman nad mapą, próbując zidentyfikować to miasto, lecz bez powodzenia. Choć Backman bardzo się starała, nie przypomniała sobie nazwy tej miejscowości.

Nazajutrz po śmierci Floyda, we wtorek 23 października, Cowley kazał przewieźć Backman do Chicago w nadziei, że podróż po północnym Illinois i Wisconsin odświeży jej pamięć. Charles Winstead wraz z dwoma agentami zabrał Backman na objazd. Wyjechali z Chicago drogą 12, zmierzając na północny zachód i odwiedzając po drodze miasteczka Crystal Lake, Harvard i Woodstock. Potem wjechali do Wisconsin, gdzie zatrzymali się w Delavan i Walworth. W Elkhorn, gdzie przed rokiem rozbił samochód Roger Touhy, Backman zobaczyła tawernę, która wydawała jej się znajoma. Kiedy jednak Winstead zabrał ją do środka, okazało się, że jest tam restauracja, a ona pamiętała bar.

Winstead, zrozumiałwszy, że prowadzone w ten sposób poszukiwania mogą trwać bez końca, wpadł do znajomego z biura szeryfa w Elkhorn. Opisał miasteczko zapamiętane przez

Backman; była w nim gospoda, dwa małe jeziora i żelazny most. Opisał także Eddiego, o którym wspominała dziewczyna. Szczęście sprzyjało Winsteadowi - znajomy bez wahania wskazał miejscowość uzdrowską Lakę Geneva, gdzie mieszkał niejaki Eddie Duffy pracujący dla Laki Como Inn, gospody, którą agenci sprawdzili zeszłego lata, znalazłszy w bagażu Tommy'ego Carrola poszwę na poduszkę z tego właśnie miejsca.

Winstead zawiózł Backman do Laki Geneva. Dziewczyna natychmiast rozpoznała miasteczko, wskazała tawernę, w której zjadła śniadanie, a potem zaprowadziła Winstead do domku nad jeziorem, gdzie odwiedzili Eddiego. Szczęśliwym trafem godzinę później Backman dostrzegła Duffy'ego na ulicy. Była pewna, że ten szczupły dwudzie-stosześcioletek to właśnie Eddie, którego poznała podczas poprzedniej wizyty w miasteczku.

W piątek 2 listopada, odesławszy Backman do San Francisco, Winstead wrócił do Laki Geneva i spotkał się z Dufrym w hotelu Gargoyle. Duffy, opisany w późniejszym raporcie Winstead jako „bardzo nerwowy”, twierdził, że nie wie nic o Nelsonie. Przyznał, że znał Johna Chase'a, ale tylko jako gościa Laki Como Inn. Nalegał, by agenci porozmawiali z właścicielem gospody, Hobartem Hermansonem. Duffy pracował dla Hermansona jako goniec, jeździł też ciężarówką z piwem.

Cowley zwrócił się bezpośrednio do Hermansona o wyjaśnienia. W niedzielę 4 listopada wieczorem Hermanson pojawił się w chicagowskim biurze, by dobrowolnie złożyć zeznania. Gdy się dowiedział, że może zostać skazany za udzielanie schronienia Nelsonowi, przyznał się do wszystkiego, potwierdził, że Nelson był w jego domu i zamierzał wrócić do Laki Geneva na zimę. Nazajutrz Cowley wraz z Winsteadem i agentem Edem Hollisem pojechał do Laki Geneva. Hermanson zaproponował agentom, by zatrzymali się w pobliskim domku, Cowley wybrał jednak jego dom. Wkrótce Cowley wyjechał, a Winstead i dwaj agenci zajęli sypialnię na piętrze. Jeśli Nelson rzeczywiście chciał wrócić na zimę do Laki Geneva, byli już przygotowani na jego przyjazd.

Przez cały październik Nelson ze swymi ludźmi mieszkał w Wally Hot Springs, w stanie Nevada. Noce robiły się zimne, a nie mieli żadnego ogrzewania, kończyły im się też pieniądze. Nelson rzadko wychodził z obozowiska. Wiedział, że agenci FBI szukają go w Reno, na razie jednak nic nie wskazywało na to, by rozszerzyli poszukiwania na tereny wokół miasta*. Pewnego wieczora, podczas spotkania na pustyni, Frank Cochran wspomniał, że widział tego dnia samochód FBI.

* Nelson nigdy się nie dowiedział, jak niewiele brakowało, by został schwytany w Wally Hot Springs. Podczas jego pobytu szeryf pobliskiego Gardenville aż trzykrotnie

odwiedzał kemping, za każdym razem pytając o hudsona. Nelson nie został zdemaskowany tylko dlatego, że miejscowy kucharz, Ethel Tyler, myślał, że auto gangstera to plymouth.

- Był brudny, cały ubłocony - powiedział. - Wygląda na to, że sprawdzają kempingi i jeżdżą po bocznych drogach w tej okolicy.

Nelson zdecydował, że trzeba się wynieść. Wypełnili bagażnik pika-pa kanistrami z paliwem i przykryli je brezentem. Wyjechali w połowie listopada. Nelson prowadził hudsona, Fatso Negri pikapa. W okolicy Durango, w Kolorado, zepsuła się skrzynia biegów w hudsonie. Mechanik w warsztacie powiedział, że musi sprowadzić części. Nelson chciał porzucić auto, ale Negri zaproponował, że zostanie w miasteczku i gdy auto będzie już naprawione, sprowadzi je do Chicago. Nelson się zgodził. Zabrał Helen i Chase'a i pojechał z nimi na wschód pika-pem.

Kilka dni później dotarł na przedmieścia Chicago. Jak zawsze znalazł w swym mieście wszystko, czego potrzebował, i wszystko, czego się obawiał. Ufał tylko garstce ludzi; każdy inny mógł być kapusiem. FBI było tylko jednym z jego zmartwień. Syndykat wciąż chciał go zabić. Wraz z Chase'em jeździli po małych miasteczkach wokół przedmieść Chicago. Nelson i Helen spali w samochodzie, na pastwiskach, za stacjami benzynowymi. Co wieczór zostawiali Chase'a w hotelu w Morris, Elgin albo Palestine i zabierali go następnego ranka. Jeździli całymi dniami, zatrzymując się w przydrożnych tawernach, skąd dzwonili do znajomych. Niemal co wieczór spotykali się za miastem z przyjacielem Nelsona, mechanikiem Clareyem Liderem. Jeśli prócz mglistych projektów wyjazdu do Europy Nelson miał jakiś konkretny plan, to nikomu go nie zdradził. Na razie potrzebował pieniędzy i ludzi. Od miesięcy rozmyślał nad szczegółami napadu na pociąg, ten pomysł podrzucił mu Jimmy Murray i właśnie Murray był jednym z pierwszych ludzi, z którymi Nelson spotkał się po powrocie.

W poniedziałek 26 listopada Nelson i Chase odważyli się wjechać do miasta. Po drodze, na rogu ulicy w North Side, wysadzili Helen, która powiedziała im, że chce iść do kina. Tymczasem, nie mówiąc o tym nikomu, wybrała się do swojej rodzinnej dzielnicy. Przechodziła obok domów rodziców i rodzeństwa, licząc, że zobaczy kogoś znajomego. Helen nigdy nie była szczególnie złożoną osobowością, nietrudno więc wyobrazić sobie, co czuła, zaglądając do wnętrza ciepłych, jasno oświetlonych domów. Kiedy ona spacerowała, Nelson i Chase ukradli lśniącego czarnego fordą V-8 prosto z parkingu dilera. Potem pojechali za miasto, na polanę, gdzie czekali Clarey Lider i Fatso Negri, który przyjechał hudsonem Nelsona.

- Chłopcy, prawie cały gang już nie żyje - powiedział Nelson. - Więc przede

wszystkim musimy zorganizować nowy. Mamy mnóstwo roboty, ale nie zrobimy niczego, dopóki nie znajdziemy nowych ludzi. Chciałbym, żeby to byli sprytni, niezawodni faceci, jak Ray Karpis¹⁹.

Tak jak marzyło mu się od początku, chciał współpracować z gangiem Barkerów i Karpisem. Problem polegał na tym, że nie mógł ich znaleźć. Negri zaproponował, by zatrudnili kilku chicagowskich gangsterów.

- Za żadne skarby! - zachnął się Nelson. - Znam te kanalie. Wychowałem się w Chicago. Myślisz, że G-meni musieliby polować miesiącami, żeby dopaść takie gnidy? Każdy z nich podkuliłby ogon i od razu się poddał.

Później, wieczorem, Nelson zabrał Helen z North Side. Tej nocy jak zwykle spali w swoim samochodzie. Nelson potrzebował odpoczynku. Nazajutrz, we wtorek, miał spotkać się z kimś w Wisconsin. Potem chciał wrócić do Chicago i porozmawiać z Jimmym Murrayem o napadzie na pociąg. Miał nadzieję, że jeśli dopisze mu szczęście, tego dnia wiele się wydarzy.

Lakę Geneya, Wisconsin

27 listopada, wtorek godz. 14.00

Charles Winstead siedział w sypialni na piętrze domu Hermansona, jak codziennie od trzech tygodni. Przez cały dzień samochody przyjeżdżały i odjeżdżały, wiele z nich zatrzymywało się tu w drodze do Lakę Como Inn. Agent Jim Metcalfe, początkujący poeta, był w kuchni. Wcześniej wysłali do miasta na zakupy młodego agenta, Colina McRae.

Około drugiej Winstead zobaczył dużego forda V-8 nadjeżdżającego drogą.

- Przygotuj się, jedzie samochód! - krzyknął w dół, do Metcalfe'a.

Metcalfe nie przejął się szczególnie; czasami w ciągu jednego dnia pod dom Hermansonów podjeżdżało nawet kilkanaście aut. Wyrzwał przez okno. Nadjeżdżający ford pokryty był warstwą kurzu. Wyglądał jak samochód Hermansonów, którzy w poprzednią sobotę wybrali się w podróż, Metcalfe przypuszczał więc, że właśnie wracają.

- Wszystko w porządku! - zawołał.

Wyszedł na ganek, by sprawdzić, czy Hermansonowie nie potrzebują pomocy przy noszeniu bagaży. Południowe słońce świeciło prosto w przednią szybę forda, ani Metcalfe, ani Winstead nie widzieli, kto siedzi w środku. Metcalfe zmrużył oczy i dostrzegł kobietę na przednim fotelu. Bardzo młoda, miała może ze dwadzieścia lat, ubrana była w ciemny płaszcz z futrzanym kołnierzem.

Kierowca, nie wysiadając z auta, spytał, czy Hermanson jest w domu.

- Nie - odparł Metcalfe. - Nie ma go tutaj.

- A Eddie? - pytał dalej kierowca. - Nie.

- A gdzie jest?

- Pojechał do miasta, na zakupy - odpowiedział Metcalfe. Kierowca podziękował mu i wyjechał z powrotem na drogę.

Winstead, czuwający na górze domu, podniósł karabin i choć nie widział twarzy kierowcy, wymierzył prosto w jego głowę. Gdy ford odjeżdżał, Metcalfe dojrzał przez moment ciemne okulary i płaski kapelusz mężczyzny siedzącego za kierownicą.

- Kto to był?! - wrzasnął z góry Winstead.

Metcalfe uświadomił sobie, kogo przed chwilą zobaczył, dopiero gdy samochód zniknął mu z oczu.

- Baby Face Nelson - wyszeptał.

Zeskoczył z ganku i popędził do gospody, gdzie był telefon.

- To był G-men, bez dwóch zdań, napędziliśmy mu niezłego stracha - powiedział Nelson, gdy odjechali już sprzed domu Hermansona. Między nogami trzymał pistolet; gotów był w razie potrzeby zabić Metcalfe'a. Zaniepokojony i czujny, wjechał do miasta, licząc, że uda mu się zobaczyć z Eddiem Duffym. Tymczasem jednak to on został zauważony przez agenta McRae, który dostrzegł jego samochód, gdy wracał z zakupami do domu Hermansona. McRae zapisał numery rejestracyjne auta, Illinois 639578.

Nelson jeszcze przez jakiś czas krążył nerwowo po Lakę Geneva, wreszcie ruszył z powrotem na południe. Miał wrażenie, że w mieście roi się od agentów federalnych. Wyjechał na główną drogę i zawrócił na południowy wschód, w stronę przedmieść Chicago²⁰.

Cowley odebrał telefon z Lakę Geneva około 14.45. Nie był to najlepszy moment na kryzys; większość jego ludzi przebywała poza biurem. Wezwał dwóch agentów i kazał im natychmiast jechać do Lakę Geneva, wypatrując po drodze samochodu Nelsona. Potem odebrał telefon od agenta Billa Ryana, który czuwał przy podsłuchach telefonicznych wraz z nowicjuszem, Tomem McDade'em*. Cowley kazał Ryanowi i McDade'owi także jechać do Lakę Geneva.

Uważał, że jeśli kierowcą z Lakę Geneva rzeczywiście był Nelson, czterech ludzi mogło nie wystarczyć. Zdecydował, że on i Ed Hollis również pojedą. Po drodze przechodził obok biura Purvisa.

- Baby Face Nelson właśnie wyjechał z Lakę Geneva - powiedział.

- Jedźmy tam - odparł Purvis, wstając zza biurka.

- To nie będzie konieczne - ostudził jego zapal Cowley. - Hollis i ja wybierzemy się na przejażdżkę, może wypatrzymy ten samochód. Kiedy będę coś wiedział, zadzwonię do ciebie²¹.

Purvis zaproponował, że zadzwoni do Waszyngtonu. Cowley ;i powiedział mu, by nie się nie trudił, bo „ta informacja jest dość nie-} pewna”. Purvis zadzwonił tak czy inaczej, informując o wszystkim jednego ze współpracowników Hoovera²².

Pół godziny później agenci Ryan i McDade jako pierwsi wjechali na drogę 12, szeroką autostradę o dwóch dwupasmowych jezdniach rozdzielonych pasem zieleni. Jechali na północny zachód, w stronę Wisconsin, przyglądając się mijanym samochodom; Ryan zapisał wcześniej numery rejestracyjne Nelsona i przypiął je do osłony przeciwsłonecznej. McDade prowadził ich forda coupe. W Fox River Grove Ryan kazał mu się zatrzymać i sprawdzić tawernę Louisa Cernocky’ego. Nie znaleźli tu jednak Nelsona ani jego samochodu, pojechali więc dalej w stronę Wisconsin.

W chwili gdy wyjeżdżali z Fox River Grove, przemknął obok nich czarny ford, który zmierzał na południowy wschód, w stronę Chicago. Obaj agenci spojrzeli na tablice rejestracyjne.

- 578! - krzyknęli jednym głosem.

- Zawracaj! - warknął Ryan. Przechylił głowę, by przyjrzeć się odjeżdżającemu fordowi. - W środku są dwaj mężczyźni i kobieta -

* William C. „Bill” Ryan był pierwszym spośród trzech braci, którzy pracowali w FBI. Jego syn także był agentem. Bill Ryan brał udział w akcjach w Little Bohemia i pod kinem Biograph. Był członkiem drużyny koszykarskiej Biura, która w latach 1931-32 zdobywała mistrzostwo w rozgrywkach ligi rządowej. Pracował w FBI od 1932 do 1958. Zmarł w 1967, w wieku 60 lat.

stwierdził; pasowało to do opisu samochodu z Lakę Geneva. McDade wjechał na pas zieleni i zawrócił, ruszając śladem forda. Nelson widział, jak samochód FBI zwalnia i zawraca.

- Co to miało być, do diabła? - spytał Chase’a, który siedział z tyłu, z karabinem automatycznym Browning na kolanach. - Sprawdźmy lepiej, co to za ptaszki²³.

Nelson zwolnił i także zawrócił, wjeżdżając na pasy prowadzące na północ.

- Zawracają! - rzucił Ryan do McDade’a.

Samochód Nelsona pojechał na północ, mijając się z nimi. Chwilę później znowu zawrócił na drogę prowadzącą na południe.

- Znow zawrócili! - krzyknął Ryan. Teraz Nelson jechał za samochodem FBI.

- Trzymajmy się przed nimi - zaproponował McDade.

- Nie. - Ryan pokręcił głową. - Niech podjadą, żebyśmy mogli przyjrzeć im się z bliska. - Wsunął swój pistolet między nogi.

Nelson trzymał się w odległości kilkuset metrów za samochodem FBI jadącym z prędkością około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Obaj kierowcy obserwowali się nawzajem. Nagle Nelson bez ostrzeżenia nacisnął mocniej na pedał gazu, wielki ford poderwał się do przodu. Agent Ryan patrzył, jak zbliża się do ich auta.

- Są tuż za nami! - powiedział McDade'owi.

Chwilę później Nelson zrównał się z autem FBI i zatrąbił.

- Zjedź na bok!

McDade i Ryan zobaczyli, że Chase mierzy do nich z karabinu.

- Wynośmy się stąd! - krzyknął Ryan. McDade pochylił się i nacisnął pedał gazu. Tym razem to auto FBI poderwało się gwałtownie do przodu.

- Daj im popalić! - zawołał Nelson, spychając Helen w dół siedzenia. Chase się zawahał. Nie wiedział, kto jest w tamtym samochodzie.

Agent Ryan nie czekał. Wymierzył w forda i strzelił siedem razy, nie zważając na to, że łuski padają na twarz McDade'a. Nelson, trzymając kierownicę w jednej ręce i pistolet w drugiej, odpowiedział ogniem. Okna obu samochodów eksplodowały. Chase wciąż się wahał.

- Co ty wyprawiasz, do diabła! - wrzasnął Nelson. - Nie widzisz, że do nas strzelają?

Chase zaczął w końcu strzelać z karabinu, ale jego pociski jakoś nie trafiały w auto FBI. Ryan i McDade zaczęli się oddalać. Nelson nie mógł ich dogonić.

- Musieli trafić w silnik! - powiedział. - Zwalniamy! Agent McDade stracił forda z oczu.

- Gdzie oni są? - warknął.

- Zostali z tyłu! - odparł Ryan.

„W tej właśnie chwili Sam Cowley i Ed Hollis jadący w czarnym hudsonie na północny zachód minęli strzelaninę na pasach prowadzących w przeciwnym kierunku. Hollis natychmiast zawrócił. Tymczasem Ryan i McDade oglądali się za siebie, szukając forda Nelsona. Nie dojrawszy go, McDade skręcił w boczną drogę. Obaj agenci wyskoczyli z samochodu i przypadli w wysokiej trawie, czekając na gangstera.

Nelson, którego samochód jechał coraz wolniej, widział, jak zawraca auto Cowleya. Obserwował je we wstecznym lusterku.

- Jakiś hudson się do nas zbliża - stwierdził. Próbował przyspieszyć, bez skutku. Przed stacją obsługi w miasteczku Barrington gwałtownie skręcił kierownicą w prawo i zjechał z

szosy. Zatrzymał się na drodze gruntowej przy stacji i kazał wszystkim wysiadać. Helen schowała się w rowie.

Agent Hollis zobaczył forda Nelsona dopiero w momencie, gdy się z nim zrównał. Zatrzymał się z takim piskiem hamulców, że wzbudził zainteresowanie klientów ze stacji benzynowej Standard Oil po drugiej stronie autostrady oraz stacji Shell odległej o 250 metrów. Samochód FBI zatrzymał się ukośnie w poprzek prawego pasa, 50 metrów od miejsca, w którym obok swego samochodu stali Nelson i Chase z bronią gotową do strzału.

Nelson stanął na stopniu forda i otworzył ogień z karabinu automatycznego, nim jeszcze Hollis i Cowley wysiedli. Pociski wbiły się w tył hudsona. Chase położył karabin na masce forda i także zaczął strzelać. Po chwili Nelsonowi zacięła się broń: rzucił karabin do Chase'a, krzycząc, by go przeładował, sam zaś chwycił pistolet i strzelał dalej.

Cowley wyskoczył z samochodu, trzymając w dłoniach pistolet maszynowy. Ten powolny mormon, który przez całe życie pracował za biurkiem, był chyba ostatnim człowiekiem, jakiego Hoover chciałby wysłać przeciwko Nelsonowi. Ani Cowley, ani Hollis nie mieli na sobie kamizelek kuloodpornych; Cowley narzekał, że są za ciężkie. Co więcej, pomimo usilnych próśb ze strony Biura, w ogóle nie ćwiczył na strzelnicy. Niemniej jednak, przyczajony za samochodem, oddał serię w stronę Nelsona, który również odpowiedział ogniem. Co najmniej sześć pocisków trafiło Nelsona w pierś i brzuch.

Gangster zgiął się wpół, jednak napędzany adrenaliną, która krążyła w jego żyłach, nie przestawał strzelać. Cowley dostał dwiema kulami, osunął się na drogę i stoczył do rowu obok samochodu. Jeden pocisk przeszył brzuch, drugi pierś. Kamizelka kuloodporna prawdopodobnie zatrzymałaby obie kule.

Hollis wyskoczył zza drzwi kierowcy i wypalił z obciętej śrutówki. Grad śrutu uderzył Nelsona w nogi, lecz gangster nie upadł. Chwiejnym krokiem szedł naprzód, strzelając do Hollisa, który biegł przez drogę, szukając schronienia za słupem telefonicznym. Porzuciwszy śrutówkę, agent wyjął pistolet i strzelał w biegu. Pocisk z karabinu maszynowego gangstera uderzył go w czoło. Hollis upadł tuż obok słupa telefonicznego.

Nelson, ciężko ranny, ruszył w jego stronę. Ludzie na pobliskich stacjach benzynowych patrzyli ze zdumieniem, jak zataczając się, podchodzi do agenta. Kilku świadków twierdziło potem, że Nelson strzelił do Hollisa leżącego na ziemi; nie zrobił tego. Nie zwracając uwagi na Cowleya, który wciąż leżał w rowie, Nelson dowlókl się do hudsona FBI i usiadł za kierownicą. Na wstecznym biegu dojechał do swojego forda.

- Wrzuć tutaj broń i jedziemy! - wychrypiał. Chase posłusznie chwycił broń leżącą na ziemi i wrzucił ją do hudsona. Już wsiadał, gdy Nelson powiedział: - Będziesz musiał

prowadzić. Jestem ranny.

Chase obszedł samochód, otworzył drzwi po stronie kierowcy i przesunął Nelsona na drugą stronę siedzenia. Wszędzie pełno było krwi.

- Co z Helen? - spytał Chase, siadając za kierownicą.

- Nie możemy się nią teraz zajmować - odparł Nelson. - Musimy ją zostawić.

W tym momencie Helen dobiegła do samochodu, wskoczyła na tylne siedzenie, obok broni, a Chase dodał gazu i odjechał.

Pierwszy na miejsce strzelaniny dotarł William P. Gallagher, policjant z drogówki Illinois, który tego dnia sprzedawał na stacji Shella cegiełki na rzecz organizacji weteranów American Legion. Słyszac strzały, zabrał ze stacji karabin i strzelił do uciekającego w hudsonie

Nelsona. Kiedy hudson odjechał, Gallagher oraz inny mężczyzna, który zatrzymał samochód, zobaczywszy strzelaninę, popędzili przez drogę do Hollisa. Agent leżał na boku. Na jego piersi błyszczała złota odznaka. Pocisk, który trafił w czoło, oderwał mu tył głowy. Gallagher próbował z ciężko rannym nawiązać rozmowę, lecz Hollis, któremu zostało kilka minut życia, mógł tylko wydać z siebie ciężkie westchnienie i poruszyć oczami.

Gallagher pospieszył do Cowleya, który leżał w rowie, z nogami na drodze. Prawa strona jego twarzy pokryta była krwią; jeden z pocisków uderzył go w pobliżu oka.

- Nie strzelać, agent federalny - wyszeptał Cowley. Gallagher pochylił się nad nim.

- Hollis dostał? - spytał Cowley. Gallagher skinął głową.

- Najpierw nim się zajmijcie - powiedział Cowley. Potem poprosił Gallaghera, by zadzwonił do biura w Chicago, Randolph 6226, i opowiedział o wszystkim. Poprosił również, by Gallagher skontaktował się z jego żoną i powiedział, że nie wróci na kolację.

Tymczasem na drodze tworzył się korek, a dokoła zbierał się tłum gapiów. Gallagher zapakował Hollisa do jakiegoś samochodu i kazał kierowcy jechać do Barrington Central Hospital. Hollis zmarł w drodze. Gallagher znalazł w jego kieszeni różaniec i wezwał księdza*. Kilka minut później na miejsce strzelaniny przyjechał ambulans, który zabrał Cowleya do szpitala w miasteczku Elgin.

Agenci Ryan i McDade wciąż leżeli w trawie, przy tej samej drodze. Nie wiedzieli nic o dramatycznych wydarzeniach, które rozegrały się kilkaset metrów dalej; o 16.15 Ryan pobiegł do automatu i zadzwonił do Purvisa, ale poinformował go tylko o własnych działaniach. Pięć minut później, gdy Purvis rozmawiał przez telefon, składając relację Hooverowi, zadzwonił do szefa policji z miasteczka Stamford z wiadomością o śmierci Hollisa i ciężkim stanie Cowleya.

Purvis natychmiast pojechał do szpitala w Elgin. Dotarł tam w chwili, gdy Cowleya wieziono na salę operacyjną. Wszelkie ani-

* Gdy Hollis umierał, jego żona, Genevieve, czekała wraz z synkiem w holu Bankers Building; zrobiła sobie przerwę w popołudniowych zakupach, by zrobić mężowi niespodziankę. Została wezwana na górę, gdzie Doris Rogers widziała, jak jeden z agentów przekazuje jej tragiczną wiadomość.

może, jakie istniały jeszcze między tymi dwoma agentami, zniknęły w tym momencie bez śladu.

- Cześć, Melvin, cieszę się, że tu jesteś - wyszeptał Cowley.
- Leż spokojnie, a nic ci nie będzie - odparł Purvis.
- Masz co do tego jakieś wątpliwości?
- Nie. - Purvis pokręcił głową.
- Wystrzelałem do nich cały magazynek - powiedział Cowley.
- Kto to był?
- Nelson i Chase.

Nelson umierał; nawet Helen to wiedziała. Miał siedemnaście ran postrzałowych - pięć w brzuchu i boku, dwie w piersi i po pięć na każdej nodze, gdzie trafił go śrut z obrzynka Hollisa; najgorszy był postrzał na lewo od pępka, gdzie pocisk kalibru.45 wystrzelony przez Cowleya przeszedł bokiem przez podbrzusze. Krew bez ustanku tryskała z rany, mocząc spodnie Nelsona i spływając struzką na fotel.

Z autostrady 12 Chase skręcił na wschód, na drogę 22, dwupasmową asfaltową jezdnię prowadzącą przez gęsty las ku północnym przedmieściom Chicago. Dotarli do Waukegan Road, skręcili na południe i, według zeznań jednego ze świadków, zatrzymali się w klasztorze w Techny. Nelson, który przez cały czas był przytomny, szukał tam swego starego przyjaciela, ojca Coughlina. Opuściwszy klasztor, pojechali dalej na południe, na przedmieścia Wilmette, gdzie znaleźli dom siostry Coughlina przy 1115 Mohawk. Był to duży, piętrowy budynek z cegły, do którego prowadził podjazd okolony drzewami (dom ten stoi do dzisiaj).

Ojciec Coughlin zeznał później, że był w domu siostry, kiedy około 16.45 ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyła pokojówka i przywołała go. W drzwiach stała Helen. Powiedziała, że „Jimmy” został postrzelony i potrzebuje pomocy. Ojciec Coughlin włożył płaszcz, wcisnął na głowę kapelusz i poszedł za nią do garażu. Nelson, przytrzymywany przez Chase'a, stał oparty o samochód.

Coughlin powiedział im, że nie mogą zostać; jego siostra lada moment mogła wrócić z

brydża.

- On umiera - błagała Helen. - Musi pojechać gdzieś, gdzie będzie mógł się położyć.

Coughlin powiedział, że zabierze ich w jakieś bezpieczne miejsce; mieli jechać za jego samochodem.

- Chyba nie próbowałbyś nas nabrać, prawda, ojczy? - spytał Chase.

Coughlin pomógł usadzić Nelsona na przednim siedzeniu. Nelson ledwie mógł mówić.

- Witaj - wyszeptał kapłanowi do ucha.

Ojciec Coughlin ruszył swoim samochodem, Chase za nim. Kapłan powiedział później agentom, że nie wiedział, dokąd ma jechać. To nie miało znaczenia. Po kilku minutach Nelson zaczął podejrzewać zdradę.

- Zostaw go. On coś kombinuje - powiedział do Chase'a. - Zawróć i jedź w drugą stronę.

Kiedy ojciec Coughlin stracił z oczu samochód Nelsona, wrócił do domu siostry i o 18.15 zadzwonił do biura FBI. Agenci pojawili się u niego po godzinie.

Za przyzwoleniem Hoovera agenci zaczęli wieczorem sprawdzać wszystkich znajomych Nelsona. Trzech pojechało do zajazdu Cernocky'ego w Fox River Grove. Agent Ryan wraz z dwoma oddziałami chicagowskiej policji najechał dom i warsztat Clarea Liedera; zabrali Liedera do aresztu. Dwaj agenci, wspierani przez cztery oddziały policji, wpadli do domu Jimmy'ego Murraya, do jego rodziców i do Rain-Bo Inn, nigdzie jednak Murraya nie znaleźli. FBI sprawdziło również dom siostry Nelsona przy South Marshfield Avenue, a oddział złożony z dziesięciu agentów pojechał do domku letniskowego Murraya w Wauconda. Nelson wciąż pozostawał nieuchwytny.

Tymczasem Cowley był już po operacji. Lekarze stwierdzili: „Stan jest ciężki, ale ranny ma szansę przeżyć, jeśli nie dojdzie do zapalenia otrzewnej”; taką wiadomość przekazał Hoover bratu Cowleya, Joemu²⁴. W rzeczywistości, jak zwierzył się potem jednemu ze swych współpracowników, lekarze dawali Cowleyowi najwyżej 25 procent szans na przeżycie nocy²⁵.

Choć Cowley umierał, Hoover pochłonięty był całkiem innymi problemami. Chodziło znów o Purvisa. Hoover nie mógł tego zrozumieć - Purvis zachowywał się tak, jakby dziennikarze byli narkotykiem, którego nie potrafił rzucić. Został w szpitalu i udzielił wywiadu reporterowi „Chicago American”, siedząc przy łóżku Cowleya wraz z jego żoną, Lavon, i ich dwoma synkami.

- Choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię, dopadnę Baby Face

Nelsona żywego lub martwego - szeptał do dziennikarza Elgara Browna. - Nelson powinien wiedzieć, że nie ma żadnych szans na ucieczkę... Nie interesuje nas szczególnie, czy wpadnie w nasze ręce żywy czy martwy²⁶.

Hoover nie posiadał się ze złości. Szukał gorączkowo kogoś, kto pomoże mu się Purvisa pozbyć. Jego zastępcy, Hugh Clegg i Pop Nathan, wygłaszali właśnie przemówienia w Pittsburghu i Tuscon; Hoover kazał im natychmiast wrócić do Chicago. Chciał, by Purvis opuścił szpital i znalazł się poza zasięgiem dziennikarzy. Powiedział Cleggowi, by „uświadomił panu Purvisowi, że powinien trzymać się z dala od biura i wszelkich miejsc publicznych”²⁷. Clegg zasugerował, że Purvis może pracować w tylnych pokojach biura FBI; Hoover nie zgodził się nawet na to. Po kilku dniach do „American” przeciekła wiadomość, że Purvis „ze względu na nadmiar pracy podupadł na zdrowiu i jest na zwolnieniu chorobowym... Dobrze poinformowane osoby twierdzą, że nie będzie już dłużej kierował biurem FBI w Chicago”²⁸.

Tymczasem stan Cowleya pogarszał się z godziny na godzinę. Tuż po północy jeden z agentów usłyszał przypadkiem, jak lekarze mówili, że ranny nie dożyje świtu. Godzinę później Purvis, już z biura, zadzwonił do Waszyngtonu z informacją, że „pan Cowley jest w ciężkim stanie i prawdopodobnie umrze w ciągu najbliższych dwóch godzin”. A potem wrócił do szpitala. Cowley zmarł 28 listopada, w przeddzień Dnia Dziękczynienia, o godzinie 2.17. Jego żona, Lavon, załała się łzami. Lekarze dali jej środek uspokajający.

Pięć godzin później, o 7.30 policja miasteczka Winnetka znalazła w rowie samochodów FBI skradziony przez Nelsona. Potem, gdy na miejscu pojawili się agenci FBI, ktoś zadzwonił do zakładu pogrzebowego Sadowski Funeral Home w podmiejskim Niles Center (obecnie Skokie) i poinformował właściciela zakładu, Philipa Sadowskiego, że w pobliżu miejscowego cmentarza znajdzie zwłoki*. Sadowski przekazał tę wiadomość policji Niles Center, a policja poinformowała FBI. Tuż przed południem policjanci znaleźli w przykmentarnym rowie zakrwawione spodnie, koszulę, bieliznę i skarpetki. Godzinę później, w innym rowie, na rogu alej Niles i Long, natrafili na ciało nagiego mężczyzny owinięte w koc. Był to Nelson.

* Nigdy nie ustalono tożsamości człowieka, który zadzwonił z tą informacją. Mogła to być siostra Nelsona, jego żona Helen lub inny członek rodziny, a także John Chase.

Chase wioził umierającego Nelsona przez ulice Wilmette, stosując się do jego coraz mniej wyraźnych wskazówek. Około szóstej trzydzieści wieczorem skręcili w alejkę za domem przy Walnut Street i zaparkowali w garażu. Dom należał do niejakiego Raya Hendersona, który prawdopodobnie był znajomym pasera Jimmy’ego Murraya. Chase wniósł

Nelsona do środka i ułożył na łóżku. Helen rozebrała go i owinęła ręcznikiem, bezskutecznie próbując zatrzymać krwawienie. Nelson gasł w oczach, raz po raz tracił i odzyskiwał przytomność. Jego ostatnie chwile, podobnie jak ostatnia walka, przypominały sceny z gangsterskich filmów, które tak lubił.

- Robi się ciemno, Helen - wyszeptał w pewnej chwili. - Pożegnaj ode mnie matkę. - Potem wymienił również imiona braci i sióstr. Kiedy poprosił, by pożegnała ich dzieci, zaczął płakać. Kilka minut później powtórzył: - Robi się ciemno, Helen. Nie widzę cię. - Zmarł o 19.35.

Następnego ranka Chase ułożył ciało Nelsona w rowie i zbiegł. Helen, przerażona i zdezorientowana, uciekła do rodziny; FBI aresztowało ją dwa dni później. Przegapiła pogrzeb męża. Nelson został pochowany obok swego ojca na podmiejskim chicagowskim cmentarzu, gdzie jego prochy spoczywają do dzisiaj.

Wkrótce po najkrwawszym dniu w krótkiej historii FBI odbyły się dwa pogrzeby. Herman „Ed” Hollis pochowany został na cmentarzu w swoim rodzinnym Des Moines, Sam Cowley w Salt Lake City. Przed pogrzebem ciało Cowleya zostało wystawione na widok publiczny; tysiące Amerykanów oddały mu cześć.

Mowę pogrzebową wygłosił Pop Nathan. „Przywozimy Sama z powrotem do Utah jako narodowego bohatera i męczennika - mówił. - Gazety piszą o jego licznych dokonaniach, znają go mężczyźni, kobiety i dzieci we wszystkich zakątkach kraju. Jest sławny, i słusznie. A mimo to Sam Cowley był jednym z najprostszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem. Był prosty w cudowny, wielki sposób. Był po prostu wielki. Mówię tu o prostocie świętych, wizjonerów i herosów sprzed wieków, o prostocie prawdziwej godności i prawdziwego honoru. My, ludzie Biura, jesteśmy z niego dumni. Nowe pokolenia agentów będą uczyły się o jego życiu i śmierci. Sam Cowley osiągnie ziemską nieśmiertelność”.

Naprawdę tak się stało. Przez kolejne dziesięciolecia Hoover stawiał cichego, pracowitego i oddanego Cowleya za wzór. Do tej pory Cowley pozostaje najwyższym rangą agentem FBI, jaki zginął na służbie.

18

OSTATNI MOHIKANIN

3 grudnia 1934 - 20 stycznia 1935

Chicago, Illinois 3 grudnia, poniedziałek

Tego ranka posępní agenci FBJ zaczęli przenosić dokumenty do nowych biur w New York Life Insurance Building, budynku odległego o dwie przecznice od Bankers Building.

Sytuacja na osiemnastym piętrze stała się nieznośna. Dziennikarze kręcili się tam przez całą dobę, zadreżczali Doris Rogers, próbowali podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, wymyślali jakieś historie, gdy tylko w stronę windy zmierzała większa grupa agentów. Przed śmiercią Cowley prosił o nowe „tajne biuro”, gdzie mógłby w spokoju dokończyć wojnę z przestępczością. Dostał je po śmierci¹.

Na miejsce Cowleya Hoover powołał Earla Connelleya, małomównego szefa agentów z Cincinnati, który podczas obławy na Dillingera nadzorował działania FBI w Ohio. Connelley przekonał się szybko, że morale w Brygadzie Dillinger - teraz znanej jako Latająca Brygada - jest bardzo niskie. Ludzie byli u kresu sił. Trzech z nich dopiero co zginęło w akcji. Nikt nie chciał być następnym. Kilku agentów badało cichaczem sytuację w firmach prawniczych w swych rodzinnych miastach, licząc, że uda im się znaleźć inną, bezpieczniejszą pracę.

Rankiem Connelley zwołał zebranie, podczas którego chciał omówić tropy dotyczące Barkerów. Od września, kiedy gang uciekł z Cleveland, nie widziano nigdzie żadnego z jego członków, lecz dzięki ówczesnym działaniom pozyskano mnóstwo cennych informacji (wiele z nich pochodziło od zatrzymanych kobiet Barkerów). Cowley zostawił po sobie kilkanaście obiecujących wskazówek. Connelley czuł, że są już blisko. Pod koniec września spóźnili się ze schwytaniem Ma Barker zaledwie o tydzień: agenci pojechali do jej mieszkania przy South Shore Drive, sprawdzając adres podany przez wdowę po Shotgun George'u Zieglerze, która przeżyła załamanie nerwowe i przebywała w klinice.

Tuż przed śmiercią Cowley otrzymał bardzo ciekawą wiadomość z Miami, gdzie 16 listopada zarejestrowany został samochód, który Karpis rejestrował już wcześniej, pod fałszywym nazwiskiem, w Ohio. Cowley i trzech jego najlepsi agenci polecili na Florydę, by sprawdzić ten trop. Znaleźli samochód i szybko przekonali się, że nie jeździ nim Karpis, lecz niejaki Duke Randall. Randall pracował jako goniec w El Comodoro, hotelu, który policja z Miami opisała jako „miejsce spotkań rekieterów i innego podejrzanego elementu”. Cowley postanowił śledzić Randalla. Trzy tygodnie później w hotelu wciąż mieszkało dwóch agentów, którzy cierpliwie czekali i obserwowali.

Hawana, Kuba

W ten sam poniedziałek, gdy Connelley i jego ludzie przeprowadzili się do nowych biur, do Hawany przybył agent Loyde E. Kingman*. W kieszeni nosił zdjęcia Williego Harrisona, pomocnika gangu Barkerów i miłośnika wyścigów konnych; ta słabość do wyścigów skłoniła Cowleya do umieszczenia jego zdjęć na wszystkich torach, od Nowego

Orleanu po Miami. Tego dnia Kingman pokazał zdjęcia Harrisona urzędnikom z International Racing Association, którzy zgodzili się je rozesłać po wszystkich torach na Kubie. Potem zamierzał sprawdzić lokale, gdzie zbierali się często amerykańscy expatrianci: Sloppy Joe's Bar, Donovan's Bar, Eden Concert Night Club, Habana-Madrid Jai Alai Fronton. Pod koniec dnia powlókł się do hotelu Parkview i stanął w kolejce do recepcji.

Mężczyzna stojący przed nim wcale się nie spieszył, zajęty rozmową z recepcjonistką. Kingman się zniecierplwił.

- Przepraszam, pozwoli pan, że się zamelduję? Alvin Karpis odwrócił się do niego.

- Nie, nie pozwolę².

* Urodzony w 1894 Loyde E. Kingman pracował w FBI od 1927 do 1953. Mentor wielu młodych agentów, znany w Biurze jako „King”, zmarł w 1978.

Karpis nikomu, nawet Fredowi Barkerowi, nie powiedział, że zamierza ukryć się na Kubie. Podzieliwszy we wrześniu pieniądze z okupu, wyjawiał tylko, że można się z nim skontaktować przez El Comodoro w Miami. Pierwszej nocy Karpis i ciężarna Delores Delaney przejechali trzysta kilometrów i zatrzymali się na kempingu w południowej Indianie. Następnego wieczora dojechali do Birmingham w Alabamie. Dotarli do wybrzeża Atlantyku w chwili, gdy rozpętał się tropikalny sztorm, który niemal zwał ich forda z drogi. Tuż za Fort Pierce niebo się wypogodziło. Noc była ciepła. Karpis pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Delaney wystawiła głowę za okno, rozkoszując się tropikalną bryzą i widokiem palm. Karpis zobaczył samochód policyjny dopiero w chwili, gdy reflektory błysnęły w lusterku wstecznym. Jechał sto czterdzieści na godzinę.

Zatrzymał się na poboczu. Obserwował w lusterku, jak policjant w płaszczu przeciwdeszczowym zbliża się do jego samochodu.

- Bardzo się pan spieszy? - spytał policjant.

- Właściwie nie - odparł Karpis. - Chciałbym dostać się do Miami.

- Jedzie pan dosyć szybko.

Karpis odparł, że wydawało mu się, iż na Florydzie nie ma ograniczenia prędkości.

- Może i nie ma - powiedział policjant - ale mogę uznać, że jedzie pan niebezpiecznie szybko, i zatrzymać pana pod zarzutem stwarzania zagrożenia na drodze. Jeśli w taką noc jedzie pan sto czterdzieści na godzinę, z pewnością jest to niebezpieczne. Ale widzę, że ma pan rejestrację z Illinois i pewnie przyjechał pan tu odpocząć, więc nie chcę panu psuć wakacji.

- Będę jechał wolniej - obiecał Karpis i policjant odszedł. Następnego ranka Karpis i Delaney dotarli do Miami i pojechali do hotelu El Comodoro. Karpis zameldował się tam i

przedstawił menedżerowi, Joemu Adamsowi, który miał sporo kontaktów w półświatku południowej Florydy. Karpis zostawił u niego swoje auto, a także karabin maszynowy i dwie kamizelki kuloodporne; Adams obiecał, że pozbędzie się tego wszystkiego (to właśnie on pożyczył auto swemu gońcowi, Duke'owi Randallowi). Kierując się radą Adamsa, Karpis i Delaney potruczali w deszczu do domu handlowego, gdzie kupili jedwabne koszule, kąpielówki i stroje kąpielowe, przygotowując się do wyjazdu na Kubę. Wieczorem Adams przysłał do ich apartamentu szampana i steki, a następnego ranka zawiózł oboje na dworzec kolejowy.

W południe tego samego dnia, w sobotę 15 września, byli już w Key West i ustawili się w kolejce podróżnych czekających na wejście na pokład parowca „Cuba”. Delaney była zachwycona wyczynami młodego, opalonego mężczyzny, który nurkował po monety rzucane przez turystów. Właściwie była zachwycona wszystkim, turkusowym morzem, palmami i pinacoladą. Miała siedemnaście lat, była w ciąży i kochała cały świat. Karpis patrzył na nią i myślał: Boże, jak dobrze być przestępcą.

We wrześniu 1934 roku Hawana wciąż dochodziła do siebie po rewolucji, która wstrząsnęła miastem zaledwie rok wcześniej, gdy trzydziestodwuletni sierżant Fulgencio Batista przejął władzę. W latach dwudziestych tłumy Amerykanów szturmowały nieskazitelnie czyste plaże i eleganckie kasyna Kuby, jednak sporadyczne akty przemocy, pokłosie zamachu stanu Batisty, odstraszyły wielu turystów. Dwa kasyna Hawany zaczęły podupadać; proces ten został przerwany dopiero w roku 1938, gdy na Kubę przybył mało znany biznesmen, Meyer Lansky, który wprowadził profesjonalne metody zarządzania.

Gdy po sześciogodzinnym rejsie parowiec przybił do portu, Karpis i Delaney zostali przytłoczeni chaosem panującym w dokach Hawany. Tragarze tłoczyli się i przekrzykiwali, namawiając *gringos*, by skorzystali z ich usług. Karpis nigdy nie widział podobnego zamieszania. Kiedy znaleźli się już w hotelu Parkview, boj hotelowy zabrał ich bagaże. Karpis zostawił wiadomość dla właściciela, Nate'a Hellera, człowieka, któremu zdaniem Joego Adamsa można było zaufać; potem umył się i wybrał na spacer po mieście. Zatrzymał się w kolejnym lokalu poleconym mu przez Adamsa, George's American Bar, i przedstawił się właścicielowi, który postawił mu dwie kolejki rumu z colą i opisał pokrótce zwyczaje miejscowej policji. Karpis, który nigdy nie miał tęgiej głowy, ledwie trzymał się na nogach, gdy wychodził z baru.

W pokoju znalazł wiadomość od Nate'a Hellera. Spotkali się na dole.

- Chcę zatrzymać się tutaj na chwilę, ale niekoniecznie w Hawanie - powiedział Karpis. - Może pan wskaże mi jakąś miejscowość na wybrzeżu, gdzie mógłbym zamieszkać

na dłużej. Chciałbym, żeby było to jakieś spokojne, ciche miejsce, z dala od tłumów, od policji i wszystkich innych.

Uważnie obserwował reakcję Hellera, który jednak uśmiechnął się życzliwie.

- Mieszka tutaj mnóstwo ludzi, którzy nie chcą rozmawiać z policją - powiedział. -
Wie pan, mieliśmy tu trochę kłopotów.

- Tak, rozumiem.

- Batista przejął władzę, ale nie do końca, choć tak się niektórym wydaje - kontynuował Heller. - Jeśli usłyszysz pan strzelaninę, proszę się nie przejmować, bo Batista rządzi od niedawna i nie zdążył jeszcze wszystkiego poukładać. Nie należy z nikim rozmawiać o polityce, rozumie pan? - Karpis skinął głową. Heller obiecał, że znajdzie mu jakiś dom na uboczu. Obaj umówili się na spotkanie na następny dzień.

Karpis wyszedł przed hotel, stanął na chodniku i wciągnął w nozdrza wilgotne nocne powietrze.

- Przepraszam - zaczepił go jakiś turysta. - Wie pan może, gdzie tutaj jest sklep?

Boj hotelowy usłyszał pytanie i skierował tego człowieka do sklepu przy następnej przecznicy.

- A niech tam, pójdę z panem - zaoferował się Karpis. - Kupię sobie karty.

Kupił w sklepie talię kart, a potem z nowym znajomym wyszedł na ulicę. Chciał właśnie powiedzieć coś o pogodzie, kiedy nagle w pobliżu rozległa się ogłuszająca eksplozja. Ulica Prado wypełniała się dymem. Bez wątpienia wybuchła tam bomba.

- Chodźmy! - krzyknął Amerykanin, biegnąc w stronę dymu.

- Nie ma mowy! - odparł Karpis. Wrócił do hotelu, przypuszczając, że lada moment na miejscu eksplozji pojawi się policja. Recepcjonista mu poradził, by został w pokoju; na dachach wkrótce mieli pojawić się snajperzy.

- Jezu Chryste - zżymał się Karpis. - Myślałem, że uciekłem od strzelanin.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji opuścił Hawanę. Heller znalazł mu sześciopokojowy dom do wynajęcia, na plaży obok miasteczka Varadero. Karpis nigdy w życiu nie widział równie pięknego miejsca. Piasek był biały jak śnieg, woda skrzyła się błękitem i zielenią. Do wyposażenia domu należała czterometrowa motorówka, którą

Karpis niemal codziennie wypływał na ryby do Zatoki Meksykańskiej. Zatrudnił pokojówkę, służącego i koreańskiego kucharza, którzy nie umieli ani słowa po angielsku. Czuł się jak w niebie.

Minął miesiąc. Karpis całymi dniami łowił i spacerował z Delores po plaży, zbierając muszle. Pewnego wieczora, gdy siedział na werandzie, przybiegła grupka dzieci, które

powiedziały, że ktoś dzwoni do niego na numer centrali w miasteczku. Był to Nate Heller z wiadomością: Ma była już w drodze do Varadero; dowiedziała się od Joego Adamsa, gdzie mieszkają. Nieco później tej samej nocy Karpis słuchał *Amos'n'Andy* w radiu, gdy nagle uświadomił sobie, że Ma jest już zapewne na miejscu. Pojechał na przystanek autobusowy i zastał tam czerwoną ze złości Ma, która wrywała swą walizkę z rąk kubańskiego chłopca chcącego pomóc jej z bagażem. Gdy Karpis się zbliżył, Ma zwróciła złość przeciwko niemu, wrzeszcząc, że się spóźnił. On tylko roześmiał się głośno i wręczył chłopcu peso.

Przez trzy dni Karpis zabierał Ma na ryby i spacer po plaży. Czas płynął im w spokojnej, miłej atmosferze, która uległa zakłóceniu tylko raz, gdy pewnego popołudnia Ma nie mogła złapać ani jednej ryby i oskarżyła Karpisa, że uszkodził jej wędkę. Taka właśnie była Ma. Kiedy nadszedł czas wyjazdu, Karpis odwiózł ją do Hawany i wsadził do samolotu lecącego do Miami.

Nim opuścił miasto, wpadł do George's American Bar, gdzie znany był jako „pan Wagner”. Żona właściciela, której jedynym hobby było picie coli z rumem od rana do wieczora, pokazała mu jakieś czasopismo detektywistyczne. Otworzyła je na stronie ze zdjęciami gangu Barkerów.

- Wie pan co, panie Wagner - wybełkotała. - Gdybym nie znała pana tak dobrze, przysięgłabym, że to pan.

- Rzeczywiście, całkiem podobny - zgodził się z nią Karpis.

Nie dawała za wygraną, wciąż paplała o niezwykłym podobieństwie pana Wagnera i człowieka z fotografii. Karpis wydał z siebie sztuczny chichot i zaproponował, że odkupi od niej czasopismo za trzydzieści pięć centów.

- Nie, nie! - Chciała pokazać je swoim przyjaciółkom. W tym momencie zza baru wyszedł właściciel, który wyrwał jej czasopismo z rąk.

- Bierz te trzydzieści pięć centów - warknął i puścił oko do Karpisa. Gdy następnego dnia Karpis wrócił do Varadero, zauważył, że Delores robi się niespokojna.

- Może wyjechałabyś na kilka dni do Miami? - zaproponował.

- Pozwolisz mi?

- Jasne. Zgłoś się do El Comodoro, jeśli chcesz, możesz też pojechać do Freddiego i jego matki. Kiedy już tam będziesz, rozejrzyj się po okolicy, poszukaj jakiegoś miejsca, w którym chciałabyś zamieszkać, bo nie możemy zostać tutaj na zawsze. - Karpis także robił się niespokojny. Kuba była zbyt brutalna jak na jego gust.

Delores spędziła w Miami tydzień i wróciła ze szczeniakiem buldoga. Wraz z Karpisem ponownie wpadła w leniwy rytm jedzenia, łowienia i opalania się, aż pewnego

wieczora, gdy Karpis słuchał wiadomości Lowella Thomasa, podano informację o śmierci Pretty Boy Floyda.

- Jezu Chryste! - warknął Karpis. - Wszystkich rozwalają! - Właściwie jednak nie czuł żalu. Lepiej on niż ja, pomyślał.

Kilka dni później podczas podróży do Hawany rozmiął tysiąc-dolarowy banknot w oddziale Royal Bank of Canada. Zauważył, że niektóre banknoty, które otrzymał w zamian, są wyblakłe. Sprawdził numery. Pochodziły z Minneapolis. Uświadomił sobie nagle, że to pieniądze z okupu za Bremera - pieniądze, które rzekomo trafiły do Caracas i Meksyku. Był wściekły; oznaczało to, że lada chwila mogą pojawić się na Kubie agenci FBI.

Wciąż nie ochłonął ze złości, gdy kilka tygodni później w radiu podano wiadomość o śmierci Baby Face Nelsona. Po kilku dniach pojechał do Hawany. Musiał wy badać, czy Kuba wciąż jest bezpieczna. Wynajął pokój w Parkview Hotel i spytał o Nata Hellera. Zatrzymał się na chwilę, rozmawiając z recepcjonistką. Właśnie wtedy jakiś sympatyczny Amerykanin spytał, czy mógłby go przepuścić, bo chciałby się zameldować.

Karpis przyjrzał się uważnie młodemu mężczyźnie. Kapelusz i garnitur świadczyły o tym, że był Amerykaninem. Karpis natychmiast nabrał podejrzeń. Obserwował, jak nieznajomy wypełnia kartę meldunkową wpisując nazwisko Kingman i adres w Jacksonville.

Potem ruszył do windy. Z niepokojem stwierdził, że Kingman idzie za nim. Zamknęły się drzwi. Zostali sami. Milczeli. Karpis wysiadł na swoim piętrze. Już w pokoju zaczął analizować to zajście. Po chwili powiedział sobie, że niepotrzebnie się przejmuje; ten człowiek zapewne jest komiwojażerem.

Wieczorem poszedł na umówioną kolację. Siadał właśnie do stołu, gdy usłyszał klakson. Wyjrzał przez okno. Zobaczył forda A Hellera, przeprosił współbiedników i wyszedł do samochodu. Heller był podekscytowany. Kingman rzeczywiście był agentem FBI. Chciał, by Heller poznał go z szefem biura Associated Press. Wypili po drinku.

- Słyszę w radiu i czytam w gazetach, że załatwiliście już wszystkich gangsterów - powiedział Heller do Kingmana.

Nie, odparł Kingman, jeszcze nie.

- To jest sukinsyn, którego bardzo chcemy dopaść - oświadczył, kładąc na stole fotografię.

Heller przerwał opowieść i spojrzał na Karpisa.

- Jak myślisz, kto był na tym zdjęciu?

- Kto? - spytał Karpis. - Ty.

Później Heller zabrał agenta na spotkanie z szefem AP. Obaj mężczyźni zamknęli się w pokoju, zostawiając Hellera samego. Kiedy wyszli, Heller usłyszał, jak Kingman pyta dziennikarza:

- Kiedy jedzie tam jakiś autobus? Dziennikarz odwrócił się do Hellera.

- O której jutro rano odjeżdża autobus do Matanzas? Matanzas było stolicą prowincji Varadero.

Karpis nie stracił głowy. Pojechał natychmiast do Varadero, dotarł tam około trzeciej w nocy. Wyjechał wraz z Delaney o świcie, nie informując o niczym służących. Pojechali prosto na lotnisko w Hawanie, gdzie Karpis wsadził Delaney do samolotu do Miami; sam, podobnie jak w Cleveland, został, by ocenić sytuację. Obiecał Delaney, że następnego ranka wsiądzie na statek do Key West.

Po południu rozmawiał z Hellerem, który wcześniej wypytał dziennikarza AP. Z tego, co mówił Kingman, wynikało, że na Kubę zmierza cała horda agentów FBI zwabionych wieściami o pieniądzach Bremera krążących po wyspie.

Następnego ranka Karpis pojawił się na nabrzeżu, skąd odbijał parowiec do Key West. Najpierw uważnie zlustrował tłum pasażerów, potem wziął głęboki oddech, wszedł na trap i odszukał swoją kajutę. Mijały kolejne minuty, a Karpis wciąż czekał, zlany potem. Wreszcie usłyszał warkot silników i gwizd. Był bezpieczny³.

Przełom nastąpił w Toledo. W poniedziałek 3 grudnia, gdy Latająca Brygada przeniosła się do nowych biur w Chicago, agent z Detroit siedział w biurze prokuratora okręgowego Toledo, Frazia Reamsa. Podczas rozmowy Reams przypomniał sobie coś, o czym wspominał jego brat. Doktor Glen Reams był lekarzem z Toledo. Któryś pacjent powiedział mu, że jego znajoma, dwudziestoczteroletnia dziewczyna z Liepsic w stanie Ohio, niejaka Mildred Kuhlmann, wyszła tego lata za Docka Barkera. Agent, który zapewne nie od razu uświadomił sobie wagę tej informacji, zrozumiał po chwili, że układa się to w sensowną całość: jedna z dziewczyn Barkerów wspominała, że Dock spotykał się z jakąś Mildred.

Jedenaście dni później, rankiem w piątek 14 grudnia, gdy agenci pochłonięci byli poszukiwaniami Mildred Kuhlmann, Frazier Reams zadzwonił do szefa agentów z Detroit, Billa Larsona, i poprosił go o spotkanie w Commodore Perry Hotel w Toledo. Kiedy Larson przybył na miejsce, Reams powiedział mu, że Kuhlmann jest w Chicago. Zadzwoniła właśnie do swojej przyjaciółki, pani J.A. Ranlow. Zobowiązawszy panią Ranlow do zachowania tajemnicy, Kuhlmann opowiadała jej, jak ekscytujące jest życie z Barkerami, jak Dock kupił jej futro z norek za 500 dolarów, jak jeździ w samochodzie z karabinem maszynowym między nogami. Namawiała Ranlow, by przyjechała i zabawiła się razem z nią. Pani Ranlow

wyjechała porannym pociągiem, wcześniej jednak zostawiła adres, pod którym można ją znaleźć: pokój 3121 w chicagowskim hotelu Morrison.

Larson zadzwonił do Earla Connelleya w Chicago. Godzinę później dwaj agenci, Sam McKee i poeta Jim Metcalfe, podeszli do recepcji w hotelu Morrison. W książce meldunkowej nie figurowało nazwisko Kuhlmann ani Ranlow; w pokoju 3121 mieszkała pani A.R. Esser. Sprawdzili połączenia telefoniczne. Wszystkie rozmowy prowadzone były z Toledo.

Sześciu agentów przez cały dzień obserwowało hotelowy hol. O 19.15 obie kobiety zeszły na dół i oświadczyły, że chcą się wymeldować. Connelley stał obok. Kobiety wróciły na górę i pół godziny później wyszły z windy, odprowadzane przez boja hotelowego, który niósł ich bagaże. Z kobietami szedł także niski, krępy mężczyzna w meloniku. Agenci nie widzieli go wcześniej.

Wszyscy troje wsiedli do forda coupe. Agent Ray Suran śledził służbowym autem forda, który wyjechał na Lakę Shore Drive i skierował się na północ, a potem skręcił w lewo, w boczną ulicę, zatrzymał się przed jedną kamienicą, później przed drugą; za każdym razem kobiety podchodziły do budynku, jakby szukały adresu. Ford wyjechał na Broadway, a potem na Melrose, gdzie samochód Surana utknął w korku. Agent z bezsilną złością obserwował, jak dwie kobiety, które mogły naprowadzić ich na ślad gangu Barkerów, znikają w oddali.

Odnaleźli je dopiero po czterech dniach. Agenci sprawdzili numery rejestracyjne forda i trafili do miejscowego salonu samochodowego, gdzie sprzedawca rozpoznał na zdjęciu Russella Gibsona, przyjaciela Docka Barkera, jako nabywcę auta. Sprawdziwszy połączenia telefoniczne z hotelu Morrison, agenci dotarli do hotelu Commonwealth przy Pine Grove Avenue. Pokój, do którego dzwoniły kobiety, zajęty był przez niejakiego Johna Borcii, którego menedżer opisał jako niskiego, krępego mężczyznę, ubranego zazwyczaj w ciemny płaszcz i melonik. Opis pasował do mężczyzny, którego widzieli w hotelu Morrison.

Hoover zgodził się na założenie podsłuchu na telefon Borcii. Śledząc połączenia telefoniczne, agenci dotarli do kamienicy w North Side, gdzie cztery dni później dostrzegli Mildred Kuhlmann obładowaną bożonarodzeniowymi prezentami. Dwaj ludzie Connelleya poszli za nią do dzielnicy luksusowych apartamentowców przy Lakę Shore Drive. Kuhlmann zniknęła we wnętrzu budynku Surf Lane Apartments. Nazajutrz agenci dowiedzieli się, że mieszkanie G-1 zajmowane jest przez A.R. Esser - tego samego fałszywego nazwiska Kuhlmann używała w hotelu Morrison. Menedżer powiedział im, że „pani Esser” wynajęła ten apartament dwa tygodnie wcześniej. Dodał, że przez jakiś czas mieszkał z nią również „pan Esser”, teraz jednak wyjechał.

Connelley gotów był założyć się o każdą sumę, że „pan Esser” to Dock Barker. Wynajął mieszkanie w tym samym budynku, agenci zaczęli prowadzić obserwację i czekać na powrót „pana Essera”. Kilku ludzi śledziło również Kuhlmann, która zwykle wychodziła po południu z mieszkania i wracała nocą, zawsze sama. Któregoś dnia poszli za jednym z jej gości do budynku przy 3912 Pine Grove Avenue. Connelley wynajął tu kolejne mieszkanie, wprowadził tam grupę agentów i czekał cierpliwie na Barkerów.

5 grudnia fale były wyjątkowo wysokie, Karpis zapadł na chorobę morską. W Key West wsiadł do pociągu jadącego do Miami, gdzie na dworcu czekała Delores. Karpis zdumiał się, ujrawszy obok niej współpracownika gangu, Williego Harrisona. Harrison zawiózł ich do Miami, a po drodze opowiedział Karpisowi o losach poszczególnych członków gangu. Freddie i Ma mieszkali w domu nad jeziorem Weir w środkowej Florydzie. Harry Campbell pojechał do Oklahomy, gdzie związał się ponownie ze swoją nastoletnią dziewczyną, Wynoną Burdette. Oni także przebywali nad jeziorem Weir. Karpisowi wydało się to podejrzane. Kiedy słyszał po raz ostatni o Burdette, przebywała w areszcie FBI w Cleveland*.

W Miami zameldowali się w hotelu El Commodoro; dziwnym zrządzeniem losu agenci obserwujący hotel wrócili do Chicago poprzedniego tygodnia. Delaney była w ósmym miesiącu ciąży i chciała urodzić w Miami. Karpis się zgodził. Menedżer hotelu, Joe Adams, ledwie go rozpoznał z ciemną opalenizną. Karpis spytał o jakiś dom do wynajęcia, a Adams zaproponował mu stary domek pewnego bimbrownika przy Osiemdziesiątej Piątej. Karpis powiedział, że jeszcze trochę się powstrzyma. Najpierw chciał sprawdzić, na ile bezpiecznie może czuć się w Miami, a dopiero potem podejmie jakieś konkretne kroki.

Nazajutrz rano zszedł na dół i zastał Adamsa w jego biurze. Potrzebował samochodu, więc Adams wysłał Duke’a Randalla, by kupił mu buicka. Adams wysłał również telegram do Freda Barkera, prosząc go o przyjazd do Miami. Fred przybył do hotelu następnego ranka. Nie widział się z Karpisem od prawie trzech miesięcy. Opowiedział mu o wspaniałych połowach i polowaniach w środkowej Florydzie. Ma nie mogła się doczekać, kiedy Delaney przyjedzie do niej z wizytą.

- Jeszcze nie teraz - powiedział Karpis. - Czy Yona Burdette też tam jest?

Barker się roześmiał.

- Tak, Campbell ją tam przywiózł.

- Jak ona się wyrwała z łap FBI, do diabła? - spytał Karpis. - I jak to się stało, że twoja matka pozwoliła im zamieszkać u was?

Barker roześmiał się znowu.

- To długa historia - stwierdził. - Kiedy pojechałeś na Kubę,

* Burdette, Gladys Sawyer i Paula Harmon zostały zwolnione po złożeniu szczegółowych zeznań. Nie wiadomo dlaczego, Biuro nie objęło ich należyłą obserwacją, dzięki czemu Burdette i Sawyer mogły wrócić do swoich mężczyzn. Paula Harmon, która zawsze była niezrównoważona, pojechała do Teksasu, gdzie rodzina oddała ją do zakładu dla obłąkanych.

Campbell przyjechał na Florydę w tym samym czasie co ja i mama. Zamieszkał z nami. W końcu uznał, że chce znowu spotkać się z Yoną, i że pojedzie po nią aż do Oklahomy.

Rozmawiali przez kilka godzin. Barker spytał, czy Karpis nie jest zainteresowany powrotem do Cleveland i napadem na furgonetkę z pieniędzmi. Karpis odmówił.

- A tak przy okazji - powiedział w pewnym momencie - gdzie jest Dock?

- Mieszka teraz w Chicago - odparł Barker. - Z Rustym Gibsonem i jakimiś facetami.

Nie musieli mówić głośno o tym, że żaden z nich nie chce mieć nic wspólnego z Dockiem Barkerem, który był nieobliczalnym pijakiem. Karpis zasugerował, by przyjrzel się bankom w Georgii i Alabamie. Wiedział, że jedynym powodem, dla którego nikt nie rabował banków na Południu, była zła sława tamtejszych więzień. Mogli znaleźć tam spore pole do popisu. Nim Barker wrócił nad jezioro Weir, wymógł na Karpisie obietnicę, że przyjedzie do nich, gdy tylko osiadzie gdzieś na stałe.

Nazajutrz Karpis poszedł z Delaney obejrzeć dom, który polecił im Joe Adams. Spodobał im się. Karpis zapłacił tysiąc dolarów za wynajęcie go na zimę. Adams zatrudnił pielęgniarkę, która miała pracować jako pokojówka. Wprowadzili się tam kilka dni później i wrócili do swego normalnego rytmu, słuchali radia i kładli się wcześniej spać. Buldog Delores bawił się kokosami, które spadały niczym bomby na trawnik przed ich domem. Karpis nie lubił spadających kokosów. Dołki, które wybijały w idealnie równym trawniku, raziły jego zamięłowanie do porządku.

Następnego tygodnia w El Comodoro pojawili się Freddie i Ma. Karpis zgodził się wypłynąć z nimi na morze, na ryby. Gdy wracali do domu, Freddie ponownie zaproponował, by wybrali się do Cleveland. Tym razem Karpis się zgodził. Delores dąsała się trochę, przypominając Karpisowi, że dziecko może urodzić się lada moment, lecz w następnym poniedziałek Karpis i tak pojechał z Barkerami. Dom Freddie i Ma stał nad jeziorem, w pobliżu osady Oklawaha, pięćdziesiąt kilometrów na południe od Ocala. Karpis stwierdził ze zdumieniem, że od głównej drogi dzieli go zaledwie rzut kamieniem. On z pewnością nie wybrałby miejsca tak łatwo dostępnego. Gdy weszli na podwórze, zauważył, że może ich

zobaczyć każdy, kto przejeżdża drogą.

Następnego ranka pojechali do Cleveland. Przywitał ich serdecznie były szef Karpisa, Shimmy Patron, i opowiedział o działaniach FBI w mieście. Karpis uznał wtedy, że Cleveland wciąż jest dla nich zbyt niebezpieczne. Wrócił do Miami.

Nadszedł nowy rok. W pierwszym tygodniu stycznia pod dom Karpisa podjechał Freddie. Byli z nim Dock Barker i Russell Gibson. Zirytowany Karpis wziął Freddiego na stronę.

- Co oni tu robią, do diabła? - syknął.

Freddie wyjaśnił, że Dock chciał zrobić skok w Cleveland, ale Shimmy Patton domagał się, by brali w tym udział również Freddie i Karpis. Nikt nie chciał robić interesów z samym Dockiem. Karpis westchnął ciężko. Wyglądało na to, że nigdy nie uwolni się od brata Freddiego.

Kilka dni później pojechał nad jezioro Weir, by omówić z Freddiem skok w Cleveland. Kiedy przyjechał, Dock był spakowany i gotowy do powrotu do Chicago. Usiedli przy stole w kuchni i zastanawiali się, jak się skontaktują, gdy wszystko będzie już gotowe do skoku. Dock zamierzał ich wcześniej powiadomić, ale chciał mieć pewność, że przy następnej wizycie odnajdzie dom Freddiego. Pochylił się nad mapą samochodową.

- No dobra, wiem, że tutaj mam zakręcić - stwierdził. - I wiem, że jest to miasteczko, do którego mam przekazać wiadomość. Wyślę list. Może tak być?

- Tak - odparł Freddie. - Wyślij tu list. Możesz tam napisać cokolwiek, że mój brat jest chory albo coś innego, i tak będziemy wiedzieli, że mamy jechać do Cleveland.

Dock schował mapę do walizki.

Chicago, Illinois

8 stycznia 1935, wtorek **godz. 11.00**

Earl Connelley patrzył za okno zatłoczonego mieszkania na parterze budynku przy Pine Grove Avenue 3920, jednego z dwóch apartamentowców, które agenci obserwowali od tygodnia. Poprzedniego wieczora do budynku Surf Lane Apartments wrócił „pan Esser”, czyli, jak przypuszczali agenci, Dock Barker. Poniżej, w apartamencie przy

Pine Grove, mieszkały dwie pary. FBI podejrzewało, że jednym z mężczyzn jest kumpel Docka, Russell Gibson. Drugi, wysoki i szczupły, nie był im znany. Godzinę wcześniej jedna z kobiet wyprowadziła brązowego psa rasy chow-chow na spacer. Chwilę później na tylnym tarasie pojawił się szczupły mężczyzna w szlafroku.

Connelley uważnie obserwował okolicę. Mieszkanie wyposażone było w tylne

wejście, połączone drewnianymi schodami z zarośniętym krzewami podwórzem. Sześć metrów za schodami, wzdłuż alei, ciągnął się wysoki na metr dwadzieścia płot. Connelley obliczył w myślach, że pod ścianami pobliskich kamienic i garażów może postawić dwudziestu agentów. Był zadowolony. Planował atak po zapadnięciu zmroku, jeśli wszyscy mieszkańcy będą w apartamencie. Potem przyjdzie czas na mieszkanie przy Surf Street.

Doris Rogers widziała, jak agenci w chicagowskim biurze przygotowują się do akcji. Zauważyła przemianę, jakiej ulegli w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nerwowość i niepewność, tak widoczna przy obławach na Verne'a Millera i Dillingera, zniknęły; ich miejsce zajął chłodny profesjonalizm, agenci spokojnie sprawdzali broń. Przez całe popołudnie agenci FBI przybywali do dwóch mieszkań, z których przeprowadzano obserwację. Connelley czekał, aż wszyscy mieszkańcy znajdą się w środku. Wtedy przejdą do akcji.

Surf Lane Apartments godz. 18.30

W ten styczniowy wieczór temperatura wynosiła kilka stopni powyżej zera. Wzdłuż chodników leżały resztki śniegu, bure i posępne. Wokół budynku kręciło się kilkunastu agentów. Connelley rozkazał, by czekali, aż dobiegnie końca akcja przy Pine Grove 3920, chyba że mężczyzna, którego uważali za Docka Barkera, będzie chciał wcześniej wyjść.

Jerry Campbell, strzelec, którego Hoover wypożyczył z policji w Oklahoma City, siedział w samochodzie przed Surf Lane wraz z nowicjuszem Alexandrem Muzzeyem, kiedy obaj zobaczyli, jak Mildred Kuhlmann i Dock Barker wychodzą na podwórze i zmierzają w ich stronę. Campbell, doświadczony policjant, zareagował natychmiast. Schowawszy pod płaszcz karabin Thompson, wysiadł z auta. Muzzey zrobił to samo. Gdy para wyszła na chodnik i ruszyła na zachód, oddalając się od jeziora Michigan, agenci poszli ich śladem, trzymając się w odległości około sześciu metrów za nimi.

- Zwijamy ich? - wyszeptał Muzzey.

- Tak - odparł Campbell.

Przeszli jeszcze kilka kroków. Barker obejrzał się przez ramię. Kuhlmann nie zwalniała tempa. Kiedy Barker odwrócił się ponownie, Campbell wyjął karabin maszynowy, a Muzzey pistolet. Widzieli, jak ze wszystkich stron zbliżają się do nich agenci.

- Ręce do góry! - krzyknął Muzzey. - Agenci federalni! Trzej agenci stojący przed parą również wyciągnęli broń. Barker znieruchomiał. Wydał z siebie jakiś jękliwy dźwięk i zaczął podnosić ręce, lecz zaraz wszedł między dwa samochody zaparkowane przy ulicy. Próbował biec, jednak niemal od razu poślizgnął się na lodzie, poleciał do przodu i runął w

blotnistą breję. Agenci natychmiast go dopadli, poderwali na nogi, założyli kajdanki. Zatrzymali też Kuhlmann.

Ktoś spytał Barkera o nazwisko.

- Wiecie, jak się nazywam - warknął.

Kiedy agenci zaczęli ciągnąć go w stronę swoich aut, westchnął.

- Cholernie głupio dać się złapać bez broni - stwierdził.

Pine Grove Avenue 3920 godz. 23.00

Robiło się coraz później. Mieszkańcy apartamentu na parterze nie pokazywali się od 18.45. Wreszcie o jedenastej agenci dostrzegli mężczyznę idącego tylną alejką. Zniknął w ciemności za budynkiem. Chwilę później zapaliło się światło w kuchni. W tym samym czasie wysoki mężczyzna i dwie kobiety przeszły chodnikiem do głównego holu. Nadszedł czas na działanie.

Connelley, który przebywał wraz z dziesięcioma agentami w sąsiednim mieszkaniu, wyszedł do czekającego na ulicy samochodu, czterem agentom siedzącym w środku kazał przejść do tylnej alejki i wzmacnić dziesięciu agentów, którzy już tam byli. Przez chwilę ustawiał jeszcze innych ludzi przed budynkiem. Wreszcie z trzema agentami wszedł do holu. Interesujące ich mieszkanie znajdowało się w głębi korytarza, do którego prowadziło kilka stopni. Connelley zatrzymał się w holu i wcisnął guzik domofonu.

- Słucham? - odezwał się głos kobiety.

- Czy zastałem pana Boltana? - spytał Connelley. Było to nazwisko figurujące w dowodzie rejestracyjnym samochodu jednego z podejrzanych.

Chwila ciszy. Wreszcie kobieta odpowiedziała: - Nie, wróci pod koniec tygodnia.

Connelley przedstawił się jako agent Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

- Cały budynek jest szczelnie otoczony - powiedział. - Niech wszyscy wyjdą na zewnątrz, pojedynczo, z podniesionymi rękami, a nikomu nie stanie się krzywda.

Zerknął na agentów Sama McKee i Ralpha Browna, którzy stali u podnóża schodów, z karabinami Thompson w dłoni. Trzeci agent wyjął służbowy pistolet. Podejrzani nie odpowiadali. Connelley ponownie wcisnął guzik domofonu.

- Niech wszyscy obecni w mieszkaniu natychmiast zejść do holu, bo inaczej użyjemy siły - oświadczył.

Nic. Agenci wymienili spojrzenia. Upłynęła minuta. Potem druga.

- Niech wszyscy obecni w mieszkaniu natychmiast zejść do holu - powtórzył

Connelley raz jeszcze. - Nie próbujcie uciekać tylnym wyjściem. Budynek jest otoczony, a każdy, kto podejmie próbę ucieczki, zostanie zabity.

Po chwili jedna z kobiet krzyknęła:

- Wychodzimy!

Pierwsza pojawiła się Clara Gibson, żona Russella Gibsona; zeszła do holu z brązowym chow-chow na rękach. Za nią szła żona Williego Harrisona. Connelley kazał im położyć się na podłodze w holu. Kilka chwil później zza drzwi wyszedł z podniesionymi rękami wysoki, szczupły Bryan Bolton, pomagier Shotgun George'a Zieglera. On także położył się na podłodze w holu. Connelley spytał pierwszą kobietę o nazwisko.

- Clara Gibson - powiedziała.

- Czy w mieszkaniu jest ktoś jeszcze?

- Mój mąż.

Ledwie wypowiedziała te słowa, gdy **za budynkiem rozległy się** wystrzały.

- Ooooo! - zaczęła krzyczeć Clara Gibson. - Zastrzelili mojego męża!

Na tyłach budynku stało kilkunastu agentów ukrytych za płotami i garażami. Pozycje najbliższej tylnego wyjścia zajęli stary „kowboj” Doc White i agent Al Barber. Obaj czaili się w ciemnej alejce, nie dalej niż sześć metrów od schodów. Świeżo upieczony agent Jack Welles wyglądał zza garażu po drugiej stronie alejki, dwanaście metrów od okna kuchni*. O 23.30 usłyszał głos kobiety rozmawiającej z kimś w holu.

W tym samym momencie Welles zobaczył, jak druga kobieta wygląda spomiędzy żaluzji w kuchni. Sięgnął po rewolwer i wycelował w jej głowę. Kobieta zniknęła. Tuż potem jakiś mężczyzna próbował otworzyć kuchenne okno. Welles skierował lufę na jego głowę. Po chwili mężczyzna przeszedł do drugiego okna, obok tylnych drzwi. Próbował je podnieść, lecz bez powodzenia.

Światło w kuchni zgasło, a tylne wyjście pograżyło się w ciemnościach. Agenci czekali. Trzasnęły zamykane drzwi. Potem na tylnych schodach dało się słyszeć coś, co jeden z agentów opisał jako „ciche odgłosy”. White i Barber dostrzegli w ciemnościach mężczyznę zstępującego powoli z tylnych schodów. Agent White dojrzał karabin w jego dłoniach.

- Stać! - krzyknął.

Mężczyzna wystrzelił. Pocisk odbił się rykoszetem od płotu przed agentami i uderzył w ceglana ścianę. White oddał sześć strzałów, mężczyzna wypalił do niego raz i drugi. Agent Barber strzelił w okno pociskiem gazowym. Mieszkanie w kilka chwil wypełniło się gazem łzawiącym. W tym samym czasie agenci, którzy biegli od frontu budynku, zobaczyli mężczyznę zmiernym krokiem ku sąsiedniej działce.

- Stać! - krzyknął któryś z nich.

Mężczyzna odwrócił się i upadł. Pierwszy dobiegł do niego agent John T. McLaughlin. Gangster krwawił obficie z ran na głowie i pier-

* John R. Welles był potomkiem bogatej rodziny, do której należał młyn w miejscowości Wyalusing, w północno-wschodniej Pensylwanii. Skończył prawo na Uniwersytecie George'a Washingtona. W 1939 r. odszedł z FBI, by zająć się rodzinnym interesem. Później był aktywnym członkiem stowarzyszenia byłych agentów FBI. Umarł w maju 1981, w wieku 83 lat.

siach. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, która jednak nie spełniła swego zadania; przebił się przez nią co najmniej jeden pocisk.

- Alvin Karpis? - spytał McLaughlin.

- Nie - wymamrotał ranny. - Russell Gibson.

To był koniec akcji. Po kilku minutach agenci weszli do pustego mieszkania. Gibson został przewieziony do szpitala przy Park Boulevard. Lekarze z oddziału pomocy doraźnej wezwali chirurga. Jeden z pocisków trafił w plecy i przeszedł przez żołądek. Gibsonowi zostało kilka godzin życia. Dwaj agenci zasypali go pytaniami. Znał Barkerów? Karpisa? Volneya Davisa? Gibson tylko kręcił głową. Lekarz powiedział mu, że to jego ostatnie chwile. Namawiał, by odpowiedział na pytania.

Tuż przed śmiercią, o 1.40, Russell Gibson wypowiedział chrapliwym głosem swe ostatnie słowa:

- Nic wam nie powiem⁴.

W środę 9 stycznia rano Dock Barker był już w Bankers Building. Kilka gazet, w tym „Chicago Tribune”, zamieściło anonimowe komentarze policjantów, którzy krytykowali FBI za to, że nie powiadomiło ich o planowanej akcji. Hoover wpadł we wściekłość. „Gdyby sami potrafili posprzątać w tym mieście i wyrzucili z niego tę tubę podziemia, »Chicago Tribune«, agenci federalni nie mieliby tyle pracy - pisał w notatce. - Nie bez powodu kryminaliści tak upodobali sobie Chicago”.

Earl Connelley był jednak bardziej zadowolony z tego, o czym gazety nie pisały. Choć we wszystkich ukazały się relacje ze strzelaniny przy Pine Grove Avenue, żadna nie dowiedziała się jeszcze o schwytaniu Docka, co dawało agentom szansę - może uda im się go przekonać, by ujawnił miejsce pobytu pozostałych członków grupy Barkera, nim gangsterzy się dowiedzą, że został aresztowany. Fakt ten wkrótce musiał wyjść na jaw; tego samego popołudnia w biurze pojawił się dziennikarz i pytał, czy to prawda, że aresztowano jeszcze jednego podejrzanego. Agent Mickey Ladd zaprzeczył. Jednak zarówno Connelley, jak i jego

zwierzchnicy wiedzieli, że stają do wyścigu z czasem. Aby nikt w biurze nie słyszał nazwiska Docka, nadali mu kryptonim „Numer Pięć”. Musieli jeszcze zmusić go do mówienia, okazało się jednak, że nie jest to wcale takie proste.

„Pan Nathan stwierdził, że Barker to twarżiel i nie chce im nic powiedzieć - pisał jeden ze współpracowników Hoovera w notatce sporządzonej we wtorek wieczorem. - Zamierzają pracować na zmianę przez całą noc”.

Następnego ranka Dock wciąż milczał. W miarę jak upływały kolejne godziny, Hoover nabierał przekonania, że chicagowscy agenci nie pracują dość ciężko. Jeden z jego najbliższych współpracowników, Ed Tamm, kazał Connelleyowi użyć „zdecydowanych środków fizycznych”, by Docka złamać⁵. FBI nigdy nie ujawniło, jakie to były środki, lecz kilka lat później jeden z agentów, Ray Suran, chwalił się podobno, że złamał na jego głowie dwie książki telefoniczne. Dock jednak wciąż nie chciał mówić.

Zupełnie inaczej zachowywał się Bryan Bolton. Ludzie Connelleya z początku określali go lekceważąco jako „pomniejszego członka gangu” i byli przekonani, że on niewiele wie. W piątek rano, po piętnastu godzinach pobytu w areszcie, Bolton udowodnił im, że są w błędzie. Zaproponował, że jeśli „wypuszczą go z powrotem na ulicę”, ujawni wszystko: kto stał za porwaniami Hamma i Bremera, co stało się z pieniędzmi i gdzie ukrywają się Freddie oraz Karpis.

Pop Nathan poinformował o tym Eda Tamma, który napisał do Hoovera: „Musimy brać pod uwagę możliwość, iż podczas zeznań Bolton obciąży siebie samego. Dlatego nie należy składać żadnych zobowiązań, nie obiecywać mu, że nie poniesie odpowiedzialności za swoje czyny. Pan Nathan stwierdził, że w tej chwili nie mamy przeciw Boltonowi żadnych zarzutów, ja zaś powiedziałem mu, przekazując pańską sugestię, że podczas przesłuchania nie powinniśmy ujawniać, jak mało wiemy o tej sprawie”⁶.

Connelley złożył Boltonowi propozycję, którą policjanci składają przestępcom od niepamiętnych czasów. Powiedział, że nie może mu niczego obiecać, jeśli jednak Bolton przekaze im jakieś przydatne informacje, z pewnością zostanie to wzięte pod uwagę podczas jego procesu.

Bolton przystał na ten układ, a Connelley stwierdził wkrótce ze zdumieniem, że ów „pomniejszy członek gangu” to prawdziwa skarbnica informacji. Wyjawiał szczegóły porwań Hamma i Bremera, podał nazwiska wszystkich uczestników i lokalizację domu w Bensenville, którego FBI bezskutecznie szukało od wielu miesięcy. Co najważniejsze, powiedział, że Fred Barker i Karpis mieszkają w domu nad jeziorem w środkowej Florydzie. Odwiedził ich w grudniu, ale nie pamiętał, jak się tam dostać. Wiedział, że dom znajduje się

na północ od Ocala, sześć godzin jazdy z Macon w Georgii. Bolton nie znał także nazwy jeziora, pamiętał jednak, że słynęło w całej okolicy ze względu na żyjącego w nim wielkiego aligatora zwanego Old Joe. Freddie próbował go kiedyś złapać, ciągnąc za motorówką ubitego prosiaka, lecz aligator nie dał się skusić. Więcej szczegółów Bolton nie pamiętał.

Potem znaleźli mapę. Dlaczego mapa Docka Barkera, na której zaznaczona była kryjówka jego rodziny w środkowej Florydzie, została odnaleziona dopiero po trzech dniach, pozostanie tajemnicą. Nie był to ostatni przypadek, gdy agenci przegapili podczas przeszukiwania coś ważnego, choć to niewyjaśnione zjawisko zawsze przyprawiało Hoovera o apopleksję.

Gdy wreszcie w czwartek Connelley dostał mapę, od razu zwrócił uwagę na obwiedzione kółkiem jezioro Weir, dwadzieścia kilometrów na południe od Ocala. Przypuszczał, że wokół Weir jest co najmniej kilkadziesiąt domów, a w pobliżu znajdują się inne, mniejsze jeziora. Musiał ograniczyć obszar poszukiwań, i to szybko. Dziennikarze w każdej chwili mogli dowiedzieć się o aresztowaniu Docka Barkera, a gdyby ta informacja trafiła do gazet, Barkerowie natychmiast by zniknęli.

W sobotę 12 stycznia o trzynastej Connelley wraz z trzema agentami wszedł na pokład wycarterowanego samolotu, który jeszcze przed nocą wylądował w Jacksonville. Dziesięciu innych agentów, którzy zabrali ze sobą skrzynki pełne karabinów maszynowych, wsiadło do nocnego pociągu i przybyło na miejsce w niedzielę rano. Wszyscy zebrali się w hotelu Marion w Ocala. Connelley miał przed sobą trudne zadanie. Tereny na południe od Ocala były mało zaludnione, w wioskach obcy od razu rzucali się w oczy, a on wiedział jedynie, że Barkerowie mieszkają gdzieś w okolicy. Już samo przybycie piętnastu mężczyzn w czarnych garniturach było wydarzeniem przyciągającym uwagę miejscowych.

Connelley działał ostrożnie. Poleciał kilku agentom pójść do szpitala Munroe w Ocala i sprawdzić, czy na oddziale położniczym nie było Delores Delaney. Nie było. Musiał odszukać jezioro z wielkim aligatorem, Old Joe. Wysłał dwóch „kowbojów”, Jerry’ego Campbella i Boba Jonesa, trzydzieści pięć kilometrów na wschód, by sprawdzili jezioro Bryant. Sam wybrał się z innym agentem nad jezioro Weir i Bowers. Obie grupy wróciły z niczym, obie też miały wrażenie, że zostały zauważone. Connelley zrozumiał, że potrzebuje pomocy.

W poniedziałek rano skontaktował się z funkcjonariuszem z biura szeryfa, Miltonem Dunningiem, i spytał o Old Joe. Dunning odparł, że przypuszczalnie chodzi o jezioro Warburg. Gdy jednak zadzwonił do przyjaciela mieszkającego nad tym jeziorem, dowiedział się, że Old Joe z Warburg zdechł w 1925 roku.

Connelley uznał, że szukanie aligatora nie ma sensu - wyglądało na to, że każde jezioro na Florydzie ma swojego Old Joe. Im dłużej wpatrywał się w mapę, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Barkerowie ukrywają się nad jeziorem Weir; leżało ono w samym środku kółka narysowanego przez Docka Barkera. OKREŚLILIŚMY W PRZYBLIŻENIU MIEJSCE POBYTU PODEJRZANYCH, JEZIORO O DŁUGOŚCI DZIESIĘCIU I SZEROKOŚCI SZĘŚCIU KILOMETRÓW Z WIELOMA DOMAMI W OKOLICY, depeszował w poniedziałkową noc do Hoovera. POTRZEBUJEMY JESZCZE JEDNEGO DNIA, BY NAMIERZYĆ KONKRETNY DOM.

Hoover w Waszyngtonie coraz bardziej się denerwował. W Chicago już krążyły plotki, że Dock Barker został aresztowany. Ujawnienie tej informacji w prasie było kwestią kilku dni, może nawet godzin. We wtorek rano, gdy ludzie Connelleya wyruszyli nad jezioro Weir, do Bankers Building zadzwonił dziennikarz z „Chicago American”. Ponownie połączono go z Mickeyem Laddem.

- Co może mi pan powiedzieć o Docku Barkerze? - spytał dziennikarz.

Ladd zaprzeczył, jakoby Barker przebywał w areszcie. Dziennikarz jednak nie zamierzał się poddawać. Zadzwoił ponownie.

- Gdzie trzymacie Docka?

Ladd znów odesłał go z kwitkiem, jednak zaraz po rozmowie zadzwonił do Waszyngtonu i ostrzegł, że jeśli będą trzymać Barkera w Chicago, prawda wkrótce wyjdzie na jaw⁷. Hoover kazał przenieść Barkera do biura w Detroit, gdzie znajdował się pokój z zakratowanymi oknami. Ladd obiecał, że zrobi to po zapadnięciu zmroku.

Podczas gdy w Chicago Ladd ścierał się z natrętnym dziennikarzem, agent Bob Jones wsiadł do motorówki z Miltonem Dunningiem i popłynął wzdłuż brzegu jeziora, przyglądając się okolicznym domom. W tym samym czasie Connelley wybrał się do naczelnika poczty w wiosce Oklawaha na północnym brzegu jeziora. Naczelnik nie rozpoznał na zdjęciach Barkera ani Karpisa. Gdy jednak Connelley spytał, czy ostatnio w okolicy zamieszkali jacyś obcy, naczelnik wspomniał o niejakim panu Blackburnie, który wynajął niedawno ładny domek z przystanią. Dostawał codziennie kilka gazet. Zasugerował też, by Connelley porozmawiał z sąsiadem pana Blackburna, Frankiem Barberem, który pracował niegdyś jako strażnik w Leavenworth. Connelley pojechał do domu Barbera i natychmiast uzyskał potwierdzenie. Barber zidentyfikował Freda Barkera jako swego nowego sąsiada, pana Blackburna.

Connelley przez jakiś czas obserwował zza drzew dom Blackburna, położony po południowej stronie drogi 41. Kiedy przejeżdżał nią około jedenastej, dostrzegł na podwórku

niskiego mężczyznę i starszą kobietę. Był to Fred Barker i jego matka.

Po powrocie do Ocala Connelley skontaktował się z Waszyngtonem. Sytuacja wydawała się idealna. Dom stał w odległości stu metrów od drogi i co najwyżej dziesięciu od jeziora. W pobliżu nie było żadnych przeszkód naturalnych, jedynie garaż, mały domek dla gości i kurnik. Mogli wykorzystać te budynki jako osłonę. Connelley gotów był zrobić wszystko, by nie powtórzyła się historia z Little Bohemia. Zebrawszy wszystkich agentów, rozdał im dokładne plany zabudowań Blackburna, na których zaznaczone były pozycje każdego z nich. Sprawdzono broń, raz i drugi. Atak miał nastąpić przed świtem.

Oklawaha, Floryda

15 stycznia, wtorek

Ciepła, tropikalna noc wciąż okrywała atramentową ciemnością miejscowość Oklawaha, gdy samochody FBI zatrzymały się przy drodze 41 i wygasły światła. Agenci wyszli z aut w pierwotny, gęsty las zdominowany przez stare, omszałe dęby. W ciemnościach widać było tylko zarysy zabudowań. Dokoła panowały cisza i spokój; nic nie wskazywało na to, że ktoś wie o nadciągającym ataku.

Dom Barkerów, piętrowy budynek z drewna, był pomalowany na białe, ozdobiony zielonymi listwami. Od strony jeziora znajdował się osłonięty siatką ganek oraz długi pomost prowadzący do hangaru dla łodzi. Po obu stronach domu ciągnęły się trawiaste dróżki. Connelley postawił auta na końcu obu ścieżek. O 5.30 agenci otoczyli dom. Connelley zabrał pięciu ludzi, przemknął wraz z nimi przez grupę patykowatych drzew pomarańczowych po zachodniej stronie domu i zajął pozycje od strony jeziora; on ukrył się za małym domkiem dla gości, odległym o jakieś trzydzieści kroków od ganka. Gdyby doszło do strzelaniny, znajdowałby się bardzo blisko kryjówki wroga.

Grupa „kowbojów” - Charles Winstead, Jerry Campbell i dwaj inni strzelcy - przycisnęła się za kamiennym murem przy drodze, obserwując dom od tyłu. Dwaj kolejni agenci pobiegli na wschodnią stronę podwórka i zajęli pozycje za domem Franka Barbera. Dwaj ostatni zostali na drodze, by w razie potrzeby zatrzymać ruch.

Słońce miało wstać o siódmej, a Connelley chciał rozpocząć akcję, gdy będzie już jasno, czekali więc cierpliwie. Obok Connelleya stał agent Johnny Madala, niegdyś pracownik biurowy, który z każdą chwilą coraz wyraźniej się denerwował. Wiedział, że nie zdołają pojmać Barkerów z zaskoczenia. W domu przebywało kilku gangsterów, na pewno uzbrojonych w broń maszynową. Nie mogli uciec i zapewne nie zamierzali się poddać.

Madala myślał o poległych w akcji kolegach, Samie Cowleyu i Edzie Hollisie.

Gdy wreszcie nad jeziorem zaczął wstawać świt, Connelley wyszedł zza domku dla gości i zbliżył się o dwa kroki do ganku.

- Fredzie Barker, wyjdź na zewnątrz! - krzyknął. - Jesteśmy agentami Departamentu Sprawiedliwości. Dom jest otoczony.

Cisza. Connelley powtórzył polecenie, dodając jeszcze, że jeśli wyjdą z podniesionymi rękami, nikomu nie stanie się krzywda.

Z domu nie dochodził żaden dźwięk. Mijały kolejne minuty. Inny agent krzyknął ponownie, by Barkerowie się poddali. Kilku agentom wydawało się, że widzą jakieś ukradkowe ruchy za oknami, nie byli jednak pewni. Chlupotała woda uderzająca o brzeg jeziora. Agent Bob Jones, ukryty między drzewkami pomarańczowymi, położył się i oparł karabin na pustaku, który znalazł w pobliżu.

Po okresie wyczekiwania, później oszacowanym na około piętnaście minut, Connelley powtórzył wezwanie:

- Fredzie Barker, wyjdź z podniesionymi rękami! Dom jest otoczony.

I znów odpowiedziała mu cisza. Zerknął na Doca White'a, uśmiechniętego „kowboja”, który zastrzelił Russella Gibsona. White stał za dębem, na lewo od Connelleya.

Minęło kolejne pięć minut. Dom wciąż był jak wymarły. Agenci zaczęli się zastanawiać, czy Barkerowie nie uciekli już z miasteczka; ich czarny buick stał w drewnianym garażu za domem, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Connelley dał znak dwu nowym agentom, Muzzeyowi i McCade'owi, by wystrzelili pojemniki z gazem. Obaj podnieśli strzelby i wypalili, lecz pociski zamiast w okna uderzyły w ścianę i spadły na ziemię. Po podwórzu rozsnuł się gaz łzawiący.

- Fredzie Barker! Kate Barker! - krzyknął raz jeszcze Connelley. - Wyjdźcie przed dom z podniesionymi rękami!

Doc White, ukryty za omszałym dębem, usłyszał kobiecy głos dochodzący z wnętrza domu.

-I co teraz zrobisz?

White nie usłyszał odpowiedzi, ale po chwili głos rozbrzmiał ponownie, tym razem znacznie głośniejsze.

- Zgoda, zrób to!

Connelley, który leżał teraz na ziemi za domkiem dla gości, spojrzał na White'a. Obaj pomyśleli, że Barkerowie zamierzają się jednak poddać. Connelley krzyknął:

- Wychodźcie! Fred, ty pierwszy!

W tym momencie z okna na piętrze padła seria z broni maszynowej. Pociski uderzyły w ziemię obok Connelleya i przeleciały ze świstem przez gałęzie drzew pomarańczowych, zrzucając na ziemię deszcz listków. Connelley przetoczył się dalej za domek, a Doc White wypalił ze swojej strzelby kalibru.351. Wszyscy agenci otaczający dom otworzyli ogień. White skulił się za dębem, zasypywany gradem pocisków. Znalazł się w pułapce.

Widząc trudną sytuację White'a, Connelley podniósł się z ziemi i pobiegł na drugą stronę domu. Wychylając się zza rogu przy ganku, podniósł śrutówkę i wypalił, licząc, że dzięki temu odciągnie uwagę wroga od White'a. Udało się. Pociski karabinu maszynowego uderzyły w ścianę domu. Connelley ukrył się za rogiem, podobnie jak White. Trzej inni agenci wycofali się między drzewa.

Przez pięć minut strzelanina nie ustawała ani na moment. Strzały padały z całego domu, z okien sypialni na północy i południu, zza frontowych drzwi. Potem kanonada ustała równie raptownie, jak się rozpoczęła. Connelley spojrział na okna na piętrze. Przypuszczał, że gangsterzy oszczędzają amunicję. Potrzebował pojemników z gazem. Wysłał agentów do samochodu po zapasowe pociski i kazał przypuścić drugi atak. Znow pojemniki odbiły się od ściany i spadły na ziemię.

Tymczasem za Connelleyem, między drzewami od strony jeziora, wszczął się jakiś ruch. W lesie zbierały się okoliczne dzieciaki.

Kilka minut po tym, jak rozległy się pierwsze strzały, wielu spośród trzystu mieszkańców Oklawaha wyglądało przez okna lub wychodziło na podwórze, pytając się nawzajem, co się dzieje. Nim wybiła ósma, na drodze kłębił się już tłum ludzi powstrzymywanych przez dwóch agentów. Bardziej ciekawscy, wśród nich wielu nastolatków, zakradli się do lasu, by obserwować strzelaninę. Szesnastoletniemu Harry'emu Scottowi pociski świstały nad głową. „Agenci strzelali do wszystkich okien i drzwi, bo Fred biegał z pokoju do pokoju - wspominał Scott sześćdziesiąt siedem lat później. - Myśleli, że w środku jest cały gang”.

Pani A.F. Westberry spała w swoim domku położonym obok domu Barkera, gdy zaczęła się strzelanina. Pociski przebiły cienkie drewniane ściany i uderzyły w wezglowie jej łóżka. Przerazona kobieta podczołgała się do okna i zobaczyła mężczyzn w ciemnych garniturach strzelających do domu jej sąsiada. Nie miała pojęcia, kim są, była jednak tak blisko, że widziała ogień z luf karabinów. Nie zastanawiając się długo, chwyciła córkę za rękę, wyskoczyła przez okno i zaczęła uciekać.

Agent Ralph Brown, stojący pięćdziesiąt metrów dalej, zobaczył uciekające kobiety. Nie miał pojęcia, kim są.

- Stać! Stać! Agenci federalni! - wołał, lecz kobiety biegly dalej. Zaczal strzelac im nad glowami i przestal, dopiero gdy dotarli do nastepnego domu.

Szeroki swiat, w tym Hoover, dowiedzial sie o strzelaninie od dziennikarza Associated Press z Ocala, ktory odebral telefon od menedzera miejscowego hotelu, zaintrygowanego nieustajaca strzelanina. Kierowany przeczuciem dziennikarz zadzwonil o 10.45 do biura FBI w Jacksonville, a tamtejszy SAC Rudolph Alt przekazal wiadomosc do Waszyngtonu*. Hoover martwil sie, ze Connelleyowi moze zabraknac amunicji, kazal wiec Altowi wycarterowac samolot i zawiezć dodatkowe pociski do Oklawaha.

Tymczasem w domu Barkerow przez kolejna godzine trwala sporadyczna strzelanina. Strzaly padaly na przemian z roznych okien. Agenci odpowiadali ogniem, lecz nadal nie udalo im sie wrzucic do srodka pojemnika z gazem. Okolo dziesiatej strzelanina oslabla, a przed 10.30

* Rudolph A. „Rudy” Alt pracowal w Biurze od 1926 do 1952 r. Zmarl w 1977 roku w wieku 94 lat.

ustala calkowicie. Connelley obserwowal okna. Nie mial pojecia, czy Barkerom skonczyla sie amunicja, czy tez czekaja na agentow, ktorzy sprubuja wejsc do domu.

W pewnej chwili odwrócił się i zobaczył, że agenci prowadzą do niego Williogo Woodbury’ego, dwudziestopięcioletniego dozorcę domu. Woodbury i jego żona spali w domku dla gości i wczolgali się pod łozko, gdy pociski uderzily w ich okna. Connelley poprosil, by Woodbury wszedl do domu. Woodbury byl przerażony. Connelley zapewnil, ze Barkerowie nie beda do niego strzelac. Jesli jeszcze zyli, moze dozorca zdoalby ich namowic do wyjscia. W koncu Woodbury, choc niechetnie, zgodzil sie.

Podbiegl do ganku i sprubowal otworzyc drzwi z siatka przeciw owadom. Byly zamkniete. Wrocił szybko do Connelleya.

- Drzwi sa zamkniete - oswiadczył, ocierajac zaczerwienione oczy; w powietrzu wciaż unosil sie gaz łzawiacy. Ktos wręczył mu scyzoryk.

- Wroc tam, przetnij siatke i otworz.

Woodbury ponownie podbiegl do ganku. Przecial siatke, otworzil drzwi i przyciskajac do ust chustke, by choc troche zlagodzic dzialanie gazu, wszedl przez ganek do wnetrza. W domu panowaly cisza i bezruch. Na podlodze w jadalni lezaly puste butelki po piwie.

- Halo, Ma, to ja! - zawolal glósno. - Kazali mi tu wejsc! Nikt nie odpowiadal.

Zobaczył krew na schodach. Zaplakany od gazu, wszedl na pietro, gdzie znajdowaly sie cztery sypialnie. Zajrzal do pokoju polozonego na poludniowym wschodzie, sypialni Ma.

Była pusta. Drzwi do sypialni południowo-zachodniej, gdzie zazwyczaj spał Fred, stały otworem. Woodbury podszedł do nich.

Connelley i jego ludzie spoglądali wyczekująco na fasadę domu. Minęła minuta, może dwie, potem w oknie sypialni ukazała się twarz Woodbury'ego. Łzy ciekły mu strugami po policzkach. Był to widok, który miał pozostać w pamięci niektórych agentów na wiele lat.

- Są tutaj oboje! - krzyknął Woodbury.

- Co robią?! - odkrzyknął Connelley. - Nie żyją!⁸

Connelley wprowadził grupę agentów do domu. Znaleźli Ma Barker martwą na podłodze sypialni; na jej czole widniał otwór po pojedynczym pocisku. Fred leżał obok niej. Trudno było określić, od jak dawna już nie żyją. Nic nie wskazywało na to, by w domu mieszkał ktoś jeszcze. Podczas przeszukania agenci znaleźli jednak sporo rachunków hotelowych, wizytówek i paragonów z hotelu El Comodoro w Miami - tam w listopadzie Cowley znalazł mężczyznę, który jeździł samochodem Karpisa. Kilka rachunków wystawionych zostało na „pana D. Wagnera”; tego nazwiska często używał Karpis. Wniosek nasuwał się sam: Karpis jest w Miami. Connelley kazał Ralphowi Brownowi i trzem innym agentom polecieć tam najbliższym samolotem. Mieli wylądować w Miami o 15.30.

Po południu Hoover zwołał konferencję prasową. Nie miał przed sobą łatwego zadania. Wątpił, by ktokolwiek krytykował Biuro za zabicie Freda Barkera - był to bezwzględny zabójca, który strzelał do agentów z broni maszynowej. Znacznie gorzej jednak wyglądała sprawa Ma Barker. Hoover musiał wyjaśnić dziennikarzom z całego kraju, dlaczego jego ludzie zabili babcię, która nie popełniła żadnego przestępstwa. Nie czekając na tego rodzaju pytania, przeszedł od razu do ofensywy, korzystając z faktu, że gang Karpisa i Barkerów był najmniej znany spośród wszystkich wrogów publicznych.

Podczas gdy reporterzy pilnie notowali każde jego słowo, Hoover oświadczył, że Ma, o której nie słyszała żadna z gazet ani ich czytelnicy, była „mózgiem” gangu. Powiedział, że znaleziono ją z karabinem maszynowym w dłoni, co było wierutnym kłamstwem. By uwiarygodnić wersję wydarzeń, według której starsza pani była aktywnym uczestnikiem porannej strzelaniny, Hoover opisał dramatyczną scenę, jak to Earl Connelley rozmawiał z Ma, a ona zatrzaśniała mu drzwi przed nosem i krzyczała do Freda: „Daj im popalić!”. Nie trzeba chyba wspominać, że w relacjach agentów biorących udział w strzelaninie nie ma najmniejszej wzmianki o takim incydencie.

Podobno historię piszą zwycięzcy, a przy życiu nie został nikt, kto mógłby zarzucić Hooverowi kłamstwo. Nieważne, że w dokumentach Biura nie ma nic, co by wskazywało, że Ma Barker kiedykolwiek strzeliła z pistoletu, obrabowała bank lub zrobiła coś bardziej

zbrodniczego niż korzystanie z pieniędzy skradzionych przez jej syna. Według Hoovera Ma Barker była „geniuszem zbrodni”. Dziennikarze to kupili.

Choć dyrektor FBI odmalował niezwykle żywy i interesujący portret Ma Barker, relacje dziennikarzy nie wywołały od razu tak powszechnej fascynacji jak w przypadku Dillingera. Trzeba było sporo czasu, by gazety podkolorowały tę historię. Dopiero po sześciu tygodniach potencjał zbrodniczego geniuszu Ma Barker wykorzystany został w wieloczęściowym artykule rozpowszechnianym przez agencję dziennikarską King Features. FBI współpracowało z agencją przy tworzeniu artykułu, który nosił tytuł MA BARKER: ŚMIERTELNIE GROŹNA KOBIETA PAJĄK. „Pomarszczone palce przebiegłej Ma Barker niczym diabelskie macki bawiły się losem desperados, których wyczyny niemal co tydzień trafiały na pierwsze strony gazet”, głosił artykuł.

„Pod wieloma względami byli to najsprytniejsi przestępcy, z jakimi kiedykolwiek mieliśmy do czynienia - mówił Hoover w tym samym artykule. - Ma była mózgiem wszystkich akcji. Była tak sprytna, że nigdy nie znaleźliśmy na nią żadnego haka - choć wiedzieliśmy sporo. Musieliśmy ją zabić, by przerwać jej działalność”⁹.

Dyrektor FBI nigdy nie odstąpił od takiej wersji wydarzeń, będącej później jedną z jego ulubionych opowieści. Historyjka o „zbrodniczym geniuszu” Ma stała się osią jego książki z 1938 roku, *Persons in Hiding*, pełnej dramatycznych, choć całkowicie zmyślonych scen z życia gangu Barkerów. Hoover demonizował Ma Barker, podobnie jak Kathryn Kelly, nie tylko po to, by wyjaśnić powody jej śmierci; takie historie były doskonałą ilustracją poglądów, którym dawał wyraz w wywiadach już od lat dwudziestych. Podstawową przyczyną przestępczości, twierdził, nie jest bieda ani nierówności społeczne, lecz powszechny kryzys wartości rodzinnych, zaniedbań ze strony rodziców, którzy nie uczą swych dzieci, jak odróżnić dobro od zła. W końcu Ma Barker stała się dla Hoovera symbolem wszystkiego co złe w amerykańskich rodzinach, choć pod wieloma względami był to obraz przeinaczony i wyolbrzymiony.

Czterooosobowy oddział Ralpa Browna stawił się w hotelu El Comodoro w Miami około siedemnastej. Kiedy już wszyscy się zameldowali, jeden z agentów, który przebywał w tym hotelu przed dwoma miesiącami, poprosił znajomego recepcjonistę, L.E. Greya, by przyszedł do ich pokoju. Tam agenci pokazali Greyowi zdjęcia członków gangu Barkera. Zdenerwowany Grey wskazał na Barkerów jako częstych gości. Co więcej, rozpoznał także Harry'ego Campbella, który zameldował się w hotelu w minioną niedzielę i opuścił go następnego ranka. Agenci podkreślali, że ogromnie im zależy na wszelkich informacjach, które pomogą im namierzyć Campbella.

W tym samym czasie Karpis i Campbell kończyli całodzienne wędkowanie w pobliżu Everglades City. Około piątej wrzucili wędkę do forda Karpisa i już po zmroku dotarli do domu przy Osiemdziesiątej Piątej. Delores Delaney i Wynona Burdette czekały w swoim samochodzie przy następnej przecznicy. Gdy tylko Karpis zatrzymał się przy krawężniku, Delaney pobiegła do niego. Była ogromnie zdenerwowana.

- Powinieneś być przyjechać wcześniej! - stwierdziła z wyrzutem.

- Spokojnie - odparł Karpis. - Co się stało? Delaney wzięła kilka głębokich oddechów.

- FBI napadło na dom Freddiego i Ma. Freddie nie żyje. Ma nie żyje.

Karpis był wstrząśnięty. Kazał Delaney powtórzyć wszystko, co wiedziała na ten temat. Nie miał czasu na opłakiwanie zmarłych. Oboje musieli wyjechać z Miami, jednak ze względu na zaawansowaną ciążę Delaney nie mogli zatrzymać się byle gdzie. Potrzebowali bezpiecznego, czystego domu i lekarza. Zastanawiał się przez moment, czy nie wybrać się do Joego Adamsa w El Comodoro, posłuchał jednak głosu rozsądku i odrzucił ten pomysł.

Tego wieczora Duke Randall, pomagier Adamsa, jak zwykle w kasie Biscayne Kennel Club przyjmował zakłady na wyścigi psów. O 23.30 pojawiła się tam ciemnowłosa dziewczyna, którą później zidentyfikowano jako Wynonę Burdette, i poprosiła, by wyszedł z nią na parking. Tam w samochodzie czekał Karpis. Powiedział Randallowi, że jedzie na północ i potrzebuje jakiejś bezpiecznej kryjówki. Randall zaproponował znany mu hotel w Atlantic City, Dan-mor. Karpis zapisał nazwę na kartce. Powiedział dziewczynom, by poszły z Randalle; miały jechać porannym pociągiem. Karpis i Campbell zamierzali wyjechać jeszcze tej nocy, taka podróż byłaby jednak zbyt ryzykowna dla Delaney. FBI było wszędzie.

Tymczasem do Miami nadciągali kolejni agenci. Jeszcze przed północą obstawili lotniska Pan American i Eastern Airlines, sprawdzili też wszystkie oddziały położnicze, szukając Delaney. Kiedy oni rozchodzili się po całym mieście, Karpis jechał już autostradą Dixie, zostawiając za sobą światła Miami.

Atlantic City, New Jersey 19 stycznia, sobota

Tuż po północy Karpis i Campbell podjechali pod hotel Dan-mor przy Kentucky Avenue, trzy przecznice od promenady. Jechali przez cały dzień, omijając główne miasta, i padali ze zmęczenia. Recepcjonista, który pełnił wtedy nocny dyżur, Daniel Young, wyczuł od gości zapach alkoholu. Przydzielił im pokój 403, naprzeciwko pokoju 400, gdzie czekały już Delores i Burdette; przyjechały pociągiem poprzedniego dnia. Kiedy już znaleźli się w swoim pokoju, Karpis dał bojowi ćwierć dolara napiwku i poprosił go, by kupił im butelkę whisky.

Następnego ranka, o 8.45, Karpis wyszedł do miasta. Przez piętnaście minut spacerował w okolicy promenady, rozglądając się czujnie dokoła. Wróciwszy do hotelu, dał bojowi banknot dwudziesto-dolarowy i poprosił, by kupił mu krem do golenia i płyn do płukania ust. Na 11.30 zamówił wizytę lekarską dla Delaney. Doktor Carl Surran, który, jak się później okazało, był lekarzem departamentu policji Atlantic City, zbadał Delaney w pokoju na dole. Mogła urodzić w każdej chwili.

Karpis zaprosił menedżera hotelu, Williama Morleya, do swojego pokoju, poczęstował go whisky i spytał o możliwość wynajęcia umeblowanego domu lub mieszkania w okolicy; Morley obiecał, że się tym zajmie. W porze lunchu Karpis wybrał się wraz z pracownikiem hotelu do Sloteroff s, sklepu z męską odzieżą przy Arctic Avenue, i kupił ubrania na zimę, czarny płaszcz i dwa garnitury, jeden szary, jednorzędowy, i drugi błękitny, dwurzędowy - oba wymagały drobnych przeróbek. Umówił się na odbiór garniturów o piątą, a potem poszedł do weterynarza, z którym chciał porozmawiać pracownik hotelu.

Po wyjściu z gabinetu Karpis zauważył mężczyznę i kobietę około czterdziestki, których widział już wcześniej. Przypuszczał, że jest śledzony. Przez całe popołudnie Karpis, Campbell i ich dziewczyny włóczyli się po sklepach, kupując zimowe ubrania, sukienki i halki dla kobiet oraz drugi płaszcz dla Karpisa; Karpis zapłacił za niego banknotem, który wyciągnął z grubego zwitka pięćdziesiątek. Campbell także miał wrażenie, że są śledzeni. Karpis oddał samochód do nasmarowania. Zamierzał wyjechać następnego ranka.

Miami, Floryda to samo popołudnie

Pokojówka była zadziwiona. Jej pracodawcy z domu przy Osiemdziesiątej Piątej, państwo Green, nagle po prostu zniknęli. Nie miała od nich żadnej wiadomości, odkąd w środę po południu ciężarna pani Green wypadła z domu z bagażem podróżnym. Pokojówka została w pustym domu jeszcze przez dwa dni, potem wróciła do swoich rodziców. W sobotę dom wciąż był pusty. Nie wiedząc, co robić, zadzwoniła do właścicielki posesji, Grace Thomas. Pani Thomas przypuszczała, że Greenowie już nie wrócą. Podejrzała, że ich zachowanie może mieć coś wspólnego ze strzelaniną nad jeziorem Weir. Zadzwoniła na policję w Miami.

W sobotę po południu do pani Thomas przyszli dwaj detektywi. Przesłuchali ją, rozmawiali także z pokojówką. Rysopis państwa Green pasował do Alvina Karpisa i Delores Delaney. W wynajętym domu detektywi znaleźli dziesiątki dokumentów zostawionych przez Greenów. Znajdował się wśród nich opis czarnego dwudrzwiowego buicka, którego Greenowie kupili w Ungar Buick Company. Detektywi przekazali te

informacje do biura FBI w Miami.

Tuż po zmroku wieści z Miami dotarły do Earla Connelleya, który przebywał jeszcze w Ocala, porządkując wszystkie sprawy związane ze śmiercią Freddiego i Ma Barker. Po rozmowie z Waszyngtonem Connelley kazał przekazać opis buicka do wszystkich komisariatów na Wschodnim Wybrzeżu.

Atlantic City 20 stycznia, niedziela

O 2.30 w nocy z dalekopisu w Wydziale Policji w Atlantic City wysunęła się pilna wiadomość: POLICJA Z FLORYDY SZUKA INFORMACJI ZWIĄZANYCH Z POWAŻNYM PRZESTĘPSTWEM BIAŁY MĘŻCZYNA 183 CM WZROSTU CIEMNA KARNACJA CIEMNE WŁOSY CIEMNE OCZY SZCZUŁA BUDOWA CIAŁA W TOWARZYSTWIE KOBIETY KTÓRA URODZI ZA KILKA DNI JEŹDZI BUICKIEM SEDANEM ROCZNIK 1935 REJESTRACJA D5306... UZBROJONY W PISTOLET KALIBRU.45 I KARABIN

BARDZO NIEBEZPIECZNY ZACHOWAĆ OSTROŻNOŚĆ PODCZAS ARESZTOWANIA.

O 3.25 posterunkowy Elias Saab robił obchód w pobliżu promenady w Atlantic City. Zgodnie z procedurą podczas obchodu zadzwonił z budki telefonicznej na komisariat, by złożyć meldunek. Wtedy też powiadomiony został o poszukiwanym jego samochodzie. Wszedł na parking przy Kentucky Avenue i spacerował leniwie, zerkając na tablice rejestracyjne. Ku swemu zdumieniu znalazł buicka opisanego w dalekopisie. Zadzwonił do przełożonego, który wysłał na parking trzech detektywów. Stróż powiedział im, że samochód należy do kogoś, kto zatrzymał się w hotelu Dan-mor.

Detektywi przeszli do Dan-mor i obudzili menedżera, Williama Morleya. Udzielał wymijających odpowiedzi. Policjanci nie chcieli mu wyjaśnić, dlaczego zamierzają przesłuchać jego nowego gościa, a Morley, jak zeznał później, zakładał, że chodzi o ciężarną dziewczynę, która nie nosi obrączki. Nie chciał robić zamieszania z powodu tak trywialnej sprawy. Detektywi nie dawali jednak za wygraną. Jeden z nich zabrał boja hotelowego na komisariat, a pozostali nadal przepytывali Morleya.

O świcie wstała żona Morleya, Elizabeth, która, jak określono w relacji FBI, „wydawała się osobą niezbyt inteligentną”. Zeszła na dół do męża, porozmawiała z nim na stronie i postanowiła załagodzić sytuację. Nie mówiąc o niczym detektywom, zapukała do drzwi pokoju 403. Karpis wyszedł do niej ubrany tylko w bieliznę. Poprosiła, by z nią wyszedł. Przeszli nieco dalej, do pustego pokoju 404.

- Na dole są policjanci - wyszeptała pani Morley. - Szukają kogoś z Florydy, kto narobił kłopotów dziewczynie. - Jeśli jest winny, mówiła dalej pani Morley, powinien się poddać.

Karpis chciał schować się pod łóżkiem, lecz pani Morley się sprzeciwiła. Otworzył szafę i próbował ubrać się w garnitur, który w niej znalazł, ale pani Morley ponownie się sprzeciwiła i pchnęła go do wyjścia.

W tym momencie wszedł policjant. Zaskoczony Karpis pozwolił się wyciągnąć na korytarz.

- No dobra, ręce do góry - rozkazał policjant. Karpis zobaczył dwóch innych policjantów przed drzwiami swego pokoju, w którym spał Campbell. Policjant wycelował doń z pistoletu i spytał o nazwisko.

Karpis, zziębnięty i drżący, wymamrotał coś niewyraźnie. Dopiero po chwili udało mu się pozbierać myśli.

- O co właściwie chodzi? - spytał. Podniósł głos, licząc, że Campbell go usłyszy. - Niech pan schowa ten pistolet. Niczego nie zrobiłem.

Pani Morley dotąd nie powiedziała policjantom, że Karpis jest w towarzystwie jeszcze jednego poszukiwanego. Oświadczyła, że na pewno przekona „pana w 403”, by spokojnie się poddał. Podeszła do drzwi i zastukała. Nikt nie otwierał. Jeden z policjantów zaczął grzebać przy zamku.

- Wyjdź stamtąd - rozkazał głośno. - Wyjdź z podniesionymi rękami.

I znów nie doczekał się żadnej reakcji. Karpis podszedł bliżej i zaoferował się z pomocą.

- Pewnie ma kaca - oświadczył. - Urządziliśmy wczoraj przyjęcie i za dużo wypiliśmy. Dlatego tu przyszliście? Za bardzo hałasowaliśmy? - Policjanci nie odpowiedzieli. - Posłuchajcie, wejdę do środka i wyprowadzę tego faceta - kontynuował Karpis. - Pewnie jeszcze nie wytrzeźwiał i nie rozumie, że jesteście z policji. Wyciągnę go.

Stał przy wejściu. Drzwi się uchyliły, a on wskoczył do środka i zatrzasnął je za sobą. Detektywi zaczęli kopać w drzwi i walić w nie pięściami, wołając, by mężczyźni zamknięci wewnątrz się poddali. Pani Morley domagała się, by natychmiast przestali, bo zniszczą jej drzwi. Wyjęła klucz uniwersalny i włożyła go do zamka.

W tym momencie ktoś szarpnął drzwi od środka. W progu stanął Campbell z bronią w ręku. Pierwszy pocisk przełamał klucz w dłoni pani Morley i strącił na podłogę cały pęk innych kluczy. Pani Morley uskokzyła na bok, chowając się za rogiem, podobnie jak detektywi. Campbell nie przerywał ognia. Jeden z jego pocisków przebił ścianę pokoju 400 i

trafił Delores Delaney w prawą nogę. Policjanci twierdzili później, że nawiązali walkę i wystrzelili wszystkie kule, w rzeczywistości znaleziono jednak tylko jeden pocisk z ich broni. Najprawdopodobniej po prostu uciekli.

Karpis owinał krwawiącą nogę Delaney kawałkiem prześcieradła i we czworo pobiegli w dół schodów, do bocznej alejki. Tu Karpis i Campbell zostawili bosa i zziębnięte dziewczyny, by poczekały, i pobiegli na parking. Campbell zatrzymał się przy wejściu. Zaczął strzelać do policjantów, którzy rozbiegli się na wszystkie strony. Tymczasem Karpis szukał swojego buicka, nie mógł go jednak znaleźć, więc wziął groszkowego pontiaca z kluczami w stacyjce. Podjechał do bramy, a Campbell wskoczył na tylne siedzenie. Wyjechali na Kentucky Avenue, oddalając się od hotelu i szukając alejki, w której miały czekać kobiety.

Karpis nie lubił jeździć po ulicach, których nie znał albo chociaż nie obejrzał wcześniej na mapie. Pierwsza ulica, w którą skręcił, okazała się zaułkiem prowadzącym na promenadę. Gdy zawracał, zobaczył policjantów wybiegających zza rogu. Ruszył prosto na nich.

- Przebijemy się! - krzyknął do Campbella. - Przygotuj broń! Dostrzegł poprzeczną alejkę. Kiedy policjanci otworzyli ogień, skręcił gwałtownie i dodał gazu. Pontiac pomknął w dół wąskiej alejki. Jeden wyjazd zablokowany był przez ciężarówkę. Z tyłu dobiegły kolejne strzały. Karpis skręcił w inny wyjazd i trafił w boczną uliczkę, potem skręcił jeszcze kilkukrotnie, na chybił trafił, po czym stwierdził ze zdumieniem, że trafił na alejkę, przy której zostawił kobiety. Nikogo tam nie było.

- Może gliniarze je dopadli - stwierdził Campbell. W rzeczywistości dziewczyny, zziębnięte i przerażone, wróciły do swoich pokojów, gdzie Delaney położyła się do łóżka, a Burdette zadzwoniła po lekarza. - Złapią nas, jeśli tu zostaniemy - powiedział Campbell.

Karpis wcisnął pedał gazu. Nigdy już nie zobaczył Delores Delaney.

19

PA5DEDEUX

Styczeń 1935 -...

Zyskałem Hooverowi reputację nieustraszonego obrońcy prawa. On na tą reputację nie zasługuje... To ja stworzyłem tego sukinsyna.

Alvin Karpis

Karpis jechał w stronę grobli, przekonany, że za chwilę trafi na blokadę. Blokady co prawda nie zastał, jednak na poboczu stał samochód pełen policjantów. Campbell wymierzył do nich z pistoletu maszynowego. Policjanci albo tego nie zauważyli, albo się wystraszyli; nie

próbowali ich zatrzymać. Za groblą Karpis skręcił na drogę gruntową, jechał przez chwilę wzdłuż torów, aż znalazł polanę, gdzie czekali, głodni i zziębnięci, na zapadnięcie zmroku.

Nocą wrócili na główną drogę. Padał deszcz. Nie natrafiwszy na żadną blokadę, pojechali na zachód i zatrzymali się na stacji benzynowej w Camden. Karpis miał wrażenie, że sprzedawca ich rozpoznał, lecz tylko wręczył im mapę i nie odezwał się ani słowem. Deszcz powoli przechodził w śnieg. Wjechali do Pensylwanii i zaczęli rozglądać się za nowym samochodem. W okolicy Quakerstown Karpis zaczął trąbić, dając kierowcy plymoutha sedana znaki, by zjechał na pobocze. Kiedy samochód, prowadzony przez trzydziestoletniego psychiatrę, Horacego Hunsickera, zatrzymał się przy drodze, Karpis wysiadł, wymierzył do lekarza z karabinu i zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Campbell usiadł z przodu i kazał Hunsickerowi jechać dalej.

Śnieżyło coraz mocniej. Wystraszony doktor Hunsicker pędził przez Pensylwanię na zachód. Jechali całą noc i następny dzień, trzymając się bocznych dróg i przystając tylko na stacjach benzynowych, by zatankować. Hunsicker był zbyt przerażony, by podjąć próbę ucieczki. Karpis i Campbell mówili niewiele, ograniczając się do komentarzy dotyczących drogi. Wjechali do Ohio i o 21.30 zatrzymali się w miasteczku Guilford Center, w pobliżu Akron. Kazali Hunsickerowi zaparkować przy pustym lokalu Grange Hall i piżamą przywiązali go do kaloryfera. Hunsicker uwolnił się po dwudziestu minutach i poszedł do najbliższego domu. Wkrótce ogłoszono alarm i wszczęto poszukiwania skradzionego plymoutha.

Tymczasem zbiegowie jechali dalej na zachód, minęli Toledo, a potem skręcili na północ, do Michigan. Zatrzymali się na stacji benzynowej na przedmieściach Monroe, na południe od Detroit. Karpis zadzwonił do starej kryjówki gangu Barkerów w Toledo, Casino Club, i rozmawiał z Cooliem Monroe. Około wpół do trzeciej Monroe przyjechał po nich taksówką. Karpis i Campbell, otuleni szczelnie płaszczami, z kapeluszami wciśniętymi na głowy, wrzucili karabiny na tylne siedzenie; zostawili plymoutha z zapalonymi światłami i włączonym silnikiem. Karpis miał nadzieję, że policja pomyśli, iż uciekli do Kanady. Pojechali do Casino Club, lecz właściciel, Bert Angus, nie chciał ich przyjąć. „Za dużo ludzi was szuka”, powiedział¹.

W końcu Karpis znalazł ich starego protektora, szefa miejscowego podziemia Joego Roscoe, który umieścił ich w domu publicznym Edith Barry na obrzeżach centrum. FBI deptało im po piętach. Policja znalazła porzucony samochód o 5.30, a zidentyfikowała go cztery godziny później. Agenci FBI jednak już wcześniej zaczęli podejrzewać, że Karpis jedzie do swoich ulubionych miejsc w Toledo lub Cleveland. Latająca Brygada została

rozdzielona między Florydę i Chicago, a Connelley mógł dorzucić do niej tylko dwóch agentów. Biura w Detroit i Cleveland nie miały dość środków ani ludzi, by prowadzić zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, założyły więc tylko podsłuchy na telefony w Harvard Club w Cleveland oraz Casino Club i dom Joego Roscoe w Toledo. Po kilku dniach informator potwierdził, że Karpis wrócił do Toledo.

SAC z Detroit, William Larson, błagał o więcej ludzi. Hoover zażądał dowodu, że Karpis rzeczywiście przebywa w tej okolicy. Larson mógł przedstawić mu tylko informacje z drugiej ręki. Mimo to 1 lutego nocą przybył do Toledo Connelley, który przeprowadził nalot na dom Berta Angusa. Agenci nie znaleźli żadnego śladu Karpisa. Ton notatek służbowych z kolejnych dni wskazuje, że entuzjazm, z jakim Hoover przystąpił do ścigania Karpisa, coraz wyraźniej słabł. W końcu

Karpis był ostatnią ważną postacią wojny z przestępczością, która nie wpadła jeszcze w sidła FBI. W Atlantic City natknął się przypadkiem na policję; Hoover był przekonany, że wcześniej czy później historia się powtórzy.

Tymczasem Karpis odpoczywał w bezpiecznej kryjówce na piętrze burdelu Edith Barry. Uciekł z sieci FBI, ale świat wokół niego się zmieniał, a on sobie z tego zdawał sprawę.

Śmierć Freda i Ma Barker znaczyła koniec aktywnej fazy wojny z przestępczością, a tym samym dawała Amerykanom okazję do oceny dotychczasowych dokonań FBI. Można by przypuszczać, że po tak licznych osiągnięciach Hoover i jego G-meni zostaną okrzyknięci bohaterami narodowymi. Cóż, przynajmniej na początku wcale tak nie było. Wszelkie pochwały, na jakie zasłużyło tej zimy FBI, spłynęły niemal wyłącznie na jednego człowieka, Melvina Purvisa. Amerykanie nie mieli pojęcia, jak słaba jest jego pozycja w Biurze. Z sondażu przeprowadzonego tej zimy wynikało, że Purvis zajmuje siódme miejsce na liście osób cieszących się największym zaufaniem społeczeństwa.

Z pewnością irytowało to Hoovera, na razie jednak nie był w stanie zmienić tego stanu rzeczy. Historycy sporo piszą o osławionej maszynie propagandowej FBI, która w połowie lat trzydziestych masowo produkowała komiksy, artykuły i książki dotyczące Biura, lecz w owym czasie ten dział FBI był jeszcze w powijakach. Podczas wojny z przestępczością Hoover poświęcał zaskakująco mało czasu na kształtowanie wizerunku Biura. Właściwie to nawet nie Hoover postanowił publicznie promować FBI; decyzję tę podjął Homer Cummings. We wrześniu 1933 roku, gdy próbował nagłośnić wojnę z przestępczością, spotkał się z waszyngtońskim felietonistą, Drew Pearsonem, i spytał go, jak może ze swoim przesłaniem trafić do szerokich mas. Pearson oraz inni dziennikarze radzili mu, by głosił dokonania FBI.

Cummings wynajął dziennikarza z Brooklynu, Henry'ego Suydama, by zajął się rozreklamowaniem Biura.

Suydam zaangażował ekstrawaganckiego „wolnego strzelca” Courtneya Ryleya Coopera, specjalistę od czytań kryminalnych i sensacyjnych. W serii szesnastu artykułów, które zaczęły się ukazywać w „American Magazine” pod koniec 1933 roku, Cooper uczynił z Hoovera jedno z najważniejszych ogniw walki z przestępczością, opisując go jako „wybitnego detektywa, który nie przystaje do żadnego z popularnych wizerunków stróża prawa”. Hooverowi tak bardzo spodobały się artykuły Coopera, że zaczęli pracować wspólnie nad książką. Cooper dostał swoje biurko w kwaterze głównej, mógł rozmawiać z agentami i czytać raporty.

Jednak legendy G-menów nie stworzyli Hoover ani Courtney Cooper. Dokonało tego Hollywood. Zaledwie kilka dni po śmierci Barkerów do Hoovera dotarła informacja, że Warner Brothers pracują nad scenariuszem filmu zatytułowanego *G-men* [polski tytuł był mało trafny: *Agenci policji śledczej*]. Studio reklamowało go jako „pierwszą wielką opowieść o ludziach, którzy prowadzili amerykańską wojnę z przestępczością”. Ani Hoover, ani Homer Cummings nie byli zachwyceni tym pomysłem. Cummings wydał nawet oświadczenie, w którym odrzucał twierdzenia studia, jakoby film był oficjalnym zapisem wojny z przestępczością. Ludzie Hoovera zastanawiali się nawet, czy przystać na użycie terminu „G-men”; w końcu wyrazili zgodę*.

Do wydania książki Courtneya Coopera dotyczącej wojny z przestępczością, *Ten Thousand Public Enemies*, zostało jeszcze kilka tygodni, gdy po potężnej kampanii reklamowej w kwietniu wszedł na ekrany *G-men*. Film, w którym główną rolę grał Jimmy Cagney jako młody agent FBI zmagający się z bandą bezwzględnych porywaczy, wzorowanych na Dillingerze, Floydzie i Nelsonie, odniósł ogromny sukces. W ciągu kilku zaledwie dni dokonał tego, czego nie udało się dokonać w rzeczywistości, otoczył chwałą Hoovera jako symbolicznego przywódcę narodowych sił walczących z przestępczością. *G-men* był tak wielkim przebojem, że do końca roku powstało jeszcze siedem innych filmów o FBI, od *Wróg publiczny nr 1* do *Let'em Have It*. Zniknęły bez śladu wszelkie skrupuły, jakie Hoover miał w związku z tym, że pozwolił Hollywood wykorzystać swój wizerunek. Udzielał dziesiątków wywiadów, a nawet pozował do zdjęć z Patem O'Brianem, gwiazdą *Public Enemy's Wife*. Biuro zostało zasypane listami od wiel-

* Niektórzy byli temu przeciwni, twierdząc, że takie określenie niepotrzebnie gloryfikuje Biuro. „Moim zdaniem nie byłoby rozsądne, gdyby przedstawiciele Biura protestowali przeciwko nazwie G-men - pisał Pop Nathan do Hoovera 21 maja 1935 r. - Nie

sądzę również, by należało je oficjalnie akceptować. Uważam, że nie ma sensu w ogóle reagować na ten termin. Prawdę mówiąc, przychodzi mi do głowy kilka znacznie gorszych określeń, które można by do nas odnieść. Innymi słowy, uznajmy to za wyrok opatrności, nie powinniśmy z tym walczyć”. Jak zwykle Nathan miał rację.

bicieli. Z dnia na dzień Hoover i FBI zostali koronowani na najważniejsze narodowe symbole sprawiedliwości i siły.

Książka *Ten Thousand Public Enemies*, która pojawiła się na rynku w maju, wykorzystwała tę falę popularności i znalazła się na liście bestsellerów. Hoover ukazywał wojnę z przestępczością jako jedną długą opowieść; agenci FBI byli w niej lustrzanym odbiciem bandytów, których ścigali. W całym tym hałasie niemal zupełnie zapomniano o szefie Hoovera, Homerze Cummingsie, choć to on dał początek wojnie z przestępczością. „Po roku 1935 - pisał historyk Richard Gid Powers - prokurator generalny praktycznie zniknął z publicznego wizerunku federalnych organów ochrony porządku publicznego. Hollywood zrobiło coś, na co Hoover by się nie ośmielił i czemu Cummings nie mógł zapobiec - zrobiło z najważniejszego G-mena gwiazdę, a jego szefa zdegradowało do nieistotnej miernoty”².

Cummings przynajmniej zachował swoją posadę, czego nie można było powiedzieć o Purvisie. Purvis odszedł z Biura w czerwcu, dręczony od kilku miesięcy przez Hoovera i jego współpracowników. Fetowany jako bohater narodowy, wydał książkę *American Agent*, która ukazała się drukiem w 1936 roku. Opisał ze szczegółami działania FBI i wojnę z przestępczością, w wymowny sposób nie wspominając ani słowem o Hooverze i Cowleyu. W odpowiedzi Hoover uznał go za persona non grata. Zaczął gromadzić przeróżne plotki na jego temat. Po jakimś czasieteczka Purvisa w FBI była równie gruba jak teczki przestępców, których ścigał.

Sława, jaką FBI zdobyło dzięki walce z wrogami publicznymi, spotkała się z przychylnością prasy. Tylko kilka liberalnych wydawnictw ostrzegało przed nadmiernym entuzjazmem. W listopadzie 1934 roku w czasopiśmie „Harper’s” ukazał się artykuł zatytułowany: „Amerykańska policja narodowa: zagrożenia stwarzane przez federalną walkę z przestępczością”. Autor artykułu pytał: „Ile osób wie, że w tej chwili istnieje narodowa policja, a ile spośród tych, które wiedzą, uświadamia sobie, co to oznacza?”. Wymieniając nowe uprawnienia, jakie Kongres nadał rządowi federalnemu w czasie, gdy kraj dostał histerii na punkcie Dillingera, „Harper’s” wyrażał następującą opinię: „Nigdy nie uchwalono bardziej niepotrzebnych i niebezpiecznych praw, choć propaganda usiłuje nam wmówić co innego”³. Dziennikarze tego pisma obawiali się, że nowa organizacja i przysługujące jej prawa stwarzają pole do nadużyć, jednak przez wiele dziesięcioleci inne liczące się głosy nie

podzielały tych obaw.

Pościg za Alvinem Karpisem wyraźnie kulał tej zimy, ponieważ w Biurze brakowało ludzi. Członkowie Latającej Brygady byli pochłonięci zbieraniem dowodów na proces gangu Barkera. Inni gromadzili dokumentację do procesów Johnny'ego Chase'a, który został aresztowany w północnej Kalifornii miesiąc po śmierci Baby Face Nelsona, Louisa Piqueta oraz tych, którzy udzielali Nelsonowi schronienia w Reno. Sporo agentów zajmowało się także ściganiem pozostałych członków gangu Barkerów.

Wpadli wszyscy po kolei. Dwa tygodnie po ucieczce Karpisa z Atlantic City, 6 lutego 1935 roku w St. Louis został aresztowany Volney Davis. Wycarterowanym samolotem był przewożony do Chicago. Podczas międzylądowania w Yorktown, w stanie Illinois, gdy samolot uzupełniał zapasy paliwa, dwaj eskortujący go agenci pili piwo w miejscowym barze. Kiedy jeden wyszedł zadzwonić, Davis uderzył drugiego kuflem w twarz, wyskoczył przez okno i uciekł. Tego samego dnia aresztowano dziewczynę Davisa, Ednę Murray, oraz innego członka gangu, którzy podczas próby ucieczki wdali się w strzelaninę z agentami. Davis został ponownie aresztowany dopiero 1 czerwca, w Chicago.

Następny był Harry Sawyer. FBI skupiło się na poszukiwaniach organizatora porwań Hamma i Bremera w Nowym Jorku. Agenci zamieścili zdjęcie Sawyera w żydowskich gazetach, licząc, że wyda go ktoś „tej samej rasy”, jak to określono w notatce służbowej FBI. W końcu aresztował go policjant na motocyklu. Sawyer został schwyty w swoim samochodzie, na wale nadmorskim w położonym nad Zatoką Meksykańską miasteczku Pass Christian (stan Missisipi). Prowadził bar w biednej części miasteczka. Poddał się bez walki i przewieziono go do St. Paul, gdzie miał się odbyć proces. Trzy miesiące później FBI wytropiło ostatniego członka gangu Barkerów, Billa Weavera, który zamieszkał na farmie w północnej Florydzie. Został aresztowany, kiedy szedł karmić kury.

Ci, którzy przeżyli wojnę z przestępczością, pojawiali się w salach sądowych przez cały 1935 rok. W styczniu, podczas procesu w Kansas City, skazani zostali konspiratorzy powiązani z masakrą w Kansas City (Deafy Farmer i inni); wszyscy otrzymali łagodne wyroki. Także w styczniu, w Dallas, odbył się proces dwudziestu

* Było to ostatnie aresztowanie Melvina Purvisa.

trzech osób, w tym członków rodzin Barrow i Parker, oskarżonych o udzielanie schronienia Bonnie i Clyde'owi: wszystkie prócz jednej zostały uznane za winne i otrzymały karę więzienia. Trzy dni później zostali straceni niegdysiejsi wspólnicy Clyde'a, Raymond Hamilton i Joe Palmer. W marcu Delores Delaney i Wynonę Burdette skazano na pięć lat więzienia za ukrywanie Alvina Karpisa i Harry'ego Campbella.

W tym samym miesiącu w Chicago rozpoczęły się procesy ludzi powiązanych z Dillingerem. Johnny Chase został skazany na dożywocie za zamordowanie Sama Cowleya i Eda Hollisa. Helen Gillis otrzymała karę roku pozbawienia wolności za ukrywanie męża. Latem tego roku Louisa Piquetta skazano na dwa lata za udzielanie schronienia przestępcom; Art O'Leary dostał rok w zawieszeniu. W San Francisco odbywały się procesy tych, którzy pomagali Baby Face Nelsonowi. Wszyscy, łącznie z mechanikiem Frankiem Cochrane'em, otrzymali łagodne wyroki. Podczas dwóch procesów w St. Paul członkowie gangu Barkerów zostali skazani za porwanie Bremer. Dock Barker, Harry Sawyer, Volney Davis i Bill Weaver z karą dożywocia znaleźli się w nowym federalnym „superwięzieniu” na wyspie Alcatraz w zatoce San Francisco.

W czerwcu rozpoczął się proces Adama Richettiego, pomocnika Pretty Boy Floyda, oskarżonego o udział w masakrze w Kansas City*. Z analizy dokumentów FBI wynika, że była to właściwie parodia procesu. Każdy z agentów, którzy przeżyli masakrę - Frank Smith, Reed Vetterli i Joe Lackey - podczas składania zeznań wskazał na Floyda i Verne'a Millera jako zamachowców, choć wcześniej twierdzili wielokrotnie, że nie są w stanie zidentyfikować żadnego z nich. Lackey posunął się nawet o krok dalej, identyfikując samego Richettiego. Adwokaci Richettiego podjęli nieudaną obronę. Richetti został uznany za winnego i skazany na śmierć; umarł w komorze gazowej w Jefferson City, w stanie Missouri, 7 października 1938 roku.

Kto więc naprawdę towarzyszył Verne'owi Millerowi tamtego ranka w Kansas City? Historycy zastanawiają się nad tym od siedemdziesięciu lat. Wielu z nich, w tym biograf Floyda, Michael

* Richetti oficjalnie został oskarżony tylko o zabicie jednego z dwóch policjantów z Kansas City, Franka Hermansona.

Wallis, doszło do wniosku, że Floyd nie brał udziału w masakrze*. W rzeczywistości jednak można niemal z całą pewnością stwierdzić, że Floyd był uczestnikiem tych wydarzeń. Zbierając materiały do tej książki, natrafiłem na zeznania trzech ludzi, którzy rozmawiali o masakrze z Floydem lub Millerem; dwoje z tych świadków złożyło w biurze FBI szczegółowe, niemal identyczne zeznania - których, co bardzo znamienne, nie przedstawiono podczas procesu Richettiego. Nie trafiły również do akt FBI związanych z masakrą, lecz umieszczone zostały wśród dokumentów gangu Barkerów i Karpisa; były to oświadczenia Volneya Davisa i Edny Murray, którzy rozmawiali z Millerem dwa dni po masakrze, gdy pojawił się w ich mieszkaniu w Chicago. Oboje nie mieli żadnych powodów, by obciążać Pretty Boy Floyda. Według tych zeznań Miller powiedział im, że Floyd towarzyszył mu

tamtego ranka, a nie było z nimi Richettiego, bo miał kaca.

Jedyna znana relacja Floyda z wydarzeń na dworcu Union Station wygląda niemal identycznie. Źródłem tych informacji jest nie kto inny, jak Alvin Karpis, który rozmawiał o masakrze z Floydem w Cleveland latem 1934 roku. W niepublikowanych wywiadach, których Floyd udzielił swemu biografowi. Billowi Trentowi, w 1970 roku, Karpis stwierdza, że gangster z Oklahomy przyznał się do udziału w masakrze, nie wspominał jednak, by uczestniczył w niej Richetti.

Minęła cała epoka. Skończył się czas nieuchwytnych gangsterów, nikt już bowiem nie mógł uciec przed prawem do innego stanu; FBI mogło dopaść złoczyńcę wszędzie. Co więcej, liczne i mocno nagłośnione procesy odniosły skutek, na jaki liczył Hoover - ulubione kryjówki gangsterów znikwały jedna po drugiej. St. Paul nie było już ośrodkiem życia przestępczego; Zielona Latarnia została zamknięta. Chicagowski syndykat nie chciał mieć nic wspólnego z gangsterami, którzy wywoływali niepotrzebne zamieszanie. Louie Cernocky umarł na zawał we wrześniu 1934 roku. Zamykano kolejne kryjówki w Miami, Reno i Cleveland.

* Profesor dziennikarstwa z Kansas City, Robert Unger, badał tę sprawę przez dziesięć lat; dopiero na jego żądanie FBI ujawniło dokumenty dotyczące masakry. W książce *The Union Station Massacre*, wydanej w 1997 r., Unger nie odpowiada jednoznacznie na pytanie, kto towarzyszył Millerowi, stwierdzając jednak, że zapewne nie Floyd.

Nikt nie odczuwał wiatru zmian bardziej dotkliwie niż Alvin Karpis. Zamknięty na piętrze burdelu w Toledo, próbował odnaleźć się w tym nowym świecie. Zastanawiał się nad obrabowaniem kilku banków, nie mógł jednak znaleźć odpowiednich partnerów. Wszyscy dobrzy kasiarze odeszli. Był sam; brakowało mu Freddiego. Całe życie czytał gazety i czasopisma, „Reader’s Digest”, „Time”, „Field & Stream”, „The Saturday Evening Post”. Dowiedział się, że Delores urodziła syna w szpitalu w Filadelfii. Był teraz ojcem Raymonda. Przeczytał w gazecie, że jego rodzice zabrali dziecko, gdy Delores skazana została na pięć lat i odesłana do więzienia w Milan, w stanie Michigan. Zajęła celę obok Kathryn Kelly.

Po kilku tygodniach Karpis zaczął wracać do aktywnego życia. Policja Toledo od czasu do czasu urządzała naloty na różne podejrzane miejsca w mieście. Przyjaciół Karpisa z czasów Harvard Club, szczupły, jękający się krupier Freddie Hunter, znalazł mu nową kryjówkę w domu ślusarza Clayтона Halla w Youngstown. Dom był tak mały, że Karpis musiał przez jakiś czas spać z nastoletnim synem Halla. Wkrótce zaczęło brakować mu pieniędzy. Hunter zaproponował napad na transport gotówki przeznaczonej na wypłaty dla pracowników fabryki Youngstown Steel & Tubę Plant w Warren, w której pracował. Nie

mógł jednak brać udziału w napadzie; Warren było jego rodzinnym miastem i bał się, że zostanie rozpoznany.

Karpis zbadał uważnie tę sprawę i doszedł do wniosku, że potrzebuje dwóch ludzi. Jednym mógł być Harry Campbell, który wciąż przebywał w Toledo, ale brakowało mu drugiego. Karpis i Campbell wybrali się na poszukiwania do Tulsy, nie mogli jednak znaleźć nikogo chętnego; było o nich zbyt głośno. Karpis wrócił do Ohio i w akcie desperacji zatrudnił znajomego Freddiego Huntera, narkomana Joego Richa, który mieszkał w Canton z miejscową burdelmama. Karpis żartował, że w owym czasie gotów był nawet zatrudnić burdelmamę.

Popołudniu 24 kwietnia 1935 roku Karpis zatrzymał się przed dworcem kolejowym w Warren. Ciężarówka pocztowa już czekała na przybycie pociągu. Campbell i Joe Rich wysiedli z auta, kryjąc broń pod płaszczami. Karpis pomyślał, że rzucają się w oczy na pustym peronie. Zawiadowca stacji najwyraźniej był tego samego zdania, gdyż przyglądał im się uważnie. Zaniepokojony Campbell wrócił do auta.

- Zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli zabić mnóstwo ludzi, żeby zabrać te pieniądze? - spytał.

Karpis westchnął i zapewnił go, że wszystko będzie dobrze. Nagle przed samochodem przemknął kot.

- To był czarny kot - stwierdził Campbell.

- Daj spokój - machnął ręką Karpis. - Miał biały krawat.

- Był czarny jak smoła - upierał się Campbell.

Karpis westchnął ponownie; za moment mieli zrobić pierwszy skok od ponad roku, a klócili się o kota. Z dala dobiegł głośny gwizd, pociąg zbliżał się do stacji. Gdy zatrzymał się na peronie, obserwowali z auta, jak kurierzy przeładowują worki z pieniędzmi. Ciężarówka ruszyła w drogę, Karpis jechał przed nią. Kilka przecznic dalej zatrzymali się przed przejazdem kolejowym. Campbell i Joe Rich wysiedli z karabinami maszynowymi w dłoniach. Kierowca, jak tylko ich zobaczył, wyrzucił swój pistolet na ulicę.

Campbell i Rich wsiedli do ciężarówki i kazali kierowcy jechać za Karpisem, który wyprowadził ich na przedmieścia Warren, do opuszczonej szopy, którą wcześniej wynajęli. Nikt ich nie ścigał; napad przebiegł bez zakłóceń. W ciężarówce Karpis znalazł worek wypełniony plikami banknotów. Przeliczyli je na podłodze szopy; zgarnęli 72 000 dolarów. Joe Rich był tak podniecony, że wyjął strzykawkę, upuścił trochę wody z chłodnicy, zagotował morfinę i wstrzyknął sobie do żyły. Kilka minut później mówił Karpisowi, że powinni obrabować Rezerwę Federalną w Cleveland. Wrócili bezpiecznie do Toledo, gdzie

Karpis dowiedział się, że szczęście nadal go nie opuszcza - następnego dnia policja aresztowała dwóch miejscowych bandziorów, oskarżając ich o ten napad.

Wsparci świeżym zastrzykiem gotówki Karpis i Campbell bawili się w Toledo przez następny miesiąc, udając hazardzistów. Campbell, którego los nie obdarzył trzeźwością umysłu, zapłacił kiedyś osiemnastoletniej dziewczynie 10 dolarów, by spędziła z nim całą noc. Dwa dni później się jej oświadczył, a po miesiącu wzięli ślub. Zamieszkali w przyczepie kempingowej za domem matki dziewczyny*.

Karpis nie mógł usiedzieć na miejscu. Ponieważ Campbell rozleniwiał się małżeńską sielanką, ruszył w drogę z Freddie Hunterem. Przejechali przez stan Nowy Jork i niemal całą Nową Anglię, docierając

* Tym samym Campbell dorzucił do listy swych występków bigamię, pozostawał bowiem w separacji z żoną, która mieszkała wraz z jego córką w Teksasie. FBI stale je obserwowało.

do kempingów położonych aż w Maine. Gdy zatrzymali się w Saratoga Springs, Karpis był przekonany, że ktoś go rozpoznał - i miał rację. Następnego dnia wiadomość o jego wizycie trafiła na pierwsze strony miejscowych gazet, lecz wtedy był już w Ohio. Stamtąd pojechał do St. Louis i Tulsy, przekonał się jednak, że żaden ze starych przyjaciół nie cieszy się z jego wizyty.

W czerwcu zawędrowali do Hot Springs. Hunter znał tę miejscowość z pobytu w 1929 roku, gdy leczył się tutaj na rzeżączkę. Karpisowi się spodobała i nie bez powodu. Reformy zmieniały oblicza innych miast, lecz tutaj wszystko działało tak samo jak w 1933 roku. Pół roku później znalazł tu schronienie inny przestępca, Charles „Lucky” Luciano, który chciał uniknąć ekstradycji do Nowego Jorku, gdzie polował na niego Thomas Dewey.

I tak, ślepym zrzędzeniem losu Karpis, ostatnia wielka postać wojny z przestępczością, trafił w końcu tam, gdzie wszystko się zaczęło. White Front Cigar Store, gdzie został zatrzymany Frank Nash, wciąż prowadził normalną działalność, podobnie jak kasyna Belvedere i Southern Club. Nawet Dick Galatas wciąż przebywał w mieście, czekając na apelację od wyroku w sprawie masakry. Dutch Akers, skorumpowany detektyw, który odebrał 500 dolarów nagrody za wydanie Nasha, nadal pracował na swoim stanowisku. Niemal co wieczór można go było znaleźć w pobliżu najnowszego domu publicznego w mieście, Hatterie, położonego obok hotelu Arlington, niegdyś ulubionej kryjówki Ala Capone.

Akers cieszył się względami burdelmamy Hatterie, pulchnej trzy-dziesięciolatki Grace Goldstein. W rzeczywistości nazywała się Jewel Laverne Grayson, a jej rodzina w

Teksasie była przekonana, że prowadzi sklep z kapeluszami. Goldstein chętnie przyjmowała gliniarzy, bo zapewniała sobie tym samym spokój - to oni rządzą miastem. Jednak, jak zeznała później FBI, gdy pojawił się Karpis, „zaczęła go podrywać”. Nie był może szczególnie przystojny, ale zwitek banknotów w jego kieszeni stanowił silny wabik dla prostytutki w czasach Wielkiego Kryzysu. Tymczasem Freddie Hunter zakochał się na zabój w jednej z podopiecznych Goldstein, Connie Morris, nastoletniej uciekinierce z Oklahomy.

W lipcu Karpis i Hunter wybrali się w kolejną długą podróż, przejeżdżając niespiesznie przez Teksas i brzegiem Zatoki Meksykańskiej aż na Florydę. Wrócili do Hot Springs w sierpniu, wynajęli domki za miastem, nad jeziorem Hamilton. Udając hazardzistów, Freda Parkera (Hunter) i Eda Kinga (Karpis), spędzali całe dnie na pływaniu i wędkowaniu. Karpis, ubrany w drelichowe spodnie i T-shirt, całymi godzinami łowił okonie. Wieczory spędzali w Hatterie lub zapraszali tamtejsze dziewczyny na kolację. We wrześniu dołączył do nich Harry Campbell, znudzony życiem na podwórku teściowej; on także zaczął wkrótce adorować jedną z dziewczyn Goldstein. W jego ślady poszedł inny ze starych znajomych Karpisa z Oklahomy, przebywający na zwolnieniu warunkowym Sam Coker*. W połowie miesiąca Hunter wyjechał do Nowego Jorku, gdzie oglądał walkę o mistrzostwo wagi ciężkiej pomiędzy Joe Louistem i Maksem Baerem.

Wśród dziewięćdziesięciu tysięcy widzów znajdował się również J. Edgar Hoover. Można powiedzieć, że było to symboliczne spotkanie: Hoover płał w sławie, przyjmował zewsząd wyrazy uznania i chodził na walki bokserskie, podczas gdy polowanie na Karpisa utkwilo w martwym punkcie. Od ośmiu miesięcy FBI nie otrzymało żadnych potwierdzonych informacji na jego temat. Biuro z Oklahoma City przeszukiwało okolice Tulsy, lecz nikt szczególnie się do tego nie przykładał. Earl Connelley przyznał to otwarcie podczas rozmowy z jednym z pomocników Hoovera, Edem Tammem, po sierpniowych procesach Barkerów i Richettiego. Tamm, relacjonując tę rozmowę Hooverowi, starał się ukazać stanowisko Connelleya w korzystnym świetle: „Pan Connelley i ja uważamy, że brak zdecydowanych działań w stosunku do znajomych Karpisa na przestrzeni dwóch ostatnich miesięcy przyniesie pożądany efekt, to znaczy znajomi ci uspokoją się do tego stopnia, iż staną się nieostrożni podczas nawiązywania kontaktów z Karpisem”, pisał do Hoovera 1 sierpnia⁴. Connelley postanowił przydzielić czterech członków Latającej Brygady do obławy na Karpisa i skoncentrować się na Toledo i Chicago. Gdy dotarli do nich plotki,

* Sam Coker urodził się w Nowata, w stanie Oklahoma, w 1895 r. Skazany za napad na bank w 1924, trafił do więzienia w McAlester, gdzie zaprzyjaźnił się z Dockiem Barkerem i Volneyem Davisem. Zwolniony warunkowo w 1931, przekazał wiadomość od Docka jego

bratu, Fredowi, przebywającemu wówczas w Tul-sie, a gdy zarówno Fred, jak i Karpis znaleźli się na wolności, towarzyszył im podczas napadów. W czerwcu został aresztowany wraz z Barkerem i Karpisem, a jego wyrok odwieszono. Wyszedł na wolność po raz drugi we wrześniu 1935 i dołączył do Karpisa w Hot Springs; niektóre źródła sugerują, że Karpis zapłacił łapówkę za jego uwolnienie.

że Karpis ukrywa się w domu publicznym Edith Barry, założyli podsłuch na tamtejsze telefony i wynajęli mieszkanie, z którego mogli prowadzić obserwację burdelu.

Tymczasem Karpis znów robił się niespokojny. Na początku września opuścił wraz ze swym trzyosobowym gangiem domki nad jeziorem Hamilton. Po dwudniowej hulance w Hatterie wyjechali z Hot Springs i ruszyli na północ. W dniu ich wyjazdu skorumpowany detektyw Dutch Akers wezwał do siebie grupę dziennikarzy i oświadczył, że Karpis mieszkał w domkach nad jeziorem Hamilton. To odkrycie przypisywał wyłącznie sobie. Zadzwoił do biura FBI w Little Rock i podał agentom fałszywe nazwiska członków gangu oraz numery rejestracyjne samochodów. Wiadomość ta trafiła na pierwsze strony gazet w całym kraju. Akersowi wydawało się zapewne, że jest to z jego strony bardzo sprytnie posunięcie. Za jednym zamachem oczyścił się z ewentualnych zarzutów o zatajanie miejsca pobytu przestępcy oraz sprawił, że Karpis nie wróci już do Hot Springs i nie ściągnie uwagi na jego podejrzaną działalność.

Dla FBI oświadczenie Akersa było tylko jeszcze jedną z wielu niepotwierdzonych informacji, które nadchodziły do Biura z miejsc tak odległych jak Granfs Pass (Oregon), Sarasota Springs, Atlantic City, Dallas, Houston, Chicago, Nowy Orlean oraz z wielu miasteczek w Oklahomie i Missouri. Agent B.L. Damron z Little Rock przyjechał do Hot Springs i rozmawiał z Akersem, który podkreślał, że nigdy nie widział podejrzanych osobiście. Damron pojechał nad jezioro i przeszukał domki. Znalazł w nich trzy butelki po lekarstwach na rzeżączkę. Lekarz podał mu nazwisko pacjenta cierpiącego na tę chorobę, Freddiego Huntera. Nazwisko to nie mówiło nic FBI, a gdy nikt w Dyer's Landing nie rozpoznał na zdjęciach Karpisa, Damron zamknął śledztwo⁵.

Ponieważ Karpis udawał hazardzistę z Ohio, fałszywe nazwiska członków gangu wysłane zostały do biura w Cleveland, które skonsultowało je z miejscową policją. Nikt nie słyszał tam o hazardzistach takich Fred Parker albo Ed King; niestety, agenci zapomnieli zapytać o Freddiego Huntera. Ostatecznie ludzie Hoovera schowali artykuły o Hot Springs do akt i zapomnieli o nich.

Pijaństwo, dziwki i łowienie okoni z pewnością pozwalały miło spędzać czas, ale nie dla tych przyjemności Karpis został przestępcą. W ciepłe sierpniowe dni, gdy siedział na

brzegu jeziora Hamilton, narastało w nim pragnienie dokonania czegoś wielkiego, czegoś ekscytującego, czegoś, co rozpaliloby mu krew w żyłach. Nudził się. Hunter zaproponował cel - pociąg pocztowy, który przewoził pieniądze z Rezerwy Federalnej z Cleveland na wypłaty dla pracowników wielkich stalowni we wschodnim Ohio. Pomysł napadu na pociąg spodobał się Karpisowi, przemawiał do jego wyobraźni. Jesse James rabował pociągi. Butch Cassidy rabował pociągi. Teraz Alvin Karpis obrabuje pociąg.

Pojechali do Toledo, do burdelu Edith Barry, gdzie trafili zaledwie kilka dni po tym, jak agenci przerwali obserwację i zdjęli podsłuch z telefonów. Dowiedziawszy się, że FBI węszyło w okolicy, przenieśli się do domu hutnika Clayтона Halla w pobliżu Youngstown. Karpis planował napaść na pociąg w Garrettsville, na północ od miasta. Obawiając się FBI, postanowił zastosować nowoczesne metody i uciec drogą powietrzną. Hunter znał pewnego pilota z Port Clinton, Johna Zetzera, który w czasach prohibicji przewoził kanadyjską whisky do Ohio. Zetzer nie miał już samolotu, więc Karpis kupił mu czte-romiejscowego czerwonego stinsonsa, za którego zapłacił 1700 dolarów. Zetzer był jednym z kilku nowych ludzi zaangażowanych do tego skoku. Samego napadu Karpis miał dokonać wraz z czwórką innych gangsterów: Hunterem, Harrym Campbellem, Samem Cokerem i podstarzałym kasierzem, Benem Graysonem. Wciągnął również do współpracy dwudziestojednoletniego dzieciaka z Oklahomy, Milтона Letta, który sprzątał w Harvard Club.

Przygotowania szły gładko aż do 19 października, gdy Lett i Clayton kupili samochód w salonie Forda w Akron. Gruby zwitek gotówki, z którego odliczyli należność za auto, przyciągnął uwagę sprzedawcy. Nieco później tego samego dnia aresztowano obu jako „podejrzane osoby”. Zostali wypuszczeni za kaucją, a Karpis stwierdził, że z powodu tego incydentu nie zrezygnuje ze swoich planów. Powinien był to zrobić; zatrzymanie jego nowych partnerów stało się później ważnym tropem dla FBI. Dwa tygodnie później, 2 listopada, Karpis zebrał swoich ludzi w burdelu Edith Barry, by omówić poszczególne zadania. Pojawił się pewien problem. Sam Coker zachorował na rzeżączkowe zapalenie

* Grayson, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Bensen Groves, urodził się w 1880 r. w Wirginii. Odsiedział w Atlancie dwa pięcioletnie wyroki za napady na poczty.

stawów. Karpis poprosił telefonicznie jednego ze swych najstarszych przyjaciół, pasera z Tulsy, niejakiego Burrheada Keady’ego, by przysłał na miejsce Cokera swojego barmana*.

Rankiem 7 listopada wszystko było już zapięte na ostatni guzik. O drugiej po południu Karpis wjechał nowym plymouthem na parking przy dworcu w Garrettsville. Po peronie kręciło się około sześćdziesięciu osób. Ludzie Karpisa zajęli pozycje. O 12.13 pociąg wjechał

na stację i zatrzymał się w tym samym miejscu co zawsze. Lokomotywa wypuściła parę. Karpis ruszył w stronę wagonu pocztowego, a Ben Grayson wsiadł do szoferki. Fred Hunter stał na parkingu, pilnując, by nikt stamtąd nie wyjechał. Otworzyły się drzwi wagonu. Karpis wyciągnął karabin maszynowy, wprawiając w przerażenie dwóch urzędników pocztowych. Nim zdążył wypowiedzieć choćby jedno słowo, obaj zniknęli w środku. W tym momencie na parkingu wszczęło się jakieś zamieszanie. Karpis odwrócił się i zobaczył, że Hunter ściga dwóch mężczyzn, którzy odwrócili jego uwagę od pary uruchamiającej właśnie samochód.

Podszedł do samochodu, otworzył drzwiczki (kierowca skamieniał ze strachu), wyjął kluczyki ze stacyjki i odrzucił je na drugą stronę parkingu. Po chwili był już z powrotem przy wagonie. Nie widział nigdzie dwóch urzędników pocztowych. Wrzucił do środka niepodpaloną laskę dynamitu.

- Za chwilę wrzucę drugą laskę, ale zapaloną! - krzyknął. - Macie pięć sekund. Jeden, dwa...

W tym momencie w drzwiach pojawili się urzędnicy z podniesionymi rękami.

- Nie możesz tego zrobić, człowieku - powiedział jeden z nich. Karpis nastawił karabin na pojedyncze strzały i skierował nad ich głowy. Broń się zacięła, ale przekaz był wystarczająco jasny. Karpis wskoczył do środka, a urzędnicy zaprowadzili go do toreb pocztowych. Spytał o pieniądze na wypłaty dla pracowników z Warren. Urzędnik podał mu torbę zamkniętą na kłódkę. Gdy Karpis poprosił o pieniądze przeznaczone dla robotników z Youngstown, usłyszał, że nie ma ich

* Barman Keady'ego, John Brock, również odsiadywał wyrok w więzieniu w McAlester, gdzie poznał Volneya Davisa i Docka Barkera. Wcześniej przyjechał do Ohio na wiosnę, by wziąć udział w napadzie na furgonetkę z pieniędzmi w Warren, potem jednak się rozmyślił i wrócił do Tulsy.

w pociągu. Skierował lufę karabinu na pierś urzędnika. W tym momencie do wagonu wszedł Harry Campbell.

- Uważaj, Harry - powiedział Karpis. - Zaraz zastrzelę tego faceta.

Urzędnik, bliski łez, wskazał księgę przewozową, chcąc udowodnić Karpisowi, że w pociągu naprawdę nie ma pieniędzy dla Youngstown. Zirytowany Karpis kazał urzędnikom podnieść kilka toreb z listami poleconymi, a potem załadować je do plymoutha. Wszystko trwało pięć minut.

Ucieczka przebiegła bez zakłóceń. Kierując się planem przygotowanym przez Karpisa, pojechali do miasteczka Port Clinton nad jeziorem Erie i zatrzymali się w garażu pilota Johna Zetzera, gdzie opróżnili torby. Karpis był rozczarowany. Ich łupem padło w

sumie 34 000 dolarów; liczył napięć razy więcej. Wylecieli następnego ranka, o 10.30, był to jednak krótki lot; jeszcze nad południową Indianą skończyła im się benzyna i zmuszeni byli lądować w pobliżu Evansville. Zetzer podjechał autostopem do miasta i kupił 180 litrów paliwa na stacji Standard Oil. Wkrótce ponownie wzbili się w powietrze. Po jakimś czasie znów skończyła im się benzyna i musieli wylądować na polu w Missouri. Zetzer raz jeszcze musiał pojechać na stację. Noc spędzili w samolocie, a następnego ranka dotarli do Memphis. W południe byli już w Hot Springs.

Karpis i Hunter ze swoimi dziewczynami pojechali do Teksasu, gdzie przez kilka dni odpoczywali w domu brata Grace Goldstein. Potem podróżowali wzdłuż Zatoki Meksykańskiej, wędkując i opalając się. Po trzech tygodniach wrócili do Hot Springs, gdzie przenosili się z mieszkania do mieszkania, nigdy nie zatrzymując się zbyt długo w jednym miejscu.

W styczniu Karpis wezwał do siebie Clayтона Halla, wręczył mu 1100 dolarów i poprosił, by kupił mu nowy samochód. Później, przekonany, że może już bezpiecznie zatrzymać się na dłuższy czas w jednym miejscu, wynajął dom nad jeziorem. Za dnia wędkował, wieczory spędzał w Hatterie. Fred Hunter rzadko bywał w tym domu, podróżował ze swą dziewczyną po Teksasie i Florydzie. W marcu Karpis przeprowadził się ponownie, tym razem do domu na południe od Hot Springs. Elegancki, piętrowy budynek, z treliazami przy drzwiach frontowych, stał na zalesionym wzgórzu, z którego rozciągał się widok na Malvern Road. Karpisowi podobało się to miejsce. Uznał, że gdyby agenci FBI próbowali go tutaj podejść, widziałby ich już z daleka.

Z punktu widzenia Biura historia pościgu za Karpisem jest jednym z bardziej wstydlivych rozdziałów wojny z przestępczością. Od początku towarzyszyła jej atmosfera bezwładu i zobojętnienia; żaden z agentów nie miał ochoty nadstawiać karku w ostatniej bitwie wygranej już wojny, widać to było gołym okiem.

Po dziesięciu miesiącach pracy i sprawdzania tropów nadchodzących z miejsc tak odległych jak Boston, Hawana i Los Angeles, FBI wciąż nie miało pojęcia, gdzie Karpisa szukać. Napad na pociąg w Garrettsville nie podlegał jurysdykcji Biura, agenci nie podjęli więc śledztwa, jednak po tym rabunku do gry włączyła się nowa siła: oddział nieustraszonych inspektorów pocztowych. Prowadzona przez nich obława wkrótce przyćmiła wszelkie działania, jakie FBI prowadziło w sprawie Karpisa. Inspektorzy z Youngstown potrzebowali zaledwie dwudziestu czterech godzin, by ustalić, że za skok w Garrettsville odpowiadają Karpis i Campbell; świadkowie bez trudu rozpoznali ich obu na zdjęciach*. Zachowując tę informację tylko dla siebie, główny inspektor, Sylvester J. Hettrick, skontaktował się ze

stanową policją drogową w Kansas. Jeden z tamtejszych detektywów, Joe Anderson, sprawdzał już pogłoski, że Karpis zaangażowany był w kilka napadów na terenie Kansas.

Anderson byłby pierwszorzędnym agentem FBI. W ciągu kilku tygodni, korzystając ze swoich kontaktów w półświatku Tulsy, ustalił, że jednym z uczestników napadu w Garrettsville był Sam Coker; Coker zniknął na kilka dni przed napadem, głupio się chwając przyjaciołom, że wyjeżdża na wschód, by wziąć udział w skoku na wagon pocztowy. Początkowo Anderson i inspektorzy pocztowi chętnie współpracowali z FBI, przekazując im informacje o Cokerze i innych. Kiedy Connelley dowiedział się, że Karpis może być sprawcą napadu w Garrettsville, poprosił biuro w Cleveland, by sprawdziło ten trop; tamtejsi agenci umówili się na pogawędkę z inspektorami pocztowymi, którzy ochoczo podzielili się z nimi swoją wiedzą. FBI w większości zignorowało te wskazówki.

W grudniu i styczniu śledztwo prowadzone przez inspektorów nabrało tempa. Wytropili samochód użyty podczas napadu; sprzedawca z Akron zidentyfikował Milтона Letta jako nabywcę**. Wkrótce

* Ta sama grupa inspektorów badała w kwietniu sprawę napadu w Warren i podejrzewała, że Karpis także brał w nim udział.

** Connelley zignorował pogłoski o udziale Milтона Letta w napadzie, bo FBI już wcześniej go przesłuchiwało i uważało za swojego tajnego informatora.

inspektorzy zidentyfikowali również hutnika Clayтона Halla, a potem Freddiego Huntera. Connelley ignorował wszystkie te informacje. Wydaje się, że agenci FBI po prostu nie mogli uwierzyć, iż konkurencyjna agencja prowadzi śledztwo sprawniej niż oni. Pomimo oczywistych postępów czynionych przez inspektorów Connelley odrzucał wszelkie ich sugestie.

„Inspektorzy pocztowi coraz bardziej się nakręcają i są przekonani, że wkrótce złapią Karpisa i Campbella - pisał współpracownik Hoovera po rozmowie z Connelleyem. - Connelley mówi, że większość zebranych przez nich informacji do niczego się nie nadaje, tak naprawdę mają tylko kilka pomniejszych tropów, a kiedy okaże się, że do niczego one nie prowadzą, przekażą sprawę nam”⁶.

Tymczasem Biuro zintensyfikowało obserwację rodzin Karpisa i Campbella. Agenci w Chicago założyli podsłuchy w całym mieszkaniu rodziny Karpisa, zatrudnili nawet Litwina, by tłumaczył rozmowy między rodzicami Karpisa. Dowiedzieli się jedynie, że jego matka i ojciec kłócą się bezustannie o to, kto jest odpowiedzialny za jego przestępcze skłonności. W Tulsie obserwowali przyjaciela Karpisa, Burrheada Keady’ego, nawet gdy pojawiły się plotki, że inspektorzy zamierzają go aresztować. Connelley zażądał regularnych meldunków o

postępach śledztwa prowadzonego przez inspektorów. „Powinniśmy chronić nasze interesy - pisał 17 lutego do biura w Oklahoma City - i dopilnować, by nie stało się nic, co kolidowałoby z naszym śledztwem”⁷.

FBI dowiedziało się o aresztowaniu Keady’ego dopiero 27 lutego, gdy napisała o tym wychodząca w Cleveland gazeta „Plain Dealer”. Kiedy agenci zapytali otwarcie, czy to prawda, główny inspektor, Sylvester Hettrick, zaprzeczył. Rozgorzał spór między ludźmi Hettricka i biurem FBI w Cleveland: inspektorzy, wyraźnie rozdrażnieni mnóstwem pełnych uwielbienia pochwał, jakimi obsypywane było Biuro, w końcu przestali się w ogóle dzielić informacjami z ludźmi Hoovera. Pop Nathan, który podobnie jak Connelley gardził inspektorami, kazał agentom zignorować ich i skoncentrować się na własnym śledztwie. Dwa dni później inspektorzy zatrzymali barmana Keady’ego.

Wiele spośród tych samych tropów trafiało do Biura, lecz ludzie Hoovera z uporem je ignorowali. Joe Rich, narkoman, który wraz z Karpisem dokonał napadu w Warren, trafił do więzienia w Canton, w stanie Ohio, i próbował wytargować wolność w zamian za cenne informacje; agenci FBI, którzy przesłuchiwali Richa, po prostu nie uwierzyli w jego opowieść, nazywając ją „zgrabną bajeczką”. Nie interesował ich też wcale Clayton Hall. FBI otrzymało informacje o związkach Halla z Karpisem z co najmniej trzech źródeł. Jednak dopiero 1 marca, sześć tygodni po pojawieniu się pierwszej z tych informacji, dwaj agenci pojechali do domu Halla pod Youngstown. Obserwowali go przez kilka godzin, a potem odjechali. Hipoteza mówiąca, że Karpis zatrudnił pracownika huty, wydawała im się zapewne zbyt naciągana, by mogli traktować ją poważnie. Zostawili Clayтона Halla inspektorom*.

Tymczasem w Chicago Connelley dokonał bilansu ich dotychczasowych dokonań. Stali w miejscu, a wiedział, że inspektorzy dokonują coraz to nowych postępów. Choć było to zadanie bardzo niewdzięczne, musiał się dowiedzieć, co ustalili inspektorzy. Nie mógł ich po prostu zapytać - między Biurem a pocztą panowała teraz jawna wrogość. Musiał ich jakoś podejść. Przeglądając dokumenty, natrafił na relację agentów z Cleveland, którzy odwiedzili dom Clayтона Halla. Podobno Halla widziano w towarzystwie inspektorów pocztowych.

W środę 25 marca Connelley zadzwonił do szefa agentów w Cleveland i poprosił go, by odszukał Halla. Tego dnia do Youngstown pojechał agent EJ. Wynn, który zastał Halla w domu. Hall przyznał, że zna Freddiego Huntera od lat. Rozpoznał na zdjęciu Karpisa, mówiąc, że to kumpel Huntera, „Ed King”, powiedział też, że obaj

* 13 marca agenci FBI aresztowali w Brooklynie Eda Bentza. Ostatni wielki gangster epoki jazzu, mentor Machine Gun Kelly’ego i Baby Face Nelsona, przeniósł się do Nowej Anglii, gdy Biuro rozpoczęło zakrojone na wielką skalę poszukiwania Dillingera i innych

przestępców ze Środkowego Zachodu. Obrabował kilka banków w Vermontie i New Hampshire; agenci wytropili go, znalazłszy jedną z jego byłych dziewczyn. Po jakimś czasie odczytany Eddie Bentz stał się ulubionym gangsterem Hoovera. W wydanej w 1939 r. książce *Persons in Hiding* dyrektor FBI poświęca Bentzowi cały rozdział, nazywając go „supermenem, człowiekiem, którego tysiące uczciwych ludzi znają jako osobę niezwykle uprzejmą, obdarzoną wieloma przymiotami, godną pozazdroszczenia wiedzą i nienagannymi zasadami”.

Connelley przez wiele godzin przesłuchiwał starego, gadatliwego gangstera. Bentz opowiedział mu dziwną historię o tym, jakoby spotkał się z Karpisem w Chicago w 1935 i pojechał z nim do kryjówki w Indianie, do miejsca, które opisał jako „cmentarz gangsterów”, gdzie różni przestępcy zakopywali swe łupy. Connelley spędził tydzień na poszukiwaniach tego miejsca, jednak nie znalazł.

odwiedzili go ostatnio w styczniu. Był to najlepszy trop, na jaki FBI trafiło od ponad roku. Agent Wynn dał Hallowi pięć dolarów i powiedział mu, by następnego dnia o pierwszej stanął się w biurze FBI w Cleveland na przesłuchanie.

Connelley przyjechał do Cleveland specjalnie na tę okazję, ale Hall nie przyszedł na pierwszą. Gdy nie pojawił się do zmroku, Connelley pojechał do Youngstown. Żona Halla powiedziała mu, że jej mąż wyszedł rano. Myślała, że wybiera się do FBI. Następnego ranka w domu Halla ponownie zjawili się dwóch agentów. Pani Hall powiedziała, że jej mąż wrócił późno w nocy, ale wyszedł ponownie wczesnym rankiem. Podejrzewając, że Hall próbuje ich unikać, agenci zaparkowali w pobliżu i obserwowali dom. Kilka minut później przejechał obok ford. Jeden z mężczyzn siedzących w fordzie zanotował numery rejestracyjne. Agenci byli przekonani, że to inspektorzy pocztowi. Zirytowani, pojechali na pocztę w Youngstown, gdzie mieściła się kwatera główna inspektorów. Zobaczyli tego samego forda zaparkowanego przed pocztą. Z okna na piętrze patrzyli na nich inspektorzy.

Chwilę później do biura w Cleveland zadzwonił Sylvester Hettrick, główny inspektor pocztowy. Chciał się spotkać. Agent Wynn pojechał na pocztę w Youngstown i trafił do pokoju, w którym czekało na niego ośmiu zirytowanych inspektorów, detektyw Joe Anderson oraz dwóch funkcjonariuszy stanowej policji drogowej Ohio. Inspektor Hettrick oświadczył, że zatrzymali Clayтона Halla. Gdy postraszyli go, że zostanie oskarżony o napad w Garrettsville, Hall oświadczył, że wyda im Karpisa, ale tylko jeśli przy przesłuchaniu obecny będzie agent FBI.

Następnego ranka Connelley usiadł w biurze w Cleveland z jednym z inspektorów, który, choć niechętnie, zgodził się na przesłuchanie Halla. Tuż przed południem Connelley

zadzwoił do Popa Nathana w Waszyngtonie i przekazał mu najnowsze wieści. Nathan nie był zachwycony. Ten brak entuzjazmu brał się bez wątpienia z upokarzającej świadomości, że Biuro zmuszone jest korzystać z dokonań inspektorów. „Jeśli coś z tego wyjdzie - mówił Nathan Hooverowi - sprawa przecieknie do prasy”⁸.

Nazajutrz rano Connelley pojechał do Youngstown i spędził z Hallem kilka godzin. Później zadzwonił do Waszyngtonu i powiedział, że wystraszony hutnik podał im wszystkie szczegóły, łącznie z adresem oddalonego o dziesięć kilometrów od Hots Springs domu wynajmowanego przez Karpisa. Connelley zamawiał już lot czarterowy do Arkansas. Stwierdził, że jeśli dopisze mu szczęście, będzie tam jeszcze przed południem następnego dnia. Przyznał też, że musi zabrać ze sobą grupę inspektorów, „bo Hall został zatrzymany przez nich i tylko dzięki ich współpracy w ogóle zdobyliśmy te informacje”⁹.

Grupa Connelleya przybyła do Little Rock dopiero o 16.35 w niedzielę 30 marca*. Jeden z dziennikarzy dowiedział się o ich przybyciu. Następnego dnia na pierwszej stronie dziennika „Gazette” ukazał się tytuł: G-MENI W ARKANSAS Z TAJEMNICZĄ MISJĄ. Zrozumiawszy, że zostało już tylko kilka godzin, nim wiadomość ta dotrze do Karpisa, Connelley udał się pospiesznie do Hot Springs i wieczorem odszukał dom, o którym mówił Hall - samotny budynek na szczycie zalesionego wzgórza, z widokiem na Malvern Road. W oknach paliło się światło. Ktoś był w środku.

„Zbadałem miejsce wskazane przez informatora Claytona Halla, wszystkie informacje się potwierdzają - powiadamiał Hoovera Connelley w zaszyfrowanym telegramie nadanym o 3.05 w nocy. - Dom w pełni oświetlony, w środku prawdopodobnie podejrzany. O świcie dokonam aresztowania podejrzanego we wspomnianym powyżej miejscu”¹⁰.

Connelley miał do dyspozycji czternastu ludzi, między innymi: Clarence’a Hurta, jednego z agentów, którzy zastrzelili Dillingera; Rufusa Coultera, który brał udział w strzelaninie z Homerem Van Meterem w St. Paul; i Loyde’a Kingmana, który w Hawanie jechał jedną windą z Karpisem. Pod osłoną ciemności, tuż przed świtem, zajęli pozycje wokół domu. Hoover czekał przy telefonie w stolicy. Zależało mu na schwytaniu Karpisa, ale jeszcze bardziej na tym, by całą zasługę przypisano FBI, a nie inspektorom pocztowym; kazał Connelleyowi „nie szczędzić środków”, by to on dowiedział się o wszystkim pierwszy i mógł też pierwszy złożyć stosowne oświadczenie. Agenci z Little Rock co piętnaście minut dzwonili do Waszyngtonu tylko po to, by poinformować Hoovera, że jeszcze niczego nie wiedzą.

* Pracownik agencji prasowej w Cleveland dowiedział się o locie i wysłał depezę, że grupa agentów FBI jest w drodze do Arkansas. Przeciek rozwścieczył Hoovera, który kazał

przeprowadzić śledztwo w tej sprawie. Jednocześnie poinformowano dziennikarzy, że agenci polecieli do Arkansas na konferencję.

O ósmej ludzie Connelleya przystąpili do akcji. Było cicho; wydawało się, że udało im się osiągnąć całkowite zaskoczenie. Connelley wezwał Karpisa, by wyszedł przed dom z podniesionymi rękami. Nikt mu nie odpowiedział. Machnięciem ręki Connelley dał sygnał, by agenci użyli gazu. Pociski z gazem rozbiły szyby i wpadły do środka. Gdy przez wybite okna zaczęły wypełzać smugi dymu, Connelley ponownie wezwał Karpisa, by się poddał. Wołał jeszcze kilkakrotnie, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Gdy w końcu FBI przystąpiło do szturm, okazało się, że dom jest pusty*.

Karpis i Hunter uciekli z Hot Springs cztery dni wcześniej, dowiedziawszy się o obecności inspektorów w mieście. Stało się to za sprawą głupiej wpadki: jeden z inspektorów znał taksówkarza, który podko-chiwał się w dziewczynie Freda Huntera, Connie Morris. To ten taksówkarz po pijaku powiedział Morris, że agenci zamierzają aresztować. Grace Goldstein ostrzegła Karpisa i Huntera, którzy opuścili Hot Springs w ciągu kilku minut, zostawiając ubrania. Przeszukawszy dom, agenci nie mogli się nadziwić, jak bardzo Karpis schudł. Znalezione przez nich spodnie miały 65 cm w pasie.

Karpis pojechał na zachód, do Teksasu. Zostawił walizkę z karabinami maszynowymi w domu brata Goldstein, potem zaś pojechał do Corpus Christi, gdzie spotkał się z Hunterem oraz Morris i wynajął domek na kempingu. Przez kilka dni łowili ryby w zatoce, aż Karpis kupił gazetę i przeczytał o nalocie w Hot Springs. Hunter kupił nowy samochód, a gdy poszedł na komisariat, by go zarejestrować, usłyszał w policyjnym radiu opis czerwonego coupe, którym jeździł Karpis. Karpis porzucił samochód i pojechał do Missisipi, gdzie 2 kwietnia wynajął dwa pokoje w okolicach Biloxi. Tydzień później przeprowadzili się wszyscy do Nowego Orleanu. Karpis wynajął mieszkanie przy St. Charles Avenue. Hunter i Morris zamieszkali w pokojach budynku przy Canal Street.

FBI było tuż za nimi. Naiwna Connie Morris wysłała do swej matki list z Corpus Christi. Agenci po kilku godzinach dotarli na wybrze-

* Dopiero po kilku tygodniach agenci FBI dowiedzieli się, kto odwiedził dom Karpisa poprzedniego wieczora. Była to Grace Goldstein, która przysłała po swoje rzeczy. Towarzyszył jej szef policji w Hot Springs, Joe Wakelin. Z raportu FBI wynika, że kiedy Connelley obserwował tamtego wieczora dom, Wakelin i Goldstein uprawiali seks.

że Teksasu, ale Karpis już zniknął. Tymczasem Connelley zatrzymał Goldstein. Potwierdziła, że Karpis odwiedzał Hatterie, poza tym jednak nie powiedziała wiele. Connelley, nieświadom, jak dobrze w rzeczywistości znała Karpisa, wypuścił ją i wrócił do

Ohio. Uważał, że nie jest na tyle ważna, by kazać ją obserwować.

Karpis wyjechał, ale agenci nie opuszczali jeszcze Hot Springs. Wszyscy, których pytali o Karpisa, wskazywali na Grace Goldstein. Clayton Hall, który wciąż przebywał w areszcie w Youngstown, stwierdził, że może uda mu się namówić ją do zwierzeń. Connelley zatwierdził ten plan i we wtorek 10 kwietnia Hall przyjechał do Hot Springs, eskortowany przez agenta Johna Madaię. Obaj zameldowali się w hotelu Majestic. Około drugiej Hall zadzwonił do Hatterie. Powiedziano mu, że Goldstein wyjechała z miasta i wróci dopiero za dwa tygodnie. Wiadomość o wyjeździe Goldstein sprowokowała gorączkowe poszukiwania: agenci zakładali, że uciekła z Karpisem. Kiedy Clayton Hall powiedział, że Karpis wspominał kiedyś o odwiedzinach u rodziny Goldstein we wschodnim Teksasie, agenci natychmiast udali się w tamte strony, próbując ich namierzyć.

Warto zaznaczyć, że wielka polityka rzadko mieszała się do wojny z przestępczością. W dniu, w którym zniknęła Goldstein, stało się jednak inaczej. Tego ranka Hoover wszedł do senackiego pokoju przesłuchań, by zabiegać o podwojenie budżetu FBI. Spodziewał się kłopotów. Cały ten szum wokół wojny z przestępczością - przymilna prasa, filmy, seriale radiowe - wywoływał gwałtowną opozycję wobec Biura, szczególnie wśród zwolenników innych organów ochrony porządku publicznego. Przewodniczący podkomisji budżetowej, senator z Tennessee, Kenneth McKellar, był starym wrogiem Hoovera. Jego niechęć datowała się od dnia, kiedy Hoover nie zgodził się zatrudnić dwóch ludzi z Tennessee poleconych przez senatora. Gdy McKellar zaczął się skarżyć, Hoover natychmiast zwolnił trzech agentów z Tennessee”.

Tego ranka dyrektor Biura wygłosił długie przemówienie, które zilustrował przeróżnymi statystykami, tabelami i wykresami, podkreślając, że FBI praktycznie wyeliminowało porwania jako narodowe zagrożenie. Gdy skończył, McKellar zaatakował.

- Czy wydajecie jakieś pieniądze, pośrednio lub bezpośrednio, na reklamę? - spytał.

- Nie - odparł Hoover. - Nie wolno nam angażować się w reklamę.

- Czy bierzecie, na przykład, udział w produkcji filmów?

- Biuro zdecydowanie się temu sprzeciwiało. Zapewne widział pan kilka filmów o G-menach. - Hoover rzeczywiście sprzeciwiał się produkcji kilku filmów, ale tylko dlatego, że chciał, by nie Hollywood, ale FBI zajmowało się ich produkcją i zgarniało profity.

- Owszem - przytaknął McKellar. - Praktycznie były to reklamy Biura, bo w związku z nimi często pokazywano pańskie zdjęcia... Uważam, że wyrządziły krzywdę Departamentowi Sprawiedliwości, ukazując wasze metody działania.

McKellar dopiero się rozgrzewał. Spytał Hoovera, czy Biuro zatrudniło jakichś

pisarzy albo publicystów. Inny senator pytał, dlaczego Biuro nie współpracuje ściślej z lokalną policją. Hoover twierdził, że współpracuje, jeśli tylko policja nie jest skorumpowana.

- Wydaje mi się, że pańska agencja działa dość chaotycznie, panie Hoover - stwierdził McKellar. - Wydaje mi się też, że dysponując tak wielkim budżetem, jest pan po prostu rozrzutny.

- Pozwoli pan, że wygłoszę oświadczenie? - przerwał mu Hoover.

- Myślę, że to już jest oświadczenie - odparł McKellar. Zaczęli się sprzeczać o to, ile spraw rozwiązało dotąd FBI.

- Ilu ludzi zostało zabitych przez pańską agencję, odkąd pozwolono wam używać broni? - pytał McKellar.

- Nasi agenci zabili ośmiu gangsterów, a czterech naszych agentów zginęło na służbie.

- Innymi słowy, efektem przyznania broni waszej agencji jest śmierć ośmiu przestępców i czterech agentów.

Najwyraźniej próbując zawstydzić Hoovera, McKellar spytał o kwalifikacje, które pozwalają mu kierować Biurem. Hoover zauważył, że pracuje w Departamencie Sprawiedliwości od dziewiętnastu lat.

- Pytam o szkołę policyjną - odparł Kellar.

- Uczyłem się w praktyce.

- Dokonał pan kiedykolwiek aresztowania?

- Nie, proszę pana, prowadziłem śledztwa.

- Do ilu zatrzymań pan doprowadził i kto to był?

Hoover wymienił kilka spraw, którymi zajmował się jako prokurator.

- Czy to pan aresztował tych ludzi? - spytał McKellar. - Aresztowań dokonali funkcjonariusze pod moim nadzorem.

- Mówię o prawdziwych aresztowaniach - nie ustępował McKellar. - Pan nigdy tego nie robił, prawda?¹²

Hoover wrócił do biura wściekły jak nigdy w życiu. Ogromnie irytował go fakt, że choć Biuro miało już na swoim koncie tyle osiągnięć - Dillinger, Kelly, Floyd, Nelson, Barkerowie - wciąż było przedmiotem politycznych przepychanek. Zadzwoił do Connelleya. Jego żądania były proste: chciał, by Alvin Karpis został aresztowany, chciał, by stało się to natychmiast, i chciał zrobić to osobiście.

Nim FBI się zorientowało, że Grace Goldstein zniknęła, ona była już w Nowym Orleanie i spacerowała po Audubon Park u boku Karpisa, który zakradł się do Hot Springs i przez nikogo niezauważony, osobiście zabrał ją stamtąd. Gdy wrócił do Freddiego Huntera i

Connie Morris, zrobili sobie wakacje, zatrzymując się w Biloxi, potem zaś pojechali na Florydę. W drodze Morris zachorowała; miała kiłę z wyjątkowo dokuczliwymi objawami. Wróciła z Hunterem do Nowego Orleanu i zaczęła się leczyć. Karpis odwiedził Goldstein z powrotem do Hot Springs. FBI już na nią czekało.

W tym czasie w mieście roilo się już od inspektorów pocztowych i agentów FBI; jedni i drudzy mieli nadzieję, że oni pierwsi schwytają wroga publicznego numer 1. Żądania Hoovera, który chciał osobiście aresztować Karpisa, wprowadziły tylko większe zdenerwowanie w szeregach FBI. Agent John Madala nie pokazywał się nikomu, pilnując Clayтона Halla na kempingu obok miasta. Hall był pewien, że gdy tylko Goldstein wróci, wydobędzie od niej informacje o miejscu pobytu Karpisa. FBI poświęcało tyle samo czasu na obserwację Hatterie co i inspektorów pocztowych. Na polecenie Connelleya Frank Smith, stary „kowboj”, który zajmował się masakrą w Kansas City, współpracował z inspektorami i detektywem Joem Andersonem. Jedynym zadaniem agenta Smitha, jak pisał do Hoovera jego asystent, było „mieć na oku Andersona i wiedzieć zawsze, co robi i dlaczego”¹³.

Wreszcie, w piątek 24 kwietnia, jedna z prostytutek z Hatterie powiedziała agentom, że Goldstein wróci lada dzień. Ludzie Hoovera nie posiadali się ze zdenerwowania: musieli jakoś wyrzucić inspektorów pocztowych z Hot Springs. Tego dnia szef agentów z Little Rock, Chapmon Fletcher, „poleciał agentowi Smithowi, by zrobił wszystko co w jego mocy i wyciągnął inspektorów z Hot Springs pod jakimkolwiek pretekstem”¹⁴. Choć wydawało się to niemożliwe, Smith zdołał jakoś wypełnić to polecenie. Tego popołudnia, na skutek podstępu, który nie został opisany w aktach FBI, wszyscy inspektorzy opuścili Hot Springs.

W samą porę. Goldstein wróciła do Hatterie następnego dnia, w sobotę 25 kwietnia. Nim jednak dotarli do niej agenci FBI, została zatrzymana przez detektywa Dutcha Akersa i szefa policji Hot Springs Joe Wakelina, którzy przez trzy godziny namawiali ją, by wydała Karpisa: dwaj skorumpowani policjanci obiecywali Goldstein, że podzielią się z nią nagrodą w wysokości 12 000 dolarów. Tego wieczora, gdy Goldstein wróciła w końcu do Hatterie, John Madala posłał do niej Clayтона Halla. Podstęp informatora okazał się skuteczny; Hall i niczego niepodejrzewająca Goldstein rozmawiali przez kilka godzin. O czwartej w nocy agenci zobaczyli, jak Hall wychodzi z burdelu i idzie do restauracji Southern Grill. Hall był uradowany - Goldstein wyjawiała mu wszystko. Powiedziała, że Karpis i Hunter wynajmują mieszkania w Nowym Orleanie, gdzie Connie Morris leczy się na syfilis. Nie podała jedynie dokładnego adresu.

Connelley tego adresu potrzebował. Wyjechał z Ohio po południu, przykazując wcześniej Madali, by wieczorem ponownie wysłał Halla do Hatterie. Hall znów rozmawiał z

Goldstein, jednak adresu nie zdołał od niej wydobyć. Connelley nie mógł czekać dłużej. W poniedziałek rano udał się pociągiem do Nowego Orleanu. Musieli znaleźć Karpisa sami.

Wszyscy zaangażowani w pościg wiedzieli, że są blisko. W Waszyngtonie Hoover przygotowywał się już do przekazania narodowi wiadomości o schwytaniu Karpisa. W poniedziałek 27 kwietnia, gdy Connelley przyjechał do Nowego Orleanu, Hoover spotkał się z kierownictwem radia NBC. NBC proponowało nadać dwa oddzielne programy o schwytaniu Karpisa, przy czym oba miały podkreślić osobisty wkład dyrektora w ten sukces¹⁵. Notatka Hoovera przekazana potem Clyde'owi Tolsonowi nosiła tytuł „Propozycja audycji o schwytaniu Alvina Karpisa”.

Pozostawał tylko jeden problem: FBI wciąż nie wiedziało, gdzie Karpis się ukrywa. Connelley powiedział Hooverowi, że zamierza sprawdzić wszystkich lekarzy w Nowym Orleanie, aż znajdzie tego, który leczy Connie Morris. Jediną nadzieją na szybsze rozwiązanie problemu była Grace Goldstein. Agenci aresztowali ją na ulicy w Hot Springs, w poniedziałek wieczorem. Została przewieziona do Little

Rock i poddana intensywnym przesłuchaniom, nie chciała jednak podać adresu Karpisa.

Następnego dnia ludzie Connelleya zaczęli sprawdzać gabinety lekarskie w Nowym Orleanie. Goldstein wciąż milczała. Stwierdziła, że nie chce zostać wyrzutkiem, jak Ana Sagę. FBI miało jednak do dyspozycji jeszcze jedną formę nacisku. Agenci odszukali w Teksasie rodzeństwo Grace Goldstein i dali jej wyraźnie do zrozumienia, że wszyscy mogą zostać skazani za udzielanie pomocy Karpisowi. Podziałało. Następnego dnia, w środę 29 kwietnia, Goldstein przystała na umowę: jeśli FBI obieca, że nie wniesie oskarżenia przeciwko jej rodzinie, ona poda adres Karpisa - ale tylko Connelleyowi.

Tej nocy agenci przewieźli ją do Jackson w Missisipi i zameldowali się w motelu. Wkrótce dołączył do nich Connelley, który przesłuchiwał Goldstein przez trzy godziny, do trzeciej w nocy. Okazało się, że ona nie zna adresu Karpisa, wie jednak, gdzie mieszka Freddie Hunter, a Karpis podobno jadał u niego. Następnego dnia agenci w Nowym Orleanie rozpoczęli obserwację mieszkania Huntera. Znajdowało się w kamienicy stojącej przy ruchliwym skrzyżowaniu Canal Street i Jefferson Davis Parkway. Dwaj spośród najlepszych strzelców Biura, Clarence Hurt i Jerry Campbell, przylecieli do Nowego Orleanu, by wesprzeć miejscowych agentów.

Brakowało tylko jeszcze Hoovera. Biuro zorganizowało lot czarterowy samolotem DC-3 należącym do Trans World Airlines; Hoover i Tolson przybyli do Nowego Orleanu o 21.30 i zamieszkali w Roosevelt Hotel. Connelley powiedział Hooverowi, że

najprawdopodobniej dokonają zatrzymania dopiero następnego ranka. Dwaj agenci obserwowali kamienicę Huntera z domu naprzeciwko, na razie jednak nie dostrzegli ani Huntera, ani Karpisa.

Do następnego ranka, 1 maja, sytuacja nie uległa zmianie. Hoover nerwowo chodził po swoim pokoju hotelowym. O 9.45 młody agent, Raymond Tollet, który obserwował kamienicę Huntera, zobaczył, jak podjeżdża pod nią czerwony essex terraplane. Z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna. Tollet podniósł do oczu lornetkę, by przyjrzeć się jego twarzy. To był Karpis. Wszedł do budynku, a po chwili wyszedł z niego z drugim mężczyzną. Obaj wsiedli do swoich samochodów. Gdy odjechali, Tollet popędził do pobliskiego sklepu, by zadzwonić do Connelleya.

Karpis wrócił do Nowego Orleanu po kilkudniowym pobycie w Missisipi, gdzie obserwował dwa możliwe cele kolejnych napadów, furgonetkę z wypłatą dla pracowników firmy budowlanej i pociąg z pieniędzmi w mieście luka. Po powrocie zostawił rzeczy w swoim mieszkaniu przy St. Charles Avenue, a potem pojechał po Huntera. Udali się obaj na pustą uliczkę przy jeziorze Pontchartrain, gdzie Karpis przerzucił swoją broń do samochodu Huntera. Potem zostawili samochód Karpisa w warsztacie do przeglądu. Czekaając na odbiór auta, jeździli po mieście. Hunter był zdenerwowany; widział w pobliżu swej kamienicy jakichś obcych ludzi. W pewnej chwili stwierdził, że śledzi ich chyba rdzawoczerwony coupe. Zaniepokojeni, pojechali z powrotem do mieszkania.

Connelley obserwował ich z pustego domu naprzeciwko. Wszystko było gotowe. Zostawiwszy na miejscu dwóch ludzi, pojechał do centrum, do biura FBI. Hoover już czekał. Connelley zebrał wszystkich agentów i narysował na tablicy układ budynków. Miał czternastu ludzi. Dwaj mieli zostać w pustym domu. Dwie grupy stanęłyby na tyłach kamienicy Huntera. Na końcu, upewniwszy się, że Karpis i Hunter wciąż są w mieszkaniu, od frontu podeszłyby do budynku główna grupa - Connelley, Hoover, Dwight Brantley oraz „kowboje” Clarence Hurt i Buck Buchanan.

O 16.30, gdy Connelley finalizował swoje plany, Connie Morris poprosiła Karpisa i Huntera, by pojechali do sklepu i kupili truskawki na kolację. Karpis i Hunter wymienili spojrzenia. Karpis stanął przy oknie z karabinem maszynowym w dłoni, a Hunter wyszedł powoli na chodnik, sprawdzając otoczenie. Podeszedł do samochodu. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Karpis odłożył broń i ruszył jego śladem. Gdy przyjechali do sklepu, Karpis został w samochodzie. Zwrócił uwagę na sedana deSoto, który zatrzymał się za nimi. Hunter wrócił po kilku minutach i powiedział, że widział tego samego deSoto dzień wcześniej. Karpis stwierdził, że chyba za bardzo się przejmują, powinni się uspokoić.

Wrócili do mieszkania. Dzień był parny, temperatura wzrosła do trzydziestu stopni. Morris, która pracowała w kuchni, przebrała się w białą bluzkę bez pleców i szorty. Karpis poszedł do sklepu - tego samego, z którego korzystali agenci FBI - i kupił paczkę chesterfiel-dów oraz „Reader’s Digest”. Wrócił do mieszkania, przyglądając się po drodze wszystkim ludziom na ulicy. W końcu udało mu się trochę odprężyć. Jego samochód miał być gotowy na siedemnastą; kilka minut po tej godzinie wstał i oświadczył, że czas już odebrać auto. Włożył słomkowy kapelusz. W marynarce byłoby mu gorąco, schował więc pistolet za poduszkę na sofie.

Gdy zbierał się do wyjścia, pięcioosobowa grupa agentów czekała w dwóch autach po drugiej stronie skrzyżowania Canal i Jefferson Davis. Connelley i Clarence Hurt siedzieli w pierwszym samochodzie, Hoover i pozostali w drugim¹⁶. Kilka minut później dostali wiadomość, że pozostałe grupy są już na swoich miejscach. Dwa samochody ruszyły na skrzyżowanie. Zgodnie z planem mieli zaparkować za kamienicą i wrócić na piechotę. Jednak w tym właśnie momencie z budynku wyszli Hunter i Karpis, kierując się do zaparkowanego przy chodniku plymoutha. Karpis usiadł za kierownicą, opuścił szybę i odblokował drzwi po drugiej stronie. Connelley zareagował błyskawicznie: wjechał przed plymoutha i zahamował, blokując auto gangsterów. Hoover widział z drugiego samochodu, jak jakiś chłopiec na rowerze wjeżdża pomiędzy niego a Karpisa¹⁷. Chłopiec przejeżdżał właśnie obok, gdy Connelley i Hurt wyskoczyli z auta z bronią w dłoniach.

To, co działo się potem, wciąż pozostaje kwestią sporną. Według relacji Hoovera, cytowanej potem w dziesiątkach książek i artykułów przez lata, zatrzymanie wyglądało następująco: Hoover wyskoczył z auta i podbiegł do drzwi po stronie kierowcy, a Connelley stanął przy drzwiach pasażera. Nim Karpis zdążył sięgnąć po karabin leżący na tylnym siedzeniu, Hoover pochwycił go za kołnierz.

„Jąkał się, krztusił i trząsał jak osika - pisał następnego dnia dziennikarz, który przeprowadził wywiad z Hooverem. - Człowiek, który otrzymał tytuł wroga publicznego numer jeden, zachowywał się jak ostatni tchórz”. Karpis nie stawiał oporu. Podniósł ręce i wyszedł z samochodu. „Skujcie go, chłopcy”, polecił Hoover¹⁸.

Opowieść, którą Hoover przedstawił dziennikarzom następnego dnia, co najmniej w kilku miejscach mija się z prawdą. Stwierdził na przykład, że podczas aresztowania Karpisa w samochodzie była Connie Morris. „Zgarnęliśmy całą trójkę, gdy tylko wsiedli do samochodu - mówił dziennikarzom Associated Press. - Hunter i kobieta wyszli z auta z podniesionymi rękami”¹⁹.

W 1971 roku wydana została autobiografia Karpisa, w której można znaleźć

wyjaśnienie tych nieścisłości. Według Karpisa w momencie jego aresztowania Hoovera nie było nigdzie w pobliżu. Twierdził też, że nie sięgał na tylne siedzenie po broń, bo w tym samochodzie nie było tylnego siedzenia. Agent z auta, które zajechało mu drogę, zapewne Connelley, doskoczył, skierował na niego broń i warknął: „Karpis, trzymaj ręce na kierownicy”²⁰. Dopiero wtedy, jak twierdził Karpis, jeden z agentów zaczął krzyczeć: „Szefie, mamy go!”. W tym momencie zza kamienicy wyszedł Hoover, który pomógł go aresztować.

„Opowieść o Hooverze bohaterze jest fałszywa - pisał Karpis.

- Wcale nie prowadził tego ataku. Czekał z tyłu, by mieć pewność, że niebezpieczeństwo minęło. Potem wyszedł i przypisał sobie całą zasługę”. Należało się spodziewać jakiejś reakcji Hoovera na te zarzuty. W notatce z 1971 roku, podsumowującej książkę Karpisa, ostatnim z setek komentarzy, które wypisywał na marginesach raportów dotyczących głównych postaci wojny z przestępczością, Hoover stwierdził: „Karpis i/albo jego współautor musiał być naćpany”.

Akta FBI, co nie powinno chyba nikogo dziwić, świadczą o tym, że wersja Hoovera jest bliższa prawdy. Zarówno relacja Connelleya z aresztowania, jak i notatka opisująca szczegółowo rozmowę, którą jeden z asystentów Hoovera przeprowadził z nim następnego ranka, precyzują jednoznacznie, że Hoover był w grupie dokonującej aresztowania, a nie za budynkiem. Jednak żadne z tych dwóch źródeł - ani też żaden inny dokument zawarty w potężnym pliku Karpisa i Barkerów - nie wspomina o tym, by Hoover zbliżył się do samochodu Karpisa, nie wspominając już o chwytaniu go za kołnierz*. Z dokumentów FBI wynika, że aresztowania dokonali Connelley i Clarence Hurt, a Hoover dołączył do nich tuż potem. Ostatecznie jednak nie miało to większego znaczenia. Nazajutrz na pierwszej stronie „New York Timesa” znalazł się nagłówek: KARPIS ZATRZYMANY W NOWYM ORLEANIE PRZEZ SAMEGO HOOVERA**.

Bez względu na to, czy aresztowania dokonał Hoover, czy ktoś inny, prawdą jest, że Karpis i Hunter nie stawiali oporu. Już po kilku minu-

* Z drugiej strony dokumenty FBI zdają się potwierdzać to, co Hoover mówił o karabinie leżącym na tylnym siedzeniu. Na liście przedmiotów znalezionych w samochodzie Karpisa figurują dwa pistolety kalibru.45, dwie kabury na ramię, nóż myśliwski, skrzynka z narzędziami i karabin Remington kalibru.22.

** Nigdy nie ujawniono, że kluczową rolę w zatrzymaniu Karpisa odegrali inspektorzy pocztowi.

tach w miejscu zatrzymania zaczął się zbierać tłum gapiów. Ludzie wyglądali z okien okolicznych kamienic, ciekawi, co to za zamieszanie. Agenci nie mieli przy sobie kajdanek,

więc jeden z nich zdjął krawat i związał nim Karpisowi ręce. Wsadzili Karpisa do samochodu i pojechali do centrum, do biura FBI. Prowadził Clarence Hurt, który po chwili zablądził.

- Czy ktoś wie, gdzie jest Post Office Building? - spytał w pewnym momencie.

- Mogę ci powiedzieć - stwierdził Karpis.

- A skąd ty to wiesz? - spytał Clyde Tolson, który siedział z tyłu samochodu.

- Zastanawialiśmy się, czy go nie obrabować - odparł Karpis². W końcu jednak po dwudziestu minutach przywieźli Karpisa do jego celi w Post Office Building. Dla Hoovera była to chwila wielkiego triumfu. Pomijając wątpliwości nielicznych sceptyków, takich jak senator z Tennessee, aresztowanie Karpisa umocniło pozycję Hoovera jako narodowego bohatera wysławianego w prasie, filmach i komiksach. Nimb chwały otaczał tylko jego, a nie skompromitowanego Melvina Purvisa, niemal całkiem zapomnianego Homera Cummingsa czy też dziesiątek anonimowych agentów, którzy narażali, a czasem też oddali życie, by położyć kres karierze Johna Dillingera, Pretty Boy Floyda, Baby Face Nelsona, Machinę Gun Kelly'ego, Freda Parkera i Alvina Karpisa. FBI było teraz najważniejszą siłą policyjną w Ameryce, Biurem z marzeń Hoovera, agencją, której pozycja i zasoby przez następne czterdzieści lat czyniły z Hoovera ważną osobistość w amerykańskim rządzie. Trzy lata po śmierci pięciu mężczyzn zastrzelonych na parking, czyli po masakrze w Kansas City, wojna z przestępczością dobiegła końca*.

* Harry Campbell i Sam Coker zostali aresztowani następnego tygodnia w Toledo. Sprawdzając informacje o hospitalizacji Cokera z poprzedniej jesieni, agenci odkryli, że spotykał się z pewną pielęgniarką z Toledo - Pielęgniarka, która nie знаła jego prawdziwej tożsamości, doprowadziła agentów zarówno do Cokera, jak i do Campbella. Hoover wziął udział i w tych aresztowaniach.

EPILOG

Gdy wojna z przestępczością dobiegła już końca, krytycy kwestionowali niemal wszystkie jej aspekty: Czy była potrzebna? Czy istniała naprawdę? Czy przestępcy z prowincji rzeczywiście stanowili takie zagrożenie dla narodu, jak twierdziło FBI? Wielu historyków uważało, że wojna z przestępczością była w istocie zabiegiem reklamowym, federalnym olbrzymem, który rozgniatał zbrodnicze insekty, sprytnym zagranem Hoovera, który dostosował swoje ambicje do potrzeb prowadzonej przez Roosevelta polityki Nowego Ładu. Ten sposób rozumowania sugeruje, że wydarzenia z lat 1933-34 były tylko wielką hucpą, która nie przyniosła żadnych konkretnych korzyści.

Z pewnością trudno nazwać owe wydarzenia „wojną”. Ograniczając rzecz tylko do faktów, można stwierdzić, że wojna z przestępczością składała się z czterech dużych spraw, porwania Charlesa Urschela przez Machinę Gun Kelly'ego, porwań Edwarda Bremera i

Williamama Hamma przez gang Barkerów i Karpisa, oblavy na Dillingera i masakry w Kansas City; nie prowadzono szerzej zakrojonych działań przeciwko chicagowskiemu syndykatowi czy włoskim mafiom, nie walczono z fałszowaniem pieniędzy ani innymi zbrodniami. Nie da się też obronić tezy, że tylko rząd federalny mógł powstrzymać wrogów publicznych z lat 1933-34: przeczy temu działalność Franka Hamera. Napady na banki rzeczywiście stanowiły w 1933 roku pewien problem, nie tak duży jednak, by wymagało to interwencji rządu federalnego.

Mimo to nie ma podstaw, by twierdzić, że wojna z przestępczością była swego rodzaju spiskiem. Choć Hoover bardzo na niej skorzystał, nie wymyślił tej wojny - zrodziła się ona z rzeczywistych wydarzeń. Bezpośrednią przyczyną była masakra w Kansas City; trudno się dziwić, że FBI postanowiło ścigać zabójców własnych ludzi, choć sprawa ta nie podlegała kompetencji Biura. Przyczyną nieco mniej oczywistą, lecz równie ważną było Prawo Lindbergha, które nakazywało FBI ścigać porywaczy. Dla FBI jedyną „opcjonalną” częścią wojny z przestępczością była decyzja o ściganiu Dillingera. Tutaj rzeczywiście Hoover dał się ponieść ambicjom. Jednak nie „stworzył” Dillingera, jak twierdzą niektórzy. Dillinger był już postacią znaną w całym kraju, jeszcze zanim FBI zajęło się jego sprawą. Był międzystanowym przestępcą, którego ściganiem powinna się zajmować policja federalna.

Nikt zaangażowany w wojnę z przestępczością nie wierzył, że położy ona kres zbrodni albo pozwoli wyłapać wszystkich najważniejszych kryminalistów. Oczywiście, nie stało się tak. Wojna z przestępczością była jednak przede wszystkim wojną z ideą przestępczości, z faktem, że zbyt wielu Amerykanów zaczęło tolerować zbrodnię. Oceniając z tej perspektywy, trudno twierdzić, że wojna nie przyniosłażądanego efektu. Gdy zaangażowało się w nią FBI, natychmiast ogromnie spadła liczba przestępstw. Dzięki uporowi Hoovera, który domagał się kar dla ludzi udzielających schronienia przestępcom, stopniowo znikwały kryjówki w miejscach takich jak St. Paul i Hot Springs (FBI samo zaangażowało się w oczyszczanie Hot Springs; detektyw Dutch Akers oraz kilku innych skorumpowanych przedstawicieli władz miasta trafiło na dłużej do więzienia po procesach z 1938 roku).

Skutki wojny z przestępczością były głębokie i długotrwałe. Przede wszystkim stanowiły niezbity dowód skuteczności polityki Nowego Ładu prowadzonej przez administrację Roosevelta, umacniały wiarę w samą ideę aktywnego rządu federalnego. W szerszym kontekście przekonywały zdemoralizowaną ludność, że amerykańskie wartości mogą pokonać wszystko, nawet Wielki Kryzys. Choć Dillingera za życia oklaskiwały tłumy kinomanów, po śmierci on i jemu podobni postrzegani byli jako symbole wszystkiego co najgorsze w amerykańskim społeczeństwie. Ich porażka nastąpiła w czasie, gdy Wielki

Kryzys zaczął powoli ustępować, i stała się tym samym symbolem końca samego kryzysu; nagle ich miejsca na piedestałach zajęły czyste, szlachetne symbole moralnego odrodzenia, a pierwszym z tych symboli był Melvin Purvis.

„Kraj zachłysnął się Melvinem Purvisem - pisał historyk Richard Gid Powers. - Niski, obdarzony piskliwym głosem, stał się kimś w rodzaju bohatera z filmów Franka Capry, żywym dowodem, że zwyczajni obywatele, jeśli tylko będą trzymać się razem, mogą poradzić sobie z każdym, nawet Johnem Dillingerem, ówczesnym symbolem rozpadu społecznego”.

Wkrótce miejsce Purvisa w panteonie amerykańskiego heroizmu zajęło samo Biuro. Bez wątplenia najważniejszą spuścizną po wojnie z przestępczością jest współczesne FBI. Wszystko, co Biuro osiągnęło od tej pory, wszystkie sukcesy, wszystkie nadużycia, których dopuścili się nadgorliwi agenci, wyrastają z praw i kompetencji, które zdobyło w latach 1933-34. Obławy na Dillingera i pozostałych wprowadziły do świadomości Amerykanów coś, co dziś przyjmujemy za rzecz oczywistą: że rząd federalny ponosi ostateczną odpowiedzialność za utrzymanie prawa i porządku w państwie.

Wojna z przestępczością nie tylko namaściła FBI Hoovera na stróża tej odpowiedzialności, ale również przyzwyczała Amerykanów do obecności Biura. Stworzyła tak wielkie pokłady zaufania, że późniejsze nadużycia FBI zostały skrytykowane już poniewczasie. Jak zauważa Claire Bond Potter: „Wojna z przestępczością wywołała trwałe zmiany w świadomości Amerykanów, którzy zaczęli traktować przestępczość jako problem ogólnonarodowy, policję jako siłę społecznie pozytywną, a walkę z przestępczością jako obowiązek rządu federalnego”.

Choć jednak w latach 1933-34 uwydatniona została „społecznie pozytywna” rola FBI, trudno nie dostrzec ziaren późniejszego zepsucia i nadużyć Biura: bicie podejrzanych; porwanie dziewczyny Verne’a Millera, Vi Mathias; skazanie Richettiego na podstawie krzywoprzysięskich zeznań agentów; aresztowanie i proces Rogera Touhy’ego fałszywie oskarżonego o porwanie Hamma. Wojna z przestępczością obdarzyła FBI Hoovera władzą niemal absolutną, co w końcu doprowadziło do całkowitego zepsucia tej agencji. FBI po dziś dzień zmaga się ze swoją spuścizną.

Tylko nieliczni spośród agentów, którzy brali udział w wojnie z przestępczością, doczekali się jakiegokolwiek formy publicznego uznania. Wielu z nich zostało w Biurze i pracowało tam aż do przejścia na emeryturę w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Inni odchodzili z FBI, gdy tylko mogli, przenosili się w latach 1935-36 do firm prawniczych w swoich rodzinnych miastach albo zajmowali kierownicze stanowiska w różnych spółkach. Ostatni z członków Brygady Dillinger, ówczesny nowicjusz Tom McDade, zmarł w 1996

roku.

Frank Smith, który przeżył masakrę w Kansas City, odszedł z FBI w 1939 roku i został szefem policji w Oklahoma City. Zmarł w 1953 roku. Reed Vetterli, SAC z Kansas City, został szefem policji w Salt Lake City. Zmarł w 1949 roku. Trzeci spośród agentów, którzy ocalili z masakry, Joe Lackey, twierdził do samej śmierci, że rozpoznał w zabójcach Richettiego, Floyda i Millera, choć tuż po masakrze mówił coś zupełnie innego.

Gus Jones, który prowadził śledztwo w sprawie Urschela, odszedł z FBI w 1940 roku. Zmarł w roku 1963. Bill Roger, który aresztował Machinę Gun Kelly'ego i ostrzelał Dillingera w Little Bohemia, opuścił FBI w 1937 roku. Do swojej śmierci w 1967 roku był dyrektorem zakładów mleczarskich w Georgii. Agent, który posłał na tamten świat Dillingera, Charles Winstead, odszedł z FBI w 1943 roku. Zmarł trzydzieści lat później, w wieku 82 lat. Jego partner, Clarence Hurt, opuścił Biuro w 1955 roku i przez kilka lat był szeryfem w swoim rodzinnym stanie, Oklahomie. Umarł w 1975 roku. Jerry Campbell, strzelec wyborowy FBI, który pojmał Docka Barkera, zmarł w Pało Altów 1991 roku.

Hugh Clegg, zastępca dyrektora, który oficjalnie dowodził agentami w Little Bohemia, założył w 1935 roku Akademię FBI. Po przejściu na emeryturę był specjalnym doradcą rektora Uniwersytetu Missisipi; w dużej mierze za jego sprawą przyjęto tam pierwszego czarnoskórego studenta, Jamesa Mereditha. Earl Connelley jeszcze przez dwadzieścia lat po wojnie z przestępczością był jednym z najważniejszych zarządców FBI. Przeszedł na emeryturę w 1956 roku i zmarł rok później. Pop Nathan, zwany często „nestorem FBI”, odszedł z Biura w 1945 roku. Zmarł w roku 1963.

Melvin Purvis pracował w latach trzydziestych jako rzecznik prasowy kilku firm, po czym zniknął ze sceny publicznej. Podczas drugiej wojny światowej służył w wojsku jako pułkownik, potem wrócił do południowej Kalifornii, gdzie przez kilka lat prowadził stację radiową. Hoover nigdy nie wybaczył Purvisowi pychy, którą wykazał się po sukcesach w sprawie Dillingera i Floyda. Wielokrotnie udaremniał mu próby powrotu do życia publicznego, blokując między innymi jego szanse na objęcie stanowiska sędziego federalnego w roku 1952. Robił wszystko, by zatrzeć w ludzkiej pamięci dokonania swego niegdysiejszego protegowanego: nazwisko Purvisa nie pojawiło się ani razu w wydanej przez Biuro w 1956 roku *The FBI Story*.

29 lutego 1960 roku Purvis został znaleziony martwy w swoim gabinecie. Zginął od pojedynczego strzału w głowę. Strzał oddany został z broni, którą Purvis otrzymał od innych agentów, odchodząc z Biura. Niektórzy twierdzili, że był to wypadek, inni - że samobójstwo. Hoover nie skomentował tego w żaden sposób, nie przysłał nawet listu z kondolencjami.

„Jesteśmy zaszczytzeni, że zignorował pan śmierć Melvina - pisała do Hoovera rozgoryczona wdowa. - Pańska zazdrość ogromnie go bolała, ale wydaje mi się, że do końca pana kochał”. W chwili śmierci Purvis miał 56 lat.

Hoover do końca życia miał obsesję na punkcie wojny z przestępczością. Podczas gdy coraz częściej pojawiały się różnego rodzaju wątpliwości dotyczące łamania praw człowieka i sposobu, w jaki FBI prowadziło tę wojnę, on był coraz bardziej zafascynowany postacią Dillingera i jego kolegów. „Hoover miał słabość do Dillingera - stwierdził kiedyś zastępca dyrektora FBI, William Sullivan. - Gdyby jeszcze żył, a ktoś wybrał się do niego w odwiedziny, szef z pewnością opowiedziałby mu o Dillingerze. Im był starszy, tym częściej wspominał Johna Dillingera, Ma Barkera i wszystkie stare sprawy z lat trzydziestych. Mógł opowiadać o nich bez końca”². Można przypuszczać, że w tej słabości Hoovera kryła się tęsknota za wyraźnym podziałem na zło i dobro, z którego FBI mogło korzystać podczas wojny z przestępczością. W pewnym sensie Dillinger stał się „młodzieńczą miłością” Hoovera.

J. Edgar Hoover zmarł we śnie 1 maja 1972 roku.

Wielu spośród przestępców pojmanyh przez FBI stało się pierwszymi więźniami Alcatraz, które otwarto w styczniu 1935 roku. Alvin Karpis przybył tam 7 września 1936 roku jako więzień AZ-325; żartował wówczas, że czuje się tak, jakby przyjechał na zlot rodzinny. Pierwszego dnia pobytu odnowił znajomość z Machiną Gun Kellym (AZ-117), partnerem Kelly’ego, Albertem Batesem (AZ-137) oraz ich starym mentorem, Harveyem Baileyem (AZ-139). W stołówce spotkał Docka Barkera (AZ-268), Harry’ego Sawyera (AZ-299), Volneya Davisa (AZ-271) i Elmera Farmera (AZ-299). Później poznał również Dicka Galatasa, Deafy’ego Farmera, Johna Chase’a i wielu innych.

Różnie potoczyły się losy tych, którzy uniknęli Alcatraz, jak i tych, którzy ich ścigali. Człowiek, który zdradził Bonnie i Clyde’a, Henry Metłwin, zginął pod pociągiem w roku 1948; najwyraźniej zasnął na torach. Frank Hamer umarł w 1935 roku. W.D. Jones żył dość długo, by zobaczyć nakręcony w 1967 roku film *Bonnie i Clyde*; napisał wówczas dla „Playboya” artykuł o legendarnej parze. Jones zginął podczas bójki w Houston w 1974 roku. Marie Barrow Scoma, ostatnia spośród rodzeństwa Clyde’a, zmarła w 1999 roku.

Rezydencja Urschela wciąż stoi w Oklahoma City; tabliczka umieszczona na domu przez miejscowe towarzystwo historyczne to jedyna pamiątka tej ciepłej lipcowej nocy w 1933 roku, gdy Kelly złożył tam wizytę. Ed Weatherford, detektyw z Teksasu, który ściągnął uwagę FBI na Kelly’ego, nigdy nie został należycie doceniony; o jego zasługach wiedziano tylko w Fort Worth. Zmarł w 1949 roku. Ojciec Kathryn Kelly, Boss Shannon, został

warunkowo zwolniony z więzienia w 1944 roku. Zmarł w roku 1956. Albert Bates zmarł na zawał w Alcatraz w 1948 roku. Sześć lat później w Leavenworth zmarł Kelly, także na zawał.

Kathryn Kelly przeżyła męża. W 1958 roku, gdy pomimo usilnych próśb wciąż nie przekonała Hoovera, by ją uwolnił, zdołała namówić pewnego sędziego z Oklahomy na powtórny proces. Biuro, zaskoczone takim obrotem wydarzeń, próbowało odtworzyć sprawę sprzed dwudziestu pięciu lat, okazało się to jednak praktycznie niemożliwe. Frank Blake, SAC z Dallas, przeszedł na emeryturę w 1942 roku, po zawale serca, i zmarł sześć lat później. Ralph Colvin, SAC z Oklahoma City, zmarł w Tulsie w 1947 roku. Partner Urschelów do brydża, Walter Jarrett, zmarł w Midland, w Teksasie, w 1947 roku. Biuro przez wiele miesięcy próbowało namierzyć rodzinę Luthera Arnolda, dzierżawców, którzy odegrali znaczącą rolę w ujęciu Kelly'ego. Agenci sprawdzali nawet plotki, że dwunastoletnia Geralene Arnold zmieniła nazwisko i została słynną aktorką, w końcu jednak nigdy nie udało im się odnaleźć żadnego z członków rodziny. Ponieważ FBI nie było w stanie przedstawić dowodów, które doprowadziłyby do jej ponownego skazania, Kathryn Kelly wyszła na wolność. Pracowała jeszcze przez wiele lat w szpitalu w Oklahoma City, nim zmarła w 1985 roku.

Pomniejsi bohaterowie sprawy Dillingera umarli w zapomnieniu. Harold Cassidy, lekarz, który asystował przy operacji plastycznej Dillingera, popełnił samobójstwo w Chicago w 1946 roku. FBI wypłaciło nagrodę Anie Sage, „kobiecie w czerwieni”, nie zapobiegło jednak jej deportacji; zmarła w Rumunii na niewydolność wątroby w 1947 roku. Patricia Cherrington zmarła dwa lata później, prawdopodobnie z przyczyn naturalnych. Jej ciało znaleziono w chicagowskiej melinie. Louis Piquett po wyjściu z więzienia został barmanem. Umarł na zawał w Chicago w 1951 roku. Pete Pierpont i Charles Makley próbowali uciec z cel śmierci w więzieniu w Ohio w 1934 roku, używając do tego broni wyrzeźbionej w mydle. Makley zginął, Pierpont został później stracony. Ostatni członek gangu Dillingera, Russell Clark, w sierpniu 1968 roku wyszedł z więzienia, w którym spędził trzydzieści cztery lata. Był chory na raka i zmarł cztery miesiące później.

Billie Frechette wyszła za mieszkańca stanu Wisconsin, Arthura Tica, urodziła mu dzieci i zmarła w styczniu 1969 roku. Ostatnia dziewczyna Dillingera, Polly Hamilton, przez lata żyła spokojnie w Chicago jako żona komiwożacza. Umarła miesiąc po Frechette. Dziewięć miesięcy później, w październiku 1969 roku, zmarł Martin Zarkovich, zabierając ze sobą do grobu wszystkie sekrety dotyczące powiązań policji East Chicago z Dillingerem. W 1966 roku z więzienia w Leavenworth wyszedł warunkowo John Chase. Został dozorcą w Pało Alto i zmarł w 1973 roku. Wdowa po Baby Face Nelsonie przez lata pracowała w

chicagowskiej fabryce i zajmowała się wychowaniem dzieci. Umarła w 1987 roku. Losy Fatsa Negriego i dziewczyny Chase'a, Sally Backman, pozostają nieznane.

Przyjaciele Williama Hamma mówili, że po porwaniu przez gang Barkerów Hamm bardzo się zmienił. Choć aż do przejścia na emeryturę w roku 1965 pełnił funkcję prezesa Hamm Brewing, często bywał zamyślony i otaczał się ochroniarzami. Zmarł w 1970 roku. Roger Touhy, gangster uniewinniony w sprawie Hamma, został niesłusznie skazany za porwanie należącego do syndykatu oszusta Jake'a Factora. Odsiedział w więzieniu ponad dwadzieścia lat, nim uwolniono go w 1959 roku. Niecały miesiąc później został zastrzelony na ganku domu swej siostry, prawdopodobnie przez starych wrogów z syndykatu.

Edward Bremer zmarł na zawał po treningu pływackim w jego przydomowym basenie na Florydzie w 1965 roku. Ten sam los spotkał jego brata Adolpha w hotelu w Seattle, choć znacznie wcześniej, bo w 1939 roku. Tom Brown, skorumpowany detektyw, który współpracował z Barkerami, nigdy nie stanął przed sądem. Został wyrzucony z pracy po wewnętrznym śledztwie policyjnym, a zmarł w 1959 roku w Minnesocie, gdzie prowadził sklep z alkoholem.

Dock Barker zginął zastrzelony podczas próby ucieczki z Alcatraz w styczniu 1939 roku. Ostatni syn Ma Barker, Lloyd, który nigdy nie przystał do gangu, został uwolniony z Leavenworth w 1947 roku. Dwa lata później zginął w swoim domu w Denver, zastrzelony przez własną żonę. Bill Weaver z gangu Barkerów zmarł na zawał w Alcatraz w czerwcu 1944 roku. Charles Fitzgerald umarł siedem miesięcy później w Leavenworth. Harry Sawyer został zwolniony z więzienia w lutym 1955, kiedy lekarze zdiagnozowali u niego nieuleczalny nowotwór. Zmarł cztery miesiące później.

W roku 1958 Harry Campbell wciąż przebywał w szpitalu więzienia federalnego w Missouri; jego dalsze losy są nieznane. Volney Davis wyszedł z Alcatraz w latach pięćdziesiątych, podobno zmarł w Oregonie w 1978 roku. Niesłusznie skazany za udział w porwaniu Urschela Harvey Bailey wyszedł w końcu na wolność w 1961 roku, został jednak natychmiast aresztowany ponownie za stary napad na bank w Kansas. Zwolniony ostatecznie w 1965 roku, ożenił się z wdową po Deafym Farmerze, zajął się stolarką i prowadził spokojne życie w Joplin. Zmarł w 1979 roku, w wieku 91 lat.

Żony i dziewczyny członków gangu Barkerów zniknęły z widoku publicznego. Paulę Harmon po raz ostatni widziano w domu jej rodziców, w Port Arthur w Teksasie, pod koniec lat trzydziestych. Wynona Burdette zniknęła, podobnie jak Delores Delaney i żona Harry'ego Sawyera, Gladys. Mildred Kuhlmann, dziewczyna z Toledo, której flirt z Dockiem Barkerem doprowadził do ujęcia gangu, wróciła do Ohio, gdzie wyszła za niejakiego Josepha

Auerbacha z miasta Sandusky; przez wiele lat prowadzili razem bar. Auerbachowie mieli dwójkę dzieci, dziś ich córka jest żoną jednego z najbardziej znanych adwokatów w Nowym Jorku. Członkowie rodziny twierdzą że Mildred Kuhlmann Auerbach nigdy nie wspominała o tym, jaką rolę odegrała w wojnie FBI z gangiem Barkerów. Zmarła w wieku 85 lat w domu spokojnej starości w Sandusky, 10 grudnia 1993 roku³.

I jeszcze Alvin Karpis. Po trzydziestu trzech latach spędzonych za kratkami został w styczniu 1969 roku warunkowo zwolniony z więzienia federalnego na wyspie McNeil w stanie Waszyngton i deportowany do Kanady. Autoryzował swoim nazwiskiem dwie książki napisane przez wynajętych autorów, w tym autobiografię, a na początku lat siedemdziesiątych przeniósł się do Hiszpanii. Zmarł 26 sierpnia 1979 roku w Torremolinos, w Hiszpanii, prawdopodobnie na skutek przedawkowania środków usypiających.

Tak dużo się zmieniło w ciągu siedemdziesięciu lat i tak niedużo zarazem. Wiele spośród miejsc, w których rozgrywały się kluczowe bitwy wojny z przestępczością trwają w niezmiętej formie, ukryte gdzieś na uboczu, zakurzone i oblepione pajęczynami. Interesują się nimi tylko domorośli historycy i zapaleńcy w średnim wieku, którzy przychodzą tam z aparatami fotograficznymi i zadają mnóstwo szczegółowych pytań. Nad brzegiem jeziora Star w stanie Wisconsin wciąż stoi Little Bohemia. Jest teraz większa, wyposażona w nowy bar i lakierowane drewniane stoliki; przypomina typowe jadalnię, w których turyści mogą zjeść cheeseburgera, nim wybiorą się na popołudniowe pływanie. Na ścianach wiszą oprawione wycinki z gazet opisujące tamtą noc w 1934 roku, ale barmani na najprostsze nawet pytania odpowiadają tylko wzruszeniem ramion. Pewnego sierpniowego popołudnia w 2002 roku pojawił się tutaj syn Emila Wanatki; biedak nie zdążył uciec dość szybko, gdy ktoś zapytał go, jakie to było uczucie grać w piłkę z Baby Face Nelsonem.

Dom, w którym zginęli Barkerowie, w Oklawaha na Florydzie, wciąż stoi wśród starych dębów nad jeziorem Weir. W opuszczonym od lat wnętrzu walają się śmieci pozostawione przez ostatniego właściciela, puste pudła i pożółkły koń na biegunach; wystarczy zamknąć oczy, by zobaczyć Earla Connelleya skradającego się przez trawę i kryjącego się przed kulami Freddiego Barkera. We wschodnim Ohio, obok pola, na którym zginął Pretty Boy Floyd, stoi słup informacyjny. Dom Ellen Conkle został zburzony przed wielu laty, ziemia na nowo zarasta lasem. W zimny grudniowy dzień wiatr przesuwając liście po podwórzu, na którym Purvis krzyknął do swoich ludzi: „Ognia!”. W zasięgu wzroku nie ma żadnej innej farmy. Pustkowie.

Betonowy słupek przy wiejskiej drodze w północno-zachodniej Luizjanie znaczy miejsce, gdzie zginęli Bonnie i Clyde. To smutny, zapomniany zakątek, zaśmiecony

butelkami po piwie i zużytymi kondomami. Kino Biograph wciąż stoi, choć od czasu do czasu ktoś próbuje je rozebrać; miejsce śmierci Dillingera nie zostało w żaden sposób oznaczone, ciągnie się tu tylko popękany betonowy chodnik upstrzony ciemnymi plamami starych gum do zucia. Latem 2003 roku rozpoczęto budowę biurowca w miejscu tylnego parkingu, gdzie tamtej nocy detektywi z Chicago zaczęli agentów Brygady Dillinger.

Ludzie wciąż mieszkają w lokalu Dillingera przy Lexington Avenue w St. Paul, w mieszkaniu w Joplin, gdzie Bonnie i Clyde zabili dwóch policjantów, w wiejskim domu Dillingera obok Mooresville i w małym drewnianym domku, gdzie umarł Baby Face Nelson. Niektórzy mieszkańcy znają historię swoich domów; inni, jak rodzina żyjąca w domu wynajętym przez Karpisa nad jeziorem w Indianie, byli zszokowani, gdy się dowiedzieli, że niegdyś w ich sypialni odpoczywał morderca.

Dom Jimmy'ego Probasco już nie istnieje, podobnie jak lokal Louisa Cernocky'ego. Panie z miejscowego towarzystwa historycznego nie dowierzają, że jeden z najbardziej znanych tamtejszych mieszkańców chętnie gościł niegdyś Johna Dillingera. Zniknęła także Zielona Latarnia, nie zostały nawet zdjęcia. Nie istnieje już dom na przedmieściach Chicago, gdzie Barkerowie przetrzymywali Williama Hamma i Edwarda Bremer. Więzienie w Crown Point jest puste. Na budynku przy Central Avenue w Hot Springs, gdzie pojmany został Frank Nash, widnieje spłowiała różowa tabliczka. W wietrzny styczniowy dzień jakiś mężczyzna z kilkunastoletnim synem przystają na chwilę, by przeczytać napis na tabliczce, potem wzruszają ramionami i idą dalej.

Nie znających historii. Podobnie jak wielu innych ludzi. Przygotowując materiały do tej książki, rozmawiałem z ponad dwudziestoma synami i córkami ludzi z Brygady Dillinger: tylko kilkoro z nich w pełni rozumiało, przez co przeszli ich ojcowie. Ogromna większość krewnych i dziewczyn przestępców wie o tych czasach jeszcze mniej. Albo nie chce wiedzieć. Mroczne dziedzictwo doprowadziło do rozpadu niejednej spośród tych rodzin. Synowie wdowy po Franku Nashu po dziś dzień nie rozmawiają na ten temat. Jeden z nich błagał, bym opowiedział mu coś więcej o jego matce. Jego przyrodni brat odłożył słuchawkę, gdy tylko się dowiedział, z czym dzwonię.

Wciąż można odnaleźć wrogów publicznych, jeśli tylko wie się, gdzie szukać. Ich groby, zwykle zapomniane i pomijane, znajdują się na odległych wiejskich cmentarzach i wzdłuż ruchliwych arterii XXI-wiecznej Ameryki. W Crown Hill Memorial Park w Dallas leży Bonnie Parker, pochowana obok żywoplotu. Po lewej stronie cmentarza znajduje się klub fitness Bally Total, po prawej H&R Block i Hollywood Video. Trzy wiązki sztucznych kwiatów zdobią nagrobek i wyryty na nim napis: JAK ROSA I SŁOŃCE ZDOBI

WSZYSTKIE KWIATY, TAK TEN STARY ŚWIAT PIĘKNIEJE DZIĘKI LUDZIOM TAKIM JAK TY. Clyde leży po drugiej stronie miasta, na zamkniętym na kłódkę, porośniętym chwastami cmentarzu w zachodnim Dallas. Został pogrzebany w rogu cmentarza obok swego brata Bucka i rodziców, dziesięć metrów od białej betonowej ściany Many's Transmission Service. Na nagrobku widnieje napis: ODSZEDŁ, ALE PAMIĘĆ O NIM ŻYJE.

To znacznie więcej, niż można powiedzieć o Machinę Gun Kellym i rodzinie Barkerów. Kelly leży w zbiorowej mogile w zakątku cmentarza w Cottdale w stanie Teksas, godzinę jazdy na północny zachód od Dallas. O tym, że tu spoczęły jego szczątki, świadczy tylko betonowa tablica o wymiarach 15 x 20 cm, na której znajduje się jego nazwisko, wypisane z błędem: GEORGE B. KELLEY, i data: 1954. Barkerów nie było stać nawet na to. Ich groby znajdują się obok siebie, na smaganym wiatrem cmentarzu w miasteczku Welch, w północno-wschodniej Oklahomie. Przez dziesięciolecia groby te były bezimiennie, ostatnio jednak ktoś postawił na nich maleńkie stalowe słupki z cytatami z Biblii. NIE ZAPOMNIJMY, głosi napis na grobie Freda. TEN, KTÓRY DAŁ NAM ŻYCIE, ROZUMIE WSZYSTKIE POWODY.

Nieco dalej, dwie godziny jazdy na południe, na cmentarzu Akins, leży Pretty Boy Floyd, pogrzebany obok rodziców, wśród grobowców rodziny Floydów; panuje tutaj spokojna, kojąca atmosfera. Natomiast grób Baby Face Nelsona wydaje się zimny i bezosobowy. Nelson został pogrzebany obok drogi dojazdowej, na St. Joseph's Cemetery, w chicagowskiej dzielnicy River Grove. Leży między żoną Helen i matką, w rzędzie pięciu identycznych szaroniebieskich nagrobków. Grobowce rodziny Gillis przypominają porzucone płyty chodnikowe; ciszę zalegającą nad cmentarzem raz po raz przerywa odległy ryk odrzutowców dobiegający z odległego o kilka kilometrów O'Hare International Airport. Na nagrobku Nelsona znajduje się napis: LESTER J. GILLIS. ZMARŁ 27 LISTOPADA 1934 ROKU W WIEKU 26 LAT.

Jak można łatwo przewidzieć, tylko grób Dillingera ma klasę. Dillinger leży na ogromnym, porośniętym gęstą trawą cmentarzu Crown Hill w Indianapolis. Na jego grobowcu, wysokim na metr dwadzieścia obelisku, który góruje nad sąsiednimi grobami, widnieje tylko jedno słowo, DILLINGER, opatrzone z obu stron ozdobnymi kwietnymi motywami. Często przychodzą tutaj turyści. W 1991 roku dzieci niejakiej Maude A. Grubb poprosiły zarząd cmentarza, by ich matka została pochowana w pobliżu Dillingera. Leży trzydzieści metrów dalej, a w rogu jej nagrobku wyrzeźbione zostały słowa

JOHN D. „Mówili, że zawsze miała słabość do Dillingera”, relacjonują zarządcy

cmentarza.

Jest tu spokojnie, cicho, jak na większości cmentarzy. Stojąc w wilgotnej trawie, w otoczeniu grobów sklepikarzy, prawników i farmerów, nie usłyszysz strzałów z broni maszynowej, krzyku umierających ludzi, żadnego świadectwa czternastu miesięcy sławy Dillingera. Podobnie jak jego koledzy po fachu Dillinger nie był Indianą Jonesem ani Lukiem Skywalkerem. Był człowiekiem, miał 174 cm wzrostu, ważył 70 kilogramów. To niezwykle, gdy uświadomisz sobie, że on wciąż tutaj jest pod ziemią. Można patrzeć na jego grób z ponurą świadomością, że wystarczy łopata i kilka godzin pracy, by dotknąć jego ciała. Oczywiście nikt tego nie zrobi. Możliwe, że przeciągnąć dłonią po jego nagrobku. To zaledwie kawałek wypolerowanego granitu - gładki, twardy, zimny. Rzeczywisty.

PRZYPISY

1. PRELUDIUM DO WOJNY

¹ Przytoczone w *The Crisis of the Old Order* Artura Schlesingera, Houghton Mifflin 1957.

² Przytoczone w *J. Edgar Hoover: The Man and the Secrets* Curta Gentry'ego, W. W. Norton 1991.

³ Clegg cytowany w *The Mississippi Oral History Program*, tom XCIX, 1977.

⁴ Notatka służbowa Nathana do Hoovera z 24 czerwca 1932. 67-822-148.

⁵ Moley cytowany u Gentry'ego, s. 159-160.

⁶ *War on Crime: Bandits, G-Men and the Politics of Mass Culture* Claire **Bond** Porter, Rutgers University Press 1998, s. 68.

⁷ Porter, s. 62.

2. MASAKRA DOKONANA PRZEZ NIEZNANYCH SPRAWCÓW

¹ *The Fugitives* (późniejszy tytuł: *The True Story of Bonnie and Clyde*) Signet Paperback Edition 1968, s. 52-54.

² Tamże, s. 64.

³ Karpis, s. 84.

3. CHŁOPCY Z KOLEDŻU WCHODZĄ DO GRY

Epigrafy wzięte z *The Union Station Massacre* Roberta Ungera, Andrew McPeel Publishing 1997, s. 13.

¹ Notatka służbowa Harveya z 15 lutego 1935, KCM #3570.

² Wizyta Millera w mieszkaniu Davis jest potwierdzona w raportach FBI. Źródłem

informacji dla Biura była Edna Murray. Jedyną szczegółową wersją wydarzeń jest ta, którą Murray przedstawiła w czteroczęściowym cyklu artykułów pisanych dla „Startling Detective Adventures” od sierpnia 1936.

³ Dzięki pamięci dawnego agenta Jamesa J. Metcalfe’a, który opowiedział tę historię swojej córce Kriście Metcalfe.

⁴ Unger, *Union Station Massacre*, s. 13.

⁵ „Missouri State Trooper Magazine”, Capt. E.M. Raub, 24 sierpnia 2000.

⁶ Artykuł Allanny Nash z 18 lipca 1976.

⁷ „Muncie Sunday Star”, 16 lipca 1933; „Muncie Evening Press”, 15 lipca 1933.

⁸ „Muncie Evening Press”, 17 lipca 1933.

⁹ „Muncie Evening Press”, 17 i 18 lipca 1933; „Muncie Morning Star”, 18 i 19 lipca 1933.

¹⁰ Anthony Summers, *Oficjalne i poufne. Kulisy życia J. Edgara Hoovera*, tłum. Tadeusz Szafrąński, Czytelnik 1995.

¹¹ „Chicago Tribune”, 25 lipca 1933.

¹² Hoover do Purvisa, 26 lipca 1933, akta dotyczące porwania Hamma #67.

¹³ Uprzednio zwolniony *Roger Touhy v. Joseph Ragen*, Sąd Okręgowy, Płn. Okręg Illinois Wydział Wschodni nr 48, C 448, opinia sądowa.

¹⁴ Istnieje kilka wersji sceny, jaka rozegrała się tamtego wieczoru na werandzie Urschelów. Nie różnią się w zasadniczy sposób. Ta zawierająca prawdopodobnie najwięcej szczegółów, na której się opierałem, została napisana przez Harrisona Morelanda w „True Detective Mysteries” w marcu 1934. Wprawdzie Moreland nie podaje żadnych źródeł, ale opisane przez niego fakty odpowiadają dokładnie temu, co znajduje się w aktach FBI, i jest jasne, że rozmawiał z wieloma, jeśli nie wszystkimi, uczestnikami zdarzeń.

¹⁵ To spojrzenie na Batesa i Kelly’ego zostało zaczerpnięte z dziwnej, wydanej prywatnym sumptem w Tipper Publications w 1991 książki *Machinę Gun Kelly: To Right a Wrong*. Napisał ją syn Kelly’ego, Bruce Barnes, oświeceniowiec z Kalifornii, który jako młody człowiek miał możliwość rozmawiania z ojcem o jego przestępstwach. Książka Barnes’a dotyczy głównie życia Kelly’ego przed wstąpieniem na drogę przestępczą kiedy pozostawał w związku małżeńskim ze swoją pierwszą żoną matką Barnes’a. Część historii jest z całą pewnością nieprawdziwa. Jednak pozostałe, między innymi ta, są zdumiewająco bliskie wersjiom znalezionym w aktach FBI.

¹⁶ Ellis, *A Man Named Jones*, s. 84.

4. UJADANIE PSÓW

¹ Hoover, s. 143.

² Blake do Vetterlego, 7 lipca 1933, KCM #220.

³ Charles Winstead, esej biograficzny bez tytułu, s. 22. Eseje Winsteada pisane niedługo przed śmiercią w 1972 roku znajdują się w archiwum Red River Historical Muzeum w Sherman w Teksasie.

⁴ Rola detektywa Weatherforda jest opisana w raporcie z Dallas, 18 sierpnia 1933, YKM #293.

⁵ *Fugitives*, s. 137.

⁶ Philips, s. 152.

⁷ Tamże.

⁸ Dexter (Iowa) „Sentinel”, 5 października 1967.

⁹ Raport z Dallas, 7 sierpnia 1933, UKF #99.

¹⁰ Kirkpatrick opowiada swą historię w *Crimes Paradise*, Naylor Press, San Antonio w Teksasie, 1934. ¹¹ Akta FBI nie zawierają wyjaśnienia tego incydentu. O zalanym silniku opowiada

Lew Louderback w *The Bad Ones*, Fawcett Publications, Greenwich w Connecticut, 1968.

¹² Kirkpatrick, s. 86.

¹³ List z biura w Nowym Jorku do biura w Oklahoma City, 31 lipca 1933, KCM #413.

¹⁴ Śledztwo w sprawie Mathias opisane jest w raporcie biura z Nowego Jorku, 5 sierpnia 1933, KCM #418.

¹⁵ Tę wersję sprawozdania Charlesa Urschela znalazłem w *A Man Named Jones* George'a Ellisa - biografii Jonesa, cienkiej książeczce niewymienianej w bibliografiach literatury kryminalnej z epoki Wielkiego Kryzysu, biografii *A man Named Jones* George'a Elisa.

¹⁶ Ellis, s. 113.

¹⁷ Colvin do Hoovera, 11 sierpnia 1933, UKF #201.

¹⁸ Jones i Bailey przedstawili spójne wersje tej **konfrontacji**. Ellis, s. 136. Haley, s. 134. Fitzpatrick, s. 130.

¹⁹ „Serb World USA”, maj/czerwiec 1992, s. 48.

²⁰ Zarówno Toiand, jak i Cromie zapewniają że Dillinger przeskoczył przez barierkę w Montpelier, tak samo jak w Dalesville. Ówczesne doniesienia prasowe nie wspominają o takim skoku. „Evening News-Banner”, 4 sierpnia 1933; Fort Wayne „News-Sentinal”, Fort

Wayne „Journal Gazette”, Hartford City „Limes-Gazette”, 5 sierpnia 1933.

5. DZIECIAK JIMMY

¹ Jestem głęboko zobowiązany historykowi amatorowi z Chicago Tomowi Smysynowi, który odkrył te artykuły na początku lat pięćdziesiątych, za to, że zwrócił mi na nie uwagę.

² „Chicago Tribune”, 7 stycznia 1930.

³ „Chicago Tribune”, 23 stycznia 1930.

⁴ „Chicago Tribune”, 1 kwietnia 1930; „Chicago Herald & Examiner”, 1 kwietnia 1930.

⁵ „Chicago Herald”, 8 października 1930.

⁶ „Chicago Tribune”, 15 lutego 1931. Artykuł zawiera długą listę potwierdzonych przestępstw gangu.

⁷ „Chicago Tribune”, 18 lutego 1932; „Joliet Evening Herald”, 18 lutego 1932.

⁸ Opowieść o naukach udzielanych przez Bentza Nelsonowi pochodzi z artykułu, który Bentz, przebywający wówczas w więzieniu, napisał w 1951 dla „Argosy”. Najistotniejsze fakty znajdują potwierdzenie w raportach FBI.

⁹ Rabunek, którego gang Barkera i Karpisa dokonał w południowym St. Paul, jest jednym z trudniejszych do rozwikłania. Fitzgerald później twierdził, że brali w nim udział Bryan Bolton i George Ziegler, natomiast Karpis temu zaprzecza. Według Karpisa piątym uczestnikiem napadu był Bill Weaver i to Weaver pierwszy strzelił do Yeamana, który potem odniósł kolejne rany od kul wystrzelonych z thompsona Freda Barkera. Wszyscy świadkowie oprócz jednego mówili, że Fred Barker wysiadł z samochodu wraz z Fitzgeraldem i Dockiem Barkerem. Właściciel kawiarni twierdził, że Barker czekał w jego lokalu razem z Weaverem.

¹⁰ Raport z Dallas, UKF #508.

¹¹ Historia Arnolda opowiedziana jest ze szczegółami w raporcie z Oklahoma City, UKF #732.

¹² Raport z Chicago, 13 listopada 1933. UKF #994.

¹³ Raport Gusa Jonesa z Oklahoma City, 3 października 1933, UKF #732.

¹⁴ Raport Colvina, UKF #1110.

¹⁵ Opowieść Durhama przedstawiona w raporcie z Dallas, 25 września 1933, UKF #598.

¹⁶ Szczegóły wyjazdu Kellych do Chicago przedstawione przez Geralene Arnold w raporcie z Chicago, 13 listopada 1933, UKF #994.

¹⁷ List Purvisa do Hoovera, 18 grudnia 1933, UKF #1039.

¹⁸ Notatka służbowa do D.O. Smitha, 24 października 1933, UKF #956.

¹⁹ Dayton „Daily News”, 22 września 1933; Dayton „Herald”, 23 września 1933.

Toland, s. 108.

²⁰ Zapis wypowiedzi Karpisa, taśma 15.

²¹ „Chicago Daily Times”, 25 września 1933.

²² Zeznania Cassa Colemana i Geralene Arnold, UKF #918.

²³ Poranek Rorera opisany jest szczegółowo w raporcie z Birmingham, 6 października 1933, UKF #778.

²⁴ „Chicago American”, 26 września 1933.

6. ULICE CHICAGO

¹ Toland, s. 6-8.

² „Chicago Reader”, 20 lipca 1984.

³ Toland, s. 127.

⁴ Auburn (Indiana) „Evening Star”, 16 października 1934.

⁵ „Indianapolis Times”, 21 października 1933.

⁶ „Greencastle Banner”, 24 października 1933; „Indianapolis News”, 22 października 1983.

⁷ Zapis wypowiedzi Karpisa, taśma #15.

⁸ List Purvisa do biura w Kansas City, 29 sierpnia 1933.

⁹ Zeznania FBI na temat ucieczki Millera w aktach dotyczących masakry w Kansas City.

¹⁰ Akta Jodil #4, 23 października 1933.

¹¹ Hoover, notatka służbowa do akt, 24 października 1933, akta Jodil #19.

¹² „Indianapolis News”, 15 czerwca 1955.

¹³ „Chicago Herald & Examiner”, 27 sierpnia 1934.

¹⁴ „Chicago Herald & Examiner”, 30 lipca 1934.

¹⁵ „Chicago Herald & Examiner”, wrzesień 1934.

¹⁶ Toland, s. 147.

¹⁷ Tamże.

¹⁸ Cromie, s. 89.

¹⁹ „Chicago Tribune”, 16 listopada 1933.

7. ZASADZKI

¹ „Racine Journal”, 21 listopada 1933.

² Cromie, s. 111-12.

³ Toland, s. 149.

⁴ Notatka służbowa Hughesa do Hoovera, 9 listopada 1933, akta dotyczące porwania Hamma, #214.

⁵ Notatka służbowa Hoovera do akt, 9 listopada 1933, akta dotyczące porwania Hamma, #182.

⁶ F.X. Fay do szefa agentów w Kansas City, 29 listopada 1933, KCM #926.

⁷ KCM #904.

⁸ Conroy do Hoovera, 1 grudnia 1933, KCM #906.

⁹ Maccabee, s. 229.

¹⁰ „Brainerd Daily Dispatch”, 23 października 1933; „Brainerd Daily Dispatch”, 4 grudnia 1933.

¹¹ Raport z San Antonio, 5 czerwca 1934, akta Jodil #1829. „San Antonio Light”, 11-15 grudnia 1933. *A Man Named Jones*, s. 157.

8. „ATAK NA WSZYSTKO. CO JEST NAM DROGIE’

¹ Zeznanie Cherrington, akta Jodil #2617.

² Toland, s. 175.

³ Gary „Post-Tribune”, 16 stycznia 1934.

⁴ „The Times”, Hammond w Indianie, 22 lipca 1934 (wywiad z wdowąpo Hobarcie Wilgusie).

⁵ Gary „Post-Tribune”, 16 stycznia 1934.

⁶ BUF #66.

⁷ „Chicago Tribune”, 26-29 stycznia 1934.

9. NARODZINY GWIAZDY

¹ Toland, s. 195.

² BKF#667.

³ Girardin, s. 72-73.

⁴ „Chicago American”, **9 lutego 1934.**

⁵ Girardin, s. 74.

⁶ BKF#295.

⁷ Girardin, s. 77-78.

⁸ Simmons, s. 166-167.

⁹ „Springfield Leader”, 13 lutego 1934.

¹⁰ Hamilton, *Public Enemy Number 1*, s. 33.

¹¹ Philips, s. 175-176.

¹² *Fugitives*, s. 158-159.

¹³ Simmons, s. 127

¹⁴ Winstead, niepublikowany rękopis, s. 24.

10.DILLINGERINEL50N

¹ Ten fragment, z dialogami włącznie, powstał na podstawie zeznań uczestników wydarzeń, w tym Cahoon, Blunka i naczelnika Bakera. Zeznania zawarte są w serii raportów z Chicago z okresu marzec-maj 1935, Jodil #5583, #5692, #5711.

² Ta wersja wydarzeń pochodzi z archiwów FBI i rękopisu Girardina. Dialog został zacytowany za Girardinem.

³ Niedatowane artykuły z gazet w Minneapolis i St. Paul. Notatka, Rosen do Tamma, 14 marca 1936, Jodil #6648. Niedatowany list od krewnego Kiddera do Helen Gandy, Jodil #6789.

⁴ „Sioux Falls Daily Argus-Leader”, 6-7 marca 1934; „South Dakota Hall of Fame”, rocznik XXI, nr 2, lato 1995; Toland, str. 220-224.

⁵ Clegg do Hoovera, 3 marca 1934, Jodil #83

⁶ Hoover do Purvisa, 6 marca 1934, Jodil #93

⁷ Cowley do Hoovera, 7 marca 1934, Jodil #128

⁸ Purvis do Hoovera, 31 marca 1934, Jodil #226

⁹ „Mason City Globe Gazette”, 14 marca 1934.

¹⁰ „Mason City Globe Gazette”, 21 sierpnia 1973.

¹¹ „Mason City Globe Gazette”, 5 lutego 1982.

¹² „Mason City Globe Gazette”, 24 grudnia 1942.

¹³ Toland, s. 237.

¹⁴ „New Republic”, 6 czerwca 1934.

¹⁵ „Mason City Globe Gazette”, 26 czerwca 1964.

¹⁶ Toland, s. 235.

¹⁷ Tamże, s. 237.

¹⁸ Zeznanie Mortensena, 20 kwietnia 1934, Jodil #754.

¹⁹ Zeznanie Cherrington, Jodil #2617.

²⁰ Girardin, s. 121.

²¹ Tamże.

²² List cytowany w artykule Alanny Nash, „Satellite **Orbit**”, listopad 1984.

²³ Hoover do Purvisa, 27 marca 1934, Jodil #204.

11. CRESCENDO

¹ Zeznanie detektywa Henry’ego Cummingsa, sprawa *U.S. vs. Frechette*.

² Frechette przedstawiła swoją wersję wydarzeń w „Startling Detective Adventures”, wrzesień 1934.

³ Maccabee, s. 221.

⁴ Phillips, s. 182.

⁵ Hoover, notatka do akt, 1 kwietnia 1934, Jodil #269.

⁶ Oświadczenie Notesteena, w którym przytoczone zostały słowa inspektora Rorera, zawarte jest w raporcie złożonym Hooverowi przez Hugh Clegga 9 kwietnia 1934, Jodil #467.

⁷ Cowley, notatka podsumowująca rozmowę z Cleggiem, 19 kwietnia 1934, Jodil #1574.

⁸ Hinton, s. 139.

⁹ *Methvin vs. Oklahoma*, s. 73.

¹⁰ Zeznanie Huberta Dillingera, 11 kwietnia 1934, Jodil #1090.

¹¹ Tamże.

¹² Cowley do Hoovera, 7 kwietnia 1934, Jodil #367.

¹³ Girardin, s. 139.

¹⁴ Raport zbiorczy z Chicago, 18 kwietnia 1934, Jodii #630. Purvis wiedział, że spartaczył tę operację. Jest to jedyne nieopisane w *American Agent* ważne aresztowanie, którego dokonał.

¹⁵ Girardin, s. 141.

12. ŚMIERĆ W LESIE

¹ Depesze Associated Press i United Press, 15 kwietnia 1934.

² Girardin, s. 143.

³ Tamże, s. 143.

⁴ Zeznanie Pat Cherrington, raport z Chicago, 16 kwietnia 1934, Jodil #2617x.

⁵ Tamże.

⁶ Raport z St. Paul, 16 lipca 1934, Jodil #2655.

⁷ Raport z St. Paul, 14 maja 1934, Jodil #1460.

⁸ Dzieje LaPorte'ów zostały z pasją opowiedziane w książce autorstwa **ich** potomkini, Ruth Dickerson Gardner, *Lunch at Boney 's Mound*.

⁹ Zeznanie Wanatki, Jodil #935. ¹⁰ Tamże.

¹¹ Cromie i Pinkston, s. 211.

¹² Wanatka w późniejszych latach często opowiadał tę historię. Szczegóły za każdym razem były takie same. Ta wersja pochodzi z wywiadu, jakiego udzielił historykowi z Wisconsin, Robertowi Gardowi.

¹³ Cromie i Pinkston, s. 208.

¹⁴ Tamże, s. 210.

¹⁵ Zeznanie Cherrington, Jodil #2617.

¹⁶ Oryginał listu Nan Wanatki znajduje się w archiwum **FBI**.

¹⁷ Toland, s. 270.

¹⁸ Tamże, s. 270-271.

¹⁹ Hoover, notatka do akt, 24 kwietnia 1934, Jodil #1561.

²⁰ Jedną z największych przyjemności towarzyszących studiowaniu akt FBI jest lektura zeznań i meldunków uczestników akcji w Little Bohemia. Każdy z trójki Clegg, Purvis, Rorer sporządził liczne raporty na temat wydarzeń tamtego wieczoru. Meldunki złożyli także wszyscy agenci, którzy byli tam tej nocy; niektóre są długie i szczegółowe, inne składają się z jednego akapitu.

²¹ Zeznanie agenta Virgila Petersona, 9 maja 1934, Jodil #1409.

²² Zeznanie Pat Cherrington zawarte w raporcie z Chicago, 16 lipca 1934, Jodil #2617.

²³ Toland, s. 278. Zeznania Mitchella, Jodil #934.

²⁴ Zeznania Lange'a w raporcie z Chicago, Jodil #934.

13. KONIEC BONNIE I CLYDE'A

¹ Waszyngton „Times”, 24 kwietnia 1934.

² „Chicago American”, 27 kwietnia 1934.

³ Notatka Hoovera do akt, 25 kwietnia 1934, Jodil #1044.

⁴ Hoover do Stanleya, 25 kwietnia 1934, Jodil #882.

⁵ Zeznanie Jamesa Wilsona zawarte w raporcie z Chicago, 29 sierpnia 1934, Brekid #2918.

⁶ Notatka streszczająca przesłuchanie Volneya Davisa, 26 września 1935, Jodil #6344.

⁷ Raport z Chicago, 9 sierpnia 1935, Jodil #6381

⁸ Edna Murray, / *Was a Karpis-Barker Gang Moll*, „Startling Detective Adventures”,

październik 1936.

⁹ Tamże.

¹⁰ Murray, „Startling Detective Adventures”.

¹¹ Raport z Chicago, 17 maja 1934, Jodil #1478.

¹² Ta nieudana akcja opisana została w raporcie z Cincinnati z 2 maja 1934, Jodil #1118, oraz w liście Connelleya do Hoovera z 3 maja 1934, Jodil #1478.

¹³ Fostoria „Review Times”, 10 kwietnia 1990.

¹⁴ Fostoria „Review Times”, 15 stycznia 1981.

¹⁵ Hoover do Nathana, 10 maja 1934, Jodil l-8x.

¹⁶ Nathan do Hoovera, 1 czerwca 1934, Jodil #2505.

¹⁷ Purvis, s. 285-286.

¹⁸ „Time”, 23 kwietnia 1934.

¹⁹ Indianapolis „News”, 4 kwietnia 1934.

²⁰ Każdy z agentów przebywających u Russów musiał sporządzić w 1936 raport z obserwacji, po tym jak pani Russ oskarżyła FBI o spowodowanie szkód w jej domu.

22

²¹ Girardin, s. 159-60. *The Day They Shot Bonnie and Clyde*, Carroll Rich, s. 37, zawarte w *Hunters and Healers*, University of North Texas Press, Denton, Texas, 1971.

²³ Tamże, s. 37.

²⁴ Winstead, s. 27.

²⁵ *Methvinvs. Oklahoma*, s. 135.

²⁶ Zamieszanie dotyczące chronologii wydarzeń dotyczy głównie czasu „ucieczki” Methvina. Według różnych relacji mogło dojść do niej, począwszy od sobotniego wieczoru 19 maja (Milner, Treherne, Hinton) do wieczora w poniedziałek maja (Phillips). Podczas zeznania złożonego w 1936 w sądzie w Oklahomie, gdzie sądzony był za zamordowanie posterunkowego Cala Campbella, Methvin stwierdził jednoznacznie, że jego „ucieczka” miała miejsce rankiem we wtorek maja.

²⁷ Hinton, s. 159.

²⁸ Phillips, s. 197. Ringgold, „Record”, 26 kwietnia 1968.

²⁹ Hinton, s. 169-70.

14. NOWE TWARZE

¹ Girardin, s. 162-163.

² Notatka Cowleya do Hoovera, 25 maja 1934, Jodil #1635.

³ Girardin, s. 170.

⁴ Tamże.

⁵ Raport Clegga, 11 marca 1932, zawarty w aktach Hollisa.

⁶ Ron Owens, *Oklahoma Justice*, Turner Publishing, 1995, s. 121.

⁷ Purvis do Hoovera, 1 czerwca 1934, Jodil #1810. Hoover do Cowleya, 28 maja 1934, Jodil #1685.

9

⁸ Hoover do Purvisa, 29 maja 1934, Jodil #1832. Cowley do Hoovera, 29 maja, 1934, Jodil #1707.

¹⁰ Purvis do Hoovera, 2 czerwca 1934, Jodil #1762.

¹¹ Purvis do Hoovera, 1 czerwca 1934, Jodil #1810.

¹² Hoover, notatka do akt, 4 czerwca 1934, Jodil #1877.

¹³ Obecnie pan Samuel Cowley junior jest emerytem, mieszka w Salt Lake City. Pan Cowley był bardzo mi bardzo pomocny i podzielił się ze mną wspomnieniami swej matki o jego ojcu.

¹⁴ Notatka Hoovera, Jodil #1877.

¹⁵ Notatka Hoovera do akt, 4 czerwca 1934, Jodil #1819.

¹⁶ Notatka Hoovera do Tamma, 8 czerwca 1934, Jodil #1875.

¹⁷ Notatka Hoovera do akt, 5 czerwca 1934, Jodil #1806.

¹⁸ Girardin, s. 176.

¹⁹ Tamże, s. 182.

²⁰ „New York Times”, 29 czerwca 1834.

²¹ Girardin, s. 183.

²² Tamm do Hoovera, 9 czerwca 1934, Jodil #1899.

²³ Raport z Omaha, 15 czerwca 1934, Jodil #2043; *How Iowa Rubbed Out Dillinger's Ace Gunman*, „Startling Detective Adventures”, niedatowane.

²⁴ Girardin, s. 184.

²⁵ Girardin, s. 195.

²⁶ Girardin, s. 202-3.

²⁷ Girardin, s. 197-8.

²⁸ Girardin, s. 189-90.

²⁹ Notatka dla Hoovera, 29 czerwca 1934, Jodil #2454.

³⁰ Przesłuchanie Fatsa Negriego w Portland, Oregon, raport z 31 grudnia 1934 roku, Jodil #5067.

³¹ „Michiana”, 17 czerwca 1984; South Bend „Tribune”, 30 czerwca - 1 lipca 1934, 18 stycznia 1970.

15. KOBIETA W POMARAŃCZOWEJ SPÓDNICY

¹ Girardin, s. 203[^]1.

² Hammond, „Times”, 22 stycznia 1995.

³ „Chicago Tribune”, 16-17 lipca, Chicago, „Daily Times”, **16 lipca 1934.**

⁴ Raport z Chicago, 4 sierpnia 1934, Jodil #3218.

⁵ Raport z Chicago, 31 lipca 1934, Jodil #3241.

⁶ Girardin, s. 210-11.

⁷ Tamże. s. 211-12.

⁸ Zeznanie Any Sage, 1 sierpnia 1934, Jodil #3233.

⁹ List znaleziono w mieszkaniu Sage podczas przeszukania, które przeprowadziła policja Chicago. Został szczegółowo opisany w „Chicago Daily Times” z 25 czerwca 1934 roku.

¹⁰ Przesłuchanie Negriego, 31 grudnia 1934.

¹¹ Tamm do Cowleya, 23 lipca 1934, Jodil #3182.

¹² Każdy z agentów **FBI** uczestniczących w wydarzeniach tamtego wieczora musiał sporządzić notatkę z dokładnym opisem swoich działań. Większość tych relacji jest krótka i ogólnikowa. Tylko kilka odnosi się do wydarzeń na osiemnastym piętrze. Godzina spotkania, 19.15, podana została w notatce agenta Boba Gillespiego.

¹³ Purvis opisuje barwnie, co czuł tamtego wieczora, w książce *American Agent*.

¹⁴ Niepublikowany rękopis, John E. Welles, 1959.

¹⁵ „Chicago Tribune”, 23 lipca 1934.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ „Chicago Tribune”, 26 lipca 1934.

¹⁸ „Chicago Daily Times”, 23 lipca 1934.

¹⁹ Hoover do Purvisa, 23 lipca 1934. Akta Purvisa #270.

²⁰ „Chicago Tribune”, 25 lipca 1934.

²¹ Sage opisała dokładnie, co robiła po śmierci Dillingera, **podczas przesłuchania w urzędzie imigracyjnym w 1935 roku.**

²² Hoover do Tamma, 25 lipca 1934, Jodil #1-17.

²³ Hoover, notatka do akt, 26 lipca 1934 Jodil #3233.

²⁴ Hoover do Tamma, 27 lipca 1934, Jodil #2966.

²⁵ Agenci Connor i Murphy do Cowleya, 2 sierpnia 1934, Jodil #3233.

¹ Newby do Tamma, 17 września 1934, KCM #2517.

² Hoover do Tamma, 23 września 1934, KCM #2584.

³ Hoover do Tamma, 24 września 1934, KCM #2585.

⁴ Raport z Nowego Orleanu, 27 września 1934, KCM #2574.

⁵ Zeznanie Galatasa zawarte w raporcie z Nowego **Orleanu**, KCM #2574.

⁶ Tamm do Hoovera, 24 września 1934, KCM #2596.

⁷ Tamm do Hoovera, 24 września 1934, KCM #2659.

⁸ Tamm do Hoovera, 25 września 1934, KCM #2617.

⁹ Harvey do Hoovera, 26 września 1934, KCM #2568.

Connelley do Cowleya, 15 sierpnia 1934. „Chicago Tribune”, 30 lipca 1934.

16. ZAMIESZANIE

¹ Raport z San Francisco, 20 lutego 1935, Jodil #5492.

² Raport z Chicago, 1 lutego 1935, Jodil #5333.

³ Raport z Salt Lake City, 7 marca 1935, Jodil #5607.

⁴ Raport z San Francisco, 18 sierpnia 1934, Jodil #3596.

⁵ Zeznanie Benedicta, raport z San Francisco, Jodil #4331, s. 45.

⁶ Zeznanie Negriego, raport z Chicago, Jodil #5070, s. 32.

⁷ Artykuł Negriego, lipiec 1941. Negri używał w odniesieniu do **Backman pseudonimu** „Flo”.

⁸ Brantley do Floyda, 18 maja 1934, KCM #1659.

⁹ Hoover do Cowleya, 18 maja 1934, KCM # 1662. ¹⁰ Hoover do Cowleya, 31 maja 1934, KCM #1701.

¹¹ Brantley do Hoovera, 15 czerwca 1934, KCM # 1781.

¹² Hoover do Tamma, 23 czerwca 1934, KCM #1838.

¹³ Hoover do Nathana i Tamma, 28 czerwca 1934, KCM #1868.

¹⁴ Raport z Kansas City, 5 września 1934.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ Hoover do Cowleya, 5 września 1934, BKF #2 791.

¹⁷ Raport z Cleveland, 25 września 1936, BKF #12720.

¹⁸ „Cleveland Press”, 6 września 1934.

¹⁹ BKF #2978.

²⁰ BKF #2978, #2918.

17. POLE W OHIO I DROGA W ILLINOIS

¹⁰ „Chicago Tribune”, 16 października 1935.

¹¹ Zeznanie Chase’a, Jodil #5488, s. 9.

¹² Zeznanie Negriego, Jodil #5271. Cytaty z artykułu Negriego z „True Detective”
lipiec 1941.

¹³ Notatka Tamma do akt, 12 października 1934, Jodil #4207.

¹⁴ Hoover do Purvisa, 13 września 1934, akta Purvisa #291.

¹⁵ Hoover do Tamma, 19.35, 21 października 1934, KCM #2854.

¹⁶ Hoover do Tamma, 13.00, 22 października 1934, KCM #2701.

¹⁷ Hoover do Tamma, 17.45, 22 października 1934, KCM #2903.

¹⁸ Notatka Newby’ego, 24 października 1934, KCM #2946.

¹⁹ Artykuł Negriego, lipiec 1941.

²⁰ Zeznanie Chase’a, Jodil #5488.

²¹ Artykuł Doris Lockerman, „Chicago Tribune”, 17 **października 1935**.

²² Tamm do Hoovera, Jodil #4601.

²³ Raport z Chicago, Jodil #5813. Notatka Hoovera do akt, 27 listopada 1934, Jodil #4610. Notatka Hoovera do akt, 27 listopada 1934, Jodil #4611. „Chicago American”, 28 listopada 1934. Notatka Hoovera do akt, 28 listopada, Jodil #4665.

²⁸ „Chicago American”, 5 grudnia 1934.

18. OSTATNI MOHIKANIN

¹ Tolson do Hoovera, 4 grudnia 1934, BKF #3546.

² Wiele lat później Karpis dokładnie pamiętał ten incydent oraz nazwisko „Kingman” (wywiady z Karpisem, taśma 20, strona 135), co dowodzi, że dysponował nie tylko świetną pamięcią, ale i instynktem. Tajny raport o podróży Kingmana do Hawany zawarty jest w aktach FBI, **BKF #3621**.

³ Wywiady Karpisa, taśma 20, s. 149.

⁴ Zeznania wszystkich agentów zaangażowanych w sprawę, BKF #4198.

⁵ BKF #3807.

⁶ BKF #3743.

⁷ BKF #3771.

⁸ The Belleview (Fla.) „Leader”, 16 stycznia 1980; Ocala „Evening Star”, 16 stycznia 1935; Toronto „Star”, 11 października 1986.

⁹ New York „Evening Journal”, 3 marca 1935.

1S.PA5DE0EUX

¹ Raport z Cleveland, 5 września 1936, BKF #12794

² Richard Gid Powers, *G-Men: Hoover's FBI in American Popular Culture*, Southern Illinois University Press, 1983.

³ „Harper's”, listopad 1934.

⁴ Tamm do Hoovera, 1 września 1935, BKF #6886.

⁵ Raport z Little Rock, 17 października 1935, BKF #7721.

⁶ Tamm do Hoovera, 4 lutego 1936, BKF #9460.

⁷ Connelley do Brantleya, 17 lutego 1936, BKF #9581.

⁸ Nathan do Hoovera, 28 marca 1936, BKF #10245.

⁹ P.E. Foxworth do Hoovera, 28 marca 1936, BKF #10244.

¹⁰ Connelley do Hoovera, 30 marca 1936, BKF #10255.

¹¹ Gentry, s. 182.

¹² Tamże, s. 184-87.

¹³ Tamm do Hoovera, 26 kwietnia 1936, BKF # 11004.

¹⁴ Fletcher do Connelleya, 25 kwietnia 1936, BKF #11011.

¹⁵ Tolson do Hoovera, 27 kwietnia 1936, BKF # 11006X.

¹⁶ Raport z Cincinnati, 18 maja 1936, BKF #1165.

¹⁷ Hoover przekazał swoją wersję wydarzeń podczas rozmowy telefonicznej z główną siedzibą FBI następnego ranka. T.D. Quinn, notatka do akt, 2 maja 1936, BKF #11099.

¹⁸ New York „Evening Journal”, 2 maja 1936.

¹⁹ „Chicago American”, 2 maja 1936.

²⁰ Karpis, s. 230.

²¹ Tamże, s. 236. Autentyczność tej anegdoty **potwierdzają ówczesne doniesienia prasowe.**

EPILOG

¹ Potter, s. 4.

² Powers, s. 114.

³ Sandusky „**Register**”, **11 grudnia** 1993.

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Większość materiałów źródłowych, z jakich korzystałem, pisząc tę książkę, to

dokumenty FBI dotyczące wojny z przestępczością, ujawniane kawałek po kawałku, począwszy od połowy lat osiemdziesiątych. Akta te zajmują kilka półek w podziemnej czytelni w kwaterze głównej FBI w Waszyngtonie. Można przeglądać je na miejscu albo kupić ich kopie, kilka tysięcy stron wewnętrznych raportów, telegramów, korespondencji i zeznań świadków, po dziesięć centów za stronę. Moje kopie zajmują sześć szafek na dokumenty. W książce cytowałem niektóre z nich, dokładne źródła podane są w przypisach (oznaczenia użyte w przypisach odnoszą się do spraw FBI: skrót BKF to dokumenty dotyczące gangu Barkerów i Karpisa, „Brekid” to akta porwania Bremer’a; skrót KCM oznacza masakrę w Kansas City, UF odnosi się do porwania Urschela, „Jodil” to pliki dotyczące Johna Dillinger’a)*.

Z innych publikacji korzystałem głównie wtedy, gdy opisywałem tło działań podejmowanych przez FBI i gangi. Na przestrzeni minionych lat ukazało się kilka dobrych biografii J. Edgara Hoovera. Prawdopodobnie najlepszą z nich wciąż pozostaje książka Curta Gentry’ego, *J. Edgar Hoover: The Man and the Secrets*. Przydatne okazały się również następujące pozycje: *The FBI Nobody Knows* autorstwa Freda J. Cooka; *Edgar Hoover, the Man in His Time* Ralpa de Toledano; *My Thirty Years in Hoover’s FBI* Williama Sullivana i Billa Browna; nieobyčajne, lecz dobrze udokumentowane *Official and Confidential: The Secret Life of J. Edgar Hoover* Anthony’ego Summera; *The FBI Story: A Report to the People* Dona Whiteheada oraz dwie książki Richarda Gida Powersa, *G-Men: Hoover’s FBI in American Popular Culture* i *Secrecy and Power: The Life of J. Edgar*

* F oznacza tutaj *files*, czyli akta dotyczące danej osoby (przyp. tłum.).

Hoover. Znakomitą analizę socjologiczną wojny z przestępczością można znaleźć w książce autorstwa Claire Bond Potter *War on Crime: Bandits, G-Men, and the Politics of Mass Culture*. Warte uwagi jest również opracowanie Davida E. Rutha *Inventing the Public Enemy: The Gangster in American Culture, 1918-1934*.

Wiele książek pomogło mi zrozumieć Amerykę czasów Wielkiego Kryzysu. Wśród najlepszych pozycji dotyczących tego tematu należy wymienić: *The 30’s: A Time to Remember*, zbiór artykułów prasowych opracowany przez Dona Congdona, oraz dwie książki autorstwa T.H. Watkina, *The Great Depression: America in the 1930s* i *The Hungry Years: A Narrative Story of the Great Depression in America*.

Opisując początki kariery Pretty Boy Floyda, korzystałem z dokumentów FBI, artykułów prasowych z gazet z Tulsy i Oklahoma City oraz świetnej pracy Michaela Wallisa, *The Life and Times of Charles Arthur Floyd*. Wallis miał dostęp do rodziny Floyda, co widać w jego książce. Co ciekawe, nie korzystał z akt FBI opisujących masakrę w Kansas City, choć

zostały ujawnione w latach osiemdziesiątych pod naciskiem Roberta Ungera, profesora uniwersyteckiego, który zajął się dziennikarstwem. Z dokumentów tych korzystał obszernie Jeffrey King, autor *The Life and Death of Pretty Boy Floyd*. W jego dziele brakuje jednak relacji z pierwszej ręki, przez co w porównaniu z książką Wallisa wydaje się dość bezbarwne. Wszystkim zainteresowanym masakrą w Kansas City polecam pracę Ungera *The Union Station Massacre: The Original Sin of Hoover's FBI*.

Historia Bonnie i Clyde'a została opowiedziana w dziesiątkach książek. Jedną z najlepszych wciąż pozostaje pierwsza z tych pozycji, *Fugitives: The Story of Clyde Barrow and Bonnie Parker* autorstwa Emmy Parker i Neli Barrow Cowan. Polecam również *Running with Bonnie and Clyde: The First Ten Years of Ralph Faults* Johna Neala Phillipsa. Przygotowując tę książkę, Phillips zgromadził sporo oryginalnych materiałów, między innymi wywiady z Blanche Barrow.

Informacje na temat Melvina Purvisa można znaleźć w aktach FBI (dostępnych za pośrednictwem Freedom of Information Request). Purvis przedstawił nieco upiększoną historię życia w książce *American Agent*, którą wydał po odejściu z FBI. Wiele szczegółów z życia osobistego Purvisa poznałem dzięki jego synowi, Alstonowi, który pisze obecnie biografię swego ojca, oraz jego byłej sekretarce, Doris Lockerman; jestem im obojgu ogromnie wdzięczny za tę pomoc. Opowieść o tym, jak Purvis został wrobiony w aresztowanie Rogera Touhy'ego, odtworzyłem na podstawie akt FBI, apelacji Touhy'ego z 1954 roku, którą można znaleźć w Archiwum Federalnym w Chicago, oraz książki autorstwa samego Touhy'ego, *The Stolen Years*.

Szczegóły z początków kariery Machine Gun Kelly'ego można znaleźć w licznych artykułach publikowanych w różnych gazetach w Memphis, a także w książeczce wydanej w 1991 roku przez jego syna, Bruce'a Barnes, zatytułowanej *Machine Gun Kelly: To Right a Wrong*. Choć Barnes zamieszcza w niej sporo opowieści, które jego ojciec wysłał z palca, wypełnia również liczne luki w jego biografii, za co należą mu się słowa podziwu. Negocjacje w sprawie Urschela opisane są w aktach FBI oraz w wydanej w 1934 roku książce autorstwa E.E. Kirkpatricka *Crimes' Paradise: The Authentic Inside Story of the Urschel Kidnapping*.

Informacje na temat początków kariery Baby Face Nelsona znalazłem w serii artykułów publikowanych w „Chicago Tribune” w latach 1930-31, które podsunął mi Tom Smusyn, niezmordowany badacz tamtych czasów. W czasie gdy zbierałem materiały do tej pracy, ukazała się pierwsza biografia Nelsona, *Baby Face Nelson: Portrait of a Public Enemy*, autorstwa Stevena Nickela i Williama J. Helmera. Przyznam, że książka mnie rozczarowała; znalazło się w niej mnóstwo niepotwierdzonych informacji, między innymi

opowieść o spotkaniu Nelsona z Dillingerem, do którego miało dojść latem 1933 roku. Nie znalazłszy nikogo, kto by potwierdził te historie, postanowiłem je zignorować.

Rozmowy między członkami gangu Barkerów odtworzone zostały niemal wyłącznie na podstawie wspomnień Karpisa, ponad tysiąc stron niepublikowanych wywiadów, których udzielił swemu biografowi, Billowi Trentowi, w 1969 i 1970 roku. Informacje o dorastaniu i początkach kariery Dillingera można znaleźć w artykułach prasowych z lat trzydziestych oraz w dwóch książkach: *Dillinger Days* Johna Tolanda i *Dillinger: A Short and Violent Life* Roberta Cromiego i Josepha Pinkstona. Opis ostatnich lat życia Karpisa w Hiszpanii zawdzięczam Robertowi Liveseyowi, który spędził z Karpisem wiele godzin, przygotowując ich wspólną książkę *On the Rock: Twenty-five Years in Alcatraz*.

Materiał zawarty w drugiej części książki pochodzi niemal wyłącznie z akt FBI. Istotnym wyjątkiem są tutaj informacje cytowane z *Dillinger: The Untold Story* Russella Girardina i Billa Helmera. Gorąco polecam tę książkę. Większość rozmów Dillingera z Louisem Piquettem i Artem O'Learym cytuję właśnie za Girardinem.

Na koniec zostawiłem dwie moje ulubione pozycje traktujące o przestępcach czasów Wielkiego Kryzysu. Obie zawsze leżą na moim biurku. Jedną z nich to dzieło Paula Maccabee *John Dillinger Slept Here: A Crook's Tour of Crime and Corruption in St. Paul, 1920-1936*. To świetny opis wycinka lokalnej historii, lektura obowiązkowa dla każdego, kto interesuje się wojną z przestępczością. Druga to prawdopodobnie najbardziej wyczerpujące źródło informacji na ten temat: *Public Enemies: America's Criminal Past, 1919-1940* autorstwa Billa Helmera i Ricka Mattiksa. Ci dwaj ludzie prawdopodobnie wiedzą o przestępcach czasów Wielkiego Kryzysu więcej niż ktokolwiek inny, dobrze więc się stało, że przelali swą pasję w fantastyczną książkę.

PODZIĘKOWANIA

Przez czterdzieści lat pojawiło się mnóstwo nowych materiałów dotyczących wojny z przestępczością, materiałów wydobytych przez pełnych poświęcenia historyków amatorów; wielu z nich ogromnie mi pomogło, gdy przygotowywałem się do pisania tej książki. Nikt chyba nie zgromadził więcej informacji o przestępcach czasów Wielkiego Kryzysu niż Rick Mattix z Bussey, w stanie Iowa, który udostępnił mi swoje zbiory i zawsze chętnie odpowiadał na najtrudniejsze nawet pytania. Thomas Smusyn, który wie chyba wszystko, co tylko można wiedzieć o Johnie Dillingerze, był moim przewodnikiem po chicagowskich kryjówkach Dillingera.

Chciałbym złożyć wyrazy wdzięczności Paulowi Maccabee, którego dzieło, *John*

Dillinger Slept Here, jest jedną z najlepszych książek dotyczących okresu wojny z przestępczością; Robertowi Ungerowi, który wie o masakrze w Kansas City najwięcej; Billowi Helmerowi, guru biografów Dillingera; Bobowi Batesowi z Oregonu; Curtowi Gentry'emu, który napisał najlepszą jak dotąd biografię J. Edgara Hoovera; oraz Richardowi Jonesowi z Oklahoma City, który pozwolił mi korzystać ze swego wielkiego zbioru czasopism detektywistycznych z lat trzydziestych.

Dawn Trent, wdowa po Billu Trencie, autorze piszącym dla Karpisa, była tak miła, że zechciała pożyczyć mi tysiące stron wywiadów, które jej mąż przeprowadził z Karpisem pod koniec lat sześćdziesiątych; rozmowy te są źródłem wielu nowych informacji dotyczących tamtego okresu. Była archiwistka FBI Susan Rosenthal udostępniła mi akta byłych agentów. Dziękuję również historykom, których pozwolę sobie tu wymienić: Glenn Jordan z Monroe w stanie Luizjana; Arch McKinney z East Chicago; Robert Beresford z Wellesville w stanie Ohio; Clyde Woolridge z McAlester w stanie Oklahoma oraz Orville Albritton i Bobbie McClain z Hot Springs w stanie Arkansas.

Dziękuję pięknie pracownikom „Grapevine” z Quantico w stanie Wirginia, którzy pozwolili mi grzebać przez trzy dni w archiwalnych numerach tego periodyku, oraz cudownym archiwistom w siedzibie głównej FBI w Waszyngtonie. Serdeczne podziękowania należą się również dzieciom oraz dalszym krewnym wielu agentów FBI i prawników, którzy brali udział w wojnie z przestępczością; należą do nich syn Melvina Purvisa Alston Purvis, Samuel Cowley junior, Doris Lockerman, Jared McDade z Ossining w stanie Nowy Jork, John Davis Rorer, córka Jamesa Metcalfe'a Kristina Metcalfe, Werner Hanni Junior; Frazier Reams Junior oraz rodziny Johna Wellesa, Jaya Newmana, Johna Madali i Hugh'a Clegga.

Dziękuję również pracownikom następujących instytucji i stowarzyszeń: Chicago Public Library; Chicago Historical Society; Minnesota Historical Society w St. Paul; Oklahoma Historical Society; Missouri Historical Society; J. Evetts Haley Museum w Midland w stanie Teksas; Red River Historical Museum w Sherman w stanie Teksas; Hot Springs Historical Society w Hot Springs w stanie Arkansas; archiwów federalnych w College Park w stanie Maryland, w Chicago i w Kansas City; bibliotek publicznych stanu Ohio w Cleveland, Akron, Toledo, Bluffton, Lima i Dayton; bibliotek publicznych stanu Indiana w Muncie, Fort Wayne, Indianapolis, Crown Point, East Chicago, Gary, Peru, Hammond i Terre Haute; bibliotek publicznych stanu Teksas w Dallas, Fort Worth, Coleman, Waco, Austin, Houston, San Marcos i San Antonio; bibliotek publicznych stanu Iowa w Des Moines i Mason City; bibliotek publicznych stanu Missouri w Kansas City, Joplin i Springfield; bibliotek publicznych stanu New Jersey w Summit, Maplewood, Newark i

Atlantic City; bibliotek publicznych stanu Floryda w Miami, Fort Lauderdale, Ocala, Orlando i Daytona Beach; bibliotek publicznych stanu Arkansas w Little Rock i Hot Springs; biblioteki publicznej w Memphis; biblioteki publicznej w Albany w stanie Georgia oraz bibliotek publicznych stanu Wisconsin w Lake Geneva i Elkhorn.

Nie byłbym w stanie napisać tej książki, gdyby nie cierpliwość wydawcy „Vanity Fair”, Graydona Cartera, który pozwalał mi zajmować się czymś innym w czasie, gdy powinienem był pisać dla niego. Anna Bakolas wykonała ogromną pracę badawczą podczas pierwszych miesięcy gromadzenia materiałów. Marla Burrough, Doug Stampf, Steve Swartz i Jordan Glatt dostarczyli niezwykle cennych uwag po przeczytaniu rękopisu. Andrew Wylie i Jeffrey Posternak z Wylie

Agency to wciąż najlepsi agenci literaccy w tej branży. Projekt ten zaczął się od krótkiej serii programów telewizyjnych przygotowanej dla sieci Home Box Office; dopiero gdy zacząłem zbierać materiały do tej serii, zrozumiałem, że za bardzo mi się to podoba, bym nie napisał o tym książki. Dziękuję Brianowi Siberellowi za przewodnictwo po świecie Hollywood.

Scott Moyers z Penguin Press zawsze wierzył w powodzenie tego przedsięwzięcia i służył mi cennymi radami podczas przygotowywania ostatecznej wersji książki. Jego wierna asystentka, Sophie Fels, pilnowała, by wszystko odbywało się zgodnie z planem. Melissa Goldstein przetrząsnęła archiwa w kraju, zbierając odpowiednie fotografie. Dziękuję także moim rodzicom, Macowi i Mary Burrough z Tempie w Teksasie, którzy zawsze znajdują czas, by mnie wysłuchać. Jak zwykle największe podziękowania kieruję pod adresem mej rodziny, Marli, Griffina i Dane’a, którzy nigdy nie narzekają, że ich tata godzinami przesiaduje sam w swoim gabinecie.

SPIS RZECZY

Od autora 7

Główni bohaterowie 11

Prolog 23

1. Preludium do wojny, wiosna 1933 27

2. Masakra dokonana przez nieznaną sprawców,

8-17 czerwca 1933 44

3. Chłopcy z koledżu wchodzą do gry,

17 czerwca-22 lipca 1933 80

4. Ujadanie psów, 22 lipca-25 sierpnia 1933 103

5. Dzieciak Jimmy, 18 sierpnia-25 września 1933 133
 6. Ulice Chicago, 12 października-20 listopada 1933 175
 7. Zasadzki, 20 listopada - 31 grudnia 1933 206
 8. „Atak na wszystko, co jest nam drogie”,
2-28 stycznia 1934 229
 9. Narodziny gwiazdy, 30 stycznia-2 marca 1934 254
 10. Dillinger i Nelson, 3-29 marca 1934 284
 11. Crescendo, 30 marca - 10 kwietnia 1934 320
 12. Śmierć w lesie, 10-23 kwietnia 1934 346
 13. Koniec Bonnie i Clyde'a, 23 kwietnia - 23 maja 1934 379
 14. Nowe twarze, 24 maja - 30 lipca 1934 422
 15. Kobieta w pomarańczowej spódnicy, 1-27 lipca 1934 450
 16. Zamieszanie, 23 lipca - 12 września 1934 482
 17. Pole w Ohio i droga w Illinois,
18 września-27 listopada 1934 515
 18. Ostatni Mohikanin, 3 grudnia 1934 - 20 stycznia 1935 556
 19. Pas de deux, styczeń 1935 - 590
- Epilog 621
- Przypisy 633
- Nota bibliograficzna 647
- Podziękowania 651

